

LAMARTINE

Podróż na Wschód

## PRZEDMOWA DO WYDANIA PIERWSZEGO

Ani to książka, ani to podróż: nigdy nie zamierzałem napisać pierwszej czy opisać drugiej. Książkę, czy raczej poemat o Wschodzie, stworzył pan de Chateaubriand w swoim *Itineraire*<sup>1</sup>; ten wielki pisarz i wielki poeta ledwo przemknął przez ową ziemię cudów, ale już na zawsze wycisnął swój ślad na jej pyle ścieranym przez tyle stuleci. Wyruszył do Jerozolimy jako pielgrzym i jako rycerz, z Biblią, Ewangelią i dziejami wypraw krzyżowych w dłoni. Ja bawiłem tam tylko jako poeta i jako filozof; wyniosłem stamtąd wrażenia, które głęboko wryły mi się w serce, oraz wzniosłe i groźne nauki, które utrwaliły się w moim umyśle. Studia, które tam poczyniłem nad religiami, historią, obyczajami, tradycjami i okresami rozwoju ludzkości, nie są dla mnie stracone. Poszerzają one wąski widnokrąg myśli, stawiają, przed umysłem wielkie zagadnienia religijne i dziejowe, zmuszają do ponownych przemyśleń, każą ponownie rozważyć powzięte już przekonania i formułować przekonania nowe: owo wzniosłe i bardzo osobiste kształtowanie myśli przez myśl, przez miejsca, przez fakty, przez porównanie jednych epok z innymi, jednych obyczajów z innymi, jednych wierzeń z wierzeniami innych, wszystko to ma wielką wartość dla podróżnego, poety czy filozofa; są to części składowe jego przyszłej poezji i filozofii. Kiedy już zgromadzi, sklasyfikuje, uporządkuje, wyjaśni i ostatecznie podsumuje niezliczone mnóstwo wrażeń, obrazów i myśli, którymi ziemia i ludzie przemawiają do każdego, kto zadaje im pytania, kiedy w sposób dojrzały ukształtuje swoją duszę i swoje poglądy, wówczas sam z kolei przemówi i własną myśl, złą czy dobrą, słuszną czy fałszywą, przekaże swojemu pokoleniu w formie poetyckiej czy filozoficznej. Wypowie własne słowo, które winien wypowiedzieć każdy, kto myśli. Może i dla mnie nadejdzie ta chwila, choć jeszcze nie nadeszła.

Co tyczy się podróży, czyli pełnego i wiernego opisu okolic przemierzonych, wydarzeń, które przytrafiły się podróżnemu, wrażeń, jakie na nim wywarły miejsca, ludzie i obyczaje, to o tym myślałem jeszcze mniej. Gdy o Wschód chodzi, już to

## PRZEDMOWA DO WYDANIA PIERWSZEGO

uczyniono; uczyniono to w Anglii i obecnie czyni się we Francji tak sumiennie, z takim talentem i powodzeniem, że trudno, abym sobie pochlebiał, iż zdołam kogokolwiek w tym prześcignąć: pan de Laborde z talentem podróżnika i pędzlem najpierwszych naszych artystów opisuje i rysuje obrazy Hiszpanii, pan Fontanier, konsul w Trapezuncie, daje nam kolejno żywe i dokładne wizerunki najmniej zbadanych części cesarstwa otomańskiego, a *Correspondance d'Orient* pana Michaud, członka Akademii Francuskiej, i jego młodego, pełnego polotu współpracownika, pana Poujoulat, całkowicie zaspokaja naszą ciekawość względem dziejów, ducha i malowniczości Wschodu. Pan Michaud, pisarz doświadczony, człowiek dojrzały, dziejopis klasyczny, wzbogacił opis przemierzonych przez siebie krain wciąż żywotnymi dla niego kronikami wojen krzyżowych; dokonał krytycznego zestawienia, porównując miejsca z ich dziejami, a dzieje — z miejscami; jego dojrzały, analityczny umysł rozświetlił przeszłość, a także obyczaje ludów, pośród których przebywał, rozsypując sól ujmującej i przenikliwej mądrości w opisie widzianych zwyczajów, obyczajów i cywilizacji: widzimy tu człowieka dojrzałego wiekiem i rozumem, gdy prowadzi za rękę młodszego od siebie i z uśmiechem pełnym wyrozumiałości oraz ironii ukazuje mu obrazy całkiem dla niego nowe.<sup>2</sup> Pan Poujoulat jest poetą i kolorystą; jego styl, nacechowany wrażliwością na barwę zwiedzanych okolic, ukazuje je w pełnym blasku, skąpane w ciepłe właściwego im światła. Czujemy, że gdy pisze do przyjaciela, słońce Wschodu jeszcze oświeca i ogrzewa jego młode i bogate myśli; skreślone przez niego stronicy są niby grudy owej ziemi, które przynosi nam jeszcze lśniące ich pierwotnym blaskiem. Rozmaitość tych dwóch talentów, które wzajem się uzupełniają, sprawia, że *Correspondance d'Orient* stanowi najpełniejszy, jaki można by sobie wymarzyć, zbiór wiadomości o tej cudownej krainie, a także najbardziej urozmaicony i pociągający przedmiot lektury.

Gdy chodzi o geografję, mamy jeszcze niewiele; ale prace pana Caillet, młodego oficera sztabu głównego, którego spotkałem w Syrii, zostaną bez wątplenia niedługo ogłoszone i uzupełnią nam obraz tej części świata. Pan Caillet przez trzy lata prowadził badania naukowe, podróżując po Cyprze, Karamanii i rozmaitych częściach Syrii, czyniąc to z ową gorliwością i odwagą, które charakteryzują wykształconych oficerów armii francuskiej. Wracając niedawno do ojczyzny, przywiózł z sobą wiadomości, które bardzo by się przydały podczas wyprawy Napoleona i które mogą dopomóc w przygotowaniu wypraw następných.<sup>3</sup>

## PRZEDMOWA DO WYDANIA PIERWSZEGO

Notaty, które postanowiłem przekazać tu czytelnikowi, nie mają takich zalet. Udzielam ich niechętnie; mają znaczenie tylko dla mnie jako wspomnienia; były jedynie dla mnie przeznaczone. Nie ma w nich ani wiedzy, ani historii, ani geografii, ani opisu obyczajów; kiedy je spisywałem, nie myślałem o czytelnikach. A jak je pisałem? Nieraz w południe na popasie, w cieniu palmy lub wśród ruin jakiegoś zabytku pośród pustyni; najczęściej wieczorami, pod namiotem smaganym wiatrem lub deszczem, w blasku smolnej pochodni; raz w celi klasztoru maronickiego na Libanie, kiedy indziej znów na kołyszącej się łodzi arabskiej lub na pokładzie jakiegoś dwumasztowca, pośród okrzyków marynarzy, rżenia koni, podczas postojów i najrozmaitszego rodzaju przerw w podróży lądem czy morzem; niekiedy nie pisałem przez tydzień, kiedy indziej — tracąc pojedyncze stroniczki notesu rozerwanego przez szakale lub zmoczonego pianą morską.

Po powrocie do Europy powinienem był z pewnością przejrzeć te urywki wrażeń, połączyć je, nadać im właściwe proporcje, skomponować i stworzyć z nich opis podróży podobny do innych. Ale, jak już powiedziałem, nie miałem zamiaru opisywać podróży. Na to trzeba było czasu, swobodnego umysłu, uwagi i pracy: nie byłem w stanie tego z siebie dać. Ból ścisnął mi serce, nie mogłem zebrać myśli, skupić uwagi, znaleźć chwili wytchnienia: należało więc albo te zapiski spalić albo ogłosić takie, jakie były. Okoliczności, których nie ma potrzeby tu wyjaśniać, sprawiły, że na to właśnie się zdecydowałem; żałuję tej decyzji, ale na jej zmianę już za późno.<sup>4</sup>

Jeżeli więc czytelnik szuka w nich czego innego niż najbardziej ulotnych i powierzchownych wrażeń podróżnego, który kroczy przed siebie, nie zatrzymując się, powinien zamknąć tę książkę, zanim ją jeszcze zacznie przeglądać. Jedynie malarze zdołają może znaleźć tu coś, co choć trochę ich zajmie; zapiski te są na wskroś malarskie, to po prostu zapis dokonany przez spojrzenie, rzut oka podróżnego z grzbietu wielbłąda lub z pokładu statku, gdy widzi, jak przesuwiają się przed nim i nikną krajobrazy, a chcąc je sobie nazajutrz przypomnieć, szkicuje je kilkoma pociągnięciami jednobarwnego ołówka na stronicach swojego dziennika. Niekiedy, zapominając o otaczającej go scenarii, podróżny skupia się w sobie, przemawia sam do siebie, słucha własnych myśli, przeżywa własne radości i cierpienia; wtedy utrwala jakąś cząstkę swoich ulotnych wrażeń, aby wiatr oceanu lub pustyni nie uniósł gdzieś całego jego życia i aby mu z nich pozostał bodaj ślad na inny czas, gdy wróci do opuszczonego

#### PRZEDMOWA DO WYDANIA PIERWSZEGO

domu i będzie się starał wskrzesić umarłą przeszłość, ożywić zastygłe wspomnienia, złączyć ogniwa żywota w tylu miejscach strzaskane wydarzeniami. Oto owe zapiski: nie wzbudzą zainteresowania, nie spotkają się z powodzeniem; mogą jedynie spodziewać się pobłażliwości.

## Wspomnienia, wrażenia, myśli i krajobrazy

*Marsylia, 20 maja 1832.*

Matka moja dostała od swojej matki na łożu śmierci piękną Biblię w wydaniu pana de Royaumont<sup>1</sup>, na której uczyła mnie czytać, kiedym był dzieckiem. Każdą stronicę tej Biblii zdobiła rycina z dziejów świętych. Była tam Sara, był Tobiasz i anioł, był Józef, Samuel, a zwłaszcza owe piękne sceny patriarchalne, w których majestatyczna i pierwotna przyroda Wschodu ściśle łączyła się ze wszystkimi czynami owego prostego i cudownego życia pierwszych ludzi. Jeżeli dobrze umiałem lekcję i przeczytałem prawie bez błędu pół stronicy dziejów świętych, moja matka odsłaniała rycinę i trzymając na kolanach otwartą książkę, w nagrodę pozwalała mi się przypatrywać obrazkowi i wyjaśniała mi jego znaczenie. Natura obdarzyła moją matkę duszą równie czystą, jak pobożną, i wyobraźnią nadzwyczaj tkliwą i barwną; wszystkie jej myśli były uczuciami, każde uczucie obrazem; jej piękna, szlachetna, łagodna postać, jej promieniejące oblicze odbijały wszystko, co żarzyło się w jej sercu, wszystko, co malowało się w jej myśli, a dźwięk jej głosu, srebrzysty, tkliwy, uroczysty i namiętny, nadawał jej opowiadaniom wyraz mocy, uroku i miłości, który jeszcze dziś brzmi w moich uszach, choć, niestety, umilkł przed sześcioma laty. Widok tych rycin, ich wykład i poetyczne objaśnienia mojej matki wzbudziły we mnie, od lat dzieciennych upodobanie i skłonność do rzeczy biblijnych; od tego zamiłowania do chęci zobaczenia miejsc, gdzie to wszystko się stało, był tylko krok. Od ósmego roku życia pałałem chęcią zwiedzania tych gór, gdzie zstępował Bóg, tych pustyń, gdzie aniołowie wskazali Hagar ukryte źródło, aby wrócić życie jej nieszczęsnemu dziecku, wygnanemu i umierającemu z pragnienia, tych rzek wypływających z ziemskiego raju, tego nieba, gdzie widziano aniołów zstępujących i wstępujących po drabinie Jakubowej. Chęć ta nie odstępowała mnie nigdy; potem marzyłem zawsze o podróży na Wschód jak o wielkim czynie mojego życia

## WSPOMNIENIA, WRAŻENIA, MYŚLI I KRAJOBRAZY

wewnętrzny; tworzyłem bezustannie w myśli obszerną epopeję religijną, której główną widownią byłyby te piękne miejsca; zdawało mi się również, że wątpliwości umysłowe, wahania religijne tam powinny znaleźć swoje rozwiązanie i umilknąć na zawsze. Na koniec, tam powinienem był czerpać barwy do mojego poematu, ponieważ życie było zawsze wielkim poematem dla mojego umysłu, podobnie jak miłością dla serca. Bóg, Miłość i Poezja, tylko te trzy wyrazy chciałbym mieć wyrte na kamieniu grobowym, jeżeli kiedy na niego zasłużę.

Oto źródło pomysłu, który mnie pędzi w tej chwili ku brzegom Azji. Dlatego jestem w Marsylii i czynię tyle żmudnych starań, aby opuścić ziemię, którą kocham, gdzie mam przyjaciół, gdzie kilka bratnich umysłów będzie po mnie tęsknić i mi towarzyszyć.

### *Marsylia, 22 maja.*

Nająłem statek o wyporności dwustu pięćdziesięciu beczek z szesnastoma ludźmi załogi.<sup>2</sup> Kapitan — wyborny człowiek; podobała mi się jego postać. W głosie ma ów wyraz stanowczy i szczery, znamionujący niezłomną uczciwość i czystość sumienia, powagę w rysach twarzy, a w spojrzeniu promień prawości, otwartości i życia, niemyłą oznakę szybkiej, energicznej i przezornej decyzji. W dodatku jest uprzejmy, grzeczny i dobrze wychowany. Nad jego wyborem zastanawiałem się z wielką rozważą, nieodzownie potrzebną, gdy chodzi o człowieka, któremu ma się powierzyć nie tylko swoje mienie i życie, ale życie żony i jedyne dziecko<sup>3</sup>, stanowiącego połączenie bytu trzech istot w jednej. Oby Bóg czuwał nad nami i pozwolił wrócić!

Statek nazywa się „Alcesta”, kapitanem jest pan Blanc z La Ciotat, właścicielem — pan Bruno Rostand, jeden z najpoważniejszych kupców marsylijskich. Jego dobroci i uprzejmości mamy tysiączne dowody. Sam długo bawił na Wschodzie. Człowiek uczony, zdolny do piastowania najznakomitszych urzędów, w rodzinnym mieście uczciwością i talentami zyskał sobie poważanie równe jego majątkowi. Używa go skromnie, a otoczony uroczą rodziną zajmuje się tylko przekazywaniem swoim dzieciom zasad prawości i cnoty. Jaki szczęśliwy ten kraj, gdzie podobne rodziny znajdują się we wszystkich klasach społeczeństwa! I czyż może być wspanialsza instytucja niż instytucja rodziny, która wspiera, zachowuje, uwiecznia tę samą świętość obyczajów, tę samą szlachetność uczuć, te same tradycyjne wartości w chacie, w domu kupca czy w pałacu.

*25 maja.*

Marsylia przyjmuje nas, jak gdybyśmy byli dziećmi jej pięknego nieba: jest to kraina wspaniałomyślności, serca i poezji duszy; goszczą tu poetów jak braci; sami są poetami; pomiędzy osobami z gminu, z akademii, pomiędzy młodzieżą wchodzącą zaledwie w świat znalazłem mnóstwo charakterów i talentów, które nie tylko staną się chlubą swoich stron rodzinnych, ale i Francji całej. Pod tym względem południowe i północne prowincje Francji zdają się przewyższać środkowe. Wyobraźnia słabnie w krainach środkowych, w klimatach zbyt umiarkowanych; trzeba jej nadmiaru temperatury. Poezja jest córką słońca albo wiecznej zimy: Homer lub Osjan, Tasso lub Milton.

*28 maja.*

Uniosę w sercu wieczną pamięć życzliwości marsylczyków. Zdaje się, że chcę powiększyć we mnie te cierpienia ściskające serce, kiedy opuszczamy ojczyznę, nie wiedząc, czy ją jeszcze ujrzymy. Pragnę unieść z sobą także nazwiska osób, które mnie szczególnie życzliwie przyjęły i których wspomnienie będzie dla mnie ostatnim miłym wrażeniem rodzinnej ziemi: pan J. Freyssinet, pan de Montgrand, panowie de Villeneuve, Vangaver, Au-tran, Dufeu, Jauffret i inni<sup>4</sup>, wszyscy odznaczający się wzniosłymi przymiotami serca i rozumu, uczeni, urzędnicy, autorzy lub poeci; obym mógł się z nimi jeszcze zobaczyć i za powrotem złożyć im w ofierze te wszystkie uczucia wdzięczności i przyjaźni, które tak słodko przyjmować i tak miło się z nich uiszczać.<sup>5</sup>

Oto wiersz napisany dziś rano podczas przejażdżki morskiej między wyspami Pomegues i wybrzeżem Prowansji; jest to pożegnanie Marsylii, którą opuszczam z uczuciem synowskim. Kilka strof sięga dalej, w głąb mojego serca.

*13 czerwca.*

Zwiedziliśmy nasz statek, nasz dom na tyle miesięcy! Jest on podzielony na małe kajuty, w których można zawiesić łóżka i umieścić kufer. Kapitan kazał osadzić małe, dające nieco światła i świeżego powietrza okienka, które będziemy mogli otwierać, jeżeli morze będzie spokojne albo bryg się nie przechyli na bok. Większą kajutę przeznaczono dla pani de Lamartine i dla Julii; służące spać będą w kajucie kapitana, który zechciał ją nam ustąpić. Wobec pięknej pory roku będziemy jadać na pokładzie pod namiotem rozpiętym u stóp wielkiego masztu. Bryg jest obficie zaopatrzony we wszystko co tylko może być potrzebne w



dwuletniej podróży po krajach niezasobnych. Biblioteka, składająca się z pięciuset tomów historii, poezji i podróży, jest najpiękniejszą ozdobą większej kajuty. Broń ustawiono w kątach, prócz tego kupiłem osobny zapas strzelb, pistoletów i pałaszy dla uzbrojenia nas i naszych ludzi. Rozbójnicy greccy napadają na morzach Archipelagu; postanowiliśmy walczyć z nimi do upadłego i nie pozwolić na zahaczenie naszego statku, dopóki nam życia starczy; mam bronić życia dwóch istot, które jest mi droższe nad moje. Cztery armaty są na pokładzie, a załoga świadoma losu nieszczęśliwych majtków, którzy się dostaną w ręce Greków, gotowa raczej umrzeć niż im się poddać.

*17 czerwca 1832.*

Zabieram z sobą trzech przyjaciół. Pierwszy to jeden z tych ludzi, zsyłanych nam przez Opatrzność, gdy przewiduje, że będziemy potrzebowali pomocy, która by się nie zachwiała pod brzemieniem nieszczęść lub niebezpieczeństwa: Amadeusz de Parseval. Od najpierwszych lat młodości połączyło nas przywiązanie, które w żadnym okresie naszego życia nie uległo zachwianiu. Matka moja kochała go jak syna, ja kochałem jak brata; ilekroć doznałem przeciwności losu, Parseval był zawsze przy mnie albo widziałem go spieszącego, aby wziąć na siebie część mojego cierpienia, część główną, a gdyby mógł — i całe nieszczęście. Jest to serce, które żyje tylko szczęściem lub cierpi tylko niedolą drugich; kiedy piętnaście lat temu byłem w Paryżu sam, chory, zniszczony, w rozpacz i bliski śmierci, przepędzał całe noce, strzegąc dogorywającej iskry mojego życia<sup>6</sup>; kiedy traciłem jaką uwielbianą istotę, on zawsze zwiastował mi ten cios, aby go złagodzić; kiedy umarła moja matka<sup>7</sup>, przybył do mnie prawie równocześnie z nadejściem nieszczęsnej wiadomości i towarzyszył mi dwieście mil aż do jej grobu, gdzie jechałem na próżno po słowa jej ostatniego pożegnania, jakie do mnie skierowała, ale których nie usłyszałem. Później... Ale moje nieszczęścia jeszcze się nie skończyły i jestem pewien, że jego przyjaźń poty mnie nie opuści, dopóki trzeba będzie złagodzić rozpacz w moim sercu i mieszać łzy z moimi łzami.

W tej pielgrzymce towarzyszą nam jeszcze dwaj ludzie dobrzy, dowcipni, śmiali, wybrani z wybranych. Jeden z nich to pan de Capmas, podprefekt, pozbawiony urzędu przez .rewolucję lipcową, który jednak wolał obrać niepewną i trudną przyszłość niż utrzymać swoje stanowisko. Jako człowiek prawy, nie chciał składać przysięgi, aby go nie posądzono, iż czyni to dla intere-

## WSPOMNIENIA, WRAŻENIA, MYŚLI I KRAJOBRAZY

su. Jest to jeden z tych ludzi, dla których wszelkie rachuby nikną wobec poczucia honoru, a jego sympatie polityczne są szczerze i nie zepsute.

Drugim z naszych towarzyszy był pan de la Roiere, doktor z Hondschoote.<sup>8</sup> Poznałem go u mojej siostry, kiedy zamierzałem tę podróż. Uderzyła mnie czystość jego duszy, wdzięk i szczerowość umysłu, wzniosłość uczuć politycznych i religijnych. Pragnąłem zabrać go z sobą raczej jako pokrzepiciela ducha niż jako pokrzepiciela zdrowia; później winszowałem sobie, że to uczynił, bo znacznie bardziej cenię jego sposób myślenia i rozum niż talenty lekarskie, chociaż niezaprzeczenie je posiada. Więcej mówimy o polityce niż o sztuce medycznej. Jego poglądy i wyobrażenia polityczne o terażniejszości i o przyszłych losach Francji są szerokie, nie ograniczone ani przychylnością, ani niechęcią do takich czy innych osób. Wie, że Opatrzność nie jest stronnicza w swoim dziele, i tak jak ja widzi w polityce ludzkiej idee, a nie nazwiska. Myśl jego dąży do celu, nie troszcząc się ani przez kogo, ani którędy trzeba torować drogę, umysł ma wolny od przesądów, a nawet od uprzedzeń jego wiary szczerzej i żarliwej.

Sześciu służących, prawie wszyscy dawni lub zrodzeni w domu ojcowskim, uzupełniają nasz zespół. Jadą z radością, a każdy w tej podróży ma swój interes osobisty. Każdy mniema, że jedzie we własnej sprawie i gotów stawić czoło trudom i niebezpieczeństwu, których bynajmniej przed nimi nie ukrywałem.

W przystani, na kotwicy, przed małą zatoką Montredon, 10 lipca 1830.

Wyłynęliśmy: fale są teraz zupełnymi panami naszych przeznaczeń. Już tylko myśl o ukochanych osobach, które zostawiłem na rodzinnej ziemi (zwłaszcza o ojcu i siostrach), wiąże mnie z lądem.

Aby wyjaśnić sobie samemu, jakim sposobem, zbliżając się już do kresu młodości, do epoki życia, kiedy człowiek wycofuje się ze świata idealnego, aby wejść w świat widoków materialnych, opuściłem moją piękną i spokojną siedzibę w Saint-Point<sup>9</sup> i wszystkie niewinne uciechy domowej zagrody, którą uprzyjemnia żona, upięknia dziecko, aby, powtarzam, sobie samemu wyjaśnić, jak się to stało, że teraz płynę po bezkresnym przestworze wód ku brzegom i przyszłości nieznaney, muszę cofnąć się do źródła wszystkich moich myśli i w nim szukać przyczyn moich skłonności i upodobań podróżniczych. Otóż wyobrażenia ma także swoje potrzeby i namiętności. Urodziłem się poetą, czyli człowiekiem

lepiej lub-gorzej pojmującym tę wzniosłą mowę, mowę dzieł Bożych; Bóg przemawia nią do wszystkich ludzi, ale jaśniej do niektórych. W młodości słyszałem ten głos przyrody, tę mowę u-tworzoną z obrazów, a nie z dźwięków, w górach, lasach, jeziorach, nad brzegami przepaści i potoków mojej ziemi i niebotycznych Alp; byłem nawet tłumaczem w mowie pisanej kilku z jej brzmień, które mnie wzruszyły, a z kolei wzruszały dusze innych; ale te brzmienia już mi nie wystarczały; wyczerpałem ów zasób słów boskich, jaki ziemia naszej Europy daje człowiekowi, pragnąłem usłyszeć inne na wybrzeżach, gdzie brzmią donośniej i więcej mają blasku. Moja wyobraźnia zakochała się w morzu, w pustyniach, w górach, w obyczajach i w śladach Boga na Wschodzie. Przez całe życie Wschód był moim marzeniem pośród uroczych dni, pędzonych w mgłach jesieni i zimy w rodzinnej dolinie<sup>10</sup>. Ciało moje, tak jak dusza, jest dzieckiem słońca, potrzeba mu światła, potrzeba mu tych promieni życia, jakie owa gwiazda ciska nie z rozdartego łona naszych obłoków Zachodu, ale z głębi purpurowego nieba, podobnego do ognistego otworu pieca; tych promieni, które są nie tylko światłem, ale spływają żarem, przepalając białe skały oraz lśniące szczyty gór, i powlekają ocean czerwienią niby luną pożaru unoszącą się ponad falami. Chciałem dotknąć, ugnieść w dłoniach nieco tej ziemi, która była ziemią naszych pierwszych rodziców, ziemią cudów; przypatrzeć się, przebiec tę widownię ewangeliczną, gdzie się odbyła wielka walka mądrości Bożej z błędem i przewrotnością ludzi, gdzie prawda moralna stała się męczennicą, aby krwią przelaną rzucić zaród cywilizacji doskonalszej. A zresztą niemal zawsze byłem chrześcijaninem sercem i umysłem; matka mnie takim uczyniła; kilkakrotnie przestawałem nim być na krótko, w najmniej dobrych i najmniej czystych dniach mojej pierwszej młodości; nieszczęście i miłość, miłość zupełna — oczyszczająca wszystko, co przepala, wtrąciły mnie później w to pierwsze schronienie moich myśli, w te pociechy serca, których domagamy się od naszych wspomnień i nadziei wtenczas, gdy cała wrzawa serca zatapia się w nas samych, kiedy cała nicłość życia ukazuje się nam po zgasłej namiętności albo po śmierci ukochanej osoby, kiedy nam już nic do kochania nie zostało.

To chrześcijaństwo uczucia stało się słodkim nawykniem myśli; często mówiłem do siebie: „Gdzież jest prawda doskonała, widoczna, niezaprzeczona? Jeżeli znajduje się gdziekolwiek, to pewno w sercu, w tej oczywistości, którą czujemy, a której żadne rozumowanie przemóc nie zdoła. Ale prawdy rozumowej,

## WSPOMNIENIA, WRAŻENIA, MYŚLI I KRAJOBRAZY

zupelnej, nie ma nigdzie; jest ona z Bogiem, a nie z nami; nasze oko jest zbyt słabe, aby mogło znieść jeden bodaj jej promień; każda prawda dla nas jest tylko względna; to, co będzie najużyteczniejsze dla ludzi, będzie też najprawdziwsze; nauką najobfitszą w cnoty boskie będzie ta, która najwięcej zawiera prawd boskich, bo co jest dobre, jest prawdziwe." W tym była cała moja logika religijna; moja filozofia nie wznosiła się wyżej; wzbraniała mi powątpiewań i nieskończonych rozpraw rozumu z nim samym; zostawiła mi tę religię serca, która jednoczy się tak doskonale z bezgranicznym poczuciem istnienia duszy, która nic nie rozstrzyga, lecz wszystko uspokaja.

*10 lipca, siódma wieczorem.*

Mówię do siebie: „Ta pielgrzymka, jeżeli nie jako pielgrzymka chrześcijanina, to jako człowieka i poety, bardzo by się podobała mojej matce. Dusza jej była tak żarliwa i tak prędko i całkowicie zabarwiała się wrażeniem miejsc i rzeczy. Jej dusza byłaby się do głębi przejęła widokiem tego pustkowiec uświęconego wzniosłym dramatem ewangelicznym, w którym strona ludzka i strona boska ludzkości tak silną zostawiły pamiętkę swoich czynów; pierwsza krzyżując, druga — ukrzyżowana. Podróż syna, którego tak kochała, musi jej być przyjemna nawet w krainie niebios, gdzie ją widzę; będzie nad nami czuwać, będzie błagać Najwyższego o opiekę, aby, jak druga Opatrzność, mogła stanąć między nami i burzą, między nami i samumem, między nami i Beduinami. Osłoni przed niebezpieczeństwem swojego syna, swoją przybraną córkę, swoją wnuczkę, widzialnego anioła naszego przeznaczenia, którego wszędzie ze sobą bierzemy. Tak kochała to dziecko! Z jaką niewymowną tkliwością, z jaką głęboką rozkoszą jej wzrok spoczywał na czarownej twarzączce tego anioła, tej ostatniej i najpiękniejszej nadziei jej licznego potomstwa! A jeżeli ten zamysł, o którym tak często marzyliśmy oboje, jest nierozważny, pozyska dla mnie przebaczenie Stwórcy przez wzgląd na wiodące mnie pobudki: Miłość, Poezję i Religie.”

*Tego samego dnia wieczorem.*

Polityka i tu nas jeszcze dosięgła; miło spoglądać na bliską przyszłość Francji; rośnie pokolenie, które cnotą swojego wieku uczyni zupełny rozbrat z naszą urazą, z naszym obwinianiem się czterdziestoletnim.<sup>11</sup> To pokolenie nie będzie dbało, że ktoś należał do tego lub owego z dawnych stronnictw sprawującego nie-

nawistną władzę; ono nie było uwikłane w spory, nie żywi przesądów, nie pragnie zemsty. Ukazuje się z zapałem wyobraźni, nieskażone, pełne siły, wstępując od nowa na drogę, którą my zapełniamy jeszcze naszą nienawiścią, naszymi namiętnościami, naszymi dawnymi waśniami. "Ustąpmy mu miejsca: och, jakże chciałbym je zająć w jego imieniu, połączyć mój głos z jego głosem na tej trybunie, gdzie rozbrzmiewają wciąż te same słowa bez echa w przyszłości, gdzie wciąż walczą z nazwiskami ludzi! Oby nadeszła godzina, gdy latarnia rozsądku i moralności zapłonie nad naszymi burzami politycznymi, gdy powstaną nowe godło społeczne, które świat zaczyna przeczuwać i pojmować; godło miłości i miłosierdzia między ludźmi, godło polityki ewangelicznej! Co do mnie, nie mam najmniejszej przyczyny obwiniać się o samolubstwo w tym względzie; tej powinności poświęciłbym nawet moją podróż, to szesnastoletnie marzenie wyobraźni.<sup>12</sup> Oby niebo natchnęło ludzi, gdyż nasza polityka wstydem okrywa człowieka, a żyzy wyciska aniołom.<sup>13</sup> Przeznaczenie raz w stuleciu daje ludzkości jedną godzinę na to, by się odrodziła, godziną tą jest rewolucja, a ludzie tracą ją na wzajemne walki: godzinę daną od Boga dla odrodzenia i postępu poświęcają zemście.

*Tegoż dnia, wciąż na kotwicy.*

Rewolucja lipcowa, która mnie dotkliwie zasmuciła, ponieważ, jak cały mój ród, kochałem starożytną, czcigodną dynastię Bur-bonów, ponieważ mój ojciec, mój dziad, wszyscy moi krewni poświęcili im swoją krew i miłość, a ja również oddałbym i moją, gdyby tego zechcieli, ta rewolucja jednak mnie nie rozjątrzyła, ponieważ nie przejęła mnie zdziwieniem. Widziałem ją przybliżającą się z dala; na dziewięć miesięcy przed tym nieszczęsnym dniem czytałem upadek nowej monarchii z imion ludzi, którym powierzyła ster.<sup>14</sup> Ci ludzie odznaczali się poświęceniem i wiernością, ale należeli do innego wieku, inaczej myśleli; kiedy pojęcie obecnego wieku postępowało jedną drogą, oni chcieli iść inną; rozdział już dokonał się w umysłach, czyn musiał wkrótce nastąpić; była to sprawa dni i godzin. Opłakiwałem ów ród, który zdawał się być skazany na los i ślepotę Edypa. Opłakiwałem szczególnie ów zbyteczny rozłam między przeszłością i przyszłością. Jedna mogła drugiej być tak użyteczna!<sup>15</sup> Wolność, postęp społeczny o ile byłyby silniejsze, gdyby je uznały starożytne dynastie, dawne rody, odwieczne cnoty! Jakby to było politycznie i dobrze nie dzielić Francji na dwa stronnictwa, na dwie skłonności, postępować razem, jedni przyspieszając kroku, dru-

dzy zwalniając, aby się nie rozdzielić w drodze! Wszystko to już tylko jest snem. Można go żałować, ale nie, trzeba tracić czasu na bezużyteczne rozpamiętywanie. Należy działać i iść naprzód: taki jest bieg rzeczy, takie jest prawo Boga. Boleję, że tak zwane stronnictwo rojalistów, obdarzone tylu zdolnościami, wpływami i cnotą, chce postawić tamę sprawie lipcowej. To stronnictwo przecież nie skompromitowało się w tej sprawie, sprawie dworu, intryg, koterii, w których zmacana większość rojalistów nie miała w ogóle udziału. Zawsze wolno, zawsze to zaszczytnie podzielać cudzą niedolę, ale nie powinno się niezasłużenie przyjmować na siebie części błędu, którego się nie popełniło. Trzeba zostawić temu, kto chce wziąć za to odpowiedzialność, błąd zamachów stanu i obrania kierunku wstecznego, trzeba żałować i opłakiwać dostojne ofiary nieszczęsnego obłąkania<sup>16</sup>, nie zapierać się chlubnego dla nich współczucia, nie odtrącać dalekich, ale uprawnionych nadziei, a zarazem wstąpić w szeregi obywateli, myśleć, mówić, działać, walczyć wspólnie z rodziną rodzin, z krajem. Ale porzućmy te myśli. Zobaczmy Francję za dwa lata. Niech Bóg opiekuje się nią i tym wszystkim, co zostawiamy w niej drogiego i najlepszego w każdym ze stronnictw!

*11 lipca, pod żaglami.*

Dzisiaj o wpół do szóstej rano wypłynęliśmy. Kilku przyjaciół niedawno poznanych, ale bardzo życzliwych, uprzedziło wschód słońca, aby nam towarzyszyć parę mil na morze i odsunąć chwile pożegnania. Nasz bryg sunął po morzu gładkim, przezroczystym i niebieskim jak woda źródłana w cieniu wydrążonej skały. Zaledwie brzemię licznych rei, tych długich ramion okrętu obciążonych żaglami, zaczęło z wolna przechylać statek to na jedną, to na drugą stronę, młody człowiek \* z Marsylii powiedział z pamięci prześliczny wiersz, w którym swoje życzenia dla nas powierzał wiatrom i falom morskim<sup>17</sup>; to rozłączenie z ziemią, te myśli ulatujące z powrotem do brzegu, które przebiegały Prowansję i spieszyły do ojca, sióstr, przyjaciół, te pożegnania, ten wiersz, ten piękny cień Marsylii, która się oddalała, zmniejszała przed naszymi oczyma, to morze bez kresu, które na długo miało stać się naszą jedyną ojczyzną, do łez nas roztkliwiły.

O Marsylio, o Francjo, ty na więcej zasługiwałaś: ten czas, ten kraj, ta młodzież godne były spoglądać na prawdziwego poetę,

\* Pan Autran. [Przyp. aut.]

na jednego z tych, co utrwalają świat i epokę w harmonijnej pamięci rodu ludzkiego! Ale ja, czuję to głęboko, jestem tylko z liczby tych ludzi bez oblicza, co żyli w epoce przejściowej i niepewnej, a których kilka westchnień znalazło przyjazne echo, ponieważ echo jest poetyczniejsze niż poeta. Jednakże moimi pragnieniami należałem do innego wieku; czułem w sobie nieraz innego człowieka; widnokregi niezmierzone, bez granic, jaśniejące poezją filozoficzną, bohaterską, religijną, nową, otwierały się przed moimi oczyma, lecz — o, karo młodości nierozważnej i zgubnej! — widnokregi te niebawem zwierzały się na nowo. Czułem, że ich ogrom przewyższał moje siły fizyczne; zamykałem oczy, aby uniknąć chęci rzucenia się w nie. Żegnam was więc, marzenia geniuszu, rozkoszy umysłowej! Już za późno. Skreślę może kilka scen, zanucę z cicha kilka pieśni i wszystko zakończę: na innych kolej; a, jak to z radością widzę, przybywają inni. Nigdy przyroda nie była obfitsza w przyrzeczenia geniuszu niż w tej chwili. Już to ludzi będzie za dwadzieścia lat, jeżeli wszyscy staną się ludźmi!

Jednak gdyby Bóg zechciał mnie wysłuchać, w jednej tylko prośbie zawarłbym wszystko: w prośbie o poemat według mojego i Jego serca, widomy, żywy, pełen ruchu i barw obraz Jego stworzeń widzialnych i niewidzialnych; takie dziedzictwo pragnąłbym zostawić temu światu ciemności, zwątpienia i smutku; byłby to pokarm, który by go ożywił, odmłodził na wiek cały. Och, czemu dać go nie mogę jemu lub przynajmniej sam sobie, choćby nawet nikt prócz mnie jednego wiersza w nim nie rozumiał!

*Tegoż dnia, o trzeciej na morzu.*

Wiatr wschodni, który przeszkadza nam w żegludze, powiał z większą mocą; morze wzburzyło się i pobielalo; kapitan oświadczył, że trzeba wrócić do brzegu i zarzucić kotwicę w zatoce o dwie godziny drogi od Marsylii. Jesteśmy w niej; fale kołyszają nami łagodnie, morze mówi, jak powiadają majtkowie: słychać z dala szum podobny do zgiełku wielkich miast; ten groźny głos morza, który pierwszy raz słyszymy, odzywa się uroczyście w uszach i sercu tych, co z nim z tak bliska i tak długo będą rozmawiać.

Po lewej stronie widzimy wyspy Pomegues i zamek If, starożytną fortecę z okrągłymi, szarymi wieżami, które wieńczą skałę nagą i siwą; naprzeciwko, na brzegu wysokim i poprzecinanym białawymi skałami, liczne domy wiejskie, których ogrody

otoczone murami ukazywały tylko wierzchołki krzewów albo zielone łuki altan z winogrodu; o jaką milę opodal, na samotnym i obnażonym wzgórzu, wznosi się warownia i kaplica Notre-Dame de la Gardę, do której marynarze prowansalscy udają się przed każdą podróżą i za każdym powrotem. Bez naszej wiedzy tego poranku, właśnie w chwili, kiedy wiatr zaczął wzdymać nasze żagle, pewna kobieta z Marsylii w gronie swoich dzieci, uprzedziwszy wschód słońca, poszła modlić się za nas na szczyt tej góry, skąd jej przyjazny wzrok dostrzegał z pewnością nasz statek jak biały punkt na morzu.

Jakież to świat ten świat modlitwy, jakież to ogniwo niewidzialne, ale wszechwładne, co łączy znajomych i nieznanym, razem lub oddzielnie modlą się jedni za drugich! Zdawało mi się zawsze, że modlitwa, ten instykt tak prawdziwy naszej bezsilnej natury, była jedyną siłą rzeczywistą albo przynajmniej największą siłą człowieka. Człowiek nie pojmuje tego instyktu; ale bo cóż on pojmuje? Potrzeba, która każe mu oddychać, stanowi dla niego dowód, że powietrze jest mu niezbędne. Instykt modlitwy przekonywa także duszę o skuteczności modlitwy. Módlmy się więc! A ty, o Boże, który nas natchnąłeś tym cudownym jednoczeniem się z Tobą, z istotami żywymi, ze światami niewidzialnymi, wysłuchaj nas! Spełń więcej niż to, o co Cię prosimy.

*Tegoż dnia, jedenasta w nocy.*

Wspaniały księżyc zdaje się kotłować między masztami, rejami, linami dwóch brygów wojennych, niedaleko od nas stojących na kotwicy między naszym stanowiskiem i czarnymi górami Varu; każda lina tych statków rysuje się wyraziście na niebieskim i purpurowym tle nocnego nieba niby włókna pozostałe na jakimś olbrzymim szkielecie, odartym z ciała, na który patrzymy z dala w bladym, nieruchomym świetle lamp Westminsteru lub Saint-Denis. Nazajutrz te szkielety odzyskają życie, rozpostrą zwinięte skrzydła i wzlecą jak ptaki oceanu, aby spocząć na innych brzegach. Z pokładu, na którym się znajduję, słychać miarowy gwizdek najstarszego podoficera, który kieruje obrotami, warkot bębna i głos oficera dyżurnego. Flagi zsuwają się z masztu; łodzie, szalupy zostają wciągnięte na pokład, jakby na pospieszny znak jakiejś żywej istoty. Wszystko znowu ucicha na ich pokładach i naszym.

Dawniej człowiek nie zasypiał na tym głębokim, zdradliwym łożu, nie wzniósłszy duszy i głosu do Boga, nie złożywszy uwiel-



ienia swojemu Stwórcy wśród tych wszystkich gwiazd, tych wód, tych szczytów górskich, tych wszystkich uroków, tych wszystkich niebezpieczeństw nocy; dawniej modlono się wieczorem na pokładach okrętów wojennych. Od rewolucji lipcowej już tego nie czynią. Modlitwa skonała na ustach starego liberalnego osiemnastego wieku, który nie miał w sobie nic żywego, prócz zimnej nienawiści względem spraw ducha. To święte tchnienie człowieka, które dzieci Adama przekazały nam wraz z ich radością i cierpieniem, przygasło we Francji w dniach naśni i pychy — wmieszaliśmy Boga w nasze zatargi. Cień Boga przeraża niektórych. Te owady tylko co zrodzone, które umrą jutro, których jałowe popioły w kilka dni wiatr rozwieje, których zbiele kości wyrzucą te wody odwieczne gdzieś na skałę, lękają się jednym słowem, jednym poruszeniem złożyć hołd Istocie Nieskończonej, którą czczą niebiosa i morza; nie raczą wspomnieć Tego, który przecież zniżył się, aby ich stworzyć. A dlaczego? Bo ci ludzie noszą mundur, bo umieją rachować do iluś tam i nazywają się Francuzami dziewiętnastego wieku! Szczęściem wiek dziewiętnasty przemija i widzę zbliżający się lepszy wiek, istotnie religijny, w którym jeżeli ludzie nie będą wyznawać Boga jednym językiem i pod jednakowymi symbolami wiary, wyznawać Go będą przynajmniej pod wszystkimi symbolami i we wszystkich językach.

### *Tej samej nocy.*

Przechadzałem się godzinę na pokładzie sam, zajęty tymi smutnymi lub pocieszającymi rozważaniami, z cicha odmówiłem sercem i ustami wszystkie modlitwy, jakich w dzieciństwie nauczyłem się od matki; wiersze i urywki psalmów, które nieraz szeptała, gdy wieczorem przechadzała się w alei ogrodowej w Milly<sup>18</sup>, ożywały w mojej pamięci i z tkliwą, głęboką rozkoszą podawałem je z kolei morzu, wiatrom, temu uchu zawsze otwartemu, dla którego najłżejszy szmer ust i serca nigdy nie zaginie. Modlitwa, którą słyszeliśmy odmawianą przez tego, kogo kochaliśmy i widzieli umierającego, jest podwójnie święta. Któż z nas nie ceni bardziej kilku słów, których go nauczyła matka, niż najpiękniejszych hymnów, które by mógł sam stworzyć? Dlatego jakkolwiek religię rozum wskazuje nam w wieku rozumu, religia chrześcijańska będzie zawsze modlitwą rodu ludzkiego. Sam odmówiłem modlitwę wieczorną i morską za kobietę, która pogardziła niebezpieczeństwem, aby tylko podzielić mój los, za to piękne dziecko, które właśnie bawiło się na pokładzie, w szalu-

pie, z kożą, co je miała żywić swoim mlekiem, z pięknymi, spokojnymi chartami, które liżą jego białe rączęta i lekko dotykają zębami jego długich, jasnych włosów.

*12 lipca 1832, rano, pod pełnymi żaglami.*

Wiatr zmienił się w nocy i ochłodził powietrze; słyszałem z mojej kabiny, znajdującej się między dwoma pokładami, kroki, głosy i żaloszny śpiew majtków, który długo rozbrzmiewał nade mną wraz z brzękiem łańcucha kotwicy, przywiązanej do dzioba statku. Rozpuszczono żagle — płyniemy; zasnąłem na nowo. Gdym się przebudził i otworzył okienko, chcąc spojrzeć raz jeszcze na brzegi Francji, przy których staliśmy wczoraj, ujrzałem rozległe morze, puste, nagie, pluskające, a na nim dwa żagle tylko, dwa wysokie żagle, wznoszące się jak dwa słupy graniczne, jak dwie piramidy pustyni, w tej dali bez widnokregu.

Fale z lekka pieściły grube, zaokrąglone burty mojego brygu i mile szemrały pod moim wąskim okienkiem, gdzie raz po raz unosiły się lekkie, białe strugi piany; był to szmer nierówny, urozmaicony, pomieszany — świegotanie jaskółek gdzieś w górze, kiedy słońce wznosi się nad łanem. Istnieje harmonijna zgodność wszystkich żywiołów, podobnie jak ogólna harmonia między naturą materialną i umysłową. Każda myśl ma swój odbłysek w przedmiocie widzialnym, który ją powtarza jak echo, odbija jak zwierciadło i czyni dostrzegalną dwoma sposobami: dla zmysłów obrazem, dla myśli myślą; jest to nieskończona poezja podwójnie tworzona. Ludzie nazywają to porównaniem: porównanie jest to geniusz. Tworzenie jest tylko myślą pod tysiącznymi postaciami. Porównywać to sztuka czy instynkt wynajdywania większej liczby wyrazów w owym boskim języku powszechnych podobieństw, którym Bóg tylko włada, lecz którego cząstkę pozwala odkryć niektórym ludziom. Dlatego właśnie prorok — poeta święty, i poeta — prorok świecki, niegdyś byli wszędzie uważani za istoty nadludzkie. Dziś mają ich za bezrozumnych, a przynajmniej bezużytecznych, to logiczne; jeżeli wszystkim jest dla ciebie świat zmysłowy i dotykalny, ta część przyrody, która wyraża się w cyfrach, wymiarach, pieniądzach lub rozkoszach fizycznych, słusznie uczynisz, pogardzając ludźmi, którzy zachowują cześć tylko dla piękności moralnej, myśli o Bogu i owej mowy obrazów, tych tajemniczych związków między tym, co niewidzialne i widzialne. Cóż ci objawia ta mowa? Boga i nieśmiertelność. To nic dla ciebie nie znaczy!

*13 lipca, na kotwicy, w małej zatoce La Ciotat.*

Sprzyjający chwilowy wiatr wkrótce uciekł w naszych żaglach, które opadły wzdłuż masztów, a najśłabsza fala sprawiała, że z lekka się poruszały. Piękna to alegoria owych charakterów pozbawionych woli, owego wichru duszy ludzkiej, charakterów chwiejnych, które nużą tych, co są nimi obdarzeni; te charaktery bardziej zużywają się wskutek słabości niż odruchów męstwa, które nieubłagana wola nakazuje ludziom energicznym i czynnym, podobnie jak okręty więcej się trudzą na morzu spokojnym i bezwietrznym niż pod silnymi uderzeniami wiatru, który je popycha i utrzymuje na spienionych falach.

Czy to przypadkiem, czy tajemnym obrotem sprawionym przez naszych oficerów, zniewoleni wiatrem wpływamy o trzeciej do rozkosznej zatoki La Ciotat, miasteczka na wybrzeżu Prowansji, gdzie nasz kapitan i prawie wszyscy majtkowie mają swoje domy, żony i dzieci. Zarzuciliśmy kotwicę pod osłoną niewielkiej grobli, zbudowanej u stóp miłego wzgórza, okrytego winnicami oraz drzewami figowymi i oliwnymi, przypominającej jak gdyby przyjazną dłoń, którą brzeg podaje marynarzowi. Woda jest tu tak gładka i tak przezroczysta, że na głębokości dwudziestu stóp widzimy błyszczące muszle i kamienie, chwiejące się długie wodorosty i tysiące ryb o mieniącej się łusce: ukryte skarby morskiego łona, równie jak ziemia bogatego, równie obfitującego w roślinność i zamieszkujące je istoty. Życie jest wszędzie tak jak myśl. Cała przyroda jest ożywiona, czuje i myśli. Kto tego nie widzi, nigdy nie zastanawiał się nad nieprzebraną płodnością twórczej myśli. Ona nie powinna, nie mogła się zatrzymać; nieskończoność jest zaludniona i wszędzie, gdzie jest życie, jest także i uczucie, i myśl, oczywiście zróżnicowana, ale nie pustka. Chcesz na to dowodu fizycznego? Przypatrz się kropli wody pod mikroskopem słonecznym, a zobaczysz w niej wirujące tysiące światów, tysiące światów w jednej łzie owadu, a jeżeli zdołasz rozłożyć każdy z tych tysięcy światów, ukażą ci się miliony innych. Jeżeli z tych światów bez granic i nieskończenie drobnych wzniesiesz się nagle do wielkich, nieprzeliczonych globów na niebieskich sklepieniach, jeżeli zagłębisz się w drogach mlecznych, w tym pyłe nieprzeliczonych słońc, z których każde włada systematem globów większych niż Ziemia i Księżyc, umysł rozpada się pod brzemieniem takiego rachunku, ale dusza mu nie ulega i chlubi się, że ma swoje miejsce w tym dziele, że ma dość mocy, aby je zrozumieć, i dość uczucia, aby błogosławić i uwielbiać jego Stwórcę. O mój Boże, jakże godną modlitwą

jest przyroda dla tego, **któ** Cię w niej szuka, kto Cię w niej odkrywa pod wszystkimi postaciami i kto rozumie kilka zgłosek jej niemej mowy, co jednak powiada wszystko!

*Zatoka La Ciotat, 14 lipca wieczorem.*

Wiatr ustał i nic nie zwiastuje jego powrotu. Na powierzchni zatoki nie widać nawet jednej zmarszczki; morze jest tak gładkie, że tu i ówdzie dostrzec można, jak komary, unoszące się nad tym zwierciadłem, dotykają go przezroczystymi skrzydełkami, mącąc równomierny blask jego powierzchni. Oto więc jak bardzo może się uciszyć i złagodnieć ów żywioł, który dźwiga trójpokładowe statki, mimo ich ciężaru, żłobi brzegi długości wielu mil, znosi wzgórza, przerzyna skały, kruszy góry uderzeniem swoich ryczących fal. Tylko to, co jest silne, może być tak łagodne.

Schodzimy na ląd na prośby kapitana, który chce nam przedstawić swoją żonę i pokazać swój dom. Miasto jest podobne do pięknych miast Królestwa Neapolu na wybrzeżu nad zatoką Gaety. Wszystko tchnie radością, weselem, pogodą; życie w krainach Południa jest ciągłym świętem. Szczęśliwy, kto się urodził i umiera w słońcu! Szczęśliwy zwłaszcza ten, kto ma swój dom, dom i ogród swoich ojców, nad brzegami tego morza, którego każda fala jest iskrą rzucającą światło i blask na ziemię! Oprócz wysokich gór, których wierzchołki i widnokregi jaśniejają blaskiem śniegów je okrywających, i nieba, w którym się zanurzają, nigdy żadne okolice wewnątrz kraju, chociaż wzgórza, drzewa i rzeki nadają im wyraz wesoły i pełen uroku, nie mogą pod względem urody równać się z okolicami położonymi nad brzegiem południowych mórz. Morze jest dla krajobrazu tym, czym oko dla pięknego oblicza; oświeca je, opromienia, udziela mu tego wyrazu, który nadaje mu życie, mowę, urok przykuwający wzrok, co się w nie wpatruje.

*Tegoż dnia.*

Zapadła noc czy raczej to, co nazywają nocą w tych okolicach. Ileż widziałem dni mniej od niej jasnych na aksamitnych zboczach wzgórz Richmond w Anglii, podczas mgły nad Tamizą, Sekwaną, Saoną lub Jeziorem Genewskim! Okrągły księżyc wschodzi nad horyzontem; nie oświeca jeszcze naszego czarnego brygu, który stoi nieruchomo w pewnej odległości od brzegu. Księżyc wschodzi coraz wyżej, zostawiając za sobą jak gdyby smugę czerwonego piasku, który zdawał się rozsypywać na po-

łowie nieba; reszta jest niebieska i bieleje, w miarę jak księżyc się zbliża. Na dwumilowym prawie widnokregu, między dwiema wysepkami, z których jedną pokrywają skały wysokie i żółte jak Koloseum w Rzymie, a druga ma barwę fioletowych kwiatów bzu, widać na morzu złudny obraz jakiegoś wielkiego miasta, co zwodzi oko: oto błyszczące kopuły, pałace o olśniewających fasadach, długie nadbrzeża, zalane łagodnym i spokojnym światłem; z lewej i prawej strony bieleją fale i zdają się je otaczać; można by rzec, że to Wenecja lub Malta zasypiająca pośród, fal. Nie jest to ani wyspa, ani miasto, lecz odbicie księżycy w punkcie, gdzie blask jego tarczy pada prostopadle na morze; bliżej nas odbicie to rozszerza się, przedłuża i toczy złotą i srebrną rzekę między dwoma błękitnymi brzegami. Na lewo od nas aż do wysokiego przylądka ciągnie się długi, ciemny łańcuch nierównych, zębatych wzgórz otaczających zatokę; na prawo w wąskiej, zamkniętej dolinie w cieniu kilku drzew syczy się czyste źródło; dalej nieco wyższy pagórek, aż do wierzchołka okryty drzewami oliwnymi; od szczytu tego pagórka aż do morza szare wieże, białe domki, przerywając gdzieś tam ciemność oliwnych drzew, wabią oko i myśl ku siedzibom człowieka. Jeszcze dalej, w samym końcu zatoki, wyrastają wprost z morza trzy wielkie skały o dziwacznych kształtach, krągłe jak kamienie wygładzone falami i burzą; te kamienie to góry: olbrzymie igraszki pierwotnego oceanu, którego morza są z pewnością tylko słabym wyobrażeniem.

15 lipca.

Odwiedziliśmy dom kapitana naszego brygu. Mieszkanie ładne, skromne, lecz ozdobne; powitała nas młoda kobieta, stroskana i smutna z powodu nagłego wyjazdu męża. Ofiarowałem jej miejsce na statku, prosząc, aby nam towarzyszyła w podróży, która miała trwać dłużej niż zwykły rejs statku handlowego. Stan zdrowia nie pozwalał jej na to; sama więc, bez rodziny, cierpiąca, będzie liczyć długie dni, a może i lata nieobecności męża. Na twarzy łagodnej i tkliwej malowała się melancholia jej przyszłości i osamotnionego serca. Dom przypominał jeden z domów flamandzkich; na ścianach wisiały wizerunki statków, którymi pan Blanc dowodził. Następnie kapitan zaprowadził nas do niedaleko stamtąd położonego domu wiejskiego, gdzie, choć jeszcze młody, przygotowywał sobie ustronie, do którego chciał później schronić się przed wiatrem i morzem. Z przyjemnością głądałem owo zabudowanie wiejskie, w którym ten człowiek już

wcześniej upatrywał dla siebie wytchnienie i szczęście na starość. Lubiłem zawsze oglądać siedziby i warunki domowe tych, z którymi miałem na tym świecie do czynienia. Stanowią one częśćkę tych ludzi, ich drugą jak gdyby twarz, która daje klucz do poznania ich charakteru i przyszłych losów.

Większość naszych majtków mieszka także w tych wioskach. Są to ludzie łagodni, pobożni, weseli, pracowici, którzy wiatrem, burzą i falami posługują się z tym samym spokojem i systematycznością jak nasi rolnicy z Saint-Point broną lub pługiem; rolnicy morza, spokojni i śpiewający jak mieszkańcy naszych dolin, którzy z pierwszym braskiem prowadzą pług po długich, omglonych niwach swoich pagórków.

*16 lipca.*

Przebudziwszy się wcześniej, usłyszałem tego rana na nieruchomym pokładzie głosy majtków wraz z pianem koguta, bekiem kozy i naszych owiec. Kilka głosów kobiet i dzieci uzupełniało złudzenie; mógłbym sądzić, że nocował w drewnianej izbie pod większą strzechą nad brzegiem Jeziora Zurychskiego albo Lucerneńskiego. Wyszedłem na pokład; były to dzieci kilku naszych majtków, które żony przyprowadziły do ojców. Ci sadzali je na działa, stawiali na balustradach, kładli w szalupę lub kołysali w hamaku z ową tkliwością w głosie i z tymi łzami w oczach, jakie tylko mogą być udziałem matek lub karmicie-lek. Dzielni ludzie z sercem spizowym przeciw niebezpieczeństwu, z sercem kobiety dla przedmiotów ich miłości; gwałtowni i łagodni jak żywioł, wśród którego pędzą swoje dni. Człowiek mający rodzinę, czy jest pasterzem, czy marynarzem, ma serce przejęte uczuciami dobroci i poczciwości. Miłość rodziny jest drugą duszą ludzkości; nowocześni prawodawcy trochę o tym zapomnieli, myślą tylko o narodach i o jednostkach, a zapominają o rodzinie, jedynym źródle ludów silnych, nieskażonych, świętym przybytku tradycji i obyczajów, gdzie wszystkie cnoty społeczne nabywają nowego hartu; w tym względzie prawodawstwo pozostało barbarzyńskie nawet po zaprowadzeniu chrześcijaństwa; prawodawstwo to odpycha człowieka od węzłów rodzinnych zamiast do nich nakłaniać. Połowię mężczyzn zabrania posiadania żony, dziecka, zagrody i pola; te dobrodziejstwa, powinno było nadać wszystkim, gdy stają się pełnoletni, a wzbronić ich tylko występny. Rodzina jest to społeczeństwo w miniaturze, ale społeczeństwo, gdzie prawa są naturalne, ponieważ są uczuciami. Wyzucie z rodziny mogłoby stanowić najwyższe po-

tępienie, najgorszą formę prawnego napiętnowania; byłaby to jedyna kara śmierci w prawodawstwie chrześcijańskim i ludzkim, śmierć krwawa już od wieków powinna być zniesiona.

*Lipiec, ciągle na kotwicy, wstrzymywani przeciwnym wiatrem.*

O miłą na zachód góry nad brzegiem są potrzaskane jakby uderzeniem maczugi; tu i ówdzie ogromne odłamy leżą u stóp gór albo pod błękitnymi czy zielonawymi falami morza, które je obmywa. Rozbija się tam bezustannie, a z fali, która o nie raz po raz uderza z głuchym łoskotem, wzbijają się jak gdyby języki białej piany, które liżą słone brzegi. Te zwalone na siebie odłamki gór, bo są zbyt wielkie, aby je można było nazwać skałami, leżą tu porozrzucane i potrzaskane, jedne na drugich, w takim nieładzie, że tworzą niezliczone wąskie zatoki, głębokie sklepienia, rozbrzmiewające echem groty, ciemne zagłębienia, i tylko dzieci z dwóch czy trzech pobliskich chat rybackich znają do nich drogę, a także ich zakola i wyjścia. Jedna z tych grot, do której wchodzi się pod niezbyt wysoko sklepionym przesłaniem <sup>19</sup> jakiegoś naturalnego mostu, utworzonego z olbrzymiej bryły granitu, daje przystęp do morza, a następnie przechodzi w wąską, mroczną dolinę, którą wypełnia woda morska, przezroczysta i gładka jak nieboskłon pogodnej nocy. Jest to znana rybakom zatoka, w której podczas burzy, kiedy dokoła groty morskie fale pienią się i ryczą, wstrząsając swoimi uderzeniami wysoki brzeg, najmniejsze łodzie są zupełnie bezpieczne; widać tu na powierzchni wody ledwo dostrzegalne, lekko pieniące się źródło. Morze, marszcząc się delikatnie, zachowuje tu ową piękną, żółtozieloną barwę, którą tak dokładnie rozróżniają malarze morskich krajobrazów, ale nigdy nie mogą należycie jej odtworzyć, oko bowiem widzi więcej, niż ręka zdoła naśladować.

Po obu stronach tej morskiej doliny, w zasięgu wzroku, wznoszą się dwie ściany skał prawie prostopadłych, ciemnych, jednolitej barwy, podobnej do odcienia żużlu w kilka chwil po opadnięciu na ruszt. Żadna roślina, żaden mech nie może znaleźć na nich szczeliny, aby się tu uwiesić i zakorzenieć, a potem rozrosnąć w owe sploty pnąców i kwiatów, które tak często widać, jak falują na ścianach skał Sabaudii, na wyżynach, na których tylko Bóg może oddychać ich wonią; nagie, proste, czarne, odpychają wzrok i stoją tu tylko po to, aby uchronić od morskich wiatrów wzgórze okryte winnicami i drzewami oliwnymi, które rosną pod ich osłoną. Przypominają ludzi, co wznoszą się ponad jakąś epokę czy naród i wystawieni na wszystkie przeciwności

## WSPOMNIENIA, WRAŻENIA, MYŚLI I KRAJOBRAZY

czasu oraz burze, są tarczą dla słabszych od nich i szczęśliwszych. W głębi zatoki morze rozszerza się nieco, płynie zygzakowato i w miarę jak odsłania się nad nim więcej nieba, przybiera barwę jaśniejszą, u kresu zaś zatoki rozciąga się gładka tafla wody, spoczywająca nieruchomo na łożu małych, fioletowych, drobno, na piasek, potłuczonych muszli. Jeżeli wysiądziesz z łodzi, która cię tu zaniósła, po lewej stronie, w głębi wąwozu, trafisz na źródło słodkiej, świeżej, czystej wody, a dalej, zwracając się w prawo, ujrzysz kamienistą, stromą, pełną Wybojów, ocienioną dzikimi drzewami figowymi i głogami ścieżkę dla kóz, która schodzi z uprawnych niw do tej morskiej samotni. Mało miejsc w mojej podróży tak mnie zajęło, tak nęciło swoim powabem. Właśnie ta doskonała mieszanina wdzięku i siły stanowi piękno doskonale zarówno w harmonii żywołów, jak istot ożywionych czy myślących. Są to owe tajemnicze zaślubiny ziemi i morza, przychwyconych, jeśli można się tak wyrazić, znienacka w swoim najtkliwszym i najsłynniejszym związku. Jest to obraz ciszy i najniebezpieczniejszej samotności obok niespokojnej, groźnej widowni burz, w bezpośredniej bliskości huczących fal. To jedno z tych licznych arcydzieł stworzenia, które Bóg rozsiał wszędzie, aby igrać jak gdyby sprzecznościami, ale które podobało Mu się najczęściej ukryć na nieprzystępnych wierzchołkach urwistych gór, w głębi nieprzebytych wąwozów, na najniebezpieczniejszych skałach oceanu, niby owe klejnoty, które przyroda rzadko odsłania podróżnym, poetom albo pustelnikom pośród ich pobożnych rozmyślań.

*14 lipca 1832.*

O dziesiątej powiał wiatr zachodni; o trzeciej podnosimy kotwicę; wkrótce za cały widnokrąg mieliśmy już tylko niebo i fale; lśniąca morze, łagodny, miarowy ruch brygu, szum wód tak regularny jak oddech człowieka. Tę regularność kolejno napływających fal i podmuchów wiatru w żaglach odnajdujemy w każdym ruchu, w każdym odgłosie natury: czyżby i ona miała oddychać? Tak, na pewno, przyroda oddycha, żyje, myśli, cierpi i cieszy się, czuje, wielbi swojego boskiego Stwórcę. On nie stworzył śmierci; oznaką wszystkich Jego dzieł jest życie.

*15 lipca, na pełnym morzu, ósma wieczorem.*

Widzieliśmy zapadające w morze ostatnie szczyty szarych gór na brzegach Francji i Włoch, potem wszystko pochłonęła cienka, granatowa linia widnokregu; kiedy znika znajomy horyzont, oko



przebiega przestrzeń i falujące pustkowie, które ją otacza, jak nieszczęśliwy, co kolejno utracił wszystko, do czego był przywiązany, do czego przywykł, i na próżno szuka spoczynku dla serca.

Niebo staje się wielkim, jedynym przedmiotem kontemplacji; potem spojrzenie pada znowu na ów niedościgły okiem punkt zatopiony w przestrzeni, na ów mały statek, który dla tych, co na nim płyną, stał się całym światem.

Najstarszy podoficer stoi przy sterze; twarz jego męska i obojętna, wzrok pewny i baczny, to zwrócony na szafkę z busolą, w której śledzi poruszenia igły magnetycznej; to na dziób statku, aby poprzez liny przedniego masztu badać, czy płynie w odpowiednim kierunku; prawą rękę wsparł na sterze i jednym poruszeniem daje odczuć swoją wolę całej ogromnej bryle statku; w tym człowieku wszystko świadczy o wadze jego czynności; los statku, życie trzydziestu osób spoczywają w jego silnej dłoni i są przedmiotem myśli, sprawiających, że zmarszczki kryją teraz jego szerokie czoło.

Na przodzie pokładu, na lśniących deskach jodłowych albo na linach okrętowych, zwiniętych w wielkie, u góry zwązające się kręgi, siedzą, stoją lub leżą majtkowie; jedni naprawiają stare żagle wielkimi żelaznymi igłami, niby młode dziewczęta haftujące swoje ślubne welony lub firanki dziewiczego łoża, inni, oparci o poręczę, patrzą, nie widząc ich, na pieniające się fale, jak my patrzymy na bruk drogi sto razy przebytej, i obojętnie puszczają na wiatr kłęby dymu z fajek z czerwonej glinki; ci nalewają wodę dla kur w długie korytka, tamci, mając garść siana w jednej ręce, podają je kozie, którą drugą ręką trzymają za rogi; inni bawią się z dwoma pięknymi barankami, które leżą w wysokiej szalupie, zawieszzone między masztami; te biedne zwierzęta niespokojnie unoszą głowy nad opierzenie łodzi, a widząc tylko kołyszącą się płaszczyznę, zbieloną pianą, beczą tęsknie za skałami i za suchym mchem swoich gór.

Na dziobie statku widnokretem tego pływającego świata jest ostro zakończona sztaba z poprzedzającym ją przednim masztem, pochylonym nad morzem; ten maszt wysuwa się przed statkiem niby długi jezior jakiegoś potwora morskiego. Kołysanie morza, prawie nie odczuwalne w punkcie ciężkości, pośrodku pokładu sprawia, że przód statku wykonuje powolne, szerokie ruchy wahadłowe. Raz zdaje się wskazywać drogę ku jakiejś gwiazdzie na firmamencie, kiedy indziej znów kierować statek w jakąś otchłań oceanu; bo kiedy się stoi na dziobie, morze zawsze zdaje się

przybierać i opadać, a ogrom i długość statku sprawiają, że to wrażenie, wywołane przez rozkołysane fale, zdaje się jeszcze bardziej potęgować.

Oddzieleni wielkim masztem od tej rodzajowej sceny morskiej, siedzieliśmy na ławkach dla wachty albo przechadzaliśmy się z oficerami po pokładzie, patrząc na zachód słońca i na wznoszące się fale.

Wśród tych wszystkich męskich, surowych, zamyślonych twarzy dziecko, z włosami rozpuszczonymi i spływającymi po białej sukience, z twarzą rumianą, szczęśliwą i wesołą, w słomianym marynarskim kapeluszu związanym pod brodą, bawi się z białym kotem kapitana lub z gromadką śpiących pod lawetą działa, wczoraj wybranych z gniazda piskląt morskich gołębi, którym kruszy chleb ze swojego podwieczorku.

Tymczasem kapitan, który trzymając w rękę chronometr morski i patrząc ku zachodowi, śledził w milczeniu tę właśnie sekundę, kiedy krąg słoneczny połową swojej tarczy zdaje się dotykać fal i pływać na nich chwilę, dopóki się całkiem nie zanurzy, zawołał głośno: „Panowie, do modlitwy!” Wszystkie rozmowy ustają, zabawy się kończą; majtkowie rzucają w morze zapalone cygara, zdejmują fezy z czerwonej wełny i trzymając je w rękach, klękają pomiędzy dwoma masztami. Najmłodszy z nich otwiera książkę do nabożeństwa i śpiewa *Ave, maris Stella* <sup>\*20</sup> i litanię głosem tkliwym, żalonym i poważnym, który zdawał się być natchniony wśród morza i tej niespokojnej melancholii ostatnich godzin dnia, kiedy wszystkie wspomnienia ziemi, chaty, domowego ogniska unoszą się z serc do myśli tych prostych ludzi. Ciemność nocy wkrótce osłoni fale i niebezpieczna jej pomroka aż do następnego świtu pochłonie drogę żeglarzy i życie tylu istot, dla których jedyną latarnią morską jest Opatrzność, a jedyną ucieczką Jej niewidzialna dłoń, utrzymująca ich pośród fal. Gdyby modlitwa nie zrodziła się wraz z przyjściem na świat człowieka, to pewno tu by ją stworzyli ci ludzie, co samotni ze swoimi myślami i słabościami stoją wobec otchłani nieba, w którym giną ich spojrzenia, i otchłani wód, od których dzieli ich tylko wątła deska, wobec huku oceanu, który warczy, świszczę, wyje, ryczy tysiącami głosów dzikich zwierząt, wobec wichrów, wydobywających z każdej liny jakiś przeraźliwy głos, i wobec zbliżającej się nocy, która powiększa wszystkie niebezpieczeństwa i pomnaża trwogę. Ale modlitwa nigdy nie była

\* Witaj, gwiazdo morza.

stworzona: zrodziła się z pierwszego westchnienia, z pierwszych radości, z pierwszej troski ludzkiego serca, a więc to człowiek zrodził się do modlitwy; wielbić Boga lub błagać Go było jedynym jego powołaniem tu na ziemi; wszystko inne ginie przed człowiekiem lub z nim razem; ale okrzyk chwały, uwielbienia lub miłości, który człowiek, idąc po tej ziemi, zasyła do swojego Stwórcy, nie ginie; wznosi się, brzmi z wieku w wiek w uchu Boga jak echo Jego własnego głosu, jak odbicie Jego wspaniałości; jest jedyną rzeczą na wskroś boską, którą człowiek może wydawać z siebie z radością i dumą, bo owa дума jest hołdem dla Tego, co sam tylko żywić ją może, dla Istoty Nieskończonej.

Zaledwie każdy z nas w milczeniu tymi lub podobnymi zajął się myślami, gdy z obróconej ku wschodowi burty statku rozległ się okrzyk Julii: „Pożar na morzu, jakiś statek się pali!” Biegniemy wszyscy zobaczyć ten daleki ogień na wodzie. W istocie, jakiś wielki, rozżarzony kawał węgla unosił się na wschodzie w najodleglejszym krańcu morskiego widnokregu, ale po chwili, gdy wzniósł się wyżej i zaokrąglił, poznaliśmy, że to był księżyc w pełni, opłomieniony mgłą niesioną zachodnim, wiatrem i wyłaniający się powoli z fal jak krąg rozpalonego żelaza, który kowal cęgami wydobywa z pieca i zawiesza nad wodą, co go ugasi. Z przeciwnej strony nieba tarcza słoneczna, która tylko co znikła, zostawiła na zachodzie jakby ławicę złotego piasku, podobną do wybrzeża jakiegoś nieznanego lądu. Spoglądaliśmy to w jedną, to w drugą stronę, podziwiając oba te wspaniałe widoki nieba. Z wolna gasły blaski tego podwójnego zmierzchu; tysiące gwiazd zrodziło się nad naszymi głowami, jak gdyby wskazywały drogę naszym masztom, które przesuwały się od jednej do drugiej; pierwsza straż nocna rozpoczęła służbę; zebrano z pokładu wszystko, co mogło przeszkadzać obrotom, a majtkowie, jeden po drugim, zbliżając się do kapitana, mówili: „Niech nas Bóg ma w swojej opiece!”

Jeszcze przez pewien czas przechadzałem się w milczeniu *na* pokładzie; potem zszedłem do mojej kajuty, w głębi serca składając dzięki Bogu, że mi pozwolił ujrzeć jeszcze jedną nieznaną postać stworzonej przez Niego natury. Mój Boże, mój Boże! Widzieć Twoje dzieło pod wszystkimi jego postaciami, podziwiać Twoją wielkość na górach i morzach, wielbić i błogosławić Twoje imię, którego żadne wyrazy objąć nie mogą, to właśnie jest życie! Pomnażaj je, aby pomnożyć miłość i uwielbienie w naszych sercach. Potem odwróć kartę i pozwól nam czytać w in-

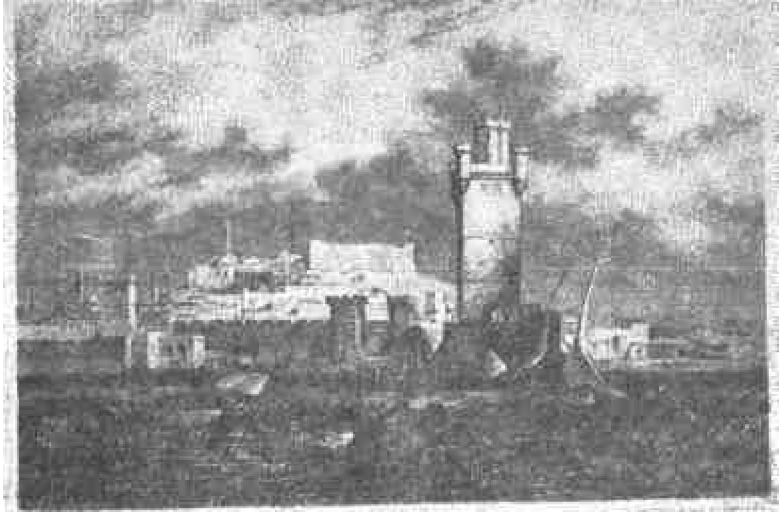
nym świecie niekończące się cuda z księgi Twojej wielkości i Twojej dobroci.

*16 lipca 1832, na pełnym morzu.*

Przez całą noc i cały dzień mieliśmy piękne, choć wzburzone morze. Wieczorem wiatr się wzmaga, fala narasta i zaczyna gwałtownie smagać boki brygu; lśniący księżyc leje strumienie jasnego, migotliwego blasku w szerokie, wodne wąwozy pomiędzy wysokimi falami. Te płynne poblaski księżycy są podobne do bystrych potoków, do kaskad śniegowych wód na dnie zielonych dolin Jury lub Szwajcarii. Statek cicho opada i unosi się, przebywając każdą z tych głębokich wyrw. Pierwszy raz w naszej podróży słyszymy żale, jęki drewna; za każdym uderzeniem fali boki brygu wydają odgłos, który można porównać tylko z ostatnim rykiem wołu uderzonego toporem i leżącego na boku w konwulsjach konania. Ten nocny łoskot zmieszany z rykiem stu tysięcy bałwanów, z olbrzymimi podrzutami statku, z trzaskiem masztów", ze *świstem* wiatru miotającego kurzawę piany morskiej, która z szumem opada na pokład, z pośpieszonymi, ciężkimi krokami ludzi trzymających wachłę, kiedy biegną do masztów, z rzadkimi, stanowczymi i krótkimi słowami komendy wypowiedzianymi przez oficera służbowego — wszystko to tworzy zespół dźwięków dobitnych i strasznych, które głębiej wstrząsają duszą człowieka niż huk dział na polu bitwy. Są to obrazy, których trzeba być świadkiem, aby poznać uciążliwą stronę życia marynarzy i ocenić własną wrażliwość duchową i fizyczną.

Tak noc cała przemija bez snu. Z brzaskiem- wiatr się nieco ucisza, fale już się nie rozbijają, zaś ich szczyt nie wieńczy się pianą; wszystko zapowiada piękny dzień; przez lśniącą mgłę widnokregu spostrzegamy wysokie, długie łańcuchy gór Sardynii. Kapitan obiecuje nam, że między tą wyspą i Sycylią morze będzie spokojne i gładkie jak jezioro. Płyniemy z szybkością ośmiu, czasem dziewięciu węzłów; piękne brzegi, ku którym unosi nas wiatr, z każdym kwadransem stają się coraz wyraźniejsze, zatoki wcinają się w ląd, przylądki wybiegają w morze, białe skały sterczą nad falami; na stokach wyspy już można rozpoznać domy i pola uprawne. W południe dopływamy do wejścia w Zatokę Świętego Piotra<sup>21</sup>, ale w chwili gdy mijamy otaczające ją skały, północny wiatr gwałtownym huraganem uderza w nasze żagle, a wzburzone nim, wysokie jeszcze z nocy fale piętrzą się w istne ruchome wzgórze; powierzchnia morza aż po

widnokrąg jest okryta pianą, statek to chwieje się na wierzchołkach fal, to znów opada prawie prostopadle w głębie, które je oddzielają jedne od drugich; na próżno usiłowaliśmy szukać schronienia w zatoce. Kiedy mijamy przylądek, aby wpłynąć do zatoki, wiatr wściekły i świszczący niby pęk strzał zrywa się z każdej doliny, z każdego zagłębienia wybrzeża i na bok obala bryg; zaledwie zdołano zwinąć żagle; zostawiliśmy tylko dolne, płynąc jak najbliżej kierunku, w którym wieje wiatr; kapitan sam biegnie do steru, a statek, jak wstrzymany silną dłonią rumak, któremu przykróćą cugli, zdaje się spinać po spienionej zatoce; fale od nachylonej burty strychu ją boki pokładu, a cały lewy aż po stępkę znajduje się ponad wodą. Tak płyniemy blisko dwadzieścia minut w nadziei, że zdołamy zawinąć do małej przystani Świętego Piotra; już widzimy winnice i białe domki na odległość strzału działowego, ale burza się wzmacza, wiatr uderza w nas jak kula; musimy ustąpić i zmienić kierunek właśnie pod najgwałtowniejszym porywem wichru. Powiodło się i tym samym obrotem, który nas wepchnął do zatoki, wypływamy z niej; znajdujemy się na pełnym, wzburzonym morzu. Po trudach nocy i dnia pragnęliśmy znaleźć jakieś schronienie przed nadejściem następnej nocy, która, jak się obawiamy, będzie jeszcze burzliwsza. Kapitan postanawia iść na wszystko, narazić się nawet na strzaskanie masztów, aby tylko znaleźć miejsce do zarzucenia kotwicy przy brzegach Sardynii. O kilka mil od miejsca, gdzie się znajdowaliśmy, zatoka Palma obiecywała nam także dogodne stanowisko. Aby wpłynąć do niej, walczymy z wciąż tak samo wściekłym wiatrem, który nas wygnał z Zatoki Świętego Piotra. Po dwugodzinnej walce zwyciężamy i jak ptak morski, co unosi się na skrzydłach, wpływamy w głąb pięknej zatoki Palma. Burza wcale nie ustawała; słyszymy o trzy mile za nami ustawiczny ryk pełnego morza. Wiatr bez przerwy świszczę w linach, ale w tej przestrzeni opasanej wysokimi górami wznosi tylko kłęby piany, którymi skrapla i ochładza pokład — na koniec zarzucamy kotwicę o trzy długości liny kotwicznej<sup>22</sup> od brzegów Sardynii, na dnie pokrytym wodorostami, na wodach spokojnych i zaledwie zmarszczonych. Kiedy żeglarz pracą i trudem uniknął burzy, nic dla niego nie może być miłsze niż odgłos odwijającego się wreszcie z kołowrotu łańcucha kotwicy, która go połączy z gościnnym wybrzeżem. Skoro tylko kotwica wbiła się w dno, napięte twarze marynarzy łagodnieją; widać, że ich myśli także odpoczywają; schodzą pod pomost, zmieniają przemokłą odzież i niebawem zjawiają się w odświeżonych strojach,



1. RODOS

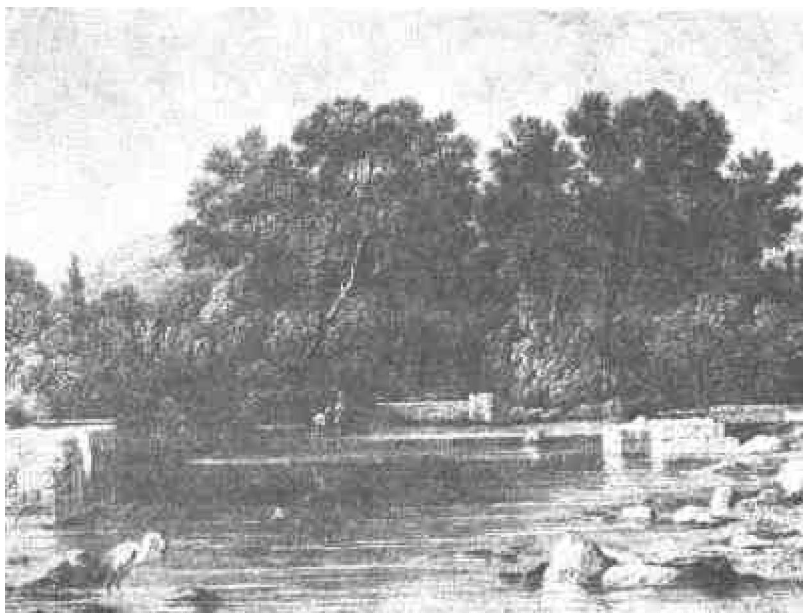


2. GÓRA TABOR



3. RUINY ASKALONU





4. SADZAWKA SILOE

wracając do spokojnych nawyków życia na lądzie. Bezczylni, weseli, rozmowni, z założonymi rękami siedzą na balustradzie pokładu lub w milczeniu palą fajki, obojętnie przypatrując się krajobrazowi i domom na wybrzeżu.

*17 lipca 1832.*

Stojąc na kotwicy w tej spokojnej przystani, po nocy wybornie spędzonej, jemy śniadanie na pokładzie pod osłoną żagla, który służy nam jako namiot; przed nami rozciąga się spiekle, ale malownicze wybrzeże Sardynii. Szalupa o dwóch działach odpływa od brzegu Wyspy Świętego Antiocha<sup>23</sup>, o dwie mile od nas odległej, i zdaje się ku nam przybliżać. Wkrótce lepiej mogliśmy ją rozeznąć; widzimy w niej majtków i żołnierzy; niebawem, podpłynawszy na odległość głosu, zadają nam pytania i każą zejść na ląd; naradzamy się, postanawiam towarzyszyć kapitanowi brygu. Bierzemy kilka strzelb i pistoletów, w razie gdyby nas chciano zatrzymać przemocą. Płyniemy małą łodzią żaglową. Zbliżywszy się do poprzedzającej nas sardyńskiej szalupy, schodzimy na piaszczyste wybrzeże w głębi zatoki. Wybrzeże to opasuje równinę nieuprawną i bagnistą. Biały piasek, wysokie osty, kilka kęp aloesu, gdzieniegdzie krzaki z bladoszarawą korą, z liśćmi podobnymi do cedrowych; stada dzikich koni, które pasą się swobodnie w tych zaroślach, mkną pędem w naszą stronę, aby przypatrzeć się nam i zwietrzyć, a potem rżąc odbiegają jak chmury kruków o milę od nas; góry szare, nagie, tylko na stokach gdzieniegdzie widnieją ślady karłowatej roślinności; niebo afrykańskie nad tymi spiekłymi od słońca szczytami; ogromna cisza na tych wszystkich polach; obraz opuszczenia i samotności, które są udziałem wszystkich równin z niezdrowym powietrzem w Romanii, Kalabrii lub wzdłuż Bagien Pontyjskich — oto cała sceneria; aktorami jej siedmiu czy ośmiu ludzi o pięknej twarzy, czole wyniosłym, oku śmiałym, srogim, na pół nagich, na pół odzianych strzępami mundurów, w jednej ręce długie karabiny, a w drugiej — żerdzie z trzciny do odebrania naszych listów lub podania tego, co nam zechcą zaproponować. Na ich pytania odpowiadam łamaną gwara neapolitańską; wymieniam kuku z ich współrodaków, z którymi w młodości łączyły przyjaźni, i oto ci ludzie, butni i rozkazujący, stają się grzeczni i uprzejmi: kupiłem od nich barana, którego oprawili na wybrzeżu. Piszemy; biorą nasze listy rozszczepionym końcem długiej żerdzi, krzeszą ogień, zrywają kilka zielonych gałązek z krze-

## WSPOMNIENIA, WRAŻENIA, MYŚLI I KRAJOBRAZY

wów, które rosną na wybrzeżu, rozpalają ognisko i przed wzięciem listów do ręki moczą je w wodzie morskiej i wykadzają dymem. Przynęśli, że wieczorem uwiadomią nas strzałem, abyśmy znów przypłynęli, jak tylko przygotują zapasy jarzyn i słodkiej wody. Potem wynieśli ze swojej łodzi ogromny kosz małży, frutti di mare, i ofiarowali go nam, nie chcąc przyjąć najmniejszego wynagrodzenia.

Wracamy na pokład. Miłe są godziny wytchnienia i uroczych rozmyślań spędzone na rufie statku stojącego na kotwicy w chwili, kiedy burza huczy jeszcze u krańców dwóch osłaniających nas przylądków i kiedy widzimy, jak spienione morze, wznosząc się na wysokość trzydziestu czy czterdziestu stóp, rozbija się o ich złociste brzegi.

*18 lipca 1832.*

Wyplynieśmy z zatoki Palma na morze gładkie i spokojne; lekki powiew wschodni, który zaledwie może osuszyć nocną rosę lśniąca na gałązkach drzew mastyksowych, jedynej zieleni tych już afrykańskich brzegów. Na pełnym morzu; dzień spokojny; łagodny podmuch pozwala nam przepływać sześć do siedmiu węzłów na godzinę; piękny wieczór; noc gwiazdzista; morze drzemie.

*19 lipca 1832.*

Budzimy się o prawie dwadzieścia pięć mil od brzegów Afryki. Odczytuję historię świętego Ludwika, aby sobie przypomnieć okoliczności jego śmierci na wybrzeżu Tunisu<sup>24</sup>, niedaleko przylądka Kartaginy, który dziś lub jutro powinniśmy zobaczyć.

W młodości nie wiedziałem, dlaczego niektóre narody przejmowały mnie jak gdyby wrodzoną odrazą, gdy tymczasem inne nęciły mnie, a ich historia mimo woli jakoś zawsze pociągała. Te znikome cienie przeszłości, te zgasłe wspomnienia narodów budziły we mnie z nieodpartą mocą to samo uczucie, jakiego doznaję, patrząc na twarze osób, z którymi przebywam lub koło których przechodzę. Za pierwszym spojrzeniem kocham lub nienawidzę w całym znaczeniu fizycznym tego słowa, w mgnieniu oka oceniam raz na zawsze kobietę lub mężczyznę. Względy rozumu, rozważagi, przymusu nawet, które nieraz przeciwstawiam tym pierwszym wrażeniom, nie zdołają ich pokonać. Kiedy stempel już nadał odcisk brązowej monecie, próżno ją obracać w palcach, trwa już na niej na zawsze; podobnie dzieje się z moją

duszą, podobnie z moim umysłem. Jest to cecha istot, których instynkt jest szybki, silny, raptowny, niewzruszony. Pytamy się: „Co to jest instynkt?“, i przyznajemy, że to najwyższy rozum, ale rozum wrodzony, rozum nie wyrozumowany, rozum taki, jaki wyszedł z rąk Boga, a nie taki, za jaki go człowiek uważa. Uderza nas jak błyskawica, a oko nie trzusi się nawet jego wyszukiwaniem. Oświeca wszystko za pierwszym rzutem. Natchnienie we wszystkich sztukach pięknych, jak na polu bitwy, jest również tym instynktem, tym rozumem wszechwiedzącym. Geniusz także jest instynktem, a nie rozumowaniem i trudem. Im więcej rozważamy, tym bardziej przekonywamy się, że to, co człowiek posiada pięknego, wielkiego, nie jest jego własnością, nie jest wynikiem jego siły i woli, lecz że to, co w nim jest najdoskonalej piękne, pochodzi bezpośrednio od natury i od Boga. Chrześcijaństwo, które wie wszystko, zrozumiało to od pierwszej chwili. Pierwsi apostołowie uczuli w sobie tę bezpośrednią działalność Bóstwa i natychmiast zawołali: „Każde dobro [...] i wszelki dar doskonały zstępują z góry od Ojca światła.”<sup>25</sup>

Wróćmy do ludów. Nigdy nie mogłem pokochać Rzymian; nigdy w moim sercu najmniejszego uczucia nie obudziła Kartagina mimo jej nieszczęść i chwały. Hannibal był zawsze w moich oczach kimś w rodzaju jakiegoś generała Kompanii Indyjskiej, prowadzącym na równinach trazymeńskich wojnę przemysłową, świętą i bohaterską wyprawę kupiecką.<sup>26</sup> Lud niewdzięczny, jak wszystkie ludy samolubne, nagrodził go za to wygnaniem i śmiercią. Śmierć jego była piękna, wzniosła<sup>27</sup> i ona tylko godziła mnie z jego zwycięstwami, wzruszała od pierwszych lat dziecińczych. Jak w całej ludzkości, tak i we mnie było zawsze poczucie owej szczytnej i bohaterskiej harmonii między największą sławą, największym geniuszem i największym nieszczęściem. Jest to jeden z tych akordów przeznaczenia, który zawsze sprawia wrażenie i budzi w sercu człowieka tęskne, rozkoszne echo. Ta tylko chwala budzi sympatię, wydaje się cnotą zupełną, z którą łączy się niewdzięczność, prześladowanie i śmierć. Mamy tego boski przykład w Chrystusie. Jego życie, jak Jego nauka, ukazując przeznaczenie człowieka Bożego, wyjaśnia nam tajemniczą zagadkę przeznaczenia ludzi wielkich.

Później dopiero zrozumiałem, że skryty powód mojej sympatii lub odrazy do pamięci niektórych ludów tkwi w naturze ich ustaw i czynów. Ludy Fenicji, Tyru, Sydonu, Kartaginy stanowiły rodzaj towarzystw handlowych, uprawiających ziemię tylko dla zysku, dla których miarą wielkości przedsięwzięć była uży-

teczność materialna i bezpośrednia; wobec tych ludów jestem jak Dante, spoglądam na nie i omijam:

Non ragonar di lor, ma guarda e passa! \*<sup>28</sup>

Dosyć o nich. Ludy te miały bogactwa i powodzenie, oto wszystko. Pracowały tylko dla swojego czasu; przyszłość nie ma się nimi co zajmować. Recepterunt mercedem.\*<sup>29</sup>

Ale ludy mało troszczące się o terażniejszość, której czuły znikomośc przez szczytne przeczucie nieśmiertelności, przez nienasycone pragnienie przyszłych wieków, przeniosły myśl narodową nad swoją terażniejszość i poczucie ludzkości nad obfitość, bogactwo i użytek materialny, te ludy, które strawiły pokolenia i wieki, aby zostawić piękny i niezatarty ślad swojego przejścia, te szlachetne ludy bez widoków osobistych, które roztrząsały wszystkie wielkie i ważne idee ducha ludzkiego, aby z nich utworzyć mądrość, prawodawstwo, wiary, sztuki i systemy, te ludy, które dźwignęły bryły marmuru i granitu, stawiając z nich obeliski i piramidy, będące śmiałym wyzwaniem czasu, niemym głosem, którym wiecznie będą przemawiać do dusz wielkich i wspaniałych, te ludy poetyckie, jak Egipcjanie, Żydzi, mieszkańcy Indii i Grecji, które wyidealizowały politykę i w swym istnieniu dały przewagę pierwiastkowi boskiemu, duszy, nad pierwiastkiem ludzkim, użytecznością, te ludy są przedmiotem mojej miłości i uwielbienia. Szukam ich śladów, oddaję im cześć, czczę ich wspomnienia, ich dzieła pisane, ich budowle, ich rzeźby; żyję ich życiem, jak widz przejęty i stronniczy uczestniczę w ich wzruszających lub bohaterskich losach i z ochotą przebywam morze, aby kilka dni pomarzyć na ich popiołach i zmówić za nie modlitwę; te ludy dobrze się zasłużyły ludziom, bo wzniosły swoje myśli nad błoto tej ziemi, nad znikomośc dnia. Czuły się stworzone do szlachetniejszych, większych przeznaczeń, a nie mogąc same sobie nadać nieśmiertelności, która jest marzeniem każdej duszy szlachetnej i wielkiej, powiedziały do swoich dzieł: „Unieśmiertelnijcie nas, trwajcie za nas, przemawiajcie o nas do tych, co przebywać będą pustynie lub płynąć po wodach Morza Jońskiego, około przylądków Sigejon lub Sunion, gdzie Platon opiewał mądrość<sup>30</sup>, która będzie jeszcze mądrością w przyszłości,”

\* Nie mówmy o nich; popatrz i idź dalej.

\* Otrzymały już nagrodę.

Takimi byłem zajęty myślami, słuchając, jak dziób statku, na którym siedziałem, pruje wody afrykańskiego morza, i spoglądając co chwila, czy pod różową mgłą widnokregu nie dojrzę przylądka Kartaginy.

Powiew ucichł, morze się uspokoiło, przez cały dzień na próżno wyglądałem z dala zamglonych wybrzeży Afryki; wieczorem zerwał się silny wichur; statek miotany z boku na bok, przygniatany żaglami podobnymi do przestrzelonych ołowiem skrzydeł morskiego ptaka, wstrząsał nami z owym okropnym trzaskiem walącej się budowli; noc spędzam na pokładzie, trzymając się silnie liny; z białawych chmur, które jak ogromna góra cisną się w głębokiej Zatoce Tunetańskiej, wypadają błyskawice i daleki łoskot piorunów. Ukazuje mi się Afryka, jaką sobie zawsze wyobrażałem, jej brzegi rozdziera ogień niebieski, a spiekłe szczyty giną w chmurach. W miarę jak się zbliżamy, gdy przylądek Bizerty, a potem Kartaginy wychylają się z mroku i zdają się wychodzić na nasze spotkanie, pamięć podaje mi wszystkie wielkie obrazy, wszystkie imiona legendarne lub bohaterskie, które rozbrzmiewały na tych wybrzeżach, i przypomina wszystkie poetyczne lub historyczne wydarzenia, których te okolice kolejno były widownią. Wergiliusz, podobnie jak wszyscy poeci, którzy chcą poprawiać prawdę, historię i przyrodę, zepsuł raczej, niż upiększył wizerunek Dydony. Historyczna Dydo, wdowa po Sicheosie, wierna ceniom swojego pierwszego małżonka, każe wznieść stos na przylądku Kartaginy i wstępuje nań jako wzniosła, dobrowolna ofiara nieskażonej miłości i wiary aż do śmierci. To jest jednak piękniejsze, świętsze, szczytniejsze niż przypisane jej przez rzymskiego poetę zimne intrygi z jego śmiesznym i pobożnym Eneaszem, którego rozpacz miłosna nie może obudzić współczucia w czytelniku.<sup>31</sup>

Lecz Anna soror \*, wspaniałe pożegnanie i nieśmiertelne przekleństwo<sup>32</sup> zyskają zawsze przebaczenie dla Wergiliusza.

Historia Kartaginy jest poetyczniejsza niż jej poezja. Zgon niebiański i pogrzeb świętego Ludwika; niewidomy Belizariusz; Mariusz na zwaliskach Kartaginy niczym zwierz dziki pokutujący między dzikimi zwierzętami za zbrodnie Rzymu; dzień bolesny, kiedy Kartagina, podobna do skorpionia opasanego ogniem, który przebija się swoim zatrutym żądłem, otoczona przez Scypiona i Masynisę, sama niszczy ogniem swoje budowle i bogactwa; żona Hasdrubala, zamknięta z dziećmi w świątyni Jowisza, wyrzu-

\* Siostra Anna

cająca mężowi, że nie umiał umrzeć, i sama, aby tylko popioły zostawić Rzymianom, rozniecająca pochodnią ogień, który pochłonie ją i dzieci, i to wszystko, co pozostało z jej ojczyzny; Katon z Utyki, dwaj Scypionowie, Hannibal<sup>33</sup> — wszystkie te wielkie imiona wznoszą się jeszcze na opustoszałym przylądku jak kolumny przed obaloną świątynią. Oko widzi tylko nagie wzgórze nad pustym morzem, kilka wodozbiorów próżnych lub wypełnionych własnymi gruzami, kilka zrujnowanych akweduktów, kilka tam zburzonych i pokrytych falami; tuż przy nich miasto barbarzyńskie, gdzie nawet nie znają tych imion, jak imion ludzi, którzy zbyt długo żyją i stają się obcymi we własnej krainie. Lecz przeszłość wystarcza tam, gdzie jaśniej tylko blasku wspomnień. Nie wiem nawet, czy nie z większym upodobaniem widzę Kartaginę opustoszałą, poniechaną wśród gruzów, niż gdybym ją widział zelżoną i niepokojoną wrzawą i tłumem nowych pokoleń? Ruiny i grobowce mają taką samą właściwość: wśród zgiełku wielkiego miasta i błota naszych ulic trapią i zasmucają oko, rzucają cień na całe to hałaśliwe i niespokojne życie, ale w samotności nad morzem, na opuszczonym wybrzeżu, na opustoszałym brzegu, trzy kamienie, żółcone wiekami i strzaskane piorunem, każą rozważać, rozmyślać, marzyć lub płakać.

Samotność i śmierć, samotność i przeszłość, która jest śmiercią rzeczy, jednoczą się nieodparcie w myśli człowieka. Ich zgodność jest tajemniczą harmonią; nagi przylądek Kartaginy, melancholijny przylądek Sunion, puste i niezdrowe brzegi Paestum lepiej się według mnie nadają jako sceneria czasów minionych niż świątynie, łuki, kolizea umarłego Rzymu, deptane w Rzymie żyjącym ze zwykłą obojętnością lub obelżywą niepomnością.

*20 lipca 1832.*

O dziesiątej wiatr ucichł, możemy wyjść na pokład i płynąc siedem węzłów na godzinę, wkrótce znajdujemy się na wysokości samotnej wyspy Pantelleria, niegdyś wyspy Kalipso, jeszcze pełnej powabów dzięki afrykańskiej roślinności i układowi dolin i wód. Tam to kolejni cesarze wysyłali na wygnanie przestępców politycznych.

Wyspa ta ukazuje nam się tylko jako czarny stożek wystający z morza, w dwóch trzecich, poczynając od szczytu, spowita białawą mgłą, którą na nią zarzucił wiatr nocny. Żaden statek nie może się do niej zbliżyć, jest tu bowiem przystań tylko dla łodzi zwożących wygnańców z Neapolu i Sycylii, którzy dogasają

tu od dziesięciu lat, pokutując za przedwczesne marzenia o wolności.<sup>34</sup>

Biada ludziom, którzy w czymkolwiek wyprzedzają swój czas: ich czas musi ich zniszczyć. Oto jest nasz los we Francji, ludzi bezstronnych, rozumujących politycznie, racjonalnie. Francja jest jeszcze o półtora wieku wstecz od naszych wyobrażeń. Chce we wszystkim ludzi i myśli związanych z sektami i stronnictwami: cóż ją obchodzi uczucie patriotyzmu i rozum! Jej ciemnota potrzebuje nienawiści, zawziętości, prześladowania. Będzie je miała aż do chwili, kiedy raniona śmiertelną bronią, którą koniecznie chce się posługiwać, upadnie lub odrzuci tę broń daleko od siebie, aby się zwrócić ku jedynej nadziei wszystkich ulepszeń politycznych: ku Bogu — Jego prawu, i ku rozumowi — Jego prawu przyrodzonemu.

*21 lipca 1832.*

Kiedy się przebudziłem, morze po burzliwej nocy igrało jak gdyby z resztą wczorajszego wiatru; piana jeszcze je okrywa i bieli niby boki długim biegiem strudzonego konia, które nie całkiem otarto, lub konia, co potrząsa wędzidłem, gdy niecierpliwie pragnąc nowego biegu, opuszcza lub podrzuca głowę. Fale płyną prędko, bezładnie, lekkie, płytkie, przezroczyście; morze jest podobne do niwy pokrytej pięknym owsem, która po ulewnej nocy kołysze się, poruszona powiewem wiosennego ranka. Wyspy Gozo i Malta wychylają się zza mgły o pięć lub sześć mil na widnokręgu.

*22 lipca 1832, przybycie do Malty.*

W miarę jak zbliżamy się do Malty, niskie wybrzeże wznosi się i uwydatnia, ale widok jest smutny, posępny; wkrótce sporstrzegamy obwarowania i zatoki tworzące przystanie; rój małych łodzi, każda z dwoma wiosłarzami; wypływa z tych zatok i zbliża się do dziobu naszego statku: morze jest wzburzone, toteż fala pogrąża je czasami w głęboką bruzdę, którą żłobimy; morze już zdaje się je pochłaniać, znów je wynosi, i łodzie płyną naszym śladem, tańczą na falach tuż u boków statku, a wiosłarze rzucają nam liny, aby nas wciągnąć do przystani.

Piloci zapowiadają nam dziesięciodniową kwarantannę i wiodą do oddzielnej przystani pod wysokimi obwarowaniami La Valletty. Konsul francuski, pan Miége, zawiadamia o naszym przybyciu gubernatora, sir Fryderyka Ponsonby, który poleca zebrać



się radzie zdrowia i skraca naszą kwarantannę do trzech dni.

Otrzymujemy przywilej wieczornej przejażdżki łodzią po kanałach wiodących do przystani kwarantannowej. Niedziela. Pałające słońce zaszło w głębi małej, spokojnej zatoki, za dziobem naszego okrętu; morze jest tu gładkie, lśniąco, z lekka ołowiane, zupełnie podobne do świeżo wylanej cyny. Niebo nad morzem jest pomarańczowe, o lekkim odcieniu bladoróżowym. Zmienia barwę, im bardziej się wznosi ponad nami i oddala od zachodu; na wschodzie, szaroniebieskawe i blade, nie przypomina już lśniącego błękitu Zatoki Neapolitańskiej ani nawet czarnej głębi firmamentu nad Alpami Sabaudzkimi. Barwa nieba afrykańskiego powstaje z rozpalonego powietrza i z szorstkiej surowości tego ładu; nagie góry, odbijając promienie słońca, rzucają na niebo skwar i suszę, a rozżarzony pył wyschłego piasku pustyni zdaje się mieszać z otaczającym go powietrzem i zaćmiewać firmament.

Wioślarze powoli podpływają z nami ku brzegowi. Wybrzeże niskie i gładkie, ledwie na kilka cali wznoszące się nad morzem, jest zabudowane półmilowym rzędem domów stykających się ze sobą, które jak gdyby podeszły jak najbliżej ku morzu, aby oddychać jego świeżością i słuchać jego szumu. Oto jeden z tych domów i jedna z tych scen, które powtarzają się w każdych drzwiach, na każdym tarasie, na każdym ganku. Mnożąc tę scenę i ten widok przez pięćset lub sześćset podobnych domów, można utrwalić w pamięci wspomnienie tego krajobrazu, jedyne w swoim rodzaju dla Europejczyka, który nie widział ani Sewilli, ani Kordoby, ani Grenady; wspomnienie to należy zapamiętać w całości i ze szczegółami obyczajów, aby móc je kiedyś odnaleźć w pośpnej i zamglonej jednostajności naszych miast Zachodu. Te wspomnienia, ożywione w pamięci w czasie dni i miesięcy śniegów, mgły i deszczu u nas, są jakby przelotnym prześwitem pogodnego nieba podczas długiej burzy. Trochę słońca dla oka, nieco miłości dla serca, promień wiary lub prawdy dla duszy, wszystko to rzecz jednaka. Nie mogę żyć bez tych trzech pociech ziemskiego wygnania. Moje oczy pragną Wschodu, moja dusza jest miłością, a mój umysł należy do tych umysłów, co mają w sobie instynkt światła, mimowolne poczucie rzeczywistości, której nie trzeba dowodzić, lecz która nie zawodzi i pociesza. Oto więc ów krajobraz:

Złotawe światło, łagodne i spokojne jak to, którym jaśnieją oczy i rysy młodej dziewczyny, nim miłość wyłobi jej na czole pierwszą zmarszczkę i cieniem powlecze spojrzenie. To świa-

*tło*, równomiernie rozlane na wodzie, ziemi, niebie, pada na biały i żółty kamień domów i uwydatnia na błękitnym widnokregu wszystkie zarysy gzymsów, wszystkie narożniki, wszystkie balustrady tarasów, wszystkie rzeźby balkonów w owym drżącym powietrzu, w owym falowaniu niepewnym i mglistym, z których Zachód, nie mogąc usunąć tej wady swojego klimatu, stworzył piękno swojej sztuki. Ta właściwość powietrza, ta biała, żółta, złocista barwa kamienia, ta jędrność zarysów nadaje najmniejszej budowli Południa moc i wyrazistość, które uspokajają i mile zajmują wzrok. Każdy dom wydaje się jakby nie zbudowany z kamieni przy pomocy wapna i piasku, lecz wyrzeźbiony w żywej skale i osadzony w ziemi jak bryła wykuta z jej łona i tak jak ona trwały. Dwie wielkie, misterne kolumny wznoszą się po obu stronach frontu, sięgając tylko do półtora piętra; tam gzyms wytworny, rżnięty w błyszczącym kamieniu, wieńczy je i służy za podstawę bogatej, masywnej balustradzie, co ciągnie się wzdłuż szczytu i zastępuje owe dachy płaskie, nieregularne, spiczaste i dziwaczne, hańbiące wszelkie budownictwo, niweczące całą linię harmonizującą z widnokregiem w zbiorowiskach cudacznych gmachów, które w Niemczech, w Anglii i Francji nazywamy miastami. Między tymi dwiema wielkimi kolumnami, kilka cali wystających z fasady, budowniczy naznaczył tylko trzy otwory: jedno drzwi i dwoje okien. Drzwi, wysokie, szerokie, sklepienie, nie mają progu od ulicy; otwierają się na występ<sup>3</sup>, zewnętrzny, który na siedem lub osiem stóp wychodzi na ulicę nadbrzeżną. Ten występ, otoczony balustradą z rzeźbionego kamienia, służy Jako salon zewnętrzny i jako wejście do domu. Opiszmy jakkolwiek z nich, a opiszemy wszystkie. Jeden lub dwóch mężczyzn w białym kaftanie, z czarnym obliczem, z okiem afrykańskim, z długim cybuchem w rękę, leży przed drzwiami niedbale rozciągniętych na macie z sitowia; przed nimi trzy młode kobiety z wdziękiem oparte o balustradę, w rozmaitych postawach, spoglądają w milczeniu na płynącą naszą łódkę lub uśmiechają się na widok naszej cudzoziemskiej powierzchowności. Suknia czarna, sięgająca do pół łydki, kaftanik biały z szerokimi fałdzistymi rękawami, włosy czarne, a na nich i na ramionach półpłaszczek czarny jedwabny, podobny do sukni, zakrywa pół twarzy, jedno ramię i rękę, która go przytrzymuje; ów płaszczek z lekkiej materii wzdęty powiewem wiatru przypomina żagiel, a jego kapryśne fałdy to zasłaniają, to ukazują tajemniczą twarz, która jak gdyby chętnie wymyka się spod tej osłony. Jedne wznoszą powabne głowy, rozmawiając z innymi młodymi

dziewczętami, które wychylają się z wyższego balkonu i rzucają im granaty lub pomarańcze, inne znów rozmawiają z młodymi mężczyznami o długich wąsach, czarnych i gęstych włosach, mającymi na sobie kaftany krótkie i wcięte, pantalony białe, pasy czerwone. Dwaj młodzi duchowni w sukniach czarnych, w trzewikach ze srebrnymi sprzączkami, siedząc na balustradzie balkonu, rozmawiają poufale i chłodzą się zielonymi szerokimi wachlarzami, gdy tymczasem na dole, przy wejściu na schody, okazały mnich kwestarz, boso, z czołem bladym, głową białą, łysą i odsłoniętą, odziany w ciężką, fałdzistą brunatną sutannę, stoi jak posąg Jałmużnictwa u progu człowieka opływającego w dostatki i wszelką pomyślność i okiem obojętnym, oderwanym od spraw tego świata, spogląda na ów widok szczęścia, bogactwa i radości. Na najwyższym piętrze, na rozległym balkonie wspartym na pięknych kariatydach i krytym indyjską werandą ozdobioną firankami i frędzlami, siedzi rodzina Anglików, tych szczęśliwych i obojętnych na wszystko zdobywców Malty terazniejszej. Tam kilka mamek mauretańskich z lśniącymi oczyma, z cerą szarawą i czarną, trzyma w objęciach owo piękne potomstwo Wielkiej Brytanii; ich jasne kędzierzawe włosy oraz rumiana i biała cera opierają się równie skutecznie słońcu Kalkuty, jak Malty lub Korfu. Patrząc na te dzieci pod czarnym płaszczem i pod ognistym spojrzeniem owych kobiet afrykańskich, można by powiedzieć, że są to piękne, białe jagnięta u łona tygrysic pustyni. Na tarasie znów inny widok: tworzą go Anglicy i Maltańczycy. Z jednej strony kilka młodych dziewcząt maltańskich, które, trzymając gitary, nucą jakąś starą piosnkę narodową, surową jak tutejszy klimat; z drugiej strony młoda, piękna Angielka, melancholijnie oparta na łokciu, spogląda na sceny życia przesuwające się przed jej oczyma i przewraca stronicę książek sławnych poetów swojego kraju.

Do tego widoku należy dodać konie arabskie o rozpuszczonych grzywach, gdy pędzą po piaskach wybrzeża, niosąc w siodłach angielskich oficerów, powozy maltańskie, rodzaj dwukolnych lektyk, zaprzężonych w jednego konia berberyjskiego, za którym pieszo biegnie co sił woźnica przewiązany czerwonym pasem o długich frędzlach, z czołem okrytym siatką lub czapką czerwoną, której zasłona sięga do pasa, jak u mulników hiszpańskich, przeraźliwe krzyki nagich dzieci, które rzucają się w morze i płyną obok naszej łodzi, śpiewy Greków lub Sycylijczyków, którzy w pobliskiej przystani zarzucili kotwicę i odpowiadają sobie chóralnie z jednego pokładu na drugi, a wreszcie jednostajne, lecz

skocane dźwięki gitary, tworzące jak gdyby łagodny **szmer** wieczornego powietrza, wyższy od tych wszystkich ostrych głosów — oto jak wygląda nadbrzeże Misida w niedzielny wieczór.

*24 lipca 1832.*

Pozwolenie wplynięcia do portu La Vallette; gubernator sir Fryderyk Ponsonby, powróciwszy ze swojego letniego mieszkania, przyjmuje nas o drugiej po południu w pałacu wielkiego mistrza. Wspaniała postać rzetelnego Anglika; uczciwość jest cechą tych męskich twarzy; wzniosłość, powaga i szlachetność, ote typ prawdziwie wielkiego pana angielskiego. Podziwiamy pałac, jego wspaniałą i pogodną prostotę, piękno całości i brak czczych ozdób zewnętrznych i wewnętrznych, sale obszerne, długie galerie, malowidła oszczędne, schody szerokie, łagodne, rozbrzmiewające odgłosem kroków, zbrojownię długości dwustu stóp, mieszczącą wszystkie zbroje ze wszystkich okresów historii zakonu Świętego Jana Jerozolimskiego<sup>36</sup>. Biblioteka składa się z dziesięciu tysięcy tomów; przyjął nas jej dyrektor, opat Bollanti, młody duchowny maltański, zupełnie podobny do rzymskich opatów dawnej szkoły: oko przenikliwe i spokojne, usta wyrażające rozwagę, uśmiechnięte, czoło blade, wydatne, sposób mówienia uprzejmy i dźwięczny, grzeczność prosta, naturalna i dowcipna.<sup>37</sup> Rozmawiamy długo, jest to bowiem jeden z tych ludzi, którzy szczególnie nadają się do długiej, poważnej i gruntownej rozmowy. Jak wszyscy wybitni duchowni, których spotykałem we Włoszech, ma w sobie jakiś odcień smutku, obojętności i rezygnacji, odziedziczony po szlachetnej i pełnej godności władzy, co utraciła swoją moc. Wychowani pośród ruin, w zwaliskach starożytnego gmachu, który się rozpadł, poddali się jego melancholii i przestali troszczyć się o teraźniejszość. „Powiedz mi, księżu — zapytałem go — jak możesz znieść to umysłowe wygnanie, to odosobnienie w tym pustym pałacu, pośród pyłu książek?” — „Prawda — odpowiedział — żyję sam i smutny; widnokrąg tej wyspy jest bardzo wąski; rozgłos, jaki bym mógł tu zyskać moimi pracami, niedaleko by się rozszedł, a nawet rozgłos, jaki zyskali inni, zaledwie tu się odbija; ale moja dusza widzi w dali widnokrąg szerszy i rozleglejszy, do którego moja myśl wznosi się z radością; mamy piękne niebo nad głową, powietrze ciepłe dokoła, morze ogromne i niebieskie przed oczyma: to dosyć dla istnienia zmysłowego, a istnienie umysłowe osiąga wyżyny w milczeniu i samotności. Tym sposobem istnienie to wznosi się na nowo do źródła, z którego wypłynęło: do Boga, nie błędząc, nie

psując się przez zetknięcie się z rzeczami i troskami tego świata. Kiedy święty Paweł, spiesząc opowiadać narodom słowo Chrystusa, po rozbiciu okrętu u brzegów Malty pozostał tu trzy miesiące i siał ziarna gorczycy<sup>38</sup>, nie uskarżał się ani na rozbicie, ani na wygnanie, które tej wyspie wcześniej pozwoliło poznać słowo i ducha Bożego; miałbym się więc uzalać ja, zrodzony na tych nieurodzajnych skałach, że mnie Stwórca tu postawił, abym dbał o zachowanie Jego prawdy chrześcijańskiej w sercach, w których tyle prawd już dogorywa? To życie ma swoją poezję — dodał. — Jak ukończę porządkowanie i katalogowanie książek, może opiszę także tę poezję samotności i modlitwy." Rozstałem się z nim z żalem i z pragnieniem, aby zobaczył go raz jeszcze.

Kościół Świętego Jana, katedra wyspy, ma całą powagę, jakiej można spodziewać się po takiej budowli w takim właśnie miejscu: wielkość, okazałość, przepych; klucze z Rodos, zabrane przez rycerzy po ich klęsce, wiszą po obu stronach ołtarza jako godło ustawicznego żalu lub zawiedzionych na zawsze nadziei.<sup>39</sup> Sklepienie przepyszne, całe pędzla sławnego Calabrese; dzieło godne nowoczesnego Rzymu w najpiękniejszych dniach jego malarstwa.<sup>40</sup>

Jeden obraz zajął mnie szczególniej w Kaplicy Wyborów; jest to dzieło Michała Anioła da Caravaggio, którego ówcześni kawalerowie maltańscy wezwali na wyspę, aby wymalował sklepienia w katedrze Świętego Jana. Przyjął tę pracę, ale gwałtowność i drażliwość jego charakteru przemogły; zląkł się długiej roboty i wyjechał. Został na Malcie swoje arcydzieło, *Ścięcie świętego Jana Chrzyciela*.<sup>\*41</sup> Gdyby nasi tegocześni malarze, szukający romantyzmu w układzie, zamiast go szukać w przyrodzie, zobaczyli ten wspaniały obraz, przekonaliby się, że ich mniemany wynalazek znano już przed nimi. Tu mamy owoc zrodzony na drzewie, a nie owoc sztuczny, odcisnięty z wosku i odziany fałszywymi barwami; malowniczość postaci, moc obrazu, głębię uczucia, prawdę połączoną z godnością, siłę kontrastu, a przy tym jedność i harmonię, zgrozę i piękno — wszystko razem, oto ów obraz, jeden z najpiękniejszych, jakie widziałem w życiu. To obraz, jakiego szukają malarze terażniejszej szkoły. Już znaleziony. Niech nie szukają dłużej. Nie ma więc nic nowego w przyrodzie i w sztukach pięknych. Wszystko, co robią obecnie, już zrobiono; wszystko, co mówią, już powiedziano; wszystko, o czym marzą, już było przedmiotem marzeń. Każdy wiek naśladuje i powtarza inny wiek, wszyscy bowiem, jak jesteśmy: artyści czy

myśliciele, znikomi czy przelotni, różnymi sposobami naśladowujemy jeden wzór niewzruszony i wieczny, przyrodę, tę jedyną i różną myśl Stwórcy.

25 lipca 1832.

Z wierzchołka obserwatorium górującego nad pałacem wielkiego mistrza widok wszystkich miast, portów i pól Malty; pola nagie, bezkształtne, bezbarwne, jałowe jak pustynia; miasto podobne do skorupy zółwia zapędzonego na skałę; można by powiedzieć, że zostało wyrzeźbione z jednego odłamu skalnego; z nadejściem nocy widok płaskich dachów w kształcie tarasów: siedzą na nich kobiety. Tak Dawid ujrzał Batszebę.<sup>42</sup> Trudno znaleźć powabniejszy i bardziej czarowny widok, niż gdy te białe postacie, podobne do duchów, ukazują się w świetle księżyca na dachach mnóstwa domów. Tam tylko widzieć można kobiety: w kościele lub na balkonach; oczy są całą rozmową; każda miłość jest długą tajemnicą, której słowa się nie zmieniają; tym sposobem długi dramat zawiązuje się i rozwiązuje bez słów. To milczenie, te ukazywania się w pewnych godzinach, te spotkania w tych samych miejscach, ta bliskość z oddali, te nieme wypowiedzi są może pierwszą i najwspanialszą mową miłości; to uczucie wyższe nad słowa, które, jak muzyka, wyraża w odrębnym języku to, czego żaden język wyrazić nie zdoła.

Takie widoki, takie myśli odmładzają duszę; pozwalają nam odczuwać jedyny, nie dający się wyczerpać urok, jaki Bóg rozlał na ziemię, i żal, że godziny życia są tak szybkie i powikłane. Dwa uczucia tylko wystarczyłyby człowiekowi, choćby życie jego trwało tak długo jak życie skał: rozmyślanie o Bogu i miłości. Miłość i religia są dwiema myślami czy raczej jedyną myślą ludów Południa; dlatego nie szukają niczego więcej, mają dosyć. Litujemy się nad nimi; powinniśmy im zazdrościć. Cóż jest wspólnego między naszymi sztucznymi namietnościami, między zgiekłym wzburzeniem naszych czczych myśli a tymi dwiema prawdziwymi myślami, zajmującymi całą istotę owych dzieci słońca: religią i miłością, z których jedna upiększa teraźniejszość, a druga — przyszłość? Dlatego też, pomimo przeciwnych uprzedzeń, zawsze mnie uderzał ów głęboki i rzadko czymś zakłócony spokój rysów ludzi Południa, owa ogromna cisza, pogoda i szczęście, rozsiane w obyczaju i w twarzach tego milkliwe-go tłumu, który oddycha, żyje, kocha i śpiewa przed naszymi o-czyna; śpiew, ten nadmiar szczęścia i wrażeń w duszy przepełnionej uczuciem! Śpiewają w Rzymie, w Neapolu, w Genui, na

Malcie, Sycylii, w Grecji, Jonii, na brzegach, na morzach, na dachach; w czasie pogodnej nocy słyhać bezustannie przeciągły śpiew rybaka, majtka, pasterza lub niewyraźny brzęk gitary. Niech mówią, co chcą, to właśnie jest szczęście. Powiadacie: „To niewolnicy!” Ale czyż oni to wiedzą? Niewola lub wolność, nieszczęście lub szczęście to rzecz umowna; nieszczęście lub szczęście są bliżej nas. Cóż obchodzi te spokojne rzesze, oddychające powiewem morza lub spoczywające w ciepłych promieniach słońca Sycylii, Malty, Bosforu, czy im prawo nadał kapłan, pasza czy też parlament? Czy to zmienia w czymkolwiek ich więzi z przyrodą, jedyne, które zapamiętają ich myśli? Nie, doprawdy; każde społeczeństwo, wolne czy też zależne od władzy absolutnej, zawsze popada w mniej lub bardziej dolegliwe jarzmo. Jesteśmy niewolnikami praw zmiennych, kapryśnych, które sami sobie nadajemy, oni są posłuszni niewzruszonemu prawu mocy, którą Bóg im dał; wszystko to na jedno wychodzi dla szczęścia lub niedoli; ale dla godności ludzkiej, dla postępu pojęć i moralności człowieka — nie, nie; jeszcze trzeba by dobrze rozważyć, nim się to „nie” wyrzecze. Weźmy jakichkolwiek stu ludzi z tych niewolniczych narodów i stu pomiędzy naszych, tak zwanych wolnych, i rozważmy. Gdzie znajdziemy mniej moralności i cnót? Wiem dobrze, ale lękam się powiedzieć.<sup>43</sup> Jeżeli ktoś to później przeczyta, będzie mnie podejrzewał o sprzyjanie despotyzmowi lub o pogardę dla wolności. To niesłuszne! Kocham wolność jako trudny i uszlachetniający wysiłek, podobnie jak kocham cnotę ze względu na jej zasługę, a nie dla jej nagrody; ale tu chodzi o szczęście, więc rozważam to jako filozof i wraz z Montaigne'em powiadam: „Cóż wiem?” Nie ulega w każdym razie wątpliwości, że nasze zagadnienia polityczne, takie ważne w naszych liceach, kawiarniach czy klubach, niewiele znaczą, gdy na nie patrzeć z daleka, spośród oceanu, z wysokości Alp, z wyżyn kontemplacji filozoficznej lub religijnej. Te zagadnienia zajmują zaledwie kilku ludzi, którzy mają co jeść i dość wolnego czasu; tłum ma jedynie do czynienia z przyrodą. Naprawdę piękna, boska religia, oto polityka na użytek rzesz. Brak nam tej zasady życiowej, toteż potykamy się, upadamy raz po raz, nie idziemy naprzód; brak nam tchnienia życia; tworzymy formy, ale duch ich nie wypełnia. O Boże, przywróć nam ducha, inaczej zginiemy!

*Malta, 28, 29 i 30 lipca 1832.*

Pobyt przymusowy na Malcie ze względu na słabość Julii. Kiedy poczuła się lepiej, postanowiliśmy udać się do Smyrny przez

Ateny. Tam zostawię żonę i córkę, a sam przez Azję Mniejszą ruszę na zwiedzanie innych części Wschodu. Tymczasem nadpływa żaglowiec z Archipelagu i zawiadamia, że korsarze greccy opanowali kilka statków, a osadę wycięli w pień. Pan Miége, konsul francuski, radzi nam poczekać kilka dni; pan Lyons, kapitan fregaty angielskiej „Madagaskar”, ofiaruje się towarzyszyć naszemu brygowi aż do Nauplii w Morei, a nawet wziąć go na hol, gdyby nie mógł płynąć tak prędko jak fregata. Do tej propozycji przyłączył najżyczliwszą uprzejmość, która podwyższa jej wartość; przyjmujemy; odpływamy we środę, 1 sierpnia, o ósmej rano. Zaledwie znaleźliśmy się na morzu, kapitan, którego okręt mknie szybko i nas wyprzedza, kazał zwinąć żagle i czeka na nas. Rzucił w morze baryłkę, do której jest przymocowana lina holownicza; wydobywamy baryłkę i linę i niczym rumak na arkanie dążymy za płynącym olbrzymem, który rozcina fale, jak gdyby nie odczuwał naszego ciężaru.

Nie znałem kapitana Lyonsa, który od sześciu lat dowodził jednym z okrętów stanowiska angielskiego w Le wancie; i on mnie nie znał nawet z nazwiska; nie widziałem go u nikogo na Malcie, ponieważ odbywał kwarantannę; a przecież ten oficer innego narodu, narodu często współzawodniczącego z nami i nieprzyjaznego, na pierwsze nasze skinienie zgodził się opóźnić swoją marszrutę o dwa lub trzy dni, wystawił swój okręt i załogę na manewr często bardzo niebezpieczny (holowanie), naraził się może na szemranie swoich marynarzy za taką powolność dla jakiegoś nieznanego Francuza — a to wszystko jedynie z wielkoduszności i z chęci ulżenia niepokojowi kobiety i cierpieniom dziecka. Oto oficer angielski z całą jego szlachetnością, oto człowiek w całej godności swojego charakteru i powołania. Nigdy nie zapomnę ani tego postępkę, ani tego człowieka, ów człowiek, który co pewien czas przybywa na nasz pokład, aby się dowiedzieć, czy nam czego nie brakuje, i zapewnia o przyjemności, jakiej doświadcza, udzielając nam pomocy, zdaje mi się jednym z najrzetelniejszych i najszczerzych, jakich kiedykolwiek widziałem. Nic w nim nie przypomina rzekomej surowości żeglarza; na jego twarzy, jeszcze młodej i pięknej, stanowczość człowieka nawykłego walczyć z najstraszniejszym z żywiołów jednoczy się doskonale z łagodnością duszy, wzniosłością myśli i urokiem charakteru.

Choć nieznanymi przybyliśmy na Maltę, z talem patrzymy na jej białe mury niknące pośród fal. Te domy, na które przed kilku dniami spoglądaliśmy obojętnie, teraz mają dla nas swoje



oblicze i wymowę. Znamy ich mieszkańców i wiemy, że z tych tarasów życzliwe spojrzenia ścigają oddalające się żagle naszych okrętów.

Anglicy są wielkim narodem pod względem moralnym i politycznym, ale w zasadzie nie są narodem towarzyskim. Skupieni w świętym i słodkim zaciszu domowego ogniska, jeżeli je opuszczają, to nie dla przyjemności, nie z potrzeby wymiany myśli lub okazania swoich uczuć, lecz jedynie dla zwyczaju, dla próżności. Próżność jest duszą każdej zbiorowości angielskiej; ona to stworzyła ów kształt społeczeństwa chłodnego, powściągliwego, etykietalnego; ona to ustanowiła ów podział stopni, tytułów, godności, bogactw, które jedynie w nich wyróżniają ludzi, a zupełnie nie biorą pod uwagę człowieka, zważając tylko na nazwisko, ubiór, formę towarzyską. Czyżby Anglicy w koloniach byli inni? Tak bym wnosił ze sposobu, w jaki przyjęto nas na Malcie. Zaledwie przybyliśmy, wszyscy członkowie tej pięknej kolonii okazali nam najszczerze i najserdeczniejsze dowody przychylności i życzliwości. Pobyt nasz na Malcie był jednym świetnym i nieprzerwanym przyjęciem. Sir Fryderyk Ponsonby i jego małżonka, lady Emilia Ponsonby, stanowią wzorową parę, która może godnie reprezentować — on cnotliwą i szlachetną prostotę wielkich panów angielskich, a ona łagodną i ujmującą skromność należących do najlepszego towarzystwa kobiet ich ojczyzny. Rodzina sir Fryderyka Hankey, pan i pani Nugent, pan Greig, pan Freyre, były poseł w Hiszpanii, przyjęli nas nie jak podróżnych, lecz jak przyjaciół. Widzieliśmy ich przez tydzień, może ich nigdy już nie zobaczymy, lecz unosimy wrażenie ich zniewalającego przyjęcia, które zostanie w głębi naszych serc. Malta była dla nas kolonią życzliwej gościnności; duch rycerskości i miłosierdzia, przypominający dawnych posiadaczy wyspy, trwa w tych pałacach, stanowiących obecnie własność narodu godnego owego wysokiego szczebla, jaki zajmuje w świecie. Można nie lubić Anglików, ale niepodobna odmówić im szacunku.

Rząd Malty jest twardy i surowy; niegodne to Anglików, co uczyli świat swobody, by mieli w jednej ze swoich posiadłości dwie klasy ludzi: obywateli i wyzwolenców.

Rząd prowincjonalny i parlamenty miejscowe w koloniach angielskich z łatwością by się włączyły do pełnego wzniosłej powagi przedstawicielskiego ciała metropolii." Zarodki wolności i narodowości, uszanowane u ludów podbitych, stają się w przyszłości zarodkami cnoty, siły i godności całego rodu ludzkiego. Cień flagi angielskiej powinien okrywać jedynie ludzi wolnych.

*1 sierpnia 1832, o północy.*

Dziń rano wypłynęliśmy na wzburzone morze, ale w odległości dwunastu mil od brzegu zaskoczyła nas zupełna cisza; trwa dotąd; najmniejszego powiewu, czasem tylko lekkie, zbłąkane podmuchy marszczą żagle obu okrętów; te wielkie żagle drżą pod ich powiewem, szumiąc głośno i bezładnie, a ten odgłos przypomina konwulsyjne uderzenia skrzydeł konającego ptaka; morze jest równe i gładkie jak klinga szabli; ani jednej zmarszczki, tylko w wielkich odstępach tworzą się ogromne walcowate fale, co wślizgują się pod statek, wstrząsając nim, jak gdyby rozpadała się ziemia. Wszystkie maszty, drągi, drabiny linowe, żagle trzeszczą i drżą wtedy jak pod uderzeniem gwałtownego wichru. Przez godzinę nie posunęliśmy się ani o jedną linię; skórki pomarańczowe, które Julia rzuca w morze, pływają najspokojniej koło brygu, a sternik spogląda niedbale na gwiazdy, wsparłszy rękę na nieruchomym sterze. Odczepiliśmy linę, na której nas holowała angielska fregata, ponieważ oba statki, nie sterowane, mogłyby zderzyć się w ciemności.

Około pięciuset kroków dzieli nas teraz od fregaty. Zapalone w głębi obszernych, pięknych kajut oficerskich lampy lśnią poprzez okienka w rufie okrętowej. Latarnia, którą oko wziąć może za jedną z gwiazd widocznych na nieboskłonie, zostaje wciągnięta i przyczepiona do szczytu tylnego masztu, abyśmy się w nocy nie oddalili od fregaty. Kiedy nasze spojrzenia są skierowane na tę kołyszącą się latarnię, co ma nam przewodzić, nagle z oświetlonych boków fregaty rozlega się cudowna muzyka i dźwięczy pod obłokiem jej żagli, niby pod jakimś wybornie odbijającym głos sklepieniem kościoła.

Melodie coraz to się zmieniają i rozbrzmiewają, jedno po drugim, przez kilka godzin, niosąc w dal po tym czarownym i uśpionym morzu wszystkie dźwięki, jakie słyszeliśmy w najrozkoszniejszych godzinach naszego życia. Wszystkie muzyczne przypomnienia naszych miast, naszych teatrów, naszych wiejskich pieśni zwracają myśl ku dniom, które już przeminęły, ku istotom, które oddzieli od nas teraz śmierć lub czas.

Jutro, może za kilka godzin, okropny ryk huraganu, od którego trzeszczą maszty, gwałtowne uderzenia fal o boki okrętu, wystrzał działowy wzywający pomocy, piorun, spazmatyczne głosy dwóch żywiołów w walce i człowieka, który stawia czoło ich połączonej wściekłości, zastąpią tę pogodną, wspaniałą muzykę.

Te myśli odzywają się we wszystkich sercach i głucho milczenie panuje na obu pokładach. Każdy przypomina sobie niektóre

z tych melodii pełnych znaczenia, głęboko wrytych w pamięci, które kiedyś słyszał W: jakiejś okoliczności życia, smutnej lub szczęśliwej; każdy tkliwiej rozmyśla o tym, co zostawił za sobą. Trwogą przejmując nas śmiałość, z jaką człowiek zdaje się wyzywać burze. Takie właśnie chwile trzeba na zawsze zachować» w pamięci; choć tak krótkie, przynoszą więcej wrażeń, więcej barw, więcej życia niż całe lata, co zbiegły w prozaicznej codzienności. Serce jest pełne przelewającego się uczucia. Człowiek najpospolitszy czuje się wtedy na wskroś poetą; kres i nieskończoność wnikają wtedy wszystkimi porami; chcemy wtedy otworzyć się przed Bogiem lub wypowiedzieć bodaj jakiemuś współczującemu sercu czy też wszystkim ludziom we wzniosłej mowie duchów to, co dzieje się w naszym umyśle; wtedy powstałyby pieśni godne nieba i ziemi. Ach, gdyby mieć taką mowę! Ale jej nie mamy, zwłaszcza my, Francuzi; nie mamy takiej mowy dla filozofii, miłości, religii, poezji; mową tego narodu jest matematyka; jego słowa są oschłe, treściwe, bezbarwne jak cyfry. Idźmy spać.

*Tegoż dnia, druga nad ranem.*

Nie mogę spać; zbyt wiele ożywia mnie uczuć; wychodzę na pokład; malujemy, co widzimy. Księżyc skrył się za pomarańczową mgłą, która bezkresnie przesłania widnokrąg. Jest wprawdzie noc, lecz noc na morzu, czyli w żywiole przejrzystym, który odbija najśłabsze światło nieboskłonu i zdaje się przechowywać ślad blasku dnia. Ta noc nie jest czarna, tylko błada i perłowa jak lustro, kiedy blask pada na nie z boku lub spoza niego. Powietrze także zdaje się martwe i spoczywa na łożu uśpionych fal. Najmniejszego szelestu, żadnego powiewu, nawet żagiel o reję się nie otrze, nawet piana nie zaszmerze i nie zostawi śladu na bokach brygu, które także zdają się zasypiać.

Przypatrywałem się tej niemej scenie spoczynku, pustki, milczenia i pogody: oddychałem tym ciepłym i lekkim powietrzem, którego ani gorąca, ani ochłody, ani ciężaru pierś nie odczuwa, i mówiłem do siebie: „Takim zapewne powietrzem oddycha się w krainie duchów, w strefach nieśmiertelności, w tej boskiej atmosferze, gdzie wszystko jest niewzruszone, rozkoszne, doskonałe!”

Inny widok nieba. Zapomniałem o fregacie angielskiej; patrzyłem w przeciwną stronę; stała tu, na morzu, o kilkaset sążni od nas; odwróciłem się przypadkiem, oczy moje padły na tego wspaniałego olbrzyma, który nieruchomy, ogromny, spoczywał jak na piedestale z polerowanego marmuru.

Olbrzymia, czarna bryła okrętu odbijała się ciemną plamą od jego srebrzystej podstawy i rysowała się na błękitnym tle nieba, powietrza, morza; ani jedno tchnienie życia nie dobywało się z tego wspaniałego gmachu: nic nie zdradzało ani oku, ani uszom, że ożywia go tyle rozumu i energii, zaludnia tyle istot myślących i działających. Można go było wziąć za jeden z tych wielkich statków strzaskanych przez burzę i płynących bez steru, które żeglarz napotyka z przestraczem na dalekich morzach południowych, gdzie nie rozlega się ani jeden głos, co mógłby powiedzieć, jakim sposobem rozbił się ów statek; akt zgonu bez nazwiska i daty, któremu morze jeszcze kilka dni pozwala się unosić, póki go nie pochłonie.

Ponad ciemną bryłą okrętu obłok wszystkich jego żagli był malowniczo ułożony i otaczał maszty na kształt piramidy. Wznosiły się z piętra na piętro, od rei do rei, powycinane w tysiączne dziwaczne kształty, w szerokich lub wąskich fałdach, podobne do licznych strzelistych wieżyczek gotyckiego zamku, okalających wieżę środkową; nie widać w nich było ruchu ani tej połyskliwej, złotawej barwy żagli, gdy patrzeć na nie w dzień, z daleka, na morzu; nieruchome, ciemne, noc okrywała je szaro-siwym kolorem; można by rzec, że to stado ogromnych nietoperzy albo nieznanych morskich ptaków, zapadłych ciasno, blisko siebie, jeden przy drugim siedzących na olbrzymim drzewie, zawieszonych na jego odartym z kory pniu, w świetle księżyca, w zimowej nocy. Cień tego obłoku żagli ogarniał nas z góry i zasłaniał połowę widnokregu. Nigdy potężniejsza i bardziej niezwykła wizja morza nie ukazała się we śnie umysłowi Osjana. Była w tym cała poezja morza. Niebieska linia widnokregu zlewała się z linią nieba; wszystko, co spoczywało wyżej i niżej, wydawało się jakimś jednolitym płynnym powietrzem, poprzez które płynęliśmy. Cała ta nienaturalna i bezgraniczna pustka jeszcze potęgowała wrażenie ogromu widocznej na morzu fregaty i tym złudzeniem mamiała duszę i oko. Zdawało mi się, że fregata, napowietrzna piramida jej omasztowania i my sami, wszystko to było uniesione, porwane jak ciała niebieskie w płynne otchłanie powietrza, nie opierając się na niczym i wewnętrzną siłą unosząc się w błękitnej pustce jakiegoś wszechświatowego firmamentu.

Wiele podobnych dni i nocy spędzamy na pełnym morzu; cisza zupełna, niebo płonie; ogromne fale toczą się z zatoki Adriatyku ku morzu Afryki: są to olbrzymie walce, z lekka rowkowane, wieczorem i rano lśniące złotem jak kolumny Rzymu lub

Paestum.<sup>45</sup> Spędziłem te dni na pokładzie; napisałem wiersz do pana Montherot, mojego szwagra.

*6 sierpnia 1832, na morzu.*

Szóstego w południe pod białymi chmurami widnokregu spostrzeżliśmy nierówne wierzchołki gór Grecji. Niebo było blade i szare jak w październiku nad Tamizą lub Sekwaną. Na zachodzie burza rozrywa czarną pomrokę mgły napływającą nad morze; piorun bije, błyskawice tryskają z chmur, a silny wiatr południowo-wschodni niesie chłód i wilgoć naszych deszczowych wiatrów jesieni.

Gwałtowny wicher spycha nas z drogi i wkrótce znajdujemy się w pobliżu brzegów Navarino; już widzimy dwie wysepki zamykające wejście do jego przystani i piękną górę o dwu wierzchołkach, wieńczącą Navarino. To tu właśnie dzieła Europy obwieściły niedawno wskrzeszenie Grecji: Grecja nie spełniła pokładanych w niej nadziei; uwolniona z jarzma Turków bohaterstwem swoich synów i pomocą Europy, jest obecnie ofiarą wewnętrznych waśni, które ją pustoszą; przelała krew Capo d'Istrii, który dla jej sprawy poświęcił życie. Zabójstwo jednego z pierwszych jej obywateli źle wróży rozpoczynającemu się dla niej o-kresowi zmartwychwstania i cnoty.<sup>46</sup> Bolesne to, że myśl o wielkiej zbrodni jest jedną z pierwszych, jakie się nasuwają na widok tej ziemi, gdzie przybywa się, aby szukać wzorów patriotyzmu i chwały.

W miarę zbliżania się do zatoki Modonu zaczynają się rysować i uwydatniać brzegi Peloponezu, wynurzające się z powiewnej mgły, która je otacza. Te wybrzeża, o których ze wzgardą wspominają podróżni, wydają mi się, przeciwnie, pięknie zarysowane przez naturę; góry mają tu kształt wielkich czasz, a ich linie są łagodne. Z trudem odrywam od nich spojrzenie. Scena jest pusta, ale zapełnia ją przeszłość: pamięć wszystko zaludnia. To czarniawe skupisko wzgórz, przylądków, dolin, które w całości ogarniam stąd wzrokiem niczym jakąś wysepkę na oceanie, które jest tylko punktem na mapie, więcej wydało wrzawy, więcej chwały, więcej blasku, więcej cnót i zbrodni niż całe kontynenty. Ten stos wysp i gór, skąd prawie jednocześnie wyszli Milcjades, Leonidas, Trazybul, Epaminondas, Demostenes, Alcybiades, Perykles, Platon, Arystydes, Sokrates, Fidiasz, ta ziemia, która pochłonięła dwumilionową armię Kserksesa, zakładała swoje osady w Bizancjum, w Azji, w Afryce, stwarzała czy wskrzeszała dzieła umysłu lub dzieła rąk ludzkich i w ciągu półtora wieku osiągnę-

nęła w nich taką doskonałość, że stały się przez nikogo dotychczas nieprześcignionymi wzorcami, ta ziemia, której dzieje są naszymi dziejami, której Olimp jest dotąd niebem naszej wyobraźni, ta ziemia, skąd filozofia i poezja rozpoczęły swój górny lot ku reszcie kuli ziemskiej i dokąd wracają nieustannie jak dzieci do swojej kolebki — oto ona! Każdy ruch fali unosi mnie ku niej, już jej dotykam. Jej pojawienie się wzrusza mnie głęboko, jednak wzruszyłoby mnie bardziej, gdyby wszystkie te wspomnienia nie zwiędły w moim umyśle, bo wciąż je roztrząsałem, nim zdołałem je zrozumieć. Grecja to dla mnie książka, której piękność jest przyćmiona, dostajemy ją bowiem do czytania wcześniej, niż możemy pojąć.

Jednak nie wszystko straciło swój urok. Na wspomnienie tych wielkich imion jakieś słabe echo jeszcze odzywa się w moim sercu. Coś świętego, łagodnego, wonnego wnika do duszy wraz z tym widnokręgiem. Dziękuję Bogu, że mijając tę ziemię, mogłem ujrzeć ów kraj „twórców wielkich rzeczy”, jak Epaminondas nazwał swoją ojczyznę.

Przez całą młodość pragnąłem zrobić to, co teraz robię, widzieć to, co teraz widzę. Pragnienie na koniec zaspokojone jest szczęściem. Na widok tych tak długo marzonych horyzontów doznaję uczucia, którego doświadczałem przez całe życie, osiągając coś, czego żarliwie pragnąłem: cichej, pełnej rozwagi radości, która wnika sama w siebie, spokoju umysłu i duszy, które przystają na chwilę i mówią: „Zatrzymajmy się tutaj i radujmy”; lecz w istocie te radości umysłu i wyobraźni są zimne. Nie w nich znajdujemy szczęście duszy; ono jest tylko w miłości ludzi lub Boga, ale zawsze w miłości.

### *Wieczorem tegoż dnia.*

Pędzeni przyjaznym wiatrem, żeglujemy wybornie między przylądkiem Matapan i wyspą Cerigo.<sup>47</sup>

W chwili kiedy fregata oddaliła się od nas o kilka mil, w pościgu za jakimś podejrzanym statkiem, zbliżają się do nas rozbójnicy greccy. Dzieli już nas tylko kilkadziesiąt sążni; wychodzimy na pokład; przygotowujemy się do walki; nasze działa są nabite; na pokładzie pełno strzelb i pistoletów. Kapitan wzywa dowódcę brygu greckiego, aby się oddalił. Ten, widząc na naszym pokładzie dwudziestu pięciu ludzi dobrze uzbrojonych, postanawia, że nie będzie próbował abordażu. Odpływa, wraca powtórnie i prawie dotyka naszego statku. Już mieliśmy dać ognia

Oddała się i przeprosza raz jeszcze, ale przez kwadrans stoi od nas tylko na strzał pistoletowy. Oznajmia, że tak jak my jest statkiem handlowym płynącym na Archipelag. Przypatruję się jego załodze. Nigdy nie widziałem twarzy, które okropniej byłyby napiętnowane zbrodnią, mordem i grabieżą. Piętnastu czy dwudziestu bandytów, jedni w strojach albańskich, inni w łachmanach odzieży europejskiej, siedziało i leżało na pokładzie lub było zajętych obrotami statku. Wszyscy uzbrojeni w pistolety i sztylety, których rękojeście lśnią srebrnym cyzelunkiem. Na pokładzie, przy roznieconym ogniu, dwie stare kobiety pieką ryby. Między tymi jędzami pojawia się młode dziewczę piętnasto-lub szesnastoletnie. Była to niebiańska postać, anielska zjawia pośród tych piekielnych twarzy. Jedna ze starych kobiet kilkakrotnie wypycha ją pod pokład; dziewczyna schodzi ze łzami; zdaje się, że z tego powodu między załogą wszczęła się sprzeczka. Dwaj majtkowie dobywają sztyletów i potrzásają nimi; kapitan, który oparty łokciem o ster, palił spokojnie fajkę, wpada między bandytów, jednego z nich obala na pokład, wszystko się ucisza; młoda Greczynka wchodzi znowu na pokład, ociera oczy długimi splotami włosów, siada u podnóża wielkiego masztu. Jedna ze starych kobiet klęka za nią i czesze piękne włosy dziewczęcia. Zrywa się wiatr. Rozbójnik grecki zawraca ku Cerigo, w mgnieniu oka rozpuszcza żagle i wkrótce widać go tylko jako biały punkt na widnokręgu.

Usłyszawszy strzał armatni z fregaty, zastawiamy żagle, zwalniając bieg naszego statku. Fregata po kilku godzinach dopłynęła do nas. Rozbójnik grecki, którego ścigała, uszedł jej pogoni. Wpłynął do jednego z tych nieprzystępnych wgłębień wybrzeża, które w podobnych spotkaniach zawsze są ich schronieniem.

*Tegoż dnia, godzina jedenasta.*

Ilekoć dusza moja odczuwa gwałtowne wzruszenie, zawsze muszę powiedzieć, opisać komuś, czego doznaję, znaleźć gdzieś radość z mojej radości, oddźwięk tego, co mnie zachwyciło. Odczuwać samemu to odczuwać niezupełnie: człowiek został stworzony w dwóch istotach.

Niestety, kiedy spojrzę wkoło siebie, otacza mnie już wielka pustka. Zapelniają ją tylko Julia i Marianna \*, ale Julia jest jeszcze taka młoda, że rozmawiam z nią jedynie o tym, co moż-

\* Pani de Lamartine. (Przyp. aut.)

na pojąć w jej wieku. To cała przyszłość, wkrótce to będzie cała nasza terażniejszość; ale gdzież jest przeszłość?

Tą, która w tej chwili najbardziej cieszyłaby się moim szczęściem, byłaby moja matka. W każdej chwili powodzenia lub smutku myśl moja mimowolnie ku niej się zwraca. Wydaje mi się, że ją widzę, słyszę, rozmawiam z nią, piszę do niej. Kto tak tkwi, w naszej pamięci, nie jest nieobecny; kto żyje w nas tak zupełnie, tak mocno, nie umarł dla nas. Jak za jej życia, tak i teraz zwierzam jej wszystkie moje wrażenia, które tak prędko i tak całkowicie stawały się jej wrażeniami i w jej wyobraźni, zawsze szesnastoletniej, zawsze promiennej, nabierały urody, barwy i ciepła. Szukam jej wyobraźnią w skromnej i pobożnej samotni w Milly, gdzie nas wychowała, gdzie myśl<sup>^</sup> biegła do nas w chwili, kiedy niestałość mojego młodego wieku nas rozdzielała. Widzę ją, jak oczekuje, odbiera, czyta, wyjaśnia moje listy, pojąć się moimi wrażeniami bardziej niż ja sam. Zwodniczy śnie! Już jej tam nie ma; przebywa teraz w świecie prawdziwej rzeczywistości, nasze ulotne marzenia są już dla niej niczym; ale jej duch jest z nami, nawiedza nas, towarzyszy, chociaż rozmawiamy z nią w krainach wieczności.

Nim osiągnąłem wiek dojrzały, straciłem przeważną część tych osób, które najbardziej kochałem lub które mnie najbardziej kochały. Moje życie uczuciowe zwęziło się, a moje serce ma już tylko kilka serc, gdzie może się schronić; moja pamięć może spocząć tu na ziemi tylko na mogiłach; żyję bardziej z umarłymi niż z żywymi; gdyby Bóg zadał jeszcze dwa, trzy ciosy wokół mnie, wiem, że całkiem bym się od siebie oderwał, bo już bym nie oglądał ani nie kochał siebie w innych, a tylko tak potrafię siebie kochać.

Będąc bardzo młody, kochałem siebie w sobie; wiek dziecinny jest samolubny. To było dobre wtenczas, kiedy miałem lat szesnaście czy siedemnaście i jeszcze nie znałem siebie, a tym bardziej życia, lecz teraz zbyt wiele przeżyłem, zbyt wiele poznałem, żeby Śbać o formę istnienia, którą nazywają ludzkim ja. Wielki Boże, czymże jest człowiek! Co za szaleństwo przywiązywać najmniejszą wartość do tego, co czuję, co myślę, co piszę! Jakie miejsce zajmuję pośród rzeczy? Jaką pustkę zostawię w świecie? Pustkę kilkudniową w jednym lub dwu sercach; miejsce pod słońcem; mój pies tylko będzie mnie szukał; ulubione drzewa będą się dziwiły, że nie wracam pod ich cień; oto wszystko! A potem i to przeminie z kolei. Wtedy dopiero zaczynamy odczuwać nicłość naszego bytu, kiedy już stajemy się nikomu nie-



potrzebni, kiedy już nikt nas nie kocha: czułem zawsze, że jedyną rzeczywistością tu, na ziemi, jest miłość, miłość pod wszystkimi jej postaciami.

*7 sierpnia, szósta wieczorem.*

Na odległość kilku strzałów działa widzimy przed sobą wyniosłe brzegi Lakonii. Płyniemy wzdłuż nich przy pomyślnym wietrze; majestatycznie przesuwiają się przed nami. Wsparty o burzę, w przelocie chwytam oczyma dla pamięci klasyczne kształty gór greckich, a one biegną jak fale kamieni i ziemi, wznoszą się, opadają, skupiają przede mną jak przed umysłem Osjana obłoki jego duchowej ojczyzny. Przyglądam się w milczeniu przez godzinę lub dwie' ciągnącym się przede mną wzgórzom i wspominam dźwięczne nazwy tej martwej ziemi. Góry Chromius, gdzie Eurotas ma źródło<sup>48</sup>, wystrzelają ku niebu swoimi zaokrąglonymi wierzchołkami; kula słoneczna zachodzi za nie, a jej blask pada na ich szczyty jak na kopuły ze złoconej miedzi, rozpalając dokoła całą warstwę obłoków; szczyty gór stają się przejrzyste jak powietrze, które je otacza i w którym z trudem można je dostrzec; gotów bym przysiąc, że widać przez nie blask innego słońca, które już zaszło, albo ogromną lunę jakiegoś dalekiego pożaru.

Jedna z tych gór ma kształt odwróconego księżyca na nowiu; zdaje się z wolna zapadać, aby rozewrzeć jakąś napowietrzną koleinę dla słonecznej tarczy, która toczy się tam w złotym pyłe wznoszącej się ku niej mgły. Bliższe wierzchołki, które słońce już minęło, okrywają się barwą purpurowofoioletową lub bladoliliową; unoszą się w powietrzu tak bogatym w kolory jak paleta jakiegoś malarza; bliżej nas inne wzgórza, okryte już zmierzchem, wyglądają, jak gdyby je porastał czarny las; na koniec te, co wznoszą się na pierwszym planie, te, wzdłuż których płyniemy, których urwiste brzegi omywa piana morza, całe są pogrążone w nocy; oko dostrzec może zaledwie kilka małych zatok, gdzie mają schronienie liczne statki pirackie, których te brzegi są siedzibą, i kilka wysuniętych w morze przylądków, które, jak Napoli di Malvasia<sup>49</sup>, dźwigają na swoich stromych wierzchołkach miasta lub warownie. Te góry, widziane z pokładu w chwili, kiedy noc odziewa je ułudą tysiącznych barw, są może najpiękniejszymi kształtami ziemskimi, jakie dotychczas widziałem, a w dodatku statek, niby ruchomy balkon, płynie przechylony tak łagodnie na morzu, które szemrze, muskając jego tram, powietrze jest tak ciepłe i tak wonne, a zagle za każdym powie-

wem wieczornego wiatru wydają taki miły odgłos. Prawie wszystko, co kocham, jest tuż obok, spokojne, szczęśliwe, bezpieczne, patrząc dokoła i dzieląc ze mną radość. Julia i jej matka są przy mnie, oparte o drabiny linowe. Twarz dziecka rozpromienia każdy widok, każda nazwa, każde wydarzenie historyczne, o których matka kolejno jej opowiada; jej wzrok wspólnie z naszym przesuwają się po tych obszarach, a zadziwiające wypadki, które tu się rozgrywały, są już jej znajome. W jej spojrzeniu widać błysk geniuszu, ową głęboką, żywą, gorącą, szybką myśl duszy, która rozwija się pod wpływem żarliwej i pełnej miłości duszy jej matki; zdaje się napawać tym wszystkim tak jak my, zwłaszcza iż widzi, że to nas zajmuje i uszczęśliwia, dusza bowiem tego dziecka żyje naszą duszą; jeżeli widzi, że jestem smutny i zamyślony, oko jej zachodzi łzą; jej rysy są dokładnym odbiciem moich rysów, a kiedy uśmiechamy się pod wpływem jakiejś doznanej radości, na ustach jej natychmiast pojawia się uśmiech. Taka jest wtedy śliczna!

Długo i z rozmaitych miejsc patrzyłem na góry w pobliżu Rzymu i w kraju Sabinów<sup>50</sup>, ale te tutaj przewyższają je rozmaitością zgrupowania, okazałością kształtów i świetnością barw; ich linie są bezkresne; trzeba całej książki na określenie tego, co obraz powiedziałby za jednym spojrzeniem; lecz żeby je widzieć w całej ich piękności, w jakiej je sobie można wyobrazić, należy patrzeć na nie w blasku kończącego się dnia; wtenczas, jak za ich dni młodzińcych, widać ich lasy i zielone pastwiska, wiejskie strzechy, trzody i postaci pasterzy; okrywają je cienie; nie mają innego stroju, podobnie jak dziejom wielkich ludzi, którzy je uświetnili, potrzeba mgły przeszłości i uroków oddalenia, aby opanować naszymi myślami i pchnąć je ku sobie; nie trzeba na nie patrzeć w blasku słońca, w blasku teraźniejszości; na tym smutnym świecie to tylko jest absolutnie piękne, co jest idealne; złudzenie jest żywością piękna we wszystkim, wyjąwszy cnotę i miłość.

*Tegoż dnia, ósma wieczorem.*

Wiatr się wzmaga; płyniemy po spokojnym morzu około wjazdu do rozmaitych zatok; zbliżamy się do przylądka Sant' Ange-lo," dawnej Malia<sup>51</sup>; wkrótce do niego dopłyniemy.

*8 sierpnia, rano.*

Wiatr ustał; spędziliśmy noc w bezruchu, niedaleko przylądka Malia.

Tegoż dnia, w południe.

Łagodny wiatr zapędza nas w stronę przylądka. Holująca nas fregata żłobi przed nami drogę płaską i szemrzącą, płyniemy za nią pośród strzępów piany, która pryska spod jej kila. Kapitan Lyons, znając te okolice, płynie zaledwie o sto sążni od brzegu, abyśmy mogli napawać się widokiem przylądka i ładu.

17 krańca przylądka Sant'Angelo, czyli Malia, znacznie wychodzącego w morze, zaczyna się wąski przesmyk, którego bojaźliwi marynarze unikają, zostawiając wyspę Cerigo po swojej lewej stronie. Majtkowie greccy nazywają ów przylądek Przylądkiem Burz. Tylko rozbójnicy morscy się go nie lękają, bo wiedzą, że nikt tam ich ścigać nie będzie. Wiatr wieje stąd na morze z taką siłą i gwałtownością, że częstokroć ciska na pokłady statków toczące się z góry kamienie.

Na stromym i niedostępnym urwisku, które tworzy cypel przylądka, spiczasty od huraganów i omywającej go piany morskiej, przypadek zawiesił trzy oderwane od wierzchołka skały i zatrzymał je w upadku w połowie wysokości. Są one tam jak gniazdo morskiego ptaka, zaczeplone nad spienioną otchłanią mórz. Na odrobinie czerwonej ziemi, co także utrzymała się na tych trzech jednakowej wielkości skałach, rośnie pięć czy sześć karłowatych drzew figowych, zwieszając swoje pokrzywione konary i szare, szerokie liście nad donośnie szumiącą otchłanią, która kłębi się u ich stóp. Oko nie dostrzega ani jednej ścieżki, ani jednego dostępnego stoku, po którym by można dojść do tego porośniętego roślinnością wzgóрка. Widać jednak jakiś mały, niski domek pod drzewami figowymi, szary i ciemny jak skała służąca mu za fundament, od której na pierwszy rzut oka wiele się nie różni. Ponad jego płaskim dachem wznosi się mały strzałko waty łuk jak nade drzwiami klasztorów włoskich, a w nim zawieszony dzwonek; po prawej stronie widać starożytne zwaliska fundamentu z czerwonej cegły z trzema otwartymi arkadami, wiodącymi na mały taras, rozciągający się przed domem. Nawet orzeł lękałby się budować swoje gniazdo w takim miejscu, gdzie nie ma ani jednego pnia, ani jednego krzaka, pod którym można by się schronić przed zawsze ryczącym wiatrem, przed wiecznym łoskotem bijącego o brzeg morza, przed jego pianą, co bezustannie omywa wygladzoną skałę, pod niebem zawsze pałającym. Otóż człowiek dokonał tego, na co by nawet ptak pewno się nie ośmielił; człowiek wybrał to schronienie. Żyje tam, spostrzegliśmy go; jest to pustelnik. Tak blisko opływaliliśmy przylądek, że widziałem jego długą siwą brodę, jego kij, szkaplerz

i kaptur z brunatnej pilśni, podobny do zimowego kaptura majtków, Kiedy mijaliśmy przylądek, ukląkł z twarzą obróconą ku moriu, jak gdyby wzywał opieki Nieba nad nieznanymi cudzoziemcami w tym niebezpiecznym przesmyku. Jak tylko upłynęliśmy skałę na cyplu przylądka, wiatr, z wściekłością wrywający się z wąwozów Lakonii, zaczął huczeć w naszych żaglach, kołysał i kręcił naszymi statkami i jak wzrokiem sięgnąć, okrył pianą całe morze. Nowe morze otwierało się przed nami. Pustelnik, chcąc nas dalej śledzić wzrokiem, wszedł na wierzchołek jednej z trzech skał i widzieliśmy go tam kłęczącego tak długo, dopóki przylądek nie znikł nam z oczu.

Jakież to zadziwiający człowiek! Aby sobie obrać tę okropną siedzibę, trzeba mieć duszę trzykroć hartowaną; trzeba mieć serce i zmysły chciwe mocnych i wiecznych wzruszeń, aby żyć w tym gnieździe sępów, sam, z widnokregiem bez granic, z huraganami i hukami morza; jedynym jego widowiskiem jest przepływający niekiedy statek, trzask masztów, pękanie żagli, strzał działowy wzywający pomocy i krzyk majtków, co znaleźli się w niebezpieczeństwie.

Te trzy figowe drzewa, to małe, niedostępne pole, ten widok namiętej walki żywiołów, te wrażenia przykre, dojmujące, pogrążające duszę w rozmyślanie, były jednym z marzeń moich dni dziecińczych i mojej młodości. Wiedziony jakimś przeczuciem, które później potwierdziła znajomość ludzi, szczęście widziałem tylko w samotności, z tą różnicą, że wtenczas widziałem w niej tylko miłość, teraz widziałbym Boga, miłość i myśl; ta pustelnia zawieszona między niebem i morzem, wstrząsana nieustannie szturmami wiatrów i fal, byłaby jeszcze jednym z uroków dla mojego serca. To los górskiego ptaka, który nogą jeszcze dotyka ostrego szczytu skały, a bije już skrzydłami, aby ulecieć w krainę światła. W podobnym ustroniu każdy człowiek obdarzony wyższym uczuciem zostałby albo świętym, albo wielkim rymotwórcą, a może jednym i drugim. Lecz jak gwałtownego trzeba było wstrząsu życia, żeby mnie natchnąć podobnymi myślami i podobnym pragnieniem i aby skierować do tej pustelni innych ludzi, których tam widzę! Bóg to wie! Cokolwiek bądź, człowiek, który uczył chęć i potrzebę, aby jak zwieszający się bluszcz u-czepić się u ścian podobnej otchłani i trwać przez całe życie wśród łoskotu żywiołów, okropnej muzyki burz, sam ze swoją myślą wobec całej przyrody i wobec Stwórcy, nie może być chyba człowiekiem pospolitym.

*Tegoż dnia.*

O kilka mil od przylądka morze znowu pięknieje. Lekkie/stateczki Greków, bez pokładu, pod żaglami, pełne kobiet i dzieci udających się na targ do Hydry z koszami melonów i winogron, przepływają koło nas pośród wysoko wznoszących się i opadających fal. Najłżejszy powiew przechyla je tak, że ich żagle zanurzają się w morzu. Całą obroną przeciwko fali jest rozpostarte płótno, które podwyższa o kilka stóp burty stateczków; wysokie fale i piana zakrywały je przed nami, a potem znowu ukazywały się na powierzchni jak korek na wodzie. Co to za życie! Jest udziałem prawie wszystkich Greków: ich żywiołem jest morze; bawią się na nim jak nasze wiejskie dzieci wśród górskich zarośli. Natura określiła przeznaczenie tego kraju: jest nim morze.

*Tegoż dnia.*

Odległe szczyty Krety wznoszą się po prawej stronie; Ida, pokryta śniegiem, wygląda stąd jak wysokie żagle na morzu.

Wpływamy do obszernej zatoki; jest to Zatoka Argolidzka; z wiatrem w żaglach pędzimy z szybkością chmary mew; skały, góry, wyspy dwu wybrzeży mkną za nami jak ciemne mgły. Noc zapada, widzimy już najdalej położony punkt w głębi zatoki, która ma prawie dziesięć mil długości; maszty trzech eskadr stojących na kotwicy na wysokości Nauplii rysują się jak las w zimie na tle nieba i równiny Argos. Wkrótce zapada zupełny mrok; ogniska rozbłyskują na stokach gór i w lasach, gdzie greccy pasterze pilnują swoich trzód; z okrętów wojennych rozlega się strzał działowy zwiastujący wieczór. Widzimy, jak we wszystkich okienkach tych sześćdziesięciu okrętów stojących na kotwicy zapala się światło, jak gdyby na ulicy jakiegoś wielkiego miasta zapłonęły latarnie; wpływamy w ten labirynt okrętów i zarzucamy kotwicę niedaleko małej warowni, która strzeże portu Nauplii, znajdującego się na wprost miasta pod osłoną zamku obronnego Palamidi.

*9 sierpnia.*

Wstaję ze wschodem słońca, aby przypatrzeć się z bliska Zatoce Argolidzkiej, miastom Argos, Nauplii, obecnej stolicy Grecji<sup>52</sup>. Zawiodłem się całkowicie, Nauplia jest nędzną miejsciną, zbudowaną nad brzegiem głębokiej i wąskiej zatoki, na ziemi, co osunęła się z wysokich gór i pokrywa całe to wybrzeże; do-

my nie mają jakichkolwiek cech odrębnych, wszystkie są w kształcie najpospolitszych zabudowań stawianych w wioskach Francji lub Sabaudii. Przeważnie znajdują się w ruinie, a części murów zdruzgotanych w ostatniej wojnie<sup>53</sup> leżą jeszcze na ulicach. Na nadbrzeżu dwa lub trzy domy nowe, pomalowane jaskrawą farbą, i kilka kawiarni oraz drewnianych kramów, zbudowanych na palach wbitych w morze; te kawiarnie i te nawodne balkony zapełnia mnóstwo Greków w stroju najwytworniejszym, lecz i najbrudniejszym zarazem; siedzą lub leżą na deskach albo na piasku, tworząc tysiąc malowniczych grup. Wszystkie te twarze są piękne, ale naznaczone smętkiem i jakąś srogością; brzemień próżniactwa ciąży na całym ich zachowaniu. Lenistwo neapolitańczyków jest łagodne, pogodne, wesole: jest to niedbałość w szczęściu; ciężkie, posępne, ponure lenistwo Greków to przywara, która sama sobie wymierza karę. Odwracamy spojrzenia od Nauplii i podziwiamy piękną warownię Palamidi, która zajmuje całą górę panującą nad miastem; blanki na murach są podobne do ząbkowań prawdziwej skały.

A gdzież jest Argos? Rozległa, jałowa, naga równina, poprzecinana bagnami, rozciąga się i zaokrąglą w najodleglejszym punkcie zatoki; dokoła otacza ją łańcuch szarawych gór. U kresu tej równiny, o blisko dwie mile, widać wzgórek, a na jego szczycie kilka murów fortecznych; ten wzgórek osłania swoim cieniem zniszczoną mieścinę: to właśnie jest Argos. Niedaleko znajduje się grób Agamemnona.<sup>54</sup> Ale cóż mnie obchodzi Agamemnon i jego państwo! Ta cała starzyzna historyczna i polityczna straciła powab młodości i prawdy. Pragnąłbym tylko zobaczyć którąś z dolin Arkadii; wołę jedno drzewo, jedno źródło pod skałą, jeden oleander nad brzegiem rzeki, pod zwałoną arkadą mostu pokrytego pnączami, niż zabytek któregoś z tych klasycznych królestw, co mi przypominają nudę, jaką budziły we mnie w dzieciństwie.

### *10 sierpnia.*

Od dwóch dni jesteśmy w Nauplii; stan zdrowia Julii znowu przyprawia mnie o niepokój. Zatrzymam się tu jeszcze kilka dni, aby zupełnie\* wydobrzała. Przebywamy na łądzie, w izbie nędznej oberży, naprzeciw koszar oddziałów greckich. Żołnierze przez cały dzień leżą w cieniu zwałonych murów, pośród ulic i placów miejskich; ubiór ich jest bogaty i malowniczy, w rysach piętno nędzy, rozpaczy i wszystkich krwawych namiętności, które wojna domowa zapala i podżega w tych dzikich sercach. Najzu-

pełniejszy bezrząd panuje obecnie w Morei. Codziennie jedno stronnictwo zwycięża drugie i słyszymy odgłosy strzałów kleftów i oddziałów Kolokotronisa, co walczą po drugiej stronie zatoki z wojskiem rządowym.<sup>55</sup> Każdy goniec, który przybywa z gór, donosi o spaleniu jakiegoś miasta, złupieniu jakiejś równiny czy wymordowaniu ludności przez jedno ze stronnictw pustoszących własną ojczyznę. Nie można wyjść za bramy Nauplii, nie narażając się na kule. Książę Karadzija zaofiarował mi konwój ze swoich palikarów, abym mógł zwiedzić grób Agamemnona, a generał Corbet, dowódca wojsk francuskich, był gotów do nich przyłączyć oddział swoich żołnierzy; odmówiłem; nie chcę dla zwykłej ciekawości wystawiać na niebezpieczeństwo życie kilku ludzi, co wiecznie bym sobie wyrzucał.

*12 sierpnia 1832.*

Dziś rano byłem na posiedzeniu parlamentu greckiego. Sala — to szopa drewniana, ściany i dach są z desek sosnowych, źle spojonych; deputowani siedzą na ławkach wzniesionych wokół klepiska wysypanego piaskiem; mówią z miejsc.

Aby się przypatrzeć przybywającym, siadamy na stosie kamieni przy wrotach. Przyjeżdżają wszyscy konno, każdy z orszakiem mniej lub bardziej licznym, stosownie do swojego znaczenia. Deputowany zsiada z konia, a jego palikarowie, opatrzeni przepyszną bronią, gromadzą się w pewnej odległości na małej równinie okalającej salę. Ta równina wygląda jak obszar jakiegoś obozu lub miejsce postoju karawany.

Postawa deputowanych jest marsowa i dumna: mówią bez zmieszania, bez zająknięcia, głosem wzruszonym, ale śmiało, miarowo i dźwięcznie. To nie są owe odpychające wzrok okropne oblicza na ulicach Nauplii; to naczelnicy bohaterskiego narodu, co dzierżą jeszcze pałasz lub strzelbę, którymi niedawno walczyli o swoje wyzwolenie, a dziś zastanawiają się wspólnie nad sposobami zapewnienia triumfu swojej wolności.<sup>56</sup> Obrady ich są radą wojenną.

Nie można sobie wyobrazić większej prostoty, a zarazem większej powagi, nad ten widok uzbrojonego narodu, który obraduje na ruinach swojej ojczyzny, pod sklepieniem z desek wzniesionym na pustym polu, gdy tymczasem żołnierze czyszczą broń u drzwi tego senatu, a konie rżą niecierpliwie, pragnąc jak najspieszniej wrócić w góry. Między tymi naczelnikami widać oblicza szczególnej piękności, inteligencji i bohaterstwa: to miesz-

kaący gór. Greków z wysp, trudniących się handlem, łatwo można poznać po rysach bardziej zniewieściałych i po wyrazie chciwości malującym się na ich twarzach. Handel i bezczynność po miastach uniosły szlachetność i siłę z ich twarzy, aby wycisnąć na nich właściwe im piętno pospolitej przebiegłości i podstęp.

*13 sierpnia 1832.*

Uroczą zabawę, którą wyprawił na swoim pokładzie admirał Hotham, dowodzący stanowiskiem angielskim w przystani Nauplii. Pozwolił nam zwiedzić swój okręt trzypokładowy o nazwie „Święty Wincenty” i urządził dla nas przedstawienie bitwy morskiej. Okręt z załogą tysiąca sześciuset ludzi oglądany w chwili walki jest arcydziełem inteligencji ludzkiej.

Admirał — człowiek wyborny, którego postać i sposób obejścia tworzą owo rzadko razem spotykane połączenie szlachetności starego wojaka z życzliwą łagodnością filozofa, stanowiące wspólną cechę pięknych charakterów mężczyzn z arystokracji angielskiej — proponuje nam jeden ze swoich okrętów, aby nam towarzyszył do Smyrny. Nie przyjąłem tej propozycji i poprosiłem o eskortę pana admirała Hugon, dowodzącego eskadrą francuską. Chętnie dał nam bryg „Geniusz” pod dowództwem kapitana Cuneo d'Ornano, który nas jednak będzie eskortował tylko do Rodos.

Byłem na obiedzie u pana Rouen, posła francuskiego w Grecji; miałem piastować to stanowisko za Restauracji<sup>57</sup>. Winszował mi, że mnie ominęło. Pan Rouen, który spędził w Nauplii wszystkie niepomysłne dni bezrządu greckiego, wzdycha, by go wreszcie odwołano/ To przykre wygnanie osładza sobie, przyjmując współziomków i reprezentując w sposób nienaganny i wielce serdeczny wysoką opiekę Francji w kraju, który trzeba kochać w jego przeszłości i przyszłości.

*15 sierpnia 1832.*

Nic nie piszę; dusza moja jest zwiędła i posepna jak okropny kraj, który mnie otacza; nagie skały, ziemia czerwona lub czarna, ścielące się nisko, krzaczem okryte krzewy, bagniste równiny, gdzie nawet w sierpniu lodowaty wiatr północy świszcze po kępach zarosłych trzciną, oto wszystko. Ta ziemia Grecji jest teraz tylko śmiertelnym całunem narodu, podobna do starożytnego grobu, skąd zabrano kości, a którego nawet poczerwiał od



Wieków kamienie porozwlekano. Gdzie piękność tej Grecji tak wychwalanej? Gdzie jej złote i przejrzyste niebo? Wszystko ciemne i omglone jak w jakimś wąwozie w Sabaudii lub Owemu w ostatnich dniach jesieni. Gwałtowność północnego wiatru, Mory wraz z huczącymi falami wciska się w głąb zatoki, gdzie stoimy na kotwicy, nie pozwala nam odpłynąć.

*18 sierpnia 1832 na morzu, na kotwicy przed ogrodami Hydry.*

Na koniec wypłynęliśmy wczorajszej nocy przy łagodnym wietrze południowo-wschodnim; spaliśmy w naszych hamakach. O siódmej zatoka już była za nami; piękne morze melodyjnie uderza o burty brygu. Jesteśmy w kanale ciągnącym się między lądem stałym i wyspami Hydra i Spezzia.<sup>58</sup>

Okolo południa wiatr zepchnął nas ku wybrzeżom lądu naprzeciw Hydry. Straszliwe uderzenia wiatrów, zrywających się ze wszystkich stron, sprawiają, że obroty stają się niebezpieczne. Żagle są podarte; grozi nam strzaskanie masztów; przez trzy godziny walczyliśmy bez wytchnienia przeciw wściekłym huraganom; majtkowie są wycieńczeni; kapitan jest niespokojny o los statku; na koniec udaje mu się dotrzeć do stanowiska znanego marynarzom, pod osłoną wyniosłego brzegu, naprzeciw czarującego wzgórza zwanego ogrodami Hydry. Zarzucamy kotwicę o milę od brzegu, niedaleko brygu wojennego „Geniusz”, który przebył tę samą drogę.

Dzień odpoczynku na wciąż wzburzonym morzu; wśród wichrów świszczących pomiędzy masztami schodzimy na ląd; jest to najpiękniejsza w Grecji okolica, jakąśmy dotąd zwiedzili: wysokie góry panują nad całym krajobrazem; na ich zaokrąglonych stokach widać warstwy ziemi porośnięte gdzieś białozieloną murawą; pochyłość tych gór jest łagodna, a ich podnóże kryje się w gajach oliwnych; dalej góry, łagodnie opadając, ciągną się aż do kanału Hydry, którego płynące u ich stóp wody przypominają raczej szeroką rzekę niż morze. Tu wzrok spoczywa na jednym z dwóch domów wiejskich, otoczonych ogrodami i sadami; pola uprawne, mnóstwo kasztanów i zielonych dębów, trzody, kilku wieśniaków greckich zajętych uprawą; puszcza psy i cały dzień polujemy w górach; wracamy ze zwierzyną.

Miasto Hydra, które całej tej wysepce nadaje nazwę, błyszczy z drugiej strony kanału, białe, lśniące, połyskliwe jak skała dopiero co ociosana. Na tej wyspie nie widać ani jednej piędy ziemi — wszędzie kamień; miasto zajmuje całą przestrzeń, domy wznoszą się jedne nad drugimi: był to przytułek wolności

## WSPOMNIENIA, WRAŻENIA, MYŚLI I KRAJOBRAZY

handlu, bogactwa Greków, kiedy pozostawali pod panowaniem Turków. Miarą wzrostu lub upadku cywilizacji każdego narodu jest położenie jego miast i wiosek: gdy zwiększa się bezpieczeństwo i niepodległość, miasta zstępują z gór na równiny; kiedy odradza się tyrania i bezrząd, miasta i wsie znowu przenoszą się w góry, lub chronią się na skały nadmorskie; w średnich wiekach we Włoszech, nad Renem, we Francji miasta były orlimi gniazdami na szczytach niedostępnych skał.

*Tegoż dnia.*

Noc spokojna. Spędzamy uroczy wieczór na pokładzie. Odplyniemy jutro, jeżeli wiatr północny nie zerwie się znowu z tą samą siłą.

## Ateny

*18 sierpnia 1832, na morzu.*

Podnieśliśmy kotwicę o trzeciej rano. Pomyślny wiatr pozwolił nam zbliżyć się do cypla lądu wchodzącego w morze pod Atenami<sup>1</sup>, ale tam nas napadła nowa burza, jeszcze gwałtowniejsza niż dnia poprzedniego; przez pewien czas byliśmy odłączeni od dwóch okrętów, które nam nieść miały pomoc. Morze stało się niezwykle wzburzone; staczaliśmy się z jednej przepaści w drugą, reje zanurzały się w ogromnych falach, a piana tryskała na pokład. Kapitan z uporem pragnął okrążyć przylądek, co mu się wreszcie udało po wielu bezowocnych obrotach; jesteśmy na pełnym morzu, ale wiatr dmie tak gwałtownie, że bryg znacznie zbacza z drogi. Musieliśmy zwrócić przód statku ku górcom ukazującym się po drugiej stronie morza pod Atenami. Płyniemy z szybkością dziesięciu węzłów w chmurze wilgotnego pyłu i strzępów piany, które unoszą się spod dziobu i obu burt. Niekiedy widnokrąg się przejaśnia i widać bielejący przed nami przylądek Kolonos.<sup>2</sup> Spodziewamy się dziś wieczór zarzucić kotwicę u stóp tych kolumn i uczcić pamięć sławnego Platona, który dwa tysiące lat przed nami rozmyślał na tym właśnie przylądku Sunion.<sup>3</sup> Wciąż wpatruję się w widniejące na horyzoncie Góry Attyckie, od których odpędza nas burza. Wreszcie z zachodem słońca wiatr łagodnieje; płyniemy zygzakiem do wyspy Eginy. Między wyspą i lądem było niemal zacisznie; pod koniec dnia wpływamy do innej zatoki, utworzonej z wyspy i pięknych brzegów Koryntu. Morze tu gładkie jak zwierciadło i zdaje się nam, że płyniemy po rzece bez fal, której spokojny bieg niesie nas aż do miejsca postoju. W chwili kiedy zapada noc, zarzucamy kotwicę w jakimś ogromnym, czarownym jeziorze, otoczonym posepnymi górami, gdy wschodzący księżyc oświetla *swoim* białym blaskiem Akrokorynt i kolumny świątyni na Eginie<sup>4</sup>. Stoimy o kilkaset kroków od wyspy, naprzeciw ogrodów ocienionych pięknymi jaworami. Kilka białych domów błyszczy wśród zieleni. Spoczynek i spokojna wieczerza na pokładzie po dniu nie-

bezpieczeństw i trudów: oto życie podróżnych i człowieka na ziemi.

Po, prawej stronie wyspa Egina, łagodząc swoje stoki czarne i spadziste, rozściela nad zatoką pasmo ziemi porośniętej kilku cyprysami, winem i drzewami figowymi; na krańcu tego pasma wznosi się miasto: nie jest ono tak dziwacznie zbudowane jak te kilka miast greckich, któreśmy widzieli; gimnazjon wzniesiony przez Capo d'Istria bieli się pośrodku, jego muzeum<sup>5</sup> — nie pójdę tam, znudziły mnie muzea, ten cmentarz sztuk pięknych: odłamki oderwane od swoich miejsc, od swojego przeznaczenia i od całości są martwe; to tylko pył marmuru bez życia.

Wychodzę sam na ląd i dwie urocze godziny spędzam w ogrodzie cyprysów i drzew pomarańczowych, własności Gorgio Beja z Hydry. O dziesiątej wracam na statek; schodząc z drabiny, zastaję pół pokładu całkiem zakrytego stosami arbuzów i melonów, ogromnymi koszami winogron rozmaitego kształtu i barwy — niektóre z nich ważyły trzy do czterech funtów — fig attyckich i wielkich kwiatów, jakich tylko pora roku i klimat dostarczyć mogą. Powiedziano mi, że to Mikołaj Scuffo, gubernator Eginy, dowiedziawszy się poprzedniego dnia od mojego przewodnika greckiego, że płynę przez zatokę, przybył mnie odwiedzić w barce napelnionej darami jego ziemi; w moim nazwisku poznał przyjaciela Grecji i złożył mi pierwszy dowód tej pomyślności, której tyle szlachetnych serc pragnęło dla jego ojczyzny. Oznajmił, że wieczorem jeszcze nas odwiedzi. Proszę kapitana Cuneo d'Ornano o łódź i spieszę do Eginy, aby złożyć podziękowanie gubernatorowi; spotykam go na morzu i wracamy razem na mój pokład. Człowiek wytworny, w rozmowie pełen dowcipu; mówimy o Grecji, o jej przyszłym stanie i o obecnym przesileniu; z żalem dowiaduję się, że duch religijny przygasł w Grecji, że nie-oświecone duchowieństwo jest przedmiotem pogardy: duch handlu jednak nie ma tyle mocy, aby wskrzesić lud; obawiam się o Greków, aby za pierwszym przesileniem europejskim nie podzielili się na zawsze; tu, jak we Włoszech, są ludzie nadzwyczaj zdolni, odważni; są poszczególni ludzie, wspaniałe jednostki, ale brak wspólnego ogniwa. Są Grecy, lecz nie ma narodu.

18 [sierpnia] w południe opuściwszy Eginę, widzimy, jak gasnące słońce w złocistym wąwozie wód na Przesmyku Korynckim między Akrokoryntem i Górami Attyckimi zapala całą część nieba i tu właśnie po raz pierwszy spostrzegamy ową wspaniałość firmamentu, która nadaje Wschodowi powabu i sławy.

Salamina, mogiła floty Kserksesa, o kilka kroków przed nami; wybrzeże szare, ziemia czarniawa, cały jej urok w nazwie; żeglarz wita ją z uszanowaniem przez pamięć o bitwie morskiej i o Temistoklesie. Góry Attyckie wznoszą się nad Salamina czarnymi wierzchołkami, a po prawej stronie, na jednym z unizających się szczytów Eginy, świątynia Jowisza Panhelleńskiego<sup>8</sup>, ozłocona ostatnimi promieniami dnia, góruje nad tą sceną, jedną z najpiękniejszych w przepojonej historią przyrodzie, i dorzuca pamięć religii do tej pamiątki miejsc i czasów. Myśl religijna ludzkości łączy się z wszystkim i uświęca wszystko, ale religia Greków, religia rozumu i wyobraźni, a nie serca, nie czyni na mnie najmniejszego wrażenia; wiadomo bowiem, że bóstwa tego ludu były tylko igraszką poezji i sztuki, bóstwami zmyślonymi, wymarzonymi: przed Sokratesem i Platonem nie było nic poważnego, nic rzeczywistego, nic czerpanego z głębi przyrody i duszy człowieka. Z nimi zaczyna się religia rozumu. Potem następuje chrześcijaństwo, które od swojego boskiego Założyciela otrzymało słowo i klucz przeznaczenia ludzkiego. Wieki barbarzyństwa, przez które przedzierać się musiało, nim do nas doszło, zmieniały je często i przekształcały; ale gdyby padło na Platonów i Pitagorasów, jakże bylibyśmy już dziś daleko! Dojdziemy tam dzięki chrześcijaństwu, dojdziemy przez nie i z nim!

Nastała cisza i sześć godzin płyniemy spokojnie po przejrzystym morzu w ubarwionych mgłach zatoki pod Atenami. O trzy mile przed nami Akropolis i Partenon, podobne do ołtarza, ukazują się na tle gór Pentelikonu, Hymetu i Anohesmus; w istocie Ateny są ołtarzem bogów, najpiękniejszym fundamentem, na którym minione wieki mogły umieścić posąg ludzkości. Dziś ich krajobraz jest ponury, smutny, ciemny, jałowy, opuszczony, ciężarem kładzie się na sercu; nie ma tu życia, zieleni, wdzięku, ruchu; wyczerpaną przyrodę tylko Bóg mógłby ożywić, wolność temu nie poddała; dla poety i malarza na tych jałowych górach, na tych przyładkach bielejących zwalonymi świątyniami, na tych pustych, bagnistych lub kamienistych brzegach, z których pozostały tylko dźwięczne nazwy, wryte są słowa: „Skończone!” Ziemia apokaliptyczna, którą jak gdyby dotknęło przekleństwo Boga, jakieś wielkie słowo proroka; Jerozolima narodów, w której nie ma nawet grobu: oto jakie wrażenie budzą Ateny, brzegi At-tyki, wyspy i Peloponez.

19 sierpnia, o ósmej rano, przyплыliśmy do Pireusu, zarzucamy kotwicę. Konie oczekiwały nas na brzegu, dosiadamy ich. Znajduję osła i siodłałam go po damsku dla Julii; jedziemy. Przez

pół mili równina, choć o lekkiej glebie, zdatna do uprawy i u-rodzajna, jest całkiem jałowa i pusta. W czasie wojny Turcy spalili /gaj oliwny, który ciągnął się aż do morza: widać jeszcze kilka pni szernionych. Wjeżdżamy do gaju oliwnego i figowego, który jakby zieleniejącą się przepaską otacza wysuniętą grupę wzgórz ateńskich. Posuwamy się wzdłuż widocznych jeszcze fundamentów zbudowanego przez Temistoklesa długiego muru, który łączył miasto z Pireusem; widać kilka tureckich studni otoczonych zwykłymi korytami z nieociosanego kamienia. Wieśniacy greccy i kilku żołnierzy tureckich leży przy tych studniach i podają sobie wzajemnie wodę. Na koniec przejeżdżamy pod wysokimi murami i czarnymi skałami, które stanowią podstawę Partenonu. W miarę jak się zbliżamy, Par tenon nie tylko się nie powiększa, lecz przeciwnie, jak gdyby się zmniejsza. Wrażenie, które sprawia ta budowla — według odwiecznie powtarzanego zdania najpiękniejsza, jaką kiedykolwiek wzniosła dłoń ludzka — tak widziana, nie odpowiada w niczym temu, czego się spodziewamy, toteż napuszone opisy podróźnych, malarzy lub poetów smutkiem przytłaczają serce, kiedy ogląda się tę rzeczywistość tak daleką od ich obrazów. Partenon nie jest ozłocony jakby skamieniałymi promieniami słońca Grecji, nie unosi się w obłokach jak napowietrzna wyspa, dźwigająca boski zabytek, nie świeci bynajmniej z dala na morza i na lądy jak latarnia morska, która powiada: „Tu są Ateny! Tu człowiek wyczerpał swój geniusz i wyzwiał przyszłość!” Nie, nic z tego nie ma. Widać nad głową wznoszące się bezładnie stare czarniawe mury, znaczone białymi plamami. Te plamy to marmurowe szczątki pomników, które wieńczyły już Akropol, nim go- odbudowali Perykles i Fidiasz. Nad tymi murami, podpartymi w regularnych odstępach innymi murami, wznosi się czworograniasta wieża w stylu bizantyjskim z blankami weneckimi.<sup>7</sup> Mury opasują rozległą wyniosłość, na której znajdowały się prawie wszystkie święte budowle miasta Tezeuszowego.<sup>9</sup> W końcu owej wyniosłości, od strony Morza Egejskiego, wznosi się Partenon, czyli świątynia Minerwy, dziewicy, co wyszła z głowy Jowisza. Świątynia z czarniawymi kolumnami, a na niej gdzieniegdzie jasne białe plamy: są to ślady dział tureckich lub młota obrazoburców.<sup>1</sup> Ma kształt prostokąta: zdaje się za niska i za mała jak na jej monumentalne położenie. Nie mówi jak gdyby sama z siebie: „To ja; jestem Partenon, nie mogę być czym innym.” Trzeba się o to spytać przewodnika, a kiedy ci odpowiedział, jeszcze o tym wątpisz.

Nieco dalej, u podnóża Akropolu, przejeżdża się pod niską

i ciemną bramą, pod którą kilku Turków w łachmanach leży obok bogatej i pięknej ich broni, i oto Ateny. Pierwszy zabytek wart uwagi to świątynia Jowisza Olimpijskiego<sup>10</sup>, której wspaniałe kolumny, niby portyk miasta ruin, wznoszą się samotnie na miejscu pustym i nagim, na prawo od tego, co było Atenami. Kilka kroków stąd wjeżdżamy do miasta, czyli do nie dającego się rozwikłać labiryntu wąskich drożyn, zarzuconych bezładnie szczątkami zwalonych murów, połamanymi dachówkami, kamieniami i kawałkami marmuru, to zjeżdżając w podwórze jakiegoś zburzonego domu, to znów wjeżdżając na schody albo nawet na dach innego domu, do małych, białych, pospolitych, nędznych ruder, do zwaliska zwalisk, do jakichś nor brudnych, cuchnących, gdzie tłoczą się i ukrywają całe rodziny wieśniaków greckich. Gdzieś tam, na odgłos stapania naszych koni, kilka kobiet z czarnymi oczyma i pełnymi wdzięku rysami atenek wyszło na próg: uśmiechały się do nas uprzejmie, ze zdziwieniem i zasyłały nam uprzejme powitanie Attyki: „Witajcie w Atenach, panowie cudzoziemcy!” Po kwadransie przybywamy pośród takich samych obrazów spustoszenia, takich samych stosów obalonych ścian i zapadniętych dachów do skromnego mieszkania pana Gaspari, ajenta naszego konsulatu w Atenach. Posłałem mu rano list polecający mnie jego względom. Było to zbyteczne, uczynność bowiem jest cechą prawie wszystkich naszych agentów w obcych krajach. Pan Gaspari przyjął nas jak nieznanymi przyjaciół, posłał natychmiast swojego syna, aby wyszukał dla nas mieszkanie w jakimś niezupełnie zwalonym domu, a tymczasem jedna z jego córek, atenka, miła i wdzięczna obraz dziedzicznej piękności kobiet tego kraju, skwapliwie i skromnie podawała nam mrożony sok pomarańczowy w glinianych naczyniach starożytnego kształtu. Gdy orzeźwiliśmy się nieco w tym skromnym przytułku prostej, serdecznej gościnności, którą tak słodko napotkać pod rozpalonym niebem, o osiemset mil od rodzinnego kraju, po dniu burzy, słońca i kurzu, pan Gaspari, wciąż poprzez owe zwaliska, zaprowadził nas do dolnej części miasta, do czystego, białego domu, który niedawno zbudowano i gdzie Włoch, pan \*\*\*, założył oberżę. Kilka izb wybielonych i porządnie umeblowanych, dziedziniec ochładzany źródłem i odrobiną cienia, u stóp schodów piękna łwica z białego marmuru, obfitość owoców i jarzyn, miód z Hymetu, spotwarzony przez; pana de Chateaubriand<sup>11</sup>, służba grecka, rozumiejąca po włosku, pilna i pojętna, wszystko to wśród zupełnego zniszczenia i ogołocenia Aten miało dla nas wartość podwójną.

Trudno by znaleźć coś lepszego, podróżując po Włoszech, Anglii lub Szwajcarii. Oby ta oberża zdołała się utrzymać i rozkwitała na pociechę i dla wygody przyszłych podróżnych! Ale, niestety, od czterdziestu ośmiu dni ani jeden cudzoziemiec nie przestąpił jej progu, nie zakłócił ciszy.

Wieczorem przyszedł pan Gropius i ofiarował się łaskawie o-prowadzić nas po Atenach oraz udzielić nam stosownych objaśnień. ~ Równie szczęśliwi jak niegdyś pan de Chateaubriand, o-prowadzany po zwaliskach Aten przez pana Fauvela<sup>12</sup>, znaleźliśmy w panu Gropiusie drugiego Fauvela, który, przebywając tu od trzydziestu dwóch lat, stał się atenczykiem i podobnie jak jego mistrz zbudował sobie na starość dom wśród ruin miasta, w którym przepędził młodość i któremu, ile może, dopomaga wydobyć się po raz setny z jego poetycznego pyłu. Pan Gropius, konsul austriacki w Grecji, człowiek uczony i rozumny, łączy z najsumienniejszą i najgłębszą wiedzą o starożytności ową cechę naiwnej dobroduszości i pełnej uroku bezradności, które charakteryzują prawdziwych, godnych synów uczonych Niemiec. Nie-sprawiedliwie oskarżony przez lorda Byrona w jego uszczypliwych uwagach o Atenach<sup>13</sup>, za zniewagę nie odplacił zniewagą pamięci wielkiego poety, ubolewał tylko, że jego nazwisko powtarzało się w kolejnych wydaniach, narażając go na gniew nieświadomych rzeczy fanatyków starożytności, ale nie chciał się usprawiedliwiać; i nikt, kto jest tu świadkiem ciągłych usiłowań, których nie szczędzi ten znakomity człowiek, aby przywrócić bodaj jeden wyraz w jakiejś inskrypcji, odnaleźć zagubiony fragment jakiegoś posągu albo właściwy kształt czy datę powstania jakiego zabytku, nie wątpi, że pan Gropius nigdy nie uchybił temu, co uwielbia, ani też nie zamienił najszlachetniejszej i najbezinteresowniejszej z nauk, jaką jest wiedza o starożytności, na nikczemny handel.

Dla podróżnego tak nieświadomego jak ja dni z podobnym człowiekiem tyle znaczyły co lata. Prosiłem go, aby mi oszczędził oglądania wszystkich zabytków wątpliwych, wszystkich sławności umownych, wszystkich piękności już usystematyzowanych. Nienawidzę kłamstwa i przesady we wszystkim, lecz szczególnie w uwielbieniu. Chcę widzieć tylko to, co Bóg lub człowiek uczynił pięknego; piękność obecną, rzeczyswistą, dotykalsną, przemawiającą do oka i do duszy, a nie piękność ze względu na miejsce i epokę: piękność oglądana przez szkieleko historii lub estetyki należy do uczonych. Do nas, poetów, należy piękność widoma, taka, jaką można odczuć, nie jesteśmy bowiem istotami ab-



strakcyjnymi, ale ludźmi przyrody i instynktu; tak właśnie kilkakrotnie przebiegałem Rzym, tak zwiedzałem morza i góry, czytałem mędrców, historyków i poetów; tak też zwiedziłem Ateny.

Wieczór był piękny i czysty: płomieniste słońce, zatopione w fioletowej mgłę, zachodziło za czarne i wąskie pasmo Przesmyku Korynckiego i ciskało ostatnie pęki promieni na blanki Akropolu, które, jak korona okalająca wieżę, trwały nad szeroką, pofałdowaną doliną, gdzie spoczywa milczący cień Aten. Wyszliśmy drożynami bez nazw i śladów, co chwila przechodząc przez wyłomy zburzonych murów ogrodowych, mijając domy bez dachów albo stopy gruzów wznoszące się na okrytej białym kurzem ziemi attyckiej; w miarę jak schodziliśmy w głęboką i pustą dolinę, którą oceniają świątynia Tezeusza, Pnyks, Areopag i Wzgórze Nimf<sup>14</sup>, z lewej strony pojawiało się coraz to rozległe miasto nowoczesne, podobne we wszystkim do tego, co widzieliśmy gdzie indziej. Było to bezładne, ogromne, posępne, nieporządne skupisko zrujnowanych chat, szczątków jeszcze stojących murów, zapadłych dachów, spustoszonych ogrodów i dziedzińców, stosów kamieni tamujących przejścia i staczających się pod nogi; wszystko to ma barwę świeżych zwalisk, barwę owej przymglonej, bezsilnej, spłowiełej starości, w której oko nie dostrzega ani świętości minionego czasu ani uroku ruin. Całą roślinność stanowiły trzy, cztery palmowe drzewa, podobne do tureckich minaretów, wznoszących się jeszcze nad zburzonym miastem; gdzieniegdzie kilka domów kształtu pospolitego i nowoczesnego, świeżo zbudowanych przez jakichś Europejczyków czy Greków z Konstantynopola. Domy podobne do naszych zabudowań wiejskich we Francji lub w Anglii, dachy wysokie, bez gustu, okna liczne i wąskie; brak tarasu, linii architektonicznych, ozdób; są to właściwie oberże, zbudowane w przewidywaniu nowego zniszczenia; nie mają w sobie nic z owych wspaniałych domów, jakie naród cywilizowany wznosi z ufnością dla siebie i dla przyszłych pokoleń. Wśród tego chaosu widać, lecz tylko gdzieniegdzie, kilka fragmentów stadionu, kilka czarniawych kolumn Łuku Hadriana czy Lazory, szczyt Wieży Wiatrów lub Latarni Demostenesa<sup>15</sup>, które ściągają na siebie spojrzeń, lecz go nie zatrzymują.

Przed nami, na skalnym piedestale, wznosiła się zachowana niemal w całości, stojąca oddzielnie, odsłonięta ze wszystkich stron, świątynia Tezeusza, rysując się w całej swojej okazałości na tle szarego pagórka; według zdania uczonych jest to po Partenonie najpiękniejsza ze wszystkich świątyń, jakie Grecja wystawiła

swoim bogom czy bohaterom. Świadomy z lektury piękności tego zabytku, zdziwiłem się, będąc niego blisko, że nie uczynił na mnie żadnego wrażenia; serce usiłowało się wzruszyć, oko podziwiać — daremnie. Odczułem to tylko, czego się doświadcza na widok dzieła bez wad: zwykle zadowolenie, ale prawdziwego, silnego wrażenia jakiejś nowej, potężnej, instynktownej • radości — wcale. Ta świątynia jest za mała, to kunsztowna igraszka. Nie jest to pomnik dla bogów, dla ludzi, dla wieków. Doznałem tylko chwilowego uniesienia, i to wtenczas, kiedy usiadłszy u zachodniego węgła świątyni, na ostatnich stopniach schodów, ogarnąłem jednym spojrzeniem wspaniałą harmonię jej kształtów i majestatyczną wytworność jej kolumn, puste i ciemniejsze od otoczenia wnętrza jej przedsionka, płaskorzeźby przedstawiające walkę Centaurów i Lapitów na jej fryzie wewnętrznym, a nad nią, widoczne przez otwór w środku, błękitne i jaśniejące niebo które rozlewa swój tajemniczy i pogodny blask na gzymsy i wypukłe postaci barielfów, co zdawały się żyć i poruszać. Tylko wielcy artyści posiadają ten dar nadawania życia — kosztem, niestety, własnego życia. W Partenonie zostały jedynie dwa posągi: Marsa i Wenery<sup>16</sup>, przez pół przygniecione dwoma ogromnymi odłamami gzymsu, które zsunęły się na ich głowy, ale te dwa posągi w moich oczach warte są więcej niż wszystkie rzeźby, jakie kiedykolwiek widziałem: są tak żywe jak żadne płótno czy marmur. Przytłaczający je ciężar budzi w nas cierpienie, chciałoby się ulżyć ich członkom, które, preżąc się, zdają się uginać pod tym brzemieniem; czujemy, że dłuto Fidiasza drżało, pałało mu w dłoni, kiedy te wzniosłe postaci rodziły się pod jego palcami. Czujemy, i to nie jest ułudą, lecz prawdą, prawdą bolesną, że artysta wlewał własną indywidualność, własną krew w kształty, w żyły tych istot, które tworzył, i że widzimy jeszcze cząstkę jego istnienia, drżącą w tych żyjących postaciach, w tych członkach gotowych się poruszyć, w tych ustach gotowych przemówić.

Nie, sława świątyni Tezeusza przewyższa jej wartość; ona nie żyje jako pomnik, nie mówi nic z tego, co powinna; jest piękna, to oczywiste, ale pięknnością zimną, martwą, z której artysta powinien by zrzucić całun i otrząsnąć pył; podziwiam ją, ale odchodzę bez najmniejszej chęci zobaczenia jej powtórnie. Od pięknych kamieni kolumnady Watykanu, od majestatycznego, ogromnego cienia Świętego Piotra w Rzymie nigdy nie odchodziłem bez żalu i bez nadziei, że do nich wrócę.

Nieco wyżej, wdzierając się na czarne wzgórze, pokryte ostem

i czerwonymi kamyczkami, dociera się na Pnyks, miejsce burzliwych zgromadzeń ludu ateńskiego i krótkotrwałych triumfów jego mówców i ulubieńców. Ogromne odłamy czarnego kamienia, z których kilka ma od dwunastu do trzynastu stóp sześciennych, leżą jedno na drugim i tworzą taras, gdzie się gromadził lud. Jeszcze trochę wyżej, w odległości może pięćdziesięciu kroków, widać ogromny blok kwadratowy, a w nim wykute schody, które służyły zapewne mówcy wchodzącemu na tę trybunę, górującą nad ludem, miastem i morzem: nie ma w tym najmniejszej nawet cechy oglady ludu Peryklesa, trąci to Rzymem. Wspomnienia tego miejsca są piękne. Stąd przemawiał Demostenes, poruszał lub uspokajał owo morze ludowe, burzliwsze niż Morze Egejskie, którego huk mógł także słyszeć za sobą. Usiadłem tu sam, zamyślony, i siedziałem prawie aż do nocy, przypominając sobie całą tę historię, najpiękniejszą, najwzięźlejszą, najburzliwszą z dziejów ludzi, co władali mieczem lub słowem. Jakaż to epoka dla geniuszu i ileż geniuszu, ile wielkości, ile mądrości, światła, męstwa nawet (niedaleko stąd przecie umierał Sokrates) było w tej epoce! Teraz jest podobna chwila w Europie, a zwłaszcza we Francji, tych prostackich Atenach obecnych czasów. Ale to tylko elita Francji i Europy jest Atenami, tłum jest jeszcze barbarzyński. Wyobraźmy sobie, że Demostenes przemawia swoim językiem, pełnym ognia, dźwięcznym, barwnym, na zgromadzeniu ludowym w którymś z naszych nowoczesnych miast; któż by go zrozumiał? <sup>17</sup> Nierówność wychowania i oświaty jest wielką przeszkodą w powszechności naszej współczesnej cywilizacji. Lud jest panem, ale nim być nie jest zdolny; oto dlaczego wszędzie tylko niszczy i nigdzie nie wznosi nic pięknego, trwałego i wspaniałego. Wszyscy Ateńczycy rozumieli Demostenesa, znali swój język, oceniali wartość swoich praw i swoich sztuk. Był to naród ludzi doborowych: miał namiętności ludu, ale nie miał jego nieświadomości; popełniał zbrodnie, ale nie popełniał głupstw. <sup>18</sup> Tak już nie jest; oto dlaczego demokracja, konieczna ze stanowiska prawa, wydaje się w istocie niemożliwa w zastosowaniu do wielkich nowoczesnych zbiorowisk ludzkich. Czas jedynie sprawi, że ludy będą zdolne rządzić się same. Ich wychowanie odbywa się poprzez rewolucje.

Los mówcy, Demostenesa czy Mirabeau, dwóch tylko godnych tego miana, jest ponętniejszy niż los filozofa lub poety; mówca ma zarazem udział i w sławie pisarza, i w potędze tłumów, nad którymi i przez które działa: jest to filozof-król, jeżeli jest filozofem, ale jego broń jest straszliwa — lud — kruszy się w jego

rękach, rani go i nawet zabija/ a wreszcie to, co czyni, co mówi, budząc w ludziach namiętne uczucia, przekonania, przelotne zainteresowania, wszystko to ze swojej natury nie jest trwałe, nie jest wieczne; poeta, a przez poetę rozumiem każdego, co stwarza myśli w spiżu, w kamieniu, prozą, słowem lub śpiewem, poeta, przeciwnie, budzi tylko to, co nie podlega zniszczeniu "w naturze i w sercu ludzkim; czasy mijają, języki zużywają się, ale on zawsze trwa, zawsze jest sobą, równie wielki, równie nowy, równie władający duszą swoich czytelników; los jego jest mniej ludzki, bardziej boski; poeta przewyższa mówcę.

Pięknie byłoby połączyć te dwa przeznaczenia: nikt tego nie osiągnął, a przecież nie ma najmniejszej sprzeczności między czynem i myślą w duchu doskonałym; czyn jest dzieckiem myśli, ale ludzie zawistni o każdą wyższość nigdy nie przyznają dwóch władz jednej głowie; przyroda jest mniej surowa. Ludzie wypędzają z dziedziny czynu tego, kto odznaczy się w dziedzinie ducha i słowa; nie chcą, aby Platon był twórcą rzeczywistych praw, a Sokrates rządził miastem.

Zwróciłem się do beja tureckiego Jusufa, komendanta Attyki, o pozwolenie wejścia z moimi przyjaciółmi do cytadeli i zwiedzenia Partenonu. Przysłał janczara, aby mi towarzyszył. Wyruszyliśmy dwudziestego [sierpnia] o piątej rano w towarzystwie pana Gropiusa. Wszystko niknie wobec niezrównanego wrażenia, jakie sprawia Partenon, ta świątynia świątyń, zbudowana przez Setina<sup>19</sup> na rozkaz Peryklesa, ozdobiona dłutem Fidiasza, jedyny i wyłączny wzór piękności w sztukach budownictwa i rzeźby, boskie objawienie idealnego piękna, otrzymane pewnego dnia przez lud-artystę, który je przekazał potomności w wiecznotrwałych odłamach marmuru i w rzeźbach, co żyć będą zawsze. Ten pomnik, jaki był w całości, ze swoim położeniem, ze swoją podstawą naturalną, ze swoimi stopniami zdobnymi w posągi dotąd niezrównane, ze swoimi ogromnymi kształtami, z wykonaniem wykończonym we wszystkich szczegółach, ze swoim budulcem, barwą, skamieniałym światłem, ten pomnik od wieków przytłacza, budząc uwielbienie, lecz go nie zaspokajając; widząc go w obecnym stanie, tak jak go teraz widzę, z jego majestatycznymi szczątkami, które ostały się po bombach weneckich, po wybuchu prochowni podczas oblężenia przez Morosiniego, po uderzeniach młota Teodora, po działach Turków i Greków<sup>20</sup>, widząc jego kolumny w ogromnych złomach leżące na posadzkach, jego zniszczone kapitele, jego tryglify rozbite przez agentów lorda Elgina<sup>21</sup>, jego posągi zabrane przez okręty angielskie, widząc tylko

to, co zostało z tego zabytku, wiem już, że jest to najdoskonalszy - poemat napisany w kamieniu na powierzchni ziemi; ale i to także wiem, że jest zbyt mały, że efekt, który budzi, jest chybiony albo unicestwiony. Leżąc w cieniu Propylejów, spędzam uroczę godziny z oczyma wlepionymi w zrujnowany fronton Partenonu; czuję całą starożytność w tym, co wydała najwznioślejszego, reszta niewarta nawet opisu. Widok Partenonu więcej przekonywa niż historia o kolosalnej wielkości tego ludu. Perykles nie powinien był umrzeć. Jaka to była nadludzka cywilizacja, która znalazła wielkiego człowieka do wydania rozkazu, architekta — do sporządzenia planu, rzeźbiarza — do obmyślenia ozdób, snycerzy — do ich wykonania, robotników — do ciosania kamieni, lud — do opłacenia, i oczy — do zrozumienia i podziwiania podobnej budowy! Gdzie znajdzie się znowu i czas, i lud podobny? Nic ich nie zapowiada. W miarę jak człowiek się starzeje, traci siłę, zapał, bezinteresowność, niezbędne do uprawiania sztuk pięknych. Propyleje, świątynia Erechteja, czyli Kariatyd, wznoszą się obok Partenonu. Są to arcydzieła, ale arcydzieła przyćmione; duszą, zbyt głęboko poruszona widokiem pierwszej z tych budowli, już nie ma sił do podziwiania pozostałych; trzeba spojrzeć i odejść, mniej oplakując zburzenie tego nadludzkiego dzieła niż niepodobieństwo, aby człowiek dorównał mu kiedykolwiek we wzniosłości i harmonii. Są to objawienia, których Niebo dwa razy nie daje śmiertelnym; można je porównać do Księgi Hioba lub do Pieśni nad Pieśniami, do poematu Homera lub do muzyki Mozarta; to powstaje, widzi się to i słyszy; potem już nie powstaje i nigdy się tego nie zobaczy i nie usłyszy aż do skończenia wieków. Szczęśliwi ci, przez których płynie boskie natchnienie; umierają, ale dowiedli człowiekowi, czym może być człowiek, a Bóg wzywa ich do siebie, aby Go sławili już gdzie indziej, w języku jeszcze potężniejszym. Cały dzień błędę w milczeniu po tych zwaliskach i wracam z oczyma olśnionymi pięknnością kształtów i barw, z sercem pełnym wspomnień i podziwu. Gotyk jest piękny, ale brak mu porządku i światła. Porządek i światło to dwie podstawy każdego wiecznotrwałego dzieła. Żegnam gotyk na zawsze. Podług mnie, najtrudniejsze ze wszystkich dziedzin pisarstwa jest tłumaczenie. Otóż podróżować — to tłumaczyć, tłumaczyć oczom, myśli, duszy czytelnika miejsca, barwy, wrażenia, uczucia, jakie przyroda lub dzieła ludzkie budzą w podróżującym. Trzeba zarazem umieć patrzeć, czuć i wyrażać. A jak wyrażać? Ani liniami i farbami jak malarz, co jest łatwe i proste; ani

dźwiękami jak muzyki; ale wyrazami i pojęciami, które nie zawierają w sobie ani dźwięków, ani linii, ani barw. Takie myśli nasuwały mi się, gdy siedziałem na schodach Partenonu, mając przed oczyma Ateny, lasek oliwny Pireusu i błękitne Morze Egejskie, a nad głową majestatyczny cień fryzu<sup>22</sup> świątyni świątyń. Chciałem unieść dla siebie pamiątkę żywą, pamiątkę pisaną w tej właśnie chwili mojego życia. Czuję, że ten chaos marmuru, tak wzniosły, tak malowniczy, zniknie z mojej pamięci, a pragnąłem móc odnaleźć go znowu w przyszłych chwilach mojego codziennego życia. Piszmy więc: nie będzie to Partenon, lecz bodaj cień tego wielkiego cienia, który dziś unosi się nade mną.

Spółrodka zwalisk, co były Atenami, a które działa Greków i Turków zamieniły w proch i rozniosły po całej dolinie i po dwóch wzgórzach, na których rozciągało się miasto Minerwy, wznosi się góra ze wszystkich stron prostopadła. Opasują ją o-gromne mury, budowane u podstawy z odłamków białego marmuru, a nieco wyżej ze szczątków fryzów i kolumn starożytnych, gdzieś zakńczonych weneckimi blankami. Ta góra przypomina jakiś wspaniały piedestał, wyciosany dłonią bogów, aby na nim stawiać im ołtarze. Jej wierzchołek, zrównany pod budowę tych świątyń, ma zaledwie pięćset stóp długości, a dwieście do trzystu szerokości. Panuje nad wszystkimi wzgórzami, które stanowiły krainę starożytnych Aten, nad dolinami Pentelikonu, nad biegiem Ilissosu i nad równiną Pireusu, nad pasmem dolin i wierzchołków, które zaokrąglały się i ciągną aż do Koryntu, i na koniec nad morzem omywającym Salaminę i Eginę, gdzie błyszczą na szczycie frontony świątyni Jowisza Panhelleńskiego.<sup>23</sup> Ten widok jeszcze dziś czaruje, chociaż wszystkie wzgórza są nagie i jak wygładzony spiz odbijają promienie słońca Attyki. Ale jakież widok musiał mieć przed oczyma Platon, kiedy Ateny żywe, zdobne tysiącem pomniejszych świątyń, brzęczały u jego nóg jak przepełniony ul, kiedy wielki mur pirejski wytyczał aż do morza ruchliwą ulicę z kamieni i marmuru, po której ludność ateńska, jak fale morskie, bezustannie szła tam i na powrót, kiedy Pireus i port Faleronu, i morze pod Atenami, i Zatoka Koryncka były pokryte lasem masztów i jasnych żagli, kiedy stoki wszystkich gór, począwszy od tych, co kryją Maraton, aż do korynckiego akropolu — czterdziestomilowy półokrągły amfiteatr — były poprzecinane lasami, pastwiskami, drzewami oliwnymi i winnicami, kiedy wsie i miasta ze wszystkich stron ozdabiały ten wspaniały łańcuch gór!

Widzę stąd tysiączne drogi, które wiodły z tych gór, oznaczone

na bokach Hymetu, we wszystkich zakrętach wąwozów i dolin, co jak łożyska potoków mają swoje ujście w Atenach. Kamieniarze dobywają marmur w kamieniołomach Pentelikonu; słychać łoskot brył toczących się po stromych zboczach i wszystkie te odgłosy, które napelniają życiem i wrzawą przedmieścia wielkiej stolicy. Widzę, jak od strony miasta Droga Święta, wykutą w zboczu Akropolu, idą pobożni mieszkańcy Aten, aby błagać Minerwę i wdychać kadzidła palone bóstwom domowym tu właśnie, gdzie teraz siedzę i gdzie oddycham już tylko pyłem tych świątyń.

Odbudujmy Partenon; bardzo to łatwo; stracił tylko swój fryz i kasetony<sup>24</sup>. Ściany zewnętrzne, okute rzeźbami dłuta Fidiasza, kolumny, czy szczątki kolumn, jeszcze tu są. Partenon był w całości zbudowany z białego marmuru zwanego pentelickim, od nazwy pobliskiej góry, z której go wydobywano. Miał postać prostokąta, otoczonego perystylem z czterdziestu sześciu kolumn porządku doryckiego. Każda kolumna ma sześć stóp średnicy u podstawy, a trzydzieści cztery stopy wysokości. Kolumny opierają się bezpośrednio na posadzce świątyni i nie mają baz. W obu końcach świątyni jest, czy raczej był, portyk sześciokolumnowy. Cała budowa ma dwieście dwadzieścia osiem stóp długości, sto dwie stopy szerokości, a sześćdziesiąt sześć stóp wysokości. Przedstawiała oku wspaniałą prostotę swoich linii architektonicznych. Była to jednolita myśl z kamienia, jednolita i dająca się ogarnąć jednym spojrzeniem, jak myśl starożytna. Trzeba było się przybliżyć, aby przypatrzeć się bogactwu materiałów oraz niedoścignionej doskonałości ozdób i szczegółów. Perykles chciał ją uczynić zarówno zbiorem wszystkich arcydzieł geniuszu i ręki człowieka, jak hołdem dla bogów; był to więc geniusz grecki w całej swojej pełni, sam ofiarujący się pod tą postacią w hołdzie dla bóstwa. Imiona tych wszystkich, którzy ciosali kamień lub wyrzeźbili posągi Partenonu, stały się nieśmiertelne.

Zapomnijmy o przeszłości, a spójrzmy teraz wkoło nas, teraz, kiedy wieki, wojny, religie barbarzyńskie, głupstwo ludów depczą tę świątynię prawie od dwóch tysięcy lat.

Lasowi białych kolumn kilku zaledwie brakuje; leżą w całych jasnych blokach na ziemi lub na sąsiednich świątyniach. Niektóre z nich, jak wielkie dęby w Fontainebleau, zatrzymały się, pochylone, na innych kolumnach, inne zsunęły się z wysokości muru otaczającego Akropol i leżą potrząskane, jedne na drugich jak w kamieniołomie odłamy odrzucone przez budowniczego. Boki ich złocą się ową słoneczną patyną, którą wieki powlekają mar-

mur, ale miejsca strzaskane są tak białe jak dopiero wczoraj wypolerowana kość słoniowa. Z tej strony świątyni tworzą istny chaos marmurów rozmaitych kształtów i barw, narzuconych, natłoczonych w najdziwaczniejszym i najwspanialszym nieładzie: z daleka można by sądzić, że to piana ogromnych fal, co rozbijają się i bielą na przylądku omywanym przez morze. Nie sposób oderwać od nich wzroku: patrzy się na nie, śledzi, podziwia, żałuje, z tym uczuciem, jakiego byśmy doznawali względem istot, które by miały lub jeszcze mają poczucie życia. Jest to najwznieślejse wrażenie zwalisk, jakie ludzie mogli kiedykolwiek sprawić, ponieważ są to zwaliska tego, co wykonali najpiękniejszego.

Kiedy wchodzi się pod perystyl albo do portyków, można by mniemać, że właśnie ukończono budowę; wewnętrzne ściany są w tak dobrym stanie, powierzchnia marmuru tak połyskliwa i gładka, kolumny tak proste, pozostałe części budowli w tak dziwny sposób nietknięte, że wszystko zdaje się wychodzić właśnie z rąk robotnika; tylko niebo lśniące blaskiem jest jedynym dachem Partenonu, a wzrok przez szczyby murów sięga w głąb niezmiernego, rozległego widnokręgu Attyki. Ziemia dokoła jest gęsto zasłana odłamkami rzeźb lub fragmentami ozdób architektonicznych, jak gdyby oczekującymi dłoni, która powinna je podnieść i umieścić tam, gdzie należy, na oczekującym je monumencie. Co krok potrącamy arcydzieła greckiego dłuta; podejmujemy je, odrzucamy, aby podnieść jakiś ciekawszy odłamek; wreszcie nuży nas ta bezużyteczna praca, wszystko bowiem jest tylko w gruz zamienionym arcydziełem. Stopy wyciskają ślad w pyłe marmurowym, na który w końcu spoglądamy obojętnie i pogrążeni w rozważaniu całości, w tysiącnych myślach rodzących się na widok każdego odłamka, stajemy się niemi i nieczuli. Te myśli są tej samej natury co sceneria, pośród której przychodzą; poważne jak te gruzy ubiegłych wieków, jak te wspaniałe świadectwa ludzkiej znikomości, ale pogodne jak niebo, które rozacza się nad naszymi głowami, przepojone harmonijnym i czystym blaskiem, wzniosłe jak piedestał Akropolu, który zdaje się unosić ponad ziemią, uległe i pobożne jak ów pomnik wzniesiony myśli boskiej, któremu Bóg dozwolił runąć przed sobą, aby ustąpił miejsca myślom bardziej boskim. Tu nie czuje wcale smutku; lekko mi na duszy, chociaż nie przestaję rozmyślać; myśl moja ogarnia porządek woli Boga i przeznaczeń ludzkich; podziwia, że człowiekowi dozwolono wznieść się tak wysoko w sztukach i tak postąpić w kulturze materialnej; pojmuje, że Bóg zniszczył potem ten wspaniały wzór myśli niedoskonałej, że Bóg jedyny, którego tu



## A.TÓNY

właśnie poznał Sokrates, sprawił, iż te wszystkie miary, które utworzyła wyobraźnia wieków starożytnych, utraciły swoje żywotne tchnienie, że te świątynie runęły, grzebiąc swoje bożyszcza: myśl o Bogu jedynym, powstała w ludzkim umyśle, jest więcej warta niż te budowle z marmuru, gdzie tylko wielbiono Jego cień. Ta myśl nie potrzebuje świątyń wznoszonych dłonią człowieka: cała przyroda, niby świątynia, oddaje jej cześć.<sup>25</sup> W miarę jak religie stają się coraz bardziej uduchowione, nikną świątynie; nawet chrześcijaństwo, które stworzyło gotyk, ożywiając go swoim tchnieniem, porzuciło swoje wspaniałe bazyliki na pastwę powolnej ruiny; tysiące posągów jego półbóstw zstępuje ze stopni napowietrznych piedestałów wokół katedr; i ono się przekształca, a jego świątynie stają się bardziej surowe i proste w miarę, jak ono samo wyzwala się z przesądów ciemnych stuleci i skupia w sobie wielką myśl, głoszoną światu, myśl o istnieniu jedynego Boga, dowiedzionego przez rozum, a uwielbionego przez cnotę.

## Odwiedziny u paszy

20 [sierpnia] wieczorem udałem się z podziękowaniem do Jusufa, beja Negropontu<sup>1</sup> i Aten. Wszedłem na dziedziniec w stylu mauretańskim; małe kolumny z czarnego marmuru podtrzymywały szerokie dwupiętrowe galerie. Na środku dziedzińca była wyschła studnia, dokoła stajnie. Wszedłem po drewnianych schodach, przy których na dole stało rzędem wielu spahisów, po czym wprowadzono mnie do beja. W głębi obszernej i bogatej sali, wyłożonej boazerią podzielaną na małe złożone kwadraty, pomalowane w kwiaty albo arabeski, w rogu szerokiej sofy z indyjskiej materii siedział po turecku bej; piękny młodzieniec, jego cyrulik, w bogatym wojskowym stroju, z przesliczną bronią za pasem, wkładał mu na głowę zawój; ośmiu czy dziesięciu niewolników w rozmaitych postawach stało tu i ówdzie w sali. Bej przeprosił mnie, że zastaję go przy ubieraniu, i wskazał miejsce na sofie nie opodal siebie; usiadłem i zaczęliśmy rozmawiać. Mówiliśmy o przedmiocie mojej podróży, o położeniu Grecji, o nowych granicach przyznanych przez konferencję londyńską, o układach zakończonych przez pana Stratforda Canninga<sup>2</sup>; o tym wszystkim bej zdawał się prawie nic nie wiedzieć i wypytywał mnie z najwyższym zainteresowaniem.

Wkrótce niewolnik, niosąc długą fajkę z bursztynu, której cybuch był pokryty zmarszczoną materią jedwabną, miarowym krokiem, z oczyma wbitymi w ziemię, zbliżył się do mnie i kiedy w myśli wyliczył dokładnie właściwą odległość od punktu posadzki, gdzie miał oprzeć fajkę, do moich ust, opuścił ją na ziemię, obszedł dokoła, aby jej nie poruszyć, dokonał półobrotu w moim kierunku i nachylając się, podsunął mi pod same usta jej bursztynowy munsztuk. Pokłoniłem się paszy, który oddał mi ukłon wzajemny, i zaczęliśmy palić fajki. Biały chart ateński, z ogonem i łapami żółto ufarbowanymi, leżał u nóg beja. Chwaliłem piękność tego zwierzęcia i zapytałem, czy lubi polowanie. Powiedział mi, że nie, ale jego syn, który przebywa obecnie w Negroponcie, lubi namiętnie tę rozrywkę; dodał, że widział, jak przechadzałem się po ulicach Aten z chartem także białym, ale

## ODWIEDZINY U PASZY

mniejszej rasy, że mu się wydawał nieporównanie piękniejszy i że, jeżeli miałbym ich więcej, sprawiłbym mu największą radość, gdybym mógł mu takiego ofiarować. Przynależem, że po powrocie do ojczyzny, w dowód pamięci i wdzięczności za jego uprzejmość w Atenach, przyślę mu takiego charta. Inny niewolnik w tej chwili przyniósł kawę w filiżaneczkach z chińskiej porcelany, umieszczonych w małych, srebrnych, połączonych siatkach.

Wyraz twarzy tego Turka odnajdowałem potem na wszystkich twarzach muzułmańskich, które miałem sposobność widzieć w Syrii i w Turcji. Szlachetność, łagodność i owa spokojna i pogodna uległość, którą tym ludziom wpaja ich nauka o przeznaczeniu, a prawdziwym chrześcijanom — wiara w Opatrzność.<sup>3</sup> Żywią tę samą wiarę w wolę boską: pierwsza posuwa się aż do absurdu i aż do błędu: druga stanowi smętny i prawdziwy wyraz powszechnej i miłosiernej Mądrości, która kieruje wszystkim, co raczyła stworzyć. Gdyby jakiś pogląd mógł być uznany za cnotę, wówczas fatalizm czy raczej wiara w przeznaczenie byłaby moim udziałem. Wierzę w całkowite, zawsze czynne, zawsze obecne, działanie woli boskiej; jedynie zło w nas sprzeciwia się, aby ta wola zawsze tworzyła dobro. Gdy tylko nasze losy gmatwiają się, psują, ulegają złu, wystarczy dobrze się przyjrzeć, aby przekonać się, że zawsze dzieje się to z naszej woli, z woli człowieka, a więc pełnej zepsucia i zła; gdybyśmy pozwolili działać jednej tylko woli, zawsze dobrej, byłibyśmy zawsze dobrzy i zawsze szczęśliwi, zło by nie istniało. Te dogmaty Koranu są zniekształconym chrześcijaństwem, ale owo zniekształcenie nie zdołało ich wynaturzyć. Owa religia jest pełna cnót, toteż kocham ten lud, jest to bowiem lud modlitwy.

## [Wyjazd z Aten]<sup>1</sup>

22 sierpnia 1832.

Bardzo się niepokoję o zdrowie córki; smutna przechadzka do świątyni Jowisza Olimpijskiego i na stadion. Piłem wodę ze strugi błotnistej i smrodliwej; to Ilissos! Był tak płytki, że ledwo mógł umoczyć palec: susza, opustoszenie, barwa żużla w całej tej okolicy Aten. O Kampanio rzymska, złożone groby Scypio-nów, zielone i ciemne źródło Egerii! Co za różnica! A niebo Rzymu o ile przewyższa tyle sławiony błękit Attyki!

23 sierpnia 1832.

Wyjazd w nocy. Piękna zorza pod oliwnym laskiem w Pireu-sie, w stronę morza.

Bryg wojenny „Geniusz”, pod dowództwem kapitana Cuneo d'Ornano, czekał już na nas; podnosimy kotwicę. Pędzeni silnym wiatrem północnym po trzech godzinach znaleźliśmy się na wysokości przylądka Sunion; widzimy jego żółte kolumny, które znaczą na widnokręgu ślad zawsze żyjący słowa mądrości greckiej Platona, którego byłbym uczniem, gdyby nie mówił, nie żył, nie cierpiał i konając nie przebaczył Chrystus.

Przepędziliśmy okropną noc wśród Cykladów. Z brzaskiem dnia wiatr ustał. Miła, spokojna żegluga aż do wieczora. W nocy wściekle uderzenie wiatru między wyspami Amorgos i Stampalią. Żałosny jęk statku, fale głucho uderzały o rufę. Kołysanie, które nas przerzucało z fali na falę. Przez całą noc doglądałem Julii i przechadzałem się po pokładzie. Bolesna nocy! Ileż razy zadrzałem na myśl, że wystawiłem na niebezpieczeństwo życie tylu istot. Jakże byłbym szczęśliwy, gdyby jaki duch Niebios uniósł Julię pod spokojne cienie w Saint-Point! Moje życie, przez pół strawione, straciło dla mnie ponad połowę wartości, ale to życie, jeszcze moje, które lśni w jej pięknych oczach, drży w jej młodym łonie, jest mi stokroć droższe niż moje własne; to właśnie przez wzgląd na nie błagam owo tchnienie, co spiętrza fale, aby oszczędziło tę łupinę, którą tak nierozważnie mu powierzyłem. Zostałem wysłuchany; fale uciszyły się, wstał dzień, wyspy

nikły za nami, Rodos ukazał się po prawej stronie w mglistej dali widnokregu Azji, a wysokie wierzchołki wybrzeża Karamanii, białe jak śnieg w Alpach, wznosiły się, jaśniejąc, ponad płynącymi obłokami nocy. Oto więc Azja!

Wrażenie jej widoku przewyższa wrażenie krajobrazu Grecji; czujemy łagodniejsze powietrze; morze i niebo okrywa błękit spokojniejszy i bledszy; przyroda jest tu bardziej majestatyczna; oddycham i czuję, że wstępuję w krainę rozleglejszą i wyższą. Grecja jest mała, udręczona, złupiona; to kościotrup karła, a tu widzę szkielet olbrzyma. Czarne lasy tu i ówdzie pokrywają stoki gór koło Marmorizy i widać z dala, jak spadają białe potoki piany w głębokie rozpadliny Karamanii.

Rodos wychyla się z łona wód jak kępa zieleni; lekkie i powabne minarety jego białych meczetów sterczą ponad lasami jaworów, klonów, drzew palmowych i świętojańskich, z dala przyciągają oko żeglarza ku uroczym zaciszom cmentarzy tureckich, gdzie w wieczór widać mużłanów leżących na murawie grobu swoich przyjaciół, palących tytoń i rozmawiających spokojnie, jak straż, co czeka na zluzowanie, jak ludzie słabi, co chętnie kładą się na łóżkach i próbują snu przed ostatnim spoczynkiem. O dziesiątej rano nasz bryg otoczyło nagle pięć czy sześć fregat tureckich z rozwiniętymi żaglami, które krążą wokół wyspy; jedna z nich zbliżyła się na odległość głosu: rozległy się pytania po francusku. Powitani uprzejmie, zarzuciliśmy wkrótce kotwicę w przystani rodyjskiej pomiędzy trzydziestoma sześcioma okrętami wojennymi pod dowództwem admirała Halil Paszy. Dwa okręty wojenne francuskie, jeden — parowiec „Sfinks” pod dowództwem kapitana Sarlat, drugi — korweta „Akteon” pod dowództwem kapitana Vaillant, stoją blisko nas na kotwicy. Oficerowie przyszli do nas na pokład, dopytując się o nowiny z Europy. Wieczorem podziękowaliśmy panu Ornano, dowódcy brygu „Geniusz”, który wraz z „Akteonem” wraca do swojego miejsca postoju. Dalszą żeglugę ku Cyprowi i Syrii odbędziemy sami.

Dwa dni spędziliśmy w Rodos, aby zwiedzić to pierwsze tureckie miasto; bazyry w stylu wschodnim, kramy mauretańskie z rzeźbionego drzewa, ulica dei Cavalieri<sup>2</sup>, gdzie w każdym domu zachowały się jeszcze na bramach nietknięte herby dawnych rodów Francji, Hiszpanii, Włoch i Niemiec. Rodos ma piękne zabytki starożytnych obwarowań, które uwieńczone i odziane bogatą roślinnością Azji są powabniejsze i piękniejsze niż obwarowania Malty; zakon, który dał się wypędzić z tak wspaniałej posiadłości, został ugodzony śmiertelnie.<sup>3</sup> Zdaje się, że Niebo stwo-

rzyło tę wyspę jako przednią straż Azji; to z mocarstw europejskich, które by ją opanowało, miałyby w rękach klucz do Archipelagu, Grecji, Smyrny, Dardanelów, mórz Egiptu i Syrii. Nie widziałem nigdzie ani piękniejszego stanowiska wojskowego na morzu, ani piękniejszego nieba, ani przyjemniejszej i bardziej urodzajnej ziemi. Turcy wryli na niej piętno bezczynności i o-drętwienia, które wszędzie za sobą niosą. Wszystko tu martwe i tchnie jak gdyby nędzą, lecz ten lud, który nic nie stwarza, niczego nie odnawia ani też niczego nie burzy i nie niszczy, pozwala przynajmniej, by przyroda działała swobodnie: szanuje drzewa nawet pośród ulic i domów, które zamieszkuje; woda i cień, usypiający szmer i rozkoszny chłód, oto ich pierwsze, ich jedyne potrzeby. Dlatego też, w Europie czy Azji, kto zbliża się do okolicy znajdującej się w posiadaniu muzułmanów, może ją już z dala poznać po obfitej, ciemnej zieleni drzew, która ją osłania; drzewa, aby zasiać w ich cieniu, wodotryski, aby marzyć pośród ich szmeru, milczenie meczetów z lekkimi minaretami, co krok wznoszącymi się z łona ziemi: oto wszystko, czego trzeba temu ludowi, który wtenczas tylko porzuca swoją łagodną, filozoficzną odrętwiałość, kiedy dosiada rumaków pustyni, pierwszych sług człowieka, i kiedy nieulekłe bieży na śmierć za swojego proroka i za swojego Boga. Dogmat wiary w przeznaczenie uczynił z nich lud najodważniejszy w świecie i choć życie ich jest lekkie i miłe, to, które im Koran obiecuje w nagrodę za śmierć poniesioną dla jego sprawy, jest w ich marzeniach o tyle bardziej urocze, że każdy prawie muzułmanin z łatwością przechodzi z tego świata w świat niebieski, który sobie wyobraża opromieniony pięknem, pokojem i miłością. To religia bohaterów, lecz błędnie już w wyznawcach Mahometa, a z nią i ich męstwo, które się na niej opiera.<sup>4</sup> W miarę jak ludy coraz mniej będą wierzyły czy to w jakiś dogmat, czy w jakąś ideę, będą mniej chętnie i mniej wspaniale umierały. Tak właśnie jest w Europie: po cóż umierać, jeżeli życie jest więcej warte niż śmierć, jeżeli nie można zdobyć nieśmiertelności poświęcając się dla jakiegoś obowiązku? Wojny więc będą coraz rzadsze i całkiem wygasną w Europie aż do chwili, gdy jakaś wiara znowu wskrześnie i przemówi w sercu człowieka głośniejsz niż nikczemny instykt życia.

Zachwycające twarze kobiet widzianych wieczorem, gdy siedzą na tarasach w świetle księżyca. Oko ich podobne do oka Włoszek, ale łagodniejsze, trwożliwsze, wyrażające więcej przywiązania i miłości. Ich postać przypomina postać Greczynek, ale jest piękniej zaokrąglona, bardziej giętka, ich ruchy są słodsze,

wdzięczniejsze. Czoła mają szerokie, równe, białe, gładkie, jak u najpiękniejszych Angielek lub Szwajcerek, ale regularny, prosty, szeroki zarys nosa nadaje więcej majestatu i starożytnej szlachetności ich fizjonomii. Rzeźbiarze greccy byłiby jeszcze doskonalsi, gdyby swoje wzory brali z kobiet azjatyckich. A potem jak to przyjemnie dla Europejczyka, przywykłego do rysów znużonych, do sztucznych i wymuszonych fizjonomii kobiet europejskich, a zwłaszcza wykwintnych pań, zobaczyć na koniec te oblicza tak proste, tak czyste, tak pogodne, jak marmur, który dobyto z kopalni, twarze, na których maluje się tylko spokój i tkliwość, a kto na nie spogląda, ten wszystko w nich czyta tak szybko i łatwo jak wielkie litery jakiejś pięknie wydanej, zbyt kosztownej książki.

Spółeczność i cywilizacja są widocznie nieprzyjaciółmi piękności fizycznej. Znadto pomnażają wrażenia i uczucia, a że fizjonomia mimo woli przyjmuje i zatrzymuje ich piętno, sama więc wikła się i zmienia, ma w sobie coś bezładnego i niepewnego, co niszczy jej prostotę i urok; jest to mowa o zbyt wielkiej ilości wyrazów, która przestaje być zrozumiała, ponieważ jest zbyt bogata.

*27 sierpnia 1832.*

W południe wypływamy z Rodos na Cypr. Wieczór prześliczny. Spoglądam ciągle na Rodos, który na koniec niknie w morzu. Żałuję tej pięknej wyspy jak zjawiska, które wciąż by się chciało mieć przed oczyma; osiedliłbym się na niej, gdyby nie była tak oddzielona od świata, w którym żyć nam każą przeznaczenie i obowiązek. Jakie rozkoszne ustronia na stokach wysokich gór i na tych okrytych murawą tarasach, ocnionych wszystkimi drzewami Azji! Pokazywano mi tam wspaniały dom, należący do byłego paszy; otaczają go trzy wielkie, przepyszne ogrody, zraszane obficie źródłami, ozdobione mnóstwem czarownych pawilonów. Żądają zań szesnastu tysięcy piastrów, czyli czterech tysięcy franków; oto szczęście małym kosztem!

*28 sierpnia 1832.*

Morze jest piękne, ale ocieżałe; najmniejszego wiatru; ogromne fale, płynąc z zachodu, majestatycznie toczą się ku nam i przez trzy dni i trzy noce kołyszą nami z boku na bok. Nic bardziej męczącego niż taki ruch bez rezultatu, istne taczanie beczki piekielnej. Czwartego dnia spostrzegamy wschodni cypel Cypru;

cały dzień płyniemy wzdłuż wyspy, dopiero szóstego dnia rano zarzucamy kotwicę w przystani Larnaka.

Pan Bottu, konsul francuski na Cyprze, rozpoznał statek, na którym wiedział, żeśmy płynęli. Przesłał na brzeg jedną z osób należących do konsulatu, zapraszając nas do siebie i ofiarując gościnność, do której dawała nam prawo tylko jego uprzejmość i życzliwość. Przyjąłem zaproszenie, wysiadamy na ląd: wyborne, serdeczne powitanie przez pana i panią Bottu; panowie Per-thier i Guillois, urzędnicy konsulatu, równą nam okazują życzliwość; przyjmujemy i odwzajemniamy wizyty, podarunki; pan Mathei, jeden z bogaczy cypryjskich, przysłał nam kawę i wino.

### *31 sierpnia.*

Dwa dni na Cyprze; rozkosz wypoczynku po długiej żegludze; oznaki najuprzejmiejszej i najmniej spodziewanej gościnności; oto jak czuję się na Cyprze, ale to wszystko. Ten kraj, który mi wychwalano jako oazę pośród wysp Morza Śródziemnego, niczym się nie różni od wszystkich innych wysp Archipelagu, nagich, ciemnych i pustynnych; to szkielet jednej z tych czarownych wysp, na których starożytność umieściła scenerię najpoetyczniejszego ze swoich kultów<sup>5</sup>; prawda, że pragnąc jak najspieszniej znaleźć się w Azji, zaledwie przyjrzałem się odległym, malowniczym widokom, w które, jak utrzymują, obfituje ta wyspa; za powrotem mam zamiar miesiąc na niej zabawić i dokładnie zwiedzić wszystkie góry Cypru.

Wyspa jest urodzajna w każdej swojej części; pomarańcze, oliwki, winogrona, figi, winna latorośl, bawełna, wszystko tu się udaje, nawet trzcina cukrowa. Ta ziemia obiecana, to piękne królestwo, godne panowania jakiegoś rycerza krzyżowego lub któregoś z towarzyszy broni Bonapartego, dawniej żywiła około dwóch milionów ludzi; teraz pozostało tu trzydzieści tysięcy Greków i kilku Turków.<sup>6</sup> Nic łatwiejszego niż pochwycić władzę nad tą krainą: jakiś awanturnik z garścią żołnierzy i kilkoma milionami piastrów zdołałby to uczynić bez trudu; mogłoby się to opłacić, gdyby udało się tę władzę utrzymać; ale Europa, która tak potrzebuje kolonii, sprzeciwia się, by ją tu założyć; zawistne względem siebie mocarstwa pospieszyłyby z pomocą Turcji, posiałyby niezgodę w nowo opanowanym kraju i zdobywcy przypadłby w udziale los króla Teodora.<sup>7</sup> Jaka szkoda, jakiż to piękny sen, który w tydzień mógłby się stać rzeczywistością!



## WYJAZD Z ATEN

*Na morzu, po odpłynięciu z Cypru, 2 września 1832.*

Wczoraj o północy ruszyliśmy w dalszą drogę. Nasi przyjaciele cypryjscy, panowie Bottu i Perthier, spędzili z nami wieczór na pomoście brygu i dopiero o północy nas pożegnali. Unosimy ze sobą najżywsze uczucia wdzięczności za prawdziwie przyjacielską gościnność państwa Bottu. Dziwne przeznaczenie podróżnika; wszędzie zasiewa przywiązanie, wspomnienia, żal; zawsze opuszcza brzegi z pragnieniem i nadzieją, że wróci i znowu zobaczy tych, których nie znalazł jeszcze przed kilkoma dniami. Kiedy przybywa, gdzie tylko zwróci spojrzenie, wszystko okazuje mu obojętność; kiedy odjeżdża, czuje, że oczy i serca biegną za nim z tego wybrzeża, które znika w dali. Wpatruje się w nie, zostawia tam cząstkę swojego serca, potem wiatr unosi go ku innym widnokągom, gdzie znów się powtórzą te same obrazy lub te same wrażenia. Podróżować to pomnażać przybyciem i odjazdem, przyjemnością i pożegnaniem doznania, które nader rzadko nastęcza nam życie osiadłe; to doświadczać stokrotnie w jednym roku tego, czego doświadczamy w życiu zwykłym, poznając, kochając i tracąc istoty, które Opatrzność stawia na naszej drodze. Odjeżdżać to jak gdyby umrzeć<sup>8</sup>, kiedy opuszczamy te odległe kraje, do których przeznaczenie raz tylko wiedzie podróżnika. Podróżować to przeżyć długie życie zaledwie w lat kilka; to jedno z najtrudniejszych ćwiczeń, jakiemu człowiek może poddać zarówno swoje serce, jak swój umysł. Filozof, polityk, poeta powinni wiele podróżować. Zmieniać widnokrąg moralny to zmieniać myśl.

*3 września 1832.*

Budzimy się na pełnym morzu. Nie widzimy już ani białych wybrzeży tej wyspy, ani zaokrąglonego szczytu Olimpu. Morze spokojne jak wielkie jezioro, mgła gęsta i srebrzysta okala widnokrąg ze wszystkich stron. Słaby podmuch, nierówny i leniwy, zamierał niekiedy w naszych żaglach. Ołowiane słońce pali deski pokładu, które polewamy wodą dla ochłody. Wszyscy leżą to na belkach, to na linach, milczący, bez ruchu, a pot ścieka im z czoł. Wprost nie ma czym oddychać, to prawdziwy samum na morzu. Zdaje się, że już zawczasu oddychamy lekką wilgocią i palącym tchnieniem piasków pustyni, od których jeszcze dzieli nas sto pięćdziesiąt mil. Tak mijają dni. Brak sił do mówienia, nawet do czytania. Otwieram niekiedy Biblię, chcąc znaleźć w niej to, co dotyczy Libanu i pierwszych jego szczytów, które

wkrótce mają się ukazać naszym oczom. Czytam dzieje Heroda u historyka Józefa.

*4 września 1832.*

Wciąż brak wiatru; wciąż to pałające niebo. Morze paruje z gorąca, a jego martwe wody powleka mgła, której żaden powiew nie unosi. Jak daleko sięgnąć okiem, widzimy lekkie zmarszczki, które kilka zbląkanych podmuchów zarysowało na powierzchni; widzimy, jak jeden z nich z wolna dolatuje do brygu, nadając morzu nieco żywszą barwę, i lekko wzdyma nasze wielkie żagle: statek trzeszczy, u dziobu pojawia się trochę piany. Oddech staje się łatwiejszy; podchodzimy do tej burty, skąd dobiegł nas powiew. Czujemy lekki chłód na czole, wśród wilgotnych włosów; ale wkrótce wszystko zamiera i powraca zwykłą spieką. Woda, którą pijemy, jest ciepła; nikt nie ma sił, aby jeść. Gdyby taki stan się utrzymał, człowiek nie mógłby długo żyć. Szczęściem upały te trwają tylko sześć tygodni; kończą się w środku października.

*4 września, wieczorem.*

Od piątej do ósmej pędzeni świeżym wiatrem, wiejącym z Zatoki Aleksandretty, przepłynęliśmy kilka mil. Jesteśmy chyba prawie w połowie drogi między Cyprzem i wybrzeżami Syrii; może z ocknieniem się jutrzejszym ujrzymy owe brzegi.

*5 września 1832.*

Przy przebudzeniu usłyszałem lekki szmer, jaki zwykle wydają fale znaczące ślad płynącego statku. Pospieszenie wyszedłem na pokład, aby zobaczyć brzegi, ale nic jeszcze nie było widać. Częste tu prądy morskie mogły nas unieść bardzo daleko od zamierzonej trasy; może byliśmy na wysokości płaskich brzegów Idumei lub Egiptu. Wszystkich ogarniała niecierpliwość.

*Tegoż dnia, o drugiej.*

Kapitan brygu rozpoznał szczyty Libanu. Przywołuje mnie, aby mi je pokazać; na próżno ich szukam w rozżarzonej gęstej mgłę, wypatrując punktu, który mi wskazuje. Widzę tylko przejrzyste opary powstałe z gorąca, a nad nimi kilka warstw matowobiałych obłoków. Kapitan nalega, wpatruję się znowu, ale nadaremnie; wszyscy majątkowie z uśmiechem pokazują mi Liban: kapitan nie może pojąć, że go nie dostrzegam. „Ale gdzież go

pan szuka? — mówi do mnie. — Patrzy pan za daleko. Tu, bliżej, nad naszymi głowami." W istocie, podniosłem oczy ku niebu i ujrzałem biały i złocisty szczyt Sanninu, który wznosił się ponad nami na firmamencie. Mgła zasłaniała jego podstawę i stoki. Widać było tylko wierzchołek promieniejący i pogodny na błękitie nieba. Było to jedno z najwspanialszych i najprzyjemniejszych wrażeń, jakich doświadczyłem w długich moich podróżach. Oto ziemia, do której dążyły wszystkie moje terazniejsze myśli jako człowieka i podróżnego; ziemia święta, ziemia, do której spieszyłem z tak daleka, aby tu szukać wspomnień pierwotnej natury człowieka, a wreszcie ziemia, w której wybornym klimacie, w cieniu drzew pomarańczowych i palm, nad brzegiem śniegowych potoków, na jakimś świeżym i zieleńjącym pagórku mieli odpocząć ci, co są mi najdrożsi w świecie: moja żona i Julia. Nie wątpię, że rok lub dwa pod tym pięknym niebem polepszy i wzmocni stan zdrowia Julii, który od sześciu miesięcy nieraz budzi we mnie smutne przecucia. Witam te góry Azji jako ustron, do której Bóg prowadzi Julię, aby ją uzdrowić; radość tajemna i głęboka napełnia mi serce: nie mogę już oczu oderwać od gór Libanu.

Obiadujemy pod namiotem rozpostartym na pokładzie. Wiatr nie ustaje i jak gdyby wzmaga się w miarę, jak zachodzi słońce. Co chwila biegniemy na dziób, by mierzyć szybkość statku według szumu, z jakim pruje morze; na koniec zaczyna dąć mocny wiatr, fale burzą się i pienią; płyniemy pięć węzłów na godzinę; stoki wysokich gór przebijają mgłę i jak powietrzne przylądki pojawiają się przed nami; zaczynamy już rozpoznawać głębokie, czarne doliny, rozwierające się u brzegów; bieleją potoki, a skały na szczytach rysują się wyraźniej, pierwsze wzgórze, wznoszące się w pobliżu morza, zaokrąglają się; z wolna zaczyna się nam zdawać, że rozpoznajemy wioski rozrzucone na pochyłości wzgórz i wielkie klasztory, co jak zamki gotyckie wieńczą bliższe szczyty. Co tylko nasz wzrok zdoła pochwycić, budzi radość w sercu; wszyscy wylegli na pokład, każdy wskazuje sąsiadowi to, co uszło jego uwagi; ten widzi cedry Libanu jako czarną plamę na stokach góry, inny — jako wieżę zamkową na szczycie gór Trypolisu; niektórzy zdają się rozpoznawać pianę wodospadów na pochyłościach przepaści. Chciałoby się jeszcze przed nadejściem nocy dobić do tego brzegu tak wymarzonego, tak upragnionego; każdy drży, aby kolejna cisza morska znowu nie uspiła statku na długie dni pośród tych wód, co tak nas niecierpliwia, albo żeby wiatr nie zerwał się od brzegu i nie odepchnął nas na morze u

## WYJAZD Z ATEN

brzegów Kandii, bo to morze syryjskie, ogromna zatoka, otoczona wysokimi szczytami Libanu i Taurusu, jest zdradliwe dla żeglarzy; wszystko, co tu nie jest burzą, jest ciszą lub prądem; prądy te znoszą statki daleko z ich drogi; wreszcie nie ma tu portów przybrzeżnych i trzeba zarzucać kotwicę w miejscach niebezpiecznych w znacznej odległości od lądu; wzburzone morze prawie nieustannie drąży te przystanie i zrywa kotwice: będziemy spokojni i pewni przybycia dopiero wtedy, gdy zejdziemy na ląd. Kiedy tak rozumowaliśmy, przerzucając się od obawy do nadziei, noc nagle zapadła; nie tak jak w naszych krajach, gdy z wolna nadchodzi zmierzch, lecz jak zasłona prędko zaciągnięta na niebo i ziemię. Wszystko gaśnie, wszystko znika na szerniałych stokach Libanu i widzimy już tylko gwiazdy, między którymi kołyszają się nasze maszty. Wiatr ucichł także, morze zasypia i każdy schodzi do swojej kajuty w niepewności jutra.

Nie spałem; mój umysł zanadto był wzruszony: słuchałem przez złe spojone deski, które oddzielały moją kajutę od kajuty Julii, oddechu śpiącego dziecka i ku niemu kierowałem całe moje uczucie. Myślałem, że może jutro będę zasypiać spokojniejszy o to tak drogie życie, i czyniłem sobie wyrzuty, że wystawiłem je na niebezpieczeństwo podróży morskiej, gdzie jedna burza mogła je unicestwić w samym kwiecie. W myśli prosiłem Boga, aby mi wybaczył moją nieroztropność<sup>10</sup>, aby nie karał mnie za to, że zbyt Mu zawierzyłem i prosiłem Go o więcej, niż mi to było wolno. Uspokoilem się, mówiłem sobie: „To anioł widzialny, opiekujący się zarazem losem własnym i nas wszystkich. Jego czystość i niewinność Niebo policzy nam za okup, będzie nas wiodło i pozwoli nam powrócić ze względu na nią. W najpiękniejszym okresie swojego życia, kiedy wszystkie wrażenia jak gdyby wcielają się w nas i stają się żywiołami naszego istnienia, Julia zobaczy wszystko, co piękne w przyrodzie, w stworzeniu; wspomnieniami jej lat dzieciennych będą wspaniałe zabytki, arcydzieła sztuki włoskiej; Ateny i Partenon wyrują się w jej pamięci jako strony ojczyste; piękne wyspy Archipelagu, góra Taurus, góry Libanu, Jerozolima, piramidy, pustynia, namioty arabskie, palmy Mezopotamii będą dla niej potem, w latach dojrzałych, tematem do opowieści. Bóg dał jej wdzięk, niewinność, geniusz i serce, w którym wszystko roznieca się w uczuciu wspaniałomyślnym i szczytnym, ja dołączyłem to, co mogłem dodać do tych darów Niebios; widoki najcudowniejszych, najczarowniejszych miejsc na ziemi. Jakaż to będzie wspaniała istota w dwudziestym roku życia! Pasmem jej dni byłyby szczęście, pobożność, miłość i cu-

## WYJAZD Z ATEN

da! Och! któż będzie godny uzupełnić je miłością?" Płakałem i modliłem się żarliwie i ufnie, ilekroć bowiem w moim sercu rodziło się silne uczucie, zawsze dążyło do nieskończoności i rozpływało się w hymn lub modlitwę do Tego, który trwa u kresu wszystkich naszych uczuć, do Tego, który je tworzy i łączy w sobie wszystkie — do Boga.

Miałem już zasnąć, kiedy usłyszałem na pokładzie przyspieszone kroki, jak gdyby miano wykonać jakieś obroty; zdziwiło mnie to, bo od dawna panowała zupełna cisza, morze z lekka tylko falowało, z czego wnosiłem, że statek jeszcze pływał. Wkrótce usłyszałem, jak ogniwa łańcucha kotwicy z brzękiem zaczęły odwijać się z kołowrotu, potem dobiegło mnie to suche uderzenie, które wstrząsa całym statkiem, gdy kotwica opada na dno i zaczepia wreszcie o piasek lub wodorosty. Wstałem, otworzyłem wąskie okienko. Przyptynęliśmy; staliśmy na kotwicy w otwartej przystani naprzeciw Bejrutu; spostrzegłem kilka świateł rozrzuconych na dalekim wybrzeżu; słyszałem szczekanie psów na lądzie. Ten pierwszy odgłos, który mnie doszedł z Azji, nappełnił mnie radością. Była północ. Złożyłem Bogu dzięki i zasnąłem spokojnym, głębokim snem; nikt poza mną nie zbudził się pod pokładem.

# Bejrut

*6 września, dziewiąta rano.*

Staliśmy na wysokości Bejrutu, dawnego Berytu, jednego z najludniejszych miast na wybrzeżu Syrii, dawnej osady rzymskiej pod panowaniem Augusta, który nazwał ją Félix Julia.<sup>1</sup> Ten przymiotnik: Szczęśliwa, nadano jej dla żyzności okolic, nieporównanego klimatu i wspaniałości położenia. Miasto leży na uroczym wzgórzu, łagodnie spadającym ku morzu; kilka odnóg łądu lub skalistych przylądków wchodzi w morze; ufortyfikowane obwarowaniami tureckimi tworzą prześliczny widok; otwartą przystań zamyka odnoga, która osłania morze przed wiatrami wschodnimi; całą tę odnogę wraz z przyległymi wzgórzami okrywa niezwykle bujna roślinność; drzewa morwowe, posadzone wszędzie, wznoszą się amfiteatralnie na sztucznie usypanych tarasach; ciemnozielone drzewa świętojańskie o wspaniałych koronach, figi, jawory, pomarańcze, granaty i mnóstwo innych drzew lub krzewów nie znanych w naszym klimacie rozpościerają harmonijną osłonę swojego różnorodnego listowia nad wszystkimi częściami wybrzeża położonymi blisko morza; nieco dalej, na niższych zboczach gór, lasy oliwne znaczą krajobraz swoją szarą i popielatą zielenią; o jaką milę od miasta zaczynają się wznosić wysokie góry Libanu; tam rozwierają się ich głębokie rozdoły, gdzie oko gubi się w dalekich ciemnościach, tam wlewają się ich szerokie potoki, przemieniając się w rzeki; tam ich łańcuchy zwracają się w rozmaite strony, jedne ku Tyrowi i Sydonowi, drugie ku Trypolisowi i Latakii, a ich nierówne szczyty nikną w obłokach lub, zbieleń od słońca, przypominają nasze Alpy o-dziane wiecznym śniegiem.

Nadbrzeżna ulica Bejrutu, którą morze omywa bezustannie, a czasami nawet zarzuca pianą, była przepelniona tłumem Arabów w całej świetności ich ubiorów i broni. Widać tam było ruch równie wielki jak na przybrzeżnych ulicach naszych wielkich miast nadmorskich; wiele statków europejskich stało niedaleko nas w otwartej przystani, a szalupy, naładowane towarami z Damaszku i Bagdadu, ustawicznie przybijały do nich i znów kiero-

wały się ku brzegowi; domy miejskie, skupione to tu, to tam, wznosiły się w nieładzie, dachy jednych służyły za tarasy drugim; te domy z płaskimi dachami, a niektóre z blankowaną balustradą, te okna kilkuarkadowe gotyckie<sup>2</sup>, te kraty z pomalowanego drewna, które zamykały je szczelnie jak zasłona wschodniej zazdrostki, te wierzchołki palm, które zdawały się wyrastać z kamieni i wznosiły się aż ponad dachy jak gdyby po to, żeby zanieść choć trochę zieleni kobietom uwięzionym w haremach, wszystko to przykuwało nasz wzrok i zwiastowało Wschód; słyszeliśmy przenikliwy krzyk Beduinów sprzecających się na przybrzeżnych ulicach i chrapliwe, żalose jęki wielbłądów, które wydają odgłosy bóleści, kiedy, chcąc je objuczyć ładunkiem, każe się im przykłęknąć. Zajęci tym tak nowym i zajmującym widokiem, nie myśleliśmy o zejściu na ląd naszej nowej ojczyzny. Flaga francuska powiewała przecież z wierzchołka masztu, umieszczonego na jednym z największych domów, i zdawała się zapraszać do wytchnienia pod jej cieniem po długiej i utrudzającej podróży.

Ale mając tyle osób i tyle rzeczy, byłoby nierozsądkiem wszystko to wyładować bez zapoznania się z okolicą i bez wyboru domu odpowiedniego do mieszkania, jeżeli go w ogóle znaleźć będzie można. Zostawiłem na brygu moją żonę, Julię i dwóch towarzyszy i kazałem spuścić łódkę na morze w celu bliższego rozpoznania miejsca.

Po krótkiej chwili spokojna, niska, srebrzysta fala wyrzuciła mnie na piasek, a kilku bosych Arabów zaniósło mnie aż do wejścia w ciasną i spadziłą ulicę, wiodącą do konsulatu francuskiego. Konsul, pan Guys, do którego miałem listy i z którym nawet widziałem się w Marsylii, jeszcze nie przybył. Zastępował go pan Jorelle, zarządzający konsulem i tłumacz francuski w Syrii, młody człowiek, którego miły i uprzejmy wyraz twarzy życzliwie nas do niego usposobił, a okazywane nam dowody u-czynności podczas całego naszego długiego pobytu w Syrii usprawiedliwiły to wrażenie. Na pierwsze schronienie ofiarował nam część domu, w którym mieścił się konsulat, i przyrzekł, że zaraz każe wyszukać dom w pobliżu miasta, w którym moglibyśmy zamieszkać na stałe. W parę godzin szalupy kilku statków i tragarze z Bejrutu pod dozorem janczarów konsulatu zajęli się przewozem na ląd całego naszego towarzystwa oraz wyładunkiem zapasów wszelkiego rodzaju i przed nadejściem nocy byliśmy już wszyscy na lądzie, w naszym tymczasowym mieszkaniu, doznając wszelkich uprzejmości i względów państwa Jorelle. Cudowna

to chwila, kiedy po długiej, burzliwej przeprawie, zaledwie przybywszy do nieznanego kraju, z wysokości rozkosznego, pełnego uroczych woni tarasu spoglądamy na ten żywioł, który wreszcie opuszczamy na długo, na ów statek, który przeniósł nas wśród burz, a teraz kołysze się jeszcze w niespokojnej przystani, na otaczającą nas wioskę, ocienioną i spokojną, na te wszystkie obrazy życia na łądzie, które wydają się nam tak słodkie po długiej rozłące: w tych wrażeniach pierwszych godzin, pierwszych dni spędzonych na gruncie stałym po odbytej żegludze jest jakieś uczucie podobne do» powrotu do zdrowia po długiej chorobie. Cały wieczór napawaliśmy się tym uczuciem. Pani Jorelle, młoda i piękna kobieta rodem z Aleppo, zachowała bogaty i szlachetny strój niewiast arabskich: zawój, kaftanik haftowany i sztylet za pasem; nie mogliśmy napatrzeć się temu wspaniałemu ubiorowi, który jeszcze bardziej podkreślał jej na wskroś wschodnią urodę.

Gdy nadeszła noc, podano nam wieczerzę na sposób europejski w pawilonie, którego szerokie, okratowane okna wychodziły na przystań; odświeżający wiatr igrał z płomieniem świece; kazałem otworzyć skrzynkę z winem francuskim, które dołączyłem do tej biesiady, i pierwszy wieczór minął nam na rozmowie o dwu ojczyznach, o tej, którą opuściliśmy, i o tej, której przybyliśmy szukać; każdemu pytaniu o Francję odpowiadało pytanie o Azję. Julia bawiła się długimi warkoczami kilku kobiet arabskich lub czarnych niewolnic, które przyszły nas odwiedzić; podziwiała ten nowy dla niej ubiór; matka zaplatała jej długie pukle jasnych włosów na wzór warkoczy pań bejruckich albo też ze swojej chusty układała jej zawój na głowie. Pomiedzy wszystkimi twarzami kobiet, które zapamiętałem, najczarowniejsze wydawało mi się oblicze Julii w zawoju kobiet z Aleppo, z czapeczką przerabianą złotem, z której spadały sploty pereł i łańcuchy złotych cekinów, z puklami włosów spływającymi na ramiona, z pełnym zdziwienia wejrzeniem, zwróconym na mnie i na matkę, i z uśmiechem, który zdawał się mówić do nas: „Cieszcie się i patrzcie, że i ja jestem piękna!”

Wspomniawszy stokroć o ojczyźnie i wymieniwszy nazwy miejsc i nazwiska osób, które nasunąć nam mogła rozmowa, udzieliwszy sobie wzajemnie wszelkich wyjaśnień mogących nas zainteresować, zaczęliśmy mówić o poezji. Pani Jorelle prosiła mnie, abym jej wygłosił kilka urywków poezji francuskiej, i sama przetłumaczyła nam kilka fragmentów z poezji Aleppo. Powiedziałem jej, że przyroda była zawsze nieporównanie poetyczniejsza niż



poeci i że w tej chwili, o tej godzinie, w tym pięknym kraju, przy blasku księżyca, w tym cudzoziemskim stroju, z tą wschodnią fajką w rękę i sztyletem z osadą brylantową za pasem, sama jest piękniejszym przedmiotem poezji niż wszystkie inne, któreśmy zaledwie przebiegli myślą.<sup>3</sup> A ponieważ odparła, że byłoby jej miło, gdyby mogła swojemu ojcu posłać do Aleppo na pamiątkę naszej podróży jakiś wiersz dla niej napisany, oddaliłem się na chwilę i przyniosłem jej wiersz, którego jedyną zaletę stanowi miejsce, gdzie go pisałem, i uczucie wdzięczności, które mnie natchnęło.

Niepodobna było oderwać się od tego pierwszego obrazu życia arabskiego. Na koniec po trzech miesiącach mogliśmy spocząć w łóżkach i zasnąć, nie obawiając się morza, skąd dał gwałtowny wiatr, wstrząsając murami wysokiego tarasu, pod którym zasypialiśmy, i jeszcze rozkoszniej dawał nam odczuć wartość spokojnego ustronia po tylu niewygodach. Myślałem, że Julia i moja żona były nareszcie na długo wolne od wszelkich niebezpieczeństw, i drzemiąc, zastanawiałem się, jakby urządzić im pobyt przyjemny i pewny, kiedy ruszę w dalszą podróż po tych krainach, których wreszcie dotknęła moja stopa.

*7 września 1832.*

Wstałem ze świtem; otworzyłem okiennicę z drzewa cedrowego, jedyne zamknięcie pokoju, w którym się sypia w tym wspaniałym klimacie. Pierwsze spojrzenie zwróciłem na morze i na lśniące pasmo wybrzeży, ciągnące się półkuliście od Bejrutu aż do przylądka Batrun w połowie drogi do Trypolisu. Nigdy widok gór nie sprawił na mnie takiego wrażenia. Liban ma odrębną cechę, której nie zauważyłem ani w Alpach, ani w górach Taurus: jest to połączenie okazałego majestatu konturu i wierzchołków gór z powabem szczegółów i różnobarwnością; są to góry równie uroczyste jak ich nazwa; to Alpy pod niebem Azji, zatapiające swoje napowietrzne szczyty w wysokiej pogodzie wiecznej świetności. Zdaje się, że na wyzłoconych ich konturach zawsze lśni słońce, a lśniąca biel, którą ów blask na nich kładzie, zlewa się z bielą śniegów okrywających najwyższe szczyty aż do połowy lata. Pasma gór rozwija się przed oczyma co najmniej na sześćdziesiąt mil od przylądka Saidy, dawnego Sydonu, do okolic Latakii, gdzie się obniża, aby dać z kolei początek górze Taurus na równinach Aleksandretty.

Łańcuchy Libanu to wnoszą się prawie pionowo nad morzem ze swoimi wioskami i wielkimi klasztorami, zawieszonymi nad ich

przepaściami, to znów oddalają się od brzegu, tworzą ogromne zatoki, zostawiając między sobą i morzem pasmo zieleni lub smugi złotego piasku. Statki żaglowe prują te zatoki i wpływają do rozlicznych przystani, w które cały brzeg jest powycinany jak koronka. Morze ma tu barwę najbardziej granatową, najciemniejszą, a choć prawie zawsze jest burzliwe, w jego falach, wielkich, rozległych, szerokimi fałdami toczących się po piaskach, góry odbijają się jak w czystym zwierciadle. Głuchy, melodyjny, niewyraźny szmer tych fal rozlega się wszędzie na wybrzeżu, dobiegając aż po cień winnic i drzew świętojańskich i napęniając pola odgłosem życia. Niski brzeg Bejrutu na lewo ode mnie stanowił niekończący się ciąg wchodzących w morze niewielkich odnóg lądu, szczelnie okrytych zielenią, a zabezpieczonych przed wodą tylko linią wzniesień i skał podwodnych, na których przeważnie wznosiły się starożytne ruiny. Dalej widać wzgórze piasku czerwonego jak piasek pustyni Egiptu, które, wysuwając się na kształt przylądka, służy jako punkt rozpoznawczy dla marynarzy; na szczycie tego przylądka widnieją rozłożyste, paraso-lowate korony lasu pini włoskich, a wzrok, wślizgując się pomiędzy ich pnie stojące od siebie w pewnej odległości, biegnie aż ku stokom innego łańcucha górskiego Libanu i aż ku daleko w morze wysuniętemu cypłowi, na którym niegdyś wznosił się Tyr (obecnie Sur).

Kiedy spojrzałem w stronę lądu, spostrzegłem wysokie minarety meczetów, które, jak samotne kolumnienki, wznosiły się w błękitnym i falującym powietrzu poranka, górujące nad miastem warownie mauretańskie, których rozpadłe mury porasta cały las pnączów, dzikich fig i goździków, dalej obłe blanki murów obronnych, równe grzbiety pól wysadzonych morwami, tu i ówdzie płaskie dachy i białe ściany domów wiejskich lub chat syryjskich wieśniaków, a wreszcie, jeszcze dalej, błonia na baniastych wzgórzach Bejrutu ze wznoszącymi się na nich malowniczymi budowlami, jak klasztory greckie, klasztory Maronitów, meczety, grobowce świątobliwych mężów muzułmańskich, odziane liściem i uprawione jak najżyźniejsze pagórki koło Grenobli lub Chambéry. Tłem tego wszystkiego zawsze jest Liban, który wygina się w tysiączne zakrzywienia, skupia w ogromne bryły, rzuca rozległy cień lub lśniący blask wysokich śniegów na cały ten rozległy krajobraz.

*Tegoż dnia.*

Przez cały dzień zwiedzałem okolice Bejrutu, szukając jakiegoś spokojnego miejsca, gdzie moglibyśmy osiaść.

Nająłem pięć domów blisko siebie stojących; połączę je drewnianymi schodami, galeriami i przejściami. Każdy dom składa się tu tylko z piwnicy służącej za kuchnię i z izby, gdzie sypia cała rodzina, chociażby najliczniejsza. W takim klimacie prawdziwym mieszkaniem jest dach zbudowany jako taras. Kobiety i dzieci przepędzają na nim dnie, a często i noce. Przed domami, pomiędzy pniami kilku morw lub drzew oliwnych, Arab z trzech kamieni urządza palenisko, na którym żona mu gotuje. Na kij, jednym końcem oparty o mur, a drugim o konar drzewa, zarzucają matę słomianą i pod tą osłoną prowadzi się całe gospodarstwo; kobiety i dzieci siedzą tam w kucki przez cały dzień, czeszą swoje długie włosy, zaplatają je, piorą zasłony, przędą jedwab, karmią kury lub bawią się i rozmawiają, podobnie jak w naszych wioskach w południowej Francji, w niedzielę rano, gdy dziewczęta zbierają się przed drzwiami chat.

*Tegoż dnia wieczorem.*

Przez cały dzień wyładowywano bryg i przenoszono z miasta do naszego domu wiejskiego sprzęty i potrzeby naszej karawany. Każdy z nas będzie miał swoją izbę. Obszerne pole obsadzone morwami i drzewami pomarańczowymi rozpościera się wokół wszystkich pięciu domów i każdy będzie miał przed swoimi drzwiami miejsce do przechadzki i nieco cienia do wypoczynku. Kupiłem maty egipskie i kobierce damasceńskie zamiast łóżek i sof. Znalazłem cieśli arabskich bardzo pracowitych i pojętnych, którzy robią nam drzwi i okna, i tę noc spędzimy już w naszym nowym mieszkaniu.

*8 września 1832.*

Nic rozkoszniejszego niż to przebudzenie po pierwszej nocy przespanej w naszym domu. Kazałem podać śniadanie na najobszerniejszym tarasie, z którego mogliśmy oglądać całą okolicę.

Nasz dom jest o dziesięć minut drogi odległy od miasta. Prowadzą do niego ścieżki ocienione ogromnymi aloesami, które zwieszają swoje koleczaste liście nad głowami przechodniów. Idzie się wzdłuż kilku arkad starożytnych i wielkiej czworograniastej wieży, zbudowanej przez Fahr ad-Dina, emira Druzów, a dziś służącej za strażnicę dla kilku żołnierzy Ibrahima Paszy<sup>4</sup>, którzy stamtąd obserwują całą okolicę. Potem droga przeciska się po-

między pniami drzew morwowych i dochodzi do niskich domów, ukrytych wśród drzew i osłoniętych gajem cytryn i pomarańcz. Te domy są stawiane nieregularnie, a środkowy, jak czworograniasta wieża, wznosi się nad inne. Dachy tych wszystkich domów są połączone kilkoma drewnianymi schodkami i tworzą tym sposobem całość dość wygodną dla gości, którzy tyle dni spędzili pod pokładem statku handlowego.

O kilkaset kroków od nas morze wrzyna się w ląd i widziane stąd ponad zielonymi wierzchołkami drzew cytrynowych i aloesów jest podobne do jakiegoś pięknego jeziora lub do szerokiej rzeki, której część tylko widać. Kilka barek arabskich stoi na kotwicy i chwieje się z lekka na wodzie kołysane nieznaczną falą. Jeżeli wejdziemy na najwyższy taras, to zamiast pięknego jeziora ujrzymy ogromną zatokę, zamkniętą z jednej strony mauretańskim zamkiem Bejrutu, a z drugiej — ciemnymi ścianami długiego łańcucha gór, ciągnącego się ku Trypolisowi. Ale krajobraz naprzeciw nas jest jeszcze bardziej rozległy: na pierwszym planie ściśle się znakomicie uprawiona równina, pola są wysadzone drzewami całkowicie przesłaniającymi ziemię, a tu i ówdzie widnieją podobne do naszych domy o dachach wznoszących się jak białe żagle na oceanie zieleni; dalej horyzont zwęża się za uroczym pagórkiem, na którego szczycie widać białe mury i niebieskie kopuły greckiego klasztoru; nad nim, a nawet nad jego kopułami, wznosi się kilka koron parasolowatych pinii. Wzgórek opada tarasami, a każdy taras jest ocembrowany kamiennym murem i porośnięty lasem drzew oliwnych i morwowych. Morze oblewa najniższe tarasy, potem się oddala, a druga równina, nieco dalej położona, wznosi się i opada, dając drogę płynącej kręto pomiędzy lasami zielonych dębów rzece, która wpada do zatoki, pokrywając jej brzegi żółtą barwą swoich fal. Ta równina kończy się dopiero u podnóża złotych stoków gór. Góry nie wznoszą się od razu, zaczynają się wielkimi wzgórzami, podobnymi do ogromnych brył; jedne krągłe, drugie niemal czworograniaste, roślinność ledwo okrywa ich wierzchołki, a na każdym z nich stoi albo klasztor, albo wioska, która odbija blask słońca i przyciąga spojrzenia. Stoki wzgórz lśnią jak złoto: są to ściany żółtawego żwiru, zmiażdżonego trzęsieniami ziemi, którego każda cząsteczka lśni i promienieje blaskiem. Ponad tymi pierwszymi wzgórzami wznoszą się stopnie gór Libanu; są tam ławy długości mili, dwóch, nierówne, wydrążone, poorane, pokryte wyrwami, głębokimi łożyskami potoków, ciemnymi wąwozami, gdzie wzrok dosięgnąć nie zdoła. Za tymi ławami zaczynają się

wysokie, prawie prostopadłe góry, ale widać na nich czarne plamy cedrów i jodeł i kilka niedostępnych klasztorów, kilka wiosek nieznanych, które są jak gdyby zawieszane nad urwistymi zboczami. Na najbardziej spiczastym szczycie tego drugiego łańcucha gór drzewa, które wydają się olbrzymie, tworzą jak gdyby rzadki zarost nad łysym czołem. Widać stąd wyraźnie ich nierówne, ząbkowane wierzchołki, podobne do blanków na murach jakiejś warowni.

Za tym drugim pasmem gór wznosi się na koniec prawdziwy Liban; z tak wielkiej odległości nie można rozpoznać, czy jego zbocza są strome, czy lekko pochyłe, czy są nagie, czy też okryte roślinnością. W przejrzystym powietrzu stoki mieszają się z samym powietrzem, którego zdają się być częścią; widać tylko odbłysek światła słonecznego, co je otacza, i ich rozżarzone wierzchołki, które, zlewając się z purpurowymi obłokami poranku, u-noszą się jak nieprzystępne wyspy na falach nieboskłonu.

Jeżeli wzrok oderwie się od tego cudownego widoku gór, natrafi wszędzie na majestatyczne kępy drzew palmowych, rosnących tu i ówdzie w polu przed domami Arabów, na kołyszące się zielone korony modrzewi, porozrzucanych małymi grupami na równinie lub na stokach wzgórz, na żywopłoty z nopalów lub innych tłustoszy, których ciężkie liście zwieszają się jak kamienne ozdoby na niskie mury podpierające tarasy. Mury te tak gęsto są pokryte kwitnącymi porostami, bluszczem, dzikim winem, roślinami cebulkowatymi z kwieciem różnych odcieni, z gronami różnego kształtu, że nie można rozpoznać, z jakich je wzniesiono kamieni; są to istne szańce z zieleni i kwiatów.

Na koniec, tuż przed naszymi oczyma, dwa, trzy domy, podobne do naszych i na poły osłonięte kopułami drzew pomarańczowych okrytych kwiatem i owocami, są widownią tych ruchliwych i malowniczych scen, które ożywiają każdy krajobraz. Arabowie, siedząc na matach, palą tytoń na dachach swoich domów. Kilka kobiet wychyla się z okien, aby się nam przypatrzeć; kryją się, gdy tylko spostrzegą, że na nie patrzymy. Tuż pod naszym tarasem dwie rodziny arabskie: ojcowie, bracia i dzieci, biesiadują na progu swoich domów w cieniu małego jaworu, a o kilka kroków stamtąd, pod innym drzewem, dwie młode Syryjki nieporównanej piękności ubierają się pod otwartym niebem i ozdabiają swoje włosy białym i różowym kwieciem. Jedna z nich ma włosy tak długie i gęste, że ją całkiem okrywają, jak gałązki płaczącej wierzby szczelnie osłaniające pień; i tylko kiedy dziewczyna porusza tą bujną gęstwą, można zobaczyć jej pięk-

ne, lśniące szczerą wesołością czoło i oczy, które przez chwilę wycierają zza tej naturalnej zasłony. Nasze zadziwienie zdaje się ją bawić; rzuciłem jej garść għasis, drobnych złotych monet, z których Syryjki, nawlekając je na jedwab, robią sobie naszyjniki i bransolety. Dziewczyna składa dłonie, podnosi je nad głowę na znak podziękowania i wchodzi do niskiej izdebki, aby pokazać monety matce i siostrze.

*12 września 1832.*

Habib-Barbara, Grek syryjski, osiadły w Bejrucie, którego dom sąsiaduje z nami, jest naszym drogmanem, czyli tłumaczem. Pełniąc ten obowiązek od dwudziestu lat przy rozmaitych konsulatach francuskich, mówi po francusku i po włosku; jest to jeden z najuczynniejszych i najroztropniejszych ludzi, jakich napotkałem w moich podróżach; bez jego i pana Jorelle pomocy mielibyśmy nieskończenie wiele trudności z naszym osiedleniem w Syrii; wystarał się dla nas o kilku służących, Greków i Arabów. Kupuję zaraz sześć koni arabskich drugiego rozplodu i jak tutejsi mieszkańcy stawiam je pod gołym niebem, w słońcu, na polu przed domem, każąc spętać im nogi żelaznymi pierścieniami i przywiązać do pala wbitego w ziemię. Przy koniach każę rozbić namiot dla saisów, czyli masztalerzy arabskich. Ci ludzie wydają się łagodni i pojętni; co do zwierząt, po dwóch dniach już nas znają i wietrzą jak psy. Habib-Barbara przedstawia nas swojej żonie i córce, którą wkrótce ma wydać za mąż; zaprasza nas na wesele; ciekawi zobaczyć wesele syryjskie, przyjmujemy zaproszenie i Julia przygotowuje podarunki dla panny młodej. Ja ofiaruję jej mały złoty zegarek, których mnóstwo przywozłem na takie właśnie okazje, Julia dołączy do niego sznur pereł. Dosiadamy koni, pragnąc poznać okolice Bejrutu; przepyszny jest koń arabski pani Jorelle; rząd na nim z niebieskiego aksamitu wykładany blaszkami srebrnymi, napierśnik z takichże blaszek wypukłych, które spadają w girlandach i brzęczą na piersiach tego pięknego zwierzęcia. Pan Jorelle sprzedaje mi jednego ze swoich koni dla mojej żony; każę robić siodła i munsztuki arabskie dla czternastu koni.

O pół mili prawie na wschód od miasta emir Fahr ad-Din kazał posadzić las rozłożystych pinii na piaszczystym płaskowzgórzu, które rozciąga się między morzem i równiną Bagdadu, pięknej wioski arabskiej u podnóża Libanu; mówią, że emir dlatego zasadził ten wspaniały las, aby wstrzymać napór wznoszących się nieco dalej ogromnych wydm czerwonego piasku, które gro-

żyły zasypaniem Bejrutu i jego bujnych ogrodów. Las jest prześliczny, pnie drzew, bez śladu sęków, mają od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu stóp wysokości, a ich rozłożyste, nieruchome korony, szczelnie z sobą złączone, ocieniają ogromną przestrzeń; między pniami biegną piaszczyste ścieżki, stanowiąc najdelikatniejszą podściółkę dla kopyt końskich. Dalszą drogę okrywa miękka trawa, pośród której jaskrawo czerwienią się kwiaty; cebulki dzikich hiacyntów są tak wielkie, że podkowy koni ich nie rozgniatają. Poprzez kolumnadę tych pni piniowych z jednej strony widać białe i czerwone wydmy piaszczyste, które zasłaniają morze, z drugiej — równinę Bagdadu, rzekę po niej płynącą, część zatoki tak otoczoną lądem, że przypomina niewielkie jezioro, dwanaście czy piętnaście wiosek arabskich, porozrzucanych na najbliższej położonych zboczach Libanu, a wreszcie grupy gór samego Libanu, które stanowią tło tej scenerii. Światło jest tak przejrzyste, powietrze tak czyste, że na wysokości kilku mil można dojrzeć kształty cedrów lub drzew świętojańskich na górach lub wielkie orły, które nie poruszając skrzydłami unoszą się w powietrznym oceanie. Widok tego lasu piniowego jest niewątpliwie najwspanialszy ze wszystkich, jakie zdarzyło mi się oglądać. Niebo, góry, śnieg, błękitny widnokrąg morza, czerwony, żałobny horyzont piaszczystej pustyni, kręty bieg rzeki, pojedyncze wierzchołki cyprysów, rzadkie grupy drzew palmowych pośród pól, powabny widok chat ocienionych drzewami pomarańczowymi i winem zwieszającym się na dachy, surowy wygląd wysokich klasztorów maronickich, tworzących wielkie cieniście plamy lub rzucających szerokie bryzgi światła na rzeźbione zbocza Libanu, karawany wielbłądów obładowanych towarami z Damaszku, które w milczeniu kroczą między pniami drzew, jadące na osłach gromady ubogich Żydów, trzymających po dwoje dzieciaków na każdej ręce, kobiety w białych zastonach, posuwające się na koniach przy odgłosie piszczałki lub tambury, z tańczącymi przed nimi gromadkami dzieci ubranych w stroje z czerwonej materii haftowanej złotem, jeźdźcy arabscy ścigający się wokół nas z dzirydami, na koniach, których białe grzywy dosłownie zamiatają piasek, kilka grup Turków siedzących przed kawiarnią zbudowaną z liściastych gałęzi i palących fajki lub modlących się, nieco dalej nagie piaszczyste pagórki bez kresu, które złożą się w wieczornych promieniach słońca, a wiatr unosi nad nimi chmury rozpalonego kurzu, na koniec głuchy szum morza, który miesza się z dźwięcznym szmerem wiatru w koronach pinii i ze śpiewem tysiąca nieznanych ptaków; wszystko to tworzy

dla oka i dla myśli mieszaninę najwznioślejszych, najśladźszych i najsmętniejszych zarazem uczuć, jakimi kiedykolwiek napawała się moja dusza; jest to krajobraz moich marzeń, będę tu wracał każdego dnia.

*16 września 1832.*

Wszystkie te dni upłynęły nam na przyjemności pobieżnego zapoznawania się z ludźmi, obyczajami, miejscami i na zabawnych szczegółach zagospodarowywania się w kraju zupełnie dla nas nowym. Przy pomocy naszych przyjaciół i robotników arabskich pięć naszych domów przemieniło się w rodzaj włoskiej willi, podobnej do tych, w jakich mieszkaliśmy kiedyś w górach koło Lukki czy na wybrzeżach Livorno. Każdy z nas ma swój pokój, a salon z rozciągającym się przed nim ozdobionym kwiatami tarasem jest ośrodkiem, gdzie się gromadzimy. Tu umieściliśmy sofy, a na półkach — nasz księgozbiór podróżny; moja żona i Julia pomalowały ściany al fresco, na cedrowym stole rozłożyły swoje książki, przybory i wszystkie kobiece drobiazgi, które w Paryżu i Londynie ozdabiają stoły z marmuru i mahoniu; tu schodzimy się w skwarnych godzinach dnia, bo wieczorem nasz salon jest na wolnym powietrzu, na tarasie; tu przyjmujemy odwiedziny wszystkich Europejczyków, co prowadząc handel z Damaszkiem, któremu Bejrut służy jako port, osiedlili się w tym pięknym kraju. W imieniu Ibrahima Paszy przybył gubernator egipski, aby z uprzejmością i serdecznością przewyższającą europejskie ofiarować nam swoją opiekę i usługi przez cały czas naszego tu pobytu i w podróżach, jakie byśmy zamierzali. Zaprosiłem go dziś na obiad, człowiek ten mógłby się pokazać w najbardziej doborowym towarzystwie. Stary żołnierz paszy Egiptu, odnosi się do swojego pana, a szczególnie do Ibrahima, z tym ślepym i ufny w jego pomyślną gwiazdę oddaniem, jakie kiedyś widziałem u generałów cesarza, ale to oddanie tureckie ma w sobie coś tkliwszego i szlachetniejszego, ponieważ łączy się z uczuciem religijnym, a nie z korzyścią osobistą. Ibrahim Pasza dla swoich oficerów — to przeznaczenie, Allah; Napoleon dla swoich — to tylko sława i żądza wyniesienia się.

Gubernator z przyjemnością pił wino szampańskie i całkiem stosował się do naszych zwyczajów, jak gdyby nigdy nie znał innych; fajki, kawa, kilkakrotnie roznoszone, zapemniły porę poobiednią. Potem wręczyłem mu list do Ibrahima Paszy, list, w którym go zawiadamiam o przybyciu Europejczyka do krajów podległych jego władzy i proszę o opiekę. Ibrahim niedawno



## BEJRUT

przechodził tędy ze swoim wojskiem, teraz znajduje się w okolicach Homs, wielkiego miasta na pustyni między Aleppo i Damaszkiem, część wojska zostawił w Syrii; główne miasta, jak Bejrut, Saida, Jaffa, Akka, Trypolis, zajmują, za zgodą Ibrahima, żołnierze emira Baszyra, władcy Druzów, panującego nad Libanem.<sup>5</sup> Ten emir nie opierał się Ibrahimowi; po wzięciu twierdzy Akki porzucił, przynajmniej pozornie, sprawę Turków i połączył swoje wojska z wojskiem Ibrahima. Gdyby Ibrahim został zwyciężony pod Homs, emir mógłby mu przeciąć odwrót i zniszczyć resztki Egipcjan. Władca ten, przebiegły i wojowniczy, od czterdziestu lat panuje nad wszystkimi górami Libanu. Zespolił z sobą Druzów, Metualisów, Maronitów, Syryjczyków i Arabów będących pod jego władzą; ma synów równie jak on dzielnych żołnierzy, których posyła na rządców miast powierzanych mu przez Ibrahima; jeden z nich, z pięciuset czy sześciuset jeźdźcami arabskimi, obozuje stąd o ćwierć mili, na równinie przylegającej do Libanu. Odwiedzimy go, przysłał nam bowiem pozdrowienie.

Jakiś Arab opowiadał mi dziś o wkroczeniu Ibrahima do Bejrutu. W pewnej odległości od bramy miasta, kiedy przebywał położoną niżej drogę, której rowy są pokryte korzeniami pnączy i posplatanyymi z sobą krzewami, z zarośli wypełnął ogromny wąz i czołgając się po piasku przysunął się aż ku nogom konia, na którym siedział Ibrahim; koń, przerażony, spał się, a kilku niewolników pieszo postępujących za paszą podbiegło, chcąc zabić węża, lecz Ibrahim wstrzymał ich skinieniem i dobywszy szabli uciął głowę wyprężonemu przed nim wężowi i stratował jego szczątki koniem. Tłum wydał okrzyk uwielbienia, a Ibrahim z uśmiechem jechał dalej, ucieszony tym wydarzeniem, które dla Arabów jest wróżbą niechybnego zwycięstwa. Dla tego ludu każde wydarzenie, każde zjawisko przyrody ma jakieś znaczenie prorocze i moralne. Czyżby to było mgliste wspomnienie owej pierwotnej, doskonalszej mowy, w której cała przyroda wyrażała się całą przyrodą? Czyżby była to większa bujność wyobraźni, szukająca między rzeczami wzajemnych stosunków, których nie dane jest człowiekowi pochwycić? Nie wiem, ale skłaniam się do pierwszego wyjaśnienia; ród ludzki nie ma instynktów bez przyczyn, bez celu, bez powodu; instynkt wieszczbiarstwa istniał we wszystkich wiekach i u wszystkich ludów, zwłaszcza pierwotnych; wieszczbiarstwo więc musiało albo mogło być istnieć, ale to jest mowa, do której człowiek utracił klucz, wychodząc z owego stanu wyższego, z owego Edenu, o którym wszystkie ludy wiedzą

tylko z mglistego podania; wówczas bez wątpienia przyroda przemawiała głośniejsz i dobitniej do jego umysłu, człowiek pojmował utajony stosunek wszystkich zdarzeń naturalnych, a ich powiązanie mogło prowadzić do postrzegania prawd i wydarzeń przyszłych, terażniejszość bowiem jest zawsze twórczym i nieomylnym zarodem przeszłości; wszystko na tym polega, aby ją dostrzec i zrozumieć.

*17 września 1832.*

Wszystko idzie wciąż tym samym trybem. Dzień upływa na odwzajemnianiu i przyjmowaniu odwiedzin Arabów i Franków<sup>6</sup>, i na zwiedzaniu uroczych okolic naszego ustronia. Konsulowie europejscy w Syrii, którzy wskutek wojny wszyscy znaleźli się w Bejrucie<sup>7</sup>, okazywali nam zarówno życzliwość, jak uczynność. Konsul sardyński — pan Bianco, austriacki — pan Laurella, konsulowie angielscy — panowie Farren i Abbot, w krótkim czasie zaznajomili nas ze wszystkimi Arabami, którzy mogą nam być pomocni w zamierzonych podróżach do wnętrza kraju. Niepodobna znaleźć lepszego przyjęcia i większej gościnności. Kilku z tych panów długo mieszkało w Syrii i dobrze znają rodziny arabskie w Damaszku, Aleppo, Jerozolimie, a te znowu pozostają w bliższej znajomości ze znakomitszymi szejkami arabskimi w tych pustynnych okolicach, które mamy zwiedzić. Tym sposobem z góry jak gdyby tworzymy sobie rodzaj łańcucha poleceń, znajomości i gościnności w rozmaitych kierunkach, które mogłyby nas zaprowadzić aż do Bagdadu.

Pan Jorelle wskazał mi wybornego drogmana w osobie młodego pana Mazoyer, Francuza z pochodzenia, który urodził się i wychował w Syrii i jest bardzo biegły w mowie uczonej i w rozmaitych dialektach krain, które mamy zwiedzić. Od dziś pan Mazoyer mieszka u mnie, powierzam mu zarząd całej części arabskiej mojej służby. Składa się ona z kucharza z Aleppo, nazwiskiem Abulias, z młodego Syryjczyka, Eliasza, który, będąc już na usługach konsulów, rozumie trochę po francusku i po włosku, z młodej Syryjki mówiącej także po francusku, która będzie służyć za tłumacza dla kobiet, na koniec z pięciu, sześciu masztalerzy Greków, Arabów, Syryjczyków, z różnych stron Syrii, których obowiązkiem będzie doglądać koni, stawiać namioty i konwojować nas w podróżach.

Historia naszego kucharza arabskiego jest tak szczególna, że warto ją zachować w pamięci.

Był on chrześcijaninem, młodym i pojętnym; założył w Aleppo

mały handelek tkanin krajowych, które, jeżdżąc na ośle, sprzedawał między koczującymi plemionami arabskimi, zwykle na zimę stającymi obozem na równinach w okolicy Antiochii. Handel jego szedł pomyślnie, ale ponieważ jako niewierny wzbudzał jednak nieufność, uznał, że najlepiej będzie wejść w spółkę z pewnym Arabem z Aleppo, wyznawcą Mahometa. Handel dzięki temu szedł jeszcze lepiej i po upływie kilku lat Abulias został jednym z najbardziej poważanych kupców w kraju. Ale zakochał się w młodej Greczynce syryjskiej, którą zgodzono mu się oddać za żonę, pod tym tylko warunkiem, że opuści Aleppo i osiadzie w okolicach Saïdy, gdzie mieszkała rodzina jego narzeczonej. Trzeba było wszystko spieniężyć: podział bogactw zarobionych w spółce wywołał kłótnię między współnikami. Arab, mahometanin, zastawił zasadzkę na biednego Abuliasa: ukrył najetych świadków, którzy podczas jego sprzeczki ze współnikiem słyszeli, jak ów bluźni Mahometowi, co dla niewiernego stanowi zbrodnię karaną śmiercią. Zaprowadzono Abuliasa do paszy, który skazał go na powieszenie. Dopełniono wyroku, ale stryczek się zerwał, a nieszczęśliwy Abulias spadł pod szubienicę, gdzie zostawiono go jako nieżywego. Jednakże rodzice jego narzeczonej, otrzymawszy od paszy pozwolenie zabrania zwłok, aby je pogrzebać wedle o-brządków ich religii, unieśli ciało do domu, a widząc, że Abulias daje jeszcze oznaki życia, ocucili go, ukrywali w piwnicy przez kilka dni i aby nie obudzić w Turkach najmniejszego podejrzenia, zasypali pusty grób. Ale Turcy zwietrzyli podstęp i ponownie uwięzili Abuliasa w chwili, kiedy nocą przekradał się za bramy miasta. Stawiony przed paszę, opowiedział mu, jakim sposobem ocalał bez jakiegokolwiek w tym własnego udziału. Pasza, stosownie do pewnego fragmentu Koranu, który świadczył na rzecz obwinionego, dał mu do wyboru: albo powtórnie być powieszonym, albo przyjąć wiarę Mahometa. Abulias wybrał to drugie i przez pewien czas był wyznawcą islamu. Kiedy zapomniano o jego przygodzie, a jego nawrócenie nie ulegało już dla nikogo wątpliwości, znalazł sposób, aby wymknąć się z Aleppo i osiąść na Cyprze, gdzie znowu został chrześcijaninem. Zaślubił kobietę, którą kochał, a oddawszy się pod opiekę Francuzów, mógł bez obawy kary powtórnie pojawić się w Syrii, gdzie dalej prowadził swój przewoźny handel pomiędzy Druzami, Maronitami i Arabami. Takiego właśnie człowieka potrzebowaliśmy w podróży po tych okolicach. Jego talent kucharski na tym się ogranicza, że potrafi pod gołym niebem rozniecić ogień z kolczastych krzewów lub z wysuszonego gnoju wielbłądów, zawiesić mie-

dziany kociołek na dwóch skrzyżowanych kijach i ugotować w nim ryż i kurczęta lub kawałki baraniny. Rozgrzewa także w ognisku okrągłe kamienie, a kiedy się już rozżarzą do czerwoności, pokrywa je ciastem z rozczynionej mąki jęczmiennej i to jest nasz chleb.

*19 września 1832.*

Żona i córka jednego z okolicznych wodzów arabskich zaprosiły dziś moją żonę i Julię na cały dzień do kąpieli; jest to rozrywka kobiet na Wschodzie. Kąpiel zapowiadają dwa tygodnie naprzód, jak bal w Europie. Oto opis tej uroczystości, jakiego nam wieczorem udzieliła moja żona.

Łącznie są miejscem publicznym; wstęp do nich mężczyznom jest wzbroniony każdego dnia aż do określonej godziny, do której wolno z nich korzystać tylko kobietom, przez cały zaś dzień wtedy, gdy odbywa się kąpiel dla narzeczonej, jak to właśnie miało miejsce. Sale są oświetlone słabym blaskiem padającym przez małe kopuły z malowanego szkła. Posadzka marmurowa z tafli różnokolorowych, bardzo kunsztownie wypracowanych, ściany są także pokryte marmurem i mozaiką albo zdobne gzymsami czy mauretańskimi kolumnkami. W salach ciepło jest stopniowane: w pierwszej panuje temperatura, jaką ma powietrze na zewnątrz, w następnych jest cieplej, dalej kolejno gorąco się wzmagają, wreszcie w ostatniej sali para z prawie wrzącej wody unosi się ze zbiorników i napęnia powietrze duszącym żarem. W ogóle nie ma w tych salach wpuszczonych w posadzkę basenów, są tylko krany, z których woda ciągle sączy się na marmurową posadzkę i na pół cala ją pokrywa. Ta woda spływa następnie rowkami ściekowymi, a świeża cieknie nieustannie. To, co na Wschodzie zowią kąpielą, nie polega na zanurzaniu ciała, lecz tylko na jego ciągłym oblewaniu wodą mniej lub bardziej gorącą i wystawianiu go na działanie pary.

Dwieście kobiet z miasta i okolic zaproszono na ten dzień do kąpieli, wśród nich wiele kobiet europejskich; każda przyszła tam osłonięta wielkim białym prześcieradłem, którym, wychodząc, okrywają znowu swój przepyszny ubiór; każdej z nich towarzyszą czarne niewolnice lub wolne służące; w miarę jak przychodziły, łączyły się w grupy, siadały na matach i poduszkach przygotowanych w pierwszym przedsionku; służące zdejmowały z nich prześcieradła, a wtenczas widać było całą bogatą i malow-

niczą świetność ich strojów i klejnotów. Ubiory te bardzo się różnią barwą materii, ilością i blaskiem drogich kamieni, ale są zupełnie jednakowe pod względem kroju.

Strój taki składa się ze spodni z pasiastego jedwabiu w szerokie fałdy, przewiązanych w pasie tkaniną z czerwonego jedwabiu, a nad kostką obciśniętych srebrną lub złotą bransoletą, z przetykanej złotem sukni, otwartej z przodu, a ujętej w stanie, z rękawami obcisłymi poniżej pachy, a otwartymi zupełnie od łokcia aż do przegubu, i z koszuli z jedwabnej gazy okrywającej piersi. Na tej sukni noszą jaskrawy kaftan aksamitny, podbity gronostajami lub kunami, o wszystkich szwach pokrytych złotym galonem; rękawy również otwarte. Włosy na głowie są rozczesane; część spada na szyję, druga, spleciona w warkocz, spływa aż do stóp, przedłużona sztucznymi warkoczami, uplecionymi z czarnego jedwabiu, a zakończonymi drobnymi kwiatkami ze złota lub srebra, które swoim ciężarem sprawiają, że owe warkoczki opadają wzdłuż całej postaci; nadto głowy kobiet są osypane sznureczkami pereł, łańcuszkami ze złotych cekinów, świeżymi kwiatami; wszystko to pomieszane i ponaczepiane w niewiarygodnej wprost obfitości, całkiem jak gdyby ktoś wysypał bez ładu skrzynkę z klejnotami na te włosy lśniące od drogich kamieni i pachnące kwiatami. Ten barbarzyński przepych nadaje młodym twarzom niezwykle malowniczości; niektóre kobiety mają jeszcze na czubku głowy złotą czapeczkę, wyrobioną w kształcie odwróconej czaszy; ze środka tej czapeczki sterczy złota żołędź, zakończona kwastem z pereł i spadająca na tył głowy.

Pończoch nie używają, a na nogach mają pantofle z żółtego safianu, które, idąc, włóczą za sobą. Ręce ich okrywają bransoletki złote, srebrne i z pereł, a piersi mnóstwo naszyjników, które na odkrytym łonie tworzą plentnię ze złota lub pereł.

Kiedy wszystkie kobiety już się zeszyły, rozległa się jakaś dziwaczna muzyka; kobiety, których górna część ciała była okryta zwykłą czerwoną gazą, wydawały piskliwe, żalosalne okrzyki i grały na piszczałce lub tamburynie; taka muzyka trwała przez cały dzień i nadawała tej uroczej, odświeżonej scenie jakiegoś na wskroś barbarzyńskiego piętno wrzawy i szaleństwa.

Gdy ukazała się narzeczona w towarzystwie matki i młodych przyjaciółek, przybrana w strój tak świetny, że jej włosy, szyja, ramiona i piersi były całkiem niewidoczne pod powłóczystą zasłoną sznurów ze złotych monet i pereł, kobiety kąpiące się wzięły ją między siebie i zdjęły z niej, sztuka po sztuce, wszy-

stkie suknie; tymczasem niewolnice rozebrały pozostałe kobiety i zaczęły się przeróżne obrzędy kąpieli. Wciąż przy dźwięku tejże muzyki, wciąż z towarzyszącymi im najdziwniejszymi ceremoniami i słowami, przechodzono z jednej sali do drugiej; najpierw była kąpiel parowa, potem obmywanie, potem oblewano kąpiące się pachnącą wodą z mydłem, wreszcie rozpoczęły się zabawy i wszystkie te kobiety z gestami i okrzykami, jak gromada szkolnych dzieci, które zaprowadzono do rzecznej kąpieli, zaczęły się obryzgiwać, zanurzać głowy, pryskać wodą w twarz, a muzyka rozlegała się donośniej i wrzaskliwiej, ilekroć jakiś dziecinny figiel wzniecał hałaśliwy śmiech młodych dziewcząt arabskich. Na koniec wyszły z kąpieli; niewolnice i służące na nowo zaplotły wilgotne włosy swych pań, zapięły napierśniki i bransolety, podały jedwabne suknie i aksamitne kaftany, rozłożyły poduszki na matach w salach, których posadzki wytarto, i wyjęły z koszyków i jedwabnych zawiniątek zapasy przyniesione na biesiadę; były to ciasta i konfitury wszelkiego rodzaju, w których celują Turcy i Arabowie, sorbety, kwiat pomarańczowy i wszystkie te mrożone napoje, które mieszkańcy Wschodu piją niemal co chwila. Przyniesiono także fajki i nar gile dla kobiet starszych; obłok wonnego dymu napełnił i zaciął powietrze, bez przerwy obnoszono kawę w małych filiżankach zamkniętych w naczynkach uplecionych ze złotego lub srebrnego drucika i rozmowy ożywiły się; potem przyszły tancerki, które przy odgłosie wciąż takiej samej muzyki wykonywały tańce egipskie i jednostajne ewolucje arabskie. Tak minął dzień i dopiero z zapadnięciem zmroku cały ten orszak kobiet odprowadził młodą narzeczoną do jej matki. Ta ceremonia kąpieli zwykle o kilka dni poprzedza małżeństwo.

*20 września 1832.*

Po całkowitym urządzeniu naszej siedziby zajmuję się przygotowaniem mojej karawany do wyprawy w głąb Syrii i Palestyny. Kupiłem czternaście koni arabskich, jedno z Libanu, inne z Aleppo i z pustyni, kazałem porobić siodła i munsztuki na sposób krajowych, bogate i ozdobione jedwabnymi frędzlami, przetykanymi srebrem i złotem. Arabowie okazują szacunek na widok zbytku: trzeba ich olśnić, aby zając ich wyobraźnię i móc zupełnie bezpiecznie podróżować pośród ich plemion; kazałem przygotować naszą broń i kupiłem piękniejszą celem uzbrojenia naszych kawasów. Ci kawasowie są to Turcy zastępujący janczarów; dawniej Porta przydawała ich posłom lub podróznym, któ-

## BEJRUT

rym zechciała udzielić swojej opieki; są to zarazem żołnierze i urzędnicy, stanowią odpowiednik europejskiego korpusu żandarmerii. Każdy konsul ma jednego lub dwóch kawasów przy sobie: towarzyszą mu konno w podróżach, zapowiadają go w miastach, przez które przejeżdża, anonsują go szejkowi, paszy lub gubernatorowi, zajmują się opróżnieniem i przygotowaniem domu w mieście lub w wioskach, które wybrali dla niego na postój, swoją obecnością i władzą chronią cały orszak, do którego ich przydzielono; ubiór ich jest mniej lub bardziej okazały, stosownie do przepychu lub znaczenia osoby, której towarzyszą. Posłowie i konsulowie europejscy są jedynymi cudzoziemcami mającymi prawo utrzymywania ich przy sobie, ale dzięki uprzejmości pana Jorelle i łaskawości egipskiego gubernatora Bejrutu przydzielono mi ich wielu. Kilku z nich zostawię w domu na usługi mojej żony i Julii i dla ich bezpieczeństwa na przechadzkach, a zabiorę ze sobą najmłodszego, najpojętniejszego i najwaleczniejszego jako przywódcę naszego oddziału. Ci ludzie są łagodni, usłużni, baczni i całym ich wynagrodzeniem jest piękna broń, piękne konie i ubiór; żywią się, jak inni moi Arabowie, plackami z jęczmiennej mąki i owocami, śpiąją pod gołym niebem, w cieniu drzew morwowych, albo w namiocie, który kazałem rozbić blisko koni.

Pan Bianco, konsul sardyński, z którym widujemy się codziennie jak z długoletnim przyjacielem, pomaga nam w załatwianiu tego wszystkiego, co podczas mojej nieobecności zapewni całkowite bezpieczeństwo mojej żonie i córce, a także przyczyni się do naszego własnego bezpieczeństwa w drodze; kupuję namioty, a pan Bianco pożyczyci mi najpiękniejszy ze swoich.

*22 września 1832.*

Duszące upały wrześniowe opóźniają nieco nasz wyjazd. Dnie upływają na odwzajemnianiu i przyjmowaniu odwiedzin naszych sąsiadów, Greków, Arabów, Maronitów, i na nawiązywaniu znajomości które mają nam uprzyjemnić pobyt w tym kraju. Nigdzie w Europie nie okazano by nam więcej życzliwości i miłszego przyjęcia niż tutaj; ludy te nawykłe u siebie widzieć Europejczyków oddanych jedynie handlowi, którzy nawiązują stosunki tylko dla interesu, nie mogą z początku pojąć, żeby można tu przybyć, mieszkać i podróżować wśród nich jedynie w celu poznania i podziwiania ich pięknej przyrody i zrujnowanych zabytków. Zrazu zamiary podróżnych budzą w nich podejrzenie, a że ich podania głoszą, iż we wszystkich ruinach zakopane są skar-

by, mniemają, że posiadamy tajemnicę ich wydobycia i to właśnie sprawia, że ponosimy tyle kosztów i trudów, ale gdy tylko raz zdołamy ich przekonać, że podróżujemy nie w tej myśli, że przybywamy, aby podziwiać dzieło Boga w najpiękniejszych okolicach świata, zgłębiać obyczaje, widzieć i kochać ludzi, a w dodatku ofiarujemy im podarunki, pragnąc w zamian tylko ich przyjaźni, kiedy ktoś, jak my, ma z sobą doktora i aptekę i kiedy im bezpłatnie rozdaje recepty, porady i leki, kiedy widzą, że przybyły do nich obcy jest uroczyście przyjmowany i poważany przez innych Franków, że ma na swoje rozkazy piękny statek, który go zgodnie z jego wolą przenosi z miejsca na miejsce, i że nie zamierza bynajmniej zajmować się handlem, wtedy wyobraźnię ich uderza jakaś myśl o potędze, wielkości i bezinteresowności, która obala wszystkie ich pojęcia i wtedy od braku zaufania przechodzą nagle do podziwu, a od podziwu do przywiązania.

Tak właśnie odnoszą się do nas. Nasz dziedziniec nieustannie napelniają Arabowie z gór, mnisi maronicy, szejkwowie Druzów, dzieci, chorzy, którzy idą piętnaście, dwadzieścia mil, aby nas zobaczyć, prosić o radę i ofiarować gościnę, jeżeli będziemy przejeżdżać przez ich okolice; wszyscy prawie przysyłają naprzód podarunki składające się z wina i owoców. Przyjmujemy wszystkich uprzejmie, częstujemy kawą, fajką, mrożonym sorbetem, w zamian za ich dary ofiarowuję im wyroby z tkanin europejskich albo też broń, zegarki, klejnociki niewielkiej wartości, których przywozłem znaczną ilość; wracają zachwyceni naszym przyjęciem, rozgłaszając daleko reputację emira Frangi (tak mnie nazwali), księżęcia Franków; pod tym mianem znają mnie w okolicach Bejrutu i w samym mieście, a ponieważ ten szacunek może nam bardzo się przydać podczas niebezpiecznych wycieczek we wszystkich tych stronach, pan Jorelle i konsulowie europejscy przez życzliwość nie wyprowadzali ich z błędu, dozwalając uchodzić skromnemu poecie za człowieka w Europie potężnego.

Wprost trudno sobie wyobrazić, z jaką szybkością przechodzą z ust do ust nowiny w Arabii; już wiadomo w Damaszku, w Aleppo, w Latakii, w Saidzie, w Jerozolimie, że do Syrii przybył jakiś cudzoziemiec i zamierza zwiedzić te okolice. W kraju, gdzie rzeczy i umysły rzadko się poruszają, najmniejsze wydarzenie, wychodzące poza zwykły bieg spraw, staje się natychmiast przedmiotem rozmów, szery się z szybkością głosu od plemienia do plemienia; wrażliwa, namiętna wyobraźnia Arabów wszystko powiększa i ubarwia i w ciągu dwóch tygodni pochlebna wieść roz-



chodzi się na odległość stu mil. Owa skłonność do przesady, powszechna w tych okolicach, której lady Stanhope doświadczyła w okolicznościach niemal podobnych do tych, w jakich się znajdowałem, była zbyt dla nas korzystna, abyśmy mieli się na nią uskarżać. Pozwalaliśmy, aby pogłoski się rozchodziły; niczego nie prostując, przyjmowałem wszystkie tytuły, bogactwa i cnoty, w jakie mnie wyposażyla wyobraźnia Arabów, by pokornie się ich potem wyrzec, kiedy wrócę do przyrodzonej mi z natury przeciętności.

*27 września 1832, Wieża Fahr ad-Dina.*

Cały dzień spędziliśmy na weselu młodej Syryjki greckiej. Obrzęd zaczął się długim korowodem Greczynek, Arabek i Syry-jek; jedne z nich przybyły konno, inne pieszo drożynami wśród aloesów i drzew morwowych, aby towarzyszyć pannie młodej w tym męczącym dniu. Już od wielu dni i nocy pewna liczba tych kobiet nie opuszcza domu Habiba i nieustannie daje o sobie znać krzykami, śpiewem, przernikliwymi, przeciągłymi jękami, podobnymi do donośnych głosów winobranców i żniwiarzy podczas zbiorów na pagórkach naszej Francji. Te okrzyki, te żale, płacze i śmiechy, nakazane zwyczajem, powinny narzeczonej nie pozwolić zasnąć przez kilka nocy przed ślubem. Starcy i młodzież z rodziny przyszłego męża podobnie czynią ze swojej strony i przez tydzień zasnąć mu prawie nie dają. Nie mamy pojęcia, jakie mogą być motywy tego zwyczaju.

Kiedy weszliśmy do ogrodów domu Habiba, na pokoje wprowadzono kobiety, aby złożyły powinszowania pannie młodej, podziwiały jej strój i były obecne przy obrzędach. Co się nas tyczy, pozostaliśmy na dziedzińcu lub też przebywaliśmy w jednym ze wskazanych nam pokojów na parterze. Był tam stół zastawiony na sposób europejski, na nim mnóstwo smażonych owoców, ciast na miodzie i cukrze, likworów i sorbetów, które przez cały wieczór podawano w miarę, jak je spożywali liczni goście. Wyjątkowo udało mi się dotrzeć aż do pokoju kobiet w chwili, kiedy arcybiskup grecki dawał błogosławieństwo ślubne. Panna młoda stała obok narzeczonego, od stóp do głów okryta zasłoną z czerwonej gazy przetykanej złotem. Kapłan na chwilę uniósł zasłonę, a pan młody po raz pierwszy mógł zobaczyć tę, z którą łączył swoje życie: była cudownie piękna. Bładość, którą trudy i wzruszenia okryły jej twarz, podkreślona jeszcze odbłaskiem zasłony i niezliczonymi ozdobami ze złota, srebra, pereł, diamentów, które ją okrywały, długie czarne warkocze opadające wzdłuż talii,

podczernione brwi, powieki i brzegi oczu, ręce, których końce palców i paznokcie pomalowane były henną na czerwono w rozmaite ozdoby i wzory mauretańskie, wszystko to nadawało jej czarownym wdziękom pewnej cechy nowości i powagi i sprawiło na nas wielkie wrażenie; pan młody zaledwie miał czas jej się przypatrzeć. Wydawał się zgnębiony, omdlewający prawie pod brzemieniem bezsenności i znużenia, którymi te dziwne zwyczaje wycieńczają siły samej nawet miłości.

Biskup wziął z rąk jednego z kapłanów wieniec z żywych kwiatów, włożył go na głowę dziewicy, potem zdjął go i włożył na głowę młodzieńca, zdjął raz jeszcze i umieścił na zasłonie panny młodej, a potem kilkakrotnie przenosił z jednej głowy na drugą. Następnie wkładano im kolejno na palce pierścionki. Na koniec przelamali się kawałkiem chleba i napili się poświęconego wina z jednego kielicha, potem zaprowadzono pannę młodą do pokojów, dokąd tylko kobiety mogły jej towarzyszyć, aby tam jeszcze dopomóc jej w zmianie stroju. Z kolei ojciec i przyjaciele pana młodego zaprowadzili go do ogrodu i posadzili pod drzewem, gdzie otoczyło go grono mężczyzn z jego rodziny. Wtenczas przybyli muzykanci i tancerze i aż do zachodu słońca nie ustawały ich barbarzyńskie melodie, ich przenikliwe okrzyki dziwaczne ruchy wokół pana młodego, który zasypiał pod drzewem, co chwila nadaremnie budzony przez przyjaciół.

Kiedy nadeszła noc, odprowadzono go procesjonalnie aż do domu jego ojca. Dopiero po upływie tygodnia wolno młodemu małżonkowi przyjść po żonę i zaprowadzić ją do siebie.

Kobiety, które swoimi okrzykami napełniały dom Habiba, wyszły także nieco później. Nadzwyczaj malowniczy był widok tego wielkiego korowodu kobiet i dziewcząt w najniezwykleszych i najkosztowniejszych ubiorach, okrytych błyszczącymi kamieniami; każdą z tych kobiet otaczają służące lub niewolnice, przyświecając żywicznymi pochodniami swoim paniom i przedłużając tym sposobem ich orszak lśniący pośród długich i wąskich ścieżek, ocienionych aloesem i drzewami pomarańczowymi, kroczący nad brzegiem morza czasem w długotrwałym milczeniu, a czasem wydając przenikliwe okrzyki, które odbijają się echem od fal lub pod wielkimi jaworami u podnóża Libanu. Wróciliśmy do naszego domu, graniczącego z domem większym Habiba, skąd dobiegały nas jeszcze rozmowy kobiet; weszliśmy na tarasy i długo patrzyliśmy na błędne ognie, które ze wszech stron krążyły między drzewami na równinie.

29 września 1832.

Mówią o porażce Ibrahima. Jeżeliby się nie powiodło armii egipskiej, byłby powód obawiać się zemsty Turków, uciskanych dzisiaj przez chrześcijan libańskich; w odludnych wioskach, zwłaszcza takich jak nasza, łatwo mogłoby dojść do gwałtów. Z przeczności postanowiłem nająć także dom w mieście: tego rana znalazłem jeden, w którym zdołamy się pomieścić; jak wszystkie domy arabskie, składa się z małego, ciemnego korytarza, do którego wchodzi się z ulicy drzwiami o płaskim sklepieniu; ten korytarz prowadzi na dziedziniec wewnętrzny, wyłożony marmurem i otoczony dywanami, czyli otwartymi salonami; w lecie na tym dziedzińcu rozpościerają namiot i tam Arabowie przyjmują gości. Pośród dziedzińca szemrze wodotrysk; jeżeli go nie ma, jest przynajmniej w jednym z rogów kryta studnia; z tego dziedzińca wchodzi się do wielu obszernych pokoiów o posadzkach z mozaiki lub tafla marmurowych; ich ściany są blisko na dwa łokcie od dołu wyłożone marmurem, w którym wykuto nisze, filary lub małe wodotryski, albo też boazeriami z złotego cedru kunsztownie rzeźbionymi; połowa każdego z tych salonów jest położona o jeden stopień niżej od drugiej połowy, od której dzieli ją balustrada z wytwornie rżniętego drzewa; w pierwszej połowie stoją niewolnicy i słudzy, trzymając filiżanki z kawą, sor-bety lub fajki, w drugiej, wsparci na poduszkach, siedzą na kobiercach panowie; zwykle w głębi znajdują się skryte w boazerii drewniane schodki, które prowadzą do jak gdyby wysokiej alkowy, zajmującej głąb pokoju; ta alkowa od ulicy ma okna małe, łukowate, gotyckie, opatrzone kratą, a od strony mieszkania również odgradza ją krata, w której wypracowaniu stolarze krajowi starają się ukazać całą swoją umiejętność. Alkowy te są bardzo wąskie i zaledwie może się w nich zmieścić jedna sofa okryta matercem i jedwabnymi poduszkami; tam to śpią bogaci Turcy lub Arabowie; inni, rozłożywszy tylko poduszki na ziemi, śpią zupełnie ubrani, przykrywając się jedynie ciężkimi i pięknymi futrami, zwykłym swoim odzieniem.

W moim wiejskim domu jest pięć czy sześć podobnych alków na pierwszym i tyleż na drugim piętrze, prócz mnóstwa małych pokojków, wysokich i oddzielonych dla służby europejskich; janczarowie, sisowie, służący arabscy śpią przy drzwiach na ulicy, w korytarzu lub na dziedzińcu: nikt nigdy nie troszczy się o znalezienie dla nich jakiegoś miejsca lub łóżka; u tutejszego ludu ziemia i egipska mata słomiana są łóżkiem; wyborny klimat zaopatrzył tu ludzi we wszystko i sami doświadczamy, że najbar-

dziej uroczym baldachimem łożka jest piękny, rozgwieżdżony firament, a lekki powiew wiatru od morza przynosi miły chłód i skłania do snu; nie ma tu prawie rosy lub trafia się bardzo rzadko, toteż dość zakryć oczy jedwabną chustką, a nic nie stoi na przeszkodzie, aby można było spać pod gołym niebem.

Dom ten ma być bezpiecznym schronieniem dla mojej żony i Julii w razie, gdyby Ibrahim Pasza był zmuszony do odwrotu; wziąłem tylko klucze od niego, a przenieśliśmy się dopiero» wtedy, gdyby cała pozostała okolica stała się niemożliwa do mieszkania. Pod opieką konsulów europejskich, w mieście otoczonym murami, w pobliżu portu, w którym statki wszystkich narodów wciąż stoją na kotwicy, podróżni mogą nie obawiać się jakiegos nagłego niebezpieczeństwa. Nająłem dom w mieście na cały rok za tysiąc piastrów, czyli za blisko trzysta franków; pięć domów wiejskich kosztuje mnie razem trzy tysiące piastrów, a więc płacę razem tysiąc trzysta franków rocznie za sześć domów, gdy tymczasem najem jednego takiego domu jak w mieście kosztowałby w Europie cztery do pięciu tysięcy franków.

Na wchodzącym w morze smugu ziemi z lewej strony miasta znajduje się jedna z najrozkoszniejszych w świecie siedzib, jakiej tylko można zapragnąć; należy do bogatego kupca tureckiego; kazałem go zapytać, czyby mi nie wynajął tego domu; wynająć nie chciał, ale gotów go sprzedać za trzydzieści pięć tysięcy piastrów, czyli około dziesięciu tysięcy franków; dom ten stoi w rozległym ogrodzie wysadzonym cedrami, drzewami pomarańczowymi i figowymi oraz winoroślą i zraszany wodą ze wspaniałego skalnego źródła; morze otacza go z dwóch stron, a piana obmywa jego podmurowanie; widać stąd jak na dłoni całą piękną przystań Bejrutu i stojące w niej na kotwicy statki, słysząc szum wiatru między ich linami; graniczy ze starym zamkiem mauretańskim, który wchodzi w morze i mostami łączy się z pięknym zielonym błoniem; jego wyniosłe blanki ciemno rysują się na tle śniegów Sanninu, a pomiędzy blankami widać strażę Ibrahima, które przechadzają się spoglądając na morze.

Dom ten jest znacznie piękniejszy od tego, który nająłem. Wszystkie ściany pokrywa marmur pięknie rzeźbiony lub bogato ozdobiona cedrowa boazeria; ustawicznie tu spotykane wodotryski szemrzą pośród pokoiw parterowych, a wysunięte i kratami osłonięte balkony, które biegną wzdłuż pięt, pozwalają dla nikogo niewidzialnym kobietom spędzać dnie i noce na powietrzu i napawać się wspaniałym widokiem morza, gór i portu. Ów Turek przyjął mnie bardzo uprzejmie, częstował sorbetami,.

## BEJRUT

fajką i kawą i sam oprowadzał po wszystkich pokojach; przedtem posłał czarnego rzezańca z nakazem, aby wszystkie jego żony oddaliły się do pawilonu w ogrodzie, lecz kiedy weszliśmy do ich pokojów, czyli do haremu, rozkaz nie był jeszcze wypełniony i spostrzegliśmy pięć czy sześć młodych kobiet; jedne miały może piętnaście lub szesnaście lat, a inne od dwudziestu do trzydziestu — w pięknych i wdzięcznych strojach kobiet arabskich i w całym nieładzie ich domowej gotowalni; zerwały się nagle ze swoich mat i dywanów i uciekały bez obuwia, zarzucając naprędce zasłony na twarze, unosząc niemowlęta przy piersiach, z całym wstydem i zmieszaniem, jak to bywa przy tak niespodzianym spotkaniu; wbiegły do jakiegoś ciemnego korytarza, a rzezaniec stanął przy drzwiach. Kupiec wcale nie zmieszał się ani zasmucił tym wypadkiem i obejrzelśmy wszystkie pokoje haremu, jakby to było w domu jakiegoś Europejczyka.

## Odwiedziny u lady Estery Stanhope

Lady Estera Stanhope, siostrzenica pana Pitta, po śmierci swego wuja opuściła Anglię i zwiedzała Europę.<sup>1</sup> Młoda, piękna i bogata, przyjmowana była wszędzie z największą życzliwością i zainteresowaniem, jakie jej pozycja, majątek, rozum i uroda powinny były jednać, ale wciąż wzbraniała się połączyć swój los z losem najgłodniejszego ze swoich wielbicieli i po kilku latach pobytu w głównych stolicach Europy z liczną świtą popłynęła do Konstantynopola. Nigdy nie dowiedziano się, jakimi kierowała się pobudkami, porzucając ojczyznę: jedni przypisywali to śmierci pewnego młodego angielskiego generała, poległego wtedy właśnie w Hiszpanii,<sup>2</sup> po którym wieczny żal miał na zawsze pozostać w sercu lady Estery, inni — po prostu upodobaniu w nadzwyczajnych przygodach, wynikającym z odwagi i przedsiębiorczego charakteru tej młodej osoby. Jakkolwiek bądź, wyjechała; kilka lat spędziła w Konstantynopolu, a następnie popłynęła do Syrii na statku angielskim, zabrawszy z sobą przeważną część swoich bogactw oraz znaczny majątek w klejnotach i podarunki wszelkiego rodzaju.

Burza zaskoczyła statek w zatoce Makri, w drodze do Kara-manii, naprzeciw wyspy Rodos, i rzuciła go o skałę w odległości kilku mil od brzegu. Statek natychmiast uległ rozbiciu i morze pochłonęło skarby lady Stanhope, ona zaś ledwo uszła z życiem, ratując się na jakimś odłamku, który uniósł ją na bezludną wyspę, gdzie spędziła dwadzieścia cztery godziny bez jedzenia i bez pomocy; na koniec rybacy z Marmorizy, szukając szczątków statku, znaleźli ją i zawieźli do Rodos, gdzie dała się poznać konsulowi angielskiemu. Ten nieszcześliwy wypadek nie ostudził jej energii. Udała się na Malte, a stamtąd do Anglii. Zebrała resztę swojego majątku, część posiadłości sprzedała za gotówkę, a napełniwszy drugi statek bogactwami i podarunkami dla krain, które miała przebywać, wyruszyła w drogę. Po odbytej pomyślnie podróży wylądowała w Latakii, dawnej Laodycei, na brzegach Syrii, między Trypolisem i Aleksandretą. Obrała mieszkanie w pobliskich okolicach, nauczyła się arabskiego, otoczyła się

osobami, które mogły jej ułatwić styczność z rozmaitymi plemionami tu osiadłymi, Arabami, Druzami, Maronitami, i przygotowywała się, podobnie jak ja w tej chwili, do podróży, mającej na celu bliższe poznanie najmniej dostępnych części Arabii, Mezopotamii i pustyni.

Kiedy już dobrze poznała język, ubiór, obyczaje i zwyczaje miejscowe, utworzyła liczną wyprawę, obładowała wielbłądy bogatymi podarunkami dla Arabów i zwiedziła wszystkie części Syrii. Przebywała przez pewien czas w Jerozolimie, w Damaszku, Aleppo, Homs, Baalbeku i Palmirze; tu liczne plemiona koczujących Arabów, które jej ułatwiły przystęp do tych zwalisk, zgromadziwszy się około jej namiotu w liczbie czterdziestu do pięćdziesięciu tysięcy, zachwycone jej urodą, wdziękiem i wspaniałością, okrzyknęły ją królową Palmiry i wręczyły jej firmy, których mocą obowiązały się, że każdy Europejczyk pozostający pod jej opieką będzie mógł bezpiecznie zwiedzać pustynię, a także zwaliska Baalbeku i Palmiry, skoro opłaci haracz w wysokości tysiąca piastrów. Ten układ jeszcze trwa i byłby wiernie dotrzymywany przez Arabów względem każdego, kto by im dał niewątpliwe dowody opieki lady Stanhope.

Mimo to, wróciwszy do Palmiry,omal nie została porwana przez inne liczne plemię Arabów, nieprzyjazne względem Arabów z Palmiry. Szczęściem jeden z jej stronników ostrzegł ją na czas i tylko przyspieszonemu nocnemu wymarszowi i szybkości swoich koni, które nieprawdopodobną wprost przestrzeń pustyni przebiegły w dwadzieścia cztery godziny, winna była ocalenie własne i swojej wyprawy. Wróciła do Damaszku i mieszkała tam kilka miesięcy pod opieką tureckiego paszy, któremu Porta szczególnie ją poleciła.

Lady Estera, przewędrowawszy wszystkie krainy Wschodu, o-siadła na koniec w niedostępnym prawie ustroniu, na jednej z gór Libanu, w pobliżu Saidy, niegdyś Sydonu. Pasza Akki, Abdalla, który był dla niej z wielkim szacunkiem i całkowitym oddaniem, odstąpił jej na mieszkanie pozostałe szczątki klasztoru i wieś Dziun zamieszkałą przez Druzów. Kazała wybudować tam kilka domów, otoczonych dokoła murem podobnym do obwarowań średniowiecznych, założyła kunsztowny, prześliczny ogród na wzór tureckich, zapełniony kwiatami i owocami; były w nim altany z winnych latorośli, pawilony zdobne w rzeźby, malowidła i arabeski, woda płynąca w marmurowych kanałach, wodotryski w posadzkach pawilonów, cieniste szpalery drzew pomarańczowych, figowych i cytrynowych. Tam przez kilka lat prze-

bywała pośród na wskroś wschodniego przepychu otoczona wielką liczbą tłumaczy europejskich lub arabskich, z liczną świtą kobiet oraz czarnych niewolników, pozostając w stosunkach przyjaznych, a nawet politycznych, z Porta, z Abdallą Paszą, z emirem Baszyrem, władcą Libanu, a zwłaszcza z szejkami arabskimi pustyń Syrii i Bagdadu.

Wkrótce jej majątek, jeszcze znaczny, uszczuplił się przez brak porządku w interesach, które wskutek jej nieobecności bardzo ucierpiały; pozostało jej trzydzieści do czterdziestu tysięcy franków rocznego dochodu, które w tym kraju jeszcze jej wystarczają do utrzymania obranego sposobu życia, jaki musi zachowywać. Jednak osoby, które jej towarzyszyły, poumieraly lub odjechały, życzliwość Arabów, którą zawsze trzeba podtrzymywać podarunkami i przepychem, ostygła, stosunki z nimi z wolna się rozluźniły i lady Estera okazała się w zupełnym osamotnieniu, w jakim ją znalazłem; ale tu dopiero wykazała całą moc charakteru, całą swoją niezłomność i stanowczość. Nie pomyślała nigdy o powrocie, myśl o świecie i o przeszłości nie wydarła z jej piersi ani jednej skargi, zupełne opuszczenie, niedola, bliskość podeszłego wieku i niepamięć żyjących nie ugięły jej ani na chwilę; została sama tam, gdzie dotąd przebywa, bez książek, bez pism, bez listów z Europy, bez przyjaciół, nawet bez sług do niej przywiązanych; cała jej świta składa się z kilku Murzynek, z kilkorga dzieci czarnych niewolników i z pewnej liczby wieśniaków arabskich, trudniących się pielęgnowaniem jej ogrodu, koni i czuwających nad jej osobistym bezpieczeństwem. Sądzą tu powszechnie — moja z nią znajomość utwierdza to mniemanie — że swoją nadprzyrodzoną moc ducha i stanowczość czerpie nie tylko ze swojego charakteru, ale ze wzniosłych koncepcji religijnych, w których iluminizm europejski łączy się z niektórymi wyznaniem Wschodu, a zwłaszcza z cudownością astrologii. Cokolwiek bądź, lady Estera cieszy się wielką sławą na Wschodzie i budzi podziw Europy. Będąc tak blisko niej, chciałem ją zobaczyć: jej skłonność do samotności i do rozmyślań wydawała się tak pokrewna moim myślom, że miałem wielką ochotę przekonać się, w czym się one zbiegały. Ale zbliżyć się do niej jest rzeczą najtrudniejszą dla Europejczyka, unika bowiem wszelkiej styczności z podróżnikami angielskimi, z ich żonami, a nawet z członkami własnej rodziny. Miałem więc tylko wątłą nadzieję, że zechce mnie przyjąć, tym bardziej że nie posiadałem żadnego listu polecającego, który mógłby mi to ułatwić. Wiedząc jednak, że zachowała jeszcze pewne stosunki z Arabami w Palestynie i w



Mezopotamii i że polecenie przez nią napisane mogło być dla mnie bardzo użyteczne w przyszłych moich wyprawach, postanowiłem wysłać do niej Araba z następującym listem:

„Milady,

Podróżnik jak ty, obcy jak ty na Wschodzie, pragnąc tu szukać jak ty, Pani, tylko widoków natury, ruin i dzieł Stwórcy, wraz z całą rodziną przybyłem niedawno do Syrii. Do najbardziej zajmujących dni mojej podróży zaliczyłbym ten, w którym poznałbym kobietę, będącą również jednym z tych nadprzyrodzonych zjawisk Wschodu, który jest celem mojej podróży.

Jeżeli, Milady, raczysz mnie przyjąć, wskaż mi dzień dla ciebie najdogodniejszy i zechciej łaskawie uwiadomić, czy mam przybyć sam, czy też mogę przyprowadzić kilku z towarzyszących mi przyjaciół, którzy nie mniej niż ja pragnęliby dostąpić zaszczytu, aby ci być przedstawieni.

Niech moja prośba, Milady, w niczym nie krępuje twojej uprzejmości i nie skłania cię, abyś spełniła to, co by sprzeciwiało się twoim nawykom zupełnego odosobnienia. Pojmuję bardzo dobrze całą wartość swobody i urok samotności, toteż zrozumieć twoją odmowę i będę ją szanował. Raczej, Pani, przyjąć itd.”

Niedługo czekałem na odpowiedź; 30 września o trzeciej po południu koniuszy lady Stanhope, a zarazem jej lekarz, przybył, aby zaprosić mnie do Dziun, miejsca pobytu tej niezwyklej kobiety.

Wyjechaliśmy o czwartej. Towarzyszyli mi doktor Leonardi, pan de Parseval, służący i przewodnik. O pół godziny od Bejrutu przejeżdżaliśmy przez las wspaniałych jodeł, zasadzony niegdyś przez emira Fahr ad-Dina na wysokim wzgórzu, z którego widok z prawej strony roztacza się na burzliwe morze u brzegów Syrii, a z lewej — na wspaniałą dolinę Libanu: obraz zadziwiający, gdzie przepych wschodniej roślinności, winorośle, drzewa figowe, morwy i topole piramidalne łączą się z kilkoma wyniosłymi kolumnami palm Wschodu, których szerokim liściem wiatr powiewał jak pióropuszem na błękitnym tle nieba. Niedaleko stąd rozpoczyna się jak gdyby pustynia czerwonego piasku, zsypanego w ogromne, ruchome wydmy, przypominające fale oceanu. Tego wieczora dął silny wiatr i przewiewał te piaski, marszczył je, złobił, jak marszczy i złobi fale morskie. Był to widok nowy i smutny: ujrzałem prawdziwą rozległą pustynię, którą wkrótce miałem przebyć. Na tych falujących piaskach nie było ani śladu ludzi czy zwierząt; szum fal z jednej strony i świetliste szczyty Libanu z drugiej były jedynymi naszymi przewod-

nikami. Wkrótce natrafiliśmy na jakąś drogę czy ścieżkę, zarzuconą ogromnymi blokami gładów pokładowych. Ta droga, która prowadzi aż do Egiptu wzdłuż morza, zawiodła nas do zniszczonego domu, do ruin starej wieży warownej, gdzie, leżąc na matach z trzciny, okryci płaszczami, spędziliśmy ciemne godziny nocy. Skoro tylko pojawił się księżyc, dosiedliśmy koni. Była to jedna z tych nocy, gdy niebo iskrzy się gwiazdami, a w napowietrznych wyżynach, którym przypatrujemy się z tak bliska, panuje jak gdyby najdoskonalszy spokój, ale przyroda wokół nas zdaje się jęczeć i cierpieć najokropniejsze udutki. Widok ogołoconego wybrzeża, ciągnącego się przez kilka mil, potęgował to przykre wrażenie. Wraz z zapadnięciem zmierzchu pozostały za nami piękne, ocienione stoki i zielone doliny Libanu. Nie opodal wznosiły się strome wzgórza, od góry do dołu pokryte czarnymi, białymi i szarymi kamieniami, szczątkami pozostałymi po trzęsieniach ziemi; po lewej i po prawej stronie morze od rana wzburzone głąchą nawałnicą toczyło groźne i ciężkie fale; widzieliśmy je z dala po cieniu, jaki rzucały; na koniec z grzmiotem uderzały o brzeg, a ich obfita, kipiąca piana zalewała wilgotny piasek, za każdym razem omywając nogi naszych koni i grożąc, że nas z sobą porwie. Księżyc, lśniący jak zimowe słońce, oświecał na tyle morze, że mogliśmy widzieć jego wściekłość, ale rzucał zbyt słaby blask na drogę, toteż oko nie mogło dostrzec grożących na niej niebezpieczeństw.

Wkrótce jakaś luna rozlała się na szczytach Libanu pośród białych lub ciemnych oparów poranka i ogarnęła całą tę scenerię niewyraźną i przyćmioną barwą, która nie jest ani dniem, ani nocą, ani blaskiem pierwszego, ani pogodą drugiej; godzina przykra dla oka i myśli, walka dwóch przeciwnych zasad, której smutny obraz niekiedy ukazuje nam przyroda, lecz którą częściej znajdujemy we własnym sercu. O siódmej rano, przy skwarnym już słońcu, opuściliśmy Saidę, starożytny Sydon, górującą ponad morzem jak chlubne wspomnienie dawnej potęgi; wdzieraliśmy się na kredowe wzgórza, nagie, potrzaskane, które, wznosząc się coraz to wyżej, wiodły ku pustkowiu na próżno szukanemu wzrokiem. Każdy przebyty wzgórek odsłaniał inny, wyższy, na który znów trzeba było się wdzierać lub go objeżdżać; góry łączyły się z górami jak ściśle ogniwa łańcucha, a między nimi widniały tylko głębokie, bezwodne rozpadliny, zbiele, zarzucone wielkimi blokami szarawych skał. Góry te są zupełnie pozbawione roślinności i ziemi. Są to szkielety gór od wieków zżerane wiatrem i wodą. Nie tu spodziewałem się znaleźć siedzi-

bę kobiety, która zwiedziła świat i miała cały obszar ziemi do wyboru. Na koniec ze szczytu jednej z tych skał wzrok mój padł na dolinę głębszą i rozleglejszą od innych, otoczoną zewsząd górami bardziej majestatycznymi, lecz równie nagimi. Ze środka tej doliny, jak podstawa szerokiej wieży, wznosiła się góra Dziun, opasana ławami zaokrąglonych skał, które zwężając się ku wierzchołkom, tworzyły na koniec kilkusetażniową powierzchnię, u-wieńczoną bujną, piękną, zieloną roślinnością. Biały mur, w którego jednym z węglów widniał pawilon ogrodowy, otaczał cały ten zespół zieleni. Była to siedziba lady Estery. Dotarliśmy do niej w południe. Nie przypomina bynajmniej tego, co nazywają domem w Europie, a nawet na Wschodzie; jest to chaotyczny i dziwaczny zbiór dziesięciu czy dwunastu małych parterowych domków, z których każdy mieści jedną lub dwie izby bez okien; domki te są oddzielone od siebie dziedzińczykami lub ogródkami i przypominają swoim wyglądem owe ubogie klasztory braci żebrzących, które się napotyka wysoko w górach we Włoszech lub w Hiszpanii. Zgodnie ze swoim zwyczajem lady Stanhope nie pokazywała się przed trzecią lub czwartą po południu. Zaprowadzono każdego z nas do jakiejś waziutkiwej niby celki, gdzie nie było ani okien ani sprzętów. Podano nam obiad, po czym ułożyliśmy się na sofie, czekając przebudzenia niewidzialnej właścicielki tej romantycznej ustroni.

Usnąłem; o trzeciej zapukano do moich drzwi i oznajmiono, że lady Stanhope czeka na mnie; minąłem dziedziniec, ogród, jakąś altanę okrytą jaśminem, dwa lub trzy ciemne korytarze, po czym mały Murzynek, sześć- lub siedmioletni, wprowadził mnie do gabinetu lady Estery. Tak głęboka ciemność tu panowała, że zaledwie mógł dostrzec szlachetne, poważne, łagodne i majestatyczne rysy białej postaci w stroju wschodnim, która podniosła się z sofy i podeszła, podając mi rękę. Lady Estera wygląda na lat pięćdziesiąt; ma takie rysy, jakich wiek zmienić nie może: świeżość, rumieniec i wdzięk znikają z młodością, lecz kiedy piękność jest tylko w zarysie, w czystości linii, w godności, w powadze, w myślach widocznych na twarzy mężczyzny lub kobiety, wówczas owa piękność zmienia się w rozmaitych okresach życia, ale nigdy nie przemija. Taka właśnie jest piękność lady Stanhope. Na głowie miała biały zawój, na czole purpurową przepaskę z wełny, spadającą aż na ramiona po obu stronach głowy. Długi, kaszmirowy, żółty szal, obszerna suknia turecka z białego jedwabiu, z szerokimi rękawami, okrywały całą jej postać, układając się w fałdy proste i pełne majestatu, i tylko

w wycięciu tej wierzchniej tuniki widać było drugą suknię z kwiecistej materii perskiej, spiętą pod szyją agrafą z pereł. Buciki tureckie z żółtego safianu haftowane jedwabiem uzupełniały ten piękny ubiór wschodni, który nosiła z taką swobodą i z takim wdziękiem, jak gdyby od lat dziecinnych innego nie znała.

— Przybył pan z bardzo daleka — rzekła do mnie — aby odwiedzić pustelnicę; witam cię w mojej ustroni; przyjmuję bardzo niewielu cudzoziemców, jednego lub dwóch rocznie, ale twój list podobał mi się, pragnęłam poznać osobę, która jak ja kocha Boga, przyrodę i samotność. Prócz tego mówiło mi coś jeszcze, że nasze gwiazdy są sobie przyjazne i że zgodzimy się ze sobą. Z przyjemnością przekonałam się, że przecucie mnie nie zawiodło i twoje rysy, które teraz widzę, nawet odgłos twoich kroków, kiedy przechodziłeś przez korytarz, na tyle dały mi cię poznać, iż cieszę się, że cię poznać pragnęła. Usiądźmy i rozmawiajmy. Już jesteście przyjaciółmi.

— Jak to, milady — rzekłem — tak prędko zaszczycasz mianem przyjaciela człowieka, którego ani sposobu życia, ani nazwiska nie znasz wcale? Nie wiesz, kim jestem.

— Prawda — odpowiedziała — nie wiem, ani kim jesteś podług świata, ani czym zajmowałeś się, będąc między ludźmi, ale wiem już, kim jesteś w obliczu Boga. Nie uważaj mnie za obłąkaną, jak mnie świat często nazywa, ale nie mogę oprzeć się potrzebie pomówienia z tobą otwarcie. Istnieje umiejętność, zagubiona dziś w waszej Europie, umiejętność, która powstała na Wschodzie, która nigdy tu nie zaginęła i dotąd tu trwa. Posiadam ją. Czytam w gwiazdach. Wszyscy jesteśmy dziećmi jednego z tych światła niebieskich, które stały u naszych narodzin, a których wpływ pomyślny lub nieżyczliwy jest zapisany w naszych oczach, na czole, w rysach, liniach dłoni, w kształcie stopy, w naszych ruchach, w sposobie chodzenia. Za ledwie kilka chwil mówię z tobą, a znam cię tak dobrze, jak gdybym cały wiek z tobą była. Chcesz, żebym ci wyjawiała, kim jesteś, żebym ci przepowiedziała twoje przeznaczenie?

— Dziękuję, milady — odpowiedziałem z uśmiechem. — Nie zaprzeczam temu, czego nie znam, nie będę twierdził, że w naturze widzialnej i niewidzialnej, gdzie wszystko się łączy i wiąże, istoty niższego rzędu, jak człowiek, nie mogłyby znajdować się pod wpływem istot wyższych, jak gwiazdy lub aniołowie, ale nie potrzebuję ich objawienia, aby poznać sam siebie: moje zepsucie, słabość, nędzę! A co do tajemnic mojego przyszłego przeznaczenia, poczytywałbym za obrazę Wszechmocnego, który to prze-

de mną ukrywa, gdybym się starał poznać je przez usta Jego stworzenia. W przedmiocie przyszłości wierzę tylko w Boga, w wolność i w cnotę.

— Nie myślę osłabiać twojej wiary — rzekła. — Powiem ci tylko, że urodziłeś się pod wpływem trzech gwiazd szczęśliwych, potężnych i dobrych, które cię obdarzyły tymi właśnie przymiotami i wiodą cię do celu, który, gdybyś chciał, mogłabym ci dzisiaj wskazać.<sup>3</sup> Bóg cię tu sprowadza, aby oświecić twoją duszę, jestem jedną z tych istot ożywionych pragnieniem i dobrą wolą, jakich Bóg potrzebuje jako narzędzi do wykonania dzieł cudownych, które spełni niebawem dla ludzi. Czy wierzysz, że nadeszło już panowanie Mesjasza?

— Urodziłem się jako chrześcijanin — odparłem — oto cała odpowiedź.

— Chrześcijanin! — rzekła z lekką goryczą. — Ja też jestem chrześcijanką; ale czy ten, kogo zwiecie Chrystusem, nie powiedział: „Jeszcze mówię do was przypowieściami, ale ten, który po mnie przyjdzie, będzie do was mówił w duchu i w prawdzie.”<sup>4</sup> Otóż jego właśnie się spodziewamy! Oto Mesjasz, który jeszcze nie przyszedł, ale już się zbliża; ujrzymy go na własne oczy, a na jego przyjście wszystko się w świecie przygotowuje! Cóż na to odpowiesz i jak mógłbyś zaprzeczyć lub odrzucić słowa twojej Ewangelii, które przytoczyłam? Jakież są powody, które sprawiają, że wierzysz w Chrystusa?

— Pozwól, milady — odparłem — że nie podejmę z tobą takiej dyskusji; sam z sobą jej nie podejmuję. Dwa są światła dla człowieka: jedno rozświeca umysł, który gotów jest do dyskusji i nie stroni od wątpliwości, co często prowadzi jedynie do błędu i zbłąkania; drugie rozświeca serce i nigdy nie zawodzi, jest bowiem zarazem oczywistością i przekonaniem; a dla nas, nieszczęsnych śmiertelników, prawda jest jedynie przekonaniem. Bóg jeden posiada prawdę inaczej i tylko jako prawdę; my posiadamy ją jedynie jako wiarę. Wierzę w Chrystusa, ponieważ przyniósł na Ziemię najświętszą, najplodniejszą i najbardziej boską naukę, jaka kiedykolwiek oświeciła umysł ludzki. Nauka tak niebieska nie może być owocem oszustwa i kłamstwa. Mówi to Chrystus i mówi to rozsądek. Nauki można rozpoznać po ich treści moralnej, podobnie jak drzewo poznaje się po jego owocach; owoce chrześcijaństwa, mówię tu raczej o jego owocach przyszłych niż o tych, które już zebrano i które się zepsuły, są nieskończone, doskonałe i boskie; nauka więc jest boska; twórcą jej jest Słowo Boże, jak Chrystus sam siebie nazwał. Oto dlaczego jestem chrze-

ścijaninem, oto moja dyskusja ze sobą na tematy religijne; z innymi jej nie podejmuję: człowiekowi można udowodnić to tylko, w co już sam wierzy.

— A więc — rzekła — sądzisz, że wszystko w świecie w dziedzinie społecznej, politycznej i religijnej jest już w porządku i nie odczuwasz, choć wszyscy to odczuwają, potrzeby, konieczności nadejścia odnowiciela, zbawcy, Mesjasza, na którego czekamy i którego już widzimy w naszych pragnieniach?

— Ach, jeśli o to chodzi — odparłem — to rzecz całkiem inna. Nikt bardziej niż ja nie cierpi i nie wzdycha nad powszechnym uciemieniem przyrody, ludzi i społeczeństw. Nikt głośniejsze nie przyznaje ogromu krzywd społecznych, politycznych i religijnych. Nikt bardziej nie pragnie i nie spodziewa się odkupiciela tych okropnych krzywd. Nikt też nie jest bardziej pewien, że musi to być odkupiciel boski. Jeżeli nazywasz to oczekiwaniem Mesjasza, oczekuję Go jak ty, milady, i bardziej niż ty wzdycham, aby jak najszybciej się objawił; jak ty dostrzegam w zachwianej wierze człowieka, w zamęcie jego idei, w pustce jego serca, w znieprawieniu jego położenia społecznego, w powtarzających się wstrząsach urzędów politycznych wszelkie objawy przewrotu, a zatem prędkiej i nieuniknionej odnowy. Wierzę, iż Bóg zawsze objawia się w odpowiedniej chwili, gdy to, co jest dziełem człowieka, okazuje się niedostateczne, a człowiek przyznaje, że sam sobie pomóc nie może. Świat jest właśnie w takim położeniu. Wierzę więc, że Mesjasz zjawi się w naszych czasach, ale nie sądzę, by tym Mesjaszem miał być Chrystus, który nic więcej nam dać nie może w dziele mądrości, cnoty i prawdy; myślę, że tym Mesjaszem będzie ten, o którym Chrystus powiedział, że przyjdzie po Nim: ów Duch Święty, zawsze działający, zawsze trwający przy człowieku, zawsze, w zależności od czasów i potrzeb, odsłaniający mu, co powinien robić i wiedzieć. Obojętnie, czy ów Duch Boży wcieli się w człowieka czy w doktrynę, w fakt czy ideę; człowiek czy doktryna, fakt czy idea, zawsze wierzę w Ducha Świętego, zawsze mu ufam, zawsze się Go spodziewam i bardziej niż ty, milady, zawsze Go przyzywam. Widzisz więc, że możemy się porozumieć i że nasze gwiazdy nie są tak od siebie odległe, jak można by wnosić z tej rozmowy.

Uśmiechnęła się; jej oczy, przesłonięte niekiedy odrobiną niechęci, gdy jej głosiłem mój racjonalizm chrześcijański, rozświeciły się tkliwością i omal że nadnaturalnym blaskiem.

— Możesz wierzyć, w co tylko chcesz — powiedziała. — Jesteś mimo to jednym z tych ludzi, których Opatrzność mi zsyła, na

których czekałam, a którzy mają mieć znaczny udział w dziele, które się przygotowuje. Niebawem wrócisz do Europy; Europa jest skończona, tylko Francja ma wielką misję do spełnienia: będziesz w niej uczestniczył, nie wiem jeszcze jak, ale mogę, jeśli zechcesz, powiedzieć to ci dziś wieczór, kiedy zapytam twoich gwiazd. Nie wiem jeszcze, które to są, widzę teraz więcej niż trzy; dostrzegam czwartą, może piątą, a kto wie, czy nie ma ich więcej. Jedną z nich będzie niezawodnie Merkury; on daje światłość i barwę pojęciom i słowom; jesteś zapewne poetą; to widać z twoich oczu i z górnej części twarzy; na niższej rządzą zupełnie odmienne, a nawet przeciwne gwiazdy: widać wpływ energii i działania, jest także jakiś wpływ Słońca — dodała nagle — w sposobie trzymania głowy i w tym, jak przechylasz ją w lewo. Podziękuj Bogu: mało ludzi rodzi się pod więcej niż jedną gwiazdą, mało takich, których gwiazda jest szczęśliwa, mniej jeszcze — których gwiazda, nawet przyjazna, nie ulega przeciwwadze złego wpływu innej gwiazdy. Ty zaś, przeciwnie, masz ich wiele, a wszystkie zgodnie się jednoczą, aby ci służyć, wspólnie działają, aby okazać swój przyjazny wpływ. Jak się nazywasz? Wymieniłem swoje nazwisko.

— Nigdy nie słyszałam tego nazwiska — odpowiedziała z wyrazem szczerości.

— Widzisz więc, milady, czym jest sława. W swoim życiu napisałem kilka wierszy, imię ich twórcy wszystkie echa literackie Europy powtórzyły milion razy, ale to echo było zbyt słabe, aby przebyć twoje morza i góry, toteż jestem tu człowiekiem zupełnie nowym, nieznanym, którego nazwisko nigdy tu nie padło. Twoja życzliwość tym bardziej mi więc pochlebia, bom ją winien tylko tobie, milady, i sobie.

— Tak — odpowiedziała. — Czy jesteś, czy też nie jesteś poetą, szanuję cię i wierzę w ciebie; zobaczymy się jeszcze, bądź pewien. Wrócisz na Zachód, ale niedługo znów przyjedziesz na Wschód, bo to jest twoja ojczyzna.

— W każdym razie — odparłem — ojczyzna mojej wyobraźni.

— Nie żartuj — rzekła — to twoja prawdziwa ojczyzna, ojczyzna twoich przodków.<sup>5</sup> Teraz jestem tego pewna: spójrz na swoją stopę.

— Widzę na niej tylko, powtarzam, kurz waszych ścieżek, który przyprowadziłby mnie o rumieniec wstydu w jakimkolwiek salonie starej Europy.

— Nie, to nie to — mówiła dalej. — Popatrz na swoje stopy.

Wciąż jeszcze nie zwracałem na nie uwagi.

— Masz podbicie bardzo wysokie, a kiedy stawiasz całą stopę, między piętą i palcami pozostaje dość miejsca, aby mogła tam przepłynąć woda i jej nie zmoczyć. To stopa Araba, stopa czło wieka Wschodu; jesteś synem tych krain, a zbliża się dzień, gdy każdy powróci do ziemi swoich ojców. Jeszcze się spotkamy.

W tej chwili wszedł Murzyn i padłszy na ziemię przed lady Estera, powiedział do niej kilka słów po arabsku.

— Już podano do stołu — rzekła. — Spiesz się i wracaj; ja tymczasem zajmę się sobą, aby z zamętu moich myśli wydobyć to, co dotyczy ciebie i twojej przyszłości. Jadam zawsze sama, żyję bardzo wstrzemięźliwie: jem chleb, owoce i to tylko wtedy, kiedy naprawdę odczuwam głód, to całe moje pożywienie; mój gość nie powinien dzielić takiego trybu życia.

Zaprowadzono mnie do altany z jaśminu i oleandrów u wejścia do ogrodów. Na stole były dwa nakrycia, dla mnie i dla pana de Parseval; obiadowaliśmy bardzo prędko, mimo to lady Stanhope, nie czekając, aż wstaniemy od stołu, przysłała po mnie pana Leonardi z oświadczeniem, że czeka na mnie. Pospieszyłem do niej: zastałem ją palącą długą wschodnią fajkę, jaką i mnie kazała podać. Przywykłem już, że najwykwintniejsze i najpiękniejsze kobiety na Wschodzie zwykle palą tytoń, i już mnie nie raziła ta postawa powabna i niedbała ani ten wonny dym, który lekkimi obłokami unosił się z ust pięknej kobiety i przerywał rozmowę, nie oziębiając jej. Rozmawialiśmy długo, a zawsze o ulubionym przedmiocie, o temacie jedynym i tajemniczym tej nadzwyczajnej kobiety, tej nowoczesnej czarodziejki, przypominającej zupełnie sławne czarodziejki starożytności, tej Kirke pustyni. Wydało mi się, że poglądy religijne lady Estery były zreczną, choć powikłaną mieszaniną rozmaitych wyznań, wśród których wypadło jej żyć: tajemnicza jak Druzowie, których skrytość mistyczną może zna tylko ona jedna w świecie, uległa i fatalistka jak muzułmanin, z Żydem oczekująca przybycia Mesjasza, a z chrześcijaninem oddająca cześć Chrystusowi i praktykująca Jego zasady pełne miłosierdzia. Dodajcie do tego barwy fantastyczne i sny nadprzyrodzone wyobraźni przesiąkłej Wschodem i rozpalonej samotnością, a także chyba rozpamiętywanie kilku wyjawionych jej tajemnic astrologów arabskich, a będziecie mieli wyobrażenie tego splotu wzniosłości i dziwactw, który łatwiej nazwać obłąkaniem niż rozwikłać go i pojąć.

Nie, ta kobieta nie jest wcale obłąkana. Obłąkanie, które widoczne jest przede wszystkim w oczach, nie daje bynajmniej o sobie znać w jej pięknym i spokojnym wejrzeniu; obłąkanie, któ-



re zawsze się zdradza w rozmowie, mimowolnie przerywając jej tok nagłymi, bezładnymi i dziwaczными zwrotami, wcale nie przejawia się w tajemniczej, mistycznej, mglistej, ale swobodnej, logicznej, konsekwentnej i dobitnej konwersacji prowadzonej przez lady Estere. Gdybym miał wypowiedzieć swoje zdanie, rzekłbym raczej, że jest to obłąkanie wzięte na siebie dobrowolnie, wyuczone, świadome siebie i mające swoje powody, aby się przedstawiać jako obłąkanie. Uwielbienie, - jakie jej geniusz wywoływał i wywołuje wśród plemion arabskich zamieszkujących te górskie okolice, stanowi dostateczny dowód, że to mniemane obłąkanie jest tylko środkiem. Mieszkańcy tej krainy cudów, ludy żyjące pośród tych skał i pustyń, których wyobraźnia jest barwniejsza, bardziej omglona niż horyzont ich piasków i mórz, mają nieodpartą potrzebę słów Mahometa czy lady Stanhope. Trzeba im obcowania z gwiazdami, przepowiedni, cudów, jasnowidzenia geniuszu; lady Estera zrozumiała to zrazu dzięki swojemu naprawdę wyższemu umysłowi, potem może jak każdy, kto jest obdarzony wielkimi zdolnościami umysłowymi, skończyła na tym, że sama uległa złudzeniu i stała się pierwszą wyznawczynią wiary, którą stworzyła dla innych. Takie wrażenie sprawiła na mnie ta kobieta. Nie można jej ocenić ani zaklasyfikować jakimś jednym słowem: to posąg ogromnych rozmiarów, sądzić go można tylko podług skali mu właściwej. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby wkrótce urzeczywistniło się częściowo to, co lady Stanhope sama sobie przyobiecała: władza w Arabii, tron w Jerozolimie. Najmniejsze wstrząśnienie polityczne na Wschodzie, tam, gdzie lady Estera stale przebywa, mogłoby ją wynieść tak wysoko.

— Jeden tylko — rzekłem do niej — zarzut czynię twojemu, pani, geniuszowi: że zbyt nieśmiało przyjmowałaś bieg wydarzeń i że dotychczas nie skierowałaś swojego losu tam, dokąd by mógł cię doprowadzić.

— Mówisz — odparła — jak człowiek, który jeszcze zanadto wierzy w wolę ludzką, a za mało — w nieprzepartą władzę przeznaczenia; w nim jest moja potęga. Czekam go, nie przyzywam; starzeję się, majątek mój znacznie się zmniejszył; jestem teraz sama, skazana tylko na siebie na tej pustynnej skale, zdana na pastwę pierwszego lepszego śmiałka, który by zechciał się tu włamać, otoczona zgrają niewiernych służalców i niewdzięcznych niewolników, którzy mnie codziennie okradają, a nawet zagrażają mojemu życiu; ot, choćby niedawno ten sztylet tylko mnie ocalił; musiałam go użyć, aby obronić się przed czarnym niewol-



5. JORDAN



6. OGRÓD OLIWY



**7. RUINY BAALBEKU**



8. TADMOR

nikiem, którego wychowałam. No cóż, wśród tych wszystkich przeciwności jestem szczęśliwa; na wszystko odpowiadam świętym słowem muzułmanów: „Allah kerim! Wola Boga!”, i ufnie oczekuję przyszłości, o której ci wspominałam, pragnąc cię natchnąć wiarą w jej niezawodne przyjsie.

Po wypaleniu kilku fajek i wypiciu kilku filiżanek kawy, które co kwadrans przynosili czarni niewolnicy, lady Estera rzekła:

— Chodź, zaprowadzę cię do przybytku, do którego przystęp wszystkim jest wzbroniony: do mojego ogrodu.

Zeszliśmy po kilku stopniach i w prawdziwym zachwycie szedłem z nią razem przez jeden z najpiękniejszych ogrodów, jakie dotąd widziałem na Wschodzie. Ciemne altany z winnych latorośli, z których zielonych sklepień niby tysiące żyrandoli zwieszają się błyszczące grona Ziemi Obiecanej, pawilony, w których rzeźbione arabeski spletały się z krzewami jaśminu, z pnączami i azjatyckim powojem, sadzawki, w których płynęła woda, sztucznie co prawda, z miłowej odległości sprowadzona, aby szemrać po kamykach i tryskać w marmurowych fontannach, aleje obramowane drzewami owocowymi z Anglii, z Europy, z krain o wybornym klimacie, zielone trawniki wysadzone kwiecistymi krzewami, a na marmurem otoczonych klombach gęszcze kwiatów, których nigdy nie widziałem — oto ów ogród.

Zatrzymywaliśmy się kolejno w wielu pawilonach, które go zdobią, a nie milknąca rozmowa lady Estery nigdy, ani na chwilę nie traciła owego tonu mistycznego i wzniosłości przedmiotu, jakimi tchnęła z rana.

— Skoro- — rzekła na koniec do mnie — przeznaczenie tu cię przywiódło, a jakaś niepojęta wzajemna skłonność naszych gwiazd pozwala mi powierzyć ci to, co utaiłabym przed wielu niegodny mi, chodź, zobaczysz na własne oczy zadziwiający twór natury, którego przeznaczenie wiadome jest tylko mnie i moim zwolennikom. Przepowiednie Wschodu zapowiadały go od wieków, sam osądzisz, czy się spełniły.

Otworzyła furtę ogrodu wychodzącą na mały wewnętrzny dziedziniec, na którym ujrzałem dwie prześliczne klacze arabskie czystej krwi i rzadkiej doskonałości kształtów.

— Podejdź — rzekła — i przypatrz się tej gniadej klaczy <sup>6</sup>; zobacz, czy natura nie dokonała z nią tego, co napisano o klaczy, na której ma przybyć Mesjasz: „Urodzi się osiodłana.”

W istocie, zobaczyłem na tym pięknym stworzeniu igraszkę natury na tyle niezwykłą, że bez trudu można się nią było posłużyć dla omamiania tych łatwowiernych, na poły barbarzyń-

skich plemion: klacz mianowicie miała w miejscu łopatek wkłę-» słość tak szeroką i głęboką i tak dokładnie naśladowującą siodło tureckie, że słuszne byłoby twierdzenie, iż urodziła się osiodłana, i gdyby nie brak strzemion, można by było w istocie jeździć na niej bez siodła. Zresztą ta prześlizczna klacz wydawała się przyzwyczajona do podziwu i szacunku, jakimi ją otaczają lady Stanhope i jej niewolnicy; nikt nigdy jej nie dosiadał, a dwóch masztalerzy arabskich pielęgnuje ją i dogląda, nie spuszczać jej z oka ani na chwilę. Druga klacz, biała i moim zdaniem bez porównania piękniejsza, doznaje takiego samego jak klacz Mesjasza uszanowania i opieki lady Stanhope — i tej nigdy nikt nie dosiadał. Lady Estera nic mi nie mówi, ale każe mi domniemywać<sup>7</sup>, że choć przeznaczenie białej klaczy było mniej świętobliwe, miał jej przypaść w udziale los tajemniczy, a zarazem doniosły: domyśliłem się, że lady Stanhope zamierza jej dosiąść owego dnia, gdy u boku Mesjasza wjedzie do powtórnie zdobytej Jerozolimy. Potem poleciła, aby obie te klacze przez jakiś czas oprowadzać po trawniku, poza obrębem warowni, i nasyciwszy się widokiem ich zwinności i ich powabem, wróciliśmy na pokoje. Prosiłem usilnie lady Stanhope, aby pozwoliła na koniec przedstawić sobie mojego przyjaciela, pana de Parseval, który pomimo mojej woli towarzyszył mi aż do Dżiun i na próżno od samego rana oczekuje łaski przyjęcia, której tak skąpo udziela. Przystała na koniec i wszyscy troje celem przepędzenia wieczoru, czy raczej nocy, znaleźliśmy się w opisanym już saloniku. Znów pojawiły się kawa i fajki w iście wschodnim nadmiarze, a salon tak się wkrótce napełnił dymem, że postać lady Stanhope ukazywała się nam niewyraźnie, niby duch wywołany z zaświatów jakąś magiczną mocą. Rozmawiała z taką samą energią, z takim samym wdziękiem i taką samą wylewnością, ale mniej rozprawiała o rzeczach nadprzyrodzonych i poruszała przedmioty mniej dla niej uświęcone, niż to czyniła w rozmowie ze mną w ciągu dnia.<sup>8</sup>

— Spodziewam się — powiedziała nagle — że jesteś arystokratą; patrząc na ciebie, wcale o tym nie wątpię.

— Mylisz się, milady — odparłem. — Nie jestem ani arystokratą, ani demokratą; dość długo żyję, aby widzieć obie strony medalu ludzkości i uznać, że jedna i druga jest równie pusta; nie jestem arystokratą ani demokratą; jestem człowiekiem i zwolennikiem jedynie tego, co może człowieka polepszyć i udoskonalić bez względu na to, czy urodził się na szczycie, czy na dole drabiny społecznej. Nie jestem ani stronnikiem ludu, ani ma-

jących władzę, lecz jedynie całej ludzkości; nie wierzę też ani w instytucje arystokratyczne, ani w instytucje demokratyczne, lecz tylko w cnotę doskonalenia ludzkości; tę cnotę zawiera w sobie moralność Boża, owoc religii doskonałej. Cywilizacją ludów jest ich wiara.

— To prawda — rzekła. — Jednak jestem arystokratką wbrew sobie; i musisz przyznać — dodała — że jeśli nawet arystokracja ma wady, ma też wielkie zalety, które to okupują i wynagradzają, gdy tymczasem w demokracji widzę wiele wad, i to wad najnikczemniejszych, najbardziej tchnących zawiścią, ale na próżno szukam w niej wielkich zalet.

— O nie, milady — powiedziałem. — Obie strony mają wady i zalety; ale nawet wady klas wyższych mają swój powab, gdy wady klas niższych ukazują się w całej swojej nagości, tym bardziej raniąc poczucie moralne tych, co na nie patrzą; różnica polega na pozorach, a nie na istocie rzeczy; w gruncie jednak ta sama wada u człowieka bogatego, wykształconego i światłego jest czymś znacznie gorszym niż u człowieka pozbawionego oświaty i chleba: pierwszy z nich bowiem ma ją z wyboru, drugi — z konieczności; gardź więc tą wadą wszędzie, gdzie ją napotkasz, zwłaszcza zaś u zepsutej arystokracji, i nie sądzmy ludzkości według klas, tylko według ludzi: wielcy i bogaci mieliby wady ludu, gdyby wyszli z ludu, a biedacy mieliby wady bogatych, gdyby byli bogaci. Mierzmy jednakową miarą.

— No cóż, dajmy temu spokój — rzekła. — Wolę jednak wierzyć, że jesteś, jak ja, arystokratą; nie ścierpiałabym, abyś był jednym z tych młodych Francuzów, co podburzają lud przeciw wszystkim autorytetom, ustanowionym przez Boga, naturę i społeczeństwo, i obalają budowlę, aby z jej ruin uczynić piedestał dla swojej nikczemnej zawiści.

— Możesz być spokojna, milady — powiedziałem. — Nie jestem jednym z nich. Należę jedynie do ludzi, którzy nie gardzą tymi, co na drabinie porządku społecznego znajdują się od nich niżej, szanując zarazem tych, co są nad nimi, lecz pragną i marzą o tym, aby wszyscy ludzie, niezależnie od zajmowanego przez nich szczebla w samowolnie ustanawianych hierarchiach politycznych, byli tak samo oświeceni, tak samo wolni i tak samo moralnie doskonali. A ponieważ jesteś religijna, wierzysz, że Bóg jednakowo kocha wszystkie swoje dzieci, i spodziewasz się drugiego Mesjasza, który wszystko naprawi, myślisz więc tak jak oni i tak jak ja.

— Tak — odpowiedziała. — Ale nie zajmuję się już polity-



ką ludzką, mam jej dość, dość jej się napatrzyłam przez te dziesięć lat, które spędziłam w domu pana Pitta, mojego wuja, gdzie dochodziły mnie echa wszystkich intryg europejskich. W młodości wzgardziłam ludzkością, nie chcę o niej słyszeć; cokolwiek ludzie czynią dla ludzi, jest bezowocne, formy są mi obojętne.

— I mnie także — powiedziałem.

— Istota rzeczy — ciągnęła — to Bóg i cnota.

— Myślę całkiem tak samo — odrzekłem. — Nie mówmy więc już o tym, przecie się zgadzamy.

Zwróciliśmy rozmowę ku rzeczom mniej poważnym, a ja, żartując z tego rodzaju umiejętności, które pozwalały jej poznać do głębi człowieka za pierwszym wejrzeniem i przez badanie jego gwiazdy, wystawiłem ją na próbę i zapytałem o kilku podróżników, moich znajomych, których widziała przed piętnastu laty<sup>9</sup>. Zdumiała mnie niezwykła trafność jej spostrzeżeń o dwóch spośród nich. Między innymi z wielką przenikliwością scharakteryzowała sposób myślenia jednego z nich, który znałem jak najdokładniej, trudno do zrozumienia za pierwszym razem, szlachetny, ale osłonięty najprostszymi i najbardziej ujmującymi pozorami dobroduszości; a co najbardziej mnie zdumiało i kazało podziwiać niezawodną pamięć tej kobiety, to, że ów podróżnik spędził w jej domu tylko dwie godziny i że szesnaście lat upłynęło między jego odwiedzinami a moją prośbą, aby zdała sprawę z wrażenia, jakie na niej wywarł. Samotność skupia i wzmacnia wszystkie władze duszy. Prorocy, święci, wielcy ludzie i poeci pojęli to doskonale i ich natura nakazuje wszystkim im szukać pustyni lub odosobnienia pomiędzy ludźmi.<sup>10</sup> Jak zwykle, w rozmowie padło imię Bonapartego.

— Myślałem, milady — rzekłem — że twoje fanatyczne uwielbienie dla tego człowieka postawi między nami przegrodę.

— Mój fanatyzm — odparła — dotyczył jedynie jego nieszczęść, które wywołały we mnie litość.

— I ja się nad nim lituję — powiedziałem. — Znowu więc się zgadzamy.

Nie mogłem pojąć, jak kobieta religijna i moralna może uwielbiać nagą siłę, nie wspartą ani religią, ani moralnością, ani wolnością. Bonaparte był bez wątpienia wielkim odnowicielem; odbudował dziedzinę społeczną świata, ale nie zwracał dość uwagi na składniki tej odbudowy; ulepił swój posąg z błota i interesów osobistych zamiast go wyciosać z uczuć boskich i moralnych, z cnoty i wolności.

Przez całą noc lady Estera swobodnie i bez przesady poruszała

## ODWIEDZINY U LADY ESTERY STANHOPE

wszystkie tematy, jakie zazwyczaj nasuwa w rozmowie jakiś jeden, przypadkowo rzucony wyraz. Czułem, że temu wzniosłemu i silnemu umysłowi nie brakowało żadnej struny, że każde dotknięcie klawisza wydawało ton właściwy, jędrny i pełny, wyjąwszy może strunę metafizyczną, którą nadmierne napięcie i samotność obniżyły lub wzniosły na diapazon zbyt wysoki jak na pojęcia śmiertelnych. Rozstawaliśmy się z żalem szczerym z mojej, a najuprzejmiej mi okazanym z jej strony.

— Nie żegnajmy się — rzekła. — Nieraz się jeszcze zobaczymy, w tej podróży, a częściej w innych podróżach, których nawet jeszcze nie zamierzasz. Idź spocząć i wspomnij, że w samotniach Libanu zostawiasz przyjaciółkę.

Podąła mi dłoń; zwyczajem Arabów położyłem moją na sercu — i wyszliśmy.

## Odwiedziny u emira Baszyra

Nazajutrz o czwartej rano jechaliśmy z panem de Parseval po stromej pochyłości, wiodącej z klasztoru lady Estery w głęboką dolinę potoku Belus; przebyliśmy w bród rzeczkę wysuszoną letnim skwarem i zaczęliśmy wdzierać się na wysokie góry Libanu, oddzielające Dżiun od Deir el-Kamar, czyli klasztoru Księżyca, pałacu emira Baszyra, udzielnego władcy Druzów i wszystkich górskich krain Libanu. Lady Estera dała nam swojego lekarza za tłumacza i jednego z masztalerzy arabskich jako przewodnika. Po dwóch godzinach zbliżyliśmy się do wąwozu głębszego, węższego i bardziej malowniczego niż te, któreśmy dotąd przebyli. Z lewa i z prawa, niby dwa prostopadłe szańce, trzysta do czterystu stóp wysokie, wznoszą się dwa łańcuchy gór, jak gdyby rozłupane uderzeniem młota twórcy światów lub też rozdzielone trzęsieniem ziemi, które poruszyło podstawami Libanu, kiedy Syn Człowieczy, niedaleko od tych gór oddając duszę Bogu, wydał ostatnie technienie, które wyгнаło ducha błędu, ucisku i kłamstwa, a roznieciło prawdę, wolność i życie w odnowionym świecie. Olbrzymie bryły skalne, oderwane od obu zboczy, porozrzucane niby ręką dzieci kamyki na dnie strumienia, tworzyły straszliwie głębokie, bezmierne, najeżone łożysko tego wyschłego potoku; niektóre z nich przewyższały wysokie domy. Jedne sterczały pionowo, niewzruszone, wiecznotrwałe, inne zwisały, szczipione z sobą, niewidzialne, zdawały się jeszcze spadać, jeszcze staczać, i przedstawiały widok ruchomego zwałiska, ciągłego upadku, chaosu kamieni, niekończącej się lawiny skał barwy żałobnej, szarych, czarnych z żyłkowaniem czerwonym i białym, matowych: przypominały skamieniałe fale granitowej rzeki; w głębokich szczelinach tego łożyska spalonego skwarowym słońcem Syrii nie było kropli wody; ani nad tym potokiem, ani na wyżłobionych, urwistych stokach po obu stronach przepaści nie widać było trawki, łądygi czy choćby jakiejś pnącej się rośliny; był to ocean kamieni, wodospad skał, które różnaitość ich kształtów, odmienność położenia, dziwaczność upadku, gra cieni lub światła na ich ścianach czy powierzchni zdawała się wprawiać w ruch

i nadawać im płynność. Gdyby Dante chciał odmalować w jednym z kręgów swojego Piekła piekło kamieni, piekło suszy, zniszczenia, upadku rzeczy, spustoszenia światów, znikomości wieków, oto obraz, który powinien po prostu skopiować: jest to rzeka o-statnich godzin świata, kiedy ogień strawi wszystko i kiedy Ziemia, odsłaniając swoje wnętrze, będzie tylko potrzaskanym stosem przepalonych kamieni, zdruzgotanych stopą straszliwego Sędziego, który na nią zstąpi.

Przez dwie godziny jechaliśmy tą doliną smutku, a w jej widoku nic się nie zmieniało prócz biegu strumienia, który sam sobie uitorował drogę pomiędzy górami, i prócz mniej lub bardziej przerażającego kształtu, jaki przybierały skały, gromadząc się w jego łożysku spienionym wprost od kamieni. Dolina ta nigdy nie zatrze się w mojej pamięci. Ta kraina musiała być pierwszą krainą straszliwej poezji i ludzkich wyrzekań; patetyczny, wzniosły akcent proctw pobrzmiwa tu w tej odludnej, patetycznej, wyniosłej naturze. Wszystkie obrazy poezji biblijnej są wyrte wielkimi literami na pooranym obliczu Libanu i jego złotem lśniących wierzchołkach, jego dolinach szemrzających strumieniami i jego dolinach niemych i umarłych. Duch Boży, nadludzkie natchnienie, przenikające duszę i harfę poetyckiego ludu, do którego Bóg przemawiał symbolami i obrazami, stawiał owe niezwykle widoki przed oczyma świętych pieśniarzy od najwcześniejszego ich dzieciństwa i karmił ich mlekiem pożywniejszym niż nas, starych, wybladłych dziedziców lutni antycznej, nas, mających przed oczyma przyrodę powabną, łagodną, uprawioną, przyrodę ucywilizowaną i bezbarwną jak my sami.

W południe dotarliśmy do najwyższych gór, które nam jeszcze przebyć wypadało. Zaczęliśmy zjeżdżać ścieżkami niezwykle stromymi — gdzie nogi koni drżały na staczających się kamieniach — które oddzielały nas od przepaści. Po godzinnej takiej jeździe, skręcając ze wzgórza, zobaczyliśmy fantastyczny pałac Bteddin w pobliżu Deir el-Kamar. Wydaliśmy okrzyk zdumienia i podziwu; mimo woli wstrzymaliśmy konie, aby przypatrzeć się temu nowemu, malowniczemu, na wskroś wschodniemu widokowi, który ujrzeliśmy przed sobą.

O kilka kroków od nas ogromna struga spienionej wody wydobywała się ze śluzki jakiegoś młyna i z wysokości pięćdziesięciu, sześćdziesięciu stóp spadała na skały, które ją rozdzierały na strzępy; szum tego wodospadu, nasycająca powietrze świeżość, która zwilżała nasze pałające czoła, sprawiły, że nasze zmysły były dobrze usposobione do podziwiania tego widoku i chęć-

nie się nim napawały. Pod tym wodospadem, ginącym w otchłani, której dna nasze oko nie mogło sięgnąć, otwierała się lejkowata, rozległa, głęboka dolina, zasadzona aż do szczytu morwą, winoroślą i drzewami figowymi, a cały jej obszar był okryty delikatną i świeżą zielenią; na stokach wszystkich gór otaczających dolinę Deir el-Kamar widniało po kilka okazałych wiosek zbudowanych tarasowato. Z jednej strony tylko horyzont był otwarty i tam, nad niższymi wierzchołkami Libanu, widać było morze syryjskie. „Ecce mare magnum!” \* — powiedział Dawid. Oto tam właśnie jest owo wielkie błękitne morze z jego falami, z jego szumem i ogromnymi głazami.<sup>1</sup> Może Dawid tu był, kiedy wydał ten poetycki okrzyk. W istocie, widać morze u wybrzeży Egiptu, powleczone błękitem ciemniejszym od nieba i zespolone w oddali z widnokretem niewyraźną, fioletową mgłą, osłaniającą wszystkie wybrzeża tej części Azji. Z głębi tej niezmierzonej doliny wzgórze Bteddin, na którym wznosi się pałac emira, wyrasta oskrzydłone skałami okrytymi bluszczem niby jakaś ogromna wieża, z której szczelin i blanków spływają faliście girlandy zieleni. Wzgórze to wznosiło się aż do poziomu drogi nad przepaścią, nad którą zawiśliśmy; oddzielała nas tylko od niego otchłań wąska i szumiąca.

Na szczycie wzgórza, zajmując całą jego powierzchnię, o kilka kroków od nas widniał w całym swoim przepychu mauretański pałac emira z czworokątnymi wieżami o otworach strzałkowatych<sup>2</sup> u szczytu, z długimi galeriami, wznoszącymi się jedna nad drugą i tworzącymi długie rzędy arkad strzelistych i lekkich jak pnie palm, które je wieńczyły swoim napowietrznym pióropuszem, z rozległymi dziedzińcami, które opadały na kształt tarasów od szczytu góry aż do muru opasującego warownię; w głębi najobszerniejszego z tych dziedzińców, gdzie ginął nasz wzrok, z wysokości, na której staliśmy, widać było nieregularną fasadę pałacu zamieszkanego przez żony emira, ozdobioną lekkimi, smukłymi kolumnami, których trzony, rowkowane i wysokie, wznosiły się aż pod dach i dźwigały, niby parasole, lekkie kopuły z malowanego drewna, służące jako przedsionek. Marmurowe schody, ozdobione balustradą rżniętą w arabeski, prowadziły z tego przedsionka do drzwi; te drzwi, rzeźbione w różnokolorowym drzewie, osadzone w marmurze i zwieńczone napisami arabskimi, otaczali czarni niewolnicy, ubrani przepysznie, uzbrojeni w pistolety okute srebrem i szable damasceńskie, błyszczące

\* Oto morze wielkie

od złota i ornamentów; rozległe dziedzińce przedpałacowe napępiał tłum służących, dworzan, kapłanów i żołnierzy w rozmaitych malowniczych ubiorach, które tak chętnie nosi sześć ludów zamieszkujących Liban: Druzowie, chrześcijanie, Ormianie, Grecy, Maronici, Metualisi. Pięćset do sześciuset koni arabskich, nie osiodłanych i okrytych lśniącymi, różnokolorowymi czaprakami, przywiązanych było za nogi i za głowę do naprężonych sznurów, przeciągniętych przez dziedzińce; dalej kilka stad wielbłądów, z których jedne leżały, drugie stały, inne widać było kłęczące do załadunku lub wyładunku; na najwyższym tarasie wewnętrznego dziedzińca młodzi paziowie, nacierając na siebie konno, ciskali dziirytem lub starali się uniknąć jego ciosu, pochylając się na koniu, to znów wracali, najeżdżając w największym pędzie na rozbrojonego przeciwnika, a wszystkie te szybkie obroty, jakich wymagają owe wojskowe zawody, wykonywali z niezwykłą zręcznością i impetem.

Przypatrzwszy się temu wschodniemu widowisku, tak dla nas nowemu, podeszliśmy do ogromnej, ciężkiej bramy pierwszego dziedzińca pałacowego, przy której straż trzymali Arabowie u-zbrojeni w strzelby i długie lekkie włócznie, podobne do smukłych trzcin. Kazaliśmy doręczyć księciu listy polecające, jakie mieliśmy do niego. Po kilku chwilach książę przysłał po nas swojego głównego lekarza, pana Bertrand, który urodził się w Syrii w rodzinie francuskiej i zachował jeszcze mowę i wspomnienie ojczyzny. Pan Bertrand zaprowadził nas do pokojów, które emir gościnnie nam przeznaczył, a niewolnicy zabrali naszą swiętę i konie do innej części pałacu. Nasze mieszkanie składało się z pięknego dziedzińca, ozdobionego arabskimi filarami, i bijącą pośrodku fontanną, której woda spływała do marmurowego basenu; wokół dziedzińca mieściły się trzy pokoje oraz dywan<sup>3</sup>, czyli większy od innych pokój, bez drzwi i zasłon, utworzony z arkady wychodzącej na wewnętrzny dziedziniec: jest to rodzaj przejścia między ulicą i domem, które służy za ogród dla leniwych muzułmanów; zalegający tam cień zastępuje im cień drzew, nie przyszło im bowiem na myśl, aby je sadzić, ani też nie mogą się zdobyć na wysiłek, aby ich szukać tam, gdzie je natura dla nich zasadziła. Nasze pokoje, choć w tak okazałym pałacu, wydałyby się bardzo nędzne najbiedniejszemu z naszych wieśniaków; w oknach nie było szyb, zbytek nieznanym na Wschodzie, choć zima w tych górach jest surowa, nie było też łóżek ani sprzętów, ani krzeseł, tylko nagie ściany, odarte z tynku, podziurawione przez szczury i jaszczurki, i nierówna podłoga, ubita z ziemi

zmieszanej z pociętą słomą. Niewolnicy przynieśli maty z sitowia, rozesłali je na owej podłodze i przykryli kobiercami damasceńskimi; potem wnieśli mały stół, jeden z tych, jakie wyrabiają w Betlejem, z drzewa wysadzanego perłową macicą; stołki te mają zaledwie pół stopy średnicy i prawie tyle wysokości, są podobne do trzonu złamanej kolumny i mogą pomieścić zaledwie jedną tacę, na której muzułmanie stawiają pięć lub sześć potraw stanowiących ich biesiadę.

Nasz obiad, zastawiony na tym stoliku, składał się z pilawu, z misy kwaśnego mleka zmieszanego z oliwą i z kilku kawałków posiekanej baraniny, którą ucierają z gotowanym ryżem i nadziewają nią pewien rodzaj dyni, podobnych do naszych ogórków. W istocie jest to najlepsza i najsmaczniejsza potrawa, jaką można dostać na całym Wschodzie; za napój mieliśmy czystą wodę, którą piją z okrągłych glinianych naczyń z długimi szyjkami; podają je sobie z rąk do rąk i wlewają sobie wodę do otwartych ust, nie dotykając nimi naczyń. Nie używają ani noży, ani łyżek, ani widelców; jedzą palcami, ale częste mycie rąk sprawia, że ów zwyczaj nie jest zbyt odrażający dla muzułmanów.

Zaledwie skończyliśmy obiad, emir przysłał umyślnego z wiadomością, że nas oczekuje. Minęliśmy rozległy dziedzińiec, ozdobiony wodotryskami, i przedsionek z wysokimi, smukłymi kolumnami, osadzonymi bezpośrednio w ziemi i podtrzymującymi dach pałacu. Wprowadzono nas do bardzo pięknej sali, której posadzka była z marmuru, a ściany i sufity pomalowane jaskrawymi farbami w wykwintne arabeski przez malarzy z Konstantynopola. Wodotryski szemały w rogach sali, a w głębi, za o-szkloną i opatrzoną kratą kolumnadą, widać było ogromnego tygrysa, śpiącego z głową opartą na skrzyżowanych łapach. Połowę sali zapelniali sekretarze w długich ubiorach, mający za pasem zamiast sztyletów swoje srebrne przybory do pisania, Arabowie bogato przybrani i uzbrojeni, Murzyni i Mulaci, oczekujący rozkazów swojego pana, i kilku egipskich oficerów w europejskich mundurach, w czerwonych czapczkach greckich z długim niebieskim kwastem, spadającym aż na ramiona. Drugą część sali, wyższą prawie o stopę, zajmowała bieżąca dokoła szeroka sofa z czerwonego aksamitu. Emir siedział na niej w rogu z podwiniętymi nogami. Był to dorodny starzec o żywym i przenikliwym spojrzeniu, cerę miał świeżą, rumianą, brodę siwą, falistą; biała szata, przewiązana kaszmirowym pasem, okrywała go całego, a spod jej fałd, na wysokości piersi, widniała lśniąca rękojeść długiego, szerokiego sztyletu, zakończona galką

diamentową wielkości pomarańczy. Powitaliśmy go obyczajem miejscowym, przykładając rękę naprzód do czoła, potem do serca; pozdrowił nas uprzejmie, z uśmiechem, i dał znak, abyśmy się zbliżyli i usiedli obok niego na sofie. Tłumacz klęczał między nim i nami. Odezwałem się pierwszy, wyrażając radość, że mogę zwiedzić tak zajmujący i piękny kraj, którym rządzi tak energicznie i mądrze, i powiedziałem, że największą pochwałą jego rządów jest to, że się tu znajduje, że bezpieczeństwo dróg, obfitość upraw, porządek i spokój w miastach stanowią wymowne świadectwo potęgi i umiejętności panującego. Podziękował mi, a następnie zadał mnóstwo pytań dotyczących Europy, a zwłaszcza polityki europejskiej względem konfliktu turecko-egipskiego, które świadczyły zarówno o wadze, jaką przywiązywał do tego zagadnienia, jak o znajomości i pojmowaniu spraw, co tak rzadko trafia się u władców Wschodu. Przyniesiono kawę, fajki na długich cybuchach, które wielokrotnie wymieniano, i rozmowa trwała blisko godzinę.

Byłem zachwycony mądrością, wiedzą, szlachetnym i godnym zachowaniem tego sędziwego władcy; po długiej rozmowie wstałem, towarzysząc mu do łaźniek, które sam chciał nam pokazać. Łazienki te składają się z pięciu czy sześciu sal, ich posadzki są wyłożone płytami marmurowymi, sklepienia i ściany pokryte stiukiem i malowane akwarelą z wielkim przepychem i smakiem przez malarzy z Damaszku. Z posadzki tryskała woda gorąca, zimna lub ciepła, nadając salom odpowiednie temperatury. W ostatniej sali była łaźnia parowa, gdzie ani chwili nie mogliśmy wytrzymać. Mnóstwo pięknych, białych niewolników z obnażonymi torsami, przepasanych jedynie szalami z surowego jedwabiu, stało gotowych do pełnienia obowiązku łaźiebnych. Książę zaproponował nam wspólną z nim kąpiel; podziękowaliśmy i zostawiliśmy go pośród niewolników, którzy przygotowywali się, aby go rozebrać.

Stamtąd z jednym z jego koniuszych poszliśmy zwiedzić dziedzińce i stajnie, gdzie stały przywiązane jego wspaniałe arabskie ogiery. Chcąc powziąć wyobrażenie o koniu arabskim, trzeba być w stajniach Damaszku lub emira Baszyra. To dumne piękne zwierzę wiele traci ze swojej urody, wdzięku i malowniczego kształtu, kiedy je przenieść z rodzinnego kraju i pospolitych nawyknień w nasze chłodne okolice, w cień i samotność naszych stajen. Trzeba widzieć konia u wejścia do namiotu Beduinów, kiedy stoi z głową zwieszoną, wstrząsa długą, kručzącą grzywą jak ruchomym słońcochronem i omiata lśniącej jak miedź lub srebro



boki obracającą się kłocią ogona, którego koniec zawsze farbują henną na purpurowo; trzeba go widzieć przybranego we wspaniałe rzędy, którym dodają przepychu złoto i hafty z pereł, z głową okrytą jedwabną siatką niebieską lub czerwoną, przerabianą złotem lub srebrem, z brzęczącymi, falistymi iglicami, które spadają mu z czoła na nozdrza, gdy za każdym ruchem szyi zasłania lub odsłania swoje ogniste, ogromne, bystre, łagodne, dumne, wypukłe oko; trzeba, jak u emira Baszyra, widzieć go w stadzie dwustu, trzystu koni, z których jedne leżą w pyłe na dziedzińcu, inne są splecione żelaznymi pierścieniami, przytwierdzonymi do długich sznurów, przeciągniętych przez dziedzińiec, inne znów, wyrwawszy się na piasek, jednym skokiem przesadzają szeregi wielbłądów, które przeszkadzają im w biegu; tam trzymają je za cugle młodzi czarni niewolnicy w czerwonych kaftanach, a one opierają na ramionach tych chłopców swoje wypieszczone głowy; inne jak źrebięta bawią się swobodnie na łąkach, to wspinając się na siebie, to ścierając się czołami, to liżąc sobie wzajemnie połyskliwą, srebrzystą sierść. Zaledwie weszliśmy, wszystkie, spojrzały na nas z niespokojną i ciekawą bacznością, ale wkrótce, spoufaliwszy się z nami, łaskawie wyciągały szyje do pieszczot i do schlebiających głaskań. Nie można pojąć ruchu i wyrazu tych koni, kiedy się ich nie widziało. Wszystkie myśli malują się w ich oczach i w drzeniu ich policzków, ich warg, nozdrzy, tak widocznie, tak wyraziście i tak zmiennie, jak doznania duchowe na twarzy dziecka. Kiedy zbliżyliśmy się do nich pierwszy raz, wzdragały się, dąsały, pełne odrazy, ale i ciekawości, podobnie jak wrażliwy człowiek na widok czegoś niespodziewanego i niepokojącego. Nasza mowa zwłaszcza uderzała je i zdumiewała, a poruszenia ich uszu, do postawionych na sztorc, to położonych po sobie, to wyciągniętych ku przodowi, świadczyły o ich zdziwieniu i niepokoju; szczególnie podobało mi się kilka kłaczy bezcennej wartości, które zachowywano jedynie dla emira. Za jedną z najpiękniejszych kazałem tłumaczowi ofiarować koniuszemu aż do dziesięciu tysięcy piastrów, ale Arab za żadną cenę nie odstąpi kłaczy czystej krwi, toteż tym razem nic kupić nie zdołałem.

Pod koniec dnia wróciliśmy do naszego mieszkania, dokąd przyniesiono nam wieczerzę przypominającą obiad. Wielu oficerów emira odwiedziło nas, a pan Bertrand, jego główny lekarz, spędził z nami cały wieczór. Ponieważ zachował w pamięci po swojej rodzinie nieco włoskiego i nieco francuskiego, mogliśmy

ze sobą rozmawiać. Udzielił nam wielu nader ciekawych szczegółów o trybie życia emira Druzów. Książę ten, choć siedemdziesięciodwuletni, utracił niedawno swoją pierwszą żonę, której zawdzięczał całe swoje mienie, tylko co powtórnie się ożenił. Załowaliśmy bardzo, że nie mogliśmy zobaczyć jego nowej małżonki; mówią, że jest zdumiewającej piękności. Ma dopiero piętnaście lat; jest to Czerkieska, niewolnica, którą emir polecił kupić w Konstantynopolu i ochrzcić, zanim ją poślubił, sam bowiem jest chrześcijaninem, a nawet katolikiem, lub raczej, jak na to pozwala prawo wszędzie tam, gdzie panuje wolność wyznania, wyznawcą wszystkich religii oficjalnie dozwolonych w jego kraju, czyli muzułmaninem dla muzułmanów, Druzem dla Druzów, chrześcijaninem dla chrześcijan. Są tu meczety i kościoły, ale od kilku lat rodzimą religią emira, religią najbliższą sercu, jest katolicyzm. Jego władza jest tak silna, a jego imię budzi taki postrach, że wiara chrześcijańska, którą wyznaje, nie powoduje nieufności czy wstrętu ani Arabów muzułmanów, ani Druzów, ani Metualisów, pozostających pod jego panowaniem. Wszystkim okazuje sprawiedliwość i wszyscy jednakowo go szanują.

Po wieczery emir przysłał nam kilku swoich muzykantów i śpiewaków, którzy na naszą cześć improwizowali po arabsku. W liczbie swoich dworzan emir utrzymuje Arabów przeznaczonych jedynie do tego rodzaju ceremonii. Spełniają oni zupełnie taką samą rolę jak trubadurzy na zamkach średniowiecznych lub w Szkocji poeci ludowi. Stojąc podczas biesiady za poduszką emira lub jego synów, śpiewają pieśni na pochwałę panów, którym służą, lub gości, których emir pragnie uczcić. Prosił nas pana Bertrand, aby nam przetłumaczył niektóre z tych poetyckich toastów: były tak mało znaczące albo też pełne myśli tak wyszukanych, że prawie niepodobna ich oddać myślami i wyobrażeniami właściwymi naszym językom europejskim.

Oto jedyna myśl bardziej zrozumiała, którą znalazłem zapisaną w moim notatniku.

„Wasz okręt miał skrzydła, ale rumak Araba także ma skrzydła. Nozdrza jego, kiedy pędzi po górach, wydają odgłos podobny do szumu wiatru w żaglach. Ruch jego podczas szybkiego biegu jest jak kołysanie okrętu dla serc słabych, ale raduje serce Araba. Oby jego grzbiet mógł być dla was siedziskiem zaszczytnym i oby często was przynosił do dywanu emira!”

Między sekretarzami emira znajdował się naówczas jeden z największych poetów arabskich. Nie wiedziałem o tym i dowiedziałem się dopiero później. Kiedy inni Arabowie syryjscy po-

wiedzieli mu, że jestem poetą w Europie, napisał dla mnie wiersz przepojony zwykłą przesadą i wyszukaniem, zepsuty zwykłą igraszką słów, co jest cechą języków cywilizacji zestarzałych, ale w których mimo wszystko przebijają wzniosły talent i znacznie wyższy porządek myśli, niż to sobie wyobrażamy w Europie.

Noc spędziliśmy na poduszkach rozestłanych na macie, wśród szumu wodotrysków szemrzących we wszystkich ogrodach, dziedzińcach i salach tej części pałacu. Ze świtem ujrzałem przez kraty muzułmanów modlących się na wielkim dziedzińcu pałacowym. Rozciągają kobierce, aby nie dotykać ziemi, stoją przez chwilę prosto, potem schylają się, kilkakrotnie bijąc czołem o kobierzec, wciąż z twarzą obróconą ku meczetowi, potem kładą się na kobiercu, uderzają o ziemię czołem, potem znów wstają i powtarzają ten obrzęd wielokrotnie, zawsze w takiej samej postawie, odmawiając szeptem modlitwy. W tych postawach, w tych obrzędach, jakkolwiek dziwaczne mogą się wydać nam, nieświadomym ich znaczenia, nie znalazłem nic śmiesznego. Fizjonomia muzułmanów tak jest przepojona uczuciem religijnym, które wyrażają tymi gestami, że ich modlitwa zawsze mnie przejmowała głębokim uszanowaniem: pobudka uświęca wszystko. Wszędzie, gdzie tylko zstępuje myśl boska i działa w człowieku, nadaje mu godność nadczłowieczą. Można powiedzieć: „Nie modlę się jak ty, ale modlę się wraz z tobą do wspólnego Władcy, do Władcy, w którego wierzysz, chcesz Go uznawać i czcić, jak i ja chcę Go uznawać i czcić pod inną postacią. Nie do mnie należy naigrawać się z ciebie, Bóg nas rozsądzi.”

Cały ranek zwiedzaliśmy pałace synów emira, położone opodal jego pałacu, ogrody do nich należące, mały kościółek katolicki, zupełnie podobny do naszych teraźniejszych wiejskich kościołów, we Francji lub Włoszech. Emir Baszyr kazał wybudować drugi pałac letni, odległy blisko o milę od Bteddin. Jest to jedyny cel przejażdżek konnych i prawie jedyna droga, którą koń, nawet arabski, bieć może galopem, nie narażając się na niebezpieczeństwo, wszystkie inne bowiem dróżki wiodące do Bteddin są tak strome i prowadzą nad tak pionowo tu spadającymi stokami, że nawet stępa nie sposób tamtędy przejechać bez drżenia.

Nim opuścimy Bteddin i Deir el-Kamar, przytoczę zebrane tam prawdziwe i ciekawe uwagi, dotyczące starca równie światłego, jak męznego, któregośmy właśnie widzieli.

## Uwagi o emirze Baszyrze

Ze śmiercią ostatniego potomka Fahr ad-Dina rząd nad obszarem górskim przeszedł w ręce rodziny Szihabów.<sup>1</sup> Rodzina ta zaledwie od stu dziesięciu lat osiadła w Libanie. Oto co mówią o niej dawne kroniki Arabów zaludniających pustynię damasceńską:

Około początku pierwszego wieku hedżry, kiedy wojska Abu Bakra<sup>2</sup> wtargnęły do Syrii, pewien odznaczający się męstwem człowiek imieniem Abdalla, mieszkaniec małej wioski Bet-Sziha-bi na pustyni damasceńskiej, okrył się sławą przy oblężeniu Damaszku i poległ pod jego murami. Dowódca muzułmański obsypał dobrodziejstwami jego rodzinę, która wówczas opuściła Bet-Szihabi i osiedliła się w Husbei na Antylibanie. Jeszcze znajduje się tam pierwotny szczepek tej rodziny, z którego wyszła linia władająca dziś Libanem.

Emir Baszyr, jeden z potomków Abdalli, został sierotą w młodocianym wieku. Ojciec jego, emir Hasem, otrzymał podbity futrem kakem<sup>3</sup> i pierścień władcy, gdy jego stryj, emir Milhem, porzucił rządy państwa, aby spokojnie, na ustroni, dokończyć swoich dni, lecz rządy Hasema były nieudolne i słabe, toteż Milhem, zmuszony do powtórnego objęcia władzy, musiał naprawić błędy swojego bratanka i uspokoić zamieszanie, jakie sprawiło jego niedoświadczenie.

Według relacji Volneya<sup>4</sup>, władza przeszła potem z Mansura na Jusefa: pierwszy był ojcem, drugi synem Milhema. Kiedy Jusef objął po raz pierwszy rządy, emir Baszyr miał dopiero lat siedem. Jusef wziął go do siebie i kazał starannie wychować. W kilka lat później, dostrzegłszy w nim umysł żywy i męski, dopuścił go do spraw państwa.

W owym czasie Dżezar, pasza Akki,<sup>5</sup> następca Dahera, od dawna nękał emira Jusefa napadami i nakładał na niego nadmierne podatki. Wybuchła wojna, ale Baszyr nie mógł towarzyszyć stryjom w tej wyprawie; dopiero w roku 1784 należał do powtórnego wyprawy przeciw Dżezarowi Paszy. Młody Baszyr, mający wówczas dwadzieścia jeden lat, naraził się na wielkie niebezpie-

czeństwo w mieście Ryd, opanowanym Hfzez Druzów. Ścigany przez korpus wojsk Dżezara, zmuszony ustąpić z miasta, został w odwrocie otoczony przez nieprzyjaciela. Położenie było krytyczne: Baszyr spał konia i pomknął w kierunku muru, skacząc z niego pod gradem kul; szczęściem nie został raniony, ale jego koń padł pod nim w tym upadku.

Wróciwszy do Libanu, emir Baszyr oddał się sprawom państwa i chciał przywrócić porządek w administracji Jusefa; wkrótce chęć wywyższenia zbudziła się w jego duszy; pamiętając, czym był synem, choć ubogi, zapragnął najwyższej władzy; jego sposób zachowania i odwaga zyskały mu przyjaźń wielu możnych rodzin; zabiegał też o zjednanie sobie innych, zniechęconych złymi rządami emira Jusefa, i zdołał pozyskać jedną z nich, znakomitą, wpływową rodzinę Kantar, której naczelnik, człowiek naówczas w Libanie najzdolniejszy, był niezmiernie bogaty i miał tytuł szejka Baszyra, czyli wielkiego i wspaniałego. Brakowało już tylko emirowi sprzyjającej okoliczności: niebawem nadeszła.

Od roku 1785, kiedy Dżezar Pasza przywrócił Jusefowi władzę, której go pozbawił na rok przeszło, kroki nieprzyjacielskie między nimi ustały zupełnie. Emir Jusef posyłał co rok swoich oficerów do Akki, ci przywozili mu kakem z zwykłymi oświadczeniami; jednak wciąż obawiał się nieporozumienia z paszą, co wkrótce nastąpiło.

W roku 1789 doszło między tymi dwoma władcami do gwałtownego zerwania, a emir Jusef, nie mogąc stawić oporu, postanowił zrzec się władzy. Baszyr cieszył się popularnością, a że Jusef go lubił, przywołał go więc do siebie i radził mu udać się do Akki i starać się o pierścień, oznakę władzy. Baszyr zrazu odmówił, zwracając stryjowi uwagę, że w takim razie musiałby go usunąć ze swoich ziem, ponieważ pasza by tego wymagał, gdyż jego obecność w Libanie ustawicznie ożywiałyby walkę stronnictw. Jusef, podsuwając tę myśl swojemu krewniakowi, kierował się dwoma celami: chciał utrzymać władzę w rodzinie i zachować dla siebie rządy, gdy tylko Baszyr pokona trudności, bądź ugodą, bądź też orężem.

Nalegał więc, a emir Baszyr, otrzymawszy od stryja przyrzeczenie, że gdy tylko pozyska rządy, ów opuści jego państwo, u-dał się do Akki. Dżezar Pasza przyjął go uprzejmie, powierzył mu władzę nad Libanem i dał mu osiem tysięcy ludzi, aby umocnił swoje panowanie i pochwycił emira Jusefa. Baszyr, przybywszy do mostu Gesser Kadi, napisał potajemnie do stryja, uprzedzając, jakie polecenie otrzymał od paszy, i nakłonił go, aby

się usunął. Emir Jusef udał się do Gibel w Kezruanie i tam zgromadził swoich stronników. Baszyr, przyłączywszy do swojego wojska to, które przyprowadził z Akki, wyruszył przeciw Jusefowi i spotkał go w Kezruanie, gdzie wydał mu bitwę i przyczynił znacznych strat; mimo to kilka miesięcy upłynęło bez ostatecznego wyniku.

Aby skończyć te niesnaski, Jusef wysłał umyślnego do Akki, przyrzekając paszy, że gdy mu przywróci władzę, otrzyma większy haracz, niż płacił mu Baszyr. Dżezar zgodził się, wezwał go do Akki, zwrócił mu kakem i chciał okazać mu pomoc w wypędzeniu Baszyra, dał mu te same osiem tysięcy wojska, które przeciw niemu walczyło. Emir Baszyr wycofał się do obwodu Mar Meri i stamtąd działał: dążąc do obalenia swojego współzawodnika, ofiarował się płacić więcej, niż to przyrzekł Jusef. Pasza na to przystał i Jusef znowu musiał ustąpić. Wrócił do Akki, aby próbować nowych intryg, ale Baszyr ofiarował paszy cztery tysiące kies<sup>6</sup>, jeżeli każe zgładzić Jusefa, aby tym sposobem położyć koniec niepokojom wstrząsającym Libanem.

Dżezar przebywał wtenczas w Damaszku. Ustanowiony przez niego zarządca ceł (Grek, który cieszył się jego całkowitym zaufaniem, a pod nieobecność Dżezara był uważany za paszę Akki) prowadził rozmowy w imieniu paszy i zawiadomił swojego pana o zawartej umowie. Zrazu wszystko to bardzo spodobało się Dżezarowi, zatwierdził zobowiązanie i kazał powiesić emira Jusefa wraz z jego ministrem Gandurem.

Zaledwie Dżezar wysłał ten rozkaz, już go pożałował; wydało mu się, że waśń obu książąt była dla niego korzystna, wydał więc drugi rozkaz z odwołaniem pierwszego, ale czy ów rozkaz nadszedł za późno, czy zarządca ceł był przekupiony, dość, że Jusefa powieszono. Ta egzekucja rozjątrzyła paszę; udał się do Akki, polecił, aby zdano mu sprawę z tego, co się stało, utrzymywał, że go oszukano, i kazał utopić swojego ulubieńca wraz z całą jego rodziną i wielu innymi uwikłanymi w to osobami.

Dżezar zabrał ogromne skarby swojego zarządcy i napisał do emira Baszyra list pełen wyrzutów, dając poznać młodemu władcy, że jest źle widziany. Baszyr usiłował usprawiedliwić się przed paszą, który ukrywał prawdziwą myśl aż do chwili wyboru nowego rządcy; wówczas Dżezar zaprosił Baszyra, aby przybył do Akki po oznaki dostojenstwa.

Nie domyślając się niczego, ów stawił się na rozkaz paszy ze swoim ministrem, szejkiem Baszyrem, ale zaledwie przybyli, wtrącono ich do więzienia, gdzie przez osiemnaście czy dwadzie-

## UWAGI O EMIRZE BASZYBZE

ścia miesięcy musieli znosie wszelkiego rodzaju udręki. Dżezar tym sposobem chciał ich zmusić do zapłacenia sutego okupu, ale książę nic nie posiadał, panował zbyt krótko, aby nagromadzić bogactwa; minister w tym go wyręczył. Wysłał skrycie do paszy wdowę po jednym z książąt druzyjskich imieniem Sest Abbas, z którą miał bliskie stosunki, i polecił jej ofiarować paszy żadaną sumę, a nawet udać, że sama zastawi swoje kosztowności, aby uzupełnić okup. Wdowa pojechała; była to kobieta zręczna, śmiała i bardzo obrotna. Zastawszy paszę w Akce, tak potrafiła ująć go swoim wdziękiem i dowcipem, że Dżezar znacznie obniżył początkowo żadaną sumę. Władzę oddano emirowi Baszyrowi, który znowu zyskał względy paszy.

W czasie jego uwięzienia brat emira Jusefa i jego kuzyn, emir Kojdar z Bubdy, pochwycili władzę i przedsięwzięli potrzebne środki, aby przeszkodzić emirowi Baszyrowi w powrocie do jego włości, gdyby go Dżezar uwolnił. Książę, wyszedłszy z więzienia, sądził, że nie byłoby roztropnie ukazać się natychmiast między swoimi, posłał więc ministra, szejka Baszyra, aby wy badał u-sposobienie ludności, sam zaś udał się do wioski Homs, oczekując wyniku jego układów. Starał się też zjednać sobie emira Abbetsa, księcia Druzów z Solimy, który aż dotąd zachował neutralność i był najbardziej poważany między Druzami i chrześcijanami, zwłaszcza w obwodzie Marcaeutre.

Emir Abbets, uważając sprawę emira Baszyra za słuszną, stanął w liczbie jego stronników i zaprosił go do siebie. Ponieważ trudno było wtenczas przesłać wiadomość, zlecił doręczenie swojego listu pewnemu Włochowi, braciszkiowi z klasztoru w Solimie. Baszyr udał się do swoich stronników, których liczbę szejk Baszyr pomnożył znaczną hojnością i obrotnością, natarł z impetem na wojsko swoich współzawodników, rozproszył je, wziął książąt w niewolę i kazał ich udusić bez wszelkich formalności.

Spokojny o swoją władzę, emir ożenił się z wdową po pewnym księciu tureckim, pochodzącym jak on z rodziny Szihabów, którego kazał zgładzić dwa lata przedtem. To małżeństwo uczyniło go panem ogromnego majątku. Nim pojął za żonę księżną, słynną z piękności, kazał ją ochrzcić. To małżeństwo było jednym z najszcześniejszych. Mając sześćdziesiąt osiem lat, księżna zapadła na rozmaite choroby i została dotknięta paraliżem, który jej odjął władzę w nogach; mimo to byli wzorem najtkliwszego przywiązania i najdoskonalszej zgody.

Emir Jusef umierając zostawił troje małych dzieci, Giorgios

## UWAGI O EMIRZE BASZYRZB

Bej i jego brat Abdalla wychowali je starannie w nadziei, że kiedyś wskrzeszą stronnictwo Jusefa i obalą emira Baszyra, ale ów przezwyciężył wszystkie przeszkody i panował spokojnie do roku 1804.

Niezwykle doniosłe wydarzenia działy się w Egipcie: Bonaparte, wszedłszy z wojskiem do Syrii, stanął pod Akką, która miała mu otworzyć bramy Wschodu. Wódz francuski nakłaniał władcę Libanu nagłymi listami i namową wysłańców, aby się z nim połączył i dopomógł mu do zdobycia twierdzy. Emir Baszyr odpowiedział, że gotów jest działać z nim wspólnie, ale dopiero po wzięciu Akki. Kiedy pewien Francuz wyrzucił potem emirowi, że nie przyłączył się z zapalem do sprawy wojsk francuskich i wskutek tego przeszkodził może odrodzeniu się Wschodu, odpowiedział: „Mimo najżywszej chęci połączenia się z generałem Bonaparte, mimo najzaciętszej nienawiści poprzysiężonej paszy, nie mogłem przyłączyć się do sprawy wojska francuskiego. Piętnaście lub dwadzieścia tysięcy ludzi, które byłbym posłał z gór, w niczym nie przyczyniłoby się do pomyślnego wyniku oblężenia. Gdyby Bonaparte bez mojej pomocy zdobył miasto, opanowałby góry bez walki, bo Druzowie i chrześcijanie gorąco tego pragnęli, a ja utraciłbym władzę; gdybym zaś dopomógł generałowi i gdybyśmy nie zdobyli twierdzy (co by się niezawodnie stało), pasza Akki kazałby mnie powiesić lub wtrącić do więzienia. Któż by mi wtenczas dopomógł? Czyjej bym wezwał opieki? Czy Francji, tak odległej, która miała przeciw sobie Anglię i Europę, i która wewnątrz sama była szarpana wojną domową i walką stronnictw?”

Jenerał Bonaparte zrozumiał położenie emira Baszyra i w dowód swojej przyjaźni posłał mu w podarunku przepyszną strzelbę, którą emir zachował jako pamiątkę po wielkim wodzu.

Nim wrócimy do historii wydarzeń, które nastąpiły zaraz po upadku stronnictwa emira Jusefa, należałoby opowiedzieć o wydarzeniu, które może sprawiło, że pasza Dżezar stał się tak krwiożerczy i okrutny.

W pierwszych latach swojego panowania, podług zwyczaju, Dżezar udał się na spotkanie karawany wracającej z pielgrzymki do Mekki. (Potem odbywanie tej ceremonii zlecono paszy Damaszkowi, a pasza Akki miał tylko ponosić kosztą karawany i płacić haracz Beduinom.) Mamelucy, którym na czas swojej nieobecności Dżezar powierzył straż pałacu, wyłamali wrota i oddali się zaspokajaniu wszystkich swoich chuci. Pasza wrócił, a Mamelucy, zamiast przed nim uciekać, zabrali skarbiec i zamknęli



bramy miasta, postanawiając siłą odeprzeć siłę. Dżezar z nielicznym towarzyszącym mu oddziałem nie mógł zwyciężyć, jednakże Mamelucy oświadczyli, że jeżeli pozwoli im odejść z bronią i końmi, otworzą mu bramy miasta, w przeciwnym razie są gotowi do walki, przekładając nad poddanie się śmierć z bronią w rękę. Dżezar nie miał co długo się namyślać, wiedział, że zarówno Turcy, jak chrześcijanie nienawidzili go z powodu ucisku, wiedział też, że gdyby emir Jusef zorientował się w jego położeniu, połączyłby się z Mamelukami i wydał mu wojnę, która mogłaby się dla niego fatalnie zakończyć.

Przychylił się więc do żądań Mameluków, którzy z pośpiechem uchodzili z miasta, kiedy on do niego wkraczał. Zaledwie stanął w swoim pałacu, natychmiast wysłał jazdę w pogoń za uciekającymi, ale na próżno; Mamelucy bez szwanku dotarli do Egiptu, a wtenczas Dżezar pomścił się na swoich żonach: kazał je wszystkie wychłostać, wrzucić do głębokiego rowu i przysypać niegaszonym wapnem. Od tej okropnej kary wyłączył tylko swoją ulubienicę; polecił ubrać ją w klejnoty, w najpiękniejsze suknie, potem zamknąć w skrzyni i wrzucić do morza.

Ten wypadek rzucił cień na charakter Dżezara. Był skąpy i słynął jako zdiurca. Teraz stał się krwiożerczy i okrutny, mówił wciąż o ucinaniu nosów, uszów, o wylupianiu oczu. Kiedy umierał, nie mogąc już mówić ani wydawać nowych wyroków, znakiem wskazywał otaczającym wezglówie swojego łoża. Szczęściem nie zrozumiano go. Po śmierci znaleziono długi spis osób, które byłyby skazane na śmierć, gdyby wrócił do zdrowia. Okrucieństwo nie odstępowało go aż do końca.

Wróćmy do księcia Baszyra. Gdy tylko synowie emira Jusefa doszli do lat, że już mogli walczyć o wydartą ojcu władzę, Giorgios Bej i Abdalla postanowili urzeczywistnić swoje zamiary. Korzystając z przelotnego ochłodzenia między Dżezarem i księciem Baszyrem, podburzyli stronnictwo swoich wychowanków. Emir, niespodziewanie napadnięty, musiał schronić się do Hura-nu i wezwać pośrednictwa paszy, schlebając jego sknerstwu i chciwości. Dżezar wdał się w tę sprawę i narzucił im przymierze, jednające dwa stronnictwa, z większą jednak korzyścią dla Baszyra, któremu oddał kraj Druzów, gdy tymczasem synom Ju-sefa pozostały tylko Gibel i Kezruan.

To przymierze niedługo trwało. Synowie Jusefa wszelkimi sposobami usiłowali obalić swojego nieprzyjaciela. Powiodło im się, byli bowiem silniejsi, a ponieważ Dżezar nie chciał już słuchać perswazji Baszyra, ów akt przywłaszczenia został potwierdzony.

Od tej chwili emir nie miał innego wyjścia, jak oddać się w o-piekę wicekrólowi Egiptu.

W owym czasie admirał angielski Sidney Smith<sup>8</sup> znajdował się z kilkoma okrętami w okolicach wybrzeży Syrii. Bászyr prosił, aby go przyjął na pokład i przewiózł do Egiptu. Po kilkumiesięcznym pobycie na morzu, przez Cypr, Smyrnę, Kandię i Malte, z kilkoma przyjaciółmi, którzy mu pozostali wierni, dotarł do Aleksandrii i udał się do wicekróla. Ten przyjął go bardzo u-przejmie, zachowując względy należne jego godności, obsypał podarunkami i odesłał do Syrii na jednym z okrętów admirała Smitha z listem do Dżezara, pełnym wyrzutów i gróźb, w którym nakazywał mu przywrócić emirowi Baszyrowi jego dawną władzę.

Wicekról był potężny: Dżezar z pośpiechem wykonał jego rozkaz, bo z brzmienia listu zrozumiał, że powinien zrobić wszystko, aby zadośćuczynić księciu Baszyrowi. Nakazał więc synom Jusefa, którzy nie śmieli stawić najmniejszego oporu, aby całkowicie zastosowali się do zawartego układu, toteż aż do śmierci Baszyra między dwoma stronnictwami panowała naj zupełniejsza zgoda.

Mimo opieki Muhammada Alego emir Baszyr nie był zupełnie spokojny, widział bowiem rosnące z każdym dniem w siłę stronnictwo trzech książąt i obawiał się, że zostanie obalony w wyniku jakiegoś spisku, znał bowiem dobrze żarliwą żądzę zemsty, którą płonęli przeciw niemu. Obrotność ministrów, Giorgiosa Beja i Abdalli, potęgowała jeszcze jego niepokój. Postanowił więc, że skończy z tym, zadając stanowczy cios, który by przeraził jego nieprzyjaciół. Do wykonania tego zamysłu. obrał chwilę inwestytury Sulejmana Paszy, następcy Dżezara. W owym czasie zupełny spokój zdawał się panować w Libanie: trzech książęta bez zakłóceń rządili swoimi prowincjami i z pozoru okazywali uległość przewadze, jaką traktat dawał ich nieprzyjacielowi, gdy tymczasem ich ministrowie potajemnie przygotowywali wszystko do nowej napaści.

Emir Baszyr uprzedził ich. Dowiedziawszy się od powierników, że nadeszła odpowiednia chwila, wezwał Giorgiosa Beja do Deir el-Kamar pod pozorem spraw państwowych, a jednocześnie jego brat, emir Hasem, uderzył na Gibel, wziął książąt do niewoli i kazał powiesić Abdallę. Trzech braci zaprowadzono do Jong-Mikael, gdzie wylupiono im oczy. Dobra ich skonfiskowano na rzecz emira Baszyra. Giorgios Bej, dowiedziawszy się o tych wypadkach, wyskoczył z okna swojego więzienia i zabił się; mimo

## UWAGI O EMIRZE BASZYRZE

to emir kazał go powiesić dla przykładu i na postrach swoim nieprzyjaciołom. Pięciu naczelników z Deir el-Kamar i brat szejka Baszyra, wszyscy członkowie rodziny Gruim-belad-el-Beskantar, oskarżeni o dopomaganie zwyciężonym księżętom, zostali skazani na śmierć, a majątki ich zabrano.

Po ukaraniu nieprzyjaciół książe Baszyr objął najwyższą władzę nad całym Libanem, powierzając swojemu bratu Hasemowi zarząd Kezruanu, którego stolicą było miasto Gazyr; ponieważ Hasem wkrótce umarł, oskarżono emira Baszyra, że go otruwał, podejrzewając go o chęć pochwylenia władzy. To oskarżenie jest bezzasadne, a opinia publiczna oczyściła Baszyra z tego zarzutu.

Około roku 1819 krainy Gibel-Biscarra, Gibes i Kezruan powstały z powodu nałożenia na nie podatku, który wzbudził powszechne niezadowolenie. Buntownicy za radą biskupa Jusefa postanowili uderzyć na emira Baszyra w kraju Druzów, gdzie się naówczas znajdował. Książe nie dopuścił jednak, aby powstańcy zdołali połączyć swoje siły, i pierwszy ruszył na nich na czele niewielkiego korpusu, poleciwszy szejkowi Baszyrowi, zastępcy naczelnego wodza, aby postępował za nim z trzema tysiącami ludzi, których naprędce zgromadził. Emir wkroczył do Gibes i stanął obozem w jednej z dolin w okręgu Augusta, między Dżani i obszarem Gazyr. Przez noc i ranek następny wytrzymał silny ogień wielu oddziałów nieprzyjacielskich, które zajęły stanowisko na wzniesieniach. Namiot jego podziurawiły kule, a jednak mimo usilnych próśb swego syna Halila nie chciał zmienić pozycji. Kiedy jednak później ogień przeciwnika zaczął się wzmacniać, Baszyr uznał, że buntownicy powiększyli siły i chcą mu przeciąć przejście. Wstał więc z kobierca, na którym spoczywał podczas strzelaniny, dosiadł konia i ruszył na nieprzyjaciela na czele nielicznej eskorty. Gdy tylko się zbliżył, powstańcy rozpierzchli się, nie stawiając oporu, a Baszyr przybył do Gibes, gdzie podjął energiczne środki, aby zapobiec zwiększaniu się ich sił.

Jego zastępca wojskowy, szejk Baszyr, który z Volna za nim postępował, przebył rzekę Psia i z trzema tysiącami ludzi opanował dwie pierwsze wioski Kezruanu, Jong-Mikael i Jong-Mon-sbak, które znalazły się na jego drodze; tego samego dnia, gdy szejk Baszyr je zajął, jego forpocztę przytrzymały pewnego księdza, który niósł listy do biskupa Jusefa; szejk Baszyr, przeczytawszy je, podał swój pugińał temu, kto przyniósł mu listy, kazał zamordować duchownego i zakopać go tam, gdzie został schwytany. W kilka godzin później drugi tajny wysłannik doznał tego samego losu.

## UWAQI O EMIRZE BASZYBZE

Następnego dnia szejek Baszyr ruszył dalej, bez oporu opanował Kezruan i kazał wydusić wszystkich, których emir Baszyr wymienił w przysłanym mu spisie. Tak dotarł do Gibel-Biscarra, gdzie połączył się z księciem, który nadciągnął z Gibes. Podczas dziewięciodniowego pobytu emira Baszyra w tej prowincji powstanie ostatecznie stłumiono, wieszając i dusząc wszystkich wybitniejszych powstańców z trzech okręgów: Gibes, Kezruanu i Gibel-Biscarra; innych ukarano bastonadą, a nadto wymuszano okup, który przywodził ich do całkowitej ruiny.

Był pośród nich pewien ubogi siedemdziesięcioletni starzec, któremu kazano zapłacić siedemdziesiąt kies, lecz ów nie mógł się z tego wywiązać. Syn napisał do niego, że zaciągnie pożyczkę, prosząc ojca, aby go do tego upoważnił, starzec odpowiedział, że nic nie zapłaci, wyrażając się przy tym niezbyt życzliwie o księciu. List przejęto, a starca skazano na tortury; nieszczęśliwy, już obarczony wiekiem, nie mógł wytrzymać tej męczarni i kiedy na rozkaz szejka Baszyra odniesiono go do domu, umarł po dwudziestu dniach cierpień; wyrok skazujący przeszedł na syna; emir zabrał mu cały majątek, zostawiając tylko tysiąc piastrów.

Emir Baszyr wkroczył do Ehdenu, przebył Górę Cedrów i zszedł z niej do Baalbeku innym jej zboczem, gdy tymczasem szejek Baszyr zajmował zbuntowaną prowincję. Przybywszy do Baalbeku, książę kazał swemu zastępcy wrócić tą samą drogą, którą przebył, i w przejściu ściągnąć kontrybucję z trzech prowincji po czterysta kies (pięćset piastrów każda).

Trzeba by uznać za cud, że władca Libanu z trzema tysiącami ludzi zdołał stłumić powstanie w trzech potężnych prowincjach, gdybyśmy sobie nie przypomnieli, że powstania były częstkowe i że stronnictwo Baszyra w tych prowincjach bardzo mu dopomogło do zwycięstwa.

Tymczasem pasza Damaszku wysłał do doliny Bekaa swojego agę w celu pobrania zwykłej części zbiorów z obszarów należących do jego paszalicu. Urzędnik ten dotarł do wioski Konia, należącej do księstwa Libanu, i tam nałożył podatki w bydle i pieniądzach; mieszkańcy, nie chcąc się poddać tej kontrybucji, zawiadomili księcia Baszyra, który napisał do agi, oświadczając mu swoje niezadowolenie; ten nie zważał na jego upomnienia i po dopełnieniu największych zdzierstw wrócił do Damaszku. Książę Baszyr, rozgniewany, doniósł o tym paszy Akki, wyrażając swoje oburzenie. Abdalla, bądź przez wzgląd na Baszyra, bądź z jakichś osobistych względów chcąc zemścić się na adze,

zażądał od paszy Damaszku surowej na niego kary; ten odpowiedział wykrętnie, że dziwi go, iż pasza Akki zajmuje się sprawą dotyczącą chrześcijan. Abdalla przesłał tę odpowiedź Baszyrowi, zachęcając go, aby sam pomścił się nad paszą Damaszku. Książę Libanu zebrał naprędce dziesięć tysięcy ludzi i ruszył ku Damaszkowi; pasza wyruszył na jego spotkanie; dwa wojska starły się kilkakrotnie, ale zawsze z korzyścią dla Baszyra.

Wtedy Abdalla ogłosił fałszywy firman, który pozbawiał paszę Damaszku władzy, a jego paszalik przyłączał do paszaliku Akki. Ale pasza Damaszku zwrócił się do sąsiednich paszów i do dworu w Konstantynopolu, który paszę Akki skazał na śmierć, a księcia Baszyra pozbawił władzy. Emir już był pod bramami Damaszku, gdy ów rozkaz nadszedł. Wówczas zrozumiał, że firman ogłoszony przez Abdallę był podrobiony, i idąc za głosem rozsądku, wycofał się do prowincji Deir el-Kamar, skąd, gdy go doszła wiadomość, że dozna losu Abdalli, schronił się w okolice Bejrutu, prosząc gubernatora, aby go przyjął z jego oddziałem. Ten odmówił, utrzymując, że obecność emira w mieście wywołałaby rebelię. Wówczas książę uwiadomił swojego brata, emira Abbet-sa, któremu pozostawił zarząd prowincji górskich, że chce wrócić do swoich włości i użyć broni przeciw paszom przysłanym przez Wysoką Portę; brat odpowiedział mu, że w górach brak żywności i pieniędzy, i gorąco radził, aby zaniechał tak niebezpiecznego przedsięwzięcia.

Wobec tak niepomyślnego obrotu spraw, książę zwrócił oczy na Egipt i udał się do pewnego Franka z prośbą, aby mu ułatwił opuszczenie Syrii. Pan Aubin zgodził się zabrać go między Bejrutem i Sайдą na statek francuski, który płynął do Aleksandrii. „Po jego odejździe szejki Baszyr i brat emira Abbets połączyli się ze sprzymierzonymi paszami i zaczęli ubiegać się o władzę nad prowincjami górskimi. Było to źródłem niesnasek, które miotają Libanem w roku 1823.

Połączone wojska otoczyły Akkę w lipcu roku 1822 i oblegały ją bezskutecznie do kwietnia następnego roku, po czym odstąpiły od oblężenia. Wtenczas to młody pasza Akki, nadzwyczaj skąpy, wymyślił sposób uwolnienia się od opłaty haraczu należnego Porcie. Polecił mianowicie zamordować w pobliżu Lataki urzędników wiozących haracz, a zabójcom — zwrócić zabrane im pieniądze. Potem posłał zażalenie do Porty względem morderstwa popełnionego na jego urzędnikach i kradzieży długu należnego sułtanowi. Tym ohydny czynem pasza Akki spodziewał się uwolnić od haraczu, a zarazem skompromitować paszę Lata-

kii, któremu sułtan przysłałby sznur, a jego paszalik przyłączył do Akki. Ale Abdalla się omylił.

Sułtan, uwiadomiony o zdradzie paszy Akki, powtórnie zażądał jego głowy. Cóż jednak mogli przeciw Akce paszowie Damaszku, Aleppo i Adany z wojskiem dwunastotysięcznym rozmaicie uzbrojonym, niezdiscyplinowanym, bez artylerii, która mogłaby dokonać wyłomu, mając tylko kilka większych dział bez odpowiednich kul, trzy do czterech tysięcy jazdy bez taborów i piechotę, po całych dniach i nocach tylko palącą fajki pod namiotami? Toteż Abdalla Pasza, pan najpierwszej warowni Wschodu, bez obawy gotował się do energicznej obrony.

Korweta angielska, stojąca w przystani, zleciła jednemu z oficerów, aby objął dowództwo artylerii oblegających. Paszowie zgodzili się i oddali działa pod jego komendę. Ale po upływie trzech dni ów oficer przekonał się, że nigdy nie zdobędzie warowni, Turcy bowiem za nic nie chcieli podejść pod mury ze swoimi armatami, co było jedynym sposobem dokonania wyłomu.

Mimo armii paszów Abdalla był zupełnie spokojny. Od strony ładu nic mu nie groziło, ponieważ wojsko przeciwnika było bardzo źle zorganizowane, na strzały zaś działowe odpowiadał strzałami z broni ręcznej, chcąc okazać, że nic sobie nie robi z ich statków. Miał doborowych żołnierzy, dobrze płatnych, żywności i amunicji dostarczały mu obficie statki bądź z Europy, bądź z Azji; podejrzewano nawet, że był w zмовie z Grekami z Morei.

Emir Baszyr, będąc już wtedy pod opieką wicekróla Egiptu, prowadził korespondencję z Abdalla, który za pośrednictwem Muhammada Alego błagał Wysoką Portę o pokój, i przebaczenie. Jakkolwiek pasza nie miał się czego obawiać od strony ładu, powinien był lękać się, że Dywan, blokując warownię od morza, przetnie jego związki z obcymi krajami, co ludność skazałoby na głód, podburzyło żołnierzy, a jego zmusiło do dania szyi pod stryczek Wysokiej Porty. Dywan przebaczył mu, wiedząc, że Abdalla mógłby wydać twierdzą powstańcom morejskim, ale skazał go na zapłacenie trzech tysięcy kies i kosztów wojennych.

Wicekról, uzyskawszy łaskę dla Abdalli, prosił również i otrzymał przebaczenie dla emira Baszyra, który na nowo objął władzę. Muhammad Ali wykorzystał tę sposobność, aby wyraźnie dać do zrozumienia, że cieszy się zaufaniem sułtana, i aby zdobyć bezpośredni wpływ na władcę Libanu, którego interesy polityczne są dziś zespolone z interesami wicekróla.

Pod koniec roku 1823 emir Baszyr wyładował w Akce, aby uregulować z Abdalla sprawę kosztów oblężenia twierdzy i ozna-

czyć sumę, którą miał zapłacić jako należną od niego część długu.

Przybywszy do Libanu, emir nakazał kontrybucję wynoszącą tysiąc kies, położenie jego bowiem było bardzo krytyczne skutkiem wygnania i wydatków, jakie musiał ponieść podczas pobytu w Egipcie. Lud jego był także biedny, nie chcąc więc obrócić go przeciw sobie tak uciążliwym podatkiem, postanowił, że obłoży nim swojego dawnego zastępcę, szejka Baszyra, aby tym sposobem pomścić się za spiskowanie z jego bratem, emirem Ab-betsem w celu wydarcia władzy nad prowincjami górskimi. Szejk Baszyr odmówił zapłaty i schronił się do Karan, prowincji Libanu, następnie wrócił do swojego pałacu w Mokturze i zniósł się z księciem Abbetsem, aby obalić emira; udało mu się nawet wciągnąć do spisku trzech młodszych braci księcia, którzy dotychczas zachowywali się spokojnie w swoich prowincjach.

Gdyby nie pomoc Abdalli, spisek ten mógł stać się zgubny dla emira Baszyra.

Ścigano i zatrzymano szejka Baszyra z dwustu ludźmi na równinach Damaszku; mógł łatwo ratować się ucieczką, lecz na zapewnienie oficera tureckiego, dane w imieniu paszy Damaszku, że książę Libanu mu przebaczył, oddał się w jego ręce. Zaprowadzono szejka do Damaszku. Tu obnażono go, związano ręce, jedną na piersiach, drugą na grzbiecie, i wtrącono do więzienia, gdzie pozostawał przez kilkanaście miesięcy. Wytoczono mu proces w Konstantynopolu; został skazany na śmierć. Kiedy mu podano sznur, nawet nie zbladł, prosił tylko, aby mógł pomówić z paszą i z księciem; odpowiedziano mu, że to nadaremnie, że ani jeden, ani drugi nic dla niego uczynić nie może, ponieważ wyrok wydano w Konstantynopolu. Wtenczas szejk Baszyr poddał się swojemu losowi. Naprzód go uduszono, potem ścięto, a ciało jego, porąbane na części, rzucono psom.

Ta egzekucja odbyła się na początku roku 1824. Następnie uwięziono trzech braci księcia, wyrwano im języki i wylupiono oczy, potem skazano na wygnanie wraz z rodzinami, każdego do innej wioski, z daleka jeden od drugiego. Od tej chwili spokój panował w Libanie; rodzina Szihabów nieprzerwanie sprawowała władzę dzięki czujnej policji, którą emir zaprowadził w swoim państwie, i przyjaźni Abdalli, który zresztą wiedział o ścisłych związkach łączących Baszyra z Muhammadem Alim.

Takiej polityki trzyma się emir Baszyr aż do dnia dzisiejszego i wszystko pozwala się spodziewać, że będzie się jej też trzymał podczas nowego przesilenia, które nastąpiło wskutek walki pod-

jetej przez Muhammada Alego z państwem otomańskim. Emir nie miał jakiegokolwiek udziału w wojnie do chwili, kiedy Ibrahim Pasza po wzięciu Akki posłał swojemu ojcu do Egiptu zwycięzonego i uwięzionego Abdallę i wkroczył do Syrii; ksiązę Libanu musiał się wreszcie za nim opowiedzieć: zwyczajem wschodnim dopatrył się w zwycięstwie palca Bożego i stanął po stronie zwycięzcy. Jednak uczynił to jakby niechętnie i zachowując, jak się zdaje, pewien pozór przymusu względem Porty. Gdyby Ibrahima spotkał los przeciwny, emir Baszyr najprawdopodobniej przeszedłby na stronę Turków i dopomógł im zniszczyć Arabów. Ibrahim, nie dowierzając tej dwuznacznej polityce, jak może, kompromituje księcia: zmusił go, aby mu oddał jednego ze swoich synów i kilku najlepszych jeźdźców, których wziął ze sobą do Homs, a inni synowie Baszyra, opuściwszy góry, są z ramienia Egipcjan gubernatorami wojskowymi głównych miast Syrii.

Los emira Baszyra zależy od zwycięstwa Ibrahima pod Homs; jeżeli Ibrahim zostanie pokonany, Turcy wezmą nieubłagany odwet na chrześcijanach; jeżeli jednak Ibrahim zostanie panem Syrii, nie zdoła długo i spokojnie spoglądać na władzę od niego niezawisłą i będzie usiłował zniszczyć ją albo politycznie, albo przez całkowite wytepienie rodziny Szihabów. Gdyby emir Baszyr był młodszy i bardziej energiczny, mógłby oprzeć się tym dwóm groźbom i ustalić na długo, a może i na zawsze, panowanie swoje i swoich synów nad najnieprzystępniejszą, najludniejszą i najbogatszą częścią Syrii. Mieszkańcy gór, pozostający pod jego władzą, są waleczni, pojętni, karni; drogi wiodące do wnętrza Libanu nieprzystępne; Maronici, coraz liczniejsi w Libanie, sprzyjałoby szczerze emirowi już to ze względu na wspólnotę wiary chrześcijańskiej, już z nienawiści do Turków i obawy przed ich panowaniem. Jediną przeszkodą do utworzenia nowej władzy w tych okolicach jest różnica wyznania między Maronitami, Druzami i Metualisami, którzy prawie w równej liczbie zaludniają góry pozostające pod władzą emira; najmocniejszym ogniwem narodowości jest wspólnota myśli religijnej, w każdym razie dotychczas zwykle tak było. Cywilizacja, mimo swojego rozwoju, sprawia, że myśl religijna staje się udziałem poszczególnych jednostek, narodowość zaś opiera się na wspólności innych spraw: ponieważ sprawy te są mniej istotne niż sprawa religii, siła narodowości słabnie, bo w istocie cóż może być silniejszego dla człowieka niż jego uczucia religijne, wyznawane przez niego dogmaty i głęboka wiara. To głos jego rozumu, to myśl, która skupia w sobie wszystkie inne; obyczaje, prawa, ojczyzna, wszystko to



#### UWAGI O EMIRZE BASZYRZE

mieści się dla ludu w jego religii. To właśnie sprawia, że Wschód z takim trudem zdoła uzyskać jedność jako zespolony, wielki naród; to sprawia także, iż państwo tureckie się rozpada. Uznanie wspólnoty i objawy świadczące o możliwości ukształtowania się narodowości widać jedynie w tych częściach państwa tureckiego, gdzie skupiły się plemiona jednego wyznania, czyli Grecy azjatyccy, Ormianie, Bułgarzy i Serbowie, wszędzie zaś indziej widzimy tylko ludzi, ale nie naród.

# Druzowie

3 października 1832.

Dziś zjechałem niskimi stokami Libanu, które od Deir el-Ka-mar opadają ku Morzu Śródziemnemu, i zatrzymałem się na nocleg w opuszczonym górskim kanie.

O piątej rano dosiedliśmy koni na dziedzińcu pałacu emira. Mijając bramę, zjeżdża się w dół drożyną wykutą w skale i okrążającą wzgórze Bteddin. Po obu stronach tej drożyny skrawki ziemi podparte sztucznie utworzonymi tarasami są wysadzone drzewami morwowymi i wybornie uprawione. Glebę wszędzie ocieniają drzewa i winorośle, a liczne strumienie, umiejętnie skierowane przez arabskich rolników, spływając z gór, dzielą się na pojedyncze kanały, które nawadniają drzewa i ogrody. Olbrzymi cień pałacu i tarasów Bteddin unosi się nad tym całym obszarem i towarzyszy nam aż do stóp pagórka, gdzie zaczyna się wznosić inna góra, na której szczycie widnieje Deir el-Kamar, położone o kwadrans drogi od Bteddin. Deir el-Kamar jest stolicą emira Baszyra i Druzów, liczy dziesięć do dwunastu tysięcy mieszkańców. Ale prócz starożytnej budowli, ozdobionej rzeźbami mauretańskimi i wysokimi gankami, upodabiającymi ją do szczytków któregoś z naszych zamków średniowiecznych, Deir el-Kamar w niczym nie przypomina miasta, a już tym mniej stolicy, lecz raczej jakieś nędzne miasteczko w Sabaudii czy w Ower-nii lub jakąś sporą wioskę w jednej z odległych prowincji francuskich. Kiedy przejeżdżaliśmy przez Deir el-Kamar, dopiero świtało; stada klaczy i wielbłądów wychodziły z dziedzińców domów i rozbiegały się po nie brukowanych placach i ulicach miasta; kilka czarnych namiotów Zingari\*<sup>1</sup> stało na placu nieco obszerniejszym od innych; mężczyźni, dzieci, kobiety, na pół nadszy lub obwinieci w ogromne wełniane białe okrycia, stanowiące jedyne ich odzienie, siedzieli skuleni koło ogniska, czesali się lub iskali się z pożerającego ich robactwa.

Kilku przepysznie ubranych Arabów ze służby emira przeje-

\* Cyganów

## DRUZOWIE

chało konno ze wspianą bronią u pasa i dwanaście do piętnastu stóp długimi włóczniami w rękach. Jedni wieźli do emira wiadomości od wojsk Ibrahima, inni jechali na wybrzeże z rozkazami księcia do oddziałów dowodzonych przez jego synów, które obozują na równinie. Uzbrojenie i ubiór tych wojowników druzyj-skich są niezwykle bogate i budzą powszechne uszanowanie. Ogromne turbany, spowite barwnymi szalami, rzucają na ich ogorzałe twarze i czarne oczy cień, który podkreśla majestatyczny wyraz i srogość ich oblicza, długie wąsy przesłaniają wargi i spadają na obie strony; rodzaj krótkiej, czerwonej tuniki jest powszechnym ubiorem wszystkich Druzów i wszystkich mieszkańców gór: owa tunika, stosownie do stanu i majątku tego, kto ją nosi, jest utkana z bawełny przerabianej złotą nicią lub tylko z bawełny i jedwabiu; wykwintne wyszywania, których rozmaite barwy kontrastują ze złotem lub srebrem tkaniny, błyszczą na piersiach i plecach. Szerokie spodnie w tysiączne fałdy okrywają nogi tkwiące w bucikach z czerwonego safianu, na których noszą jeszcze ciżmy z safianu żółtego; kaftany podbite futrem, ze zwisającymi rękawami, zarzucone na ramiona. Pas jedwabny lub safianowy, podobny do pasa Albańczyków, przewiązany fałdziście; za nim jeździec ma zatkniętą broń. Widać zawsze rękojeści dwóch lub trzech kindżałów lub jataganów, czyli sztyletów, i krótkich pałaszy mieszkańców Wschodu, wystające zza tych pasów i błyszczące na piersiach; zwykle widać jeszcze główce dwóch lub trzech pistoletów nabijanych srebrem czy złotem, które dopełniają tego przenośnego arsenału. Wszyscy Arabowie mają prócz tego włócznie, których drzewce z cienkiego, giętkiego i twardego drzewa jest zupełnie podobne do długiej trzciny. Te włócznie, ich główną broń, zdobią zwisające z nich kwasty i sznury jedwabne; zwykle trzymają je w prawej ręce, ostrzem ku górze, a drzewcem dotykając prawie gruntu, lecz kiedy mkną galopem, trzymają je nad głowami, równoległe do ziemi, i gwałtownie nimi potrząsają, zaś podczas gier wojennych ciskają nimi bardzo daleko i podnoszą je potem, schylając się nisko z konia. W ciągu dnia napotkaliśmy mnóstwo tych jeźdźców. Emir Baszyr, chcąc nas uhonorować, dał nam kilku za przewodników, wszyscy witali nas nadzwyczaj grzecznie i wstrzymali konie, aby dać nam wolny przejazd.

O dwie mile prawie od Deir el-Kamar roztacza się jeden z najpiękniejszych widoków Libanu, jaki sobie można wyobrazić. Z jednej strony głębokie wąwozy, w które trzeba zjechać, otwierają się pod stopami, z drugiej — zamek Bteddin wznosi się pi-

ramidalnie na szczycie wzgórza pokrytego zielenią i pooranego spienionymi potokami, a naprzeciw góry zniżające się stopniowo aż ku morzu, jedne czarne, inne tknięte blaskiem, spadają jak wodospad utworzony ze wzgórz i kryją swoje podnóża na skrajach zielonych lasów oliwnych na równinach Sydonu lub w piaszczystych urwiskach ceglastej barwy stanowiących wybrzeża Bejrutu. Tu i ówdzie kolor stoków tych gór i zróżnicowane linie ich niezmiernego, zniżającego się widnokregu przekreślają i odcinają wierzchołki cedrów, jodeł lub rozłożystych pini, a u ich podnóża lub na szczytach lśnią liczne wioski. Morze stanowi kres tego widnokregu; śledzimy okiem jakby na ogromnej mapie lub na wypukło rzeźbionym planie wcięcia, zagłębienia, fałdy wybrzeży, przylądków, zatok, całego przymorza, od Karmelu aż do przylądka Batrun, na przestrzeni pięćdziesięciu mil. Powietrze jest tak czyste, że wyobrażamy sobie, iż po kilku godzinach dojedziemy do miejsc, do których można by dotrzeć ledwo za dwa lub trzy dni. Z tej odległości widziane morze na pierwszy rzut oka tak zlewa się z firmamentem dotykając widnokregu, że w pierwszej chwili nie sposób rozróżnić tych dwóch żywiołów i ziemia zdaje się unosić w ogromnym, podwójnym oceanie. Dopiero uważniej przypatrując się morzu i dostrzegając lśniące na jego błękitnej powierzchni małe żagielki, możemy zdać sobie sprawę z tego, co widzimy. Lekka mgła, mniej lub bardziej złotawa, unosi się u krańców morza i oddziela niebo od wody. Czasami małe obłoczki, porwane porannym wiatrem ze stoków gór, pojawiały się niby białe pióra zgubione przez ptaka na wietrze i unosiły się nad morzem lub rozpyływały w promieniach słońca, które już zaczyna nam doskwierać.

Z żalem pożegnaliśmy ów wspaniały widok i zaczęliśmy zjeżdżać ścieżką, od której niebezpieczniejszej nie widziałem nawet w Alpach. Zbocze prawie pionowe, a ścieżka nie ma dwóch stóp szerokości; z jednej strony bezdenne przepaście, z drugiej — ściany skał. Ścieżka wiedzie po ruchomych głazach lub po kamieniach tak wygładzonych przez wodę, podkowy koni i kopyta wielbłądów, iż te zwierzęta muszą bacznie uważać, gdzie stąpnąć, a że zawsze w tych samych miejscach stawiają nogi, wyrobiły więc w kamieniu wyżłobienia, w które ich kopyta zagłębiają się na kilka cali, i gdyby nie te wyżłobienia, stanowiące punkt oparcia dla podków, zwierzę nie mogłoby się utrzymać.<sup>2</sup> Co pewien czas napotyka się wykute w skale schodki wysokości dwóch stóp albo granitowe, zaokrąglone bloki, które mogłyby stanowić nieprzekraczalną przeszkodę, gdyby nie można ich było ominąć, prze-

jeżdżając przez wąskie szczeliny, gdzie ledwo mieszczą się kopyta naszych wierzchowców. Takie są prawie wszystkie drogi w tej części Libanu. Czasami stoki gór rozchylają się lub obniżają i jedzie się wygodniej po warstwie żółtego piasku, żwiru lub urodzajnej ziemi. Trudno pojąć, jakim sposobem w takim kraju jest tyle pięknych koni i jak się to stało, że użycie ich jest tu powszechne. Każdy Arab, choćby jego wioska lub dom były jak najbardziej niedostępne, opuszcza je tylko konno i widzimy, jak z fajką w ustach swobodnie wjeżdża lub zjeżdża po urwiskach, na które nasze sarny wdarłyby się z niemałym trudem.

Po półtoragodzinnej jeździe zaczynamy dostrzegać głąb wąwozu, który mieliśmy przebyć, a następnie jechać nim dalej. Szum rzeki dochodził nas z owej głębi jeszcze osłoniętej oparami unoszącymi się ponad wodą oraz koronami orzechów, drzew świętojańskich, jaworów i topoli perskich, które rosły na stokach wąwozu. Po prawej stronie drogi ze skalistych grot, zarośniętych tysiącem nieznanych pnączy, lub z łona łąk okrytych gęstą trawą i jesiennymi kwiatami, tryskały czyste źródła. Wkrótce nad brzegiem rzeki, między drzewami, dostrzeżliśmy dom i przebyliśmy w bród tę rzekę czy potok. Tu zatrzymaliśmy się, aby dać wypocząć koniom i nasycić wzrok jednym z najniezwykleszych widoków, jakie napotkaliśmy dotychczas w naszej wyprawie.

Wąwóz, do którego zjechaliśmy, cały był wypełniony rzeką kłębiącą się wokół kilku odłamów skalnych, co stoczyły się w jej łożysko. Tu i ówdzie, na skrawkach uprawnej ziemi, rosły olbrzymie topole, osiagające niezwykłą wysokość, a ich piramidalny cień osłaniał stoki góry, na której siedzieliśmy. Na lewo rzeka, której łożysko się zwężało, wpływała między dwie ściany jak gdyby przez siebie rozłupanego granitu; ściany te, wysokie na czterysta lub pięćset stóp, u wierzchołka zbliżając się ku sobie, tworzyły jakąś ogromną arkadę, jak gdyby strąconą przez czas. Korony pinii włoskich widniały tam niby pęki goździków rzucone na zwałiska starych murów, a ich ciemna zieleń odcinała się od jasnoblękitnego nieba. Po prawej stronie rzeka wiała się przez jakie ćwierć mili między brzegami nie tak wąskimi i stromymi; jej wody rozlewały się swobodnie, opływając mnóstwo wysepek i okrytych zielenią przylądków; wszystkie te wysepki, wszystkie te cyple porastała niezwykle obfita i dorodna roślinność. Od chwili kiedy je widziałem nad brzegami Rodanu i Saony, tu pierwszy raz znowu zobaczyłem topole, które swoim bladym chwiejnym welonem przesłaniały całą dolinę rzeki, lecz ponieważ ich nie sadziła ani nie przycinała dłoń ludzka,

## DRUZOWIE

więc rosły tu wielkimi kępami, rozpościerając swoje konary szerzej i majestatyczniej i przybierając kształty piękniejsze i bardziej różnorodne niż w naszych stronach. Między grupami tych drzew oraz kępami sitowia i wielkich trzcin, które także pokrywały owe wysepki, spostrzegliśmy potrzaskane arkady jakiegoś starożytnego mostu, wzniesionego przez dawnych emirów Libanu i od wieków zrujnowanego; za owymi arkadami zawalonego mostu wąwóz kończył się, ukazując ogromny widok na doliny, równiny i wzgórza usiane wioskami zamieszkanymi przez Druzów, a całość otaczał niby amfiteatr okrągły łańcuch wysokich gór; prawie wszystkie wzgórza były zielone i porośnięte sosnowym lasem. Wioski, zawieszane jedne nad drugimi, z pozoru zdawały się do siebie przylegać, ale gdy przebyliśmy kilka z nich, przekonaaliśmy się, że odległość między nimi jest znaczna, a to dlatego, iż ścieżki je łączące są bardzo niedogodne i że trzeba było zjeżdżać i wjeżdżać na stoki dzielących je głębokich wąwozów. Są tam wioski, w których z łatwością można dosłyszeć głos człowieka mówiącego w innej wiosce, a przecież trzeba godziny, aby dostać się z jednej do drugiej.

Wrażenie, jakie sprawiał tak piękny krajobraz, potęgowały dwa ogromne klasztory, stojące niby warownie na szczytach dwóch wzgórz za rzeką i podobne do dwóch brył granitu, które zaczernił czas. W jednym z nich mieszkają Maronici poświęcający się uczeniu młodych Arabów przeznaczonych do stanu duchownego, drugi był opustoszały: należał dawniej do zgromadzenia lazarystów w Libanie, teraz zaś służył za schronienie i przytułek dwóm młodym jezuitom, których tam przysłał ich zakon na wezwanie biskupa maronickiego, aby stanowili przykład i służyli pomocą duchownym arabskim. Obaj prowadzą życie zupełnie samotne w ubóstwie i w przykładowej świątobliwości. (Później poznałem ich obu.) Jeden uczy się po arabsku i bezskutecznie usiłuje nawrócić kilku Druzów z okolicznych wiosek: jest to człowiek bardzo rozumny i świątły; drugi zajmuje się medycyną i przebiega okolice, rozdając bezpłatnie lekarstwa; obu kochają i szanują Druzowie, a nawet Metualisi, ale ich pobyt w Syrii nie może być owocny: duchowieństwo maronickie jest bardzo przywiązane do Kościoła Rzymskiego, jednakże ma swoje tradycje, swoją niezawisłość, właściwą sobie dyscyplinę, toteż nie podporządkuje się duchowi jezuickiemu; ono jest prawdziwą duchowną zwierzchnością, władcą umysłów w całym Libanie<sup>3</sup>; mogłoby rychło znaleźć współzawodników w czynnych zgromadzeniach europejskich, i to współzawodnictwo słusznie je niepokoi.

Po półgodzinnym wypoczynku w tej czarownej okolicy dosiedliśmy koni i zaczęliśmy wdzierać się na stromy stok, wznoszący się przed nami. Droga, prowadząca ku ostatniemu łańcuchowi Libanu, który nas dzielił od wybrzeży Syrii, stawała się coraz uciążliwsza. Im wyżej posuwaliśmy się, widok ogromnej równiny, którą pozostawiliśmy po prawej stronie, stawał się coraz bardziej majestatyczny i rozległy.

Rzeka, którą straciliśmy z oczu po opuszczeniu miejsca naszego odpoczynku, wiała się pośród owej równiny, z lekka pofałdowanej wznoszącymi się na niej wzgórzami, i niekiedy tworzyła szerokie rozlewiska, błękitne i lśniące niby jeziora szwajcarskie. Czarne wzgórza o wierzchołkach pokrytych kępami sosen przerywały raz po raz jej bieg i rozdzielały ją w naszych oczach na tysiąc świetlistych odnóg. Wzgórza te, zarosnięte kwitnącymi krzewami, a tu i ówdzie, w znacznych odstępach, drzewami o wielkich koronach, stopniowo wyrastały jak gdyby z równiny, wznosząc się na niej, skupiając i wzajemnie się o siebie opierając. Gęste lasy cedrowe i jodłowe zstępowały z wysokich szczytów i nikły, tworząc gdzieś już tylko pojedyncze kępy około licznych wiosek druzyjskich, których tarasy, balkony, okna gotyckie ukazywały się nam spośród zieleni jodeł. Mieszkańcy w pięknych szkarłatnych płaszczach, w zawojach w szerokie czerwone fałdy wychodzili na tarasy, aby się nam przypatrzeć, i świetnością stroju oraz powagą postaci jeszcze bardziej potęgowali wrażenie, jakie sprawiał ów wspaniały, niezwykle, malowniczy krajobraz. Wszędzie na krańcach tych wiosek płynęła woda z pięknych tureckich studni. Kobiety i dziewczęta, które tu przychodziły z wysokimi, wąskimi dzbanami, stały gromadnie wokół basenów i uchylały zasłon, aby nam się przyjrzeć. Cera mężczyzn, kobiet i dzieci świadczyła o sile i zdrowiu. Kobiety są bardzo piękne. (Rysy ich odznaczały się powszechnie dumą i szlachetnością wyrazu, nie było w nich okrucieństwa.

Wszędzie witano nas uprzejmie i grzecznie. W każdej prawie chacie ofiarowano nam gościnę. Nigdzie jej nie przyjeśliśmy i blisko trzy godziny wdzieraliśmy się na urwiste zbocza, zarosłe sosnowym lasem. Na koniec dojechaliśmy do ostatniego grzbietu białych, nagich gór i nagle ujrzeliśmy bezkresne wybrzeża Syrii. Widok całkiem odmienny od tych, które od kilku dni ciągle mieliśmy przed sobą: był to widok Neapolu z wierzchołka Wezuwiusza lub z wyżyn Castellammare. Ogromne morze leżało u naszych stóp i tylko kilka obłoków unosiło się u jego kresu. Zdawało się nam, że pod owymi obłokami dostrzegamy jakiś ład, Cypr po-

## DROZOWIB

łożony stąd na morzu w odległości trzydziestu mil, górę Karmel po lewej stronie, a w prawo, jak okiem sięgnąć, nieskończony pas wybrzeży Bejrutu, Trypolisu syryjskiego<sup>4</sup>, Latakii i Aleksan-dretty, dalej zaś, niewyraźnie, w złotawej mgle wieczoru, kilka lśniących iglic gór Taurus; ale mogło to być złudzenie, ponieważ ich odległość stąd jest ogromna. Tuż pod naszymi stopami zaczynała się droga w dół, która, mijając skały i uschłe zarośla na wierzchołku, stawała się nieco łagodniejsza i biegła od szczytu do szczytu, najpierw po szarych skalistych wzgórzach, potem ponad ciemnozielonymi koronami sosen, cedrów, drzew świętojańskich i jaśniejszych od nich dębów, dalej po mniej stromych pochyłościach nad bledszą, żółtawą zielenią jaworów i klonów, a wreszcie po szarych wzgórzach całkowicie spowitych listowiem gajów oliwnych. Wszystko to nikło i ginęło na wąskiej równinie dzielącej Liban od morza. Tam, na przylądkach, widniały stare wieże mauretańskie, które trzymały straż u brzegów; w głębi zatok lśniły w blasku słońca mury miast i wielkich wsi, przystanie wyżłobione w piasku, łodzie na przybrzeżnych płycznach lub żaglowce, co wypływały z portów lub do nich wracały. Otoczone żyznymi równinami, na których rosły drzewa oliwne, cytryny i morwy, Saida i Bejrut ze swoimi minaretami, kopułami meczetów, warowniami i murami zaopatrzonymi w blanki, szczególnie się wyróżniały pośród tego oceanu barw i linii, toteż wzrok zatrzymywał się na tych dwóch punktach wysuniętych w morze. Poza równiną Bejrutu, przerwany biegiem rzeki, znowu zaczynał się wielki Liban, zrazu żółty i złotawy jak kolumny Paestum, potem szary, posepny, ciemny, później zielony i czarny w obrębie lasów, aż wreszcie wybiegał swoimi śnieżnymi iglicami, które zdawały się roztopiać w przezroczystym niebie, ku wieczystej pogodzie, gdzie białe promienie spoczywały na warstwach wiecznej bieli. Takiego widoku nie ma ani w Neapolu, ani w Sorrento, ani w Rzymie, ani w Albano.

Po prawie dwugodzinnej jeździe napotkaliśmy opustoszały kan pod wspaniałymi jaworami nie opodal źródła. Raz wreszcie należy opisać to, co nazywają kanem w Syrii i w ogóle na całym Wschodzie: jest to kleta o ścianach z białego jak, bez wapna spojonych kamieni, przepuszczających z łatwością wiatr i deszcz; kamienie te są zwykle zasmolone dymem ogniska, który bezustannie snuje się między ich szczelinami. Mury, prawie siedem do ośmiu stóp wysokie, pokrywa kilka pociętych na sztuki drzew z korą i większymi gałęziami, a wszystko osłania suchy chrust, który zastępuje dach; wewnątrz nie ma podłogi i zależnie od pory roku jest



łożyskiem kurzu lub błota. Jeden lub dwa słupy służą jako podpory dachu z liści i na nich podróżny wiesza płaszcz czy broń. W kącie na kilku nieociosanych kamieniach mieści się niewielkie palenisko, na którym bezustannie żarzą się węgle, a przy nim stoi jeden lub dwa miedziane imbryki, zawsze pełne gęstej, zawiesistej kawy, zwykłego napitku stanowiącego jedyną potrzebę Turków i Arabów.

Zwykle są tu dwie izby podobne do opisanej. Jeden lub dwóch Arabów, opłaciwszy paszy pewną kwotę czynszu, mają prawo czynić tu wątpliwe honory domu względem przeciągających tędy karawan i sprzedawać im kawę oraz placki z jęczmiennej mąki.

Kiedy podróżny staje przed drzwiami tych kanów, zsiada z konia lub wielbłąda i poleca zdjąć z nich maty słomiane lub kobierce damasceńskie, które mają mu służyć za posłanie. Rozściela się je w kącie zadymionej chaty; podróżny siada na nich, żąda kawy, każe zapalić fajkę lub nargile i czeka, aż jego niewolnicy uzbierają trochę suchych drew, aby ugotować mu obiad lub wieczerzę, zwykle składającą się z dwóch lub trzech placków zaledwie opieczonych na rozżarzonem kamieniu i z kilku kawałków posiekanej baraniny, ugotowanej z ryżem w miedzianym kociołku. Najczęściej w takim kanie nie można dostać ani baraniny, ani ryżu, i trzeba poprzestać na plackach i wybornej, świeżej wodzie, której nigdy nie brak w pobliżu kanów. Służący, niewolnicy, mukrowie (prowadzący wielbłądy) i konie, wszystko to zostaje pod gołym niebem naokoło kanu.

Zwykle w pobliżu jest jakieś sławne, odwieczne drzewo, które już z daleka służy karawanom jako drogowskaz; najczęściej bywa to ogromna karwia, drzewo, którego nigdy nie widziałem w Europie; podobne do najgrubszych dębów, trwa jeszcze dłużej; jego pień ma nieraz trzydzieści do czterdziestu stóp obwodu, a czasem nawet więcej, a jego konary, które zwykle wyrastają na wysokości piętnastu, dwudziestu stóp nad ziemią, rozciągają się poziomo, z początku niezmiernie szeroko, potem wyższe gałęzie skupiają się w coraz węższe stożki, a ich kształt z daleka przypomina nasze buki. Cień tych drzew, które Opatrzność rozrzuciła tu i ówdzie, zawieszając ich korony niby przyjazne obłoki nad spaloną głąbą pustyni, pada daleko od pnia, toteż nieraz można ujrzeć sześćdziesiąt wielbłądów, koni i tyłuż Arabów obozujących pod osłoną jednego tylko z tych drzew.<sup>5</sup> Tu, jak we wszystkim, z przykrością widzimy ową niedbałość ludzi Wschodu i ich rządu. Te drzewa, które powinny być troskliwie pielęgnowane jako

naturalne domy zajezdne dla potrzeb karawan, są wydane na pastwę głupiej nieprzezorności tych, co znajdują w ich kręgu schronienie. Arabowie rozniecają pod nimi ogień, toteż większa część tych pięknych drzew ma pnie szerniałe i wydrażone płomieniem ognisk.

Nasza niewielka kawalkada rozłożyła się pod jedną z tych wspaniałych karwi; odziani płaszczami spędziliśmy noc, leżąc na słomianej macie w kącie kanu.

4 października 1832.

Dziś rano opuściliśmy kan i po kilku godzinach, urwistymi stokami Libanu, dojechaliśmy do pięknych wiosek położonych w połowie zbocza. Niknie tu cała chropowatość gór i przez dwie godziny jedzie się pośród prześlicznych pagórków tak świetnie u-prawionych, jak tylko sobie można wyobrazić. Przypomina to Toskanię. Wszędzie podmurowania podtrzymują tarasowato zstępującą ziemię, gdzie splecione z sobą latorośle i drzewa dają cień kwitnącym tu uprawom wszelkiego rodzaju. Na tych pagórkach rozsiane są wioski, w których wszystko świadczy o ładzie, spokoju i dostatku; nad nimi wznoszą się domy czy raczej zamki szejków, jak niegdyś nasze zamki gotyckie wznosiły się nad miasteczkami. Ogromne klasztory mnichów maronickich stoją jak warownie na szczytach pagórków. Widać wchodzących i wychodzących zakonników; jedni orzą pola, inni zbierają liście morwowe. Arabowie, bez różnicy płci, pracują spokojnie w swoich zagrodach, a patrząc na nas, kiedy ich mijamy, uśmiechają się na widok naszego europejskiego stroju. Szejk ze swoimi najznaczniejszymi sługami siedzi zwykle na kobiercu u wrót zamku lub pod wielką karwią przy drodze, pali tytoń i pozdrawia nas, kładąc rękę na sercu i mówiąc: „Salah el-kheir! Niech ten dzień, podróży, będzie dla was szczęśliwy!”

Wreszcie docieramy do równiny, którą przejeżdżamy pod zielonym sklepieniem, utworzonym z wysokiej trzciny, z palm, z drzew figowych, morw i latorośli. Z tej gęstwiny wyciera niekiedy samotny dom arabskiego lub grecko-syryjskiego rolnika; na progu dzieci bawią się z syryjskimi barankami o szerokich ogonach, piękne dziewczęta z odsłoniętą twarzą niosą na głowach dzbanki z wodą, a ojciec i matka pod drzewami morwowymi pracują nad wyrobem tych pięknych materii z tysiącbarwnego jedwabiu, którego nici rozpinają między drzewami i tak tkają, chodząc w ich cieniu. W Szkocji, w Saksonii, w Sabaudii, w Szwajcarii podróży nie zobaczy tylu obrazów życia, szczęścia i spokoju

## DRUZOWIE

co u podnóża tych gór Libanu, gdzie spodziewał się napotkać jedynie barbarzyńców.

5 października 1832.

Córkę i żonę znalazłem w dobrym zdrowiu, zajęte upiększaniem i ozdabianiem naszego zimowego mieszkania. Kilka dni spędziłem z nimi przed odjazdem do Palestyny i Egiptu. Ibrahim Pasza odniósł rozstrzygające zwycięstwo pod Homs, postępuje ku Karamanii i przejdzie Taurus, wypierając Turków." Teraz już można się nie obawiać o bezpieczeństwo i spokój w tym kraju. Jadę więc, nie trwożąc się o to, co mam najdroższego. Nasi nowi przyjaciele z Bejrutu, panowie Bianco, Jorelle, Farren, Laurella, Abbot, podczas mojej nieobecności będą starali się okazać we wszystkim pomoc, gdyby miała zajść tego potrzeba. Zacznę ostatecznie organizować moją wyprawę i wyruszę, gdy tylko spadnie pierwszy deszcz i złagodzi trzydziestostopniowy upał, który jeszcze trwa na wybrzeżu Syrii.

## Podróż z Bejrutu przez Syrię i Palestynę do Jerozolimy

8 października 1832, trzecia po południu.

Wyjazd konno z kawalkadą i bagażami w osiemnaście koni. Nocleg w kanie o trzy godziny od Bejrutu, droga ta sama, którą jechałem do lady Stanhope. Następnego dnia wyjazd o trzeciej rano, o piątej przeprawa przez rzekę Tamur, dawną Tamyris; kwitnące oleandry na obu jej brzegach. Dalej droga nadbrzeżem, gdzie piana morska obmywała nogi naszych koni, aż do Saidy, dawnego Sydonu, pięknego jeszcze cienia zniszczonego miasta, które utraciło nawet swoją nazwę; nigdzie śladów minionej wielkości. Kolista grobla, utworzona z ogromnych skał, otacza dok napęczniony piaskiem, a kilku rybaków wraz z dziećmi, stojąc w wodzie, spychają na morze łódź bez masztów i żagli; jedyny to morski widok w tej drugiej władczyni mórz. W Saidzie stanęliśmy w kanie francuskim, ogromnym domu, stanowiącym dawniej ośrodek naszego handlu w Syrii, gdzie nasi konsulowie zgromadzili wszystkich rodaków pod flagą Francji. Już nie ma tu handlu, nie ma Francuzów; w Saidzie, w tym wielkim, pustym kanie, został tylko jeden dawny, czcigodny agent Francji, pan Giraudin, który od pięćdziesięciu lat mieszka tam w gronie swojej całkiem już wschodniej rodziny i przyjmuje nas, jak się przyjmuje podróżnego współziomka w kraju, gdzie dochował się starodawny obyczaj gościnności. Obiad i kilkugodzinny odpoczynek u tej przemiłej rodziny; słodycz życzliwego przyjęcia, tak nieoczekiwanego i szczerzego; synowie podali wodę do mycia; matka i żony obu synów stojąc usługiwały przy stole. O czwartej dosiadłem konia w towarzystwie synów i przyjaciół rodziny Giraudin. Jeden z nich wykonywał ćwiczenia z dzirytem na przepysznym koniu arabskim. O dwie godziny drogi od Saidy pożegnanie i podziękowania. Jeszcze dwie godziny drogi i nocleg pod namiotami nad brzegiem morza przy ślicznym źródle, zwanym El Kantara. Olbrzymie drzewo ocieniające całą kawalkadę. Uroczy ogród opadający aż ku morzu. Ogromna karawana wielbłądów legła wokół nas na tym samym polu. Nocleg pod namiotem,

rzenie koni, głosy wielbłądów, dym ogni wieczornych, światło lampy przez prążkowane płótno namiotu. Myśli o życiu spokojnym, o domu, o rodzinie, o oddalonych przyjaciółach, które przychodzą, kiedy oprzeć czoło, ciężkie i pałające, na siodle służącym za poduszkę. Rano, kiedy mukrowie i niewolnicy siodłają konie, dwóch lub trzech Arabów wyjmują z ziemi kołki, do których są przytwierdzone sznury namiotu, potem wstrząsa palikiem podpierającym go jak kolumna, namiot upada, a szerokie, rozpięte płótna, które osłaniały całą gromadę podróżnych, zsuwają się i spadają na ziemię, tworząc niewielki stos tkaniny, którą wielbłądnik bierze pod pachę i zawiesza przy siodle swojego muła. Na pustym miejscu, gdzie przed chwilą byłem jak we własnym mieszkaniu, zostaje tylko dogasające ognisko, które jeszcze dymi i wkrótce zgaśnie w słońcu: oto rzeczywisty, uderzający, prawdziwy obraz życia, nieraz przytaczany w Piśmie świętym, który zawsze sprawiał na mnie wielkie wrażenie, ilekroć na niego trafiłem.

Opuściłem Kantarę przed świtem. Trudny wjazd na wzgórze suche, kamieniste, wrzynające się w morze jak przyładki. Potem, z wierzchołka ostatniego i najwyższego z tych wzgórz, ujrzałem Tyr na szczycie rozległego, jałowego wzniesienia. Między morzem i ostatnimi wyniosłościami Libanu, które tu gwałtownie się zniżają, ciągnie się równina długa na jakie osiem mil, a na milę lub dwie szeroka; równina ta jest naga, żółta, pokryta ciernistymi krzewami obgryzаныmi przez wielbłądy przechodzących tędy karawan. Jej przedłużenie stanowi wybiegający w morze półwysep, oddzielony od lądu drogą okrytą złocistym piaskiem, który wiatry przynoszą z Egiptu. Tyr, przez Arabów zwany dziś Sur, stoi na samym krańcu tego przyładka i sprawia wrażenie, jakby wynurzał się z fal; widząc go z daleka, można by powiedzieć, że to jakieś piękne, nowe, białe, pełne życia miasto, co przegląda się w morzu, ale to tylko piękny cień, który z bliska znika. Kilkaset zapadających się, prawie opustoszałych domów, gdzie Arabowie na noc spędzają wielkie stada owiec i czarnych, z długimi, zwisającymi uszami kóz, które ciągną przed nami po równinie, oto Tyr dzisiejszy. Nie ma już portu otwartego na wszystkie morza, nie ma dróg prowadzących ku wszystkim zakątkom ziemi; już dawno spełniły się przepowiednie proroków.<sup>1</sup>

Jechaliśmy w milczeniu, zajęci rozważaniem smętku, jaki budzi wspomnienie tego mocarstwa i jedyne go po nim śladu: prochu, który deptały nasze konie. Wąska dróżka wiodła przez środek pól otaczających Tyr, między miastem i szarymi, nagimi wzgó-

rzami, którymi Liban kończy się, przechodząc w równinę. Podjechaliśmy na wysokość miasta, ku piaszczystej wydmie, która dziś zdaje się stanowić jego jedyny mur obronny, póki sama go nie zagrzebie. Myślałem o prorocत्वach i usiłowałem przypomnieć sobie kilka z tych wymownych gróźb, którymi duch Boży natchnął Ezechiela.<sup>2</sup> Nie odnalazłem ich w słowach, ale w żalostnej rzeczywistości, którą miałem przed oczyma. Przyszedł mi na myśl wiersz zanotowany w chwili, kiedy opuszczałem Francję, wyjeżdżając na Wschód:

Jam nie słyszał spod cedrów wołania ku Panu,  
Które ludy wznosiły z rozpaczny wyrazem,  
Nie widziałem, jak orły wyroczone z Libanu  
Czarne na Tyr lecą za Boga rozkazem.<sup>3</sup>

Czarny Liban był przede mną, ale rzekłem do siebie: „Wyobraźnia mnie zawiodła, nie widzę ani orłów, ani sępów, które dla dopełnienia prorocтва miały bezustannie zlatywać z tych gór, aby wciąż pożerać trupa tego miasta, potępionego przez Boga i nieprzyjaznego własnemu ludowi.” W chwili kiedy byłem zajęty tą myślą, coś wielkiego, niezwyklego, nieruchomego ukazało się z lewej strony, na szczycie prostopadłej skały, co w tym miejscu wrzyna się w równinę, sięgając drogi, którą idą karawany. Było to coś podobnego do pięciu posągów z czarnego kamienia, stojących na skale jak na fundamencie, ale kiedy podjechaliśmy bliżej, po kilku prawie niedostrzegalnych poruszeniach tych olbrzymich postaci uznaliśmy, że to pięciu Arabów, Beduinów, odzianych w wywrócone sierścią na wierzch kozuchy z czarnych kóz, którzy ze wzgórza przypatrywali się przejeżdżającym. Na koniec, kiedy zaledwie pięćdziesiąt kroków dzieliło nas od tej wyniosłości, spostrzegliśmy, że jedna z tych pięciu postaci roztoczyła szerokie skrzydła i uderzyła nimi z łoskotem podobnym do odgłosu, jaki wydaje żagiel, kiedy go rozpiąć na wietrze. Ujrzelśmy pięć orłów największego gatunku, jakie kiedykolwiek widziałem w Alpach lub więzionych w zwierzyńcach naszych miast. Nie odlatywały, nie ruszyły się nawet za naszym zbliżeniem: stojąc, jak władcy tej pustyni, na skraju skały, spoglądały na Tyr jak na swój łup, po który znowu wróćą. Zdawały się go posiadać prawem boskim i być narzędziem rozkazu, który wykonywały, pomsty przepowiedzianej, którą kazano im spełnić na ludziach i przeciw ludziom. Nie mogłem się napatrzeć tej żywej przepowiedni, temu cudownemu spełnieniu gróźb Wszechmocnego, którego traf uczynił nas świadkami. Nic bardziej nadprzyrodzonego nigdy tak żywo nie uderzyło moich oczu i ducha, i potrzebo-

waleń całego wysiłku rozumu, aby nie widzieć za tymi pięcioma olbrzymimi orłami wielkiej i groźnej postaci poety zemsty, Ezechiela, wznoszącej się nad nimi i wskazującej im wzrokiem i palcem miasto, które Bóg oddał im na pożarcie, Ezechiela, którego siwą brodę rozwiewał wicher gniewu Pańskiego, a w proroczych oczach płonął ogień pomsty Niebios. Zatrzymaliśmy się o czterdzieści kroków: orły z pogardą zwróciły tylko głowy, aby się także nam przypatrzeć; na koniec dwóch spośród nas odłączyło się od wyprawy i pędem, z bronią w rękę, podbiegło do podnóża skały — nie uciekły. Po kilku strzałach ostrymi nabojami zerwały się ciężko, ale wróciły; wystawiając się na ogień, długo krążyły nad naszymi głowami, jak gdyby mówiły do nas: „Nic nam nie zrobicie, jesteśmy orłami Boga!”

Przekonałem się wówczas, że wyobraźnia poetycka objawiła mi orły Tyru mniej prawdziwe, nie tak piękne i nie tak niezwykle, jak były w istocie, i że w mens divini<sup>4</sup> poetów, nawet najsłabszych, jest coś z owego wieszczego i proroczego natchnienia, co mówi prawdę, choć jej nie zna.

Po siedmiodzinnej jeździe środkiem równiny Tyru przybyliśmy w południe do miejsca zwanego Studniami Salomona<sup>5</sup>; wszyscy podróżni je opisywali: są to trzy zbiorniki wody przezroczystej i bieżącej, która jak gdyby cudem sączy się z ziemi suchej i jałowej o dwie mile od Tyru; każdy z tych zbiorników, wzniesiony sztucznie o dwadzieścia stóp ponad poziomem równiny, napęlnia się aż po brzegi i przelewa bezustannie, tworząc strumień, który obraca koła młyńskie; woda płynie do Tyru na wpół starożytnymi, na wpół nowoczesnymi akweduktami, które pięknie rysują się na widnokręgu. Powiadają, że Salomon kazał zbudować te trzy studnie, aby nagrodzić Tyr i jego króla Hiram za usługi wyświadczone przez jego marynarkę i artystów przy budowie świątyni.<sup>6</sup>

Hiram sprowadzał marmury i cedry z Libanu.<sup>7</sup> Każda z tych ogromnych studzien ma co najmniej sześćdziesiąt do osiemdziesięciu stóp obwodu, ich głębokość nie jest znana, a jedna z nich nie ma dna; nikt nigdy nie mógł dociec, jakim tajemnym przewodem spływa do nich woda z gór. Po szczegółowym ich zbadaniu wszystko każe mniemać, że są to ogromne studnie artezyjskie, które potrafiono zbudować, zanim tego wynalazku dokonano powtórnie w epoce nowoczesnej.<sup>8</sup>

O piątej wyruszyliśmy od Studzien Salomona i przez dwie go-

\* boskim zapale

dżiny jechaliśmy przez równinę Tyru; nocleg u stóp wysokiej, pionowo wznoszącej się nad morzem góry, która tworzy przylądek Biały, czyli Ras el-Abiad; księżyc wznosił się nad czarnym wierzchołkiem Libanu, ale nie wzeszedł jeszcze tak wysoko, aby jego blask padał na górskie zbocza; zostawiając nas w cieniu, oświetlał ogromne złomy białych skał, na których błyszczał jak płomień na marmurze; o te rzucone w morze skały rozbryzgiwała się lśniąca piana, liżąc niemal nasze stopy; słychać było tylko głuchy, miarowy łoskot fal bijących o przylądek, a każde ich uderzenie wstrząsało wąskim wybrzeżem, którym jechaliśmy jak gdyby nad przepaścią. W dali połyskiwało morze niby ogromna tafla srebra i tylko gdzieś tam jakiś ciemny przylądek znaczył jej czyste łono albo jakaś głęboka grotta rozwierała się w rozdartych zboczach góry. Za nami rozciągała się równina Tyru: można ją było rozpoznać, choć nie dość wyraźnie, po frędzlach żółtego, złocistego piasku, które zarysowywały jej kontury między morzem i ziemią; cień Tyru ukazał się na krańcu przylądka i tylko przypadek zapewne sprawił, że na jego zwaliskach zabłysło światło, które z daleka można by wziąć za latarnię morską, ale była to tylko latarnia, co rzucała blask na jego osamotnienie i opuszczenie, a nie wskazywała drogi żadnemu statkowi, świeciła tylko nam, abyśmy spoglądali na owe ruiny wzrokiem pełnym litości. Owa droga nad przepaścią, z tyloma różnymi, wspaniałymi i wzniosłymi widokami nocy, księżyca, morza i otchłani, trwała blisko godzinę, co najgłębiej wyryła się w mojej pamięci, a którą Bóg pozwolił mi rozpamiętywać na swojej ziemi; była to jak gdyby jakaś wspaniała brama, przez którą nazajutrz miałem wstąpić na ową ziemię cudów, ziemię świadectwa, pełną jeszcze śladów dawnego i nowego obcowania Boga z człowiekiem.

Zjeżdżając ze szczytu owego przylądka, mieliśmy przed sobą ten sam widok, który wywarł na nas takie wrażenie przy wjeździe: takie same otchłanie, tak samo przepastne, huczące i wybielone pianą, tak samo usiane wielkimi odłamami pierwotnej, białej skały, otwierały się pod naszymi stopami i przed naszym wzrokiem; morze rozbijało się w nich z takim samym łoskotem, jaki nam towarzyszył przez cały czas, kiedy jechaliśmy wzdłuż burzliwego wybrzeża Syrii, jak je określają starożytne poezje hebrajskie; księżyc, co wzeszedł wyżej, lepiej oświetlał ten widok tchnący zarazem pustką i niepokojem, a przed nami otwierała się obszerna równina Ptolemaid<sup>9</sup>; była dziewiąta wieczorem, w październiku; nasze konie, znużone trzynastogodzinną jazdą, z



wolna stawiały podkute kopyta na ostrych, lśniących skałach, stanowiących jedyną drogę w Syrii: są to nierówne kamienne stopnie, po których w Europie nikt by się nie ośmielił jeździć. Uznojeni, a nade wszystko przejęci wspaniałością widoku i cisnącymi się wspomnieniami dnia, szliśmy pieszo w milczeniu, prowadząc konie za uzdy i spoglądając to na morze, które będziemy musieli przebyć, aby ujrzeć znowu nasze rzeki i nasze góry, to na czarny, długi i pozbawiony wszelkiej falistości grzbiet Karmelu, który zaczynał się rysować u kresu widnokregu. Przybyliśmy do czegoś, co można by nazwać kanem, a raczej do na pół zrujnowanej rudery, w której jakiś ubogi Arab hoduje pomiędzy rozpadlinami skał, przy źródle, kilka drzew figowych i kilka dyń; rudera była zajęta przez wielbłądników z Nablus, którzy wieźli zboże do Syrii dla wojska Ibrahima. Skwar jesienny wysuszył źródło; rozstawiliśmy jednak nasze namioty na ziemi pokrytej okrągłymi, osuwającymi się kamieniami, przywiązaliśmy konie do palików i każdy oszczędnie wypił po kilka kropel świeżej wody, zaczerpniętej ze Studzien Salomona, która pozostała jeszcze w dzbanach. Kiedy kończy się równina Tyru i góry zaczynają się obniżać, daje się odczuwać brak wody; od jednego źródła do drugiego trzeba jechać pięć lub sześć godzin, a nieraz, kiedy się już do niego dotrze, jego dno przypomina jakieś wyschłe, spalone naczynie, na którym zachował się ślad racic wielbłądów lub kóz, co ostatnie z niego piły.

11 [października] zwinęliśmy namioty przy blasku tysiąca gwiazd, które odbijały się w morzu falującym u naszych stóp; jeszcze prawie godzinę zjeżdżaliśmy z ostatnich wzgórz tworzących przyładek Biały, czyli Ras el-Abiad, i wjechaliśmy na równinę Akki, dawnej Ptolemaidy.

Niedawne oblężenie Akki przez Ibrahima Paszę<sup>10</sup> obróciło miasto w stos gruzów, pod którymi leżało dziesięć do dwunastu tysięcy trupów i tysiące wielbłądów. Ibrahim zwycięzca, pragnąc jak najspieszej uchronić tę swoją ważną zdobycz przed jakimś niekorzystnym obrotem fortuny, przystąpił do odbudowy murów i domów Akki; codziennie wykopywano z tych zwalisk krocie na pół zepsutych trupów; zgniłe wyziewy, stopy ciał zatruty powietrze na całej równinie, objechaliśmy więc mury jak można najdalej i w południe zatrzymaliśmy się we wsi arabskiej zwanej Wody Akki, w -gajku granatów, fig i morw, w pobliżu młynów paszy; o piątej wyruszyliśmy znowu, aby na nocleg stanąć pod laskiem oliwnym, na szczycie pierwszych wzgórz Galilei.

12 [października] z pierwszym brzaskiem ruszyliśmy w drogę; naprzód przebyliśmy wzgórze zasadzone drzewami oliwnymi i kil<sup>^</sup> koma zielonymi dębami, które rosną kępami lub tworzą zarośla, choć wciąż je niszczą karmiące się ich liśćmi kozy i wielbłądy. Kiedy znaleźliśmy się po przeciwnej stronie tego wzgórza, ujrzelśmy przed sobą w całej jej okazałości Ziemię Świętą, ziemię Kanaan; sprawiło to na nas wielkie, głębokie i nader miłe wrażenie: nie była to owa naga, kamienista, jałowa ziemia, owo nagromadzenie niskich, огоłoconych gór, jak nam zwykle przedstawiają Ziemię Obiecaną, opierając się na przekazach kilku uprzedzonych pisarzy lub kilku pragnących przybyć tu jak najspieszniej i pisać podróży, co nic innego nie widzieli z rozległych różnorodnych ziem, zamieszkałych przez dwanaście pokoleń, jak tylko skalistą ścieżkę, którą między wschodem a zachodem słońca można z Jaffy dotrzeć do Jerozolimy. Zwiedziony przez nich, spodziewałem się zobaczyć to, co opisują, czyli niewielką krainę, bez rozległych widoków, bez dolin, bez równin, bez drzew i bez wody, ziemię, na której wznosi się kilka szarych lub białych wzgórz, gdzie złodzieje arabscy kryją się w cieniu jakichś wąwozów, czyhając tylko, aby złupić podróżnego — taką jest może droga z Jerozolimy do Jaffy. Ale oto Judea, taką, jaką zobaczyliśmy pierwszego dnia ze szczytu wzgórz otaczających równinę Ptolemaid, taką, jaką ujrzelśmy znowu z przeciwnej strony pagórków Zabulonu i Nazaretu i u podnóża Hermonu lub Karmelu, taką, jaką przejechaliśmy w całej jej rozległości i różnaitości, od szczytów wznoszących się nad Tyrem i Sydonem aż do Jeziora Tyberiadzkiego i od góry Tabor aż do gór Samarii i Nablus, a stamtąd aż pod mury Syjonu.

Najpierw ujrzelśmy równinę Zabulon; znajdowaliśmy się między dwoma niewielkimi wzniesieniami, które zaledwie nazwać by można pagórkami; opadające zbocza obu tych wzniesień tworzą zagłębienie stanowiące ścieżkę, którą jechaliśmy; ścieżkę tę wydeptały wielbłądy, ubijając ją od czterech tysięcy lat, znać też na niej wielkie, głębokie wyboje, które ich ciężkie kopyta, zawsze stawiane w tych samych miejscach, wytoczyły w białej, kruchej skale, jednakowej na całym obszarze od przylądka Tyru aż do pierwszych piasków Pustyni Libijskiej. Po prawej i lewej stronie, w odstępach dwudziestu kroków, rosną kępy rozmaitych krzewów, nigdy nie tracących liści, i ocieniają krągłe zbocza obu wzniesień, a nieco dalej wznoszą się drzewa o sękatych pniach, o mocnych, posplatanych z sobą gałęziach i nieruchomym, ciemnym listowiu; są to przeważnie dęby zielone szczególnego rodza-

## PODBOZ Z BEJRUTU DO JEROZOLIMY

ju, których pień jest bardziej miękki i mniej wybujały niż pień dębów europejskich, a liść, gładki i zaokrąglony, nie ma ząbko-wań liścia dębu zwyczajnego; drzewa świętojańskie, terpentynowe, a czasem jawory i klony uzupełniają szatę tych pagórków; nie znam nazw innych drzew: niektóre z nich mają liście jodeł i cedrów; inne, i te są najpiękniejsze, z barwy swojej kory, z kształtu liścia i z jego delikatnego, żółtawego odcienia przypominają wierzby, ale znacznie są od nich bardziej rozłożyste, grubsze i wyższe. Najliczniejsze karawany mogą się zejść wokół ich olbrzymiego pnia i obozować w jego cieniu razem z ładunkiem i wielbładami; w rozległych, nie osłoniętych cieniem tych przeróżnych drzew prześwitach, często trafiających się na pochyłościach wzgórz, widać sterczące z ziemi ku słońcu warstwy białawych, a przeważnie szaroniebieskich skał, przypominających wyrazistą muskulaturę ludzkiego ciała, która na starość bardziej się uwydatnia, jak gdyby chciała przebić powlekając ją skórę; lecz między tymi ławami, czy raczej tymi blokami skał, bezustannie pulsuje życiem czarna, pulchna, głęboka gleba, która nieustannie rodziłaby zboże, jęczmień, kukurydzę, gdyby ją tylko zorano, albo całe lasy ciernistych krzewów, dzikich granatów, róż jerychońskich i ogromnego ostu, o łodygach sięgających wysokości wielbłąda. Mając obraz jednego takiego pagórka, widzi się je wszystkie, tego samego prawie kształtu, i wyobraźnia może sobie je przedstawić, w miarę jak trafiamy na wzmianki o nich w opisach krajobrazu Ziemi Świętej. Posuwaliśmy się więc między tymi dwoma pagórkami i zaczynaliśmy z wolna z nich zjeżdżać, zostawiając za sobą morze i równinę Ptolemaid, kiedy ujrzeliśmy pierwszą równinę ziemi Kanaan: była to równina Zabulon, ogród to imię noszącego pokolenia.

Przed nami, z lewa i z prawa, dwa pagórki, które właśnie minęliśmy, wdzięcznie się rozstępowały, podobne do dwóch niknących fal, które łagodnie spływają rozcięte dziobem statku; przestrzeń, którą między sobą zostawiały i która tym sposobem stopniowo się rozszerzała, przypominała rodzaj wgłębienia utworzonego przez równinę pomiędzy górami; wgłębienie czy jak gdyby zatoka jednolitej, urodzajnej gleby tworzyła dalej nieco szerszą dolinę, a tam, gdzie oba jeszcze ją otaczające pagórki całkiem znikały, dolina ta bez wyraźniejszego przejścia gubiła się w lekko owalnej równinie, której dwa spiczaste krańce zagłębiały się w cieniu dwóch innych łańcuchów wzgórz. Owa równina na oko może mieć jakie półtorej mili szerokości, a trzy, cztery długości. Z wzniesienia, na którym znajdowaliśmy się, opuszczając wzgórze

Akki, naturalną koleją rzeczy kierowaliśmy ku niej nasze spojrzenia, mimowolnie śledząc jej zakręty i wnikając wzrokiem w najwęższe jej zagłębienia, które tworzyła, wciskając się między podnóża gór stanowiących jej granicę. Z lewej strony wysokie, złociste i delikatnie rzeźbione szczyty Libanu odcinały się wyraziście na ciemnym błękitie porannego nieba, z prawej wzgórze, po którym jechaliśmy, wznosiło się nieznacznie, oddalając się ocl nas i jak gdyby chcąc złączyć się z innymi wzgórzami, tworzyło rozmaite ich grupy, jedne jałowe, inne okryte drzewami oliwnymi i figowymi, zwieńczone wioską turecką, opasując prawie cały meczet. Na wprost zaś, na widnokręgu równiny Żabulon, rozpościerającym się przed nami na przestrzeni trzech, czterech mil, widać było perspektywę wzgórz, gór, dolin, nieba, światła, mgieł i cienia, tak harmonijnie rozłożonych w swoich barwach i liniach, tak wybornie z sobą stopionych, tak symetrycznie ustawionych i tak różnorodnie wywołujących wrażenie, że nie mogłem od nich oderwać oczu, a nie znajdując w moich wspomnieniach Alp, Włoch i Grecji nic, z czym mógłbym porównać tę czarodziejską całość, zawołałem: „To istny Poussin lub Klaudiusz Lorrain!” W istocie tylko pędzel tych dwóch malarzy, którym boski geniusz przyrody odślnił swoje piękno, mógłby sprostać majestatycznej słodczy owego krajobrazu ziemi Kanaan. To zespolenie majestatu i słodczy, siły i uroku, malowniczości i płodnego urodzaju znaleźć można jedynie na pejzażach stworzonych wyobraźnią obu tych wielkich artystów albo w niepodobnej do naśladowania naturze tej pięknej krainy, którą mieliśmy przed oczyma, a którą ręką Największego z malarzy sama narysowała i okryła barwami, przeznaczając na siedzibę dla jeszcze pasterskiego i jeszcze niewinnego ludu.

Na przedzie u podnóża gór, około pół mili na płaszczyźnie, jak naturalny piedestał, przeznaczony przez przyrodę jedynie do dźwignia jakiegoś warownego miasta, jak gdyby wprost z ziemi, oddzielona od otaczających ją wzgórz, występowała wyniosłość. Jej zbocza wznosiły się niemal pionowo od stóp do wierzchołka, tworząc jak gdyby ołtarz ziemi; przypominały dokładnie szanice jakiejś fortecy, wytyczone i wzniesione ręką ludzką. Wierzchołek, zwykle nierówny i zaokrąglony na wszystkich wzgórzach i górach, tu był płaski i gładki, jak gdyby przeznaczony do dźwignia czegoś, czym miały się uwieńczyć, skoroby przyszedł lud, któremu by był przeznaczony na siedzibę. Na wszystkich uroczych równinach Kanaanu widziałem potem nieraz takie same

wzgórza w kształcie czworobocznych lub podłużnych ołtarzy, w sposób oczywisty przeznaczone do obrony pierwszych siedzib trwożnego i słabego ludu, a to ich przeznaczenie jest tak dokładnie wypisane w ich odosobnionym i niezwykłym kształcie, że choćby tylko ich liczba nie pozwala mylić się i mniemać, że były dziełem ludu, który wznosił na nich swoje miasta. Czy bowiem lud tak nieliczny byłby zdolny wznieść tyle warowni tak ogromnych, że nawet jednej nie zdołałoby usypać całe wojsko Kserksesa? Bez względu na to, jaką kto wyznaje wiarę, trzeba być chyba ślepym, aby nie rozpoznać, że te warownie wznoszące się u wstępu na niemal każdą równinę Galilei i Judei, a także na ich krańcach, mają swoje szczególne, przez Opatrzność czy naturę określone przeznaczenie. Za tym wzniesieniem, gdzie wyobraźnia bez trudu stawia jakieś starożytne miasto z jego murami, bastionami i wieżami, pierwsze pagórki stopniowo wyrastały z równiny, a na ich zboczach, niby szarawe i czarne plamy, widniały kępy drzew oliwnych i zielonych dębów. Między owymi pagórkami a wyższymi i ciemniejszymi górami, którym tamte służyły jako podstawa, a te majestatycznie nad nimi górowały, pieniał się zapewne jakiś potok lub z pierwszym skwarem porannego słońca mgła wznosiła się znad jakiegoś głębokiego jeziora, w pustej bowiem przestrzeni unosiły się białe i błękitnawe opary, z lekka przesłaniając swoją przejrzystą powłoką, którą tu i ówdzie przebijały pęki promieni wschodzącego słońca, łańcuch gór wznoszący się na dalszym planie.

Jeszcze dalej i wyżej trzeci łańcuch gór, całkiem ciemny, ukazywał swoje zaokrąglone i nierówne grzbiety i nadawał całemu temu uroczemu krajobrazowi ów odcień majestatu, mocy i powagi, który jako składnik lub dla kontrastu zawsze powinien być we wszystkim, co piękne. Prześwity, w różnych odstępach rozmieszczone w tym trzecim łańcuchu, otwierały widok na rozległy krajobraz i na bladოსrebrzysty fragment nieba z kilkoma lekko zaróżowionymi obłokami. Wreszcie za tym wspaniałym amfiteatrem, niby wysunięte w głąb nieba przyładki, wznosiły się dwa, trzy szczyty odległego Libanu, na które najpierw spadła ulewa pierwszych promieni zawieszzonego nad nimi słońca, sprawiając, iż stały się tak przejrzyste, że można by mniemać, iż widać przez nie drżący blask nieba, które przed nami zasłaniały. Do tego widoku trzeba dodać pogodny, ciepły firmament, czystą barwę światła i wyrazistość cieni cechującą powietrze Azji; trzeba na równinie wyobrazić sobie jakiś zrujnowany kan lub niekończące się szeregi czerwonych krów, białych wielbłądów, czarnych kóz, szu-

## PODRÓŻ Z BEJRUTU DO JEROZOLIMY

kających powolnym krokiem wody rzadko napotykaney, ale czystej i smacznej; trzeba sobie wyobrazić kilku jeźdźców arabskich, całych lśniących od srebrzystej broni i szkarłatnych ubiorów, jak na lotnych rumakach mkną po równinie, kilka kobiet z sąsiednich wiosek w długich błękitnych tunikach, przewiązanych białymi, szerokimi pasami, których końce wloką się po ziemi, i w zawojach niebieskich, ozdobionych przepaskami z ponawlekanych cekinów weneckich; trzeba dorzucić do tego tu i ówdzie na stokach wzgórz kilka siół tureckich i arabskich, których mury o barwie skał i domy bez dachów zlewają się w jedno ze skałami wzgórza; niech przy tym jakieś obłoki błękitnawego dymu wznoszą się gdzieś między drzewami oliwnymi i cyprysami, co okalają te siola; niech kilka kamieni wydrążonych jak źródlane koryta (groby patriarchów), kilka słupów granitowych kolumn, kilka rzeźbionych kapiteli znajdzie się tu i ówdzie dokoła źródeł, pod nogami twojego konia, a będziesz miał najdokładniejszy, najwierniejszy obraz uroczej równiny Zabulon, równiny Nazaretu, równiny Sefory i Taboru. Taki kraj, ponownie zaludniony przez nowy naród żydowski, uprawiany i nawadniany umiejętną dłońią, użyźniany zwrotnikowym słońcem, rodzący wszystkie rośliny użyteczne lub wyszukane, od trzciny cukrowej i banana aż do winogron i zboża stref umiarkowanych, aż do cedru i jodły alpejskiej, taki kraj, powiadam, byłby jeszcze dzisiaj Ziemią Obiecaną, gdyby Opatrzność zwróciła mu lud, dała pokój i wolność.

Z równiny Zabulon po przebyciu niewielkich wzgórz, bardziej jałowych niż poprzednie, dotarliśmy do wioski Sefforis, zwanej w Piśmie świętym Sefarwaim, dawnej Diocezarei Rzymian, największego miasta Palestyny po Jerozolimie za . czasów Heroda Agryppy.<sup>11</sup>

Mnóstwo bloków kamiennych wyłobionych na groby wskazywało nam drogę aż do wierzchołków wzgórza, na którym była położona Sefforis; przybywszy na ostatnią wyniosłość, ujrzeliśmy jedną kolumnę granitową jeszcze stojącą, która oznaczała miejsce, gdzie była świątynia; pięknie rzeźbione kapitele leżały pod kolumną, a porozrzucane wszędzie gruzy ciosanych kamieni, wydartych z jakichś wielkich budowli rzymskich, służyły Arabom do oznaczania granicy pół blisko o milę od Sefforis, gdzie zatrzymaliśmy się na południowy spoczynek. Obfite źródło wybranej wody płynie tu dla mieszkańców dwóch lub trzech dolin otoczone kilkoma kępami drzew figowych i granatów; usiedliśmy w ich cieniu i czekaliśmy blisko godzinę, nim można było napoić naszą kawalkadę, tyle bowiem wielbłądów i krów spędzili do

źródła pasterze arabscy ze wszystkich stron doliny. Nieprzeliczone szeregi czarnych kóz i krów ciągnęły przez równinę i po zboczach pagórków wznoszących się ku Nazaretowi.

Okryty płaszczem położyłem się w cieniu drzewa figowego niedaleko źródła i długo spoglądałem na ten widok z lat starodawnych. Nasze konie, rozstawione wokół, mając nogi spętane, z siodłem tureckim na grzbiecie, ze spadającymi grzywami, z głowami zwieszonymi, szukały cienia pod własną grzywą; nasza broń: pałasze, strzelby, pistolety, wisiała nad naszymi głowami na gałęziach granatów i drzew figowych. Beduini, okryci jedną tylko utkaną z koziej wełny sztuką materii w czarne i białe pasy, siedzieli kołem niedaleko nas i przypatrywali się nam sępiim wzrokiem. Kobiety z Sefforis, ubrane całkiem jak żony Abrahama i Izaaka w przewiązane w pasie niebieskie tuniki, na które wdzięcznie spadały szerokie fałdy tuniki białej, na głowach okrytych niebieskimi zawojami niosły dzbany, leżące w poprzek, gdy były próżne, stojące, gdy były pełne, przytrzymując je obiema rękami, podobne do kariatyd z Akropolu; inne, tak samo ubrane, prały u źródła i spoglądając na nas, śmiały się pomiędzy sobą; inne wreszcie, w bogatszym stroju, z przepaskami z piastrow lub złotych cekinów na czołach, tańczyły w cieniu rozłożystego granatu w pewnej odległości od nas i od źródła; ich taniec, miękki i powolny, to monotonne poruszanie się wkoło, urozmaicone czasem kilkoma krokami wykonywanymi bez wszelkiego kunsztu, ale nie bez wdzięku. Kobieta została stworzona jako istota powabna; ani obyczaj, ani ubiór nie mogą w niej zmienić tego uroku piękna i miłości, który ją spowija i wszędzie o niej świadczy. Te kobiety arabskie nie miały zasłon jak tamte, które przedtem widzieliśmy na Wschodzie, a ich twarze, choć lekko tatuowane w drobne cętki, były delikatne, o rysach regularnych, co je odróżniało od kobiet tureckich; przez cały czas naszego odpoczynku tańczyły, śpiewały, nie dotknięte tym bynajmniej, że bacznie obserwowaliśmy ich taniec, śpiew i ubiór. Powiedziano nam, że oczekiwały młodego Araba, który wyruszył do Nazaretu po ślubne podarunki dla jednej z dziewcząt z Sefforis, swojej narzeczonej, i rzeczywiście tego samego dnia po opuszczeniu wioski ujrzeliśmy owego Araba wracającego z podarunkami: składały się z sita do przesiewania mąki i oddzielania jej od otrąb, ze sztuki bawelnianego płótna i sztuki kosztowniejszej materii na suknię dla narzeczonej.

Od tego dnia zacząłem doznawać nowych i zupełnie odmiennych wrażeń od tych, które dotąd nasuwały mi się w tej podróży:

## PODRÓŻ Z BEJRUTU DO JEROZOLIMY

przedtem podróżowałem oczyma, myślą i rozumem, teraz zacząłem podróżować duszą i sercem, wstępując na ziemię cudów, na ziemię Jehowy i Chrystusa, na ziemię, której wszystkie nazwy po tysiąc razy nieudolnie wypowiadały moje dziecięce usta, której wszystkie obrazy jako pierwsze ubarwiały moją młodą i czułą wyobraźnię, na ziemię, z której płynęły później dla mnie nauki i pociechy religii, drugiej duszy naszej duszy. Czulem, jak gdyby coś umarłego i zimnego we mnie zaczęło się ożywiać i ocieplać; czulem to, co się odczuwa, poznając między tysiącem nieznanych i obcych twarzy oblicze matki, siostry lub ukochanej kobiety, to, co się odczuwa wchodząc z ulicy do świątyni: jakieś skupienie ducha, coś łagodnego, silnego, tkliwego i pocieszającego, czego się nigdzie indziej nie doznaje.

Świątynią była dla mnie owa ziemia Biblii, Ewangelii, na którą właśnie wstąpiłem. W milczeniu, w skrytości moich myśli modliłem się do Boga; dziękowałem Mu, że mi pozwolił dożyć tej chwili, abym własnymi oczyma oglądał przybytek Ziemi Świętej; i od tego dnia przez cały czas mojej podróży po Judei, Galilei, Palestynie zmysłowe wrażenia poetyckie, które nasuwały mi widoki i nazwy miejscowości, miały w sobie więcej szacunku i tkliwości niż uczonego wspomnienia; moja podróż często stawała się modlitwą i dwa najbardziej naturalne uniesienia mojej duszy: zachwyt dla przyrody i dla jej Stwórcy, odzywały się we mnie co rano z taką świeżością i siłą, jak gdyby te wszystkie lata, gdy trwały we mnie przywędle i wysuszone, nie zdołały ich zniszczyć. Stojąc przed cieniem Boga mojej młodości, czulem, że jeszcze jestem człowiekiem. Kiedy zwiedza się miejsca usświęcone jednym z tych tajemniczych wydarzeń, które zmieniły oblicze świata, doświadcza się czegoś podobnego do tego, czego doznaje podróżny, który z wysiłkiem płynie w górę jakiejś wielkiej rzeki, Nilu czy Gangesu, aby odnaleźć jej początek i przyjrzeć się jej u jej skrytego, nieznanego źródła. Wjeżdżając na ostatnie wzgórza, które mnie dzieliły od Nazaretu, czulem, że jadę tam, aby u jej tajemniczego źródła rozmyślać o owej wspaniałej, płodnej religii, która przed dwoma tysiącami lat spłynęła na świat ze szczytu gór Galilei i napoiła tyle pokoleń ludzkich swoją czystą i ożywczą wodą. Tu było źródło, tu, w wydrążeniu tej skały, po której stapałem; to wzgórze, na którego ostatnie stopnie wspinał się mój koń, nosiło w swoim łonie zbawienie, życie, światło i nadzieję świata; tu właśnie, o kilka kroków ode mnie, Człowiek wzorowy urodził się pomiędzy ludźmi, żeby Swoim słowem i przykładem wydobyć ich z oceanu błędu i zepsucia, w którym ród



ludzki miał się pograć. Gdyby tę rzecz rozważać filozoficznie, byłby to punkt wyjścia największego wydarzenia, jakie kiedykolwiek poruszyło świat ducha i polityki, wydarzenia, którego samo oddziaływanie wciąż jeszcze wprawia w ruch i ożywia umysły. Stąd, z ukrycia, z biedy i nieświadomości, wyszedł największy, najsprawiedliwszy, najmądrzejszy, najcnotliwszy ze wszystkich ludzi, tu była Jego kolebka, widownia Jego czynów i wzruszających do głębi nauk. Wyszedł stąd, młody jeszcze, z kilkoma ludźmi, prostymi i nieświadomymi, których natchnął ufnością do swojego ducha i odwagą swojego posłannictwa, aby z przekonaniem, śmiało uderzyć na istniejący porządek myśli i rzeczy, nie tak silny, aby mógł Mu się oprzeć, ale dość silny, aby Go przyprawić o śmierć. Stąd, powiadam, wyszedł, aby śmiało zdobyć śmierć i władzę powszechną nad potomnością. Stąd wypłynęło chrześcijaństwo, źródło nieznane, kropla wody niedostrzeżonej w głębinie skały Nazaretu, którą dwa wróble nie mogłyby się napić, jeden zaś promień słońca mógł wysuszyć, a która dziś jak wielki ocean duchowy zapełniła wszystkie otchłanie mądrości ludzkiej i obmyła swoimi niewyczerpanymi wodami przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Gdybym nawet nie wierzył w boskość tego wydarzenia, zbliżając się do miejsca, w którym nastąpiło, doznałbym gwałtownego wstrząsu duchowego, odsłoniłbym głowę i pochylił czoło przed tajemną, nieodwołalną wolą, która sprawiła, że tyle rzeczy wytrysło z tak wątego i nieznacznego źródła. Ale kiedy rozważa się tajemnicę chrześcijańską jako chrześcijanin, widać, że to tu właśnie, pod tym kawałkiem błękitnego nieba, w głębi tej wąskiej i ciemnej doliny, w cieniu tego niewielkiego wzgórza, którego odwieczne skały zdają się jeszcze spękane od radosnego drżenia, że to one właśnie wydały na świat i nosiły Słowo-Dziecię, albo od drżenia boleści, którego doznały, zagrzebując w swoim łonie Słowo umarłe, to tu właśnie był ów wyroczny i święty punkt globu ziemskiego, który Bóg wybrał z całej wieczności, aby zesłać na ziemię Swoją prawdę, sprawiedliwość i miłość wcieloną w Dziecię-Boga; to tu właśnie tchnienie Boże zstąpiło o swojej godzinie na biedną chatę, siedzibę skromnej pracy, prostego umysłu i niedoli; tu właśnie ożywiło w łonie niewinnej, czystej Dziewicy to, co było łagodne, tkiwe i miłosierne jak Ona; cierpiące, cierpliwe, jęczące jak człowiek, potężne, nadprzyrodzone, mądre i silne jak Bóg; to tu Bóg-Człowiek w ciemnych latach Swojego ukrytego życia uczestniczył w naszej nieświadomości, naszej słabości, naszej pracy i naszej nędzy, i tym sposobem doświadczył niejako życia i poznał ziemię wpiers, nim

## PODRÓŻ Z BEJRUTU DO JEROZOLIMY

zaczął ją nauczać Swoim słowem, uzdrawiać Swoimi cudami i nim dał jej nowe życie Swoją śmiercią; to tu otworzyło się Niebo i zesłało na ziemię swojego wcielonego Ducha, swoje Słowo piorunujące, aby zniszczyć po wiek wieków bezprawie i błęd, aby poddać próbie ogniowej nasze cnoty i nasze wady i zapalić przed jedynym i przynajświętszym Bogiem kadzidło, które już nigdy nie zgaśnie, kadzidło odnowionego ołtarza, co tchnie wonią miłosierdzia i prawdy.

Kiedy byłem zajęty tymi rozważaniami, z głową nachyloną i czołem obarczonym tysiącem innych, jeszcze bardziej ciężących mi myśli, ujrzałem u moich stóp, w głębi doliny wyżłobionej na kształt sadzawki lub jeziora, uroczo porozrzucane na obu zboczach wąwozu i w jego głębi białe domy Nazaretu. Najpierw zobaczyłem kościół grecki, wysoki minaret tureckiego meczetu i długie potężne mury klasztoru katolickiego<sup>12</sup> kilka ulic utworzonych z domów mniej obszernych, ale budowy wykwintnej, ciągnęło się około tych rozległych zabudowań ożywionych wrzawą i ruchem. Naokoło doliny Nazaretu kilka kęp wysokich kolczastych nopalów, drzew figowych, ogołoconych z jesiennego listowia, i granatów o liściach bładozielonych i żółtych stało tu i ówdzie, dodając krajobrazowi świeżości i powabu, jak kwiaty polne koło wiejskiego ołtarza. Bóg tylko wie, co się działo w mojej duszy; instynktownie, jak gdyby bezwiednie, zsiadłem z konia i padłem na kolana na jednym z niebieskawych, okrytych kurzem głązów przepaścistej ścieżki, po której zjeżdżaliśmy. Trwałem tak kilka minut w niemej zadumie, a wszystkie myśli mojego życia jako sceptyka i jako chrześcijanina tak się we mnie kłębiły, że żadnej z nich nie mogłem rozróżnić. I tylko te słowa wyrwały się z moich ust: „Et Verbum caro factum est, et habitavit in nobis.” \*<sup>13</sup> Wymówiłem je z tym wzniosłym, głębokim i pełnym wdzięczności uczuciem, jakie w sobie zawierają, a to miejsce w tak naturalny sposób je dyktuje, że po przybyciu wieczorem do kościoła zdumiałem się, gdy mi ujrzałem wyryte złotymi literami na marmurowej tablicy podziemnego ołtarza w domu Maryi i Józefa.<sup>14</sup> Potem pobożnie pochyliłem głowę ku tej ziemi, która wydała Chrystusa, i prosząc, by mi udzieliła trochę prawdy i miłości, ucałowałem ją w milczeniu i zrosiłem łzami żalu, miłości i nadziei tę ziemię, która tyle wylanych łez widziała i tyle ich osuszyła.

Przybyliśmy do klasztoru zakonników Ziemi Świętej w Naza-

\* Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas.

## PODROŻ Z BEJRUTU BO JEROZOLIMY

recie, kiedy ostatnie promienie wieczornego blasku ledwo już złościły wysokie, żółte mury kościoła i klasztoru. Otworzyły się przed nami szerokie, żelazne podwoje, nasze konie, poślizgując się, weszły przez nie, a pod ich żelaznymi podkowami ozwały się błyszczące i dźwięczne płyty klasztornej dziedzińca. Podwoje zamknęły się za nami i zsiadliśmy z koni tuż przed drzwiami kościoła, gdzie stał niegdyś ubogi dom tej Matki, która w swoim łonie nosiła Zbawiciela i karmiła Go swoim mlekiem. Przełożonego i gwardiana nie było. Kilku braci neapolitańczyków i Hiszpanów, zajętych czyszczeniem klasztornej zboża, przyjęło nas dosyć obojętnie i zaprowadziło do obszernego korytarza, na który wychodzą drzwi od cel braci i od izb przeznaczonych dla podróżnych. Czekaliśmy tam długo na przybycie proboszcza Nazaretu, który okazał się nadzwyczaj uprzejmy i dla każdego z nas kazał przygotować oddzielną izbę i łóżko. Znużeni drogą i doznanyymi tego dnia wzruszeniami, rzuciliśmy się na posłania, odkładając do rana zwiedzanie miejsc świętych, w których bliskości zamieszkaliśmy, aby nie zepsuć całości wrażenia powierzchownymi i pospiesznymi ich oględzinami.

Kilkakrotnie wstawałem w nocy, aby wznieść duszę i głos do Boga, który tu właśnie wybrał Tego, co miał rozgłosić Jego Słowo po całym świecie.

Nazajutrz jeden z ojców, rodem Włoch, przyszedł, aby zaprowadzić nas do kościoła i do podziemnego przybytku, będącego niegdyś domem Najświętszej Panny i świętego Józefa. Kościół jest to szeroka i wysoka trzypiętrowa nawa. Piętro wyższe zajmuje chór ojców Ziemi Świętej, który tylnymi drzwiami łączy się z klasztorem; piętro niższe zajmują wierni; piękne schody z dwiema poręczami i złoconą balustradą łączą je z chórem i z wielkim ołtarzem. Z tej części kościoła i spod wielkiego ołtarza kilkustopniowe schody wiodą do oświetlonych srebrnymi lampami kapliczki i ołtarza z marmuru, wzniesionych w tym właśnie miejscu, gdzie według tradycji nastąpiło Zwiastowanie. Ołtarz ten znajduje się pod sklepieniem w połowie naturalnym, w połowie wykutym w skale, o którą zapewne opierał się święty dom. Za tym pierwszym sklepieniem są dwa inne podziemne ołtarze, nie tak jasno oświetlone, w miejscach, które, jak powiadają, służyły niegdyś Świętej Rodzinie jako kuchnia i jako piwnica.<sup>15</sup> Te podania, mniej lub bardziej odpowiadające prawdzie, mniej lub bardziej zmieniane czy wskutek potrzeb ludowej wiary, czy też wskutek naturalnego pragnienia posiadających tak bezcenną relikwię zakonników, by jeszcze bardziej zwiększyć zainteresowa-

## PODR02 Z BEJRUTU DO JEROZOLIMY

nie nią przez dodawanie coraz to nowych szczegółów, sprawiły, że w najlepszej intencji dorzucano coraz to nowe zmyślenia do wspaniałej tradycji tego miejsca; nie ulega jednak wątpliwości, że klasztor, a nade wszystko kościół, został pierwotnie wzniesiony w tym właśnie miejscu, które zajmował dom Boskiego Dziedzica ziemi i nieba. Kiedy wkrótce po śmierci Zbawiciela Jego imię rozniosło się jak blask nowej jutrzenki, kiedy Jego Matka i Jego uczniowie żyli jeszcze, nie ulega wątpliwości, że jedni drugim musieli przekazywać kult miłości i boleści, wywołany nieobecnością Boskiego Nauczyciela, i że sami nieraz chodzili i prowadzili nowo ochrzczonych do miejsc, gdzie Go widzieli, kiedy żył, mówił, działał i umarł Ten, któremu oddawali cześć i chwałę. Żadna pobożność ludzka nie zdołałaby tak wiernie przechować tradycji miejsca drogiego jej pamięci, jak to uczyniła pobożność wiernych i męczenników. Gdy chodzi o dokładne położenie głównych miejsc Odkupienia, można zaufać żarliwości wiary rodzącej się i czujności wiary nieśmiertelnej. Ukłękliśmy na tych kamieniach, pod tym sklepieniem, które były świadkami najbardziej niepojętej tajemnicy miłości Boga do człowieka, i modliliśmy się. Zapal modlitwy to także tajemnica między człowiekiem i Bogiem; jak wstyd rzuca na myśl zasłonę i ukrywa przed ludźmi to, co jest przeznaczone tylko dla Niebios.

Zwiedziliśmy także klasztor, obszerny i wygodny, podobny do wszystkich klasztorów we Francji i we Włoszech, w którym ojcowie tak swobodnie, bezpiecznie i jawnie odprawiają swoje obrzędy, jak mogliby to czynić w Rzymie, stolicy chrześcijaństwa. W tym względzie bardzo spotwarzono muzułmanów. Ich obyczaje są głęboko nacechowane tolerancją religijną, powiem więcej — poszanowaniem religijnym. Sami są tak religijni i tak zazdrośnie strzegą swobody obrzędów swojej wiary, że religia innych ludzi jest ostatnią rzeczą, na którą ośmieliliby się targnąć. Okazują nieraz wstręt do religii, których zasady obrażają ich wiarę, ale nienawidzą i pogardzają tylko tym człowiekiem, który w żadnym języku nie modli się do Wszchemocnego; tych ludzi pojąć nie mogą, myśl bowiem o Bogu zajmuje ich i stanowi nieustanny motyw ich życia duchowego. Piętnastu lub dwudziestu ojców rodem z Hiszpanii lub Włoch przebywa w tym klasztorze, opiewając chwałę Dziecięcia Bożego i Jego Matki w świątyni wzniesionej tam, gdzie oboje mieszkali biedni i nieznanymi. Jeden z ojców, którego nazywają proboszczem Nazaretu, ma powierzoną sobie wyłączną pieczę nad ludnością chrześcijańską miasta, które liczy siedmuset do ośmuset chrześcijan katolików, dwa tysiące

Greków schizmatyków, kilku Maronitów i zaledwie tysiąc mużłmanów. W ciągu dnia ojcowie zaprowadzili nas do świątyń maronickich, do starożytnej synagogi, gdzie Jezus jak zwykły człowiek chodził uczyć się Prawa, które kiedyś miał oczyścić, i do warsztatu, gdzie święty Józef wykonywał skromne rzemiosło cieśli<sup>16</sup>. Byliśmy mile zdziwieni szacunkiem i poważaniem, jakie mieszkańcy Nazaretu, nawet Turcy, okazywali wszędzie zakonnikom Ziemi Świętej. Biskup na ulicach miast katolickich nie odbierałby więcej oznak czci i życzliwości, niż ich tu okazywano tym trzem zakonnikom. W obyczajach Wschodu kapłani mniej są narażeni na prześladowanie niż w obyczajach Europy, toteż jeżeli któryś z nich pragnąłby palmy męczeństwa, nie tu powinien jej szukać.

14 października 1832.

Wyjechaliśmy o czwartej rano, kierując się ku górze Tabor, wskazanej jako miejsce Przemienienia Pańskiego, co jednak nie jest pewne, wtedy bowiem szczyt Taboru zajmowała twierdza rzymska.<sup>17</sup> Stoi ona samotnie i z uroczym wdziękiem jak bukiet zielony wznosi się wysoko z równiny Ezdrelonu<sup>18</sup> i to sprawiło, że za czasów świętego Hieronima uznano, że tu właśnie miało miejsce owo święte wydarzenie. Na wierzchołku jej wystawiono kaplicę, gdzie pielgrzymi gromadzą się, aby uczestniczyć w mszy, którą odprawiają kapłani z Nazaretu, ponieważ żaden tam nie mieszka. Przybyliśmy do stóp góry Tabor; kształt jej stanowi wspaniały, regularny stożek, porośnięty ze wszystkich stron roślinnością i zielonymi dębami; nasz przewodnik gdzieś się zapodział. Siadłem sam pod pięknym dębem, prawie w tym miejscu, w którym Rafael umieścił na swoim obrazie uczniów olśnionych światłością z góry<sup>19</sup>, i czekałem, aż kapłan zacznie odprawiać mszę. Jej rozpoczęcie obwieszczono nam z góry strzałem z pistoletu, abyśmy mogli uklęknąć na naturalnych stopniach owego olbrzymiego ołtarza przed Tym, który go wystawił i rozpostarł nad nim lśniące sklepienie nieba.

W południe wyruszyliśmy w stronę Jordanu i jeziora Genezaret. O pierwszej minęliśmy niskie i dość ocienione wzgórza, dźwigające podnóża góry Tabor, i wjechaliśmy na rozległą -równinę, długą na osiem mil i co najmniej tak samo szeroką. W środku zrujnowany kan średniowiecznej budowy. Mijamy kilka wiosek ubogich Arabów, uprawiających równinę; w każdej wiosce jest studnia niezbyt daleko położona, a w jej pobliżu kilka drzew figowych i granatów. Oto jedyny ślad ich dobrobytu. Domów nie

sposób rozróżnić, chyba z bardzo bliska. Są to chaty sześć do ośmiu stóp wysokie, w kształcie sześciątów, ulepione z gęstego błota zmieszanego z pokrojoną słomą, z dachami tworzącymi tarasy, które służą jako dziedzińce: tam trzymają wszystkie sprzęty, nakrycia i maty. Prawie zawsze siedzą na nich dzieci i kobiety: te nie zasłaniają twarzy, usta i obwód powiek malują na niebiesko, a na policzkach i około ust widać delikatnie wytatuowane cętki. Za całą odzież służy im długa niebieska koszula, przewiązana nad biodrami białym pasem; na wszystkich twarzach maluje się nęcza i cierpienie. Mężczyźni mają na sobie płaszcz bez szwu, z ciężkiej tkaniny, w nieregularne czarne i białe paski; nogi, ręce i pierś odsłonięte. Po sześciu godzinach jazdy żółtawą, kamienistą, lecz urodzajną równiną spostrzegliśmy, że teren nagle zaczął się obniżać, a przed nami ukazała się rozległa dolina Jordanu i pierwsze błękitnawe połyski pięknego jeziora Genezaret, czyli Morza Galilejskiego, jak je zwali starożytni i E-wangelia.<sup>20</sup> Wkrótce całe roztacza się przed nami, opasane ze wszystkich stron, prócz południa, amfiteatrem wysokich szarych i czarnych gór. U południowego krańca i bezpośrednio pod naszymi stopami zwęża się i otwiera, aby przepuścić rzekę proroków, rzekę Ewangelii — Jordan.

Jordan wężykowato wypływa z jeziora, sunie po niskiej, bagnistej równinie Ezdrelonu, prawie o pięćdziesiąt kroków od jeziora; dalej, wrząc z lekka i szumiąc, płynie pod zwałonymi arkadami mostu rzymskiej architektury. Tam właśnie się kierowaliśmy po gwałtownie opadającym kamienistym zboczu, i tam chcieliśmy powitać jego fale uświęcone we wspomnieniach dwóch religii. W kilka minut stanęliśmy nad brzegiem, zsiadliśmy z koni, obmyliśmy głowy, nogi i ręce w wodzie słodkiej, cieplej i błękitnej jak woda Rodanu, kiedy wypływa z Jeziora Genewskiego. Jordan w tym miejscu, które znajduje się prawie w połowie jego biegu, w kraju rozleglejszym nie zasługiwałby na nazwę rzeki, jednak jest znacznie większy niż Eurotas i Kefisos, a wszystkie te rzeki, o bajecznych lub historycznych nazwach rozbrzmiewających w naszej młodej pamięci, stanowią przecież obraz siły, potęgi i obfitości, którego rzeczywistość bynajmniej nie potwierdza. Jordan jest tu nawet większy od potoku, chociaż pod koniec bezdeszczowej jesieni w swoim korycie około stu stóp szerokim toczy spokojnie swoje wody głębokie na trzy stopy, czyste, lśniące, kryształowe, przezroczyste, w których można liczyć kamyki leżące na dnie; wody te mają ów piękny odcień, w którym odbija się cała głębia barwy nieboskłonu Azji, jeszcze bardziej niebieski

## PODRÓZ Z BEJRUTU DO JEROZOLIMY

niż niebo, niby obraz piękniejszy niż namalowany na nim przedmiot, niby zwierciadło, które barwi to, co odbija. O dwadzieścia lub trzydzieści kroków od Jordanu brzeg, którego teraz jego fala nie dotyka, jest pokryty kamieniami, sitowiem i kilkoma gęstymi kępami jeszcze kwitnących oleandrów. Ten brzeg jest niższy o pięć lub sześć stóp od poziomu równiny i wskazuje szerokość rzeki w zwykłej porze przyboru wód. Sądzę, iż rzeka musi mieć wtedy jakie osiem, dziesięć stóp głębokości, a od stu do stu dwudziestu szerokości. Wyżej i niżej na równinie jest węższy, ale tam jest głębszy, płynie między wyższymi brzegami, a to miejsce, z którego spoglądaliśmy, to jedna z czterech mielizn, jakie ma w całym swoim biegu. Zacerpnąłem dłonią i napiłem się owej wody Jordanu, którą tylu boskich poetów piło przede mną, owej wody, która spływała po niewinnej głowie dobrowolnej Ofiary.<sup>21</sup> Stwierdziłem, że jest najzupełniej słodka, w smaku przyjemna i bardzo czysta. Nawyk, jakiego się nabywa w podrózach po Wschodzie, picia tylko wody i picia jej często, sprawia, że podniebienie jest wyborym sędzią właściwości każdej nowej wody. Jednej tylko zalety brakowało wodzie Jordanu — świeżości. Była ciepła, a chociaż palące słońce podczas jedenastogodzinnej jazdy bez odrobiny cienia spaliło mi usta i ręce, w zetknięciu z wodą tej rzeki doznałem wrażenia ciepła na rękach, ustach i czole.

Jak wszyscy podróżni, którzy po tylu trudach, niebezpieczeństwach i z tak daleka przybywają nad tę opuszczoną rzekę, co była niegdyś królową, napełniłem jej wodą kilka butelek dla mniej szczęśliwych ode mnie przyjaciół, a w olstra pistoletów nakładłem kamyczków pozbieranych na jej brzegach. Czemuż nie mogłem z sobą unieść owego świętego, proroczego natchnienia, którym Jordan napawał niegdyś pieśniarzy swoich poświęconych brzegów, a zwłaszcza czemu nie mogłem unieść nieco owej świętości i czystości umysłu i serca, których z pewnością nabył, oblewając swoimi falami najczystsze i najświętsze z synów człowieczych! Dosiadłem konia, objechałem kilka obalonych filarów mostu czy akweduktu, o którym wyżej wspomniałem. Widziałem tylko nagie, zniszczone mury wzniesione takim samym sposobem jak wszystkie inne ówczesne budowle rzymskie; ani marmuru, ani rzeźby, ani napisu; nie było już ani jednej arkady, ale stało jeszcze dziesięć filarów i można było dostrzec fundamenty dalszych czterech czy pięciu; każda arkada miała około dziesięć stóp szerokości, co się zgadzało z szerokością stu dwudziestu stóp, jaką na oko dawałem Jordanowi.

Zresztą to, co piszę o szerokości Jordanu, ma jedynie na celu

## PODR02 Z BEJRUTU DO JEROZOLIMY

zaspokojenie ciekawości tych, co chcieliby móc ściśle i dokładnie wymierzyć nawet obrazy swoich myśli, a nie podsuniecie przeciwnikom czy obrońcom wiary chrześcijańskiej argumentów, których obu stronom używać się nie godzi. Jakie to ma znaczenie, czy Jordan jest potokiem, czy rzeką, czy Judea jest zwaliskiem jałowych skał, czy rozkoszным ogrodem, czy ta góra jest tylko pagórkim, a tamto królestwo prowincją? Ludzie, którzy uparcie obstają przy jednym lub drugim i toczą spory o podobne rzeczy, są tak nierozsądni jak ci, co mniemają, że obalili wiarę istniejącą od dwóch tysięcy lat, z mozołem wyszukawszy jakąś nieścisłość w Biblii lub w księgach Proroków. Czy patrząc na te wielkie boje o wyraz źle zrozumiany lub źle wyłożony przez jedną ze stron, nie można by powziąć mniemania, że religie to coś w rodzaju twierdzeń geometrii, które można udowodnić jakąś jedną cyfrą albo obalić jakimś jednym argumentem, i że całe pokolenia wyznawców lub niedowiarków tylko czekają na rozstrzygnięcie tych sporów, aby od razu przejść na stronę tego, kto okaże się mocniejszy jako logik lub bardziej uczony i odkrywcy jako badacz starożytności? Wszystko to są czcze spory, które ani nikogo nie zepsują, ani nie nawrócą. Logika nie dowodzi, nie wykazuje, nie rozszerza i nie unicestwia religii, które ze wszystkich tajemnic natury i umysłu ludzkiego są tajemnicą najskrytszą i najbardziej niepojętą; ich źródłem jest instynkt, a nie rozumowanie; są jak wiatry, które wieją ze wschodu lub zachodu, ale nikt nie zna ani ich przyczyny, ani nie wie, gdzie powstają; wieją, Bóg tylko wie, skąd, Bóg tylko wie, dlaczego, Bóg tylko wie, od ilu wieków i nad jakimi częściami kuli ziemskiej. Religie są, ponieważ są; nie bierze się ich ani porzuca dowolnie pod wpływem słów tego czy owego; bardziej przynależą do serca niż do umysłu człowieka. Któż powie: „Jestem chrześcijaninem, ponieważ w tej książce znalazłem taką czy inną odpowiedź, czy też w tamtej taki nierozwiązalny zarzut?” Każdy człowiek rozumny, od którego zażądamy uzasadnienia jego wiary, odpowie: „Jestem chrześcijaninem, ponieważ moje serce czuje po chrześcijańsku, ponieważ matka karmiła mnie mlekiem chrześcijańskim, ponieważ moja dusza i mój umysł skłaniają się do tej nauki, ponieważ żyję atmosferą mojego czasu, nie przewidując, czym żyć będzie przyszłość.”

Na urwistych brzegach jeziora Genezaret widać zawieszony dwie wioski: jedna, o kwadrans drogi, na wprost nas, po przeciwległej stronie Jordanu, druga w odległości kilkuset sążni na lewo od nas i na tym samym brzegu. Nie wiedzieliśmy, jakie ple-



## PODROŻ Z BEJRUTU DO JEROZOLIMY

dy Horacjusza, naprzeciw lśniących wodospadów Tyburu; nieraz wieczorem w Neapolu, przy szmerze pięknego morza; kładłem się pod zwisającymi gałęziami latorośli obok miejsca, gdzie Wergiliusz pragnął, aby złożono jego prochy<sup>22</sup>, ponieważ była to najpiękniejsza i najmiłsza okolica, na której kiedykolwiek spoczął jego wzrok. A ile poranków i wieczorów spędziłem później, siedząc u stóp pięknych kasztanów w niewielkiej dolinie Charmettes, gdzie pociągało mnie wspomnienie Jana Jakuba Rousseau<sup>23</sup> i upodobanie do jego uczuć, jego marzeń, jego nieszczęść i geniuszu! Podobnie było z wielu innymi pisarzami lub wielkimi ludźmi, których imiona lub dzieła stały mi się bliskie. Chciałem ich zgłębiać, poznawać tam, gdzie przyszli na świat lub skąd wzięli natchnienie; prawie zawsze przenikliwy rzut oka odkrywa jakąś tajemną i głęboką współzależność między rodzinną ziemią i jej wielkim synem, między sceną i autorem, między przyrodą i geniuszem, który się pod jej wpływem ukształtował i został nią natchniony. Ale okolica, którą zwiedzałem, nie była ulubioną siedzibą jakiegoś wielkiego człowieka czy wielkiego poety; tę ziemską siedzibę obrał Arcyczłowiek, Człowiek Boży, natura, ruch i cnota uczynione Ciałem, Bóstwo wcielone; przybyłem tu, aby uwielbić Jego ślady na tych brzegach, gdzie zostawił ich najwięcej, na tych wodach, które Go unosiły, na tych wzgórzach, gdzie siadywał, na tych kamieniach, na których spoczywała Jego głowa. On widział swoimi śmiertelnymi oczyma to morze, te fale, te wzgórza, te kamienie, a raczej to morze, te wzgórza, te kamienie Jego widziały; stokrotnie dotykał Swoimi stopami tej drogi, po której szedłem z nabożnym szacunkiem; Jego stopy wzbijały ów kurz, który unosi się spod moich stóp; przez trzy lata Swojego boskiego posłannictwa ustawicznie chodził i wracał z Nazaretu do Tyberiady, z Jerozolimy do Tyberiady; pływał łodziami rybackimi po Morzu Galilejskim, uspokajał jego burzę, wstępował na jego fale, podając dłoń swojemu apostołowi, podobnie jak ja, małej wiary<sup>24</sup>, ową dłoń Niebios, której w groźnych burzach poglądów i myśli bardziej niż on potrzebuję.

Wielki i tajemniczy dramat Ewangelii prawie cały rozegrał się nad tym jeziorem, na jego brzegach i na górach, które je otaczają i widzą. Oto Emaus, gdzie trafem wybrał Swoich uczniów spośród najwykleszych z ludzi, aby udowodnić, że moc Jego nauki jest w samej nauce, a nie w słabych jej narzędziach.<sup>25</sup> Oto Ty-beriada, gdzie ukazał się świętemu Piotrowi i trzema słowami u-stalił na wieki hierarchię Swojego Kościoła.<sup>26</sup> Oto Kafarnaum, oto góra, gdzie wygłosił wspańiałe Kazanie na Górze; oto góra, gdzie

## PODROŻ Z BEJRUTU DO JEROZOLIMY

zwiastował nową niebiańską szczęśliwość; oto góra, gdzie zawołał: „Misereor super turbam!”\*<sup>27</sup>, i pomnożył chleb i ryby, tak jak Jego słowo zaszczepia i pomnaża życie duszy; oto przystań cudownego połowu; oto cała Ewangelia z jej wzruszającymi przypowieściami, z jej tklivymi, cudownymi obrazami, które ukazują się nam w takiej postaci, w jakiej ukazywały się słuchaczom boskiego Nauczyciela, kiedy palcem wskazywał im baranka, owczarnię, dobrego pasterza, lilię dolin<sup>28</sup>; oto wreszcie ta kraina, którą Chrystus przeniósł nad inne na tej ziemi, którą wybrał, aby uczynić z niej widownię Swojego tajemniczego dramatu, gdzie przez trzydzieści lat Swojego ukrytego życia miał, jak człowiek, rodziców i przyjaciół; oto kraina, gdzie przyroda, której klucz posiadał, ukazywała mu się w najpowabniejszych obrazach; oto góry, z których, jak my, spoglądał na wschody i zachody słońca, co tak szybko odmierzały Jego dni śmiertelne; to tu właśnie przybywał, aby wyczczać, rozmyślać, modlić się, kochać ludzi i Boga.

\* Żal mi tego tłumy.

## Syria. Galilea.

15 października 1832.

Morze Galilejskie, około pół mili szerokie, u swojego południowego krańca, gdzieśmy się zbliżyli do jego brzegów, zrazu nieznacznie się rozszerza aż do wysokości Emaus<sup>1</sup> położonego na końcu przylądka zasłaniającego przed nami Tyberiade; potem góry, które je zamykają — otwierają się nagle, ukazując z obu stron równoległe zatoki, i tworzą ogromną, niemal okrągłą kotlinę, w której jezioro się rozpościera na obszarze mającym dwanaście do piętnastu mil obwodu. Kształt tej kotliny nie jest regularny, góry nie wszędzie sięgają jeziora, lecz wznosząc się w pewnej odległości od brzegu, zostawiają miejsce niewielkiej równinie, niskiej, urodzajnej i zielonej jak równiny Genezaret, to znów rozdzielają się, a wtedy błękitne wody tworzą głębokie, osłonięte ich cieniem zatoki. Najbieglejszy malarz nie nakreśliłby zarysów bardziej krągłych, miękkich i urozmaiconych od tych, jakie dłoń Stwórcy nadała tym wodom i górcom, przygotowując jak gdyby krajobraz ewangeliczny, na którego tle miało się wypełnić dzieło łaski, pokoju, jedności i miłości. Na wschodzie, począwszy od wierzchołków Gilboa, niewyraźnie rysujących się od strony południowej, aż do szczytów Libanu widocznych od północy, ciągnie się zwarty, ale fałdzisty i wygięty łańcuch gór, którego ciemne ogniwa zdają się czasem bliskie pęknięcia, a nawet tu i ówdzie rozpadają się, ukazując skrawek nieba. Wierzchołki tych gór nie są zakończone zaostrozonymi przez burze iglicami czy też skałami, które przeciwstawiają swoje stępione ostrza piorunom i wiatrom, sprawiając, że owe wysokie łańcuchy przypominają jakieś okropne stare zwaliska, co uwznioślają myśl, a zarazem zasmucają serce. Góry te z wolna przechodzą w szersze lub węższe grzbiety, mniej lub bardziej strome, porośnięte kilkoma stojącymi od siebie w pewnej odległości dębami lub zieleniejącymi krzewami, albo są okryte nagą, ale żyzną glebą, na której widać jeszcze ślady jakichś upraw, czy też jedynie blaskiem wieczoru lub poranku, co ślizga się po ich powierzchni, nadając jej jasnożółtą barwę lub błękitny i fioletowy odcień o takim przepychu, że nie zdołałby go

oddać żaden pędzel. Ich zbocza, choć przecięte większymi dolinami, nie stanowią jakiegoś jednolitego szańca; w rozmaitych od siebie odstępach widnieją w nich głębokie, rozległe wyrwy, jak gdyby góry popękały pod swoim własnym ciężarem, a naturalna gra światła i cienia sprawia, że owe wyrwy tworzą jasne albo częściej ciemne plamy, które przyciągają wzrok i przerywają jednostajność zarysów i barwy. Nieco niżej góry uginają się jedne pod drugimi, a wybiegające od nich tu i ówdzie w głąb jeziora wzgórza lub zaokrąglone pagórki stanowią łagodne, spokojne przejście między ich wierzchołkami i wodą, która je odbija. Od wschodu prawie nigdzie spod bujnej roślinności, która ją okrywa, nie pojawia się naga skała, toteż w tej Arkadii judejskiej widok żyznej ziemi, obfitującej w różnorodne plony, łączy się zawsze z majestatem i powagą górzystych okolic. O, gdyby rosa Hermonu<sup>2</sup> skrapiała jeszcze jej łono!

U kresu jeziora, ku północy, ów łańcuch gór oddala się i zniża; widać z daleka równinę, która niknie pośród fal, a na końcu tej równiny białe zwały piany, które jak gdyby staczają się w morze z dość znacznej wysokości. To Jordan, który tam wpada do jeziora, przecina je, nie mieszając z nim swoich wód, i spokojny, milczący, czysty, wypływa z niego w miejscu, gdzieśmy go opisali. Cały ten północny kraniec Morza Galilejskiego jest obrzeżony smugą pól, jak się zdaje, uprawnych; jeszcze można dostrzec żółtą ściernę po ostatnich zbiorach i rozległe łąny sitowia, które Arabowie hodują wszędzie tam, gdzie tylko jest jakieś źródło, co by je nawodniło. Opisałem już wznoszące się od zachodu pasmo pagórków wulkanicznych, po których jechaliśmy od świtu. Ciągną się jednostajnie aż do Tyberiady. Znieruchomiałe lawiny czarnych kamieni, wyzioniętych z rozwartych jeszcze paszczy stu wygasłych stożków wulkanicznych, przecinają co chwila urwiste stoki tego smętnego, posępnego łańcucha. Drogę tę urozmaicały nam tylko dziwaczne kształty i niezwykle barwy rozrzuconych dokoła wysokich grzbietów stwardniałej lawy, szczątki murów, bramy zburzonych miast i leżące na ziemi kolumny, między którymi coraz to stapały nasze konie. Można by rzec, że brzegi Morza Galilejskiego z tej strony Judei stanowiły jak gdyby jedno miasto. Owe wciąż ciągnące się przed nami zwaliska, liczne miasta i okazałość budowli, o której świadczyły ich potrzaskane odłamki, przypominały mi drogę wiodącą u stóp Wezuwiusza od Castellammare do Portici. Podobnie jak tam mogło się wydawać, że na brzegach jeziora Genezaret widniały miasta, a nie zboża czy lasy. Po dwugodzinnej jeździe dotarliśmy na skraj

wcinającego się w jezioro przylądka i nagle ukazała się przed nami Tyberiada niby żywa, wspaniała zjawia dwutysiącletniego miasta. Stoi ono na zboczu czarnego, nagiego wzgórza, które stromo opada ku jezioru. Otacza je wysoki kwadratowy mur z piętnastoma czy dwudziestoma blankowanymi wieżami. Ponad ten mur i wieże wznoszą się tylko szczyty dwóch białych minaretów, a reszta miasta jak gdyby kryje się przed Arabami pod osłoną dużych, wysokich murów, ukazując jedynie niskie, jednolite sklepienie szarych dachów, podobnych do odciętej skorupy żółwia.

Urządziliśmy postój w Emaus, w łaźni tureckiej, zasilanej źródłami mineralnymi. Widać tylko kopułę otoczoną wspaniałymi szczątkami łaźni rzymskiej lub żydowskiej. Zatrzymaliśmy się w sali łaźiebnej. Basen napełniony wodą bieżącą o temperaturze stu stopni Fahrenheita. Kąpiel. Godzina snu. Znowu w drodze. Burza nad jeziorem, którą ogromnie chciałem widzieć. Woda zielona jak otaczające ją sitowie. Piana przezroczysta i lśniąca. Fale dość wysokie i szybkie. Donośny szum wody toczącej głazy wulkaniczne, ale nie ma bark w niebezpieczeństwie, w ogóle ich nie widać. Ani jednej nie było na jeziorze.

Przybywszy do Tyberiady podczas nawałnicy i deszczu z południa, schroniliśmy się w kościele katolickim. Kazałem rozniecić ogień w opustoszałym kościele, pierwszej świątyni chrześcijaństwa.<sup>3</sup>

Sama Tyberiada nie zasługuje nawet na pobieżny rzut oka: błotnista zbieranina kilkuset domów, podobnych do chat arabskich, ulepionych z błota i słomy. Wielu polskich i niemieckich Żydów wita nas po włosku i po niemiecku; ludzie ci u schyłku swoich dni, oczekując już tylko niepewnej godziny śmierci, przybywają do Tyberiady, aby spędzić ostatnie chwile nad brzegiem swojego jeziora w samym sercu ukochanego kraju, a wreszcie umrzeć pod słońcem własnej ziemi i być w niej pochowanym jak Abraham i Jakub. Spać w łóżu swoich ojców! Dowód to nie dającej się ugasić miłości ojczyzny. Na próżno by temu przeczyć: istnieją nierozzerwalne związki, istotne powinowactwo między człowiekiem i ziemią, z której był stworzony, z której powstał. Godnie to i słodko oddać jej tę garść prochu, którą się na tak krótko z niej wzięło. O Boże, dozwól, abym także spał w ziemi moich ojców obok ich prochów!

Po dziewięciu godzinach jazdy bez odpoczynku dotarliśmy do Nazaretu przez Kanę, miejsce pierwszego cudu Zbawiciela. Piękna wioska turecka na dwóch urodzajnych stokach żyznej kotliny, otoczonej wzgórkami, które porastają nopale, dęby i drzewa oliw-

ne. Dokoła granaty, trzy palmy i figi. Kobiety i stada otaczają koryta przy źródle. We wsi dom świętego Bartłomieja Apostoła.<sup>4</sup> Obok niego dom, gdzie Chrystus przemienił wodę w wino<sup>5</sup>, zrujnowany i bez dachu. Zakonnicy pokazują jeszcze stągwie, które mieściły cudowne wino. Wszystko to są zwykłe opowieści, którymi mnisi wszędzie upiększają prostą, a tak bogatą materię tradycji religijnych.

Odpocząwszy i ugasiwszy pragnienie u studni w Kanie, przy świetle księżycy udaliśmy się w dalszą drogę do Nazaretu. Przebywszy kilka równin dosyć dobrze uprawionych, potem rząd lesistych pagórków, które im bliżej Nazaretu, tym są wyższe, po trzech i pół godzinach jazdy przybyliśmy do wrót klasztoru w Nazarecie, gdzie znowu nas przyjęto.

Po przebudzeniu zdziwiło mnie powitanie w języku włoskim: był to dawny wicekonsul francuski w Akce, pan Cattafago, człowiek powszechnie znany i bardzo wpływowy w całej Syrii, gdzie tytuł ajenta Europejczyków, przyjaźń z Abdallą, paszą Akki, handel i bogactwo uczyniły go sławnym i potężnym. Jeszcze pełni obowiązki konsula austriackiego w Akce. Jego ubiór odpowiadał dwoistej naturze Araba i Europejczyka. Miał na sobie płaszcz czerwony podbity gronostajami i ogromny trójgraniasty kapelusz, wyróżniający agentów francuskich na Wschodzie; kapelusz ten sięga czasów wojny z Egiptem; jest to starannie przechowywana spuścizna po jakimś jenerale brygady z czasów Bonapartego, używa się go tylko z okazji urzędowych, na posłuchaniach u paszy albo kiedy się tu zjawia jakiś Europejczyk. Pan Cattafago był to niski staruszek o bystrym, energicznym i przenikliwym obliczu Araba; jego wzrok, pełen ognia złagodzonego życzliwością i uprzejmością, nadawał mu wyraz wielkiej inteligencji. Od pierwszego wejrzenia można było zrozumieć, dlaczego ten człowiek mógł wywierać wpływ na Arabów i na Turków, którym z natury brak owej energii lśniącej w oczach i przejawiającej się w ruchach i gestach pana Cattafago. Trzymał w ręce plik listów do mnie, odebranych właśnie z Syrii przez posłańca Ibrahima Paszy, i mnóstwo dzienników francuskich, które sam otrzymuje. Słusznie mniemał, że francuski podróżnik, który pośrodku pustyni, o pięćset mil od ojczyzny, otrzyma niespodzianie świeże wiadomości z Europy, będzie tym zdumiony i zachwycony. Przeczytałem listy, które zawsze przejmują mnie niepokojem o zdrowie Julii. Pan Cattafago wyszedł, prosząc, abym przyszedł na śniadanie do pawilonu, który wystawił w Nazarecie i gdzie spędzał upalne dni lata; zacząłem przeglądać dzienniki. W jednym

z nich ujrzałem moje nazwisko; był to felieton „Journal des Débats”, w którym przytaczano mój wiersz do Waltera Scotta pisany przy wyjeździe z Francji.<sup>6</sup> Wzrok mój padł na te słowa, których smutne i pełne niepokoju znaczenie tak licowało z miejscem, dokąd los mnie posłał, miejscem największych przemian ducha ludzkiego, gdzie duch Boży tak potężnie wstrząsnął ludźmi, a odnowicielska myśl chrześcijaństwa wzbijała się do lotu nad światem, podobnie jak inna idea, również córka chrześcijaństwa, uderzała o drugi brzeg tych mórz, z którego powracały do mnie moje własne słowa.<sup>7</sup> Odczytałem je, jakby napisał je kto inny, tak do cna bowiem wygasły w mojej pamięci; przejęło mnie na nowo to uczucie, co mnie kiedyś natchnęło do ich napisania, u-czucie tego ogólnego wstrząsu wszystkich rzeczy, tego szału, tego powszechnego olśnienia umysłu ludzkiego, który biegnie zbyt prędko, aby mógł sam sobie ów bieg wytłumaczyć, ale przeczuwa cel nowy, nieznany, do którego Bóg prowadzi go trudną, przepaścistą drogą katastrof społecznych. Podziwiałem przy tym tę zadziwiającą władzę przenoszenia myśli ludzkiej, jaką ma druk i dziennikarstwo, które sprawiło, że myśl, co mi przyszła do głowy przed pół rokiem gdzieś w lesie w Saint-Point, odnajduje mnie tu znowu, niczym córka szukająca ojca, i każe starym echom rozbrzmiewającym pośród skał Nazaretu odbijać dźwięki nowego, a już powszechnego języka.

20 października 1832.

Śniadanie w pawilonie pana Cattafago z jednym z jego braci i kilkoma Arabami. Zwiedzałem znowu okolice Nazaretu; oglądałem w górach kamień, na którym, według podania, Jezus posilał się z pierwszymi uczniami.<sup>8</sup> Pan Cattafago wręczył mi listy polecające do Akki i do musselina Jerozolimy.

21 [października] o szóstej rano wyjeżdżamy z Nazaretu. Wszyscy ojcowie, Hiszpanie i Włosi, zgromadzeni na dziedzińcu klasztornym, tłoczą się około naszych koni; jedni nas błogosławią, drudzy ofiarują świeżą żywność, wyborny chleb, upieczony w nocy, oliwki i czekoladę hiszpańską.<sup>9</sup> Dałem pięćset piastrow przeporowi, chcąc opłacić tym jego gościnność. Nie przeszkodziło to kilku młodym ojcom, Hiszpanom, by po cichu poprosić mnie i otrzymać ukradkiem kilka garści piastrow, za które mogli kupić sobie trochę tytoniu i innych drobiazgów, urozmaicających nie co ich osamotnienie. Podróżnicy odmalowywali klasztory Ziemi Świętej w sposób powieściowy i fałszywy. Kiedy patrzeć na nie

z bliska, nic w nich nie ma szczególnie poetycznego czy religijnego. Wielka i wspaniała jest ich myśl. Oto ludzie odrywają się od rozkoszy cywilizacji Zachodu, aby narazić własne życie lub wieść je, pełne wyrzeczeń i męczeństwa, pośród prześladowców ich religii, w tych właśnie okolicach, które uświęciły tajemnice ich wiary. Poszczą, czuwają, modlą się pośród bluźnierstw Turków i Arabów, aby bodaj słaby dym chrześcijańskiego kadzidła unosił się sponad każdego miejsca, gdzie zrodziło się chrześcijaństwo. Są strażnikami żłobka i Grobu Świętego; anioł Sądu Ostatecznego ich tylko znajdzie na tym miejscu, podobnie jak owe święte kobiety, które czuwały i płakały u pustego grobu. Wszystko to w zamyśle jest piękne i wzniosłe; ale w istocie z całej tej wielkości nic nie zostaje. Nie ma prześladowań i nie ma już męczeństwa; jak okiem sięgnąć, mieszkająca wokół tych hospicjów ludność chrześcijańska jest gotowa na rozkazy i chętna do posługi zakonnikom. Turcy wcale ich nie niepokoją, przeciwnie, chronią ich. Najbardziej to tolerancyjny spośród narodów i najlepiej pojmuje wartość wszelkiej wiary i modlitwy bez względu na język i formę, w jakich się wyrażają. Nienawidzi jedynie bezbożnictwa, uważając, nie bez słuszności, że świadczy ono o upadku ludzkiej inteligencji i większą stanowi zniewagę dla człowieczeństwa niż dla istoty tak oczywistej jak Bóg. Klasztory te znajdują się w dodatku pod budzącą respekt i niezawodną opieką mocarstw chrześcijańskich, reprezentowanych przez ich konsulów. Po o-trzymaniu skargi od przeora konsul pisze do paszy, który natychmiast czyni zadość sprawiedliwości. Zakonnicy, których widziałem w Ziemi Świętej, nie tylko nie wyglądali jak męczennicy, którym to tytułem zwykle się ich szanowano, lecz sprawiali wrażenie jak najszcześliwszych, jak najbardziej szanowanych i cieszących się posłuchem mieszkańców tych okolic. Żyją w czymś w rodzaju warowni przypominających nasze zamki średniowieczne; ich siedziby są nietykalne, otoczone murami i zamknięte bramami z żelaza. Bramy te otwierają się jedynie dla okolicznej ludności katolickiej, która przybywa tu, aby uczestniczyć w nabożeństwach, słuchać pobożnych nauk i składać ofiarę ołtarza jako wyraz szacunku i oddania względem zakonników. Gdy w towarzystwie któregoś z ojców pojawiałem się na ulicach jakiegokolwiek z miast syryjskich, nie zdarzyło się, by dzieci i kobiety nie podchodziły, nie pochylały się ku dłoni kapłana, nie całowały jej lub kraju jego sutanny. Nawet Turcy, którym przez myśl nie przeszło, by ich znieważać, zdawali się dzielić ów powszechny szacunek, jaki budziło pojawienie się zakonników.



Kimże jednak są owi zakonnicy? Są to przeważnie chłopci hiszpańscy lub włoscy, którzy za młodu wstąpili do zakonu w swoich krajach, a znużeni życiem w klasztorach, chcąc je sobie urozmaicić choćby widokiem jakichś nowych krain, prosili, aby ich posłano do Ziemi Świętej. Ich pobyt w domach zakonnych założonych na Wschodzie trwa przeważnie dwa lub trzy lata. Potem statek ich zabiera i przywozi nowych. Ci, co nauczyli się arabskiego i poświęcili się posłudze duchownej dla miejskiej ludności katolickiej, zostają dłużej i nieraz spędzają tu całe życie. Ich zajęcia i egzystencja nie różnią się od zajęć i egzystencji naszych proboszczów wiejskich, ale otacza ich większy szacunek i oddanie. Inni pozostają w obrębie domów zakonnych lub jako pielgrzymi wędrują od klasztoru do klasztoru, przebywając to w Nazarecie, to w Betlejem, to znów w Rzymie [!], w Jaffie lub w klasztorze Świętego Jana na pustyni. Jedynym ich zajęciem jest służba Boża i przechadzka w ogrodach lub na tarasach klasztornych. Nie mają ksiązek, nie prowadzą żadnych studiów, nie pełnią żadnych użytecznych czynności. Nuda ich pożera, po klasztorach mnożą się intrygi; Hiszpanie obmawiają Włochów, Włosi — Hiszpanów. To, co mówili jedni o drugich zakonnicy w Nazarecie, bynajmniej nie posłużyło naszemu zbudowaniu. Nie znalazłem pośród nich nikogo, z kim można by rozsądnie porozmawiać choćby na te tematy, które z racji ich powołania powinny by być im dobrze znane. Brak im było całkowicie znajomości dziejów świętych, ojców Kościoła i historii okolic, w których przebywali. Wszystko ograniczało się do kilku błahych ludowych podań, które bezkrytycznie powtarzali jeden drugiemu i przekazywali podróżnikom w tej wersji, w jakiej je usłyszeli od ciemnych, przesądnych Arabów chrześcijan tutaj mieszkających. Wszyscy wzdychali do chwili, gdy wreszcie doczekają powrotu do Włoch lub Hiszpanii, nie wynosząc stąd nic ani dla siebie, ani dla wiary. Zresztą spichlerze klasztorne są wypełnione po brzegi, piwnice mieszczą najwybomiesze wina, jakie rodzi ta ziemia. Oni tylko potrafią je wytwarzać. Co dwa lata przybywa z Hiszpanii statek i przywozi ojcu przeorowi pewną kwotę, którą mu przesyłają mocarstwa katolickie, Hiszpania, Portugalia i Włochy. Suma ta, pomnożona pobożnymi ofiarami chrześcijan z Egiptu, Grecji, Konstantynopola i Syrii, wynosi, jak powiadają, trzysta do czterechset tysięcy franków. Dzieli się ją pomiędzy rozmaite klasztory według liczby zakonników i potrzeb wspólnoty. Budowle są u-trzymane należycie i w domach, które odwiedziłem, wszystko świadczy o zamożności, a nawet o stosunkowym bogactwie.

W tych domach zakonnych Ziemi Świętej nie byłem świadkiem jakiegokolwiek zgorzenia. Ignorancja, beczynność i nuda, oto trzy plagi, które należałoby i można by usunąć.

Ci ludzie wydali mi się prości i szczerze, choć fanatycznie wierzący. Kilku z nich w Nazarecie sprawiło na mnie nawet wrażenie prawdziwie świętych, ich dusze są przepojone najżarliwszą wiarą i najczynniejszą miłością bliźniego; pokorni, łagodni, cierpliwi, dobrowolni służy swoich braci i cudzoziemców. Ich twarze, tchnące pokojem i słodyczą, unoszę z sobą w pamięci, a wspomnienie ich gościnności w sercu. Znam ich nazwiska, lecz oni nie dbają o to, czy ich nazwiska będą obiegały świat, pragną tylko, aby znało je Niebo, aby ich cnoty pozostały ukryte w cieniu klasztornym, gdzie je ukrywać jest dla nich jedyną radością.

Tegoż dnia.

Wyjchawszy z Nazaretu, ruszyliśmy dalej stokiem góry okrytej nopalami i drzewami figowymi. Z lewej strony otwiera się zielona cieniasta dolina; piękny dom wiejski, przypominający wyglądem nasze domy europejskie, stoi samotnie na jej zboczu. Należy on do arabskiego kupca z Akki. Europejczycy w okolicach Nazaretu są najzupełniej bezpieczni, ludność, prawie cała chrześcijańska, jest na ich usługi. Po dwu godzinach jazdy dotarliśmy do niewielkich dolin, wijących się wdzięcznie między wzgórkami porośniętymi pięknymi lasami zielonych dębów, które dzielą równinę Haify od Nazaretu i od pustyni góry Tabor. Karmel, wysoki grzbiet górski, co bierze swój początek nad Jordanem, a kończy się pionowo nad morzem, zaczyna zarysowywać się po naszej lewej stronie. Ciemnozielony jego kontur uwydatnia się na ciemno-błękitnym niebie, mieniąc się w rozgrzanym, mglistym powietrzu niby kłęb pary dobywającej się z pieca. Urwiste stoki tych gór pokrywa dorodna, obfita roślinność. Wszystko zarastają krzewy, spośród których tu i ówdzie wznoszą się korony dębów; szare skały, którym natura nadała dziwaczne olbrzymie kształty, przedzierają się niekiedy przez tę zielen i odbijają jaskrawe promienie słońca. Taki widok mieliśmy po lewej stronie, jak daleko oko sięgnąć mogło, a doliny, którymi jechaliśmy, zniżały się z wolna i zaczynały się otwierać na piękną równinę Haify.

Wdzieraliśmy się na ostatnie wzgórze, które nas od niej dzieliły, i tylko dlatego znikła nam na chwilę z oczu, aby wkrótce ukazać się znowu. Te wzgórze między Palestyną i Syrią nadmorską stanowią krajobraz najbardziej wdzięczny, a zarazem najbardziej uroczy, jaki nam było dane kiedykolwiek oglądać. Ogro-

mne lasy dębowe tworzą gdzieś rozległe polany, porośnięte murawą tak miękką jak na naszych łąkach na Zachodzie; poza nimi szczyt Taboru wznosi się na olśniewającym niebie jak wspaniały ołtarz, zwieńczony zielonymi girlandami; nieco dalej kontury błękitnego wierzchołka gór Gilboa i pagórków Samarii drżą na rozległym widnokręgu. Na jedną stronę tej scenerii Karmel rzuca wielkie zwoje swojej ciemnej zasłony, a wzrok, zwracając się jej śladem, pada wreszcie na morze, które stanowi kres tego widoku, jak niebo na pięknych pejzażach. Ileż okolic obierałem tam sobie w myśli, rojąc, że zbuduję w nich dom, rolniczą twierdzę, i założę osadę z kilkoma przyjaciółmi z Europy i z kilkuset młodzieży pozbawionej wszelkiej przyszłości w naszych przeludnionych krajach. Piękno tych miejsc, piękno nieba, niezwykle u-rodzajna gleba, różnorodność płodów podzwrotnikowych, które tam można uprawiać, łatwość zdobycia robotników za małą opłatą, sąsiedztwo dwóch rozległych, żyznych, nawodnionych i nieuprawianych równin, bliskość morza do wywozu produktów, łatwy sposób zabezpieczenia się przeciw Arabom nadjordańskim przez wzniesienie lekkich umocnień u wejścia do wąwozu między wzgórzami, wszystko to skłaniało mnie, aby obrąć tę część Syrii na zamierzone przeze mnie założenie osady rolniczej i cywilizacyjnej.<sup>10</sup>

Tegoż dnia wieczorem.

W południe zaskoczyła nas burza; mało widziałem tak okropnych. Chmury jak wieże wznosiły się pionowo nad Karmelem, wkrótce okryły cały jego grzbiet, a góra, przed chwilą tak pogodna i jasna, z wolna pogrążyła się w odmęty ciemności przecinane tu i ówdzie smugami ognia. Cały widnokrąg zniżył się w kilka chwil i ścieśnił nad nami. Odgłosy grzmotów wcale nie rozlegały się przeciągle; był to jednolity, nieprzerwany, przeraźliwy huk, przypominający łoskot fal bijących o brzeg podczas gwałtownej burzy nad morzem; błyskawice spływały jak potoki ognia z nieba na czarne stoki Karmelu; dęby na górach i na wzgórzach, na których jeszcze znajdowaliśmy się, gięły się jak trzciny; wiatr wypadający z wąwozów i z grot byłby nas przewrócił, gdybyśmy nie posiadali z koni i nie znaleźli jakiego takiego schronienia za jakąś skalną ścianą, w łóżysku wyschniętego potoku. Suche liście, porwane burzą, unosiły się nad naszymi głowami jak obłoki, a gałęzie sypały się dokoła. Przypomniałem sobie Biblię i cuda Eliasza, proroka zagłady, na jego górze: grota jego była niedaleko.<sup>11</sup>

Burza trwała ledwie pół godziny. Piliśmy wodę deszczową, zbieraną z pilśniowych derek naszych koni. Po chwilowym wypoczynku, prawie w połowie drogi z Nazaretu do Haify, ruszyliśmy dalej wzdłuż wznoszącego się z lewej strony podnóża Karmelu, mając z prawa rozległą równinę przeciętą rzeką. Karmel, wzdłuż którego jechaliśmy blisko cztery godziny, wszędzie przedstawiał widok poważny i uroczysty. Jest to olbrzymia, niemal pionowa ściana, porośnięta grubą warstwą krzewów i wonnych ziół. Nigdzie nie widać tam nagiej skały; kilka brył, oderwanych od grzbietu, zsunęło się aż na równinę. Są to jak gdyby warownie dane przez naturę jako ochrona dla wiosek arabskich rolników. Jedną tylko taką wioskę napotkaliśmy na jakie dwie godziny wcześniej, nim ujrzelśmy Haifę. Chaty w niej były niskie, bez okien, z wierzchu pokryte warstwą ubitej ziemi zabezpieczającą je od deszczu. Na tej warstwie Arabowie stawiają jak gdyby piętro z zielonych liściastych gałęzi, podtrzymywanych przez pnie, i tam mieszkają całe lato. Na tych tarasach było pełno mężczyzn i kobiet, którzy nam się przypatrywali i obrzucali głośnymi wyzwiskami. Wygląd tych ludzi świadczył o ich krwiożerczości, nikt z nich jednak nie ośmielił się zejść z pagórka, aby obrazić nas z bliska.

O siódmej zbliżyliśmy się do Haify, której kopuły, minarety i białe mury tworzą, jak we wszystkich miastach wschodnich, widok z odległości okazały i wesoły. Haifa wznosi się u stóp Karmelu, na białej, piaszczystej równinie nad brzegiem morza. Stanowi jeden koniec łuku, którego Akka jest końcem drugim. Rozdziela je zatoka szerokości dwóch mil: ta zatoka tworzy jedno z najcudowniejszych wybrzeży morskich, na jakich kiedykolwiek spoczęło oko marynarza, Akka ze swoimi fortyfikacjami poszczerbionymi od dział Ibrahima Paszy i Napoleona, z podziurawioną na wskroś kopułą pięknego zburzonego meczetu<sup>12</sup>, z żaglowcami wpływającymi do jej portu i z niego wypływającymi, stanowi jedno z miejsc najważniejszych i najbardziej wstawionych wojną<sup>13</sup>; w głębi zatoki rozległa, uprawna równina, Karmel rzucający na nią swój ogromny cień, dalej Haifa, niby siostra Akki, zajmująca przeciwległy brzeg zatoki i wchodząca w morze swoją niewielką groblą, za którą kołysz się kilka brygów arabskich. Ponad Haifą las wielkich drzew oliwnych, a jeszcze wyżej droga wykuta w skale, wiodąca na szczyt przylądka Karmelu zwieńczony dwiema wielkimi budowlami: jedna to pałac letni Abdalli, paszy Akki, druga — klasztor karmelitański, świeżo odbudowany z jałmużny chrześcijan<sup>14</sup>, a nad nim trójkolorowa chorągiew, któ-

ra zwiastuje nam schronienie i opiekę Francuzów; poniżej klasztoru ogromne grotty wyżłobione w granicie: są to owe sławne grotty proroków.<sup>15</sup> Oto krajobraz, który ujrzeliśmy, wjeżdżając w wąskie, okryte kurzem ulice Haify. Zdumieni mieszkańcy z trwogą patrzyli na przejazd naszego długiego orszaku. Nie znaleźliśmy nikogo, nie wiedzieliśmy, gdzie możemy się zatrzymać ani kogo prosić o gościnę. Przypadek sprawił, że spotkaliśmy pewnego młodego Piemontczyka, który pełnił obowiązki wicekonsula w Hai-fie od czasu zdobycia i zburzenia Akki.<sup>16</sup> Pan Bianco, konsul sardyński w Syrii, bez naszej wiedzy napisał do niego, prosząc, aby nas przyjął, gdybyśmy przejeżdżali przez Haifę. Podszedł więc do nas, zapytał o nazwiska i zaprowadził do drzwi małego zrujnowanego domu, w którym mieszkał z matką i dwiema młodymi siostrami. Zostawiwszy nasze konie i naszych Arabów nad brzegiem morza, blisko miasta, poszliśmy do pana Malagamba: tak się nazywał ów młody, uprzejmy wicekonsul, jedyny Europejczyk pozostały na tym opustoszałym pobojuwisku od czasu zupełnego zniszczenia Akki przez Egipcjan.

Niewielki dziedziniec, drewniane schody prowadzące na mały taras, przykryty liśćmi palmowymi; za tym tarasem dwie puste izby z biegnącymi wzdłuż ścian sofami, jedynym sprzętem niezbędnym na Wschodzie zarówno w domu bogacza, jak biedaka, kilka doniczek z kwiatami na tarasie, klatka z pięknymi siwymi gołębiami, które karmiły siostry pana Malagamba, wzdłuż ścian półeczki, na których starannie ustawione widać było filiżanki, fajki, kieliszki, srebrne kadzielniczki i wyrabiane w Betlejem krucyfiksy z drzewa nabijanego macicą perłową; było to całe u-meblowanie tego biednego domku, w którym osamotniona rodzina za tysiąc piastrow płacy (około trzystu franków) reprezentuje jedno z mocarstw naszej Europy.

Matka pana Malagamba przyjęła nas z ceremoniami zwykłymi w tym kraju. Podała nam perfumy i wody pachnące, a zaledwie usiedliśmy na sofie, ocierając pot z czoła, jej córki, dwa istic niebiańskie zjawiska, wyszły z przyległej izby i podały nam chłodny wywar z kwiatu pomarańczowego i konfitury na tacach z chińskiej porcelany. Piękno ma tak wielką władzę nad nami, że choć doskwierało nam pragnienie i byliśmy strudzeni dwunasto-godziną jazdą, bylibyśmy stali w niemym podziwieniu, patrząc na te dwie młode dziewczyny i nie podnosząc szklanek do ust, gdyby matka swoim naleganiem nie zmusiła nas, abyśmy wzięli to, co nam podawały jej córki. Był w tym cały Wschód, taki, jaki sobie wymarzyłem w młodych latach, gdy wyobraźnię wypełnia-

ły mi urocze obrazy, snute przez jego opowiadaczy i poetów. Jedno dziewczę było jeszcze dzieckiem; stanowiła jak gdyby wdzięczne uzupełnienie siostry, jak owe obrazy, które nawzajem odbijają się w sobie. Dziewczęta, dopełniwszy wszelkich wymagań najprostszej, a zarazem najpoetyczniejszej gościnności, usiadły obok matki naprzeciw nas na sofie. Chciałbym taki właśnie obraz namalować słowami, aby go zachować w tych opisach takim, jak go widzę w mojej myśli; ale choć potrafimy odczuć piękno we wszystkich jego odcieniach, w całej jego delikatności i tajemniczości, na to, by wyrazić, czym jest piękno, rozporządzamy jedynie niejasnymi i oderwanymi słowami. Tu trzeba przyznać pierwszeństwo malarstwu, które jednym pociągnięciem pędzla potrafi wyrazić i na wieki utrwalić owo urocze wrażenie rysów kobiety, o której poeta może tylko powiedzieć: „Ona jest piękna” — i trzeba mu wierzyć na słowo, ale to słowo nie maluje.

Dziewczę siedziało więc na dywanie, z nogami skrzyżowanymi; wsparta łokciem o kolana matki, z głową nieco odchyłoną, wznosiła modre oczy ku matce z wyrazem naiwnego zdziwienia, które budził w niej nasz widok i mowa, to znów zwracała je na nas z ujmującą ciekawością, a potem mimowolnie opuszczała, skrywając je pod długimi, jedwabistymi, czarnymi rzęsami, gdy tymczasem rumieniec znowu ubarwiał jej lica lub z trudem powstrzymywany, pełen wdzięku uśmiech wykwitał na ustach. Nasz szczególnie ubiór był dla niej czymś nowym, a dziwaczność naszych zwyczajów raz po raz budziła jej zdumienie, którego wyraz dawanymi przez siebie znakami na próżno usiłowała powstrzymać jej matka z obawy, żebyśmy się nie poczuli tym obrażeni; z jej szesnastoletniej twarzyczki mimo woli przebiegały prostota i szczerłość, a dusza jej malowała się w zmieniającym się wyrazie jej rysów z takim wdziękiem, w sposób tak przejrzysty, że można było dostrzec jej myśl, nim sama zdała sobie z niej sprawę. Gra promieni słonecznych, padających poprzez cień na czystą wodę, mniej bywa ruchliwa i mniej przejrzysta niż wyraz jej twarzy. Nie mogliśmy wprost oderwać od niej oczu i sam widok jej rysów, którego nikt z nas nie zapomni, był dla nas odpoczynkiem.

Podobną piękność jak panna Malagamba widzieć można tylko na Wschodzie; kształt jej postaci był doskonały, jak greckiego posągu, dusza wypowiadała się w spojrzeniu jak u mieszkańców Południa, a prostota zachowania, jaką okazywała, była już tylko u-działem ludów pierwotnych. Kiedy te trzy warunki piękności jednoczą się w jednej postaci kobiecej i łączą się harmonijnie na jej

twarzy z pierwszym kwiatem młodości, kiedy myśl pełna marzeń przebija w spojrzeniu i słodkim blaskiem swoich promieni rozświetla oczy, w których można czytać aż do głębi duszy, niewinność bowiem nie ma nic do ukrycia, kiedy delikatność i dziewicza czystość rysów, wykuint i giętkość kształtów zapowiadają oku ową rozkoszną wrażliwość istoty stworzonej do miłości i kiedy dusza i zmysły tak się z sobą splatają, że nie wiemy, czy to jest uczucie, czy uwielbienie — wtedy piękność jest doskonała i na jej widok odczuwamy owo pełne zadowolenie zmysłów i serca, ową harmonię rozkoszy, która nie jest tym, co nazywamy miłością, lecz tym, co jest miłością umysłu, miłością artysty, miłością geniuszu do dzieła doskonałego. Mówimy: „Tu nam dobrze” — i nie możemy ruszyć się z miejsca, gdzie dopiero przed chwilą usiedliśmy całkiem obojętni, piękność bowiem jest światłem dla umysłu i nieprzeparłym powabem dla serca.

Strój wschodni dodawał jej uroku: jej długie złotawe włosy w tysiącnych splotach spadały z obu stron na obnażone ramiona; bezładnie splątane sznury pereł, złotych cekinów, białych i czerwonych kwiatów zdobiły włosy, jak gdyby jakaś dłoń, czerpiąc bez wyboru ze szkatułki pełnej klejnotów, przypadkiem rozwarła się nad jej głową i zsyłała ów deszcz kwiatów i klejnotów; we wszystkim było jej do twarzy: nic nie może oszpecić dziewczyny piętnastoletniej; podług zwyczaju kobiet arabskich pierś miała odsłoniętą; muślinową tunikę, haftowaną w srebrne kwiaty, ujmował w pasie szal; obszerne, rozcięte aż do łokcia rękawy szaty z zielonego sukna, której dwie poły spadały swobodnie na biodra, obejmowały ramiona; szerokie spodnie w tysiąc fałdów uzupełniały ten strój, a dwie srebrne cyzelowane bransolety zdobiły nad kostką jej obnażone nogi. U jednej z tych bransolet wisały małe srebrne dzwoneczki, których dźwięk towarzyszył każdemu jej poruszeniu. Żaden poeta nigdy nie odmalował tak czarownego zjawiska. Hajdea w *Don Juanie* lorda Byrona ma w sobie coś z panny Malagamba<sup>17</sup>, ale daleko jej do owej pełni wdzięku, niewinności, miłego nieładu, rozkosznego omdlenia i jaśniejącej pogody, które widnieją w jeszcze dzieciennych rysach młodego dziewczęcia. Utrwalam ją w swojej pamięci, aby jako wzór czystej piękności i miłości odmalować potem w poemacie, który chciałbym poświęcić moim wrażeniom.

Gdyby był między nami jakiś malarz, to scena podróżna doskonale by się nadała jako pomysł do pięknego obrazu. Nasz ubiór turecki, bogaty i malowniczy, nasza broń przeróżna porozrzucana wokół nas na podłodze, nasze charty leżące u nóg, te trzy po-

staci kobiece siedzące przed nami obyczajem wschodnim na kobiercu z Aleppo, ich postawa pełna prostoty, zdziwienia i nie-dbałości, wyraz ich twarzy, kiedy opowiadałem im o moich podróżach lub kiedy porównywaliśmy nasze europejskie zwyczaje z gościnnością, jaką nam ofiarowały, kadzielnice, które żarzyły się w kącie, napełniając balsamiczną wonią wieczorne powietrze, starożytne kształty naczyń, w których podawano nam sorbety lub aromatyczne napoje — wszystko to w pustej, wychodzącej na morze izbie, do której przez szerokie otwory bez okien wchodziły liście palmy rosnącej na dziedzińcu. Żałuję, że nie mogę tego wspomnienia unieść dla moich przyjaciół, tak jak je unoszę w mojej wyobraźni.

Pani Malagamba jest Greczynką, urodziła się na Cyprze; tam mając lat czternaście, poślubiła pana Malagamba, bogatego kupca cudzoziemca, który był jednocześnie konsulem w Larnace. Nieszczęścia i wstrząsy polityczne zrujnowały pana Malagamba; udał się do Akki, gdzie objął skromne stanowisko ajenta konsularnego i tam zmarł, zostawiając żonę z czworgiem dzieci w zupełnym niedostatku. Syn jego, młodzieniec odznaczający się rzetelnością i inteligencją, był zatrudniany przez kilku konsulów, a wreszcie został agentem konsularnym Sardynii w Haifie. Z tej szczupłej płacy, przywiązanej do owego niepewnego zajęcia, u-trzymuje matkę i siostry.<sup>18</sup> Starsza siostra panny Malagamba, równie piękna jak ta, którą tak podziwialiśmy, zbudziła, jak nam powiedziano, taką namiętność w pewnym młodym zakonniku z Haify, który miał sposobność ujrzeć ją z tarasu klasztornego, że ów młodzieniec uciekł na statku angielskim, przeszedł na protestantyzm, aby móc poślubić swoją wybraną, i próbował wszelkich sposobów, by pod różnymi przebraniami dokonać jej porwania. Przepuszcza się, że przebywa obecnie w ukryciu w którymś z miast na wybrzeżu Syrii, starając się spełnić swoje zamiary; ale władze tureckie czuwają nad bezpieczeństwem tej rodziny i jeśli zakonnicy, którzy mają nad członkami swojego zakonu pełnię jurysdykcji i sprawują ją w sposób surowy i nieugięty, zdołaliby odnaleźć zbiega, ten musiałby w wiecznym zamknięciu odpokutować szaleńcze uczucie zbudzone przez ową nieszczęsną piękność w jego sercu. Nigdy nie ujrzeliśmy owej siostry.

Noc nadchodziła; trzeba było na koniec wyrwać się z uroku tego przyjęcia i szukać noclegu w klasztorze na Karmelu. Pan Malagamba uprzedził ojców o licznych gościach do nich przybywających. Wstaliśmy i dla dopełnienia przyjętych tam zwyczajów musieliśmy pozwolić pani i pannie Malagamba, aby zbli-



żyły swoje usta do naszych rąk, po czym dosiedliśmy koni.

Góra Karmel zaczyna się wznosić o kilka minut od Haify: wjeżdża się na nią dość piękną drogą, wykutą w skale u samego krańca przylądka; z każdą chwilą odsłaniały się przed nami nowe widoki morza, wzgórz Palestyny i brzegów Idumei. W połowie drogi spotkaliśmy jednego z ojców karmelitów, który od czterdziestu lat mieszka w małym domku, służącym jako przytułek dla ubogich z Haify, i dwa razy dziennie wchodzi na górę i schodzi z niej, aby modlić się z braćmi. Uderzyły nas łagodność, pogoda i radość, które jaśniały w jego rysach. Ten wyraz spokojnego, niezmiennego szczęścia napotyka się tylko u ludzi, którzy poświęcili się prostemu, pełnemu trudów i szlachetnemu celowi. Drabina szczęścia jest zstępna; więcej się go znajduje na niższych niż na wyższych szczytach. Bóg jednym udziela w wewnętrznej szczęśliwości tego, co drugim daje w blasku, w nazwisku i dostatkach. Nieraz się o tym przekonałem. Kiedy wchodząc do salonu, widzimy człowieka, którego oblicze promieniuje blaskiem największego zadowolenia, i pytamy o jego nazwisko, okazuje się, że to ktoś nieznanany, biedny i zapomniany od świata. Opatrzność wszędzie się objawia.

U bramy pięknego klasztoru, który dzisiaj całkowicie odbudowany wznosi się, jaśniejąc bielą, na najwyższym wierzchołku Karmelu, oczekiwało nas dwóch ojców. Byli to jedyni mieszkańcy tego rozległego, wspaniałego przybytku zakonnego. Przyjęli nas jak współziomków i przyjaciół. Oddali nam do rozporządzenia trzy celki, a w każdej jedno łóżko, sprzęt rzadki na Wschodzie, krzesło i stół. Nasi Arabowie z końmi rozłożyli się na obszernych dziedzińcach wewnątrz klasztoru. Na wieczercę dano nam świeże ryby i jarzyny, które uprawiają między skałami. Po tyłu trudach spędziliśmy rozkoszny wieczór, siedząc na szerokich gankach, górujących nad morzem i nad grotami proroków. Pogodny blask księżyca lśnił na falach, których szum i chłód dochodziły aż do nas. Przyrzekliśmy sobie, że cały następny dzień zostaniemy w tym schronieniu, aby dać wypocząć koniom i odnowić zapas żywności; czeka nas jazda przez nowe okolice, gdzie nie znajdziemy ani miasta, ani wioski, a tylko rzadko jakieś słodkowodne źródło: przed nami pięciodniowa droga przez pustynię. ,

22 października 1832.

Dzień odpoczynku spędziliśmy w klasztorze na górze Karmel lub na zwiedzaniu jej okolic oraz grot Eliasza i proroków. Główna grotka, niewątpliwie wykuta ręką ludzką w najtwardszej ska-

le, to sala niezwyklej wysokości; widać z niej tylko bezkresne morze i słycać łoskot fal nieustannie bijących o cypel. Podania głoszą, że była tu szkoła, w której Eliasza wykladał nauki tajemne i głosił wzniosłe poezje. Miejsce było obrane wybornie, a głos starego proroka, nauczyciela niezliczonego pokolenia proroków, musiał wspaniale rozbrzmiewać w wydrążonym łonie góry, na której zostawił tyle śladów swoich cudów i której przekazał swoje imię. Dzieje Eliasza to jedna z najcudowniejszych opowieści z dziejów świętych: największy to spośród świętych pieśniarz.<sup>19</sup> Kiedy czytamy jego żywot i słowa jego straszliwych pomst, wydaje się, że miał w duszy piorun Pański, a żywioł, który uniósł go do nieba, był mu przyrodzony. Piękny to symbol, liryczny czy epicki, rzucony na karty poematu opiewającego starożytne tajemnice kultury żydowskiej. W ogóle okres proroków, gdy patrzeć na niego ze stanowiska historycznego, jest najmniej zrozumiały ze wszystkich epok w dziejach tego tułaczego narodu. Można jednak, zwłaszcza w epoce Eliasza, odnaleźć zasadę, która stanowiła o szczególnej organizacji owego zastępu proroków. Była to oczywiście warstwa święta i oświecona, zawsze przeciwstawiająca się królom; ci święci przywódcy zagrzewali lub uspokajali lud swoimi pieśniami, przypowieściami i groźbami; tworzyli w Izraelu stronnictwa, podobnie jak u nas tworzą je mówcy i prasa; zwalczały się najpierw ostrzem swoich słów, później kamienowaniem lub mieczem; zabijali jeden drugiego, aby zetrzeć przeciwnika z oblicza ziemi; widzimy, że Eliasza tępił ich setkami; następnie zwycięzcy upadali, a ich miejsce zajmowali inni, którzy zdołali zaważnąć ludem. Właściwie poezja nigdy przedtem nie odegrała tak wielkiej roli w dramacie politycznym, w przeznaczeniach cywilizacji. Rozum i namiętność, zależnie, czy byli to prorocy fałszywi, czy prawdziwi, przemawiały przez ich usta jedynie harmonijnym, dobitnym językiem obrazów. Nie było tam mówców jak w Atenach czy w Rzymie: mówca nazbyt jest człowiekiem. Były tu tylko pieśni i treny: poeta jest istotą boską.

Taka przewaga słowa śpiewanego świadczy, że ów naród był obdarzony jakąś niezwykle ognistą, barwną, skłonną do uniesień wyobraźnią. Trudno więc się dziwić, że niezależnie od wzniosłego znaczenia religijnego, jakie te poezje zawierały, stanowiły one również tak doskonałe i nie dające się naśladować pomniki geniuszu i piękna. Nagrodą ówczesnych poetów było samo społeczeństwo. Ich natchnienie sprawiało, że lud stawał się im powolny; mogli go zgodnie ze swoją wolą pociągnąć ku zbrodni lub ku bohaterstwu; budzili lęk w sercach złych królów, zmuszali ich

do pokuty lub zapalając miłość ojczyzny w sercach współobywateli sprawiali, że ci odnosili zwycięstwa nad wrogami, albo też na wygnaniu i w niewoli przypominali im wzgórze Syjonu i wolność dzieci Bożych. Dziwi mnie, że choć poezja nowoczesna stworzyła tyle wielkich dramatów osnutych wokół dziejów żydowskich, nie powstał w niej dotychczas dramat o prorokach. To piękna pieśń w dziejach świata.

Tegoż dnia.

Znowu przechadzałem się po wonnych zboczach Karmelu. U-siadłem pod drzewem poziomkowym, nieco ponad stromą ścieżką, która prowadzi na wierzchołek góry i kończy się pod klasztorem, i patrzyłem na morze, które mnie dzieli od tylu rzeczy, od tylu istot znanych i kochanych, ale nie dzieli od ich wspomnienia. Przebiegałem myślą ubiegłe życie, przypominałem sobie podobne godziny na tylu rozmaitych brzegach i pośród tak odmiennych myśli; pytałem sam siebie, czy to ja jestem tu, na o-samotnionym szczycie góry Karmelu, o kilka mil od Arabii i od pustyni, dlaczego tu jestem, dokąd szedłem, dokąd wrócę, czyja dłoń mnie wiodła, czego szukałem, świadomie lub bezwiednie, w tych wiecznych wędrówkach po świecie. Tak pełne sprzeczności i nieprzewidywanie zmienne okresy mojego krótkiego żywota sprawiły, że z trudem na nowo składałem w jednolitą całość swoją istotę, ale obecność wszystkich istot, które kochałem i u-traciłem, była dla mnie tak żywa i tak wyraźna, tak boleśnie odzywała się w moim sercu, iż nie wątpiłem ani przez chwilę, że owa jedność, której nie znajdowałem w moim życiu, trwa nietknięta w moim sercu, i czułem, że oczy zachodzą mi łzami, gdy spoglądam w przeszłość, w której widziałem już tylko pięć, sześć grobowców, co już pięć, sześć razy pochłonęły moje szczęście.<sup>20</sup> Potem, idąc za głosem instynktu, w chwili kiedy wspomnienia nabierały zbyt wielkiej mocy i były niemal gotowe przytłoczyć moją myśl, wydzwignąłem je religijnym wzniesieniem ducha ku Bogu, tej Nieskończoności, która wszystko przyjmuje, wszystko w sobie skupia, wszystko oddaje; błagałem Go, poddawałem się Jego zawsze dobrej woli, mówiłem: „Boże! Wszystko jest dobrze, ponieważ Ty tak chciałeś. Oto jestem jeszcze; nie opuszczaj mnie, wiedz mnie Twoimi, a nie moimi drogami, zaprowadź mnie, dokąd chcesz i jak chcesz, bylebym tylko czuł, że Ty mnie prowadzisz, bylebyś tylko czasem objawił się w moich ciemnościach jednym z tych promieni duszy, które jak błyskawica ukazują nam przez chwilę ogromny widnokrąg wśród naszej głębokiej no-



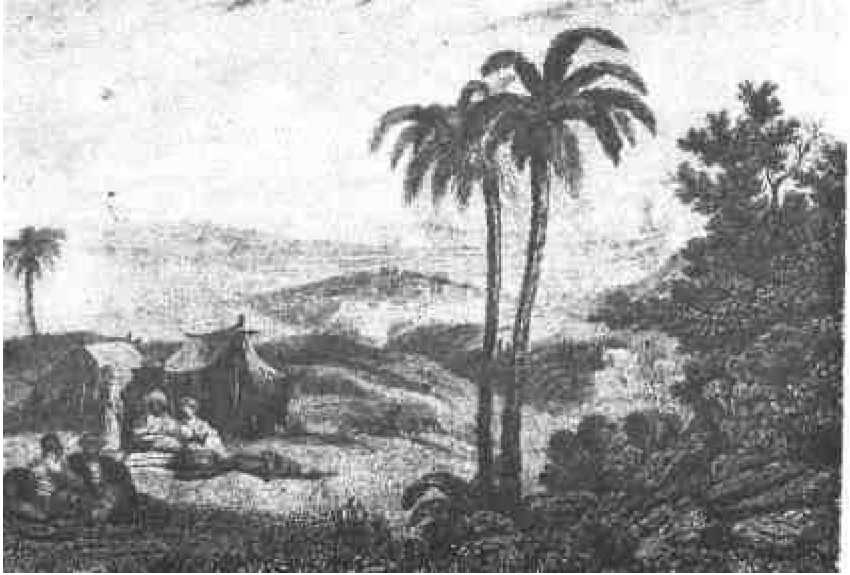
**9. LIBAN**



10. RAMLA



11. PRZYŁĄDEK SUNION



12. LATAKIA

cy, bylebym tylko czuł, że mnie wspiera owa nieśmiertelna\* nadzieja, którą zostawiłeś na ziemi jako głos tych, których już tu nie ma, bylebym tylko mógł ich znowu znaleźć w Tobie i żeby mnie poznali i żebyśmy, o mój Boże, mogli wzajemnie miłować się w tej niewysłowionej jedności, którą tworzymy, Ty, oni i my. To mi wystarczy, abym postępował dalej, abym szedł do końca po tej drodze, która zdaje się nie mieć celu. Ale spraw, o Boże! aby droga nie była zbyt wyboista dla nóg już zranionych!"

Wstałem pokrzepiony na duchu i zacząłem zbierać wonne zioła, przepajające cały Karmel swoimi zapachami. Ojcowie robią z nich rodzaj herbaty, mocniej pachnącej niż mięta i szalwia naszych ogrodów. Zbieranie ziół i rozmyślenia przerwał odgłos stąpania dwóch osłów, których podkowy dzwięczały na wygładzonych skałach ścieżki. Siedziały na nich dwie kobiety, od stóp do głów spowite długimi białymi szatami; jakiś młodzieniec prowadził za uzdę pierwsze zwierzę, a za nim szli dwaj Arabowie, niosąc na głowach wielkie kosze z trzciny, przykryte serwetami z haftowanego muślinu. Był to pan Malagamba, jego matka i siostra; jechali do klasztoru, wioząc na drogę zapasy, które przez noc dla nas przygotowali. W jednym z tych koszyków pełno było żółtych jak złoto, bardzo smacznych bułek — rzecz nader cenna w okolicy, gdzie nie znają chleba. W drugim znajdowały się owoce wszelkiego rodzaju, kilka butelek wyborowego wina cypryjskiego i libańskiego oraz znaczny zapas konfitur, stanowiących ulubiony przysmak mieszkańców Wschodu. Z wdzięcznością przyjąłem podarunek tych miłych kobiet. Posłałem Arabów z koszami tào klasztoru, a sami usiedliśmy, aby pomówić chwilę o kłopotach pani Malagamba. Miejsce było urocze, w cieniu trzech wielkich drzew oliwnych, które osłaniały jedno z łożysk wyżłobionych przez wodę ze źródła proroka Eliasza spływającą po skałach do niewielkiego wąwozu. Arabowie rozłożyli kobierzec na murawie otaczającej źródło, a obie kobiety, odrzuciwszy na ramiona długie zasłony, siadły na podróżnym kobiercu nad brzegiem wody, w bogatych, wspaniałych miejscowych strojach, tworzyły grupę godną oka malarza. Sam usiadłem naprzeciw nich, na brzegu skały, z której wytryskało źródło. Wiele łez spłynęło po twarzy pani Malagamba, kiedy opowiadała o chwilach swojej pomyślności, o tym, jak popadła w nieszczęście, o obecnym niedostatku, o ucieczce z Akki i o swojej macierzyńskiej trosce względem przyszłości syna i uroczych córek.

Panna Malagamba słuchała tego opowiadania ze spokojną beztróską pierwszej młodości, bawiła się układaniem bukietu z ro-



snących obok niej kwiatów i tylko kiedy głos jej matki zmieniał się i strumienie łez spływały z jej oczu, obejmowała matkę za szyję i ocierała jej łzy chustką muslinową, którą trzymała w ręce; później, kiedy uśmiech znowu rozjaśniał twarz matki, wracała do swojej dziecinnej zabawy i dobierała odcienie bukietu. Przyrzekłem tym biednym kobietom, że powróciwszy do Europy, nie zapomnę o nich i o ich niespodziewanej gościnności, że przez moich przyjaciół w Turynie postaram się o awans dla młodego agenta konsularnego w Haifie. Nadzieja, chociaż bardzo odległa i wątła, ożywiła serce pani Malagamba i rozmowa wzięła inny obrót. Mówiliśmy o zwyczajach tego kraju i o jednostajności życia kobiet arabskich, których obyczaje muszą przyjmować także kobiety europejskie mieszkające w Arabii. Ale panna Malagamba i jej matka nie znały nigdy innego rodzaju "życia", przeciwnie, zdumiewało je to, co im opowiadałem o Europie. Życie dla jednego człowieka i jedną tylko myślą, przez całe dni splatać warkocze, układać z wdziękiem mnóstwo klejnotów, którymi się zdobią, oddychać świeżym powietrzem gór czy morza na tarasie lub przez okratowane okno, przejść kilka kroków pod drzewami pomarańczowymi i granatami w małym ogródku, aby oddać się marzeniom u szemrzącej fontanny, zajmować się gospodarstwem, własnoręcznie miesić ciasto na chleb, przygotowywać sorbety, konfitury, jeden dzień w tygodniu spędzać w łaźni w towarzystwie wszystkich dziewcząt z miasta i zaśpiewać kilka zwrotek poetów arabskich przy dźwięku gitary — oto całe życie kobiet na Wschodzie. Życie towarzyskie nie istnieje dla nich, toteż nie odczuwają owych sztucznie rozbudzonych przez nie ambicji; póki są młode i piękne, całym ich życiem jest miłość, później poświęcają się całkowicie gospodarstwu i wychowaniu dzieci. Czy taki sposób życia nie jest tak samo dobry jak inny?

Kiedy byliśmy zajęci rozmową o tym i owym, mój drogman, młodzieniec rodem z Arabii, bardzo czytany w literaturze arabskiej, szukał mnie około klasztoru, a znalazłszy przy wodotrysku, przyprowadził do mnie drugiego młodego Araba, który, dowiedziawszy się o moim przyjeździe do Haify, przybył z Akki, aby poznać poe-  
Zachodu. Ten młodzieniec, rodem z Libanu, wychowany w Aleppo, wslawił się już talentem poetyckim. Nieraz o nim słyszałem, zleciłem też, aby mi przelożono kilka jego utworów. Przyniósł mi sam niektóre, przekład ich niżej umieszczam. Usiadł z nami przy źródle i przy pomocy mojego drogmana dosyć długo rozmawialiśmy. Jednak dzień miał się ku schyłkowi, trzeba było się rozstać. „Ponieważ jest nas tu dwóch poe-

tów — rzekłem do niego — i traf łączy nas, z dwóch tak przeciwnych końców świata, w tak zachwycającym miejscu, o tak pięknej godzinie i wobec tak doskonałej piękności, powinni byśmy, każdy w swoim języku, upamiętnić kilkoma strofami to nasze spotkanie i wrażenia, jakimi nas natchnęła ta chwila." Uśmiechnął się, wyjął zza pasa przybór do pisania i pióro trzciniowe, które pisarz arabski, jak rycerz swój miecz, zawsze ma przy sobie, i obaj odeszliśmy o kilka kroków, aby pomyśleć nad naszymi wierszami. Skończył znacznie wcześniej ode mnie. Oto jego wiersz i mój:

„W ogrodach Haify jest kwiat, którego szuka promień słońca przez sieci palmowych liści.

Ten kwiat ma oczy słodsze niż gazela, oczy podobne do kropli wody morskiej w muszli.

Ten kwiat ma zapach tak upajający, że szejk, co ucieka przed włóczęgą innego plemienia na swoim rumaku szybszym niż wodospad, czuje go i zatrzymuje się, aby nim odetchnąć.

Samum unosi z odzieży podróżnego wszystkie inne wonie, ale nigdy nie uniesie z serca zapachu tego cudownego kwiatu.

Znaleźć go można nad brzegiem źródła, które bez szmeru płynie u jego stóp.

Młoda dziewico, powiedz mi, jak się zwie twój ojciec, a ja ci powiem, jak się ten kwiat nazywa."

A oto wiersz, który napisałem i natychmiast kazałem przetłumaczyć na arabski mojemu drogowi:

Źródło błękitnowodne, kiedy piękna Lila  
W nocy nad twoim brzegiem siądzie zamyślona  
I gdy się nad zwierciadłem łagodnie przechyła,  
Jej obrazem odbłyśnie tafla niewzruszona.

Lekkie drżenie pomarszczy twe drżemiące wody,  
Nie widać już dna piasku ani gęstej trzciny,  
Pełne jesteś powabą, blasku jej urody,  
W tobie już tylko nieba widzę zwód jedyny.

Czarownego obrazu tyś odbłysk uroczy:  
Jak kwiaty znad twych brzegów błękitne jej oczy,  
Żeby z pereł wśród ustek różanych z uśmiechem  
I pierś, która się czystym podnosi oddechem.

I kwiecie, które zwiesza włosów jej uploty,  
Naszyniki, co ramion krasę podwyższają,  
Perły, świecąc pod wodą, tak się oku zdają,  
Jak gdyby je wziąć można jak jej piasek złoty

## SYRIA. GALILEA

Rozciągam dłoń nad źródłem, w którym ten cień pływa,  
Trwożny, by wiatr nie zgładził wszystkiego zarazem,  
Z zazdrości wodę, co twym odbłyśla obrazem,  
Usta by wypić chciały, że taka szczęśliwa.

Lecz gdy Lila z uśmiechem za matką odchodzi,  
Cokolwiek tylko wody mieści staw ponury,  
Na próżno ją kosztuję, gorycz w ustach rodzi,  
A marmur i owady ciemnią jej lazury.

Czym więc dla źródła jesteś, zbiorze niewinności,  
Tym wiecznie dla mej duszy silna moc piękności,  
Nieci w niej dzień i radość boski blask jej oka!  
A skoro je zasłoni, w duszy noc głęboka.<sup>21</sup>

Tymczasem dziewczę, dla którego napisaliśmy te wiersze w językach francuskim i literackim arabskim, nie mówiło ani po francusku, ani po arabsku, rozumiało tylko trochę po włosku.

23 października 1832.

Ze wschodem słońca, rzeźwi i ochoczy, opuściliśmy klasztor na Karmelu i jego dwóch znacznych zakonników i ruszyliśmy urwistymi ścieżkami, które wiodą z przyładka ku morzu. Tam wjechaliśmy na pustynię; rozciąga się ona między górami stanowiącymi przedłużenie Karmelu oraz morzem syryjskim, którego brzegi są przeważnie płaskie, piaszczyste i poprzecinane niewielkimi zatokami. Owe góry zniżają się nieznacznie w pobliżu Galilei; są czarne i nagie, spod warstwy ziemi i krzewów nieraz sterczą skały, widok ich jest posępny i smutny, a całą ozdobę stanowi olśniewające światło i myśl o odwiecznej wspaniałości, co je o-tacza; ich łańcuch, który ciągnie się jakie pięć mil, przerywają niekiedy dość płytkie doliny; w głębi czy raczej na stokach jednej z tych dolin widać wyraźnie resztki jakiejś warowni i wielką wieś arabską pod jej murami; dym z domostw wznosił się i wił wzdłuż zboczy Karmelu, a wielbłądy, czarne kozy i czerwone krowy długim szeregiem ciągnęły z wioski na równinę, którą przebywaliśmy; kilku Arabów uzbrojonych we włócznie, spowitych tylko białymi wełnianymi płachtami, z rękami i nogami obnażonymi, jechało przodem i po bokach tego pochodu pasterzy pędzących swoje trzody do jedynego źródła, które napotkaliśmy przed czterema godzinami. Mieszkańcy miast nadbrzeżnych odnaleźli kiedyś i okopali bijące tam źródła; dzisiejsi Arabowie przed wiekami opuścili owe miasta; zostało tylko to jedno źródło, do którego codziennie odbywają jedno lub dwugodzinną drogę dla nabrania wody lub napojenia trzód. Przez cały dzień jechaliśmy po szczątkach murów, po mozaikach wystających spod piasku;

cała droga była usiana zwaliskami, które świadczą, że w czasach odległych na tych brzegach wznosiły się wspaniałe i niezwykle ludne miasta.

Od rana na widnokręgu przed nami, nad brzegiem morza, widzieliśmy wciąż jakąś ogromną kolumnę, o którą odbijały się słoneczne promienie, co w miarę jak posuwaliśmy się naprzód, zdawała się powiększać i wylańczać z wód. Przybliżając się, ujrzelśmy, że owa kolumna to bezładny stos wspaniałych zwalisk z różnych epok; najpierw dostrzegliśmy ogromny mur z kształtu, z barwy, z obróbki kamienia zupełnie podobny do ścian rzymskiego Koloseum. Niezmiernie wysoki, łukowato wycięty, sterczy samotnie na stosie innych zwalisk budowli greckich i rzymskich; niedaleko za tym fragmentem muru widać wykwinne, ażurowe, podobne do kamiennej koronki ruiny jakiegoś zabytku mauretańskiego, kościoła czy meczetu albo też obu tych świątyń; dalej wznosi się rząd pięknie zachowanych ruin wielu innych starożytnych budowli; piaszczysta droga, którą szli nasi mukrowie, wiodła w pobliżu tych ciekawych szczątków przeszłości, o których istnieniu, nazwie ani czasie powstania nic nie wiedzieliśmy.

O jakie pół mili od tego zespołu zabytków brzeg morza wznosi się wyżej i piasek przemienia się w skałę; w tej skałe, na całym jej blisko milowym obwodzie, widać było wgłębienia wykute ręką ludzką; mogłoby się zdawać, że to jakieś pierwotne miasto wydrążone w skałe, nim ludzie nauczyli się wydobywać kamień z ziemi i stawiać zabudowania na jej powierzchni. W istocie jest to jedno z podziemnych miast, o których wspominają pierwsze dzieje, lub może jedna z tych rozległych nekropoli, miast umarłych, które żłobiono w ziemi lub w skałe na krańcach wielkich miast żywych; ale kształt tych skał i niezliczonych jaskiń wykutych w nich tutaj świadczy, jak sądzę, że to były mieszkania żyjących. Jaskinie te są obszerne; drzwi umieszczone wysoko, wchodzi się do nich po wielu szerokich stopniach; okna przebite w skałe oświetlają te mieszkania i podobnie jak drzwi, wychodzą na ulice głęboko wykute we wnętrzu wzgórza. Jechaliśmy kilkoma z tych głębokich i szerokich ulic, gdzie koleiny wskazują ślad wozów. Za naszym zbliżeniem się mnóstwo orłów, sępów i niezliczone chmary szpaków zerwały się z wydrążonych skał; pnące krzewy, pomurniki, kępy mirtów i drzew figowych zapuściły korzenie w pyłe kamiennych ulic i zdobią je na całej ich długości. W kilku miejscach dawni mieszkańcy przekuli całe wzgórze i wyżłobili kanały, które, ukazując część zatoki utworzoną przez morze za miastem, doprowadzają z niej wodę. Widok

ten jest zupełnie odmienny i nowy, ma w sobie powagę i twardość skały, a zarazem tchnie radością i blaskiem jak owe napowietrzne prześwity na morskim błękitcie i jak te gąszcze roślin, co wzeszły, nie posiane, w rozpadlinach granitu.

Przez pewien czas jechaliśmy tym czarodziejskim labiryntem, aż wreszcie dotarliśmy do podnóża wielkiego muru i do ruin jakichś budowli mauretańskich, przy których, chcąc się naradzić, zatrzymaliśmy się chwilę. Ruiny te cieszą się bardzo złą sławą, nieraz bowiem kryją się w nich bandy arabskich rabusiów, którzy obdzierają i zabijają podróżnych. W Haifie ostrzeżono nas, abyśmy nie zbliżali się do tych zwalisk lub przebywali je przygotowani do odparcia napadu, nie pozwalając nikomu oddalać się od głównej części kawalkady. Ciekawość jednak przemogła, nie zdołaliśmy opanować chęci zwiedzenia tych zabytków, o których głucho w dawnych i nowoczesnych dziejach: nie wiedzieliśmy, czy były puste, czy zamieszkane. Przybywszy do stóp muru obronnego, który jeszcze je otacza, spostrzegliśmy wyłom i zamierzaliśmy użyć go jako wejścia. W tej chwili na piasku dzielącym nas od wyłomu ukazała się gromada Arabów na koniach, z włóczniami w rękę, i ruszyła na nas; choć napadnięci znienacka, byliśmy przygotowani: każdy z nas miał nabitą dubeltówkę i pistolety za pasem; postąpiliśmy ku Arabom, zatrzymali się; ruszyłem przodem, polecając, aby wszyscy zostali pod bronią; jechałem z dwoma moimi towarzyszami i drogmanem; po wymianie zdań sam szejk ze swoimi przedniejszymi jeźdźcami towarzyszył nam aż do wyłomu, rozkazując Arabom znajdującym się za murem, aby zachowali się względem nas z wszelkim uszanowaniem i pozwolili obejrzeć zabytki; roztropność jednak kazała mi wziąć z sobą tylko część moich ludzi, resztę zostawiłem na odległość strzału, gotowych pospieszyć nam z pomocą, gdybyśmy wpadli w zasadzkę. Ostrożność ta była bardzo na czasie, za murem bowiem znajdowało się dwustu lub trzystu Beduinów, licząc kobiety i dzieci. Z tych zwalisk jest tylko jedno wyjście, toteż z łatwością mogliśmy być schwytani i zabici, gdyby ci barbarzyńcy nie obawiali się odsieczy pozostawionej przeze mnie za obwodem murów, którą może wyobrażali sobie daleko liczniejszą, niż była w istocie; pilnie staraliśmy się, aby nie widzieli całej naszej kawalkady, a kilku mukrów umyślnie zostało z nami i rozłożyło się na wzgórzcu, na którym można ich było dostrzec.

Zaledwie mineliśmy wyłom, ujrzeliśmy istny labirynt ścieżek snujących się wokół zwalonych szczątków wielkiego muru i innych starożytnych budowli, które kolejno się nam ukazywały. Te

ścieżki czy ulice nie były wytyczone, jak należy; wydeptały je przypadkowo pomiędzy zwaliskami nogi Arabów, wielbłądów i kóz. Rodziny tego plemienia nic tu nie wybudowały, ale korzystając ze wszystkich wnęk, utworzonych tu i ówdzie wskutek upadku ogromnych bloków kamiennych, obrały je za mieszkania; tu schronienie dawał jedynie cień zwalonych kolumn lub kapitele, które spadając zatrzymały się na innych zwaliskach, tam znów tworzył dach kawał tkaniny z czarnej koziej wełny, rozciągnięty między dwoma filarami. Szejk, jego żony i dzieci zamieszkiwali oczywiście najwspanialszy pałac w tej wiosce, gnieźdząc się u wejścia do miasta w rozwalinach jakiejś rzymskiej świątyni, na wyniosłym pagórku, nad ścieżką, którą weszliśmy; a ten ich dom był utworzony z ogromnego, okrytego rzeźbą bloku kamiennego, który wisiał prawie prostopadle, wsparty jednym kątem na innych blokach, co stoczyły się tu bezładnie, jakby wstrzymane w swoim upadku. Zdawało się, że ów chaos kamieni naprawdę jeszcze się toczy i przygniecie żony i dzieci szejka, które wysuwały głowy z tej sztucznej jaskini ponad nami. Kobiety nie zasłaniały twarzy, a całym ich ubiorem była bawełniana niebieska koszula, przewiązana pasem skórzanym, która nie zakrywała nóg ani piersi. Mimo pierścieni, którymi miały przebite nozdrza, i dziwacznych tatuaży, pokrywających ich policzki i szyje, wydawały się nam piękne. Nagie dzieci siedziały jak na koniu na bryłach ociosanych kamieni, które tworzyły taras tych przerażających siedzib, a kilka czarnych kóz z długimi zwisającymi uszami wdarło się obok dzieci za drzwi tych grot i przyglądało nam się lub z jednego odłamu na drugi przeskakiwało nad naszymi głowami głęboko wykutą w skale ścieżką, którą szliśmy. Tam znów kilka wielbłądów leżało w rozpadlinach powstałych świeżo między ruinami i wyciągało zamyślane, pełne spokoju głowy ponad kolumny i zwalone kapitele. Co krok widok się zmieniał i bardziej przyciągał naszą uwagę. Malarz znalazłby tysiąc nowych nigdy przedtem nie przedstawianych tematów, których dostarczały coraz to inne i nieoczekiwane kształty, utworzone skutkiem łączenia się i pomieszczenia siedzib mieszkalnych tego plemienia ze szczątkami teatrów, łaźni, kościołów i meczetów, wypełniającymi ów zakątek. Im mniej człowiek pracował nad u-tworzeniem dla siebie siedzib w owym chaosie zrujnowanego miasta, im bardziej tworzył je dla niego dziwaczny traf obalający te ruiny, tym bardziej obraz ich stawał się poetyczny i zajmujący. Kobiety doily kozy na stopniach amfiteatru, owce, jedna za drugą, wyskakiwały z łukowatego okna pałacu emira lub z ko-

ścioła gotyckiego z czasów krucjat. Szejkowie, siedząc ze skrzyżowanymi nogami, palili fajki pod rzeźbioną arkadą rzymskiego łuku, a wielbłądy stały przywiązane długimi powróżkami do mauretańskich kolumn u wrót harem. Zsiadliśmy z koni, aby dokładnie obejrzeć najważniejsze zabytki.

Kiedy oświadczyliśmy, że mamy zamiar zwiedzić wnętrze niewielkiej świątyni, położonej w końcu miasta, na skale nad brzegiem morza, Arabowie długo się opierali. Przed każdym dziedzińcem, przed każdym murem, przez które trzeba było przejść, żeby dostać się do świątyni, nowe zatargi — musieliśmy nawet użyć gróźb, aby sobie utworzyć przejście. Kobiety i dzieci odbiegły od nas, obrzucając nas przekleństwami, szejk odszedł na chwilę, a na twarzach i w gestach innych Arabów widać było oczywiste oznaki niezadowolenia, ale malujące się na nich zarazem źle ukrywane wahanie i obawa zachęcały nas, aby nie ustępować. I ostatecznie trochę za ich przyzwoleniem, a trochę siłą weszliśmy do wnętrza tego najbardziej zadziwiającego zabytku.

Trudno mi orzec, co to właściwie za budowla: w stylu, w kształcie i w ozdobach jest po trosze coś ze wszystkiego; przypuszczam, że to jakaś starożytna świątynia, którą krzyżowcy po opanowaniu Cezarei i pobliskiego wybrzeża zamienili na kościół, Arabowie zaś przekształcili ów kościół w meczet. Czas, który czyni sobie igraszkę z dzieł i myśli ludzkich, obrócił świątynię w ruinę i na posadzce, na której kolejno klęczały trzy czy cztery pokolenia wyznawców, przyklęka teraz wielbłąd. Podstawy budowli są niewątpliwie architektury greckiej z okresu jej upadku; tam gdzie zaczynają się sklepienia, architektura przybiera cechy mauretańskie: okna, pierwotnie korynckie, z wielkim kunsztem i smakiem zmieniono na mauretańskie, strzałkowate, z małymi, podwójnymi filarkami; to, co zostało ze sklepienia, pokrywają, niczym haft, wspaniale wykonane i niezwykle wykwintne arabeski. Budowla ma osiem ścian, a w każdym załomie powstałym z tego ośmiobocznego kształtu zapewne wznosił się ołtarz, jeżeli sądzić z nisz zdobiących tę część murów, o które owe ołtarze musiały zapewne się opierać. Środkową część zajmował ołtarz główny, co z łatwością można odgadnąć, to miejsce bowiem jest nieco wyższe. Owa wyniosłość jest najpewniej pozostałością po stopniach, które ku niemu wiodły. Mury tego kościoła są na wpół obalone i widać zza nich fragmenty morza i ciągnących się wzdłuż niego skal; ze szczytu popękanych sklepień zwisały wielkimi pękami liście i kwiaty pnączy, a ptaki o czerwonych kolanach i chmary małych błękitnych jaskółek świegotały w tych napowietrznych ga-

jach lub unosiły się wzdłuż gzymsów. Przyroda tam rozpoczyna swój hymn, gdzie człowiek swój zakończył.

Wyszedłszy z tej nieznannej świątyni, zwiedziliśmy pieszo rozmaite wioski, co krok napotykając godne widzenia szczątki i nieoczekiwane widoki, powstałe z połączenia barbarzyńskich obyczajów ze wspaniałymi pozostałościami umarłych cywilizacji. Na małych podwóreczkach lepierek widzieliśmy mnóstwo kobiet i dzieci arabskich zajętych rozmaitymi pracami życia pasterskiego: jedne tkwały materie z sierści kóz, inne mełły jęczmień lub gotowały ryż; przeważnie są bardzo ładne, rosłe i silne, z cerą ogorzałą od słońca, z której bije siła i zdrowie. Sznury srebrnych piasstrów pokrywały ich czarne włosy, piasstrami też były przybrane ich kolczyki i naszyjniki. Widząc nas przechodzących, wydawały okrzyki zdumienia i szły za nami aż do innych domów. Żaden Arab nie ofiarował nam najdrobniejszego podarunku; u-znaliśmy, że nie powinniśmy pierwsi występować z darami, i z wielką ostrożnością wyszliśmy poza obręb muru. Nikt z członków plemienia nie udał się za nami. O ćwierć mili od wielkiego muru rozbiliśmy nasze namioty w głębi otoczonej także starożytnymi murami małej zatoki, która niegdyś była portem tego nieznanego miasta. Upał dochodził do trzydziestu dwóch stopni; kąpaliśmy się w morzu, w cieniu starej grobli, którą fale nie całkiem jeszcze zniosły, gdy tymczasem nasi saisowie rozbijali namioty, dawali koniom trochę jęczmienia i rozniecali ogień przy arkadzie, która zapewne służyła za wejście do tego portu.

Arabowie zwą to miejsce mianem oznaczającym uciętą skałę. Krzyżowcy w swoich kronikach nazywają je Castel Peregrino (Zamek Pielgrzymów), lecz nie mogłem dociec, jak brzmiała nazwa tego miasta za czasów greckich, żydowskich lub rzymskich, z których pochodziły owe wielkie ruiny, co zwróciły naszą uwagę.<sup>22</sup> Następnego dnia droga prowadziła dalej nad brzegiem morza aż do Cezarei, dokąd przybyliśmy około południa; rano przeprawiliśmy się przez rzekę zwaną przez Arabów Nahr er-Zerka, według Pliniusza — rzeką Krokodyłów.<sup>23</sup>

Cezarea, dawna wspaniała stolica Heroda, nie ma ani jednego mieszkańca; mury jej, wzniesione przez Ludwika Świętego w czasach prowadzonej przez niego wojny krzyżowej, są przecież nienaruszone i dziś jeszcze mogłyby służyć za wyborne obwarowanie jakiegoś nowoczesnego miasta.<sup>24</sup> Przechodzimy most kamienny nad głęboką, otaczającą je fosą i wступujemy w labirynt głazów, wpólotwartych grobowców, szczątków budowli, odłamków marmuru i porfiru, którymi jest usiany cały obszar daw-



nego miasta; spomiędzy ruin, rozbrzmiewających odgłosem kopyt naszych koni, wypłoszyliśmy trzy szakale; szukaliśmy studni, o której nam mówiono, znaleźliśmy ją z trudem na wschodnim krańcu zwalisk i tam obraliśmy miejsce postoju. Około wieczora młody pasterz arabski przypędził do tej studni ogromne stado czarnych krów, owiec, kóz; dwie godziny niemal bez przerwy czerpał wodę, aby napoić te zwierzęta, które cierpliwie oczekiwały swojej kolei, a napojone odchodziły w takim porządku, jak gdyby pasterze nimi kierowali. Ow chłopiec, całkiem nagi, siedział na osle; ostatni odjechał z ruin Cezarei i powiedział nam, że codziennie z odległości prawie dwóch mil przypędza do tego źródła trzody swojego plemienia, osiadłego w górach. Oto nasze jedyne spotkanie w Cezarei, w tym mieście, gdzie Herod, według Józefa, zgromadził wszystkie cuda sztuki greckiej i rzymskiej i gdzie kazał wykopać sztuczny port, który stanowił schronienie całej marynarki syryjskiej.<sup>25</sup> Cezarea jest miastem, gdzie uwięziono świętego Pawła, który napisał tu na obronę swoją i rodzącego się chrześcijaństwa ową piękną mowę, zachowaną w dwudziestym szóstym rozdziale Dziejów Apostolskich.<sup>26</sup> Korneliusz setnik i Filip Ewangelista byli z Cezarei, a także z portu Cezarei wypłynęli apostołowie, aby rozsiewać słowa Ewangelii w Grecji i w Italii.<sup>27</sup>

Przez cały wieczór zwiedzaliśmy nędzne domy miasta, zbieraliśmy ułamki rzeźb, które potem musieliśmy zostawić na miejscu, nie mogąc ich z sobą zabrać. Piękna noc spędzona pod akweduktem Cezarei.

Dalsza droga przez piaszczystą pustynię, gdzieniegdzie porośniętą krzewami, a nawet lasami dębów zielonych, służącymi za kryjówkę Arabom. Pan de Parseval zasnął na koniu, wszyscy go wyprzedzali, wreszcie spostrzegliśmy, że został daleko za nami; z dala rozległy się dwa strzały; ruszyliśmy galopem z pomocą, strzelając przy tym z pistoletów, aby odstraszyć Arabów; szczęściem, pan de Parseval wcale nie został napadnięty, strzelał tylko dwa razy do gazeli, które przebiegały równinę. Wieczorem, nie znalazłszy ani kropli wody, przybyliśmy do wioski arabskiej Mukhalid. Ogromna sykomora, rozpięta jak naturalny namiot na stoku nagiego, pokrytego pyłem wzgórza, przywabiła nas i stała się dla nas schronieniem. Nasi Arabowie poszli do wsi, aby dowiedzieć się o drogę do studni; wskazano ją im; pobiegliśmy tam wszyscy. Napiliśmy się, obmyli sobie głowy i ręce i wróciliśmy do obozu, gdzie kucharz rozpałił ogień pod drzewem. Pień jego jest już przepalony kolejnymi ogniskami tysiąca karawan, które

spoczywały w jego cieniu. Ogromne jego konary osłaniają wszystkie nasze namioty i wszystkie konie. Miejscowy szejik przyniósł mi kilka melonów, siadł pod moim namiotem, prosił o nowiny dotyczące Ibrahima Paszy i o jakieś lekarstwa dla niego i dla jego żon. Dałem mu kilka kropel wody kolońskiej i zaprosiłem do wspólnej z nami wieszery. Przyjął zaproszenie. Z największym trudem zdołaliśmy się go pozbyć.

Skwarna noc. Nie mogłem wytrzymać pod namiotem, wstałem i siadłem w studni, pod oliwnym drzewem. Księżyc oświetlał całe pasmo gór Galilei, które rysowały się faliście na widnokręgu o dwie miłe blisko od miejsca naszego postoju. To najpiękniej zarysowany widnokrąg, jaki widziałem. Pierwsze kwiaty perskiego bzu, których kiście zwieszają się na wiosnę, nie są świeższe, a ich fiolet nie ma piękniejszego odcienia niż owe góry o tej godzinie, kiedy się im przypatrywałem. Im wyżej wschodził księżyc i im bardziej się do nich zbliżał, tym bardziej odcień ich ciemniał i czerwieniał, a ich zarysy zdawały się poruszać jak wielkie fale na pełnym morzu podczas pogodnego zachodu słońca. W dodatku każda z tych gór jest nazwana i wymieniona w pierwszej księdze o dziejach, jaką czytaliśmy dziecięcymi oczyma, siedząc na kolanach matki. Wiem, że tam jest Judea z jej cudami i ruinami, że za jednym z tych wzgórz wznosi się Jerozolima, że oddziela mnie od niej zaledwie kilka godzin drogi, że tym sposobem jestem już prawie u jednego z najważniejszych dla mnie celów mojej długiej podróży. Cieszę się tą myślą jak człowiek, ilekroć ma osiągnąć coś, co może nawet znaczyć niewiele, ale co było przedmiotem jakiejś jego namiętności; przez godzinę lub dwie starałem się utrwalić w pamięci te zarysy, te barwy, to niebo przezroczyste i różowe, tę samotność i ciszę. Wilgoć nocy opadła i zrosiła mój płaszcz, wróciłem do namiotu i zasnąłem. Zaledwem przespał godzinę, zbudził mnie lekki szelest; oparłem się na łokciu i rozejrzałem dokoła. Dla chłodu podniesiono jeden róg zasłony namiotu, księżyc oświecał jego wnętrze; ujrzałem ogromnego szakala, który zakradał się ostrożnie i spoglądał na mnie płomienistymi oczami; chwyciłem za broń, ten ruch wystraszył go, uciekł pędem. Zasnąłem znowu. Przebudzony powtórnie, zobaczyłem szakala u moich nóg, jak ryje pyskiem w łańdach płaszcza i właśnie zamierza pochwycić mojego pięknego charta, który spał przy mnie na macie; śliczne zwierzę od ośmiu lat nie opuściło mnie ani na chwilę i bronilibym go nawet z narażeniem moich dni jak cząstki własnego życia. Szczęściem przykryłem go połą płaszcza; spał tak mocno, że nic nie słyszał, nie czuł, nie wie-

dział o grożącym mu niebezpieczeństwie; w chwilę później szakał byłby go porwał i zadusił w swojej jamie. Zacząłem wołać, moi towarzysze zbudzili się; wybiegłem za namiot i strzeliłem, lecz szakał był już daleko, a nazajutrz najmniejszy ślad krwi nie świadczył, że się pomścił.

Wyruszyliśmy z pierwszymi promieniami, które bieleły wzgórze Judei; jechaliśmy obok falistych pagórków, nie widząc morza; upał był wielki, toteż przez całą drogę panowało głębokie milczenie; około jedenastej, spragnieni i utrudzeni, dotarliśmy nad urwiste brzegi jakiejś rzeki z wolną toczącą swoje ciemne wody między dwiema skałami, których podnóża zarastała wysoka trzcina; trzeba by dotknąć jej wód, aby ją dostrzec. Stada dzikich bawołów leżały pośród trzciny i w rzece, wystawiając głowy ponad wodę, i tak trwały w bezruchu przez wszystkie skwarne godziny dnia. Patrzyły na nas, nieruchome; przebyliśmy rzekę w bród i dojechaliśmy do jakiegoś opuszczonego kanu. Arabowie nazywają dziś tę rzekę Nahr el-Arsuf. Dawna Apollonia musiała być tu blisko, jeżeli jej położenia nie wskazuje inna rzeka, którą przebyliśmy w godzinę później, nosząca teraz nazwę Nahr el-Petras.<sup>28</sup>

W chłodnych i ciemnych piwnicach, jedynej pozostałości dawnego kanu, rozpostarliśmy maty i położyliśmy się na nich. Zaledwie zasiedliśmy około półmiska zimnego ryżu, który nam kucharz przyniósł na śniadanie, ogromny wąż osiem stóp długi, a gruby jak ramię — wypełznął z jednej z dziur w starym murze, służącym nam za schronienie, i rozwinął się u naszych nóg; chcąc uciec przed nim, pobiegliśmy ku wyjściu z piwnicy, ale on już tam był przed nami i potrzęsając tylko ogonem jak cięciwą łuku, zniknął z wolna w nadbrzeżnej trzcinie. Miał skórę najpiękniejszego ciemnoniebieskiego koloru. Wolelibyśmy nie wracać do naszego schronienia, ale upał był tak wielki, że trzeba było w nim zostać, toteż podłożywszy siodła pod głowę, zasnęliśmy, nie troszcząc się wcale o nowe w podobnym rodzaju odwiedziny, które mogłyby nam przerwać sen.

O czwartej po południu znowu dosiedliśmy koni. Niedaleko rzeki spostrzegłem na wzgórzu jakiegoś jeźdźca arabskiego ze strzelbą w ręce, któremu pieszo towarzyszył młody niewolnik. Jeździec arabski zdawał się polować: co chwila wstrzymywał konia i przypatrywał się nam z wyrazem niepewności i zainteresowania. Nagle puścił swoją klacz w galop, podjechał do mnie i przemawiając po włosku, zapytał, czy nie jestem podróżnym, który zwiedza Arabię, a którego bliskie przybycie do Jaffy zapowiadali konsulowie europejscy. Wymieniłem moje nazwisko;

zeskoczył z konia i chciał mi ucałować rękę. „Jestem — rzekł do mnie — synem pana Damianiego, wicekonsula francuskiego w Jaffie. Upprzedzony o twoim, panie, przybyciu listami, które statek angielski przywiózł z Saidu, od kilkunastu dni poluję w tych stronach na gazy, aby cię spotkać i towarzyszyć ci do domu mojego ojca. Nazwisko nasze jest włoskie, nasza rodzina pochodzi z Europy, od niepamiętnych czasów osiadła w Arabii: jesteśmy Arabami, ale serca mamy francuskie i poczytalibyśmy sobie za hańbę i zniewagę naszych uczuć, gdybyś w innym domu, nie w naszym, przyjął gościnę. Pamiętaj, panie, że to ja pierwszy ciebie dotknąłem, a na Wschodzie kto pierwszy dotknie się cudzoziemca, ten ma prawo gościć go u siebie. Upprzedzam cię o tym — dodał — ponieważ listami przesłanymi tymże statkiem uwiadomiono wiele osób w Jaffie o twoim przybyciu, a wszystkie one zbiegną się, aby cię powitać, skoro tylko mój niewolnik doniesie w mieście, że się zbliżasz.”

Zaledwie skończył, rzekł kilka słów po arabsku młodemu niewolnikowi, który, dosiadłszy klaczy swojego pana, znikł w mgnieniu oka za piaszczystymi pagórkami stanowiącymi granicę widnokregu. Kazałem podać panu Damianiemu jednego z moich koni wierzbowych idących luzem, i z wolną jechaliśmy drogą ku Jaffie, której jeszcze nie było widać. Po dwu godzinach ujrzelśmy na przeciwległym brzegu rzeki, którą trzeba było przebyć, ze trzydziestu jeźdźców w niezwykle bogatych strojach i z lśniącą bronią, na najpiękniejszych koniach arabskich harcujących na równinie nad rzeką. Puścili konie aż w rzekę, wydając okrzyki i strzelając z pistoletów na znak powitania: byli to synowie, ojcowie, krewni i przyjaciele znakomitszych mieszkańców Jaffy, którzy wyjechali na nasze spotkanie. Każdy z nich podjeżdżał do mnie, mówił jakieś grzeczności, na które odpowiadałem przez mojego tłumacza lub zwracając się po włosku do tych, co rozumieli ten język; zajęli miejsca obok nas i ścigając się po piasku w różnych kierunkach, dali nam widowisko owych gonitw z dzirytem, w których jeźdźcy arabscy ukazują całą siłę swoich koni i całą zręczność swoich ramion. Podjeżdżaliśmy do Jaffy: miasto zaczynało ukazywać się przed nami na wzgórzu wchodzącym w morze. Widok Jaffy jest uroczy, gdy się zbliżać do niej od strony pustyni. Podnóże miasta z zachodniej strony obmywa morze, które wciąż toczy swoje ogromne, spienione fale na skały otaczające port; od strony północnej, skąd przybywaliśmy, okalają miasto prześliczne ogrody, które jakimś czarodziejским sposobem zdają się wynurzać z pustyni, aby uwieńczyć i ocienić mury miej-

skie. Droga prowadzi tu pod wyniosłym i wonnym sklepieniem lasu palm, granatów obciążonych swoimi czerwonymi gwiazdami, nadmorskich cedrów o listowiu przypominającym koronkę, drzew cytrynowych, pomarańczowych, figowych, limonii, wielkich jak nasze drzewa orzechowe, a uginających się pod brzemieniem kwiatów i owoców; powiew znad morza przynosi tu i rozwiewa powietrze pełne woni; ziemia cała ubielona kwiatem pomarańczowym, którym wiatr pomiata jak u nas zeszlými liśćmi w jesieni; w rozmaitych odległościach studnie tureckie, wykładane mozaiką różnokolorowych marmurów i opatrzone miedzianymi czarkami, poprzczipianymi na łańcuszkach, ofiarują znużonym przechodniom czystą wodę i prawie zawsze są otoczone dokoła gronem kobiet, które obmywają nogi i czerpią wodę w naczynia starożytnego kształtu. Z łona tego oceanu pachnących krzewów wznoszą się białe minarety, blankowane tarasy, balkony z arkadami mauretańskimi, i całe miasto odcina się na wschodzie od białego tła piasku, który tuż za nim zalega niezmierną pustynię dzielącą Jaffę od Egiptu.

Przy jednej z tych studni spotkaliśmy niespodzianie trzecią kawalkadę, której przewodził jadący na białej klaczy pan Damiani starszy, agent konsularny wielu narodów europejskich i jedna z najznakomitszych osobistości Jaffy. Jego groteskowy ubiór rozśmieszył nas: miał bowiem na sobie stary błękitny kaftan, podbity gronostajami i przewiązany jedwabnym pasem karmazynowym; obnażone nogi wzyierały z brudnych, szerokich spodni muślinowych; ogromny trójganiasty kapelusz, wytarty od długoletniego użycia, przepocony i zakurzony, świadczył o licznych usługach oddanych podczas kampanii egipskiej. Ale gorące powitanie i patriarchalna serdeczność naszego starego wicekonsula wstrzymały nam uśmiech na ustach, a nasze serca wypełniła tylko wdzięczność, którą mu okazaliśmy. Towarzyszyli mu jego liczni zięciowie, synowie i wnuki, wszyscy, jak on, na koniach. Jeden z wnuków, chłopak dwunasto- czy czternastoletni, który bez cugli harcował na arabskiej klaczy około dziadka, był z pewnością najpiękniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widziałem.

Pan Damiani wyprzedził nas i między ogromnym tłumem, cisnącym się około naszych koni, podjechał wraz z nami aż do drzwi swojego domu, gdzie nowi przyjaciele pożegnali nas i zostawili troskliwości gospodarza.

Z domu pana Damianiego, niewielkiego, ale prześlicznie położonego na wzgórzu nad miastem, roztacza się widok na morze, ciągnący się od Gazy i Askalonu ku Egiptowi i od brzegów Syrii

ku północy. Tarasy otaczają pokoje i wznoszą się nad nimi, igra na nich swobodnie powiew morskiego wiatu. Z tych tarasów dostrzec można o dziesięć mil na morzu najmniejszy żaglowiec płynący przez zatokę Damietty. Pokoje są bez szyb, klimat sprawia, że nie są potrzebne. Powietrze jest zawsze tak ciepłe jak u nas w najpiękniejszych dniach wiosny; źle spojone okiennice są jedyną ochroną przed słońcem. Przygotowane dla siebie mieszkania ludzie dzielą z ptactwem niebieskim: w salonie pana Damianiego na drewnianych półeczkach wokół salonu setki małych jaskółek z czerwonym podgardlem siedziało obok naczyń, z chińskiej porcelany, srebrnych filizanek i cybuchów zdobiących gzymsy. Cały dzień unosiły się nad naszymi głowami, a podczas wieczerzy siedziały nawet na mosiężnych ramionach lampy oświetlającej biesiadę.

Rodzina składała się z ojca, pana Damianiego, wyglądającego trochę jak patriarcha, a trochę jak kupiec włoski, z tym jednak, że patriarcha bierze górę, z jego żony, pani Damiani, pięknej Arabki, matki dwunastu dzieci, której kształty i cera zachowały jeszcze blask i świeżość piękności tureckiej, z wielu młodych dziewcząt, odznaczających się niemal bez wyjątku wielką urodą, oraz z trzech synów, z których najstarszego już poznaliśmy. Dwaj pozostali byli dla nas równie uprzedzający i usłużni. Kobiety nigdy nie wchodziły do pokoi. Raz tylko ukazały się w ceremonialnych strojach, zdobne w najcenniejsze klejnoty, i raz tylko usiadły z nami do stołu. Później zajmowały się przyrządzaniem dla nas posiłków na małym wewnętrznym dziedzińcu, gdzie widywaliśmy je, gdy wychodziły i wchodziły do domu. Młodzieńcy, wychowani w uszanowaniu, jakie zwyczaje wschodnie nakazują synom względem ojca, nigdy z nami do stołu nie siadali. Stali za ojcem i pilnie uważali, aby gościom niczego nie zabrakło.

Zaledwie znaleźliśmy się w domu, zaczęli nas odwiedzać liczni mieszkańcy Jaffy, aby nas powitać i ofiarować swoje usługi. Po kawie przyniesiono fajki i wieczór upłynął na nader dla nas zajmujących rozmowach, w których odpowiadano na nasze pełne ciekawości pytania. Gubernator Jaffy, któremu przez tłumacza złożyłem uszanowanie, przybył niebawem z wizytą. Był to. młody, piękny Arab w niezwykle bogatym stroju; jego obejście i mowa świadczyły o wykwintnym obyczaju. Mało widziałem tak pięknych głów męskich. Jego czarna, starannie utrefiona broda wiła się w lśniących puklach i tworzyła na piersiach szeroki wachlarz; palcami, na których połyskiwały ogromne diamenty, wciąż-

przebierał w puklach tej brody, głaszcząc ją ustawicznie, aby jej nadać giętkość i gładkość. Spojrzenie miał dumne, łagodne i szczerze, jak wszyscy Turcy. Odnosi się wrażenie, że ci ludzie nie mają nic do ukrycia; są szczerzy, ponieważ są silni; są silni, ponieważ nigdy nie pokładają ufności w sobie ani w swoich umiejętnościach, lecz tylko w Bogu, który kieruje wszystkim, w Opatrzności, którą zwą Przeznaczeniem. Gdy postawić jednego Turka między dziesięcioma Europejczykami, zawsze można go poznać po wyniosłym spojrzeniu, po powadze myśli z nawyku wyrtej na jego twarzy i po szlachetnej prostocie zachowania. Gubernator otrzymał od Muhammada Alego i od Ibrahima Paszy listy szczególnie mnie polecające. Mam te listy. Poleciłem, aby mu odczytano inny list Ibrahima, który miałem ze sobą. Oto jego treść:

„Dowiedziałem się, że nasz przyjaciel (tu moje nazwisko) przybył z Francji ze swoją rodziną i wieloma towarzyszami podróży, aby zwiedzić kraje pozostające pod moją władzą i poznać nasze prawa i nasze obyczaje. Chciałbym, abyś ty i wszyscy gubernatorowie miast i prowincji, dowódcy moich flot, generałowie i o-ficerowie moich wojsk okazywali mu wszelkie oznaki przyjaźni i świadczyli wszelkie przysługi, jakie mi nakazuje życzliwość dla niego i dla jego narodu; dostarczycie mu, jeżeli zażąda, mieszkania, koni, żywności, których będzie potrzebować on i jego ludzie. Dostarczycie mu sposobów i środków zwiedzania wszystkich części naszych państw, które zechce zwiedzić; dacie mu straż w takiej liczbie, jakiej jego bezpieczeństwo, za które odpowiecie głową, będzie wymagać, a nawet, gdyby natrafił na jakieś przeszkody, które czynić mogą Arabowie, utrudniając mu dotarcie do niektórych prowincji nam podległych, wydadcie rozkaz waszym oddziałom, aby umożliwiły mu odbycie tych wypraw itd.”

Gubernator, przeczytawszy ten list, podniósł go do czoła i oddał mi. Potem zapytał, co mógłby uczynić, aby należycie spełnić polecenie swojego władcy, i które okolice pragnąłbym zwiedzić. Wspomniałem o Jerozolimie i o Judei. Na te słowa on, jego oficerowie, państwo Damiani i obecni też ojcowie z klasztoru Ziemi Świętej w Jaffie oświadczyli jednogłośnie, że to niemożliwe, że w Jerozolimie, w Betlejem i na całej drodze niedawno wybuchła zaraza, która szerzy się w sposób zatracający, że dotknęła nawet Ramię, pierwsze miasto, przez które trzeba przejechać, u-dając się do Jerozolimy, że pasza kazał właśnie zatrzymywać w kwarantannie wszystkich, co wracali z Palestyny, że nawet gdybym okazał się tak śmiały i dotarł tam, a równocześnie tak iszczęśliwy, że uniknąłbym zarazy, to dopiero po kilku miesią-

cach mógłbym wrócić do Syrii, że wreszcie wszystkie klasztory, w których podróżujący po Ziemi Świętej są gościnnie podejmowani, zostały zamknięte, że w żadnym nas nie przyjmą i że z konieczności trzeba tę zamierzoną przeze mnie podróż w głąb Judei odłożyć do czasu i okresu bardziej sposobnego.

Te wiadomości bardzo mnie zmartwiły, ale nie zachwiały mojego postanowienia. Odpowiedziałem gubernatorowi, że choć w innej wierze urodzony, podobnie jak on wielbię najwyższą wolę Allacha, że jego wiara nazywa ją Przeznaczeniem, a moja — Opatrznością, ale te dwa odmienne słowa wyrażają tę samą myśl: „Bóg jest wielki! Bóg jest Panem! Allah kerim!”, że przybyłem z tak daleka, przez tyle mórz, tyle gór i tyle równin, aby zwiedzić źródła, z których chrześcijaństwo wypłynęło na świat, aby zobaczyć święte miasta chrześcijan i porównać te miejsca z ich opisami w księgach, że już za daleko się zapuściłem, aby się cofnąć i powierzyć niepewności czasów i rzeczy zamiar prawie dopełniony, że życie człowieka jest tylko kroplą w morzu, ziarnkiem piasku na pustyni i nie warto go odmierzać, i że wreszcie musi się stać to, co mi pisane; jeżeli Allach zechce mnie ustrzec od zarazy pośród zapowietrzonych w Judei, to nie sprawi Mu to większej trudności, niż kiedy ocalił mnie pośród burzy morskiej czy od kul arabskich nad brzegiem Jordanu, toteż trwam niezmiennie w zamiarze dotarcia do wnętrza kraju, a nawet do Jerozolimy, jakimkolwiek bądź groziłoby mi to niebezpieczeństwem, ale, dodałem, dotyczy to tylko mnie, natomiast nie mogę i nie chcę rozstrzygać o innych, a więc wszystkim moim przyjaciółom, służącym, Arabom, którzy mi towarzyszą, zostawiam całkowitą swobodę wyruszenia ze mną lub pozostania w Jaffie, stosownie do tego, co im serce dyktuje.

Zdumiony moim zdaniem się na wolę Allacha, gubernator rzekł, iż nie zniósłby, abym sam wystawiał się na niebezpieczeństwo drogi i zarazy, i że każe natychmiast wybrać z wojska stojącego w Jaffie kilku odważnych i karnych żołnierzy i odda ich pod moje dowództwo, oni zaś będą pilnowali całej wyprawy i strzegli nocą namiotów, aby nas uchronić od wszelkiego zetknięcia się / zapowietrzonymi. Wyprawił też natychmiast jeźdźca do gubernatora Jerozolimy, swojego przyjaciela, donosząc mu o mojej podróży i polecając mnie jego względem, po czym odszedł. Gdy wszyscy już się pożegnali, moi przyjaciele i ja, a nawet nasi służący zaczęliśmy się naradzać i wypowiadać, co każdy zamierza uczynić. Po pewnym wahaniu wszyscy jednomyślnie postanowili próbować szczęścia i raczej narazić się na niebezpieczeństwo za-



razy niż wyrzec się oglądania Jerozolimy. Postanowiliśmy, że wyruszymy pojutrze. Noc spędziliśmy na matach i dywanach pana Damianiego i przebudziło nas dopiero świągotanie niezliczonych jaskółek, unoszących się w pokoju nad naszymi głowami.

Przez cały dzień składaliśmy wizyty osobom, które nas odwiedziły: gubernatorowi, przeorowi klasztoru Ziemi Świętej w Jaffie, czcigodnemu zakonnikowi hiszpańskiemu, mieszkającemu tu od czasu wejścia Francuzów, który upewnił nas, że oddech dotkniętych zarazą naprawdę zabija.

Jaffa czy Jafa, dawna Joppa z Pisma świętego<sup>29</sup>, jest jednym z najdawniejszych i najświetniejszych portów świata. Pliniusz wspomina o niej jako o mieście przedpotopowym.<sup>30</sup> Według podań tu była przywiązana Andromeda do skały i wydana na pożarcie morskiemu potworowi, tu Noe zbudował arkę, tu z rozkazu Salomona przywożono cedry z gór Libanu, przeznaczone do budowy świątyni.<sup>31</sup> Prorok Jonasz tu wyszedł na brzeg osiemset sześćdziesiąt dwa lata przed Chrystusem. Tu święty Piotr wskrzesił Tabitę.<sup>32</sup> Święty Ludwik za czasów wojen krzyżowych obwarował to miasto. W roku 1799 Bonaparte wziął je szturmem i w pień wyciął jeńców tureckich.<sup>33</sup> Port Jaffy jest niedogodny, nadaje się tylko dla łodzi, a obszar wodny przylegający do portu bardzo niebezpieczny, czego sami doświadczyliśmy podczas powtórnej naszej podróży morzem. Jaffa liczy pięć do sześciu tysięcy mieszkańców: Turków, Arabów, Ormian, Greków, katolików i Maronitów. Każda z tych wspólnot ma tu swoją świątynię. Klasztor katolicki jest wspaniały. Upiększono go jeszcze podczas naszego tu pobytu, toteż nie mogliśmy być przyjęci przez tutejszych zakonników.<sup>34</sup> Ich rozległe pomieszczenia pozostały zamknięte zarówno dla nas, jak dla wszystkich innych cudzoziemców, których spotkaliśmy w Jaffie. Stały puste, kiedy pielgrzymi z trudem znajdowali schronienie w jakimś nędznym kanie tureckim lub też uciążliwą gościnę gdzieś pod biednym dachem kogoś z żydowskich czy ormiańskich mieszkańców Jaffy.

Zaraz za murami Jaffy rozciąga się wielka pustynia egipska. Postanowiwszy tą drogą udać się do Kairu, wysłałem umyślnego do El-Arisz, aby tam najął dromadery do przebycia pustyni.<sup>35</sup> Drogę z Jaffy do Kairu można tym sposobem przebyć w dwanaście lub piętnaście dni, ale jest to połączone z wielkimi niewygodami i trudnościami. Złagodziły je dla mnie rozkazy gubernatora Jaffy i uprzejmość znakomitych mieszkańców tego miasta, pozostających w przyjaznych stosunkach z mieszkańcami Gazy i El-Arisz.

Gubernator przysłał nam kilku jeźdźców i ośmiu pieszych, których wybrano pomiędzy najwaleczniejszymi i najbardziej wykształconymi żołnierzami ze stojących tu pod jego rozkazami wojsk egipskich. Już tej nocy rozłożyli się u naszych drzwi. Ze wschodem jutrzeńki dosiedliśmy koni. U bramy miasta, od strony Ramii, ujrzeliśmy gromadę jeźdźców należących do wszystkich wspólnot zamieszkujących Jaffę. Ścigając się i podrzucając dzi-ryty, towarzyszyli nam przez godzinę aż do wspaniałej studni, ocienionej sykomorami i palmami. Tu na naszą cześć oddali salut z pistoletów i wrócili do miasta. Niepodobna opisać niewidzianej dotąd wspaniałej roślinności po obu stronach drogi przy wyjeździe z Jaffy. Z lewa i z prawa istny to las najrozmaitszych drzew owocowych i wszystkich kwitnących krzewów Wschodu. Las ten, porozdzielany żywopłotami mirtów, jaśminów i granatów, nawadniają strumienie wypływające z pięknych studni tureckich, o których już wspominałem. W każdej takiej ogrodzonej działce widać jakiś pawilon czy namiot, w których właściciele spędzają zwykle kilka tygodni na wiosnę lub jesienią. Trzy słupki i kawałek płótna tworzą dom wiejski tych szczęśliwych rodzin; kobiety spiąją na matach i poduszkach pod namiotem, mężczyźni na świeżym powietrzu pod sklepieniem granatów i drzew cytrynowych. Melony, arbuzy, trzydzieści dwa gatunki fig, które oceniają te czarowne miejsca, dostarczają im żywności; czasem tylko dodają do tego baranka, chowanego przez dzieci, którego, jak za czasów Pisma świętego, składają w ofierze w dni uroczystych świąt. Wielbiciel przyrody i samotności Jaffę powinien by wybrać z całego Wschodu na mieszkanie zimowe. Klimat w jesieni jest tu czymś pośrednim między skwarem pustyń Egiptu i deszczami wybrzeży Syrii. Gdybym mógł obrać miejsce pobytu według mojej woli, wiosną i jesienią mieszkałbym u stóp Libanu, w Saidzie, Bejrucie lub Latakii, podczas letnich upałów — na szczytach Libanu chłodzonych wiatrem od morza, powiewem z Doliny Cedrów i sąsiedztwem śniegu, a zimą przebywałbym w ogrodach Jaffy.

Niebo i ziemia Jaffy mają w sobie więcej majestatu, uroczystej powagi i barwności niż którakolwiek ze zwiedzanych przeze mnie okolic. Wzrok spoczywa tu tylko na morzu bezkresnym i błękitnym jak niebo nad nim, na ogromnych obszarach pustyni Egiptu, gdzie na widnokręgu tylko niekiedy pojawia się zarys wielbłąda, poruszającego się ruchem falistym, niczym wielki bałwan morski, i na zielonych i żółtych koronach nieprzeliczonych gajów pomarańczowych, skupionych wokół miasta. Ubioru wszystkich mieszkańców lub podróżnych pojawiających się na tutej-

szych drogach są malownicze i niezwykle. Widać tu Beduinów z Jerycha lub Tyberiady w obszernych płaszczach z białej wełny, Ormian w długich sukniach w niebieskie i białe pasy, Żydów ze wszystkich części kuli ziemskiej i we wszystkich ubiorach świata, odznaczających się jedynie długimi brodami, szlachetnością i powagą rysów: pomimo niewoli w spojrzeniu tego królewskiego ludu widać pamięć i pewność wielkich przeznaczeń pod pozornie pokornym wyglądem i świadomością obecnego poniżenia; żołnierze egipscy w czerwonych kaftanach z bystrości oka i szybkości chodu są całkiem podobni do naszych rekrutów francuskich: widać, że geniusz i wola działania wielkiego człowieka<sup>36</sup> przeszły w nich i zapalają ich dusze do nieznanego celu. Na koniec dumni tureccy agowie na swoich rumakach z pustyni z towarzyszącymi im Arabami i czarnymi niewolnikami; biedne rodziny pielgrzymów greckich, które siedzą na rogu ulicy, jedząc z drewnianej miski ryż lub jęczmień gotowany tak oszczędnie, aby im starczyło zapasu aż do Ziemi Świętej, i ubogie, na pół odziane Żydówki, co upadają pod brzemieniem wora łachmanów, pędząc przed sobą osły, z przewieszonymi przez grzbiet koszami pełnymi dzieciaków rozmaitego wieku. Ale wróćmy do nas.

Jechaliśmy rażno, próbując niekiedy porównać szybkość naszych koni z szybkością koni arabskich pana Damianiego i synów wicekonsula sardyńskiego. Obaj ci młodzieńcy, synowie bogatego, osiadłego teraz w Jaffie kupca arabskiego z Ramii, chcieli towarzyszyć nam aż do Ramii; rano wysłali tam swoich niewolników, aby na nasze przyjęcie przygotowali wieczerzę i nocleg w domu ich ojca. Jechała jeszcze z nami jedna osoba, która dobrowolnie przyłączyła się do naszej kawalkady i zadziwiła nas niezwykłą okazałością europejskiego ubioru: był to niski młodzian lat dwudziestu lub dwudziestu pięciu, z twarzą jowialną, groteskową, lecz wyrażającą subtelność i dowcip. Na głowie miał ogromny zawój z żółtego muślinu, frak zielony, krojem naszych fraków dworskich, ze stojącym kołnierzem i szerokimi połami, oblamowany szerokim galonem na wszystkich szwach, spodnie obcisłe z białego aksamitu oraz buty ze sztylpami ozdobione ostrogami ze srebrnymi łańcuszkami. Zamiast kordelasa miał sztylet, a para pistoletów z osadą inkrustowaną srebrnym cyzelunkiem wyglądała zza pasa i dotykała jego piersi.

W dzieciństwie opuściwszy Włochy, rzucony jakimś niewiadomym trafem do Egiptu, od kilku lat przebywał w Jaffie lub w Ramii, stosując swoje lekarskie umiejętności w górach Judei wobec szejków i Beduinów, którzy bardzo skromnie go wynagradza-

Ii. W rozmowie był bardzo zabawny, chciałem więc zabrać go z sobą do Jerozolimy i w góry nad Morzeni Martwym, które zdawał się znać dokładnie, ale od wielu lat mieszkając na Wschodzie, żywił zwykłą tu, nieprzewycięzoną obawę, że Frankowie zawsze bywają dotknięci zarazą, toteż nie mogłem go w żaden sposób skłonić, aby nam towarzyszył. „W czasie zarazy — powiedział — przestaję być doktorem, znam tylko jedno na nią lekarstwo; wyjechać jak najprędzej i jak najdalej i przebywać tam tak długo, aby się nie zarazić.” Spoglądał na nas z politowaniem jak na ofiary, którym los przeznaczył szukać śmierci w Jerozolimie, i spodziewał się, że z tak liczного naszego grona zaledwie kilku zobaczy znowu. „Przed kilkoma dniami — mówił — byłem w Akce; jakiś podróżny wracający z Betlejem zapukał do wrót klasztoru ojców franciszkanów; otworzyli mu, było ich siedmiu. Trzeciego dnia zamurowano wrota z rozkazu gubernatora. Pielgrzym i siedmiu zakonników zmarło w ciągu dwudziestu czterech godzin.”

Tymczasem zaczynaliśmy dostrzegać wieże i minarety Ramii, wznoszące się z głębi lasu oliwnego, którego drzewa miały pnie lak grube jak nasze najstarsze deby.

Ramia, zwana niegdyś Ramą Efraimową, to dawna Arymateja z Nowego Testamentu<sup>37</sup>; mieszka w niej około dwóch tysięcy rodzin. Filip Dobry, książę Burgundii, założył tu klasztor, który istnieje dotychczas<sup>38</sup>; Ormianie i Grecy mają także klasztory w Ramii dla wspierania pielgrzymów swoich narodów, którzy idą do Ziemi Świętej. Dawne kościoły przekształcono na meczety; w jednym z nich jest grobowiec z białego marmuru Mameluka Ajub Beja, który uciekł z Egiptu za przybyciem Francuzów<sup>39</sup> i umarł w Ramii.

Wjeżdżając do miasta, wypytywaliśmy, czy zaraza szerzy już tu swoje spustoszenia: dwaj zakonnicy, którzy właśnie tego dnia wrócili z Jerozolimy, umarli; klasztor był objęty kwarantanną. Nasi nowi przyjaciele z Jaffy zaprowadzili nas do swojego domu położonego w środku miasta. Pewien Arab, były kotlarz, jak mówią, ale uprzejmy, sympatyczny człowiek, zajmował połowę tego domu i pełnił obowiązki ajenta konsularnego któregoś z krajów europejskich; dawało mu to prawo zatknięcia na dachu budynku chorągwi europejskiej, najpewniejszej osłony przeciw zniewagom Turków i Arabów. Czekala nas wyśmienita wieczerza; z przyjemnością ujrzelśmy krzesła, łózka, stoły i wszystkie sprzęty europejskie, a nadto zabraliśmy jeszcze zapas świeżego chleba, którym obdarzyli nas nasi uprzejmi gospodarze.

Nazajutrz rano, pożegnawszy przyjaciół z Jaffy i z Ramii, którzy dalej nas nie odprowadzali, ruszyliśmy w drogę, eskortowani tylko przez jezdnych i żołnierzy piechoty egipskiej. Ułożyłem taki porządek: pięćdziesiąt kroków przed kawalkadą dwóch jezdnych, mających za zadanie usuwać z drogi Arabów i pielgrzymujących Żydów, których moglibyśmy napotkać, i utrzymywać ich w pewnej odległości od naszych ludzi i koni; po bokach, z prawej i z lewej strony, żołnierze piesi; my jechaliśmy zawsze w tym samym ordynku, jeden za drugim, obłogi w środku. Niewielki oddział naszych najlepszych jeźdźców tworzył ariergardę i miał rozkaz nie pozwalać nikomu pozostawać w tyle, ani ludziom, ani mułom. Na widok każdego podejrzanego zgrupowania Arabów kawalkada miała się zatrzymać i ustawić w szyku bojowym, a ja, tłumacz i jezdni dokonalibyśmy rekonesansu. Tym sposobem nie mieliśmy powodu nazbyt obawiać się Beduinów i muszę przyznać, że żołnierze egipscy, jezdni tureccy i nasi Arabowie tak ściśle i dokładnie przestrzegali takiego porządku marszruty, że przynieśliby zaszczyt każdemu, nawet najbardziej zdyscyplinowanemu oddziałowi. Porządek ów nie był ani razu naruszony w ciągu z górą dwudziestu pięciu dni, nawet w najuczuliwszych sytuacjach; nigdy nie musiałem nikogo upominać. Tym właśnie środkiem zawdzięczamy, że nic się nam przytrafiło.

Wkrótce po zachodzie słońca dotarliśmy do krańca równiny Ramii, do studni wykutej w skale, która nawadnia niewielkie pole, gdzie rosły dynie. Byliśmy u podnóża gór Judei; z prawej strony ujrzelśmy małą dolinę, sto kroków szeroką; zjechaliśmy w nią; tu właśnie zaczyna się panowanie arabskich rozbójników zamieszkujących w tych górach. Ponieważ noc była blisko, uznaliśmy, że należy rozbić obóz w tej dolinie: o jakie dwieście kroków od studni rozpięto namioty. Wystawiliśmy czatę na wzgórkach panującym nad drogą do Jerozolimy i kiedy zajmowano się przygotowaniem wieczerzy, posłaliśmy strzelać kuropatwy na wzgórze na wprost naszego obozowiska; ustrzeliliśmy kilka, wypłoszywszy ze skał mnóstwo gnieźdzących się tu małych orłów. Wzbijały się w górę, krążąc i szczekając nad naszymi głowami i po każdym strzale natychmiast wracały. Wszystkie zwierzęta lękają się ognia i huku broni, tylko orzeł zdaje się nimi pogardzać i igrać z niebezpieczeństwem, bądź że go nie zna, bądź że je wyzywa. Z wierzchołka jednego z tych wzgórz, na których polowaliśmy, podziwiałem malowniczy widok naszego obozu; pikiety jazdy arabskiej na wzgórkach, konie tu i ówdzie przywiązane wokół naszych namiotów, mukrowie siedzący na ziemi i zajęci czysz-

cenieniem rzędów oraz broni, blask ogniska przezierającego przez płótno jednego z namiotów, nad którym unosił się pochylony wiatrem słup lekkiego, błękitnawego dymu. Jakże bym lubił to koczownicze życie pod takim niebem, gdyby można mieć przy sobie wszystkich, których się kocha i z którymi rozstania żałuje się na ziemi! Cała ziemia należy do ludów pasterskich i wędrownych, jak Arabowie z równin Mezopotamii. Jeden dzień ich życia więcej ma w sobie poezji niż wszystkie lata spędzone przez nas w mieście. Żądając za wiele od życia cywilizowanego, człowiek sam przykuwa się do ziemi, nie może się od niej oderwać bez utraty tych nieprzeliczonych wygod, których użycie stało się dla niego potrzebą. Nasze domy są dobrowolnymi więzieniami. Chciałbym, aby życie, jak to obecne, było podróżą bez końca i gdyby mnie z Europą nie wiązały uczucia, wiódłbym je takie właśnie, póki by mi na to pozwolił majątek i siły.

Staliśmy tu, gdzie przebiegała granica dzieląca ziemie pokoleń Efraima i Beniamina. Studnia, przy której wznosiły się nasze namioty, dotychczas nazywa się Studnią Hioba.

Wyruszyliśmy przede dniem; dwie godziny jechaliśmy wąską, nieurodzajną, kamienistą doliną, która słynie jako miejsce rozboju Arabów, najbardziej wystawione na ich napady, mogą bowiem docierać tam mnóstwem małych, krętych dolin, ukrytych za grzbietem nie zamieszkanymi pagórków, czatować poza skałami i gęstwiną krzewów i zniecka wypadać na karawany. Sławny Abu Gosz, naczelnik plemion arabskich zamieszkujących te góry, ma w swoim ręku klucz do owych wąwozów, które prowadzą do Jerozolimy, otwiera je lub zamyka według własnego widzimisie, nakładając okup na podróżnych. Jego główna kwatery znajduje się o kilka mil od nas, w wiosce Jeremiasza.<sup>40</sup> Co chwila spodziewamy się jego konnych, ale nie spotkaliśmy nikogo poza jakimś młodym agą, krewniakiem gubernatora Jerozolimy, na przesłicznej klaczy, w towarzystwie siedmiu czy ośmiu jezdnych. Powitał nas uprzejmie i tak się ustawił ze swoją świtą, aby nas przepuścić, nie dotknąwszy ani naszych koni, ani odzieży.

O godzinę drogi przed wioską Jeremiasza dolina jeszcze bardziej się zwęża i drzewa osłaniają drogę swymi gałęziami. Znajduje się tu jakaś stara studnia i szczątki zrujnowanego pawilonu; po godzinnym wdzieraniu się po stromej, wyboistej ścieżce, wykutej w skałe pośród lasów, nagle u jej podnóża spostrzega się wioskę i kościół pod wezwaniem świętego Jeremiasza po przeciwnej stronie pagórka. Kościół, obecnie meczet, był, jak się zdaje, wzniesiony z niezwykłą okazałością za czasów Królestwa Jerozolim-

skiego, podczas panowania Lusignanów.<sup>41</sup> Wioska składa się z czterdziestu, pięćdziesięciu domów, dość obszernych, jak gdyby zawieszonych na stokach dwóch wzgórz tworzących dolinę. Kilka rosnących tu i ówdzie drzew figowych i kilka winnic świadczą o uprawie gruntu; ujrzeliśmy trzody w obejściach, kilku Arabów we wspaniałych kaftanach paliło fajki na tarasie głównego domu, o sto kroków od drogi, którą zjeżdżaliśmy. Piętnaście, dwadzieścia koni, okiełznanych i osiodłanych, stało uwiązanych na dziedzińcu, Arabowie, gdy tylko nas spostrzegli, zeszli z tarasu, dosiedli koni i z wolna ku nam podjechali. Spotkaliśmy się na wielkim polu nieuprządnym, naprzeciw wioski, ocienionym pięciu, sześciu pięknymi drzewami figowymi.

Był to sławny Abu Gosz i jego rodzina. Jechał ku mnie sam, tylko z bratem: jego świta została za nim. Natychmiast kazałem zatrzymać się moim ludziom i ruszyłem naprzeciw z moim tłumaczem. Po zwykłych powitaniach i nie kończących się uprzejmościach, które poprzedzają każdą rozmowę z Arabami, Abu Gosz zapytał mnie, czy nie jestem emirem francuskim, którego mu poleciła jego przyjaciółka, lady Stanhope, królowa Palmiry, załączając w jego imieniu przepyszny kaftan z przetykanego złotem sukna, który miał na sobie i pokazywał mi z dumą i wdzięcznością. Nie wiedziałem o tym darze lady Stanhope, uczynionym tak łaskawie w moim imieniu, ale odpowiedziałem, że w istocie jestem owym cudzoziemcem, którego ta dostojna kobieta powierzyła wspaniałomyślności swoich przyjaciół z wioski Jeremiasza, że zamierzam zwiedzić całą Palestynę, gdzie uznawano władzę Abu Gosza, i że proszę, aby zechciał wydać stosowne rozkazy, by lady Stanhope nie miała powodu czynienia mu wyrzutów. Na te słowa zsiadł z konia, podobnie jak i jego brat, przywołał kilku jeźdźców ze swojej świty, kazał im przynieść maty, kobierce i poduszki, rozciągnął je w cieniu wielkiego drzewa figowego, pod którym zatrzymaliśmy się, i tak gorąco nalegał, abyśmy również zsiadli z koni i zajęli miejsca na przygotowanym naprędce siedzeniu, że niepodobna mu było odmówić.

Ponieważ zaraza szerzyła się w wiosce Jeremiasza, Abu Gosz, wiedząc, że Europejczycy podlegali kwarantannie, unikał jak najstaranniej najmniejszego zetknięcia się z nami i kazał, aby kobierce dla niego i dla jego braci rozłożono naprzeciw nas, w pewnej odległości; co do nas, przyjeźliśmy tylko maty ze słomy i trzciny, ponieważ powszechne tu jest mniemanie, że nie przenoszą zarazy. Przyniesiono kawę i sorbety. Rozmawialiśmy dość długo, potem Abu Gosz poprosił, abym oddalił towarzyszących mi ludzi,

polecając również swoim, aby się oddalili, a następnie udzielił mi kilku sekretnych objaśnień, których nie mogę tu przytoczyć. Po krótkiej rozmowie przywołaliśmy: on — swoich braci, *jal* — moich przyjaciół. „Czy mnie znają w Europie?” — zapytał. „Tak jest — odpowiedziałem. — Jedni mówią, że jesteś rozbójnikiem, co rabuje i morduje karawany, uprowadza Franków w niewolę, okrutnym nieprzyjacielem chrześcijan, drudzy zapewniają, że jesteś walecznym, szlachetnym władcą, powściągającym rozboje zamieszkujących w górach Arabów, zabezpieczającym drogi, opiekującym się karawanami, przyjacielem wszystkich Franków godnych przyjaźni.” „A ty — rzekł do mnie z uśmiechem — co powiesz, o mnie?” „Powiem, co widziałem; że jesteś równie gościnnie i równie potężny jak jakiś władca Franków, że cię spotwarzono, że zasługujesz na przyjaźń wszystkich Europejczyków, którzy, podobnie jak ja, doznali twojej uprzejmości i opieki twojego oręża.”

Abu Gosz wydawał się zachwycony. Jego bracia i on zadali mi jeszcze mnóstwo pytań o zwyczaje europejskie, o nasze ubiory, o naszą broń, która im się bardzo podobała, i rozstaliśmy się. Gdy już odjeżdżał, dał rozkaz jednemu ze swoich bratanków i kilku konnym, aby jechali z nami na czele naszej kawalkady i przez cały czas mojego pobytu, bądź w Jerozolimie, bądź w okolicach, nieodstępnie mi towarzyszyli; podziękowałem mu i ruszyliśmy w drogę.

Abu Gosz rządzi czterdziestu tysiącami Arabów w górach Judei, od Ramii do Jerozolimy, od Hebronu do gór Jerycha. Jego potęga stanowi jedyną legitymację tej władzy, która od kilku pokoleń jest udziałem jego rodziny. W Arabii nie spierają się o pochodzenie lub o prawowitość władzy; uznają ją, podlegają jej, dopóki trwa. Jeśli jedna rodzina przewyższa inne dawnością, liczebnością, bogactwem i męstwem, wówczas głowa tej rodziny zyskuje oczywiście większy wpływ nad plemieniem, a plemię lepiej rządzone, zręczniejsze lub waleczniej dowodzone w boju ustala swoją niezaprzeczoną władzę. Oto źródło pochodzenia przewagi jednych naczelników i plemion nad innymi, uznane powszechnie w Azji. Władza powstaje i utrzymuje się jako rzecz naturalna, wszystko wynika z rodziny, a skoro raz uznano to i potwierdzono w obyczajach i nawykach, nikt temu nie zaprzecza; posłuszeństwo staje się jak gdyby rodzajem powinności synowskiej i religijnej. Trzeba wielkich wydarzeń i niezwykle niepomysłnych obrotów losu, aby obalić jakąś rodzinę, toteż ta swoiście utworzona arystokracja trwa przez wieki. Dopiero po zwiedzeniu tych



krajów, można należycie zrozumieć istotę władzy feudalnej; widzimy, jak w średniowieczu powstawały te wszystkie rodziny, te władze miejscowe, które panowały nad zamkami, wsiami i prowincjami: to pierwszy stopień cywilizacji. W miarę doskonalenia się społeczeństwa większe władze pochłonęły mniejsze; powstała zwierzchność municypalna, broniąca praw miejskich przeciw u-padającemu wpływowi rodów feudalnych. Później powstały wielkie królestwa, które z kolei obaliły przywileje już bezużytecznych zwierzchności miejskich, potem nastąpiły inne fazy przemian społecznych, których objawy są nieprzeliczone i jeszcze nam nie znane.

Oto jesteśmy już daleko od Abu Gosza i poddanego mu ludu zorganizowanych rozbójników. Jego bratanek jechał przed nami drogą ku Jerozolimie. O milę blisko od wioski Jeremiasza skręcił z drogi w prawo między skały, na ścieżkę przecinającą jakąś górę pokrytą mirtami i drzewami terpentynowymi. Pojechaliśmy za nim. Z tego, co nam powiedział Abu Gosz o Jerozolimie, wynikało, że wjazd do niej był zupełnie niemożliwy. Zaraza rozszerzała się z każdą chwilą, dziennie umierało tam jakie sześćdziesiąt, osiemdziesiąt osób, wszystkie szpitale i klasztory były zamknięte. Postanowiliśmy więc udać się najpierw na pustynię Świętego Jana Chrzciciela o jakie dwie mile od Jerozolimy, w najbardziej stromych górach Judei, prosić o kilkudniowe schronienie w tamtejszym klasztorze franciszkanów<sup>42</sup>, a potem działać stosownie do okoliczności. Bratanek Abu Gosza wiódł nas właśnie drogą do tej samotni.

Po dwugodzinnej jeździe jakimiś okropnymi ścieżkami w słonecznym skwarze ujrzeliśmy po przeciwnej stronie góry małe źródło i kilka rzucających cień drzew oliwnych: tu zatrzymaliśmy się. Widok był stąd wspaniały: pod nami ciągnęła się mroczna głęboka Dolina Terebintu, gdzie Dawid z procy zabił olbrzyma filistyńskiego.<sup>43</sup> Stanowisko dwóch wojsk na zboczach w obrębie doliny jest w opisie tak ściśle, że oko nie może się wahać ani przez chwilę. Białawe łożysko wyschniętego potoku, z którego brzegów Dawid podniósł kamień, widniało pośród wąskiej doliny i oznaczało, jak w opisie biblijnym, granicę dwóch obozów.<sup>44</sup> Nie miałem pod ręką ani Biblii, ani przewodnika podróży, nikt nie objaśnił mi ani położenia, ani starożytnych nazw dolin i gór, ale moja dziecięca wyobraźnia tak żywo i tak prawdziwie przedstawiała sobie wygląd tych okolic, miejsc, wydarzeń Starego i Nowego Testamentu, według opowieści i rycin zawartych w świętych księgach, że natychmiast poznałem Dolinę Terebintu

i pole bitwy Saula. Gdy stanęliśmy w klasztorze, ojcowie potwierdzili słusność moich domysłów. Moi towarzysze podróży nie mogli temu uwierzyć. To samo zdarzyło mi się w Sefforis, wśród wzgórz Galilei. Wskazałem palcem i wymieniłem nazwę wzgórza, na którym stał jakiś zrujnowany zamek, jako miejsce narodzenia Najświętszej Panny.<sup>45</sup> Następnego dnia to samo zdarzyło mi się z siedzibą Machabeuszów w Modin; mijając podnóże jakiejś jałowej góry, zwieńczonej resztkami zrujnowanego akweduktu, rozpoznałem grób ostatnich wielkich obywateli ludu żydowskiego<sup>46</sup> i nie wiedząc, oznaczyłem go trafnie. Wyobraźnia człowieka jest bliższa prawdy, niż sądzimy, nie zawsze buduje z marzeń, ale często, łącząc w przeczuciu rzeczy i obrazy, bardziej zbliża się do rzeczywistości, niż można by to osiągnąć wiedzą i logiką. Z wyjątkiem dolin Libanu, ruin Baalbeku, wybrzeży Bosforu w Konstantynopolu i Damaszku widzianego po raz pierwszy ze szczytów Antylibanu każda rzecz i każda okolica oglądane po raz pierwszy niemal zawsze wydawały mi się jak gdyby wspomnieniem czegoś, co już kiedyś widziałem. Czy żyliśmy dwa czy tysiąc razy? Czy nasza pamięć jest tylko zamglonym szkłem, które ożywia tchnienie Boga? Czy też mamy w naszej wyobraźni moc przeczuwania i widzenia rzeczy wpierw, nim je oglądamy naprawdę? Nie sposób odpowiedzieć na te pytania.

O drugiej po południu zjechaliśmy z urwistych zboczy Doliny Terebintu, przebyliśmy wyschłe łożysko potoku i po wykutych w skale stopniach dotarliśmy do widocznej już przed nami arabskiej wioski świętego Jana Chrzciciela.

Arabowie z okrutnym wyrazem twarzy spoglądali na nas z tarasów, dzieci i kobiety cisnęły się około nas w wąskich uliczkach siola, zakonnicy, przerażeni wrzawą, widząc z dachu mnóstwo koni i ludzi, w obawie, że niesiemy im zarazę, nie chcieli nam otworzyć żelaznych wrót klasztoru. Wróciliśmy więc i postanowiliśmy rozłożyć obozowisko na wzgórzu bliskim wioski.<sup>47</sup> Przeklinając nieczułość zakonników, posłałem mojego drogmiana, żeby jeszcze próbował się z nimi ułożyć, i nakazałem, aby nie szczędził im wyrzutów,- na które zasługiwali. Tymczasem cała ludność zeszała z dachów, szejkowie otaczali nas, mieszając swoje dzikie okrzyki z rżeniem wystraszonych koni; w całej naszej kawalkadzie zapanował okropny nieład; nabiliśmy broń. Bratanek Abu Gosza, wspiąwszy się na dach domu stojącego obok klasztoru, przemawiał kolejno to do zakonników, to znów do ludu. Na koniec zakonnicy skapitulowali i zgodzili się wpuścić nas do klasztoru: otworzyli nam małe drzwi żelazne; weszliśmy, schylając się,

jeden za drugim, zdjeliśmy juki z naszych koni i wprowadziliśmy je za sobą. Bratanek Abu Gosza i jego jezdni zostali na zewnątrz i obozowali u wrót klasztoru. Zakonnicy, bladzi i drżący, lękali się wszelkiego z nami zetknięcia; upewniliśmy ich pod słowem honoru, że od wyjazdu z Jaffy z nikim nie stykaliśmy się i że podczas naszego u nich pobytu nie udamy się do Jerozolimy. Na to zapewnienie spokój wrócił na ich strwożone oblicza; poprowadzili nas przez odległe korytarze klasztoru, każdemu dali celkę opatrzoną łóżkiem, stołem i ozdobioną kilkoma rycinami hiszpańskimi pobożnej treści. Naszych żołnierzy, naszych Arabów i konie umieścili w zapuszczonym ogrodzie klasztornym; owies i słomę rzucili przez mury; na dworze zarżnięto dla nas owce i cielę, które Abu Gosz przysłał nam w podarunku, i kiedy mój kucharz arabski z braciszkami zabrał się w kuchni klasztornej do przygotowania biesiady, poszliśmy wypocząć chwilę, każdy w swojej celce, chłodzonej wiatrem z gór, lub przyglądać się niezwykłemu krajobrazowi otaczającemu klasztor.

Klasztor Świętego Jana na pustyni jest filialnym klasztorem zakonników Ziemi Świętej w Jerozolimie. Ojcowie, których wiek, stan zdrowia lub też szczególne umiłowanie samotności czynią dobrowolnymi pustelnikami, bywają kierowani do tego klasztoru. Dom jest wielki i piękny, otoczony ogrodami wykutymi w skale<sup>48</sup>, dziedzińcami, tłoczniami do wyrobu znakomitego wina jerozolimskiego. Było w nim za naszego tu pobytu dwudziestu zakonników, przeważnie starców, Hiszpanów, którzy znaczną część życia spędzili sprawując obowiązki plebanów bądź w Jerozolimie, bądź w Betlejem, bądź w innych miastach Palestyny. Niektórzy byli nowicjuszami niedawno przybyłymi z klasztorów w Hiszpanii; tydzień przeszło spędzony z nimi sprawił, że powzięliśmy jak najlepsze mniemanie o ich wartości, o ich miłosierdziu i o ich czystym życiu. Przeor zwłaszcza stanowił najdoskonalszy wzór cnót chrześcijańskich; zdołała go prostota, łagodność, pokora, niezmienna cierpliwość, niezwykła uczynność, stała gorliwość, niestrudzona troskliwość o dobro braci i cudzoziemców bez względu na ich stan i majątek, najszczerza wiara, czynna, a zarazem kontemplacyjna, pogodne usposobienie i spokój zarówno w mowie, jak w wyrazie twarzy, których nigdy nie zdołała zmącić jakakolwiek przeciwność. Jest to jeden z tych rzadkich przykładów, w jaki sposób dusza ludzka doskonali się pod wpływem wiary: człowiek istnieje jeszcze w swoim kształcie widzialnym, dusza jest już przekształcona w coś nadludzkiego, anielskiego, ubóstwionego, co unika uwielbienia, lecz je nakazuje. Wszyscy, zarówno pa-

nowie, jak służący, chrześcijanie i Arabowie, byliśmy jednakowo zadziwieni powszechnie udzielającą się świątobliwością tego wzorowego zakonnika; jego dusza okrywała jak gdyby swoimi skrzydłami wszystkich ojców i braci, bo w każdym z nich podziwialiśmy coś z zalet ich przełożonego, toteż ten przybytek miłosierdzia i pokoju zostawił nam niezatarte wspomnienie. Stan zakonny w obecnej naszej epoce zawsze wywoływał niechęć mojego umysłu i rozsądku, lecz widok klasztoru Świętego Jana Chrzciciela pokonałby te uprzedzenia<sup>49</sup>, gdyby nie stanowił wyjątku i gdyby to, co jest sprzeczne z naturą, rodziną, społeczeństwem, mogło kiedykolwiek stać się instytucją godną usprawiedliwienia. Zresztą klasztory Ziemi Świętej są użyteczne jako schroniska dla pielgrzymów przybywających z Zachodu, jako przykład cnót chrześcijańskich, który dać mogą ludom cnót tych nie znającym, wreszcie ze względu na stosunki, które one tylko podtrzymują między niektórymi obszarami Wschodu i narodami Zachodu.

Pod wieczór ojcowie zbudzili nas i zaprowadzili do refektarza, gdzie braciszkuje i nasi służący przygotowali wieczerzę. Wieczerza owa, jak wszystkie inne w tym klasztorze, składała się z omeletów, z kawałków baraniny, osadzonych na małym rożnie żelaznym i upieczonych, i z pilawu z ryżem. Dano nam pierwszy raz wybornego białego wina z okolicznych winnic; jest to jedyne wino znane w Judei.<sup>50</sup> Tylko zakonnicy u Świętego Jana na pustyni potrafią je wyrabiać; dostarczają je do wszystkich klasztorów w Palestynie; kupiłem beczułkę, którą wysłałem do Europy. Podczas wieczerzy wszyscy zakonnicy przechadzali się po refektarzu, kolejno z nami rozmawiając; ojciec przełożony pilnował, żeby niczego nam nie brakowało, i nawet sam często usługiwał<sup>51</sup>, a także przyniósł nam przechowywane w szafach klasztornych likiery, czekoladę i te wszystkie przysmaki, które pozostały z ostatniej przesyłki, co nadeszła statkiem z Hiszpanii. Po wieczerzy poszliśmy z nimi na tarasy klasztoru; zakonnicy tu zazwyczaj używają przechadzki podczas zarazy i często przez kilka miesięcy w roku tak są zamknięci. „Zresztą — mówili — to zamknięcie nie jest wcale takie przykre, jak się może wydawać, możemy bowiem nie otwierać naszych żelaznych wrót tutejszym Arabom, którzy nas ustawicznie nękają swoimi odwiedzinami i żądaniem. Jak tylko kwarantanna ustaje, klasztor zawsze jest pełny tych nienasyconych ludzi; wolimy morowe powietrze niż konieczność ciągłego ich oglądania.” Zrozumiałem to dobrze, poznawszy dokładnie Arabów.

Wioska Świętego Jana Chrzciciela leży na wyniosłym wzgórzu, otoczonym ze wszystkich stron głębokimi, ciemnymi wąwozami, • których dna dojrzeć nie można. Zbocza tych wąwozów, zwrócone zewsząd ku oknom klasztornym, są niemal pionowo wykute w szarej skale, stanowiącej ich podnoże. W skałach tych są wyżłobione przez przyrodę głębokie jaskinie, które pustelnicy pierwszych wieków jeszcze bardziej pogłębili, aby żyć w nich niczym orły lub gołębie. Tu i ówdzie, na stokach mniej pionowych, uprawiają winorośle, które wnoszą się na pniach małych drzew figowych, a opadając, >pną się po skale: oto widok tych wszystkich samotni. Cały krajobraz ma odcień szary z występującymi gdzieniegdzie zielonożółtymi plamami; z dachu klasztornego spojrzenie ginie w bezdennej przepaści na wszystkie strony; tu i ówdzie na skałach, w cieniu klasztoru, wznosi się po kilka nędznych domów Arabów mahometan i chrześcijan. Ci Arabowie to najokrutniejsi i najprzewrotniejsi z ludzi. Uznają władzę Abu Gosza. Na dźwięk imienia Abu Gosza bledną zakonnicy. Nie mogli zrozumieć, jak się to mogło stać, że naczelnik przyjął nas tak uprzejmie i dał nam swojego bratanka za przewodnika; podejrzewali, że chodzi tu o jakieś ważne posunięcie dyplomatyczne, i wciąż mnie prosili, abym wstawił się za nimi do tyрана ich tyranów.

Z nadejściem zmroku wróciliśmy do klasztoru, spędziwszy wieczór w korytarzu na miłych rozmowach z zacyjnym przełożonym i pocziwymi ojcami. O niczym nie wiedzieli, żadne wiadomości z Europy nie przedzierają się przez te niedostępne góry. Nie mogli zupełnie zrozumieć nowej rewolucji francuskiej<sup>52</sup> "No cóż — o-świadczyli na zakończenie wszystkich naszych opowiadań — byle tylko król francuski był katolikiem i Francja nadal opiekowała się klasztorami Ziemi Świętej, to wszystko będzie dobrze." Pokazali nam kościół: prześliczna, niewielka nawa, zbudowana w tym miejscu, gdzie się urodził zwiastun Chrystusa, ozdobiona organami i kilkoma miernymi obrazami szkoły hiszpańskiej.

Następnego dnia nie mogliśmy oprzeć się chęci, aby przynajmniej z daleka nie popatrzeć na Jerozolimę.

Ojcowie postawili nam za warunek, że zostawimy w klasztorze część naszych ludzi, koni i bagażu, że weźmiemy z sobą tylko jezdnych Abu Gosza, żołnierzy egipskich i służących Arabów, niezbędnych do obsługi naszych koni wierzchowych, że nie wjedziemy do miasta, ograniczając się tylko do jego objazdu i unikając wszelkiego zetknięcia się z mieszkańcami, że gdyby jakimś trafem lub z innego powodu zetknięcie to nastąpiło, nie wrócimy

## SYRIA. GALILEA

już do klasztoru, zabierzemy nasze rzeczy i ludzi i rozłożymy się obozem w okolicach Jerozolimy. Gdy przyjęliśmy te warunki, których rękojmią było tylko nasze słowo i nasza rzetelność, ruszyliśmy w drogę.

## Jerozolima

28 października o piątej rano wyjechaliśmy z pustyni Świętego Jana Chrzciciela. W dziedzińcu klasztorным, zamkniętym wysokimi murami, czekamy, już na koniach, pierwszej zorzy, aby w ciemności nie natknąć się na zapowietrzonych Arabów i Turków .z wioski i z Betlejem. O wpół do szóstej już byliśmy w drodze, wdzierając się na górę całkowicie zarzuconą ogromnymi, szarymi skałami, zbitymi bryłowato, jedno do drugich, jak gdyby je skruszył młot. Kilka pnących się latorośli z liściem żółtym jesienią ciągnęło się po małych poletkach, wykarczowanych między skałami, a ogromne wieże kamienne, podobne do tych, o których mówi Pieśń nad Pieśniami<sup>1</sup> sterczały spośród tych winnic; drzewa figowe, już ogołocone z liści, stały na skraju winnic i strząsały swoje czarne figi na skałę. Z prawej strony pustynia Świętego Jana, gdzie rozległ się głos, „vox clamantis in deserto”<sup>2</sup>, leżała jak niezmierzona przepaść pośród pięciu, sześciu wysokich, czarnych gór, a w prześwitach między ich kamienistymi wierzchołkami pojawił się widnokrąg morza u brzegów Egiptu, spowity czarniawą mgłą; z lewej, blisko nas, ruiny wieży czy starożytnego zamku wieńczyły wysoki pagórek, nagi jak wszystko, co go o-taczało; widać było także kilka innych ruin, podobnych do arkad jakiegoś akweduktu, co wiódł do owego zamku; na zboczu góry, u jej podnóża, szczepy winne tworzyły na tych zwałonych arkadach blade, żółtozielone sklepienia; dwa, trzy drzewa terpentynowe rosły samotnie w tych zwałiskach: to Modin, zamek i grobowiec Machabeuszów, ostatnich bohaterów historii świętej. Zostawiliśmy za sobą te zwałiska, na których lśniły promienie poranka, które nie zlewały się, jak w Europie, w jakąś niewyraźną, mglistą jasność, nie tworzyły owego jednolitego blasku, lecz wypadały ze szczytu gór, zasłaniających nam Jerozolimę, niby ogniste strzały rozmaitego odcienia, skupione pierwotnie w jednym ognisku i rozchodzące się po niebie w miarę, jak się od niego oddalały; jedne były błękitne, lekko wysrebrzone, inne matowo bia-

\* głos wołającego na pustyni

le, te delikatnie różowe i po brzegach blednące, tamte znów miały barwę płonącego ognia i parzyły jak promienie jakiegoś pożaru; rozdzielone, łączyły się harmonijnie w pasma o coraz to bledszych odcieniach, podobne do wspaniałej tęczy, której łuk rozprysnął się na niebie i rozpieczęł w powietrzu. Od kiedy znaleźliśmy się w górzystych krainach Galilei i Judei, już po raz trzeci oglądaliśmy podobnie piękne zjawisko wschodu lub też zachodu słońca; tak właśnie starożytni malarze przedstawiają świt czy też zmierzch i taki ich obraz mógłby wydać się nieprawdziwy każdemu, kto nie widział go w rzeczywistości. W miarę postępu dnia blask stawał się wyrazistszy, a błękitna lub gorejąca barwa każdej z tych kres świetlnych bledła i zespalala się z jednolitym odcieniem powietrza, księżyc zaś, zawieszony nad naszymi głowami, jeszcze różowy i ognisty, nikił, nabierał barwy perłowej i tonał w głębi nieba jak srebrna tarcza, co staje się bledsza w miarę zanurzania się w głęboką wodę.

Wjchawszy na następną górę, wyższą i bardziej nagą niż pierwsza, z prawej strony ujrzeliśmy nagle ogromny widok całego obszaru rozciągającego się między ostatnimi wierzchołkami Judei, na których się znajdowaliśmy, i wysokim pasmem gór Arabii. Ten obszar tonał już w falującym, mglistym blasku poranka; po długotrwałej jeździe pośród niewysokich wzgórz pokrytych zwałonymi, jedno na drugie, bryłami potrzaskanych szarych skał, nie widzieliśmy nic prócz owej lśniącej jednolitym blaskiem przestrzeni, tak przypominającej jakieś rozległe morze, iż wydawało się nam, że widzimy owe ciemne smugi cienia i matowe, srebrzyste plamy, które na spokojnym morzu to rozbłyskują, to znów gasną w narastającym świetle dnia.

Na brzegach tego urojonego oceanu, nieco po lewej stronie owego krajobrazu, o jaką milę od nas, słońce lśniło na kwadratowej wieży, na wysokim minarecie i na grubych, żółtych murach kilku budowli wieńczących szczyt jakiegoś niskiego wzgórza, które zakrywało ich fundamenty, ale z kilku spiczastych wierzchołków minaretów, z kilku blanków na wyżej wznoszących się murach i z czarnych i błękitnych szczytów kilku kopuł, wznoszących się za wieżą i za wielkim minaretem, można było poznać, że to jakieś miasto, którego dostrzegaliśmy tylko część najwyższą, a które wznosiło się na zboczach wzgórza: mogła to być tylko Jerozolima; ale sądziliśmy, że jesteśmy jeszcze od niej daleko, toteż nikt z nas, nie chcąc rozwiewać złudzenia, nie śmiał pytać o to przewodnika. Napawaliśmy się w milczeniu tym pierwszym spojrzeniem przypadkowo rzuconym na miasto, a wszystko mó-



## JEROZOLIMA

wiło mi, że to Jerozolima. Tak było: na tle błękitnego nieba i na czarnym tle Góry Oliwnej ciemnożółtą, matową barwą odcinała się Jerozolima. Wstrzymaliśmy konie, aby przypatrzeć się jej tajemniczemu, lśniącemu blaskiem widokowi. Wiedzieliśmy, że w miarę jak będziemy zjeżdżać w głębokie, ciemne doliny, widniejące pod nami, obraz ten będzie nam znikał sprzed oczu.

Za wysokimi murami i niskimi kopułami Jerozolimy wznosiło się wysokie, rozległe wzgórze, ciemniejsze niż to, które przesłaniało widok leżącego na jego stokach miasta. To drugie wzgórze stanowiło dla nas kres widnokregu. Jego część zachodnia pozostawała jeszcze w cieniu, lecz słońce, rzucając pionowo swoje promienie na jego wierzchołek, przypominający wielką kopułę, sprawiało, iż ów przejrzysty szczyt zdawał się kapać w blasku, a niepewną granicę nieba i ziemi można było poznać jedynie po kilku rozłożystych, czarnych, rosnących na najwyższym wierzchołku drzewach, przez które przeciskały się promienie słońca: była to Góra Oliwna, były to owe drzewa oliwne, dawni świadkowie tyłu dni zapisanych na ziemi i w niebie, zroszonych boskimi łzami, krwawym potem i tyłu innymi łzami, i tyłu innymi potami, od owej nocy, która je uświęciła. Widać tam było niewyraźnie kilka innych drzew niby ciemne plamy na zboczach, a dalej mury Jerozolimy, co przecinały widnokrąg i przesłaniały podnóże świętej Góry; bliżej nas i bezpośrednio przed naszymi oczami ciągnęła się kamienna pustynia, stanowiąca wejście do kamiennego miasta; te kamienie, ogromne, pokryte jednolitą, szaropopielatą barwą, widniały na całym obszarze, od miejsca, gdzie przystanęliśmy, do bram Jerozolimy. Wzgórza zniżały się i wznosiły, wąskie wąwozy biegly zygzakowato między ich podnóżami, tu i ówdzie widać było kilka dolinek, które ludzą spojrzenie, obiecując nie istniejącą w nich roślinność i życie, ale wzgórza, doliny i równiny — wszystko to jeden kamień, jedna zwarta, grubości dziesięciu, dwunastu stóp, warstwa stopionych z sobą skał, między którymi widnieją szpary tak wąskie, że może się przez nie jedynie prześliznąć wąż lub złamać w nich nieostrożnie postawioną nogę wielbłąd. Jeżeli wyobrazić sobie jakieś ogromne mury, ustawione z kolosalnych kamieni, jak mury Koloseum lub wielkich teatrów rzymskich, zwalone za jednym zamachem i zaścielające swoimi olbrzymimi odłamkami ziemię, na której je wzniesiono, będziemy mieli dokładny obraz warstwy i natury skał, które zewsząd otaczają to miasto na pustyni. Im bardziej zbliżaliśmy się, tym więcej widzieliśmy kamieni, które wznosiły się, tworząc jak gdyby jakieś odwieczne lawiny, gotowe pochłonąć

podróżnego. Ostatnie ślady, po których stąpają konie, zanim odsłoni się widok Jerozolimy, są wyżłobione pośrodku martwej, żałobnej drogi między owymi skałami, wznoszącymi się na jakie dziesięć stóp nad głową przybysza, i pozwalają dojrzeć mu tylko tę część nieba, co jest widoczna nad nimi. Znajdowaliśmy się już na tej końcowej posepnej drodze, jechaliśmy nią od kwadransa, gdy nagle skały rozstały się przed nami z obu stron i ujrzeliśmy przed sobą, prawie się tego nie spodziewając, mury Jerozolimy. Między nami i bramą Betlejemską leżała jedynie pusta przestrzeń długości kilkuset kroków: przestrzeń ta, naga, pofałdowana, jak skarpy otaczające z daleka twierdze w Europie i jak one ogołocona, z prawej strony przechodziła w wąski, łagodnie opadający wąwóz; z lewej widać było pięć starych drzew oliwnych, na pół powalonych brzemieniem czasu i skwaru, jak gdyby skamieniałych jak jałowy grunt, na którym z trudem wyrosły.

Brama Betlejemską, nad którą wznosiły się dwie zwieńczone gotyckimi blankami wieże, pusta i niema jak stare bramy opuszczonych zamczysk, stała przed nami otworem. Zatrzymaliśmy się na kilka chwil, aby się jej przypatrzeć; pragnęliśmy wjechać do miasta, ale zaraza w Jerozolimie ogromnie się nasiliła, a zgodzono się ponownie wpuścić nas do klasztoru Świętego Jana Chrzciciela jedynie pod najuroczystszym przyrzeczeniem, że nie wjedziemy do miasta. Nie wjechaliśmy więc i zawracając w lewo, zaczęliśmy jechać z wolna wzdłuż wysokich murów, zbudowanych po przeciwnej stronie głębokiego wąwozu czy też fosy, w którym tu i ówdzie widać było szczątki podwalin dawnego muru, opasującego miasto za Heroda.<sup>3</sup> Co krok ukazywały się tureckie cmentarze, białe od grobowców ozdobionych wyobrażeniami zawojów; ich zacisze maciła co noc zaraza; zapępiały je gromady kobiet tureckich i arabskich, które przychodziły oplakiwać stratę mężów i ojców. Kilka namiotów rozstawiono na grobach, a siedem, osiem kobiet, siedząc lub klęcząc, trzymało na ręku piękne niemowlęta, karmiło je i co pewien czas zawodziło żałośnie, śpiewając czy też odprawiając modły, których pobożna melancholia wybornie licowała ze smętnym widokiem, jaki mieliśmy przed oczyma. Te kobiety nie nosiły zasłon; niektóre z nich były młode i piękne; obok nich stały kosze pełne sztucznych kwiatów o barwach jaskrawych, którymi obsadzały dokoła grób, obficie zraszając je łzami. Niekiedy nachylały się ku niedawno skopanej ziemi i śpiewały umarłemu kilka wersetów pieśni żałobnej, jak gdyby z cicha do niego przemawiając, a potem, przy-

łozywszy ucho do grobu, w milczeniu zdawały się oczekiwać i słuchać odpowiedzi. Te gromadki kobiet i dzieci, które całe dni spędzały tu na oplakiwaniu zmarłych, były jedyną oznaką życia i ludzkiej obecności, jaką spostrzeżliśmy, objeżdżając mury; poza tym nie słychać było najmniejszego szmeru, nie widać najmniejszego dymu, i tylko kilka gołębi, przelatujących z drzew figowych na blanki muru i z blanków na brzegi świętych sadzawek, przerywało swoim ruchem i szelestem milczenie i pustkę tego obszaru.

W połowie spadzistej drogi wiodącej nad Cedron i do stóp Góry Oliwnej, blisko fos miejskich, pod skalistym, żółtawym pagórkiem ujraliśmy głęboką, rozwartą grotę. Nie chciałem zatrzymać się przy niej, pragnąłem najpierw ujrzeć Jerozolimę, nic poza nią, tylko ją, ujrzeć ją w całości, ogarnąć ją jednym spojrzeniem, z jej dolinami i wzgórzami, z Doliną Jozafata i Doliną Cedronu, z jej świątynią i Grobem, z jej zwaliskami i jej widnokregiem.

Następnie miniliśmy bramę Damasceńską, piękny zabytek w stylu arabskim, z dwiema fosami po bokach, z arkadą strzał-kowatą, szeroką, wysoką, wykwinną, blankowaną arabeskami w kształcie kamiennych zawojów. Dalej zawróciliśmy w prawo do narożnika murów, tworzących od północy dokładny czworobok; z lewej strony mieliśmy głęboką, ciemną dolinę Getsemani, której dno zajmuje i napełnia wyschły potok Cedronu, i aż do bramy Świętego Stefana jechaliśmy tuż pod murem wąską drożyną, omijając duże, piękne sadzawki, z których w jednej Chrystus uzdrowił paralytyka.<sup>4</sup> Drożyna ta biegnie wąskim smugiem, górującym nad przepaścią Getsemani i nad Doliną Jozafata; u bramy Świętego Stefana przecinają ją pionowo tarasy, na których wznosiła się świątynia Salomona, a dziś stoi meczet Omara<sup>5</sup>, a dalej szerokie zbocze opada gwałtownie w lewo, w stronę mostu prowadzącego nad Cedronem do Getsemani i do Ogrodu Oliwnego. Przejechaliśmy most i zsiadliśmy z koni naprzeciw przesłicznej budowli architektury mieszanej, ale w stylu poważnym i starożytnym, która jakby zagrzebana w głębi doliny Getsemani zajmuje całą jej szerokość. Jest to domniemany grób Dziewicy, Matki Chrystusa<sup>6</sup>; należy do Ormian, których klasztory zostały najbardziej dotknięte zarazą. Nie weszliśmy więc do samego przybytku, ukłękłem tylko na marmurowym stopniu dziedzińca, za którym wznosi się owa piękna świątynia, i pomodliłem się do Tej, dla której każda matka wpaja swojemu dziecku cześć pobożną i tkliwą. Wstając, ujrzałem za sobą rozległe pole, jedną

stroną sięgające wysokiego brzegu Cedronu, a drugą wznoszące się łagodnie do podnóża Góry Oliwnej. Niski mur z niespojonych kamieni otacza to, pole, ocienione niemal całkowicie przez osiem drzew oliwnych, rosnących tu w odstępach trzydziestu lub czterdziestu kroków. Te drzewa oliwne należą do najgrubszych, jakie kiedykolwiek widziałem; według podania były one świadkami pamiętnej modlitwy: męki konania Człowieka-Boga, który je wybrał, aby pod nimi ukryć swoje boskie cierpienia.<sup>7</sup> Ich widok potwierdzałby otaczające je czcigodne podanie; ich ogromne korzenie, rozrastając się wiekami, podniosły ziemię i głazy, co je pokrywały, i wznosząc się na kilka stóp nad powierzchnię gruntu, służą jako naturalne ławki, na których pielgrzymi mogą klęknąć lub usiąść, aby zebrać nabożne myśli, które na nich zstępują z niemych wierzchołków drzew. Nad tymi splotami korzeni wznosi się, niczym ogromna kolumna, sękaty, wyżłobiony, poorany od starości głębokimi zmarszczkami pień i jak gdyby przywalony, zgięty ciężarem lat pochyła się w prawo lub w lewo, zwieszając swoje grube, splecione konary, które, by drzewo odmłodzić, już ze sto razy odcinała siekiera. Te stare, ciężkie konary, opadające na pień, mają na sobie inne, młodsze, które wznoszą się ku niebu, a z nich wyrasta kilka rocznych lub dwuletnich gałęzi, zwieńczonych kilkoma kępkami liści i poczernionych paroma drobnymi błękitnymi oliwkami, co niby relikwie niebieskie spadają do stóp chrześcijańskiego podróżnika. Oddaliłem się od kawalkady, która zatrzymała się u grobu Najświętszej Panny, i usiadłem na chwilę na korzeniach najbardziej osamotnionego i najstarszego z tych drzew oliwnych; jego cień zakrywał przede mną mury Jerozolimy, a gruby pień osłaniał mnie przed wzrokiem pasterzy pasących czarne owce na zboczach Góry Oliwnej. Miałem przed sobą tylko głęboki, poszarpany wąwóz Cedronu i korony kilku innych drzew oliwnych, które w tym miejscu kryją całą szerokość Doliny Jozafata. Z łożyska wyschniętego potoku nie dobiegał najlżejszy szelest, ani jeden listek nie zadrżał na drzewie. Zamknąłem na chwilę oczy, myślą przeniosłem się w tamtą noc, poprzedzającą zbawienie rodu ludzkiego, kiedy Zwiastun Boży spełnił aż do dna swój kielich goryczy, nim ręka ludzka zadała mu śmierć w nagrodę Jego niebieskiego Zwiastowania.

Modliłem się o udział w tym zbawieniu, które za tak wielką cenę przyniósł światu; wyobrażałem sobie ten ocean cierpień, który musiał zalać serce Syna Człowieczego, gdy jednym spojrzeniem ogarnął wszystkie biedy, wszystkie mroki, wszystkie gorycze, wszystkie marność, całą nędzę losu człowieka; kiedy sam

pragnął unieść to brzemie zbrodni i nieszczęścia, pod którym zgięty i jęczący cały ród ludzki kroczy po tym ciasnym padole płaczu; kiedy poznał, że tylko za cenę własnego życia można człowiekowi przynieść prawdę i nowe pocieszenie; kiedy, cofając się z lękiem przed cieniem śmierci, którą czuł nad sobą, rzekł do swojego Ojca: „Zabierz ten kielich ode Mnie!”<sup>8</sup> I ja więc, nędzny, nieświadomy i słaby człowiek, mógłbym także zawołać u stóp drzewa ludzkiej słabości: „Panie! zabierz te wszystkie kielichy goryczy ode mnie i racz je zlać w ów kielich już za nas wszystkich spełniony! On miał moc wypić go aż do dna. On znał Ciebie, On widział Ciebie, On wiedział, jakie życie nieśmiertelne czekało Go w głębi trzydniowego grobu, ale ja, Panie, cóż wiem? Znam tylko cierpienie rozdzierające moją duszę i nadzieję, której On mnie nauczył.”

Wstałem i nie mogłem się nadziwić, że to miejsce było tak cudownie przeznaczone i wybrane, aby w nim się wypełniła najboleśniejza męka Człowieka-Boga. Była to wąska, głęboko wyżłobiona dolina, od północy zamknięta posępnymi, nagimi wzgórzami, kryjącymi groby królów<sup>9</sup>, od zachodu osłonięta cieniem ogromnych, posępnych murów miasta nieprawości<sup>10</sup>, od wschodu — wierzchołkiem Góry Oliwnej, przecięta potokiem toczącym swoje gorzkie, żółtawe wody po zdruzgotanych skałach Doliny Jozafata. O kilka kroków stamtąd czarna, naga skała, oddarta, niby przylądek, od podnóża góry i zawieszona nad Cedronem i doliną, zamyka w sobie kilka starych, olbrzymiej i dziwacznej budowy grobów królów i patriarchów, i jak most śmierci sięga nad Dolinę Płaczu.<sup>11</sup>

W dawnych czasach stoki Góry Oliwnej, dziś półnagie, były z pewnością-zraszane wodą sadzawek i jeszcze wtedy płynącego Cedronu. Ogrody granatów, drzew pomarańczowych i oliwnych gęstszym niż obecnie cieniem osłaniały wąską dolinę Getsemani, która, jak otchłań boleści, tkwi najgłębiej w najciemniejszym miejscu Doliny Jozafata. Człowiek okryty sromotą, Człowiek cierpiący mógł się tu ukrywać jak zbrodzień między korzeniami kilku drzew, między skałami potoku, pod potrójnym cieniem miasta, góry i nocy; mógł stąd słyszeć ciche stapanie Swojej Matki i Swoich uczniów, którzy szli drogą szukając Syna i Nauczyciela, słyszeć zmieszane odgłosy, bezrozumne okrzyki miasta, wznoszące się nad Jego głową z uciechą, że pokonały Prawdę i wypędziły Sprawiedliwość — i lament Cedronu, co toczył swoje wody pod Jego stopami — a niebawem miał ujrzeć Swoje miasto obalone i Swoje źródła zdruzgotane upadkiem występnego i zaślepio-

nego narodu. Czy Chrystus mógł wybrać lepsze miejsce do płaczu? Czy mógł swoim krwawym potem zrosić ziemią głębiej zoraną przez nędzę, bardziej przepojoną i nasiąkła lamentem?

Dosiadłem konia i raz po raz odwracając się, żeby nic nie tracić z widoków doliny i miasta, po kwadransie dotarłem na Górę Oliwną: każde stąpienie mojego konia po ścieżce na nią wiodącej odstaniało przede mną jakąś kolejną dzielnicę czy budowlę Jerozolimy. Wjechałem na szczyt, na którym stoi zrujnowany meczet, wzniesiony w tym miejscu, skąd Chrystus zmartwychwstały wstąpił w Niebo<sup>12</sup>, zboczyłem nieco w prawo obok tego meczetu, podjechałem do dwóch strzaskanych kolumn, leżących na ziemi u stóp kilku drzew oliwnych na płaskowyżu, z którego rozciągał się widok na Jerozolimę, na Syjon, na doliny Świętego Saby wiodące nad Morze Martwe, a nawet na Morze Martwe, co lśniło między szczytami gór i ogromnym horyzontem, poprzerwanym rozmaitymi wierzchołkami, który kończy się w górach Arabii; usiadłem tu i oto jaki miałem obraz przed oczyma:

Góra Oliwna, na której szczycie siedzę, opada nagle pochyłym stokiem w głęboką przepaść, co dzieli ją od Jerozolimy i nosi nazwę Doliny Jozafata. Z głębi tej posępnej, wąskiej doliny, na której obnażonych zboczach widać gęsto rozsiane czarne i białe żałobne kamienie śmierci, wznosi się ogromne, szerokie wzgórze, którego gwałtowna spadzistość upodobnia je do wysokiego wału obronnego; ani jedno drzewo nie może tu zapuścić korzeni, ani jedno źdźbło mchu nawet nie może się tu zaczepić; stok tego wzgórza jest tak stromy, że ziemia i kamienie staczają się z niego bezustannie i widać na nim tylko warstwę, jałowego, suchego pyłu, przypominającą zwały popiołu zsypanego z wysokości miasta. Około środka tego wzgórza czy tego naturalnego wału ochronnego widnieją wysokie, potężne mury z wielkich, nieciosanych kamieni, których rzymskie i żydowskie fundamenty kryją się w owym pyłe, co zasypał ich podnóża, i wznoszą się tu na pięćdziesiąt, na sto, a dalej na dwieście lub trzysta stóp nad powierzchnią gruntu. W tych murach znajdują się trzy bramy miejskie, z których dwie są zamurowane, a jedna, otwarta przed nami, wydaje się tak pusta i tak opuszczona, jak gdyby prowadziła do jakiegoś bezludnego miasta. Mury wnoszą się również nad tymi bramami, podpierając szeroką, rozległą esplanadę, od wschodu ciągnącą się przez dwie trzecie długości Jerozolimy; esplanada ta może mieć na oko tysiąc stóp długości, a pięćset do sześciuset stóp szerokości; jej powierzchnia jest niemal idealnie

zniwelowana, a tylko pośrodku nieznacznie się wgłębia, jak gdyby przypominając oku płytką dolinę, która niegdyś oddzielała górę Syjon od Jerozolimy. Ta ogromna esplanada, przygotowana zapewne przez naturę, ale ukończona oczywiście ręką ludzką, stanowiła wspaniałą podstawę, na której wznosiła się świątynia Salomona; dziś stoją na niej dwa meczety tureckie: jeden, Kubbet es-Sachra, pośrodku, w tym miejscu, w którym stała świątynia, drugi, na południowo-wschodnim krańcu esplanady, przytyka do murów miasta. Meczet Omara, czyli Kubbet es-Sachra, wspaniała budowla arabskiej architektury, jest to ogromnych rozmiarów bryła ośmiokątna z kamienia i marmuru; każdą z ośmiu ścian tej budowli zdobi siedem arkad strzałkowato zakończonych; nad tym pierwszym porządkiem płaski dach, na którym wznoszą się arkady zupełnie innego porządku, rozstawione bliżej jedna drugiej i zwieńczone zgrabną kopułą, krytą miedzią, dawniej złotoną. Mury meczetu powleka błękitna emalia; po prawej i lewej stronie ciągną się ogromne ściany zakończone lekkimi kolumnadami w stylu mauretańskim, z których każda odpowiada jednym z ośmiu wrót meczetu. Za tymi arkadami stojącymi oddzielnie od wszelkiej budowli ciągną się dwie części esplanady: jedna ku północnej stronie miasta, druga zaś kończy się przy murach w stronie południowej. Wysokie cyprysy, jak gdyby przypadkiem tu porozrzucane, kilka drzew oliwnych i pięknych zielonych krzewów, co rosną tu i ówdzie między meczetami, podkreślają wykwint ich architektury i lśniąca barwę ich murów swoim piramidalnym kształtem i ciemnozieloną barwą, która odcina się na tle fasady świątyni i kopuł miasta.

Za tymi dwoma meczetami i esplanada świątyni rozciąga się i jak gdyby wytryska przed nami cała Jerozolima, i ani jeden jej dach, ani jeden jej kamień nie ginie nam z pola widzenia, niby na wypukło rzeźbionym planie, który artysta rozłożył na stole. To miasto nie stanowi bynajmniej, jak nam to opisywano, jakiegoś bezkształtnego, bezładnego stosu zwalisk i popiołu, na którym gdzieniegdzie porozrzucano kilka chat arabskich czy kilka namiotów Beduinów; inaczej niż Ateny, nie jest jakimś chaosem potrzaskanych i zwalonych murów, gdzie podróżny na próżno szuka cienia budowli, śladu ulic, obrazu miasta, lecz jest miastem wspaniale lśniącem blaskiem i barwami, godnie ukazującym swoje nietknięte, blankowane mury, swój meczet błękitny z białą kolumnadą, tysiące błyszczących kopuł, na które padają promienie jesiennego słońca i odbijają się w połyskującej mgłę, fasady swoich domów, które czas i letnie skwary okryły żółtą

i złocistą barwą, jak budowle Paestum lub Rzymu, swoje stare wieże, strażnice jego murów, którym nie brak ani jednego kamienia, ani jednej strzelnicy, ani jednego blanku, a wreszcie wśród tego oceanu domów i tej nieprzejranej liczby pokrywających je małych kopuł — kopułę czarną, spłaszczoną, większą od pozostałych i górującą nad nią inną kopułę, białą: to Grób Święty i Kalwaria: gdy stąd na nie patrzeć, wydają się jak gdyby złączone i zatopione w ogromnym labiryncie kopuł, budynków i ulic je otaczających, toteż trudno zdać sobie sprawę z dokładnego położenia Kalwarii i Grobu Świętego, które według tego, co nam podaje Ewangelia, powinny by się znajdować na oddalonym wzgórzu, za murami miasta, a nie w środku Jerozolimy. Miasto, ograniczone od strony Syjonu, bez wątplenia powiększyło się od północy i ogarnęło dwa miejsca stanowiące jego hańbę i chwałę, miejsce kaźni Sprawiedliwego i zmartwychwstania Człowieka-Boga.

Oto obraz miasta ze szczytu Góry Oliwnej. Ani za nim, ani od zachodu, ani od północy nic tu nie wypełnia horyzontu. Linie jego murów, jego wież, iglic jego licznych minaretów, sklepienia jego lśniących kopuł odcinają się wyraziście na pustym błękitie nieba Wschodu, a miasto, osadzone na rozległym, płaskim wzniesieniu, zdaje się jeszcze jaśnieć starożytnym światłem swoich prorocत्व albo czekać jednego tylko słowa, aby, choć siedemnaście razy obrócone w ruinę, mogło znów stanąć *w całym* swoim blasku jako owa Jerozolima, co wychodzi z łona pustyni jaśniejąc światłością.<sup>13</sup>

Jest to najwspanialszy obraz, jaki oko może sobie utworzyć z miasta, które już nie istnieje, bo ono zdaje się wciąż istnieć i błyszczeć, pełne młodości i życia, ale gdy mu się baczniej przypatrzymy, zdamy sobie sprawę, że to tylko piękna zjawa miasta Dawida i Salomona. Z jego placów i ulic nie dobiega nawet najłżejszy szmer; nie ma już dróg wiodących do jego bram ze wschodu, z zachodu, z południa, z północy; zaledwie parę ścieżek wije się przypadkowo między skałami, gdzie spotkać można tylko kilku półnagich Arabów na osłach, kilku wielbłądników z Damaszku lub kilka kobiet z Betlejem czy z Jerycha, niosących na głowach winogrona z Engadii, koszyki z gołębiami, z którymi idą na ranny targ, pod drzewa terpentynowe, za bramami miasta. Siedzieliśmy przez cały dzień naprzeciw głównych bram Jerozolimy, objechaliśmy mury wokoło, mijając wszystkie inne bramy miasta. Nikt z nich nie wychodził, nawet żebrak nie siedział przy słupach, straż się nie pokazywała; nie widzieliśmy, nie słyszeli-



śmy nikogo: taka sama pustka, taka sama cisza trwała u wejścia do miasta trzydziestotysięcznego przez dwanaście godzin dnia, jak gdybyśmy je spędzili u zamarłych bram Pompei albo Herkulanum. Zobaczyliśmy tylko cztery konduktu pogrzebowe, co wyszły w milczeniu z bramy Damasceńskiej i idąc wzdłuż murów, skierowały się ku cmentarzom tureckim, oraz, gdy mijaliśmy bramę Syjońską, czterech grabarzy, którzy nieśli na cmentarz grecki ubożego chrześcijanina zmarłego rano z zarazy. Przeszli obok nas, złożyli zwłoki zapowietrzonego na ziemi i zaczęli w milczeniu kopać mu grób tuż u nóg naszych koni. Ziemia wokół miasta była świeżo skopana na podobne pochówki, które codziennie mnożyła zaraza, a jedynym odgłosem poza murami Jerozolimy było monotonne zawodzenie Turczynek, które oplakiwały swoich zmarłych. Nie wiem, czy zaraza była jedyną przyczyną pustki na drogach i głębokiej ciszy panującej wokół i wewnątrz Jerozolimy. Nie wydaje mi się, by tak było, ponieważ Turcy i Arabowie nie starają się unikać klęsk zesłanych od Boga, wierzą bowiem, że one wszędzie mogą ich osiągnąć i że wybór takiej czy innej drogi ich nie ocali. Wzniosłe to z ich strony rozumowanie, ale ma nieszcześnie dla nich skutki.

Na lewo od esplanady, świątyni i murów jerozolimskich wzgórze, na którym stoi miasto, opada nagle szerokim, z lekka pofałdowanym zboczem, podpartym tu i ówdzie tarasami z kamieni. Na szczycie tego wzgórze, o kilkaset kroków od Jerozolimy, wznosi się meczet i skupisko zabudowań tureckich, przypominające jakąś wioskę europejską, zwieńczoną kościołem i dzwonnica. To Syjon, to pałac, grób Dawida<sup>14</sup>, miejsce jego natchnień i jego rozkoszy, jego życia i jego spoczynku, miejsce dla mnie podwójnie święte, boski bowiem ten pieśniarz nieraz mnie wzruszał i zachwycał. To najpierwszy poeta uczuć, król liryków. Nigdy uczucie ludzkie nie zabrzmiało tak głęboko, tak przenikliwie i uroczyście, nigdy myśl poety nie wzniosła się tak wysoko i nie przemawiała z taką prawdą, nigdy dusza człowieka w obliczu ludzi i Boga nie rozplynęła się w słowach i uczuciach tak tkliwych, harmonijnych i tak przejmujących. Wszystkie najtajniejsze bóle serca ludzkiego znalazły swój wyraz i swoją nutę na ustach i w harfie tego człowieka, a jeżeli przeniesiemy się do owego odległego okresu, gdy na ziemi rozległy się podobne pieśni, i przypomnimy sobie, że poezja liryczna narodów nawet najbardziej cywilizowanych opiewała wtedy tylko wino, miłość, krew i triumfy Muz oraz biegaczy ścigających się na igrzyskach w Elidzie, jakże głębokim muszą nas przejąć zdumieniem mistyczne wypo-

wiedzi króla-proroka, który przemawia do Boga Stwórcy jak przyjaciel do przyjaciela, pojmuje i opiewa chwałę Jego cudów, podziwia Jego sprawiedliwość, wzywa Jego miłosierdzia i jak gdyby zapowiada poezję Ewangelii, powtarzając, nim mógł je u-słyszeć, łagodne słowa Chrystusa. Bez względu na to, czy ktoś ze stanowiska chrześcijańskiego uzna go za proroka, czy jako wolnomyśliciel za takiego go nie uzna, nikt nie może odmówić królowi-poecie natchnienia, jakie nie było dane innym ludziom. Po psalmie Dawida proszę wziąć Horacego lub Pindara. Ja nie mogę ich już czytać.

Będąc skromnym poetą czasów upadku i milczenia, gdybym żył w Jerozolimie, byłbym jako miejsce zamieszkania i wieczne-<sup>1</sup> go spoczynku obrał to właśnie, gdzie Dawid ustanowił swoją siedzibę, na Syjonie. To najpiękniejszy z widoków w Judei, w Palestynie i w Galilei. Z lewej strony Jerozolima ze świątynią i swoimi zabudowaniami, którym król i poeta mógł się przyglądać, sam nie będąc widziany. Przed nim ciągnęły się żyzne o-grody — łagodnie opadając, mogły go zaprowadzić aż nad koryto potoku, którego pianę i szum tak lubił. Niżej otwiera się szeroka dolina, którą oceniają drzewa figowe, oliwne i granaty; zapewne na jedną z tych skał zwieszonych nad strumieniem, do jednej z tych rozbrzmiewających echem jaskiń, odświeżanych powiewem i szmerem wód, lub ku jednemu z tych drzew terpentynowych, przodków drzewa, co mnie teraz osłania, przychodził święty poeta, aby tu szukać natchnienia, które tak harmonijnie wlewało się w jego duszę. Czemu więc nie mogę go odnaleźć, aby opiewać smutki mojego serca i serc wszystkich ludzi w tym wieku niespokojnym, podobnie jak Dawid mógł opiewać swoje nadzieje w wieku młodości i wiary! Ale śpiew' umilkł już w sercu człowieka, bo rozpacz nie śpiewa. I dopóki nowy promień nie rozświeci mroków współczesnych ludzi, lutnie pozostaną nieme, a człowiek będzie w milczeniu kroczył między dwiema przepaściami zwątpienia, bez miłości, bez modlitwy i bez śpiewu. Ale wróćmy do pałacu Dawida, co spoglądał na zieleniącą się wówczas, obficie nawodnioną Dolinę Jozafata. Rozległa przełęcz między wzgórzami po wschodniej stronie otwiera drogę wiodącą po pochyłościach, wzniesieniach i wydmach aż ku kotlinie Morza Martwego. W jego ciężkich, skrzepłych wodach blask wieczorny odbija się jak w zmatowiałym lustrze weneckim, które padającemu na nie światłu nadaje odcień ołowiany. Morze to nie jest bynajmniej, jak to sobie wyobrażamy, jakimś skamieniałym jeziorem w posępnym, bezbarwnym krajobrazie. Wygląda jak

jedno z najpiękniejszych jezior w Szwajcarii czy we Włoszech, którego spokojne wody drzemią między cieniem wysokich gór Arabii, co, niby Alpy, ciągną się za nimi daleko, jak okiem sięgnąć, a wysokimi, piramidalnego lub stożkowatego kształtu, lekkimi, strzępiastymi i lśniącymi ostatnimi górami Judei. Oto widok Syjonu.

Jest jeszcze inny fragment krajobrazu Jerozolimy, który chciałem utrwalić w pamięci, ale nie miałem ani pędzla, ani farb. To Dolina Jozafata, dolina wślawiona podaniami trzech religii, gdzie Żydzi, chrześcijanie i mahometanie zgodnie upatrują straszliwe miejsce Sądu Ostatecznego; dolina, która była już świadkiem najwznioślejszej ze scen dramatu ewangelicznego: łez, cierpienia i śmierci Chrystusa; dolina, przez którą przeszli kolejno wszyscy prorocy z jękiem smutku i zgrozy, co jeszcze zdaje się tu rozbrzmiewać; dolina, która kiedyś usłyszy ogromny zgłosek dusz idących na sąd Boży.

Tegoż dnia.

Nie naruszywszy ani jednego z warunków umowy zawartej z zakonnikami, wróciliśmy do klasztoru Świętego Jana na pustyni. Przyjęto nas z ufnością i miłosierdziem, które nas wzruszyły, bo gdybyśmy nie byli ludźmi honoru, gdyby bodaj jeden z towarzyszących nam Arabów zmylił naszą czujność i zbliżył się do tych, którzy tuż opodal nas nosili zapowietrzonych, byłibyśmy może przynieśli śmierć całemu klasztorowi.

29 października 1832.

Wyjazd o piątej rano z pustyni Świętego Jana, ze wszystkimi naszymi końmi, eskortą, Arabami Abu Gosza i czterema jeźdźcami, których nam przysłał gubernator Jerozolimy. Rozłożyliśmy się obozem w podwójnej odległości strzału karabinowego od murów miejskich, obok cmentarza tureckiego, całego pokrytego niewielkimi namiotami, do których przychodzą kobiety, aby opłakiwać swoich zmarłych. Pełno tam kobiet, dzieci i niewolnic niosących kosze kwiatów, którymi na dzień stroją groby. Nasi jeźdźcy z Nablus sami wjeżdżają do miasta, żeby powiadomić gubernatora o naszym przybyciu. Gdy oni wiozą tam nasze posłanie, my zdejmujemy trzewiki, wysokie buty i płócienne onuce, które mogłyby przenieść zarazę, wzuwamy safianowe papucie i nacieramy się oliwą oraz czosnkiem. Ten środek ochronny wykoncypowałem w oparciu o znany w Konstantynopolu fakt, że handlarze i roznosiciele oliwy są mniej narażeni na zarażenie. Po u-

plywie pół godziny ujrzeliśmy wyjeżdżających z bramy Betlejemskiej zastępcę gubernatora, tłumacza klasztoru zakonników Ziemi Świętej, pięciu czy sześciu jeźdźców wspaniale odzianych i trzymających w ręku laski ze srebrnymi i złotymi gałkami, wreszcie naszych jeźdźców z Nablus i kilku młodych paziów, również konno. Ruszyliśmy naprzeciw nich; utworzyli szpaler, a my wjechaliśmy w bramę Betlejemską. W tej właśnie chwili wynoszono z niej trzech zapowietrzonych, którzy zmarli tej nocy, zatrzymaliśmy się więc, aby nie przechodzić pod ciemnym sklepieniem bramy razem z niosącymi zwłoki. Minawszy to sklepienie, ujrzeliśmy zbieg kilku ulic, utworzony z paru małych, nędżnych domków i kilku nieuprawnych ogrodów, których mury się rozpadły. Przez chwilę jechaliśmy najszerszą z owych ulic, co zaprowadziła nas z kolei ku jednej czy dwóm uliczkom jednakowo ciemnym, wąskim i brudnym, na których widać było tylko konduktury pogrzebowe, przechodzące pośpiesznie pod murami na rozkaz janczarów gubernatorskich, unoszących ku górze swoje laski. Gdzieniedzie sprzedawcy chleba i owoców, okryci łachmanami, siedzieli na progach małych sklepików, trzymając na kolanach koszyki i głośno zachęcając do kupna swoich towarów, jak u nas na targowiskach w wielkich miastach. Czasem jakaś kobieta z zasłoniętą twarzą ukazywała się w oknie któregoś z domów opatrzonym drewnianymi kratami, jakieś dziecko otwierało niskie, ciemne drzwi sklepiku i wchodziło, aby kupić dla rodziny potrzebną na ten dzień żywność. Ulice były wszędzie zasypane gruzami, stosami nieczystości, a zwłaszcza płóciennych gałganów lub kawałków niebieskiej tkaniny bawełnianej; wiatr rozmiatał je jak zeschnięte liście, a my nie mogliśmy uniknąć zetknięcia z nimi. Te nieczystości i te szmaty, pokrywające ulice Wschodu, sprawiają, że zaraza szerzy się z taką łatwością.

Dotychczas nie dostrzeżliśmy na ulicach Jerozolimy nic, co by świadczyło o niej jako o siedzibie jakiegoś narodu; ani śladu bogactwa, ruchu czy życia; złudził nas widok zewnętrzny, jak to się nam już nieraz zdarzało w innych miastach w Grecji lub w Syrii. Najnędzniejsza mieścina w Alpach albo w Pirenejach, najbardziej zaniedbane uliczki naszych przedmieść, zamieszkałych przez najuboższe warstwy ludności pracującej, są czystsze, widać na nich więcej zbytku i wykwintu niż w tych opustoszałych ulicach królowej miast. Spotkaliśmy tylko kilku Beduinów na arabskich klaczach, których nogi co chwila ślizgały się na bruku lub więzły w ziejących w nim dziurach. Ludzie ci nie mają szlachetnego rycerskiego wyglądu szejków arabskich

w Syrii i Libanie. Wyraz ich twarzy znamionuje okrucieństwo, wzrok przypomina sępa, a odziani są jak zbójcy.

Przejechaliśmy kilka podobnych do siebie ulic<sup>15</sup>, zatrzymywani co pewien czas przez tłumacza klasztoru zakonników Ziemi Świętej, który, wskazując nam to jakiś zrujnowany dom turecki, to jakieś stare, spróchniałe drzwi, to wreszcie szczątki jakiegoś mauretańskiego okna, powtarzał: „Oto dom Weroniki, drzwi domu Żyda Wiecznego Tułacza, okno pretorium”<sup>16</sup>; słowa te sprawiały na nas jak najgorsze wrażenie, przeczył im bowiem nowoczesny wygląd tych rzekomych zabytków i oczywiste nieprawdopodobieństwo owych wyjaśnień; nikt nie ponosi winy za owe pobożne oszustwa, sięgają bowiem niepamiętnych czasów i powtarza się je od wieków pielgrzymom, których nie oświecona łatwowierność najpewniej sama je wymyśliła. Wreszcie ujrzelśmy dach klasztoru, do którego nie mogliśmy jednak wejść. Zakonnicy przebywali w kwarantannie, klasztor był w czasie zarazy zamknięty. Tylko mały domek, należący do klasztoru, był otwarty dla cudzoziemców; zarządzał nim zakonnik, proboszcz jerozolimski: domek składał się z jednej czy dwu izb, już zajętych, nie weszliśmy więc tam. Wprowadzono nas na mały kwadratowy dziedziniec, otoczony ze wszystkich stron wysokimi arkadami, wspierającymi tarasy; był to dziedziniec klasztorny. Zakonnicy wyszli na tarasy i przez kilka chwil rozmawiali z nami po hiszpańsku i po włosku. Żaden z nich nie mówił po francusku; ci, których widzieliśmy, to prawie wszystko ludzie już wiekowi, o łagodnych, czcigodnych i tchnących szczęśliwością rysach. Powitali nas wesoło i serdecznie i zdawało się, że bardzo żalowali, iż panująca klęska uniemożliwia im wszelkie zetknięcie z gośćmi, narażonymi, jak my, na niebezpieczeństwo zarazy i jej przeniesienia. Udzieliliśmy im nowin z Europy, a oni ofiarowali nam usługi, jakie ofiarować mogli. Rzeźnik zarządnął dla nas owce na dziedzińcu, z tarasów spuszczone nam na sznurze świeży chleb, tym samym sposobem otrzymaliśmy mnóstwo krzyżyków, szkaplerzy i innych pobożnych pamiątek, których mają zawsze mnóstwo. W zamian przekazaliśmy im jałmużnę i listy powierzone nam przez ich przyjaciół z Cypru i z Syrii. Każdy przedmiot, który im podawaliśmy, był najpierw jak najdokładniej okadzony, potem zanurzony w naczyniu z zimną wodą, na koniec wciągnięty na taras w miedzianej miednicy zawieszanej na sznurze. Ci biedni zakonnicy wydawali się bardziej przerażeni niż my otaczającym ich niebezpieczeństwem. Tyle razy doświadczyli, że cały klasztor padał ofiarą zarazy, gdy tylko dopuszczono się naj-

## JEROZOLIMA

mniej­szej niedokładności w zachowaniu przepisów sanitarnych, iż teraz wypełniali je jak najstaranniej. Nie mogą pojąć, co nas skłoniło, aby dobrowolnie i z rozmysłem rzucić się w ten ocean zarazy, którego jedna kropla prze­jmuje strachem. Natomiast proboszcz Jerozolimy, z racji swojego stanu zmuszony do dzielenia losu parafian, usiłował nas przekonać, że zarazy w ogóle nie ma.

Po półgodzinnej rozmowie odgłos dzwonu wezwał zakonników na mszę. Złożyliśmy im podziękowania, a oni życzyli nam szczęśliwej drogi; odesłaliśmy do naszego obozu zapasy i żywność, w które­śmy się zaopatrzyli, i opuściliśmy dziedziniec klasztoru.

Minąwszy kilka innych ulic, podobnych do tych, które właśnie opisałem, znaleźliśmy się na niewielkim placu, skąd w kierunku północnym widać było kawałek nieba i Górę Oliwną; kilka stopni z lewej strony wiodło na otwarty plac przed kościołem Grobu Świętego. Na plac ów wychodzi fasada kościelna. Kościół Grobu Świętego był tyle razy i tak dokładnie opisywany, że nie będę opisywał go na nowo; z zewnątrz zwłaszcza jest to ogromny, piękny zabytek epoki bizantyjskiej i jego architektura, jak na owe czasy, odznacza się majestatem, uroczystą powagą, okazałością i przepychem; godny to sztandar, który ludzka pobożność rozwinęła nad grobem Syna Człowieczego. Kościół ten w porównaniu z innymi wówczas wznoszonymi wszystkie je przewyższa. Kościół Świętej Zofii, choć góruje nad nim swoim ogromem, ma kształt o wiele bardziej barbarzyński; gdy przyglądać mu się z zewnątrz, widać tylko górę kamienną ze stojącymi po bokach kamiennymi wzgórzami<sup>17</sup>; kościół Grobu Świętego natomiast to napowietrzna, cyzelowana kopała, a kunsztowny, pełen wdzięku wystrój drzwi, okien, kapiteli i gzymsów nadaje całej tej bryle nieoszacowaną wartość umiejętnej pracy, w której skutku kamień przemienił się w koronkę, aby stać się godną częścią owego pomnika wzniesionego na chwałę największej myśli człowieczej, w którym owa myśl właśnie, co go wzniosła, jest wpisana zarówno w szczegóły, jak w całość budowli. Prawda, że kościół Grobu Świętego nie jest dziś taki, jakim go wystawiła święta Helena, matka Konstantyna, królowie jerozolimscy bowiem poprawiali go i upiększali owymi ozdobami architektury na połę zachodniej, na połę mauretańskiej, których smak i wzory znaleźli na Wschodzie.<sup>18</sup> Ale taki, jak jest teraz na zewnątrz, ze swoją bryłą bizantyjską, z ozdobami greckimi i arabskimi, nawet z widocznymi na fasadzie uszkodzeniami sprawionymi przez czas i przez barbarzyńców, nie zaprzecza bynajmniej myśli, z którą się tam przychodzi, myślą, którą wyraża; na jego widok

nie doznajemy owego przykrego wrażenia, które zawsze sprawia jakaś wielka idea źle wyrażona, jakieś wielkie wspomnienie skalane ręką człowieka; przeciwnie, mówi się tu mimowolnie: „Tego się właśnie spodziewałem.” Człowiek wykonał to, jak umiał najlepiej. Pomnik nie jest godzien Grobu, ale jest godzien rodzaju ludzkiego, co chciał uczcić ten wielki Grób, toteż z takim właśnie uczuciem uroczystej powagi wchodzi się do sklepionego, ciemnego przedsionka nawy kościoła.

Z lewej strony, przy wejściu do przedsionka, z którego wchodzi się do kościoła, w obszernej i głębokiej niszy, gdzie niegdyś stały posągi, Turcy ustawili sofę; są strażnikami Grobu Świętego i mają prawo zamykać lub otwierać do niego wrota. Kiedy przechodziłem tędy, pięciu czy sześciu czcigodnych Turków z długimi siwymi brodami siedziało ze skrzyżowanymi nogami na tej sofie pokrytej wspaniałymi kobiercami z Aleppo; na kobiercach stały wokół nich filiżanki do kawy i fajki; powitali nas uprzejmie i z godnością i kazali jednemu z nadzorców, aby nas oprowadził po wszystkich częściach kościoła. W wyrazie ich twarzy, w ich wypowiedziach i gestach nie spostrzegłem bynajmniej owego braku szacunku, o który ich obwiniają. Nie wchodzi do kościoła, są przy drzwiach, przemawiają do chrześcijan z powagą i uszanowaniem, stosownym do miejsca i przedmiotu odwiedzin. Stawszy się w wyniku wojny panami świętego zabytku chrześcijan, nie niszczą go, nie burzą, lecz starają się go utrzymać w należytych stanie, dbają, by panował tu ład, dozór i pełna uszanowania cisza, których bynajmniej nie przestrzegają wspólnoty chrześcijańskie, co się o niego kłóca. Czuwają nad tym, aby wspólna relikwia chrześcijan została zachowana dla wszystkich, aby każda wspólnota mogła oddawać cześć Grobowi Świętemu<sup>19</sup>. Gdyby nie Turcy, Grób Święty, o który wiodą spór wyznawcy obrządku wschodniego, katolicy i niezliczone wyznania chrześcijańskie, byłby już ze sto razy przedmiotem walki między tymi wzajemnie nienawidzącymi się i współzawodniczącymi wspólnotami, przechodziłby kolejno od jednej z nich do drugiej i z pewnością nie mieliby tu wstępu nieprzyjaciele wspólnoty zwycięskiej. Nie widzę więc, o co można by obwiniać Turków i im złorzeczyć. Rzekoma ich brutalna nietolerancja, o którą oskarżają ich ci, co nie są rzeczy świadomi, okazuje się jedynie tolerancją i szacunkiem względem tego, co czczą i wielbią inni. Muzułmanin pochyla się z szacunkiem i ze czcią wobec wszystkiego, w czym w myślach swoich braci dostrzega ideę Boga. Uważa, iż idea uświęca formę. W istocie jest to jedyny naród okazujący to-

lerancję. Niechże chrześcijanie zadadzą sobie pytanie i w dobrej wierze spróbują na nie odpowiedzieć, co też by uczynili, gdyby obrotom wojny wpadły im w ręce Mekka i Kaaba. Czy Turcy ze wszystkich części Europy i Azji mogliby w spokoju oddawać cześć zachowanym tam bez wszelkiego uszczerbku zabytkom islamu?

U kresu tego przedśionka znaleźliśmy się pod ogromną kopułą kościoła. Pośrodku rotundy, która według miejscowych podań stanowi środek ziemi, wznosi się niewielka budowla, mieszcząca się w rotundzie niby kosztowny klejnot oprawny w inny drogocenny kamień. Owa mniejsza budowla ma kształt prostokątny, zdobi ją kilka filarów, gzyms i marmurowa kopuła, a wszystko to, w złym smaku, o wymuszonych, dziwacznych liniach: w roku 1817 przebudował ją budowniczy europejski sumptem Kościoła Wschodniego, który ją teraz posiada. Wokół owej wewnętrznej budowli panuje pustka wielkiej zewnętrznej rotundy; można w niej chodzić swobodnie i pomiędzy filarami napotyka się obszerne, głębokie kaplice, z których każda upamiętnia jedną z tajemnic Męki Chrystusa, a wszystkie są prawdziwymi lub domniemanymi świadectwami wydarzeń Odkupienia. Część kościoła Grobu Świętego, znajdująca się poza rotundą, jest przeznaczona wyłącznie dla wyznawców Kościoła Wschodniego; przegroda z malowanego drzewa, okryta obrazami szkoły greckiej, oddziela tę nawę kościelną od tamtej. Mimo obfitości nie najlepszych obrazów i wszelkiego rodzaju ozdób, wypełniających ściany i ołtarz, całość sprawia wrażenie religijnej powagi; odczuwa się, że modlitwa pod wszelkimi postaciami ogarnęła ten święty przybytek i nagromadziła tu wszystko, co tylko pełne przesądów, lecz żarliwie wierzące pokolenia miały, według nich samych, najcenniejszego w obliczu Boga. Wykute w skale schody prowadzą stąd na szczyt Golgoty, gdzie ustawiono trzy krzyże; Golgota, Grób Święty i wiele innych miejsc dramatu Odkupienia znajdują się tym sposobem wszystkie razem pod dachem jednej, niezbyt obszernej budowli.<sup>20</sup> Wydaje się to niezbyt zgodne ze świadectwami Ewangelii, toteż zdziwienie budzi, że grób Józefa z Arymatei, wykuty w skale za murami Syjonu, o pięćdziesiąt kroków od Golgoty, miejsca kaźni, znajduje się w obrębie murów nowoczesnych; taka jednak ustaliła się tradycja i ona wzięła górę. Umysł w takim miejscu nie upiera się przy prawdopodobieństwie historycznym, które w stosunku do tradycji przesuwa owo miejsce o kilka kroków dalej; tu czy tam, nie działo się to zbyt daleko od miejsca, które nam pokazują.



## JEROZOLIMA

Po chwili głębokiego, milczącego rozpamiętywania w każdym z owych miejsc świętych zeszedliśmy do rotundy i do wznoszącej się w jej wnętrzu budowli, która stanowi jak gdyby kamienną osłonę lub pokrywę Grobu Świętego; budowla ta dzieli się na dwa niewielkie sanktuaria: w pierwszym znajduje się kamień, na którym siedzieli aniołowie, kiedy odpowiedzieli świętym niewiastom: „Nie ma Go tutaj; zmartwychwstał”<sup>21</sup>, w drugim zaś — Grób Święty, osłonięty jeszcze rodzajem sarkofagu z białego marmuru, co otacza i zakrywa zupełnie przed okiem pierwotną skałę, w której wykuto Grób. Srebrne i złote lampy, wiecznie podsypane, oświetlają tę kaplicę, a kadzidła żarzą się tam dzień i noc; powietrze, którym się tam oddycha, jest ciepłe i wonne. Wchodziliśmy tam pojedynczo, oddzielnie, nie zezwalając nikomu z obsługi kościoła, aby wszedł tam z nami, od pierwszego sanktuarium odgradzeni karmazynowa zasłoną. Nie chcieliśmy, aby czyjeś spojrzenie mąciło uroczystą powagę tego miejsca i głębię doznania, jaką musiało ono przejąć każdego stosownie do jego myśli i do rozmiarów, i natury jego wiary w owo wielkie wydarzenie, o którym Grób Święty przypomina; każdy z nas spędził tam około kwadransa i nikt nie wyszedł stamtąd z suchymi oczyma. Jakikolwiek kształt nadały religijnemu uczuciu człowieka medytacje, lektura dzieł historycznych, lata, zmienne koleje jego serca i umysłu<sup>22</sup>, bez względu na to, czy dochowuje litery chrześcijaństwa, czy przestrzega dogmatów, które wpajała mu matka, czy też jest chrześcijaninem z ducha, wyznawcą jedynie chrześcijańskiej filozofii, czy Chrystus jest dla niego ukrzyżowanym Bogiem, czy też widzi w nim tylko najświętszego z ludzi, przebóstwionego cnotą, natchnionego najwyższą prawdą i umierającego, aby dać świadectwo Ojcu, czy Jezus jest dla niego Synem Bożym, czy synem człowieczym, Bóstwem uczłowieczonym, czy człowieczeństwem ubóstwionym, chrześcijaństwo zawsze jest dla niego religią jego wspomnień, jego serca i wyobraźni, której nigdy całkiem nie rozwiązał wicher stuleci i jego własnego życia, a dusza, w którą ją wpojono, przechowała jej pierwszą woń, obraz zaś miejsc i widzialnych monumentów jego najwcześniejszej wiary przypomina mu jego młodzieńcze uczucia i przejmuje go uroczystym drżeniem. Dla chrześcijanina lub wolnomyśliciela, dla moralisty lub historyka Grób ten stanowi granicę dzielącą dwa światy: świat dawny i świat nowy; to punkt wyjściowy myśli, która odnowiła świat, cywilizacji, która ją przeobraziła, słowa, które rozległo się po całej kuli ziemskiej: ten Grób jest mogiłą dawnego i kolebką nowego świata; żaden ka-

## JEROZOLIMA

mień tu, na ziemi, nie był fundamentem tak ogromnej budowy, żaden grób nie był tak płodny, żadna nauka, pogrzebana przez trzy dni lub trzy wieki, nie skruszyła tak zwycięsko skały, którą zatoczył nad nią człowiek, i nie zaprzeczyła śmierci tak świetnym i wiecznym Zmartwychwstaniem.

Wszedłem z kolei jako ostatni do Grobu Świętego, pełen owych ogromnych myśli, z sercem przejętym do głębi uczuciami, które pozostają tajemnicą między człowiekiem i jego duszą, między myślącym owadem i Stwórcą; nie można tych uczuć zapisać; unoszą się z dymem lamp, z wonią kadzielnic, z cichymi, niewyraźnymi westchnieniami, spadają ze łzami napływającymi do oczu na wspomnienie pierwszych imion, które wymawialiśmy w dzieciństwie, na wspomnienie ojca i matki, którzy nas uczyli je wymawiać, braci, sióstr, przyjaciół, z którymi wymawialiśmy je z cicha. Wszystkie pobożne uczucia, które nas wzruszały we wszystkich okresach naszego życia, wszystkie modlitwy, które wyszły z naszego serca i z naszych ust w imię Tego, który nas nauczył modlić się do Jego i do naszego Ojca, wszystkie radości, wszystkie smutki myśli, których te modły były wyrazem, budzą się w głębi duszy i swoim echem i nieładem wywołują to olśnienie umysłu, to rozrzewnienie serca, które nie szuka wcale słów, lecz rozplywa się we łzach, chwyta za gardło, każe pochylić się czołu, a ustom w milczeniu przylgnąć do kamienia Grobu Świętego. Długo tu trwałem, modląc się do Niebios, do Ojca, tu, gdzie najpiękniejsza z modlitw po raz pierwszy wzniosła się ku Niebu; modliłem się za mojego ojca tu, na ziemi, za moją matkę w zaświatach, za wszystkich, którzy są lub których już nie ma, lecz z którymi na wieki wiąże mnie niewidzialne ogniwo; komunია miłości trwa zawsze; imiona wszystkich istot, które znałem, kochałem, które mnie kochały, spłynęły z moich warg na kamień Grobu Świętego. Potem dopiero modliłem się za siebie; moja modlitwa była żarliwa i gwałtowna, prosiłem o prawdę i moc przy grobie Tego, co najwięcej prawdy zasiał na tym świecie i umarł z największym poświęceniem dla tej prawdy, której Bóg uczynił Go Słowem; nigdy nie zapomnę słów, które szeptałem w owej godzinie przesilenia mojego życia duchowego. Może zostałem wysłuchany: wielkie światło rozumu i pewności rozświetliło mój umysł i sprawiło, że dzień wyraźniej oddzielił się od nocy, błędy od prawdy; są takie chwile w życiu, kiedy myśli człowieka, przez długi czas niepewne, pełne zwątpienia, rozkołysane niby fale bez łożyska, na koniec dotykają brzegu, rozbijają się i cofają, przybierając nowy kształt i płynąc w przeciwną stronę, pod

prąd, który je tam zapędził. Tu właśnie przeżyłem jedną z takich chwil. Ten, co zgłębia myśli i serca, wie o tym, a ja może ją kiedyś zrozumieć. Była to w moim życiu tajemnica, która się później odsłoni.

Tegoż dnia.

Wychodząc z kościoła Grobu Świętego, ruszyliśmy Drogą Krzyżową, której tak poetyczny opis dał nam pan de Chateaubriand.<sup>23</sup> Nic tu nadzwyczajnego, nic stwierdzonego ani prawdopodobnego; nowoczesne rudery, które zakonnicy pokazują pielgrzymom jako niewątpliwe szczątki rozmaitych stacji Męki Pańskiej. Patrząc na nie, trudno jednak mieć jakiegokolwiek złudzenia, a wszelkie zaufanie do miejscowych tradycji z góry niejako podrywają dzieje pierwszych lat chrześcijaństwa, kiedy to z Jerozolimy nie o-stał się kamień na kamieniu, a chrześcijan wypędzono z niej na długie lata. Z zabytków swojej wielkiej przeszłości Jerozolima zachowała tylko sadzawki i groby królów; kilka miejsc można jeszcze rozpoznać: esplanade, na której wznosiła się świątynia Salomona, a na której dziś stoi ogromny, piękny meczet Kubbet es-Sachra, górę Syjon z klasztorem Ormian i grobem Dawida<sup>24</sup>, ale i to tylko z podręcznikiem historii w rękę i pamiętając, że położenie tych miejsc nie może być oznaczone z całą pewnością. Oprócz murów biegnących wzdłuż tarasów nad Doliną Jozafata żaden kamień ani kształtem, ani barwą nie zdradza czasu swojego istnienia: wszystko jest albo pokruszone, albo nowoczesne. Umysł błąka się niepewnie pośród widoków miasta, nie wiedząc, gdzie spocząć, lecz całe miasto, ograniczone wzgórzem, na którym stoi, i rozmaitymi otaczającymi je dolinami, a nade wszystko głęboką doliną Cedronu, jest zabytkiem, co do którego oko mylić się nie może: tu na pewno był Syjon; jego położenie było dość niezwykle i niezbyt szczęśliwe jak na stolicę wielkiego ludu; to raczej naturalna warownia jakiegoś ludu małego, wygnanego ze swojej ziemi i chroniącego się ze swoim Bogiem i świątynią na obszarze, o który nikt nie zechce się z nim prawować, na skałach, do których żadne drogi nie ułatwiają przystępu, w bezwodnych dolinach, w krainie surowej i nieurodzajnej, która za cały widnokrąg ma tylko góry przepalone ogniem wulkanów, góry Arabii i Jerycha, i cuchnące morze o brzegach nie nadających się do żeglugi, Morze Martwe. Oto Judea, oto kraina tego ludu, któremu przeznaczono być wygnańcem we wszystkich epokach jego dziejów i któremu narody odebrały nawet stolicę jego wygnania, uczepioną jak orle gniazdo na szczycie gór; a mimo to

ów lud niósł z sobą wielką myśl o jedynym Bogu i to, co w tej pierwotnej myśli było prawdą, starczyło, aby wyodrębnił się od innych ludów, był dumny ze swojego wygnania i pokładał ufność w swojej wierze otrzymanej od Opatrzności.

Tegoż dnia.

Po zwiedzeniu rozmaitych części miasta, wszystkich jednakowo ogołoconych, jednakowo nędznych, jednakowo zrównanych z ziemią, jak te, przez które wjechalśmy, skierowaliśmy się ku sławnemu meczetowi, stojącemu w miejscu, gdzie była świątynia Salomona. W budowlu przylegającej do ogrodów i murów meczetu gubernator Jerozolimy ma swój seraj. Dziedziniec serajowy otaczały okratowane ciemnice, w których widać było kilku zbójców z Jerycha i z Samarii, oczekujących uwolnienia lub miecza paszy. Jezdni leżeli u nóg swoich koni, szejkwowie beduińscy i Arabowie z Nablus na schodach lub pod szopami, wyglądając godziny posłuchania. Gubernator, dowiedziawszy się o naszym przybyciu, polecił swojemu synowi, aby nas do niego wprowadził. Ów młody, mający lat około trzydziestu mężczyzna był najpiękniejszym z Arabów, a może nawet i z wszystkich mężczyzn, jakich kiedykolwiek widziałem. Siła, wdzięk, rozum i łagodność były tak harmonijnie rozlane w jego rysach, a zarazem tak szczerze przeglądają z jego niebieskich oczu, że jego postać sprawiła na nas wszystkich wielkie wrażenie. Urodził się w Samarii. Ojciec jego, gubernator Jerozolimy, jest najpotężniejszy z Arabów z Nablus. Prześladowany przez Abdallę, paszę Akki, i często z nim w wojnie, za panowania Turków musiał wraz z rodziną schronić się w góry za Morzem Martwym; zwycięstwo Ibrahima Paszy nad Abdallą pozwoliło mu na powrót do ojczyzny. Odzyskał w niej na nowo swoje bogactwa i wpływy, wypędził nieprzyjaciół z kraju, toteż pasza Egiptu, chcąc wzmocnić niedostateczną siłę swoich wojsk w Judei, powierzył mu zarząd Samarii i Jerozolimy. Całą jego siłę stanowiło zaledwie kilkuset jezdnych z jego plemienia i przy ich pomocy utrzymywał porządek oraz władzę Ibrahima nad wszystkimi okolicznymi plemionami.

Weszliśmy do dywanu, wielkiej sali audiencjonalnej, ozdobionej tylko kilkoma kobietami rozciągniętymi na matach; stały na nich fajki i filizanki z kawą. Gubernator, otoczony mnóstwem niewolników, zbrojnych Arabów i kilkoma klęczącymi sekretarzami, którzy pisali, trzymając papier na dłoni, był zajęty wymierzaniem wyroków i wydawaniem rozkazów. Spostrzegłszy

nas, wstał i podszedł ku nam. Kazał wynieść z sali kobierce, które mogły być siedliskiem zarazy, a zamiast nich rozłożył egipskie maty, które nie są jej rozsadnikiem. Podano nam kawę i fajki. Tłumacz mój oświadczył mi w moim imieniu zwykle grzeczności, a ja sam podziękowałem gubernatorowi za wszystkie podjęte przez niego starania, aby cudzoziemcy, jak my, mogli bezpiecznie odwiedzać miejsca uświęcone ich religią. Odpowiedział mi ze zniewalającym uśmiechem, że dopełnia tylko swojej powinności, że przyjaciele Ibrahima są jego przyjaciółmi, że odpowiada za każdy włos z ich głowy, że gotów nie tylko uczynić dla mnie to, co uczynił, ale gdybym tego zażądał, ruszyłby nawet ze swoim wojskiem i towarzyszył mi wszędzie, w granicach obszaru pozostającego pod jego zarządem, dokąd bym tylko chciał się udać wiedziony potrzebą wiary lub ciekawością, taki bowiem był rozkaz paszy. Potem dopytywał się o nowiny wojenne i zdanie mocarstw europejskich o sukcesach Ibrahima. Odpowiedziałem mu w sposób mogący zadowolić jego tajemne myśli: że Europa podziwia w Ibrahimie Paszy zdobywcę-cywilizatora, że z tego względu cieszy się jego zwycięstwami, że czas już, aby Wschód uczestniczył w dobrodziejstwach lepszego zarządu, że pasza Egiptu jest zbrojnym zwiastunem cywilizacji europejskiej w Arabii, że jego męstwo i taktyka, od nas przejęte, pozwoliły mu na pokonanie wielkiego wezyra, który ruszył przeciw niemu w Kara-manii, że według wszelkiego prawdopodobieństwa odniesie tam nad nim wielkie zwycięstwo i pomaszeruje na Konstantynopol, ale do niego nie wkroczy, ponieważ Europejczycy jeszcze mu na to nie pozwolą, natomiast za ich pośrednictwem zawrze pokój i utrzyma władzę nad Arabią i Syrią. Tego właśnie pragnął z całego serca stary buntownik z Nablus, który oczyma zdawał się pić moje słowa, a jego syn i przyjaciele pochylali się nade mną, aby nic nie utracić z tej rozmowy, stanowiącej dla nich wróżbę długiego i spokojnego panowania w Samarii.

Widząc, że gubernator jest tak dobrze usposobiony, oświadczyłem, że chciałbym obejrzeć z bliska meczet Omara, ale nie proszę o pozwolenie zwiedzenia go, ponieważ wiem, że to się sprzeciwia zwyczajom krajowym. „Jeżeli chcesz — odparł — każe ci go otworzyć, ale bardzo rozjątrzyłbym tutejszych muzułmanów: są jeszcze zacofani, wierzą, że obecność chrześcijanina w murach meczetu naraziłaby ich na wielkie niebezpieczeństwa, ponieważ jedno z proroctw mówi: «Wszystko, czego chrześcijanin zażąda od Boga we wnętrzu meczetu es-Sachra, otrzyma», a nie wątpią, że chrześcijanin prosiłby w nim Boga o zagładę religii Proroka i o

## JEROZOLIMA

wyćpienie muzułmanów. Co do mnie — dodał — nie wierzę temu wcale: wszyscy ludzie są braćmi, choć każdy w swojej mowie czci wspólnego Ojca, który nic nie daje jednym z krzywdą drugich i każe świecić słońcu dla wyznawców wszystkich proroków; ludzie nic nie wiedzą, ale Bóg wie wszystko; Allah kerim, Bóg jest wielki!" I z uśmiechem pochylił głowę. „Niech mnie Bóg zachowa — rzekłem — abym chciał nadużywać twojej dobroci i narażać cię w zamian za zaspokojenie próżnej ciekawości podróżnego! Gdybym był w meczecie es-Sachra, modliłbym się nie o wyćpienie jakiegokolwiek ludu, ale o światło i szczęście dla wszystkich dzieci Allacha!" Na te słowa wstaliśmy; zaprowadził nas korytarzem do jednego z okien seraju, które wychodziło na zewnętrzne dziedzińce meczetu. Nie mogliśmy stąd ogarnąć w całości tego miejsca tak dokładnie jak z wierzchołka Góry Oliwnej; widzieliśmy tylko ściany podtrzymujące kopułę, kilka przedsiionków mauretańskich niezwykle wykwintnej budowy oraz wierzchołki cyprysów, które rosły w ogrodach położonych w obrębie murów.

Pozegnałem gubernatora, oznajmiając mu, że zamierzam spędzić osiem, dziesięć dni pod namiotem w okolicach miasta, że jutro wyruszę nad Morze Martwe, nad Jordan i do Jerycha, aż do podnóża gór Arabii Skalistej<sup>25</sup>, że, tak jak dziś, jeszcze kilkakrotnie będę zwiedzał wnętrza Jerozolimy i że proszę go tylko o odpowiednią liczbę konnych, abyśmy mogli bezpiecznie odbywać rozmaite zamierzone wycieczki po Judei. Wyjechaliśmy z Jerozolimy tą samą bramą Betlejemską, przy której tego dnia rozbiliśmy namioty, a wieczorem dokończyliśmy zwiedzania położonych wokół murów miasta wszystkich miejsc upamiętnionych i uświęconych.

Tegoż dnia.

Wieczór upłynął nam na zwiedzaniu zboczy ciągnących się na południe od Jerozolimy, między grobem Dawida i Doliną Jozafata. Tylko na tych zboczach pojawia się gdzieś jakiś ślad roślinności. O zachodzie słońca usiadłem naprzeciw Góry Oliwnej, na wysokości czterystu lub pięciuset kroków nad źródłem sadzawki Siloam, prawie w tym miejscu, gdzie były ogrody Dawida: mam pod stopami Dolinę Jozafata, wysokie mury tarasów świątyni wznoszą się nade mną z lewej strony; widzę wierzchołki wspaniałych cyprysów w kształcie piramid nad portykami meczetu el-Aksa i korony drzew pomarańczowych, co przesłaniają piękny wodotrysk przy meczecie, zwany Wodotryskiem Poma-

## JEROZOLIMA

rańcowym, który przypomina mi jedno z najcudowniejszych podań wschodnich wymyślonych, przekazanych lub przechowanych przez Arabów. Oto jak według owego podania Salomon wybrał miejsce na świątynię:

„Jerozolima była obszarem uprawnym; ta jego część, gdzie dziś wznosi się świątynia, należała do dwóch braci; jeden z nich był żonaty i miał wiele dzieci, drugi pozostał bezzenny; uprawiali wspólnie pole otrzymane w spadku po matce; gdy nadeszły żniwa, obaj bracia powiązali swoje snopy i ustawili z nich dwa jednakowe brogi, pozostawiając je na polu. W nocy bratu nieżonatemu przyszła do głowy dobra myśl. «Mój brat — rzekł do siebie — musi żywić żonę i dzieci, a więc byłoby niesprawiedliwie, aby moja część była tak wielka jak jego, pójdę, wezmę z mojego brogu kilka snopów i dorzucę je skrycie do jego brogu, on się nie spostrzeże i nie będzie mógł ich odrzucić.» I zrobił tak, jak umyślił. Tej samej nocy drugi brat obudził się i rzekł do żony: «Mój brat jest młody, żyje sam, bez towarzyszk, nikt mu nie pomaga w pracy, nie pociesza w trudach; nie godzi się, żebyśmy brali ze wspólnego pola taką samą liczbę snopów jak on; wstańmy, chodźmy i donieśmy skrycie do jego brogu trochę snopów, on tego nie spostrzeże i nie będzie mógł ich odrzucić.» I zrobili tak, jak umyślili. Nazajutrz każdy z braci poszedł na pole i zdziwił się niemało, widząc, że oba brogi były jednakowe; ani jeden, ani drugi nie mogli sobie wytłumaczyć tego niezwykłego zjawiska; przez kilka następnych nocy powtarzało się to samo, lecz ponieważ każdy z nich dorzucał do brogu swojego brata tę samą ilość snopów, brogi były zawsze jednakowe; tak trwało aż do pewnej nocy, kiedy obaj, stanawszy na czatach, aby dociec przyczyny tego cudu, spotkali się, niosąc snopy wzajemnie dla każdego przeznaczone.

Miejsce, gdzie dwaj ludzie powzięli jednocześnie tak dobrą myśl i tak wytrwale się jej trzymali, musiało być przyjemne Bogu, toteż ludzie uznali je za błogosławione i obrali na wybudowanie na nim domu Bożego."

Jakie piękne podanie, tchnące naiwną dobrocią obyczajów patriarchalnych; jakie proste, pradawne i naturalne jest owo natchnienie, które podpowiada ludziom myśl, aby miejsce, gdzie na ziemi cnota wydała owoce, poświęcić Bogu! Słyszałem od Arabów setki takich podań. We wszystkich krainach tego Wschodu oddycha się powietrzem Biblii.

Widok Doliny Jozafata odpowiada przeznaczeniu, jakie jej wskazuje myśl chrześcijańska. Przypomina ona ogromny grobo-

wiec, zbyt jednak szczupły dla całego rodu ludzkiego, który ma się tam zgromadzić. Ze wszystkich stron otaczają ją pomniki żałobne, u południowego jej kresu wznosi się skała, z której wypływają wody sadzawki Siloam, cała podziurawiona lochami grobowymi niby jakiś ul śmierci; jak jej słupy graniczne wnoszą się groby Jozafata i Absaloma, wykute z opoki w piramidy i z jednej strony ocienione czarnymi wzgórzami Góry Zgorszenia<sup>\*26</sup>, z drugiej murami zrujnowanej świątyni. To miejsce jak gdyby z natury rzeczy było otoczone świętą zgrozą i już wcześniej przeznaczone na miejsce kaźni, toteż wyobraźnia proroków z łatwością mogła tam umieścić obrazy śmierci, zmartwychwstania i sądu. Przedstawiamy sobie Dolinę Jozafata jako rozległy wąwóz zamknięty górami, gdzie Cedron, szeroki, czarny, posepny potok, płynie z żałobnym szumem, gdzie wielkie gardziele górskie, otwarte na cztery wiatry, rozszerzają się, aby mogły przez nie tu napłynąć cztery strumienie zmarłych, ze Wschodu, Zachodu, Północy i Południa; ogromne progi wzgórz biegną amfiteatralnie wokół doliny, aby pomieścić nieprzeliczone dzieci Adama, z których każde będzie tam oczekiwać ostatecznego rozwiązania wielkiego dramatu rodu ludzkiego; nic jednak z tego tu nie widać. Dolina Jozafata jest tylko naturalnym wąwozem, wyżłobionym między dwoma wzgórzami wysokości kilkuset stóp; na jednym wznosi się Jeruzolima, a drugi stanowi szczyt Góry Oliwnej; mury Jeruzolimy, rozsypując się w gruzy, zapełniły go niemal po brzegi; nie widać tu ani jednego otworu jakiegś gardzieli górskiej; Cedron, wypływający z ziemi, staje się potokiem tylko w zimie, gdy spływają do niego wody deszczowe, co ściekają z kilku położonych poniżej grobów królewskich kawałków gruntu, na których rosną drzewa oliwne; przecina go most pośrodku doliny, naprzeciw jednej z bram Jeruzolimy, szeroki zaledwie na kilka kroków, a dolina w tym miejscu nie jest rozleglejsza niż płynąca nią rzeka. Ta rzeka wyschnięta to tylko widoczne w głębi owej gardzieli górskiej łożysko z białych kamieni. Słowem, Dolina Jozafata przypomina jedną z owych fos wykopanych u podnóża wysokich obwarowań jakiegoś wielkiego miasta<sup>27</sup>, w której zimą płyną brudne ścieki miejskie i gdzie kilku biednych mieszkańców przedmieścia wydiera sobie jakiś mały kawałek gruntu pod murami, aby uprawiać na nim jarzyny, lub też gdzie przychodzą beżpańskie kozy i osły, aby na stromych zboczach skubać trawę zwiędłą od nieczystości i pokrytą kurzem. Ale rzuć tylko na tę ziemię kamienie nagrobne wszystkich wyznań świata, a ujrzysz przed sobą dolinę Sądu Ostatecznego.



## JEROZOLIMA

Tegoż dnia.

Oto źródło Siloam, jedyne źródło doliny, źródło natchnienia królów i proroków; nie wiem, dlaczego tylu podróżników nie mogło go odnaleźć i wciąż jeszcze sprzecza się o miejsce, w którym miałyby się znajdować.<sup>28</sup> Oto ono przed nami całe, pełne czystej, smacznej wody, tchnące swój świeży chłód w skwarne, pełne kurzu powietrze doliny, wyżłobione na wysokości dwudziestu schodków w skale, na której wierzchołku wznosił się pałac Dawida; kryje je sklepienie z kamieni, które wygładziły wieki, a ich spojenia porasta wilgotny mech i odwieczne bluszcze. Stopnie tych schodów, starte nogami kobiet, które ze wsi Siloam przychodzą tu z dzbankami po wodę, lśnią jak marmur. Schodzę tam, siadam na chwilę na tych chłodnych kamieniach, słucham, aby go dobrze zapamiętać, cichego szmeru wody sączącej się ze źródła, myję nią ręce i przecieram czoło, powtarzam wiersze Milтона<sup>29</sup>, jak gdyby prosząc źródło, aby mnie z kolei udzieliło swojego natchnienia, które od dawna zamarło. Jedyne to miejsce w okolicach Jerozolimy, gdzie podróżny może zwilżyć palce, ugasić pragnienie i wypocząć w cieniu chłodnej skały i rosnących tu kęp zieleni. Kilka niewielkich ogrodów, zasadzonych przez Arabów z Siloam granatami i innymi drzewkami, oplata źródło bladezielonym wieńcem, ono zaś żywi je nadmiarem swoich wód. Tu kończy się Dolina Jozafata. Nieco niżej, gdy spojrzeć w dół malej, łagodnie opadającej równiny, widać szerokie i głębokie wąwozy wulkanicznych gór w okolicach Jerycha i dolin Świętego Saby, a u kresu widnokregu — Morze Martwe.

## Brzegi Jordanu poza równiną Jerycha, o kilka mil od ujścia do Morza Martwego

Wczoraj, 30 października, o siódmej rano wyjechałem z Jerozolimy z całym moim orszakiem: z sześcioma żołnierzami Ibrahima Paszy, z bratankiem Abu Gosza i z czterema konnymi tego naczelnika oraz z ośmioma jeźdźcami arabskimi z Nablus, przysłanymi przez gubernatora Jerozolimy. Objechaliśmy miasto dokoła, spuściliśmy się w głąb Doliny Jozafata, potem, dostawszy się na Górę Oliwną, zostawiliśmy po prawej stronie Mons Offensionis \*, przebyliśmy u jej południowego krańca pasmo gór, stanowiące przedłużenie Góry Oliwnej, i stanęliśmy w Betulii, wiosce, gdzie jeszcze mieszka kilka rodzin arabskich i gdzie rozpoznaliśmy szczątki jakiegoś zabytku chrześcijańskiego. Jest tu wyborne źródło. Jeden z Arabów całą godzinę ciągnął z niego wodę, aby napoić nasze konie i napełnić dzbany zawieszane u siodła naszych mułów. Aż do Jerycha, czyli na przestrzeni, do której przebycia trzeba dziesięciu, dwunastu godzin, nigdzie już nie ma wody.

Opuściliśmy Betulię o czwartej po południu. Dwie godziny zjeżdżaliśmy szeroką drogą, której spadzistość sztucznie zmniejszono, wykuwając ją w ciągnących się, jedno za drugim, niemal pionowych zboczach górskich. To jedyny ślad jakiegóż drogi, jaki widziałem na Wschodzie. Była to droga wiodąca do Jerycha i ku żyznym równinom, które nawadnia Jordan, do włości pokoleń Izraela, które dzieliły między sobą cały bieg tej rzeki oraz równinę Tyberiady aż do okolic Tyru i podnóża Libanu. Prowadziła do Arabii, Mezopotamii, a stamtąd do Persji i do Indii, krajów, z którymi Salomon nawiązał ożywione stosunki handlowe. On to z pewnością stworzył tę drogę. Przez te doliny również po raz pierwszy szedł naród żydowski, kiedy opuścił Arabię Skalistą, przebył Jordan i objął w posiadanie swoje dziedzictwo.<sup>1</sup>

Za Betulią nie widać ani domów, ani pól uprawnych; góry są zupełnie pozbawione roślinności: tylko wiatr żłobi tu skały lub

\* Górę Zgorszenia

orze skalny proch; ziemię szczelnie pokrywa czarniawy popiół niby całun żałobny. Tu i ówdzie góry zapadają się i jęk gdyby pękają, tworząc głębokie, wąskie rozpadliny, niedostępne przepaści, w których oko widzi tylko wciąż te same, ustawicznie powtarzające się obrazy. Prawie wszystkie te góry wyglądają jak wulkaniczne; kamienie, które zimowe potoki zniosły na ich zbocza lub na drogę, przypominają bloki stwardniałej i spękanej przez wieki lawy. Gdzieniedzie dostrzega się nawet na grzbietach odległych wzgórz ową barwę z lekka żółtawą, podobną do koloru siarki, którą widać na Wezuwiuszu i na Etnie; nie sposób oprzeć się wrażeniu smutku i grozy, jakim napawa ten krajobraz, na którego widok ściska się serce i wzrok zachodzi łzami. Kiedy już osiąga się wierzchołek jednej z tych gór i kiedy spojrzenie na chwilę może ogarnąć cały widnokrąg, jak daleko okiem sięgnąć widać tylko czarniawe pasma górskie, stożkowate lub ucięte szczyty, co spiętrzone jedne na drugich odcinają się na jaskrawym błękitcie nieba; jest to bezkresny labirynt gór rozmaitego kształtu, rozdartych, zdruzgotanych, rozłupanych w olbrzymie kawały, połączonych z sobą podobnie wyglądającymi pasmami wzgórz, z niezgłębionymi wąwozami, z których, można by sądzić, dobiegnie bodaj szmer strumienia, ale gdzie wszystko trwa nieruchome i nie można dostrzec ani drzewa, ani zioła, ani kwiatu, ani źdźbła mchu; są to ruiny spalonego świata, ślady wrzenia płonącej ziemi, której zastygłe wybuchy utworzyły owe zwały gruntu i kamieni. O szóstej natrafiliśmy w głębi jakiegoś wąwozu na ściany zrujnowanego karawanseraju i na źródło osłonięte niewielkim murem ozdobionym napisami z Koranu. Woda ze źródła ścieka kroplą po kropli do kamiennego basenu; nasi Arabowie nadaremnie przytykali do niego wargi; pozwoliliśmy chwilę odpocząć naszym koniom w cieniu karawanseraju; tak długo zjeżdżaliśmy z góry, że sądziliśmy, iż znaleźliśmy się już na poziomie równiny Jerycha i Morza Martwego.

Wyruszyliśmy w dalszą drogę już uznojeni skwarem i trudami całego dnia; nasi jeźdźcy arabscy pocieszali nas nadzieją, że za kilka godzin będziemy w Jerycho; tymczasem blask dzienny z każdą chwilą znikał, a grozę zapadającego zmierzchu potęgował posępny widok wąwozów, w których się znajdowaliśmy. Po godzinie jazdy dnem owej doliny wciąż jeszcze byliśmy na urwistych zboczach kolejnego łańcucha gór, ostatniego jednak, jak się nam zdawało, przed zjazdem na równinę Jerycha; noc całkiem zakryła przed nami widnokrąg; zaledwie dostrzegaliśmy otwierające się u naszych stóp bezdenne przepaści, w które mogłoby

## BRZEGI JORDANU POZA RÓWNIĄ JERYCHA

nas stracić najmniejsze potknięcie się koni; w dzbanach nie było już wody, paliło nas pragnienie; jeden z Samarytanów powiedział naszemu tłumaczowi, że wie, iż w pobliżu jest jakieś źródło; postanowiliśmy więc, że się zatrzymamy, jeżeli rzeczywiście można tu znaleźć trochę wody; po półgodzinnym oczekiwaniu Samarytanin wrócił, oznajmiając, że nie zdołał znaleźć źródła; trzeba więc było jechać dalej; mieliśmy jeszcze cztery godziny drogi. Na czele kawalkady postawiliśmy Arabów z Nablus; każdy jeździec otrzymał rozkaz, aby jechać krok w krok za tym, co go poprzedza, i nie zgubić jego śladu. Wszyscy zachowywaliśmy najgłębsze milczenie; noc zapadła tak ciemna, że niepodobna było zobaczyć czegokolwiek przed głową konia: każdy jechał za swoim poprzednikiem, kierując się odgłosem kopyt jego konia. Co chwila cała kawalkada zatrzymywała się, ponieważ ci, co jechali przodem, badali ścieżkę z obawy, abyśmy nie powpadali w przepaść; zsiadaliśmy wszyscy z koni i szliśmy po omacku; ze dwadzieścia razy musieliśmy się zatrzymać pod wpływem okrzyków rozlegających się na przedzie lub na końcu kawalkady: a to koń się stoczył, a to znów człowiek upadł; kilkakrotnie chcieliśmy już zatrzymać się na dobre i czekać, aż minie ta długa, ciemna noc; ale ci, co byli na przedzie, szli dalej, musieliśmy więc iść za nimi. Po trzech godzinach takich niepokojów usłyszeliśmy na przedzie głośnie krzyki i strzały: przypuszczaliśmy, że to Arabowie z Jerycha nas zaatakowali; każdy z nas więc przygotował się do strzału, ale po chwili dowiedzieliśmy się, że to Arabowie z Nablus tak krzyczeli z radości i strzelali, ponieważ minęliśmy najbardziej niebezpieczne miejsca; rzeczywiście, poczuliśmy, że droga pod naszymi stopami stała się nieco równiejsza. Dosiadłem konia; mój młody ogier arabski, czując wodę w pobliżu, opierał się i po chwili pomknął wraz ze mną w głąb jakiegoś wąwozu; noc była taka ciemna, że nikt tego nie zauważył; nie puszczałem cugli i mocno siedząc w siodle, pozwoliłem zwierzęciu, aby kierowało się swoim instynktem, choć nie wiedziałem, czy jestem nad brzegiem przepaścistego wąwozu, czy też w jego głębi wyżłobionej pośród równiny; koń, rżąc, pędził galopem i zatrzymał się dopiero nad szeroką, płytką strugą, zarosniętą ciernistymi krzewami; koń pił do syta; z lewej strony usłyszałem okrzyki i strzały pistoletowe Arabów, którzy spostrzegli, że mnie nie ma, i szukali mnie na równinie; ujrzałem błysk ognia przez liście krzaków, puściłem konia w tę stronę i po kilku chwilach znalazłem się u wejścia do mojego namiotu, rozbitego właśnie nad brzegiem owej strugi. Była północ. Zjedliśmy po kawałku chleba umaczanego w

wodzie i położyliśmy się spać, nie wiedząc, gdzie jesteśmy, i nie pojmując, jakim cudem owo pustkowie pozbawione cienia i wody okazało się nagle brzegiem strumienia, który w świetle naszych pochodni i ogniska Arabów wydawał się nam jak gdyby strumieniem alpejskim, zarośniętym wierzbami oraz kępami sitowia i rzeżuchy.

Gdyby Tasso, pisząc *Jerozolimą wyzwoloną*, czerpał, jak u-trzymuje pan de Chateaubriand, natchnienie z oglądanych przez siebie miejsc<sup>2</sup> — a muszę przyznać, że jakkolwiek jestem wielbicielem Tassa, nie za to bym go chwalił, niepodobna bowiem mieć mniej pojęcia o owych miejscach i bardziej minąć się z prawdą o tamtejszych obyczajach, niż on to uczynił, ale cóż znaczą obyczaje i miejsca? Poezja nie tam ma swoje siedlisko, lecz w sercu — otóż gdyby natchnienie z widoku tych miejsc czerpał, byłby niezawodnie sprowadził uciekającą na wolno puszczonego rumaku Herminię nad brzeg tego strumienia, gdzie bohaterka spotkałaby owego pasterza arkadyjskiego, a nie arabskiego, którego Tasso tak prześlicznie nam opisał.<sup>3</sup>

Podobnie jak Herminię, zbudził nas świegot tysiąca ptaków przelatujących po gałęziach drzew i szum wody płynącej kamienistym łożyskiem. Wyszliśmy z namiotów, aby przyjrzeć się miejscu, gdzie nas zaskoczyła noc. Przebyte poprzedniego dnia góry Judei zostały na wschodzie, o jaką milę od naszego obozowiska; ich łańcuch, jałowy, zębaty, ciągnął się, jak okiem sięgnąć, na południu i na północy poprzecinany gdzieniegdzie, jak to mogliśmy zauważyć, szerokimi, otwierającymi się na równinę wąwozami, z których kłęby nocnych oparów wypływały niby wielkie rzeki, tworząc mglistą powłokę nad pofałdowanymi piaskami brzegów jeziora Asphaltitis.<sup>4</sup> Na zachodzie szeroka piaszczysta pustynia dzieliła nas od brzegów Jordanu, którego nie mogliśmy dostrzec, od Morza Martwego i od błękitnych gór Arabii Skalistej. Te góry, widziane o tej godzinie i z takiej odległości, wskutek gry cieni na ich grzbietach i w dolinach wydawały się nam jak gdyby pokryte polami uprawnymi i ocienione ogromnymi lasami, a białawe parowy, które je przecinały, przypominały do złudzenia lśniące wodospady. Wszystko to jednak okazało się złudzeniem: kiedy podjechałem bliżej, przekonałem się, że były przeważnie tak samo nagie i jałowe jak góry Judei. Wokół nas wszystko śmiało się i tchnęło świeżością, choć nie widać było uprawionej ziemi; woda ożywia wszystko, nawet pustynię, a delikatne krzewy, po dwa, trzy rosące nad brzegiem, rozrzucone

## BRZEGI JORDANU POZA RÓWNIĄ JERYCHA

niby kunsztownie posadzone gaiki, przypominały nam najpiękniejsze krajobrazy ojczyste.

Dosiedliśmy koni; musieliśmy być o jaką godzinę drogi od Jerycha, ale nie dostrzegaliśmy ani murów, ani dymu na równinie, i zastanawialiśmy się właśnie, w którą ruszyć stronę, kiedy ze trzydziestu Beduinów na wspaniałych koniach wynurzyło się nagle ^pomiędzy dwóch piaszczystych wzgórków i harcując, zbliżało się ku nam. Był to szejk i znakomitsi mieszkańcy Jerycha; powiadomieni, że zbliżamy się do miasta, przez Araba, którego wysłał gubernator Jerozolimy, szukali nas na pustyni, aby przyłączyć się do naszej kawalkady. O Beduinach zamieszkujących pustynię wokół Jerycha wiedzieliśmy to, co o nich mówiono w całej Syrii, a mianowicie, że są okrutni i żyją z rabunku, toteż w pierwszej chwili nie mieliśmy pewności, czy przybywali jako przyjaciele, czy jako wrogowie, ale w ciągu kilku dni, które spędziliśmy z nimi, nic w ich zachowaniu nie świadczyło, by mieli jakieś złe wobec nas zamiary. Sądziło się, że jesteśmy wysłańcami Ibrahima, a postrach, jaki szerzyło jego imię, sprawił, że dali nam wszystko, co tylko mogła ofiarować zamieszkała przez nich okolica, a mianowicie swobodny przejazd przez pustynię, wodę źródlaną i trochę jęczmienia oraz durry dla koni. Podziękowałem szejkowi i jego przyjaciółom za eskortę; przyłączyli się do nas, a mknąc z obu stron naszej kawalkady po piaszczystych wzgórzach, to ukazywali się, to znów znikali z szybkością wiatru. Spostrzegłem, że brat szejka dosiadł konia, odznaczającego się wspaniałą budową oraz szybkością, zleciłem więc mojemu tłumaczowi, aby go kupił dla mnie za jaką bądź cenę. Ponieważ takie pertraktacje nie mogą odbywać się bezpośrednio, gdyż ubliżałoby to godności właściciela konia, trzeba było kilku dni układów, aby zostać posiadaczem tego pięknego stworzenia, które, zgodnie z powziętym przy kupnie zamiarem, ofiarowałem mojej córce.

## Jerycho

Po godzinnej jeździe, nie wiedząc o tym, znaleźliśmy się pod wałami obronnymi Jerycha.

Były to prawdziwe mury, dwadzieścia stóp wysokie, a piętnaście do dwudziestu szerokie, wzniesione z wiązek suchych cierni, poukładanych jedna na drugiej tak przemyślnie, że nie mógłby się tam przecisnąć człowiek ani zwierzę. Takie obwarowanie nie runęłoby na odgłos trąb, ale mogłaby je spalić iskra z pasterskiego ogniska lub lisy Samsona<sup>1</sup>. W tym obwarowaniu z suchych cierni były dwie czy trzy szerokie bramy, zawsze otwarte, których nocą pilnowała oczywiście arabska straż. Mijając owe bramy, widzieliśmy na dachach kilku chat ulepionych z błotnistej gliny mnóstwo kobiet i dzieci mieszkających w tym mieście na pustyni, które zgrupowane w najbardziej malowniczych postawach cisnęły się i wspinały jedne nad drugie, aby się nam przypatrzeć. Ramiona i nogi tych kobiet były obnażone, a całe ich odzienie stanowił kawałek bawełnianego niebieskiego płótna, przewiązany skórzanym pasem; na nogach i rękach miały mnóstwo złotych i srebrnych bransolet, kędzierzawe włosy sięgały karku, w warkoczach niektórych z nich błyszcząły sznury piasstrów i cekinów, tak liczne, że spadając im na ramiona i piersi okrywały je jak pancerz. Zwróciło naszą uwagę kilka kobiet szczególnie pięknych, ale na ich twarzach nie widać było owej słodyczy, lekliwej skromności i rozkosznego omdlenia, właściwych Arabkom w Syrii. Nie są to już kobiety, to samice barbarzyńców; w ich oczach i w całej ich postaci płonie ten sam ogień, ta sama śmiałość i okrucieństwo co w Beduinie. Znajdowało się pomiędzy nimi wiele Murzynek, które nie sprawiały wrażenia, że są niewolnicami; Beduini żenią się zarówno z Murzynkami, jak z białymi, i barwa skóry o nich nie stanowi. Kobiety wydawały dzikie okrzyki i śmiały się, widząc nas przejeżdżających, mężczyźni zaś jak gdyby potępiali ich niedyskretną ciekawość i okazywali nam tylko powagę i uszanowanie.

## JERYCHO

Niedaleko murów z cierni mineliśmy kilka domów szejka; są zbudowane z błotnistej gliny wysuszonej w słońcu i mają zaledwie kilka stóp wysokości: najważniejszym w nich pomieszczeniem jest taras przykryty matami i kobiercami; cała rodzina spędza tu prawie wszystkie dni i noce. Przed drzwiami znajduje się szeroka ława z wysuszonego błota, na której rozścielają kobierzec dla naczelnika; leży na niej od rana, otoczony znakomitszymi niewolnikami, i przyjmuje tu odwiedzmy swoich przyjaciół. Nieustannie dymi tu kawa i fajki. Wokół domu ciągnie się wielki dziedziniec pełen koni, wielbłądów, kóz i krów. Dwie lub trzy piękne osiodłane klacze stoją zawsze w pogotowiu, gdyby ich pan zechciał gdzieś wyruszyć.

Zatrzymaliśmy się tylko kilka chwil przed błotnym pałacem szejka, który poczęstował nas wodą, kawą i fajką, a dla naszej kawalkady kazał zarznąć cielę i kilka baranów. Otrzymaliśmy także w darze ziarna pieczonej durry, kurczęta i kawony. Ruszyliśmy w dalszą drogę, poprzedzani przez szejka i piętnastu, dwudziestu Arabów, znaczniejszych mieszkańców miasta. W okolicach Jerycha spostrzeżliśmy kilka dobrze uprawionych pól kukurydzy i durry, kilka ogrodów zasadzonych drzewami pomarańczowymi i granatami, kilka pięknych drzew palmowych otacza także domy rozrzucone wokół miasta, potem wszystko znowu staje się pustynią i piaskiem. Ta pustynia stanowi ogromną równinę, opadającą mnóstwem tarasów, przypominających jednakowe stopnie jakichś schodów, aż ku Jordanowi; zrazu widać tylko monotonną równinę, ale po godzinie jazdy znaleźliśmy się nagle na skraju jednego z tych tarasów; zjechaliśmy po stromym zboczu; znowu godzina jazdy, potem kolejny zjazd, i tak dalej. Gleba jest tu biała, piaszczysta, spójna, pokryta twardą skorupą, zawierającą cząsteczki soli, którą tworzą zapewne mgły znad Morza Martwego, parując, zostawiają na niej ten osad solny; nie widać tu ani ziemi, ani kamieni, które pojawiają się dopiero nad brzegami rzeki lub u stóp gór; widok zewsząd jest bardzo rozległy, toteż galopującego po równinie Araba można dojrzeć już z bardzo daleka. Ta pustynia jest widownią rozbojów, rabunków i morderstw, których Arabowie dopuszczają się na karawanach ciągnących z Jerozolimy do Damaszku lub z Mezopotamii do Egiptu, wykorzystując kilka wydm utworzonych z ruchomego piasku, a także usypując kilka podobnych, aby ukryć się przed karawanami i z daleka mieć je na oku; na szczycie tych wydm wykopują dół w piasku i chowają się w nim wraz z końmi. Gdy tylko dostrzegą ofiarę, wypadają z szybkością so-



koła i pędzą, aby uprzedzić swoje plemię, po czym razem Przystępują do ataku: to ich jedyne zajęcie, jedyny tytuł do chwały; ich cywilizacją to mord i grabież i do sukcesów na tym polu przywiązują tyle samo znaczenia, co nasi zdobywcy do podboju jakiejś prowincji. Ich poeci — bo mają poetów — sławią w swoich wierszach te barbarzyńskie sceny i z pokolenia na pokolenie przekazują zaszczytną pamięć ich męstwa y zbrodni. Zwłaszcza konie mają swój chlubny udział w tych opowieściach; oto jedna z nich, którą nam w drodze przytoczył syn szejka: „Pewien Arab i jego plemię napadli na pustyni na karawanę z Damaszku; odnieśli zupełne zwycięstwo i Arabowie byli już zajęci ładowaniem obfitego łupu, gdy jeźdźcy paszy Akki, wysłani na spotkanie tej karawany, uderzyli niespodzianie na zwycięskich Arabów, zabili znaczną ich liczbę, a innych wzięli do niewoli i skrępowanych sznurami zabrali do Akki jako podarunek dla paszy. Abu el-Marsz — tak nazywał się ów Arab, o którym nam opowiadał — w czasie walki został ranny w ramię, ale wobec tego, że jego rana nie była śmiertelna, Turcy uwiązali go na wielbłądzie, a zabrawszy jego konia, prowadzili z sobą konia i jeźdźca. Wieczorem, w wilię dnia, kiedy mieli wjechać do Akki, obozowali ze swoimi jeńcami w górach Safad; ranny Arab miał nogi związane rzemieniem i leżał przy namiocie, w którym Turcy spali. W nocy, przebudzony bólem, usłyszał rzenie swojego konia spętanego sposobem wschodnim wraz z innymi końmi około namiotów; poznał jego głos, a nie mogąc o-przeć się chęci, aby raz jeszcze przemówić do towarzysza swojego życia, z trudem, pomagając sobie rękami i kolanami, doczołgał się do swojego rumaka. «Biedny przyjacielu — rzekł do niego — cóż poczniesz między Turkami? Uwiążą cię pod sklepieniem jakiegoś kanu razem z końmi któregoś agi lub paszy, kobiety i dzieci nie będą ci już nosić wielbłądziego mleka, garści jęczmienia czy durry, nie będziesz już pędził po pustyni wolny jak wiatr z Egiptu, nie będziesz piersią przerzynał wód Jordanu, które odświeżały twoją sierść tak białą jak twoja piana; skoro ja jestem niewolnikiem, ty przynajmniej bądź wolny! Tak, wróć do znanego ci namiotu, mknij, powiedz mojej żonie, że Abu el-Marsz już nie wróci, wsuń głowę pod zasłonę namiotu i poliz ręce moich dzieci.» To mówiąc, Abu el-Marsz przegryzł sznur z koziej sierści, którym pętają konie arabskie, i zwierzę było wolne; ale wierny i pojętny rumak, widząc u swoich nóg rannego i skrępowanego pana, zrozumiał instynktem to, czego żaden język nie zdołałby mu wytłumaczyć; schylił głowę, obwą-

## JERYCHO

chał 'Swojego pana i chwytając go zębami za pas skórzany, który miał około ciała, puścił się galopem i przyniósł go aż do jego namiotów. Przybywszy na miejsce, położył swojego pana na piasku u stóp jego żony i dzieci, a sam padł nieżywy z utrudzenia; całe plemię go oplakiwało, poeci go opiewali, a jego imię brzmi nieprzerwanie w ustach Arabów z Jerycha."

Nie mamy w ogóle pojęcia, do jakiego stopnia pojętności i przywiązania może wznieść się instynkt konia arabskiego, kiedy przywyknie żyć z rodziną, kiedy go dzieci pieszczą, kobiety żywią, a karci lub zachęca głos jego pana. Konie tej rasy są pojętniejsze i bardziej przywiązane niż konie w naszych stronach; podobnie zresztą wszystkie zwierzęta w Arabii. Niebo czy też przyroda więcej im dały instynktu, bardziej zbratały z ludźmi niż u nas. Lepiej pamiętają dni Edenu, gdzie jeszcze dobrowolnie ulegały władzy Króla przyrody. Nieraz byłem w Syrii świadkiem, że ptaki, które dzieci schwytały rano, wieczorem były już zupełnie oswojone, nie trzeba było zamykać ich w klatce, nie przywiązywano ich za nóżki, żeby je zatrzymać między przybraną rodziną, fruwały swobodnie pośród drzew pomarańczowych i morw, a na zawołanie wracały same, siadając dzieciom na wyciągniętym palcu lub na głowach dziewcząt.

Koń, którego kupiłem od szejka z Jerycha i na którym jechałem, po kilku dniach już mnie znał jako swojego pana; nie pozwalał dotrzeć się nikomu, a na dźwięk mojego głosu wyprzedzał całą kawalkadę, chociaż przemawiałem obcym dla niego językiem. Łagodny, wobec mnie przymilny, nawykły do opieki moich Arabów, szedł spokojnie i posłusznie w wyznaczonej sobie kolejności, dopóki spotykaliśmy tylko Turków, ubranych po turecku Arabów lub Syryjczyków, lecz w rok później, gdy ujrzał Beduina jadącego na koniu z pustyni, stawał się nagle zupełnie innym zwierzęciem; oko mu iskrzyło, szyja wzdymała się, wzniesionym ogonem jak biczem uderzał się po bokach, wspinał się na tylnych nogach i długo tak szedł mimo ciężaru siodła i jeźdźca; nie rżał, ale wydawał jak gdyby jakiś wojowniczy odgłos, podobny do dźwięku miedzianej trąby, odgłos taki, że przerażał wszystkie konie, które, nastawiając uszu, zatrzymywały się, aby go słuchać.

Tegoż dnia.

Po pięciogodzinnej jeździe, podczas której rzeka wciąż zdawała się od nas oddalać, przybyliśmy na ostatnie płaskowzgórze, u którego podnóża powinna była płynąć, lecz choć byliśmy od

niej już o dwieście, trzysta kroków, jednak ciągle widzieliśmy przed sobą tylko równinę i pustynię, a najmniejszego nawet śladu doliny i rzeki. Myślę, że właśnie to złudzenie pustyni było powodem, iż niektórzy podróżnicy twierdzili i sami byli o tym przekonani, że Jordan toczy swoje błotniste wody po kamienistym łożysku i pomiędzy piaszczystymi brzegami na pustyni Jerycha. Ci podróżnicy nie zdołali dotrzeć aż nad samą rzekę, a widząc z daleka ogromne morze piasku, nie potrafili sobie wyobrazić, że między płaskowyżami tej jednostajnej pustyni mogła powstać taka głęboka, rozkoszna oaza, pełna chłodu i cienia, osłaniając swoją zielenią, której by jej nawet Tamiza pozazdrościła, obfite, szumiące wody Jordanu: a jednak to prawda. Zatrzymaliśmy się zdumieni i zachwyceni, gdy dotarłszy na skraj ostatniego płaskowyżu, który nagle kończy się pod stopami i spada pionowym zboczem, ujrzelśmy jedną z najpiękniejszych dolin, jaką kiedykolwiek było nam dane oglądać. Zjechaliśmy w nią galopem, zwabieni nowością widoku, znęcani chłodem, wilgocią i cieniem, które ją napełniały: dokoła ciągnęła się murawa o najpiękniejszej zieleni, tu i ówdzie rosły kępy kwitnącego sitowia i cebulkowatych roślin, których szerokie, jaskrawe kwiaty lśniły jak różnobarwne gwiazdy pośród traw i pod drzewami, gaje krzewów o długich, giętkich łodygach, opadających jak pióropusze wokół ich poskręcanych pni, wielkie topole perskie o delikatnych liściach nie wznoszące się piramidalnie jak nasze przycinane topole, ale swobodnie, na wszystkie strony, wyciągały swoje mocne, niczym dębowe, konary, a ich gładka, biała kora lśniła w zmiennych promieniach porannego słońca; lasy wierzb różnego rodzaju i wielkich łoż tworzyły nieprzenikalną wprost gęstwinę, drzewa bowiem rosły blisko siebie, a u ich stóp wily się niezliczone pnącza, splatając nieprzebytą prawie sieć. Lasy te ciągnęły się, jak okiem sięgnąć, po obu brzegach rzeki. Musieliśmy zsiąść z koni i rozłożyć obóz na jednej z leśnych polanek, aby pieszo dotrzeć nad Jordan, który słyszeliśmy, nie widząc go. Z trudem postępowaliśmy naprzód, to przez gęstwinę lasu, to przez bujne trawy, to znów przedzierając się między wysokim sitowiem; wreszcie znaleźliśmy miejsce, gdzie tylko murawa porastała brzeg, i zanurzyliśmy w rzece nogi i ręce. Jordan może mieć tu jakie sto, sto dwadzieścia stóp szerokości; wydaje się bardzo głęboki; płynie szybko jak Rodan w Genewie; woda jest bladoniebieska, z lekka przyćmiona mieszaniną szarych glęb, wśród których płynie i które żłobi, słyszeliśmy bowiem co chwila, jak ogromne odłamy ziemi spadają w jej nurty; brzegi są pio-

nowe ale rzeka wypełnia je aż do podnóża drzew i sitowia, które je zarastają. Korzenie tych drzew, wciąż podmywanych przez fale, tkwią w wodzie, a ona je z sobą porywa; drzewa, nieraz powyrywane już z brzegu, nie mogą się ostać w osypującej się ziemi i zwisają nad wodą razem z gałęziami i liśćmi, tworząc jak gdyby zielone arkady łączące oba brzegi. Czasem jedno z takich drzew, porwane z ziemią, która je podtrzymywała, płynie po rzece ze swoim listowiem, z bluszczem poprzyczepianym do jego konarów, z zatopionymi gniazdami i z ptactwem jeszcze siedzącym na gałęziach; podczas kilku zaledwie godzin naszego pobytu w tej czarownej oazie widzieliśmy wiele podobnych drzew. Las rośnie wzdłuż wszystkich zakrętów Jordanu i splata mu wszędzie nieprzerwaną girlandę z gałęzi i liści, które, zanurzone w rzece, sprawiają, że drobne fale, uderzając o nie, szmerzą cicho. Niezliczone mnóstwo ptaków zamieszkuje te dziewicze lasy. Arabowie przestrzegali nas, aby wziąć z sobą broń i poruszać się bardzo ostrożnie, ponieważ te gęstwiny są schronieniem lwów, panter i ocelotów. Nie widzieliśmy ani jednego z tych zwierząt, ale w cieniście gąszczu często rozlegały się porykiwania i łoskot, który zwykle czyni gruba zwierzyna, przedzierając się w głąb lasu.

Przez godzinę, dwie zwiedzaliśmy niedostępne części brzegu tej pięknej rzeki. W niektórych miejscach dzikie plemiona z gór Arabii Skalistej, u których podnóża znajdowaliśmy się, wypaliły las, aby się do niego dostać lub też ułatwić sobie wywózkę drewna: widać tam było mnóstwo pni tylko z opaloną korą; ale wokół tych opalonych drzew powystrzelały nowe pędy, a pnącza rosnące na tej żyznej glebie tak poplatały drzewa martwe i drzewa młode, że las przez to wydawał się jeszcze bardziej niezwykły, nie tracąc nic ze swojego ogromu i obfitości. Nazbieraliśmy znaczny zapas gałęzi wierzbowych, topolowych, wszystkich nie znanych mi z nazwy drzew wysokopiennych o pięknej korze, na podarunki dla naszych przyjaciół w Europie, po czym wróciliśmy do obozu, który nasi Arabowie, kiedy wyprawiliśmy się nad brzeg rzeki, przenieśli w inne miejsce.

Znaleźli okolicę jeszcze piękniejszą i bardziej nadającą się do rozbicia namiotów niż wszystkie, które właśnie zwiedzaliśmy: była to błoni porośnięta trawą tak delikatną i tak gęstą, jak gdyby miała się tu paść trzoda owiec. Rosnące na niej tu i ówdzie szerokolistne krzewy i kępy młodych jaworów oraz sykomor rzucały na murawę plamy cienia, w którym mogliśmy się schronić wraz z końmi. Jordan, płynący od nas o dwadzieścia kroków,

wyżłobił pośrodku tej polany niewielką, płytką zatoczkę, a jego nurt tworzył tu wiry u stóp dwóch, trzech wielkich topoli. Grunt łagodnie opadał aż ku rzece, toteż mogliśmy prowadzić tam pojedynczo nasze spragnione konie i sami się wykapać. Rozbiliśmy tu nasze dwa namioty i zatrzymaliśmy się na całą dzień.

Następnego dnia, 2 listopada, ruszyliśmy w dalszą drogę, kierując się ku najwyższym górcom Arabii Skalistej — to tracąc z oczu, to mając znowu przed sobą Jordan w zależności od jego zakrętów — i zbliżając się do Morza Martwego. Nie opodał rzeki, na pustyni, w miejscu, którego nie umiałbym oznaczyć, widnieją jeszcze godne podziwu ruiny jakiegoś zamku, który krzyżowcy wzniesli zapewne dla ochrony tej drogi.<sup>2</sup> Zwaliska te są nie zamieszkane i mogą służyć Arabom jako miejsce zasadzki do grabienia karawan. Pośród tych pofałdowanych piasków wyglądają niby kadłub jakiegoś opuszczonego okrętu na tle morskiego widnokregu. W miarę zbliżania się do Morza Martwego grunt staje się mniej pofałdowany i łagodnie opada ku wybrzeżu; w gąbczastym piasku konie, grzęznąc co krok, poruszają się z trudem. Kiedy wreszcie spostrzegliśmy odbłyśki wód, nie mogliśmy już powściągnąć niecierpliwości i ruszyliśmy galopem, aby wjechać w morze, co spokojnie spało przed nami, lśniąc pośród piasków jak roztopiony ołów. Szejk z Jerycha i jego Arabowie, ciągle nam towarzyszący, w mniemaniu, że chcemy się z nimi ścigać z dzirydami, rozjechali się w różne strony po równinie, po czym mknąc ku nam z głośnymi okrzykami potrząsali swoimi długimi trzciniowymi włóczniami, jak gdyby nas chcieli przeszyć, następnie zaś, wstrzymując nagle konie i osadzając je, dawali nam drogę i znowu odjeżdżali, aby wrócić raz jeszcze. Dzięki szybkości mojego turkmeńskiego konia przybyłem pierwszy, lecz w odległości trzydziestu, czterdziestu kroków od morza warstwa piasku zmieszanego z ziemią jest tak wilgotna i u spodu tak bagna, że mój koń ugrzązł w niej aż po brzuch i obawiałem się, aby się całkiem nie zapadł. Zawróciłem więc, zsiadłem z konia i pieszo podeszliśmy do brzegu.

Wielu podróżników opisało już Morze Martwe. Nie zważyłem ani ciężaru gatunkowego jego wody, ani ilości soli, jaką zawiera. Nie przybyłem tu dla celów naukowych lub badawczych. Przybyłem tu po prostu dlatego, że to morze było mi po drodze, że leżało pośrodku sławnej pustyni i wsławiło się pochłonięciem miast, które wznosiły się niegdyś tam, gdzie dziś widzę jego nieruchome wody.<sup>3</sup> Od wschodu i zachodu brzegi Morza Martwego są płaskie; na północy i południu otaczają je góry Judei i Ara-

bii, opadając prawie aż ku jego wybrzeżom. Góry Arabii wznoszą się jednak w pewnej od nich odległości, zwłaszcza opodal ujścia Jordanu, tu, gdzie byliśmy właśnie. Brzegi te są całkiem pustynne, powietrze wstrętne i niezdrowe. Doświadczyliśmy jego wpływu podczas kilku dni spędzonych na tej pustyni. Wszyscy odczuwali wielką ociężałość i pewien rodzaj gorączki, co ustąpiło z chwilą, kiedy opuściliśmy te strony. Nie widać ani jednej wyspy. Jednak o zachodzie słońca z wierzchołka piaszczystego pagórka ujrzałem jak gdyby dwie na samym skraju widnokregu, gdzieś w stronę Idumei. Arabowie nic o nich nie wiedzą. Morze w tej części ma co najmniej trzydzieści mil długości, a oni nie zapuszczają się nigdy tak daleko od brzegu: Ani jeden z podróżników nigdy nie odważył się na opłynięcie Morza Martwego; nigdy nawet nie oglądano go z jego przeciwległego krańca ani z obu jego brzegów, od strony Judei i od strony Arabii. Sądzę, że pierwsi mogliśmy zwiedzać swobodnie jego trzy wybrzeża i gdybyśmy mieli trochę więcej czasu, nic by nie stało na przeszkodzie, aby sprowadzić deski jodłowe z Libanu, z Jerozolimy lub Jaffy, kazać na miejscu zbudować łódź i spokojnie opłynąć wszystkie wybrzeża tego niezwykłego, śródlądowego morza. Arabowie, którzy zwykle nie pozwalają zbliżyć się do niego podróżnym i których przesady nakazują zabraniać komukolwiek żeglugi po nim, byli tak ulegli i gotowi do spełnienia wszelkich naszych życzeń, że z pewnością pozwoliliby na wykonanie naszego zamiaru. Uczyniłbym to na pewno, gdybym mógł przewidzieć, że Arabowie okażą nam tak życzliwe przyjęcie. Ale już było za późno; musiałbym posłać umyślnego do Jerozolimy, sprowadzić cieśli do zbudowania łodzi; wszystko to wraz z żeglugą zajęłoby co najmniej trzy tygodnie, a czas nasz był ograniczony. Wyrzekłem się więc tej myśli, choć nie bez żalu. Podróżnik w podobnych jak ja okolicznościach mógłby z łatwością ją urzeczywistnić i rzucić nieco światła na ów fenomen przyrody i problem geograficzny, jak tego od tak dawna domaga się wiedza.

Widok Morza Martwego jest smutny i posepny jedynie dla myśli. Dla oka jest to lśniące jezioro, którego rozległa, srebrzysta powierzchnia odbija światło i niebo jak lustro weneckie, a pięknie wykrojone góry rzucają cień aż na jego brzegi. Według powszechnego mniemania nie ma w nim ryb, a na jego brzegach — ptactwa. Nie wiem nic o tym, nie widziałem ani skorupiaków, ani mew, ani tych pięknych białych ptaków, podobnych do nadmorskich gołębi, które po całych dniach pływają po morzu syryjskim i towarzyszą kaikom<sup>4</sup> na Bosforze, lecz o kilkaset kro-

## JERYCHO

ków od Morza Martwego strzelałem i zabijałem ptaki podobne do dzikich kaczek, które podrywały się z bagnistych brzegów Jordanu. Gdyby powietrze morskie było dla nich zabójcze, nie przylatywałyby tak blisko i nie narażałyby się na jego trujące wyziewy. Nie dostrzegłem także ruin tych zatopionych miast, które, jak mówią, widać na niewielkiej głębokości.<sup>5</sup> Towarzyszący mi Arabowie utrzymują, że czasami się ukazują.

Długo zwiedzałem brzegi tego morza, to od strony Arabii, gdzie jest ujście Jordanu (który tu istotnie, jak opisują podróżnicy, stanowi kałużę brudnej wody w błotnistym korycie), to od gór Judei, gdzie brzegi wznoszą się i przybierają czasem kształt wydm nad oceanem. Powierzchnia wody wszędzie wygląda tak samo: blask, błękit i nieruchomość. Ludzie zachowali umiejętność, którą, jak czytamy w Księdze Rodzaju, dał im Bóg, a mianowicie: nadawania rzeczom nazw. Morze to jest piękne, lśniące, zalewa odbłaskiem swoich wód ogromną pustynię, pośród której leży, przyciąga oko, porusza myśl, ale jest martwe; nie ma w nim ruchu, nie słychać szmeru; jego fale są zbyt ciężkie, wiatr ich nie porusza, toteż panuje tu wieczna cisza i nigdy białe pasmo piany nie zdobi nadbrzeżnego żwiru; jest to morze skamieniałe. Jak powstało? Zapewne, jak powiada Pismo święte <sup>6</sup> i jak by się to wydawało najbardziej prawdopodobne, jakiś ogromny krater pośrodku łańcucha gór wulkanicznych, ciągnących się od Jerozolimy do Mezopotamii i od Libanu do Idumei, wybuchł wówczas, gdy na okolicznej równinie wznosiło się siedem miast. Trzęsienie ziemi zburzyło najpewniej te miasta, a Jordan, który, według wszelkiego prawdopodobieństwa, płynął wówczas przez ową równinę i wpadał do Morza Czerwonego, wstrzymany nagle w swoim biegu przez wżgórki wulkaniczne, co wystąpiły z ziemi, zalewając krater powstałe na miejscu Sodomy i Gomory, utworzył to morze zanieczyszczone przez sól, siarkę i smołę ziemną — zwykłe elementy czy też produkty wulkanów: oto jak najprawdopodobniej rzecz się miała. Niczego to nie dodaje ani nie ujmuje działaniu tej najwyższej i odwiecznej Woli, którą jedni nazywają cudem, a inni naturą; natura i cud, czy to nie jedno? A czy wszechświat nie jest takim właśnie odwiecznym i nieustannie dziejącym się cudem?

Tegoż dnia.

Wracaliśmy północnym wybrzeżem Morza Martwego, od strony Doliny Świętego Saby. Tu pustynia nie jest tak jednostajna: przecinają ją ogromne wydmy utworzone z ziemi i piasku, które co

chwila musieliśmy objeżdżać lub przebywać. Sznur naszej kawalkady faliście rysował się na grzbiecie tych wydm jak flota na pełnym morzu, której rozmaite statki po kolei to pojawiają się, to znów znikają pośród fal.

Po trzech godzinach drogi to po niewielkich gładkich równinach, po których jechaliśmy galopem, to znów nad brzegiem głębokich piaszczystych wąwozów, do których stoczyło się kilka naszych koni, ujrzelśmy przed sobą dym unoszący się z domów Jerycha. Arabowie odłączyli się od nas i pomknęli w jego stronę. Dwóch tylko zostało z nami, aby wskazywać drogę. Kiedy zbliżyliśmy się do Jerycha, znakomitsi spośród Arabów znów wyjechali naprzeciw nas. Obozowaliśmy na polu ocienionym kilkoma palmami, niedaleko małej rzeczki. Prędko rozbito namioty i dzięki podarunkom różnego rodzaju, które Arabowie przynieśli do naszego obozu, szybko przygotowano nam wieczerzę. Arab, jadący na pięknym koniu, którego chciałem kupić, zdawał się sam zachwycać moim koniem turkmeńskim, na którym jechałem poprzedniego dnia. W zręcznie naprowadzonej rozmowie o naszych koniach rozwozcił się w pochwałach nad wieloma moimi. Podsunąłem mu myśl zamiany jego konia na mojego turkmena; przez cały wieczór omawialiśmy sprawę dopłaty z mojej strony: jeszcze nic nie postanowiliśmy. Ile razy byłem gotów zgodzić się na oznaczoną przez niego cenę, okazywał taką rozpacz, że będzie musiał rozstać się ze swoim koniem, iż, nie ugodziwszy się, poszliśmy spać. Nazajutrz, przed samym odjazdem, kiedy wszystkie konie już były obudzane i osiodłane, powiedziałem mu, że gotów byłbym do pewnych ustępstw. Wreszcie zgodził się wsiąść na mojego turkmeńskiego konia i galopa przejechał się po równinie; ujęty niezwyklejmi zaletami rumaka, kazał synowi, aby mi przyprowadził jego konia. Wręczyłem mu dziewięćset piastrow, dosiadłem konia i ruszyłem. Całe plemię zdawało się z żalem spoglądać na oddalającego się rumaka, kobiety wskazywały nań palcem, a szejk wciąż mu się przypatrywał i dawał mu jakieś znaki kabalistyczne, o których Arabowie nigdy nie zapominają przy sprzedaży lub kupnie koni. Samo nawet zwierzę jak gdyby pojmowało bliską rozłąkę i zwiesiło głowę ocienioną gęstwą pysznej grzywy, spoglądając na prawo i na lewo po pustyni okiem smutnym i niespokojnym. Oko koni arabskich jest ich mową. Pięknym swoim okiem, którego ognista żrenica odznacza się na szerokim i pożytkowanym krwawo białku, mówią i pojmują wszystko.

Od kilku dni nie jeździłem na koniu, którego przekładałem nad



## JERYCHO

inne. Według niezliczonych zabobonów arabskich istnieje siedemdziesiąt znaków dobrych lub złych dla horoskopu konia i tę wiedzę posiadają prawie wszyscy mieszkańcy pustyni. Koń, o którym mówię i którego nazwałem Liban, ponieważ nabyłem go w tych górach, był to młody, wspaniały ogier, rosły, silny, śmiały, niestrudzony i przezorny; jeżdżąc na nim piętnaście miesięcy, nie dostrzegłem w nim cienia jakiegoś narowu; ale miał na piersiach w przypadkowym układzie swej pięknej siwopopielatej sierści jeden z tych sterczących kosmyków, które Arabowie zaliczają do znaków złowróżbnych. Upredzono mnie o tym przy kupnie, ale kupiłem go, tłumacząc, co było dla nich proste i łatwe do pojęcia, że znak złowróżbny dla mahometanina jest znakiem pomyślnym dla chrześcijanina. Nie mieli co na to odpowiedzieć, a ja zawsze dosiadałem Libana, ilekroć wypadła mi jakaś dłuższa i trudniejsza droga. Kiedy zbliżaliśmy się do jakiegoś miasta lub do osady jakiegoś plemienia, Turcy czy Arabowie wyjeżdżali nam naprzeciw i zwracając uwagę na piękność i siłę Libana, zawsze witali mnie pierwszego i wychwalali go z zawiścią, lecz po kilku chwilach takich pochwał nieszczerzny znak, zresztą nieco przykryty jedwabnym rzędem i zawieszonym pod szyją amuletem, ukazywał się nagle, a wtedy Arabowie, zbliżając się ku mnie, zmieniali wyraz twarzy i z poważną, smutną miną ostrzegali mnie gestami, abym więcej nie dosiadał tego konia. W Syrii nie zwracałem na to uwagi, ale obawiałem się, że w Judei i pośród Beduinów mogłoby to przynieść uszczerbek mojej powadze i zniweczyć szacunek i posłuch, które nam okazywano. Przestałem więc jeździć na nim i prowadzono go luzem. Jestem pewien, że znaczną część względów i obawy, którą budziliśmy, zawdzięczaliśmy tym dwunastu czy piętnastu koniom arabskim, na których jechaliśmy lub które prowadzono za nami. Koń w Arabii stanowi o losie mężczyzny; każe się wszystkiego domyślać, zastępuje wszystko. Frank, posiadający tyle koni i tak pięknych jak ikonie szejka lub paszy, wielkie w nich wzbudzał o sobie mniemanie.

Wracaliśmy do Jerozolimy tą samą doliną, którą przebyliśmy nocą. Zanim wjechaliśmy do pierwszego wąwozu, na pięknym, rozległym płaskowyżu, górującym nad równiną, ujrzeliśmy widome ślady starożytnych budowli, uznaliśmy więc, że tu właśnie wznosiło się dawne Jerycho. Trzeba było wielkiego postępu cywilizacji, aby stawić miasta na równinach. Nigdy nie popełnia się pomyłki, kiedy szuka się miast starożytnych na wyniosłościach.

## JERYCHO

W tym właśnie wąwozie miała się rozegrać owa scena zbrodni i miłosierdzia, stanowiąca przedmiot wzruszającej przypowieści o dobrym Samarytaninie.<sup>7</sup> Jak się zdaje, doliny te cieszyły się złą sławą w czasach ewangelicznych.

Czternaście godzin jednostajnej jazdy i niezwykle skwar słońca, którego promienie odbijały się o urwiste zbocza wąwozu, ogromnie nas znużyły; w ciągu tych czternastu godzin spotkaliśmy tylko jednego pasterza arabskiego, który na grzbiecie wzdórza pasł nieprzeliczoną trzodę czarnych kóz.

2 listopada 1832, na postoju przy sadzawce Salomona<sup>8</sup>, pod murami Jerozolimy

Pragnęliśmy jeden dzień poświęcić modlitwie w tym miejscu, ku któremu wszyscy chrześcijanie, modląc się, zwracają się jak mahometanie ku Mekce. Poprosiliśmy zakonnika, który pełnił obowiązki plebana w Jerozolimie, aby za naszych krewnych żyjących i umarłych, za naszych przyjaciół ze wszystkich miejsc i czasów, a wreszcie za nas samych odprawił mszę upamiętniającą ową wielką i bolesną ofiarę, która skropiła tę ziemię krwią Sprawiedliwego, zasiewając w niej ziarno miłosierdzia i nadziei; wszyscy w niej uczestniczyliśmy, każdy z uczuciem, jakim go przejmowały jego wspomnienia, bóleści, utraty, życzenia i rozmaite stopnie jego pobożności i wiary. Jako kościół nasz i ołtarz wybraliśmy grootę Getsemani w Dolinie Jozafata, w której, jak głosi tradycja, nieraz chronił się Chrystus spod Góry Oliwnej, aby ująć prześladowań swoich nieprzyjaciół i natarczywości swoich uczniów; tu rozmawiał ze swoimi niebiańskimi myślami i prosił Ojca, aby oddalił od Niego ów zbyt gorzki kielich, który sam napełnił, jak my napełniamy nasz; tu w wilię Swojej śmierci prosił trzech Swoich przyjaciół, aby nieco oddalili się i nie zasypiali, i tu trzykrotnie musiał ich budzić, tak łatwo bowiem usypia gorliwość ludzkiego miłosierdzia; tu wreszcie mijały Mu owe okropne godziny konania, niewysłowionej walki życia i śmierci, woli i instynktu, ducha, który chce się uwolnić, i materii, która, będąc ślepa, stawia opór; tu sływał krwawym potem i znużony walką z samym Sobą, nie mogąc zwycięstwem rozumu uspokoić myśli, wyrzekł te ostatnie słowa, w których zamyka się cała istota człowieka i Boga, które stały się mądrością wszystkich mędrców i powinny być epitafium wszystkich istnień i jedynym napisem wszystkich rzeczy stworzonych: „Ojczy mój, niech się stanie wola Twoja!”<sup>9</sup>

Spośród wszystkich miejsc, które pobożna wiara ludu uznała

## JERYCHO

za widownięcie wydarzeń dramatu ewangelicznego, owa grotka, wyżłobiona w skale Cedronu, wydaje się takim właśnie miejscem najbardziej prawdopodobnym, a to ze względu na swoje położenie i otaczający ją krajobraz; oto przecie dolina spowita cieniem śmierci, oto przepaść ukryta pod murami miasta, oto najgłębsza, a wtedy najbardziej zapewne unikana przez ludzi jama, gdzie Chrystus, który wszystkich musiał mieć za wrogów, przyszedł bowiem, aby gromić kłamstwa wszystkich, szukał niekiedy schronienia, rozmyślał, modlił się i cierpiał.<sup>10</sup> Brudny potok Cedronu płynie o kilka kroków stąd. Wówczas był to tylko ściek miejski; Góra Oliwna zniża się tu i łączy ze wzgórzami, w których są groby królów, tworząc jak gdyby głęboki załom, gdzie wejście do grotki skrywało mnóstwo drzew oliwnych, terpentynowych i figowych oraz wszelkich drzew wydających owoce, jakie biedny lud zawsze, choćby na skalistej glebie, hoduje naokoło każdego wielkiego miasta; w dodatku zwaliska, które zagrzebały Jerozolimę, nie dotknęły ani nie zmieniły obrazu tego miejsca. Uczniowie, którzy czuwali i modlili się z Chrystusem, mogliby powrócić i wskazując skałę i drzewa powiedzieć: „To było tu!” Dolina, inaczej niż ulica, nie znika, a najmniejsza skała jest trwalsza od najwspanialszej świątyni.

Grotka Getsemani i skała ją kryjąca są teraz otoczone murem małej kapliczki, zamkniętej na klucz pozostający w rękach zakonników, katolickich Jerozolimy.<sup>11</sup> Grotka i siedem drzew oliwnych na przyległym polu do nich należą: drzwi wykute w skale wychodzą na dziedziniec innego pobożnego przybytku, zwanego Grobem Najświętszej Panny, który należy do Greków.<sup>12</sup> Grotka jest głęboka, wysoka i podzielona na dwie wnęki połączone jak gdyby podziemnym portykiem. Jest tu mnóstwo ołtarzy wyciosanych w skale, lecz w tym przybytku utworzonym przez naturę nie ma tylu sztucznych ozdób, które szpecą wszystkie inne przybytki Grobu Świętego; sklepienie, posadzka i ściany — wszystko jest skałą, z którą wciąż jeszcze, jak łyżę, sączą się krople wilgoci z ziemi, co tę skałę okrywa; zawieszono tylko nad każdym ołtarzem miedziane blachy pomalowane cielistą barwą, które niedołężnie ukazują w naturalnej wielkości konanie Chrystusa i anioły podające Mu kielich śmierci. Gdyby usunięto te brzydkie malowidła, których widok niweczy obrazy, jakie pobożna wyobraźnia sama stworzyłaby w mroku pustej grotki, gdyby pozwolono oczom pełnym łez wznieść się swobodnie, nie narzucając im jakichkolwiek kształtów widzialnych, ku myśli, która zapełnia tę ciemność, owa grotka byłaby najbardziej nieskazitelnym i naj-

głębiej religijnym sanktuarium ze wszystkich wzgórz Syjonu; ale ludzie zawsze muszą zepsuć wszystko, czego się dotykają! Niestety! Gdyby tylko zmienni i zeszpecili kamienie i widome szczątki tych wydarzeń! Lecz cóż uczynili z dogmatów, z nauk, z przykładów tej religii rozumu, prostoty, miłości i pokory, której Syn Człowieczy nauczył ich okupem Swojej krwi!<sup>13</sup> Kiedy Bóg zezwala, aby jakaś prawda zstąpiła na ziemię, ludzie zaczynają od tego, że wyklinają i kamieniają tego, co z nią przychodzi; potem podejmują tę prawdę, której nie zdołali zabić wraz z tym, co ją przyniósł, prawda bowiem jest nieśmiertelna: pozostaje po nim jako spadek, staje się ich dziedzictwem; ale podobnie jak to czynią złoczyńcy z drogim kamieniem, ludzie oprawiają tę prawdę w tyle błędów, że staje się nie do poznania, aż pewnego dnia znowu zaczyna wspaniale błyszczeć i mądrość, wyodrębniając po wiekach ów diament od jego oprawy, powiada: „Oto prawda, oto fałsz! Oto słusność, oto błąd!” I dlatego właśnie wszystkie religie mają dwie natury, których związek zadziwia umysł: jedna z tych natur ma charakter ludowy, składają się na nią cuda, podania, kłopotliwe przesady, cały ów nieczysty stop, którym wieki ciemnoty i mroku mącą i przesłaniają niebiańską myśl; druga natura jest rozumna, pełna mądrości; ścierając dłonią narosłą na niej rdzę ludzką, oglądamy ją niewzruszoną i promieniejącą, a ona, ukazując się w wiecznym i nieskażonym świetle, którym jest rozum, odbija go w pełni i czysto i oświetla każdą rzecz i każdy umysł owym blaskiem prawdy i miłości, u którego źródła widzimy i wielbimy Istotę Oczywiłą, Boga.

Tegoż dnia.

Niedaleko grotty Getsemani jest niewielki zakątek ocieniony jeszcze innymi siedmioma oliwnymi drzewami, pod którymi, według ludowej tradycji, Jezus spoczął i zapłakał. Pnie i ogromne korzenie tych drzew rzeczywiście noszą na sobie piętno owych osiemnastu wieków, które minęły od owej nocy ogromnej. Pnie te są olbrzymie i jak u wszystkich starych drzew oliwnych u-tworzone z mnóstwa konarów, które złączyły się w jedno drzewo pod jedną korą i stanowią jak gdyby pęk spojonych z sobą kolumn. Gałęzie ich prawie uschły, lecz widać jeszcze na nich po kilka oliwek. Pozbieraliśmy te, co leżały na ziemi pod drzewami, straciliśmy kilka z pobożną ostrożnością i napełniliśmy nimi kieszenie, aby je ofiarować naszym przyjacielom jako drogą pamiątki z tej ziemi. Zdaję sobie sprawę, jak słodka dla duszy chrześcijanina jest taka modlitwa, gdy może przesuwać

## JERYCHO

w dłoni pestki oliwek z tych drzew, których korzenie zrosił swoimi łzami Jezus, kiedy po raz ostatni modlił się na ziemi. Jeżeli to już nie są tamte pnie, to niezawodnie odrosłe owych świętych drzew. Ale nic nie dowodzi, że to nie są te same drzewa. Zwiedziłem wszystkie części świata, gdzie rosną oliwki; są to drzewa, co trwają przez całe stulecia, a przecież nigdzie grubszych niż te nie widziałem, choć rosną tu na gruncie skalistym i nieurodzajnym. Widziałem też na szczycie Libanu cedry, które według podań arabskich pochodzą z czasów Salomona. Nie ma w tym nic niemożliwego: przyroda uczyniła pewne rośliny trwalszymi niż cesarstwa; niektóre dęby były świadkami, jak mijała niejedna dynastia, a żołądz, który deptemy nogami, pestka oliwki, którą obracamy w palcach, owoc cedru, którym wiatr miecie, zakiełkują, zakwitną i długo jeszcze będą osłaniały ziemię swoim cieniem, kiedy krocie następnych po nas pokoleń oddadzą ziemi tę garść popiołu, którą kolejno od niej pożyczają. Nie oznacza to bynajmniej, że w dziele stworzenia otoczono nas pogardą. Względne znaczenie istot nie mierzy się trwałością, lecz siłą napięcia ich żywota. W jednej godzinie myśli, rozważań, modlitwy lub miłości więcej jest życia niż w całym fizycznym istnieniu człowieka. Więcej jest życia w jednej myśli, która przebiega świat i wznosi się ku niebu w czasie nie dającym się obliczyć, w milionowej części sekundy, niż w osiemnastu wiekach wzrastania drzew oliwnych, których dotykam, lub w dwóch i pół tysiącach lat trwania cedrów Salomona.

Tegoż dnia.

Jedliśmy śniadanie, siedząc na stopniach sadzawki Siloam. Napisałem kilka wierszy, podarłem je i skrawki rzuciłem do źródła. Słowo to broń wyszczerbiona. Najpiękniejsze wiersze są te, których nie można napisać. Wyrazy w każdym języku są niepełne, toteż serce człowieka znajduje w odcieniach swoich uczuć, a wyobraźnia w obrazach przyrody widzialnej rzeczy, których z braku wyrazów usta nie mogą wysłowić. Serce i myśl człowieka są niby muzyk zmuszony do igrania jakiejś nie dającej się ogarnąć melodii na klawiaturze o kilku zaledwie tonach. Lepiej milczeć. W pewnych chwilach milczenie jest najpiękniejszą poezją. Umysł ją słyszy, a Bóg rozumie, to dosyć.

Tegoż dnia.

Jadąc przez Dolinę Jozafata, minąłem grób Absaloma. Jest to bryła skalna wykuta w bryle góry Siloam, nawet nie oddzielona

od pierwotnej opoki, która jej służy za podstawę. Ma około trzydziestu stóp wysokości, a dwadzieścia szerokości ze wszystkich stron. Mówię tak na chybił trafił, bo nie robię żadnych pomiarów: sążęń służy tylko w architekturze. Bryła ta ma kształt czworoboku z drzwiami greckimi pośrodku, z gzymsem korynckim i z piramidą na wierzchu. Żadnej cechy stylu rzymskiego czy greckiego. Wygląd zewnętrzny pełen powagi, dziwny, monumentalny i oryginalny, jak wygląd zabytków egipskich.<sup>14</sup>

Żydzi nie mieli własnej architektury. Zapożyczali się w tej dziedzinie u Egipcjan, u Greków, lecz, jak sądzę, nade wszystko u Hindusów. Klucz wszystkiego jest w Indiach; wydaje mi się, że tam tkwi źródło myśli i sztuk. Indie zrodziły Asyrię, Chaldeję, Mezopotamię, Syrię, wielkie miasta na pustyni, jak Baalbek, następnie Egipt, potem wyspy, jak Kreta i Cypr, potem Etrurię, wreszcie Rzym; potem nastąpiła noc, a chrześcijaństwo, utajone najpierw w filozofii platońskiej, a później w barbarzyńskiej ciemności średnich wieków, zrodziło naszą cywilizację i nasze nowoczesne sztuki. Jesteśmy młodzi, zaledwie wступujemy w wiek dojrzały. Z ogromnej ruiny średniowiecza, pośród której żyjemy, za kilka zaledwie wieków powstanie nowy świat myśli, form społecznych i sztuk. Czujemy już, że świat ducha nosi w swoim łonie plód, którego przyjście na świat nastąpi pośród bolesnych konwulsji; słowo pisane i powielone przez prasę, niosąc dyskusję, krytykę i roztrząsanie wszystkiego, kierując światło na wszystko, co w świecie się dzieje lub co się staje przedmiotem sporu, nieuchronnie sprowadza wiek rozumu dla ludzkości, objawienie wszystkim przez wszystkich, odblaski boskiego światła, którymi są rozum i religia, ogarniające wszystkie ośrodki ludzkości. Można by napisać piękną książkę o dziejach ducha Bożego w rozmaitych epokach rodu ludzkiego, o dziejach Bóstwa w człowieku; okazałoby się, że ów pierwiastek religijny w pierwszych znanych nam wiekach historii ludzkości wyrażał się w instynktach i w ślepych popędach, później śpiewał głosem poetów, mens divinior, potem objawiał się w tablicach ustaw nadawanych przez prawodawców lub we wtajemniczeniach teokracji hinduskiej, egipskiej i hebrajskiej. Kiedy owe formy mitologiczne, zużyte przez czas, wyczerpane ludzką łatwo-wiernością, zatarły się w człowieczym umyśle, cząstki owego pier-wiastka religijnego przeniknęły z kolei do wielkich szkół filozoficznych Grecji i Azji Mniejszej i do sekt pitagorejskich, szukając w nich na próżno symbolów powszechnych, aż wreszcie chrześcijaństwo skupiło wszelką prawdę teoretyczną i stanowiącą

przedmiot sporu w dwóch wielkich prawdach praktycznych i bezspornych: w uwielbieniu jednego Boga, w miłosierdziu i braterstwie wszystkich ludzi.<sup>15</sup> Chrześcijaństwo, jak wszelka nauka, kiedy się upowszechni, zaciemnione łatwówiernymi przesadami minionych wieków, samo się przekształci, stanie się bardziej racjonalne, oczyszczone z nadmiernych tajemniczości, w które je spowito, i złączy swoje boskie blaski ze światłem religijnego rozumu, które ono pierwsze ukazało i tak wysoko wzniosło na widnokręgu ludzkości.

Tegoż dnia.

Nieco wyżej nad owym miejscem, w którym bierze swój początek dolina Cedronu, na północy Jerozolimy, minęliśmy kilka pól o glebie czerwonej i żyźniejszej, na której rósł gaj oliwowy. O jakie pięćset kroków od miasta znaleźliśmy się na skraju głębokiego kamieniołomu, do którego zjechaliśmy. Na lewo skalna bryła, bogato rzeźbiona, zajmowała całą szerokość kamieniołomu, a pod nią widać było wąski otwór, na poły zasypyany ziemią i obsuniętymi kamieniami. Człowiek, czołgając się, ledwo mógłby się tam wcisnąć. Dostaliśmy się tam, ale nie mając ani krzesiwa, ani pochodni, wyszliśmy zaraz i nie zwiedziliśmy wnętrza: były to groby królów. Fryz na zewnętrznej skale, przepysnie zdobny snycerską robotą w najpiękniejszym stylu greckim, wskazuje, że ów zabytek pochodzi z najświetniejszego okresu sztuki greckiej; może jednak powstał za czasów Salomona, któż bowiem może wiedzieć, co ten wielki władca przejął od geniuszu Hindusów lub Egipcjan?

3 listopada 1832.

Zaraza, coraz bardziej pustosząca Jerozolimę i jej okolice, nie pozwoliła nam dostać się do Betlejem, którego klasztor i święty przybytek zamknięto. Wieczorem jednak dosiedliśmy koni i po przebyciu prawie dwumilowego płaskowyzu, który wznosi się na wschód od Jerozolimy, dotarliśmy na wzgórze w pobliżu Betlejem, skąd doskonale można widzieć całe to miasteczko. Zaledwieśmy tam usiedli, nadciągnęła liczna kawalkada Arabów betlejemskich, chcąc mnie powitać. Po zwykłych grzecznościach oświadczyli mi, że wysłali ich do mnie mieszkańcy Betlejem z prośbą, abym się wstawił za nimi do Ibrahima Paszy o zmniejszenie podatku, jakim obarczył ich miasto, że wiedzą z opowiadania Arabów Abu Gosza, ich naczelnika, iż Ibrahima Pasza jest moim przyjacielem i że z pewnością mi nie odmówi, gdybym go poprosił

## JERYCHO

dla nich o ulgę. Ponieważ Arabowie betlejemscy są najokropniejszym plemieniem w tych okolicach, ustawicznie wojują ze swoimi sąsiadami i wymuszają okup na klasztorze katolickim w Betlejem, więc wyrzucając im surowo ich łupiestwa, odparłem z całą powagą, że będę miał wzgląd na ich prośbę i że ją przedstawię paszy, lecz pod warunkiem, że oni będą szanować Europejczyków, pielgrzymów, a zwłaszcza klasztory w Betlejem i na pustyni Świętego Jana; dodałem, że jeżeli dopuszczą się najmniejszego najścia na siedziby tych biednych zakonników, Ibrahim Pasza nie zawaha się ich wytepić co do jednego lub wypędzi ich na pustynie Arabii Skalistej. Dorzuciłem też, i to na nich zdaje się sprawiło wielkie wrazenie, że jeżeli siły Ibrahima Paszy nie wystarczą, paszowie Europy przyjdą tu sami i nauczą ich rozumu. Tymczasem zaleciłem im zapłacenie haraczu. Od tego dnia aż do dnia odjazdu, pomimo usiłowań, aby ich się pozbyć, miałem ustawicznie obok siebie pełno szejków z Betlejem, z Hebronu i z pustyni Świętego Jana, którzy bezustannie błagali mnie o zmniejszenie haraczu.

Gdy wróciłem do obozu w dolinie sadzawki Salomona, pod murami Syjonu, odwiedził mnie Abu Gosz w towarzystwie swojego stryja i brata, aby dowiedzieć się, jak się nam powodzi. Poczęstowałem go kawą i fajką. Zasiadłszy przed wejściem do mojego namiotu, każdy pod drzewem oliwnym, rozmawialiśmy całą godzinę.

Tegoż dnia.

Posłaniec z Jaffy przywiózł mi listy z Europy i z Bejrutu i wręczył mi je pod murami Jerozolimy. Te listy uspokoiły mnie względem stanu zdrowia mojej córki, ale że Julia w przypisku do listu matki prosiła mnie usilnie, abym nie jechał do Egiptu, zmieniłem marszrutę, odwołałem karawanę wielbłądów, która miała na mnie czekać w El-Arisz, i postanowiłem wrócić wzdłuż wybrzeża do Syrii. Zwinęliśmy namioty, posłałem pięćset piastrów jako dar do klasztoru, oprócz półtora tysiąca, za które kupiłem różańce, pamiątki, krucyfiksy, i powtórnie skierowaliśmy się w stronę pustyni Świętego Jana.

Ogólny widok Jerozolimy można skreślić w kilku słowach: góry bez cienia, doliny bez wody, ziemia bez zieleni, skały nie budzące ani trwogi, ani podziwu; kilka brył szarego kamienia wystających z kruchej i spękanej ziemi; czasem gdzieś koło figowego drzewa, między szczelinami skały, trwożnie prześlizguje się ja-



kaś gazela lub szakal; kilka winorośli pełźnie po pylistym, szarawym lub czerwawym gruncie; gdzieniegdzie kępa białych drzew oliwnych rzucających drobną plamę cienia na urwiste zbocza jakiegoś wzgórza; na widnokregu, na błękitnym niebie, rysuje się smutna i samotna sylweta drzewa terpentynowego lub świętojańskiego; mury i szare wieże miejskich fortyfikacji widnieją z dala na grzbiecie Syjonu: oto widok tej ziemi. Wysokie, czyste, jasne, głębokie niebo, na którym nigdy nie pojawia się najmniejsza chmurka ani purpura wieczoru lub poranka. Od strony Arabii szeroka wyrwa między czarnymi górami pozwala sięgnąć wzrokiem aż ku lśniącej tafli Morza Martwego i widocznym na fioletowym widnokregu wierzchołkom gór Moabu. Nie słyhać nawet najlżejszego szmeru wiatru między blankami murów lub między zeschniętymi gałęziami oliwek; ani jeden ptak tu nie śpiewa, ani jeden świerszcz nie zaćwierknie pośród nagich pól; zupełna, wieczna cisza panowała w mieście, na drogach, na wsi. Oto Jerozolima przez wszystkie dni naszego pobytu pod jej murami. Tylko koło naszego obozu słyszałem rżenie moich koni, które niecierpliwiły się w słońcu i biły kopytami o zeschniętą ziemię, i melancholijny śpiew muezzina, obwieszczającego godziny ze szczytu minaretów, lub też miarowe żale płaczków tureckich, długimi rzędami towarzyszących zapowietrzonym na rozmaite cmentarze okalające mury. Jerozolima, w której odwiedza się Grób Święty, sama jest grobowcem ludu, ale grobowcem bez cyprysów, bez inskrypcji, bez pomników, którego kamień skruszono, a którego popioły jak gdyby okrywają otaczającą go ziemię żalobą, milczeniem i pustkowiem. Opuszczając Jerozolimę, z każdego wzgórza, z którego można było jeszcze ją dostrzec, wciąż spoglądaliśmy ku niej, aż wreszcie po raz ostatni ujrzelśmy koronę drzew oliwnych wznoszącą się nad górą tejże nazwy, co, gdy miasto już nikło nam z oczu, długo jeszcze była widoczna na horyzoncie, potem jej zarys coraz bardziej zacierał się na tle nieba, aż wreszcie znikła jako owe wieńce z białych kwiatów rzucające do grobu.

Mieliśmy jednak wrócić tu raz jeszcze, ale, niestety, już nie w takim samym nastroju, już nie po to, aby opłakiwać tu cudze nieszczęścia, lecz aby ubolewać nad własnym cierpieniem, napić własnymi łzami tę ziemię, która tyle ich wsączyła i tyle ich otarła.<sup>16</sup>

Wczoraj rozstawiłem mój namiot na kamienistym polu, gdzie rośnie kilka sękatych, pokrzywionych drzew oliwnych, pod mura-

mi Jerozolimy, o kilkaset kroków od wieży Dawida, nieco wyżej nad źródłem Siloam, którego woda spływa jeszcze po wytartych płytach groty tejże nazwy, niedaleko grobu króla-poety, który je tak często opiewał.<sup>17</sup> Na lewo ode mnie wyniosłe, czarne tarasy, gdzie wznosiła się niegdyś świątynia Salomona, były zwieńczone trzema błękitnymi kopułami oraz lekkimi, ażurowymi kolumnkami meczetu Omara, który stoi dziś na zwaliskach domu Jehowy.

Jerozolima, spustoszona zarazą, była zalana promieniami słońca lśniącego na tysiącu jej kopuł, na jej białych marmurach, na jej wieżach ze złocistego kamienia, na jej murach wygładzonych wiekami i słonymi wiatrami znad jeziora Asfaltyny; najmniejszy szelest nie dobiegał z jej niemego, martwego jak łoża konających wnętrza; jej szerokie bramy były otwarte, niekiedy pojawiał się w nich biały zawój i czerwony płaszcz arabskiego żołnierza, zbytecznego strażnika tych opuszczonych bram; nikt nie wchodził, nikt z nich nie wychodził, tylko powiew porannego wiatru podnosił czasem wir kurzu znad drogi i łudził przez chwilę, że to nadciąga jakaś karawana, lecz gdy tylko się uciszał, gdy świszcząc zamierał wśród blanków wieży Pizańczyków lub w koronach trzech palm obok domu Kajfasza<sup>18</sup> kurz opadał, pustynia znowu się pojawiała, a na wyłożonej kamieniami drodze nie było słychać stapania ani wielbłąda, ani muła, tylko co kwadrans rozwierały się okute żelazne podwoje wszystkich bram Jerozolimy i widzieliśmy umarłych dotkniętych zarazą, których dwaj obnażeni niewolnicy nieśli na marach do grobów wokół nas rozsianych. Czasem długi orszak Turków, Arabów, Ormian czy Żydów towarzyszył zmarłemu i śpiewając przechodził między drzewami oliwnymi, a potem powoli, w milczeniu wracał do miasta. Najczęściej jednak nikt nie towarzyszył zmarłym, i gdy dwaj niewolnicy wykopali na wzgórzu w piasku lub w ziemi grób głęboki na kilka palm<sup>19</sup> i złożyli zapowietrzonego w jego ostatnim łożu, siadali na mogile, którą tylko co wzniesli, dzielili między siebie odzienie zmarłego i zapaliwszy długie fajki, pykali je w milczeniu, spoglądając na dym, co wznosił się lekkim, błękitnym słupem i nikł w czystym, ostrym i przejrzystym powietrzu tych dni jesiennych.

U moich stóp Dolina Jozafata rozciągała się niby ogromny grób; wyschły Cedron złobił ją białawą wyrwą, pełną wielkich kamieni, a opasujące ją zbocza dwóch wzgórz wprost bielily się od grobów i rzeźbionych turbanów, zwykłej ozdoby nagrobnej wszystkich Turków. Nieco na prawo, tam gdzie Góra Oliwna

## JERYCHO

się zniżała, między rozrzuconymi łańcuchami wulkanicznych stożków nagich gór w okolicach Jerycha i Świętego Saby, roztaczał się horyzont biegnący w dal na kształt jakiejś świetlistej drogi pośród wierzchołków niejednakowej wysokości cyprysów: wzrok mimo woli zwracał się tam, zwabiony lazurowym i sinym blaskiem Morza Martwego, które lśniło u podnóża tych gór, a za nim błękitne pasmo gór Arabii Skalistej zamykało widnokrąg. Ale „zamykało” nie jest tu wyrazem właściwym, góry te bowiem wydawały się tak przejrzyste jak kryształ i widać było czy raczej zdawało się, że widać przez nie bezkresny horyzont biegnący w nieokreśloną dal pośród mgieł o odcieniach purpury i ołowianej bieli.

Było to w południe, gdy muezzin śledzi położenie słońca z najwyższej galerii minaretu i śpiewem obwieszcza godzinę oraz odmawia cogodziną modlitwę<sup>20</sup> głos jego pełen żaru, ożywiający, świadomy tego, co wypowiada i o czym śpiewa, znacznie przewyższał, moim zdaniem, pozbawiony owej świadomości głos dzwonów naszych katedr. Arabowie dali jęczmienia w workach z koziej skóry moim koniom, tu i ówdzie koło mojego namiotu po-przywiązywanym za nogi do żelaznych pierścieni; te piękne, łagodne zwierzęta stały nieruchomo z głowami pochylonymi, ocienionymi długą, rozwidloną grzywą, ich siwa sierść lśniła i parowała w promieniach piekącego słońca. Ludzie zebrali się w cieniu najbardziej rozłożystego z drzew oliwnych, porozkładali na ziemi swoje maty damasceńskie i palili fajki, opowiadając sobie o rozmaitych wydarzeniach na pustyni albo śpiewając pieśni Antara.<sup>21</sup> Antar to typ kocującego Araba, pasterz, wojownik, a zarazem poeta, który opisał całą pustynię w swoich narodowych pieśniach, epicki jak Homer, pełen skargi jak Hiob, rozkochany jak Teokryt, filozoficzny jak Salomon. Jego pieśni, które usypiają lub rozbudzają wyobraźnię Araba, podobnie jak dym nargili, odzywały się w gardłowym śpiewie wesołej gromady moich saisów; kiedy poeta trafniej lub silniej dotknął jakiejś wrażliwej struny tych ludzi nieokrzesanych, ale wrażliwych, rozlegał się cichy szept; składali ręce, wznosili je powyżej swoich uszu i pochylając głowy, wołali: „Allah! Allah! Allah!”

Wspomnienie tych godzin, które spędziłem na przysłuchiwaniu się niezrozumiałym dla mnie pieśniom, skłoniło mnie później do starannego wyszukania kilku fragmentów powszechnie znanych wśród ludu poezji arabskich, a zwłaszcza bohaterskiego poematu Antara. Udało mi się zebrać znaczną ich liczbę i kazałem je przetłumaczyć mojemu drogmanowi w czasie zimowych wie-

## JERYCHO

czorów, które spędzałem w Libanie. Zacząłem sam trochę rozumieć język arabski, ale nie na tyle, aby móc czytać; mój tłumacz przekładał urywki poematu na gminny język włoski, a ja tłumaczyłem je dosłownie na francuski. Zachowuję te próby poetyckie, nie znane w Europie, i umieści je na końcu tego tomu<sup>22</sup> Będzie to dowodem, że poezja jest wszędzie, we wszystkich epokach i cywilizacjach.

Poemat Antara, jak powiedziałem, to poezja narodowa koczującego Araba; są to księgi święte jego wyobraźni. Ileż to razy potem widziałem, jak moi Arabowie, siedząc skuleni około ogniska biwaku, wyciągali szyje, nadstawiali uszu i zwracali swoje ogniste spojrzenia ku temu z ich towarzyszy, który mówił z pamięci niektóre fragmenty tych wspaniałych utworów, gdy obłok dymu unoszącego się z fajek tworzył nad nimi widmowy krąg z marzeń i snów, a nasze konie z pochylonymi nad nimi głowami zdawały się także bacznie przysłuchiwać monotonnym głosom swoich panów. Siadałem w pobliżu i także słuchałem, choć nic nie rozumiałem: ale pojmowałem dźwięk głosu, wyraz twarzy, napięcie słuchaczy; wiedziałem, że to była poezja, i wyobrażałem sobie opowieści tkliwe, dramatyczne, cudowne, które sam sobie opowiadałem. Tak samo, słuchając melodyjnej lub namiętnej muzyki, słyszę jak gdyby słowa, a poezja mowy śpiewanej objawia mi się i przemawia do mnie poezją mowy pisanej. Muszę wreszcie wyznać, że nigdy nie czytałem poezji, które można by porównać z tą poezją, którą słyszałem w niezrozumiałym dla mnie języku owych Arabów; ponieważ wyobraźnia zawsze przewyższa rzeczywistość, zdawało mi się, że rozumiem pierwotną, patriarchalną poezję pustyni; widziałem wielbłąda, konia, gazelę; widziałem oazę wznoszącą żółtozielone korony swoich palm nad ogromnymi wydmami czerwonego piasku, utarczki wojowników i młode piękności arabskie, porywane i odbierane w bitewnym zgiełku i w wybawcach rozpoznające swoich kochanków. To mi przypomina, że zawsze z większą przyjemnością czytałem obcego poetę w jakimś nędznym płaskim przekładzie niż w oryginale, najpiękniejszy bowiem oryginał zawsze zostawia jeszcze coś do życzenia w swoim wyrazie, gdy tymczasem złe tłumaczenie wskazuje tylko myśl, wątek poetycki, wyobraźnia więc, wiążąc ów wątek ze słowami, które wydają się jej tak przyzryście jak myśl, napawa się zupełną rozkoszą, którą sama sobie stwarza. Ponieważ myśl jest nieskończona, wyobraźnia szuka jej w przybranym przez nią kształcie; tym sposobem owa rozkosz także jest nieskończona.

Aby ją w sobie wzniecić, trzeba być w pewnej mierze muzykiem lub poetą, lecz któż nim nie jest?

Mało znamy Antara bohatera i poetę, a zarazem Araba koczującego; nie wiemy dokładnie, jaki był przebieg jego życia ani nawet kiedy żył naprawdę: kilku uczonych twierdzi, że w szóstym wieku naszej ery. Podania miejscowe podają datę znacznie odleglejszą. Antar, według owych podań zawartych częściowo w jego poemacie, był to Murzyn niewolnik, który męstwem i cnotą odzyskał wolność, a miłością i bohaterstwem zdobył rękę swojej kochanki Abli. Poemat Antara nie jest w całości pisany wierszem jak epos Homera, lecz najczystsza i najbardziej klasyczną arabską prozą poetycką, przeplatana wierszami. Najciekawsze jednak w tym poemacie jest to, że część opowieści pisana prozą nieporównanie góruje nad wstawkami lirycznymi. Część wierszowana razi wyszukaniem, przesadą i manierą literatur znajdujących się już w upadku, gdy, przeciwnie, opowieści tętną prostotą, naturalnością i prawdziwą namiętnością. Wszystko, co czytałem z poezji arabskich, dawnych czy nowoczesnych, odznacza się mniej lub bardziej owym nieszczerzym wyszukaniem, cechującym poezję Antara: są to, jeżeli nie igraszki słowne, to przynajmniej igraszki myśli, obrazów, które bardziej zajmują umysł, niż wzruszają serce. Sztuka potrzebuje wieków, aby w sposób prosty i wzniosły wyrazić naturę. U Arabów wiersze są dotychczas jedynie zręcznym sposobem igrania z myślami lub z uczuciami. Wyłączam z tego kilka utworów treści religijnej, napisanych przed trzydziestu laty przez pewnego biskupa maronickiego z góry Liban; znalazłem tam parę fragmentów godnych miejsc, które je natchnęły, i owych świętobliwych tematów, którym ten pobożny zakonnik wyłącznie poświęcił swój świetny talent. Te poezje religijne namaszczeniem i mocą przewyższają wszystkie, jakie tylko czytałem w Europie; mają w sobie coś z akcentów Hioba, z wielkości Salomona; i z melancholii Dawida.

Żałuję, że jakiś biegły orientalista nie przetłumaczył dla nas w całości poematu Antara; miałoby to większe znaczenie niż podróż, gdyż takie poematy najlepiej ukazują obyczaje; odmłodziłoby to również nasze własne natchnienia owymi świeżymi barwami, które Antar czerpał ze swoich pustyń; byłoby to w dodatku zajmujące jak poematy Ariosta i równie tkliwe jak wiersze Tassa. Jestem pewien, że poezja włoska Ariosta i Tassa jest siostrą poezji arabskiej: ten sam związek myśli, który stworzył Al-hambrę, Sewillę, Grenadę i kilka naszych katedr, wydał *Jerozolimę* i urocze utwory dramatyczne poety z Reggio.<sup>23</sup> Antar jest

bardziej zajmujący niż *Tysiąc nocy i jedna*, ponieważ mniej w nim cudowności. Cała akcja poematu ma swoje źródło w sercu człowieka i w prawdziwych lub prawdopodobnych przygodach bohatera i jego kochanki. Anglicy mają prawie całkowity przekład tego znakomitego poematu<sup>24</sup>; my posiadamy jedynie kilka fragmentów rozrzuconych w naszych czasopiśmie literackich. Z niedoskonałego tłumaczenia fragmentów umieszczonych na końcu tego tomu czytelnik zaledwie będzie w stanie zdać sobie sprawę z zadziwiających piękności oryginału.

O kilka kroków ode mnie u jednego z tych małych nagrobków z białego kamienia, którymi są usiane wszystkie wzgórza wokół Jerozolimy, jakaś młoda Turczynka opłakiwała swojego męża: wyglądała na lat osiemnaście; nigdy nie widziałem tak zachwycającego obrazu boleści. Jej profil, który ukazywała odrzucona zasłona, odznaczał się czystością rysów najpiękniejszych głów Partenonu połączonego z miękkością, słodyczą i wdzięczną melancholią kobiet Azji, z ową pięknnością bardziej kobiecą, pełniejszą miłosego oddania, bardziej chwytającą za serce niż surowa, męska piękność posągów greckich; jej włosy, płowomiedziane i złotawe jak spiż starożytnych posągów, barwy nadzwyczaj cenionej w tym kraju słońca, którego stanowi jak gdyby ciągły odbłask, jej rozpuszczone włosy dosłownie wlokły się po ziemi; zwyczajem kobiet tej części Arabii jej łono było zupełnie odsłonięte, toteż gdy się pochylała, aby ucałować kamienne wyobrazenie zawoju lub przytknąć ucho do nagrobka, jej obnażone piersi dotykały ziemi i wyciskały w pyle swój kształt<sup>25</sup> niczym ów widoczny jeszcze poprzez piasek grobu kształt pięknego łona Ata-li, jak to opisuje w swoim wspaniałym poemacie pan de Chateaubriand. Grób i ziemię dokoła obsypała rozmaitym kwieciami, pod kolanami miała piękny damasceński kobierzec, na którym stał koszyk pełen fig i placków jęczmiennych, chciała bowiem spędzić przy grobie cały dzień. Wywiercony w ziemi otwór, znajdujący się rzekomo na wysokości ucha zmarłego, służył do przenoszenia jej głosu w ów inny świat, gdzie spoczywał ten, którego przyszła odwiedzić. Co chwila pochylała się nad tym otworem, śpiewając pieśni przerywane łkaniem, przykładała ucho, jak gdyby czekała odpowiedzi, a potem, jeszcze płacząc, znowu zaczynała śpiewać. Usiłowałem zrozumieć te słowa, które, choć wymawiane z cicha, dochodziły do mnie, lecz mój drogman arabski nie mógł ich pojąć czy też ich przetłumaczyć. Jaka szkoda! Ileż tajemnic miłości lub boleści, ileż westchnień ożywionych całym

życiem dwóch dusz wydartych jedna drugiej musiały zawierać te bezładne, łzami oblane słowa! O, gdyby cokolwiek mogło kiedyś przywrócić życie umarłemu, to pewno właśnie takie słowa wyszeptane takimi ustami!

O dwa kroki od tej kobiety, pod płachtą czarnego płótna za tkniętą na dwóch trzcinach wbitych w ziemię, służącą jako osło na przed słońcem, jej dwoje małych dzieci bawiło się z trzema czarnymi niewolnicami abisyńskimi, przykucniętymi, jak ich pani, na piasku pokrytym kobiercem. Te trzy kobiety, takie młode i piękne, wysmukłe, o orlim profilu Murzynów abisyńskich, siedząc w rozmaitych postawach, wyglądały jak trzy posągi wykute z jednej bryły. Pierwsza, jednym kolaniem przykłępnawszy na ziemi, na drugim trzymała dziecko, które wyciągało rączki ku płaczącej matce, druga siedziała z nogami podwiniętymi, a ręce, jak *Magdalena Canovy*<sup>26</sup>, miała złożone na zapasce z niebieskiego płótna, trzecia stała nieco pochylona nad swoimi dwiema towarzyszkami i kołysząc się w prawo i w lewo, tuliła do ledwo zarysowującej się piersi najmłodsze dziecko, na próżno starając się ukołysać je do snu. Kiedy łkania młodej wdowy dobiegały ich uszu, dzieci zaczynały płakać, a niewolnice, wtórując swojej pani łkaniem, zaczynały nucić kołysanki i starały się je uspokoić, przemawiając do nich dziecięcymi wyrażeniami w swoim ojczystym języku.

Była to niedziela; o dwieście kroków ode mnie, zza grubych, wysokich murów Jerozolimy słyszałem dochodzące raz po raz spod szerniałej kopuły greckiego klasztoru dalekie, ciche echa nieспорów. Hymny i psalmy Dawida, wypowiedane obcymi głosami i w obcej mowie, po trzech tysiącach lat unosiły się nad tymi samymi wzgórzami, które je natchnęły; widziałem na tarasach klasztoru kilku starych zakonników Ziemi Świętej, jak przechadzali się tam i na powrót z brewiarzem w rękę i odmawiali z cicha te modlitwy, które przez tyle wieków odmawiano w rozmaitych językach i rytmach.

I ja tu byłem także, aby to wszystko opiewać, aby zgłębiać wieki u ich kolebki, aby dotrzeć aż do źródła nieznanego strumienia cywilizacji, religii, aby przejąć się duchem miejsc i utajonym znaczeniem opowieści i zabytków na tych brzegach, które stanowiły punkt wyjścia nowoczesnego świata, i aby rzeczywistszą mądrością i prawdziwszą filozofią ożywić poważną poezję i myśl epoki, w której żyjemy.

Ten obraz, który przypadkiem mi się nasunął i utrwalił w jednym z tysiącznych moich wspomnień podróży, ukazał mi prze-

## JERYCHO

znaczenie i wszystkie niemal okresy każdej poezji: te trzy czarne niewolnice, kołyszące dzieci naiwnymi i niemal bezmyślnymi piosenkami swojego kraju, to pasterska i pouczająca poezja każdego narodu w jego niemowlęctwie; młoda wdowa, która oplakuje męża i łkając wyraża swoją boleść nad niemym grobem, to poezja elegijna i uczuciowa, poezja serca; żołnierze i mukrowie arabscy, recytujący z pamięci wojownicze, miłosne i pełne niezwykłości fragmenty poematu Antara, to poezja epicka, wojenna, ludów koczujących lub zdobywców; mnisi greccy, śpiewający psalmy na swoich samotnych tarasach, to poezja święta, liryczna, wieków zapachu i odrodzenia religijnego, a ja, co rozpamiętuję to wszystko pod moim namiotem i zbieram prawdy historyczne lub myśli po całej ziemi, to poezja filozofii i refleksji, córka epoki, kiedy to ród ludzki wnika w siebie i medytuje nad sobą nawet w tych pieśniach, którymi wypełnia swoje wolne chwile.

Oto pełny obraz poezji w przeszłości; ale czym ona będzie w przyszłości?

4 listopada 1832.

Wieczór i noc spędziliśmy na pustyni Świętego Jana, żegnając się z naszymi zacnymi zakonnikami, których wspomnienie zawsze nam będzie towarzyszyło: pamięć skromnych i doskonałych cnót zostaje w duszy jak woń kadzidła w świątyni, którą się nawiedziło. Wręczyliśmy tym poczciwym ojcom jałmużnę, która zaledwie pokryła wydatki spowodowane naszym pobylem; niebezpieczeństwa, na jakie ich naraziliśmy, nie policzyli w ogóle, prosząc mnie tylko, abym ich polecił opiece okrutnego Abu Gosza, z którym miałem się ponownie zobaczyć w wiosce Jeremiasza. Wyruszyliśmy przed świtem, aby uniknąć natręctwa Beduinów z Betlejem i z pustyni Świętego Jana, którzy mnie nie odstępowali, a nawet zaczęli już mi grozić. O ósmej rano, przebywszy wysokie wzgórza, które wieńczy grobowiec Machabeuszów<sup>27</sup>, zasiedliśmy pod drzewami figowymi w wiosce Jeremiasza, paląc fajki i pijąc kawę z Abu Goszem, jego stryjem i braćmi. Abu Gosz dał mi nowe dowody swoich względów i życzliwości; ofiarował mi konia, za którego mu podziękowałem, aby uniknąć uczynienia mu wzajemnego подарunku, który mógłby wydać mu się niejako uznaniem haraczu, jaki zwykle nakłada na pielgrzymów, a od którego Ibrahim Pasha ich uwolnił. Poleciłem jeszcze jego pieczy zakonników z pustyni Świętego Jana, Betlejem i Jerozolimy. Później dowiedziałem się, że istotnie uwolnił ich od natarczywo-



ści Beduinów; nie myślał zapewne wtedy, kiedy go prosiłem o opiekę nad biednymi zakonnikami, Frankami, zmuszonymi do przebywania w jego górach, że w osiem miesięcy później będzie musiał błagać mnie o pomoc w uwolnieniu swojego własnego brata, którego zabrano jako jeńca do Damaszku, i że będę szczęśliwy, mogąc mu nawzajem okazać się użyteczny.

Po kawie, gdy konie już wypoczęły, ruszyliśmy w drogę, odprowadzeni przez niezliczoną rzeszę mieszkańców wioski Jeremiasza, i stanęliśmy obozem za Ramią, we wspaniałym gaju oliwnym, okalającym miasto. Uznojeni, bez żywności, poprosiliśmy o gościnę zakonników klasztoru Ziemi Świętej, lecz jej nam odmówili jako zapowietrzonym, którymi oczywiście mogliśmy być; musieliśmy więc obejść się bez wieczerzy i usnęliśmy pośród odgłosów wiatru szumiącego w koronach drzew oliwnych. Tutaj właśnie Najświętsza Panna, święty Józef i Dzieciątko nocowali w polu, uciekając do Egiptu. Myśl o tym osłodziła nasz nocleg.

Wyjazd z Ramii o szóstej rano; śniadanie w Jaffie u pana Damiani; dzień spędzony na wypoczynku i przygotowaniu żywności na drogę powrotną wybrzeżem do Syrii.

Nic miłszego niż takie podróże kawalkadą, kiedy kraj jest piękny, kiedy konie, dobrze wypoczęte, z brzaskiem dnia lekko stąpają po gładkiej i piaszczystej drodze, kiedy raz po raz otwierają się nowe widoki, a zwłaszcza kiedy morze, co chłodzi nam twarze świeżym powiewem, którym tchną jego ustawicznie toczące się fale, leży, całe zielone lub błękitne, u nóg naszych koni i pryska niekiedy rozpylonymi kroplami piany; tej przyjemności doznawaliśmy, jadąc brzegiem uroczej zatoki, dzielącej Haifę od Akki. Pustynię, utworzoną przez równinę Zabulon, przesłaniają z prawej strony wysokie kępy sitowia i korony palm, co odgraniczają piaszczyste wybrzeże od reszty lądu: jedzie się po warstwie białego, miłkiego piasku, ustawicznie zwilżanego przez fale, które pokrywają go białą, marszczącą się taflą; zatoka od wschodu zamknięta wysokim cyplem przylądka Karmelu, gdzie wznosi się klasztor, od zachodu ruinami białych murów Akki, przypomina rozległe jezioro, na którego falach bezpiecznie mogą się kołysać nawet najmniejsze łódki. Ale tak wcale nie jest; wybrzeże Syrii, wszędzie niebezpieczne, największym niebezpieczeństwem grozi właśnie w zatoce Haify; statki, które szukają w niej schronienia i aby ująć przed burzą zarzucają kotwicę na jej niestałym, piaszczystym dnie, często są wyrzucane na brzeg. Ich smutne, malownicze szczątki aż nadto przekonały nas o tym; całe piaszczyste wybrzeże pokrywają kadłuby rozbitych statków,

na poły zagrzebanych w piasku; widać jeszcze strzaskane dzioby niektórych, a na nich gniazda uścielone przez morskie ptactwo; gdzie indziej znów widnieją spod piasku tylko maszty; te nieruchome, bezlistne drzewa są podobne do krzyżów nagrobnych, stawianych nad prochami tych, co odeszli; na niektórych wiszą jeszcze reje i liny, strawione słonymi oparami morza. Arabowie nie tykają tych szczątków rozbitych statków; tylko czas i zimowe burze dopełniają dzieła ich zniszczenia albo też co dnia z wolna je pochłania piasek.

Widzieliśmy tam, podobnie jak wszędzie na wybrzeżach Syrii, jak Arabowie łowią ryby. Trzymając nad głową niewielką sieć, zwiniętą i przygotowaną do zarzucenia, jeden z nich wchodzi kilka kroków w morze, wybierając godzinę i miejsce, kiedy słońce jest za nim i oświetla wodę, nie rażąc go swoim blaskiem. Czeką na przypływ fal, które, skupiając się i piętząc, rozbijają się u jego stóp o skałę lub piasek. Przenikliwym, doświadczoneym spojrzeniem bada powstałą wtedy pianę, a kiedy dostrzeże w niej rybę, ciska sieć w chwili, kiedy rozbita fala gotowa odpłynąć, unosząc to, co przyniosła: sieć spada, fala odpływa, a ryba zostaje. Do tych połowów na wybrzeżach Syrii najlepszy jest czas wietrzny; kiedy morze jest spokojne, rybak nic w nim nie dostrzeże: fale tylko wtedy są przejrzyste, kiedy się wznoszą w słońcu nad powierzchnią morza.

Wstrętna woń bitewnego pola zapowiadała nam bliskość Ak-ki<sup>28</sup>; tylko kwadrans dzielił nas od jej murów. Miasto jest stosem gruzów, kopuły meczetów zupełnie podziurawione, mury wyszczerbione ogromnymi wyłomami, wieże w porcie obalone; po roku oblężenia Akka niedawno została wzięta szturmem przez czterdzieści tysięcy bohaterskich żołnierzy Ibrahima.

W Europie nie rozumieją, na czym polega polityka na Wschodzie: przypuszcza się, że uprawiają ją tutaj według jakichś planów, gdy w istocie są to tylko kaprysy; uważa się, że kierują nią jakieś zamysły, a to są tylko namiętności; sądzi się, że prowadzi się ją z myślą o przyszłości, a ona przewiduje tylko dziś i jutro. W napaści Muhammada Alego dopatrywano się skutku długotrwałych przemyśleń i od dawna żywionych ambicji, gdy był to przypadkowy poryw, który stopniowo, niemal wbrew jego woli, sprawił, że tron jego władcy zachwiał się, a Muhammad Ali zdobył połowę jego państwa<sup>29</sup>; nowe sukcesy mogą zaprowadzić go jeszcze dalej.

Oto jak doszło do tej waśni: Abdalla, pasza Akki, młody i nierozważny, otrzymawszy szczęśliwym zbiegiem okoliczności i dzie-

ki szczególnie względem gubernatorstwo Akki, zbuntował się przeciw sułtanowi; zwyciężony, błagał o opiekę paszę Egiptu, który okupił dla niego łaskę Dywanu. Abdalla zapomniał wkrótce o obowiązku wdzięczności względem Muhammada Alego i wzbraniał się przed dotrzymaniem pewnych warunków, które poprzysiągł spełnić w dniach swojej niedoli. Ibrahim wyruszył na czele wojska, aby go do tego zmusić; Akka stawiała mu nieprzewidziany opór; Ibrahim, rozjątrzony, zwrócił się do swojego pana o posiłki; otrzymał je, lecz i te oddziały zostały odparte. Znużony tym Muhammad Ali, wbrew woli Ibrahima, kazał mu odstąpić od obleżenia, lecz ów, kierując się ambicją, nie wykonał tego rozkazu; chciał albo umrzeć pod murami Akki, albo oddać ją uległą władzy ojca. Wreszcie kosztem licznych ofiar wyłamał bramy. Abdalla, wzięty do niewoli, spodziewał się śmierci. Ibrahim kazał go przyprowadzić do swojego namiotu i po kilku gorzkich przymówkach wyprawił go do Aleksandrii. Zamiast sznurka lub miecza, Muhammad Ali posłał mu swojego konia, polecił wprowadzić go w triumfie do miasta, posadził obok siebie w sali Dywanu, pochwalił jego odwagę i wierność względem sułtana, ofiarował mu pałac, niewolników i niezmiernie dochody.

Męstwo Abdalli godne było takiego obejścia: zamknięty w Akce z trzema tysiącami Turków przez cały rok stawiał opór wszystkim siłom Egiptu, lądowym i morskim; niezmiennie szczęście Ibrahima, podobnie jak się to stało z Napoleonem, zachwiało się przed tą skałą; gdyby sułtan, którego Abdalla błagał nadaremnie, przysłał mu w porę kilka tysięcy żołnierzy albo przynajmniej skierował na wody Syrii dwie lub trzy z tych pięknych fregat, które drzemią bezużytecznie na Bosforze zakotwiczone pośród kaików, już byłoby po Ibrahimie; wróciłyby do Egiptu, przekonany o swojej niemocy. Ale Porta, wierna swojej zasadzie nieuchronnego przeznaczenia, zezwoliła na upadek swojego paszy. Przedmurze Syrii upadło, a Dywan ocknął się zbyt późno. Muhammad Ali napisał jednak do swojego wodza, nakazując mu, aby wrócił, ów zaś jako człowiek odważny, próbując szczęścia, chciał przekonać się, jak wielka jest słabość sułtana i co mu gotuje jego własne przeznaczenie: ruszył więc naprzód. Dwa świetne i z niezbyt wielkim trudem uzyskane zwycięstwa, pod Homs w Syrii i pod Konia w Azji Mniejszej, sprawiły, że stał się samowładnym panem Arabii, Syrii i tych wszystkich królestw Pontu, Bitynii i Kapadocji, które dziś tworzą Karamanię. Porta mogła mu jeszcze przeciąć odwrót i wysadzając wojska na jego tyłach, byłyby mu odebrała miasta i prowincje, w których Ibrahim nie

## JERYCHO

był w stanie zostawić dostatecznie licznych załóg; sześciotysięczny korpus turecki, rozstawiony w wąwozach Taurusu i Syrii, u-czyniłby Ibrahima i jego armię niezawodnym łupem Porty i więźniem jego własnych podbojów. Flota turecka była znacznie liczniejsza od floty Ibrahima: Porta miała ogromną, wspaniałą flotę, a Ibrahim tylko dwie, trzy fregaty. Ale już na początku kampanii Halil Pasza, młodzieniec o wykwinnych manierach, ulubieniec sułtana, mianowany przez niego admirałem, wycofał się przed nikłymi siłami Ibrahima; widziałem na własne oczy, jak opuścił Rodos i zamknął się w przystani Marmorizy na brzegach Karamanii, w głębi zatoki Makri. Kiedy schronił się ze swoimi okrętami do tego portu, do którego wejście jest nadzwyczaj wąskie, Ibrahim przy pomocy dwóch statków mógł już go tam zatrzymać. I w istocie Halil nie wy dostał się stamtąd i przez całą zimę, kiedy najważniejsze i rozstrzygające były właśnie działania wojenne na wybrzeżach Syrii, na tych wodach pojawiały się jedynie okręty Ibrahima, dostarczając mu bez przeszkód posiłków i amunicji. A przecież Halil Pasza nie był ani zdrajcą, ani niezdara, ale tak właśnie toczą się sprawy narodu, który trwa w bezruchu, gdy wszystko dokoła się porusza; pomyślnością narodów jest ich geniusz: geniusz muzułmanów drży teraz przed geniuszem ostatniego z ich paszów. Znany jest dalszy przebieg tej kampanii, przypominającej kampanię Aleksandra Wielkiego; Ibrahim jest niewątpliwie bohaterem, a Muhammad Ali wielkim człowiekiem; lecz cały ich sukces opiera się tylko na nich; gdy ich zabraknie, zniknie Egipt, zniknie wielkie państwo arabskie, znikną Machabeusze islamu i Wschód znów będzie podległy Zachodowi na zasadzie owego nieubłaganego obrotu rzeczy, który sprawia, że tam jest potęga, gdzie jest oświata.

Tegoż dnia.

Wyżewy z piaszczystych brzegów zatoki Akki stawały się coraz bardziej cuchnące. Zaczynaliśmy spostrzegać leżące na wybrzeżu kości ludzi, koni, wielbłądów, które bielily się w słońcu, oblewane pianą morską. Co krok było tych szczątków coraz więcej. Wkrótce cały pas wybrzeża między lądem i skałami okazał się nimi pokryty, a tętent naszych koni ploszył co chwila gromady dzikich psów, ohydnych szakali i drapieżnego ptactwa, od dwóch miesięcy zajmujących się dogryzaniem resztek straszliwej biesiady, którą im zgotowały działa Ibrahima i Abdalli. Jedne, uciekając, unosiły z sobą członki ludzi niedbale pogrzebanych, inne — nogi końskie jeszcze okryte skórą; kilka orłów, siedząc

## JERYCHO

na kościstych łbach wielbłądów, z gniewnym szczekaniem zerwało się na nasz widok i krążyło nad swoją okropną zdobyczą, nie lękając się naszych strzałów. Wysokie trawy, sitowia, krzewy nadbrzeżne też były usiane szczątkami ludzi i zwierząt. Nie były to jednak tylko szczątki ofiar wojny. Tyfus, który od kilku miesięcy pustoszył Akkę, dobijał to, co broń oszczędziła; w mieście, co liczyło dwanaście do piętnastu tysięcy mieszkańców, zostało ich zaledwie tysiąc dwustu czy półtora tysiąca i co dzień chowano za murami lub rzucano w morze nowe trupy, które fale wyrzucały w głąb zatoki albo szakale wygrzebywały z ziemi.

Dotarliśmy aż do bramy wschodniej tego nieszczęśliwego miasta. Niepodobna już było oddychać otaczającym nas powietrzem, nie wjechaliśmy więc do Akki, lecz zawróciwszy w prawo, wzdłuż rozwalonych murów, przy których pracowało kilku niewolników, przejechaliśmy całe pole bitwy, od murów miasta aż do wiejskiego domu dawnych paszów Akki, stojącego na równinie, blisko o dwie godziny drogi od brzegu. W pobliżu tego domu, z wyglądu okazałego, z wykwintnymi pawilonami w stylu indyjskim po bokach, spostrzegliśmy długie bruzdy, o krawędziach nieco wyższych niż te, jakie powstają, gdy u nas pług żłobi tłustą glebę. Te bruzdy mogły mieć pół mili długości i niemal tyleż szerokości, a ich krawędzie wznosiły się na stopę lub dwie: było to miejsce obozu Ibrahima i grób piętnastu tysięcy ludzi, których kazał pochować w tych rowach grzebalnych. Długo jechaliśmy z trudem po tej ziemi, która ledwo przykrywała tyle ofiar ambicji i kaprysu tego, którego nazywa się bohaterem.

Popędziliśmy nasze konie, których kopyta co chwila potraçały zmarłych i kruszyły kości odgrzebane przez szakale, i rozbiliśmy namioty o jaką godzinę drogi od tego smutnego miejsca, w czarownej okolicy tej równiny, zraszanej płynącymi po niej strumieniami, zacienionej palmami, drzewami pomarańczowymi, limoniami, zasłonięci przed wiatrem z Akki, której wyziewy wciąż nas ścigały. Te ogrody, rzucone niby jakaś oaza na nagą równinę Akki, założył przedostatni pasza, następca sławnego Dżezara<sup>30</sup>. Kilku ubogich Arabów, których jedynym schronieniem były nędzne lepianki z ziemi i błota, dostarczyło nam pomarańcz, jaj i kurcząt; zatrzymaliśmy się tu na nocleg.

Nazajutrz pan de La Roière ledwie mógł podnieść się ze swojej maty i dosiąść konia; wszystkie jego członki, stężące bólem, były niezdolne do najmniejszego ruchu. Poczul pierwsze objawy tyfusu, który, jako lekarz, rozpoznał lepiej niż my. Ponieważ nie było tu ani należytego schronienia, ani środków do leczenia cho-

## JERYCHO

rego, opuściliśmy z pośpiechem tę okolice, chcąc odjechać, zanim jego stan się pogorszy, i następną noc spędziliśmy o piętnaście mil dalej na równinie Tyru, nad brzegiem rzeki ocienionej wysokimi trzcinami, w pobliżu opustoszałej ruiny, która, jak się zdaje, pochodziła z epoki wojen krzyżowych. Ruch i upał sprawiły, że pan de La Roière poczuł się lepiej. Ułożyliśmy go pod namiotem, wyruszyliśmy, aby zapolować na kaczki i dzikie gęsi, które stadami wlatywały z trzcin rosnących nad rzeką. Te ptaki stanowiły owego dnia pożywienie całej naszej kawalkady.

Nazajutrz nad brzegiem morza, w uroczym miejscu, w cieniu cedrów nadmorskich i wspaniałych jaworów napotkaliśmy jakiegoś tureckiego agę, który wracał z Mekki z licznym orszakiem ludzi i koni. Zajęliśmy miejsce pod drzewem przy źródle, niedaleko innego drzewa, gdzie aga siedział przy śniadaniu. Jego niewolnicy oprowadzali konie. Uderzyła mnie doskonałość kształtów i lekkość pewnego młodego ogiera czystej krwi arabskiej. Polecilem mojemu drogmanowi, aby wszedł w układy z agą. Posłał mi w podarunku nieco naszych podróжных zapasów i parę pistoletów pistonowych; aga wzajemnie ofiarował nam jatagan perski. Kazałem przeprowadzić przed nim moje konie, aby w sposób naturalny skierować rozmowę na ten temat. Udało się; cała trudność jednak polegała na tym, jak zaproponować mu sprzedaż jego konia. Mój tłumacz powiedział mi, że jeden z naszych towarzyszy podróży jest bardzo chory i że nie zdołał dostać konia dość lekko niosącego, aby odbywać na nim dalszą podróż. Aga odparł, że ma takiego konia, na którym w galopie można pić kawę, nie uroniwszy nawet kropli z filiżanki. Był to właśnie ów podziwiany przeze mnie piękny rumak, którego tak chciałem kupić dla mojej żony. Po długich ceregielach dobiliśmy targu i zabrałem konia; nazwałem go El Kantara na pamiątkę miejsca i źródła, przy którym go kupiłem. Dosiadłem go natychmiast, aby dokończyć na nim dziennej podróży: nigdy nie jechałem na koniu lżej niosącym. Nie odczuwało się ani elastycznego ruchu jego łopatek, ani uderzenia jego kopyt o skałę, ani najlżejszego nawet ciężaru głowy na wędzidle. Szyję miał krótką i smukłą, unosił nogi jak gazela; jadąc na nim, zdawało się, że mknie w powietrzu jak ptak; biegł też szybciej niż którykolwiek z dosiadanych przeze mnie arabskich koni. Maści był siwoperłowej. Ofiarowałem go mojej żonie, która podczas całego naszego pobytu na Wschodzie nie chciała dosiadać innego konia. Nigdy nie przestanę żałować tego wybornego rumaka. Urodził się w Chorasanie i miał zaledwie pięć lat.

## JERYCHO

Wieczorem przybyliśmy do Studzien Salomona; następnego dnia, bardzo wcześnie, wjechaliśmy do Saidy, starożytnego Sydonu, eskortowani przez Franków tam osiadłych i synów pana Giraudin, naszego zacnego wicekonsula w Saidzie. Zastaliśmy także w Saidzie pana Cattafago, którego poznaliśmy w Nazarecie, i jego rodzinę. Właśnie ukończył budowę domu w tym mieście i zajmował się przygotowaniami do wesela jednej ze swoich córek. Ponieważ ze starożytnego Sydonu nie pozostało ani śladu, oddaliśmy się całkowicie pod łaskawą opiekę pana Giraudin, z przyjemnością rozmawiając z tym zajmującym starcem o Europie i o Wschodzie. Zostawszy patriarchą w ziemi patriarchów, był dla nas wraz z całą swoją rodziną wzorem wszelkich ich cnót, przypominając swoimi obyczajami obyczaje patriarchalne.

Wzmagająca się choroba pana de La Roière okazała się tyfusem ze wszystkimi jego objawami. Ponieważ nie mógł już dosiąść konia, najęliśmy w Saidzie barkę, aby go przewieźć do Bejrutu morzem; z resztą kawalkady ruszyliśmy dalej; posłałem gońca do lady Stanhope z podziękowaniem za jej życzliwe wstawienie się za mną do naczelnika Abu Gosza, a zarazem z prośbą, aby, jeśli nadarzy się okazja, zechciała uprzedzić o moim bliskim przybyciu Arabów na pustyni Bekaa, Baalbeku i Palmiry.

5 listopada 1832.

Nocowałem w jakiejś nędznej, opuszczonej, starożytnej ruderze nad brzegiem morza; napisałem w nocy kilka wierszy na stronicach mojej Biblii; radość, że zbliżamy się do Bejrutu po tak szczęśliwie odbytej podróży; spotkałem w drodze arabskiego jeźdźca z listem od mojej żony; pomyślnie wiadomości: Julia w kwitnym stanie zdrowia; czekają na mnie, aby na kilka dni udać się do klasztoru Antura na Libanie, do patriarchy katolickiego, który przybył, aby nas tam zaprosić.

O czwartej po południu okropna burza; jak gdyby pokryte gęstymi chmurami sklepienie niebieskie upadło nagle na góry wznoszące się na prawo od naszego obozu; szum tych ciężkich chmur przepływających pośród wierzchołków Libanu mieszał się z szumem morza, podobnego do śnieżnej równiny smaganej wściekłym wiatrem. Deszcz nie pada tu jak na Zachodzie mniej lub bardziej wielkimi kroplami, ale nieprzerwanymi, gęstymi strumieniami, które, niby dłoń burzy, uderzają i przyniatają człowieka i konia; zapanowały zupełne ciemności; nasze konie stąpały pośród potoków i toczących się kamieni, co chwila narażone, że je porwie morze. Kiedy się przejaśniło i ujrzeliśmy błękit nieba, oka-

## JERYCHO

zało się że znajdujemy się na skraju równiny wysadzonej sosnami przez Fahr ad-Dina, o jakie pół mili od miasta; podobnie jak ludzie, zwierzęta rozpoznają swoje strony ojczyste; te konie, które rozpoznały okolice, dokąd często na nich jeździliśmy, chociaż uznojone trzystumilową drogą, zaczęły rzeć, strzyc uszami i spinać się z radości na piasku; zostawiłem całą kawalkadę jadącą z wolna pod sosnami. Puściłem Libana w cwał i z sercem drżącym z niepokoju i radości pomknąłem prosto w objęcia mojej żony. Julia bawiła się w sąsiednim domu z dziećmi władcy prowincji górskiej, który podczas mojej nieobecności został gubernatorem Bejrutu; dostrzegła moje przybycie z tarasu; słyszałem, jak biegnąc, wołała: „Gdzie ojciec? Czy to na pewno on?” Weszła, rzuciła się w moje objęcia, okrywając mnie pocałunkami, potem biegała dokoła pokoju, a w jej pięknych oczach błyszczały łzy radości; wznosiła ręce i powtarzała: „Och! jaka jestem szczęśliwa! Jaka jestem szczęśliwa!”, znowu siadła mi na kolanach i nie przestawała ścisnąć mnie i całować. W pokoju było dwóch młodych ojców jezuitów z Libanu, którzy przybyli, aby odwiedzić moją żonę; długo nie mogłem wyrzec do nich słów powitania; oniemieli na widok tego szczerego i namiętnego przywiązania dziecka do ojca, tego niebiańskiego blasku, tego szczęścia, które dodawało jeszcze piękności promieniejącej twarzyczce Julii; stali w milczeniu przejęci podziwem. Niebawem nadjechali nasi przyjaciele oraz służba i pola morwowe zapełniły się końmi i namiotami.

Kilkanaście dni wypoczynku i szczęścia spędzone na przyjmowaniu naszych przyjaciół z Bejrutu; synowie emira Baszyra, którzy z rozkazu Ibrahima opuścili góry, aby zająć kraj, gdzie groził wybuch powstania na rzecz Turków, obozowali w dolinie Nahr el-Kelb, prawie o godzinę drogi od mojego domu.

7 listopada 1832..

Pan Bianco, konsul sardyński, od wielu lat związany przyjaźnią z tymi książętami, zaprosił nas na wydany dla nich obiad. Przybyli odziani w przepyszne kaftany, utkane w całości ze złotych nici, w zawojach z najwspanialszych materii kaszmirowych. Najstarszy z nich, dowodzący wojskiem ojcowiskim, miał sztylet, którego cała rękojeść była wysadzana bezcennymi brylantami. Towarzyszyła im świta liczna i niezwykła: wśród mnóstwa muzułmanów i czarnych niewolników znajdował się poeta, którego czynności nie różniły się od obowiązków bardów średniowiecznych: miał mianowicie opiewać zasługi i świetne czyny swojego



## JERYCHO

pana, na każde jego zawołanie układać opowieści, aby go rozerwać, stać za nim podczas posiłków, aby improwizować wiersze stanowiące rodzaj toastów politycznych na jego cześć lub na cześć gości, których książę chciałby szczególnie wyróżnić, księciu towarzyszył również kapelan czy spowiednik, Maronjta, katolik, który go nigdy nie odstępował, nawet przy stole, i któremu wolno wchodzić do haremu; jest to zakonnik o jowialnym, żołnierskim obliczu, najzupełniej przypominający naszych kapelanów pułkowych. Kapelan, ze względu na swój stan duchowny, siedział przy stole, poeta stał. Książęta, a zwłaszcza najstarszy z nich, wydawali się zupełnie nie zmieszani naszymi zwyczajami ani też obecnością kobiet europejskich. Rozmawiali kolejno z nami z taką ogładą, znajomością poruszanych tematów i swobodą, jak gdyby byli wychowani na najwykwintniejszym dworze Europy. Wykształcenie wschodnie nie różni się poziomem od naszego, bo jest starsze, a jego porównania między szlachetnością, godnością i pełnym powagą urokiem obyczajów arabskich, tureckich, hinduskich, perskich i naszych. Nasze ludy są młode, nasze cywilizacje jeszcze do niedawna były surowe, nieokrzesane, niepełne; ludzie Wschodu przypominają dzieci z dobrego domu, są spadkobiercami starożytnej mądrości i cnoty. Szlachetność, będąca pochodną cnót pierwotnych, jest wryta na ich czole i przenika wszystkie ich zwyczaje; a zresztą nie ma pośród nich ludzi z gminu. Cywilizacja duchowa, jedyna, która ma dla mnie znaczenie, jest udziałem każdego z nich na równym poziomie. Pasterz i emir należą do jednej rodziny, mówią tym samym językiem, mają te same zwyczaje i udział w tej samej nauce, jednakowo odczuwają wzniosłość tych samych tradycji, która dla każdego narodu jest niezbędna jak powietrze.

Przy deserze płynęły strumieniem wina cypryjskie i libańskie; Arabowie chrześcijanie i rodzina emira Baszyra — która jest czy też uważa się za chrześcijańską — gdy się okoliczność zdarzy, piją wino bez skrupułu. Wznoszono toasty za zwycięstwo Ibrahima, za oswobodzenie Libanu i za przyjaźń Franków z Arabami; potem jeden z książąt wznosił toast na cześć pań obecnych na tej uczcie; wówczas jego bard, na rozkaz księcia, zaczął improwizować i donośnym, śpiewnym głosem wypowiedział wiersze arabskie, których treść była mniej więcej następująca:

„Pijmy sok Edenu, który upaja i rozwesela serce niewolnika i księcia. Jest to wino z tych szczepów, które zasadził sam Noe, gdy gołębicą, zamiast gałązki oliwnej, przyniosła mu z nieba

## JERYCHO

różdżkę^ winnej latorośli. Mocą tego wina poeta na chwilą zostaje księciem, a książę staje się poetą.

Pijmy je na cześć tych młodych i pięknych kobiet francuskich, które przybywają z kraju, gdzie każda kobieta jest królową. Oczy niewiast syryjskich są piękne, ale zasłonięte. W oczach dziewic Zachodu jest więcej upojenia niż w przezroczystej czarze, z której piję.

Pić wino i wpatrywać się w oblicze kobiety to dla muzułmanina grzech podwójny; dla Araba zaś to podwójna radość i podwójny sposób błogosławienia Boga." <sup>31</sup>

Sam kapelan wydawał się zachwycony tym wierszem i podśpiewywał wraz z bardem, śmiejąc się i popijając. Książę zaprosił nas do obejrzenia łowów z sokołem, stanowiących zwykłą rozrywkę wszystkich książąt i szejków w Syrii. Stąd właśnie zwyczaj ten rycerze krzyżowi przenieśli do Europy.

9 listopada 1832.

Pogoda, pomijając kilka gwałtownych porywów wiatru nad morzem i kilka nawałnic w godzinach południowych, była tak piękna jak we Francji w maju. Gdy tylko zaczynają się deszcze, to znak, że nadchodzi wiosna; mury tarasów, które podpierają uprawne zbocza Libanu i żyzne wzgórza okolic Bejrutu, w kilka dni tak się pokryły zielenią, że spod mchów, traw, kwiatów i pnączów nie widać już było ziemi; wszystkie pola, które, gdy tu przybyliśmy, zalegał tylko kurz, zazieleniły się jęczmieniem; morwy, które powtórnie wypuszczają liście, utworzyły wokół domów gęste lasy, nie przepuszczające promieni słońca; tu i ówdzie spośród tego oceanu zieleni przezierały dachy domów rozrzuconych na równinie, a na nich było widać Greczynki i Syryjki w bogatych, wspaniałych ubiorach, które podobne do królowych zażywały świeżego powietrza na tarasach pawilonów w swoich ogrodach. Wąskie dróżki wytyczone w piasku wiodły od domu do domu, od wzgórza do wzgórza, poprzez ogrody nieprzerwanie ciągnące się od morza aż do stóp Libanu; idąc nimi napotykaliliśmy nagle na progach małych domków najczarowniejsze obrazy życia patriarchalnego: niewiasty i dziewczęta siedziały pod rosnącym u ich drzwi drzewem morwowym lub figowym wyszywając wspaniałe wełniane kobierce o kontrastowych, jaskrawych barwach; inne wiązały końce jedwabnych nitki do odległych drzew i rozwijały je z motowidła, idąc z wolna, ze śpiewem, od drzewa do drzewa, gdy tymczasem mężczyźni kroczyli w kierunku przeciwnym, zajęci tkaniem jedwabiu, i odpychali

## JERYCHO

czółenka, które przesuwali ku nim inni mężczyźni. Dzieci leżały w cieniu w kołyskach z sitowia albo na matach; niektóre kołyski były zawieszane na gałęziach drzew pomarańczowych; wielkie barany syryjskie o ogromnych wlokących się za nimi ogonach, zbyt ciężkie, aby mogły chodzić, spoczywały w jamach, które umyślnie wykopuje się dla nich w chłodnej ziemi przed drzwiami; jedna lub dwie dorodne kozy z długimi uszami, zwisającymi jak u niektórych naszych psów myśliwskich, a czasem krowa uzupełniały ten wiejski obraz; koń pana domu, okryty wspaniałym rzedem, stał tu także, zawsze gotów do drogi; należy do rodziny i wydaje się, że zajmuje go wszystko, co się wokół niego dzieje, wszystko, co się mówi; jego fizjonomia ożywia się jak twarz człowieka; kiedy pojawia się ktoś obcy i odzywa się do niego, nastawia uszu, unosi wargi, marszczy nozdrza, wyciąga głowę i wietrzy nieznanego, który mu schlebia; jego oczy łagodne, ale głębokie i zamyślane, iskrzą się jak dwa węgle pod piękną i długą grzywą spływającą z czoła.

Rodziny rolników greckich, syryjskich i arabskich zamieszkujące te domy u stóp Libanu nie mają w sobie nic z dzikości czy barbarzyństwa; oświeceni niż nasi wieśniacy, wszyscy umieją czytać, wszyscy rozumieją dwa języki, arabski i grecki; są łagodni, spokojni, pracowici i trzeźwi; cały tydzień zajęci uprawą roli lub tkaniem jedwabiu, w niedzielę wypoczywają, uczestnicząc ze swoimi rodzinami w długich, okazałych nabożeństwach obrządku greckiego lub syryjskiego, a następnie wracają do domu na posiłek nieco bardziej wyszukany niż w dni powszednie; niewiasty i dziewczęta, odziane w najpiękniejsze suknie, z włosami zaplecionymi w warkocze i zdobnymi kwiatem pomarańczowym, pasową lewkonią i goździkami siedzą ze swoimi sąsiadkami i przyjaciółkami na matach przed domem. Niepodobna przedstawić piórem grup, zadziwiających malowniczością, przepychem ubiorów i pięknnością, jakie tworzą te kobiety. Widuję tu codziennie oblicza młodych kobiet lub dziewcząt, o jakich Rafael nawet nie marzył w swoich snach artysty. Ich uroda przewyższa piękność włoską czy grecką; są to twarze o kształtach czystych i rysach delikatnych, słowem, odznaczają się tym wszystkim, co tylko sztuka grecka i rzymska zostawiły nam najdoskonalszego; ale wszystko to upaja jakąś pierwotną naiwnością i prostotą wyrazu, pogodną, uroczą melancholią, niebiańskim blaskiem, który rozlewa się na tych obliczach, spojrzeniem błękitnych oczu, obramowanych czarnymi rzęsami, filuternym uśmiechem, harmonią proporcji, bielą skóry, nieopisaną przejrzystością cery, metalicznym

połyskiem włosów, powabem ruchów, niezwykłością postaw i perlistym, przenikliwym dźwiękiem głosu, które przeobrażają młodą Syryjkę w hurysę raję dla oczu.

Te zachwycające i tak rozmaite piękności nie są w dodatku niczym niepospolitym; gdy przechadzam się wśród pól, nie mija godzina, a napotykam ich mnóstwo, gdy idą po wodę do źródła lub stamtąd wracają, niosąc na ramieniu swoje urny etruskie, a na obnażonych nogach mają srebrne bransolety; dla mężczyzn i młodych chłopców cały wypoczynek polega na tym, że w niedzielę zasiadają na matach rozciągniętych u stóp jakiejś wielkiej sykomory, opodal źródła, i przez cały dzień, nieporuszeni, słuchają cudownych opowieści, pokrzepiając się niekiedy filiżanką kawy lub zimnej wody; inni spieszą na wierzchołki wzgórz i tam spoczywają spokojnie pod swoimi oliwkami czy winoroślami, napawając się widokiem morza, nad którym wznoszą się te wzgórza, czystym błękitem nieba, śpiewem ptaków i tymi wszystkimi rozkoszami ludzi prostych i nieskażonych, które nasz lud porzucił dla hałaśliwego opilstwa po karczmach albo dla oparów rozpusty. Nigdy czystsze i piękniejsze wrażenia nie ożywiały piękniejszej widowni dzieła stwórczenia; przyroda jest tu istotnie jednym nieprzerwanym hymnem na cześć dobroci Stwórcy i ani jeden fałszywy dźwięk, ani jeden obraz nędzy lub grzechu nie mąci zachwycającej harmonii tego hymnu: mężczyźni, kobiety, ptaki, zwierzęta, drzewa, góry, morze, niebo, klimat, wszystko jest piękne, czyste, wspaniałe i bogobojne.

10 listopada 1832.

Dziś rano bardzo wcześnie poszedłem z Julią na wzgórze, które Grecy nazywają Wzgórzem Świętego Dymitra, położone prawie o milę od Bejrutu w kierunku Libanu, gdy iść ukośnie do linii wybrzeża. Towarzyszyło nam dwóch moich Arabów, jeden był przewodnikiem, drugi szedł przy koniu Julii, gotów wziąć ją na ręce, gdyby koń stawał się niespokojny. Kiedy ścieżki okazywały się zbyt strome, zsiadaliśmy z koni i pieszo pokonywaliśmy te naturalne czy sztuczne tarasy, które zielonymi schodami sięgają aż po wierzchołek Wzgórza Świętego Dymitra. W dzieciństwie często wyobrażałem sobie ów raj ziemski, ów Eden, który wszystkie narody przechowują w swoich wspomnieniach czy to jako piękny sen, czy to jako podanie o miejscu i czasach doskonalszych; czytałem prześliczne opisy owej uroczej siedziby naszych pierwszych rodziców, które stworzył Milton<sup>32</sup> lecz i tu, jak we wszystkim, przyroda nieskończenie przewyższała wyobraźnię. Bóg

nie zezwolił, aby marzenie człowieka dorównało pięknością Jego dziełu. Widziałem Eden w marzeniu, teraz mogę powiedzieć, że ujrzałem go na jawie.

Po półgodzinnej jeździe pod sklepieniem nopalów, pośród których biegą wszystkie ścieżki na równinie, zaczęliśmy wjeżdżać pod górę małymi, jeszcze węższymi i bardziej stromymi ścieżkami prowadzącymi na niewielkie, kolejno wznoszące się, jeden nad drugim płaskowyże, a z każdego z nich roztaczał się coraz rozleglejszy widok na pola, morze i na Liban. Te płaskowyże, niezbyt szerokie, są otoczone nie trafiającymi się w naszym klimacie leśnymi drzewami, których nazw, niestety, nie znam; ale ich pnie, rozpiętość gałęzi, nowe, niezwykle kształty ich stożkowatych, rozwichrzonych, piramidalnych lub rozpostartych niby skrzydła koron sprawiają, że owe leśne obramowania przedstawiały widok powabny i nowy, zapowiadający już Azję. Liście tych drzew są także najrozmaitszych kształtów i najrozmaitszej barwy, od czarnej zieleni cyprysu aż do szarej zieleni drzewa oliwnego i do żółcieni drzew cytrynowych i pomarańczowych; od szerokich liści morwy chińskiej, z których każdy osłoniłby przed słońcem głowę dziecka, aż do lekko ząbkowanych liści drzewa herbacianego, granatu i wielu innych niezliczonych krzewów, o liściach podobnych do liści pietruszki, wiszących niby lekko udrapowane koronki roślinne i przesłaniających widnokrąg przed okiem podróżnego. Wzdłuż tych skrajów leśnych ciągnie się pas zieleni, okryty kwiatami w ich cieniu.

Środek tych płaskowyżów jest obsiany jęczmieniem, a gdzieś, w jakimś zakątku, dwa, trzy wierzchołki palm lub ciemna, zaokrąglona korona ogromnego drzewa świętojańskiego wskazują miejsce, gdzie rolnik arabski zbudował swoją chatę, otoczoną kilkoma szczepami winnymi, rowem wysadzonym zielonym żywopłotem kaktusów, okrytych kolczastym owocem, i ogródkiem drzew pomarańczowych; rosną tam goździki i lewkonie, którymi jego córki zdobią swoje warkocze. Jeżeli ścieżka przypadkiem zawiodła nas do drzwi tych domków, zatopionych, jak gdyby ludzkie gniazda, w morzu zieleni, na twarzach ich szczęśliwych i pocziwych mieszkańców nie było widać ani zdziwienia, ani niezadowolenia, ani gniewu. Spoglądając z uśmiechem na piękność Julii, pozdrawiali nas pobożnym powitaniem ludzi Wschodu: „Saba el-Keir! Niech ten dzień będzie dla was błogosławiony!” Niektórzy z nich prosili, aby zatrzymać się pod ich palmami i w zależności od swojego stanu posiadania wyносили kobierzec lub matę, ofiarując nam owoce, mleko i kwiaty ze swoich ogro-

## JERYCHO

dów. Kilkakrotnie przyjęliśmy ich dary, przyrzekając, że do nich wrócimy i przyniesiemy im nawzajem coś pochodzącego z Europy. Ale ich uprzejmość i gościnność były całkiem bezinteresowne. Lubią Franków, którzy umieją leczyć wszystkie choroby, znają właściwości wszystkich roślin i oddają cześć temu samemu co i oni Bogu.

Z jednego płaskowyżu wjechaliśmy na drugi; takie same widoki, takie same obramowanie drzew, taka sama mozaika roślinności na gruncie, który opasują drzewa; tylko w miarę jak wjeżdżaliśmy z płaskowyżu na płaskowyż, coraz to rozszerzał się wspaniały widnokrąg; niżej położone płaskowyże rozciągały się jak różnobarwna warcabnica, a żywopłoty, które z wysoka, z odległości wydawały się gęstsze i bardziej skupione, tworzyły jak gdyby lasy i czarne plamy. Jechaliśmy wciąż tymi płaskowyżami, ze wzgórze na wzgórze, zstępując czasem w oddzielające je doliny, tysiąckrotnie bardziej zacienione i jeszcze bardziej urocze niż wzgórze; wszystkie były osłonięte szpalerami drzew, które rosły na wznoszących się nad nimi tarasach, wszystkie tonęły w morzu wonnej roślinności, lecz przez wąski prześwit u krańca każdej z nich widać było równinę i morze. Ponieważ owe doliny były położone wyżej, co sprawiało, że ciągnąca się przed nimi równina nie była widoczna, więc wydawało się, że wychodzą wprost na wybrzeże; drzewa w nich rosące rysowały się czarno na tle błękitnego morza i nieraz, siedząc pod palmą, widzieliśmy, jak żagle statków, w istocie oddalone od nas o cztery, pięć mil, przesuwały się z wolna między dwoma drzewami, jak gdyby owe statki płynęły po jeziorze, którego te doliny były wybrzeżem.

Traf zawiódł nas na koniec do miejsca, skąd widać było najwspanialszy i najbardziej uroczy z owych krajobrazów. Często będę tu wracał.

Jest to jedna z najwyższych położonych dolin, biegnąca ze wschodu na zachód, otoczona łańcuchami ostatniego łańcucha wzgórz, które górują nad wielką doliną, gdzie płynie Nahr Bejrut. Niepodobna opisać przepysznej roślinności, co okrywa koryto i brzegi tej rzeki; choć z obu stron owe brzegi są skaliste, spowija je tyle porostów rozmaitego gatunku, ścieka z nich, kropla po kropli, tyle wilgoci, obrasta je tyle wrzosów, paproci, wonnych ziół, pnączów, bluszczu i rozmaitych krzewów, zakorzenionych w niedostrzegalnych szczelinach, że nie ma wątpliwości, iż to owe skały właśnie wydają taką obfitą roślinność. Jest to gęsto nabitą kobiercem na stopę lub dwie gruby, istny aksamit zwartej roślin-

ności o rozmaitych odcieniach i barwach, obsiany kępami nieznanych kwiatów — o tysiącznych kształtach i tysiącznych woniach — które śpią nieruchome, jak kwiaty malowane na obiciach w naszych salonach, lub kiedy powieje nad nimi nadmorski wiatr, podnoszą się wraz z krzewami i gałązkami, wymykają się spomiędzy nich niby sierść zwierzęcia głaskanego pod włos i mienia się wszelkimi barwami, podobne do rzeki zieleni i kwiatów toczącej swoje wonne wody. Unoszą się wówczas nad nimi opary upajających zapachów, roje owadów o kolorowych skrzydłach i nieprzeliczone ptaki, które siadają na pobliskich drzewach; powietrze rozbrzmiewa ich głosami, brzęczeniem rojów os i pszczoł i owym głuchym szmerem ziemi o wiośnie, który ludzie może słusznie biorą za szmer tysiąca roślin wzrastających na jej powierzchni. Krople nocnej rosy opadają z każdego liścia, lśnią na każdym źdźble trawy i przydają chłodu tej małej dolinie, w miarę jak słońce wznosi się coraz wyżej, a jego promienie zaczynają przesuwac się nad wysokimi wierzchołkami drzew i skał ją otaczających.

Tu, na kamieniu, na skraju grotu, w której, posłyszawszy nasze kroki, skryły się dwie gazy, zjedliśmy śniadanie. Staraliśmy się niczym nie naruszać schronienia owych prześlicznych stworzeń, które są dla tych pustkowi tym, czym owce dla naszych łąk, a oswojone gołębie dla dachów lub podwórzy naszych chat.

Całą dolinę okrywały ruchome zasłony liści, mchów, roślinności; oo krok wydawaliśmy okrzyki zdumienia; nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek widział w przyrodzie tyle życia nagromadzonego i wypełniającego tak niewielką przestrzeń. Przeszliśmy przez całą dolinę aż do jej kresu, siadając niekiedy, gdzie był większy cień, i tu i ówdzie dotykając trawy, aby strząsnąć krople rosy i sprawić, aby uleciały z niej kłęby woni oraz chmary owadów, które jak złoty pył wznosiły się z jej łona. Jak wielki jest Bóg! Jak głębokie, bezdenne musi być źródło, z którego wypływają te wszystkie istnienia, piękności i dobrodziejstwa! Jeżeli w jednym małym zakątku przyrody tyle jest do oglądania, uwielbienia, podziwiania, cóż to będzie, kiedy uniesie się przed nami, zasłona światów, a my obejmiemy spojrzeniem całość owego bezkresnego dzieła! Niepodobna patrzeć i rozmyślać i nie być olśnionym ową wewnętrzną oczywistością, w której odzwierciedla się idea Boga. Cała przyroda jest zasypana lśniącymi odłamkami tego zwierciadła, w którym widnieje Bóg.

Kiedy dotarliśmy do zachodniego kresu doliny, ujrzelśmy więcej nieba; ściany jej zniżały się, a dno, po którym szliśmy, stało

się bardziej spadziste; wierzchołki Libanu, lśniące od śniegu, wznosiły się na tle mieniającego się od skwarnych oparów nieba; od tych odwiecznych śniegów zwróciliśmy spojrzenie ku czarnym plamom sosen, cyprysów i cedrów, potem skierowaliśmy wzrok ku głębokim wąwozom, gdzie cień spoczywa niby w swoim gnieździe; wreszcie spojrzeliśmy na owe złotawe szczyty skalne, u których podnóża rozciągają się wyżyny zamieszkałe przez Maroni-tów i wioski Druzów; wszystko kończy się pasmem lasów oliwnych, które giną na skrajach równiny. Owa równina, rozciągająca się między wzgórzami, na których byliśmy, i podnóżem Libanu, ma może milę szerokości. Ponieważ jest kręta, można sięgnąć spojrzeniem w jej głąb na jakie dwie mile, resztę przesłaniają wzgórza, pokryte czarnym sosnowym lasem.

Nahr Bejrut, czyli rzeka Bejrutu, która wypływa o kilka mil stąd z jednego z najgłębszych i najbardziej skalistych wąwozów Libanu, dzieli równinę na dwie części. Wdzięcznie płynący nurt wypełnia niemal po brzegi koryto zarosłe sitowiem, przypominającym trzcinę cukrową, albo też rozlewa się po zielonych błoniach czy pod drzewami mastykowymi, tworząc gdzieś na równinie jak gdyby małe lśniące jeziora. Wzdłuż brzegów pokrytych zielenią widzieliśmy stada koni, kóz, osłów, czarnych bawołów i białych krów; arabscy pasterze przechodzili rzekę w bród na grzbietach swoich wielbłądów. Nieco dalej, na najbliższych położonych urwiskach, widać było zakonników maronickich w długich, czarnych habitach z kapturami, orzących spokojnie swoje pola pod cieniem drzew oliwnych. Niekiedy rozlegał się odgłos dzwonu klasztornego, który wzywał ich do modlitwy. Wówczas zatrzymywali woły, opierali kostur o rękonożę pługa i klęcząc modlili się przez kilka chwil, a ich sprzężaj tymczasem wypoczywał.

Kiedy idąc dalej zaczęliśmy schodzić ku rzece, ujrzyliśmy nagle morze, zasłonięte dotychczas ścianami doliny, i szerokie ujście Nahr Bejrut, która w nim ginęła. Niedaleko tego ujścia widać przerzucony przez rzekę niemal zupełnie zrujnowany most rzymski, bez poręczy i na bardzo wysokich arkadach; w tej chwili właśnie ciągnęła nim długa karawana, idąca z Damaszku do Aleppo; widzieliśmy ukazujących się po kolei wszystkich jej uczestników, jednych na dromaderach, innych na koniach, jak wyłaniaли się z trzcin osłaniających przyczółek mostu, z wolna wjeżdżali na wierzchołek arkad, gdzie przez chwilę, wraz z uprzążą i jaskrawym, dziwacznym strojem, widać ich było na błękitnym tle nieba, jak potem zjeżdżali ze szczytu tych ruin i z długim



szeregiem swoich osłów i wielbłądów znikali w gąszczu sitowia, oleandrów i platanów, ocieniających przeciwny brzeg rzeki.

Nieco dalej ukazywali się znowu na piaszczystym wybrzeżu, a wysokie fale toczyły swoją pianę aż pod strzemią jeźdźców. Wreszcie skryły ich całkiem ogromne, pionowe skały, które, wchodząc w morze, zamykały widok z tej strony. Morze u ujścia rzeki było dwubarwne: w dali błękitne, zielonawe i lśniące migotliwymi diamentami, żółte i ciemne zaś w tym miejscu, gdzie nurt rzeczny natrafiał na fale przyływu i barwił je złocistym piaskiem, który bezustannie z sobą toczył. Siedemnaście statków stojących na kotwicy w tej zatoce ciężko kołysało się na ogromnych falach, które wciąż się po niej przelewają, a ich maszty wznosiły się lub opadały jak wysokie trzciny poruszane wiatrem. Maszty niektórych statków były obnażone jak drzewa zimą; inne znów, z rozwiniętymi, aby wyschły w słońcu, żaglami, przypominały owe wielkie białe ptaki morskie, które unoszą się w powietrzu, że nie widać ruchu ich skrzydeł. Zatoka, bardziej jaśniejsza niż niebo nad nią, odbijała część śnieżnych szczytów Libanu i wznoszące się na wysuniętych w nią cyplach klasztorów o blankowanych murach. Kilka łodzi rybackich przepłynęło z rozpiętymi żaglami i szukało schronienia na rzece. Dolina pod naszymi stopami opadająca ku równinie, rzeka pod ogromnymi arkadami, morze ze swoimi małymi zatoczkami pośród skał, olbrzymia bryła Libanu z jej nieprzelicznymi nierównościami, piramidy śniegów, co jak srebrne ostrokręgi wbijały się w głąb nieba, gdzie oko szukało ich niby gwiazd, niedostrzalny prawie brzęk owadów wokół nas, śpiew tysiąca ptaków wśród drzew, ryk bawołów lub prawie ludzkie skargi wielbłądów idących w karawanie, głuchy, miarowy łoskot ogromnych fal, rozbijających się na piasku u ujścia rzeki, bezkresny horyzont Morza Śródziemnego, widok spowitego zielenią, krętego biegu Nahr Bejrut na prawo, wznoszący się przed nami olbrzymi, blankowany mur Libanu, jaśniejsza blaskiem kupa pogodnego nieba, poprzecinana jedynie szczytami gór lub stożkowatymi koronami wielkich drzew, ciepło, woń powietrza, w którym wszystko zdawało się unosić niby odbicie w przezroczystej wodzie któregoś z jezior szwajcarskich: wszystkie te widoki, odgłosy, cienie, cały ten blask, wszystkie te wrażenia tworzyły tu najwspanialszy i najbardziej powabny krajobraz, jakim kiedykolwiek napawały się moje oczy. Cóż więc powiedzieć o wrażeniu, które ów widok wywarł na Julii! Wzruszona do głębi, promieniejąca zachwytem, drżała z przejęcia i wewnętrznej radości; ja zaś pragnąłem, aby takie właśnie obrazy

głęboko zapadały w jej dziecięcą wyobraźnię. Bóg lepiej się w nich objawia niż w wersetach katechizmu: ukazuje się w nich w rysach godnych Siebie; najwyższa piękność, bezmierna dobroć doskonałej przyrody objawiają Go duszy dziecięcej takim, jakim jest; ta fizyczna, materialna piękność przedstawia się jej w uczuciu piękna duchowego. Aby natchnąć artystę instynktem piękna, ukazuje się mu posągi greckie; młodocianej duszy trzeba pokazywać wzniosłe i piękne widoki natury, aby obraz jej Stwórcy, który sobie utworzy, był godny owej duszy i Jego.

Dosiedliśmy koni u stóp wzgórza na równinie, nad brzegiem rzeki; przejechaliśmy przez most, wdarliśmy się na kilka lesistych pagórków Libanu, aż do pierwszego klasztoru, który wznosił się jak twierdza na granitowej podstawie. Zakonnicy wiedzieli o mnie z doniesień Arabów i przyjęli w klasztorze. Zwiedziłem cele, refektarz, kaplice. Wracający z pola zakonnicy na rozległym dziedzińcu wyprzęgali woły i bawoły: ów dziedziniec przypominał podwórze jakiegoś wielkiego folwarku: był pełen pługów, bydła, drobiu i wszelkich narzędzi życia wiejskiego. Praca odbywała się bez zgłębku, bez krzyku, lecz bez przymuszonego milczenia, tak jak wykonują ją ludzie ożywieni wrodzoną rzetelnością, a nie rządzeni jakąś surową i niewzruszoną ustawą. Twarze tych ludzi były łagodne, pogodne, tchnęły spokojem i zadowoleniem: wyglądali jak gromada rolników.

Gdy wybiła godzina wieczerzy, weszli do refektarza nie wszyscy razem, lecz pojedynczo lub po dwóch, stosownie do tego, czy kto prędzej lub później ukończył robotę, którą się właśnie' zajmował. Wieczera ta składała się, jak zwykle, z dwóch, trzech placekó ususzonych raczej niż upieczonych na gorącym kamieniu, z wody i z pięciu oliwek usmażonych w oliwie; czasem dodają do tego trochę sera lub kwaśnego mleka: oto całe pożywienie tych zakonników; jedzą stojąc lub siedząc na ziemi. Nie znają żadnych sprzętów naszych okolic. Towarzyszyliśmy ich wieczerzy, zjedliśmy nawet kawałek ich placka i wypili szklanekę wybornego wina libańskiego, które przeor kazał dla nas przynieść; zwiedziliśmy kilka ich cel: wszystkie są jednakowe. Izdebka o powierzchni pięciu, sześciu stóp kwadratowych, z matą z sitowia i kobiercem za całe umeblowanie; kilka obrazów świętych zawieszonych na ścianach, Biblia arabska, kilka rękopisów syryjskich, oto wszystkie ozdoby. Długi wewnętrzny korytarz pokryty słomą prowadzi do tych wszystkich izb.

Widok z okien klasztoru i prawie ze wszystkich tych klasztorów jest zachwycający: wzrok pada na stoki Libanu, na równinę

i rzekę Bejrut, na napowietrzne kopuły lasów sosnowych, odcinających się na czerwonym widnokregu piaszczystej pustyni, dalej morze ze swoimi przylądkami, zatokami, przystaniami, skałami i białymi żaglami statków przecinających je w rozmaitych kierunkach, oto widnokraj, który zakonnicy wciąż mają przed oczyma. Ofiarowali nam mnóstwo podarków w postaci suszonych owoców i bukłaków napełnionych winem, które zawieszono na osłach; pożegnaliśmy ich, wracając inną drogą do Bejrutu. Później jeszcze o nich powiem.

Zjechaliśmy po urwistych stopniach, wykutych w oderwanych bryłach złotego, kruchego piaskowca, który pokrywa podgórze Libanu. Między tymi bryłami wije się ścieżka; w rozpadlinach skał zakorzeniło się kilka krzaków i kilka pęków traw. Są tu prześliczne kwiaty, podobne do naszych tulipanów, ale znacznie okazalsze. Spłoszyliśmy kilka gazeli i kilka szakali, które kryją się w zagłębieniach między tymi skałami. Mnóstwo kuropatw, przepiórek, bekasów wleciało przestraszone tętentem kopyt naszych koni.

Wjeżdżając na równinę, ujrzeliśmy znowu winnice, pola obsiane jęczmieniem, palmy; przejechaliśmy ją prawie do połowy wśród tej bujnej roślinności i wkrótce znaleźliśmy się u stóp wielkiego wzgórza, pokrytego lasem piniowym z rozległymi polanami, na których z dala widać było stada wielbłądów i kóz. To wzgórze przesłaniało nam Nahr Bejrut, którą chcieliśmy przebyć w jej części południowej. Wjechaliśmy pod wysokie sklepienia tych pięknych pini i ledwie po kwadransie drogi pod ich cieniem usłyszeliśmy nagle wielką wrzawę, tupot mnóstwa mężczyzn, kobiet i dzieci biegnących ku nam, odgłos bębna, dźwięki kobzy i piszczałki. W jednej chwili otoczyło nas pięciuset, sześciuset Arabów o dziwnej powierzchowności. Naczelnicy we wspaniałych, lecz brudnych i podartych strojach zbliżyli się ku nam, poprzedzając muzykę, skłonili się i wypowiedzieli słowa powitań, z pozoru pełne wielkiego szacunku, których jednak nie zdołaliśmy pojąć. Ich gesty i wrzaski w połączeniu z gestami i wrzaskami całego plemienia dopomogły nam do zrozumienia słów. Zapraszali nas i jak gdyby zmuszali, aby udać się za nimi w głąb lasu, gdzie znajdował się ich obóz: było to jedno z plemion Kurdów, którzy wioząc z sobą swoje rodziny i trzody, przybywają tu z sąsiednich prowincji Persji, aby przezimować na równinach Mezopotamii, w okolicach Damaszku albo też w innych krainach Syrii. Opanowują jakiś las, jakąś opuszczoną równinę lub wzgórze i osiedlają się tam na pięć, sześć miesięcy. Są znacznie bar-

dziej dzicy niż Arabowie, a ich wypadki i sąsiedztwo budzą powszechną trwogę; są to zbrojni Cyganie Wschodu.

Otoczeni tą zgrają mężczyzn, kobiet i dzieci, kilka chwil jechaliśmy przy odgłosie ich barbarzyńskiej muzyki i wśród okrzyków ciszy, która spoglądała na nas z ciekawością na poły drwiącą, na poły okrutną. Wkrótce znaleźliśmy się w obozie, przed wejściem do namiotu jednego z szejków tego plemienia. Dopomogli nam zsiąść z koni, które, nie szczędząc im pochwał, oddali pod opiekę kilku młodych Kurdów, przynieśli nam kobierce karamańskie, na których usiedliśmy pod drzewem. Niewolnicy szejka podali nam fajki i kawę; kobiety z namiotu przyniosły dla Julii wielbłądziego mleka. Widok tego obozu koczujących barbarzyńców wśród gęstego lasu sosnowego zasługuje na opisanie.

Las w tym miejscu był rzadki i poprzecinany obszernymi polanami. Pod każdym drzewem stał namiot jednej rodziny: były to przeważnie czarne płachty utkane z koziej wełny, przywiązane sznurem do pnia, a z przeciwnej strony podparte dwiema żerdziami wetkniętymi w ziemię: płachta często nie okrywała całej przestrzeni zajmowanej przez rodzinę, zwykle tylko jej strzep opuszczano od strony wiatru lub słońca i ten osłaniał miejsce pod namiotem i płomień ogniska. Nie widać tam było żadnych sprzętów, jedynie dzbanki z czarniawej gliny, którymi kobiety czerpały wodę, kilka bukłaków z koziej skóry, płaszcze i długie strzelby pozawieszane pękami na gałęziach drzew, maty, kobierce i kilka męskich lub kobiecych ubiorów tu i ówdzie porzucanych na ziemi. Niektórzy z tych Kurdów mieli po dwie, trzy kwadratowe, z czerwono pomalowanego drzewa skrzynie do przechowywania rzeczy, zdobne we wzory z gwoździ o złotych główkach. Zauważyłem, że na całe to plemię przypadały dwa, trzy konie. Przeważnie rodziny miały tylko po jednym wielbłądzie, który, przeżuając, leżał obok namiotu ze swoją rozumną, wyniosłą głową, wyprostowaną i wyciągniętą ku wejściu do namiotu, kilka dorodnych kóz z długą jedwabistą sierścią, ze zwisającymi uszami, kilka owiec i bawołów; prócz tego każdy prawie miał jednego lub parę prześlicznych chartów, dorodnych i białych. Psy, inaczej niż to zwykle bywa u mahometan, były tłuste i starannie utrzymane: zdawały się znać swoich panów, z czego wnoszę, że te plemiona używały ich do polowania.

Szejkowie, jak się zdaje, samowładnie rządzą całym plemieniem i najmniejszy ich znak przywracał porządek i ciszę, które zakłóciła pogłoska o naszym przybyciu; kilkoro dzieci przez cie-

kawość okazało się nieco względem nas natrętnymi; natychmiast kazali je pochwytać ludziom nas otaczającym i odpędzić daleko, w inną stronę obozu. Mężczyźni byli przeważnie wysocy, silni, dorodni i dobrze zbudowani; ich odzież nie świadczyła o ubóstwie, lecz o zaniedbaniu. Wielu z nich miało na sobie jedwabne kaftany, przetykane złotem lub srebrem, i niebieskie jedwabne płaszcze podbite kosztownymi futrami. Broń ich odznaczała się zarówno cyzelunkiem, jak srebrnymi inkrustacjami, które ją zdobiły. Kobiety chodziły swobodnie, bez zasłon, były nawet do połowy obnażone, zwłaszcza dziewczęta w wieku od dziesięciu do piętnastu lat. Cały ich ubiór stanowiły fałdziste szarawary, spod których widniały gołe nogi i stopy; każda z nich nosiła nad kostką srebrne bransolety. Górną część ciała osłaniała koszula bawełniana lub jedwabna, przewiązana paskiem i nie zakrywająca ani piersi, ani szyi. Włosy, zwykle bardzo czarne, spletały w długie warkocze, zwisające aż do pięt i ozdobione nawleczonymi na sznurki monetami; piersi i boki okrywały podobną do węzowej łuski siatką z ponawlekanych piastrow, które brzęczały za każdym ich krokiem. Owe kobiety, inaczej niż Arabki syryjskie, nie odznaczały się ani wzrostem, ani białą cerą, ani skromnością, ani wdziękiem; ale nie cechowała ich też owa dzikość i lęk, które wyrażają twarze Beduinek: przeważnie wszystkie były małe, szczupłe, ogorzałe od słońca, lecz wesołe, żywe, figlarne, zwinne; tańczyły i śpiewały przy dźwiękach muzyki, której żwawe, dziarskie melodie rozlegały się nieustannie. Nasze spojrzenia nie przyprawiały ich bynajmniej o zmieszanie, nie wstydziły się swojej niemal całkowitej nagości względem mężczyzn swojego plemienia; mężczyźni jak gdyby nie mieli nad nimi władzy; ograniczali się do wyśmiewania ich natrętnej wobec nas ciekawości i żartując, odpychali je łagodnie. Niektóre z dziewcząt były prześliczne i pełne pikanterii; brzegi powiek swoich czarnych oczu malowały henną, co bardzo ożywiało ich spojrzenia. Nogi i ręce miały również pomalowane na kolor mahoni, białe jak kość słoniowa zęby odcinały się swoim blaskiem od błękitnie pokropkowanych warg i ogorzałych twarzy, nadając im i ich uśmiechowi cechę dzikości, ale nie okrucieństwa; były podobne do młodych mieszkanek Prowansji lub Neapolu, tyle, że czoła nosiły wyżej, ruchy miały swobodniejsze, uśmiech szerszy, a zachowanie bardziej naturalne. Ich wygląd głęboko zapada w pamięć, bo takich postaci nie napotyka się powtórnie.

Było wokół nas ze stu, dwustu członków tego plemienia; przypatrzysz się ich obozowi, ich postaciom i zatrudnieniom, da-

liśmy znak, że chcemy dosiąć koni. Natychmiast je nam przyprowadzono: ponieważ były przestraszone niezwykłym widokiem, okrzykami tej tłuszczy i brzękiem tamburynów, szejk kazał dwóm swoim kobietom zanieść Julię aż na skraj lasu, dokąd całe plemię nas odprowadziło. Dosiedliśmy koni; ofiarowali nam kozę i młodego wielbłąda; nie przyjęliśmy tych darów, natomiast daliśmy im garść piastrów tureckich, którymi podzieliły się dziewczęta, aby je poprzyczepiać do swoich naszyjników, i dwa gazzis złote dla kobiet szejka. Niedaleko lasu natrafiliśmy znów na rzekę, przebyliśmy ją w bród; pod oleandrami rosnącymi na jej brzegu spotkaliśmy jeszcze ze sto młodych dziewcząt z plemienia Kurdów, które wracały z Bejrutu, dokąd chodziły, aby kupić dzbanki gliniane i kilka sztuk materii dla narzeczonej z ich plemienia; zatrzymały się tu i tańczyły w cieniu, a każda trzymała jeden z nabytych sprzętów gospodarskich lub sztukę materii przeznaczoną dla ich towarzyszek; długo szły za nami, wydając dzikie okrzyki oraz czepiając się sukni Julii i grzyw naszych koni, aby otrzymać kilka monet; cisnęliśmy je im; odbiegły nas i wszystkie ruszyły ku rzece, aby dostać się do obozu.

Przebywszy Nahr Bejrut i drugą połowę równiny uprawnej i ocienionej młodymi palmami oraz sosnami, wjechaliśmy na wzgórze czerwonego piasku położone na wschód od Bejrutu, między morzem i doliną rzeki: jest to część Pustyni Egipskiej, rozciągająca się u stóp Libanu i otoczona najwspanialszymi oazami; piasek tych wzgórz jest tak czerwony jak ugier, a tak drobny jak jakiś niedostrzegalny pył; Arabowie utrzymują, że tej pustyni czerwonego piasku nie naniósł ani wiatry, ani fale, ale że ją wyzionął podziemny potok, łączący się z pustyniami wokół Gazy i El-Arisz; twierdzą, że jak są źródła wody, są też źródła piasku; na poparcie tego twierdzenia wskazują, że piasek morski swoją barwą i kształtem w istocie w niczym nie przypomina piasku pustyni. Ich barwy są tak odmienne jak barwy odłamków w kamieniołomach granitu i marmuru. Jakkolwiek by to było, piasek ten, czy to wyrzucony podziemnymi rzekami, czy naniesiony gwałtownymi wiatrami zimowymi, zalega tam warstwami o pięciu, sześciu milach obwodu, tworzy góry i doliny, które zmieniają kształt podczas każdej burzy. Po krótkiej nawet jeździe pośród tych pofałdowanych bezdroży nikt nie zdoła oznaczyć miejsca, gdzie się znajduje; wzgórze piasku ze wszystkich stron przesłaniają widnokraj; na powierzchni tych wydm nie widać jakiegokolwiek ścieżki; koń i wielbłąd przechodzą po nich, zostawiając nie więcej śladu niż łódź na wodzie; najlżejszy po-

## JERYCHO

wiew zaciera wszystko. Niektóre z owych wydm były tak strome, że konie ledwo mogły się na nie wspiąć, i jechaliśmy z wielką ostrożnością w obawie, aby nie zapaść się w jedną z licznych rozpadlin w tym piaszczystym morzu; nie widać tu ani śladu roślinności prócz kilku toczących się niekiedy spod kopyt końskich wielkich cebul jakichś cebulkowatych roślin. Widok tych ruchomych pustkowi jest smutny i ponury: to nawałnica bez łoskotu piorunów, ale ze wszystkimi właściwymi jej obrazami śmierci.

Kiedy zrywa się samum, wiatr pustyni, wydmy wznoszą się jak fale morskie i w ciszy zapadając znowu w głębokie doliny, wciągają w nie wraz z sobą wielbłądy karawan; co roku przesuwiają się o kilka kroków na otaczające je uprawne części gleby, na których obrzeżach widać zeschłe wierzchołki palm lub drzew figowych, wystające nad ich powierzchnią niby maszty zatopionych statków. Pośród ciszy słyszeliśmy tylko daleki, głuchy huk fal, które o milę od nas rozbijały się na skałach; zachodzące słońce nadawało wierzchołkom tych gór czerwonego pyłu barwę przypominającą rozpalone żelazo, gdy wydobywa się je z pieca, lub przeslizgując się po dolinach zalewało je ogniem, upodabniając je do dróg wiodących ku jakiejś płonącej budowli. Kiedy docieraliśmy na wierzchołek którejś z tych wydm, ukazywały się nam czasem białe szczyty Libanu albo morze, znaczące pasmem piany długie, kręte wybrzeża zatoki Saïdy; potem znowu zapadaliśmy nagle w piaszczyste doliny i nie widzieliśmy nad sobą nic prócz nieba.

Jechałem za Julią, która często zwracała ku mnie swoją piękną twarz, zarumienioną wzruszeniem i znojem, a ja czytałem w jej oczach, co spoglądały na mnie jak gdyby pytająco, wrażenia, w których lęk mieszał się z uniesieniem i radością. Szum morza stawał się coraz donośniejszy i zwiastował niedalekie wybrzeże; zobaczyliśmy je nagle, wysokie, strome, tuż u nóg naszych koni: na dwieście stóp co najmniej wznosiło się nad Morzem Śródziemnym; twardy grunt, od którego, choć przesłaniała go jeszcze cienka warstwa białego piasku, odbijał się odgłos kopyt naszych koni, świadczył, że z piaszczystych wydm wjechaliśmy na skałę: w istocie, całe wybrzeże Syrii jest skaliste. Znaleźliśmy się przypadkiem w jednym z tych miejsc owego wybrzeża, gdzie walka kamienia i wody daje sposobność oglądania niezwyklego widowiska: niestannie uderzające tu fale czy też wstrząsy ziemi sprawiły, że ogromne bryły skalne oderwały się od masywu wybrzeża, stoczyły w morze, utkwily w nim i, ścierane, gładzone, omywane od wieków przez wodę, przybra-

## JERYCHO

ły najdziwaczniejsze kształty. Mieliśmy przed sobą, o jakie sto stóp, jedną z tych skał, która, stojąc pionowo, wynurzała się z morza, a jej wierzchołek wznosił się ponad poziomem wybrzeża; fale, uderzając w nią nieustannie, rozszczepiły ją pośrodku, tworząc gigantyczną arkadę, której otwór przypominał rozpiętość jakiegoś łuku triumfalnego; wewnętrzne ściany tej arkady były gładkie i lśniące jak marmur kararyjski; gdy fale cofały się, widać było, jak owe ściany ociekają pianą, która opadała wraz z odpływem; następnie, wraz z przyływem, powracające fale z łoskotem piorunu wpadały w otwór arkady, wypełniając go aż po sklepienie, i pod własnym gwałtownym naporem rozpryskiwały się znowu w potokach piany, co niby wściekle języki wznosiły się aż po wierzchołek skały i spadały na kształt grzyw i wodnego pyłu. Za każdym takim przyływem nasze konie drżały z przerażenia, a my nie mogliśmy oderwać oczu od tej walki dwóch żywiołów. Owe wspaniałe twory skalne, stanowiące istny wybryk natury, widać wzdłuż wybrzeża ciągnącego się na przestrzeni, którą przebywa się w jakie pół godziny: są tu jak gdyby blankowane wieże, całe pokryte gniazdami mew, naturalne, łączące brzeg ze skałami mosty, spod których słychać łoskot nadbiegających tam fal; gdzie indziej znów ze szczelin skał przedziurawionych naporem wody piana morska tryskała nam pod stopy niczym z fontanny; woda ogromnym słupem wznosiła się na kilka stóp nad ziemią, po czym, wraz z odpływem, szmerząc wracała w swoje przepaści. W owej chwili morze było wzburzone; fale wznosiły się niczym ogromne, wysokie, błękitne wzgórza, a gdy zbliżały się do skał, ich wierzchołki stawały się całkiem przejrzyste; uderzały o skalisty brzeg z takim łoskotem, że rzeka drżała w oddali, a nam się zdawało, że morska arkada, na którą patrzyliśmy, chwieje się w swoich posadach.

Po przebyciu milczących, przeraźliwych pustkowi bezkresny widok niezmiernego morza, na którym nie unosił się ani jeden statek, o wieczornej porze, gdy jego otchłanie zaczynały ciemnieć w pierwszym zmierzchu, gigantyczne załomy wybrzeży, łoskot fal toczących ogromne skały z taką łatwością, z jaką ptak przesuwają nóżką żdźbło piasku, podmuchy wiatru owiewającego nam czoła i wichrzącego grzywy koniom, głuche odgłosy, spotęgowane podziemnym echem, wszystko to wywołało w naszych duszach wrażenia tak różnorodne, majestatyczne i silne, że nie mogliśmy przemówić słowa, a w oczach Julii zabłyśły łzy wzruszenia.

Milcząc wróciliśmy na pustynię czerwonego piasku; przebyli-



## JERYCHO

śmy ją w jej najwęższej części, zbliżając się ku wzgórzom Bejrutu, i o zachodzie słońca znaleźliśmy się znowu w wielkim sosnowym lesie emira Fahr ad-Dina. Tutaj Julia, odzyskując dar mowy, zwróciła się ku mnie i-rzekła z upojeniem: „Prawda, że odbyłam najpiękniejszą przejażdżkę, jaką można odbyć na świecie? Och! jak wielki jest Bóg i jaki dla mnie dobry — dodała — że pozwolił mi w tak młodym wieku podziwiać tak piękne rzeczy!”

Noc była, kiedy przed domem zsiadliśmy z koni; mieliśmy zamiar odbyć jeszcze inne wycieczki, nim odjedziemy do Damaszku.

# Ludy Libanu

## MARONICI

Wokół kolebki Maronitów<sup>1</sup> o których zamierzam mówić, zalega mrok. Dzieje, tak niepełne i tak bajeczne, jak wszystko, co dotyczy pierwszych wieków naszej ery, osłaniają mgłą niepewności, cokolwiek ma związek z ich pochodzeniem. Książek mają niewiele, są to źródła bezkrytyczne i niesprawdzalne; ponieważ jednak należy zawsze brać pod uwagę to, co każdy lud sam mówi o sobie, licząc się z tym bardziej niż z wątpliwymi wynikami badań podróżników, powtórzę tu to, co przynoszą ich własne opowieści. Pewien świętobliwy pustelnik imieniem Maron żył około roku 400.<sup>2</sup> Wspominają o nim Teodoryk i święty Chryzostom.<sup>3</sup> Maron osiedlił się na pustyni, a uczniowie jego, rozbiegłszy się w różne okolice Syrii, wybudowali tam wiele klasztorów; najznacniejszy był w okolicach Apamei, nad żyznymi brzegami Orontu. Wszyscy chrześcijanie syryjscy, nie dotknięci wówczas herezją monoteletryzmu<sup>4</sup>, schronili się do tych klasztorów i to sprawiło, że otrzymali nazwę Maronitów. Volney, który przez kilka miesięcy przebywał między nimi, zebrał najdokładniejsze wiadomości o ich pochodzeniu<sup>5</sup>; są one zbliżone do tych, które sam zebrałem z miejscowych podań. Jakkolwiek by to było, Maronici stanowią dziś lud pozostający pod najbardziej prawowiernymi rządami teokratycznymi, jakie przetrwały aż do naszych czasów: rządy te, którym nieustannie zagrażała tyrania muzułmanów, były niejako zmuszone do umiarkowania i opiekuństwa, co sprawiło, że pośród tego ludu powstały zarodki swobód świeckich. Naród Maronitów, który według Volneya, w roku 1784 liczył sto dwadzieścia tysięcy dusz, dziś liczy ich przeszło dwieście tysięcy i z każdym dniem się powiększa.<sup>6</sup> Ich terytorium ma sto pięćdziesiąt mil kwadratowych, lecz jego granice nie są dokładnie oznaczone; obejmuje zbocza Libanu, otaczające go doliny lub równiny, w miarę jak gromady tej ludności zakładają nowe wioski. Miasto Zahle, u wylotu doliny Bekaa, naprze-

ciw Baalbeku, które przed dwudziestoma laty liczyło zaledwie tysiąc, tysiąc dwieście mieszkańców, dziś ma ich dziesięć, dwanaście tysięcy, a ta liczba wciąż wzrasta.

Maronici podlegają władzy emira Baszyra i wraz z Druzami oraz Metualisami tworzą rodzaj konfederacji pod despotycznymi jego rządami. Choć członkowie tych trzech narodów różnią się pochodzeniem, religią i obyczajami, choć nie mieszkają prawie nigdy w tych samych wsiach, łączy ich potrzeba obrony wspólnej niezawisłości oraz siła wojskowa i polityczna emira Baszyra. Ich liczne siedziby zajmują przestrzeń między Latakiją i Akką-z jednej, a Damaszkiem i Bejrutem z drugiej strony. Wspomnę tu osobno kilka słów o Druzach i Metualisach.

Maronici zajmują doliny położone w samym środku kraju i najwyższe łańcuchy głównej grupy Libanu, od okolic Bejrutu aż do Trypolisu w Syrii. Stoki tych gór, zniżające się ku morzu, są żyzne, nawodnione wieloma rzekami i nieprzebranymi wodospadami; hoduje się tam jedwabniki, zbiera oliwki, jęczmień i zboże; wierzchołki ich są prawie nieprzystępne, a na zboczach wszędzie widać skały, lecz niestrudzona pracowitość tego ludu, który zdołał zachować swoją wiarę jedynie za osłoną tych szczytów i przepaści, potrafił użyźnić nawet skały, opasać murami z ich odłamków tarasy wznoszące się piętrowo aż ku najwyższym grzbietom, gdzie leży wieczny śnieg, na te tarasy narzucić nieco żyznej ziemi, którą rzeki nanoszą w doliny, rozkruszyć nawet kamień i aby uczynić ów pył żyznym, zmieszać go z tą odrobiną ziemi, zamieniając cały Liban w jeden ogród, w którym rosną morwy, drzewa figowe, oliwki i zboże. Podróżny nie może wprost otrząsnąć się ze zdumienia, kiedy po całych dniach pokonywania niemal pionowych górskich stoków, stanowiących jedną zwartą bryłę skalną, spostrzeżga , nagle w głębi jakiegoś wysoko położonego wąwozu albo na jakimś płaskowyżu prześliczną wioskę z białego kamienia, z liczną i zamożną ludnością, z pałacem mauretańskim pośrodku, z położonym dalej klasztorem, z potokiem, który toczy swój pienisty nurt u podnóża wioski, a wokół niej krajobraz pełen roślinności i zieleni, gdzie sosny, kasztany i morwy oceniają winnice lub pola kukurydzy i zboża. Wioski te są nieraz zawieszane jedna nad drugą prawie prostopadłe; można cisnąć kamieniem z jednego siola do drugiego, można porozumieć się na głos, gdy tymczasem tyle trzeba przebyć zakrętów i okrążeń, aby na stromym zboczu wytknąć ścieżkę łączącą obie te wioski, tak że droga między nimi trwa godzinę lub dwie.

W każdej z tych wsi jest szejk, rodzaj pana feudalnego, w któ-

rego rękach spoczywa zarząd i sprawiedliwość. Ale ów zarząd i owa sprawiedliwość, wykonywane przez szejków naprędce i tylko w zwykłych wypadkach policyjnych, nie są ani samowładne, ani nieodwołalne. Główny zarząd należy do emira i jego Dywanu. Sprawiedliwość sprawuje częściowo emir, częściowo biskup. Między emirem i władzą kościelną trwa spór dotyczący jurysdykcji. Tylko patriarcha Maronitów rozstrzyga we wszystkich przypadkach, gdy prawo świeckie jest sprzeczne z prawem religijnym, jak na przykład w kwestii małżeństw, dyspens, rozwodów. Księżę musi zachowywać największe względy dla patriarchy i biskupów, gdyż władza duchowieństwa nad umysłami jest ogromna i niezaprzeczalna. Duchowieństwo to składa się z patriarchy, wybranego przez biskupów i zatwierdzonego przez papieża, z przysłanego z Rzymu legata papieskiego, który rezyduje w klasztorze w Anturze lub w Kannobin<sup>7</sup>, z biskupów, z przełożonych klasztorów i z plebanów.<sup>8</sup> Choć Kościół rzymski surowo przestrzega przepisu o celibacie księży w Europie i choć wielu pisarzy katolickich usiłuje w tym przepisie dyscypliny Kościoła dopatrzeć się uzasadnionego dogmatycznie prawa, musiał jednak na Wschodzie dokonać w tym względzie ustępstwa i mimo iż Maronici są gorliwymi i żarliwymi katolikami, ich księża są żonaci. Owa możliwość wstępowania w związki małżeńskie nie rozciąga się ani na zakonników przebywających we wspólnotach, ani na biskupów. Tylko duchowieństwo świeckie i plebani korzystają z tego przywileju. Odosobnienie, w którym żyją kobiety arabskie, patriarchalna prostota tego ludu, a także panujące tu obyczaje sprawiają, że to zwyczajowe prawo uzyskane przez duchowieństwo maronickie nie daje jakichkolwiek powodów do zgorznienia. Nie przeszkadza też w niczym, jakkolwiek zawsze usiłuje się nam wmówić coś wręcz przeciwnego, w zachowaniu czystości obyczajów kapłańskich, nie narusza szacunku, jakim ludność otacza duchownych, ani też nie osłabia zasad spowiedzi, i można oświadczyć z całym przekonaniem, że stan duchowny nigdzie w Europie nie jest tak jak tu nienaganny, tak wyłącznie oddany swojej świętobliwej służbie, tak czcigodny i tak potężny w swoim oddziaływaniu na lud. Jeśliby kto chciał na własne oczy zobaczyć to, co wyobraźnia maluje jako najwcześniejszy okres chrześcijaństwa, jeśliby pragnął ujrzeć prostotę i żarliwość pierwotnej wiary, czystość obyczajów, bezinteresowność i miłosierdzie kapłanów, ich wpływ pełen pobożności i nigdy nie nadużywany, ich przywództwo nic w sobie nie mające z panowania, ich ubóstwo bez żebrania, ich poczucie

godności pozbawione wszelkiej pychy, ich modły, czuwania, trzeźwość, cnotę, własnoręczną pracę, ten niech przybędzie między Maronitów. Najsurowszy wolnomyśliciel nie mógłby znaleźć niczego, co należałoby zmienić w publicznym lub domowym życiu tych duchownych, którzy stanowią wzór dla swojego ludu, są jego doradcami i sługami.

W całym Libanie jest około dwustu klasztorów maronickich rozmaitych reguł. W tych klasztorach przebywa jakie dwadzieścia, dwadzieścia pięć tysięcy zakonników. Nie są to jednak ani bogacze, ani żebracy, ani ciemieźcy, ani krwiopijcy żyjący z pracy ludu. Są to zbory ludzi prostych i pracowitych, którzy, pragnąc poświęcić życie modlitwie i rozmyślaniom, wyrzekają się trosk związanych z posiadaniem rodziny i w jednym z tych u-stroni oddają się Bogu i pracy na roli. Życie ich, jak o tym już mówiłem, jest życiem pracowitego rolnika. Hodują trzody lub jedwabniki, kruszą skały, własnymi rękami stawiając mury podpierające tarasy ich pól, kopią, orzą i zbierają. Klasztory posiadają bardzo mało gruntu i tylu tylko przyjmują zakonników, ilu się z niego może wyżywić. Długo mieszkalem między tym ludem, zwiedziłem wiele tych klasztorów, a nigdy nie słyszałem o jakimkolwiek zgorzeniu, którego powodem byłiby zakonnicy. Nikt na nich nie sarka; każdy klasztor jest tylko ubogim folwarkiem, na którym służą z dobrej woli, za całe wynagrodzenie o-trzymując dach nad głową, pożywienie pustelnika i modlitwy ich Kościoła. Praca użyteczna jest tak spojona z prawami człowieka, jest w takiej mierze warunkiem szczęścia i cnotliwego życia na ziemi, że nie widziałem ani jednego z tych samotników, na którego twarzy nie malowałby się wyraz duchowego spokoju, zadowolenia i zdrowia. Biskupi mają całkowitą władzę nad klasztorami znajdującymi się w obrębie ich jurysdykcji. Okręgi te są bardzo szczupłe. Każda większa wieś ma swojego biskupa.

Maronici, czy to arabskiego, czy syryjskiego pochodzenia, dzielą wszystkie cnoty swojego duchowieństwa i stanowią lud odrębny na całym Wschodzie; można by powiedzieć, że to jakaś osada europejska, którą los rzucił między plemiona pustyni. Wygląd ich jednak przypomina Arabów; mężczyźni są roli, dorodni, ich spojrzenie jest szczerze i śmiałe, uśmiech pełen dowcipu i łagodności; oczy mają niebieskie, nosy orle, brody jasne, ruchy nacechowane godnością, głos poważny, gardłowy, obojęcie uprzejme bez uniżoności, ubiór okazały i wspaniałą broń. Kiedy mijając jakąś wioskę, widzi się szejka u wrót jego blankowanej

siedziby, jego piękne, konie, splecione na dziedzińcu, i znakomitszych mieszkańców wioski w drogocennych płaszczach podbitych futrem, przewiązanych czerwonymi jedwabnymi pasami z zatkniętym za nimi mnóstwem jataganów i sztyletów o srebrnych rękojeściach, w ogromnych różnobarwnych zawojach, z szeroką chustą z purpurowego jedwabiu spadającą na ramiona, można by przypuścić, że to jakiś lud królewski. Kochają Europejczyków jak braci; łączy ich z nami wspólnota wiary, owa więź najsilniejsza ze wszystkich; wierzą, że przez naszych konsulów i posłów bronimy ich przed Turkami; jak rodzina, co wita dalszych krewnych, przyjmują w swoich wioskach naszych podróżników, naszych misjonarzy, naszych młodych tłumaczy, którzy przybywają tu, aby uczyć się arabskiego; podróżnik, misjonarz, młody tłumacz stają się najmiłszymi gośćmi całej okolicy. Udzielają im mieszkania w klasztorze lub u szejka, dostarczają obficie wszystkiego, co tylko ziemia wydaje, wiodą ich na polowanie z sokolem, wprowadzają z ufnością nawet w towarzystwo kobiet, zwracają się do nich z szacunkiem, zawierają nierozzerwalne związki przyjaźni, której pamięć ojcowie rodzin przekazują swoim potomkom.

Jestem pewien, że gdyby ten lud był bardziej znany, gdyby częściej zwiedzano wspaniałą krainę, którą zamieszkuje, wielu Europejczyków osiedliłoby się między Maronitami; piękność krajobrazów, wyborny klimat, umiarkowane ceny, podobieństwo religii, gościnność, bezpieczeństwo i spokój osobisty, wszystko to sprawia, że dobrze byłoby osiąść między tym ludem; jeśli o mnie mowa, gdyby człowiek był zdolny całkiem się oderwać od swoich, gdyby nie było obowiązkiem żyć tam, gdzie Opatrzność naznaczyła nam kolebkę i mogiłę, aby służyć współziomkom i kochać ich, gdyby kiedyś, wbrew mojej woli, dotknęło mnie wygnanie, najchętniej osiadłbym tu właśnie, w jednej z owych zacisznych wiosek Maronitów, u podnóża albo na zboczach Libanu, pośród tego prostego, religijnego, życzliwego ludu, z widokiem na morze i na wysokie śniegi, pod palmą lub drzewem pomarańczowym jednego z klasztornych ogrodów. Na całym obszarze kraju zamieszkałym przez Maronitów panuje doskonały porządek, który w znacznie większej mierze stanowi wynik wpływu religii i obyczajów niż prawodawstwa; można tu podróżować samemu, bez przewodnika, we dnie i w nocy, nie obawiając się kradzieży czy napaści; zbrodnie prawie się tu nie zdarzają; cudzoziemiec dla Araba mahometanina jest osobą świętą, ale jeszcze święt-

szą dla Araba chrześcijanina; jego drzwi o każdej porze stoją dla niego otworem; aby go uhonorować, zabija swoje koźle, odstępuje swoją matę; z sitowia.

W każdej wsi jest kościół lub kaplica, w której nabożeństwa katolickie są odprawiane według rytu i w języku syriackim. Podczas ewangelii kapłan zwraca się ku obecnym i czyta im w języku arabskim Ewangelię na ten dzień przypadającą. Religie, które są trwalsze niż narody, przechowują swoją świętą mowę, kiedy ludy straciły swoje od dawna.

Maronici są odważni i jak wszyscy górale z natury wojowniczy; na wezwanie emira Baszyra zbiera się ich trzydzieści, czterdzieści tysięcy, już to aby bronić nieprzystępnych dróg w swoich górach, już to aby uderzyć na równinę, napawając trwogą Damaszek czy miasta Syrii. Kiedy ludy zamieszkujące Liban są z sobą w zgodzie, Turcy nigdy nie ośmielają się tu wkraczać; paszowie Akki i Damaszku przybywali tu tylko wtedy, gdy wskutek zamieszek wewnętrznych jedna ze stron wzywała ich pomocy. Nie wiem, czy się nie mylę, ale sędzę, że Maronici — lud nieskażony, nacechowany prostotą obyczajów, pełen żarliwej wiary i męstwa, odznaczający się tradycyjnymi cnotami patriarchalnymi, zamożny, stosunkowo dość swobodny, patriotyczny, dzięki wspólnocie religii i stosunkom handlowym z każdym dniem coraz to bardziej nasiąkający cywilizacją Zachodu — mogą mieć przed sobą wielką przyszłość. Gdy wokół tego ludu wszystko niszczy przez brak siły i zgrzybiałość, on jak gdyby młodniał, nabierał nowej mocy; w miarę wyludniania się Syrii, będzie zstępował z gór, wznosił miasta handlowe nad brzegiem morza, uprawiał żyzne grunta tam, gdzie teraz mieszkają tylko szakale i gazy, i ustanowi swoje panowanie nad tymi krainami, gdzie dawna władza już dogasa; gdyby dziś, czy to spośród wszechwładnego duchowieństwa, czy spośród szanowanych tu przez wszystkich rodzin emirów lub szejków, pojawił się jakiś wybitny przywódca, gdyby pojął przyszłość i zawarł przymierze z którymś z mocarstw europejskich, z łatwością powtórzyłby niezwykle czyny Muhammada Alego, paszy Egiptu, i zostawił po sobie prawdziwy zaród mocarstwa arabskiego.

Europie bardzo na tym zależy, aby to życzenie się urzeczywistniło; miałyby gotową osadę na tych pięknych wybrzeżach, a Syria, zaludniająca się znowu narodem chrześcijańskim, przedsiębiorczym, wzbogaciłaby Morze Śródziemne handlem, który teraz upada, otworzyłaby drogę do Indii, odepchnęła barbarzyńskie, koczownicze plemiona pustyni i ożywiła Wschód: tu wszy-

## LUDY LIBANU

stko to ma przed sobą większą przyszłość niż w Egipcie. Egipt to tylko jeden człowiek<sup>9</sup>, Liban — to cały naród.

## DRUZOWIE

Druzowie, którzy wraz z Metualisami i Maronitami stanowią trzon ludności Libanu, długo uchodzili za rodzaj osady europejskiej zostawionej przez rycerzy krzyżowych na Wschodzie. Nic bardziej nedorzecznego. Między ludami najdłużej przechowuje się religia i mowa: Druzowie są bałwochwalcami i mówią po arabsku; nie pochodzą więc od któregośkolwiek z ludów europejskich i chrześcijańskich. Najprawdopodobniej tak samo jak Maronici są jednym z plemion beduińskich, które, nie chcąc przyjąć religii Proroka, prześladowane przez nowowierców, schroniło się w te nieprzystępne pustkowia wysokiego Libanu, aby tam bronić swoich bogów i swojej wolności. Powiodło im się, często nawet mieli przewagę nad plemionami, które wraz z nimi zamieszkują Syrię, a dzieje ich głównego przywódcy, emira Fahr ad-Dina, z którego zrobiliśmy Fakardyna<sup>10</sup>, wstawiły ich nawet w Europie.

Książę ten pojawia się w historii w początkach XVII wieku. Mianowany gubernatorem Druzów, zyskuje zaufanie Porty. Wypiera barbarzyńskie plemiona z Baalbeku, uwalnia Tyr i Akkę od napaści Beduinów, wypędza agę Bejrutu i w tym mieście zakłada swoją stolicę. Na próżno paszowie Aleppo i Damaszku grożą mu lub oskarżają przed Dywanem; przekupuje swoich sędziów i podstępem lub siłą pokonuje wszystkich nieprzyjaciół. Jednak Porta, tylokrotnie ostrzegana, że Druzowie rosną w siłę, postanawia Ich ujarzmić i przygotowuje groźną wyprawę. Emir Fahr ad-Din pragnie zyskać na czasie. Zawarł przymierza i umowy handlowe z władcami włoskimi, sam więc udaje się do nich, aby prosić o przyrzeczoną pomoc. Zostawia rządy swojemu synowi Alemu, siada na statek w Bejrucie i szuka schronienia na dworze Medyceuszów we Florencji. Przybycie księcia mahometańskiego do Europy budzi uwagę. Rozchodzi się wieść, że Fahr ad-Din jest potomkiem książąt z domu lotaryńskiego, że Druzowie wiodą swój ród od towarzyszy hrabiego Dreux, którzy po wyprawach krzyżowych zostali w Libanie. Choć dziejopis Benjamin z Tudeli<sup>11</sup> wspomina o Druzach jeszcze przed wyprawami krzyżowymi, zręczny awanturnik, chcąc wzbudzić swoim losem jeszcze większe zainteresowanie władców Europy, rozsiewa



sam to mniemanie. Po dziewięcioletnim pobycie we Florencji emir Fahr ad-Din wraca do Syrii. Syn jego, Ali, odparł Turków i zachował w całości krainy zdobyte przez ojca. Emir oddaje mu zarząd państwa. Zepsuty sztukami pięknymi i rozkoszami Florencji, zapomina, że zachowa władzę tylko dopóty, dopóki będzie niecił postrach i szacunek w swoich nieprzyjaciółach. Stawia w Bejrucie przepyszne pałace i ozdabia je, jak pałace włoskie, posągami i malowidłami, które ranią przesady mieszkańców Wschodu. Rozgorycza to jego poddanych; oburzony sułtan Amurat IV znów wysyła paszę Damaszku z potężną armią przeciw Fahr ad-Dinowi. Kiedy pasza zstępuje z Libanu, flota turecka blokuje port Bejrutu. Ali, starszy syn emira, i gubernator Safadu, polegli w boju z wojskiem paszy Damaszku. Fahr ad-Din posyła swojego drugiego syna na pokład admirałskiego okrętu z prośbą o pokój. Admirał zatrzymuje tego chłopaczka jako jeńca i odrzuca wszelkie układy. Przerażony emir ucieka i z garstką wiernych przyjaciół zamyka się na niedostępnej skale Nilka. Turcy, po daremnym rocznym jej oblężeniu, wycofują się. Fahr ad-Din, wolny, wraca w swoje góry, lecz zdradzony przez kilku towarzyszy zostaje wydany Turkom i zaprowadzony do Konstantynopola. Amurat, widząc Fahr ad-Dina u swoich nóg, zrazu okazuje mu wspaniałomyślność i łaskawość. Daje mu pałac i niewolników; ale wkrótce potem podejrzliwy Amurat każe zadusić męznego i nieszczęśliwego Fahr ad-Dina. Turcy, których polityka ogranicza się zwykle do usunięcia stojącego im na zawadzie nieprzyjaciela, lecz szanuje nawyknięcia ludów i tradycyjne prawa rodowe, pozwalają panować potomstwu Fahr ad-Dina. Mija dopiero sto lat, jak wskutek śmierci ostatniego potomka sławnego emira berło Libanu dostało się innej rodzinie, Szihabom, pochodzącej z Mekki, której obecny naczelnik, stary emir Baszyr, rządzi dziś tymi krainami.

Religia Druzów stanowi tajemnicę, której nigdy żaden podróżny nie zdołał przeniknąć. Znałem wielu Europejczyków żyjących między tym ludem od lat, którzy wyznali mi, że nic nie wiedzą w tym względzie. Nawet lady Stanhope, która stanowi wyjątek przez swój stały pobyt między Arabami tego plemienia i cieszy się ich przywiązaniem, mówi ich językiem oraz naśladuje ich obyczaje, powiedziała mi, że i dla niej religia Druzów jest tajemnicą. Większość podróżników, którzy o nich pisali, utrzymuje, że ich wiara jest tylko odstępstwem od mahometanizmu. Jestem przekonany, że ci podróżnicy są w błędzie. To pewne, że religia Druzów pozwala im przejmować wszystkie wyznania lu-

dów, È którymi mają stosunki, stąd też wzięło się mniemanie, że są schizmatykami mahometańskimi. Nic podobnego. Jedynie, co stwierdzono, to że oddają cześć cielcowi. Ich ustroj wewnętrzny jest podobny do ustroju ludów starożytnych. Dzielią się na dwie kasty: akalów, czyli „tych, którzy wiedzą”, i dzahelów, czyli „tych, którzy nie wiedzą”; każdy Druz, w zależności od kasty, do której należy, wykonuje takie lub inne praktyki religijne. Imiona Mojżesza, Jezusa, Mahometa mają w wielkiej czi. W określonym dniu tygodnia gromadzą się, każdy w miejscu poświęconym temu stopniowi wtajemniczenia, który osiągnął, i dopełniają swoich przepisów religijnych. Straż czuwa, aby podczas obrzędów nikt nie wtajemniczony nie zbliżył się do wtajemniczonych. Zuchwałego natychmiast karzą śmiercią. Kobiety są dopuszczone do tych tajemnic. Kapłani, czyli akale, są żonaci. Mają hierarchię kapłańską. Naczelnik akalów, czyli najwyższy kapłan Druzów, mieszka w wiosce El Mutna. Po śmierci Druza gromadzą się około jego grobu, zbierają świadectwa o jego życiu; jeżeli te świadectwa są przychylne, akal przemawia głośno: „Niech Wszzechmocny ulituje się nad tobą.” Jeżeli świadectwa brzmią nieprzychylnie, kapłan i obecni milczą. Lud powszechnie wierzy w wędrówkę dusz: jeżeli życie Druza było nieskazitelne, ów odżyje w człowieku, któremu będzie się powodziło, mężnym i lubianym przez współziomków; jeżeli był nikczemny i bojaźliwy, wróci pod postacią wielbłąda lub psa.

Mnóstwo jest szkół dla dzieci, kierują nimi akalowie. Uczą czytać na Koranie. Jeżeli w którejś wiosce Druzowie są nieliczni i nie ma szkół, pozwalają, aby ich dzieci uczyły się wraz z dziećmi chrześcijan, a kiedy później dopuszczają ich do tajemnych obrządków, usuwają z ich umysłów ślady chrześcijaństwa. Kobiety mogą sprawować urząd kapłański jak mężczyźni; rozwody są częste, cudzołóstwo się okupuje; gościnność jest u nich święta i żadna groźba ani obietnica nie zniewoli Druza, aby komukolwiek, choćby władcy, wydał gościa, który z ufnością przestąpił próg jego domu. Podczas bitwy pod Navarino Europejczycy, którzy mieszkali w miastach syryjskich, obawiając się zemsty Turków, przez kilka miesięcy chronili się między Druza-mi i tam żyli w zupełnym bezpieczeństwie. „Wszyscy ludzie są braćmi”, oto ich zasada moralna tak jak w Ewangelii, lecz oni lepiej jej dochowują niż my. Nasze słowa są ewangeliczne, a nasze prawa — pogańskie.

Według mnie Druzowie są jednym z tych ludów, których pochodzenie zaginęło w pomroce czasów, lecz sięga najodleglejszej

## LUDY LIBANU

starożytności; jako rasa mają wiele wspólnego z Żydami, a cześć oddawana cielcowi upewniłaby mnie w mniemaniu, że są potomkami owych ludów Arabii Skalistej, które skłoniły Żydów do tego rodzaju bałwochwalstwa, lub też że pochodzą od Samarytan. Przyzwyczajeni teraz do pewnego rodzaju braterstwa z chrześcijanami maronickimi, nienawidzą jarzma muzułmanów; liczni, bogaci, karni, zamiłowani w rolnictwie i handlu, łatwo zespoliliby się całkowicie z Maronitami i wspólnie z nimi dążyliby do cywilizacji, byleby tylko szanowano ich obrządk religijne.

## METUALISOWIE

Metualisowie, stanowiący prawie trzecią część plemion Niższego Libanu, są mahometanami z sekty Alego, panującej w Persji; Turcy zaś, przeciwnie, należą do sekty Omara<sup>12</sup>: to odstępstwo powstało w islamie w 36 roku hedżry. Zwolennicy Alego przeklinają Omara jako przywłaszczyciela kalifatu; Husajn i Ali są ich świętymi; jak Persowie, nie piją ani nie jedzą z wyznawcami innej religii i tłuką szkło lub naczynie, które służyło obcemu; uważaliby się za skażonych, gdyby ich odzienie zetknęło się z naszym, ale że są w Syrii bezsilni i pogardzani, stosują się do czasu i do okoliczności; wielu z nich miałem u siebie jako służących i widziałem, że nie zachowywali tak ściśle owych zasad nietolerancji. Pochodzenie ich jest wiadome: około wieku XVI Baalbek należał do nich; plemię ich, rozrastając się liczebnie, zajęło najpierw zbocza Antylibanu, wokoło pustyni Bekaa, później ruszyło dalej i zmieszało się z Druzami w tej części gór, które wznoszą się między Tyrem i Saïdą; emir Jusef, obawiając się tego sąsiedztwa, uzbroił przeciw nim Druzów i wyparł ich w stronę Sařadu i gór Galilei; Saher, pasza Akki, przyjął ich i zawarł z nimi przymierze w roku 1760. Byli już tak liczni, że mogli mu dostarczyć dziesięć tysięcy konnych żołnierzy. W owym czasie opanowali zwaliska Tyru, wioski nad brzegiem morza obecnie zwanej Sur; potykali się mężnie z Druzami i pobili ze szczętem dwudziestopięcioletnią armię Jusefa; było ich tylko pięciuset, ale wściekłość i zemsta sprawiły, że każdy z nich okazał się bohaterem; prócz tego wewnętrzne rozterki, które dzieliły Druzów na zwolenników emira Mansura i emira Jusefa, przyczyniły się do sukcesu Metualisów; opuścili Dahera, paszę Akki, co spowodowało jego upadek i śmierć; następca jego, Dżezar Pasza, srodze pomścił się za to nad nimi. Od roku 1777 Dżezar Pa-

## LUDY LIBANU

szą. władca Saidy i Akki, bez przerwy dążył do ich zniszczenia; prześladowania te zmusiły ich do pojednania się z Druzami; przyłączyli się do stronnictwa Jusefa i choć pozostało ich tylko siedmuset czy ośmuset wojowników, działali w tej wojnie więcej dla wspólnej sprawy niż dwadzieścia tysięcy Druzów i Maronitów połączonych w Deir el-Kamar; sami zdobyli twierdzę Mar--Dżebaa, wymordowawszy ośmuset Arnautów; następnego roku, wypędzeni z Baalbeku, po rozpaczliwym oporze, schronili się w liczbie pięciuset, sześciuset rodzin między Druzów i Maroni-tów, później weszli na tę dolinę i dziś jeszcze zajmują wspaniałe zwaliska Heliopolis<sup>13</sup>; ale większa część plemienia została na zboczach i w dolinach Libanu, od strony Sur. Panowanie nad Baal-bekiem było ostatnio powodem zaciętej walki między dwoma braćmi z rodziny Harfusz, Jahją i Sułtanem; wywłaszczali się kolejno z tego stosu gruzów i stracili w tej wojnie przeszło osiemdziesiąt osób z własnej rodziny. Od roku 1810 emir Jahja ostatecznie objął rządy nad Baalbekiem.

## ANSARIUSZE

O ludzie Ansariuszów, zajmujących zachodnią część pasma Libanu i równiny Latakii, najlepsze informacje dał Volney<sup>14</sup>. Nie mógłbym nic do nich dodać. Bałwochwalcy jak Druzowie, ale dziksi od nich, Ansariusze, podobnie jak oni, osłaniają swoje o-brzędy religijne mrokiem tajemnicy. Zajmę się tylko tą częścią ich dziejów, która sięga roku 1807.

W owym czasie jedno z plemion Ansariuszów, udając nieporozumienie ze swoim naczelnikiem, opuściło jego terytorium w górach i poprosiło o schronienie i opiekę emira Masjadu. Emir, korzystając skwapliwie ze sprzyjającej okazji do rozdzielenia swoich nieprzyjaciół i osłabienia ich, przyjął Ansariuszów wraz z ich szejkiem Mahmudem w obręb murów Masjadu i posunął swoją gościnność nawet do tego stopnia, że kazał się wyprowadzić wielu mieszkańcom, aby dać miejsce tułaczom. Przez kilka miesięcy panował spokój; lecz pewnego dnia, kiedy większość Izmaeli-tów wyszła z Masjadu w pole, Ansariusze na dany znak napadli na emira i na jego syna, zasztyletowali ich, opanowali zamek, wymordowali wszystkich Izmaelitów, którzy byli w mieście i podpalili je. Nazajutrz wielka liczba Ansariuszów przybyła do Masjadu i połączyła się z wykonawcami tego obmierzłego spisku, którego tajemnicę cały lud zachowywał przez cztery czy pięć

miesiący. Około trzystu Izmaelitów zginęło. Reszta schroniła/się do Hammy, Homs lub Trypołisu.

Pobożne praktyki i obyczaje Ansariuszów podsunęły Burckhardtowi<sup>15</sup> myśl, że są to wychodźcy z Hindustanu; wiadomo jednak na pewno, że osiedli w Syrii na długo przed jej zawojowaniem przez Otomanów; niektórzy z nich są jeszcze bałwochwalcami. Kult psa, który, jak się zdaje, był w poważaniu u dawnych Syryjczyków i nadał nazwę rzece Psiej, Nahr el-Kelb, przy dawnym Berycie<sup>16</sup>, zachował się dotąd, jak mówią, między kilku rodzinami Ansariuszów. Ten lud już upada, a Druzowie i Maro-nici łatwo mogliby go wypędzić lub ujarzmić.

18 listopada 1832.

Wróciłem z wycieczki do klasztoru w Anturze, jednego z najpiękniejszych i najsławniejszych w Libanie. Opuściwszy Bejrut, jedzie się godzinę wzdłuż brzegów morskich, pod sklepieniem drzew rozmaitego liścia i kształtu. Przeważnie są to drzewa owocowe, figi, granaty, pomarańcze, aloesy, sykomyry — olbrzymie drzewa, których nieprzeliczone owoce, podobne do małych fig, nie wyrastają na końcach gałązek, ale jak mech są przyczepione do pnia i konarów. Przebywszy rzekę po moście rzymskim, wyżej opisanym, jedzie się piaszczystym brzegiem aż do przylądka Batrun, odnogi Libanu wchodzącej w morze. Jest to skała, na której skraju już w starożytności wykuto drogę, skąd widok jest prześliczny. Boki skały w wielu miejscach są pokryte napisami greckimi, łacińskimi i syryjskimi, a w samej skale są wyrzeźbione postaci, których symbolika i znaczenie zatarły się. Prawdopodobnie odnoszą się do kultu Adonisa, wyznawanego niegdyś w tych okolicach; zgodnie z tradycją miał on swoje świątynie i obrządki pogrzebowe blisko miejsca, gdzie zginął: przypuszcza się, że było to właśnie nad brzegiem rzeki, którą minęliśmy. Kiedy zjeżdża się z tego wysokiego i malowniczego skraju skały, krajobraz nagle się zmienia. Wzrok gubi się w wąskim, głębokim wąwozie, którym płynie inna rzeka, Nahr el-Kelb, rzeka Psia, tocząc spokojnie swoje wody między dwiema pionowymi ścianami o wysokości dwustu, trzystu stóp. W niektórych miejscach wypełnia cały wąwóz, w innych tylko wąski brzeg dzieli jej nurt od skały. Na brzegu tym rosną drzewa, trzcina cukrowa, sitowie i pnącze, które tworzą zielone, gęste sklepienie nad brzegami, a czasem nawet nad całym korytem rzeki. Na skale nad brzegiem, naprzeciw mostu o wysokiej arkadzie, który przebywa się z drzeniem, stoi zrujnowany kan.

W ścianach skał tworzących tę dolinę cierpliwi Arabowie wyłobili kilka ścieżek, których kamienne stopnie niemal pionowo wznoszą się nad rzeką, trzeba się jednak na nie dostać i zjechać z nich na koniu. Zdaliśmy się całkowicie na instynkt i sarnie nogi naszych koni, ale w pewnych chwilach musieliśmy zamykać oczy, aby nie widzieć wysokości kamiennych stopni, oślizgłości kamieni, spadzistości ścieżki i głębi przepaści. Tu właśnie przed kilkoma laty gdy jego koń potknął się, spadł i zginął legat papieski przy Maronitach.

Po przebyciu tej ścieżki wjeżdża się na wysokie płaskowzgórza, na których widać pola uprawne, winnice i wioski Maronitów. Naprzeciw, na pagórku, ujrzeliśmy piękny, nowy dom w stylu włoskim, z przedsionkiem, tarasami i balustradami. Była to rezydencja, którą jego ekscelencja Lozanna, biskup Abydos i obecny legat Stolicy Świętej w Syrii, kazał sobie wystawić na mieszkanie zimowe, lato bowiem przepędza w klasztorze Kannobin, siedzibie patriarchy i stolicy duchowej Maronitów. Klasztor ten, położony wyżej w górach, jest prawie niedostępny, a zimą zagrzebany w śniegach.

Monsignor Lozanna, człowiek wykwintnych obyczajów, rzymskiej ogłady, obdarzony wzniosłym umysłem, głęboką erudycją, trzeźwą, bystrą inteligencją, został trafnie wybrany przez dwór rzymski, aby reprezentować politykę i zaskarbiać wpływ katolicyzmu przy wyższym duchowieństwie maronickim.<sup>17</sup> Byłby wprost idealny jako wysłannik w Wiedniu czy Paryżu: jest to typowy przedstawiciel owych prałatów rzymskich, spadkobierców świetnych i szlachetnych tradycji dyplomatycznych tego rządu, które głoszą, że siła jest niczym, wszystkim zaś zręczność i godność osobista. Monsignor Lozanna jest Piemontczykiem; z pewnością nie pozostanie długo na tym pustkowiu, Rzym z większą korzyścią użyje go tam, gdzie sprawy układają się burzliwiej. Należy do tego gatunku ludzi, którzy są jak gdyby uosobieniem pomyślnego losu, a ów los już z góry widnieje na ich czole świadczącym o energii i rozumie. Słusznie otacza się między tymi ludami wschodnim przepychem, a w ubiorze i postępowaniu podkreśla swoją uroczystą powagę, bez których mieszkańcy Azji nie uznają ani świętości, ani potęgi. Przyjął strój arabski; jego wielka, starannie pielęgnowana broda spada złotą falą na purpurową szatę, a jego wspaniała klacz najczystszej krwi arabskiej, powolna jego ręce, nie ustępuje najpiękniejszej klaczy szejków beduińskich. Ujrzeliśmy go wkrótce, gdy wyjechał na nasze spotkanie z licznym orszakami, śmiało harcując nad przepaściami na skale,

po której jechaliśmy z największą ostrożnością. Po pierwszych słowach powitania zaprowadził nas do swojej uroczej willi, gdzie już nas czekała wieczerza, a wkrótce potem pojechał wraz z nami do klasztoru w Anturze, gdzie tymczasowo rezydował Dwaj młodzi księża lazaryści, którzy przybyli z Francji po rewolucji lipcowej, zajmują teraz sami ten piękny i obszerny klasztor, zbudowany niegdyś przez jezuitów, którzy kilkakrotnie usiłowali ustanowić tam swoją misję i utwierdzić swój wpływ między Arabami, ale nigdy im się to nie udało i zdaje się, że obecnie nie lepiej by im się powiodło.<sup>18</sup>

Przyczyna tego jest prosta: religia ludzi Wschodu nie ma nic wspólnego z polityką; całkowicie oddzielona od władzy świeckiej, nie daje ani wpływu, ani możliwości działania w państwie; państwo jest mahometańskie, katolicyzm jest swobodny, ale nie może panować tu środkami ziemskimi, a jezuiti właśnie usiłują działać i działają w dziedzinie religijnej środkami ziemskimi, toteż ten kraj zupełnie im nie odpowiada. Religia tu dzieli się na wspólnoty prawowierne lub schizmatyczne, których wierzenia tkwią głęboko we krwi i w umysłach całych rodzin, z pokolenia na pokolenie. Rozmaite wspólnoty chrześcijańskie żywią do siebie większą odrazę i bardziej się nienawidzą niż Turcy i chrześcijanie. Tam, gdzie odejście od wspólnoty oznaczałoby wieczną hańbę i mogłoby nieraz narazić na śmierć całe plemię, wieś czy rodzinę, nawrócenie jest niemożliwe; jeżeli chodzi o mahometan, nawrócenie jest niepodobieństwem. Ich religia stanowi rodzaj praktycznego deizmu, którego zasady moralne są w swojej istocie takie same jak zasada moralna chrześcijaństwa, z tym, że nie uznają dogmatu o stworzeniu człowieka przez Boga. Dogmatem mahometanizmu jest wiara w Boże natchnienie, które stało się udziałem człowieka mądrzejszego i obdarzonego przez Niebiosa. większą łaską niż jego bliźni; później do posłannictwa Mahometa dodano kilka cudownych wydarzeń, ale owe cuda zawarte w podaniach islamu nie stanowią podstawy religii i nie są przedmiotem wiary oświeconych Turków. Każda religia ma swoje legendy, swoje podania sprzeczne z rozsądkiem: wszystko to, co stanowi przedmiot wierzeń ludowych; filozofia mahometanizmu jest wolna od tych prostactek zmąceń. Głosi ona zdanie się na wolę boską i miłość bliźniego. Spotkałem wielu Turków i Arabów głęboko wierzących, którzy uznawali w swojej religii tylko to, co było w niej rozumnego i ludzkiego. Ich rozum nie musi się wysilać, aby uznać dogmaty, przeciw którym się buntuje. Jest to teizm stosowany i kontemplacyjny. Takich ludzi nie sposób nawrócić:

od dogmatu opartego o cuda dochodzi się do dogmatu prostego, nie można od dogmatu prostego przejść do dogmatu opartego o cuda.

Wkroczenie jezuitów byłoby jeszcze z innego względu niekorzystne dla Maronitów. Z samej natury swoich urządzeń ustrojowych jezuiti chętnie tworzą partie, pobożne stronnictwa pomiędzy duchowieństwem i wśród ludności; ich gorliwa pobożność wywołuje albo zapal, albo nienawiść. Ich cechą jest skrajność; wyższe duchowieństwo maronickie, choć z natury proste i poczciwe, nie mogłoby spoglądać życzliwie na ustanowienie korporacji religijnej, która by odebrała im panowanie duchowe nad częścią ludności katolickiej. Nie ma więc już jezuitów w Syrii. Jedynie w ostatnich latach biskup maronicki sprowadził dwóch młodych kapłanów, Francuza i Niemca, jako nauczycieli do szkoły maronickiej, którą zakłada. Poznałem tych dwóch zacnych młodzieńców żarliwej wiary, przejętych do głębi najbezinteresowniejszą gorliwością. Dokładają wszelkich starań w krzewieniu między Druzami, swoimi sąsiadami, niektórych zasad chrześcijaństwa; ale skutek ich usiłowań ograniczył się tylko do potajemnego ochrzczenia, bez wiedzy rodziców, kilkorga małych dzieci w rodzinach, do których udało im się dotrzeć pod pozorem udzielania porad lekarskich.<sup>19</sup> Nie wydaje mi się, aby mogli się podporządkować niezbyt oświeconym nawykom biskupów maronickich w dziedzinie wykształcenia, i sądzę, że wrócą do Europy bez osiągnięcia tu jakichkolwiek sukcesów w upowszechnieniu zamiłowania do nauki na wyższym poziomie. Zakonnik francuski mógł śmiało wyklądać w Rzymie lub w Paryżu.

Po wygaśnięciu tu zakonu jezuitów klasztor w Anturze przeszedł do lazarystów. Dwaj młodzi ojcowie, którzy go zamieszkują, często nas odwiedzali w Bejrucie. Ich towarzystwo okazało się równie miłe, jak nieoczekiwane: byli dobrzy, prości, skromni, zajęci jedynie poważnymi, wzniosłymi naukami, świadomi biegu rzeczy w Europie i podobnego co my kierunku myśli. Rozmowy z nimi, obejmujące najróżniejsze dziedziny wiedzy, tym więcej miały dla nas uroku, że sposobność taka na tym pustkowiu trafia się nader rzadko. Kiedy spędzaliśmy z nimi wieczór, prowadząc rozmowę o wypadkach politycznych w naszej ojczyźnie, o stronnictwach ideowych upadających i tworzących się na nowo we Francji, o pisarzach ubiegających się o poparcie prasy, o mówcach, którzy kolejno zdobywali trybunę, o doktrynach przyszłości lub o saintsimonistach, moglibyśmy prawie mniemać, że jesteśmy o milę od ulicy du Bac<sup>20</sup>, że rozmawiamy z ludźmi,



którzy z rana opuścili Paryż i wrócą tam wieczorem. Ci dwaj kapłani stanowili zarazem wzór świątobliwości i szczerzej, żarliwej pobożności. Jeden z nich był bardzo cierpiący: ostre powietrze Libanu trawiło jego piersi i skracało lata jego życia. Gdyby tylko słowo napisał do swoich przełożonych we Francji, odwołano by go natychmiast, nie chciał jednak obciążać tym swojego sumienia. Radził się pana de La Roière, który był ze mną, i zapytał go, czy ów jako lekarz może go uroczyście i sumiennie zapewnić, że powietrze Syrii jest zabójcze dla jego zdrowia. Pan de La Roière, którego sumienie jest tak samo pełne skrupułów jak sumienie młodego kapłana, nie śmiał mu wyraźnie powiedzieć swojego zdania, a zacny duchowny umilkł i został.

Ci kapłani, zagubieni w owym rozległym klasztorze, z jednym tylko Arabem do posługi, przyjęli nas tak serdecznie, jak przyjmuje się współziomka z dala od ojczyzny. Dwa dni spędziliśmy z nimi; każdy z nas miał dość obszerną celę, w niej łóżko i krzesła, sprzęty w tych górach nie używane. Klasztor leży w głębi doliny, u stóp sosnowego lasu, ale z tej doliny znajdującej się w połowie wysokości Libanu, z wąskiego prześwitu u jej wylotu, rozciąga się bezkresny widok na wybrzeże i na morze syryjskie; dalej na horyzoncie widnieją wierzchołki i iglice szarych skał zwieńczone wioskami lub wielkimi klasztorami maronickimi. Kilka jodeł, drzew pomarańczowych i figowych rośnie tu i ówdzie pod osłoną skał, w pobliżu źródeł i potoków: widok to godny Neapolu i Zatoki Genueńskiej.

Żeński klasztor maronicki, w którym przebywają zakonnice należące do znakomitych rodzin Libanu, sąsiaduje z klasztorem w Anturze<sup>21</sup> Z okien naszych cel widzieliśmy okna cel młodych Syryjek, które, jak się zdaje, bardzo się zainteresowały przybyciem w ich sąsiedztwo cudzoziemskiego towarzystwa. Te klasztory żeńskie nie przynoszą nikomu pożytku. Volney w swoim o-pisie podróży po Syrii<sup>22</sup> wspomina o tym klasztorze w pobliżu Antury, mówiąc, że niejaka Hindia pastwiła się tu rzekomo nad nowicjuszkami. Pamięć imienia i dziejów owej Hindii trwa jeszcze w tych górach. Uwięziona przez długie lata z rozkazu patriarchy maronickiego, skruczą i dobrym zachowaniem się uzyskała wolność. Zmarła niedawno, pośród niektórych chrześcijan swojej sekty uchodziła za świętą. Była to kobieta sfanatyzowana z własnej woli czy też mocą własnej wyobraźni, której udało się wpoić ów lantyzm w pewną liczbę umysłów prostych i łatwowiernych. Ziemia arabska to ziemia cudów; każde ziarno wydaje tu plon i każdy człowiek łatwowierny lub fanatyczny może

z kolei stać się prorokiem: jednym z wielu na to dowodów jest lady Stanhope. Ta skłonność do cudowności ma dwie przyczyny: silnie rozwinięte uczucie religijne i brak równowagi między wyobraźnią i rozsądkiem. Zjawy ukazują się tylko w nocy; każdy kraj nieoświecony jest ziemią cudów.

Taras klasztoru w Anturze, po którym przechadzaliśmy się znaczną część dnia, oceniają przepyszne drzewa pomarańczowe, wspomniane przez Volneya jako najpiękniejsze i najstarsze w Syrii: nie wyginęły dotychczas; podobne do naszych pięćdziesięcioletnich drzew orzechowych osłaniają ogród i dach klasztoru swoim gęstym, balsamicznym cieniem; na ich pniach znajdują się wyryte nazwiska Volneya i podróżników angielskich, którzy, jak my, przebywali kilka chwil u ich stóp.

Grupa gór, w której znajduje się Antura, jest znana pod nazwą Kezruanu albo łańcucha Kastravanu: okolica ta ciągnie się od Nahr el-Kebir do Nahr el-Kelb. Jest to właściwie kraj Maronitów: ta ziemia do nich należy; tylko do jej obszaru ograniczają się ich przywileje, choć codziennie przybywa ich w krainie Druzów, którym przynoszą swoje prawa i obyczaje. Głównym płodem tych gór jest jedwab. Miri, czyli podatek gruntowy, ustala się w stosunku do posiadanej liczby drzew morwowych. Turcy wymagają od emira Baszyra opłaty haraczu w wysokości jednego lub dwu miri rocznie, a emir oprócz tego pobiera ich jeszcze więcej na własny rachunek: jednak, choć Maronici uważają się na zbyt wygórowane podatki, nie można ich nawet porównać z podatkami, które opłacamy we Francji lub w Anglii. Nie wysokość podatków, ale ich dowolność, ich nieregularność uciska naród. Gdyby podatki w Turcji były uregulowane ustawą i stałe, nikt by nie odczuwał ich ciężaru; tam, gdzie ich wysokość nie jest oznaczona ustawą, nie ma własności albo też własność jest niepewna, a jej poczucie wątpliwe — dobre prawa, zabezpieczające własność, są bogactwem ludu. Szejki w każdej wiosce wyznaczają podatki i część ich sobie przywłaszcza. W gruncie jednak ten lud jest szczęśliwy. Jego władcy obawiają się go i nie ośmielają się osiedlać w jego prowincjach; może swobodnie wyznawać swoją wiarę, która jest szanowana; jego klasztory, kościoły wznoszą się na szczytach jego wzgórz; jego dzwony, które lubi, ponieważ głoszą wolność i niepodległość, dniem i nocą rozlegają się w dolinach, nawołując go do modlitwy; jest rządzony przez własnych przywódców, wybieranych spośród jego znakomitych rodzin zgodnie ze zwyczajem lub drogą dziedziczenia władzy; surowa, lecz sprawiedliwa administracja utrzymuje

ład i bezpieczeństwo w wioskach; własność jest uznana, zabezpieczona, przechodzi z ojca na syna; handel ożywiony, obyczaje proste i nieskażone. Nie widziałem nigdzie ludności, której powierzchowność świadczyłaby o takim zdrowiu, szlachetności i o-głądzie, jak o tym świadczy wygląd mieszkańców Libanu. Nauka pospółstwa, choć ogranicza się tylko do czytania, pisania, rachunków i katechizmu, jest tu powszechna, co sprawia, że Maronici mają zasłużoną przewagę nad innymi plemionami syryjskimi. Mógłbym ich tylko porównać z wieśniakami saskimi lub szkockimi.

Wróciliśmy do Bejrutu brzegiem morza. Góry wznoszące się wzdłuż wybrzeża są zabudowane klasztorami w stylu średniowiecznych willi florenckich. Na każdym pagórku widać wioskę zwieńczoną lasem piniowym i przeciętą potokiem, który wspaniałą kaskadą spada w głąb wąwozu. Na całym tym postrzępionym wybrzeżu są małe przystanie rybackie, pełne łodzi umocowanych u grobli lub skał. Piękne winnice, pola jęczmienia, drzewa morwowe, zstępują z wiosek ku morzu. Nad ciemną zielenią drzew figowych i cyprysów wznoszą się dzwonnice klasztorów i kościołów; lawica białego piasku odgradza podnóże gór od wód przejrzystych i błękitnych jak wody rzeki. Krajobraz ten, ciągnący się ze dwie mile, mógłby zwieść oko podróżnego, który by nie pamiętał, że osiemset mil dzieli go od Europy: mógłby przypuszczać, że jest nad brzegiem Jeziora Genewskiego, między Lozanną i Vevey, lub na uroczych brzegach Saony, między Mâcon i Lyonem; tylko rama tego obrazu jest w Anturze bardziej majestatyczna i kiedy podróżny wzniesie wzrok, widzi śnieżne szczyty Sanninu, które przecinają niebo niby języki pożaru...

Autor przerwał<sup>23</sup> na tym swój dziennik. Na początku grudnia stracił jedyną córkę, kiedy już zdawało się, że pod wpływem klimatu Azji całkowicie odzyskała zdrowie nadwątlone we Francji; zmarła po dwóch dniach choroby w objęciach ojca i matki, w wiejskim domu, który pan de Lamartine przygotował dla swojej rodziny, zamierzając spędzić zimę w okolicach Bejrutu. Ponieważ statek, który pan de Lamartine odesłał do Europy, miał dopiero w maju 1833 roku ponownie zawinąć do brzegów Syrii i zabrać podróżników, więc po tym okropnym wydarzeniu musieli przez pół roku pozostać w Libanie, rażeni ciosem, którym dotknęła ich Opatrzność; całą pociechą w ich boleści były łyzy towarzyszy podróży i przyjaciół. W maju, według umowy, statek „Alcesta” wrócił do Bejrutu; podróżni, chcąc oszczędzić jeszcze jednej boleści nieszczęśliwej matce, nie wsiadli na ten statek, co ich przywiózł szczęśliwych, ufnych, z uroczym dzieckiem, które rodzice tu utracili. Pan de Lamartine kazał za-

## LUDY LIBANU

balsamować ciało swojej córki, aby je odwieźć do Saint-Point i tam pochować, prosiła go o to bowiem w ostatnich chwilach. Pan de Lamartine powierzył te święte dla niego zwłoki „Alceście”, mającej żaglować wraz z dowodzonym przez kapitana Coulonne brygiem „Zofia”, na który wsiadł on sam wraz z żoną i przyjaciółmi.

Pan de Lamartine podjął pisanie swojego dziennika i notat dopiero w cztery miesiące po doznanym nieszczęściu. Przed opuszczeniem Syrii zwiedził Damaszek, Baalbek i wiele innych odległych a zajmujących miejsc: będzie to przedmiotem kolejnych zapisków.

## Krajobrazy i myśli w Syrii

28 marca wyruszyłem z Bejrutu do Baalbeku i Damaszku; kawalkada składała się z dwudziestu sześciu koni i z jakiś ośmiu, dziesięciu pieszych Arabów, służby i konwoju.

Po opuszczeniu Bejrutu jedzie się w górę drogami głęboko wyżłobionymi w czerwonym piasku, których pobocza zdobią wszystkie kwiaty Azji, wszystkie kształty, wszystka woń wiosny; widzi się nopale, cierniste krzewy o pękach żółtego jak złoto kwiecia, podobne do janowca w naszych górach, winorośl, zwieszającą się na drzewach, piękne drzewa świętojańskie o ciemnozielonym i miedzianym listowiu, z pospłatanymi gałęziami, z pniem pokrytym brunatną, gładką, świecąca korą, najpiękniejsze drzewa tych stron. Po półgodzinnej jeździe przybywa się na szczyt półwyspu tworzącego przylądek Bejrutu; półwysep ów kończy się zaokrąglonym cyplem i wybiega w morze z pięknej, rozległej równiny, którą przecina Nahr Bejrut. Ta równina, obficie nawodniona, uprawna, wysadzona wszędzie pięknymi palmami, zielonymi morwami, sosnami o szerokich, gęstych koronach, kończy się u stóp pierwszych skał Libanu. W najwyższej położonym punkcie równiny Bejrutu rozciąga się wspaniały widok Fahr ad-Dinu, czyli Fakardinu: jest to promenada Bejrutu; tutaj Turcy, Arabowie i Europejczycy ujeżdżają swoje konie i ćwiczą się w ciskaniu dzirytem; tutaj przybywałem codziennie na kilkugodzinną przejażdżkę konną, czy to pędząc po pustych piaskach górujących nad błękitnym, ogromnym krajobrazem morza syryjskiego, czy jadąc z wolna, zatopiony w marzeniach, między szpalerami młodych sosen, które okrywają większą część tego przylądka. To najpiękniejsza okolica, jaką widziałem: olbrzymie sosny, o mocnych pniach, z lekka pochylonych morskim wiatrem, wznosząc jak kopuły swoje szerokie, niczym parasol zaokrąglone korony, rosną po dwie lub trzy razem czy też pojedynczo, w odstępach co dwadzieścia kroków, na złotym piasku, z którego tu i ówdzie sterczy lekki puch zielonej trawy czy anemony. Zasadził te sosny Fahr ad-Din, którego rozślawiły w Europie jego niezwykle przystopy: drzewa te wciąż jeszcze łączą

się z jego imieniem. Codziennie z bólem przypatrywałem się, jak pewien nowoczesny bohater obala te drzewa, które inny wielki człowiek zasadził. Ibrahim Pasza kazał kilka z nich ściąć na użytek swojej marynarki; jednak dość ich jeszcze zostało, aby żeglarz z daleka mógł rozpoznać ów przylądek i aby człowiek, którego zachwycają najpiękniejsze obrazy przyrody, spoglądał na nie z zachwytem.

Stąd właśnie, moim zdaniem, Liban wygląda najwspanialej: byliśmy u jego podnóża, jednak w takiej odległości, że jego cień nas nie dosięgał, a wzrok mógł ogarnąć całą jego wysokość, zagłębić się w mrok jego wąwozów, dokładnie widzieć pianę jego potoków i z łatwością objąć pierwsze wznoszące się po jego bokach stożkowate góry, wieńczone klasztorami Maronitów widocznymi ponad grupami sosen, cedrów lub czarnych cyprysów. Sannin, najwyższy wierzchołek Libanu, panuje nad wszystkimi szczytami niższymi, a pokryty niemal wiecznym śniegiem, tworzy wspaniałe, złociste, fioletowe, różowe tło krajobrazu gór, tonących w głębi firmamentu nie jako ciało stałe, lecz jako mgła, jak przejrzysty opar, poprzez który widać jak gdyby drugą stronę nieba; tego zachwycającego zjawiska, jakie tworzą góry Azji, nigdzie indziej nie widziałem; zachwycom się nim każdego wieczora, nie mogąc go sobie wytłumaczyć. Od strony południowej Liban zniża się stopniowo aż do wysuniętego przylądka Saidy, niegdyś Sydonu; jego wierzchołki są bezśnieżne, tylko gdzieś na dwóch, trzech najodleglejszych, wyższych niż reszta pasma libańskiego, leży śnieg; ciągną się one wzdłuż równin i morza jak mury zrujnowanego miasta, to wznosząc się, to zniżając, i na koniec nikną we mgle zachodu, ku górcom Galilei, nad brzegiem morza Genezaret, zwanego niegdyś jeziorem Tyberiady. Od północy widać morską zatokę, co jak śpiące jezioro leży pośród równiny, do połowy przesłonięta gęstą zielenią uroczego Wzgórza Świętego Dymitra, najpiękniejszego wzgórza Syrii. Na tym jeziorze, którego połączenie z pełnym morzem jest, niewidoczne, zawsze stoi na kotwicy kilka statków, wdzięcznie kołyszących się na fali, której piana zwilża drzewa mastyksowe, oleandry i nopale. Gotyckie arkady mostu, pierwotnie zbudowanego przez Rzymian, a później odnowionego przez Fahr ad-Dina, biegną od przystani ponad rzeką Bejrut, która płynie przez równinę, rozlewając na niej życie i zieleni, i wpada do morza nie opodal przystani.

Tu byłem na ostatniej przejażdżce z Julią. Po raz pierwszy dosiadła beduińskiego konia, którego dla niej sprowadziłem znad

Morza Martwego; Arab służący prowadził go za uzdę. Byliśmy sami; choć wypadło to w listopadzie, dzień jaśniał blaskiem, upałem i zielenią. Nigdy nie widziałem, by to urocze dziecko było tak upojone przyrodą, ruchem, radością istnienia, patrzenia i odczuwania; co chwila odwracała się ku mnie z okrzykiem zachwyty; a kiedy objechaliśmy Wzgórze Świętego Dymitra, przebyli równinę i dotarli aż pod sosny, gdzie przystanęliśmy, rzekła: „Prawda, ojcze, że to najdłuższa, najpiękniejsza i najrozkoszniejsza przejażdżka, jaką odbyłam w moim życiu?” Niestety, prawda, i była to przejażdżka ostatnia. W dwa tygodnie później ze łzami przechadzałem się samotnie w cieniu tych drzew, już tylko w duszy zachowując uroczy obraz najbardziej niebiańskiej istoty, jaką niebo mnie obdarzyło, abym na nią patrzył, abym ją posiadał i oplakiwał. Nie żyję już; już przyroda nie ma dla mnie tego uroku, co sprawiał, że podwójnie ją odczuwałem w duszy mojego dziecka. Jeszcze na nią patrzę, zawsze zachwyca mój wzrok, ale już mnie nie wzrusza, a jeżeli mimo woli przez mgnienie, przez chwilę się nią wzruszam, serce natychmiast we mnie zastyga, zimne, rozdarte, i spada w otchłań dręczącego smutku i goryczy, w której trwa z woli Boga, dotknięte tyłoma niepowetowanymi stratami.

Od zachodu wzrok najpierw zatrzymuje się na piaszczystych pagórkach, czerwonych jak zarzewie pożaru, sponad których unosi się białoróżowy opar, przypominający odbłask padający z rozpalonego pieca; następne spojrzenie, kierując się wzdłuż linii horyzontu, przesuwają się ponad ową pustynię i dociera do ciemnobłękitnej linii morza, co stanowi kres i zlewa się w dali z niebem we mgłę, która nie pozwala rozróżnić dzielącej je granicy. Na tych wszystkich pagórkach, na równinie, na stokach wszystkich gór wznoszą się niezliczone, prześliczne, pojedyncze domki, a wokół każdego z nich widać to sad morwowy, to olbrzymią sosnę, to znów drzewa figowe, zaś tu i ówdzie, w gęstszych i bardziej uderzających oko skupiskach, stoją piękne wioski albo zespoły klasztorów zbudowanych na skałach i odbijają w dal, na morze, żółty blask orientalnego słońca. Na wszystkich grzbietach górskich na wszystkich wzgórzach, na wszystkich przylądkach i we wszystkichk wąwozach Libanu wznosi się jakieś dwieście<sup>1</sup> i zapewne jedyne, w którym istnienie systemu zakonnego nie doprowadziło jeszcze do nadużyć, co obaliły go gdzie indziej. Zakonnicy ci, ubodzy i użyteczni, żyją z pracy rąk własnych i są w istocie pobożnymi rolnikami, a ich wymagania względem wła-

dzy i ludności ograniczają się do jakiegoś skalistego zakątka, wziętego pod uprawę, i do umożliwienia im życia w samotności i w kontemplacji; mieszkając obecnie w krainach mahometańskich, ukazują nam, jak powstawały pierwsze siedziby rodzącego się, cierpiącego i prześladowanego chrześcijaństwa oraz cudowne mnożenie się owych siedzib wolności religijnej w czasach barbarzyństwa i prześladowań. W nich tkwiła racja ich bytu; tutaj trwa ona jeszcze dla Maronitów, dlatego też ci zakonnicy pozostali tutaj tacy, jakimi powinni byli być wszędzie<sup>2</sup> i jakimi, chyba wyjątkowo, być już nigdzie nie mogą. Jeżeli społeczeństwa i religie w swoim obecnym stanie tolerują jeszcze zakony, to już nie te, które zrodziły się w innej epoce, dla innych potrzeb i konieczności: każda epoka niesie z sobą własne twory w dziedzinie społecznej i religijnej; potrzeby czasów obecnych są inne niż potrzeby pierwszych wieków. Zakony tylko w dwóch dziedzinach mogą obecnie zrobić więcej i lepiej niż rządy i niż jednostkowe wysiłki: w dziedzinie kształtowania ludzi i przynoszenia im ulgi w ich cierpieniach. Szkoły i szpitale, oto jedyne dwa miejsca, które im pozostały w świecie współczesnym; ale chcąc zająć pierwsze, trzeba wpierw mieć swój udział w oświacie, której chce się udzielać innym, trzeba być bardziej wykształconym i oczywiście bardziej moralnym niż ludy, które zamierza się pouczać i ulepszać. — Wróćmy na Liban.

Zaczęliśmy wjeżdżać nań po ścieżkach usianych żółtawymi głazami i żwirzem lekko nakrapianym plamami rózu, co z daleka nadaje tej górze zachwycającą wzrok barwę fioletową i różową. Nic szczególnego nie napotyka się przed osiągnięciem dwóch trzecich wysokości: stąd widać wierzchołek wzgórza wystającego nad głęboką doliną. Dolina Hammany jest jednym z najpiękniejszych krajobrazów, jakie Bóg w swym dziele dozwolił oglądać człowiekowi; widać ją tuż pod stopami; zaczyna się ciemnym, głębokim parowem, wyżłobionym prawie jak grota pośród najwyższych skał i pod śniegami szczytów Libanu. Zrazu można ją odróżnić po potoku piany, który spada wraz z nią i kreśli w jej ciemności ruchomy, świetlisty ślad; potem nieznacznie się rozszerza, w miarę jak potok spływa kaskadami; wreszcie, zawracając nagle ku zachodowi i tworząc miły, wdzięczny widok, jak strumień wpadający do rzeki albo stający się rzeką, wnika w dolinę od niej szerszą i samą już stanowiącą dolinę; rozciąga się prawie na pół mili szerokości między dwoma łańcuchami gór; opada ku morzu miarowo i łagodnie; obniża się lub piętrzy we wzgórza, zależnie od przeszkód w postaci skał, które napotyka; na wzgó-



rzach wznoszą się wioski poprzedzielane wąwozami, widać wielkie płaszczyzny; otoczone czarnymi jodłami, a pośród uprawnych tarasów stoi wspaniała klasztor; do wąwozów spływają wszystkie wody tysiącznych kaskad doliny i toczą się spienione, lśniąco i szumne. Na zboczach Libanu, zamykających dolinę, rosną kępami dorodne jodły; widać tu klasztory i wysoko położone wioski, z których błękitne dymy wznoszą się nad przepaściami. Kiedy ujrzałem tę dolinę, słońce zapadało nad morze, a jego promienie, wydając rozpadliny i wąwozy na pastwę tajemniczej ciemności, muskały jedynie klasztory, dachy wiosek, wierzchołki jodeł i szczyty najwyższych skał, wystających nad linią gór; ponieważ napływ wód był tu obfity, spadały więc ze skrajów obu zboczy i tryskały spienione ze wszystkich szczelin skalnych, obejmując dwoma szerokimi ramionami ze srebra lub śniegu piękny taras, na którym wznoszą się wioski, klasztory i lasy jodłowe. Ich łoskot, podobny do dźwięku organów w katedrze, rozbrzmiewał zewsząd ogłuszająco. Rzadko kiedy szczególna uroda górskich krajobrazów przemawiała do mnie z taką siłą; była to uroda pełna smutku, powagi i słodczy, całkiem inna niż uroda morza lub równiny, uroda, co sprawia, że dusza skupia się w sobie zamiast się otwierać, jak gdyby pokrewna uczuciu religijnemu, które ogarnia nas w nieszczęściu: melancholijne skupienie, zamiast uczucia religijnego, doznanego w szczęściu, zamiast nadmiaru uczuć miłości i radości.

Ze stoków wznoszących się nad skalnym występem, wzdłuż którego posuwaliśmy się, co krok spływały wodospady na głowę jeźdźca albo też ściekały w wyżłobione przez siebie szczeliny między skałami; są to jak gdyby rynny na tym wysokim dachu gór, którymi nieustannie sączy się woda wzdłuż całej wysokości owych zboczy. Pogoda była mglista; burza huczała między jodłami i niosła niekiedy śnieżny kurz, przez który, barwiąc go swoim blaskiem, przebijał się przelotny promień marcowego słońca. Przypominam sobie wrażenie nowości i malowniczości, jakiego doznałem, przejeżdżając wraz z całą kawalkadą przez jedną z tych rozpadlin, którą spływał wodospad. Skalne zbocza Libanu utworzyły tu nagle wyżłobienie, przypominające głęboko wcięta między skały zatokę morską; spiętrzony kilkoma granitowymi złomami potok wypełniał swoim bystrym, szumiącym nurtem tę rozpadlinę; pył wodospadu, który staczał się o kilka sążni powyżej, ulatywał z wiatrem na dwa otaczające ową kotlinę, pokryte jałową, szarą ziemią, wzniesienia, co zniżając się gwałtownie, zstępowały w koryto potoku, który mieliśmy przebyć: wą-

ski występ, wycięty w zbroczu owych wzniesień, stanowił jedyną drogę, którą można było dostać się nad potok, aby go minąć. Tylko jadąc pojedynczo, jeden za drugim, można było posuwać się po owym występie; byłem prawie na końcu kawalkady: konie, bagaże, podróżni długim, sznurem zstępowali kolejno w głąb tej przepaści, obracając się i nękając w ciemnościach i we mgle nadwodnej, i pojawiali się z wolna po przeciwnej stronie, na drugim występie, zrazu spowici i przesłonięci posępnym oparem, bladym i żółtym jak opar siarki, potem mgiełką białą i delikatną jak srebrzysta piana wód, wreszcie jaśniejący i opromienieni słońcem, które, w miarę jak ów orszak wznosił się coraz wyżej na przeciwległe zbocze, coraz obfitszym zalewało go blaskiem: był to widok z *Piektła* Dantego, oglądany w jednym z najbardziej przerażających kręgów, jaki mogłaby wymyślić jego wyobraźnia; ale któż jest poetą wobec przyrody, któż zdoła coś wymyślić po Bogu?

Druzijska wioska Hammana<sup>3</sup> w której mieliśmy nocować, lśniła już u wysoko położonego skraju doliny noszącej jej nazwę. Wznosi się na szczycie iglicowatych, potrzaskanych skał, sięgających linii wiecznego śniegu, zwieńczona domem szejka stojącym na najwyższym szczycie pośrodku wioski. Między skałami, których odłamki tamują wartki, pienisty nurt, płyną dwa głębokie strumienie opasujące całą wieś; przechodzi się przez nie po kilku pniach jodłowych, na które narzucono trochę ziemi, i idąc pod górę, dociera się do domów. Domy, jak wszystkie domy w Libanie i w Syrii, z daleka wyglądają schludnie i malowniczo, a ich architektura sprawia, że na pierwszy rzut oka są ludzko podobne do włoskich willi z ich płaskimi dachami i gankami, zdobnymi w balustrady. Lecz dom szejka Hammany przechodził wykwintem, powabem i szlachetnością wszystko, co widziałem w tym rodzaju po obejrzeniu pałacu emira Baszyra w Deir el-Kamar. Porównać go tylko można z naszymi najwspanialszymi zamkami gotyckimi z wieków średnich, z takimi przynajmniej, jakie sobie wyobrażamy z ich zwalisk lub jak je nam przedstawia sztuka malarska. Okna strzałkowate, ozdobione gankami, drzwi szerokie i wysokie, z arkadą także strzałkowatą, która występuje jako przedsionek nad progiem; dwie ławy kamienne wyrzynane w arabeski i przytykające do dwóch słupów u drzwi; siedem, osiem kamiennych schodów w kształcie półkoli prowadziło na rozległy taras oświetlony trzema ogromnymi sykomorami, gdzie woda nieustannie spływa do marmurowej fontanny: oto owa sceneria. Ośmiu uzbrojonych Druzów we wspaniałych strojach o

## KRAJOBRAZY I MYŚLI W SYRII

jaskrawych barwach, w ogromnych zawojach, z marsowym wyrazem twarzy, wydaje się oczekiwać na rozkazy swojego naczelnika; dwóch Murzynów w niebieskich kaftanach, kilku młodych niewolników czy paziów siedzących lub bawiących się na stopniach schodów, które wiodą do przedsionka, a wreszcie wyżej, pod arkadą głównych drzwi, szejk siedzący z fajką w ręce, w szkarłatnym płaszczu podbitym futrem, spoglądający na nas władczo i spokojnie: oto postaci owej scenerii. Trzeba jeszcze dodać dwie młode, piękne kobiety, z których jedna była oparta o wysokie okno, a druga stała na balkonie nad drzwiami.

Nocowaliśmy w Hammanie w pokoju, który nam przed kilkoma dniami przygotowano. Wstaliśmy przed wschodem słońca, wdarliśmy się na ostatni wierzchołek Libanu. Trzeba półtorej godziny, aby dotrzeć na szczyt; wreszcie znaleźliśmy się pośród śniegów i postępowaliśmy dalej, jak na szczytach Alp, po wyniosłej, z lekka falistej równinie, wzdłuż wąwozu prowadzącego na drugą stronę Libanu. Po dwóch godzinach męczącej drogi w śniegu głębokim na dwie, trzy stopy najpierw ujrzeliśmy wyniosłe i jeszcze ośnieżone szczyty Antylibanu, potem jego jałowe, nagie zbocza, na koniec piękną, rozległą równinę Bekaa, stanowiącą przedłużenie doliny Baalbeku z prawej strony. Równina ta zaczyna się w pustyniach Homs i Hammy, a kończy się dopiero w górach Galilei, opodal Safadu; przecina ją tu tylko wąski bieg Jordanu, który płynie ku ujściu do morza Genezaret. To jedna z najpiękniejszych i najurodzajniejszych równin świata, lecz zaledwie widać na niej ślad uprawy; ponieważ jest narażona na ustawiczne napady koczujących Arabów, mieszkańcy Baalbeku, Zahle i innych wiosek Libanu ledwo ją obsiewają. Nawadnia ją mnóstwo potoków i nieprzerwana ilość źródeł; kiedy ją oglądaliśmy, przedstawiała raczej widok bagna lub źle osuszonego jeziora niż równiny.

Po czterech godzinach zjechaliliśmy do miasta Zahle, gdzie przyjął nas biskup grecki rodem z Aleppo, ofiarowując nam gościnę w kilku pokojach. Wyjeżdżamy 30 [marca], aby przebyć równinę Bekaa i stanąć na nocleg w Baalbeku.

## Ruiny Baalbeku

Opuszczając Zahle, ładne miasto chrześcijańskie, położone u podnóża Libanu, na skraju równiny, naprzeciw Antylibanu, zrazu jedzie się wzdłuż odnóg Libanu w górę, ku północy; mija się jakąś zrujnowaną budowlę, na której gruzach Turcy wystawili dom derwisza oraz meczet o wspaniałym, malowniczym wyglądzie. Według podań Arabów jest to grób Noego, którego arka przybiła do wierzchołka Sanninu; tu mieszkał w pięknej dolinie Baalbeku, tu umarł i został pochowany. Kilka ocalałych szczątków arkad i starożytnych budowli z czasów greckich czy rzymskich stanowi potwierdzenie podań. Widać w każdym razie, że od niepamiętnych czasów miejsce to było poświęcone wspomnieniem czegoś wielkiego; kamień pozostał tu świadkiem historii. Przejechaliśmy tędy, zwracając się jednak duchem ku owym pradawnym czasom, kiedy to dzieci patriarchy, ci nowi ludzie zrodzeni z jednego człowieka, zamieszkivali te pierwotne ustronia i stawali się założycielami cywilizacji oraz wznosili budowle, które dla nas pozostały zagadką.

Trzeba było siedmiu godzin, aby przeciąć na ukos równinę wiodącą do Baalbeku. Przy przebyciu rzeki dzielącej równinę towarzyszący nam Arabowie zaczęli się domagać, abyśmy zawrócili w prawo i zanołowali w wiosce tureckiej o trzy mile od Baalbeku. Mój tłumacz nie mógł nakłonić ich do posłuszeństwa, a ja musiałem ruszyć galopem na drugą stronę rzeki, chcąc zmusić dwóch przodowników naszej kawalkady, aby ruszyli za nami. Podjechałem ku nim ze szpicrutą w rękę; dość było tej groźby, aby zeskoczyli z koni, a potem pomrukując towarzyszyli nam w dalszej drodze.

W pobliżu Antylibanu równina podnosi się, staje się bardziej sucha i skalista. Anemonów i pierwiosnków takie mnóstwo jak kamieni pod kopytami naszych koni. Zaczęliśmy dostrzegać jakąś ogromną bryłę, której czerń wyraziście odcinała się od białawych zboczy Antylibanu. Był to Baalbek, ale nic jeszcze wyraźnie nie mogliśmy dostrzec. Na koniec dotarliśmy do pierwszego zwaliska. Jest to mała ośmioboczna świątynia, wsparta na kolum-

nach z czerwonego granitu egipskiego, widocznie uciętych z wyższych kolumn, z których jedne mają woluty w kapitelu, a inne — najmniejszego ich śladu, a które, jak sądzę, przeniesiono, ucięto i ustawiono tu nie tak dawno, aby podeprzeć kopułę jakiegoś tureckiego meczetu lub dachu domu derwisza; musiało to zapewne być w czasach Fahr ad-Dina. Budulec jest piękny; w konstrukcji gzymsu i sklepienia widać jeszcze ślad jakiegoś poczucia artystycznego, ale ów budulec to tylko cząstką zwaliska, poukładane ręką już słabszą i według smaku już zepsutego. Świątynia ta wznosi się o kwadrans drogi od Baalbeku. Pragnąc jak najprędzej zobaczyć to, co najodleglejsza starożytność zostawiła nam pięknego, wielkiego i tajemniczego, przyspieszaliśmy bieg naszych znużonych koni, których nogi zaczynały już potącać tu i ówdzie bryły marmuru, odłamki kolumn, obalone kapitele; wszystkie mury opasujące pola w pobliżu Baalbeku wystawione są z tych szczątków; nasi badacze starożytności znaleźliby tu zagadkę w każdym kamieniu. Zaczęła się pojawiać uprawna ziemia, a rozłożyste drzewa orzechowe, pierwsze, które w Syrii zobaczyłem znowu, wznosiły się między Baalbekiem i nami i sięgały aż ponad zwaliska świątyń, zasłaniając je przed nami swoimi konarami. Na koniec ukazały się świątynie: właściwie nie jest to ani świątynia, ani budowla, ani ruina; jest to pokryte kształtami architektonicznymi wzgórze, które nagle wyrasta z równiny, w pewnej odległości od właściwych wzgórz Antylibanu. Jedzie się z wolna między gruzami przez zrujnowaną wioskę arabską, która nazywa się Baalbek. Jechaliśmy wzdłuż jednego ze zboczy tego wzgórza zwalisk, na którym wznosił się las prześlicznych kolumn, ozłocony zachodzącym słońcem, ukazując oku owe żółte, matowe barwy marmurów Partenonu lub trawertynu rzymskiego Koloseum. Kilka spośród tych kolumn, które stoją długim szeregiem, ma jeszcze nietknięte kapitele, bogato rzeźbione gzymsy i ciągnie się wzdłuż marmurowych murów otaczających świątynię; inne leżą powalone na tych murach, podobne do podpartych drzew, których korzenie są przegniłe, ale pnie jeszcze zdrowe i mocne; jeszcze inne, a tych jest najwięcej, są porozrzucane tu i ówdzie, jak wielkie bryły marmuru czy kamienia, na zboczach wzgórza, w opasujących je głębokich rowach, a nawet w korycie rzeki płynącej u jego podnóża. Na płaskim szczycie góry kamieni sześć kolumn ogromnego rozmiaru, z zachowanymi jeszcze kolosalnymi gzymsami, wznosi się samotnie, nie opodal niższej świątyni. Zobaczymy później, co oznacza to ich odosobnienie od innych budowli. Dalej, kiedy mija się ową zabytkową bu-

dowlę, nie widzi się już ani kolumn, ani architektonicznych konstrukcji, tylko olbrzymie mury stawiane z ogromnych kamieni, z których prawie każdy ma na sobie ślady rzeźby; są to szczątki z innej epoki, których użyto w epoce późniejszej, kiedy wznoszono świątynie obecnie zrujnowane.

Tego dnia nie pojechaliśmy dalej; droga odbiegła od zwalisk i zaprowadziła nas, wciąż między ruinami, po sklepieniach, które rozbrzmiewały odgłosem kopyt naszych koni, ku jakiemuś domkowi zbudowanemu między gruzami: był to pałac biskupa Baalbeku, który w swoim fioletowym, podbitym futrem płaszczu, w otoczeniu kilku arabskich wieśniaków wyszedł na nasze spotkanie i wprowadził nas do swojej skromnej siedziby. W najmniejszej chatce chłopskiej w Burgundii lub Owernii więcej można znaleźć zbytku i wytworności niż w pałacu biskupa Baalbeku: była to nędzna rudera bez okien i drzwi, pełna szczelin, przez której dach, w części zapadły, deszcz strumieniami spływa na podłogę z gliny. W głębi podwórza widać jednak było porządny, nowy mur z trawertynu; drzwi i okno strzałkowate, w stylu mauretańskim, o sklepieniach z prześlicznie rzeźbionego kamienia, zwróciły moją uwagę: był to kościół Baalbeku, katedra tego miasta, gdzie inni bogowie mieli wspaniałe świątynie; jest to kaplica, do której przychodzi garstka chrześcijan arabskich, żyjących pośród szczątków tyłu wyznań, przychodzi, aby pod czystsza postacią wielbić to samo Bóstwo, o którym myśl zajmowała ludzi wszystkich wieków i kazała im poruszyć tyle idei i tyle kamieni.

Złożyliśmy nasze płaszcze pod tym gościnnym dachem, przywiązaliśmy konie do słupka na rozległym błoniu, ciągnącym się między domem kapłana i zwaliskami, rozpaliliśmy ogień z chrustu, aby osuszyć naszą przesiąkniętą deszczem odzież, i wieczeraliśmy na małym podwórzu biskupa przy stole z kilku kamieni świątynnych, gdy tymczasem z pobliskiej kaplicy rozlegał się żalony śpiew modlitwy wieczornej, a kapłan poważnym, dźwięcznym głosem odmawiał pobożne modły ze swoją trzodą, która składała się z kilku arabskich pasterzy i z kilku kobiet. Kiedy ci wieśniacy pustyni wyszli z kościoła i przystanęli, aby nam się przypatrzeć, na ich twarzach malowała się przyjaźń, w spojrzaniach — życzliwość, a ich mowa była pełna serdeczności i grzeczności, owych tkliwych powitań, owych długich; szczerych życzeń, jakie ludy pierwotne, co nie przetworzyły jeszcze wzajemnego powitania w czczą formułkę złożoną z kilku wyrazów, dającą się zastosować z okazji najrozmaitszych spotkań rano, w południe

lub wieczorem, wypowiadają wobec tych, których z największą gościnnością przyjmują u siebie; w tych wyrazach mieści się wszystko, czego podróżny życzyć może podróżnemu na dzień, na noc, na drogę, na powrót. Byliśmy chrześcijanami, to było dla nich najważniejsze; wspólnota religii wytwarza najsilniejszą więź uczuciową między ludami; wspólna myśl między ludźmi to więcej niż wspólna ojczyzna, toteż chrześcijanie Wschodu, zalani ze wszystkich stron islamem, który im zagraża i nieraz ich prześladował, widzą zawsze w chrześcijanach Zachodu obecnych opiekunów i przyszłych wybawców.

Europa nie dość zdaje sobie sprawę, jak potężną dźwignię do poruszenia Wschodu ma w tych ludach chrześcijańskich, gdy zechce skierować nań swoje spojrzenia i zwrócić temu krajowi, stojącemu już wobec koniecznej i nieuniknionej przemiany, niezawisłość i cywilizację, do których ma wszelkie dane i których jest tak godny. Sądzę, że już nadszedł czas, aby w tym sercu Azji ustanowić jakąś osadę europejską i wprowadzić nowoczesną cywilizację tam, gdzie zanikła cywilizacja starożytna, a także utworzyć wielkie mocarstwo z tych ogromnych strzępów cesarstwa tureckiego, co wali się pod swoim własnym ciężarem, mając za jedyne spadkobiercę tylko pustynię i pył zwalisk, w których się pograżało. Nic łatwiejszego niż wznieść na tych uprzątniętych uprzednio z gruzów ziemiach nowe budowle i dać upust owym niewyczerpanym źródłom zaludnienia, które islam wysuszył swoją obmierzłą administracją; kiedy mówię: obmierzła, nie myślę wcale obwiniać islamu o jakieś brutalne okrucieństwo, bynajmniej nie leżące w jego naturze, ale o występłą beztroskę, o nieuleczalny fatalizm, który niczego nie niszczyć dozwala, by wszystko dokoła uległo zniszczeniu.<sup>1</sup> Lud turecki jest zdrowy, dobry i moralny; jego religia nie jest ani tak pełna przesądów, ani tak nietolerancyjna, jak to nam malują, ale bierna rezygnacja, nadmiar wiary w widzialną władzę Opatrzności zabijają w człowieku wszystkie jego zdolności, zdając wszystko na Boga. Bóg nie działa dla człowieka, który powinien działać dla siebie, Bóg jest widzem i sędzią działań ludzkich. Islam przybrał rolę boską; stał się bezczynnym widzem działań Boga, każe człowiekowi trwać z założonymi rękami, toteż człowiek staje się dobrowolną ofiarą owej bezczynności.<sup>2</sup> Pomijając to, należy oddać sprawiedliwość religii Mahometa: jest to religia nader filozoficzna, która nakazuje człowiekowi, aby wypełnił dwa wielkie zadania modląc się i miłując bliźniego. Te dwie wielkie myśli stanowią w istocie dwie najwyższe prawdy każdej religii; islam czerpie

z nich swoją tolerancję, którą inne religie tak nieubłaganie wyłączyły ze swoich dogmatów. Pod tym względem islam posunął się znacznie dalej na drodze doskonałości religijnej niż wiele religii, które go zniesławiają i stawiają pod pręgierzem. Islam bez trudu i wysiłku może stać się częścią składową ustroju nacechowanego swobodą religijną i świecką i utworzyć jeden z elementów wielkiego skupiska społecznego w Azji; jest z natury moralny, cierpliwy, pełen rezygnacji, miłosierdzia i tolerancji. Wszystkie te cechy sprawiają, że łatwo może stać się spoiwem w kraju, w którym panuje, a w którym należałoby go nie tyle tępić, co oświecić; z nawyku współzycie w pokoju i harmonii z wyznaniem chrześcijańskimi, którym pozwala trwać i swobodnie działać nawet w takich miastach, co jak Damaszek czy Jerozolima, są jego największymi sanktuariami; nie zależy mu na władzy, dość, gdy może się modlić, czynić sprawiedliwość i pokój. W cywilizacji europejskiej, tak humanitarnej, rozważnej i pełnej chwalebnych ambicji, można z pewnością zostawić miejsce na meczet, i to miejsce nie tylko w cieniu, ale nawet w słońcu.

Aleksander podbił Azję z trzydziestoma tysiącami żołnierzy greckich i macedońskich; Ibrahim obalił państwo tureckie z trzydziestoma czy czterdziestoma tysiącami chłopców egipskich, którzy umieją tylko nabić broń i maszerować. Byle awanturnik europejski z pięcioma lub sześcioma tysiącami żołnierzy europejskich mógłby z łatwością pokonać Ibrahima i zdobyć Azję od Smyrny do Bassory, od Kairu do Bagdadu, postępując krok za krokiem, biorąc Maronitów z Libanu za główną podporę tych operacji, urządzając kraj w miarę posuwania się naprzód i czyniąc z chrześcijan Wschodu swój instrument działania, administrowania i poboru wojska. Nawet Beduini staną po jego stronie w dniu, kiedy będzie mógł wziąć ich na żołąd: dla nich pieniądze są wszystkim, ich bożyszczem zawsze będzie szabla i złoto; pieniędzmi można ich utrzymać tak długo, że ich uległość stanie się potem niechybna, sami nawet do tego posłużą; potem można będzie usunąć ich namioty dalej na pustynię, jedyną ich ojczyznę, skąd z wolna przyciągnie się ich cywilizacją łagodniejszą, której przykładu dotychczas nie mieli jeszcze wokół siebie.

Wstaliśmy ze wschodem słońca, którego pierwsze promienie padały na świątynię Baalbeku i nadawały tym tajemniczemu zwaliskom ów blask wiecznej młodości, który przyroda potrafi nadawać nawet temu, co zniszczył czas. Po krótkim śniadaniu ruszyliśmy, aby dotknąć z bliska tego, co dotąd musnęliśmy tylko wzrokiem; z wolna przybliżaliśmy się do sztucznego wzgórza,



chcąc dobrze przyrzeć się rozmaitym bryłom architektonicznym, co się na nie składają; niebawem, jadąc od północy, dotarliśmy pod sam cień olbrzymich murów, które z tej strony zasłaniają ruiny, piękny strumień, wylewając się ze swojego granitowego koryta, płynął u naszych stóp, tworząc tu i ówdzie jeziorka bieżącej, czystej wody, która szumiała i pieniała się wokół ogromnych głazów, co spadły z murów, i rzeźb zagrzebanych w łożysku strumienia. Minęliśmy potok Baalbeku po mostach, które przerzucił nad nim czas, i przez wąski, urwisty wyłom weszliśmy aż na taras otaczający te mury: za każdym krokiem, za każdym kamieniem, którego dotknęły się nasze ręce, który zmierzylimy spojrzeniem, okrzyk zdziwienia i podziwu wyrwał się nam z piersi. Każdy kamień tego muru miał co najmniej osiem do dziesięciu stóp długości, a pięć do sześciu szerokości i tyleż wysokości. Te bryły, ogromne w porównaniu z dłonią człowieka, leżą, bez cementu, jedne na drugich i prawie wszystkie mają na sobie ślady rzeźby z epoki hinduskiej czy egipskiej. Na pierwszy rzut oka widać, że te kamienie, zwalone lub zburzone, tworzące teraz mur podwałowy lub obwodowy, musiały niegdyś być użyte do czegoś zupełnie innego i że były cennym budulcem pierwotnie wzniesionych tu gmachów, który później posłużył do ogrodzenia budowli z czasów greckich i rzymskich. Był to u starożytnych zwyczaj powszechny, a nawet, jak sądzę, uświęcony, że gdy jakąś świątynię zniszczyły czas lub wojna lub gdy z postępem sztuk chciano ją odnowić i udoskonalić, używano dodatkowo materiałów z budowli odnawianych, zapewne dlatego, aby nie profanować użyciem do zwykłych celów kamieni, na które padał cień bogów, a także, aby okazać szacunek przodkom i aby praca ludzka różnych wieków nie była zagrzebana w ziemi, lecz świadczyła o pobożności ludzi i o dalszym postępie sztuki. Tak właśnie było z Partenonem, świątynią Minerwy, z którego materiał został użyty przy budowie ponownie wzniesionych przez Peryklesa murów Akropolu. Wielu nowoczesnych podróżnych, nie wiedząc o tym pobożnym zwyczaju starożytnych, mylnie uznało za barbarzyńskie budowle Turków lub gmachy krzyżowców tak właśnie stawiane od najdawniejszych czasów.

Niektóre kamienie muru miały do dwudziestu i trzydziestu stóp długości, a siedem lub osiem wysokości.

Dotarłszy na szczyt wyłomu, nie wiedzieliśmy, na czym zatrzymać wzrok: wszędzie widniały drzwi marmurowe, nadzwyczaj wysokie i szerokie, okna lub framugi ozdobione najpiękniejszą snycerską robotą, luki przybrane w najwytworniejsze ornamen-

ty, a odłamków gzymsów, architrawów czy kapiteli było tyle co pyłu pod nogami; sklepienia kasetonowe wznosiły się nad naszymi głowami; wszędzie wokół nas tajemnica, nieład, nieporządek, arcydzieła sztuki, szczątki czasu, niewypowiedziane cuda; zaledwie rzuciliśmy pełne podziwu spojrzenie w jedną stronę, nowa niezwykłość pociągała je w drugą. Każda kolejna próba wytłumaczenia kształtu lub znaczenia religijnego tych zabytków musiała ustępować następnej. W tym odmęcie domniemań gubiliśmy się na próżno; nie można myśla odbudować świętych gmachów jakiejś epoki czy ludu, nie znając do głębi jego religii i o-byczajów. Czas unosi ze sobą swoje tajemnice, a zostawia swoje zagadki wiedzy ludzkiej, aby ją wprowadzić w błąd i oszukać. Szybko wyrzekliśmy się prób tworzenia jakiejś teorii dotyczącej zespołu tych zwalisk i przestaliśmy na przypatrywaniu się i podziwianiu, ogarniając jedynie ogrom potęgi ludzkiego geniuszu i moc myśli religijnej, które mogły dźwignąć takie wielkie bryły i wykonać tyle arcydzieł. Od widoku dalej położonych zwalisk oddzielały nas konstrukcje wewnętrzne, przesłaniające świątynie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa byliśmy tylko w siedzibach kapłanów lub w miejscu, gdzie się znajdowało kilka osobnych kaplic służących do niewiadomych obrzędów. Mineliśmy te monumentalne budowle, daleko wspanialsze niż otaczające je mury, i ujrzeliśmy z kolei inne ruiny.

Znacznie rozleglejsze, dłuższe, znacznie bogaciej zdobione niż pierwsze, przypominały jakiś ogromny taras w kształcie prostokąta, o jednolitej powierzchni, często przerywanej resztkami nieco wyżej ułożonych posadzek, które, jak się zdaje, stanowiły część świątyń całkowicie zniszczonych lub świątyń bez dachów, w których Słońce, czczone w Baalbeku, mogło spoglądać na swój ołtarz. Wokół tego tarasu ciągnie się rząd kaplic, ozdobionych prześlicznie rzeźbionymi niszami, fryzami, gzymsami, kasetonami, o niezwykle wykwintnym wykończeniu, lecz już z czasów, gdy sztuka uległa zepsuciu; widać też piętno smaku przeciążonego ozdobami z czasu upadku Greków i Rzymian. Lecz aby doznać tego wrażenia, trzeba mieć oko już wyćwiczone widokiem klasycznych zabytków Aten lub Rzymu, inaczej bowiem można by ulec czarowi wspaniałych kształtów i subtelnych ozdób. Jedyłą tu wadą jest nadmiar: kamień ginie pod swoim własnym przepychem, a marmurowe koronki ze wszystkich stron wdzierają się w mury. Zachowało się jeszcze niemal w całości jakie osiem czy dziesięć owych kaplic, zawsze, jak się zdaje, istniejących w tej postaci; wychodzą one na długi, prostokątny teren,

który otaczają i gdzie niewątpliwie dopełniano pod gołym niebem tajemnic kultu Baala. Na próżno starałbym się opisać tysiące przedmiotów godnych podziwu i zachwytu, jakie każda z tych świątyń, każdy z tych kamieni nasuwa oczom widza. Nie jestem ani rzeźbiarzem, ani budowniczym, nie wiem nawet, jakie nazwy przybiera kamień w tym czy owym miejscu, w takim czy owym kształcie. Mówiłbym źle językiem sobie nie znanym; ale słyszę mowę powszechną, którą piękność przemawia do oka nawet nieświadomego, którą tajemniczość i dawność odzywają się do umysłu i duszy filozofa — i nigdy nie przemawiały do mnie donośniej niż w tym odmiecie marmurów, kształtów, tajemnic, zapełniających ów niezwykle dziedziniec.

A przecież wszystko to było niczym w porównaniu z tym, co mieliśmy niebawem zobaczyć. Aby sobie wyobrazić widok tej architektury, trzeba by dodać do siebie w myśli szczątki rzymskich świątyń Jowisza Satora, Koloseum i Partenonu; cała niezwykłość tego tu widoku polegała na nagromadzeniu tylu zabytków, takiego przepychu i takiej pracy w jednym miejscu, które można ogarnąć spojrzeniem, wśród pustyni i na zwaliskach miasta prawie nieznanego. Ż trudem oderwaliśmy się od tego widoku i ruszyliśmy w kierunku południowym, gdzie szczyt sześciu olbrzymich kolumn wznosił się jak latarnia morska nad tym widnokręgiem gruzów; aby tam dotrzeć, musieliśmy przedzierać się przez zewnętrzne mury obwodowe, przez wysokie dziedzińce, podstawy i podmurowania ołtarzy, które zalegały przestrzeń między tymi kolumnami i nami; na koniec znaleźliśmy się u ich podnóża. Milczenie jest jedyną mową człowieka, kiedy to, co odczuwa, przewyższa zwykłą miarę jego doznań; oniemiałi, przypatrywaliśmy się tym sześciu kolumnom, mierzyliśmy okiem ich średnicę, ich wysokość i zdumiewającą rzeźbę ich architrawów i gzymsów. Każda z nich ma sześć stóp średnicy, a przeszło siedemdziesiąt wysokości; składają się tylko z dwóch lub trzech części, tak doskonale spojonych, że zaledwie można rozpoznać linię ich złączenia; są z żółtego, lekko złotawego kamienia, którego wygląd stanowi coś pośredniego między połyskliwym marmurem i matowym trawertynem. Słońce padało na nie z jednej strony, usiedliśmy na chwilę w ich cieniu; wielkie ptaki, podobne do orłów, latały, spłoszone szelestem naszych kroków, ponad kapitelami, gdzie były ich gniazda, a gdy siadały znowu na akantach gzymsów, uderzały w nie dziobem i poruszały skrzydłami, niby ożywione ozdoby tych cudownych szczątków. Owe kolumny, które kilku podróżnych wzięło za resztki alei długości stu czterech stóp,

a pięćdziesięciu sześciu szerokości, co prowadziła niegdyś do świątyni, stanowiły, jak sądzę, zewnętrzną jej ozdobę. Przypatrując się bowiem bacznie mniejszej świątyni, która w całości zachowała się tuż obok, z łatwością można poznać, że wzniesiono ją podług tego samego wzoru, że gdy jakieś trzęsienie ziemi zniszczyło pierwszą świątynię, zbudowano drugą zupełnie podobną, a nawet, że użyto do jej budowy niektórych materiałów pozostałych z pierwszej świątyni, zmniejszając tylko jej proporcje, zbyt ogromne w epoce upadku; wymieniono strzaskane kolumny i pozostawiono te, które oszczędził czas, jako świętą pamiątkę po dawnych zabytkach; gdyby było inaczej, wokół sześciu jeszcze stojących pozostałyby szczątki innych wielkich kolumn. Tymczasem wszystko wskazuje, że obszar je otaczający od najdawniejszych czasów był pusty i oczyszczony z gruzów, a wspaniałe dziedziniec służył do obrządków kultowych, które wokół nich sprawowano.

O jakie czterdzieści kroków naprzeciw nas, w stronie południowej, na skraju tarasu, stała inna świątynia; jest to najmniej uszkodzony i najwspanialszy z zabytków Baalbeku, a nawet, powiedziałbym, całego świata. Gdyby podnieść jedną lub dwie kolumny perystylu, które stoczyły się na skraj tarasu, szczytami jeszcze wsparte o nietknięte mury świątyni, gdyby utwierdzić na właściwych im miejscach kilka ogromnych kasetonów, które spadły z dachu do przedsionka, gdyby podźwignąć jedną lub dwie ogromne rzeźbione płyty z wewnętrznych podwoi i gdyby ołtarz, odtworzony z ułamków zalegających dziedziniec, otrzymał swój dawny kształt i znalazł się na swoim dawnym miejscu, można by przywołać kapłanów i lud, a oni rozpoznaliby swoją świątynię tak doskonałą, tak nietkniętą, tak lśniącą gładkością kamieni i blaskiem światła, jak w ów dzień, kiedy wyszła z rąk budowniczego. Proporcje tej świątyni nie dorównują rozmiarom tamtej, o których przypomina sześć ogromnych kolumn; otacza ją przedsionek wsparty na kolumnach porządku korynckiego; każda z nich ma około pięciu stóp średnicy i czterdzieści pięć wysokości; każda składa się z trzech bloków; stoją o dziewięć stóp jedna od drugiej i w takiej samej odległości od wewnętrznego muru świątyni; na kapitelach kolumn wspina się bogaty architrav i cudownie rzeźbiony gzyms. Dach owego portyku stanowią szerokie, wklęsłe bloki kamienne, tworzące rzeźbione kasetony, w których widnieją postaci bogów, bogiń lub bohaterów; rozpoznaliśmy Ganimeda, uniesionego przez orła Jowiszowego. Kilka z tych bloków leży na ziemi u podnóża kolumn; zmierzy-

liśmy je: miały szesnaście stóp szerokości i prawie pięć grubości; oto cegły tych zabytków. Odrzwia wewnętrzne świątyni, również\* z takich ogromnych bloków kamieni, mają dwadzieścia dwie stopy szerokości; ich wysokości nie mogliśmy zmierzyć, ponieważ inne bloki zwały się w tym miejscu i zasypały je do połowy. Patrząc na te okryte rzeźbą kamienie, które tworzą frontony owych podwoi, i na ich nieproporcjonalność względem reszty budowli, pomyślałem, że osadzono tu podwoje z innej, zrujnowanej świątyni; zdobiące je tajemnicze rzeźby nie pochodzą z epoki antoniń-skiej<sup>4</sup>, a ich wykonanie jest znacznie mniej doskonale; orzeł trzymający w szponach kaduceusz rozpościera skrzydła nad otworami; z jego dzioba spadają splecione wstęgi lub łańcuchy, których końce trzymają dwie Sławy. Wnętrze zabytku zdobią filary i nisze przeciążone bogatymi rzeźbieniami; wzięliśmy kilka odłamków rzeźb leżących na posadzce. Są tam nisze doskonale zachowane, które wyglądają tak, jak gdyby właśnie wyszły z pracowni rzeźbiarza. Niedaleko wejścia do świątyni znaleźliśmy wielkie otwory i schody podziemne prowadzące do niższych pomieszczeń, których użytku nie można oznaczyć; wszystko tam jest równie wielkie i okazałe; były to zapewne mieszkania kapłanów, ich kolegia, sale inicjacji, może siedziby królewskie; światło do nich dochodziło z góry lub też z boków tarasu, do których te pokoje przytykają. Obawiając się zabłądzić w tych labiryntach, zwiedziliśmy tylko niewielką ich część; jak się zdaje, zajmują cały obszar tego wzgórza.

Opisana przeze mnie świątynia leży na południowo-zachodnim krańcu zabytkowego wzgórza Baalbeku; tworzy tam kąt tarasu. Wychodząc z perystylu, znaleźliśmy się na skraju przepaści; mogliśmy zmierzyć te kamienie cyklopowe stanowiące fundament owego zespołu zabytków: fundament ten wznosi się blisko trzydzieści stóp nad poziomem równiny Baalbeku i jest zbudowany z kamieni, których rozmiary są tak niezwykle, że gdyby ich nie poświadczyli wiarygodni podróżni, wyobraźnia ludzi współczesnych cofnęłaby się wobec tego, co wydałoby się jej nieprawdopodobne; nawet wyobraźnia Arabów, którzy codziennie oglądają te cuda, nie przypisuje ich mocy ludzkiej, lecz potędze geniuszów lub sił nadprzyrodzonych. Kiedy się zastanowimy, że niektóre z tych brył wykutych w granicie mają do pięćdziesięciu sześciu stóp długości, piętnaście do szesnastu szerokości, a ich grubość jest nieznana, że te ogromne bloki wznoszą się jedne nad drugimi, dwadzieścia do trzydziestu stóp nad ziemią, że wydobyto je w odległych kopalniach, sprowadzono tu i podniesio-

no na tę wysokość, aby z nich utworzyć posadzki tych świątyń, mimo woli cofamy się przed myślą, że mogła tego dokonać siła ludzka; nauka współczesna również nie potrafi tego wyjaśnić, nic więc dziwnego, że myśl zwraca się ku siłom nadprzyrodzonym. Te cuda nie są z pewnością z epoki powstania owych świątyń, ich pochodzenie było dla starożytnych, jak i dla nas, tajemnicą; powstały w jakiejś nie znanej nam epoce, może przedpotopowej; stało na nich zapewne wiele budowli sakralnych, poświęconych rozmaitym kolejnym kultom. Nawet nieświadome oko rozróżni pośród zwalisk Baalbeku pięć, sześć zespołów zabytkowych z rozmaitych epok.

Niektórzy podróżni i pisarze arabscy przypisują te pierwotne budowle Salomonowi, na trzy tysiące lat przed naszą erą. To Salomon miał zbudować na pustyni Tadmor<sup>5</sup> i Baalbek. Dzieje Salomona zajmują wyobraźnię ludzi Wschodu, lecz to przypuszczenie, przynajmniej względem olbrzymich budowli Heliopolis<sup>6</sup>, nie ma jakichkolwiek podstaw. Jakim sposobem król izraelski, który na dziesięć mil od tych gór nie miał nawet portu morskiego i musiał pożyczać statki od Hiram, króla Tyru, aby sprowadzić cedry z Libanu, mógł rozciągnąć swoje panowanie poza Damaszek i aż do Baalbeku? <sup>7</sup> Dłaczegóż by monarcha, który, pragnąc wystawić w swojej stolicy świątynię nad świątyniami, dom Boga jedyne, użył budulca nietrwałego, niezdolnego oprzeć się potędze czasu ani pozostawić po sobie jakiegokolwiek śladu, miał w odległości stu mil od siedziby swojego ludu, pośród nieznannej pustyni, wznieść gmachy z budulca niezniszczalnego? Czy nie użyłby raczej swojej potęgi i bogactwa w Jerozolimie? Czy zostało w Jerozolimie coś, co przypomina zabytki w Baalbeku? Nic: a więc nie może to być dzieło Salomona. Sądzę raczej, że to pierwsi ludzie, których we wszystkich dziejach pierwotnych zowią olbrzymami, lub też ludzie przedpotopowi przenieśli te ogromne kamienie. Upewniają, że niedaleko stąd, w jednej z dolin Antyliba-nu, znajdują się kości ludzkie niezwyklej wielkości; wieść ta tak uporczywie krąży między okolicznymi Arabami, że angielski konsul generalny w Syrii, pan Farren, człowiek wielce uczony, zamierza wkrótce zwiedzić te tajemnicze groby.<sup>8</sup> Podania wschodnie, a nawet pomnik wzniesiony na tak nazwanym grobie Noego, w pewnej odległości od Baalbeku, oznaczają to miejsce jako siedzibę patriarchy. Pierwsi ludzie z niego zrodzeni mogli jeszcze długo zachować postać i siły, które miał ród ludzki przed zupełnym lub częściowym zatopieniem kuli ziemskiej; budowle te mogą więc być ich dziełem. Przypuściwszy nawet, że rodzaj ludzki

niegdy nie odznaczał się większymi rozmiarami ciała, wymiary umysłu ludzkiego mogły przecież ulec zmianie; któż nam powie, czy ten młody umysł nie wynalazł doskonalszych środków mechanicznych, którymi, jak ziarnka piasku, mógł podnosić owe bryły, jakich nie zdołałaby dziś poruszyć armia złożona ze stu tysięcy ludzi? Jakkolwiek by to było, niektóre z owych kamieni, dochodząc do sześćdziesięciu dwóch stóp długości, dwudziestu szerokości, a piętnastu grubości, są najpotężniejszymi bryłami, jakie rodzaj ludzki zdołał poruszyć. Największe kamienie piramid egipskich nie mają więcej niż osiemnaście stóp i zostały jedynie wyjątkowo umieszczone w niektórych częściach tych budowli celem nadania im większej trwałości.

Za północnym zboczem tarasu mury, które go podpierają, są także doskonale zachowane, ale ogrom głazów, z których je zbudowano, nie jest tak zadziwiający. A przecież kamienie te mają przeważnie dwadzieścia do trzydziestu stóp długości, a osiem do dziesięciu szerokości. Owe mury, znacznie dawniejsze niż świątynie górne, są pokryte szarawą barwą i w spojeniach kątowych tu i ówdzie podziurawione. Otwory te są otoczone gniazdami jaskółek i gęstwą zwieszających się krzewów oraz kwiatów pomurnika. Poważna, posępna barwa kamieni podstawy kontrastuje ze wspaniałą, złocistą barwą murów świątyń i rzędów kolumn na szczycie wzgórza. O zachodzie, kiedy promienie słońca igrają między wolutami i akantami kapiteli, świątynie lśnią jak czyste złoto na podstawie z brązu. Przez wyłom w kącie południowym zeszliśmy z tarasu. Tu kilka kolumn małej świątyni stoczyło się wraz ze swoimi architravami w łożysko potoku płynącego wzdłuż murów cyklopowych. Te ogromne słupy kolumn, które przypadkowo zaległy koryto potoku i spadziłą pochyłość rowu, zostały i zostaną wiecznie tam, gdzie je strącił czas; kilka drzew orzechowych i innych wyrosło spomiędzy tych brył, okrywając je swoimi konarami i obejmując szeroko rozpościerającymi się korzeniami. Obok tych słupów kolumn, które mają dwadzieścia stóp obwodu, i tych odłamków liści akantu, z których jeden tylko zakrywa połowę koryta potoku, najpotężniejsze drzewa przypominają trzciny wokół wyrosłe. Niedaleko stąd, ku północy, w bokach tarasu otwierała się przed nami ogromna, kryta bruzda. Zeszliśmy w nią. Blask dzienny, który z obu jej końców tam się wdzierał, oświetlał ją dostatecznie; przeszliśmy raz całą jej długość wynoszącą pięćset stóp; ciągnie się pod całym obwodem świątyń; ma trzydzieści stóp wysokości, a ściany i sklepienie zbudowane z kamieni, które, mimo widzianych przed chwilą, zdu-

miewały nas swoim ogromem. Te bryły trawertynu, wykute dłutem, były rozmaitej wielkości, lecz przeważnie od dziesięciu do dwudziestu stóp długie; sklepienie miało kształt półkolisty, kamienie spojone bez wapna; nie mogliśmy dociec przeznaczenia tego podziemia. Odnoga jego w zachodnim końcu, jeszcze wyższa i rozleglejsza, ciągnęła się pod tarasem, na którym wznosiły się małe, najpierw przez nas zwiedzane świątynie. Tu znowu wyszliśmy na powietrze i znów ujrzelśmy potok płynący wśród nieprzeliczonych odłamków architektury, które stoczyły się z tarasów, i wysokie orzechy, rosnące w gruzach tych marmurów. Inne starożytne budowle Baalbeku, rozsiane przed nami na równinie, przyciągały nasz wzrok, ale po tym, co widzieliśmy, nic już nie zdołało nas zająć. Przechodząc, rzuciliśmy przelotne spojrzenie na cztery świątynie, które budziłyby zachwyt nawet w Rzymie, a tu przypominały dzieło jakichś karłów. Świątynie te, jedno ośmioboczne, z ozdobami bardzo wytwornymi, inne w kształcie czworoboków, z perystylami o kolumnach z granitu egipskiego, a nawet z porfiru, pochodziły jak sądzę, z czasów rzymskich. Jedna z nich w pierwszych wiekach chrześcijaństwa służyła jako kościół; jeszcze można było rozpoznać symbole chrześcijańskie; nie miała już dachu i przedstawiała zupełną ruinę; Arabowie ją odzierają, ile razy potrzebują kamienia do podparcia swoich dachów lub na koryto do pojenia wielbłądów.

Wysłaniec emira Arabów Baalbeku szukał nas i tu napotkał. Przybył, aby powitać nas w imieniu swojego władcy, a zarazem, aby nas zaprosić na gonitwy z dzirytem, rodzaj turnieju, które emir kazał przygotować na naszą cześć następnego ranka, na równinie u podnóża świątyń. Kazaliśmy wysłańcowi, aby przekazał emirowi nasze podziękowanie, i przyjęliśmy zaproszenie, po czym posłałem mojego tłumacza wraz z kilkoma janczarami, aby w moim imieniu złożył uszanowanie emirowi. Chcąc wypocząć po wyprawie, wróciliśmy do biskupa, lecz zaledwie zjedliśmy po kawałku placka i baraniny z ryżem przyrządzonej przez naszych mukrów, każdy z nas wyruszył na wędrowkę, bez przewodnika i bez celu, wokół wzgórza ruin lub do świątyń, do których drogę przebyliśmy rano. Każdy zatrzymywał się obok zwalisk lub w miejscu, skąd rozpościerał się jakiś piękny widok, i z dala przywoływał swoich towarzyszy, aby wspólnie napawać się urodą tych miejsc; lecz nie można było zająć się jakimś jednym przedmiotem, by nie utracić drugiego, toteż skończyło się na tym, że każdy z osobna szedł za odkryciami, jakie mu nasuwał traf. Cienie wieczoru, które z wolna zstępowały z góry Baalbeku i o-



krywały kolejno, jedno po drugich, kolumny i zwaliska, nadawały czarodziejskiemu i tajemniczemu dziełu człowieka i czasu jeszcze większą niezwykłość i malowniczość; tu dopiero czuliśmy, że w porównaniu z ogromem i wiecznością tych gmachów, jesteśmy jak te jaskółki, które krótko gnieźdzą się tu w szczelinach kamieni, nie wiedząc, kto i dla kogo je zgromadził. Nie wiemy, jakie myśli poruszyły owe ogromne bryły i nagromadziły te kamienie; pył marmuru, który depczemy, wie o tym więcej niż my, ale nic nie może nam powiedzieć; za kilka wieków przyszłe pokolenia, oglądając z kolei szczątki naszych budowli, będą sobie zadawały pytania, na co są te budowle i rzeźby, i nie znajdą odpowiedzi. Dzieła człowieka są trwalsze niż jego myśl; ruch jest prawem ludzkiego umysłu; jego pycha lub jego brak świadomości marzą o ostatecznych rozstrzygnięciach; Bóg jest celem, który w miarę jak ród ludzki się ku niemu przybliża, usuwa się coraz dalej; postępujemy ustawicznie, nie dochodzimy nigdy; wielka postać Boga, którą człowiek na próżno od dzieciństwa pragnie ostatecznie zatrzymać w swojej wyobraźni, uwiezić w swoich świątyniach, staje się coraz większa, wciąż potężniejsza, przekracza obręb ciasnych myśli i granice świątyń, pozwala, by świątynie pustoszały i by rozpadały się ołtarze, i nakazuje człowiekowi, aby jej szukał i widział tam, gdzie się coraz wyraźniej objawia: w myśli, w rozumie, w cnocie, w przyrodzie i w nieskończoności.

Tegoż dnia, wieczorem.

Šzczęśliwy, kto ma skrzydła i może unosić się nad ubiegłymi wiekami, bez zawrotu głowy stawać na tych zdumiewających budowlach ludzi i stamtąd zgłębiać otchłanie myśli oraz przeznaczeń ludzkich; zmierzyć okiem drogę umysłu ludzkiego, postępując krok za krokiem w tym półświecie filozofii, religii, kolejnych prawodawstw; dosięgnąć wyżyn, jak żeglarz na bezbrzeżnych morzach, i odgadnąć, w jakim punkcie czasów żyje i do jakiego objawienia prawdy i boskości Bóg powołał ród ludzki, którego i on jest częstką.

Baalbek, 29 marca, o północy.

Wczoraj przy świetle księżycy poszedłem tam na wzgórze świątyń, aby rozmyślać, płakać i modlić się. Bóg wie, co oplakuje i będę oplakiwał, dopóki mi pozostanie choć jedna łza i jedno wspomnienie. Skończywszy modły za siebie i za tych, którzy są częścią mnie samego, modliłem się za wszystkich ludzi.<sup>10</sup> Ów

ogromny, obalony namiot ludzkości, na którego szczątkach zasiadłem, natchnął mnie uczuciami tak mocnymi i tak żarliwymi, że same niemal wydarły się ze mnie w kształcie poezji, stanowiącej naturalną mowę moich myśli za każdym razem, gdy myśl zdobywa nade mną władzę.

Wiersz ów skreśliłem tego ranka, w tym miejscu i na tym kamieniu, gdzie myśli i uczucia, co stały się jego treścią, objawiły mi się w tę noc.

Tegoż dnia.

Przebyłem wierzchołki Sanninu, okryte wiecznymi śniegami, i pod koniec długiej znoej drogi zjechałem z Libanu, uwieńczonego koroną cedrów, na nagą i jałową pustynię Heliopolis. Przed nami na dalekim widnokregu, na stokach czarnych gór Antylibanu, na tle ich cienia, widniało ogromne zbiorowisko żółtych ruin, ozłoconych zachodzącym słońcem i odbijających jego wieczorne promienie. Nasi przewodnicy wskazywali je palcem i wołali: „Baalbek! Baalbek!” Było to w istocie owo dziwo pustyni, bajeczny Baalbek, w całym blasku występujący ze swojego nieznanego grobu, aby nam opowiedzieć o wiekach, o których dzieje zapomniały. Jechaliśmy z wolna na utrudzonych koniach z oczyma wlepionymi w te olbrzymie mury, w te lśniące ogromne kolumny, które w miarę jak się zbliżaliśmy, zdawały się potężnieć, powiększać i wydłużać; wszyscy zachowywali całkowite milczenie; każdy lękał się, aby nic nie utracić z doznanego wrażenia w chwili, gdy zacznie opowiadać, czego doznaje. Nawet Arabowie milczeli, jak gdyby ów widok nasuwał im również jakąś głęboką, ważną myśl, która przesłaniała wszystkie inne myśli. Na koniec podjechaliśmy do pierwszych słupów kolumn, do pierwszych brył marmuru, które trzęsienia ziemi straciły z tysiąca przeszło budowli, jak zeschłe liście strząśnięte i uniesione daleko od drzewa przez gwałtowną burzę; głębokie i rozległe kamieniołomy, przerzynające jak wąwozy czarne stoki Antylibanu, rozwierały swoje przepaściste głębie tuż pod kopytami naszych koni; w tych ogromnych kamiennych rozdołach, na których ścianach zachowały się dotąd głębokie ślady dłuta, co je wyźłobiło, aby z nich wydobyć inne stopy kamieni, jeszcze było widać kilka olbrzymich brył, to na poły oddzielonych od swoich podstaw, to znów ociosanych z czterech stron, co już tylko jak gdyby czekały na woły lub na ramiona olbrzymów, którzy by je dźwignęli. Jedna z tych brył miała sześćdziesiąt dwie stopy długości, dwadzieścia cztery szerokości, a szesnaście grubości. Któryś z na-

szych Arabów, zsiadłszy z konia, ześlizgnął się w głąb kamieniołomu i czepiając się nacięć dłuta i rosnących tam mchów, wdarł się na ów ogromny kamień i biegał po nim, wydając dzikie o-krzyki; ale ów głąz przygniatał po prostu swoim ogromem współczesnego człowieka, który zniknął w jego obliczu; trzeba by połączonej siły sześćdziesięciu tysięcy ludzi współczesnych, aby bodaj podnieść ów kamień, a na tarasach Baalbeku, wznosząc się na dwadzieścia pięć lub trzydzieści stóp nad ziemią, stoją jeszcze potężniejsze kamienie, które dźwigały kolumnady o rozmiarach proporcjonalnych do tych podstaw.

Jechaliśmy dalej, mając pustynię po lewej, a faliste wzniesienia Antylibanu po prawej, wzdłuż kilku poletek uprawianych przez arabskich pasterzy oraz koryta kręto płynącego między zwałiskami szerokiego potoku, nad którego brzegami rośnie kil-ka dorodnych drzew orzechowych. Akropol, czyli sztucznie usypane wzgórze, gdzie wznoszą się wszystkie wielkie budowle Heliopolis, ukazywał się nam tu i ówdzie między gałęziami i ponad wierzchołkami wielkich drzew; wreszcie ujrzeliśmy go w całości i wszyscy zatrzymali się jak porażeni iskrą elektryczną. Żadne pióro, żaden pędzel nie zdołałyby odmalować wrażenia, które ów widok sprawia na oku i duszy. Pod naszymi stopami, w korycie potoku, wśród pól, wokół wszystkich pni, widniały bryły czerwonego lub szarego granitu, krwawego porfiru, białego marmuru, żółtego kamienia tak połyskliwego jak marmur z Paros, słupy kolumn, rzeźbione kapitele, architrawy, woluty, gzymsy, gzymsy górne, piedestały, rozrzucone i zdające się jeszcze drgać członki posągów upadłych twarzą ku ziemi: wszystko to nagromadzone w nieładzie, usypane w stosy, porzrucane i cisnące się zewsząd jak lawa wulkanu, który by wyrzucił z siebie szczątki jakiegoś wielkiego państwa; zaledwie można tu znaleźć ścieżkę, aby przecisnąć się między tymi odłamkami sztuki pokrywającymi ziemię. Podkowy koni ślizgały się i kruszyły za każdym krokiem na wygładzonych akantach gzymsów lub na śnieżnobiałym łonie jakiegoś kobiecego torsu; między tymi warstwami szczątków torowała sobie drogę tylko rzeka płynąca przez Baalbek i szmerząc omywała swoją pianą marmurowe bryły, co tamują jej bieg.

Poza ową zastygłą pianą zwałisk, które tworzą istne wydmy marmurowe, wznosi się wzgórze Baalbeku, płaskowyż na tysiąc kroków długi i na siedemset stóp szeroki, cały zbudowany ręką ludzką z kamieni ciosowych, z których kilka ma pięćdziesiąt do sześćdziesięciu stóp długości, a piętnaście do szesnastu wyso-

kości, lecz przeciętnie od piętnastu do trzydziestu stóp. To granitowe wzgórze ukazało się nam od wschodniego krańca, ze swoimi głębokimi fundamentami i niewymiernymi wprost cembrowaniami, w których bryły granitu mają sto osiemdziesiąt stóp długości, a blisko cztery tysiące stóp powierzchni, z szerokimi otworami swoich sklepień podziemnych, do których wpadała rzeka i gdzie wiatr wraz z wodą wydawał łoskot podobny do dalekiego odgłosu wielkich dzwonów naszych katedr. Z tego ogromnego tarasu widać było skraj olbrzymich świątyń odcinający się na tle błękitnego, różowego lub złotego widnokręgu. Kilka z tych opuszczonych budowli wydawało się nietknięte, jak gdyby wyszło właśnie z rąk robotnika; z innych widać było tylko szczątki, pojedyncze kolumny, pochylone fragmenty muru i zburzone frontony; oko gubiło się pośród lśniących kolumnad rozmaitych świątyń, a nazbyt wysoki horyzont nie pozwalał dostrzec, gdzie kończył się ów kamienny zastęp. Sześć olbrzymich kolumn wielkiej świątyni, majestatycznie zwieńczonych wspaniałymi, ogromnymi gzymsami, panowało nad całym tym widokiem i ginęło w błękitnym niebie pustyni, jak ołtarz napowietrzny, na którym olbrzymi składają swoje ofiary.

Przystaliśmy tylko na kilka chwil, aby przypatrzeć się temu, cośmy przyjechali zwiedzić mimo tylu niebezpieczeństw i odległości, i upewniwszy się, że już należycie utrwaliśmy w sobie ów widok, którego nawet we śnie nie mogliśmy<sup>1</sup> sobie wyobrazić, ruszyliśmy w dalszą drogę. Dzień miał się ku schyłkowi: trzeba było szukać schronienia albo pod namiotem, albo pod sklepieniem któregoś z tych zwalisk, aby spędzić tam noc i wypocząć po czternastogodzinnej jeździe. Mijając wznoszącą się z lewej strony górę zwalisk i obszerną równinę, białą od gruzów, przejechaliśmy kilka łąk, na których pasły się kozy i wielbłądy, i skierowaliśmy się w stronę jakiegoś dymu, który wznosił się o kilkaset kroków od nas ze zbiorowiska ruin przemieszanych z lepiankami Arabów. Grunt był nierówny i górzysty i tętnił pod podkowami naszych koni, jak gdyby podziemia, po których jechaliśmy, miały się pod nami otworzyć. Przybyliśmy ku wrotom jakiejś niskiej, na poły przesłoniętej odłamkami zniszczonego marmuru chaty, której drzwi i wąskie okna bez szyb i bez okiennic były sporządzone z marmuru i porfiru i ledwo spojone cementem. Mała, strzałkowata, kamienna arkada wznosiła się na stopę lub dwie nad tarasem, który zastępował tej lepiance dach, a w tej arkadzie za każdym podmuchem wiatru kołysał się dzwonek podobny do tych, jakie malują nad gro-

tami pustelników: była to siedziba arabskiego biskupa Baalbeku, który czuwał tu nad trzódką dwunastu, piętnastu rodzin chrześcijańskich ryty greckiego, zbłąkanych wśród tych pustyń i dzikiego plemienia niepodległych Arabów z Bekaa. Z istot żywych widzieliśmy dotychczas tylko szakale, które biegały między kolumnami wielkiej świątyni, i małe jaskółki, mające na szyi opaskę z różowego puchu, które niczym jakaś ozdoba wschodniej architektury siedziały na gzymsach tarasu. Biskup, posłyszawszy tętent naszej kawalkady, nadszedł niebawem i kłaniając się we drzwiach, ofiarował mi gościnę. Był to piękny starzec o srebrzystych włosach i brodzie, o poważnym, łagodnym wyrazie twarzy, o mowie szlachetnej, słodkiej i śpiewnej, zupełnie podobny do kapłana przedstawionego w jakimś poemacie lub powieści, którego postać tchnąca duchem pokoju, rezygnacji i miłosierdzia ze wszech miar licowała z uroczystym, skłaniającym do rozmyślań widokiem owych ruin. Wprowadził nas na mały dziedziniec wewnętrzny, zapełniony odłamkami posągów, szczątkami mozaiki i waz starożytnych, i oddając nam swój dom, czyli dwie małe, niskie izdebki bez sprzętów i drzwi, odszedł i wedle wschodniego zwyczaju zostawił nas jako całkowitych panów swojej siedziby.

Kiedy nasi Arabowie wbijali w ziemię naokoło domu żelazne kołki, aby do nich poprzywiązywać konie, a inni rozpalali ogień na podwórzu, aby nam przyrządzić pilaw i upiec kilka jęczmiennych placków, wyszliśmy, aby jeszcze raz spojrzeć na otaczające nas budowle. Wielkie świątynie, jak posągi na swoich postumentach, wznosiły się przed nami, słońce oświetlało je niepewnym, ostatnim blaskiem, który z wolna przesuwał się z jednej kolumny na drugą, jak błysk lampy, którą kapłan niesie w głąb świętego przybytku: tysiące cieni, padających od przed-sionków, filarów, kolumnad, ołtarzy, coraz to rozrastało się pod ogromnym lasem kamiennym i z wolna przesłaniało lśniące na akropolu połyski marmuru i trawertynu. Nieco dalej, na równinie, niknąc aż na widnokregu, ciągnął się ocean ruin; można by rzec, że to kamienne fale rozbijały się o skałę i omywały ogromny, płaski brzeg swoją bielą i pianą. Ponad tym morzem szczątków nic się nie wznosiło, a noc, zstępująca z, już poszarzałych szczytów górskiego łańcucha, spowijała je powoli swoim cieniem. W milczeniu siedzieliśmy przez kilka chwil przed tym krajobrazem, a potem wolnym krokiem wróciliśmy na mały dziedziniec domu biskupa, oświetlony ogniskiem Arabów.

Usiadłszy na kilku odłamkach gzymsów i kapiteli, które słu-

żyły tu jako ławy, zjedliśmy naprędce skromną wieszczkę podróżnika na pustyni i nim udaliśmy się na spoczynek, rozmawialiśmy o tym, co napełniało nasze myśli. Ognisko gasło, ale księżyc wznosił się pełny i błyszczący na czystym niebie, a przesuwając się między blankami wielkiego muru z białych kamieni, który oddzielał dziedziniec od pustyni, i powycinanymi w arabeski framugami okna, oświetlił wnętrze blaskiem lśniącem na wszystkich kamieniach. Ogarnęła nas cisza i rozmarzenie; co myśleliśmy w owej chwili, w owym miejscu tak odległym od świata żywych, w owym świecie umarłych, wobec tych niemych świadków przeszłości, która, choć nieznana, burzy wszystkie nasze nędzne teorie dziejów i filozofii rodu ludzkiego, co w naszych umysłach lub sercach odbijało się echem naszych poglądów, naszych wyobrażeń, a może też, niestety, naszych wspomnień i uczuć, Bóg to jeden wie, toteż nasze usta nie usiłowały tego wypowiedzieć, lękały się bowiem skazić wzniosłość tej chwili, tego księżyca, nawet tych myśli: milczeliśmy. Nagle, ze zwalisk, spoza wielkiego muru, w którym były gotyckie okna w arabeski, a nad nim jak gdyby zapadły dach, niby łagodna, miłosna skarga rozległy się jakieś dźwięki uroczyście, pełne namietności; owe dźwięki, ciche i niewyraźne, rozbrzmiewały coraz donośniej, aż wreszcie usłyszeliśmy śpiew wielogłosowego chóru, śpiew monotony, melancholijny i tkliwy, który to wznosił się, to zniżał, zamierał, rodził się na nowo i sam sobie odpowiadał: była to modlitwa wieczorna, którą biskup arabski odmawiał z swoją trzódką pośród zwalisk, co stanowiły jego kościół, w stosach gruzów niedawno nagromadzonych przez Arabów bałwochwalców. Nie byliśmy przygotowani do tej muzyki duszy, której każda nuta, wydobywając się spośród niemych kamieni, zwalonych tu przez trzęsienia ziemi, wieki lub dłonią barbarzyńców, jest na tym odludziu, w głębi pustyni, wyrazem uczucia lub westchnieniem ludzkiego serca. Ogarnęło nas silne wzruszenie i żarliwością naszych myśli, modlitw i wypełniającej nas poezji towarzyszyliśmy owej poezji świętej tak długo, aż nie zamilkły monotonicznie powtarzane litanie, a ostatnie westchnienia pobożnych głosów nie ucichły pośród zwykłej ciszy tych odwiecznych zwalisk.

Tegoż dnia.

Świątynie sprawiły, że zapomnieliśmy o gonitwie z dzirytem, którą władca Baalbeku chciał nas zaszczycić; spędziliśmy cały ranek zwiedzając je znowu. O czwartej zjawiono się kilku Arabów, aby nas zawiadomić, że jedźdźcy już są na równinie u po-

dnóża świątyń, lecz zniecierpliwieni naszą zwłoką chcą odjechać, a emir ze względu na naszą przedłużającą się nieobecność przypuszczając, że to widowisko nie było nam przyjemne, prosił, abyśmy po zaspokojeniu tu naszej ciekawości zechcieli przybyć do jego pałacu, gdzie przygotował dla nas inną rozrywkę. Zdziwiła nas ta tolerancja naczelnika dzikiego plemienia Arabów, najgroźniejszych na tej pustyni. Arabowie i Turcy w ogóle nie pozwalają, by cudzoziemcy sami zwiedzali ruiny dawnych budowli, sądzą bowiem, że w tych gruzach pod strażą geniuszów lub złych duchów znajdują się ogromne skarby i że Europejczycy znają czarnoksiężskie słowa mające moc ich odkrywania, a ponieważ Arabowie nie chcieliby ich utracić, więc w tych okolicach ogromnie pilnują Franków; tu zaś, przeciwnie, byliśmy zostawieni sami sobie, nie mieliśmy nawet arabskiego przewodnika, a dzieci oddaliły się przez uszanowanie. Nie pojmuję, co sprawiło, że emir Baalbeku okazywał nam tyle względów, może mniemał, że jesteśmy wysłańcami Ibrahima Paszy. W każdym razie było nas zbyt mało, aby wzbudzić choćby najlżejszą obawę w plemienu składającym się z pięciuset, sześciuset ludzi nawykłych do walki i żyjących z grabieży, a jednakże nie odważyli się ani do nas przybliżyć, ani zapytać, ani opierać się jakiemukolwiek naszemu działaniu: mogliśmy przez miesiąc pozostać w świątyniach, przeszukiwać je, zabrać najcenniejsze odłamki tych rzeźb, a nikt by się nie sprzeciwił. Żałuję ogromnie, że tu, podobnie jak nad Morzem Martwym, nie wiedziałem z góry o tak życzliwym usposobieniu tych plemion względem nas: byłbym sprowadził robotników i juczne wielbłądy i wzbogacił wiedzę i muzea.

Opuściwszy świątynie, udaliśmy się do pałacu emira. Obszar opuszczonych, ale mniej ważnych ruin oddziela wzgórze wielkich świątyń, czyli akropol Baalbeku, od nowego Baalbeku, zamieszanego przez Arabów. Jest to tylko zbiorowisko nędznych zabudowań po stokroć burzonych w nieustannych walkach; ludność zagnieździła się, jak mogła, w rozdołach powstałych z tylu szczątków, kilka gałęzi drzew, kilka strzech pokrywa te mieszkania, których drzwi i okna są nieraz sporządzone z kawałków najwspanialszych zwalisk.

Przestrzeń zajęta przez owe ruiny nowoczesnego miasta jest ogromna: rozciąga się ono tak daleko, jak okiem sięgnąć, i daje białe tło dwóm niskim wzgórzom, które faliście wznoszą się nad wielką równiną; widok jest smutny i przykry. Te nowoczesne gruzy przypominają mi ruiny Aten, które widziałem przed rokiem. Surowa i bez połysku biel owych murów zwalonych na

ziemię i porozrzucanych kamieni nie ma w sobie nic z majestatu ani ze złocistej barwy zwałisk naprawdę starożytnych; przypomina to jakiś ogromny brzeg morski pokryty pianą. Pałac emira to dość rozległy dziedziniec otoczony różnokształtnymi ruderami; całość wyglądała jak podwórze jakiegoś nędznego gospodarstwa w naszych najbiedniejszych prowincjach; przy bramie trzymało straż kilku uzbrojonych Arabów; tłum cisnął się do niej, straż zrobiła nam miejsce i wprowadziła do wnętrza. Na dziedzińcu pełno już było wszelkich naczelników plemienia i mnóstwo ludu. Emir i jego rodzina, a także znakomitsi szajki w kaftanach i we wspaniałych, ale postrzępionych płaszczach podbitych futrem siedzieli na podwyższeniu wzniesionym nad tłumem i przylegającym do głównej budowli. Za nimi stali słudzy, ludzie zbrojni i czarni niewolnicy. Kiedy zbliżyliśmy się, emir i jego świta wstali; weszliśmy z pomocą służby po kilku ogromnych stopniach z kamieni rozmaitej wielkości, które służyły jako schody wiodące na podwyższenie, i po zwykłych grzecznościach emir poprosił nas, abyśmy zajęli miejsce na sofie obok niego; podano mi fajkę i widowisko się rozpoczęło.

Muzyka złożona z bębnow, tamburynów, przenikliwych piszczałek i metalowych triangelów, w które uderzano takimiż pałeczkami, dała znak. Czterech czy pięciu skoczków ubranych najdziwaczniej: jedni w strojach męskich, drudzy w kobiecych, wystąpiło na środek dziedzińca i wykonywało najbardziej dziwaczne i rozwiązłe tańce, jakie znieść mogło tylko oko barbarzyńców. Te tańce, ciągle jednakowe, trwały przeszło godzinę; przeplatano je niekiedy kilkoma słowami lub gestami i zmianą ubiorów, co świadczyło o jakichś intencjach reżyserskich; ale jedno tylko było zrozumiałe, a mianowicie okropne, odrażające zepsucie obyczajów, o jakim świadczyły ruchy tych tancerzy. Odwracałem oczy, nawet emir zdawał się wstydzić tych gorszących uciech swojego ludu i podobnie jak ja przyjmował je oznakami pogardy; ale okrzyki i uniesienie pozostałych widzów okazywane za każdym razem, gdy figury taneczne wyrażały najobrzydliwsze sprośności, stanowiły nagrodę dla wykonawców.

Tańczyli tak, aż utrudzeni i oblani potem, nie mogąc już nadażyć coraz to szybszym rytmom muzyki, upadli na ziemię. Kobiety nie były obecne na tym widowisku, ale żony emira, którego harem wychodził na dziedziniec, przypatrywały się ze swoich komnat i widzieliśmy przez drewniane kraty, jak cisnęły się do okien, aby przyjrzeć się tancerzom. Niewolnicy emira przynosili nam w kryształowych kubkach sorbety, różnego rodzaju konfi-



tury, a także zamrożone najwyborniejsze napoje z soku granatów i kwiatu pomarańczowego; inni podawali nam do otarcia ust serwety muślinowe haftowane złotem. Obnoszono także kilkakrotnie kawę i bez przerwy odmieniano fajki. Rozmawiałem jakie pół godziny z emirem; wydał mi się człowiekiem rozsądnym i inteligentnym, znacznie przerastającym wyobrażenie, jakie by można powziąć o nim na podstawie nieokrzęsanych zabaw jego ludu; jest to człowiek blisko pięćdziesięcioletni, dorodny, o obejściu niezwykle godnym i szlachetnym, bardzo uprzejmy, słowem, obdarzony tymi wszystkimi przymiotami, które cechują nawet najostatniejszego z Arabów, stanowiąc dar klimatu lub też dziedzictwo starożytnej cywilizacji. Ubiór jego i broń odznaczały się wielką okazałością. Jego przepyszne konie stały rozstawione po dziedzińcach i na drodze; ofiarował mi jednego z najpiękniejszych wierzchowców; z niezwykłą dyskrecją zadawał mi pytania dotyczące Europy, Ibrahima, celu mojej podróży' po tych pustyniach. Odpowiadałem mu z udaną powściągliwością, chcąc go utrzymać w mniemaniu, że miałem na celu właściwie zupełnie coś innego niż oglądanie kolumn i ruin. Oświadczył, że gotów rozkazać całemu swojemu plemieniu, aby odprowadziło mnie do Damaszku przez nie zbadane pasmo Antylibanu, które chciałem przebyć. Zgodziłem się jedynie, aby jako przewodnicy i zbrojna eskorta towarzyszyło nam kilku jezdnych, i wyszedłem w towarzystwie wszystkich szejków, którzy odprowadzili mnie konno aż do drzwi domu biskupa greckiego. Wydałem rozkaz do wyjazdu na dzień następny i spędziliśmy ten wieczór na rozmowie z czcigodnym gospodarzem, z którym wkrótce mieliśmy się rozstać. Kilkaset piastrow, które mu zostawiłem jako jałmużnę dla jego trzódki, wynagrodziło mu koszta okazanej nam gościnności. Zechciał zająć się wysłaniem wielbłąda, obładowanego odłamkami rzeźb, które pragnąłem zabrać do Europy; wywiązał się doskonale z tego zlecenia i po moim powrocie do Syrii zastałem już w Bejrucie te cenne zabytki.

31 marca 1833.

Wyjechaliśmy z Baalbeku o czwartej rano; kawalkada składała się ze zwykłej liczby mukrów, Arabów, sług, eskorty i ośmiu jezdnych z Baalbeku, którzy jechali o dwieście, trzysta kroków przed nami; zaczynało świtać, kiedy przejeżdżaliśmy pierwsze wzgórze wznoszące się w stronę łańcucha Antylibanu. Całe to wzgórze jest pocięte ogromnymi, głębokimi kamieniołomami, z których wydobyto bryły owych olbrzymich budowli, stanowią-

cych przedmiot naszego podziwu. Słońce zaczynało ozłacać ich szczyty, lśniły na równinie u naszych stóp jak bryły złota; nie mogliśmy od nich oderwać wzroku; ze dwadzieścia razy zatrzymywaliśmy się, nim zaczęliśmy tracić je z oczu; na koniec znikły na zawsze, zlewając się ze wzgórzem, a za pustynią widzieliśmy już tylko czarne lub ośnieżone szczyty gór w pobliżu Try-polisu i Latakii, rozplywające się na nieboskłonie.

Góry, przez które przejeżdżaliśmy, z początku niezbyt wysokie, są całkiem nagie i niemal puste. Grunt w zasadzie jest lichej i jałowej; ziemia w miejscach uprawnych czerwona. Są tam i piękne doliny o łagodnych, falistych zboczach, gdzie pług mógłby posuwać się bez przeszkód. Aż do południa nie napotkaliśmy ani podróżnych, ani wiosek, ani mieszkańców. Zatrzymaliśmy się i rozbiliśmy namioty u wejścia do głębokiego wąwozu, gdzie płynął potok teraz wyschły. Znaleźliśmy źródło pod skałą: woda obfita i wyborna; napełniliśmy nią dzbany zawieszane u siodła naszych koni. Po dwóch godzinach odpoczynku ruszyliśmy w drogę.

Przez blisko dwie godziny jechaliśmy stromą, urwistą ścieżką na zboczu wysokiej, skalistej góry. Przez wąwóz, który na prawo od nas stawał się coraz głębszy, biegła bruzda szerokiego łożyska bezwodnej rzeki. Skalista, szara, zupełnie naga góra wznosiła się z przeciwnej strony jak pionowy mur. Zaczęliśmy zjeżdżać w kierunku drugiego krańca tego wąwozu. Dwa konie, obciążone bagażami, stoczyły się w przepaść. Materace i kobierce, którymi były objuczone, złagodziły ich upadek i udało się nam je wyprowadzić. Rozstawiliśmy namioty u krańca wąwozu obok wybornego źródła. Noc spędziliśmy pośród niezbadanego labiryntu gór Antylibanu. Śnieg leżał zaledwie o pięćdziesiąt kroków nad nami. Arabowie rozniecili ogień z chrustu przed jakąś jaskinią, o dziesięć kroków od pagórka, na którym stał nasz namiot. Blask ognia wciskał się przez płótno i oświetlał wnętrze namiotu, w którym znaleźliśmy schronienie przed zimnem. Konie, choć okryte libetami, derkami z pilśni, rżały z bólu. Przez całą noc słyszeliśmy, jak jezdni z Baalbeku i żołnierze egipscy jęczeli pod swoimi płaszczami. Jakkolwiek pookrywani płaszczami i grubymi, wełnianymi kocami, sami z najwyższym trudem znosiliśmy ukąszenia tego lodowego, alpejskiego powietrza. O siódmej rano dosiedliśmy koni w jaśniejącym słońcu, które sprawiło, że zaczęliśmy zrzucać płaszcze i kaftany.

O ósmej wjechaliśmy na bardzo wysoko położoną równinę i mi-  
nieliśmy wielką wieś arabską, w której domy były obszerne, a po-

dwórza jak w Europie pełne bydła i drobiu. Nie zatrzymaliśmy się tu. Lud ten żyje w nieprzyjaźni z ludnością Baalbeku i Arabami syryjskimi. Są to plemiona prawie niepodległe, które mają bliższe związki raczej z ludnością Damaszku i Mezopotamii. Zdają się bogate i pracowite. Wszystkie równiny około tych wiosek są uprawiane. Na polach widzieliśmy mężczyzn, kobiety i dzieci. Orzą wołami. Napotkaliśmy szejków na drogocennych koniach i w bogatej odzieży jadących lub wracających z Damaszku; wyraz ich twarzy był brutalny i dziki; spoglądali na nas niechętnie i mijali bez powitania. Dzieci obrzucały nas głośnymi obelgami. W innej wiosce, odległej od pierwszej o dwie godziny drogi, z wielkim trudem zdołaliśmy kupić kilka kur i trochę ryżu na obiad dla kawalkady. O szóstej stanęliśmy obozem na polu wznoszącym się nad jakimś wąwozem, który prowadził ku rzece lśniącej z dala przed nami. Przez wąwóz płynął szumiąc niewielki potok, w którym napoiiliśmy konie. Powietrze było jeszcze ostre. Przed nami, u wejścia do wąwozu, wznosiły się szczyty skał skupione w piramidy i ginące w wysokim niebie. Na tych szczytach nie było jakiegokolwiek roślinności. Szara lub czarna barwa skał kontrastowała z lśniącą czystością nieboskłonu, w którym się zanurzały.

1 kwietnia 1833.

O szóstej rano dosiedliśmy koni. Cały dzień jechaliśmy bez postoju pośród urwistych gór, przedzielonych tylko wąskimi wąwozami, w których płynęły potoki stopionych śniegów. Ani jednego drzewa, ani kępki mchu na stokach tych gór. Ich dziwaczne, poutrącane, poobtlukiwane kształty przypominały budowle stawiane ręką ludzką. Jedna z nich, ogromna, stroma ze wszystkich stron jak piramida, miała chyba milę obwodu. Niepodobna odgadnąć, jakim sposobem można było kiedykolwiek się na nią dostać. Ani śladu ścieżek lub widocznych stopni: a jednak na wszystkich jej zboczach widniały grotty rozmaitej wielkości wykute ręką ludzką. Mnóstwo tu takich grot większych i małych, do których drzwi były rzeźbione dłutem w rozmaite wzory. Przed drzwiami kilku z nich, do których wchód otwierał się nad naszymi głowami, znajdowały się małe występy skalne. Na skale widać było resztki kaplic czy świątyń i stojące jeszcze kolumny; można by rzec, że to opuszczony ul ludzki. Arabowie przypisują wykucie tych grot chrześcijanom z Damaszku. Myślę, że to jedna z tych samotni, w której chronili się pierwsi chrześcijanie w epoce cenobityzmu lub prześladowań. Święty Paweł za-

łożył w Damaszku wielki Kościół i Kościół ten, długo kwitnący, uległ przemianom i prześladowaniom, jak wszystkie inne Kościoły Wschodu.

Zostawiliśmy tę górę po naszej lewej stronie, a wkrótce poza nami. Zjeżdżaliśmy szybko i przez niedostępne prawie przepaści ku bardziej rozłożystej i szerszej dolinie. Wypełniała ją urocza rzeka. Nad jej brzegami znowu pojawiła się roślinność: wierzby, topole, ogromne drzewa o dziwacznie pogiętych konarach, z czarnym listowiem, rosły w rozpadlinach nadbrzeżnych skał. Przez godzinę jechaliśmy wzdłuż tych czarownych brzegów, nieznacznie, ale ciągle opadających coraz niżej. Rzeka towarzyszyła nam, szemrząc i pieniając się tuż pod kopytami naszych koni. Wysokie góry, tworzące wąwóz, z którego wypływała, oddalały się i zaokrąślały, przechodząc w rozległe, lesiste grzbiety, oświetlone promieniami zachodzącego słońca; był to pierwszy, jaki ujrzeliśmy, widok Mezopotamii; niebawem zaczęliśmy spostrzegać coraz to szersze doliny, które wychodzą na wielką pustynną równinę, ciągnącą się od Damaszku do Bagdadu. Dolina, w której znajdowaliśmy się, była nieco kręta i coraz bardziej się rozszerzała. Na prawo i na lewo od rzeki zaczęliśmy dostrzegać ślady uprawy, usłyszeliśmy oddalone porykiwania bydła. Sady drzew morelowych, tak wielkich jak drzewa orzechowe, ciągnęły się po obu stronach drogi. Wkrótce, ku wielkiemu naszemu zdziwieniu, ujrzeliśmy żywopłoty, które, jak w Europie, oddzielały sady i ogrody, gdzie rosły warzywa i kwitły drzewa owocowe. Droga była szeroka, równa, dobrze utrzymana, jak w okolicach jakiegoś wielkiego miasta we Francji. Nikt z nas nie wiedział o istnieniu tej znanej oazy w samym środku nieprzystępnych gór Antylibanu. Zbliżaliśmy się do jakiegoś miasta lub wioski, której nazwy nie znaleźliśmy. Napotkany jeździec arabski powiedział nam, że jesteśmy w pobliżu wielkiej wsi o nazwie Zebedani<sup>11</sup>; widzieliśmy już jej dymy wznoszące się między wierzchołkami wielkich drzew rosnących w dolinie; wjechaliśmy w ulice wioski, szerokie, proste, z kamiennym chodnikiem po obu stronach. Domy przy nich stojące były obszerne, na podwórzach pełno bydła, przyległe ogrody obficie nawodnione i dobrze uprawne. Kobiety i dzieci stały we drzwiach, przypatrując się nam i witając nas z wyrazem szczerości i z uśmiechem. Zapytaliśmy, czy jest tu karawanseraj, gdzie moglibyśmy przenocować; odpowiedziano nam, że nie ma, ponieważ Zebedani nie leży przy trakcie, toteż karawany nigdy tędy nie przejeżdżają.

Długo krążąc po ulicach wioski, dotarliśmy do wielkiego pla-

eu nad brzegiem rzeki. Dom większy niż inne, poprzedzony tarasem, otoczony drzewami, świadczył, że jest siedzibą szejka. Podjechałem tam z moim tłumaczem i zapytałem o dom na nocleg. Niewolnicy poszli zawiadomić szejka; zjawił się po chwili sam; był to czcigodny starzec, siwobrody, o szczerym i miłym wyrazie twarzy. Ofiarował mi cały swój dom z taką gotowością i z taką gościnnością, jakich jeszcze nigdzie nie napotkałem. Jego liczni niewolnicy i znakomitsi mieszkańcy wioski natychmiast zajęli się naszymi końmi i zaprowadzili je do obszernej szopy, gdzie zdjęli z nich bagaże i naznosili im całe stopy jęczmienia i słomy. Szejk rozkazał kobietom, aby odeszły do swoich pokoi, i wprowadził nas najpierw do salonu, gdzie podano nam kawę i sorbety, a potem zostawił wszystkie pokoje swojego domu do naszego rozporządzenia. Zapytał mnie, czy chcę, aby jego niewolnicy przygotowali nam posiłek. Poprosiłem, aby pozwolił mojemu kucharzowi oszczędzić im tego trudu i aby kazał tylko dostarczyć mi jedno cielę i kilka baranów, ponieważ od opuszczenia Baalbeku nasze zapasy żywności już się wyczerpały. Wkrótce przyprowadzono cielę i barany, które zabił miejscowy rzeźnik, a kiedy nasi ludzie przygotowywali wieczerzę, szejk przedstawił nam znakomitszych mieszkańców, swoich krewnych i przyjaciół. Poprosił mnie nawet, abym pozwolił wprowadzić jego kobiety do pokoju pani de Lamartine. „Bardzo chciałyby — powiedział — zobaczyć kobietę z Europy i przypatrzeć się jej strojom i klejnotom.” Niebawem kobiety, zasłonięte, minęły pokój, w którym znajdowaliśmy się, i weszły do pokoju mojej żony. Było ich trzy: jedna, starsza, była chyba matką obu pozostałych: dwie młode, niezwyklej urody, okazywały starszej wielki szacunek, względy i przywiązanie. Moja żona dała im kilka drobnych upominków, a one w zamian ofiarowały jej jakieś drobiazgi.

Podczas tych odwiedzin czcigodny szejk Zebedani zaprowadził nas na taras, który kazał wznieść opodal swojego domu, nad brzegiem rzeki. Na słupach, osadzonych w korycie rzeki, ułożono posadzkę okrytą kobiercem; dokoła sofa, a ogromne drzewo, podobne do tych, które widzieliśmy po obu stronach drogi, ocieniało i taras, i rzekę. Tutaj szejk, jak wszyscy Turcy, spędza wolne godziny słuchając szmeru dającej chłód rzeki, która pieni się przed jego oczyma, w cieniu drzewa i wśród śpiewu mnóstwa ptaków siedzących na gałęziach. Ten wiszący taras był połączony z domem mostem z desek. Był to jeden z najpiękniejszych widoków, jakie oglądałem w moich podróżach. Wzrok prześlizgiwał się po ostatnich zaokrąglonych, ciemnych grzbietach

Antylibanu, nad którymi wznoszą się piramidy Czarnej Skąły lub szczyty okryte śniegiem; potem wraz z rzeką i jej spienionymi falami zsuwał się między nierówne wierzchołki lasów o rozmaitym zadrzewieniu, które kreślą jej bieg, i gubił się wraz z nią na nizinach Mezopotamii, co, niczym zielona zatoka, wdzierają się w załomy gór.

Gdy podano wieczerzę, poprosiłem szejka, aby zechciał zasiąść z nami do stołu. Przyjął łaskawie moje zaproszenie i wydawało się, że sposób jedzenia Europejczyków bardzo go bawił. Nigdy nie widział żadnych przyborów używanych przy naszych stołach. Nie pił wcale wina i nie próbowaliśmy go do tego namawiać. Sumienie muzułmanina jest tak samo godne poszanowania jak nasze. Nakłanianie Turka do przekroczenia prawa nakazanego mu religią zawsze wydawało mi się takim samym występkiem i absurdem jak kuszenie chrześcijanina. Długo rozmawialiśmy o Europie, o naszych zwyczajach, których zdawał się być wielkim wielbicielem. Jego rodzina od wieków rządziła tym uprzywilejowanym okręgiem Antylibanu i cała chluba za udoskonalenie posiadłości, rolnictwa, porządku publicznego i czystości, które podziwialiśmy przejeżdżając obszary Zebedani, należy się temu znakomitemu rodowi szejków. Tak samo dzieje się na całym Wschodzie. Wszystko u nich jest wyjątkiem i nieprawidłowością. Dobro trwa tu tak samo bez kresu jak zło. Patrząc na tę uroczą wioskę, mogliśmy ocenić, czym byłyby te prowincje, gdyby wykorzystano ich naturalną urodzajność.

Szejk podziwiał moją broń, a zwłaszcza parę pistoletów pistonowych, i nie mógł nawet ukryć, jak byłby szczęśliwy, gdyby je posiadał. Ale nie mogłem mu ich ofiarować. Były to moje pistolety obronne, z którymi chciałem powrócić do Europy. Podarowałem mu złoty zegarek dla żony. Przyjął ów dar z owym pełnym grzeczności oporem, z jakim przyjmujemy takie prezenty w Europie, i udał nawet, że jest niezwykle zadowolony, choć nie mogłem wątpić o jego szczególnym upodobaniu do pary pistoletów. Przyniesiono nam jako posłanie mnóstwo poduszek i kobierców; rozłożyliśmy je w salonie, gdzie szejk sam sypiał, i zaśnaliśmy przy szumie rzeki, która płynęła pod naszymi łózkami.

Nazajutrz wyruszyłem o brzasku, minąłem drugą połowę wioski Zebedani, jeszcze piękniejszą od tej, którą widzieliśmy wczoraj. Szejk kazał kilku konnym ze swojego plemienia, aby towarzyszyli nam aż do Damaszku. Zwolniliśmy więc jezdnych emira Baalbeku, ponieważ nie byłiby bezpieczni w okolicach Da-

maszku. Jechaliśmy jaką godzinę drogą wysadzoną żywopłotem, tak szeroką i tak starannie utrzymaną jak we Francji. Okrywało ją sklepienie z gałęzi drzew morelowych i grusz; z prawa i z lewa ciągnęły się bezkresne sady, potem pola uprawne, na których było pełno ludzi i bydła. Wszystkie te sady są nawodnione strumieniami spływającymi z gór wznoszących się z lewej strony. Wierzchołki gór były pokryte śniegiem. Wzrok, ogarniając tę ogromną równinę, zatrzymywał się dopiero na skraju odkrytych kwiatami drzew. Po trzech godzinach jazdy drogą, która przypominała najpiękniejsze krajobrazy Anglii czy Lombardii, gdzie nic nie nasuwało myśli o pustyni i o barbarzyństwie, wjechaliśmy w krainę nieurodzajną i nie tak łagodną. Roślinność i uprawy znikły niemal zupełnie. Przed nami ciągnęły się skaliste wzgórza, zaledwie okryte żółtawym mchem, a za nimi wznosiły się, wyższe od nich i tak samo nagie, szare góry. Rozbiliśmy namioty u podnóża tych gór, z dala od wszelkiej ludzkiej siedziby. Nocowaliśmy tam nad brzegiem potoku, który płynął pośród skał i huczał między nimi jak grzmot bezustanny, tocząc szlamu i strzępy śniegu.

O szóstej dosiedliśmy koni. To ostatni dzień naszej podróży; uzupełniliśmy nasze tureckie stroje, aby w okolicach Damaszku nie uchodzić za Franków. Moja żona przywdziała strój kobiet arabskich i długą zasłonę z białego płótna, która okrywała ją od głowy do stóp. Nasi Arabowie także ubrali się staranniej i wskazując nam palcami góry, które jeszcze mieliśmy przebyć, wykrzykiwali: „Szam! Szam!” Tak Arabowie nazywają Damaszek. Fanatyzm ludności Damaszku i okolic nakazuje ową ostrożność Frankom ośmielającym się zwiedzać to miasto. Spomiędzy wszystkich ludów Wschodu tylko mieszkańcy Damaszku żywią coraz to większą nienawiść religijną i odrazę do imienia i ubioru Europejczyków. Tylko oni jedni nie zgodzili się na dopuszczenie konsulów, a nawet agentów konsularnych mocarstw chrześcijańskich. Damaszek to miasto święte, fanatyczne i wolne; nic nie powinno go skazić.

Pomimo grózb Porty, mimo jeszcze groźniejszej interwencji Ibrahima Paszy i dwunastotysięcznej załogi żołnierzy egipskich i cudzoziemskich, ludność Damaszku uporczywie odmawiała wstępu do miasta angielskiemu konsulowi jeneralnemu w Syrii. Na samą wieść o zbliżaniu się konsula w mieście dwukrotnie wybuchły gwałtowne zaburzenia. Gdyby nie zawrócił z drogi, byłiby go rozszarpali. Ten stan rzeczy trwa ciągle; przybycie Europejczyka w ubiorze Franka spowodowałoby nowe poruszenie,

toż niepokoiśmy się, czy nie dotarła tam wieść o naszej podróży i czy nie narażamy się na poważne niebezpieczeństwo. Przedsięwzięliśmy wszelkie środki ostrożności. Wszyscy mieliśmy na sobie stroje tureckie. Jeden tylko Europejczyk, który przybrał obyczaje i ubiór arabski, a uchodzi za kupca ormiańskiego, od kilku lat naraża się na niebezpieczeństwo mieszkania w tym mieście, chcąc okazać się użyteczny dla handlu na wybrzeżu Syrii i dla podróżnych, których los zapędzi w te niegościnnie krainy. Jest to pan Baudin, agent konsularny Francji i całej Europy. Pan Baudin, dawny pełnomocnik lady Stanhope, towarzyszący jej w pierwszych podróżach do Baalbeku i Palmiry, potem użyty przez rząd francuski do zakupu koni na pustyni, mówi po arabsku jak rodowity Arab i nawiązał przyjazne stosunki handlowe ze wszystkimi plemionami koczującymi na pustyniach otaczających Damaszek. Poślubił Arabkę pochodzenia europejskiego. Od dziesięciu lat przebywa w Damaszku i mimo nawiązanych licznych stosunków życiu jego wielokrotnie zagrażała fanatyczna wściekłość mieszkańców miasta. Dwa razy musiał uciekać przed niechybną śmiercią. Zbudował sobie dom w Zahle, niewielkim miasteczku chrześcijańskim na zboczach Libanu, i tam zazwyczaj chroni się podczas zaburzeń. Pan Baudin, którego życiu ciągle zagraża niebezpieczeństwo w Damaszku i który w tym wielkim mieście jest jedynym ośrodkiem łączności, jedynym ogniwem polityki i handlu europejskiego, pobiera od rządu francuskiego jako całe wynagrodzenie za swoje niezmierne usługi skromną płacę tysiąca pięciuset franków, gdy tymczasem konsulowie, żyjąc w całkowitym bezpieczeństwie i pośród wszelkich wygód w innych miastach lewantyńskich, otrzymują zaszczytne i hojne wynagrodzenia. Nie pojmuje, co sprawia, że rządy europejskie, a zwłaszcza rząd francuski, okazując taką niesprawiedliwość czy obojętność, tak zaniedbują owego młodego, pojętnego, uczciwego, usłużnego, odważnego i czynnego człowieka, który świadczy i będzie świadczył największe przysługi swojemu krajowi. Obawiam się, że rządy te doprowadzą do jego zguby.

Poznałem pana Baudin w Syrii zeszłego roku i z nim ułożyłem moją podróż do Damaszku. Ponieważ wiedział o moim wyjeździe i o moim bliskim przybyciu, posłałem do niego Araba z wiadomością, kiedy znajdę się w pobliżu miasta, a także z prośbą, aby mi przysłał przewodnika, który by nam wskazał, dokąd mamy się udać i jak postępować.

O dziewiątej rano jechaliśmy wzdłuż góry, na której wznosiły się domy wiejskie i ciągnęły się ogrody mieszkańców Damaszku.



U podnóża góry piękny most łączył brzegi płynącego tu potoku. Widzieliśmy długie szeregi wielbłądów obciążonych kamieniami przeznaczonymi do nowych budowli; wszystko zapowiadało bliskość ogromnej stolicy; po godzinie ujrzeliśmy na niewielkim wzniesieniu mały, samotny meczet, siedzibę jakiegoś pustelnika mahometańskiego; obok meczetu bije źródło, a miedziane kubki, przytwierdzone do jego ocembrowania, pozwalają podróżnemu, aby się ochłodził. Zatrzymaliśmy się chwilę w tym miejscu w cieniu dorodnej sykomory; na drodze widać już było wielu podróżnych, wieśniaków i żołnierzy arabskich; dosiedliśmy znów koni, a po kilkuset krokach wjechaliśmy w głęboki wąwóz, gdzie z lewej strony prostopadle nad naszymi głowami wznosiła się góra łupkowa, a z prawej — wystawał gzyms skalny wysokości trzydziestu, czterdziestu stóp; zjeżdżaliśmy po urwisku, a kamienie osuwały się spod kopyt naszych koni. Jechałem na przedzie, o kilka kroków za Arabami z Zebedani, którzy nagle zatrzymali się z okrzykiem radości, wskazując mi jakiś prześwit w przydrożnej skale; podjechałem tam i przez szczelinę skalną ujrzałem najwspanialszy i najdziwniejszy krajobraz, jaki kiedykolwiek było dane oglądać człowiekowi: o kilkaset stóp pode mną widniał Damaszek i jego bezkresna pustynia. Spojrzenie padało najpierw na miasto, które, otoczone murami z czarnego i żółtego marmuru, osłonięte wznoszącymi się w jednakowych odstępach niezliczonymi czworobocznymi wieżami, zwieńczone rzeźbionymi blankami i widniejącym ponad nim lasem różnokształtnych minaretów, przecięte siedmioma odnogami płynącej przez nie rzeki i mnóstwem strumieni, ciągnęło się, jak okiem sięgnąć, pośród labiryntu kwitnących ogrodów, wysuwając gdzieś tam ogromne odnogi na rozległą równinę, zewsząd ocienioną, zewsząd otoczoną na dziesięć mil wokoło lasami moreli, sykomor, drzew różnego kształtu i różnej zieleni. Raz zdawało się nikać pod sklepieniami tych drzew, potem pojawiało się znowu jako wielkie wyspy domów, przedmieść, wiosek, jako labirynt ogrodów, sadów, pałaców, strumieni, w których wzrok gubił się, porzucając jeden przedmiot zachwyty, aby po chwili napawać się innym. Przystanęliśmy; skupieni u wąskiego prześwitu, wybitego niby okno, podziwialiśmy, to wydając okrzyki, to znów milcząc, ten czarodziejski widok, który tak niespodziewanie w całym swoim ogromie rozpostarł się przed naszymi oczyma u kresu drogi, po przebyciu tylu skał i jałowych pustkowi, u wjazdu na pustynię, której granicami są Bagdad i Bassora, a na której przebycie trzeba czterdziestu dni.

Wreszcie ruszyliśmy w drogę; parapet skał, przesłaniający równinę i miasto, zniżał się nieznacznie, a niebawem mogliśmy napawać się widokiem całego krajobrazu. Już tylko pięćset kroków dzieliło nas od murów przedmiejskich; mury te, otoczone uroczymi pawilonami i domami wiejskimi w kształcie i stylu na wskroś wschodnim, lśnią jak złota opaska naokoło Damaszku; kwadratowe wieże, wznoszące się spośród linii owych murów, są zdobione arabeskami, otwory w nich poprzebijane mają kształt ostrołuków ze smukłymi kolumnkami, podobnymi do posplatanych z sobą trzcin, a ich blanki przypominają zawoje; mury są obłożone kamieniem lub z wytworną symetrią żółtym i na przemian czarnym marmurem; wierzchołki cyprysów i innych wielkich drzew, rosnących w ogrodach i w środku miasta, wznoszą się ponad mury i wieże, wieńcząc je swoją ciemną zielenią. Niezliczone kopuły meczetów i pałaców miasta, liczącego czterysta tysięcy mieszkańców, odbijały promienie zachodzącego słońca, a błękitne, jaśniejsze wody siedmiu rzek to skrzyły się, to znikwały pośród ulic i ogrodów. Widnokrag za miastem był bezkresny jak morze; zlewał się z purpurowymi brzegami tego ognistego nieba, które rozplomieniał jeszcze odblask piasków ogromnej pustyni; z prawej strony rozległe, wysokie grzbiety Antylibanu biegły, jedno za drugim, niby ogromne fale cienia: to niby przylądki sięgając na równinę, to otwierając się jak głębokie zatoki, w których równina zanurzała się ze swoimi lasami i wielkimi wioskami, liczącymi niekiedy do trzydziestu tysięcy mieszkańców; odnogi rzeki i dwa wielkie jeziora lśniły w mroku ciemnej zieleni, która jak gdyby zatopiła Damaszek. Z lewej strony równina stopniowo stawała się coraz szersza i dopiero w odległości jakichś dwunastu, piętnastu mil widać było białe od śniegu szczyty gór, które lśniły na błękicie nieba jak obłoki nad oceanem. Miasto szczelnie otaczają sady owocowe, w których, jak w Neapolu, winograd oplata drzewa figowe, morele, grusze i wiśnie; grunt, na którym rosną te drzewa, jest tłusty, urodzajny i zawsze wilgotny, uprawia się na nim jęczmień, pszenicę, kukurydzę i wszelkie rośliny strączkowe, które ta ziemia wydaje; małe białe domki przezierają tu i ówdzie z zieleni lasów, służąc jako mieszkanie ogrodników lub miejsca wypoczynku rodziny właściciela; w ogrodach pełno koni, owiec, wielbłądów, synogarlic, słowem, wszystkiego, co ożywia krajobraz; ich wielkość nie przekracza zwykle morgi lub dwóch, dzielą je albo mury z gliny wysuszonej w słońcu, albo dorodne żywopłoty; mnóstwo ocienionych dróg, ciągnących się wzdłuż strumieni, biegnie pomię-

dzy tymi ogrodami, łącząc z sobą rozmaite przedmieścia lub wiodąc do bram miasta, drogi te rozchodzą się promieniście na obszarze od dwudziestu do trzydziestu mil wokół Damaszku.

Od kilku chwil jechaliśmy w milczeniu przez te labirynty sadów, zaniepokojeni, że się nie zjawia zapowiadany przewodnik; zatrzymaliśmy się; wreszcie nadszedł, był to biedny Ormianin, nędznie ubrany, w czarnym zawoju, jaki muszą nosić chrześcijanie w Damaszku; podszedł po prostu do karawany, powiedział hasło, dał znak i zamiast poprowadzić nas do miasta przez przedmieścia i bramę będącą przed nami, wiódł nas wzdłuż murów, które objechaliśmy prawie dokoła, przez ów labirynt ogrodów i pawilonów, i wprowadził nas jakąś odludną bramą w pobliżu dzielnicy zamieszkaanej przez Ormian. Dom należący do pana Baudin, który zechciał przygotować dla nas u siebie mieszkanie, znajdował się właśnie w tej dzielnicy. Nic nam nie powiedziano przy pierwszej bramie miasta; minawszy ją, jechaliśmy długo wzdłuż wysokich murów o okratowanych oknach; po przeciwnej stronie ulicy wielkim głębokim kanałem bystro płynęła woda, która obracała koła kilku młynów. Przy końcu tej ulicy zatrzymano nas i usłyszałem, że moi Arabowie sprzecząją się z żołnierzami trzymającymi straż przy drugiej bramie wewnętrznej, każda bowiem dzielnica ma oddzielną bramę; nie chciałem, aby mnie poznano, i pragnąłem, aby nasza kawalkada uchodziła za karawanę kupców syryjskich, lecz kiedy spór nie ustawał i stając się coraz głośniejszy, sprawił, że wokół nas zaczął gromadzić się tłum, dałem koniowi ostrogę i podjechałem ku przodowi. Była to warta wojsk egipskich, która dostrzegłszy dwie strzelby myśliwskie, źle ukryte przez moich służących arabskich pod derkami koni, nie chciała nas wpuścić; rozkaz Szeryf Beja, obecnego gubernatora Damaszku, zabraniał wprowadzania broni do miasta, gdzie co noc obawiano się powstania i wyróżnienia wojsk egipskich. Szczęściem miałem w zanadrzu niedawno odebrany list Ibrahima Paszy; wyjąłem go i wręczyłem oficerowi dowodzącemu wartą; przeczytał go, podniósł do czoła i ust i wpuścił nas z tysiącem przeprosin i ukłonów. Błądziliśmy przez jakiś czas w ciemnym labiryncie brudnych i wąskich uliczek; tworzyły je małe, niskie domki, których gliniane mury zdawały się prawie na nas obalać; w oknach, przez kraty, widzieliśmy urocze twarze młodych Ormianek, które, zwabione odgłosem kopyt długiego zastępu naszych koni, przypatrywały się przejeżdżającym i przesyłały nam słowa powitania i przyjaźni. Wreszcie stanęliśmy przed małymi, wąskimi wrotami w ulicy, którą zaledwie można

się było precyzyjnie; zsiadliśmy z koni, mineliśmy jakiś ciemny, niski korytarz i jak gdyby za sprawą czarodziejskich mocy znaleźliśmy się na dziedzińcu wyłożonym marmurem, ocienionym sykomorami, ochładzanym dwoma mauretańskimi wodotryskami i otoczonym dokoła marmurowymi portykami oraz bogato ozdobionymi salonami: byliśmy u pana Baudin. Ten dom, jak wszystkie inne domy chrześcijan w Damaszku, zewnątrz był nędzną rudera, wewnątrz — przepyszny pałacem. Tyrania fanatycznego tłumu sprawia, że ci nieszczęśnicy muszą ukrywać swoje bogactwa i dobrobyt pod pozorami nędzy i ruiny. Nasze bagaże wypakowano przed wrotami, zapelniając cały dziedziniec tłumokami, namiotami i siodłami, a nasze konie zaprowadzono do stajni na bazarze.

Pan Baudin dał każdemu z nas piękny pokój umeblowany w stylu wschodnim i na jego sofach, przy jego gościnnym stole, wypoczęliśmy po trudach tak długiej podróży. Kiedy wśród nieznanego tłumu i obcego świata napotkamy człowieka znajomego i kochanego, to tak jak gdybyśmy odnaleźli ojczyznę; doznaliśmy tego uczucia w domu pana Baudin, a spędzone na rozmowach o Europie, o Azji miłe godziny wieczorne, przy świetle jego lampy, przy szumie wodotrysku na jego dziedzińcu, wryły się mi na zawsze w pamięć i w serce jako jeden z najrozkoszniejszych wypoczynków w moich podróżach.

Pan Baudin należy do tej niewielkiej liczby ludzi, którym natura niczego nie poskąpiła: jego umysł jest jasny i stanowczy, serce szlachetne i stałe, zdolność działania niestrudzona. W Europie czy w Azji, w Paryżu czy w Damaszku, na morzu czy lądzie, z łatwością przywyka do wszystkiego i wszędzie znajduje spokój i szczęście, ponieważ jego dusza, jak dusza Araba, jest uległa wobec wielkiego prawa, stanowiącego istotę chrześcijaństwa i islamu, którym jest poddanie się woli Boga, a także i dlatego, że jest obdarzony ową wynalazczą bystrością umysłu, stanowiącą drugą duszę Europejczyka. W jego mowie, postaci, obejściu uwidaczniały się ślady wszystkich odmian jego losu. Słyszając, jak rozmawia z nami o Francji, o naszej polityce, można by go wziąć za człowieka, który wczoraj przybył z Paryża i jutro tam wraca; widząc, jak wieczorem spoczywa na sofie między kupcem z Bassory i pielgrzymem tureckim z Bagdadu, kiedy w zawoju na głowie i w papuciach na nogach pali tytoń lub nar-gile i leniwie przesuwa palcami bursztynowe paciorki wschodniego różańca, kiedy co kwadrans ledwie wypowiada słowo o cenie kawy lub futer, można by go wziąć za handlarza niewolni-

## RUINY BAALBEKU

kami lub za pielgrzymą wracającego z Mekki. Według mnie pełnym człowiekiem jest ten tylko, kto wiele podróżował, kto ze dwadzieścia bodaj razy zmieniał obraz swoich myśli i życia. Ścisłe, jednostajne nawyki, jakich człowiek nabiera, wiodąc żywot regularny i monotony w swojej ojczyźnie, stanowią jak gdyby szablonowe formy, które wszystko pomniejszają. Myśl, filozofia, religia, charakter, wszystko jest większe, słusniejsze, prawdziwsze u tego, kto oglądał naturę i ludzi z wielu stanowisk. Daje to perspektywę w widzeniu świata zmysłowego i umysłowego. Podróżować w celu szukania mądrości było ważną maksymą starożytnych; nie pojęliśmy jej znaczenia: starożytni nie podróżowali tylko po to, aby szukać jakichś nie znanych sobie dogmatów i nauk filozofów, lecz aby widzieć wszystko i sądzić o wszystkim. Jeśli o mnie chodzi, nieustannie pochłania mnie myśl, dlaczego tak ciasno i tak małostkowo zapatrujemy się na rzeczy, na systemy i na ludy; a jeżeli mój umysł choć trochę się wzbogacił, moje spojrzenie stało się szersze, jeżeli, wszystko rozumiejąc, nauczyłem się wszystkiemu pobrać<sup>12</sup>, winienem to tylko temu, że często zmieniałem widoki i stanowiska. Zgłębiać wieki w dziejach, poznawać ludzi w podróżach i Boga w przyrodzie, oto wielka szkoła; my uczymy się wszystkiego z naszych nieszczęsnych książek i porównujemy wszystko z naszymi miejscowymi nawyczkami. A któż jest twórcą tych nawyczek i tych książek? Ludzie równie mali jak my. Otwórzmy księgę ksiąg; żyjemy, patrzmy, podróżujmy — świat jest księgą, w której za każdym krokiem odwracamy jedną stronicę — kto tylko jedną przeczytał, cóż wie?

# Damaszek

2 kwietnia 1833.

Przywdziawszy najzupełniejszy strój arabski, zwiedziłem dziś rano główne dzielnice Damaszku jedynie w towarzystwie pana Baudin z obawy, aby nieco liczniejsza gromada nieznanych osób nie ściągnęła na nas uwagi mieszkańców. Najpierw dość długo krążyliśmy po ciemnych, brudnych i krętych ulicach dzielnicy ormiańskiej. Można by powiedzieć, że to jakaś jedna z najędźniejszych naszych wiosek prowincjonalnych. Domy pobudowane z gliny; w ścianach od ulicy widać małe, rzadko rozstawione, okratowane okienka z pomalowanymi na czerwono okiennicami. Domy są niskie, a wrota o płaskich nadprożach jak wrota obór. Wszędzie, prawie przed każdymi wrotami, stoją nieczystości i kałuże wody i błota. Wstąpiliśmy jednak do kilku domów znakomitszych kupców ormiańskich i byłem zdumiony bogactwem i przepychem ich wnętrz. Minąwszy wrota i ciemny korytarz, wchodzi się na dziedziniec ozdobiony prześlicznymi wodotryskami z marmurowym ocembrowaniem, ocieniony zazwyczaj przez kilka sykomor lub wierzb płaczących. Dziedziniec jest wyłożony wielkimi taflami polerowanego kamienia lub marmuru; na murach pnie się winna latorośl; mury są wykładane białym i czarnym marmurem; pięcioro lub sześcioro drzwi, których oprawa jest także marmurowa i rzeźbiona w arabeski, prowadzi do tyłuż sal, czyli salonów, gdzie mieszkają mężczyźni i kobiety należące do rodziny. Salony te są obszerne i sklepione. Mają mnóstwo małych okien, umieszczonych bardzo wysoko, aby mogło tu bez przerwy dochodzić świeże powietrze. Prawie wszystkie te pokoje składają się z dwóch części: pierwszą, niższą, zajmują służący i niewolnicy, druga, wyższa, do której wchodzi się po kilku stopniach, jest oddzielona balustradą z marmuru lub kunsztownie rzeźbionego drzewa cedrowego. Zazwyczaj pośrodku lub w kątach salonu szemrzą jeden czy dwa wodotryski. Wokół nich stoją wazony z kwiatami, a jaskółki i oswojone gołębie przylatują tu swobodnie, aby napić się wody, i siadają na ocembrowaniu wodotrysków. Ściany do pewnej wysokości są wyłożone mar-

murem, wyżej zaś — stiukiem i pomalowane w tysiączne barwne arabeski, a często ozdobione nadzwyczaj bogatymi, złożonymi maswerkami.<sup>1</sup> Urządzenie składa się z przepysznych kobierców perskich lub bagdadzkich, które okrywają w całości posadzkę marmurową albo cedrową, i z mnóstwa poduszek i jedwabnych materaców rozrzuconych pośród pokoju i służących jako siedziska lub oparcie dla członków rodziny. Sofa, obleczone kosztownymi materiałami i znacznie cięższymi kobiercami, zajmuje głąb i obwód salonu. Kobiety i dzieci siedzą na niej zwykle z podwiniętymi nogami lub też leżą, zajmując się rozmaitymi pracami gospodarskimi. Kolebki małych dzieci stoją na posadzce pośród kobierców i poduszek; pan domu zajmuje zwykle jeden z tych salonów dla siebie; tu przyjmuje cudzoziemców; zazwyczaj można go zastać siedzącego na sofie, jego przybór do pisania z długą rękojeścią stoi przy nim na posadzce, on zaś trzyma arkusz papieru oparty na kolanie lub na lewej ręce i cały dzień pisze lub liczy, handel bowiem jest jedynym zajęciem i umiejętnością mieszkańców Damaszku.

Wszędzie, gdzie tylko odwzajemnialiśmy wizyty wczoraj nam złożone, gospodarze przyjmowali nas uprzejmie i serdecznie; podawano fajki, kawę, sorbety i wprowadzano do salonu, w którym przebywają kobiety. Choć miałem wysokie mniemanie o piękności kobiet w Syrii, choć dobrze zapamiętałem urodę mieszkanek Rzymu i Aten, widok kobiet i dziewcząt ormiańskich-w Damaszku przewyższał wszystko. Wszędzie prawie znajdowaliśmy oblicza, których nigdy nie skreślił pędzel europejski, oczy, w których pogodne światło duszy przybiera kolor ciemnego błękitu i rzuca promienie, jakich blasku nigdy nie widziałem w oczach kobiety, rysy tak delikatne i tak czyste, że najlepsza, najłagodniejsza ręka nie mogłaby ich naśladować, i cerę tak przejrzystą, a zarazem tak ukraszoną żywymi kolorami, że najdelikatniejsze barwy różanego listka nie zdołają oddać ich bladej świeżości; zęby, uśmiech, naturalna miękkość kształtów i ruchów, czysty, dźwięczny, srebrzysty głos, wszystko w tych zjawiskowych postaciach jest harmonijne; rozmawiają z wdziękiem, skromnością i umiarem, ale bez zakłopotania, jak gdyby nawykły do podziwu, który budzą; zdaje się, że długo zachowują urodę w tym klimacie, pośród tego życia, które upływa im w domu, pośród spokojnych wczasów, gdy sztucznie pobudzane namiętności wielkiego świata nie wycieńczają duszy ani ciała. We wszystkich prawie domach, gdzie mnie przyjęto, matki wydały mi się tak piękne jak córki, choć córki miały już chyba po piętnaście, szesna-

ście lat; idą za mąż w dwunastym lub trzynastym roku. Stroje tych kobiet wykwintem i szlachetnością przewyższają wszystkie, jakie dotąd podziwialiśmy na Wschodzie: głowa odsłonięta, włosy, zaplecione w warkocze z wpiętymi w nie kwiatami, kilkakrotnie wiją się nadczołem i w długich splotach spadają z obu stron na obnażone ramiona; warkocze są przetkane girlandami złotych monet i sznurami pereł; mała czapeczka z misternie wyrobionego złota zdobi wierzch głowy; pierś prawie odkryta; kaftanik z szerokimi, otwartymi rękawami z jedwabiu przetykanego złotem lub srebrem; szerokie białe pantaloney spadające fałdźście aż do kostek; stopy w cizemkach z żółtego safianu; długa, jasna suknia jedwabna sięgająca ramion, otwarta na piersi i na przedzie, odsłania pantaloney i jest przewiązana w biodrach pasem, którego końce spadają aż do ziemi. Trudno wprost było oderwać oczy od tych uroczych kobiet; nasze odwiedziny i rozmowy trwały wszędzie dość długo, mogłem się więc przekonać, że owe kobiety były równie miłe, jak piękne. Przedmiotem naszych rozmów przeważnie były zwyczaje europejskie, ubiory i nawyki kobiet Zachodu; zdaje się, że Ormianki niczego nie zazdroszą naszym kobietom i kiedy rozmawia się z tymi zachwycającymi istotami, kiedy w ich rozmowie i obojętności odczuwa się ów powab, ową doskonałą naturalność, życzliwość, pogodę, spokój umysłu i serca, o których zachowaniu stanowi ich życie rodzinne, nie sposób domyślić się, czego by właściwie miały zazdrościć naszym kobietom z wielkiego świata, które, wiedząc wszystko, nie wiedzą, co jest źródłem prawdziwego szczęścia w pożyciu domowym, i w kilka lat w zgiełku i niepokoju naszych społeczeństw roztrwają swoją duszę, urodę i życie. Kobiety te czasami odwiedzają się, nie są nawet zupełnie pozbawione towarzystwa mężczyzn, ale towarzystwo to składa się tylko z kilku młodych krewnych lub przyjaciół domu, między którymi, biorąc pod uwagę wzajemną skłonność i stosunki rodzinne, wcześniej wybierają im narzeczonego. Ów naręczony przychodzi wówczas niekiedy, niby syn, i bierze udział w zabawach domowych.

Spotkałem tu przywódcę Ormian damasceńskich, człowieka wielce znakomitego i uczonego; Ibrahim postawił go na czele jego narodu w radzie municypalnej zarządzającej obecnie miastem. Człowiek ów, choć nigdy nie opuścił Damaszku, posiada jednak jak najtrafniejsze i doskonale przemyślane poglądy, dotyczące sytuacji politycznej Europy, a zwłaszcza Francji, ruchu umysłowego w naszej epoce, prawdopodobnej przyszłości cywilizacji. Nie zdarzyło mi się napotkać w Europie człowieka, który



w tych sprawach miałby zdanie bardziej wyrobione i równie głębokie, co tym bardziej zdumiewa, że, znając tylko łacinę i grekę, nie mógł nigdy czytać tych dzieł i dzienników Zachodu, gdzie owe kwestie są podawane do wiadomości ludzi, którzy je powtarzają, nie rozumiejąc. Nie miał również nigdy sposobności mówienia z wybitniejszymi ludźmi z naszych krajów. Damaszek nie ma jakiegokolwiek więzi z Europą; ów człowiek zdołał to wszystko pojąć przy pomocy map i kilku doniosłych wydarzeń historycznych i politycznych, których echo aż tutaj dotarło, a które jego wrodzona zdolność do medytacji zdołała zgłębić z zadziwiająco przenikliwością. Człowiek ten niezmiernie mi się spodobał; rozmawiałem z nim przez kilka godzin rannych: ma przyjść dziś wieczorem i będzie przychodził codziennie. Przewiduje tak jak ja to, co Opatrzność zdaje się przygotowywać dla Wschodu i dla Zachodu, które wskutek nieuchronnego zbliżenia tych dwóch części świata udzielają sobie wzajemnie przestrzeni, ruchu, życia i światła. Ma córkę czternastoletnią, która jest najpiękniejszą istotą, jaką widziałem; jej matka, jeszcze młoda, jest również czarująca. Przedstawił mi swojego syna, chłopca dwunastoletniego, którego wychowaniem troskliwie się zajmuje. „Powinien pan — powiedziałem mu — wysłać go do Europy i dać mu takie wykształcenie, jakiego ku swojemu żalowi sam nie posiadasz; będę się nim opiekował.” „Niestety — odparł — myślę o tym ciągle, myślałem o tym często; ale jeśli położenie Wschodu tak szybko nie zmieni się, jakie dobrodziejstwo wyświadczyłbym mojemu synowi, wywyższając go nabytymi wiadomościami nad czas i kraj, w którym ma spędzić całe swoje życie? Cóż pocznie w Damaszku, kiedy wróci z europejskim wykształceniem, obyczajami i umiłowaniem wolności? Jeżeli człowiek musi być niewolnikiem, lepiej, aby nigdy nie był nikim innym niż tylko niewolnikiem.”

Po złożeniu tych wszystkich wizyt opuściliśmy dzielnicę ormiańską, oddzieloną od innej dzielnicy bramą zamykaną każdego wieczora. Ujrzałem ulicę szerszą i piękniejszą: tworzyły ją wznoszące się po obu stronach pałace znamienitszych agów Damaszku; jest to tutejsza szlachta; fasady tych pałaców od ulicy przypominały długie mury więzienne lub klasztorne z szarej gliny; okien w nich nie ma prawie wcale; gdzieniegdzie większa brama otwarta na dziedziniec; w jej cieniu leżało mnóstwo stajennych sług, czarnych niewolników. Odwiedziłem dwóch z tych agów, przyjaciół pana Baudin; wnętrza ich pałaców były prześliczne: obszerny dziedziniec, ozdobiony wspaniałymi wodotryskami i wy-

sadzony rzucającymi cień drzewami; salony piękniejsze i jeszcze zbyt kowniej przybrane niż u Ormian. Ozdoby tych salonów kosztowały do stu tysięcy piastrów; w Europie trudno znaleźć coś wspanialszego; wszystko w guście arabskim; w niektórych pałacach jest osiem, dziesięć salonów tego rodzaju. Agowie Damaszku są przeważnie potomkami lub synami paszów i zebrane przez ojców skarby trwonią na zdobienie swoich siedzib; tych agów jest mnóstwo, zajmują znakomitsze urzędy miasta pod rządem paszów przysłanych przez sułtana. Mają rozległe posiadłości ziemskie w wioskach otaczających Damaszek. Ich zbytek to pałace, ogrody, konie i kobiety; na jedno skinienie paszy głowy ich spadają, a te majątki, pałace, ogrody, kobiety, konie przechodzą w ręce jakiegoś nowego ulubieńca losu. Takie prawodawstwo prowadzi oczywiście do chęci użycia i zupełnej uległości: rozkosz i fatalizm, oto dwa nieuchronne wyniki wschodniego despotyzmu.

Dwaj agowie, u których byłem, przyjęli mnie niezwykle u-przejmie. Brutalny fatalizm prostego ludu damasceńskiego nie sięga tak wysoko. Wiedzą, że jestem podróżnikiem europejskim; uważają mnie za tajnego wysłannika, który zbiera dla władców Europy wiadomości dotyczące nieszasek Turków z Ibrahimem. Oświadczyłem jednemu z nich, iż pragnąłbym zobaczyć jego najpiękniejsze konie i gdyby się zgodził, kilka z nich odkupić. Natychmiast kazał synowi i koniuszemu zaprowadzić mnie do obszernej stajni, gdzie utrzymywał jakie trzydzieści, czterdzieści najpiękniejszych koni z pustyni Palmiry. Nigdy nie widziałem tylu wspaniałych zwierząt naraz: były to przeważnie konie rosłe, ciemno lub jasnosiwie, o grzywach jak z czarnego jedwabiu, wypukłych, ciemnokasztanowych oczach, niezwykle silne i pięknej budowy: łopatki szerokie i płaskie, szyja łabędzia. Gdy tylko mnie spostrzegły i usłyszały obcą mowę, natychmiast zwróciły ku mnie głowy, drgnęły, zarżały, wyraziły swoje zdziwienie i przestraszkosnym i błędnym spojrzeniem i zmarszczeniem nozdrzy, co pięknym ich głowom nadawało wyraz niezwyklej inteligencji. Miałem już sposobność przekonać się, że konie w Syrii są pojętniejsze i bystrzejsze niż w Europie. Gdyby muzułmanie zebrani w meczecie ujrzeli tam nagle jakiegoś chrześcijanina, ich oburzenie i obawa nie odbiłyby się na ich twarzach bardziej dosadnie niż owe uczucia, które wyraziły te konie, widząc obcą twarz i słysząc nie znaną im mowę. Głaskałem niektóre z nich, przyglądałem się dokładnie wszystkim; kazałem wyprowadzić je na dziedziniec; nie wiedziałem jednak, którego wybrać, prawie wszy-

stkie bowiem odznaczały się doskonałością; zdecydowałem się wreszcie na jednego młodego, trzyletniego, siwego ogiera, który wydał mi się perłą wszystkich koni pustyni. Pan Baudin prowadził z agą pertraktację w sprawie ceny, ustalając ją na sześć tysięcy piastrów, które poleciłem wypłacić adze. Konia tego niedawno przyprowadzono z Palmiry, a Arab, który go sprzedał, dostał za niego pięć tysięcy piastrów i wspaniałą płaszcz z jedwabiu wyszywany złotem. Koń ten, jak wszystkie konie arabskie, miał zawieszony na szyi rodowód w woreczku z sierści i mnóstwo amuletów zabezpieczających go od złego spojrzenia.

Zwiedziłem bazyry Damaszku. Wielki bazar ma około pół mili długości. Bazyry są to długie ulice, pokryte wysokim belkowaniem, mające po obu stronach sklepy, kramy, składy, kawiarnie; sklepy te są wąskie i niezbyt głębokie; każdy kupiec siedzi przed swoim sklepem z podwiniętymi nogami, z (fajką w ustach lub mając koło siebie nargile. Składy są pełne towarów rozmaitego rodzaju, a zwłaszcza materii indyjskich, których mnóstwo zwożą karawany z Bagdadu. Cyrulicy zapraszają przechodniów, aby dali się ostrzyć. Ich kramy są zawsze pełne. Tłum, tak liczny jak w galeriach Palais-Royal<sup>3</sup>, po całych dniach krąży po bazarze. Ale widok tego tłumu jest bez porównania bardziej malowniczy. Są tu agowie w swoich długich, jedwabnych, karmazynowych płaszczach, podbitych tumakami, ze zwisającymi u pasów pałaszami i sztyletami w oprawie z brylantów. Za każdym z nich idzie pięciu, sześciu dworzan, sług lub niewolników, którzy kroczą w milczeniu, niosąc fajki i nargile: agowie przesiadują część dnia na sofach przed kawiarniami stojącymi nad brzegiem strumieni przecinających miasto; wspaniałe jawory rzucają cień na te sofy; tu palą tytoń i rozmawiają z przyjaciółmi; z wyjątkiem meczetu jest to jedyne miejsce, w którym spotykają się mieszkańcy Damaszku. Tutaj, niemal w milczeniu, przygotowują się częste przewroty, w których ta stolica spływa krwią. Nieme wzburzenie długo tli się, a potem wybucha niespodzianie. Lud chwytą za broń pod wodzą któregoś ze stronnictw kierowanych przez jednego z agów i władza na pewien czas przechodzi w ręce zwycięzcy. Zwycięzcy są skazywani na śmierć lub uciekają w pustynie Baalbeku i Palmiry, gdzie znajdują schronienie u zamieszkujących je niezależnych plemion. Oficerowie i żołnierze paszy Egiptu, ubrani prawie na sposób europejski, wloką swoje pałasze po chodnikach bazaru; wielu z nich, zaczepiwszy nas, mówiło po włosku. Mają się w Damaszku na baczności; lud spogląda na nich z odrazą i lada noc może wybuchnąć powstanie.

Dowodzi nimi i tymczasowo zarządza miastem Szeryf Bej, jeden z najzdolniejszych ludzi z wojska Muhammada Alego. Utworzył za murami, nad brzegiem rzeki, obóz dziesięcioletni, a w zamku trzyma załogę; sam mieszka w seraju. Wiadomość o najmniejszym niepowodzeniu Ibrahima w Syrii byłaby hasłem do ogólnego powstania i do zaciętej walki w Damaszku. Trzydzieści tysięcy chrześcijan, Ormian, mieszkających w mieście, trwa w przerażeniu, bo gdyby Turcy odnieśli zwycięstwo, wymordowano by ich wszystkich. Równość, jaką Ibrahım Pasza zaprowadził między muzułmanami i chrześcijanami, wywołała o-burzenie wyznawców islamu. Niektórzy z chrześcijan nadużywają tej chwilowej tolerancji i znieważają swoich nieprzyjaciół, gwałcąc ich obyczaje, co z kolei rozjątrza ich fanatyzm. Pan Baudin za pierwszym ostrzeżeniem gotów schronić się do Zahle.

Tłumy Arabów z wielkiej pustyni i z pustyni Palmiry znajdowały się w mieście i krążyły po bazarze; całym ich odzieniem była duża płachta z białej wełny, którą spowijają się, drap ując ją na sobie na wzór starożytnych posągów. Twarze mieli ogorzałe, brody czarne, wzrok dziki. Zatrzymywali się gromadnie przed sklepami z tytoniem, przed siodłarzami i rusznikarzami. Ich konie, zawsze osiodłane i okiełznane, stały spętane na ulicach i placach. Gardzą Egipcjanami i Turkami, ale gdyby wybuchło powstanie, poszliby przeciw wojskom Ibrahima, który zdołał odeprzeć ich od Damaszku tylko na odległość jednego dnia drogi; przechodząc przez to miasto, sam ruszył przeciw nim z artylerią. Teraz są jego nieprzyjaciółmi. Później powiem więcej o tych nieznanym plemionach, zamieszkujących wielką pustynię i okolice nad Eufratem.

Każda dziedzina handlu i przemysłu ma na bazarze swoje oddzielne miejsce. Tu są rusznikarze, w których sklepach nie widać wcale owej wspaniałej, sławnej broni, dostarczanej niegdyś przez Damaszek handlowi lewantyńskiemu. Owe wytwórnie wspaniałych szabel, jeżeli kiedy istniały w Damaszku, dziś całkiem poszły w zapomnienie: robią tu jedynie szable zwyczajnie hartowane, a tylko u rusznikarzy widać starą broń, prawie bezcenną. Na próżno szukałem szabli i sztyletu hartowanych dawnym sposobem. Szable te sprowadzają teraz z Chorasanu, prowincji perskiej, a nawet tam już ich nie wyrabiają. Istnieje pewna ich liczba, przechodzą z rąk do rąk jako cenne zabytki, a wartość ich jest bezcenna. Klinga tej szabli, którą otrzymałem w podarunku od paszy, kosztowała pięć tysięcy piastrów. Turcy i Arabowie, ceniąc te klingi więcej niż diamenty, oddaliby wszy-

stko za podobną broń; spojrzenia ich lśnią zapałem i uwielbieniem, kiedy patrzą na moją szablę, przykładają ją do czoła, jak gdyby dla okazania czci tak doskonałemu narzędziu śmierci.

Jubilerzy nie mają najmniejszego gustu i wcale nie umieją o-sadzać kosztownych kamieni lub pereł, ale posiadają ogromne ich zbiory. Całe bogactwo mieszkańców Wschodu jest ruchome, aby można je zakopać lub przenieść z miejsca na miejsce. Jest tu mnóstwo tych jubilerów; wykładają niewiele towarów; wszystko mają pozamykane w małych szkatułkach, które otwierają, kiedy żąda się jakiegoś klejnotu.

Rymarze są najliczniejszymi i najprzemysłniejszymi rzemieślnikami na tych bazarach: w Europie nic nie dorówna gustowi, piękności i przepychowi zbytkownych rzędów na konie, które wytwarzają dla naczelników arabskich lub agów miejscowych. Siodła pokrywają aksamitem i jedwabiem przetykanym złotem i perłami. Chomąta z czerwonego safianu, których frędzle spadają na piersi koniom, są także zdobione srebrnymi lub złotymi kwastami i pękami pereł. Uzdy, o wiele wykwintniejsze niż nasze, również wyrabiają z różnobarwnych safianów i ozdabiają kwastami jedwabnymi lub złotymi. Wszystkie te przybory w porównaniu z europejskimi są bardzo tanie. Kupiłem dwie takie najpiękniejsze uzdy za sto dwadzieścia piasstrów (około pięćdziesięciu franków).

Sklepy z żywnością odznaczały się niezwykłym ładem, wykwentem, czystością i ponętą dla oka. Przed sklepami stało mnóstwo koszyków napełnionych jarzynami, suszonymi owocami i różnymi warzywami strączkowymi, których nazw nie znam, o pięknych kształtach i połyskliwych barwach, lśniącymi jak kamyki wyjęte z wody. Przed sklepem także leżały placki rozmaitej wielkości i rodzaju; jest ich nieskończona różnorodność, stosownie do rozmaitych godzin dnia i do rozmaitych posiłków; wszystkie były ciepłe jak wafle i miały smak wyborny. Tylko w Damaszku można znaleźć tak doskonały chleb, który prawie nic nie kosztuje. Kilku restauratorów wydaje obiady dla kupców lub dla przechadzających się po bazarze. Nie ma tu ani stołów, ani nakryć: sprzedają nadziane na rożen małe, upieczone w piecu kawałki baraniny wielkości orzecha. Kupujący kładzie je na złocistych plackach, o których była mowa, i zjada naprędce. Liczne wodotryski dostarczają jedynego napoju Arabów. Jeden człowiek może doskonale wyżywić się w Damaszku za dwa piastry, czyli za dziesięć su dziennie. Lud ledwie połowę tego wydaje na żywność. Za dwieście, trzysta piasstrów rocznie można mieć ład-

ny dom. Trzysta, czterysta franków rocznego dochodu wystarczy na porządne utrzymanie; tak jest wszędzie w Syrii. Zwiedzając bazar, dotarłem do miejsca, gdzie wytwarzają skrzynie i kufrы: rozpowszechnione to rzemiosło, całe bowiem umeblowanie rodziny arabskiej składa się z jednego lub dwóch kufrów, w których przechowują odzież i klejnoty. Skrzynie te są przeważnie z drzewa cedrowego, pomalowane czerwono i ozdobione wzorem nabijanym ze złotych gwoździ. Niektóre są pięknie rzeźbione i o-kryte wykwinutymi arabeskami. Kupiłem trzy i wysłałem je karawaną z Trypolisu. Woń drzewa cedrowego napełnia cały bazar i powietrze to, złożone z tysiąca rozmaitych zapachów, unoszących się z warsztatów stolarskich, ze sklepów korzennych i składów aptecznych, ze skrzyń ambry lub pachnących żywic, z kawiarni, z fajek bezustannie palonych na bazarze, przypominało mi wrażenie, którego doznałem, przejeżdżając pierwszy raz przez Florencję, gdzie drzewo cyprysowe, używane jako materiał budowlany, napełnia ulice prawie podobną wonią.

Szeryf Bej, gubernator Syrii i woli Muhammada Alego, opuścił dziś Damaszek. Wiadomość o zwycięstwie odniesionym przez Ibrahima nad wielkim wezyrem pod Konia nadeszła tu dziś w nocy.<sup>4</sup> Szeryf Bej skorzystał z przerażenia, które ogarnęło Damaszek, i udał się do Aleppo. Zarząd miasta powierzył generałowi egipskiemu i radzie municypalnej złożonej z najznamienitszych kupców wszystkich narodowości. U bramy miasta zostawił obóz z sześciu tysięcy Egipcjan i z trzech tysięcy Arabów. Widok tego obozu był niezwykle malowniczy: w cieniu wielkich drzew owocowych, nad brzegiem rzeki rozbito namioty rozmaitego kształtu i barwy, konie, prawie wszystkie prześliczne, stały długimi rzędami, przywiązane do sznurów przeciągniętych z jednego końca obozu do drugiego. Niezdyscyplinowani Arabowie byli tu w całej dziwacznej różnorodności swoich plemion, uzbrojenia i ubiorów: jedni przypominali jakieś zgromadzenie królów czy patriarchów, inni — rozbójników pustyni. Z ognisk biwaków wznosiły się kłęby błękitnego dymu, które wiatr rozwłoczył po rzece lub po ogrodach Damaszku.

Byłem przy odjeździe Szeryf Beja. Wszyscy znakomitsi ago-wie Damaszku i oficerowie wojsk tu pozostających zgromadzili się w seraju. Rozległe dziedzińce, otoczone zniszczonymi murami pałacu i seraju, zapełniali niewolnicy trzymający za uzdy najpiękniejsze konie z miasta, okryte przepyszными czaprakami. Szeryf Bej jadł śniadanie w wewnętrznych pokojach. Nie wszedłem tam, zostałem z kilkoma oficerami egipskimi i włoskimi na bru-

kowanym dziedzińcu. Stąd widzieliśmy tłum przed serajem, gromady wchodzących agów i czarnych niewolników, którzy nieśli na głowach ogromne cynowe półmiski z różnymi pilawami. Stały tu konie Szeryf Beja, najpiękniejsze, jakie dotychczas widziałem w Damaszku; są to turkomany, rasa koni znacznie roślejszych i silniejszych niż konie arabskie, podobne do wielkich koni normandzkich, lecz bardziej smukłe i muskularne, o głowach delikatniejszych i wielkich, ognistych, łagodnych oczach koni Wschodu. Wszystkie są ciemnogniade, o długich grzywach, istne konie Homera. W południe Szeryf Bej ruszył w drogę wraz z liczną świtą, która odprowadziła go o dwie mile za miasto.

Pośrodku damasceńskiego bazaru natknąłem się na najpiękniejszy kan Wschodu, kan Hassad Paszy. Jest to ogromna kopuła, której wspaniałe sklepienie przypomina sklepienie Świętego Piotra w Rzymie, również oparte na granitowych filarach. Za tymi filarami mieszczą się sklady i schody prowadzące na wyższe piętra, gdzie znajdują się pokoje dla kupców. Każdy znaczniejszy kupiec najmuje jeden z tych pokoi i trzyma w nim swoje kosztowne towary i książki handlowe. Nad bezpieczeństwem kanu dzień i noc czuwają strażnicy; obok kanu są wielkie stajnie dla koni należących do podróżnych i do karawan; piękne wodotryski użyczają kanowi chłodu; jest to rodzaj giełdy Damaszku. Podwoje kanu Hassad Paszy, wychodzące na bazar, są jednym z dzieł architektury mauretańskiej o niezwykle bogatych szczegółach i sprawiają ogromne, jedyne w świecie wrażenie. Widać tu jak na dłoni całą architekturę arabską. A przecież ten kan stoi dopiero lat czterdzieści. Naród, którego budowniczowie potrafią narysować, a robotnicy wykonać gmach podobny do kanu Hassad Paszy, nie umarł dla sztuk pięknych. Zwykle bogaci paszowie stawiają takie kany, zostawiając je rodzinie lub miastu, którego bogactwo pragną pomnożyć. Dochody z nich są wielkie.

Nieco dalej, z bramy wychodzącej na bazar, obejrzałem obszerny dziedzińiec, a raczej plac przed głównym meczetem Damaszku. Był to niegdyś kościół pod wezwaniem Świętego Jana Damasceńskiego.<sup>5</sup> Budowla ta wydaje się pochodzić z tego samego czasu co kościół Grobu Świętego w Jerozolimie<sup>6</sup>; ciężka, ogromna, w stylu bizantyjskim, który naśladuje, psując go, styl grecki; zdaje się, że wzniesiono ją ze zwalisk. Wielkie drzwi meczetu były zakryte ciężkimi zasłonami; nie mogłem widzieć wnętrza. Chrześcijanin, który wchodząc do meczetów skaziłby ich świętość, naraża się na śmierć. Chwilę tylko zatrzymaliśmy się przed meczetem, udając, że się chcemy napić wody ze studni.

Tegoż dnia.

Dziś przybyła karawana z Bagdadu, złożona z trzech tysięcy wielbłądów. Stała u bram miasta. Kupiłem kilka pak kawy z Mokki, której gdzie indziej nabyć nie można, oraz kilka szalów indyjskich.

Wypadki wojenne zatrzymały karawanę z Mekki. Polecono paszy Damaszku, aby ją przeprowadził. Wahhabici kilkakrotnie ją rozproszyli. Muhammad Ali odpędził ich aż do Medyny. Ostatnia karawana, dotknięta cholerą w Mekce, wycieńczona trudami, z braku wody prawie cała wyginęła. Czterdzieści tysięcy pielgrzymów pomarło w pustyni. Pył pustyni, wiodącej do Mekki, to prochy ludzkie. Spodziewają się, że tego roku karawana będzie mogła wyruszyć pod opieką Muhammada Alego, lecz z biegiem czasu postępy wahhabitów uniemożliwią na zawsze tę pobożną pielgrzymkę. Wahhabici siłą zbrojną dokonali pierwszej wielkiej reformy mahometanizmu. Mędrzec z okolic Mekki nazwiskiem Abd al-Wahhab postanowił przywrócić islamowi jego pierwotną czystość, wytepić, naprzód słowem, potem siłą, z Arabów nawróconych na jego wiarę gminne zabobony, których naiwność i złudność psują wszystkie religie, i wykorzenić z religii Wschodu praktyczny i rozumowy deizm. Nie będzie to takie trudne, Mahomet bowiem nie twierdził, że jest Bogiem, lecz uważał się za człowieka napelnionego duchem Bożym, głosząc tylko wiarę w jednego Boga oraz miłosierdzie wobec bliźnich. Abd al-Wahhab nie mieni się prorokiem, tylko człowiekiem, którego oświecił rozum. Teraz rozum tak sfanatyzował Arabów jak dawniej kłamstwo i zabobony. W jego imieniu chwycili za broń, zdobyli Mekkę i Medynę, oczyścili cześć oddawaną Prorokowi z całego ubóstwienia, które w jej miejsce podstawiono, i sto tysięcy zbrojnych misjonarzy zagroziło zmianą oblicza Wschodu. Muhammad Ali przez pewien czas powstrzymywał ich najścia, ale wahhabizm utrzymuje się i rozszerza w trzech Arabiach<sup>7</sup>, i przy pierwszej sposobności ci oczyszciciele islamu zaleją cały obszar aż po Jerozolimę, Damaszek i Egipt. Tym sposobem idee ludzkie giną od tej samej broni, która je upowszechniła. Wzmagający się blask światła rozumu może przeniknąć wszystko, ludzkość bowiem stopniowo i nieprzerwanie ku niemu kroczy. Mahomet wyszedł z tych samych pustyń co wahhabici, obalił bałwany i krwawe ofiary i zaszczyił wiarę w jedyne i niematerialne Boga. Teraz z kolei przychodzi Abd al-Wahhab i krusząc łatwowierność gminu, przywodzi mahometanizm do czystego rozumu. Każdy wiek unosi jakiś rąbek zasłony, która zakrywa wielki obraz Boga bogów,



i znajduje Go za tymi wszystkimi niknącymi symbolami, gdy trwa jedyny, odwieczny, widomy w naturze i przemawiający do nas w naszym sumieniu.

Damaszek, 3 kwietnia.

Przez cały dzień zwiedzałem miasto i bazyliki. Pamiątki świętego Pawła zawsze żywe dla chrześcijan w Damaszku. Zwałiska domu, z którego, uszedł nocą w opuszczonym na sznurze koszu.<sup>8</sup> Damaszek był jedną z pierwszych ziem, gdzie rozsiewał słowo, które zmieniło świat. Słowo to prędko wydało owoc. Wschód jest ziemią wiar, cudów, nawet zabobonów. Wielką myślą, która tam nieustannie włada wyobrażeniami, jest myśl religijna. Cały lud Wschodu, obyczaje i prawa opierają się na religiach. Zachód nigdy taki nie był. Dlaczego? Jego mieszkańcy są mniej szlachetni, to potomkowie barbarzyńców, którzy trąca jeszcze swoim pochodzeniem. Sprawy na Zachodzie jeszcze się nie ustaliły. Pierwsza z myśli ludzkich przychodzi tam najpóźniej. To ziemia złota i żelaza, ruchu i wrzawy. Wschód jest ziemią głębokiego rozmyślenia, oglądania Boga i uwielbienia. Lecz Zachód postępuje krokiem olbrzyma, a kiedy religia i rozum, które wieki średnie rozłączyły w ciemnocie, zjednoczą się znów w prawdzie, świetle i miłości, duch religijny, tchnienie boskie, stanie się tam znowu duszą świata i zaowocuje cudami cnoty, oświaty i geniuszu. Amen.

Damaszek, 4 kwietnia.

W Damaszku jest trzydzieści, a w Bagdadzie czterdzieści tysięcy chrześcijan. Chrześcijanie damasceńscy są Ormianami lub Grekami. Kilku księży katolickich ma pieczę nad swoją wspólnotą. Mieszkańcy Damaszku tolerują zakonników katolickich. Przywykli do ich ubioru i uważają ich za mieszkańców Wschodu. W tych dniach widziałem kilkakrotnie dwóch księży lazarystów francuskich, których niewielki klasztor jest ukryty w ubogiej dzielnicy ormiańskiej. Jeden z nich, ojciec Poussous, odwiedza nas wieczorami. Człowiek to zacny, pobożny, światły i miły. Zaprowadził mnie do swojego klasztoru, gdzie uczy biedne dzieci Arabów chrześcijan. Tylko umiłowanie czynienia dobra zatrzymuje go na tej pustyni ludzkiej, gdzie bezustannie lękać się musi o swoje bezpieczeństwo. Mimo to jest wesoły, spokojny i przygotowany na wszystko. Przez karawany z Syrii odbiera czasami wiadomości i zasiłki od swoich przełożonych z Francji, a także kilka czasopism katolickich. Pożyczył mi je; wydało mi się czymś niezwykle ciekawym czytanie o wydarzeniach religijnych lub politycz-

nyeli w dzielnicy Świętego Sulpicjusza<sup>9</sup> na skraju pustyni bagdadzkiej, za Libanem i Antylibanem, w pobliżu Baalbeku, pośród mrowia ludzi o całkiem innych pojęciach, gdzie ani czyniona przez nas wrzawa, ani imiona tego roku uznanych przez nas wielkości nie odbiły się najmniejszym bodaj echem. Wszystko, prócz służby Bogu i służby ludziom dla Boga, jest nicością. Nigdy ta prawda nie bywa bardziej oczywista niż w podróży, gdy widzimy, że niczym jest ruch, kiedy wstrzymuje go morze, niczym zgiełk, który milknie za górą, niczym głośnie imię, którego język obcy nawet wymówić nie może. Nieśmiertelność nasza jest gdzie indziej, nie w tej zmyślonej i krótkiej nieśmiertelności naszych imion tu, na ziemi.

Obiadowaliśmy dziś z pewnym starcem z Damaszku, chrześcijaninem, przeszło dziewięćdziesięcioletnim, który zachował pełnię władz fizycznych i duchowych. Zacny to i nieoszacowany starzec, w którego rysach maluje się owa pogoda pełna dobroci i cnoty, mająca źródło w poczuciu życia czystego i pobożnego, gdy już się chyli do kresu. Wyświadcza nam niezliczone przysługi. Bezustannie załatwia dla nas różne sprawy, biegając niczym młodzik. Ojciec Poussous, jego towarzysz, dwóch kupców z Bagdadu i jakiś perski wielmoża, który jedzie do Mekki, byli wieczorem gośćmi pana Baudin, zasiadając na sofach, pośród kłębow tytoniowego dymu unoszącego się z tombakowych fajek, które przyćmiewały i swoją wonią napełniały powietrze. Z pomocą pana Baudin i pana Mazoyer, mojego tłumacza, rozmowa toczyła się dość wartko. Największa serdeczność i szczerłość cechowały owo zgromadzenie ludzi z czterech krańców świata. Obyczaje Indii, Persji, najnowsze wydarzenia w Bagdadzie, bunt paszy przeciw sultanowi były przedmiotem naszych rozmów. Mieszkaniec Bagdadu czterdzieści dni musiał uciekać przez pustynię na wielbłądach wraz ze swoimi skarbami i dwoma młodymi Frankami. Oczekiwał niecierpliwie wiadomości od swojego brata, obawiając się o jego życie. W chwili kiedy z nami rozmawiał, przyniesiono mu list od brata. Ocalał i spieszył z tylną strażą karawany, której jeszcze oczekiwano. Pers płakał z radości. My także płakaliśmy, zarówno przez przyjaźń dla niego, jak też rozważając nasze własne nieszczęścia. Te łączy wspólnie wylane przez ludzi, którzy już nie mieli się spotkać w domu wspólnego przyjaciela, w mieście, w którym każdy z nas bawił tylko przejazdem, połączyły nasze serca i jak przyjaciół pokochaliśmy tych ludzi, których nawet nazwisk nie zachowaliśmy w pamięci.

4 kwietnia 1833.

W nocy okropna burza. Wysoki pawilon z mnóstwem okien bez szyb, w którym spaliśmy, drżał jak statek pod uderzeniami wichury. W ciągu kilku chwil deszcz rozmył dach z gliny stanowiący taras pawilonu i zalał podłogą. Szczęściem, nasze materace rozłożono na deskach umieszczonych na pakach; kołdry nas uchroniły, lecz z rana nasza odzież pływała po pokoju. Takie burze często trafiają się w Damaszku, a nawet znoszą domy, których fundamenty nie są z marmuru. W czasie miesięcy zimowych klimat jest tu chłodny i wilgotny. Obfite śniegi spadają z gór. Tej zimy pod ciężarem śniegu zawaliła się połowa bazarów, drogi przez dwa miesiące były nieprzejezdne. Mówią, że upały letnie są tu nieznośne. Dotychczas nie odczuliśmy tego. Co wieczór palimy węgle w naczyniach, które krajowcy nazywają manganami. Kupiłem drugiego ogiera arabskiego od jakiegoś Beduina, którego spotkałem u bramy miejskiej. Kazałem udać się za nim, aby we właściwy i naturalny sposób zacząć z nim targi. Koń, mniejszy od tego, którego kupiłem od agi, jest silniejszy i rzadszej maści kwiatu brzoskwiнового; pochodzi z rasy, której nazwa oznacza: król ściętna kolanowego. Odstąpiono mi go za cztery tysiące piastrow. Dosiadłem go dla próby. Nie był tak łagodny jak inne konie arabskie. Dziki i nieposkromiony, ale wydaje się niestrudzony. Każę prowadzić Tadmora (tak Arabowie nazywają Palmirę, nazwę tę nadałem ogierowi kupionemu od agi) jednemu z moich saisów. Ja pojedę na Szamie. Szam to arabska nazwa Damaszku.

Przybył tu wezwany przez pana Baudin naczelnik plemienia osiadłego przy drodze do Palmiry; zobowiązał się, że doprowadzi mnie do Palmiry i zapewni mi bezpieczny powrót do Damaszku, lecz pod warunkiem, że pojedę sam i w stroju Beduina; aż do mojego powrotu zostawi w Damaszku swojego syna jako zakładnika. Namysłamy się; ogromnie chciałem zwiedzić ruiny Tadmoru, ponieważ jednak nie są one tak wspaniałe jak ruiny Baalbeku, ponieważ trzeba najmniej dziesięciu dni, aby tam pojechać i wrócić, a moja żona nie może mi towarzyszyć, ponieważ nadszedł czas, aby udać się nad morze, gdzie miał nas oczekiwać nasz statek, z żalem zrezygnowałem z tej wyprawy na pustynię i rozpoczęliśmy przygotowania do odjazdu w dniu następnym.

6 kwietnia.

Opuściliśmy Damaszek o ósmej rano; przejechaliśmy przez miasto i bazyry przepełnione tłumem; usłyszeliśmy kilka niechęt-

nych ^pomruków i kilka obelżywych przycinków: wzięto nas za oddział posiłkowy Ibrahima. Wyjeżdżaliśmy z miasta inną bramą, nte tą, którą wjechaliśmy; droga wiodła nad brzegiem potoku, wzdłuż rozkosznych ogrodów, ocieniona prześlicznymi drzewami; dotarłszy na szczyt góry, z której ujrzelśmy taki wspaniały widok Damaszku, odpoczęliśmy chwilę, aby raz jeszcze mu się przypatrzeć i unieść niezatarte jego wspomnienie. Rozumiem teraz, dlaczego podania arabskie utrzymują, że Damaszek leży w miejscu utraconego: żadna okolica na ziemi bardziej nie przypomina Edenu. Rozległa, żyzna równina, siedem nawadniających ją odnóg błękitnej rzeki, majestatyczne otoczenie gór, lśniące jeziora, w których niebo odbija się na ziemi, położenie geograficzne między dwoma morzami, wyborny klimat, wszystko wskazuje, że Damaszek był zapewne jednym z pierwszych miast zbudowanych dłonią potomków rodu ludzkiego, jednym z naturalnych miejsc postoju ludności kocującej w czasach pierwotnych; jest to jedno z miast wskazanych palcem Boga na ziemi, przeznaczonych na stolicę, jak Konstantynopol. To jedyne dwa grody, nie dowolnie rzucone na mapę jakiegos mocarstwa, lecz wskazane nieodwołalnie przez samo ukształtowanie terenu. Dopóki będą na ziemi mocarstwa, dopóty Damaszek będzie wielkim miastem, a Konstantynopol stolicą świata; tam, gdzie się kończy pustynia, gdzie zaczynają się równiny Celesyrii, doliny Galilei, Idumei<sup>10</sup> i wybrzeża mórz syryjskich, trzeba było jakiegos uroczonego miejsca wypoczynku dla karawan ciągnących z Indii: jest nim Damaszek. Handel pociągnął tu za sobą przemysł; Damaszek, podobny do Lyonu, jest ogromną manufakturą; według jednych liczy czterysta tysięcy ludności, według innych — tylko dwieście tysięcy; nie wiem, która liczba jest prawdziwa i niepodobna się tego dowiedzieć, można tylko się domyślać; na Wschodzie nie ma dokładnych spisów ludności, sądzi się tylko na oko. Wnosząc z tłumu, zalewającego ulice i bazy, z liczby zbrojnych wybiegających z domów na sygnał powstania czy rozruchów, z rozległości terenów zajętych przez domy, skłaniałbym się do zdania, że liczba mieszkańców objętych murami miasta może wynosić od trzystu do czterystu tysięcy. Ale jeżeli nie ograniczymy dowolnie miasta, jeżeli uznamy jako jego mieszkańców tych wszystkich, co zaludniają ogromne przedmieścia i wioski, zlewające się w jedno z domami i ogrodami tego olbrzymiego skupiska ludzi, to sądzę, że na obszarze Damaszku żyje ich milion. Rzuciłem nań jeszcze ostatnie spojrzenie, myśląc najserdeczniej o panu Baudin i o zacnych ludziach, którzy tam czuwali nad

nami i uprzyjemniali nam pobyt, a po chwili kilka stąpień konia sprawiło, że na zawsze znikły nam sprzed oczu wierzchołki drzew i minaretów Damaszku.

Arab, który szedł obok mojego konia, wskazał mi na widnokregu wielkie jezioro, lśniące u stóp gór, i opowiedział; pewną historię, z której zrozumiałem kilka słów, a resztę wyjaśnił mi mój tłumacz.

Był pewien pasterz, który nad brzegiem tego jeziora, na pustynnym i bezludnym zboczach tej wysokiej góry, pasł wielbłądźce z pobliskiej wioski. Pewnego dnia, pojąc je, spostrzegł, że woda wypływa z jeziora jakimś podziemnym ujściem, zastawił więc to ujście wielkim kamieniem, lecz upadł mu w nie jego kij pasterski. W jakiś czas później w pewnej prowincji perskiej wyschła rzeka. Sułtan, widząc, że państwu grozi głód, ponieważ zabraknie wody w kanałach nawadniających, zwrócił się o radę do mędrców swojego kraju i idąc za ich zdaniem, rozesłał umyślnych do wszystkich państw sąsiednich, aby dojsć, jakim sposobem bieg jego rzeki już u źródła został odwrócony bądź też wyszechł. Ci wysłańcy mieli ze sobą kij pasterski, który rzeka przyniosła. Kiedy przybyli do Damaszku, pasterz był tam właśnie; przypomniał sobie swój kij, który wpadł do jeziora, zbliżył się i poznał go w ich rękach; zrozumiał, że źródłem rzeki było jego jezioro i że bogactwo oraz życie całego ludu zależy od niego. „Co uczyni sułtan dla tego, kto zwróci mu jego rzekę?” — zapytał wysłańców. „Odda mu — powiedzieli — swoją córkę i połowę królestwa.” „Idźcie więc — rzekł do nich — a nim staniecie z powrotem, stracona rzeka nawadniać będzie Persję i uraduje serce sułtana.” Pasterz poszedł w góry, odjął wielki kamień, a woda, odzyskawszy swój bieg w podziemnym kanale, nappełniła łożysko rzeki. Sułtan wysłał nowych posłów ze swoją córką do szczęśliwego pasterza i dał mu połowę swoich prowincji.

Arabowie z pełną wiarą przekazują sobie te cudowne podania; nikt z nich nie wątpi w ich prawdziwość, ponieważ wyobraźnia nie zna powątpiewania.

7 kwietnia.

Po ośmiogodzinnej jeździe przez górzystą, nagą, jałową i zimną okolicę wieczorem stanęliśmy obozem na zboczach wysokiej góry. Doścignęła nas karawana mniej liczna od naszej: to kadi Damaszku, wysyłany co roku z Konstantynopola, który wraca do Aleksandretty, aby tam wsiąść na statek. Jego żony i dzieci jadą w podwójnym pudle powozowym, umieszczonym na grzbie-

cie muła; w każdej połowie pudła siedzi jedna żona i mnóstwo małych dzieci, wszystko to pozasłaniane. Kadi jedzie za swoimi żonami w odległości kwadransa drogi, mając z sobą kilku niewolników na koniach. Orszak ten wyprzedza nas i rozbija obozowiska nieco dalej. Nużący dzień dziesięciogodzinnej jazdy w dotkliwym zimnie zupełnie opustoszałymi dolinami; godzinę prawie posuwaliśmy się korytem potoku, w którym ogromne kamienie, co stoczyły się z gór, raz po raz przegradzają koniom ścieżkę; dwie godziny jechałem na moim pięknym Tadmorze, aby Szam wypoczął. Mimo nużącej dwudniowej drogi to wspaniałe zwierzę pędziło jak gazela po kamienistym gruncie pustyni; w jednej chwili wyprzedził najszybsze konie karawany; spokojny i pojętny jak łabędź, którego ma białosc i szyję. Chcę zawieźć go do Europy wraz z Szamem i Saidą; zaledwie zsiadłem z niego, wymknął mi się i w podskokach podbiegł do Araba Mansura, który ma o nim staranie i prowadzi go; położył mu głowę na ramię jak przymilający się pies; zbratanie konia i Araba jest tak całkowite jak nasze i psa; Mansur i Daher, dwaj moi główni saisowie arabscy, których najałem w okolicach Bejrutu i którzy mi służą od roku, to najwierniejsi i najspokojniejsi z ludzi: trzeźwi, niestrudzeni, pojętni, przywiązani do swojego pana i do koni, zawsze gotowi walczyć u naszego boku, jeżeli zagraża niebezpieczeństwo. Czegóż by nie dokonał zdolny wódz z takimi ludźmi! Gdybym miał tylko część bogactw jakiegoś bankiera paryskiego czy londyńskiego, w dziesięć lat odmieniłbym oblicze Syrii; są tu wszystkie elementy potrzebne do odrodzenia, brak tylko ręki, aby je połączyć, perspektywy, aby stworzyć podstawę odnowy, i silnej woli, aby do niej doprowadzić lud.

Nocowaliśmy w jakimś opuszczonym, niby zajezdnym domu, na wyniosłej równinie, w dotkliwym zimnie; znaleźliśmy trochę drew, aby rozpaścić ogień w niskiej izbie, w której rozestaliśmy nasze kobierce; zapasy żywności z Damaszku już się wyczerpały; kazaliśmy rozczynić trochę mąki jęczmiennej przeznaczonej dla koni i jedliśmy upieczone z niej gorzkie, czarniawe placki.

Wyruszyliśmy o świcie; jazda dwunastogodzinna, wciąż przez nieurodzajną i bezludną okolicę; przybyliśmy do wioski, gdzie znaleźliśmy jakiś dach nad głową, ryż i kury. Przez cały dzień jechaliśmy w deszczu; już tylko osiem godzin jazdy dzieli nas od doliny Bekaa, ale zbliżamy się do jej wschodniego końca i znacznie niżej od miejsca, gdzie leży Baalbek.

Tegoż dnia.

O trzeciej po południu ujrzeliśmy przed sobą pustynię Bekaa. Postój; nastrój niepewności ogarnął całą karawanę. Równina, od miejsca, gdzie się znajdujemy, aż do stóp Libanu, wznoszącego się po przeciwnej stronie jak mur, przypomina ogromne jezioro, pośród którego czernieje kilka wysp, wierzchołki zatopionych drzew i wielkie starożytne ruiny na wzgórzu o trzy mile od nas oddalonym. Jak tu bez przewodników zapuścić się na los szczęścia na tę zatopioną równinę? A jednak musimy to uczynić, jutro bowiem będzie nieprzebyta, gdyż deszcz nie ustaje, a potoki ze wszystkich stron spływają na pustynię. Dwie godziny jechaliśmy po wyżej wznoszących się częściach równiny, zbliżając się do wzgórza, na którym widzieliśmy wielkie zwaliska świątyni. Minęliśmy, zostawiając je z lewej strony, te nieznanne szczątki jakiegoś miasta, dziś bez nazwy, które powstało wtedy co Baal-bek. Słupy olbrzymich kolumn stoczyły się ze zboczy wzgórza i leżały w błocie pod naszymi nogami. Dzień się kończył, deszcz się wzmagił i nie mieliśmy czasu, aby wejść aż do świątyni. Minąwszy to wzgórze, jechaliśmy w wodzie, która sięga koniom do kolan. Co chwila któryś z naszych mułów, pośliznąwszy się, wpadał wraz z bagażem do rowu, skąd mukrowie z trudem go wyprowadzali. Kazaliśmy jednemu z Arabów, aby jechał dwadzieścia kroków przed nami celem zbadania terenu; lecz gdy dotarliśmy do środka równiny, tam, gdzie strumień Baalbeku wyżłobił swoje koryto, konie straciły grunt pod nogami i musieliśmy przebyć wplaw odległość jakichś trzydziestu, czterdziestu stóp. Moi Arabowie wbiegli do wody i zadzierając w górę głowy końskie zdołali przeprowić moją żonę z towarzyszącą jej pokojówką Angielką; my puściliśmy się wplaw i dotarliśmy do przeciwległego brzegu. Było już prawie zupełnie ciemno: pośpiesznie przebyliśmy pozostałą część równiny, nim całkiem zapadła noc. Minęliśmy jakieś dwie rudery, w których mieszkają dzicy Arabowie z okolic Baalbeku. Gdyby nas napadli, byłibyśmy zupełnie w ich mocy: cała nasza broń zamokła. Arabowie spoglądali na nas z wysokości swoich tarasów i nie zeszli w bagna. Wreszcie w chwili kiedy otoczyły nas ciemności, równina zaczęła się wznosić i znaleźliśmy się na suchym obszarze przytykającym do Libanu. Skierowaliśmy się w stronę jakiegoś migocącego w dali, o trzy mile od nas, w górskim wąwozie światłka: powinno by to było być Zahle.

Znużeni, zziębnięci i przemoczeni do nitki, dotarliśmy wreszcie do wzgórz, na których wznosi się miasto. Tu, nawołując się

i licząc, spostrzeżliśmy, że brak jednego z naszych przyjaciół, pana de Capmas. Zatrzymaliśmy się: wołamy, strzelamy kilkakrotnie, żadnej odpowiedzi. Wysłaliśmy dwóch jeźdźców na poszukiwania, a sami wjechaliśmy do Zahle. Godzinę prawie jechaliśmy w górę rzeki przecinającej miasto, aby dotrzeć do jedyne go mostu, który łączy dwie dzielnice. Znużone konie ledwo mogły się utrzymać na śliskim chodniku tego spadzistego mostu, bez poręczy. Na koniec stanęliśmy w domu greckiego biskupa. W budach otaczających dziedziniec rozpalono ogniska z chrustu'. Biskup pożyczył nam kilka mat i kilka kobierców. Suszyliśmy się. Dwaj Arabowie, wysłani na poszukiwania naszego przyjaciela, wrócili razem z nim; wnieśli go prawie omdlałego, ułożyli obok ogniska; Niebawem odzyskał przytomność. Na dnie naszych skrzyń, zalanych wodą, znaleźliśmy butelkę araku; biskup dał nam cukru; kilkoma szklankami ponczu przywróciliśmy do życia naszego umierającego przyjaciela, a tymczasem Arabowie zajęli się gotowaniem pilawu. Ubogi biskup mógł nam zaofiarować tylko schronienie; kobiety i dzieci z Zahle, wiedzione ciekawością, wciąż gromadziły się na dziedzińcu i co chwila otwierały drzwi naszych pokoiów, żeby zobaczyć dwie kobiety Franków, musiałem więc, żeby im w tym przeszkodzić, postawić na straży dwóch zbrojnych Arabów.

Następny dzień był przeznaczony na odpoczynek, na osuszenie odzieży i zaopatrzenie się w zapasy żywności, zmarnowane ulewą dnia poprzedniego. Zahle jest miastem na wskroś chrześcijańskim; niedawno zbudowane w wąwozie, na ostatnich odnogach Libanu, swój szybki i zdumiewający rozwój zawdzięcza prześladowanym chrześcijańskim rodzinom Ormian i Greków z Damaszku i Homs. Liczy około ośmiu, dziesięciu tysięcy mieszkańców, prowadzi wielki handel jedwabiem i z każdym dniem się rozrasta. Ponieważ emir Baszyr, władca Libanu, rozciągnął nad nim swoją pieczę, nie grożą mu już napady plemion z okolic Baalbeku i Antylibanu. Mieszkańcy, przemysłni, pracowici, zajmujący się rolnictwem, doskonale uprawiają zstępujące w dolinę stoki wzgórz, na których wznosi się miasto, a nawet odważają się uprawiać najbliższe części pustyni. Widok na miasto jest nader niezwykle: stanowi ono chaotyczne zbiorowisko czarnych domów, zbudowanych z ziemi, bez symetrii i ładu, na dwóch stromych zboczach dwóch wzgórz przedzielonych rzeką. Wąwóz, z którego wypływa rzeka, przecinająca swoim biegiem miasto i równinę, to szeroka i głęboka gardziel utworzona z pionowych skał, które rozsuwają się, aby przepuścić potok; potok ów spływa z ła-



wy na ławę i tworzy trzy czy cztery szerokie wodospady, zajmujące całą szerokość owych ław, owych kolejnych stopni. Piana potoku całkowicie pokrywa skały, a łoskot jego spadów napelnia ulice Zahle nieustającym, głuchym szumem. Kilka dosyć wykwintnych domów lśni ponad wodospadami pośród zieleni topól i wysokich winorośli.

Tu właśnie znajduje się dom naszego przyjaciela, pana Baudin, mający mu służyć w razie potrzeby jako schronienie; drugi zaś dom to klasztor zakonników maronickich. Rzeka, płynąc między domami, zgrupowanymi i zawieszonymi w sposób niezwykle dziwaczny na jej wysokich brzegach i zwisającymi nad jej korytem, toczy dalej swoje nurty, nawadniając pola i wąskie łąki, na których przemyślni mieszkańcy dokonują podziału jej wód na tysiączne strumyki. Nad jej biegiem, jak daleko sięgnąć okiem, ciągną się nieprzerwanie wysokie topole perskie i niby zielona aleja kierują nasze spojrzenie ku pustyni Baalbeku i ośnieżonym wierzchołkom Antylibanu. Prawie wszyscy mieszkańcy Zahle to Grecy syryjscy albo damasceńscy. Domy przypominają nędzne chaty wieśniaków z Sabaudii czy Bresse; aie w każdym widać sklep lub warsztat, gdzie siodlarze, rusznikarze, a nawet zegarmistrze, używając prymitywnych narzędzi, wykonują prace właściwe ich rzemiosłu. Lud wydał się nam poczciwy i gościnnie. Widok obcych jak my nie tylko nie budził w nich obawy czy niechęci, lecz przeciwnie, wydawał się im być miły. Wyświadczyli nam mnóstwo drobnych przysług, niezbędnych w naszym położeniu, i niemal chlubili się wzrastającą pomyślnością swojego miasta. Zahle jest jak gdyby załączkiem wielkiego miasta handlowego, mającego stawić czoło Damaszкови w dziele wymiany między plemionami chrześcijańskimi i mahometańskimi. Jeżeli śmierć emira Baszyra nie zniszczy jedności władzy stanowiącej o sile Libanu, Zahle za dwadzieścia lat stanie się pierwszym miastem Syrii. Wszystkie miasta chylą się do upadku, ono tylko się rozwija, wszystkie śpią, ono tylko pracuje. Geniusz grecki wszędzie roznosi zasadę działania, które jest we krwi tego plemienia europejskiego. Ale działanie Greka azjatyckiego jest użyteczne i płodne, Greka zaś zamieszkującego Moreę i wyspy Archipelagu — jałowe i rujnujące.<sup>11</sup> Powietrze Azji łagodzi krew Greków; są tu ludem łagodnym, gdzie indziej jednak bardzo często barbarzyńskim. To samo dotyczy fizycznej urody tego ludu. Greczynki w Azji są arcydziełem stworzenia, ideałem wdzięku i rozkoszą dla oczu. Greczynki w Morei mają kształty czyste, ale kanciaste, i oczy, których przenikliwego chłodu i pojęności nie łagodzi

miękkosc i slodycz duszy ani tkliwosc serca; ich oczy to zarzacy sie wegiel, oczy kobiet Azji to plomien osloniety wilgotnym o-parem.

Tegoz dnia.

Ubogim biskup grecki Zahle urodzil sie w Aleppo, gdzie spedzil zycie posrod wykwintu i zniewiescialych obyczajow tego miasta bedacego Atenami Azji: tu przebywa prawie jak wygnaniec, bez towarzystwa i bez zaplecza duchowego. W jego obejsciu widać jeszcze wykwintne manieri mieszkancow Aleppo, ale w swoim skrajnym niedostatku mogl ofiarowac jedynie schronienie pod swoim ubogim dachem. Rozmawialismy z nim po wlosku. Na wy-jezdnym dalam mu piecset piastrow jako jalmuzne dla jego ubogich lub dla niego samego, gdyz jego polozenie wydawalo sie bliskie nędzy. Kilka ksiazek arabskich i greckich lezacych tu i owdzie w pokoju oraz stara skrzynia, zawierajaca jego wspaniale plaszczce podbite futrem i ubior biskupi, stanowiły caly jego majatek. W Zahle najalem przewodnikow, aby nieznanymi sciezka-mi przejść przez Liban. Zwykla drogę zasypal ogromny snieg, co spadl tej zimy. Z poczatkum jechalismy dosc lagodnymi zбочami, przez wzgorka zasadzone winem i drzewami morwowymi. Niebawem dotarlimy w okolice pelne skal i potokow bez koryt; w ciagu sześciu godzin przebylimy ich co najmniej trzydziści. Splywaja po tak urwistych stokach, ze nie nadaja nawet wyzlobic sobie koryta: wygladaja jak staczajaca sie po nagiej skale zaslon z piany, mknaca z szybkością ptaka.

Niebo okrywalo sie bladawymi oblokami, ktore juz przeslanialy swiatlo, choc bylo bardzo wczesnie; te przetaczajace sie fale oblokow zupełnie nas zalewaly i nieraz na tych ciemnych drogach nie mogliśmy dostrzec czola naszej kawalkady. Snieg zaczynal takze padać wielkimi platami i zasypywal sled sciezek, ktorych na próżno szukali nasi przewodnicy; z trudem utrzymywalismy znuzone konie, ich podkowki slizgaly sie na urwistych wystepach, po ktorych musieliśmy jechać. Wspanialy widok na doline Baalbeku i na szczyty Antylibanu, z wielkimi zwaliskami swiatyn Bekaa, na ktore padalo swiatlo, czasami tylko ukazywal sie nam w przeswitach miedzy oblokami; mogloby sie zdawac, ze zeglujemy po niebie i ze wyznyma, z ktorej spogladalismy na ziemie, juz do niej nie nalezy. Tymczasem wiatr, uspony w glębokich wawozach gorskich, zaczal huczeć zalobnie, grobowo, a ow loskot, podobny do ryku wzburzonego morza podczas nawalnicy, rozlegal sie niby uderzenia piorunow to ponad nami, to znów

pod nami, tocząc, jak zeschłe liście, grudy śniegu i grad kamieni, a nawet dość duże bryły skalne z taką szybkością, jak gdyby je wyzionęła paszcza działowa; uderzone nimi dwa nasze konie stoczyły się w przepaść z całym ładunkiem. My uszliśmy szczęśliwie; moje młode ogiery arabskie, prowadzone luzem, były przerażone; przystawały nagle, rozdymały chrapy, nie rżąc, lecz wydając jakieś gardłowe odgłosy, podobne do ludzkiego rżenia; jechaliśmy blisko siebie, jeden obok drugiego, aby pilnować się i dopomóc sobie w razie konieczności. Noc zapadała coraz ciemniejsza, a śnieg, bijąc w oczy, pozbawiał tej reszty światła, które mogło nas jeszcze prowadzić. Wiry wiatru napępniały cały wąwóz kręcącym się śniegiem, który wznosił się słupami aż pod niebo i spadał ogromnymi płachtami jak piana wielkich fal zalewających skały; chwilami niepodobna było oddychać; nasi przewodnicy zatrzymywali się, niepewni, co kilka kroków i strzałami wskazywali nam kierunek, ale wściekły wiatr rozpraszał ich odgłos i huk strzelb przypominał daleki trzask z bicia. Tymczasem im głębiej zapuszczaliśmy się w wysoki wąwóz utworzony przez ostatnie grzbiety Libanu, tym wyraźniej słyszeliśmy z przerażeniem niski, ciągły, głuchy, z każdą chwilą głośniejszy łoskot, który tworzył jak gdyby basowy wtór tego okropnego koncertu rozpętanych żywiołów; nie wiedzieliśmy, skąd pochodzi; zdawało się, że część góry runęła i staczała się jak potoki ze skał. Gęste obłoki, sunąc po ziemi, wszystko przed nami zakrywały; nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy, kiedy nagle ujrzeliśmy biegnące obok nas konie bez jeźdźców i muły bez ładunków, a także mnóstwo wielbłądów, które uciekały po zaśnieżonych zboczach góry.

Wkrótce z krzykiem nadbiegli Arabowie: ostrzegli nas, abyśmy nie jechali dalej, i wskazywali nam niżej położoną o czterdzieści, pięćdziesiąt kroków od nas nędzną rudę, przylegającą do skały, której przedtem nie widzieliśmy, bo ją przesłaniały obłoki. Z drzwi tej chaty, której dach, ułożony z ogromnych gałęzi cedrowych, huragan zerwał w połowie i rzucił na mur, wydobywał się kłęb dymu i blask bijący od ogniska; było to jedyne dla nas schronienie w tej części Libanu: kan Murad Beja<sup>12</sup>. Latem mieszka tu pewien ubogi Arab, który karawanom z Damaszku, tą drogą ciągnącym do Syrii, daje przytułek i trochę jęczmienia. Zjechaliśmy tam z trudem po wykutych w skale schodach, zasypanych na stopę śniegiem; potok, płynący o sto kroków poniżej kanu, który trzeba przebyć, aby minąć ostatni łańcuch górski, nagle zmienił się w ogromną rzekę i toczył odłamy kamieni oraz rozmaite szczątki. Napotkani przez nas Arabowie, których hura-

gan zaskoczył nad jej brzegami i do połowy zasypał śniegiem, zrzucili ładunki z wielbłądów i mułów i zostawili je, byle schronić się w kanie Murada. Zapelnili go w całości wraz ze swoimi końmi, dla naszych i dla nas nie pozostawiając w ogóle miejsca. Ale pod osłoną skały większej niż dom wiatr nie był już tak dotkliwy, a chmury śniegu, unoszone ze szczytów Libanu, które przelatywały nad naszymi głowami i spadały na równinę, przerzedzały się i niekiedy można było dostrzec prześwitujące niebo z błyszczącymi już na nim gwiazdami. Wkrótce wiatr ustał zupełnie; zsiadliśmy z koni i zaczęliśmy myśleć o urządzeniu jakiegoś schronienia, w którym moglibyśmy spędzić nie tylko noc, ale może nawet kilka dni, gdyby potok, który słyszeliśmy, nie widząc go, dłużej tamował nam przejazd. Pod murami zwałonego kanu, pod osłoną części cedrowych gałęzi, które niedawno tworzyły dach, było jakie dziesięć stóp kwadratowych przestrzeni, pełnej śniegu i błota. Odmietliśmy śnieg; zostawało jeszcze na stopę miękkiego błota, na którym nie mogliśmy ułożyć kobierców; ułamaliśmy więc z dachu kilka grubych konarów i położyliśmy je niby plecionkę na rozmięklej ziemi; te konary sprawiły, że nasze maty nie przemakały; materace, koce i płaszcze stanowiły drugą warstwę tej posadzki; w rogu tego schroniska roznieciliśmy ogień i tym sposobem minęła nam długa noc z 7 na 8 kwietnia 1833 roku.

Czasami budził nas uśpiony huragan, zdawało się, że cała góra się wali; ogromna skała, o którą opierał się kan, drżała jak pień drzewa wstrząsany gwałtownymi uderzeniami wiatru, a huk potoku nappełniał morze i niebo żalonym wyciem. W końcu jednak sen wszystko zwyciężył i zbudziliśmy się, gdy już jasne promienie słońca odbijały się na śniegu. Nasi współtowarzysze Arabowie już odjechali, szczęśliwie przebyli potok; widzieliśmy ich w oddali, jak wdzierają się na wzgórze, które i my mieliśmy przebyć; wyruszyliśmy także; cztery godziny jechaliśmy głęboką doliną, w której, jak na szczycie Mont-Blanc, widać tylko śnieg pod stopami, a niebo nad głową. Olśniewający blask, ponure milczenie, niebezpieczeństwo czyhające na każdym kroku na tym białym pustkowiu, na którym świeżo spadły śnieg nie pozostawił żadnych śladów, sprawiają, iż przejazd przez te słupy milowe ziemi, przez ów kręgosłup całego kontynentu jest czymś, *co* napawa uczuciem nabożnego lęku. Człowiek mimo woli zastanawia się nad każdym punktem widnokregu i nieba, nad każdym zjawiskiem przyrody; tu ujrzałem jedno z takich zjawisk, które zwróciło moją uwagę niczym jakiś piękny obraz, a którego dotychczas nigdy nie widziałem. Oto na szczycie Libanu, na zboczach

jednej z wyniosłości, osłoniętej jeszcze na poły od blasku porannego słońca, ujrzałem wspaniałą tęczę, która nie tworzyła powietrznego mostu, łączącego niebo ze szczytem góry, lecz leżała na śniegu, zwinięta w koncentryczne kręgi, jak barwny, lśniący wąż; przypominało to jakby gniazdo z tęczy ujrzone zniemacka na najnieдоступniejszym szczycie Libanu. W miarę jak słońce wznosiło się i ogarniało ową wyniosłość swoimi białymi promieniami, jaśniejące tysiącem barw kręgi tęczy jak gdyby poruszały się i unosiły; zewnętrzna część tych lśniących wolut w istocie u-nosiła się z ziemi i wznosiła ku niebu na kilka sążni, jak gdyby usiłując wzbic się ku słońcu, i rozpływała się w białawe mgły i w płynne perły, które padały wokół nas. Minawszy linię śniegu, usiedliśmy, aby wysuszyć w słońcu przemokłe obuwie; zaczęliśmy dostrzegać głębokie, ciemne doliny Maronitów. Po dwóch godzinach byliśmy już we wsi Hammana — leżącej na wysokim skraju wspaniałej doliny tej nazwy — w której nocowaliśmy, jadąc do Damaszku. Szejk kazał, aby oddano nam na mieszkanie trzy domy w wiosce. Wieczne słońce lśniło pod szerokimi liśćmi morw i fig; ludzie szli z pola z pługami; kobiety i dzieci krążyły po drózkach między domami i witały nas z życzliwym uśmiechem; bydło wracało z pól ze swoimi dzwoneczkami; gołębie i kury gęsto siedziały na tarasach, a dźwięk dzwonów dwóch kościołów maronickich, niosąc się miarowo nad wierzchołkami cyprysów, zapowiadał pobożne uroczystości następnego dnia, na który przypadała niedziela. Widok tej wsi, jej odgłosy i cisza, przypominał jakąś zamożną wieś we Francji lub Włoszech, którą niespodziewanie napotkaliśmy, opuszczając przepaści Libanu, pustynie Baalbeku i niegościnnie ulice Damaszku; nigdy może przejście nie było tak niespodziane, tak miłe; postanowiliśmy spędzić niedzielę wśród tego dorodnego, dzielnego ludu i wypocząć dzień cały po tak długich znojach.

Dzień spędzony w Hammanie; shejk i targ miejscowy dostarczały nam obfitych zapasów; kobiety z Hammany przez cały dzień nas odwiedzały; nie są tak piękne jak Syryjki znad brzegów morza; należą do najczystszej plemy Maronitów; w całej ich powierzchowności maluje się siła i zdrowie, ale rysy mają zbyt wyraziste, spojrzenie zbyt ostre, cerę zbyt rumianą; ubiór ich składa się z szerokich, białych szarawarów, z wierzchniej długiej sukni z niebieskiej tkaniny, otwartej z przodu i nie zakrywającej piersi, z mnóstwa sznurów z nawleczonymi na nie piasrami wiszącymi na szyi, na piersiach i na plecach; kobiety zameżne uzupełniają ten ubiór rogiem srebrnym na stopę, a czasem na półto-

ra stopy cuugim, umocowanym na splecionych włosach i nieco z ukosa wznoszącym się nad czołem. Na końcu tego rogu, rzeźbionego i cyzelowanego, zwisa muślinowa zasłona, którą niekiedy zakrywają twarz; nie zdejmują nigdy tego rogu, nawet idąc spać. Ten dziwny zwyczaj, którego źródła szukać należy w zboczeniach umysłu ludzkiego, oszpeca je i sprawia, że wszystkie ruchy ich głów i karków są ociężałe.

9 kwietnia.

Wyruszyliśmy z Hammany w mglistym poranku, o piątej. Dwie godziny jechaliśmy stromymi, nagimi zboczami wyniosłych grzbietów Libanu, opadających ku równinom Syrii. Dolina, którą minęliśmy z prawej strony, coraz to stawała się głębsza i szersza. W tym miejscu mogła mieć około dwóch mil szerokości i co najmniej milę głębokości. Przejrzyste mgły poranne snuły się z wolna po widnokręgu jak fale morskie, a przez nie wystrzelały jedynie wysokie szczyty pagórków, wierzchołki cyprysów i kilka wież po wsiach oraz klasztorach maronickich, lecz wiatr od morza, co zerwał się i wzmagał w miarę, jak słońce wschodziło coraz wyżej, rozpędził niebawem te falujące mgły i pozwijał je w białe zasłony, które przylgnęły do zaśnieżonych szczytów górskich, tworząc na ich powierzchni delikatne szarawe plamy. Ujrzelśmy cały obszar doliny. Dlaczego oko, które widzi od pierwszego wejrzenia, nie włada mową, która malowałaby jednym tylko słowem? Chciałbym wiecznie zachować w pamięci nieporównane widoki i wrażenia tej doliny w pobliżu Hammany. Znajdowałem się nad jednym z tysiąca potoków, które spływają po jej zboczach, znacząc je bruzdami toczącej się piany, i pędzą w głąb doliny między blokami skalnymi, urwistymi błoniami, pniami cyprysów, konarami topoli, dzikim winem i czarnymi drzewami świętojańskimi, łącząc się z główną rzeką, płynącą przez całą jej długość. Dolina jest tak głęboka, że nie mogłem dostrzec jej dna; dochodziły mnie tylko raz po raz tysięczne odgłosy jej wód i szelest liści, porykiwanie pasącego się w niej bydła i daleki srebrzysty dźwięk klasztornych dzwonów.

Cień poranka zalegał jeszcze dno, gdzie pieniał się główny potok. Tu i ówdzie, za którymś z wzniesień, dostrzegłem białą linię piany, którą kreślił na tle tego czarniawego cienia. Z tej strony doliny, gdzie się znajdowaliśmy, widziałem wznoszące się w odstępach prawie ćwierćmilowych, jedna nad drugą, trzy lub cztery szerokie ławy skalne, podobne do naturalnych piedestałów; ich boki z szarawego granitu wydają się pionowe. Na tych ła-

wach, mających pół mili obwodu, gęsto rosną cedry, jodły i pinie o rozłożystych koronach; widać było wyraźnie wielkie, smukłe pnie tych drzew, między którymi sączył się i lśnił blask poranny. Pośród ich ciemnego, nieruchomego listowia snuły się gdzieniegdzie kłęby lekkiego, błękitnego dymu unoszące się z chat rolników maronickich lub widniały małe strzałkowate łuki kamienne, w których zwisały dzwony wioskowe. Dwa wielkie klasztory o murach lśniących jak mosiądz wznosiły się na dwóch z tych łąw porośniętych piniami. Przypominały twierdze średniowieczne. Poniżej klasztorów zakonnicy maronicy w czarnych kapturach orali między winnicami i wielkimi kasztanami. Jeszcze niżej dwie, trzy wioski, skupione wokół skalistych pagórków wznosiły się niczym ule wokół pni starych drzew. Obok każdej chaty widać było kilka kęp o bledszej zieleni: to granaty, figi albo oliwki, które zaczynały owocować w tym miejscu doliny; za nimi oko gubiło się w nieprzejrzanym cieniu jej głębi. Jeżeliby wzrok przedarł się przez ten cień i wzniósł na przeciwległy stok górski, ujrzalby z kilku stron sterczące aż pod obłoki pionowe ściany granitowej skały. Poniżej tych ścian, które były jak gdyby blankowane przez naturę, widać łąwy okryte najrozmaitszą roślinnością, wierzchołki jodeł zwisających na skrajach tych przepaści, ogromne korony sykomor, tworzących wielkie plamy na tle nieba, a za tym blankowaniem, ukoronowanym przez kształty drzew, wiejskie dzwonnice i klasztory, do których drogi nie sposób odgadnąć. Gdzie indziej znów spojrzenie rzucone poprzez szczeliny w, granitowych stokach gór ginęło w pomroce lasów i tylko tu i ówdzie można było dostrzec jakieś lśniące, ruchome punkty, które stanowiły koryta potoków i jeziora utworzone przez bijące tam źródła. Gdzie indziej skały nagle znikwały; osłaniały je ogromne, krągłe bastiony, niczym jakieś odwieczne szczyty, a u ich załomów wznosiły się jakieś wieże lub wieżyczki. Głębokie doliny, których wysokość oko ledwo mogło zmierzyć, otwierały się i biegły w dal między ścianami śniegu i lasów; tam spływał główny potok Hammany, który z początku sączył się niby woda z rynny zawieszanej u wielkiego dachu pokrytego śniegiem, ginął w stawie, skąd spływały z hukiem wodospady, dzielił się na siedem czy osiem lśniących odnóg, dalej znikał poza skałami i czarniawymi wzniesieniami, potem znów ukazywał się jak jednolita wstęga, która zwija się lub rozwija zależnie od tego, czy płynie po zboczach łagodnych czy stromych. Wreszcie spadał w główną dolinę strugą na sto stóp szeroką, z wysokości dwustu stóp. Piana, która się nad nim unosiła, którą wiatr rzucał to tu, to

tam, okrywała lotnymi tęczkami szczyty wysokich pinii wznoszących się nad tym wodospadem. Dolina znajdująca się z lewej strony, zniżając się ku brzegom morza, rozszerzała się, a jej zbocza były bardziej zdrzewione i lepiej nadawały się do uprawy; rzeka płynęła tu kręto między pagórkami, na których wznosiły się klasztory i wioski. Nieco dalej, na równinie, za niskimi wzgórkami, gdzie rosły oliwki, ukazywały się żółtozielone pióropusze palm, przecinając długą linię złotawego piasku przymorza. Wreszcie wzrok gubił się w jakiejś nieokreślonej dali, między niebem i falami.

Szczegóły tej uroczej całości były nie mniej pociągające niż widok ogólny. Za każdym zakrętem skał, na każdym wierzchołku wzgórza, dokąd prowadziła ścieżka, odsłaniał się nowy krajobraz, a wody, drzewa, skały, ruiny mostów czy akweduktów, śniegi, morze lub czarniawy piasek, ukazując się w nieoczekiwanej oprawie, wywoływały okrzyk zdumienia lub podziwu. Widziałem Neapol i pobliskie wyspy, doliny Apeninów, Alp, Sabaudii i Szwajcarii, ale dolina Hammany i kilka innych dolin Libanu zacierają wszystkie tamte wspomnienia. Ogrom skupionych tu brył skalnych, różnaitość wodospadów, przezroczyłość i głębia nieba, widok rozległego morza, stanowiącego tło tych wszystkich widoków, malownicze kontury wiosek i klasztorów maronickich, zawieszonych jak gniazda ludzkie na wyżynach, ku którym wzrok sięga z obawą, wreszcie nowość, niezwykłość i odcień, to czarny, to znów blady, roślinności, majestat koron wielkich drzew, których pnie przypominają niekiedy granitowe kolumny, wszystko to nadaje kształt, barwę i uroczysty wygląd tym krajobrazom i wprawia duszę w nastrój bardziej nabożnej powagi niż choćby Alpy. Każdy krajobraz, któremu brak żywiołu, jest niepełny. Tutaj morze, pustynia, niebo są wspaniałą ramą obrazu, a zachwycone oko bezustannie przenosi się z głębin odwiecznych lasów, z brzegów zacienionych źródeł, z napowietrznych szczytów gór, spokojnych widoków życia wiejskiego lub klasztornego ku błękitnej przestrzeni, na której widnieją statki, ku ośnieżonym wierzchołkom niknącym w niebie u samych gwiazd lub ku żółtym i złotawym falistym piaskom pustyni, gdzie karawany wielbłądów kreślą w dali swoje kręte linie. Ow nieustanny kontrast sprawia, że myśl styka się tu z majestatycznymi doznaniem, i to właśnie stanowi, że góry Libanu skłaniają do modlitwy, poezji i zachwyty.



## DAMASZEK

Tegoż dnia.

W południe rozbiliśmy namioty w połowie wysokości Libanu, czekając, aby minął skwar. Przyprowadzono mi gońca arabskiego, który jechał szukać mnie w Damaszku. Oddał mi plik listów, nadeszłych z Europy, z których dowiedziałem się, że zostałem członkiem Izby Deputowanych.<sup>13</sup> Nowe zmartwienie obok tylu innych. Niestety, kiedy indziej tego pragnąłem i sam ubiegałem się o ów wybór, o zaufanie, którego dziś, nie okazując niewdzięczności, nie mogę zawieść. Pojadę; ale jakżebym pragnął teraz, żeby mnie ten kielich ominął! W dramacie politycznym i społecznym, który rozgrywa się przede wszystkim u nas, nie widzę już dla siebie przyszłości. Wygasły we mnie wszystkie żądze sławy, wyniesienia się i majątku, które są napędową siłą ludzi zajmujących się polityką. Jedyne, co mi będzie przyświecało w tych pełnych namiętności obradach, to dobro ojczyzny i ludzkości. Ojczyzna i ludzkość to pojęcia oderwane dla ludzi, co pragną być panami bieżącej chwili i za wszelką cenę uzyskać jakieś korzyści dla swojej rodziny, warstwy lub stronnictwa. Czymże jest spokojny i bezstronny głos filozofii pośród zgiełku czynów, które mieszają się i ścierają z sobą? Któż za kurzawą obecnej walki widzi przyszłość i jej widnokrąg bez granic? Cóż począć, człowiek nie obiera ani swojej drogi, ani swojego dzieła; Bóg poprzez okoliczności i przekonania człowieka wskazuje mu jego zadania. Trzeba je wypełnić! Ja jednak w bolesnym zadaniu, które Bóg na mnie dziś nałożył, widzę dla siebie jedynie duchową mękę. Urodziłem się do działania. Poezja była we mnie tylko działaniem zastępczym; czułem, wyrażałem myśli i uczucia, nie mogłem bowiem działać. Ale dziś już działanie mnie nie pociąga. Zbyt głęboko wniknąłem w istotę rzeczy ludzkich, aby nie pojąć ich znaczenia. Utraciłem tyle istot, którym mógłbym się odwdzięczać życiem czynnym, że odeszło mnie upodobanie do wszelkiego działania z pobudek osobistych. Życie pośród rozmyślań, filozofii, poezji i samotności byłoby jedynym łóżem, na którym mogłoby spocząć moje serce, nim się rozprysnie do szczytu.

## Powrót do Bejrutu i droga do Cedrów Salomona

10 kwietnia 1833.

Przybyliśmy tutaj wczoraj. Dwugodzinny pobyt w klasztorze franciszkanów, przy grobie, w którym pochowałem całą moją przyszłość.<sup>1</sup> Bryg „Alcesta”, mający przewieźć te drogie szczątki do Francji, jeszcze nie przybył. Dla nas nająłem dziś inny bryg<sup>2</sup> Popłyniemy razem, ale przynajmniej matka nie będzie w tej samej kajucie, gdzie zwłoki jej dziecka. Podczas przygotowań, które trzeba będzie podjąć na brygu kapitana Coulonne do przewozu tylu podróżnych, zwiedzimy Kezruan, Trypolis, Latakę, Antiochię i Cedry Libanu na ostatnich szczytach gór, za Trypo-lisem. Dziś rano liczne odwiedziny wszystkich naszych przyjaciół z Bejrutu: gubernator, władca Maronitów, Habib Barbara, nasz sąsiad wiejski, który od naszego przybycia, a zwłaszcza od naszych nieszczęść, okazał się prawdziwym przyjacielem, pan Bianco, konsul sardyński, i pan Borda, młody, miły Piemontczyk, dziwnym trafem zepchnięty na stanowisko urzędnika konsularnego na tym wschodnim pustkowiu, gdy tymczasem jego wiedza, upodobania i charakter mogłyby uczynić z niego wybitnego dyplomatę przy jakimś ucywilizowanym dworze europejskim, pan Laurella, konsul austriacki, pan Farren, konsul jeneralny Anglii, oraz pan Abbot, angielski konsul do specjalnych poruczeń w Syrii, pan Humann, młody kupiec francuski, którego towarzystwo równie nam było użyteczne, jak przyjemne od chwili naszego tu przybycia, pan Caillé, podróżnik francuski, pan Jorelle, pierwszy tłumacz konsulatu, młodzieniec wychowany we Francji i wcześniej przywieziony na Wschód, znający języki turecki i arabski tak dokładnie jak języki macierzyste, zacyjny, czynny, usłużny z własnego popędu, który, wyświadczając przysługę, poczytuje to sobie za przyjemność, wreszcie pan Guys, konsul francuski w Syrii, czcigodny reprezentant naszej rzetelności w tych krajach, gdzie Arabowie wielce go szanują; przybył tu niedawno, toteż nie mieliśmy sposobności widywać go tak często jak jego kolegów.

Nazwiska tych wszystkich, którzy nam okazali tyle dobroci

i współczucia podczas rocznego naszego pobytu między nimi, unosimy ze sobą we wdzięcznej pamięci. Gdyby nie list, który wczoraj otrzymałem, gdyby nie mój stary ojciec, którego wspomnienie nieustannie wzywa mnie do Francji, jeśli miałbym wybrać miejsce wygnania, aby po trudach, na łonie samotności i czarownej przyrody zakończyć moje dni, zostałbym tu, gdzie jestem.

*13 kwietnia 1833.*

Wyruszyłem o czwartej rano z tą samą kawalkadą, z którą jechałem do Damaszku; droga wzdłuż wybrzeża aż do przylądka Batrun; okolice te już opisałem; nocleg w Dżebeil, w kanie za miastem, na wyniosłości górującej nad morzem. Miasto zwraca na siebie uwagę tylko meczetem architektury chrześcijańskiej, który prawdopodobnie był niegdyś kościołem zbudowanym przez hrabiów Trypolisu<sup>3</sup> Utrzymują, że Dżebeil jest starożytnym krajem Giblitów, którzy królowi Hiramowi dostarczali kamieni przeznaczonych do budowy świątyni Salomona.<sup>4</sup> Ojciec Adonisa miał tam swój pałac, a kult jego syna był kultem panującym w całej okolicznej Syrii<sup>5</sup> Na lewo od miasta wznosi się twierdza, która zwraca uwagę wykwentem architektury i rozplanowaniem swoich oszańcowań.<sup>6</sup> Zjechaliśmy do miasta, aby obejrzeć przystań, gdzie kołysało się kilka barek arabskich; mieszkają tu niemal wyłącznie Maronici. Jakaś bardzo piękna Arabka, nadzwyczaj bogato ubrana, przyszła odwiedzić moją żonę w karawanseraju; ofiarowaliśmy jej kilka drobnych upominków. Nazajutrz wciąż posuwaliśmy się wzdłuż wybrzeża u podnóża gór Kastravan, omywanych przez morze; nocleg pod naszymi namiotami w prześlicznej okolicy, u wjazdu na obszar Trypolisu. Droga skręca nagle w prawo, nie biegnie już wybrzeżem, lecz wąskim wąwozem, w którym płynie strumień; o jaką milę od morza wąwóz jeszcze bardziej się ścieśnił; zamykała go skała na sto stóp wysoka i mająca pięćset, sześćset stóp obwodu; na wierzchołku tej skały, naturalnej czy też wykutej ze zbocza góry do niej przylegającej, wznosi się zamek gotycki, doskonale zachowany, który służy za siedzibę orłom i szakalom; schody wykute w skale prowadzą na wznoszące się jedne nad drugimi tarasy, zabudowane wieżami i blankowanym murem, aż wreszcie na taras najwyższy, z którego wystrzela ku niebu wieża główna z gotyckimi oknami; cały zamek, mury, blanki gęsto zarasta roślinność; olbrzymie sykomory wyrosły w salach zamkowych, a ich rozłożyste korony wystają ponad zwalonymi dachami; opadające ogromne zwoje pnączów, bluszcze wijące się u okien i drzwi, mchy porastające wszędzie kamień na-

dają temu wspaniałemu zabytkowi średnich wieków wygląd jak gdyby zamku z mchu i bluszczu. U podnóża skały piękna studnia, ocieniona trzema drzewami, najdorodniejszymi, jakie widzieć można; była to jakaś odmiana wiązów; cień jednego z nich osłaniał nasze namioty, trzydzieści naszych koni i wszystkie rozproszone grupy naszych Arabów.

Nazajutrz, dotarłszy na strome wzgórze, gdzie grunt był biały i śliski, na którym konie ledwo mogły się utrzymać, ujrzeliśmy ze szczytu bezkresny widok całego zachodniego wybrzeża Syrii aż do zatoki Aleksandretty i góry Taurus, a nieco w prawo — równiny Aleppo i wzgórz Antiochii wraz z biegiem Orontu. Po trzech godzinach dojechalśmy do bram Trypolisu; oczekiwano tu naszego przybycia i o milę od miasta napotkaliśmy całą kawalkadę, złożoną z młodych kupców Franków różnych narodowości i z kilku oficerów Ibrahima, którzy wyjechali na nasze spotkanie. Syn pana Lombart, kupca francuskiego osiadłego w Trypolisie, ofiarował nam gościnę w imieniu swojego ojca; obawiając się, że będziemy mu ciężarem, pojechalśmy do klasztoru ojców franciszkanów; jeden tylko zakonnik mieszkał w tej ogromnej budowli i przyjął nas uprzejmie. Pobyt dwudniowy w Trypolisie; obiad u pana Lombart; radość ze spotkania rodziny francuskiej, u której każdy współziomek doznaje serdecznego przyjęcia; wieczór u panów Katchiflisse, kupców greckich i konsulów rosyjskich, rodziny od niepamiętnych czasów osiadłej w Trypolisie, gdzie ma wspaniały pałac. Pani i obie panny Katchiflisse, słynne w Syrii z piękności i z wdzięku swojego obejścia, łączą azjatycką skromność z powabną swobodą kobiet greckich i z najdoskonalszymi manierami najwykwintniejszych kobiet europejskich; przyjęły nas w wielkim, sklepionym salonie, który oświetla blask padający z kopuły, a chłodzi woda płynąca w basenie; siedziały na półokrągłej sofie, w głębi salonu; wszystko okrywały bogate kobierce, na których rozłożono i rozstawiono fajki, nargile, wazony pełne kwiatów i naczynia z sorbetami; każda z tych trzech kobiet, odzianych w strój wschodni, tworzyła najpiękniejszą całość, jaką może podziwiać oko ludzkie; na miłej z nimi rozmowie minął nam wieczór i przyrzekliśmy, że odwiedzimy je w drodze powrotnej.

Szejk Ehdenu, ostatniej wioski zamieszkałej na wierzchołku Libanu, był wujem pana Mazoyer, mojego tłumacza. Dowiedziawszy się od siostrzeńca o naszym przyjeździe do Trypolisu, przybył z gór ze swoim starszym synem i częścią swojej służby; odwiedził mnie w klasztorze franciszkanów i zaprosił do siebie do

Ehdenu. Z Ehdenu do Cedrów Salomona było już tylko trzy godziny drogi, a jeżeliby śnieg pokrywający jeszcze góry na to nam pozwolił, moglibyśmy stamtąd pojechać dalej, aby obejrzeć te odwieczne drzewa, które rozślawiły cały Liban i są współczesne wielkiemu królowi; przyjęliśmy zaproszenie i postanowiliśmy, że wyjedziemy nazajutrz.

O piątej rano już byliśmy na koniach. Kawalkadę, liczniejszą niż zwykle, poprzedzał szejk Ehdenu, czcigodny starzec, którego układne obejście, szlachetna, niewymuszona uprzejmość i wspaniały ubiór bynajmniej nie przypominały naczelnika arabskiego; można by rzec, że to jakiś patriarcha na czele swojego plemienia; jechał na klaczy z pustyni, której złotogniada maść i rozwiana grzywa były godne rumaka któregoś z bohaterów *Jerozolimy wyzwolonej*; jego syn i znaczniejsi słudzy harcowali na wspaniałych ogierach o kilka kroków przed nim; jechaliśmy za nimi, a dalej długi rząd naszych mukrów i saisów. Przy wyjeździe z Trypolisu ujrzeliśmy widok prześliczny; droga wiodła nad brzegiem rzeki płynącej między dwoma wzgórzami; piękne drzewa i lasy ogromnych pomarańcz ocinają jej bieg; na tchnącym wonią tarasie zbudowanego pod tymi drzewami pawilonu zbierają się mieszkańcy, piją kawę, palą tytoń, oddychając miłym chłodem rzeki; stamtąd, w prześwicie, widać morze odległe od miasta o pół mili, piękne czworoboczne wieże, zbudowane przez Arabów po dwóch stronach przystani, i liczne statki na redzie.

Minęliśmy szeroką, uprawną równinę, zasadzoną drzewami oliwnymi; na pierwszym pagórku, który wznosił się na tej równinie już w pobliżu gór Libanu, wśród lasu oliwek i drzew owocowych różnego gatunku, napotkaliśmy wielką gromadę mężczyzn, kobiet i dzieci stojących przy drodze; byli to mieszkańcy wielkiej wsi rozrzuconej pod tymi drzewami i należącej do szejka Ehdenu; szejk spędza zwykle lato w Ehdenu, a zimę w wiosce na równinie. Arabowie z uszanowaniem powitali swojego władcę, poczęstowali nas chłodzącymi napojami i pewna ich liczba ruszyła w drogę z nami, aby poprowadzić przeznaczone dla nas 'cielęta i owce oraz okazać nam pomoc w przebywaniu górskich przepaści; cztery następne godziny jechaliśmy to głębokimi wąwozami, to znów wierzchołkami prawie nagich gór; zatrzymaliśmy się nad brzegiem potoku płynącego z wierzchołków Ehdenu, który toczył bryły na pół roztajającego śniegu. Szejk kazał rozpalić wielkie ognisko w cieniu jakiejś skały; zjedliśmy tu śniadanie i pozwolili wypocząć koniom; droga pod górę była tak stroma i wiodła po skałach tak nagich i śliskich jak polerowany

marmur, że niepodobna pojąć, jakim sposobem konie arabskie mogą się na nie wdrzeć, a nade wszystko z nich zejść. Czterech Arabów postępowało przy każdym naszym koniu, podpierając go rękami lub ramionami; mimo tej pomocy kilka jednak upadło na skałę, nie wyrządzając sobie szczęściem krzywdy. Ta okropna droga, czy raczej ten mur prawie prostopadły, po dwugodzinnych znojach doprowadziła nas na skalną ławę, z której ujrzeliśmy rozległy widok na jakąś dolinę we wnętrzu gór i na wieś Ehden, położoną na najwyższej wznoszącym się jej skraju pokrytym śniegiem. Nad Ehdenem wznosi się już tylko ogromna piramida nagiej skały: ostatni szczyt tej części Libanu; wieńczy go niewielka, zrujnowana kapliczka; wiatry zimowe bezustannie uderzają o tę skałę i odrywają od niej ogromne bryły, które staczają się aż ku wsi; wszystkie okoliczne pola są nimi zasłane, a nawet pełno ich wokół siedziby szejka. Owa siedziba, do której zbliżyliśmy się, była w stylu na wskroś arabskim; prześliczne kolumnienki przedzielały otwory okien zakończonych ostrołukami; tarasy, służące jako dachy i salony, były otoczone blankami; po obu stronach sklepionej bramy wznosiły się wysokie ławy z rzeźbionego kamienia, nawet słupy drzwiowe były ozdobione arabeskami.

Szejk pierwszy zsiadł z konia i czekał na nas przed domem; jego młodszy syn, trzymając srebrną kadzielnicę, palił przed naszymi końmi kadzidła, a jego bracia skrapiali nam włosy i o-dzież wonnościami; w sali, gdzie całe drzewa gorzały w ogromnym kominie, zastawiono dla nas wspaniałą biesiadę; najwyborniejsze wina Libanu i Cypru i niezmierna ilość zwierzyny składały się na tę ucztę; nasi Arabowie w podobny sposób byli podejmowani na dziedzińcu. Wieczorem zwiedziliśmy okolice wioski; śnieg okrywał jeszcze część pól; wszędzie widać było ślady obfitej uprawy; na najmniejszym skrawku nadającego się do niej gruntu między skałami widać było albo winnice, albo drzewa orzechowe; niezliczone źródła sączyły się zewsząd u naszych stóp, płynąc dalej po polach umyślnie wykopanymi kanałami; wzniesione z ogromnych odłamów skalnych tarasy podtrzymywały owe stromo spadające pola; pod szczytem skały, z lewej strony, ujrzeliśmy klasztor i liczne wioski położone blisko jedna od drugiej na wszystkich zboczach doliny.

*Tegoż dnia.*

Szejk wysłał trzech Arabów na drogę do Cedrów, aby sprawdzić, czy śnieg nie przeszkodzi nam dojechać aż do tych drzew; Arabowie po powrocie oznajmili, że droga jest nie do przebycia;

w wąskim parowie, którego nie można ominąć, śniegu było na czternaście stóp. Chcąc podjechać jak najbliżej, poprosiłem szejka, aby pozwolił mi zabrać z sobą jego syna i kilku konnych; zostawiłem w Ehdenie moją żonę i całą kawalkadę, sam zaś dosiadłem Szama, jednego z najsilniejszych moich koni, i ze wschodem słońca byliśmy już w drodze. Trzy godziny jechaliśmy grzbietami górskimi lub polami rozmokłymi od topniejącego śniegu; dotarłem na skraj Doliny Świętych, stanowiącej głęboką gardziel, gdy spozierać na nią ze szczytu skał, znacznie węższą, ciemniejszą i jeszcze bardziej majestatyczną niż dolina Hamma-ny. W najwyższym punkcie tej doliny, tam, gdzie ciągle się wznosząc, sięga obszaru pokrytego śniegiem, wspaniała struga wody, szeroka na dwieście, trzysta stóp, spada z wysokości co najmniej stu stóp; huk tego wodospadu, a także zasilanego przezeń potoku, rozlega się po całej dolinie, skaliste zbocza gór ze wszystkich stron ociekają pianą. W głębi doliny, gdzie oko ledwo może sięgnąć, widać dwie wielkie wioski, których domy prawie się nie różnią od skalnych odłamów, zniesionych przez potok; wierzchołki topoli i morw przypominają stąd jak gdyby kępy sitowia lub trawy. Do wioski Becharri schodzi się ścieżkami wykutymi w skale, lecz tak stromymi, że pojąc nie można, jak ludzie mogą się na to odważyć; wielu też znajduje tam śmierć; kamień ciś-nięty ze szczytu, na którym staliśmy, upadłby na dachy tych wiosek, do których za godzinę z trudem by dojść można. Nad wodospadem i śniegami ciągną się niezmierzone pola lodowe, nad którymi powietrze mieni się niby para to zielona we j, to znów błękitnej barwy. Po kwadransie drogi, na lewo od nas, w rodzaju półkolistej doliny, utworzonej pośród ostatnich grzbietów Libanu, ujrzeliśmy na śniegu jakąś ogromną plamę: były to kępy owych sławnych cedrów; wieńczą one na podobieństwo korony czoło gór, przesłaniają rozgałęzienie licznych, wielkich dolin, które stąd biorą początek; ich widnokregiem jest morze i niebo. Puściliśmy się galopem po śniegu, aby jak najbliżej podjechać do lasu, lecz gdy dotarliśmy na odległość pięciuset, sześciuset kroków od drzew, konie aż po łopatki zapadły się w śnieg; przekonaliśmy się, że doniesienia naszych Arabów były dokładne i że trzeba zrezygnować z zamiaru dotknięcia tych relikwii wieków i natury; zsiadliśmy z koni i chcąc lepiej przyjrzeć się drzewom, usadowiliśmy się na skale.

Te drzewa to najsławniejsze w świecie pomniki przyrody. Uświęciły je zarówno religia, poezja i historia. Pismo święte sławi je w wielu miejscach.<sup>8</sup> Są jednym z tych obrazów, których

prorocy używają ze szczególnym upodobaniem. Salomon, z pewnością ze względu na rozgłos wspaniałości i świętości otaczający w owych czasach te cuda świata roślinnego, chciał ich użyć do ozdoby świątyni, którą pierwszy wznosił ku chwale Boga jedyne. Są to oczywiście te same drzewa, Ezechiel bowiem wspomina o cedrach Edenu jako o najpiękniejszych w Libanie.<sup>9</sup> Arabowie wszystkich sekt tradycyjnie czczą te drzewa. Przyznają im nie tylko siłę żywotną, która pozwala im trwać wiecznie, lecz również duszę, która sprawia, że okazują mądrość i zdolność przewidywania, podobne do instynktu u zwierząt, a do rozumu u ludzi. Z góry wiedzą o kolejności pór roku, poruszają ogromnymi konarami jak członkami ciała, prostują lub zginają gałęzie, wznosząc je ku niebu lub schylając ku ziemi zależnie od tego, czy śnieg ma padać czy topnieć. Są to istoty boskie pod postacią drzew. Napotyka się je tylko w tej jednej okolicy gór Libanu; rosną znacznie wyżej ponad obszarem, na którym giną wszelkie większe rośliny. Wszystko to zadziwia wyobraźnię ludów Wschodu i nie wiem, czy nawet nauka nie podziela tego zdziwienia. Niestety, Baszan obumiera, Karmel i kwiat Libanu więdną.<sup>10</sup> Liczba tych drzew z każdym wiekiem się zmniejsza. Podróżni liczyli ich niegdyś trzydzieści do czterdziestu, później siedemnaście, jeszcze później dwanaście. Teraz jest tylko siedem takich, których ogrom pozwala przypuszczać, że są współczesne czasom biblijnym.<sup>11</sup> Wokół tych starych świadków minionych wieków, które lepiej znają historię ziemi niż sama historia, a gdyby mogły mówić, opowiedziałyby nam o tylu mocarstwach, tylu religiach i tylu wygasłych narodach, jest jeszcze niewielki las młodszych cedrów w liczbie, jak mi się zdawało, jakich czterystu, pięciuset drzew lub krzewów. Co rok, w czerwcu, mieszkańcy Becharri, Ehdenu, Kannobinu i wszystkich wiosek w sąsiednich dolinach przychodzą pod cedry i u ich stóp słuchają mszy świętej. Ileż modłów brzmiało pod tymi konarami! I gdzież jest piękniejszy kościół, gdzie ołtarz bliższy niebu, gdzie wspanialszy i świętszy baldachim niż najwyższa ława skalna Libanu, pień cedrów i kopała z tych poświęconych gałęzi, które ocieniały i ocieniają tyle pokoleń ludzkich, wymawiających rozmaicie imię Boga, ale uznających Go wszędzie w jego dziełach i wielbiących w objawach natury! I ja także modliłem się w obliczu tych drzew. Melodyjny wiatr, który dźwięczał pośród ich gałęzi, mierzwił mi włosy i ścinał lodem na powiekach łzy bóleści i uwielbienia.

Znów dosiadłem konia, jechałem trzy godziny po skalnych ławach górujących nad dolinami Kadiszy, dotarłem do Kannobinu,



klasztoru Maronitów, najslawniejszego ze wszystkich w Dolinie Świętych<sup>12</sup> Widok klasztoru Deir Serkis, w którym przebywa obecnie jeden lub dwóch pustelników. Burckhardt w roku 1810 zastał w nim starego pustelnika rodem z Toskanii, który był misjonarzem w Indiach, Egipcie i Persji, a tu oczekiwał kresu swoich dni.

Widok klasztoru Kannobin ze szczytu skały, której występ sterczał nad doliną na kształt przylądka. Powierzyłem mojego konia Arabom, a sam położyłem się w słońcu na szczycie skały, skąd wzrok pada pionowo w otchłań Doliny Świętych. Rzeka Kadisza płynie u podnóża tej skały; jej łóżysko to tylko linia piany, lecz byłem tak wysoko, że nawet jej szum do mnie nie dochodził. Zakonnicy maronicy powiadają, że Kannobin został założony przez Teodozjusza Wielkiego. Cała Dolina Świętych przypomina ogromną naturalną nawę, której sklepieniem jest niebo, filarem grzbiety Libanu, a niezliczone cele pielgrzymów, wykute w skale — kaplicami. Te pustelnie wiszą nad mnóstwem przepaści, do których przystęp zdaje się niepodobny. Widać je, jak gniazda jaskółek, na wszystkich wysokościach ścian doliny. Jedne to tylko groty wyżłobione w skale, inne to domki wystawione wśród korzeni kilku drzew na występach górskich. Wielki klasztor jest na dole, nad brzegiem potoku. Przebywa w nim czterdziestu, pięćdziesięciu zakonników maronickich zajmujących się uprawą roli oraz drukowaniem elementarzy do nauki ludu. Czcigodni kapłani, będący zarazem synami i braćmi tego ludu, dzień i noc pracują w pocie czoła nie dla siebie, lecz dla rozwoju swoich braci; są to ludzie prości, którzy nie dążą ani do bogactw, ani do rozgłosu na tym świecie. Pracować, modlić się, żyć w pokoju, umrzeć w łasce Boga, nie znani przez ludzi, oto czego pragną zakonnicy maronicy.

Tegoż dnia.

Wczoraj wróciłem z ostatnich wierzchołków tych Alp; byłem gościem szejka Ehdenu, wioski Arabów maronickich, zawieszanej pod najostrzej zakończonym szczytem tych gór, gdzie kończy się strefa roślinności, a mieszkać można tylko latem. Szlachetny i czcigodny starzec przybył po mnie wraz z synem i kilkoma służącymi aż w okolice Trypolisu i przyjął mnie w swojej siedzibie w Ehdenie z taką godnością, serdecznością i wykwintem, jakie mogłyby być udziałem chyba tylko któregoś z wielmożów z dworu Ludwika XIV. Całe drzewa gorzały na ogromnym kominie; w wielkich salach leżały, jedno na drugim, barany, sarny, jele-

nie, a ze starych bukłaków, przyniesionych przez służbę z piwnicy, płynęły dla nas i dla naszej eskorty strugi złocistego, libańskiego wina. Po kilku dniach które upłynęły na zapoznawaniu się z tymi pięknymi, iście Homerowymi obyczajami, poetycznymi jak okolica, gdzie je odnaleźliśmy, szejk polecił swojemu starszemu synowi i kilku konnym, aby towarzyszyli mi do Cedrów Salomona, słynnych drzew, uświęcających najwyższy wierzchołek Libanu, otoczonych od wieków czcią jako ostatni świadkowie chwały Salomona. Nie będą ich tu opisywał.

Wracając z tej pamiętnej dla każdego podróżnika Wyprawy, zabłądziliśmy pośród załamków skał i w licznych, głębokich dolinach, które ze wszystkich stron przecinają to ugrupowanie Libanu, i niespodziewanie znaleźliśmy się na skraju ogromnego, pionowego muru skalnego wysokości kilku tysięcy stóp, opasującego Dolinę Świętych. Ściany tego granitowego muru były tak prostopadłe, że nawet górskie kozy nie potrafiły znaleźć tu dla siebie ścieżki, a nasi Arabowie, chcąc dojrzeć dno doliny, musieli położyć się na brzuchu i pochylić nad przepaścią. Słońce zachodziło, jechaliśmy już wiele godzin, trzeba było jeszcze kilku, aby dotrzeć znowu do ścieżki prowadzącej z powrotem do Ehde-nu; zsiadliśmy z koni i zdając się zupełnie na jednego z naszych przewodników, który wiedział, że niedaleko stąd znajdują się schody wykute niegdyś w skale przez zakonników maronickich, od niepamiętnych czasów mieszkających w tej dolinie, szliśmy przez pewien czas skrajem owego granitowego muru, aż wreszcie po śliskich stopniach zeszliśmy na ławę skalną, górującą nad całym widnokregiem.

Dolina opadała z początku łagodnymi, szerokimi płaszczyznami, poczynając od linii śniegu i od cedrów tworzących na niej czarną plamę; dalej znów roztaczała się na błoniach o barwie żółtawej, delikatnej zieleni, podobnej do zieleni grzbietów Jury lub Alp; mnóstwo strug spienionej wody, wypływających tu i ówdzie spod topniejących śniegów, przecinało te trawą porośnięte pochyłości, aby złączyć się w jeden obszar wód i piany u stóp pierwszego stopnia skalnego. Tam dolina zapadała nagle na głębokość czterystu lub pięciuset stóp; potok spadał wraz z nią i rozprzestrzeniając się po szerokiej powierzchni, to okrywał skałę niby jasną, przejrzystą zasłoną, to znów odrywał się od niej wysokimi łukami, aż wreszcie, spadając na ogromne, oderwane od wierzchołka skały spiczaste bryły granitu, rozpryskiwał się na tysiące płynnych strzępków i huczał jak łoskot wiecznej burzy; ruch powietrza, wywołany jego spadkiem, dochodził aż do nas,

unosząc, niby delikatną mgłę, tysiącznobarwne wodne opary i rozprowadzał je po całej dolinie lub zawieszał niby krople rosy na gałęziach krzewów i na chropawej powierzchni skał. Dolina Świętych, ciągnąc się ku północy, stawała się coraz głębsza, a zarazem szersza; wreszcie o dwie mile prawie od miejsca, gdzieśmy się znajdowali, dwie nagie, cieniem okryte góry, pochylały się wzajemnie ku sobie i przytykały, jedna do drugiej, tak blisko, że dzieliła je już tylko szczelina ledwo kilkuszajniowej szerokości, która tworzyła jej wylot; tu dolina kończyła się, ginęła wraz ze swoją murawą, wysokimi winnicami, topolami, cyprysami i mlecznobiałym potokiem. Ponad owymi dwoma niewysokimi górami, które tak ją zwęzłały, widać było na widnokręgu jak gdyby błękitne, ciemniejsze od nieba jezioro: był to płat morza syryjskiego, który w obramowaniu innych gór Libanu tworzył fantastyczną zatokę; od tej zatoki dzieliło nas dwadzieścia mil, ale przejrzystość powietrza sprawiała, iż zdawało się, że jest tuż u naszych stóp, i nawet mogliśmy dostrzec na niej dwa żaglowce, które zawieszono między błękitem nieba i błękitem morza, zmniejszone wskutek odległości, przypominały dwa łabędzie unoszące się na widnokręgu. Widok ten tak nas z początku zachwycił, że nie zważaliśmy na żaden inny szczegół doliny, lecz gdy pierwsze olśnienie minęło i wzrok nasz mógł przedrzeć się przez wieczorne mgły, z wolna rozpostarł się przed nami całkiem odmienny obraz. Na każdym zakręcie potoku, gdzie tylko trochę ziemi widniało spod piany, na tle szarej skały odcinał się klasztor Maronitów z krwistobrazowego kamienia, a dym z niego unosił się w powietrzu między wierzchołkami topoli i cyprysów. Wokoło tych klasztorów ciągnęły się niewielkie poletka, wydarte skale lub potokowi, uprawione nie gorzej niż najstarszej utrzymanej ogrody kwiatowe przy naszych domach miejskich, a gdzieś tam widać było owych Maronitów, w ich czarnych kapturach, gdy wracali z pola, jedni z rydlem na ramieniu, drudzy prowadząc małe stada źrebiąt arabskich, inni rękojeścią pługa zaganiając woły między morwowe drzewa. Mnóstwo tych siedzib modlitwy i pracy, wraz z kaplicami i domkami pustelnicznymi, było zawieszono na wystęпах dwóch ogromnych łańcuchów górskich: część z nich, wykuta w skale, przypominała jaskinie dzikich zwierząt; widać było tylko drzwi zwieńczone otworem w kształcie gotyckim z wiszącym w nim dzwonkiem i kilka niewielkich tarasów wykutych tuż pod sklepieniem skały, na które wychodzili obarczani wiekiem i chorobą zakonnicy, aby odetchnąć świeżym powietrzem i zażyć nieco słońca. Niektóre z owych występów skalnych wy-

## POWRÓT DO BEJRUTU I DROGA DO CEDRÓW SALOMONA

dawały się niedostępne, lecz tam właśnie wznosił się klasztor, samotnia, kaplica czy pustelnia, a kilka postaci samotników krążyło między skałami i krzewami, pracując, czytając lub modląc się. W jednym z tych klasztorów mieściła się drukarnia arabska, w której wydawano książki do nauki dla ludu maronickiego: na tarasie widać było mnóstwo zakonników, którzy wychodzili i wracali, rozkładając na trzciniowych plecionkach białe arkusze wilgotnego papieru. Tylko pędzel byłby zdolny odmalować mnogość i malowniczość tych ustroni: mogłoby się zdawać, że tu z każdego kamienia powstała cela, w każdej grocie zrodziła się pustelnia, każde źródło miało swoje odrębne życie, każde drzewo ocieniało swojego samotnika; gdziekolwiek zwrócić spojrzenie, wszędzie widać było jakąś dolinę, górę, przepaści, które jak gdyby ożywały pod tym spojrzeniem, a obrazy życia, modlitwy czy kontemplacji to odcinały się na tle odwiecznych skał, to znów zespały się z nimi, aby je uświęcić.

Wkrótce słońce zaszło, ustały dzienne prace i wszystkie te rozpierchłe po dolinie czarne postaci wróciły do swoich grot lub klasztorów. Ze wszystkich stron rozległy się dzwony, wzywając do skupienia i modłów wieczornych; głos jednych brzmiał donośnie i przenikliwie niby gwałtowny wiatr morski, głos innych był delikatny, srebrzysty, jak śpiew polnych ptaków, a jeszcze innych brzmiał w oddali żałośnie niby westchnienie skargi nocą na pustyni; wszystkie odpowiadały sobie wzajemnie z dwóch przeciwległych skrajów doliny, a tysiączne odgłosy z grot i przepaści powtarzały te dźwięki niewyraźnie, echowo, zmieszane z hukiem potoku, z szumem cedrów i tysiąca źródeł i wodospadów przecinających oba zbocza gór. Potem zapadła cisza, a po chwili inny dźwięk, łagodniejszy, bardziej melancholijny i uroczysty, nappełnił dolinę; był to śpiew psalmów, który, wznosząc się jednocześnie z każdego klasztoru, z każdego kościoła, z każdej kaplicy, z każdej celi skalnej, mieszał się w powietrzu, dobiegał do nas niby jakaś ogromna skarga i mogło się zdawać, że tak skarży się cała dolina, obdarzona teraz duszą i głosem; potem wonna mgła nasyciła powietrze, którym mogliby oddychać aniołowie; staliśmy oniemiałi, zachwyceni, jak owe duchy niebieskie, które pierwszy raz wlatując nad ziemię, co wydawała się im bezładna, usłyszały wznoszącą się z niej pierwszą modlitwę ludzi; pojęliśmy, czym jest głos człowieka, który ożywia najbardziej nawet martwą naturę, i czym byłaby poezja u kresu czasów, która, gdyby wszystkie uczucia serc ludzkich zagasły i zlały się w jedno, stałaby się na tym padole tylko uwielbieniem i hymnem.

12 kwietnia 1833.<sup>13</sup>

Przybyliśmy do Trypolisu wraz z szejkiem i jego plemieniem; dałem jego synowi sztukę jedwabnej materii na pokrycie sofy; dzień zszedł mi na zwiedzaniu uroczystych okolic Trypolisu; wróciłem do Bejrutu brzegiem morza; pięć dni byłem zajęty ładowaniem naszych bagaży na wynajęty przeze mnie statek „Zofia”; przygotowania do wycieczki po Egipcie; pożegnanie z przyjaciółmi Frankami i Arabami; rozdałem kilka moich koni; sześć najpiękniejszych wysłałem pod dozorem koniuszego arabskiego i trzech moich najlepszych saisów, którzy udadzą się z nimi przez Syrię i Karamanię i będą mnie oczekiwać 1 lipca nad brzegiem zatoki Makri, naprzeciw wyspy Rodos, w Azji Mniejszej. 15 kwietnia 1833 roku, o brzasku, opuściliśmy dom, w którym Julia uściskała nas po raz ostatni i porzuciła dla Nieba. Posadzka jej pokoju tysiąc razy całowana i oblana tyłoma łzami; ten dom był dla mnie jak święta relikwia; widziałem ją w nim jeszcze wszędzie: ptaki, gołębie, jej koń, ogród, dwie piękne dziewczyny syryjskie, które przychodziły się z nią bawić, a mieszkają w ogrodzie naprzeciw naszych okien. Wstały przed świtem i odziały się w najpiękniejsze suknie; płacząc, wyciągają ku nam ręce i wydzierają sobie kwiaty z włosów; ofiarowałem każdej, z nich, jako podarunek ślubny, naszyjnik ze złotych monet na pamiątkę po cudzoziemskich przyjaciółach, których odtąd będą mogły widzieć już tylko we wspomnieniu. Jedną z nich, Anastazję, to najpiękniejszą ze wszystkich kobiet, jakie widziałem na Wschodzie. Morze przypomina lustro; łodzie, pełne naszych przyjaciół, pragnących nam towarzyszyć aż na pokład statku, płynęły za nami; wyruszyliśmy przy lekkim wietrze wschodnim; znikły brzegi Syrii ze swoim szlakiem piaszczystych frędzli i z wierzchołkami drzew palmowych; białe szczyty Libanu długo nas odprowadzały na morzu; w nocy minęliśmy przylądek Karmelu; o świcie znaleźliśmy się na wysokości Akki, naprzeciw zatoki Haify; mnóstwo delfinów skaczących wokół statku marszczy powierzchnię spokojnego morza; wszystko na morzu i w przyrodzie wygląda odświętnie, radośnie wokół tego statku, który unosi serca umarłe dla wszelkiej radości i pogody. Noc spędziłem na pokładzie — jakimi zajęty myślami? Moje serce to wie. Płynęliśmy wzdłuż niskich brzegów Galilei; na widnokręgu, na białym, piaszczystym wybrzeżu, lśni Jaffa lub skała kredowa; popłynęliśmy w jej kierunku; zatrzymamy się tam przez kilka dni; moja żona i ci z moich przyjaciół, którzy nie mogli towarzyszyć mi w podróży do Jerozolimy, będąc tak blisko Grobu Świętego, pragnęli także

zanieść tam swoje modły. Wieczorem zerwał się wiatr i o siódmej zarzuciliśmy kotwicę w burzliwej przystani Jaffy; morze było zanadto groźne, aby można spuścić łódkę; nazajutrz wszyscy zeszedliśmy na brzeg; kawalkada przygotowana staraniem panów Damiani, moich dawnych przyjaciół, agentów francuskich w Jaffie, wyruszyła o jedenastej, aby stanąć na noc w Ramii. Zostałem sam u pana Damiani.

Przez pięć dni sam błądziłem po okolicy: moi przyjaciele Arabowie, z którymi zaznajomiłem się podczas dwóch pierwszych moich pobytów w Jaffie, zaprowadzili mnie do ogrodów, które mieli w pobliżu miasta; już opisałem te ogrody: są to rozległe gaje pomarańcz, cytryn, granatów, fig, tak wielkich jak drzewa orzechowe we Francji. Pustynia Gazy okala te ogrody ze wszystkich stron; rodzina wieśniaków arabskich mieszka w przyległej chacie; jest tam cysterna czy też studnia, kilka wielbłądów, kozy, owce, gołębie i kury. Spadłe z drzew pomarańcze i cytryny zaścielają ziemię; rozstawiono namiot nad brzegiem jednego z kanałów nawadniających pole zasiane melonami i ogórkami; rozciągnięto kobierce; namiot jest otwarty od strony morza, aby jego wnętrze chłodził wiatr wiejący tu od dziesiątej z rana aż do wieczora; wiatr ten, przeciągając pod konarami drzew pomarańczowych, nabiera ich woni i niesie z sobą całe obłoki ich kwiatów. Widać stąd szczyty minaretów Jaffy i statki odpływające i przyływające z Azji Mniejszej do Egiptu. Oto jak spędzam dni; napisałem kilka wierszy, ale myśl zawsze w nich jedna: chciałbym tu zostać; Jaffa, odosobniona od świata, na skraju wielkiej pustyni Egiptu, której piaski tworzą białe wydmy wokół tych gajów pomarańczowych, pod niebem zawsze czystym i ciepłym, byłaby wybornym miejscem pobytu dla człowieka strudzonego życiem, pragnącego tylko małego zakątka na ziemi. — Kawalkada wróciła.

Pytałem panią de Lamartine o niektóre szczegóły dotyczące Betlejem i sąsiednich okolic, których ze względu na zarazę nie mogłem zwiedzić podczas mojej pierwszej wyprawy. Oto co mi powiedziała:

„Opuszczywszy ogrody Jaffy, ruszyliśmy przez niezmierną równinę, okrytą naówczas żółtym i fioletowym ostem. Niekiedy widzieliśmy wielkie stada bydła, jak na Bagnach Pontyjskich, pędzone przez arabskiego jeźdźca uzbrojonego w długą dzidę, które szukały pożywienia pośród rzadkich traw, nie do cna jeszcze wypalonych przez słońce. Nieco dalej, po prawej stronie, jak gdyby

u wjazdu na pustynię El-Arisz, kilka kup błota, pokrytego zeschniętą trawą, wyrastało ponad ziemią niby stogi siana żółtego od burzy, nim je zdołał zwieźć żniwiarz: była to wioska.

Zbliżywszy się, ujrzeliśmy nagie dzieci wychodzące, jak Lapończycy, z tych małych, przewróconych stożków, które stanowiły ich mieszkanie; kilka kobiet o rozpuszczonych włosach, zaledwie okrytych niebieskimi koszulami, porzuciło ogień, który rozpałały na dwóch kamieniach, aby przyrządzić strawę, i weszło na dachy swoich chat, by móc dłużej przyglądać się naszej kawalkadzie.

Po czterech godzinach jazdy przybyliśmy do Ramii, gdzie nas oczekiwał urzędnik konsulatu sardyńskiego, który był tak łaskaw, że odstąpił nam swój dom, kobiety bowiem nie mogły mieszkać w klasztorze łańskim. Wieczorem zwiedziliśmy jakąś starożytną wieżę, wznoszącą się o kilkaset kroków od miasta i zwaną Wieżą Czterdziestu Męczenników<sup>14</sup>, którą teraz zajmują tańczący derwisze. Był to piątek, dzień uroczysty w ich wierze; przyglądaliśmy się, jak go obchodzą. Ze dwudziestu derwiszów, odzianych w długie suknie, w spiczastych czapkach z białej pilśni, siedziało dokoła z podwiniętymi nogami w obwodzie otoczonym niewielką balustradą; jeden z nich, którego czcigodną twarz ozdabiała długa, biała broda, wydawał się ich przełożonym i dla wyróżnienia zasiadał na poduszce, nieco wyżej od innych. Orkiestra, złożona z nahi, czyli fagotu, z szubabe, rodzaju klarnetu, z dwóch złączonych z sobą bębenków, zwanych nakariate, grała melodie nieznośne wprost dla naszych europejskich uszu. Derwisze, jeden za drugim, wstawali, z powagą przechodzili przed przełożonym, kłaniali mu się i zaczęli obracać się w koło z wyciągniętymi rękami i oczyma wzniesionymi ku niebu. Obrót ich, zrazu niespieszny, z wolna stawał się coraz prędszy, a wreszcie osiągał niezwykłą wprost szybkość i kończył się wirowaniem, w którym wszystko się pomieszało, zaćmiewając nasze oczy; dopóki można ich było jeszcze dojrzeć, widzieliśmy, że ich wzrok wyrażał wielkie uniesienie, ale wkrótce niepodobna już było dostrzec wyrazu ich twarzy. Nie potrafiłabym powiedzieć, jak długo trwał ten niezwykły walc, ale wydawał mi się niesłychanie długi. Z wolna jednak zmniejszała się liczba wirujących; wyczerpani, znużeni, padali, jeden po drugim, i wracali znowu do swojej pierwotnej postawy; ci, co pozostali, usiłowali za wszelką cenę obracać się jak najdłużej, toteż z przykrością spoglądałam na wysiłki jakiegoś starego derwisza, który, dysząc i chwiejąc się pod koniec tej ciężkiej próby, usiłował wirować dłużej od innych. Przez ten

czas nasi Arabowie opowiadali nam o swoich zabobonach; utrzymują, że chrześcijanin, odmawiając ciągle *Wierzą...*, mógłby zmusić mużulmanina, by ów, pod wpływem jakiegoś nieprzezwycięzonego impulsu, usiłował obracać się bez przerwy, póki by nie umarł, że podobnych przykładów było już niemało i że pewnego razu derwisze, odkrywszy, kto używał tych czarów, zmusili go, aby odmawiał *Wierzą...* od końca, i tym sposobem zniweczyli urok w chwili, kiedy obracający się miał już wyzionąć ducha, my zaś ze smutkiem zastanawialiśmy się nad słabością rozumu ludzkiego, który w ciemnościach, jak niewidomy, szuka swojej drogi do Nieba i tak często myli się w jej wyborze. Te nedorzeczne dziwactwa, które poniżają w pewnym sensie rozum ludzki, miały przecież cel godny szacunku i zasadę szlachetną: oto człowiek pragnął złożyć cześć Bogu; oto wyobraźnia, którą przez użycie ruchu fizycznego chciano wnieść ku górze i sprawić, aby tak jak dochodzi do tego przez opium, osiągała ów stan oszołomienia i całkowitego unicestwienia uczuć i własnej jaźni, pozwalający jej uwierzyć, że roztopiła się w nieskończonej jedności i łączy się z Bogiem. Może było to naśladowanie, z początku pobożne, ruchu gwiazd wirujących przed obliczem Stwórcy; może był to rezultat tego samego natchnionego, namiętnego zapału, który niegdyś skłonił Dawida, aby tańczył przed arką Pana. Kilkoro z nas uczyniło tak jak żona króla-poety i było gotowe wyśmiewać się z derwiszów.<sup>15</sup> Wydawali się im szaleni, podobnie jak ludziom, co by nie znali istoty naszej wiary, mogłyby się wydać szaleństwem pewne reguły zakonne, mnisi żebrzący, umartwienia stosowane w niektórych zakonach praktykujących ascezę; jakkolwiek z punktu widzenia rozumu taki czy inny obrzęd religijny może wydać się absurdalny, człowiek obdarzony umysłem wyższym i głębszym zawsze znajdzie w nim coś, co jest godne szacunku, a mianowicie przyczynę, która stanowi jego natchnienie. Nic, co dotyczy idei Boga, nie jest śmieszne.<sup>16</sup> Bywa czasem okrutne, nieraz szalone, ale zawsze pełne powagi. Derwisz, kiedy wykona swój pobożny taniec, ma sumienie spokojne, bo mniema, że tymi obrotami oddał cześć należną Bóstwu. Lecz jeżeli go nawet nie wyśmiewamy, nieraz jesteśmy gotowi litować się nad nim, a tymczasem nie wiem, czy mamy prawo zarówno do jednego, jak do drugiego. Gdyby nauki chrześcijaństwa nie Oświeciły naszego umysłu, kimże byłibyśmy, czy bardziej od nich świątli? Dzieje na to odpowiedzą. Pośród tysięcy bałwochwalców jeden tylko znalazł się Platon.

Opuściwszy wieżę, weszliśmy w korytarze jakiegoś zrujnowa-



nego klasztoru, które wiodą do podziemnego kościoła; po wielu stopniach zstąpiliśmy pod niskie sklepienie, wsparte na pięknej kolumnadzie. Widok każdego podziemnego kościoła zawsze mnie rozrzewniał, a zarazem nakazywał uszanowanie. Tajemniczy, samotny mrok tych milczących sklepień przenosi wyobraźnię do pierwszych wieków wiary, kiedy wyznawcy Chrystusa chronili się w głębokie jaskinie, aby ująć prześladowania i ukryć swoje tajemnice przed oczyma, bezbożnych. Na Wschodzie większość tych kościołów została, jak się zdaje, wzniesiona, aby upiększyć owe pierwotne schronienia, ozdobić całym przepychem architektury owe skromne ustronia, gdzie wiara tak długo trwała w ukryciu, i jak gdyby wziąć w ten sposób widome zadośćuczynienie za poniżenia i obelgi doznawane od pogańskiej władzy; ale czas prześladowań miał odrodzić się na nowo dla nieszczęśliwych chrześcijan, a nazwa tego zabytku: Czterdziestu Męczenników, każe domyślać się, że służył za schronienie wiernym, lecz nie zdołał ich ocalić; teraz wszystko leży w gruzach: nawy i kolumnady zbudowane przez cesarzów nie budzą w zwycięzcach więcej szacunku niż skromne jaskinie pierwszych uczniów Chrystusa; kościoły zamieniono w stajnie, a klasztory w koszary.

Widąc tu jeszcze kilka grobów z czasów wojen krzyżowych, ale noc nie pozwoliła nam zatrzymać się dłużej: trzeba było wracać do miejsca naszego postoju i przygotować się do drogi dnia następnego. Aga Ramii dał nam konwój i polecił dowódcy kawa-sów, aby nie odstępował mnie ani na chwilę w wąwozach, przez które mieliśmy przejeżdżać, i był posłuszny wszystkim moim rozkazom. Szacunek muzułmanów dla kobiet europejskich jest dziwnie sprzeczny z zależnością, w jakiej trzymają swoje kobiety. Muszę oddać wszelkie pochwały owemu janczarowi za jego niezwykłą grzeczność i wyszukaną uprzejmość. Ciągłe zajęty kłaczą arabską, której dosiadałam, wydawał się przestraszony, że odważałam się puszczać ją w cwał, i nie pojmował, jak mogłam utrzymać równowagę na stromych drogach; później stał się nam bardzo użyteczny, kiedy napotkaliśmy właśnie w owych wąwozach nieprzeliczone mnóstwo pielgrzymów wracających z Jerozolimy, którzy przegrodzili nam przejazd; zmusił ich do ustąpienia nam najłatwiejszej do przebycia ścieżki między bryłami granitu i korzeniami krzewów, które, rosnąc na skraju wąwozu, chroniły nas od stoczenia się w przepaść; gdyby nie jego powaga, długie rzędy nieustannie posuwającego się tłumu niezawodnie by nas obaliły pod naporem idących za nimi.

Z Ramii droga jakie dwie mile prowadziła przez równinę; za-

trzymaliśmy się u Studni Jakuba<sup>17</sup>; ponieważ wody było bardzo mało, a nie mieliśmy naczyń potrzebnych do jej naczepiania, ruszyliśmy dalej. Cała ta okolica ma na sobie tak żywe ślady czasów biblijnych, że nikt się nie dziwi, a nawet z łatwością przyjmuje do wiadomości nazwę Studni Jakuba, tradycyjnie nadawaną studni obecnie istniejącej, i raczej spodziewa się, że ujrzy przy niej patriarchę pojącego trzody Racheli, niż powątpiewa o jej tożsamości. Tylko refleksja sprawia, że ogarnia nas zdziwienie i wątpliwości, gdy myślimy o czterech tysiącach lat, które upłynęły, i o rozmaitych przemianach, jakim podlegał ród ludzki, i gdy czujemy się zachwiani w wierze; zresztą na równinie, gdzie ledwo co trzy, cztery godziny trafia się na wodę, studnia, źródło musiały być w minionych wiekach czymś równie ważnym jak dziś, a ich nazwy zachowano z czią tak samo pobożną jak nazwy wież Dawida lub cystern Salomona. Wkrótce wjechaliśmy w góry Judei; droga stała się uciążliwsza; raz skraj przepaści zostawiał koniom tyle tylko miejsca, że mogły stawiać nogi, to znów bryły skalne, co stoczyły się z góry i leżały w poprzek ścieżki, tworzyły schody, na które potrafią się wdrzeć tylko konie arabskie; jednak mimo znacznej uciążliwości tej drogi, nie ma tu niebezpieczeństwa, które by można porównać z niebezpieczeństwem drogi wiodącej do Hammany.

Na szczycie pierwszego wierzchołka odwróciliśmy się na chwilę, aby napawać się wspaniałym widokiem na całą przebytą krainę aż do wybrzeża za Jaffą; choć wokół zalegał zupełny spokój, nasycona czerwień nadmorskiego horyzontu zapowiadała doświadczonemu oku bliską burzę; groźne fale wstrząsały już statkami w przystani; usiłowaliśmy dojrzeć nasz statek, myśleliśmy o tych, którzy zostali na pokładzie. Moje smutne przewidywania nie były urojeniem: nazajutrz wiele statków zostało wyrzuconych na to niebezpieczne wybrzeże, a nasz, długo miotając się na kotwicy, zerwał łańcuch w czasie gwałtownego uderzenia wiatru. Po tym krótkim postoju zjechaliśmy drugą stroną góry, aby wjechać znów na inne góry, czy to pośród lawin kamieni, które staczały się pod nogi naszym koniom, czy to skrajem jakiegoś wąskiego występu skalnego. Zbocza, ciągnące się z prawa i z lewa, były czasami gęsto zalesione; lśniąca zieleń pięknych drzew poziomkowych i kaliny wawrzynowatej tworzyła kontrast ze skąpym listowiem drzew mastyksowych i oliwnych. Do całości tego krajobrazu brakowało nieraz tylko wody; ale czekało nas widowisko innego rodzaju. Na wprost nas pochód niezliczonych piel-

grzymów różnych narodowości, wracając z Jerozolimy, zstępował zakosami ze szczytu nagiej, jałowej góry do wąwozu, gdzieśmy się znajdowali. Nikt nie zdoła opisać malowniczości tego widoku, rozmaitości barw, odzieży, wyglądu; od bogatego Ormianina aż do najbiedniejszego mnicha greckiego, wszystko przyczyniało się do jego piękności. Zachwyceni tym widokiem, mieliśmy czas przez dwie godziny, kiedyśmy się mijali, przypatrzeć się jego szczegółom: oto patriarcha grecki w swoim wspaniałym ubiorze, siedzący poważnie na koniu, którego prowadziło za uzdę dwóch saisów, a za nim tłum pieszych — orszak podobny do triumfalnego wjazdu jakiegoś legata papieskiego w wiekach średnich; oto uboga rodzina, której ojciec, z kijem pielgrzymim w rękę, prowadził muła niosącego na grzbiecie kilkoro małych dzieci; najstarsze siedziało na karku zwierzęcia, trzymając sznur zamiast uzdy, a świecę jako sztandar. Inne dzieci, wciśnięte w kosze zawieszane u obu boków muła, jadły ostatki święconego chleba; matka blada, wychudła, z trudem szła za nimi, karmiąc najmłodsze, umocowane u jej piersi szerokim pasem; potem długim szeregiem szli nowochrzczeni, z których każdy, zgodnie z obrządkiem greckim, niósł ogromną świecę wielkanocną i nosowym, jednostajnym głosem śpiewał nabożne pieśni; dalej Żydzi w czerwonych zawojach, z długimi czarnymi brodami, spoglądając przenikliwie i złowrogo, zdawali się w głębi duszy przeklinać wiarę, która ich wydziedziczyła. Dlaczego znajdowali się w tym tłumie chrześcijan? Jedni skorzystali z karawany, aby odwiedzić grób Dawida lub dolinę Tyberiady<sup>18</sup>, inni liczyli, że zarobią, trudniąc się sprzedażą żywności dla całej tej cizby. Między tłumem pieszych co pewien czas postępowało kilka objuczonych ogromnymi pakami wielbłądów, przy których szli mukrowie w strojach arabskich: mieli ha sobie kaftany i brunatne szarawary, obszyte niebiesko, a na głowach żółte kefije; dalej ciągnęły rodziny ormiańskie: kobiety w wielkich białych zasłonach podróżowały w traktowanie, rodzaju klatki zawieszanej na dwóch mułach, mężczyźni w długich, ciemnych sukniach, w wielkich czworograniastych kołpakach, jakie noszą mieszkańcy Smyrny, prowadzili za ręce swoich synów, których wygląd pełen powagi, namysłu i wyrachowania nie miał w sobie nic z dziecięcej lekkomyślności; majtkowie greccy i właściciele statków korsarskich, którzy wioząc pielgrzymów, przybyli z portów Azji Mniejszej i Archipelagu, niby handlarze Murzynów z transportem niewolników, klęli dobitnie i popędzali idących, aby jak najprędzej załadować ich na swoje statki. Niesiono rias nosząc jakieś chore

dziecko, a rodzice idąc obok niego płakali, zawiedzeni, że nie nastąpił cud nagłego ozdrowienia, którego spodziewali się po swojej pobożnej pielgrzymce. Niestety i ja płakałam, miałam nadzieję i modliłam się jak oni, lecz jeszcze bardziej niż oni nieszczęśliwa, nie mogłam nawet pocieszać się niepewnością ogromu mojego nieszczęścia...

Na koniec pojawili się tłumnie nieszczęśliwi, obdarci Koptowie, mężczyźni, kobiety, dzieci, ledwo się wlokąc, jak gdyby wyszli ze szpitala. Cała ta gromada, ogorzała od słońca, dysząc z pragnienia, szła i szła, chcąc doścignąć karawanę i nie zostać w wężozach; rumieniłam się, że jestem na koniu, pod strażą janczarów, w towarzystwie oddanych mi przyjaciół, którzy oszczędzali mi wszelkiego niebezpieczeństwa, najdrobniejszej przykrości, gdy tymczasem te tysiące ludzi, gardząc trudem i chorobą, wyrzekając się wszystkiego, szło za głosem swojej żarliwej wiary. Oto byli prawdziwi pielgrzymi. Ja byłam tylko podróżną.

Między tym pierwszym łańcuchem gór i ostatnimi wzgórzami wznoszącymi się nad Jeruzolimą leży piękna dolina i wioska Jeremiasza.<sup>19</sup> Mijając starodawny kościół grecki, który, jak wiele innych, jest teraz stajnią, ujrzeliśmy pięćdziesięciu Arabów siedzących w półkolu, z podwiniętymi nogami, na stoku wzgórza, w cieniu pięknych drzew oliwnych. Pośrodku nich, na niewielkim wzniesieniu, górując nad innymi, siedział ich naczelnik, sławny Abu Gosz; brat jego stał z jednej, a syn z drugiej strony, obaj uzbrojeni po zęby, pałac fajki; ich konie uwiązane do drzew, przed którymi stali, uzupełniały ów widok. Ujrzawszy naszą karawanę, Abu Gosz wysłał syna, aby porozumiał się z naszym tłumaczem, który jechał na przodzie. Powiadomiony, że cała ta kawalkada towarzyszy jadącej do Jeruzolimy żonie emira Franka, którego poznał przed sześcioma miesiącami, kazał nas prosić, abyśmy się zatrzymali i wypili u niego kawę. Oczywiście nie mogliśmy odmówić i rozdzielwszy między kawasów i mukrów żywność na czas postoju, podeszliśmy ku gromadzie Arabów. Tu, w niewielkiej odległości, jak tego wymagała nasza godność, zatrzymaliśmy się, czekając, aż oni z kolei się ku nam zbliżą. Abu Gosz wstał i podszedł do pana de Parseval. Po wielu grzecznościach i ofiarowaniu nam kawy poprosił mnie o osobne posłuchanie. Kazałam moim ludziom oddalić się o kilka kroków i przez mojego tłumacza dowiedziałam się, że jeden z jego braci dostał się w niewolę Egipcjan; będąc przekonany, że pan de Lamartine ma wielkie wpływy u Ibrahima Paszy, prosił mnie, abym starała się nakłonić męża do wstawiennictwa za jego bratem, ażeby pasza

go uwolnił. Wprawdzie nie mieliśmy przypisywanej nam przez niego wziętości, ale szczęśliwy traf zrządził, że można mu było wyświadczyć tę przysługę, prosząc za jego bratem dowódcę wojsk egipskich.

Kiedy podjechaliśmy blisko Jerozolimy, wielki obóz Ibrahima przysłał widok jej murów. Podeszły ku nam strażę, przyjrzały się nam z uwagą i po krótkiej rozmowie z naszym tłumaczem pozwoliły nam przejechać przez obóz. Wkrótce znaleźliśmy się przed namiotem generała. Przez uniesione zasłony ujrzeliśmy go, gdy leżał na obitej kaszmierną sofie, otoczony oficerami, z których jedni stali, inni siedzieli na perskich kobiercach; ich ubiory o jaskrawych barwach, obszyte cennymi futrami i haftowane złotem, ich lśniące broń, czarni niewolnicy podający im kawę w oprawnych w srebro filiżankach, wszystko to stanowiło dla nas widok niezwykły i nowy. Wokół namiotów saisowie oprowadzali najpiękniejsze konie arabskie, aby osuszyć pianę na ich połyskliwej sierści. Inne, splecione, rżały z niecierpliwości, były kopytami o ziemię, spoglądając iskrzącymi się oczyma na oddział jazdy gotowy do drogi. Wojska egipskie, utworzone z młodych rekrutów, nędznie odzianych w czerwone, ciasne mundury, na poły europejskie, na poły wschodnie, kontrastowały z Arabami w ich obszernych strojach. A przecież byli to właśnie ci Egipcjanie, niscy, szpetni, źle zbudowani, którzy szli od zwycięstwa do zwycięstwa i przyprawiali o lęk sułtana drżącego przed nimi w bramach Konstantynopola.

Wjechaliśmy do świętego miasta bramą Betlejemską, skręcając od razu w lewo, aby dotrzeć do dzielnicy klasztoru łacińskiego. Ponieważ nie przyjmowano w nim kobiet, zajęliśmy dom zwykle nie zamieszkały, a przeznaczony dla cudzoziemców, kiedy klasztor ojców Ziemi Świętej bywa przepelniony. Rozesłaliśmy materace na ławkach w tym celu tu rozstawionych, chcąc wypocząć po wrażeniach podróży i nabrać sił do nowych, jeszcze bardziej przejmujących wzruszeń. Lecz osaczeni tysiącnym robactwem, mnóstwem komarów, pcheł i pluskiew, które z pewnością od dawna były pozbawione pokarmu w tych opustoszałych pokojach lub może, co gorsza, pozostały tu po którychś z tych obdartych pielgrzymów, napotkanych po drodze, nie mogliśmy usnąć i przez całą noc, chcąc się uchronić przed napastnikami, bezskutecznie przenosiliśmy się z miejsca na miejsce; jeden z naszych towarzyszy podróży, choć upominaliśmy go, aby okazał więcej cierpliwości, poszedł szukać schronienia w klasztorze. Nazajutrz odwiedził nas prokurator klasztorny i powiedział, że gdy-

byśmy go uwiadomili, kazałby przygotować dla nas dogodniejsze pomieszczenie, i przyrzekł urządzić wszystko na dzień następny. Zaczęłam go stokrotnie przepraszać, upewniając, że nic nam nie brakuje, i wciąż jeszcze wstydę się naszej nadmiernej wrażliwości wobec tego pokornego apostoła ubóstwa i wyrzeczenia.

Prokurator był Hiszpanem o wybitnym umyśle, obdarzonym doskonałą znajomością ludzi i rzeczy. Podczas naszego pobytu w Jerozolimie miałem sposobność ocenić zwłaszcza jego wyrozumiałą dobroć, jego zaślugi i użyteczność jego wpływu w klasztorze Ziemi Świętej; lecz w wieku lat zaledwie pięćdziesięciu miał zakończyć swój żywot ziemski męczeństwem właśnie wtedy, gdy może cieszył się nadzieją, iż będzie mógł odpocząć w swoim rodzinnym kraju. Wkrótce po naszym wyjeździe, wsiadłszy na statek, aby wrócić do Hiszpanii, wraz z piętnastoma innymi zakonnikami został zamordowany przez majtków greckich niedaleko brzegów Cypru. Ocalał tylko chłopiec kuzalmański, co ścigał i oskarżył morderców, których schwytano w Karamanii.

Nazajutrz ze świtem zaczęliśmy zwiedzać miejsca święte. Lecz tu powinienam wstrzymać się i zataić głębokie wzruszenia, którymi natchnęły mnie te miejsca, dotyczy to bowiem tylko mnie. Nie wspomnę też o ulicach Jerozolimy, które już opisali moi towarzysze podróży.<sup>20</sup> Zamknęłam w głębi duszy wszystkie moje doznania: nie miałam potrzeby ich opisywać, są bowiem tak głębokie, że nigdy nie zatrą się w mojej pamięci; jeżeli są na świecie miejsca mające bolesną władzę budzenia w sercu człowieka najgłębszego smutku i żałoby i jeżeli są zdolne wzbudzić odpowiadającą owej boleści duchowej boleść, jeśli można się tak wyrazić, materialną, to z pewnością tu właśnie, gdzie się znajdowałam. Każdy krok tu uczyniony odzywa się w głębi duszy żalobnym trenem, a każde spojrzenie pada na jakiś pomnik świętego smutku, który sprawia, że nasze własne smutki zacierają się w owych niewysłowionych nędzach rodu ludzkiego, które tu przecierpiano, okupiono i uświęcono.

Wyjechaliśmy z Jerozolimy o piątej rano, aby przybyć do Betlejem, kiedy odprawia się msza w grocie Narodzenia; stary zakonnik hiszpański z wielką brodą, okryty makłachem w szerokie czarne i białe pasy, był naszym przewodnikiem, jadąc przed nami na tak małym osiołku, że stopami dotykał ziemi. Choć był to kwiecień, mroźny wiatr dał gwałtownie i omal mnie nie przewrócił wraz z koniem; były to ostatnie porywy burzy na morzu u brzegów Jaffy, które tu dobiegały. Wirująca kurzawa zasypała mi oczy; powierzyłam uzdę mojemu saisowi i otulając się w raa-

kiach, zaczęłam rozmyślać o drodze, którą przebywałam, i o tym co na niej zostało, uświęcone tradycją. Wszystko to jest dobrze znane, nie będę więc tego opisywała: drzewo oliwne proroka Eliasza, źródło, gdzie gwiazda ukazała się Trzem Królom, okolica Ramy, skąd rozległ się głos rozdzierający, który odzywał się w mojej duszy<sup>21</sup>, wszystko to przyjmowało mnie zbyt głęboko, bym mogła o tym mówić.

Klasztor łaciński w Betlejem był z powodu zarazy zamknięty przez jedenaście miesięcy, ale od pewnego czasu nie słyszano tu o nowych ofiarach, toteż kiedy stanęliśmy u małych, niskich drzwi, stanowiących wejście do klasztoru, otworzono je; schyleni, weszliśmy jedno za drugim przez ten wąski otwór i pierwszym uczuciem, jakiegośmy doznali, ujrawszy się w majestatycznym kościele, było zdumienie: czterdzieści osiem marmurowych kolumn, każda wykuta z jednej bryły, stoi dwoma rzędami z obu stron, tworząc pięć naw, zwieńczonych mocnym wiązaniem z drzewa cedrowego; lecz na próżno szukałby tu kto ołtarza lub kazalnicy; wszystko było połamane, zwalone, odarte, a mur źle wyprawiony oddzielał tę piękną nawę główną od miejsca, gdzie zaczyna się nawa poprzeczna, zasłaniając w ten sposób część, gdzie sprawuje się obrzędy, o którą wciąż jeszcze toczą spór rozmaite wspólnoty chrześcijańskie.<sup>22</sup> Nawa należy do łacinników, ale służy tylko jako przedsionek klasztoru; wielkie podwoje zamurowano, a niskie drzwiczki, którymi wcisnęliśmy się, zbudowano, aby uchronić te czcigodne szczątki od zbezczeszczenia przez hordy arabskich zbójców, którzy konno wjeżdżali aż do stóp ołtarza, żądając okupu od zakonników. Ojciec przełożony przyjął nas serdecznie; jego łagodne, spokojne, tchnące szczęśliwością oblicze<sup>23</sup> nic w sobie nie ma ani z pustelniczej surowości, ani z jowialnej bez troski, o którą oskarża się zakonników: wypytywał nas o okolice, przez które jechaliśmy, i o wojska egipskie tak blisko stąd obozujące. Po jedenastu miesiącach zupełnego zamknięcia był chciwy nowin i całkiem się uspokoił, gdy się dowiedział, że Ibrahim Pasza udzielił swojej opieki ludności chrześcijańskiej Syrii.

Po krótkim wypoczynku przygotowaliśmy się do wysłuchania mszy świętej w kaplicy Żłobka; zapalono słabo świecą latarnię i poprzedzani przez ojców, zeszlśmy do długiego labiryntu podziemnych korytarzy, którymi idzie się do świętej groty. Podziemia te są zapełnione grobowcami i wspomnieniami: tu grób świętego Hieronima, tam świętej Pauli, świętej Eustochii, źródło Niewiniątek<sup>24</sup>; lecz nic nie mogło skupić na sobie naszej uwagi w owej chwili; w jasnym blasku trzydziestu, czterdziestu lamp pod

małym sklepieniem, w głębi przejścia, ujrzelśmy ołtarz zbudowany w miejscu Narodzenia, a o dwa kroki dalej, niżej, na prawo, ołtarz Żłobka. Te naturalne grotty częściowo pokryte są marmurem, aby je uchronić od pobożnego natręctwa pielgrzymów, którzy, chcąc wziąć na pamiątkę bodaj odłamek skały, kruszyli ściany; ale można jeszcze dotknąć nagiej skały, widocznej zza płyt marmuru, którymi ją pokryto, podziemie zaś w zasadzie zachowało nieregularność swojego pierwotnego kształtu; znajdujące się tu ozdoby, inaczej niż w wielu innych miejscach świętych, nie zmieniły swojego wyglądu w takim stopniu, aby można było mieć jakieś wątpliwości względem tożsamości tych miejsc. Służą one tu jedynie do zachowania ich naturalnego wyglądu, toteż idąc pod tymi sklepieniami, mijając owe wgłębienia w skale, od razu widać, że musiały tu być stajnie czy obory dla trzód, które pasterze paśli na płaskich, dziś jeszcze okrytych zielenią łąkach, ciągnących się daleko spod skalnej wyniosłości, zwieńczonej, niby zamkiem obronnym, przez kościół i klasztor; wyjście z podziemia, prowadzące na łąkę, było zamknięte, ale o kilka kroków dalej można było widzieć podobną grocie, która musiała mieć to samo przeznaczenie. Rozpoczęła się msza. .

Nastroj duchowy, w jakim się znajdowałam, nie pozwalała mi, niestety, wyrazić tego, co sprawia, że te miejsca i te obrzędy tak głęboko nas przejmują; wszystko to budziło we mnie dojmujące, bolesne uczucie roztkliwienia. Widok Arabki, której nowonarodzone dziecko chrzczono przy ołtarzu Żłobka, wzmógł jeszcze bardziej moje wzruszenie. Po mszy wróciliśmy do klasztoru już nie podziemiem, lecz szerokimi, wygodnymi schodami, przytykającymi do nawy poprzecznej poza murem, o którym wspominałam; schody te należały niegdyś do dwóch wspólnot, greckiej i łacińskiej, teraz służą tylko Grekom<sup>25</sup> i ojcowie klasztoru betlejemskiego usilnie skarżyli się na to przywłaszczenie; chcieli, abyśmy przedstawili ich skargi w tym względzie w Europie, i z wielkim trudem przekonaliśmy ich, że choć jesteśmy Francuzami, nie mamy takiego znaczenia i powagi, aby uzyskać dla nich sprawiedliwość.

W dwu nawach poprzecznych, które tworzyły transept dawnego kościoła, znajdują się dwie oddzielne kaplice: jedna należy do Ormian, druga do łacinników. W środku, nad grota, wznosi się ołtarz główny; chór jest oddzielony od niego kratą i ścianą z desek połączoną, która zasłania sanktuarium Greków.

Kościół grecki na Wschodzie znacznie przewyższa przepychem Kościół rzymski: u tych wszystko jest proste i skromne, u tamtych — okazałe i świetne<sup>26</sup>; ale współzawodnictwo zrodzone z



tej odmienności sprawia wrażenie niezwykle przykre; serce ściska się na widok zwad i kłótni w miejscach, które powinny tchnąć miłosierdziem i miłością.

Pierwotną budowę tego kościoła przypisują świętej Helenie, podobnie jak przeważną część budowli chrześcijańskich w Palestynie. Co prawda ci, co się z tym nie zgadzają, twierdzą, że cesarzowa, odwiedzając Syrię, była już w wieku bardzo podeszłym, nie mogła więc zlecić wykonania tak licznych prac, ale myśl nie liczy się z czasem ani z miejscem. Sądzę, że jej wola twórcza i żarliwa pobożność mogły przewodzić gmachom na jej rozkaz rozpoczętym, a ukończonym po jej śmierci. Wróciliśmy do klasztoru; pocziwy przeor, którego opuszczaliśmy z żalem, chcąc wykorzystać pozostałe godziny na zwiedzenie okolic, kazał nam podać w refektarzu wyborne śniadanie. Kiedy zjeżdżaliśmy ku równinie, pokazano nam grootę, w której, według tradycji, Najświętsza Maria Panna miała się schronić podczas ucieczki do Egiptu. Na kilku wzgórzach wznoszących się nad Betlejem widać szczątki wież stanowiące pozostałość rozmaitych pozycji obozów zajmowanych przez krzyżowców i noszące imiona tych bohaterów. Minęliśmy je z lewej strony, zjeżdżając drogą uciążliwą i nużącą.

Po godzinnej jeździe przybyliśmy do małej, wąskiej, głębokiej doliny, którą płynie przejrzysty strumień. To ogród Salomona, hortus conclusus\*, opiewany w Pieśni nad Pieśniami: w istocie, pośród skalistych wierzchołków, które otaczają je ze wszystkich stron, to jedno tylko miejsce okazuje się zdadne do uprawy, toteż owa dolina jest zawsze rozkosznym ogrodem, uprawionym z niezwykłym staraniem, a jej wspaniała, soczysta zieleń w uderzający sposób kontrastuje z otaczającą ją kamienistą, jałową okolicą. Dolina miała jakie pół mili długości. Jechaliśmy wzdłuż wijącego się strumienia, ocienionego wierzbami, czy to jego brzegami porośniętymi trawą, czy po kamykach lśniących na dnie poprzez przejrzystą wodę, czy wreszcie przejeżdżając po cedrowej kładce z jednego brzegu na drugi, i dotarliśmy pod skały, stanowiące naturalne zamknięcie doliny. Jakiś wieśniak, uprawiający tu ziemię, ofiarował się nas przez nie przeprowadzić pod warunkiem, że zsiądziemy z koni i powierzmy je jego chłopcom, którzy długimi zakosami mieli przywieść je za nami na szczyt.

Skręciliśmy w prawo i w godzinę, po uciążliwej drodze, osiągnęliśmy szczyt, gdzie trafiliśmy na najpiękniejsze zabytki staro-

\* ogród zamknięty

żytności, jakieśmy kiedykolwiek widzieli: były to trzy ogromne cysterny, wykute w zboczu skalnym, jedna nad drugą, jak tarasy, o ścianach tak gładkich, a spoinach tak świeżych, jak gdyby je dopiero ukończono; kopyta naszych koni tętniły na wyłożonych kamieniem niby nadbrzeżna ulica brzegach owych cystern. Te wspaniałe cysterny, napełnione przezroczystą wodą na szczycie nagiej góry, zdumiewały i budziły myśl o wielkiej potędze, która podjęła i doprowadziła do końca tak wielkie dzieło; toteż przypisuje się je Salomonowi.<sup>27</sup> Gdy tak je podziwiałam, moi towarzysze podróży przystąpili do ich pomiarów i okazało się, że każda z nich ma około czterystu stóp długości, a sto siedemdziesiąt pięć stóp szerokości; pierwsza z nich jest najdłuższa, ostatnia — najszersza, jej otwór liczy co najmniej dwieście stóp szerokości; każda z nich, licząc od położonej najniżej, jest większa od poprzedniej; nad najwyższą położoną z tych gigantycznych cystern bije małe źródło, ukryte wśród kilku kęp zieleni: to biblijne fons signatus<sup>\*28</sup>, zasilające owe zbiorniki, z których woda spływała niegdyś poprzez akwedukty do świątyni jerozolimskiej; szczątki tych akweduktów wciąż napotykałyśmy po drodze. Niedaleko stąd widać było starożytne mury, blankowane zapewne podczas wojen krzyżowych, które zgodnie z tradycją miały okalać obszar, gdzie wznosił się pałac przeznaczony dla żon Salomona; teraz widać tu tylko ruiny; miejsce to, zarzucone gnojem i śmieciami, służy dziś jako okólnik, gdzie na noc ściągają pasterze ze swoimi trzodami, które pasą się w górach jak było w Alpach szwajcarskich. Wróciliśmy do Jerozolimy starą, szeroką, brukowaną drogą, zwaną drogą Salomona, znacznie krótszą i bardziej bezpośrednią niż ta, którą jechaliśmy z raną, nie prowadzi bowiem przez Betlejem. Była już późna noc, kiedy minęliśmy bramę Pielgrzymów.

25 kwietnia, odwiedziliśmy po raz ostatni Grób Święty, poprosiliśmy towarzyszącego nam zakonnika, żeby nas oprowadził wokół kościoła, chcieliśmy bowiem zdać sobie dokładnie sprawę z nierówności gruntu, które tłumacza, w jaki sposób Grób Święty i Kalwaria znalazły się w obrębie tej samej budowli. Obejście to jest trudne, ponieważ kościół otaczają budynki, które to uniemożliwiają, lecz przeszedłszy kilka dziedzińców i obchodząc kilka domów, zdołaliśmy zaspokoić naszą ciekawość. Następnie do-siedliśmy koni, aby objechać mury miasta i zwiedzić groby królów. Na północ od Jerozolimy, wyjeżdżając bramą Damascęską,

\* źródło zapieczetowane

o jakie pół mili, napotyka się wgłębienie w skale około dwudzie- : stu stóp głębokie, otoczone z trzech stron murem, który sprawia wrażenie ścian ozdobionych rzeźbami kutymi w skale, a przedstawiającymi drzwi, filary, fryzy, niezwykle pięknej roboty; wydaje się, że stopniowe podnoszenie się gruntu obniżyło to wgłębienie o kilka stóp, otwór bowiem znajdujący się z lewej strony, a służący za wejście do tego przybytku, był tak niski, że tylko czołgając się można tam wejść. Z niezwykłym trudem zdołaliśmy się tam wcisnąć i zapalić pochodnie. Chmury nietoperzy, zbudzone naszym najściem, napadły nas, i jeśli można się tak wyrazić, walczyły w obronie swojego siedliska, toteż gdyby odwrót nie był tak uciążliwy, na pewno bylibyśmy się przed nimi wycofali. Po chwili znów zaległa cisza i mogliśmy przypatrzeć się tym komnatom grobowym. Są one wydrążone i wykute w skale. Ich kąty są tak dokładne, a ściany tak gładkie, jak gdyby je polerował robotnik w kamieniołomie. Zwiedziliśmy ich pięć, połączonych otworami zamykanymi z pewnością kamiennymi bryłami, wyciosanymi w kształcie drzwi, które leżały na ziemi i pozwalały się domyślać, że każda z tych komnat zamykano i zamurowywano, gdy napełniono nisze wykute w ścianach, a przeznaczone do pomieszczenia sarkofagów i urn. Kim byli lub mieli być mieszkańcy tych siedzib tak wielkim kosztem wystawionych? Tego wciąż jeszcze nie bardzo wiadomo. Pochodzenie tych siedzib było przedmiotem ożywionych sporów: wewnątrz, bardzo proste i wspaniałe, sięgać mogło najodleglejszej starożytności, nic tu jednak nie określało daty. Rzeźba zewnętrzna zdawała się bardzo staranna i w zanadto czystym stylu, aby mogła pochodzić z odległych czasów królów Judei. Ale od czasu, gdy zobaczyłam Baalbek, moje wyobrażenia względem doskonałości, jaką osiągnęła sztuka przed znanymi nam epokami, bardzo się zmieniły.

Ruszyliśmy dalej przez kilka pól, gdzie rosły drzewa oliwne, i zjechawszy w Dolinę Jozafata, wróciliśmy od strony południowej bramą Syjońską. Grób Dawida, Wieczernik i kościół ormiański, w którym jest kamień zamykający wejście do Grobu Świętego, skłoniły nas, aby wrócić bramą Bab el-Daud, lecz kiedy chcieliśmy zwiedzić podziemie, w którym według tradycji, mają spoczywać kości króla-proroka, Turcy sprzeciwili się temu, oświadczając, że wejście do podziemia jest surowo wbronione; przypuszczają, że w tym królewskim grobie zakopano ogromne skarby, a cudzoziemcy, którzy wiedzą, gdzie je zakopano, przychodzą, aby je odszukać i zrabować.

Wieczernik to wielka, poczerniała ze starości skała, której skle-

pienie wspierają kolumny; jeżeli uznać starość za dowód dostateczny, Wieczernik jest na pewno wielce starożytny. Ponieważ znajduje się na górze Syjon, położonej za dawnymi murami miasta, więc bardzo to możliwe, iż uczniowie tam się schronili po Zmartwychwstaniu i tam zgromadzili się podczas Zielonych Świątek, jak to utrzymują tradycje ludowe. Jakkolwiek z Jerozolimy splądrowanej za Tytusa pozostały tylko wieże i część murów, lecz zachowały się dokładnie ślady wszystkich miejsc, a pierwsi chrześcijanie musieli przywiązywać wielką wagę do ich utrwalenia, odbudowując je kolejno na tych samych miejscach nieraz ze szczątków dawnych budowli. Ale szczegóły o Jerozolimie byłyby tylko powtarzaniem tego, co już napisano, z żalem więc muszę poniechać tego przedmiotu, ku któremu ustawicznie biegną moje wspomnienia; dodam tylko jedno słowo — całkiem niezależnie od wspomnień natury religijnej — dotyczące owej wioski grobów (Siloam), której obraz zachował się w moich oczach. Otóż cała ta gromada dzikich Arabów, zamieszkujących podziemia i jaskinie grobowe, byłaby niezwykle oryginalnym tematem dla malarza: wyobraźmy sobie w głębokiej dolinie Siloa jaskinie, których wyloty zioną jedne nad drugimi niby otwory pieców, rozrzucone na zboczu skały lub przypominające nieregularnie rozstawione działki jakiegoś rozbitego ula — i wychodzące z tych lochów grobowych żywe istoty, kobiety, dzieci, niczym widziadła z siedziby zmarłych. Nie wiem, czy kto zajmował się już tym tematem, lecz przypuszczam, że nadawałby się dla malarza ze względu na swoje kontrasty, a zarazem harmonię.

26 kwietnia spojrzeliśmy po raz ostatni na Jerozolimę i ze smutkiem udaliśmy się znów ku Jaffie. Wjeżdżając w dolinę wioski Jeremiasza, usłyszeliśmy dźwięki jakiejś barbarzyńskiej muzyki: ujrzelśmy w oddali całe plemię arabskie idące stokiem wzgórza; wysłałam przodem tłumacza; wrócił, oświadczając, że wszyscy ci ludzie zebrali się na pogrzeb jednego z naczelników i że bez obawy możemy jechać dalej. Opowiedział nam następnie, że ów naczelnik zmarł nagle poprzedniego dnia na polowaniu od zapachu jakiejś trującej rośliny, lecz że ludzie ci mieli na sobie stroje takie same, jak Arabowie z Nablus, których usposobienie jest powszechnie znane, można się było domyślać, iż padł on ofiarą zawiści jakiegoś innego, współzawodniczącego z nim naczelnika. Mimo ich wojowniczego obyczaju, budzącego respekt wyglądu, łatwowierność tych prostodusznych ludów przypomina łatwowierność dzieci; opowieści o cudownych zdarzeniach wprawiają ich w zachwyt i nie budzą najmniejszej nawet nieufności.

## POWRÓT DO BEJRUTU I DROGA DO CEDRÓW SALOMONA

Pewien zaprzyjaźniony z nami Arab, człowiek bardzo rozumny i świątły, często nas zapewniał z najgłębszym przekonaniem, że jeden z szajków posiadał tajemnicę czarnoksięskich słów, których w czasach pierwotnych używano do przenoszenia olbrzymich brył skalnych w Baalbeku, lecz jako dobry chrześcijanin nie chciał ich ani używać, ani rozgłaszać. Dodaliśmy naszym koniom ostrogi i wkrótce podjechalśmy do konduktu pogrzebowego; pośrodku niesiono trumnę okrytą wspaniałymi materiami i zwieńczoną zawojem tureckim; kobiety arabskie, obnażone do pasa, z długimi, spadającymi na ramiona włosami, z piersią podrapaną, z rękami wzniesionymi w górę, poprzedzały zwłoki, wydając okrzyki, śpiewając żałobne pieśni, załamując dłonie i wydzierając sobie włosy; muzycanci, grając na tamble i dahiéré \*, wtórowali śpiewom ustawicznym, monotonnym bębnieniem. Na czele konduktu szedł brat zmarłego; koń jego, okryty pięknymi skórami kóz angorskich, ozdobiony czerwonymi i złotymi kwastami, które chwiały się na jego głowie i na piersiach, spinał się niekiedy na dźwięki tej drażniącej muzyki; kapłani we wspaniałych strojach oczekiwali przybycia konduktu przed drzwiami grobowca, zwieńczonego kopułą spoczywającą na kuliście ustawionych kolumnach; naprzeciwko, na płaskim dachu jakiegoś zrujnowanego kościoła, widać było kobiety spowite długimi, białymi zasłonami, podobne do starożytnych ofiarnie lub do płaczek na zabytkach Memfis. Naczelnik, zbliżywszy się do grobu, zsiadł z konia i padł w objęcia arcykapłana z oznakami żywej boleści; ten upomniął go, aby się poddał woli Boga i okazał godnym następcą swojego brata w rządach nad plemieniem. Tymczasem nadszedł kondukt, zdjęto trumnę, wszyscy stanęli wokół świątyni i śpiewy za zmarłych rozległy się jeszcze przenikliwiej; ta żałobna pantomima, ten pogrzebowy przepych, te hymny rozpachy wyrażone nie znaną nam mową, w innym obrządku, wydały się nam żywym wspomnieniem owych trenów żałobnych, którymi Jeremiasz nappełnił tę właśnie dolinę, a których echem wciąż jeszcze rozbrzmiewa świat biblijny."

\* Rodzaj wielkiego bębna i tamburyna. [Przyp. aut.]

## Wyjazd z Jaffy

*Tegoż dnia.*

Okrętujemy się już na wzburzonym morzu, którego ogromne fale jako wzgórza piany napływały do przesmyku między skałami; nasza łódź chwilę zatrzymała się za tymi skałami; czekaliśmy, aż fale odpłyną, po czym wyszliśmy na pełne morze; fale wróciły i jak korek unosiły nas na swoim grzbiecie; potem wpadliśmy w jakąś otchłań: nie widać już ani statku, ani brzegu; znowu wznieśliśmy się w górę, raz jeszcze stoczyliśmy się w dół, piana okryła nas kroplistą zasłoną. Na koniec dopłynęliśmy do burty statku, który kołysał się tak gwałtownie, że nikt nie śmiał przybliżyć się z obawy, aby go nie uderzyły nurzające się pośród fal reje; poczekaliśmy, aż nastąpi chwila przerwy między napływem dwóch fal; rzucono linę; umocowano drabinę; znaleźliśmy się na pokładzie. Wiatr zaczął dąć z przeciwnej strony; staliśmy na dwóch kotwicach, w każdej chwili narażeni na rozbicie, gdyby je zerwało jakieś gwałtowne uderzenie fal. Godziny cierpień moralnych i fizycznych podczas tego przerażającego kołysania; cały wieczór i noc wiatr ze świstem, dał między masztami niby w wysokie rejestry organów; statek podskakiwał jak baran, co bodzie rogami ziemię; przód zagłębiał się w morze i tonał jak gdyby w jego otchłani za każdym razem, kiedy nadciągająca fala unosiła rufę; słychać było okrzyki arabskich majtków z kilku innych statków, które przywiozły ubogich pielgrzymów greckich do Jerozolimy. Te niewielkie stateczki, z dwieścior-giem, trzyściorgiem kobiet i dzieci na pokładzie, usiłowały wypłynąć w morze, aby uchronić się od rozbicia grożącego im u brzegu; kilka z nich minęło nas w niewielkiej odległości; kobiety krzyczały, wyciągając ku nam ręce; ogromne fale zalewały te stateczki, znosząc je od nas daleko; niektóre zdołały oddalić się od brzegu, dwa z nich rozbiły się na skałach podwodnych w przystani, od strony Gazy; nasze kotwice puściły i morze porwało nas ku skałom portu wewnętrznego; kapitan kazał zarzucić inną kotwicę. Wiatr uciszył się, wiał w kierunku dla nas dogodniejszym; pod niebem szarym i mglistym szybko płynęliśmy ku

zatoce Damietty; łąd całkiem znikł nam z oczu; przez cały dzień żeglowaliśmy szczęśliwie; morze było spokojne, ale o-znaki nadciągającej burzy zaniepokoiły kapitana i pierwszego oficera.

Burza rozpełtała się ze schyłkiem dnia; wiatr coraz to się wzmaczał, fale piętrzyły się coraz wyżej, okręt trzeszczał i jęczał, wszystkie liny świszczwały i drgały pod uderzeniami wiatru niby metalowe struny; te piskliwe, żalosne dźwięki przypominały lament pogrzebowy Greczynek; żagle zwinięto, statek z przepaści staczał się w przepaść, a ilekroć przechylał się na burtę, maszty zdawały się padać w morze jak drzewa wyrwane z korzeniami, fale zaś pod ich ciężarem tryskały w górę i zalewały pokład; oprócz mnie i załogi wszyscy zeszli na międzypokład; słychać było jęki chorych i suwanie się pak i sprzętów uderzających o ściany brygu. Bryg, choć miał tak mocne wiązanie z ogromnych belek łączących obie jego burty, trzeszczał i giął się, jak gdyby za chwilę miał się rozpaść. Uderzenia fal o rufę rozlegały się raz po raz niczym strzały armatnie; o drugiej nad ranem burza jeszcze się wzmożła; przywiązałem się sznurem do głównego masztu, aby mnie fala nie uniosła i nie zmyła w morze, kiedy pokład nachylał się prawie pionowo. Spowity płaszczem przypatrywałem się temu wspaniałemu widowisku; co pewien czas schodziłem na międzypokład, aby uspokoić moją żonę leżącą w hamaku. Pierwszy oficer, który pośród tej okropnej burzy kierował obrotami statku, czasem tylko odrywał się od swojego zajęcia, aby przechodząc od kajuty do kajuty nieść pomoc każdemu, kto by jej potrzebował: ten człowiek, który pośród niebezpieczeństw okazywał żelazny charakter, miał dla chorych serce miękkie jak kobieta.

Tak minęła noc. O wschodzie słońca, który można było rozpoznać jedynie po słabym blasku, co pojawił się na falach i pośród skłębionych chmur, wiatr nie tylko nie ucichł, lecz nawet zaczął się jak gdyby wzmacniać; jak okiem sięgnąć, widzieliśmy nadciągające, jedna za drugą, wysokie, spienione fale. Gdy nadpływały, bryg kręcił się we wszystkie strony, opadał w dół z jedną, wznosił się po chwili z drugą falą; ta ciskała go w jedną stronę, tamta znów powstrzymywała i nadawała mu nowy kierunek, przechylając go z boku na bok; przód zanurzał się, jak gdyby morze miało go pochłoniąć, nadciągające fale uderzały w rufę i zalewały cały pokład od końca do końca, raz po raz statek unosił się; morze ustawicznie równane przez wiatr, jak gdyby nie było fal, wyglądało niby gładka powierzchnia okryta wirującą pianą; między tymi ogromnymi wodnymi płaskowyzami pojawia-

ły się jak gdyby równiny, dając chwilę wytchnienia naszym masztom, ale po chwili wpływaliśmy znowu między wysokie fale i statek raz po raz staczał się w przepaść.

Dzień minął pośród tych zmiennych okropności, kapitan naradzał się ze mną; brzegi Egiptu są niskie, nie spostrzegłszy ich, można być na nie wyrzuconym; wybrzeże Syrii nie ma portu ani przystani; należało więc albo z rozwiniętymi żaglami utrzymywać się na pełnym morzu, albo też płynąć z wiatrem, który nas popychał ku Cypru. Tam mogliśmy znaleźć przystań i schronienie, ale byliśmy jeszcze od niego oddaleni o przeszło osiemdziesiąt mil; kazałem więc płynąć na Cypr; wiatr pędził nas z szybkością trzech mil na godzinę, ale morze się nie uspokajało. Moja żona i współtowarzysze podróży, którzy ciągle leżeli w hamakach, pokrzepili się kilkoma łykami zimnego bulionu, a ja zjadłem nawet kilka kawałków suchara i wypaliłem fajkę wraz z kapitanem i pierwszym oficerem, zawsze w tej samej pozycji, na pokładzie, przy szafce na busolę, przełożywszy ręce między linami, które mnie utrzymywały. Nadchodziła noc jeszcze okropniejsza; ciężkie chmury wisiały nad morzem, błyskawice rozdzierały cały widnokrąg; wszystko wokół nas płonęło ogniem, pioruny zdawały się bić z grzebieni wysokich fal skłębionych z chmurami; trzy razy grom strzelił tuż obok nas; raz w chwili, kiedy ogromna fala przechyliła statek na bok; reje zanurzyły się, maszty uderzyły o powierzchnię wody, piana spod nich trysnęła w górę jak podarty ognisty płaszcz, którego szczątki, podobne do płomienistych węzów, roznosił dokoła wiatr, i cała załoga wydała okrzyk zgrozy; wydało się nam, że zostaliśmy pograżeni w krater jakiegoś wulkanu; był to najbardziej przerażający i najwspanialszy widok, jakiego byłem świadkiem tej długiej nocy; pioruny były wokół nas dziewięć godzin bez przerwy; co chwila zdawało się nam, że zapalone maszty upadają na nas i płomienie ogarniają cały statek.

Rankiem niebo nie było już tak zasnuwane chmurami, ale morze wciąż przypominało wrzącą lawę; wiatr, który zelżał i już nie znosił statku, sprawił, że kołysanie przestało być tak uciążliwe; byliśmy o jakie trzydzieści mil od Cypru. O jedenastej zaczęliśmy dostrzegać ląd, który z każdą chwilą białł coraz to bardziej: to Limassol, jeden z portów tej wyspy; rozwinęliśmy wszystkie żagle, aby jak najprędzej żeglować z wiatrem; gdy zbliżaliśmy się, morze nieco się uciszyło; płynęliśmy wzdłuż brzegów, w odległości dwóch mil, szukając przystani Larnaka, gdzie Ujrzeliśmy już maszty wielu statków, które podobnie jak my szukały tam



schronienia; wściekły wiatr zerwał się znowu i po kilku chwilach pchał już nas w owym kierunku; pęd statku był tak gwałtowny, iż obawialiśmy się, że gdy zarzucimy kotwicę, zerwą się liny; wreszcie spuszczone kotwicę, która, wlokąc się kilka sążni, zahaczyła o dno. Morze wokół nas wciąż jeszcze pluskało, ale jego fale kołysały nas tylko, nie narażając na niebezpieczeństwo; ujrzałem znowu na masztach flagi konsulów europejskich na Cyprze, które nas witały, i taras konsulatu francuskiego, z którego nasz przyjaciel, pan Bottu, dawał nam znaki, że nas poznał. Wszyscy zostali na pokładzie: widok przykładowej i szczęśliwej rodziny pana Bottu byłby rozdzierający dla mojej żony, która, tak wtedy szczęśliwa, przeszło rok temu doznała tu gościnnego przyjęcia.

Zszedłem na ląd wraz z kapitanem; państwo Bottu, panowie Perthier i Guillois, młodzi Francuzi, urzędnicy konsulatu, powitali mnie z najtkliwszymi oznakami życzliwości i przyjaźni, jakich się po nich spodziewałem; odwiedziłem pana Mathei, bankiera greckiego, któremu zostałem polecony; wysłaliśmy na bryg zapasy różnego rodzaju; pan Mathei dołączył do nich jako podarek wino cypryjskie i barany z Syrii. Kiedy wraz z panem Bottu zwiedzałem okolice miasta, burza, która się uciszyła, zerwała się znowu; łączność ze statkami w przystani została przerwana; fale zalewały nadbrzeża, ciskając pianę aż w okna domów; spędziłem okropny wieczór i noc na tarasie lub w oknie mojego pokoju w konsulacie francuskim wpatrując się w miotany ogromnymi falami w przystani bryg, na którym znajdowała się moja żona, i drżałem co chwila z obawy, że zerwą się kotwice i statek rozbije się o skały wraz z tym wszystkim, co mi zostało z mojego szczęścia na tym świecie. Nazajutrz wieczorem morze wreszcie ucichło; wróciliśmy na bryg; trzy godziny spędziliśmy w przystani, czekając pomyślniej szych wiatrów; panowie Mathei i Bottu ciągle nas odwiedzali. Ten młody i uprzejmy konsul najserdeczniej ze wszystkich agentów francuskich na Wschodzie przyjmował swoich współziomków i najwięcej przynosił zaszczytu imieniu swojego narodu; uniosłem z sobą niewypowiedzianą wdzięczność i prawdziwą dla niego przyjaźń za jego dwukrotne przyjęcie; był szczęśliwy u boku żony poślubionej z miłości i w gronie dzieci, które stanowiły całą jego radość; dowiedziałem się, że zmarł w kilka dni po naszym odjeździe; całym majątkiem jego rodziny było piastowane przez niego stanowisko; ów majątek poświęcił całkowicie obowiązkom konsula; jego biedna żona i śliczne dzieci są teraz na łasce Francji, której pan Bottu za-

szczytnie służył również i swoją pensją urzędniczą; oby Francja, pamiętając o nim, pomyślała o jego rodzinie!

*30 kwietnia 1833.*

Wyruszyliśmy; wiatr niestały; przez trzy dni płynęliśmy wzdłuż brzegów zachodniego cypla wyspy; widziałem Olimp, Pafos i Amathus<sup>1</sup> uroczy widok brzegów i gór Cypru z tej strony. Wyspa ta byłaby najpiękniejszą kolonią w Azji Mniejszej; ma tylko trzydzieści tysięcy mieszkańców, a wyżywiłaby i zbogaciła miliony ludzi; wszędzie zdalna do uprawy, wszędzie urodzajna, lesista, nawadniana ze wszystkich stron, ma wszędzie przystanie i porty naturalne; położona między Syrią, Karamanią, Archipelagiem, Egiptem i brzegami Europy, mogłaby być ogrodem świata.

*3 maja 1833.*

Tego ranka spostrzeżliśmy pierwsze wierzchołki Karamanii, górę Taurus w oddali, zębate szczyty, pokryte śniegiem jak Alpy widziane z Lyonu; wiatr łagodny i zmienny, noce iskrzące gwiazdami; w nocy wpłynęliśmy do Zatoki Satalijskiej; widok jej przypomina jakieś wewnętrzne morze; wiatr ucichł; statek stał nieruchomo jak na jeziorze; dokądkolwiek zwrócić wzrok, wszędzie widać było górzyste obramowania zatok; zarysy gór rozmaitych kształtów i wysokości nikły jedno za drugim, i tylko niekiedy między nierównymi wierzchołkami ciągnęły się głębokie doliny osnute srebrzystym blaskiem księżyca; na ich zboczach płynęły białe mgły, a ich grzbiety tonęły w falach bladej purpury; dalej za nimi wznosiły się ostre szczyty gór Taurus z iglicami pokrytymi śniegiem; kilka niskich, lesistych przyłądków wrzynało się w morze, a małe wysepki, jak statki na kotwicy, odrywały się gdzieś od brzegów; głęboka cisza panowała na lądzie i na morzu; słychać było tylko plusk delfinów, które czasami wypryskiwały z głębi i podskakiwały jak kozłeta na murawie; morze gładkie, żyłkowane złotem i srebrem, wydawało się żłobkowane jak leżące na ziemi kolumny jońskie; bryg nawet się nie zakolysał; o północy zerwał się wiatr od lądu, który z wolna wypchnął nas z Zatoki Satalijskiej i sprawił, że posuwaliśmy się wzdłuż brzegów Azji Mniejszej aż do wysokości Castello Rosso<sup>2</sup>; wpłyaliśmy we wszystkie zatoki, dotykając prawie lądu. Na przyłądkach tej ziemi, na której było niegdyś tyle królestw: Pont, Kapadocja, Bitynia, a która teraz leżała pusta i wyludniona, widniały ruiny; doliny i równiny były pokryte lasami; Turkomani w zimie rozbi-

jaja tu swoje namioty; w lecie, z wyjątkiem kilku miejsc na wybrzeżu, jak Tars, Satala, Castello Rosso i Marmoriza, wszystko jest bezludne w zatoce Makri.

### *Maj 1833.*

Prąd u wybrzeża Karamanii zniósł nas ku cyplowi tego lądu i do ujścia zatoki Makri; w nocy płynęliśmy wzdłuż brzegów, aby zbliżyć się do wyspy Rodos; kapitan obawiając się bliskości brzegów Azji, gdy zerwał się wiatr zachodni, wypłynął na pełne morze; zbudziliśmy się naprzeciw Rodos. Niedaleko nas ujrzeliśmy płynący z nami bryg „Alceste”; przez cały dzień cisza nie pozwoliła nam się do niego zbliżyć; wieczorem chłodny wiatr zniósł nas do zatoki Marmorizy; o północy znowu zerwał się wiatr od lądu; z brzaskiem wpłynęliśmy do portu Rodos.

### *Maj 1833.*

Przez trzy dni zwiedzaliśmy okolice Rodos, prześlicznie położone na zboczach góry, od strony Archipelagu. Po dwu godzinach jazdy wzdłuż przymorza wjechałem w ocienioną pięknymi drzewami dolinę, którą płynął niewielki strumień; jadąc jego brzegiem porośniętym oleandrami, dotarłem do małej ławy skalnej, tworzącej ostatni stopień doliny. Stał tu domek, zamieszkały przez ubogą rodzinę grecką, prawie całkiem zakryty gałęziami drzew figowych i pomarańczowych; w przyległym ogrodzie znajdowały się ruiny niewielkiej świątyni Nimf, jakaś grotta i kilka rozrzuconych kolumn oraz kapiteli, na poły osłoniętych bluszczem i korzeniami krzewów; wyżej błonie, dwieście do trzystu kroków szerokie, ze źródłem; rosły tu trzy sykomory; jedna z nich ocieniała całe to błonie; to święte drzewo wyspy; Turcy je szanują, a gdy pewnego razu jakiś nieszczęśliwy wieśniak grecki chciał z niego ściąć jedną gałąź, z rozkazu paszy rodyjskiego został ukarany bastonadą. Fałszem jest, jakoby Turcy niszczyli przyrodę i dzieła sztuki, po prostu wszystko zostawiają tak, jak jest, i tylko w ten sposób niszczą, że nic nie naprawiają. Ponad błoniami i sykomorami wznosiły się strome wzgórza porośnięte lasem jodłowym, a spływające strumienie wyzłobiły wąwozy u stóp ich zboczy; dalej widniały wysokie góry, które rzucały swój cień na wzgórze, błon, źródło. Spodnad źródła, przy którym się położyłem, widziałem przez gałęzie pinii i sykomor morze Archipelagu Azji, podobne do jeziora usianego wyspami, i głębokie zatoki wrzynające się między wysokie, ciemne góry Makri, wszystkie uwieńczone śniegiem; dobiegał mnie tylko szmer źródła,

szum wiatru pośród liści, odgłos skrzydeł słowika : spłoszonego moją obecnością i smętny śpiew wieśniaczki greckiej, kołyszącej dziecko na dachu swojej chaty. O, jakie to miejsce wydałoby mi się piękne przed pół rokiem!

Na ścieżce, pośród wysokich gór Rodos, spotkałem jednego z przywódców cypryjskich; ubrany był po europejsku, ale miał czapkę grecką i długą, siwą brodę. Poznałem go: nazywał się Tezeusz, był siostrzeńcem patriarchy Cypru; odznaczył się w wojnie o niepodległość. Kiedy wrócił na Cypr po stłumieniu niepokojów w Morei<sup>3</sup>, jego imię, rozum, zdolność działania zjednały mu ludność grecką na Cyprze. W chwili powstania, które wybuchło na wyspie<sup>4</sup>, górale stanęli na jego rozkazy; swoim wpływem uspokoił ich i uzyskawszy z pomocą pana Bottu, konsula francuskiego, zadośćuczynienie wyrządzonych im krzywd, rozpuścił swoje wojsko i dla uchronienia się przed zemstą Turków udał się pod opiekę konsulatu francuskiego. Stanek grecki wysadził go na Rodos, gdzie nie jest bezpieczny; zaofiarowałem mu miejsce na jednym z moich brygów; schronił się tam; zawiozę go, dokąd zechce: do Konstantynopola, do Grecji lub Europy. Jest to człowiek, który swoje życie i majątek stale narażał w grze z przeznaczeniem, człowiek, który jaśniej rozumem i odwagą, mówi wszystkimi językami, zna wszystkie kraje, w rozmowie niewyczerpany i zajmujący, równie szybki w czynie, jak w myśli, jeden z tych ludzi, dla których działanie jest drugą naturą i którzy, jak mewy podczas burzy, wznoszą się do góry wraz z wirami niepokojów krajowych, aby upaść wraz z nimi. Natura formuje niewiele podobnych natur. Tacy ludzie zwykle są nieszczęśliwi; wszyscy się ich obawiają, prześladują; byłiby doskonałymi narzędziami, gdyby ich umiano użyć do właściwego dzieła. Wysłałem łódź do Marmorizy z młodym Grekiem, który tam będzie czekał na moje konie i poleci moim saisom, aby przybyli do mnie do Konstantynopola. Postanowiliśmy jechać dalej morzem, zwiedzając wyspy u wybrzeża Azji i brzegi ładu.

Wyruszyliśmy o północy przy lekkim wietrze; pierwszego dnia wieczorem opłynęliśmy przylądek Krio; uroczą, miłą żegluga między wyspami Piskopia, Nisyros i uroczą wyspą Kos, ojczyzną Eskulapa<sup>5</sup>. Po Rodos Kos wydała mi się najpoważniejszą i najpiękniejszą wyspą tego archipelagu; przesłone wioski, ocienione wspaniałymi sykomorami, wznoszą się na jej brzegach; miasto urocze i wykwiłtnie zabudowane. Wieczorem oba nasze brygi były bliskie zabłąkania wśród labiryntu małych, nie zamieszkałych wysepek; pokrywa je aż po brzegi wysoka trawa; dzielą

prześlizczne kanały, a prawie na każdej z nich są niewielkie zatoczki, w których statki mogłyby zarzucić kotwicę. Ileż uroczych miejsc dla ludzi, którzy żalą się na brak ziemi w Europie! Panuje tu klimat jak na Rodos i Kos, a grunt, podobnie jak na nich, jest urodzajny; o dwie mile od nas ciągnął się jakiś wielki ląd; opływaliśmy bezmierne jego brzegi w pobliżu wysp; ujrzelśmy słońce lśniące na ogromnych ruinach greckich i rzymskich miast Azji Mniejszej. Nazajutrz zbudziliśmy się w wąskim przesmyku między Samos i Ikarią; wysoka góra, którą stanowi właściwie wyspa Samos, wznosiła się nad naszymi głowami, okryta skałami i lasem jodłowym; pośród tych skał dostrzegliśmy kobiety i dzieci. Ludność Samos, która właśnie powstała przeciw Turkom, schroniła się na górę; mężczyźni, uzbrojeni, są w mieście i na brzegach. Samos przypomina górę nad jeziorem Lucerny oświetloną słońcem Azji; jej podstawa dotyka prawie lądu; spostrzegliśmy tylko wąski kanał, który ją od niego oddziela. Burza zaskoczyła nas w zatoce Scalanova, w pobliżu zwalisk Efezu; rano wpłynęliśmy do cieśniny Chios, szukając schronienia w przystani Czesme, wślawnionej zniszczeniem floty otomańskiej przez Orłowa.<sup>6</sup> Urocza wyspa Chios jak zielone wzgórze ciągnęła się po przeciwnej stronie wielkiej rzeki; białe domy, miasta, wioski, rozrzucone na ocienionych grzbietach jej pagórków, lśnią między drzewami pomarańczowymi i winnymi łożami; to, co tu pozostało, świadczy o niedawnej ogromnej pomyślności i o znacznym zaludnieniu. Bliskie niewolnictwu położenie zamieszkujących te piękne wyspy Greków pod rządami tureckimi nie zdołało przytłumić ich twórczych zdolności w dziedzinie przemysłu, handlu i rolnictwa; nigdzie w Europie nie widziałem tak wielkiego bogactwa jak na Chios; to ogród rozległy na sześćdziesiąt mil dokoła.

Jednodniowa podróż do zwalisk i źródeł mineralnych Czesme.

Morze uspokoiło się; wyruszyliśmy w kierunku Smyrny; wiatr zmienny, płynęliśmy więc powoli wzdłuż wybrzeża Chios. Lasy schodziły aż ku morzu; wszystkie miasta nad zatokami były obwarowane, a ich porty pełne małych statków; wioski nad najmniejszymi nawet zatoczkami; nieprzeliczone mnóstwo małych łodzi żaglowych płynęło u brzegów, wioząc do kościołów kobiety i dziewczęta greckie; na wszystkich grzbietach gór, we wszystkich wąwozach widniały bielejące kościoły lub wioski, upłynęliśmy cypel wyspy i natrafiliśmy na wiatr przeciwny, który nas znosił ku Zatoce Smyrneńskiej; aż do zmroku napawaliśmy się widokiem pięknych lasów i wielkich wsi alpejskich nad zachod-

nim brzegiem zatoki; w nocy zupełna cisza; byliśmy blisko wysp w zatoce Wurla, gdzie ujrzeliśmy lśniąca światła floty francuskiej, stojącej tam na kotwicy od pół roku<sup>7</sup>; rano zobaczyliśmy w głębi zatoki Smyrnę wspartą o ogromne wzgórza cyprysowe; wysokie blankowane mury okalały wyżej położoną część miasta; piękne błonia i lasy ciągnęły się po lewej stronie aż do gór. Płynie tu rzeka Meles; wspomnienie Homera unosi się nad Smyrną<sup>8</sup>; szukałem oczyma owego drzewa nad brzegiem nie znanej naówczas rzeki, gdzie uboga niewolnica położyła swoje dziecko pośród trzciny; dziecko to miało kiedyś w swojej nieśmiertelnej sławie wynieść i nazwę rzeki, i łądu, i wysp. Ta wyobraźnia, którą Niebo obdarzyło Ziemię, miała stać się dla nas odbłaskiem całej starożytności boskiej i ludzkiej; urodził się, opuszczony, nad brzegiem rzeki, jak Mojżesz; żył w nędzy, niewidomy, jak owi Hindusi, co przebiegają ten świat wcieleni w żebraków, a których, dopiero gdy znikli, uznawano za bogów. Nauka nowoczesna pragnie w Homerze widzieć nie żywego człowieka, ale pierwowzór; jest to jeden z tych stu tysięcy mądrych paradoksów, za pomocą których ludzie usiłują pokonać oczywistość wrodzonego im przeczucia; dla mnie Homer jest człowiekiem, człowiekiem, którego głos ma człowieczą intonację, którego łyzy są ludzkie, którego słowa mają ludzką barwę; znacznie trudniej jest dopuścić, że istnieli ludzie opiewani przez Homera, niż że istnieli giganci; przyroda nie powtarza seryjnie swoich cudów; zrodziła Homera i wyzywa wieki, aby stworzyły ponownie tak doskonałą całość, w której złączyły się z sobą rozum, mądrość, wrażliwość i geniusz.

Wysiadłem w Smyrnie, aby obejrzeć miasto i okolice z panem Salzani, bankierem i kupcem smyrneńskim, człowiekiem równie życzliwym, jak miłym i światłym; przez trzy dni nadużywałem jego dobroci; co wieczór wracaliśmy na nocleg do naszego brygu; Smyrna nie odpowiadała wcale temu, czego spodziewałem się po mieście Wschodu: jest to Marsylia na wybrzeżu Azji Mniejszej, obszerny wykwintny dom handlowy, w którym kupcy europejscy wiodą życie jak w Paryżu i Londynie; piękny jest widok zatoki i miasta ze szczytu góry cyprysowej. Schodząc z niej, znaleźliśmy się nad brzegiem rzeki, którą z upodobaniem wzięłem za Meles, w prześlicznej okolicy opodal jednej z bram miasta; to most Karawan; rzeka to czysty strumień, drzemiący pod zacisznym sklepieniem sykomor i cyprysów; usiedliśmy nad jej brzegiem, a Turcy przynieśli nam fajki i kawę; z przyjemnością nasłuchiwałem cichego szmeru rzeki pośród korzeni platanów, pomny, że może do jej fal naprawdę dobiegało niemowłące kwilenie

Homera; zwilżyłem tą wodą wargi, zmyłem nią płonące czoło; oby dla świata Zachodu mógł narodzić się człowiek, który by jak Homer ułożył poemat z jego dziejów, z jego marzeń i nieba! Taki poemat jest grobowcem czasów minionych, do którego przychodzi przyszłość, aby złożyć hołd umarłym podaniom i uwiecznić swoją czią wielkie czyny i wielkie myśli rodu ludzkiego; ten, kto stawia taki grobowiec, ryje swoje imię u stóp posągu, który wznosi człowiekowi, i żyje we wszystkich obrazach, jakimi nappełnił świat ducha.

Tego wieczora zaprowadzono mnie do pewnego starca, który sam, z dwiema służącymi Greczynkami, mieszka w małym domku na wybrzeżu smyrneńskim; schody, przedsionek i pokoje były pełne fragmentów rzeźb, płaskorzeźbionych planów Aten, odłamków marmuru i porfiru; był to pan Fauvel, nasz dawny konsul w Grecji.<sup>9</sup> Wydalony z Aten, co stały się jego drugą ojczyzną, a które, jako ich syn, całe życie czyścił z pyłu, aby zwrócić światu jako nietknięty posąg, mieszka teraz w Smyrnie ubogi i nieznany; uniósł tu swoje bożyszcza i ustawicznie oddaje im hołd; pan de Chateaubriand widział go w jego młodych latach, szczęśliwego, pośród wspaniałych ruin Partenonu<sup>10</sup>; ja ujrzałem go obarczonego wiekiem, wygnanego, udręczonego niewdzięcznością ludzi, ale zawsze niezłomnego i wesołego w niedoli, pełnego tej wrodzonej mądrości, nakazującej cierpliwie znosić nieszczęścia ludziom, którzy szczęście chowają we własnym sercu; słuchając tego uroczego starca, na chwilę z rozkoszą zapomniałem o rzeczywistości.

W Smyrnie spotkałem znowu pana Deschamps, utalentowanego młodzieńca, z którym poznaliśmy się we Włoszech; jest on wydawcą dziennika smyrneńskiego; okazał nam pamięć i życzliwość.<sup>11</sup> Burza rzuciła do Smyrny rozbitków saintsimonizmu, doprowadzonych do ostatecznych skrajności, lecz znoszących swoje niepowodzenia z rezygnacją i z wytrwałością, którą daje głębokie przekonanie; otrzymałem w tej sprawie na statku dwa godne uwagi listy. Nie należy oceniać nowych idei, uwzględniając pogardę, jaką budzą u współczesnych; na tym świecie każda myśl wielka bywa przyjmowana jako dziwaczna; saintsimonizm ma w sobie coś prawdziwego, wielkiego i płodnego: zastosowanie chrześcijaństwa do budowy ustroju politycznego społeczeństwa, prawne ujęcie zasady ludzkiego braterstwa. Pod tym względem jestem saintsimonistą. Tej sekcji, która znikła, ale nie umarła, nie zabrakło myśli; nie zabrakło jej także uczniów; wydaje mi się, że zabrakło jej przywódcy, mistrza, moderatora; jestem pewien,

że gdyby u kolebki owej idei znalazł się jakiś człowiek pełen geniuszu i cnót, religijny, a zarazem uzdolniony politycznie, co by jednym dalekim i przewidującym spojrzeniem potrafił ogarnąć oba te horyzonty, zdołałby ją przekształcić w rzeczywistą siłę i objąć jej kierownictwo; czasy anarchii ideowej sprzyjają powstawaniu potężnych, nowych myśli. W oczach filozofa społeczeństwo znajduje się obecnie w upadku; brak mu kierownictwa, celu i przywódcy; działa już tylko pod wpływem instynktu samozachowawczego: jakakolwiek sekta głosząca zasady religijne, moralne, społeczne i polityczne, mająca swój symbol, hasło, cel i przywódcę, krocząca zwartym szykiem, prosto przed siebie, pośród tych szeregów w rozsypce nieuchronnie odniosłaby zwycięstwo; na to jednak trzeba by głosić społeczeństwu jego zbawienie, a nie ruinę, atakować w nim to, co mu szkodzi, a nie to, co mu służy, nawoływać, aby religia oparła się o rozum i miłość, polityka — o chrześcijańskie poczucie braterstwa, a własność — o miłosierdzie i wspólną korzyść, stanowiące jedyne jej uzasadnienie i jedyną podstawę. Tym żarliwym, trawionym potrzebą wiary młodzieńcem, którym jednak podsunęto bezrozumne dogmaty, niezbędny był jakiś prawodawca; organizatorzy saintsimonizmu jako swoje pierwsze hasło uznali wojnę na śmierć i życie między rodziną, własnością, religią i nimi: musieli więc zginąć. Nie zdobywa się świata takim czy innym hasłem, świat trzeba nawrócić, poruszyć, działać w nim i wreszcie go odmienić; jak długo jakaś idea nie może być urzeczywistniona, nie można jej ukazywać społeczeństwu; ród ludzki postępuje od tego, co uznane, ku temu, co nieznanne, ale nigdy nie kroczy od tego, co znane, ku absurdowi. Wszystko to trzeba będzie odbudować od podstaw; przed wielkimi przemianami widać znaki na ziemi i na niebie; zwolennicy saintsimonizmu byli jednym z takich znaków; przestaną istnieć jako zespół, lecz później, jako jednostki, staną się przywódcami i żołnierzami nowej armii.

### *15 maja.*

Pod pełnymi żaglami wyszliśmy z Zatoki Smyrneńskiej; po przybyciu na wysokość Wurlu, opływając ujście zatoki, bryg przez niezręczność majtka greckiego wpadł na mieliznę; uderzenie było tak silne, że zadrzały maszty, a statek osiadł nieruchomo o trzy mile od lądu; wzbierające fale rozbijały się o jego burty; wszyscy wyszli na pokład; chwila, kiedy tylu ludzi czeka na niepewny wynik podjętych wysiłków, które mają stanowić o ich losie, zawsze jest uroczysta, pełna ciszy i niepokoju; panowało zupełne mil-



czenie; nie widać było najmniejszych oznak trwogi; powaga okoliczności stanowi o wielkości człowieka. Po kilku minutach bezskutecznych wysiłków wiatr nam dopomógł: obrócił nas na stępcę; bryg spłynął z mielizny; nie stwierdzono jakichkolwiek uszkodzeń; wyszliśmy na pełne morze, mając po prawej burcie Mity-lenę.<sup>12</sup> Pogoda prześliczna; zbliżyliśmy się do cieśniny dzielącej wyspę od lądu, ale wiatr zaczął cichnąć; nad morzem coraz gęściej gromadziły się chmury, a gdy zapadła noc, zerwał się wiatr i zaczęły bić pioruny; wściekła burza, zupełna ciemność; oba brygi dawały sobie znaki rozpoznawcze i szukały przystani Foglieri, starożytnej Fokai<sup>13</sup> między skałami tworzącymi północny cypel nad Zatoką Smyrneńską; siła wiatru sprawiła, że w ciągu dwóch godzin przepłynęliśmy dziesięć mil wzdłuż brzegów; raz po raz biły pioruny, świszcząc pośród fal; błyskawice, zastępując blask dzienny, co pewien czas wskazywały nam drogę; oświetlały niebo, morze oraz nadbrzeżne skały, od których niosło się echo grzmotów; oba brygi płynęły tak blisko siebie, że drżeliśmy, aby się nie roztrzaskały. Wreszcie śmiałym manewrem, w zupełnej ciemności, skierowaliśmy się ku wąskiemu ujściu przystani w Fokai; z lewa i z prawa dochodził nas ryk fal bijących o skały; jeden nieostrożny ruch sterem, a byłibyśmy zmiążdżeni. W milczeniu staliśmy na pokładzie, czekając, aż się rozstrzygnie nasz los; noc była tak ciemna, że nie dostrzegaliśmy masztów; nagle poczuliśmy, że bryg sunie po jakiejś nieruchomej powierzchni; wokół nas zabłysło kilka światła przystani, do której wpłynęliśmy szczęśliwie; zarzuciliśmy kotwicę, nie wiedząc gdzie; wiatr huczał przez całą noc w naszych masztach i rejach, jak gdyby za chwilę miał je zerwać, ale morze było spokojne.

Uroczą przystań starożytnej Fokai o obwodzie pół mili leżała w dole niby okrągła warownia pośród pięknych wzgórz, gdzie widniały domy czerwono malowane, chaty w cieniu drzew oliwnych, ogrody, winnice, a nade wszystko wspaniałe gaje cyprysowe, u których stóp bieleły grobowce tureckich cmentarzy; zeszliliśmy na ląd; zwiedziliśmy ruiny miasta, które zrodziło Marsylię.<sup>14</sup> Byliśmy uprzejmie i miło przyjęci w dwóch domach tureckich i cały dzień spędziliśmy pośród otaczających je gajów pomarańczowych. Trzeciego dnia morze się uciszyło i o północy wyruszyliśmy z naturalnego portu Fokai.

*17 maja 1833.*

Cały dzień płynęliśmy Cieśniną Mityleńską, gdzie była Lesbos. Poetyczne wspomnienie jedynej kobiety starożytności, której

głos zdołał przetrwać wieki. Po Safonie zostało tylko kilka wierszy, ale są one dostatecznym świadectwem geniuszu. Ułamek ręki lub torsu posągu Fidiasza objawia nam posąg cały. Serce, z którego wypłynęły strofy Safony, musiało być otchłanią namiętności i obrazów. Według mnie Lesbos przewyższa pięknnością Chios. Jej wysokie, zielone góry blankowane jodłami są wyższe i tworzą zespół bardziej malowniczy. Morze wcina się głębiej w jej ląd, tworząc rozległą zatokę; grzbiety jej wzgórz, zawieszane nad morzem i z tak bliska spoglądające na Azję, są bardziej opustoszałe i niedostępne; zamiast licznych wiosek, rozsianych pośród ogrodów Chios, tylko gdzieś dostrzec tu można dym z jakiejś greckiej chaty, widocznej zza koron kasztanów i cyprysów, i kilku pasterzy na szczycie skały, pilnujących wielkich stad białych kóz. Wieczorem, mając wciąż pomyślny wiatr, opłynęliśmy północny kraniec Mityleny i ujrzeliśmy przed sobą na widnokręgu, w różowej mgłę unoszącej się nad morzem, dwie ciemne plamy: Lemnos i Tenedos.

*Tegoż dnia.*

Północ; morze gładkie jak lustro; bryg sunął po jego lśniącej powierzchni niby nieruchomy cień. Tenedos wynurzył się z fal po lewej stronie i zakrył przed nami pełne morze, a po prawej, tuż przy nas, ciągnęły się jak czarniawa kresa niskie, postrzępione wybrzeża równiny Troi. Księżyc w pełni, wschodząc zza wierzchołka góry Ida, gdzieś okrytej śniegiem, rozlewał swoje czyste, słabe światło na szczyty gór, na wzgórze i na równinę, a dalej padał na morze, okrywając je blaskiem sięgającym cienia rzucanego przez nasz bryg i tworząc jak gdyby świetlistą drogę, po której cień przesunąć się nie śmie. Już rozpoznaliśmy tumulusy, czyli małe, stożkowate pagórki, które według tradycji mogą być grobowcami Patroklesa i Hektora.<sup>15</sup> Księżyc, wielki, czerwony, płynął po fałdach wzgórz, podobny do okrwawionej tarczy Achillesa; na całym tym wybrzeżu widać było tylko daleki blask ogniska roznieconego przez pasterzy na grzbiecie góry Ida; ciszę przerywał odgłos żagla, który, choć powietrze stało nieruchome, poruszał się wskutek przechylania się masztu i raz po raz uderzał głośno o reję; wszystko wydawało się martwe jak przeszłość w tym przyćmionym, milczącym krajobrazie. Wsparty o liny okrętowe spoglądałem na tę ziemię, na te góry, na te zwaliska, na te groby, niby cienie wywołane z jakiegoś umarłego świata wyłaniające się z morza, o kształtach omglonych, o zarysach niewyraźnych, w sennych, milczących promieniach księżyca,

i niknące w miarę, jak nocny planeta zapadał za szczyty innych gór; oto jeszcze jedna piękna stronica poematu Homera; oto kres wszelkich dziejów i koniec każdego poematu: nieznanne groby, ruiny o nazwach niepewnych, jałowa, ciemna ziemia, niewyraźnie oświetlona blaskiem nieśmiertelnych gwiazd, i coraz to nowi widzowie, obojętnie mijający te okolice i po raz tysięczny powtarzający ów napis grobowy wszelkich rzeczy: „Tu leży państwo, miasto, lud, bohaterowie.” Tylko Bóg jest wielki i tylko myśl, która Go szuka i wielbi, nie ulega zniszczeniu.

Nie miałem bynajmniej ochoty, aby z bliska i w dzień zwiedzić te wątpliwe szczątki ruin Troi<sup>16</sup>; wolę raczej owo nocne widzenie, które pozwala myśli zaludnić pustkowie i oświeca się tylko blaskiem księżycy i poezją Homera; zresztą, co mnie obchodzi Troja, jej bogowie i jej bohaterowie? Ta stronica świata heroicznego jest już na zawsze odwrócona.

Zerwał się wiatr od ładu: skorzystaliśmy z tego, aby zbliżyć się jak najbardziej do Dardanelów. Wokół nas pojawiło się już mnóstwo wielkich statków, które jak my kierują się ku tej trudnej do przebycia cieśninie; ich ogromne żagle, szare jak skrzydła nocnych ptaków, suną w ciszy między naszym brygiem i Tenedos; zszedłem na międzypokład i usnąłem.

*18 maja 1833.*

Zbudziłem się o świcie: dobiegał mnie szmer szybko płynącego statku i drobnych fal, których odgłos rozbrzmiewał o poranku wokół brygu niby śpiew ptaków; otworzyłem okienko i ujrzałem na grzbiecie niskich, okrągłych wzgórz warownie dardanelskie z ich białymi murami, wieżami i ogromnymi otworami strzelniczymi; cieśnina w tym miejscu ma tylko miłą szerokości; wiję się kręto, niczym piękna rzeka, między całkiem do siebie podobnymi wybrzeżami Azji i Europy. Warownie zamykają to morze niby dwoje skrzydeł bramy<sup>17</sup>; w obecnym jednak położeniu Turcji i Europy łatwo można przedrzeć się morzem albo też wysadzić tu oddziały i zdobyć forty od strony ładu; Dardanele są nie do zdobycia tylko wtedy, jeżeli strzegą ich Rosjanie.

Gwałtowny prąd sprawił, że pomknęliśmy jak strzała aż ku Gallipoli i wioskom na brzegu kanału; ujrzaliśmy przed sobą, z każdą chwilą coraz to większe, wyspy na morzu Marmara; dwa dni i dwie noce płynęliśmy wzdłuż brzegu europejskiego, walcząc z przeciwnym wiatrem północnym. Rano, w oddali, spostrzegliśmy Wyspy Książęce na morzu Marmara, w Zatoce Nicejskiej, a na lewo zamek Siedmiu Wież<sup>18</sup> i napowietrzne iglice nieprze-

liczonych minaretów Stambułu, które przewyższały jego siedem wzgórz. Szybko zbliżaliśmy się ku nim i coraz to nowe się przed nami ukazywały. Ten widok Konstantynopola, ujrzany po raz pierwszy, sprawił na mnie przykre wrażenie zdziwienia i rozczarowania. „Jak to — r pomyślałem — więc to dla tych mórz, dla tych wybrzeży, dla tego niezwykłego miasta władcy świata porzucili Rzym i brzegi Neapolu? Więc to jest owa stolica świata, wsparta o Europę i Azję, o którą kolejno walczyły wszystkie zdobywcze narody jako o symbol panowania nad światem? Więc to jest owo miasto, które malarze i poeci przedstawiają jako królowę stolic, zasiadającą na swoich wzgórzach i nad swoim podwójnym morzem, opasane zatokami, wieżami, górami i mieszczące w sobie wszystkie skarby przyrody i wschodniego zbytku? Więc to te krajobrazy porównują z Zatoką Neapolitańską, nad którą w głębi wznosi się bielejące miasto w kształcie ogromnego amfiteatru, z Wezuwiuszem, kryjącym swój złotawy grzbiet w obłokach dymu i purpury, z lasami Castellammare nurzającymi ciemne liście w błękitnym morzu, i z wyspami Procidy i Iskii, których wulkaniczne wierzchołki i pożółkłe od winnic, a białe od domków wiejskich zbocza zamykają ogromną zatokę niby olbrzymie groble, rzucone dłonią samego Boga u ujścia tego portu? Nie widzę tu nic, co by można porównać z tamtym krajobrazem, który mam zawsze przed oczyma; prawda, płyniemy po gładkim, zacisznym morzu, ale jego brzegi są płaskie lub wznoszą się, tworząc jednakowe i zaokrąglone pagórki; śniegi Olimpu w Tracji bieleją wprawdzie na horyzoncie, ale to tylko jakby lekki, biały obłok na niebie, zbyt daleki, aby nadać powagę krajobrazowi. W głębi zatoki widzę tylko owe zaokrąglone wzgórza jednakowej wysokości, bez skał, bez wgłębień, bez wcięć, a Konstantynopol, który pilot wskazuje mi palcem, to tylko białe miasto na wielkim wzniesieniu wybrzeża Europy. Czy warto było jechać tak daleko, aby tak się rozczarować?” Nie chciałem dłużej patrzeć; ale statek wciąż opływający brzegi przybliżył nas ku miastu; minęliśmy zamek Siedmiu Wież, ogromną, jednolitą szarą bryłę średnio-wiecznej budowli, stanowiącą wzniesiony w morzu narożnik murów greckich dawnego Bizancjum, i zarzuciliśmy kotwicę w morzu Marmara, w pobliżu Stambułu, wśród mnóstwa statków i łodzi, które podobnie jak i nas, zatrzymał u wejścia do portu gwałtowny wiatr północny.

Była piąta po południu, niebo pogodne i jasne słońce; moja pogarda dla Konstantynopola zaczęła znikać: malowniczo zbudowane ze szczątków murów starożytnych otaczające tę część miasta

## WYJAZD Z JAFFY

mury obwodowe, nad którymi ciągnęły się ogrody i widniały pawilony i drewniane domki pomalowane na czerwono, tworzyły pierwszy plan tego obrazu; nad nimi, jak stopnie wiodące z piętra na piętro, wznosiły się, jedno nad drugim, tarasy niezliczonych domów, poprzecinane wierzchołkami drzew pomarańczowych i ostrymi, czarnymi strzałami cyprysów; jeszcze wyżej, wznosząc ku niebu swoje złoczone kopuły, połyskujące od słonecznego blasku, wieńczyło wzgórze osiem wielkich meczetów, a po ich bokach stały ażurowe rzeźbione minarety i mauretańskie kolumnady: pomalowane bladym lazurem mury tych meczetów i ołowiane dachy otaczających je kopuł nadawały im wygląd i blask przezroczystej glazury na porcelanie. Obok tych kopuł trwały nieruchome ciemne wierzchołki odwiecznych cyprysów, a barwność domów sprawiała, że ogromne wzgórze lśniło wszystkimi kolorami niby jakiś ogród kwiatowy; z ulic nie dobiegał najłżejszy szmer, nie rozwarła się ani jedna krata na nieprzeliczonych oknach, najmniejszy ruch nie zdradzał, że mieszka tu tak ogromna rzesza ludzka; wszystko zdawało się pogrążone we śnie pod pałającym słońcem; tylko na zatoce, na której we wszystkich kierunkach posuwały się żagle rozmaitych kształtów i wielkości, widać było oznaki życia. Patrzyliśmy, jak co chwila ze Złotego Rogu (stanowiącego ujście Bosforu), niezwykłego portu Konstantynopola, wypływały statki z rozpiętymi żaglami i sunąc mimo nas, mknęły ku Dardanelom; ale nie mogliśmy dostrzec wejścia do Bosforu ani nawet zorientować się w jego położeniu. Zjedliśmy obiad na pokładzie, naprzeciw tego czarodziejskiego krajobrazu; kaiki tureckie podpływały do nas, pytano, czego nam potrzeba, i przywożono rozmaite zapasy oraz żywność; wiosłarze mówili, że zaraza już prawie wygasła. O siódmej posłałem do miasta z listami. Pan Truqui, konsul jeneralny sardyński, w towarzystwie urzędników legacji, odwiedził nas i zaofiarował nam mieszkanie w swoim domu na przedmieściu Pera; w mieście, świeżo dotkniętym pożarem, niepodobna znaleźć mieszkania; serdeczność i życzliwość, jakie okazał nam pan Truqui od pierwszej chwili, zniewoliły nas do przyjęcia jego zaproszenia. Ponieważ wiatr przeciwny nie ustawał, brygi nie mogły tego wieczora podnieść kotwicy; nocowaliśmy na statku.

# Konstantynopol

*20 maja 1833.*

O piątej rano byłem już na pokładzie; kapitan kazał spuścić łódź na morze; wsiadłem wraz z nim i popłynęliśmy do ujścia Bosforu wzdłuż murów Konstantynopola, które omywa morze. Po półgodzinnej żegludze między mnóstwem zakotwiczonych statków dotarliśmy do murów Seraju, stanowiących przedłużenie murów miejskich i tworzących na skraju wzgórza, na którym wznosi się Sambał, cypel oddzielający morze Marmara od cieśniny Bosforu i od Złotego Rogu, czyli wielkiej, wewnętrznej przystani Konstantynopola: to tu właśnie Bóg i człowiek, przyroda i sztuka umieścili czy raczej zgodnie utworzyli najwspanialszy widok, jaki oko człowieka może podziwiać na ziemi. Wydałem mimowolny okrzyk zachwytu; na zawsze zapomniałem o Zatoce Neapolitańskiej i o jej urokach; porównywanie czegokolwiek z tym wspaniałym, uroczym krajobrazem stanowiłoby zniewagę dla dzieła Stworzenia.

Mury, na których rozciągają się okrągłe tarasy rozległych ogrodów Wielkiego Seraju<sup>1</sup>, wznosiły się o kilka kroków od nas, po lewej ręce, oddzielone od morza tylko wąskim chodnikiem z kamiennych tafli, omywanych ustawicznie niesionymi prądem Bosforu niewielkimi falami, które szumiały i błękitniały jak fale Rodanu w Genewie; tarasy te, wznoszące się nieznacznie aż ku pałacowi sułtana, którego pozłacane kopuły widać między ogromnymi koronami platanów i cyprysów, są również wysadzone ogromnymi platanami i cyprysami, pnie ich górują nad murami, a gałęzie, wystając za obręb ogrodów, zwieszają nad morzem swoje gęste listowie ocieniające kaiki; wioślarze zatrzymywali się niekiedy w ich cieniu; między grupami tych drzew widać pałace, pawilony, altany, rzeźbione i złożone bramy, wychodzące na morze, albo też baterie dział mosiężnych lub spiszowych o dziwacznych, starożytnych kształtach; okratowane okna tych nadbrzeżnych pałaców, stanowiących część Seraju, wychodzą na morze; przez żaluzje widać lśniące pająki i złocenia na sufitach; mauretańskie fontanny o wykwintnym kształcie, osadzone w murach

Seraju, co krok toczą swoje wody z wysokości ogrodów i szemrzą w marmurowych konchach, dając ochłodę przechodniom. Kilku żołnierzy tureckich leżało przy tych źródłach, a bezpańskie psy błądziły wzdłuż wybrzeża; niektóre wylegiwały się u wylotów dział ogromnego kalibru. W miarę posuwania się łodzi wzdłuż tych murów widnokrąg przed nami stawał się coraz rozleglejszy, brzeg Azji przybliżał się, a między ciemnozielonymi wzgórzami i wzgórzami na przeciwległym brzegu, które wyglądały jak pomalowane wszystkimi barwami tęczy, zaczęło się ukazywać ujście Bosforu; tu znowu przystanęliśmy; roześmiane wybrzeże Azji, około mili od nas odległe, rysowało się po naszej prawej stronie, całe powycinane w wielkie wysokie wzgórza, których wierzchołki porastał czarny las o strzelistych koronach; na zboczach ciągnęły się pola obramowane rzędami drzew i zabudowane czerwono pomalowanymi domami, a brzegi przepaścistych wąwozów okrywała swoją zielenią bujna roślinność i sykomory, których gałęzie nurzały się w wodzie; nieco dalej wzgórza wznosiły się, potem obniżały, przechodząc w zielone równiny i tworząc szeroki, daleko w morze wysunięty przylądek, zwieńczony jak gdyby jakimś wielkim miastem: było to Skutari ze swoimi ogromnymi, białymi koszarami, podobnymi do królewskiego zamku, z meczetami otoczonymi mnóstwem lśniącego minaretów, z wybrzeżami i zatoczkami, wokół których wznosiły się domy i bazyry, z kaika-mi kołyszącymi się w cieniu altan zarosłych winogrodem lub platanów i ze swoim ciemnym, głębokim lasem cyprysów, okrywających miasto, przez których gałęzie lśniały posępnym blaskiem nieprzeliczone białe pomniki tureckich cmentarzy; za cyplem Skutari, zakończonym wysepką, gdzie wznosi się świątynia turecka, zwana Grobem Młodej Dziewczyny<sup>2</sup>, jak rzeka pośród wysokich skał zaczął się ukazywać Bosfor i zdawał się uciekać między ciemne góry, których skaliste zbocza, wystające i wklęsłe ściany, rozpadliny, lasy widniały podobne do siebie z obu brzegów i u których podnóża, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się wioski, statki na kotwicy lub pod żaglem, małe porty, ocienione drzewami, pojedyncze domy i rozległe pałace ze zbiegającymi ku morzu ogrodami róż.

Kilka ruchów wiosłem sprawiło, że ruszyliśmy przed siebie, docierając właśnie do tego miejsca na Złotym Rogu, z którego jednocześnie można się napawać widokiem Bosforu, morza Marmara, wreszcie krajobrazem całego portu, a właściwie wewnętrznego morza Konstantynopola; tu zapomnieliśmy o morzu Marmara, o brzegach Azji i o Bosforze, aby ogarnąć jednym spojrze-

niem wody Złotego Rogu i siedem miast zawieszonych na siedmiu wzgórzach Konstantynopola, które, zbiegając się nad jedną z odnóg morskich, stanowią miasto jedyne i nieporównane, miasto, a zarazem wieś, morze, port, brzegi rzek, ogrody, lesiste góry, głębokie doliny, ocean domów, mrowisko statków i ulic, spokojne jeziora i urocze odludzia, krajobraz, którego szczegóły tylko pędzel mógłby odmalować i gdzie z każdym uderzeniem wiosła oko i dusza doznają coraz to nowych i odmiennych wrażeń. Płynęliśmy ku wzgórzom Galaty i Pery; Seraj oddalał się od nas, a oddalając się, wydawał się coraz większy, w miarę jak oko obejmowało coraz to rozleglejsze zarysy jego murów i jego zbocza, jego drzewa, pawilony i pałace. Sam mógłby pomieścić w sobie wielkie miasto. Port przed nami stawał się coraz głębszy, wił się jak kanał między zboczami krętych gór i poszerzał, w miarę jak płynęliśmy. Port ten nie przypomina bynajmniej portu; to raczej szeroka rzeka, jak Tamiza, pomiędzy wznoszącymi się na obu jej brzegach wzgórzami, z których każde jest zwieńczone miastem, a u owych brzegów, wzdłuż domów, stoją na kotwicy niezliczone statki. Przepłynęliśmy przez tę cizbę statków, z których jedne stały u nabrzeży, a inne żeglowały już ku Bosforowi, ku Morzu Czarnemu lub morzu Marmara, statków różnego kształtu, rozmaitej wielkości, rozmaitych flag, od barki arabskiej, której dziób wznosi się ku górze jak u starożytnych galer, aż do trójpokładowców o lśniących burtach ze spiżu. Mnóstwo kaików tureckich z jednym lub dwoma wioślarzami w jedwabnych koszulach, łódki, służące do przewozu po wodnych szlakach tego nadmorskiego miasta, krążyły między ogromnymi masywami statków, przecinając sobie drogę, potracając się, popychając, jak tłumy na placach, a chmury albatrosów, podobnych do pięknych białych gołębi, za ich zbliżeniem zrywały się i zapadały nieco dalej, kołysząc się na falach. Nie próbowałem zliczyć tych wszystkich statków, okrętów, brygów i łodzi, które stały lub żeglowały po wodach portu konstantynopolitańskiego, od wejścia do Bosforu i do cypla Seraju aż do przedmieścia Eyub i uroczych dolin Słodkich Wód<sup>3</sup> Tamiza w Londynie nie może się z tym równać. Dość powiedzieć, że nie licząc floty tureckiej i europejskich okrętów wojennych, zakotwiczonych pośrodku kanału, u obu brzegów Złotego Rogu statki stoją dwoma lub trzema rzędami na długości prawie jednej mili. Mogliśmy ledwo przelotnie obejrzeć te długie rzędy dziobów okrętowych skierowanych ku morzu, a nasze spojrzenie ginęło w istnym lesie masztów w głębi zatoki, która zwężała się, wchodząc w ład.



Przybiliśmy do brzegu przedmieścia Pera, w pobliżu wspaniałych koszar artylerii, gdzie na krytych tarasach widać było mnóstwo lawet i dział. Prześliczny wodotrysk mauretański, w kształcie pagody hinduskiej, z rzeźbionego i jasno pomalowanego marmuru, odcinał się jak koronka na jedwabnym tle i toczył swoje wody na niewielkim placu. Plac ten zapełniały paki towarów, konie, bezpańskie psy i Turcy, którzy, siedząc z podwiniętymi nogami w cieniu, palili fajki; mnóstwo przewoźników siedziało na obmurowaniu wybrzeża, czekając na swoich panów lub nawołując przechodniów; są bardzo urodziwi, a tę ich urodziwość podkreśla jeszcze strój. Mają na sobie białe, fałdzone szarawary, tak szerokie jak spódnica, przewiązane jedwabnym, karmazynowym pasem, a na głowie małą czapkę grecką wełnianą, czerwoną, z długim kwastem-jedwabnym, spadającym na kark; szyją i piersi odkryte; obszerna koszula z surowego jedwabiu, z wielkimi zwisającymi rękawami, okrywa ramiona i ręce. Ich kaiki to wąskie czółna, dwadzieścia do trzydziestu stóp długie, a dwie do trzech szerokie, z drzewa orzechowego, pociągnięte lakierem i lśniące, jakby były z mahoni. Dziób tych czółen jest spiczasty jak ostrze piki i przecina morze jak nóż. Będąc tak wąskie, są niebezpieczne i niewygodne dla nieprzywykłych do nich Franków; przechylają się za najlżejszym niezręcznym stąpieniem. Trzeba jak Turcy leżeć na dnie kaika i uważać, aby ciężar ciała był jednakowo rozłożony na obie strony. Bywają rozmaitej wielkości, niektóre mogą zabrać od jednego do czterech lub ośmiu pasażerów, ale wszystkie mają jednakowy kształt. W portach Konstantynopola widać ich tysiące, a prócz tych, które, jak dorozki, są w każdej chwili na usługi publiczne, każdy zamożny mieszkaniec miasta ma jedną taką łódź na użytek własny, a wioślarze są jego służącymi. Każdy, kto ma w mieście jakieś sprawy do załatwienia, musi wiele razy na dzień płynąć po morzu.

Wyszedszy z tego placu, znaleźliśmy się w niechlujnych i ludnych ulicach bazaru Pery. Aż do panujących tu obyczajów, wszystko prawie przypomina targowe dzielnice naszych miast: drewniane stragany, gdzie smażą ciasta i mięsiwo dla pospólstwa, kramy cyrulików, sprzedawców tytoniu, handlarzy jarzyn i owoców; na ulicach tłum spieszący i zaferowany; wszystkie ubiory i wszystkie języki Wschodu nasuwają się oczom i uszom; a nad całą tą cizbą ujadanie mnóstwa psów, które zapełniają place i bazyry, wydzierając sobie resztki wyrzucane przed drzwiami. Idąc dalej, weszliśmy w długą, opustoszałą, wąską ulicę, która po stromym zboczu prowadzi na wzgórze Pera. Przez okratowane okna

nie widać wnętrza tureckich domów, które wydają się ubogie i opuszczone; gdzieniegdzie zza szarego, zrujnowanego muru strzela ku górze zielony grot cyprysu, wznosząc się nieruchomo w przezroczystym niebie. Białe i błękitne gołębie siedzą na oknach i dachach domów i napełniają milczące ulice melancholijnym gruchaniem. U szczytu tych ulic ciągnie się wykwinna dzielnica Pera, zamieszkała przez Europejczyków, posłów i konsulów; dzielnica ta przypomina jakieś skromne miasteczko z naszych prowincji. Kiedyś było tu kilka pięknych pałaców, wznoszących się na spadzistych tarasach Galaty, ale dziś pozostały z nich tylko kolumny leżące na ziemi, szerniałe mury i zapuszczone ogrody — pożar pochłonął wszystko. Pera nie odznacza się ani jakąś cechą charakterystyczną, ani oryginalnością, ani urokiem; z jej ulic nie widać ani morza, ani wzgórz, ani ogrodów Konstantynopola; trzeba wejść na dachy jej domów, aby móc napawać się wspaniałym widokiem, jakim otoczyły ją natura i człowiek.

Pan Truqui przyjął nas jak własne dzieci: jego dom, który oddał nam do dyspozycji, jest obszerny, piękny i prześlicznie położony. Umeblowanie niezwykle bogate, stół wytworny, - europejski, najczulsze starania przyjaźni, towarzystwo najtkliwsze i najmiłsze, wszystko, co tu znaleźliśmy, zastąpiło nam kobierzec lub matę na pustyni, piław arabski, cierpkość i surowość życia na morzu. Zaledwem się tu rozgościł, otrzymałem list od pana admirała Roussin, posła francuskiego w Konstantynopolu, który raczył nam ofiarować gościnę w swoim domu w Therapii. Te wzruszające oznaki przychylności i uprzejmości okazane przez nieznanomych współziomków o tysiąc mil od ojczyzny, a do tego w osamotnieniu i w nieszczęściu, zostawiają głęboki ślad w pamięci podróżnego.

*21, 22 i 23 maja 1833.*

Wyładowywanie dwóch brygów. Odpoczynek, wizyty składane przez znakomych kupców Pery. Dnie spędzone w miłym i pełnym serdeczności towarzystwie pana Truqui i jego przyjaciół. Zwiedzanie Konstantynopola. Widok ogólny miasta. Odwiedziny u posła w Therapii.

*23 maja 1833.*

Kiedy się nagle porzuciło zmienny, burzliwy krajobraz morza, ciemną kabinę brygu, nużące kołysanie fal, kiedy twardą stopą stoi się na przyjaznej ziemi, pośród ludzi, książek i wszystkich przyjemności życia, kiedy ma się przed sobą pola i lasy do prze-

chadzek i ponownie, po dłuższej przerwie, trzeba nawyknie do życia na ziemi, wówczas doznaje się jakiejś nieświadomej, na wskroś fizycznej wprost rozkoszy, którą niepodobna się znużyć; jakakolwiek ziemia, nawet najdziksza, nawet najodleglejsza, staje się dla nas jak gdyby odnalezioną ojczyzną. Ze dwadzieścia razy tego doświadczyłem, schodząc choć na kilka godzin na nieznaną, bezludny łąd: jakaś skała, która nas osłania od wiatru, jakiś krzak, który nas chroni swoim pnieniem lub cieniem, promień słońca, co ogrzewa piasek, na którym siedzimy, jaszczurki przemykające między kamieniami, owady unoszące się wokół nas, jakiś ptak, który nadlatuje, wydając głos pełen trwogi, wszystko to, co dla mieszkańca ziemi jest czymś nieistotnym, strudzonemu żeglarzowi, który schodzi na łąd, wydaje się całym światem. Ale bryg stoi tuż, kołysze się w zatoce na burzliwym morzu i wkrótce trzeba znowu na niego wsiąść. Majtkowie na rejach suszą lub łatają podarte żagle; łódka, która wznosi się i zanurza w spienionych otchłaniach, ustawicznie porusza się między statkiem i brzegiem, przenosząc zapasy na łąd lub zabierając słodką wodę z ładu na statek; chłopcy okrętowi piorą swoje koszule z kolorowego płótna i rozwieszają je na drzewach mastyksowych na wybrzeżu, kapitan przygląda się niebu; oczekuje zmiany wiatru, aby strzałem działowym znowu wezwać podróżnych do życia w nędzy, ciemnościach i ruchu. Chociaż chcielibyśmy jak najszybciej dotrzeć na miejsce, skrycie pragniemy, aby wiatr przeciwny ustał nie tak prędko i aby z konieczności można było jeszcze przez dzień następny napawać się ową rozkoszą, którą odczuwa człowiek związany z ładem. Zaprzyjaźniamy się z wybrzeżem, z wąskim smugiem trawy lub z krzewami, co rosną między morzem i skałami, ze źródłem ukrytym pośród korzeni starego zielonego dębu, z mchem, z drobnymi, dziko rosnącymi kwiatami, którymi wiatr miota bezustannie w szczelinach skał i których już nigdy nie zobaczymy; kiedy ze statku rozlegnie się strzał działowy, kiedy flaga, sygnalizująca odjazd, podniesie się na maszcie i kiedy spuszcza ze statku łódź, aby nas zabrać, jesteśmy niemal gotowi oplakiwać ów bezimienny zakątek, który przez kilka godzin był miejscem spoczynku dla naszych znużonych członków. Często doznawałem tego wrodzonego przywiązania człowieka do byle jakiego oddludnego, nieznanego schronienia na jakimś pustym wybrzeżu.

Ale tu doświadczyłem dwóch rzeczy przeciwnych, jednej miłej, drugiej przykrej. Naprzód owej przyjemności, o której wspomniałem, a mianowicie, że stałem pewną stopą na ładzie,

że miałem łóżko, które się nie zapadnie, podłogę, po której nie tłukłem się od ściany do ściany, że mogłem swobodnie chodzić i według mojego upodobania otwierać lub zamykać wielkie okna, nie obawiając się, że wcisnie się przez nie piana, że z przyjemnością nasłuchiwałem wiatru szeleszczącego pośród firanek, który lnie przechylał całego domu, nie jęczał w żaglach, nie wprawiał w drganie masztów, nie zmuszał majtków do biegania po pokładzie z ogłuszającym łoskotem. A do tego jeszcze miłe stosunki z Europejczykami, podróżni, kupcy, gazety, książki, wszystko, co sprawia, że człowiek powraca do wspólnoty idei i do współżycia z innymi ludźmi, owo współuczestnictwo w ogólnej wymianie rzeczy i myśli, którego tak długo byliśmy pozbawieni. A nade wszystko zaś serdeczna, troskliwa, radosna gościnność, powiem więcej — przyjaźń pana Truqui, naszego zacnego gospodarza, który tak jest chyba szczęśliwy, że nas otacza swoim staraniem, uprzedzającą grzecznością i pomocą, jaką tylko może nam okazać, że i my jesteśmy szczęśliwi. Rzadko można spotkać tak niezwyklego człowieka, niewielu takich widziałem w moim długim życiu wędrowca. Zachowam go we wdzięcznej pamięci, dopóki tylko te lata pielgrzymki przetrwają w moim wspomnieniu, a moja myśl zawsze będzie biec ku niemu na wybrzeże Azji lub Afryki, gdziekolwiek los każe mu dopełnić jego dni.

### *Tegoż dnia.*

Ale kiedy mimowiednie zakosztowało się owych pierwszych rozkoszy powrotu na ląd, nieraz przychodzi ochota, aby zatęsknić do owej ustawicznej niepewności i ciągłego niepokoju, jakie cechują życie na statku. Tam przynajmniej myśl nie ma kiedy skupiać się sama na sobie i zgłębiać otchłani smutku, które śmierć wyryła w naszym łonie. Boleść trwa w nim zawsze, ale co chwila przesłania ją jakaś myśl i jej brzemień tak nas nie przygniata; wrzawa, ruch, jaki panuje wokół nas, ustawicznie zmieniający się widok pokładu i morza, fale, które wznoszą się lub opadają, wiatr wciąż inny, który zrywa się lub ucisza, żagle, którymi dwadzieścia razy na dzień trzeba obracać, liny, do których obsługi podczas nawałnicy nieraz trzeba się przyłączyć, tysiączne wydarzenia burzliwego dnia lub nocy, kołysanie się statku, zerwane żagle, połamane sprzęty, toczące się pod pokładem, głucho i nieregularne uderzenia morza o wątle ściany kabiny, w której usiłujemy zasnąć, pospieszne kroki wachty, która przebiega nad naszymi głowami cały pokład, żalosne gdakanie kur, które piana zalewa w ich klatkach przytwierdzonych u podnóża

masztu, pianie kogutów, co pierwsze spostrzegają brzask pod koniec ciemnej i wietrznej nocy, świst liny, na której wrzucają w morze log, aby zmierzyć szybkość statku, niezwykły, nieznan, dziwny, groźny lub miły krajobraz wybrzeża, którego wczoraj nie spodziewaliśmy się ujrzeć, a wzdłuż którego płyniemy a świcie, odgadując wysokość oglądanych gór lub wskazując palcem miasta i wioski, lśniące jak zwały śniegu pośród jodeł: wszystko to jakoś nas porywa, przynosi nieco ulgi, łagodzi boleść, tłumi strapienie podczas trwania podróży, lecz ledwo stajemy na brzegu i spokojny sen w łóżku przywraca nam całą zdolność odczuwania, owa boleść znowu przytłacza nas swoim ogromem. Dusza, nie będąc zajęta niczym z zewnątrz, znowu staje w obliczu okaleczonych uczuć, myśli pełnych rozpacz i niewiadomej przyszłości. Nie wiemy, czy zdołamy znieść dawne, jednostajne życie, puste życie wielkich miast i wielkiego świata. Takie uczucia mnie nurtują i to z taką siłą, że pragnę teraz wiecznego żeglowania, podróży bez kresu, ze wszystkim, co się może zdarzyć, choćby i najgorszego. Niestety, to samo czytam w oczach mojej żony i to jeszcze wyraźniej niż w moim sercu. Cierpienie mężczyzny jest niczym wobec cierpienia kobiety, matki: kobieta żyje i umiera z jedną tylko myślą, jednym uczuciem; dla kobiety życie to rzecz, którą się posiada, śmierć — to rzecz utracona. Mężczyzna żyje wszystkim, dobrym lub złym; Bóg nie zabija go jednym ciosem.

*24 maja 1833.*

Obłożyłem się dziennikami i czasopismami właśnie nadeszłymi z Europy, które otrzymałem w wielkiej obfitości, przez grzeczność posłów francuskiego i austriackiego.<sup>4</sup> Po całodziennej lekturze utwierdziłem się w przekonaniu, które wyrobiłem sobie wyjeżdżając z Europy. Widzę, że rzeczy toczą się dokładnie w kierunku tych przewidywań politycznych, które na podstawie analogii dziejowych i filozoficznych można określić dla ich biegu w tym wspaniałym stuleciu. Francja, wzburzona, uspokaja się; Europa, niespokojna, ale bojaźliwa, spogląda z zazdrością i nienawiścią, ale nie śmie przeszkodzić; przeczuwa instynktownie, a ów instynkt jest proroczy, że czyniąc jakikolwiek ruch, straci równowagę. Nigdy nie wierzyłem, że skutkiem rewolucji lipcowej wybuchnie wojna: Francja, pod wpływem jakichś szaleńczych rad, musiałaby pierwsza przystąpić do ataku, a ponieważ Francja nie atakowała, więc Europa nie mogła z lekkim sercem rzucić się w ognisko rewolucji, w którym można się sparzyć,

## KONSTANTYNOPOL

nawet chcąc je ugasić. Utrzymując na wodzy w ciągu trzech dni niecierpliwy i zaślepiony entuzjazm wojenny we Francji, rządy lipcowe już przez to choćby dobrze zasłużyły się Francji i Europie. Europa i Francja jednakowo byłyby zgubione. Nie mieliśmy ani wojska, ani nie ożywiał nas właściwy duch: nie ma go bowiem bez jednomyślności; wojna z wrogiem zewnętrznym wywołałaby niezwłocznie wojnę domową na południu i na zachodzie Francji, a prześladowania i rabunki w całym kraju. Żaden rząd nie mógłby się utrzymać w Paryżu pod naciskiem rewolucyjnego pentrum: gdy jakieś skłeczone przez ślepy i niepohamowany patriotyzm oddziały zostałyby zniszczone na naszej wschodniej granicy, na południu, aż po Lyon, wywieszono by białe sztandary na zachodzie, aż po Loarę, odrodziłaby się partyzantka wandejska, wyrobnicza ludność Lyonu, Rouen, Paryża, przywiedziona do rozpaczyny nędzą i utratą pracy, zaczęłaby plądrować miasta, doprowadziłaby do wybuchu w środku kraju i ruszyłaby nie dającym się ująć w żadne karby gromadami w kierunku Paryża i ku granicom, obierając sobie jednodniowych przywódców i narzucając im swoje kaprysy jako plany bitewne. Własność, handel, przemysł, kredyt, wszystko to natychmiast by upadło, pożyczki i podatki trzeba byłoby wymuszać przemocą. Ukryte złoto, martwy kredyt wywołałaby rozpacz, która doprowadziłaby do oporu, a ten znów do rabunków, zbrodni i do publicznych kaźni; gdyby raz wstąpiono na tę krwawą drogę, nie byłoby już innego wyjścia niż anarchia, dyktatura lub podział kraju. Wszystko to jednak skomplikowałyby nieprzewidziane i spontaniczne ruchy w różnych częściach Europy: Hiszpania, Włochy, Polska, brzegi Renu, Belgia stanęłyby w ogniu razem albo po kolei; cała Europa zostałaby wciągnięta w wir powstań, wrzenia, które co chwila zmieniałoby obrót rzeczy. Złe przygotowani, stalibyśmy się uczestnikami nowej wojny trzydziestoletniej. Geniusz cywilizacji nie zechciał, aby tak się stało. Stało się tak, jak stać się musiało. Będziemy walczyć dopiero wtedy, gdy przygotujemy się do walki, gdy będziemy wiedzieli, kim jesteśmy, gdy zliczymy nasze szeregi i staniemy w szyku bojowym; walka będzie prowadzona zgodnie z regułami — jej wynik z góry przewidziany i pewny, a nie jakaś potyczka w ciemnościach.

Z daleka wszystko widać lepiej, szczegóły bowiem nie przyciągają naszego spojrzenia, a rzeczy mają wygląd wielkich, jednolitych brył. Oto dlatego prorocy i wieszczbiarze przebywali w samotności, z dala od świata; byli to mędrzy, spoglądający na rzeczy w ich całości, a drobne, jednodniowe namiętności nie ma-

ciły ich sądu. Człowiek zajmujący się polityką powinien często oddalać się od sceny, na której rozgrywa się dramat jego czasów, jeżeli chce mieć o nim zdanie i przewidzieć jego koniec. Nie można przesądzić owego końca — to rzecz Boga, ale można go przewidzieć — to rzecz ludzka.

Nieraz zadaję sobie pytanie, czym skończy się ów wielki ruch myśli i czynów, którzy, wzięwszy początek we Francji, porusza świat, a wszystko, z własnej woli czy też przemocą, zostaje w jego wir wciągnięte. Nie należę do tych, co w owym ruchu nie widzą nic prócz ruchu, czyli nic prócz zgiełku i nieładu myślowego, którzy sądzą, że światem wstrząsają dreszcze agonii, poprzedzające śmierć i rozkład. Myślę, że jest to oczywiście ruch w dwojakim kierunku, a więc rozkładu i budowy zarazem: w miarę jak duch zniszczenia rujnuje, duch twórczy buduje; jedna wiara zastępuje drugą, jedna forma przekształca się w inną, wszędzie, gdzie zapada się przeszłość, przyszłość, już ukształtowana, pojawia się spoza ruin; ta przemiana jest powolna i brutalna jak każda przemiana; w marszu wyzwalają się rozmaite napiętności i interesy ludzi, ponieważ warstwy społeczne lub poszczególne narody idą krokiem nierównym i gdy niektórzy chcą za wszelką cenę cofnąć się, całe rzesze kroczą naprzód. Chwilami więc panuje zamieszanie, pojawia się kurz, ruiny, ciemności, ale niekiedy też wiatr rozprasza ów obłok pyłu, co przesłania drogę i cel, i ci, co stoją wyżej, wyraźnie widzą maszerujące kolumny, ziemię obiecaną i ledwo rozpoczynający się świt, który rozświetla dalekie horyzonty. Słyszę, nawet i tu, jak nieustannie powtarzają wokół mnie: „Ludzie w nic już nie wierzą; wszystko zostało poddane osądowi rozumu indywidualnego; nie ma już wspólnej wiary: ani religijnej, ani politycznej, ani społecznej. Wierzenia, wiara wspólna, stanowią sprężynę wprawiającą w ruch narody; gdy ta sprężyna pęka, następuje całkowity rozkład; istnieje tylko jeden sposób uratowania ludów: trzeba im przywrócić ich wierzenia.” Przywrócić wierzenia, wskrzesić dogmaty, które umarły w świadomości ludów, odnowić, co zniszczył czas, wszystko to zakrawa na szaleństwo. Nie można walczyć przeciw naturze i duchowi czasów; byłby to ruch w kierunku przeciwnym, niż wskazuje Opatrzność, jak o tym świadczą ślady Jej kroków; nie można dotrzeć do celu inaczej jak krocząc tam, dokąd Bóg kieruje wydarzenia i idee; czas nigdy się nie cofa; można iść samemu i popychać świat w jego niepohamowanym biegu, ale nie można go ani zatrzymać, ani zawrócić. Czy jednak naprawdę umysł ludzki został pozbawiony światła, ludy utraciły wspólne

wierzenia, a sumienie rodu ludzkiego wyzuło się z głębokiej, prawdziwej wiary? Tak tylko się mówi, nikt jednak nie badał tego głębiej; takie wypowiedzi po prostu nie mają sensu. Gdyby świat naprawdę nie miał jakiejś wspólnej idei, wiary czy wierzeń, nie byłby taki niespokojny: nic nie tworzy niczego, mens agitât molem.\*<sup>5</sup> Tymczasem, przeciwnie, istnieje jakieś ogromne przeświadczenie, jakaś fanatyczna wiara, jakaś niejasna, ale bezmierna nadzieja, jakaś żarliwa miłość, jakieś wspólne hasło, które, choć jeszcze nie sformułowane w sposób ostateczny, naciska, porusza, pociąga, łączy i tworzy już wspólny ośrodek przyciągania dla wszystkich umysłów, wszystkich sumień i wszystkich sił duchowych tej epoki.

Owe przemiany, wstrząsy, upadki mocarstw, owe powtarzające się ogromne ruchy wszystkich członów starej Europy, ich echa w Ameryce i w Azji, owe nieprzemysłane i neodparte dążności, które, mimo jednostkowych chęci przeciwnych, wprawiają w ruch i jednoczą wokół siebie siły zbiorowe, wszystko to nie dzieje się bez przyczyny, wszystko to ma sens, sens głęboki i ukryty, ale sens dla oka filozofa oczywisty. Ów sens stanowi właśnie to, co zdaniem niektórych zostało utracone, to, czego istnieniu przeczy się w dzisiejszym świecie: wspólna myśl, przekonanie, prawo społeczne, prawda, która, wszedłszy mimo woli we wszystkie umysły, a nawet, pomimo ich wiedzy, do umysłu zbiorowości, działa tam z mocą prawdy Bożej, a więc z mocą niezwykłą, aby wyrazić się w czynach. Ową wiarą jest rozum powszechny, jej organem — słowo, jej apostołem — prasa; rozum powszechny szerzy się w świecie z nieomylnością i siłą nowej religii, chce na swój obraz i podobieństwo przekształcić religie, cywilizacje, społeczeństwa, prawodawstwa, niedoskonałe lub zepsute błędami i niewiedzą ciemnych wieków, przez które przeszły; chce oprzeć się na religii: Bóg jeden i doskonały jako dogmat, odwieczna moralność jako symbol, uwielbienie i miłosierdzie jako kult; w polityce — ludzkość ponad narodowością; w prawodawstwie — człowiek człowiekowi równy, człowiek człowiekowi bratem; społeczeństwo jako braterska wymiana wzajemnych usług i obowiązków, uregulowana i zagwarantowana prawnie, chrześcijaństwo oparte na prawie.

Tego chce i to czyni rozum powszechny. Nie mówimy więc, że ludzie współcześni nie mają ani wspólnych wierzeń, ani wspólnej wiary. Od czasów chrześcijaństwa nigdy tak wielkie dzieło

\* Duch porusza materię



nie spełniało się w świetle z pomocą tak słabych środków. Krzyż i prasa, oto dwa narzędzia dwóch największych ruchów cywilizacyjnych świata.

25 maja 1833.

Tego wieczora, w jasnym świetle księżyca, którego blask/odbijał się w morzu Marmara i aż po fioletowe linie wiecznych śniegów Olimpu, usiadłem sam pod cyprysami cmentarza, co osłaniają niezliczone mnóstwo grobów muzułmańskich i zstępują ze wzgórz Pery aż nad brzegi morza; wzgórze te przecina kilka ścieżek mniej lub więcej spadzistych, które wiodą z portu Konstantynopola do meczetu tańczących derwiszów. O tej godzinie nikt tędy nie przechodził i 'można by mniemać, że miejsce to leży o sto mil od wielkiego miasta, gdyby nie tysiączne odgłosy wieczoru, co, niesione wiatrem, zamierały w drżących gałęziach cyprysów. Wszystkie te dźwięki, już przyciszone wobec późnej godziny, śpiewy marynarzy na statkach, klask wioseł o fale, barbarzyńskie instrumenty Bułgarów, warok bębnow w koszarach i arsenalach, dobiegający zza okratowanych okien śpiew kobiet kołyszących do snu swoje dzieci, przeciągłe pomruki z ludnych ulic i bazarów Galaty, rozlegający się co pewien czas okrzyk muezzinów lub huk armatniego strzału, sygnał capstrzyku dobiegający z zakotwiczonych przy ujściu Bosforu okrętów, który, odbijając się od meczetów i wzgórz, tonął w wodach Złotego Rogu i odbrzmiewał echem pod spokojnymi wierzbami Słodkich Wód Europy: wszystkie te dźwięki, jak mówię, zlewały się chwilami w jednolite brzęczenie, głucho i niewyraźne, i tworzyły jak gdyby harmonijną muzykę, w której głosy ludzkie, przytłumiony oddech wielkiego miasta idącego już do snu, były pomieszane tak, że niepodobna było ich rozróżnić, z głosami przyrody, z dalekim łoskotem fal i z powiewami wiatru, który zginał spiczaste wierchołki cyprysów. To jedno z owych najbardziej nieskończonych i najbardziej przygnębiających wrażeń, jakie znieść może dusza poety. Wszystko się tu miesza: człowiek, Bóg, przyroda i społeczeństwo, wewnętrzny niepokój i melancholijna cisza myśli. Nie wiadomo, czy większy jest nasz udział w tym wielkim ruchu istot żywych, które radują się lub cierpią pośród owego odmetu wznoszących się głosów, czy w nocnym spokoju żywiołów, które także wydają swoje głosy i unoszą naszą duszę nad miasta i cesarstwa ku jedności przyrody i Boga.

Seraj, rozległy półwysep, czarny od rosnących tam platanów i cyprysów, widniał przede mną niby przylądek między dwoma

morzami. Księżyc bielił liczne pawilony, a stare mury pałacu Amurata<sup>6</sup> odcinały się jak skała pośród ciemnej zieleni platanów. Miałem przed oczyma i w myśli całą widownię, na której od wieków toczyło się tyle okropnych lub wspaniałych wydarzeń. Wszystkie te wydarzenia stanęły przede mną wraz z ich aktorami i śladami krwi lub chwały.

Ujrzałem hordę wychodzącą z Kaukazu, pędzoną owym instynktem wędrowności, który Bóg dał ludom zdobywczym, jak dał go pszczołom wylatującym z pnia, aby założyć nowe roje. Ujrzałem wyniosłą patriarchalną postać Osmana pośród jego namiotów i wojsk, jak zapełnia swoim ludem Azję Mniejszą, a następnie dociera aż do Brusy i umierając na rękach swoich synów, którzy zostali jego generałami, przemawia do Orhana<sup>7</sup>: „Umieram bez żalu, ponieważ zostawiam takiego jak ty następcę; idź i nieś prawo boskie, myśl Boga, która przybyła z Mekki i nawiedziła nas na Kaukazie; bądź miłosierny i wspaniały jak ono, tym tylko bowiem sposobem władcy sprowadzają na swój naród błogosławieństwo Boże. Nie zostaw mojego ciała w tej ziemi, która jest dla nas tylko drogą przechodnią, lecz złóż moje śmiertelne szczątki w Konstantynopolu, w miejscu, które umierając sam sobie naznaczam.”

W kilka lat później Orhan, syn Osmana, obozował w Skutari, na tych właśnie wzgórzach, gdzie czerni się las cyprysowy. Kantakuzen, cesarz grecki, zmuszony okolicznościami, dał mu swoją córkę, piękną Teodorę, jako piątą żonę do jego seraju.<sup>8</sup> Młodziutka księżniczka przy dźwięku instrumentów przebyła tę odnogę morską, gdzie dziś przepływa flota rosyjska, i złożyła z siebie nadaremną ofiarę w zamian za krótkotrwałe przedłużenie istnienia cesarstwa.<sup>9</sup> Niebawem synowie Orhana, na czele kilku mężnych żołnierzy, zbliżyli się do wybrzeża, w jedną noc zbudowali trzy tratwy, unoszące się na napęcznionych powietrzem wołowych pęcherzach, i korzystając z ciemności, przebyli cieśninę; straż grecka spała. Młody wieśniak, z brzaskiem dnia wychodząc w pole, spotkał zbłąkanych Otomanów i wskazał im wejście do podziemia, które wiodło do wnętrza twierdzy: Turcy stanęli w Europie i zdobyli w niej fortecę.

W cztery panowania później Mahomet II odpowiedział posłom greckim: „Nie przeciw wam zamierzam wyprawę; cesarstwo konstantynopolitańskie jest zamknięte w swoich murach.” Lecz Konstantynopol, nawet tak zamknięty, nie dawał zasnąć sułtanowi; posłał więc po swojego wezyra i rzekł do niego: „Żądam od ciebie Konstantynopola; nie mogę znaleźć snu na tej poduszce, Bóg.

chce mi oddać Rzymian."<sup>10</sup> Pełen niecierpliwości wpędził konia w fale, które omal go nie pochłonęły. „Naprzód — rzekł do swoich żołnierzy w dniu ostatniego szturm — zachowam dla siebie tylko miasto; złoto i kobiety do was należą. Ten, kto pierwszy wdrze się na szaniec, otrzyma zarząd mojej najrozleglejszej prowincji." Przez całą noc ziemia i morze były oświetlone nieprzelicznymi ogniskami, zastępującymi blask dzienny; tak niecierpliwie oczekiwali Otomanowie dnia, który miał im wydać ich zdobycz.

Wtedy pod posępną kopułą Świętej Zofii waleczny i nieszczęśliwy Konstantyn ostatniej swej nocy modlił się do Boga, opiekuna cesarstwa, i ze łzami w oczach przyjmował komunie świętą; ze świtem, dosiadłszy konia, wśród jęków i łkań swojej rodziny, wyruszył, aby znaleźć bohaterską śmierć u wyłomu stolicy: było to 29 maja 1453 roku.<sup>11</sup>

W kilka godzin później topór wyrąbywał podwoje Świętej Zofii; tłum starców, kobiet, młodych dziewcz, mnichów, zakonnic zapełniał bazylikę, której przedsionek, kaplice, galerie, podziemia, ogromne trybuny, kopuły i platformy mogą pomieścić ludność całego miasta: ostatni krzyk wznosił się ku niebu jak głos konającego chrześcijaństwa; w kilka chwil sześćdziesiąt tysięcy starców, kobiet i dzieci, bez względu na stanowisko, wiek czy płeć, powiązano w pary, mężczyzn — sznurami, kobiety — ich zasłonami lub pasami. Te pary brańców wtrącono na okręty i u-wieziono do obozu Otomanów; tam znieważano ich, wymieniano, sprzedawano jak bydło. Nigdy podobny lament nie rozległ się na brzegach Europy i Azji; żony oddzielano na zawsze od mężów, dzieci od matek, a Turcy gnali ten żywy łup rozmaitymi drogami z Konstantynopola w głąb Azji. Rabunek Konstantynopola trwał osiem godzin; potem Mahomet II wjechał do miasta bramą Świętego Romana, otoczony swoimi wezyrami, paszami i gwardią. Zsiadł z konia przed podwojami Świętej Zofii i ciał jataganem żołnierza, który rozbijał ołtarze. Nie chciał niczego niszczyć. Zamienił kościół w meczet i muezzin po raz pierwszy wszedł na tę wieżę, skąd śpiew jego słyszę w tej chwili, aby wezwać muzułmanów do modłów i do oddania, pod inną postacią, czci temu Bogu, którego wczoraj tu wielbiono. Stamtąd udał się Mahomet II do opustoszałego pałacu cesarzów greckich, a wchodząc mówił ten wiersz perki:

„Pająk przedzie pajęczynę w pałacu cesarzów, a puszczyk zaczyna swój śpiew nocny na wieżach Erasiab!"

Tego dnia odnaleziono ciało Konstantyna pod stosami trupów:

janczarowie słyszeli wspaniale odzianego Greka, który, walcząc ze śmiercią, zawołał: „Czyż nie ma ani jednego chrześcijanina, żeby mi odebrał życie?” Ucięli mu głowę. Dwa orły wyhaftowane złotem na jego ciżmach i lży kilku wiernych Greków stanowiły wystarczający dowód, że tym żołnierzem nieznanym był waleczny i nieszczęśliwy Konstantyn. Głowę jego wystawiono na widok publiczny, aby zwyciężeni nie wątpili o jego zgonie i utracili nadzieję, że kiedykolwiek znowu się pojawi; potem pogrzebano jego zwłoki ze czcią należną tronowi, bohaterstwu i śmierci.

Mahomet II nie nadużył zwycięstwa. Tolerancja religijna Turków objawiła się w jego pierwszych postanowieniach. Zostawił chrześcijanom ich kościoły i wolność wyznania. Utrzymał patriarchę greckiego w jego obowiązku. Sam, siedząc na tronie, wręczył pastorał mnichowi Gennadiuszowi i darował mu konia z bogatym rzędem.<sup>12</sup> Zbiegli Grecy znaleźli się we Włoszech i przenieśli tam upodobanie do dysput teologicznych, do filozofii i literatury. Pochodnia, która zgasła w Konstantynopolu, rzuciła swoje iskry za Morze Śródziemne i zapłonęła na nowo we Florencji i w Rzymie. Podczas swojego trzydziestoletniego panowania, wypełnionego nieustannymi podbojami, Mahomet II przyłączył do cesarstwa dwieście miast i dwanaście królestw. Zmarł pośród swoich zwycięstw i otrzymał miano Wielkiego.<sup>13</sup> Pamięć jego unosi się jeszcze nad ostatnimi latami ludu, który wprowadził do Europy, a który wkrótce znowu zabierze ze sobą jego grobowiec do Azji. Władca ów miał cerę Tatarą, oblicze gładkie, oczy głęboko osadzone, spojrzenie przenikliwe. Odznaczał się zawsze wszelkimi cnotami i dopuszczał się wszelkich zbrodni, jakie mu nakazywała polityka.

Bajazet II, ów Ludwik XI Otomanów, kazał swoich synów wrzucić w morze, a sam, strącony z tronu przez Selima, uciekł z żonami i skarbami i umarł otruty przez syna. Tenże Selim kazał udusić wezyra, który go spytał, gdzie ustawić obóz. Następca wezyra ponowił to pytanie i doznał takiego samego losu. Trzeci, nie pytając wcale, kazał ustawić obóz ku czterem stronom świata i kiedy Selim zapytał go, gdzie jest obóz, odparł: „Wszędzie. Twoi żołnierze pójną za tobą, gdzie tylko zwrócisz swoją broń.” „Właśnie tak — zawołał groźny sułtan — służyć mi powinni!” On to zdobył Egipt i zasiadłszy na wspaniałym tronie, wzniesionym nad brzegiem Nilu, kazał przyprowadzić cały ród ciemny-cieli tego pięknego kraju i w swojej obecności zamordować dwadzieścia tysięcy Mameluków<sup>14</sup> Ciała ich wrzucono w rzekę. Wszystko to nie wynikało z osobistego okrucieństwa, ale z owej wiary

w przeznaczenie, które każe ufać w swoje posłannictwo temu, kto dla dopełnienia woli Boga, uważając się za Jego narzędzie, uznaje świat za swoją zdobycz, a ludzi za proch u swoich hóg. Ta sama ręka, zmazana krwią tylu tysięcy ludzi, pisała wiersze pełne rezygnacji, słodczy i filozofii. Jeszcze istnieje ułamek białego marmuru, na którym Selim napisał te zdania:

„Wszystko pochodzi od Boga; On według swojego upodobania daje lub odmawia nam tego, o co Go prosimy. Gdyby kto na ziemi mógł cokolwiek uczynić sam z siebie, byłby równy Bogu.” Nieco niżej czytamy: „Selim, sługa ubogich, ułożył i zapisał te wiersze.” Zdobywca Persji umiera, przekazując pobożnie wezyrowi, aby należycie wynagrodzić rodziny perskie zrujnowane wojną. Grobowiec jego umieszczono obok grobowca Mahometa II, a na nim widnieje ten dumny napis: „Dziś sułtan Selim przeszedł do królestwa wiecznego, zostawiając władztwo świata Solima-nowi”<sup>15</sup>

Widzę stąd lśniąca między kopułami meczetów kopułę meczetu Solimana, jedną z najokazalszych w Konstantynopolu. Soliman utracił swojego pierwszego syna, Mahometa, którego miał ze sławną Roksolaną.<sup>16</sup> Meczet ten stanowi wzruszające świadectwo boleści tego władcy. Aby uczcić pamięć syna, oswoiło mnóstwo niewolników obojga płci, pragnąc tym sposobem złączyć ich wdzięczność ze swoją boleścią.

Wkrótce, niestety, okolice tego meczetu stały się widownią okropnego wydarzenia. Soliman, podburzony przeciw Mustafie, synowi z innej żony, kazał przywołać muftiego i spytał go: „Jakiej kary godzien jest Zair, niewolnik jednego z kupców tego miasta, któremu ów na czas swojej podróży powierzył małżonkę, dzieci i skarby, a Zair zawikłał sprawę swojego pana, usiłował uwieść jego żonę i zdradne siłą zastawił jego dzieciom. Jakiejże kary godzien jest niewolnik Zair?”

„Niewolnik Zair zasłużył na śmierć — napisał mufti. — Chwała Bogu najlepszemu!”

Soliman, uzbrojony tą odpowiedzią, wezwał Mustafę do swojego obozu. Ten przybył wraz z Zeangirem, synem Roksolany, który nie podzielał wcale nienawiści, jaką jego matka żywiła do Mustafy, otaczał go najtkliwszą przyjaźnią.

Mustafa, stanąwszy przed namiotem sułtana, został rozbrojony. Wszedł sam do pierwszego obwodu, gdzie panowała zupełna pustka i ponure milczenie. Czterech niemych rzuciło się na niego i chciało go udusić; powalił ich na ziemię, już miał ująć i wezwać pomocy uwielbiającego go wojska, kiedy sam Soliman, który

bacnie śledził walkę niemych z synem, uniósł róg zasłony namiotu i rzucił na nich spojrzeńce skrzące się wściekłością. Na ten widok niemi zerwali się znowu i wreszcie zdołali udusić młodego księcia. Ciało jego wystawiono na kobiercu przed namiotem sułtana. Zeangir umarł z rozpaczy u zwłok brata, a wojsko z przerażeniem spoglądało na nieubłaganą zemstę kobiety, którą miłość uczyniła władczynią nieszczęśliwego Solimana. Mustafa miał syna dziesięcioletniego; Roksolana i na niego podstępnie uzyskała wyrok śmierci od sułtana. Polecono tajnemu wysłańcowi, aby zmylił czujność matki tego dziecka. Pod zmyślnym pozorem sprowadzono ją do letniego mieszkania niedaleko Brusy. Młody książę jechał konno przed lektyką matki. Lektyka się złamała: młody książę pojechał dalej wraz z rzezańcem, który otrzymał potajemny rozkaz zabicia księcia. Zaledwie książę wszedł do domu, rzezaniec, zatrzymując go na progu, pokazał mu sznur. „Sultan chce, abyś, książę, natychmiast zginął” — powiedział rzezaniec. „Rozkaz ten jest dla mnie tak święty, jakby pochodził od Boga” — odparł chłopiec i podał głowę katu. Matka po przybyciu znalazła w progu drgające jeszcze ciało syna. Szaleńcza namiętność Solimana do Roksolany sprawiła, że więcej zbrodni popełniono w Seraju niż w pałacu w Argos.<sup>17</sup>

Siedem Wież przypominało mi śmierć pierwszego sułtana zamordowanego przez janczarów. Osman, zawleczonej przez nich do tego zamku, w dwa dni później zginął pod ciosami wezyra Davuda.<sup>18</sup> Ten wezyr po pewnym czasie został również osadzony w Siedmiu Wieżach. Zerwano mu zawój, kazano pić z tego samego źródła, u którego szukał ochłody nieszczęśliwy Osman, a potem uduszono go w tej samej komnacie, w której on zadusił swojego pana. Ada janczarów, z której żołnierz podniósł rękę na Osmana, została zniesiona i aż do zupełnego rozwiązania tego korpusu, ile razy oficer wymieniał adę sześćdziesiątą piątą, inny odpowiadał: „Niech pamięć tej ady przepadnie! Niech pamięć tej ady zginie na zawsze!”

Janczarowie, przejęci żalem po zamordowaniu Osmana, zrzucili z tronu Mustafę i na kolanach prosili w Seraju, aby dwunastoletni chłopiec objął rządy państwa. Ubrali go w szatę srebrno-litą, w zawój cesarski, posadzili na przenośnym tronie, a czterech oficerów janczarskich, wzięwszy go na swoje barki, obnosiło młodego władcę pośród ludu. Był to Amurat IV, godzien tronu, na którym bunt i skrucha posadziły go, zanim doszedł pełnoletności.<sup>19</sup>

Tu kończą się dni chwały państwa otomańskiego. Prawo Soli-

mana, nakazujące, aby dzieci sułtanów więziono w Seraju między rzezańcami i kobietami, sprawiło, że potomstwo Osmana było niezdolne do rządów, i wydało państwo na pastwę intryg rzezańców lub buntów janczarskich. Niekiedy błysną jeszcze jakieś postaci władców szlachetnych, ale bezsilnych, ponieważ wcześniej przyzwyczajono ich nie mieć woli. Cokolwiek mówią o tym w Europie, widoczną jest rzeczą, że to mocarstwo już umarło i że nawet bohater mógłby mu nadać tylko pozór życia.

Seraj, opuszczony już przez Mahmuda<sup>20</sup> jest teraz tylko wspnianym grobem. Ale jakże byłyby dramatyczne i wzruszające jego tajemne dzieje, gdyby je mogły opowiedzieć mury!

Jedną z najdosłojniejszych postaci tego tajemniczego dramatu jest nieszczęśliwy Selim, który, strącony z tronu i uwięziony w Seraju, ponieważ nie chciał przelać krwi swoich synowców, został tam nauczycielem obecnego sułtana, Mahmuda.<sup>21</sup> Selim był filozofem i poetą. Nauczyciel był władcą, uczeń miał nim kiedyś zostać. Podczas długotrwałego więzienia obu książąt Mahmud, rozgniewany opieszałością jakiegoś niewolnika, w uniesieniu uderzył go w twarz. „Ach, Mahmudzie — rzekł Selim — gdybyś przeszedł przez probierczy ogień świata, nie byłbyś się tak uniósł. Gdybyś tak cierpiał jak ja, umiałbyś litować się nawet nad cierpieniem niewolnika.”

Los Selima był nieszczęśliwy aż do końca. Mustafa Bajraktar, jeden z jego wiernych paszów, podniósłszy oręż za jego sprawę, przybył do Konstantynopola i stanął u bram Seraju.<sup>22</sup> Sułtan Mustafa<sup>23</sup> trawił życie pośród rozkoszy i w owej chwili był właśnie w jednym ze swoich pawilonów nad Bosforem. Bostandżisowie bronili bram. Mustafa wszedł do Seraju i w chwili kiedy Bajraktar z artylerią wysadził bramy, domagając się wydania im ich pana, Selima, nieszczęśliwy władca zginął zasztyletowany przez Kizlar Ağę i jego rzezańców. Sułtan Mustafa rozkazał rzucić ciało Selima Bajraktarowi, który upadł na zwłoki, całując je i oplakując. Szukano Mahmuda ukrytego w Seraju; obawiano się, że Mustafa zgładził go jako ostatniego z rodu Osmana, znaleziono go na koniec ukrytego w zwojach kobierca, w jakimś ciemnym zakątku Seraju. Mahmud sądził, że przyszli, aby mu wydrzeć życie; posadzono go na tronie i Bajraktar upadł przed nim na twarz. Głowy stronników Mustafy wystawiono na murach, jego żony zaszyto w wory skórzane i rzucono w morze. Lecz w kilka dni potem Konstantynopol stał się polem bitwy. Janczarowie zbuntowali się przeciw Bajraktarowi i zażądali przywrócenia na tron Mustafy, któremu łaskawość Mahmuda zachowała życie. Seraj

## KONSTANTYNOPOL

został otoczony; pożar objął połowę Stambułu; przyjaciele Mahmuda domagali się, aby skazał na śmierć swojego brata Mustafę, gdyż ona tylko mogłaby ocalić życie sułtana i ich własne; ale Mahmud nie zdołał wypowiedzieć sentencji wyroku, okrył głowę szalem i upadł na sofę. Skorzystano z jego milczenia i uduszono Mustafę. Tym sposobem Mahmud, zostawszy ostatnim i jedynym potomkiem Osmana, był istotą nietykalną i świętą dla wszystkich stronnictw. Bajraktar zginął w płomieniach, walcząc w pobliżu Seraju, a Mahmud rozpoczął swoje panowanie.

Plac At Mej dani, którego czarny zarys widać stąd za białymi murami Seraju, był świadkiem najważniejszego czynu, jakiego dokonał ów władca, a mianowicie wytopienia janczarów. To przedsięwzięcie, jedyne, które mogło odmłodzić i ożywić państwo, stało się w rezultacie najkrwawszym i najokrutniejszym z wydarzeń, jakiego ani jedno z mocarstw nie notuje w swoich kronikach. Trwa ono wciąż wpisane we wszystkie zrujnowane budowle na tym placu i w widniejących na nich śladach kul i pożaru. Mahmud przygotował je jak wytrawny polityk, a wykonał jak bohater. Przypadek sprawił, że doszło do ostatniego powstania.

Pewien oficer egipski uderzył żołnierza tureckiego; janczarowie przewrócili swoje kotły<sup>24</sup>; sułtan, zawiadomiony i gotów na wszystko, był ze swoimi znakomitymi doradcami w jednym z ogrodów w Beszyktasz, nad Bosforem. Wrócił pospiesznie do Seraju i chwycił świętą chorągiew Mahometa. Mufti i ulemowie, zebrani obok świętej chorągwi, orzekli, że należy wytopić janczarów; wojska regularne i wierni muzułmanie zgromadzili się pod bronią na rozkaz sułtana, który wyruszył konno na czele oddziałów strzegących Seraju. Janczarowie, zgromadzeni na At Mejdani, oddali mu hołd; sułtan kilkakrotnie przejechał pośród ich wzburzonego tłumu, narażając się po tysiackroć na śmierć, ożywiony ową nadprzyrodzoną odwagą, jaką nas napawa postanowienie ostateczne. Ten dzień miał być ostatnim dniem jego życia lub pierwszym dniem jego wyswobodzenia i potęgi. Janczarowie, nie słuchając jego rozkazu, wzbraniali się przyjąć na nowo swoich agów; ściągali ze wszystkich punktów stolicy, gromadząc się w liczbie czterdziestu tysięcy. Wojska wierne sułtanowi, kanonierzy i bostandzisowie zajęli wszystkie wyloty ulic przytykających do Hipodromu<sup>25</sup>; sułtan rozkazał dać ognia; kanonierzy zawahali się; pewien odważny oficer, Kara Dzehennem, podbiegł do jednego z dział, strzelił z pistoletu na podsypyany proch i kartaczowy ogień położył pokotem pierwsze grupy janczarów, którzy zaczęli się cofać; działo na wszystkie strony ostrzeliwało plac,



## KONSTANTYNOPOL

pożar objął koszary; tysiące ludzi uwięzionych na tej ciasnej przestrzeni zginęło pod walącymi się murami, w ogniu kartaczy i w płomieniach; kaźń zakończyła się ze śmiercią ostatniego z janczarów. Sto dwadzieścia tysięcy ludzi w samej tylko stolicy służących w tym korpusie padło ofiarą wściekłości ludu i sułtana. Fale Bosforu zanosły ich ciała do morza Marmara. Pozostałych przy życiu wygnano do Azji Mniejszej i wyginęli w drodze; państwo było wolne. Sułtan, sprawujący władzę bardziej absolutną niż jakikolwiek inny monarcha, miał teraz już tylko posłusznych niewolników; mógł zgodnie ze swoją wolą odnowić państwo, ale było już za późno: geniusz Mahmuda nie dorównywał jego odwadze; wybiła godzina upadku cesarstwa Otomanów; pisany mu był taki los, jaki spotkał cesarstwo greckie. Konstantynopol czekał na nowe wyroki, przeznaczenia.<sup>26</sup> Widzę stąd flotę rosyjską, jak niegdyś okręty Mahometa II, która z każdym dniem coraz to silniej napiera na miasto i na port; widzę ogniska kałmuckich biwaków na wzgórzach Azji; Grecy wracają tu pod imieniem i w stroju Rosjan i tylko Opatrzność wie, kiedy ich ostatni szturm murów Konstantynopola, który stanowi dziś o całym cesarstwie, okryje ogniem i dymem i obróci w ruinę to wspaniałe miasto, co śni przede mną swój sen ostatni.

Najpiękniejszy widok Konstantynopola rozciąga się sponad naszego mieszkania, z wysokości belwederu zbudowanego przez pana Truqui na płaskim dachu jego domu. Belweder ten panuje nad całą grupą wzgórz Pery i Galaty i nad pagórkami otaczającymi port od strony Słodkich Wód. Jest to krajobraz oglądany jak gdyby z lotu orła ponad Konstantynopolem i morzem. Europę, Azję, wjazd do Bosforu i morze Marmara można ogarnąć jednym spojrzeniem. Miasto leży u stóp. Gdybyśmy tylko raz mieli popatrzeć na ziemię, stąd należałoby na nią spojrzeć. Ilekroć wchodzę na belweder, a wchodzę po kilka razy na dzień i spędzam tam całe wieczory, zadaję sobie pytanie, jak się to stało, że tylu podróżników, którzy zwiedzali Konstantynopol, było tak nieczułych wobec tego widoku, który olśniewa moje oczy i duszę, i że żaden z nich go nie opisał. Czyżby słowo nie potrafiło oddać ani przestrzeni, ani krajobrazu, ani barw, czyżby jedyną wypowiedzią oka było malarstwo? Ale nawet malarstwo nic z tego nie zdołało przekazać. Martwe linie, skrócone widoki, barwy bez życia, A gdzież są niezliczone odcienie tych barw zmieniające się zależnie od koloru nieba i od pory dnia, gdzie harmonia i olbrzymi rozmach tych linii, gdzie zmienność, znikanie, sploty tych rozmaitych widnokręgów, ruch tych żagla na trzech morzach,

szmer życia między tymi brzegami, huk dział rozlegający się z okrętów, flagi, co przesuwają się po morzu lub wznoszą ze szczytu masztów, mnóstwo kaików i mglisty odbłask kopuł, meczetów, iglic, minaretów na morzu; to wszystko gdzież jest? Próbuje więc dalej *to* opisywać.

Wzgórza Galaty, Pery i trzy lub cztery inne, uchodzące spod moich stóp ku morzu, a na nich różnobarwne miasta; domy jednych są pomalowane farbą krwistoczerwoną, innych — czarną, a mnóstwo niebieskich kopułek urozmaica te posępne barwy; między kopułami wznoszą się zielone kępy platanów, drzew figowych, cyprysów, rosnących w niewielkich ogrodach przy każdym domu. Ogromne, puste przestrzenie między domami to pola uprawne i ogrody, w których widać Turczynki, okryte czarnymi zasłonami i bawiące się pod cieniem drzew ze swoimi dziećmi i niewolnicami. Chmury synogarlic i białych gołębi nurzają się w błękitnym powietrzu nad tymi ogrodami i dachami i jak białe kwiaty kołysane wiatrem odcinają się na tle stanowiącego widnokrąg niebieskiego morza. Widać ulice, które wiją się, zstępując ku morzu, niby wąwozy, a niżej ruchliwy tłum na bazarach, spowitych zasłoną lekkiego, przejrzystego dymu. Te miasta, czy raczej te dzielnice miasta, są przedzielone zielonymi wzgórkami, na których wznoszą się pałace z malowanego drewna i altany o rozmaitych kształtach, albo też głębokimi parowami, których dna dojrzyć nie sposób i widać tylko wznoszące się z nich wierzchołki cyprysów i spiczaste, lśniące iglice minaretów. Kierując się ku morzu, oko błądzi po jego błękitnej tafli wśród labiryntu statków pod żaglem lub na kotwicach; kaiki jak ptaki wodne, które płyną gromadnie lub też pojedynczo po kanale, krzyżują się we wszystkich kierunkach, ciągnąc z Europy do Azji lub z Pery ku cypiovi Seraju. Kilka wielkich okrętów wojennych pod pełnymi żaglami opuszcza Bosfor, pozdrawiając Seraj wystrzałami z dział pokładowych, których dym przez chwilę osnuwa je niby szarymi skrzydłami, potem wynurzają się, lśniąc bielą swoich żagli, i mijają, zdając się ich dotykać, wysokie cyprysy i rozłożyste platany ogrodu sultana, aby wpłynąć na morze Marmara. Inne okręty wojenne, cała flota sultana w liczbie trzydziestu czy czterdziestu, stoją na kotwicy u wjazdu do Bosforu; ich ogromne bryły rzucają cień na morze od strony lądu; tylko pięć lub sześć z nich widać dokładnie; wzgórce i drzewa zasłaniają część innych, których wysokie burty, maszty i reje, jak gdyby splecione z cyprysami, tworzą szeroką, kolistą aleję biegnącą w głąb Bosforu. Tam góry wznoszące się na przeciwległym brzegu, czyli w Azji, two-

rzą tło obrazu: są wyższe i zieleńsze niż góry na wybrzeżu europejskim; wieńczą je gęste lasy, zstępujące w głąb przecinających je wąwozów; na ich grzbietach, zamienionych w ogrody, wznoszą się pojedyncze pawilony, kryte krużganki, wsie, niewielkie meczety, otoczone zewsząd wielkimi drzewami; w zatokach mnóstwo zakotwiczonych statków, kaików poruszanych wiosłem i małych żaglówek. Wielkie miasto Skutari ciągnie się u podnóża tych gór na rozległym wybrzeżu, ocienione ich wierchołkami, otoczone czarnym lasem cyprysów. Kaiki, łodzie pełne żołnierzy azjatyckich, koni lub greckich rolników, którzy wiozą swoje warzywa do Konstantynopola, płyną między Skutari i Galatą, a ich ciąg przerywa się raz po raz, aby przepuścić długi rząd wielkich okrętów, wypływających z morza Marmara.

Kiedy wraca się na wybrzeże Europy, ale z drugiej strony Złotego Rogu, wzrok wzniesiony nad błękitną taflą kanału napotyka przede wszystkim cypel Seraju. Widok to najwspanialszy, najbardziej urozmaicony, najokazalszy, a zarazem najbardziej odludny, jaki mogłoby wyszukać spojrzenie malarza. Cypel Seraju, niby jakieś płaskie wzgórze czy spłaszczony przylądek, sterczy między trzema morzami na wprost Azji; zaczyna się u bramy Seraju, nad morzem Marmara, a kończy przy wielkim pawilonie sułtana, naprzeciw portu Pery; może mieć około trzech czwartych mili obwodu; jest to trójkąt, którego podstawę stanowi pałac, czyli Seraj, a wierchołek wcina się w morze, dłuższy zaś bok wychodzi na port wewnętrzny, czyli kanał konstantynopolitański. Z miejsca, gdzie się znajdowałem, ogarnia się go w całości; jest to las olbrzymich drzew, których pnie, jak kolumny, wznoszą się z murów ogrodowych i tarasów i rozpościerają swoje gałęzie nad pawilonem, bateriami i okrętami. Owe lasy, o połyskliwej ciemnozielonej barwie, są poprzecinane zielonymi błoniami, kwietnikami, balustradami, marmurowymi schodami, złotymi lub ołowianymi kopułami, minaretami tak smukłymi jak maszty okrętowe i ogromnymi sklepieniami pałaców, meczetów i pawilonów otaczających te ogrody. Widok ten prawie przypomina tarasy, pochyłości i pałac w Saint-Cloud, kiedy się na nie spogląda z przeciwległego brzegu Sekwany lub ze wzgórz Meudon; lecz tu te wiejskie okolice są oblane z trzech stron morzem, a z czwartej mają nad sobą liczne kopuły meczetów oraz ocean domów i ulic, które tworzą właściwy Konstantynopol, czyli Stambuł. Meczet Świętej Zofii, owa bazylika Świętego Piotra wschodniego Rzymu, wznosi nad nim ogromną bryłę swojej kopuły tuż przy murach obwodowych Seraju."

Święta Zofia to bezkształtne wzgórze nagromadzonych kamieni, zwieńczonych kopułą lśniącą w słońcu jak morze ołowiu; nieco dalej nowsze meczety Achmeda, Bajazeta, Solimana, matki sułtana Achmeda strzelają w niebo swoimi minaretami, poprzecinanymi opasującymi je mauretańskimi krużgankami; towarzyszą im cyprysy, tak grube jak słupy minaretów, i czarnym swoim listowiem żywo kontrastują z lśniącym blaskiem gmachów. Na szczycie spłaszczonego wzgórza Stambułu widać między murami domów i słupami minaretów kilka starożytnych pagórków, za-czernionych przez pożary i spowitych szarością przez czas; to szczątki dawnego Bizancjum, wznoszące się na placu Hipodromu, czyli At Mejdani. Tam także ciągną się długimi rzędami liczne pałace sułtana lub jego wezyrów; Dywan ze swoją bramą, która nadała nazwę temu mocarstwu<sup>28</sup> mieści się także pośród tych gmachów; nieco wyżej, wyraziście odcinając się na lazurowym niebie, wieńczy wzgórze wspaniały meczet, który spogląda na dwa morza: jego złota kopuła w promieniach słońca lśni jak gdyby odbłaskiem pożaru, a świetlistość tego krągłego sklepienia i murów, nad którymi wznoszą się napowietrzne krużganki, nadaje mu wygląd budowli ze srebra lub z niebieskawej porcelany. Tu kres widoku i wzrok zstępuje ku dwóm innym rozległym wzgórzom, na których, jedne przy drugich, wznoszą się meczety, pałace, domy o różnobarwnie malowanych ścianach, ciągnąc się aż w głąb portu, gdzie morze nieznacznie zaczyna się zwęzać i niknie pośród drzew arkadyjskiej doliny Słodkich Wód Europy. Gdy spojrzeć w górę kanału, ujrzymy maszty skupione u brzegu w Przystani Umarłych, arsenał i lasy cyprysów porastające zbocza Konstantynopola; zobaczymy wieżę Galaty, zbudowaną przez Genuńczyków, a sterczącą jak maszt okrętowy nad oceanem dachów i bielejącą między Galatą i Perą na podobieństwo olbrzymiego słupa milowego między dwoma miastami, a dalej spokojną taflę Bosforu, mającą między Europą i Azją.

Oto co przedstawia obraz. Lecz gdy dodać do tych głównych zarysów, z których się składa, ogromną ramę, co go otacza i uwydatnia na niebie i na ziemi czarne linie gór Azji, niskie i zamglone krajobrazy zatoki Nikomedii, grzbiety Olimpu koło Brussy, które, widoczne za Serajem, spoza morza Marmara, rozciągają swoje rozległe śniegi niby białe obłoki na horyzoncie, gdy dorzucić do tej majestatycznej całości urok i nieokreśloną barwę jej niezliczonych szczegółów, gdy w myśli utworzyć sobie rozmaite efekty nieba, wiatru, pory dnia na morzu i w mieście, gdy spoglądać na floty statków handlowych, co podobne do chmar mor-

skich ptaków, odrywają się od porosłego ciemnym lasem cypla Seraju, płyną środkiem kanału i z wolna kierują się w głąb Bosforu, tworząc wciąż nowe zgrupowania, gdy promienie zachodzącego słońca, prześlizgując się po wierzchołkach drzew i minaretów, zapalają, jak odbłask pożaru, czerwone mury Skutari i Sztambułu, gdy wiatr, co zrywa się lub cichnie, gładzi morze Marmara, które staje się podobne do jeziora rozpuszczonego ołowiu, lub marszcząc lekko wody Bosforu zdaje się rozwlekać na nich lśniące oka ogromnej srebrnej sieci, gdy dym statków parowych wznosi się krętym słupem wśród wielkich drżących żagli okrętowych lub fregat sultana, gdy wzywający do modlitwy odgłos działa przetoczy się echem z pokładu okrętów wojennych aż pod cyprysy cmentarne, gdy ogromny zgłęb siedmiu miast i tysięcy statków wznosi się raz po raz nad miasto i morze, a wiatr przynosi jego odgłosy aż ku kolumnie, spod której spoglądamy na krajobraz, gdy pomyśleć, że to niebo jest prawie zawsze tak wysokie i tak czyste, że te morza i te naturalne porty są zawsze tak spokojne i bezpieczne, że każdy dom na tych długich wybrzeżach jest przystanią, do której w każdej chwili może wpłynąć statek i zarzucić kotwicę pod jego oknami, gdzie budują i spuszczaają na wodę trójpokładowce w cieniu nadbrzeżnych platanów, gdy przypomnieć sobie, że jest się w Konstantynopolu, w mieście panującym nad Europą i Azją, w tym właśnie miejscu, gdzie te dwie części świata stykają się z sobą, aby czasem się z sobą łączyć, a czasem znów walczyć, gdy noc zaskakuje nas na tym rozpamiętywaniu widoku, którym wzrok nigdy się nie utrudzi, gdy zapłoną latarnie morskie Galaty, Seraju, Skutari i światła na wysokich rufach okrętowych, gdy gwiazdy, ukazując się z wolna, jedna za drugą lub gromadnie, na błękitnym nieboskłonie opasują czarne szczyty na wybrzeżu Azji, zaśnieżone wierzchołki Olimpu, Wyspy Książęce na morzu Marmara, posępny płaskowyż Seraju, wzgórze Sztambułu i trzy morza, niby błękitna siatka usiana perłami, w której wszystko to zdaje się pływać, gdy łagodniejszy blask nieboskłonu, na którym wschodzi młody księżyc, daje jeszcze tyle światła, że choć wygładza i zmiękcza szczegóły tego obrazu, pozwala na nim dostrzec zarysy wielkich brył — wówczas o każdej porze dnia i nocy mamy przed oczyma najwspanialszy, najczarowniejszy widok, jaki może ujrzeć człowiek; upojony nim wzrok upaja także myśl, olśnienie ogarnia wzrok i duszę. Tym widokiem od miesiąca napawam się każdego dnia i każdej nocy.

Ponieważ poseł francuski zaproponował mi, abym wraz z nim zwiedził meczet Świętej Zofii, który wszyscy nowo przybyli posłowie mają prawo oglądać, więc o ósmej rano byłem już u jednej z bram Stambułu, wychodzącej na morze, za murami Seraju. Któryś z wyższych oficerów sułtana oczekiwał nas na wybrzeżu i zaprowadza najpierw do siebie do domu na przygotowane dla nas śniadanie. Mnóstwo tu było pokojów, bardzo wykwintnie przybranych, lecz całe umeblowanie to sofy i fajki. Sofy stały przy oknach wychodzących na morze Marmara. Śniadanie zastawiono na sposób europejski, tylko potrawy podano krajowe. Było ich bardzo wiele, wszystkie wyszukane, lecz nam nie znane. Po śniadaniu panie poszły odwiedzić żony pułkownika tureckiego, na ten dzień zamknięte w pokojach położonych niżej. Apartament, w którym nas przyjęto, był właśnie haremem, czyli mieszkaniem żon. Każdy z nas był zaopatrzony w papucie z żółtego safianu, aby je przywdziać, wchodząc do meczetu, inaczej bowiem musielibyśmy, zzuwszy obuwie, chodzić boso. Weszliśmy na pierwszy dziedziniec meczetu Świętej Zofii, otoczeni liczną strażą, która odsuwała tłum zgromadzony, aby nam się przypatrzeć. Na twarzach Turków malowało się niezadowolenie i troska. Żarliwi muzułmanie uważają, że chrześcijanie wchodząc do ich świątyń profanują je. Gdy weszliśmy, zamknięto za nami podwoje meczetu.

Wielka bazylika Świętej Zofii, zbudowana przez Konstantyna, jest jedną z najpotężniejszych budowli, jakie wystawił geniusz chrześcijański; ale po barbarzyństwie sztuki, która wzniosła te bryły z kamieni, widać, że było to dzieło czasu zepsucia i upadku. Jest to bezładna, grubo ciosana pamiątka już nie istniejącego smaku, bezkształtny zarys sztuki, która próbuje swoich sił. Przed kościołem znajduje się długi i szeroki przedsionek, kryty i zamknięty, jak przy kościele Świętego Piotra w Rzymie. Kolumny granitowe, nadzwyczaj wysokie, lecz wbudowane w mur i tworzące z nim razem jedną bryłę, oddzielają ów przedsionek od kruchty. Wielkie drzwi otwierają się do wewnątrz. Wnętrze zdobią wznoszące się wokół całego obwodu wspaniałe kolumny z porfiru, granitu egipskiego i drogich marmurów, lecz te kolumny, rozmaitej grubości, rozmiaru i porządku, są najpewniej szczątkami zabranymi z innych świątyń i ustawionymi tu niesymetrycznie i bez gustu, podobnie jak u barbarzyńców, którzy podpierają rudere potrzaskanymi szczątkami pałaców. Ogromne filary zwykłej murarskiej roboty dźwigają kopułę napowietrzną jak w kościele Świętego Piotra, a widok jej jest co najmniej tak samo majestatyczny. Kiedy Mahomet II postanowił z kościoła

Świętej Zofii zrobić meczet, kazał pobielić sklepienie pokryte obrazami mozaikowymi. W kilku miejscach wapno odpadło i widać spod niego dawne ozdoby chrześcijańskie. Okrągłe galerie, oparte o wielkie trybuny, biegną wokół całego wnętrza bazyliki tam, gdzie zaczyna się sklepienie. Stamtąd rozciąga się wspaniały widok na całą budowlę, ogromną, posępną, bez ozdób, z popękkanymi sklepieniami i brunatnymi kolumnami, podobną do wnętrza ogromnego grobu, z którego szczątki zabrano i rozproszono. Widok ten budzi lęk, skłania do milczenia i do rozmyślań o nie-trwałości dzieł człowieka budującego siedziby dla idei, które uważa za wieczne, a tymczasem inne idee, szerzone z księgą lub szablą w dłoni, obierają w tych siedzibach mieszkanie albo je niszczą.<sup>29</sup> W swoim obecnym stanie Święta Zofia przypomina jakiś wielki karawanseraj Boga. Oto kolumny świątyni w Efezie i oblicza apostołów, co w swoich złotych aureolach spod sklepienia spoglądają na wiszące lampy imama.

Opuściwszy meczet Świętej Zofii, poszliśmy zwiedzić siedem głównych meczetów Konstantynopola: są one nie tak obszerne, ale bez porównania piękniejsze. Widać, że mahometanizm, budując te proste, symetryczne, wspaniałe świątynie, bez cieni dla tajemnic i bez ołtarzy dla ofiar, miał już własną, całkowicie przemyślaną sztukę, zgodną z jasnością i prostotą jego idei przewodniej. Wszystkie te meczety, z wyjątkiem rozmiarów i barwy, są do siebie podobne: przed każdym rozciąga się obszerny dziedziniec otoczony klasztorami, w których są szkoły i mieszkania imamów. Wspaniałe drzewa ocieniają owe dziedzińce, a liczne wodotryski napełniają je szmerem i rozkosznym chłodem. Minarety zadziwiającej roboty wnoszą się jak cztery słupy napowietrzne w czterech rogach meczetu ponad jego kopułą; małe, kolisty galerie z kamienną poręczą, rzeźbioną ażurowo, jak koronka, na rozmaitych wysokościach opasują wysmukłe słupy minaretów; tam o różnych porach dnia staje muezzin, ogłasza godzinę i przyzywa miasto do niezmiennej myśli mahometanina, do myśli o Bogu. Otwarty ze wszystkich stron na ogrody i dziedzińce, podwyższony o kilka stopni portyk prowadzi ku podwojom meczetu. Świątynia jest kwadratowa lub okrągła, z kopułą wspartą na filarach wykwintnej roboty lub na pięknych żłobkowanych kolumnach. Do jednego z filarów przylega kazalnica. Fryz tworzą wersety z Koranu wypisane ozdobnie na murze. Mury pomalowane w arabeski. Między filarami są poprzeciągane stalowe druty, na których wisi mnóstwo lamp, jaj strusich, bukietów z kłosów lub kwiatów. Maty trzcinowe, kosztowne kobierce okrywają po-

sadzkę. Wszystko technie prostotą i wspaniałością. Nie jest to bynajmniej przybytek zamieszkały przez Boga, lecz dom modlitwy i rozpamiętywania, gdzie ludzie gromadzą się, aby uwielbiać jedynego, wspólnego Boga. To, co się nazywa rytuałem, nie istnieje w ich religii<sup>30</sup>. Mahomet nauczał ludy barbarzyńskie, którym rytuał właśnie przesłaniał Boga. Obrządki są proste: jedna doroczna uroczystość, obmywania się i pięciokrotna modlitwa w ciągu dnia, oto wszystko<sup>31</sup>. Nie ma dogmatów poza wiarą w jednego Boga Stworzyciela, który nagradza, nie ma obrazów, aby nie kusiły słabej ludzkiej wyobraźni i nie przemieniły wspomnienia w karygodną adorację. Nie ma kapłanów, a raczej każdy wierny może sprawować obowiązki kapłana. Stan kapłański powstał dopiero później skutkiem zepsucia. Ile razy zdarzyło mi się wejść do jakiegoś meczetu, tego dnia czy w inne dni, zawsze zastawałem kilku Turków, którzy siedzieli z podwiniętymi nogami lub leżeli na kobiercach, modląc się ze wszystkimi zewnętrznymi oznakami żarliwości i całkowitego zapamiętania.

Na dziedzińcu meczetu Bajazeta ujrzałem pusty grobowiec Konstantyna.<sup>32</sup> Jest to naczynie porfirowe zadziwiającej wielkości; mogłoby się w nim zmieścić dwudziestu bohaterów. Ten kawał porfiru pochodzi najpewniej z czasów greckich. Jest to niezawodnie jakiś odłamek wydarty także ze świątyni Diany w Efezie. Wieki pożyczają sobie swoje świątynie tak jak swoje groby i zwracają je puste. Gdzie są prochy Konstantyna? Turcy zamknęli jego grób w oddzielnym pawilonie i nie pozwalają go znieważać. Groby sułtanów i ich rodzin są w ogrodach meczetów przez nich zbudowanych, w pawilonach z marmuru ocienionych drzewami i owianych wonią kwiatów; obok lub w samym pawilonie szemrzą wodotryski; pamięć o zmarłych jest tak żywa pomiędzy muzułmanami, że ile razy przechodziłem obok któregoś z tych grobów, zawsze widziałem bukiety świeżych kwiatów zawieszono u drzwi lub okien tych licznych budowli.

Odbyłem właśnie przejażdżkę z biegiem i w górę Bosforu, od Konstantynopola po ujście do Morza Czarnego. Chciałbym naszkicować dla siebie kilka rysów tej uroczej przyrody. Nie wyobrażałem sobie, aby niebo, ziemia, morze i człowiek mogli wspólnie stworzyć tak zachwycające krajobrazy. Tylko przejrzyste lustro nieba lub morza potrafi je ogarnąć i w całości przekazać ich odbicie: ja widzę je tylko w mojej wyobraźni i w niej je zachowuję; ale moja pamięć nie zdołała ich zatrzymać, mogę z nich odmalować jedynie niektóre szczegóły. Opisujemy więc widok po



widoku, przylądek po przylądku, przystań po przystani, uderzenie wiosła po uderzeniu wiosła. Malarz potrzebowałby lat, aby utrwalić na płótnie bodaj jeden brzeg Bosforu. Krajobraz zmienia się za każdym naszym spojrzeniem i wciąż się odmieniając, zawsze jest tak samo piękny. Cóż mogę zawrzeć w kilku słowach?

O siódmej rano, pod czystym niebem i przy jasnym słońcu, czterech albańskich wioślarzy zaprowadziło mnie ku jednemu z tych długich kaików, które jak ryba przecinają morze. Tłumacz, leżąc w łodzi między mną i wioślarzami, wymieniał nazwy mijanych miejsc. Naprzód płynęliśmy wzdłuż nadbrzeżnych ulic Top Hane, na których stoją koszary artylerii. Miasto Top Hane wznosi się piętrowo z swoimi pomalowanymi domami, podobnymi do bukietów, przy marmurowym meczecie i znika pod wysokimi cyprysami wielkiego cmentarza w Perze. Ow ciemny las stanowi kres łańcucha wzgórz wznoszących się na tym wybrzeżu. Prześlizgiwaliśmy się pośród mnóstwa zakotwiczonych statków i niezliczonych kaików, co wiozły do Konstantynopola urzędników pałacowych, ministrów i ich zastępców oraz rodziny ormiańskie, które godzina pracy wzywała do ich sklepów. Ormianie mają wygląd wspaniały, odziani są z wytworną prostotą w długie niebieskie suknie, przewiązane w pasie białym szalem kaszmirowym, a na głowach mają czarne zawoje; zbudowani są atletycznie, ich rysy wyrażają inteligencję, choć są pospolite; cera świeża, oko niebieskie, broda jasna; są to Szwajcarzy Wschodu, pracowici, spokojni, solidni, jak oni, lecz jak oni wyrachowani i chciwi; swój geniusz handlowy oddali w służbę sułtana i Turków; lud ten nie ma w sobie nic bohaterskiego ani wojowniczego; ożywia ich duch handlu, prowadzić go będą pod jakimkolwiek panem. Są to chrześcijanie, którzy najlepiej współżyją z Turkami. Dobrze im się powodzi, gromadzą bogactwa, o które Turcy nie dbają, a które wymykają się Grekom i Żydom; wszystko tu jest w ich rękach; są tłumaczami wszystkich paszów i wszystkich wezyrów. Kobiety ich o rysach tak samo wyrazistych, lecz delikatniejszych, przypominają swoją spokojną urodą Angielki lub wieśniaczki z gór szwajcarskich; są prześliczne; tak samo dzieci. Pełno ich było w kaikach. Ze swoich wiejskich domów wiozły kosze pełne kwiatów porostawiane na dziobie łodzi.

Zaczeliśmy opływać cypel Top Hane, prześlizgując się w cieniu wielkich okrętów wojennych floty otomańskiej, zakotwiczonych u wybrzeża europejskiego. Ogromne ich masywy drzemią tu tak spokojnie jak na jeziorze. Majtkowie ubrani jak żołnierze tureccy w czerwone lub niebieskie kaftany stoją niedbale wspar-

ci łóckiami o liny lub kąpią się naokół okrętów. Wielkie szalupy<sup>M</sup> pełne wojska płyną od brzegu ku okrętom i z powrotem, a wykwintne łodzie admirałskie, z dwudziestoma wiosłarzami, mkną jak strzała tuż obok nas. Admirał Tahir Pasza i jego oficerowie byli w brązowych surdutach, a na głowach mieli fezy, rodzaj czapek z czerwonej wełny, które nasuwali na czoła i oczy, jak gdyby zawstydzeni, że porzucili swoje wykwintne, szlachetne turbany.<sup>34</sup> Mieli wygląd melancholijny i zrezygnowany, palili długie fajki z bursztynowymi cybuchami. Było tam ze trzydzieści okrętów wojennych wybornej konstrukcji, które wydawały się gotowe do wypłynięcia w morze, ale ani oficerów, ani żołnierzy — cała ta wspaniała flota stanowi jedynie dekorację Bosforu. Gdy sułtan przygląda się jej ze swojego pawilonu w Bejlerbej, położonego naprzeciw, na azjatyckim brzegu, dwie czy trzy fregaty Ibrahima Paszy panują najspokojniej nad Morzem Śródziemnym, a barki z Samos władają Archipelagiem.<sup>35</sup> Opodal tych okrętów, na brzegu europejskim, wzdłuż którego płyniemy, mijam okna długiego, wspaniałego pałacu sułtańskiego, obecnie nie zamieszkanego. Wydaje się, że to pałac jakichś istot ziemnowodnych: gdy tylko wiatr się zrywa, fale Bosforu zalewają okna, a ich piana przedostaje się do pokojów położonych na parterze; stopnie podjazdów toną w wodzie, a morze poprzez okratowane bramy ma dostęp na dziedzińce pałacowe i do ogrodów. Tutaj mieszczą się kryte przystanie kaików i łazienki sułtanek, które mogą pływać w morzu pod osłoną żaluzji swoich salonów. Za tymi morskimi podwórcami ciągną się amfiteatralnie ogrody pełne bżów i róż, ze wznoszącymi się tarasami oraz kratowanymi i złożonymi pawilonami. Owe kwieciste błonia nikną w wielkich lasach dębowych, laurowych i platanowych, które okrywają stoki i wraz z skałami wznoszą się aż do szczytu wzgórza. Pokoje sułtana były otwarte i przez okna widziałem bogate złocenia sufitu, kryształowe żyrandole, sofy i jedwabne zasłony. Okna haremu zamykała gęsta krata z drzewa misternie rzeźbionego. Zaraz za tym pałacem ciągnie się nieprzerwany rząd pałaców, domów i o-grodów głównych ulubieńców, ministrów lub paszów sułtana. Wszystkie stoją nad morzem, jak gdyby napawały się jego chłodem. Okna były otwarte; właściciele tych siedzib spoczywali na sofach, w obszernych salach lśniących złotem i jedwabiem, palili fajki, rozmawiali, pili sorbety, patrząc na mijające ich nasze łódki. Ich pokoje wychodzą także na piętrzące się tarasy, pełne altan, krzewów i kwiatów. Liczni niewolnicy w bogatych ubiorach siedzą zwykle na stopniach schodów, które omywa morze,

a kaiki z wioślarzami stoją u tych schodów gotowe odpłynąć z panami tych siedzib. Haremy wszędzie znajdują się w skrzydle oddzielnym ogrodami lub dziedzińcem od pokoiów mężczyzn. Ich okna są okratowane. Niekiedy u otworu kraty, przeplecionej pnącymi się kwiatami, widziałem przyciśniętą do niej główkę jakiegoś pięknego dziewczęcia, spoglądającego na morze, i białe ramię kobiety, która odmykała lub przymykała żaluzje.

Te pałace, te domy całe są z drewna, bardzo bogato wykonane, z obdaszkami, galeriami i niezliczonymi balustradami, ukryte całkiem w cieniu wielkich drzew, pośród pnączy i kęp goździków i róż. Wszystkie omywa Bosfor, a w każdym są wewnętrzne dziedzińce, do których ustawicznie dobiegają fale morskie i gdzie chronią się kaiki.

Bosfor jest wszędzie tak głęboki, że płynęliśmy tak blisko brzegu, iż dolatywała nas woń kwiatów, a nasi wioślarze mogli wytchnąć w cieniu drzew. Największe okręty płynęły blisko nas i nieraz jakaś reja wylała się w gałęziach drzew, w kratkach winogrodu lub nawet w żaluzjach okien, a bryg czy statek płynął dalej unosząc z sobą kawałki gałęzi z liśćmi lub odłamkami domu. Domy te są przedzielone tylko kępami drzew, rosnącymi na niewielkich skrawkach gruntu, lub klinami skalnymi okrytymi mchem i bluszczem, które odnogami schodzą ze wzgórz i na kilka stóp wcinają się w morze. Tylko gdzieniegdzie między dwoma wzgórzami, przedzielonymi i rozłupanymi głębokim korytem jakiegoś potoku lub strumienia, widać było głębszą i bardziej wklęsłą zatokę. Na tych spłaszczonych odcinkach wybrzeża wznoszą się zazwyczaj wioski z pięknymi studniami mauretańskimi, z meczetem o złotych lub lazurowych kopułach i lekkim minaretem, którego szczyt trudno odróżnić od wierzchołków wielkich platanów. Malowane domki stoją amfiteatralnie na obu brzegach i w głębi tych małych zatok ze swoimi stubarwnymi fasadami i altanami, na szczytach wzgórz widać wielkie wille, a przy nich ogrody wiszące i grupy jodeł o rozłożystych koronach. U podnóża tych wiosek ciągnie się zwykle piaszczyste lub granitowe wybrzeże o szerokości zaledwie kilku stóp; rosną tu sykomory, wino, jaśminy, tworząc sklepienie wiodące aż ku morzu. Stoi tam na kotwicy mnóstwo łodzi i brygów handlowych wszystkich narodów. Zarzucają kotwicę przed domem lub składami właściciela statku i nieraz mostek wiodący z pokładu brygu do okna willi służy do przenoszenia towarów. Gromady dzieci, przekupniów jarzyn, daktyli, owoców przebiegają te nadbrzeża; jest to bazar wioski i Bosforu. Majtkowie w rozmaitych ubio-

rach, mówiący rozmaitymi językami, stoją tam pośród Turków, którzy palą fajki, siedząc na kobiercach z podwiniętymi nogami, przy studni, wokół platanów. Żaden widok wiosek w pobliżu Lucerny czy Interlaken nie może dać wyobrażenia powabu i niezwykłej malowniczości tych małych przystani nad Bosforem. Nie można nie zatrzymać na chwilę łodzi, aby im się przypatrzeć. Takie miasteczka, przystanie lub wioski napotyka się prawie co pięć minut na połowie drogi wzdłuż brzegu europejskiego, czyli w odległości dwóch, trzech mil. Dalej nie tak często się je widzi, a krajobraz, wskutek pojawiania się coraz to wyższych wzgórz i coraz to gęstszych lasów, staje się bardziej odludny. Mówię tu tylko o brzegu europejskim, brzeg azjatycki bowiem, znacznie piękniejszy, opiszę za powrotem; chcąc jednak mieć obraz dokładny, trzeba pamiętać, że ów brzeg azjatycki dzieliło ode mnie ledwo kilka uderzeń wiosłem; nieraz, płynąc środkiem Bosforu, w tych miejscach, gdzie się zwęża lub skręca, byliśmy równie blisko obu brzegów, a te same obrazy, które opisuję, patrząc na wybrzeże Europy, olśniewają wzrok, ilekroć padnie on na wybrzeże Azji.

Ale wracam do brzegu, którego byłem bliżej. Gdy mija się ostatnie z owych naturalnych przystani, jest tam jedno takie miejsce, gdzie Bosfor, niczym szeroka, bystra rzeka, wpływa między dwa niemal pionowe skalne przylądki; kanał, płynąc tu kręto, wydaje się całkiem zamknięty i dopiero w miarę posuwania się ku przystani widać, że się rozwiera, skręca za przylądkiem ukształtowanym przez wybrzeże europejskie, a potem tworzy jak gdyby jezioro, na którego przeciwległych brzegach leżą dwa miasta, Therapia i Bujukdere. Na owych skalnych przylądkach, porośniętych gęstymi kępami roślinności od podnóży aż do szczytów, wznoszą się na poły zrujnowane obwarowania ze strzelającymi ku górze ogromnymi, białymi, blankowanymi wieżami, z mostami zwodzonymi i basztami obronnymi, przypominając swoim kształtem najpiękniejsze budowle średniowieczne. Są to właśnie owe sławne warownie Europy i Azji, z których Mahomet II oblegał Konstantynopol i groził mu tak długo, nim do niego wkroczył. Wznoszą się jak dwa białe widma z czarnego łona sosen i cyprysów, jak gdyby zamykały dostęp do tych dwóch mórz. Ich wieże i wieżyczki, wznoszące się nad mnóstwem statków z rozwiniętymi żaglami, długie sploty bluszczów wiszących jak płaszcz rycerzy na murach na poły zrujnowanych, szare skały, co dźwigają te mury, których krawędzie sterczą z okrywającego je lasu, ich wielki cień, jaki rzucają na morze, spra-

wiają, że jest to jedna z najbardziej charakterystycznych okolic nad Bosforem. Tu właśnie jego krajobraz przestaje być wyłącznie powabny, a staje się na przemian to powabny, to znów majestatyczny. U podnóża owych zamków ciągną się tureckie cmentarze, a wykute w białym marmurze zawoje przeświecają tu i ówdzie spośród gęstych zarośli, które oblewa morze. Szczęśliwi Turcy! Spoczywają zawsze w miejscu, które sobie upodobali, w cieniu krzewu, który lubili, nad brzegiem wody, której szmer ich zachwycał, odwiedzani przez gołębie, które żywili za życia, otoczeni wonią kwiatów, które zasadzili; jeżeli nie posiadają ziemi za życia, mają ją po śmierci; i nie rzucają zwłok tych, których kochali, na owe śmietniska ludzkie, gdzie ohyda unicestwia uczucie czci i pobożne wspomnienie o zmarłych.

Za obronnymi zamkami Bosfor rozszerza się, góry Europy i Azji stają się wyższe, bardziej jałowe i odludne. Tylko gdzieś na brzegach morza widnieją białe domki i małe wiejskie meczety stojące na pagórku przy źródle, pod sklepieniem platanu. Wieś Therapia, siedziba posłów Anglii i Francji, leży nieco dalej od brzegu; wysokie lasy, co się nad nią wznoszą, okrywają swoim cieniem tarasy i trawniki obu pałaców; niewielkie doliny wiją się między skałami, tworząc granicę dwóch mocarstw. Dwie fregaty, angielska i francuska, stoją na kotwicy w kanale przed każdym z tych pałaców, oczekując skinienia posłów, aby zawieźć flotom na Morzu Śródziemnym wieść o pokoju lub wojnie.

Bujukdere, prześliczne miasto w głębi zatoki, którą tworzy Bosfor w miejscu, gdzie się załamuje, wpadając do Morza Czarnego, rozciąga się niby wachlarz pałaców i letnich willi na stokach dwóch pośepnych gór. Piękne wybrzeże dzieli ogrody i domy od morza. Flota rosyjska, złożona z pięciu okrętów, trzech fregat i dwóch parostatków, stoi na kotwicy przed tarasami pałaców rosyjskich i tworzy miasto na wodzie, na wprost miasta i rozkosznego cienia Bujukdere. Łodzie, przewożące rozkazy z jednego okrętu na drugi, szalupy, które płynęły po wodę źródlaną lub wiozły chorych na przejażdżkę wzdłuż wybrzeża, jachty młodych oficerów, które przeganiały się jak konie na wyścigach, a których żagle, pochylone wiatrem, zanurzały się w wodzie, strzały armatnie rozlegające się w głębi dolin azjatyckich, a oznajmiające, że jakieś okręty wypływają z Morza Czarnego, obóz Rosjan rozłożony na spalonych zboczach góry Olbrzyna, naprzeciw ich okrętów, piękna błoń Bujukdere z lewej strony, z grupą wspaniałych platanów, z których każdy mógłby objąć swoim cie-

niem cały pułk, przepyszne lasy wokół pałaców rosyjskich i austriackich, które tworzą strzępiasty wzór na szczytach wzgórz, mnóstwo wykwintnych, ozdobionych balkonami domów, stojących nad brzegiem, gdzie sploty róż i bzów zwieszają się z tarasów. Ormianie z dziećmi, ciągle przyplływający lub odpływający w swoich kaikach, pełnych gałęzi i kwiatów, ciemniejsza i węższa odnoga Bosforu, którą można dostrzec rozciągniętą ku zamglonemu widnokręgowi Morza Czarnego, pasma gór, na których nie widać już ani wiosek, ani domów, wznoszące się w obłoki ze swoimi czarnymi lasami niby groźna granica między burzami i nawałnicami morza a pogodnym spokojem wód konstantynopolitańskich, dwie twierdze, jedna naprzeciw drugiej, na obu brzegach wieńczące swoimi bateriami, wieżami i strzelnicami wysunięte w morze wyniosłości dwóch ciemnych przylądków, a wreszcie podwójny rząd skał, okrytych gdzieniegdzie lasami, niknący w błękitnych falach Morza Czarnego — oto przelotny widok Bujukdere. Trzeba do tego dodać nieprzerwany ruch statków płynących jeden za drugim z Konstantynopola lub wypływających z kanału, zależnie od tego, czy wiatr wieje z północy, czy z południa; statków tych jest czasem tyle, że pewnego dnia, wracając w moim kaiku, w niecałą godzinę naliczyłem ich blisko dwieście. Płyną stadami jak ptaki, co odlatują w inne strony; jeżeli wiatr jest zmienny, płyną to wzdłuż jednego, to znów drugiego brzegu, zmieniając kierunek pod oknami lub pod drzewami wybrzeża Azji lub Europy; jeżeli wiatr się wzmaga, stają na kotwicy w jednej z niezliczonych przystani lub u cypla któregoś z małych przylądków na Bosforze, a w chwilę później znów podnoszą wszystkie żagle. Krajobraz Bosforu, ożywiany i odmieniany ruchem tych licznych statków płynących pod żaglami lub stojących na kotwicy oraz różnaitością ich położenia względem ładu, zmienia się nieustannie jak w kalejdoskopie.

Przybywszy do Bujukdere, zająłem przeszliczny dom na wybrzeżu, w którym pan Truqui również zechciał mi zaofiarować gościny; tutaj spędzimy lato.

### *Tegoż dnia.*

Po opisie tego wybrzeża Bosforu można by sądzić, że przyroda nie może siebie przewyższyć i że żaden krajobraz nie zdoła mnie bardziej zachwycić niż ten, którego mam pełne oczy. Wracając wieczorem do Konstantynopola, płynąłem wzdłuż brzegu azjatyckiego, który okazał się tysiącokrotnie piękniejszy niż brzeg europejski. Wybrzeże Azji nic prawie nie zawdzięcza człowiekowi,

wszystko tu stworzyła przyroda. Nie ma tu już ani Bujukdere, ani Terapii, ani pałaców poselstw, ani miasta Ormian czy Franków; są tylko góry, przedzielające je wąwozy, małe doliny z ciągnącymi się w nich łąkami, które wdzierają się między odnogi skał, wijące się w nich strumienie, potoki, które bielą je swoją pianą, lasy, co zwieszają się na ich zboczach i zstępując w wąwozy, sięgają aż ku brzegom licznych zatok, rozmaitość kształtów oraz barw listowia i zieleni, której by nawet nie zdołał wymyślić pędzel malarza krajobrazów, kilka ustronnych, należących do marynarzy lub ogrodników tureckich domów, co wznoszą się tu i ówdzie na wybrzeżu lub na płaskim grzbiecie jakiegoś lesistego wzgórza albo też, jeden przy drugim, stoją na skalistym cyplu, ku któremu unosił nas prąd, rozpryskując się w fale błękitne jak nocne niebo; kilka białych żagli rybackich wolno płynących po rozległych zatokach: widać je było, jak przesuwały się między jednym platanem i drugim; nieprzeliczone chmary białych ptaków gładziły swoje pióra na skraju łąk; orły ze szczytów wzbijały się nad morze; najbardziej tajemnicze przystanie zamknięte skałami i pniami ogromnych drzew, których gałęzie, ciężkie od liści, ugięły się nad falami i tworzyły sklepienie, pod które wpływały kaiki; dwie, trzy wioski ukryte w cieniu tych przystani, ogrody ciągnące się za nimi na zielonych stokach, grupy drzew u podnóża skał, łodzie, co kołysały się z wolna na fali u drzwi domów, chmary gołębi na dachach, kobiety z dziećmi w oknach, starcy, którzy siedzieli pod platanem u stóp minaretu, rolnicy, którzy schodząc z pól, wsiadali do swoich kaików lub też ładowali do swoich łodzi zielony chrust, mirt lub kwitnące krzewy, aby je wysuszyć na opał zimowy. Zza owych pagórków okrytych zielenią, które wznosiły się nad brzegiem, omywane przez fale, nie widać było ani łódki, ani wioślarza i wydawało się, że to jakaś część wybrzeża, oderwana od ładu prądem wód, unosi się na los szczęścia na morzu ze swoim zielonym listowiem i jeszcze pachnącymi kwiatami. Tak wyglądało owo wybrzeże aż do zamku Mahometa II, który także z tej strony jak gdyby zamykał Bosfor niby jezioro szwajcarskie. Tam jednak jego wygląd się zmienił: wzgórza nie były tak nagie, ich grzbiety zniżały się, a wąskie doliny były mniej głębokie; wioski azjatyckie wyglądały zamożniej i częściej się je napotykało; ukazały się Słodkie Wody Azji, niewielka, uroczą równina, ocieniona drzewami i usiana pawilonami oraz studzienkami mauretańskimi.

Na trawnikach mnóstwo powozów z Konstantynopola, stano-

wiących rodzaj klatek z pozłacanego drzewa, umieszczonych na czterech kołach i zaprzężonych we dwa. woły; Turczynki wysiadały z nich w zasłonach i wraz ze swoimi dziećmi oraz czarnymi niewolnicami spoczywały gromadnie w cieniu drzew lub na wybrzeżu, opodal grupy mężczyzn pijących kawę lub palących fajki; różnobarwne ubiory mężczyzn i dzieci, ciemne, jednakowe zasłony kobiet tworzyły pod drzewami niezwykłą, zachwycającą wzrok mozaikę odcieni; woły i bawoły pasły się na łąkach; konie arabskie w rzędach z aksamitu, jedwabiu i złota grzebały niecierpliwie nogami w pobliżu kaików, które licznie przybijały do brzegu, pełne Ormianek lub Żydówek; te, z twarzami odsłoniętymi, siadały na murawie nad brzegiem strumienia, tworząc krąg kobiet i dziewcząt w rozmaitych ubiorach i postawach; niektóre spośród nich odznaczały się niezwykłą urodą, podkreślaną jeszcze osobliwą różnorodnością ich stroików i ubiorów. Nieraz widywałem tam wiele Turczynek z haremów bez zasłon; prawie wszystkie były niskie, bardzo blade, spojrzenie miały smutne, a wygląd wątły i chorobliwy. W ogóle klimat Konstantynopola, mimo wszystkich pozorów, wydaje mi się niezdrowy; w każdym razie kobiety nie odznaczają się bynajmniej ową urodą, z której słyną; tylko Ormianki i Żydówki wydawały mi się piękne. Ale daleko im do Żydówek i Ormianek w Arabii, a zwłaszcza do nieopisanego uroku Greczynek w Syrii i w Azji Mniejszej. Nieco dalej, nad samym brzegiem Bosforu, wznosi się przepyszny nowy pałac, zamieszkały obecnie przez sułtana.

Bejlerbej to budowla w stylu włoskim, z elementami hinduskimi i mauretańskimi, ogromny gmach kilkupiętrowy ze skrzydłami i wewnętrznymi ogrodami; wielkie kwatery róż, zraszane przez wodotryski, ciągną się za budowlami, między górą i pałacem; wąskie, granitowe nabrzeże dzieli okna od morza. Z wolna minąłem ów pałac, gdzie pod marmurem i złotem kryje się tyle trosk i tyle obaw; spostrzegłem sułtana <sup>36</sup> siedzącego na sofie w jednym z nadmorskich pawilonów; Achmet Pasza, jeden z jego młodych ulubieńców, stał przy nim; sułtan, uderzony ubiorem europejskim, wskazał nas palcem Achmetowi Paszy, jak gdyby zapytując go, kim jesteśmy; pozdrowiłem władcę Azji sposobem wschodnim; odklonił mi się łaskawie. Wszystkie załuze pałacowe były otwarte i ukazywały cały przepych tej wspaniałej, prześlicznej siedziby; skrzydło zamieszkałe przez kobiety, czyli harem, było zamknięte; jest ogromne, ale nie wiadomo, ile kobiet w nim mieszka. Dwa kaiki, całe pozłacane, każdy obsadzony przez załogę składającą się z dwudziestu czterech wiosłarzy, stały na



morzu przed podwojami pałacu. Kaiki te w niczym nie ustępują pod względem wytworności ani najwykwintniejszym kształtom europejskim, ani najbardziej okazałemu przepychowi Wschodu; dziób jednego z nich, wystający przynajmniej na jakie dwadzieścia parę stóp, stanowił złoty łabędź z rozpostartymi skrzydłami, który jak gdyby unosił złotą barkę nad falami; jedwabny namiot, rozpięty na złotych kolumnach, tworzył rufę, a kosztowne szale kaszmirowe służyły jako siedziska dla sułtana; dziób drugiego kaiku stanowiła złota strzała nasadzona piórami, która, jak gdyby wypuszczona z łuku, zdawała się lecieć nad morzem. Kiedy znalazłem się w takim miejscu, że sułtan nie mógł już mnie widzieć, zatrzymałem się, aby podziwiać ten pałac i ogrody. Wszystko tu świadczyło o najwyborniejszym smaku; nie znam w Europie ani jednej rezydencji królewskiej, która by odznaczała się większym przepychem i bardziej czarodziejskim urokiem. Wszystko zdawało się dziełem rąk artysty, było nieskazitelne, lśniące blaskiem i barwami; złożone balustrady kryły pałacowe dachy, a nawet kominy, które w Europie tak szpecą sylwetki wszystkich naszych gmachów publicznych, wzniesiono tu w postaci złożonych, żłobkowanych kolumn, a ich piękne kapitele pomnażały jeszcze ozdobność tej siedziby.

Lubię tego władcę, który lata dziecięce spędził w ciemnicach Seraju, któremu codziennie zagrażała śmierć, którego zahartował w niedoli mądry i nieszcześliwy Selim, którego zgon brata wyniósł na tron, który przez piętnaście lat skrycie snuł myśl o unicestwieniu janczarów, umożliwiającym oswobodzenie państwa i odnowę islamu, który wykonał swój zamiar bohatercko i ze spokojną rezygnacją, który, chcąc odrodzić swój lud, toczył z nim bezustanną walkę, który jest władcą śmiałym i nieugiętym w niebezpieczeństwie, łagodnym i miłosiernym, kiedy może iść za głosem serca, lecz pozbawionym wszelkiego wsparcia, który, nie mając środków do spełnienia zamierzonego dobra, nie rozumiany przez lud, zdradzany przez swoich paszów, nie mający szczęścia, bez czego człowiek nic zdziałać nie może, nieulekłe spojiera na upadek swojego tronu i swojego państwa, a wreszcie zamyka się w sobie, pragnąc pośród uroków Bosforu użyć reszty swojego życia i wątpliwej wszechwładzy. Człowiek to prawy i dobrych chęci, ale o niedostatecznym geniuszu i zbyt słabej woli; przypomina ostatniego z cesarzów greckich, którego miejsce zajmuje i którego los wydaje się i jego przeznaczeniem; godzien innego ludu i pomyślniejszych czasów, zdolny przynajmniej umrzeć jak bohater. Był przez jeden dzień wielkim człowiekiem. Na próżno

szukalibyśmy w dziejach wydarzenia, które można by porównać z wytypowaniem janczarów; to przykład przewrotu najdokładniej przemyślanego i z największym bohaterstwem przeprowadzonego. Mahmud zapisał tę stronicę dziejów, ale dlaczego tę jedną tylko? Dokonał tego, co było najtrudniejsze; z chwilą gdy upadła władza tyranów rządzących państwem, trzeba było woli i wytrwałości, aby ożywić je przez oświatę. Mahmud tego nie uczynił. Czy dlatego, że łatwiej odznaczyć się bohaterstwem niż geniuszem?

Za pałacem Bejlerbey wybrzeże azjatyckie stało się znowu lesiste i odludne aż do Skutari, które jak ogród różany lśniło na końcu przylądka u wylotu morza Marmara. Naprzeciw widać było zieleniejący cypel Seraju, a między uwieńczonymi trzema barwnymi miastami wybrzeżem europejskim i połyskującym kopułami i minaretami wybrzeżem Stambułu otwierał się ogromny port Konstantynopola, w którym statki, zakotwiczone u obu brzegów, zostawiają tylko szeroki pas wody dla płynących tędy kaików. Mój kaik prześlizgnął się przez ten labirynt statków, niby gondola wenecka w cieniu pałaców, i wysiadłem w Przystani Umarłych pośród szpaleru cyprysów.

*29 maja.*

Tego rana pewien młodzieniec zaprowadził mnie na targ niewolników.

Przeszedłszy długie ulice Stambułu, wiodące wzdłuż murów starego Seraju, i mnóstwo wspaniałych bazarów, zatłoczonych tłumem kupców i kupujących, przez małe, wąskie uliczki dotarliśmy na błotnisty plac, na który wychodziła brama innego bazaru. Dzięki tureckim ubiorom, jakie mieliśmy na sobie, i doskonałej znajomości języka, którą posiadał mój przewodnik, wpuszczono nas na ów targ ludzi. Ileż trzeba było czasu i kolejnych' objawień dla rozumu człowieka, aby siła przestała być w jego oczach prawem, a niewolnictwo stało się w jego pojęciu zbrodnią i bluźnierstwem! Jaki to postęp i jakie skutki zapowiada! Ileż jest rzeczy, które w nas nie budzą odrazy, a w oczach naszych potomków będą niepojętymi zbrodniami! Myślałem o tym, wchodząc na ów bazar, gdzie sprzedają życie, duszę, ciało, wolność bliźniego, jak my sprzedajemy wołu lub konia, i gdzie każdy uważa, że jest prawowitym posiadaczem tego, co nabył takim sposobem. Ile jest takich prawowitości, z których sobie nie zdajemy sprawy! Jednakże tak jest, nie można bowiem żądać od człowieka więcej, niż wie. Jego przekonania są jego prawdami,

nie ma innych. Bóg tylko sam posiada wszystkie i udziela ich nam w miarę rozwoju naszych pojęć.

Targ niewolników znajdował się na obszernym dziedzińcu, otoczonym krytym portykiem. Pod tym portykiem, oddzielonym od strony dziedzińca murem po pas wysokim, widać było drzwi prowadzące do izb, w których kupcy trzymają niewolników. Drzwi te stały otworem, aby kupujący, przechodząc, mogli widzieć owych niewolników. Kobiety i mężczyźni przebywają tu w oddzielnych izbach. Kobiety nie mają zasłon. Prócz niewolników, trzymanyh w niskich izbach, było ich tu jeszcze mnóstwo zgromadzonych w galerii, pod portykiem i na dziedzińcu. Zaczęliśmy od oglądania tych rozmaitych gromad. Najbardziej zwracała uwagę grupa dwunastu czy piętnastu młodych dziewcząt abisyńskich; oparte jedna o drugą, jak starożytne kariatydy niosące naczynia na głowach, tworzyły koło, twarzami zwracając się ku widzom. Były bardzo piękne: oczy podłużne, nos orli, usta małe, zarys policzków owalny i delikatny, długie, czarne włosy, lśniące jak skrzydła krucze. Wyraz twarzy zamyślony, smętny i tęskny sprawia, że Abisynki, mimo miedzianej cery, stanowią rasę kobiet najpowabniejszych; są wysokie, wąskie w biodrach, smukłe jak palmy w ich pięknym kraju. Ruchy ich rąk są czarujące. Całą odzieżą tych młodych dziewcząt były długie koszule z grubego, żółtawego płótna. Na nogach miały bransolety z niebieskich paciorków. Siedząc na piętach, nieruchome, z głową opartą na dłoni lub na kolanie, spoglądały na nas tak łagodnie i tak smętnie jak owca lub koza, którą wieśniaczka trzyma na postronku i sprzedaje u nas na wsi na targu; czasem jedna do drugiej coś powiedziała i obie się uśmiechały. Była pośród nich jedna, co trzymała na rękach dziecko i płakała, ponieważ kupiec chciał je sprzedać bez niej handlarzowi dziećmi. Opodal nich było siedmiu czy ośmiu Murzynków w wieku od ośmiu do dwunastu lat, dosyć dobrze ubranych, wyglądających zdrowo i dostatnio; bawili się w jakąś wschodnią grę, do której używa się drobnych kamyczków, układając je z sobą rozmaicie w dołkach wykopanych w piasku. Tymczasem kupcy i handlarze krążyli wokół nich, brali to jednego, to drugiego za rękę, oglądali go z uwagą od stóp do głów, dotykali, kazali pokazywać zęby, aby poznać jego wiek i stan zdrowia; potem dziecko, na chwilę oderwane od swoich zabaw, wracało do nich z pościechem. Wreszcie wszedłem pod kryte portyki, wypełnione tłumem niewolników i kupujących. Turcy, prowadzący ten handel, we wspinających płaszczach podbitych futrem, przechadzali się z długimi fajkami w ręce między gro-

madami, z niepokojem i skupieniem śledząc zazdrośnie najbardziej ułotne spojrzenie zwrócone ku wnętrzu ich składów męż-cyżyn i kobiet, lecz biorąc nas za Arabów lub Egipcjan, nie śmieli nam zabronić wstępu do żadnej izby. Przekupnie ciasteczek i suszonych owoców przebiegali galerię, sprzedając trochę żywności niewolnikom. Wsunąłem jednemu z nich kilka piastrów, aby rozdzielił zawartość swojego koszyka między gromadę Murzynków, którzy rzucili się na te ciasteczka.

Zauważyłem tam pewną nieszczęsną Murzynkę, mającą osiemnaście, dwadzieścia lat, o niezwyklej urodzie, w której rysach jednak malowały się udręka i smutek. Siedziała na jednej z galerii, z twarzą odsłoniętą, bogato ubrana, wśród tuzina innych Murzynek w łachmanach, wystawionych na sprzedaż po bardzo niskiej cenie; na kolanach trzymała prześliznionego chłopczyka, trzy- lub czteroletniego, także pięknie ubranego. Dziecko, które było Mulatem, miało rysy tak szlachetne, układ ust tak pełen wdzięku i spojrzenie tak rezolutne i tak dumne, jak sobie tylko można wyobrazić. Zacząłem się z nim bawić, dałem mu ciastek i cukierków, które kupiłem w pobliskim kramie, ale matka wydarła mu je z rąk i z gniewem i dumą rzuciła o ziemię. Siedziała z głową spuszczoną i płakała; myślałem, że to z obawy, aby jej nie sprzedano oddzielnie od syna, i wzruszony jej niedolą, prosiłem pana Morlacha, mojego łaskawego przewodnika, żeby ją kupił wraz z dziećciem na mój rachunek. Byłbym ich oboje zabrał z sobą, wychował jej pięknego syna, zostawiając go przy matce. Udaliśmy się do ajenta, znajomego pana Morlacha, który zaczął pertraktować z właścicielem pięknej niewolnicy i jej syna. Z początku zdawało się, że właściciel w istocie chce ją sprzedać, a biedna kobieta zaczęła łkać jeszcze rozpaczliwiej i synek również się rozplakał, obejmując matkę za szyję. Ale kupiec tylko udawał, że chce dobić targu, a kiedy usłyszał, że od razu przystaliśmy na wysoką cenę, której zażądał za tę parę, wziął ajenta na bok i oświadczył mu, że ta niewolnica nie jest na sprzedaż, że należy do bogatego Turka, który jest ojcem tego chłopaczka, że w haremie była nadzwyczaj dumna i uparta, więc jej pan, chcąc ją ukarać i upokorzyć, odesłał ją na bazar, niby to chcąc się jej pozbyć, jednocześnie jednak nakazując, aby jej nie sprzedano. Takie kary nieraz są stosowane i kiedy Turek rozgniewa się na którąś z swoich żon, zwykłą jego groźbą jest wysłanie jej na bazar. Poszliśmy więc dalej.

Zwiedziliśmy mnóstwo izb, mieszczących po cztery lub pięć kobiet, prawie zupełnie czarnych i brzydkich, ale o zdrowym wy-

głodzie. Przeważnie zdawały się nie odczuwać swojego położenia i nawet zabiegały, aby je kupiono; rozmawiały, śmiały się między sobą i czyniły krytyczne uwagi o tych, którzy je targowali. Jedna czy dwie płakały i chowały się w głębi izby, opornie wracając na urządzone dla nich wzniesienie. Widzieliśmy wiele z nich, jak odchodziły wesoło z Turkiem, który je kupił, zabierając swoje małe zawiniątka i zakrywając twarz białymi zasłonami. Byliśmy świadkami kilku miłosiernych uczynków, których (chrześcijanie mogliby pozazdrościć muzułmanom. Niektórzy Turcy kupowali stare niewolnice, które ich panowie usuwali ze swoich domów ze względu na ich wiek i słabość: zabierali je ze sobą. Pytaliśmy, na co im się przydadzą te biedne kobiety: „Aby podobać się Bogu” — odpowiedział agent, a pan Morlach poinformował mnie, że wielu muzułmanów posyła na targ dla kupna biednych, chorych niewolników obojga płci, aby ich przez miłosierdzie utrzymywać w swoich domach. Duch Boży nigdy całkiem nie opuszcza ludzi.

Ostatnie izby, które zwiedziliśmy, były na poły zamknięte i dłuższy czas nie pozwalano nam do nich wejść; w każdej z nich znajdowała się tylko jedna niewolnica, pilnowana przez kobietę. Były to młode, piękne Czerkieski, niedawno przywiezione z ich kraju. Miały na sobie białe, nader wykwintny i zalotny strój i w ich pięknych rysach nie malowało się ani zdziwienie, ani troska, lecz pogardliwa obojętność. Te piękne białe niewolnice, Gruzinki lub Czerkieski, trafiają się nadzwyczaj rzadko, od czasu gdy Greczynki już nie zaludniają haremów, a Rosja wzbronila handlu kobietami. Jednakże rodziny gruzińskie wciąż przysposabiają swoje córki do tego niecznego handlu, a przemysłnicy zabierają niekiedy i takie ładunki. Cena tych pięknych istot dochodzi aż do dwunastu, a nawet dwudziestu tysięcy piastrow (trzy do pięciu tysięcy franków), gdy tymczasem czarne niewolnice przeciętnej urody są sprzedawane po pięćset do sześciuset, a najpiękniejsze od tysiąca do tysiąca dwustu franków. W Arabii i w Syrii można by je nabyć za pięćset, sześćset piastrow (od stu pięćdziesięciu do dwustu franków). Jedna z tych Gruzinek odznaczała się niezwykłą urodą: rysy delikatne i miękkie, spojrzenie łagodne i zamyślane, cera zadziwiającej białości i blasku. Ale fizjonomie kobiet tego kraju nie mogą się nawet równać z wdziękiem i nieskazitelną rysów kobiet arabskich: widać w ich twarzach piętno Północy. W naszej obecności kupiono ją do haremu jakiegoś młodego paszy konstantynopolińskiego. Wyszliśmy z sercem ściśniętym, z oczyma pełnymi łez, po obejrzeniu

tej sceny, która odnawia się codziennie i co godzina w miastach Wschodu, i zatopieni w myślach wróciliśmy na bazar stambul-ski<sup>37</sup> Oto do czego prowadzi skostnienie prawodawstwa! Uświęcą ono pierwotne barbarzyństwo i wszelkiej zbrodni nadaje pozór jakiegoś odwiecznego prawa. Fanatyczni zwolennicy przeszłości są tak samo niebezpieczni dla ludzkości, jak fanatyczni zwolennicy przyszłości. Jedni poświęcają ludzi dla swoich przesądów i wspomnień, drudzy składają ich na ołtarzu swoich nadziei i pośpiechu, z jakim by chcieli je urzeczywistnić. Gdyby każdy czynił, myślał i wierzył tak jak jego przodkowie, rodzaj ludzki, trwałby nadal w bałwochwalstwie i niewolnictwie. Rozum jest słońcem rodu ludzkiego; on to nieomylnie i stale objawia prawa Bożej względem społeczności. Aby pojąć istotę tego objawienia, należy kroczyć naprzód, inaczej bowiem możemy pozostać pośród zła i w ciemnościach; nie należy go jednak wyprzedzać, aby nie wpaść w otchłań. Rozumieć przeszłość, nie żałując, że minęła, znosić cierpliwie terażniejszość, starając się ją ulepszyć, pokładać nadzieję w przyszłości, usiłując ją przygotować, oto zasada ludzi rozumnych i instytucji zbawiennych. Walka niektórych przeciw ulepszaniu rzeczy i spraw stanowi grzech przeciw Duchowi Świętemu; ustawiczne przyzywanie, by instytucje świata duchowego i społecznego, które Bóg i przyroda ciągle popychają ku przodowi, pozostały na dawnym miejscu, to wysiłek samolubny i głupi: przeszłość jest grobem ludzkości, co przeminęła; należy ją szanować, nie wolno jednak zamykać się w niej i chcieć w niej żyć.

Wielkie bazyry, na których handlują rozmaitymi towarami, a zwłaszcza korzeniami, to długie i szerokie sklepione galerie z chodnikami i sklepami pełnymi rozmaitych przedmiotów po obu ich stronach. Broń, uprząż na konie, wyroby jubilerskie, artykuły spożywcze, wyroby skórzane, szale kaszmirowe i perskie, materie z Europy, dywany z Damaszku i z Karamanii, esencje i pachniała z Konstantynopola, nargile i fajki różnego kształtu i rozmaitej ceny, bursztyny i korale, rżnięte na użytek mieszkańców Wschodu jako ustniki do fajek, składy tytoniu krajanego lub zwijanego niby ryży złotego papieru, ciastkarnie z apetycznymi ciastkami, wabiącymi swoim kształtem i różnorodnością, wspaniałe sklepy cukierników z niezliczoną różnorodnością cukierków, owoców smażonych, cukrów różnego rodzaju, składy apteczne technące wonią, co napelniała cały bazar, płaszcze arabskie tkane z koziej wełny przetykanej złotem, zasłony kobiece haftowane złotymi i srebrnymi cekinami, a pośród tego wszystkiego nie-

przebrany i coraz to zmieniający się tłum Turków kroczących pieszo, z fajkami w ustach lub w rękach, a za nimi — ich niewolnicy, ich żony z zasłoniętymi twarzami w towarzystwie Murzynek niosących piękne dzieci, paszowie na koniach jadący stępą wśród owego zwartego i milczącego tłumu, powozy tureckie niczym złożone klatki, pełne kobiet, które niekiedy kazały zatrzymywać się przed sklepami jubilerskimi i targowały się o cenę jakiegoś klejnotu: oto wygląd takiego bazaru. Gdyby je wszystkie złączyć w jedną galerię, wiele miałaby mil długości. Te bazyry, gdzie bezustannie trzeba się o kogoś ocierać, gdzie Żydzi rozkładają i sprzedają odzież po zapowietrzonych, są najgroźniejszymi ogniskami zarazy. Morowe powietrze właśnie w tych dniach wybuchło w Perze, gdzie nastąpiło pięć czy sześć przypadków śmiertelnych, z obawą więc przeciskaliśmy się przez ten tłum, który zaraza jutro może zdziesiątkować.

18 czerwca.

Dni spędzone w naszej samotni w Bujukdere z widokiem na Bosfor i Morze Czarne; studia, lektura. Wieczorem przejażdżki kaikiem do Konstantynopola, do Belgradu i jego nieporównanych lasów<sup>38</sup>, ku wybrzeżom Azji, do ujścia Euksynu, do Doliny Róż za górami Bujukdere. Często tam bywam. Uroczą tę dolinę nawadnia źródło, u którego Turcy upajają się wodą, chłodem, wonią róż i śpiewem bulbula, czyli słowika; nad źródłem rośnie pięć ogromnych drzew; kawiarnia pośród liści pod ich cieniem; dalej zwięzająca się dolina wiedzie na skłon góry, gdzie dwa sztuczne jeziora, zbierające wodę, co spływa ze źródła, śpią pod rozłożystym sklepieniem platanów. Wieczorem nad ich brzegiem Ormianki ze swoimi rodzinami zasiadają do wieczerzy. Wokół drzew uroczę grupy tańczących z sobą dziewcząt; skromne i ciche zabawy mieszkańców Wschodu. Widać, że ich bawi wewnętrzna gra myśli. Bardziej niż my odczuwają przyrodę. Drzewa i źródła nigdzie nie mają prawdziwszych wielbicieli. Ich dusze współbrzmia z pięknościami ziemi, morza i nieba. Kiedy wieczorem wracam z Konstantynopola w kaiku i płynę przy świetle księżycy wzdłuż brzegów europejskich, widzę ciągnący się na milę łańcuch kobiet, dziewcząt i dzieci, siedzących w milczeniu, gromadami, na granitowych nadbrzeżach lub na parapetach tarasów ogrodowych: spędzają tu nocne godziny na przypatrywaniu się morzu, lasom, księżycowi, na oddychaniu nocną ciszą. Nasz lud nie odczuwa już tych uroków przyrody: zużył już swoje uczucia; trzeba mu uciech sztucznych i jeszcze tylko występki

mogą go poruszyć. A ci, do których przyroda przemawia dotąd na tyle głośno, aby ją mogli zrozumieć i wielbić, to marzyciele i poeci: biedacy, którym wystarcza głos Boga w jego dziełach, przyroda, miłość i ciche rozpamiętywanie.

W Bujukdere i w Therapii przebywa wiele znajomych osób: spośród Rosjan i dyplomatów są tu hrabia Orlów, pan Buteniew, poseł rosyjski w Konstantynopolu, uroczy, szlachetny człowiek, filozofii mąż stanu, baron von Stürmer, internuncjusz austriacki<sup>39</sup>, pełen uprzedzającej dla mnie życzliwości.

*20 czerwca.*

Poznałem tu pewnego miłego, wytwornego człowieka, jednego z tych, co potrafią przezwyciężyć nieprzyjazny sobie los i na fali, która miała ich pograżyć, dopływają do brzegu. Pan Calosso, oficer piemoncki, jak wielu jego współtowarzyszy, naraził się, uczestnicząc w próbie przewrotu wojskowego w Piemontcie w roku 1820<sup>40</sup> i proskrybowany wraz z innymi, nie znalazłszy nigdzie ani przychylności, ani schronienia, przybył do Turcji. Stał przed sułtanem, oświadczając, że gotów zostać instruktorem jego jazdy; wkrótce został jego ulubieńcem i najbliższym doradcą wojskowym. Uczciwy, zręczny i ostrożny, sam powściągał niebezpieczną łaskę, która mogła go wystawić na cel zazdrości. Jego skromność i serdeczność spodobały się nadwornym paszom i ministrom Dywanu. Wszędzie zyskał przyjaciół i umiał ich u-trzymać tymi zaletami, które mu ich zjednały. Sułtan wyniósł go, nie żądając od niego wyrzeczenia się narodowości "i wiary. Teraz jest dla wszystkich Turków Rustem Bejem, a dla Franków — miłym i usługowym Frankiem. Stał się mnie poznać i ofiarował swoje usługi we wszystkim, co tylko mógł dla mnie uczynić swoim wpływem w Dywanie i w Seraju: wszędzie dozwolony wstęp, przyjaźń kilku znakomitszych urzędników dworu, ułatwienia w poznaniu i zwiedzaniu wszystkiego, czego żaden podróżny chrześcijanin, a nawet żaden poseł nigdy nie mógł uzyskać. Przy jego pomocy postanowiłem zwiedzić cały Seraj, do którego po lady Wortley Montagu<sup>41</sup> nikt wejść nie zdołał. Będziemy się starali obejrzeć jutro obaj tę tajemniczą siedzibę, której pan Calosso sam jeszcze nie zwiedzał, ale gdzie ma dobre stosunki z pierwszymi urzędnikami pałacowymi.

Zaczeliliśmy od złożenia wizyty Namikowi Paszy<sup>42</sup> jednemu z młodych ulubieńców sułtana, który zaprosił mnie na śniadanie do swoich koszar w Skutari i dał mi konie, abym mógł zwiedzić góry w Azji. Namik Pasza miał tego dnia dyżur w pałacu sułta-



na w Bejlerbej, nad brzegami Bosforu. Popłyneliśmy tam. Ze względu na godność i na łaskę sułtana, którą cieszył się Rustem Bej, pozwolono nam przebyć bramy i obejrzeć okolice pałacu władcy, który właśnie miał popłynąć do jakiegoś małego meczetu w jednej z wiosek na wybrzeżu europejskim, po drugiej stronie Bosforu, naprzeciw Bejlerbej. Kaiki sułtana, przepyszenie ustrojone, były przycumowane wzdłuż nabrzeża ciągnącego się przed pałacem, a jego wspaniałe konie arabskie stały pod opieką saisów na dziedzińcach, aby sułtan mógł ich dosiąść, gdy pędzie przebywał ogrody. Weszliśmy do jednego ze skrzydeł pałacowych, w którym przebywają paszowie, oficerowie służbowi. i zarząd pałacu. Mijaliśmy rozległe sale, gdzie krążył tłum wojskowych, urzędników i niewolników. Wszędzie panował nieustanny ruch jak w jakimś ministerstwie lub w jakimś pałacu w Europie w dniu uroczystej audiencji. Wnętrze pałacu nie było urządzone ze zbyt wielkim przepychem; sofy i kobierce, ściany malowane al fresco i żyrandole kryształowe stanowiły całą jego ozdobę. Porzucenie ubioru wschodniego — zawoju, płaszcza podbitego futrem, szarawarów, kaftana przetykanego złotem — dla źle skrojonej i śmiesznie noszonej odzieży europejskiej sprawiło, że poważny i uroczysty wygląd tego ludu zamienił się w mizerną parodię Franków. Gwiazda brylantowa, lśniąca na piersiach pa-szów i wezyrów, to jedyna wyróżniająca ich ozdoba, która przypomina dawną ich świetność.

Przeprowadzono nas przez mnóstwo sal napełnionych tłumem aż do małego salonu wychodzącego na zewnętrzne ogrody pałacu sułtana. Tam przyszedł do nas Namik Pasza, usiadł z nami, kazał przynieść fajki i sorbety i przedstawił wielu młodych paszów, którzy wraz z nim cieszą się względami władcy. Pułkownicy ni-zamu, czyli wojsk regularnych gwardii, przyłączyli się do nas i wdali w rozmowę. Namik Pasza, który wrócił niedawno z poselstwa do Petersburga<sup>43</sup>, mówił po francusku z łatwością i smakiem. Jego sposób obejścia, przejęty od Rosjan, przypominał obejście wykwintnego dyplomaty europejskiego. Wydał mi się dowcipny i przebiegły. Halil Pasza, który był admirałem, a potem zaślubił córkę sułtana, mówił również bardzo dobrze po francusku. Achmet Pasza to także młody modniś turecki, posiadający ogładę Europejczyka. Nic w tym pałacu nie przypominało, że to dwór azjatycki, poza czarnymi niewolnikami, eunuchami, okratowanymi oknami haremu, pięknymi drzewami, rzucającymi cień, i błękitnymi wodami Bosforu, na które padał nasz wzrok, ilekroć spoglądaliśmy na ogrody. Mówiliśmy ostrożnie, ale szcze-

rze, o stanie układów między Egiptem, Europą i Turcją, o dokonanych już i o przyszłych postępach Turcji w taktyce i w prawodawstwie oraz o polityce rozmaitych mocarstw względem Turcji. W naszych rozmowach nic nie świadczyło, że mówiliśmy o tak zwanych barbarzyńcach z barbarzyńcami i że cokolwiek z tej rozmowy mogłoby dojść do ucha sułtana, tego cienia Allacha. Nie byłaby ani poufałej, ani gruntowniej, ani też z większym wykwintem prowadzona w salonach Londynu czy Wiednia. Ta młodzież, chciwa nauk i postępu, mówiła o swoim położeniu i o sobie ze szlachetną i wzruszającą skromnością.

Ponieważ zbliżała się godzina modlitwy, pożegnaliśmy naszych gospodarzy, odłożywszy na inny czas prośbę o pozwolenie przedstawienia się sułtanowi. Namik Pasza powierzył nas pułkownikowi gwardii sułtana, któremu zlecił, aby nam towarzyszył i dopomógł dotrzeć do pierwszego dziedzińca meczetu, do którego sułtan miał wkrótce przybyć. Przepłynęliśmy Bosfor; umieszczono nas tuż u wejścia do małego meczetu, na stopniach do niego prowadzących. W kilka minut później usłyszeliśmy odgłos dział bijących z okrętów i z fortów, które co piątek oznajmiają stolicy, że sułtan udaje się do meczetu, a dwa kaiki cesarskie odbiły od brzegu Azji i lotem strzały przecięły Bosfor. Przepych najwspanialszych koni i powozów nie może się równać ze wschodnim przepychem tych złożonych kaików; dzioby ich, niczym orle skrzydła, wystają przed nimi na dwadzieścia stóp, a dwudziestu czterech wiosłarzy, jednocześnie unosząc i opuszczając długie wiosła, naśladuje miarowy ruch dwóch ogromnych skrzydeł i za każdym uderzeniem wznosi zasłonę piany, pokrywającą rufy kaiku, który, dźwigając na sobie pawilon z jedwabiu, piór i złota, pozwala oglądać spod odwiniętych kotar sułtana na kaszmirowym tronie, a paszów i admirałów u jego stóp. Gdy kaik przybił do lądu, władca wybiegł lekko, opierając się na ramieniu Achme-ta i Namika Paszy. Kapela gwardyjska zagrała fanfarę, a on przeszedł szybko między dwoma rzędami oficerów i widzów.

Sułtan Mahmud ma lat czterdzieści pięć, wzrost średni, wygląd wykwintny i szlachetny, oczy niebieskie i łagodne, cerę rumianą, ciemną, wyraz twarzy świadczący o zyczliwości i rozumie, brodę czarną, lśniąca, która w gęstych kędziorach spada na piersi: ta broda to ostatni ślad narodowego obyczaju, jaki zachował. Gdyby nie nakrycie głowy, można by go wziąć za Europejczyka. Miał na sobie spodnie i buty, surdut ciemny z kołnierzem obszytym brylantami, małą czerwoną wełnianą czapkę z kwastem z drogich kamieni; chód jego był pośpieszny, a wejście

niespokojne; coś go musiało zaskoczyć lub też bardzo się czymś przejął; mówił coś ze wzburzeniem do towarzyszących mu paszów; gdy zbliżył się ku nam, wchodząc na stopnie, zwolnił krok, obrzucił nas życzliwym spojrzeniem, pochylił lekko głowę, (gestem kazał Namikowi Paszy odebrać prośbę, którą mu podawała jakaś Turczynka z zasłoniętą twarzą, i wszedł do meczetu. Był tam tylko dwadzieścia minut. Przez cały ten czas orkiestra vjroj--skowa grała wyjątki z oper Mozarta i Rossiniego. Wyszedł wreszcie z twarzą jaśniejącą i pogodniejszą, kłaniał się na prawo i na lewo, szedł z wolna ku morzu i śmiejąc się, skoczył do swojej łodzi. W jednej chwili widzieliśmy go już u brzegu Azji, wracającego do swoich ogrodów w Bejlerbej.

Niepodobna pozostać obojętnym, widząc wyraz twarzy Mahmuda, i nie życzyć skrycie powodzenia władcy, którego rysy świadczą o męskim zapale i głębokiej wrażliwości. Lecz, niestety, życzenia te zastygają w sercu, kiedy pomyślimy o posępnej przyszłości, która go czeka. Gdyby był prawdziwie wielkim człowiekiem, odmieniłby swój los i przezwyciężył swoje tragiczne przeznaczenie.<sup>44</sup> Jeszcze czas na to, jak długo naród nie umarł, jak długo w nim, w jego religii i w jego poczuciu wspólnoty, tkwi dość energii i woli zmartwychwstania, które człowiek obdarzony geniuszem i silny duchem może obudzić, poruszyć, odrodzić i doprowadzić do chwalebnej przemiany. Ale Mahmud jest tylko człowiekiem wielkiej odwagi. Nieustraszony, gdy idzie o walkę lub śmierć, traci hart woli, gdy trzeba działać i panować. Jakikolwiek los go spotka, historia będzie go żałować i odda mu cześć. Próbował wielkich rzeczy; pojął, że jego lud zginie, jeżeli go nie przekształci; obciął siekierą uschłe gałęzie drzewa, ale nie umiał zapłodnić i ożywić tego, co jeszcze pozostało ze zdrowego i silnego pnia. Czyż to jego wina? Tak myślę. To, co miał do zrobienia, było niczym w porównaniu z wytopieniem janczarów: w Turcji nikt już nie stawiał oporu. Stracił, wyborną sposobność. Lata minęły. Odważny Ibrahim obrócił niepopularność sułtana na swoją korzyść.<sup>45</sup> Zgodzono się na opiekę Rosji: ta haniebna opieka naturalnego wroga przeciw zbuntowanemu niewolnikowi wzburzyła muzułmanów. Mahmudowi pozostała jedynie jego odwaga osobista. Otoczony dworzanami i zdrajcami, wskutek jakichś zamieszek może utracić tron i wtrącić państwo w ostateczny bezrząd.<sup>46</sup> Turcji zależy na życiu sułtana: cesarstwo bowiem zginie wraz z nim. Oto nieuchronne i tragiczne przeznaczenie władcy, który ginąc pociągnie za sobą dwie najpiękniejsze części Europy i Azji!

21 Czerwca.

O jedenastej przybiliśmy do przystani starego Seraju i weszliśmy w otaczające go ulice. Przechodząc zwiedziłem Dywan Porty, rozległy pałac stanowiący siedzibę wielkiego wezyra, gdzie omawia się politykę państwa; nie ma tu nic godnego uwagi poza wspomnieniem wydarzeń, których to miejsce było widownią; nic w stylu tej budowli nie przychodzi na pamięć tylu krwawych dramatów. Jest to wielki pałac z malowanego drewna, jego schody zewnętrzne kryje przeddasze wykrojone w festony w stylu hinduskim lub chińskim. Sale nie są niczym zdobione, podłogi okryte matami. Zeszliśmy stamtąd na plac, na który z groźnych podwoi Seraju tak często wyrzucano skrwawione głowy wezyrów, a nawet sułtanów. Minęliśmy owe podwoje bez przeszkód. Publiczność może wchodzić na pierwszy dziedziniec Seraju. Rozległy ten dziedziniec, wysadzony grupami pięknych drzew, obniża się z lewej strony ku okazałej siedzibie Mennicy, budowli współczesnej, pozbawionej wszelkiej cechy wschodniej.

Przyjęli nas kierujący Mennicą Ormianie i pokazali nam wytwarzane dla Seraju klejnoty zamknięte w kasetach. Deszcz pereł i diamentów, nieszczęsne bogactwa, które gubią państwo! Z chwilą gdy jakiś kraj się cywilizuje, te idealne wyobrażenia bogactwa zmieniają się w bogactwa rzeczywiste i dające pożytek, w ziemię i kredyt. Krótco się tu zatrzymałem: weszliśmy na ostatni, niedostępny dla publiczności, dziedziniec Seraju, na który wolno wchodzić tylko osobom tu zatrudnionym oraz ambasadorom w dniu ich przyjęcia: otacza go mnóstwo skrzydeł pałacowych i oddzielnie stojących pawilonów; są to mieszkania eunuchów, straży, niewolników; wodotryski i drzewa dają tu chłód i cień. Kiedy przybyliśmy do trzeciej bramy, żołnierze trzymający straż w żaden sposób nie chcieli nas przepuścić. Nadaremnie Rustem Bej usiłował przekonać dowodzącego nimi oficera, mówiąc, kim jest; oficer zasłonił się rozkazem i oświadczył, że gdyby mnie wpuścił, zapłaciłby za to głową. Wracaliśmy markotni, gdy spotkał nas kesnedar, czyli wielki podskarbi, który wracał z Mennicy i wchodził do Seraju do swego mieszkania. Jako przyjaciel Rustem Beja podszedł do niego, a dowiedziawszy się o przyczynie naszej troski, rzekł, żebyśmy poszli za nim, i wprowadził nas. bez przeszkód na dziedziniec Paziów. Na tym dziedzińcu, mniejszym od poprzedzających, widać było mnóstwo pałacyków w kształcie pawilonów, z dachami bardzo niskimi, które wystają na siedem lub osiem stóp nad ścianami i wspierają się na kolumnkach lub mauretańskich filarkach z malowanego

drewna. Kolumny, filary, ściany i dachy są także z drewna, ozdobione snycerską robotą i pomalowane rozmaitymi kolorami. Podwórza i ogrody urządzone między owymi pawilonami, nieregularnie wypełniające cały ten obszar, były również bezładnie wy-sadzone bardzo pięknymi, starymi drzewami, których gałęzie opadały na budowle i okrywały dachy oraz tarasy. Prawe skrzydło stanowiły kuchnie; wielka budowla, której liczne kominy i zewnętrzne ściany szernione dymem świadczyły o jej przeznaczeniu.

Można sobie wyobrazić wielkość tej budowli, kiedy powiemy, że sułtan żywi wszystkie osoby przydzielone do jego dworu i pałaców i że tych biesiadników jest co najmniej dziesięć tysięcy dziennie. Nieco na przedzie, przed korpusem kuchennym, stoi prześliczny pałacyk, otoczony na parterze galerią, czyli portykiem: to pałacyk paziów, czyli ikoglanów, Seraju; sułtan każe tu wychowywać i uczyć synów z rodzin swoich dworzan lub młodych niewolników przeznaczonych na urzędy w Seraju lub w administracji państwowej. Ten pałac, który niegdyś był siedzibą sułtanów, jest zewnątrz i wewnątrz ozdobiony mnóstwem cyzelunków, rzeźb i złoconych gzymsów, lecz mimo to nie pozbawiony smaku. Sufity są tak bogate jak w najpiękniejszych pałacach we Francji lub we Włoszech, posadzki mozaikowe. Mnóstwo tu sal jednakowej prawie wielkości: w salach tych po lewej i prawej stronie pełno nisz i ław z rzeźbionego drzewa, które przypominają najpiękniej wykonane stalle na chórach naszych starych katedr. Każda z tych nisz to pokój ikogłana; w jej głębi jest wzniesienie, na którym paż składa poduszki i kobierce i gdzie przechowuje swoją odzież, wieszając ją lub chowając w skrzyni z połączanego drzewa. Nad owymi stallami wznosi się rodzaj galerii, również wystającej, podzielonej, pełnej ozdób i ornamentów, która zawiera tyle stali i sala niższa. Światło pada przez kopuły lub przez małe okienka u szczytu budowli. Młodzi iko-glanowie, którzy wszyscy byli dawniej uczniami Rustem Beja, przyjęli go z radością i z oznakami najtkliwszego przywiązania. Nawet ojca dawno oczekiwanego nie powitano by z większą czułością. Serdeczność tych dzieci do łez go wzruszyła; nie mogłem pozostać obojętnym świadkiem tych tak wylewnych i szczerych dowodów przywiązania i wdzięczności: chwytali go za ręce i całowali poły jego surduta.

„Rustem Bej! Rustem Bej!” — wołali jedni do drugich i wszyscy przybiegli do swojego przyjaciela, drząc i rumieniąc się ze wzruszenia i radości. Nie mógł się uwolnić od ich pieszczot, prze-

mawiali do niego tak czule: „Dlaczego nas tak długo nie odwiedzałeś? Byłeś naszym ojcem, tęsknimy za tobą. Wszystko, co umiemy, tobie zawdzięczamy. Allah i sułtan przysłali cię, abys' zrobił z nas ludzi; byliśmy tylko niewolnikami, synami niewolników. Nazwa Turka była obelgą, drwiną w Europie; teraz potrafimy jej bronić z honorem. Ale powiedz sułtanowi, żeby cię znów do nas przysłał; już się nie uczymy, usychamy z nudów i smutku.”

Pięciu czy sześciu tych młodzieńców, o miłym, szczerym, inteligentnym, pięknym wyglądzie, ujęło nas za ręce i oprowadzało wszędzie. W końcu zaprowadzili nas na salę rekreacyjną; był to pawilon, z którego ścian spływała z umieszczonych w nich fontann woda do marmurowych mis; wokół opodal ścian stały sofy; schody, ukryte w grubej ścianie, prowadziły do kredensu, gdzie liczni niewolnicy posługujący ikoglanom mają zawsze na podorędziu węgle do fajek, kawę, sorbety, lód i wodę. W tej sali były wszelkiego rodzaju gry; wielu grało w szachy. Kazali nam podać sorbety oraz lody i leżąc na sofie, długo rozmawialiśmy o ich postępkach w nauce, o polityce Europy, o losie państwa: rozprawiali o tym z wielką znajomością rzeczy; stan obecny oburzał ich, życzyli sułtanowi powodzenia w jego przedsięwzięciach mających na celu odnowę. Kiedy mówili o odrodzeniu kraju, ich oczy płonęły takim zapalem, jakiego nigdy jeszcze nie widziałem. Nawet młodzi Włosi, kiedy im mówić o niepodległości i o oświacie, nie okazują takiego uniesienia. Kiedy rozmawialiśmy z nimi, twarze ich pałały. Najstarsi mieli może od dwudziestu do dwudziestu dwóch lat, a najmłodszy od dwunastu do trzynastu. Piękniejsze twarze niż niektórych tu dzieci widziałem tylko w przytułku wojskowym dla sierot po marynarzach w Green-wich.<sup>47</sup> Nie chcieli nas puścić i oprowadzali po wszystkich ogrodach, dziedzińcach i okolicznych pawilonach, aż do miejsc, gdzie już im nie dozwolono chodzić. Kilku z oczyma pełnymi łez żegnało Rustem Beja.

Kesnedar polecił tymczasem eunuchom i stróżom ogrodów i pałaców, aby nam wszędzie i wszystko pozwalano zwiedzać i aby nas wpuszczano, gdzie tylko będziemy chcieli. W głębi dziedzińca, nieco dalej za siedzibą ikoglanów, jakiś wielki pałac zasłaniał nam widok i drogę: była to rezydencja sułtanów; otacza go dokoła, podobnie jak przedtem oglądane przez nas pawilony i pałace, kryta galeria utworzona z przedłużenia dachu, na którą wychodzą niezliczone drzwi i okna apartamentów. Pałac jest parterowy. Weszliśmy do wielkich sal, które służy jako

przedsiónek i prowadzą do różnych pokoi. Przedsiónek ma kształt symetryczny; jest to labirynt filarów, które podtrzymują dach i sufity i tworzą obszerne, koliste korytarze dla służby. Filary, sufity, ściany, wszystko jest z malowanego drewna, okrytego rzeźbą w guście mauretańskim. Podwoje pokoi cesarskich były otwarte; obejrzelśmy ich mnóstwo, wszystkie prawie były podobne pod względem rozkładu i stiukowych złożonych ozdób na sufitach. Kopuły z drewna lub z marmuru, powycinane w arabeski, przepuszczają łagodne, zacięnione światło; szerokie i niskie sofy stoją wokół ścian; żadnych sprzętów, żadnych siedzeń, tylko kobierce, maty i poduszki; okna, umieszczone o pół stopy nad posadzką, wychodzą na dziedzińce, galerie, tarasy i ogrody: oto wszystko. Z drugiej strony pałacu, przeciwległej do tej, którą weszliśmy, ciągnie się taras zbudowany z kamienia i wyłożony płytami marmurowymi. Piękny pawilon, w którym zasiada sułtan, przyjmując posłów, wznosi się na tym tarasie w odległości kilku sążni od pałacu; przypomina jakąś kapliczkę w stylu mauretańskim. Wokół jego ścian biegnie sofa: nad nią okrągłe okna: piękny stąd widok na Konstantynopol, na port, na morze Marmara i na Bosfor w całej ich okazałości. Na otwartej galerii między tym pawilonem i pałacem biją marmurowe fontanny. Urocze miejsce przechadzki. Gałęzie krzewów i róż, rosnących w ogródkach na niżej położonych niewielkich tarasach, pną się po balustradach i kratkach i napęlniają swoją wonią pałac. Na murach wisi kilka obrazów malowanych na marmurze i na drewnie: są to widoki Mekki i Medyny. Przypatrywałem się im ciekawie. Wyglądały jak plany bez perspektywy: zupełnie zgodne z tym, co Ali Bej mówi o Mekce, o Kaabie i o miejscach, gdzie znajdują się sanktuaria w tym świętym mieście.<sup>48</sup> Stanowiły dowód, że ten podróżnik zwiedził je rzeczywiście. Potwierdzały to, co mówi o kolistej galerii, otaczającej obszar, na którym wznoszą się rozmaite meczety. Widać tu było ów portyk, przypominający portyk wokół placu przed bazyliką Świętego Piotra w Rzymie.

Idąc wzdłuż owego tarasu w lewo, przez wąski balkon wsparty na wysokich tarasach, dochodzi się do haremu, czyli pałacu sułtanek. Był zamknięty i tylko niewiele zostało tu odalisek. Nie podchodziliśmy bliżej do tej siedziby zakazanej dla oka. Widzieliśmy jedynie okratowane okna i prześliczne balkony, także o-toczone kratą i żaluzjami, pośród których wiją się kwiaty, skąd kobiety całymi dniami patrzą na ogrody, miasto i morze. Spoglądaliśmy w głąb ogrodów otoczonych murami z marmuru, zraszanych wodą tryskającą z fontann i starannie, symetrycznie obsa-

dzonych rozmaitymi gatunkami kwiatów i pachnących krzewów. W ogrodach tych, do których zstępuje się po schodach i które łączą się z sobą, wznoszą się gdzieniegdzie prześliczne pawilony; tam właśnie kobiety i dzieci z haremu przechadzają się i napawają urokami przyrody.

Podeszliśmy do miejsca, gdzie obszar Seraju zaczyna opadać w stronę portu i morza Marmara. Jest to najwyższy punkt w tej jedynej w świecie okolicy i wzrok ogarnia stąd wszystkie wzgórza i wszystkie morza Konstantynopola. Przystanęliśmy tu na dłużej, aby napawać się tym widokiem. Widziany stąd krajobraz jest jak gdyby drugą stroną opisanego przeze mnie widoku z belwederu w Perze. Kiedy siedzieliśmy na tarasie pałacowym, wybiła godzina obiadu i ujrzelśmy mnóstwo niewolników niosących na głowach ogromne misy cynowe z obiadem dla oficerów, urzędników, eunuchów i kobiet w Seraju. Byliśmy na kilku takich obiadach. Składały się z pilawu, z drobiu, z kubesów, małych gałeczek z ryżu i mięsa siekanego, zapiekanych w liściach winorośli, z placuszków podobnych do andrutów i z wody. Gdziekolwiek niewolnik napotkał swojego pana, tam zastawiał obiad, czy to w kącie sali pałacowej, czy na tarasie, czy pod cieniem dachu, czy w ogrodach, pod drzewem, przy wodotrysku.

Kesnedar przyszedł do nas i zaprowadził do pawilonu, w którym mieszka, naprzeciw skarbcu serajowego. Ów skarbiec, gdzie od utworzenia cesarstwa nagromadzono tyle nieprzeliczonych bogactw, to wielka budowla z kamienia, z krytym portykiem. Gmach bardzo niewysoko wznosi się nad ziemią; drzwi są niskie, a pokoje podziemne. Wielkie skrzynie, czerwono malowane, są pełne złotych i srebrnych monet. Co tydzień wyjmuje się ich stamtąd pewną ilość na potrzeby państwa. Wiele skrzyń stało w portyku. Nie prosiliśmy, aby nam pozwolono wejść do skarbcu, ale powiadają, że oprócz złotych i srebrnych monet w skarbcu są całe stosy pereł i diamentów. To całkiem prawdopodobne, ponieważ sułtanowie zawsze tam składają wszelkie bogactwa, a czerpią z nich tylko w ostateczności, gdy tego wymaga skrajnie niepomyślne położenie państwa. Ponieważ wartość drogich kamieni jest umowna, sułtan, gdyby chciał je spieniężyć, obniżyłby ich wartość proporcjonalnie do ilości klejnotów przeznaczonych do sprzedaży, toteż owe zasoby, które wydają się tak ogromne, może wcale takie nie są.

Kesnedar, człowiek szczery, wesoły, dowcipny, wprowadził mnie do swojego mieszkania. Po raz pierwszy w Turcji ujrzałem tu nieco zbytku w umeblowaniu i trochę wygód europejskich: wy-



sokie sofy, okryte jedwabnymi poduszkami, stoliki, półki drewniane wokół ścian, na nich rejestry, książki, mapy i globus. Podano nam konfitury i sorbety. Mówiliśmy o sztuce, o oświacie europejskiej w porównaniu ze stanem oświecenia w państwie otomańskim. Kesnedar wydał mi się tak światły i tak wolny od przesądów jak jakiś Europejczyk. Rozumiał wszystko, pragnął, aby sułtan pomyślnie przeprowadził swój zamiar wprowadzenia ulepszeń; ale będąc już w wieku podeszłym i spędziwszy całe życie na wysokich urzędach pod czterema sułtanami, wydawał się niewielką mieć nadzieję i z filozoficzną rezygnacją myślał o przyszłości. W głębi tego opuszczonego Seraju wiodł życie spokojne i samotne. Długo mnie rozpytywał o najróżniejsze rzeczy, o filozofię, religię, poezję, o wierzenia ludów europejskich, o ustroje rozmaitych państw, czy to monarchii, czy republik, o politykę, o sztukę wojenną, a o wszystkim mówił z taką trafnością, tak rozumnie i rozważnie, tyle okazywał zdrowego rozsądku, że nie wątpiłem, iż mam do czynienia z jednym z najwybitniejszych ludzi w państwie. Przyniósł mi globus sfer niebieskich i globus ziemi i chciał, abym mu wyjaśnił ruchy gwiazd i podział ziemi. Zapisał sobie wszystko i wydawał się zachwycony. Prosił mnie usilnie, żebym u niego został na wieczery i przenocował. Z wielkim trudem oparliśmy się jego naleganiom, co udało mi się dopiero wtedy, gdy mu powiedziałem, że moja żona i przyjaciele, wiedząc, iż jestem w Seraju, byłiby w śmiertelnej trwodze, gdybym nie wrócił. „W istocie — rzekł — jesteś pierwszym Frankiem, który wszedł tutaj, i dlatego powinieneś być przyjęty jak przyjaciel. Sułtan jest wielki, a Allach ma wszystkich w swojej opiece!” Odprowadził nas aż do wewnętrznych schodów, które prowadzą z tarasowej platformy pałacu sułtana do labiryntu o-gródków haremu, o których już mówiłem, i powierzył nas pieczy naczelnika bostandżich, który, prowadząc nas od pawilonu do pawilonu, od kwater ogrodowych do kwater ogrodowych, wysadzanych kwiatami, zraszanych przez fontanny, doszedł z nami aż do bramy w wysokim murze, który oddziela wewnątrz znajdujące się pałace Seraju od wielkich, ciągnących się na zewnątrz błoni. Tu znaleźliśmy się pod ogromnymi platanami, wznoszącymi się na przeszło sto stóp przy murach i wysokich balkonach haremu. Drzewa te tworzą tu las lub stoją kępami na zielonych błoniach; dalej rosną drzewa owocowe i ciągną się wielkie ogrody warzywne, uprawiane przez czarnych niewolników, których chaty stoją pod drzewami. Te nieregularnie uformowane warzywniki są nawadniane strumieniami.

## KONSTANTYNOPOL

W pobliżu haremu wznosi się stary, wspaniały pałac Bajazeta, oddany na pastwę pnącym się bluszczom i nocnemu ptactwu. Zbudowano go z kamienia w przesłicznym stylu arabskim. Łatwo można by go przywrócić do dawnego stanu, a byłby wart tyle, ile cały Seraj, lecz wieść niesie, że zamieszkują go złe duchy, toteż nigdy żaden Turek wejść się tam nie ośmieli.

Ponieważ byliśmy sami, wszedłem do kilku sklepionych podziemi tego pięknego pałacu, zarzuconych gruzem i kamieniami; mury i schody, którym zdążyłem się przyjrzeć, wydały mi się niezwykle wykwinicie wykończone. Doszedłszy do jednej z bram w murach Seraju, zawróciliśmy, idąc ciągle przez las platanów, sykomor i cyprysów, największych, jakie kiedykolwiek widziałem, i obeszlśmy dokoła ogrody zewnętrzne. Znaleźliśmy się tym sposobem znowu nad brzegami morza Marmara, gdzie znajdują się dwa czy trzy wspaniałe pałace, stanowiące letnie rezydencje sułtanów. Apartamenty wychodzą na kanał i są ciągle ochładzane powiewem wiatru. Nieco dalej, na wzgórzach okrytych murawą, widać małe meczety, pawilony, baseny otoczone marmurowymi cembrowaniami i ocienione olbrzymimi drzewami. Tu osiedliśmy .pośród kwiatów i szemrzących wodotrysków. Za nami wyniosłe mury Seraju, a przed nami pochyła błoń idąca aż ku morzu; między morzem i nami rząd cyprysów i platanów wznoszących się wzdłuż muru obwodowego, a poprzez ich wierzchołki widok na morze Marmara, na Wyspy Książęce, na żaglowce, których maszty przesuwają się między drzewami, na Skutari zaczerwienione od promieni zachodzącego słońca; ozłoczone szczyty Góry Olbrzymów i ośnieżone wierzchołki gór frygijskich stanowiły ramę tego boskiego krajobrazu.

Oto wnętrze tej tajemniczej siedziby, najpiękniejszej z siedzib. na ziemi, widowni tylu krwawych wydarzeń, gdzie się zrodziło i wzrosło, lecz nie chce dokonać życia państwo otomańskie, od rzezi bowiem janczarów sułtan Mahmud już w nim nie mieszka. Jako człowiek łagodnych obyczajów, lubiący rozkosze, czuje wstręt do tych krwawych plam swojego panowania. Może też nie sądzi się bezpieczny wśród fanatycznej ludności Sztambułu i woli, mieszkając w swoich trzydziestu pałacach nad brzegami Bosforu, być w pobliżu zarówno Azji, jak swojej floty. Cechą ogólną tej wspaniałej rezydencji nie jest ani wielkość, ani wygoda, ani okazałość; są to namioty z połączanego drewna ze wszystkich stron otwarte. Cechą tych pałaców jest to, co cechuje lud turecki: bezgraniczne zrozumienie i umiłowanie przyrody. To instynktowne upodobanie do pięknych okolic, do lśniących mórz, do miejsc o-

cienionych, do źródeł, do bezkresnych krajobrazów, obramowanych ośnieżonymi łańcuchami gór, stanowi o charakterze tego ludu. Odczuwa się w tym tradycję ludu pasterskiego i rolniczego, który chętnie przypomina sobie swoje pochodzenie, a którego wszystkie upodobania są proste i instynktowne. Lud ten zbudował pałac swoich władców, stolicę swojego cesarskiego miasta, na skłonie najpiękniejszego wzgórza, jakie było w tym państwie, a może w całym świecie. Pałac ten nie odznacza się ani wewnętrznym przepychem, ani tajemniczymi rozkoszami jakiegoś pałacu europejskiego: są tu tylko rozległe ogrody, gdzie drzewa rosną swobodnie, od wieków, jak w dziewiczym lesie, gdzie szemrzają wody i gdzie gruchają gołębie, są pokoje z mnóstwem zawsze otwartych okien, tarasy wznoszące się nad ogrodami i nad morzem i okratowane pawilony, gdzie sułtanowie, siedząc za żaluzjami, mogą napawać się samotnością, a zarazem czarodziejskim widokiem Bosforu.

Wszędzie jest tak samo w Turcji: władca i lud, wielcy i mali, jedną tylko mają potrzebę, jednym tylko względem kierują się w wyborze i rozkładzie swoich mieszkań, a mianowicie, aby oko cieszyć się mogło pięknym krajobrazem lub też, jeżeli położenie czy ubóstwo ich domu to uniemożliwia, by mieć choćby jedno drzewo, ptactwo, barana, gołębie na małym skrawku ziemi wokół swojej chaty. Toteż gdziekolwiek tylko jest jakieś miejsce wyniosłe, górzyste, piękne, wszędzie tam widać meczet, pustelnię derwisza lub turecką chatkę. Nie ma takiego miejsca nad Bosforem, takiego wzgórza, takiej uroczej zatoki u brzegów Azji czy Europy, gdzie jakiś pasza lub wezyr nie zbudowałby willi i nie założył ogrodu. Usiąść w cieniu, naprzeciw jakiegoś wspaniałego krajobrazu, mając nad głową gęste sklepienie z liści, obok wodotrysk, wieś lub morze przed oczyma, i spędzać tam monotonna dnie i godziny na mglistym, nieokreślonym rozmyślaniu — oto życie muzułmanina; ono tłumaczy wybór i urządzenie tych siedzib; tłumaczy także, dlaczego ten lud jest beczynny i milczący, dopóki nie obudzą się w nim namiętności i nie przywróca mu wrodzonego zapału, któremu pozwala w sobie drzemać, lecz nigdy go nie traci. Nie ' tak rozmowny jak Arabowie, niewiele dba o przyjemności płynące z zaspokajania ambicji osobistych i zbiorowych; poprzestaje na radości, której mu dostarcza przyroda: marzy, rozmyśla i modli się. To lud filozofów, wszystko bierze z natury, wszystko oddaje Bogu. Bóg trwa bez przerwy w jego myślach i na jego ustach; nie jako jałowe pojęcie, lecz jako rzeczywistość dotykalna, widoma, doświadczana. Cnota jego po-

lega na nieustannym uwielbieniu woli Boga; jego dogmatem jest przeznaczenie.<sup>49</sup> Mając taką wiarę, można podbić świat i równie łatwo, z równym spokojem, można go utracić.

Wyszedłem bramą prowadzącą do przystani; wszedłem do pięknego pawilonu na nadbrzeżu, gdzie zwykł siadywać sułtan, gdy jego okręty wypływają lub wracają z jakiejś wyprawy i pozdrawiają swojego władcę.

*22 czerwca.*

Dwóch moich przyjaciół opuszcza mnie i wyjeżdża do Europy<sup>50</sup>; zostają w Bujukdere z moją żoną i panem de Capmas.

*25 czerwca.*

Dwudniowy pobyt w Belgradzie, wiosce położonej wśród lasu tej nazwy o cztery mile od Konstantynopola: ogromny las dębowy pokrywa wzgórze między Bosforem i morzem Marmara w jednakowej od nich odległości i ciągnie się nieprzerwanie aż do Bałkanów. Okolice tak dzika i tak powabna jak w żadnym z lasów Anglii, z piękną wioską grecką zbudowaną w rozległej dolinie pośród lasu; łąki arkadyjskie; rzeka płynie u podnóża dębów; wspaniałe sztuczne jeziora, utworzone na równinie między wyniosłymi wzgórzami jako wodozbiory zasilające fontanny Konstantynopola. Państwo Aléon, francuska rodzina bankierska z ojca na syna osiadła w Konstantynopolu, którzy posiadają prześliczną willę w Bujukdere i pałacyk myśliwski w Belgradzie, przyjęli nas do siebie; uroczą rodziną odznaczającą się wytwornością obyczajów, wzniosłością uczuć, ogładą umysłową, które łączą się z wdziękiem i pełną serdeczności prostotą Wschodu. W Konstantynopolu znalazłem jeszcze inne na wskroś francuskie towarzystwo w osobie pana Salzani, brata mojego bankiera w Smyrnie, człowieka zacnego, szlachetnego i rozumnego, który przyjął nas jak współziomków i jak przyjaciół. W ogóle towarzystwo Franków w Konstantynopolu, składające się z urzędników poselstw i konsulatów, z rodzin drogmanów i kupców pochodzących z rozmaitych narodów europejskich, przewyższa znacznie swoją sławę. Stanowiąc jak gdyby małe miasto ma oczywście wszystkie wady małego miasta, plotki i swarliwą ządrosć, ale odznacza się zarazem rzetelnością, oświatą, wykwintem i pełną uprzejmości szczerą gościnnością względem cudzoziemców. Wiedzą tu o wszystkim, co dzieje się w Europie, niczym w Wiedniu lub Paryżu. Są tu mężczyźni o wielkich zaletach i kobiety odznaczające się wdziękiem i cnotą. Byłem w takich salonach w Perze, w Bujuk-

## KONSTANTYNOPOL

dere i w Thérapii, że można by mniemać, iż to jakieś najznakomitsze salony w którejś ze stolic europejskich, gdyby nie widok Bosforu lub Złotego Rogu, co lśnił u kresu ogrodów między liśćmi drzew.

*29 czerwca 1833.*

Przejażdżka do Słodkich Wód Europy. W głębi portu konstantynopolińskiego wzgórze Eyub oraz te, na których wznoszą się Pera i Galata, zbliżają się ku sobie nieznacznie i morze tylko wąską odnogą przepływa między ich brzegami; z lewej strony rozciąga się przedmieście Eyub ze swoim meczetem, w którym sułtanowie przy wstąpieniu na tron przypasują miecz Mahometa <sup>51</sup> namaszczenie krwią, uświęcenie siły, religia despotyzmu muzułmańskiego. Meczet ten wznosi się ponad malowane domy przedmieścia, a szczyty jego minaretów łączą się na widnokręgu z ruinami wysokich greckich murów Konstantynopola. Nad brzegiem kanału, wzdłuż morza, rozciąga się piękny pałac sułtanek. Okna są na poziomie wód; rozłożyste, gęste korony drzew ogrodu wystają ponad dach i odbijają się w morzu. Dalej morze jest tylko rzeką płynącą między dwoma błoniami, pokrytymi wzgórkami, ogrodami i lasami. Kilku pasterzy bułgarskich, siedząc na skałach i pilnując stad koni i kóz, przygrywa na kobzach. Na koniec owa rzeka staje się strumieniem, wiosła kaiku dotykają tu obu brzegów, a korzenie wspaniałych wiązów, rosnących nad brzegami, utrudniają przeprawę. Rozległa łąka, ocieniona grupami platanów, ciągnie się po prawej stronie. Po lewej piętrzą się lesiste, zielone grzbiety; w głębi wzrok ginie między zielonymi i symetrycznie rozstawionymi rzędami drzew nad strumieniem, które osłaniając go swoim cieniem, wraz z nim wiją się kręto. Tak wygląda kres pięknego portu Konstantynopola; tak wygląda kres rozległego, pięknego, burzliwego Morza Śródziemnego. Łódź nieruchomieje w zacienionej przystani, w głębi zielonej zatoki, u brzegu, który porastają kwiaty i trawa, z dala od wrzawy i niepokoju morza i miasta. Ach, gdyby taki był kres życia człowieka, jakżeby był miły! Oby Bóg udzielił takiego kresu żywotom moich przyjaciół, którzy dziś jaśnieją pośród wzburzonej fali ludzkiej. Cisza po wrzawie, łagodny mrok po wielkim blasku i spoczynek po niepokojach. Jakiś cienisty, odludny zakątek, gdzie można by rozpamiętywać minione dni i umrzeć w pokoju i zgodzie z przyrodą i ludźmi. Gdy o mnie chodzi, o nic już nie proszę, nawet o to: moja samotność nie będzie ani tak piękna, ani tak słodka.

Wysiadłszy z kaika, poszedłem brzegiem strumienia aż do pawilonu, który białł się między drzewami. Pod każdym drzewem widziałem grupy Turczynek i Ormianek posilających się w cieniu pośród dzieci bawiących się na murawie. Konie wierzchowe w przepysznych rzędach i arby, wozy konstantynopolitańskie zaprzężone wołami, stoją tu i ówdzie na łące. Przed pawilonem i wokół niego widać kanał i sadzawki, po których pływają łabędzie. Ogrody są małe, lecz cała łąka jest ogrodem. Obecny sułtan nieraz tu przyjeżdżał w porze upałów. Lubił to urocze ustronie, ponieważ podobano się jego ulubionej odalisce. Po rzezi na At Mejdani miłość znalazła przystań w jego sercu, a piękna odaliska pośród rozkoszy haremu umarła tutaj. Z tą chwilą sułtan porzucił to czarowne miejsce. Mówią, że często odwiedza grób odaliski w ogrodach tego opuszczonego pałacu. Dzień spędzony w głębi doliny, pod cieniem drzew. Napisałem wiersz do V.<sup>52</sup>

*3 lipca.*

Dziś z rana wyruszyłem do Konstantynopola. Płynąłem w górę Bosforu, potem po morzu Marmara i po blisko dwugodzinnej przeprawie wzdłuż murów zewnętrznych, oddzielających Stambuł od morza, wysiadłem u podnóża zamku Siedmiu Wież. Nie mieliśmy ani należytych zaświadczeń, ani przewodnika. Żołnierze tureccy, po wielu trudnościach, pozwolili nam wejść na pierwszy dziedziniec tego krwawego zamku, do którego pospólstwo nieraz wlokło zrzuconych z tronu sułtanów, co oczekiwali tu śmierci, zawsze niechybnej, kiedy szalony lud jest zarazem sędzią i katem. Sześć czy siedem głów cesarskich stoczyło się po stopniach tych schodów. Tysiące głów bardziej pospolitych pokrywało blanki tej wieży. Strażnik nie pozwolił nam wejść dalej. Kiedy odszedł, aby zapytać o rozkazy komendanta twierdzy, uchyliłem drzwi jakiejś niskiej, sklepionej sali w wieży wschodniej. Postąpiłem kilka kroków, usłyszałem ryk wstrząsający sklepieniem i ujrzałem naprzeciw siebie wspaniałego przykutego lwa. Rzucił się na pięknego charta, który szedł za mną. Chart umknął i schronił się u moich nóg. Lew wspinał się na tylne łapy, ale łańcuch trzymał go u ściany. Wyszedłem i zamknąłem drzwi, a strażnik powiedział, że gdyby mi pozwolił wejść dalej, naraziłby się na śmierć. Odszedłem więc i wychodzącą na pola bramą w starodawnych murach opuściłem miasto.

Mury Konstantynopola zaczynają się przy zamku Siedmiu Wież, nad morzem Marmara i ciągną się aż do wierzchołków wzgórz, na których leży Eyub, ku skrajowi przystani, u Słodkich Wód

Europy, opasując tym sposobem całe dawne miasto cesarzów Grecji i Stambuł, miasto cesarzy tureckich, wzdłuż jedyne go boku trójkąta, którego nie chroni morze. Z tej strony całą obroną Konstantynopola byłyby nieznaczne pochyłości jego wzgórz, niknące na pięknej, uprawnej równinie. Zbudowano więc tu ów potrójny rząd murów, które udaremniły tyle szturmów i za którymi wąż cesarstwo greckie tak długo uważało się za wiecznotrwałe. Te wspaniałe mury wciąż jeszcze stoją i po Partenonie i Baalbeku są najwspanialszymi ruinami wskazującymi miejsce, gdzie istniało wielkie państwo. Dziś rano zwiedziłem ich część zewnętrzną. Są to kamienne tarasy wysokości pięćdziesięciu do sześćdziesięciu stóp, szerokości niekiedy od piętnastu do dwudziestu stóp, wyłożone kamieniem ciosowym pięknej perłowej barwy, często nawet zupełnie białym i jakby dopiero wyszłym z rąk robotnika. Dawne rowy, zasypa ne gruzami i żyzną ziemią, okryte bujną roślinnością, w których od wieków rosną drzewa i pomurniki, tworzą wał nieprzebyty. Jest to las dziewiczy na trzydziści lub czterdzieści kroków szeroki, pełen gniazd ptasich i płazów. Ów las nieraz całkowicie zasłania mur i kwadratowe wieże, i tylko gdzie indziej widać w jego prześwitach ich blanki. Nieraz mur ukazuje się w całej swojej wysokości, lśnią c złotym poblaskiem promieni słońca. Widać w nim od góry biegnące szczeliny rozmaitych kształtów, wypełnione zieloną roślinnością, co zwieszając się z nich, łączy się z zielenią rowów. Prawie wszędzie szczyt muru wieńczy zieleń, która przelewa się i tworzy jak gdyby gzymsy, kapitele i woluty z pnączów i bluszczu. Gdzie indziej znów z głębi wież, pełnych gruzów i pyłu, strzela jakiś platan lub cyprys, zapuszczając korzenie w szczeliny owego fundamentu. Ciężar gałęzi i listowia, uderzenia wiatru, na które te napowietrzne drzewa są nieustannie narażone, spowodowały, że ich pnie pochyliły się w stronę południa, co sprawia, że owe drzewa z ich rozłożystymi gałęzmi, ciężkimi od mnóstwa ptasich gniazd, wyglądają jak wyrwane z korzeniami. Co trzysta, czterysta kroków wznosi się jedna z owych podwójnych wież wspaniałej budowy, a między tymi spojenymi z sobą wieżami widać ogromne sklepienia bram lub starożytny łuk. Większość tych bram jest dziś zamurowana, a roślinność, która wszystko tu okryła, rowy, bramy, blanki i wieżyczki, najniezwykłej i najpiękniej spleta się z ruinami i z dziełami rąk ludzkich. Niektóre zwoje bluszczu spadają ze szczytu wież niczym fałdy ogromnym płaszczów; tam znów pnącza tworzą zielone mosty, co łączą z sobą wylomy arkadami o długości pięćdziesięciu stóp; gdzie indziej wiatr nieustannie ko-

łyszce całe morza goździków rosnących na pionowych murach, a tysiące krzewów tworzy różnobarwne, postrzępione blanki. Kiedy cisnąć kamieniem na te spowite roślinnością mury lub w otchłanne gąszczu u ich stóp, wówczas unoszą się stamtąd chmary ptaków. Zauważyliśmy zwłaszcza mnóstwo orłów, gnieźdzących się w wieżach, jak przez cały dzień krążyły w słońcu ponad obszarem, gdzie żywią swoje pisklęta.

### *Lipiec.*

Ciągle to samo samotne życie w Bujukdere. Wieczory na morzu lub w Dolinie Róż. Co tydzień odwiedza nas pan Truqui. Tylko ludzie o dobrym sercu są obdarzeni cnotą udzielania pociechy. Bóg dał im jedyny balsam na nieuleczalne rany serca — współczucie.

Wczoraj hrabia Orłów, dowódca floty i wojsk rosyjskich oraz poseł nadzwyczajny cesarza rosyjskiego przy Porcie Otomańskiej, z okazji pomyślnego zakończenia swojej misji i swojego odjazdu dał dla sułtana uroczystość wojskową na Bosforze. Ogrody poselstwa rosyjskiego w Bujukdere leżą na lesistych stokach góry, która zamyka przystań, a której podnóże omywa morze. Z tarasów pałacowych widać Bosfor w obu kierunkach: aż po Konstantynopol i aż ku Morzu Czarnemu. Przez cały dzień raz po raz grzmiały działa floty rosyjskiej stojącej na kotwicy przed naszymi oknami, maszty, przybrane banderami, nikły w zieleni wielkich drzew na obu brzegach. Morze od rana pokryte było stateczkami i kaikami, wiozącymi z Konstantynopola piętnaście do dwudziestu tysięcy widzów, którzy rozproszyli się po pawilonach, po łąkach, po okolicznych skałach. Wielka ich liczba została w kaikach, które, pełne Żydówek, Turczynek, Ormianek w jasnych, barwnych strojach, unosiły się tu i ówdzie na morzu jak bukiety kwiatów. Obóz rosyjski na stokach Góry Olbrzyma, o pół mili od floty, odcinał się bielą i błękitem namiotów na tle posępnej zieleni i spiekłych zboczy. Wieczorem ogrody poselstwa rosyjskiego zabłysły tysiącami lampionów, zawieszonych na gałęziach drzew. Okręty z iluminowanymi masztami, rejami, linami przypominały liniowce niszczące dobywającym się z nich ogniem baterie działowe. Ich burty zionęły potokami błyskawic, a obóz oddziałów desantowych, oświetlony wielkimi ogniskami płonącymi na przylądkach i na wyniosłościach gór Azji, odbijał się w morzu lśniącymi smugami i rozlewał luny pożarne na całe ogromne koryto Bosforu.

Pośród tej rozjaśnionej nocy, na parostatku, który przycumo-



wał u tarasów pałacu poselstwa rosyjskiego, przybył sułtan, aby przyjrzeć się widowisku dla niego przygotowanemu. Widziano go na pokładzie w otoczeniu wezyra i ulubionych paszów. Został na statku, a na wieczerzę wydaną przez hrabiego Orłowa wysłał wielkiego wezyra. Ogromne stoły pośród długich szpalerów platanowych, a także we wszystkich gąszczach ogrodu były zastawione złotem i srebrem, w których odbijał się blask iluminowanych drzew. Gdy nastąpiła najciemniejsza godzina nocy, na krótko przed wschodem księżyca, umieszczone na tratwach pośrodku Bosforu, w jednakowej odległości od trzech brzegów, sztuczne ognie wzbily się w powietrze, pomknęły po wodzie i krwawym blaskiem oświetliły góry, okręty i niezliczony tłum widzów, których kaiki zalegały morze. Nigdy oko ludzkie nie oglądało piękniejszego widoku: można by rzec, iż ciemności nocy rozdarły się i ukazały jakiś zakątek zaczarowanego świata, z żywiołami, górami, morzami i niebem nieznanych kształtów i kolorów, i z tysiącem mglistych, nikłych cieni, unoszących się na falach światła i ognia. Potem znowu zapadła cisza i ciemność. Lampiony, jak gdyby zgaszone podmuchem wiatru, znikły ze wszystkich rejsów, ze wszystkich strzelnic okrętowych, a księżyc, wschodząc z głębokiej doliny między grzbietami dwóch gór, rozlał po morzu blask łagodniejszy i uwydatnił na perłowym tle ogromne, czarne bryły okrętów i wyraźnie odcinające się widma masztów, rejsów i drabin linowych. Sułtan odpłynął na swoim lekkim parostatku, z którego unoszący się słup dymu włókł się po morzu, i znikł w milczeniu jak cień, co przybył przypatrzeć się upadkowi mocarstwa.<sup>53</sup>

Nie był to Sardanapal, co blaskiem ofiarnego stosu oświetlał szczątki zwałonego tronu. Był to władca chwiałego się mocarstwa, który musiał prosić swoich wrogów o pomoc i opiekę przeciw zbuntowanemu niewolnikowi i być uczestnikiem ich chwały i własnego upokorzenia. Cóż mogli sobie myśleć sędziwi Turcy, gdy spoglądali na ognie obozowiska chrześcijańskich barbarzyńców i na gwiazdy ich sztucznych ogni rozświetlające pośród świętych gór Azji, opadające na kopuły meczetów i rzucające swój blask aż na mury starożytnych pałaców? Jakie myśli krył sułtan pod sztucznym uśmiechem, widniejącym na jego wargach? Jaki wąż kąsał mu serce? Ach, było w tym wszystkim coś niewypowiedziane smutnego, coś, co budziło głębokie współczucie dla Mahmuda, i co, moim zdaniem, mogłoby sprawić, że sułtan, powodowany wyrzutami sumienia, zdołałby odzyskać ducha. Było też w tym coś głęboko pocieszającego dla filozofa, który wierzy w Opatrzność i kocha ludzi, a mianowicie, że bieg czasu i rze-

czy, obalając ogromne mocarstwo, stanowiące przeszkodę w rozwoju połowy Wschodu, z wolna ustanawia w tych pięknych krainach władzę ludzi mniej zepsutych, panowania bardziej człowiecze i religie bardziej postępowe.

*Lipiec.*

Dziś byłem na obiedzie u barona von Sturmera wraz z następcą tronu bawarskiego, który wraca z Grecji i na kilka dni zatrzymał się w Konstantynopolu.<sup>54</sup> Ten młody książę, chciwy wiedzy i tak rozumny, że wydaje się nie pamiętać o oczekującym go tronie, szuka rozmów z ludźmi, którzy nie mają powodu, aby mu pochlebiać, i kształci się, słuchając, co mówią. Sam rozmawia z wielką znajomością rzeczy, „Król, mój brat — rzekł do mnie — waha się jeszcze w wyborze swojej stolicy.<sup>55</sup> Chciałbym usłyszeć pana zdanie.” „Stolicę Grecji — odpowiedziałem — wskazała sama natura wydarzeń przywracających istnienie Grecji. Grecja zmartwychwstała. Kiedy się wraca do życia, trzeba się odrodzić w swojej postaci i w swojej nazwie, ze swoją pełną indywidualnością. Ateny ze swoimi ruinami i pamiątkami świadczą o tożsamości Grecji. Trzeba więc, aby Grecja odżyła w Atenach, inaczej bowiem będzie tym, czym jest obecnie: ubogim ludem rozrzuconym po skałach Peloponezu i wysp.”

*Lipiec.*

Odpięcie floty i odmarsz wojska rosyjskiego<sup>56</sup> Rosjanie znają teraz drogę; Turcy przywykli do ich widoku. Bosfor pozostał pusty i bez życia.

Moje konie arabskie przybywają przez Azję Mniejszą. Tadmor, najpiękniejszy i najulubieńszy ze wszystkich, utracił życie w Magnezji<sup>57</sup>, prawie przy końcu drogi. Saisowie oplakali go i jeszcze płaczą, opowiadając mi o jego śmierci. We wszystkich miastach Karamanii, przez które go wiedli, był przedmiotem podziwu. Inne konie tak wychudły, tak są znużone, że potrzebowałyby co najmniej miesiąca wypoczynku, aby mogły odbyć podróż przez Turcję europejską i Niemcy. Dwa najpiękniejsze sprzedam panu Buteniewowi do stadnin cesarza rosyjskiego, a trzy inne rozmaitym osobom w Konstantynopolu. Zawsze będę żałował Tad-mora i Saidy.

Ugodziłem się z Turkami ze Stambułu i przedmieścia Eyub, właścicielami owych powozów, którymi jeżdżą kobiety po ulicach Konstantynopola, o najęcie mi pięciu arb, które przewiozą mnie i moją żonę, pana de Capmas, moich służących i nasze rze-

czy w ciągu dwudziestu pięciu dni do Belgradu. Najmą także dwóch Tatarów do kierowania całą kawalkadą, mukrów z mułami do przewozu naszych łóżek, kuchni, skrzyń z książkami itp., a wreszcie sześć koni wierzchowych dla nas, gdyby okazało się, że drogi byłyby nieprzejezdne dla powozów. Za wszystkie te konie i powozy zapłacę około czterech tysięcy franków. Wyborny tłumacz towarzyszy nam konno. Odjazd wyznaczony na 23 lipca.

*Lipiec.*

O drugiej w nocy wyjechaliśmy z Konstantynopola; konie i powozy czekały na przedmieściu Eyub, na placu opodal wodotrysku pod platanami. W pobliżu jakaś kawiarnia turecka. Zebrał się tłum, aby przypatrzeć się naszemu odjazdowi, ale nie doznaliśmy najmniejszej zniewagi, nie ponieśliśmy najmniejszej straty. Uczciwość jest w Turcji cnotą ulic, mniej upowszechnioną w pałacach. Turcy siedzący pod drzewami, przed kawiarnią, przechodzące dzieci pomagali nam ładować powozy i objuczać konie, sami podnosili z ziemi i oddawali nam przedmioty, które spadły lub których zapomnieliśmy.

Ze wschodem słońca wszyscy konno ruszyliśmy w drogę i przebyliśmy długie, bezładne i górzyste ulice, wiodące z przedmieścia Eyub ku murom greckim Stambułu. Za murami wjechaliśmy na nagie i puste wzgórze, na którym wznosiły się wspaniałe koszary. Dwa bataliony nizam-i cëdid\*, wojsk regularnych, odbywały musztrę przed koszarami.<sup>58</sup> Pan Truqui i młodzi Grecy z jego konsulatu zechcieli nam towarzyszyć. Tu się rozstaliśmy. Ucałowaliśmy tego zacnego człowieka, który był dla nas opatrnością w tych smutnych dniach. Przyjaźń dwumiesięczna w nieszczęściu jest długoletnią przyjaźnią. Niech Bóg wynagrodzi i da na stare lata pociechę temu człowiekowi, który nam niósł pociechę! Kto wie, czy się jeszcze zobaczymy? Jedziemy w długą i niepewną drogę, a on zostaje sam, smutny i chory, z dala od swojej żony i ojczyzny. Na próżno chciał ukryć przed nami łzy, a nasze zwilżyły jego drżącą dłoń.

Zatrzymaliśmy się o trzy mile od Konstantynopola, aby przeczekać dzienny skwar. Przebyliśmy okolicę pofałdowaną wzgórzami wznoszącymi się nad morzem Marmara. Mało tu domów pośród pól, a wiosek nie ma wcale. O czwartej znowu ruszyliśmy w drogę i wciąż jadąc niskimi, szerokimi, nagimi pogórkami, przybyliśmy do miasteczka, gdzie jadący przodem nasi Tatarzy ka-

\* armii nowego typu.

zali przygotować dla nas dom. Dom ten należy do jakiejś uroczej rodziny greckiej: trzy ujmujące kobiety, dzieci niezwyklej piękności. Na noc na sosnowej podłodze rozciągnięto kobierce i porozkładano poduszki. Mój kucharz zdołał się obficie zaopatrzyć w ryż, kury i jarzyny. O trzeciej rano kawalkada była już gotowa do drogi. Jeden z moich Tatarów przez kilka godzin jechał na jej czele. Po wypoczynku w południe, który odbywamy zwykle u jakiejś studni lub w jakimś zrujnowanym karawanseraju, Tatar, odebrawszy ode mnie rozkazy, jedzie galopem do miasta lub wioski, gdzie mamy nocować. Wiezie z sobą moje listy od wielkiego wezyra do paszy, agi, ajana, czyli pana wioski.<sup>59</sup> Ci wybierają dla nas najlepszy dom, należący do Greków, Ormian lub miejscowych Żydów, i uprzedzają właściciela, aby go przygotował na przyjęcie cudzoziemców. Każą tam zanieść obrok dla trzydziestu dwóch koni tworzących naszą kawalkadę, a często i wieczerę dla nas. Ajan w towarzystwie znakomitszych mieszkańców, a jeżeli wojsko stoi w mieście, kilku jezdnych, spotyka nas na drodze, w pewnej odległości, i towarzyszy aż do przygotowanego mieszkania. Zsiadają z koni wraz z nami, wprowadzają nas do domu, każą przynieść fajki i kawę i po kilku chwilach wracają do siebie, gdzie wkrótce wzajemnie ich odwiedzam.

Droga z Konstantynopola do Adrianopola nie jest ani zajmująca, ani malownicza: rozległa, szeroka równina bez osiedli, bez drzew, gdzieniegdzie przecięta rzeką w głębokich brzegach, na pół wyschłą, przepływającą pod arkadami zburzonych mostów. Wieczorem ledwo trafia się na jakąś nędzną wioskę w głębi doliny otoczonej sadami. Mieszkańcami są Grecy, Ormianie lub Bułgarzy. Kany w tych wioskach to rudery pozbawione niemal dachów, gdzie bytują ludzie i konie. W ten sposób jechaliśmy przez pięć dni. Nie napotkaliśmy nikogo; przypominało to pustynię syryjską. Raz tylko znaleźliśmy się pośród trzydziestu czy czterdziestu wieśniaków bułgarskich, ubranych po europejsku, w czarnych baranich czapkach. Szli do Konstantynopola przy odgłosie dwóch kobz. Na nasz widok zaczęli wydawać głośne okrzyki i podbiegli ku nam, prosząc o kilka piastrow. Są to Sabaudczykowie Turcji europejskiej. Idą paść konie sułtana i paszów na łąkach Słodkich Wód Azji i Bujukdere. To oni zajmują się ogrodnictwem w Stambule.

Szóstego dnia rano, dojeżdżając na skraj tych równin, ujrzelśmy Adrianopol w pięknej kotlinie między górami. Miasto wydaje się ogromne, wznosi się nad nim piękny meczet. Po Świętej Zofii jest to najpiękniejszy zabytek religijny sztuki turec-

kiej, wystawiony przez Bajazeta, kiedy Adrianopol był stolicą cesarstwa.<sup>60</sup> Pola na dwie mile od miasta były obsiane zbożem, wysadzone winem i drzewami owocowymi rozmaitego gatunku. Krajobraz przypomina okolice Dijon lub Lyonu: liczne strumienie wiją się po równinie. Wjechaliśmy przez długie przedmieście; przebywaliśmy miasto pośród tłumu Turków, niewiast i dzieci, które cisnęły się, aby się nam przypatrzeć, lecz nie tylko nie byli natrętni, ale okazywali nam wszelkie oznaki grzeczności i uszanowania. Osoby, które wyjechały na nasze spotkanie, towarzyszyły nam do pięknego domu, własności pana Vernazzy, konsula sardyńskiego w Adrianopolu.

Dwa dni spędziliśmy w Adrianopolu, w uroczym domu owego konsula. Jego rodzina mieszka o kilka mil stąd, nad brzegiem rzeki Mari ca (starożytnej Hebros); wieczorem z tarasu domu pana Vernazzy zachwycający widok Adrianopola. Miasto, prawie tej wielkości co Lyon, leży nad trzema rzekami: Maricą, Ardą i Tundzą, ze wszystkich stron okalają je lasy i wody; piękne łańcuchy gór otaczają tę żyzną kotlinę. Zwiedziliśmy meczet, podobny do wszystkich meczetów, lecz wyższy i rozleglejszy. Budowla ta i jej minaret, ażurowa kolumna o wysokości przeszło stu stóp, co do śmiałości, oryginalności i efektu, nie mają sobie równych w naszym budownictwie.

Wyjazd z Adrianopola do Filipopola<sup>61</sup>; droga przez wąwozy i lesiste, urocze, chociaż puste doliny, między wysokimi łańcuchami Rodopów i Hemus.<sup>62</sup> Trzy dni drogi. Piękne wioski. Wieczorem o trzy mile od Filipopola spostrzegłem na równinie chmarę jeźdźców, Turków, Ormian i Greków, galopujących w naszym kierunku. Piękny młodzieniec na wspaniałym rumaku podjechał pierwszy i palcem dotknął mojego surdutu: następnie, zwracając koniem i przystając obok mnie, przemówił do mnie po włosku i oświadczył, że bez względu na nalegania innych jeźdźców powinienem przyjąć gościnę w jego domu, ponieważ to on dotknął mnie pierwszy. Następnie przybył kahya \*<sup>63</sup> gubernatora Filipopola, powitał mnie w imieniu swojego pana i oświadczył, że gubernator kazał przygotować dla mnie obszerny, wygodny dom i wieczerzę i że pragnie, abym przez kilka dni pozostał w mieście; oświadczyłem, że przyjąłem już gościnę w domu młodego Greka, pana Mavridesa.

Wjechaliśmy do Filipopola w liczbie sześćdziesięciu, osiemdziesięciu jezdnych; tłum w oknach i na ulicach przyglądał się tej

\* zastapca

kawalkadzie; siostra i ciotki pana Mavridesa witały nas przed domem; dom obszerny, wykwintny, piękny salon o dwudziestu czterech oknach i umeblowany na sposób europejski, w którym gubernator oraz naczelnicy różnorodnych narodowości miasta powitali mnie uprzejmie i wypili ze mną kawę. Trzy dni spędziłem w Filipopolu otoczony nadzwyczajnym staraniem pana Mavridesa, zwiedzając okolice, przyjmując i składając wizyty Turkom, Grekom i Ormianom.

Filipopol ma trzydzieści tysięcy mieszkańców, leży o cztery dni drogi od Adrianopola, o tydzień od Sofii, nad brzegiem rzeki, na wzgórzu usianym pojedynczymi skałami, pośród rozległej doliny; naturalne położenie tego miasta należy do najpiękniejszych, jakie można sobie wyobrazić; góra tworzy róg o dwóch wierzchołkach, zwieńczonych domami i ogrodami, a ulice schodzą w dół kręto, serpentynami, aby zmniejszyć stromiznę, aż nad brzegi rzeki, która również kręto płynie u podnóża miasta i opasuje je jak gdyby fosą pełną bieżącej wody; widok mostów, o-grodów, domów, wielkich drzew, które wznoszą się nad rzeką, lesistej równiny, dzielącej rzekę od gór Macedonii, oraz tych gór o zboczach poranych strumieniami z bielejącą pianą i usianych wioskami lub wielkimi klasztorami greckimi sprawiają, że z o-grodu pana Mavridesa wzrok pada na jeden z najpiękniejszych krajobrazów świata; miasto w równej liczbie zamieszkują Grecy, Ormianie i Turcy. Grecy na ogół są wykształceni i zajmują się handlem: najznakomitsi posyłają swoich synów do Węgier na wychowanie<sup>64</sup>, co sprawia, że następnie jeszcze dotkliwiej odczuwają jarzmo tureckie; wzdychają do niepodległości, którą cieszą się ich bracia w Morei. Poznałem trzech młodych, uroczych Greków, których uczucia i żywe umysły czynią godnymi innego losu i innej ojczyzny.

Wyjechałem z Filipopola i po dwóch dniach drogi przybyłem do pięknego miasta na uprawnej równinie, zwanego Tatar-Pazardzik.<sup>65</sup> Jak sąsiednia prowincja i ono jest własnością jednej z tych wielkich tureckich rodzin feudalnych, których pięć czy sześć pokoleń, szanowanych przez sułtanów, istniało w Europie i w Azji. Posiadaczem i rządcą Tatar-Pazardziku jest młody książę, syn byłego wezyra Husseina Paszy. Przyjął nas z rycerską gościnnością, ofiarował mieszkanie w domu dopiero co wykończonym, nad brzegiem rzeki opływającej miasto, obszernym, wykwintnym, wygodnym, należącym do jakiegoś bogatego Ormianina. Zaledwie usadowiliśmy się tam, weszło piętnastu, dwudziestu niewolników, każdy z półmiskiem cynowym na głowie; ustawili przed

nami na podłodze mnóstwo pilawów, ciast, zwierzyny i przeróżnych słodczy z kuchni księcia; przyprawiono mi w podarunku dwa piękne konie, których nie przyjąłem, oraz cielęta i barany do wyżywienia mojej kawalkady.

Nazajutrz zaczęliśmy dostrzegać Bałkany; mieszkańcami tych pięknych, lesistych gór, na których widnieje mnóstwo rozległych wsi i pól uprawnych, są Bułgarzy. Przez cały dzień jechaliśmy wzdłuż brzegów potoku, który, wpływając na równinę, tworzy na niej bagno; po przybyciu do podnóża Bałkanów zastałem tam co znakomitszych mieszkańców wioski bułgarskiej Jenikej, którzy już nas oczekiwali; ujęli uzdy naszych koni, stanęli po obu stronach powozów i podpierając je rękami lub ramionami, a niekiedy nawet unosząc, aby koła nie stoczyły się w przepaść, zaprowadzili nas do nędznej wioski, gdzie już się znajdowali poprzedzający nas moi Tatarzy; domy, rozrzucone po zboczach i grzbietach obu wzgórz, przedzielonych głębokim parowem, są otoczone pięknymi sadami i łąkami; wszystkie góry są uprawne u podnóża, a na grzbietach pokryte gęstym lasem; szczyty są skaliste. Domki bułgarskie były zbudowane z plecionego chrustu i pokryte gałęziami drzew z liśćmi; zajęliśmy ich siedem czy osiem, a nasi mukrowie, Tatarzy i jezdni biwakowali w sadach; w każdym domu jest tylko jedna izba, a goła ziemia służy za podłogę. Dostałem gorączki i jakiegoś zapalenia wskutek zgryzoty i trudów; dwadzieścia dni leżałem na matach w tej nędznej chacie bez okien, między życiem a śmiercią. Godne podziwu poświęcenie mojej żony, która przez dwa tygodnie, dniem i nocą, czuwała przy moim łożu ze słomy. Posłała na bagna po pijawki; Bułgarzy znaleźli je wreszcie: sześćdziesiąt pijawek na piersiach i na skroniach zmniejszyło niebezpieczeństwo; zdawałem sobie sprawę z mojego położenia i ustawicznie myślałem, co się stanie z moją żoną, gdybym umarł o czterysta mil od wszelkiej pociechy i pomocy w górach Macedonii; były to okropne godziny. Kazałem przywołać pana de Capmas i wydałem mu ostatnie rozporządzenia w przypadku mojej śmierci; prosiłem go, aby kazał mnie pochować pod drzewem, które widziałem przy drodze, i wyryć tylko jeden wyraz na kamieniu, silniejszy nad wszelkie pociechy: „Bóg”. Szóstego dnia, gdy niebezpieczeństwo już minęło, usłyszeliśmy na dziedzińcu tętent koni i szcęk oręża: był to młody, uprzejmy Grek z Filipopola, pan Mavrides, z młodym lekarzem macedońskim i kilkoma służącymi, którzy zdejmowali z koni żywność, sprzęty i lekarstwa. Pewien Tatar, jadący przez Bałkany do Adrianopola, zatrzymał się w kanie w Filipopolu i rozgłosił,

że jakiś podróżny Frank zachorował i leży bliski zgonu w Jeni-kej. Wieść ta dotarła do pana Mavridesa o dziesiątej wieczorem; domyślił się, że owym Frankiem jest jego gość; posłał po swojego przyjaciela lekarza, zebrał służbę, kazał załadować na konie wszystko, co tylko w swojej miłosiernej przezorności uznał za potrzebne dla chorego, i wyruszył o północy. Jechał bez odpoczynku i po dwóch dniach przybył z pomocą, z lekami, z pociechą dla nieznanego, którego nigdy potem nie zobaczy. Takie czyny ożywiają duszę i świadczą o szlachetności natury ludzkiej we wszystkich miejscach i we wszystkich krajach. Pan Mavrides zastał mnie prawie już ozdrowiałego; interesa wzywały go do Filipopola, wrócił więc tegoż dnia, zostawiając młodego doktora macedońskiego; był to człowiek zdolny i światły, uczył się sztuki lekarskiej w Semlinie na Węgrzech<sup>6</sup> i mówił po łacinie; jego talenty nie były nam użyteczne: tkliwość, przytomność umysłu i stanowczość mojej żony zastąpiły wszystko, lecz podczas tego okropnego, dwudziestodniowego pobytu w Jenikej, niezbędnego do zupełnego ustąpienia choroby i nabrania sił do dalszej konnej podróży, jego obecność była nam bardzo miła.

Władca Tatar-Pazardziku, gdy tylko dowiedział się o mojej chorobie, również okazał mi serdeczne oznaki zainteresowania i gościnności. Co dzień przysyłał dla mojej służby owce i cielęta, a przez cały czas mojej choroby w Jenikej sześciu konnych z jego straży stało ciągle na dziedzińcu z okiełznanymi końmi, gotowych do wykonania wszelkich moich poleceń. W ostatnich dniach rekonwalescencji jeźdźcy ci towarzyszyli mi w wycieczkach konnych do prześlicznej doliny i w góry w okolicach Jenikej. Księżę ofiarował mi nawet niewolników; oddział jego konnych przy wyjeździe towarzyszył mi aż do granic jego rządztwa. Mogłem tam poznać dokładnie, w ich domach rodzinnych, obyczaje Bułgarów, przypominające obyczaje naszych wieśniaków w Szwajcarii czy Sabaudii: Bułgarzy są prości, łagodni, pracowici, odznaczają się wielkim szacunkiem dla swoich kapłanów i żarliwością wiary wyznawanej przez nich w obrządku greckim. Ludność ich jest kilkumilionowa, a powiększa się bezustannie, mieszkają w wielkich wsiach i miasteczkach oddzielonych od Turków: pasza lub ajan wysyła jednego, dwóch Turków, którzy przez cały rok objeżdżają te miasteczka i ściągają podatki; wyjąwszy to i niektóre daremszczyzny, żyją spokojnie i podług swoich obyczajów. Ubierają się jak wieśniacy niemieccy; ubiór kobiet i dziewcząt jest prawie podobny do stroju Szwajcerek. Bułgarki są ładne, hoże, i miłe. Obyczaje zdawały mi się nieskażone, choć kobiety



nie zasłaniają się jak w Turcji i wolno im mówić z mężczyznami; w wiejskich tańcach Bułgarów mogłem się dopatrzeć tańców w naszych wioskach we Francji; Bułgarzy gardzą Turkami i nienawidzą ich<sup>67</sup>; są całkowicie dojrzały do niepodległości i mogliby wraz z sąsiadującymi z nimi Serbami utworzyć ośrodek przyszłych stanów Turcji europejskiej. Ich kraj stałby się wkrótce rozkosznym ogrodem, gdyby nie głupie i ślepe ciemięstwo nie tyle rządu, co administracji tureckiej, która nie pozwala im na uprawianie ziemi z większym poczuciem bezpieczeństwa; namiętnie kochają rolnictwo.

Opuszczałem z żalem Jenikej i jego miłych, gościnnych wieśniaków: byłoby to urocze letnisko. Cała wieś towarzyszyła nam na milę w głąb Bałkanów, obsypując błogosławieństwami i życzeniami; pierwsze pasmo Bałkanów przebyliśmy w jeden dzień: są to góry prawie podobne do gór Owernii, przystępne i wszędzie prawie zdadne do uprawy; pięciuset robotników w krótkim czasie ułożyłoby tu najpiękniejszy trakt. Po trzech dniach stanąłem w Sofii, wielkim mieście, położonym na wewnętrznej równinie, nad rzeką; rezyduje tu pasza turecki, który wysłał na moje powitanie swego kałę i kazał mi zająć dom jakiegoś kupca greckiego. Zatrzymałem się tam przez jeden dzień; pasza przysłał mi cieleńta, owce i nie chciał przyjąć żadnego podarunku. W mieście nie ma nic godnego uwagi.

Po czterech dniach drogi, już to po niezbyt stromych górach, już po dolinach i niezwykle urodzajnych, lecz bezludnych równinach, przybyłem na równinę Niszu, ostatniego miasta tureckiego, prawie u granic Serbii; wyprzedziłem kawalkadę blisko o pół godziny; słońce dopiekało. O jaką milę od miasta zobaczyłem wznoszącą się spośród równiny wielką białą wieżę, lśniącą jak gdyby była z marmuru paryjskiego; wiodła ku niej wąska dróżka; podjechałem bliżej; dałem potrzymać konia jakiemuś dziecku tureckiemu, które mi towarzyszyło, i usiadłem w cieniu wieży, aby się chwilę zdrzemnąć; za ledwie usiadłem, kiedy, wznosząc oczy na budowlę, co mi udzielała swojego cienia, ujrzałem, że jej ściany, które wydawały się z marmuru czy białego kamienia, są zbudowane z symetrycznie ułożonych czaszek ludzkich. Te czaszki i te oblicza ludzkie, pozbawione ciała, wybielone deszczem i słońcem, spojone odrobiną wapna i piasku, tworzyły jak gdyby łuk triumfalny, który mnie osłaniał; było tych czaszek od piętnastu do dwudziestu tysięcy; na niektórych jeszcze się trzymały włosy i poruszane wiatrem kołysały się jak mchy czy porosty; wiatr z gór dął przejmujący i silny, a wpadając w niezli-

czone wklęsłości głów, twarzy i czaszek, wydobywał z nich świszt żalony i pełen skargi. Nie było nikogo, kto by mi objaśnił ten barbarzyński pomnik; dziecko, trzymając dwa konie za uzdę, bawiło się odłamkami czaszek rozsypującymi się w proch u stóp wieży; byłem tak znużony skwarem i tak senny, że oparłszy się o mur z tych ściętych głów, zasnąłem; przebudziwszy się, ujrzałem około siebie naszą kawalkadę i mnóstwo jezdnych tureckich, przybyłych z Niszu, aby nas eskortować do miasta; powiedzieli, że to są głowy piętnastu tysięcy Serbów, wymordowanych przez paszę podczas ostatniego powstania w Serbii. Ta równina była polem zgonu tych szlachetnych powstańców, a ten pomnik ich grobowcem<sup>68</sup>; spojrzeniem i z głębi serca oddałem cześć tym bohaterskim ludziom, których ścięte głowy stały się słupem miłowym niepodległości ich ojczyzny.

Serbia, w której granice mieliśmy wjechać, jest obecnie wolna, toteż górski wiatr rozbrzmiewa w wieży Serbów poległych za swój kraj pieśnią wolności i chwały. Niedługo Nisz też będzie do nich należał; oby zachowali ów pomnik! Pouczy ich dzieci, ile jest warta niepodległość narodu, wskazując im, jaką ceną musieli ją okupić ich ojcowie.

Nisz przypomina Sofię i niczym się nie wyróżnia. Spędziliśmy tu jeden dzień. Opuszczając Nisz, wjeżdża się w piękne góry i w ocean lasów Serbii. Te dziewicze lasy ciągną się jak okiem sięgnąć, przecina je tylko kręty trakt, świeżo wytyczony przez księcia Miłosza, niezawisłego władcę Serbii. Przez sześć dni jechaliśmy pośród tych cienistych, niezmiernych lasów, mając przed oczyma tylko bezkresne kolumnady ogromnych pni, wysokich buków, fale listowia kołysanego wiatrem, wzgórze i góry, jednolicie porośnięte odwiecznymi dębami.

Rozmieszczone od siebie w pewnej odległości, mniej więcej co pięć, sześć mil, wzdłuż ślicznej rzeki, wśród łąk i pól melonów, w nieco szerszej dolinie, gdzie rzeka wiję się kręto, zaczęły pojawiać się wielkie wsie, wychylające się z lasu kilkoma ładnymi, białymi domami, obok których widniały także kościółek i plebania. Mieszkańcy, siedząc przed swoimi sklepami na drewnianych sofach, zajmowali się rozmaitymi rzemiosłami; ich wygląd, choć łagodny i pełen zyczliwości, ma w sobie coś północnego, silnego, dumnego<sup>69</sup>, co od razu sprawia wrażenie, że to lud już wolny, całkowicie godny owej wolności. Wszędzie przyjmują nas gościnnie i z uszanowaniem, przygotowują dla nas najokazalszy w całej wsi dom. W domach zaczynają się już pokazywać sprzęty europejskie; kobiety chodzą bez zasłon; na łąkach i w

lasach widać gromady młodzieży, chłopców i dziewcząt, jak idą razem do roboty w pole, śpiewając pieśni narodowe, które przypominają melodie pasterzy szwajcarskich. Ubiór tych pięknych dziewcząt składa się z koszul, gęsto pofałdowanych, które /okrywają ramiona i piersi, i z krótkich spódniczek wełnianych, brunatnych lub czerwonych; świeżość, wesołość, pogodne czoła i oczy upodobniają je do pięknych kobiet z Berna lub górskich okolic Lucerny.

Tu opuszczają nas nasi wierni towarzysze ze wszystkich konaków \* Turcji; nie widzimy już bocianów, których obszerne gniazda, podobne do kolebek z sitowia, wieńczą wszystkie kopuły meczetów w Turcji europejskiej i zastępują dachy zburzonym minaretem. Co wieczór, wjeżdżając do wiosek lub do opustoszałych kanów, widzieliśmy je, jak błądziły parami około naszego namiotu lub jakiejś rudery: pisklęta, wyciągając długie szyje poza gniazdo, niby rój węzów, wznosiły swoje dzioby ku matce, która na poły zawieszona na swoich -szerokich skrzydłach, rozdzielała między nie żywność przyniesioną z sąsiednich bagien, a ojciec, trwając nieruchomo ponad gniazdem na ogromnej wysokości, jak gdyby napawał się tym tkliwym widokiem. Te piękne ptaki nie są wcale dzikie: są stróżami dachu jak psy są stróżami izby; żyją zgodnie z chmarami synogarlic, od których bielą się wszędzie kopuły kanów i meczetów, i nie napawają lękiem jaskółek. Turcy także żyją zgodnie ze wszystkimi tworami żywymi i nieożywionymi: z drzewami, ptactwem lub psami, szanują wszystko, co Bóg stworzył; ich miłosierdzie obejmuje nawet takie rodzaje nieszczęsnych stworzeń, które u nas zaniedbuje się lub tępi. Na wszystkich ulicach, w jednakowych od siebie odległościach, stoją naczynia z wodą dla psów danej dzielnicy, a umierając Turcy nieraz czynią pobożne zapisy na ziarno dla synogarlic, które żywili za życia.

*2 września 1833.*

Dziś rano wyjechaliśmy z odwiecznych lasów Serbii, które sięgają aż do brzegów Dunaju. Miejsce, skąd zaczyna się dostrzegać ową królową rzek, jest wzgórzem, na którym rosną wspaniałe dęby; po przebyciu owego wzgórza spostrzega się w dole jak gdyby ogromne, czyste, niebieskie jezioro, obramowane lasami i sitowiem i usiane zielonymi wysepkami; jadąc dalej, widać, jak rzeka staje się coraz to szersza, zrazu płynie wzdłuż wysokich,

\* Domów zajezdnych.

## KONSTANTYNOPOL

pokrytych lasami urwisk Serbii, a potem znika, na prawo, na równinach Węgier. Widok lasów zstępujących ku rzece jest jed-nym z najpiękniejszych w świecie. Nocujemy nad brzegiem Dunaju, w małej serbskiej wiosce.

Nazajutrz jechaliśmy cztery godziny oddalając się od rzeki. Okolica, jak zawsze na pograniczu, stawała się jałowa, nieupraw-na i pusta. Około południa wjechaliśmy na nagie wzgórza, skąd wreszcie ujrzeliśmy Belgrad u naszych stóp. Belgrad, tyle razy burzony bombardowaniem, stoi na wyniosłym brzegu Dunaju. Dachy jego meczetów są podziurawione, mury potrzaskane; w o-puszczonych przedmieściach pełno nędznych ruder i stopy gruzów; miasto, podobne do wszystkich miast tureckich, wąskimi, krętymi ulicami schodzi ku rzece. Semlin, pierwsze miasto węgierskie, lśni na przeciwległym brzegu Dunaju całym blaskiem miasta europejskiego; dzwonnice wznoszą się naprzeciw minaretów.

Po naszym przybyciu do Belgradu, gdy odpoczywaliśmy w jakiejś małej oberży, pierwszej, na którą trafiliśmy w Turcji, zjawilo się kilku znakomitszych oficerów przysłanych przez księcia Miłosza<sup>70</sup> z zaproszeniem, abym kilka dni spędził w położonej o kilka mil od Belgradu twierdzy, stanowiącej jego rezydencję; nie uległem ich usilnym namowom i zamówiłem łodzie, aby przeprowić się przez Dunaj. O czwartej zjechaliśmy ku rzece; kiedy już mieliśmy wsiadać, ujrzalem przybywające na brzeg grono jezdnych w strojach prawie europejskich; był to brat księcia Miłosza<sup>71</sup>, władcy Serbów, który imieniem swojego brata ponowił prośby o zatrzymanie się u niego na kilka dni. Wyraziłem szczerzy żal, że nie mogę przyjąć tak uprzejmie ofiarowanego mi zaproszenia, i wyjaśniłem, że mój towarzysz podróży, pan de Cap-mas, jest od kilku dni ciężko chory; zaledwie można go utrzymać na koniu; trzeba, aby jak najspieszniej mógł wypocząć i znalazł opiekę, którą otrzymać może tylko w jakimś mieście europejskim od lekarzy tamtejszego szpitala. Przez pół godziny rozmawiałem z księciem, który sprawił na mnie wrażenie równie wykształconego, jak uprzejmego i dobrego; wydał mi się zwiastunem owej swobodnej cywilizacji, która stanie się niebawem udziałem jego szlachetnego narodu; wreszcie wsiadłem do łodzi mającej nas przewieźć do Semlina. Przeprowa trwa godzinę; fale na rzece, szerokiej i głębokiej, są tu wysokie jak na morzu. Dalej płynie się wzdłuż łąk i sadów otaczających Semlin.

3 [września] wieczorem weszliśmy do lazaretu, w którym będziemy musieli pozostać przez dziesięć dni. Każdy z nas ma izdebkę i podwóreczko wysadzone drzewami. Odprawiłem moich

## KONSTANTYNOPOL

Tatarów, mukrów, tłumaczy, którzy wracają do Konstantynopola; wszyscy ze smutkiem całowali nam ręce, a i ja nie mogłem bez wzruszenia i wdzięczności rozstać się z tymi prostymi, prawymi ludźmi, z tymi wiernymi, wspaniałymi sługami, którzy mi wskazywali drogę, pomagali, strzegli i doglądali jak bracia i pośród niezliczonych zmiennych kolei naszej półtorarocznej podróży na obcej ziemi dowiedli, że duch Boży ożywia każdą religię, że cnota jest udziałem każdej cywilizacji, a udziałem wszystkich ludzi jest poczucie sprawiedliwości, dobra i piękna, które dłoń Boga rozmaitymi zgłoskami wyryła w ich sercach.

## Notatki o Serbii

*Semlin, 12 września, w lazarecie.*

Ledwo opuściłem owe lasy, gdzie narodził się lud nowy i wolny, zacząłem żałować, że lepiej się z nim nie zapoznał; chętnie żyłbym i walczył z nim razem o jego nowo zrodzoną niepodległość; badałbym z zamiłowaniem, z czego się zrodził, jakie przeznaczenie gotują mu jego własne cnoty i Opatrzność. Na zawsze zapamiętam następujące wydarzenie: w Jagodinie<sup>1</sup>, w jednej z chat serbskich, spoglądaliśmy z przyjemnością na młodą matkę, która karmiła bliźnięta, a trzecie dziecko bawiło się u jej nóg ojcowskim jataganem. Pop wiejski i kilku znakomitszych mieszkańców otaczało nas kołem; szczerze i z zapałem rozmawialiśmy o wzrastającym dobrobycie narodu pod wolnymi rządami, o karczunku lasów, o drewnianych domach, których coraz więcej pojawiało się w dolinach, o licznych i pełnych dzieci szkołach, które otwierano we wszystkich wsiach; każdy z obecnych, wciskając głowę między ramiona tych, co przed nim stali, wydawał się dumny i szczęśliwy, że tak ich podziwiamy; wzrok ich błyszczał, twarze ożywiało uczucie miłości ojczyzny, jak gdyby ich wspólna chwała i wolność stanowiły przedmiot dumy każdego z nich. W pewnej chwili mąż pięknej Serbki, u której dano nam mieszkanie, wróciwszy z pola, podszedł do nas, pozdrowił z szacunkiem, a zarazem z ową szlachetną dumą, właściwą ludom pierwotnym, wmieszał się w krąg wieśniaków i słuchał wraz z innymi opowieści popa o walkach toczonych w obronie niepodległości. Kiedy pop doszedł do bitwy pod Niszem<sup>2</sup> i wspomniał o trzydziestu sztandarach, które trzy tysiące górali zdobyło na czterdziestu tysiącach Turków, ów wieśniak wybiegł z kręgu i chwytając z ramion matki swoich dwóch pięknych synków uniósł ich w górę i zawołał: „Oto żołnierze Miłosza! Jak długo nasze kobiety będą płodne, zawsze wolni Serbowie żyć będą w lasach Szumadii!”<sup>3</sup>

Historia tego ludu, podobnie jak wszystkie pierwotne dzieje ludów bohaterskich, jest zapisana jedynie w poezji ludowej. Ową pieśń narodowego zapału, zrodzone na polu bitwy, powtarzane

przez żołnierzy, przeniesione do wsi po zakończeniu kampanii, utrzymały się w nich dzięki tradycji. Pisali je duchowni lub/nauczyciele; są to proste pieśni, ale dźwięczy w nich bicie serca bojowników lub głos ojca rodziny, gdy z daleka wita dym rodzinnej zagrody; stały się ludowymi dziejami narodu; książę Miłosz kazał wydrukować dwa ich zbiory i rozdawać je podczas bitew. Dzieci uczą się czytać na tych wzruszających opowieściach o bohaterskich czynach ich ojców, a imię wyzwoliciela Serbii<sup>4</sup> pozostaje na zawsze wryte w ich pamięci. Lud takim mlekiem karmiony nigdy już nie może stać się niewolnikiem.

Nieraz pośród tych dziewiczych lasów, w głębokich wąwozach, gdzie trudno by się spodziewać jakichkolwiek innych mieszkańców poza dzikimi zwierzętami, spotykałem gromady chłopców i dziewcząt, jak szli śpiewając owe pieśni narodowe, z których kilka słów tłumaczyli nam nasi drogmani. Na chwilę przerywali śpiew, aby nas powitać, i spoglądali za nami, a potem, kiedy już znikliśmy im z oczu, ruszali w dalszą drogę i podejmowali owe pieśni, a ciemne sklepienia odwiecznych dębów, skały wznoszące się nad strumieniem długo rozbrzmiewały echem przeciągłego, monotonnego śpiewu, który obiecywał niezmienną szczęśliwość owej ziemi. „Co oni śpiewają?” — zapytałem pewnego dnia tłumacza, który znał ich język. „Jaśnie panie — odparł — takie to głupstwa, że nie warto ich powtarzać Frankom.” „Przetłumacz mi choćby te słowa, które teraz śpiewają.” „No cóż, śpiewają: «Niech Bóg błogosławi fale Morawy, w nich bowiem zginęli wrogowie Serbów! Niech Bóg pomnoży żołędzie na dębach Szumadii, każdy z nich bowiem to Serb!»” „A co chcą przez to powiedzieć?” „Jaśnie panie, to znaczy, że podczas wojny Serbowie znajdowali schronienie za każdym z dębowych pni; ich lasy były i są wciąż jeszcze ich twierdzami; każde z tych drzew jest dla nich towarzyszem walki; kochają je jak braci; toteż kiedy książę Miłosz, który nimi obecnie rządzi, kazał ściąć mnóstwo drzew, żeby wytyczyć przez te lasy trakt, którym jedziemy, starzy Serbowie nieraz go przeklinali. Ściąć drzewo, powiadali, to zabić człowieka. W Serbii drzewa i ludzie są przyjaciółmi.”

Mijając te wspaniałe odludzia, gdzie przez tyle dni, jak okiem sięgnąć, widziałem tylko jednolite, ciemne, faliste dębowe listowie, okrywające doliny i góry, istny ocean liści, nad który nie wznosi się nawet strzelisty szczyt minaretu czy dzwonnicy, zjeżdżając co pewien czas w głębokie wąwozy, gdzie szumi rzeka, gdzie las niekiedy ustępuje miejsca uprawnym polom, nowym, ładnym drewnianym domom, tartakom lub młynom budowanym

## NOTATKI O SERBII<sup>y</sup>

na brzegu rzeki, widząc niezliczone trzody, prowadzone przez pięknie odziane dziewczęta, jak wychodzą spod kolumnady wielkich drzew i wracają wieczorem do wsi, dzieci wybiegające ze szkoły, starców idących na obrady do domów gminnych lub kościołów, wydawało mi się, że jestem gdzieś w głębi lasów Ameryki Północnej świadkiem narodzin jakiegoś narodu czy założenia jakiejś nowej kolonii. Postaci mężczyzn świadczyły o łagodności obyczajów, o polorze dawnej cywilizacji, o zdrowiu i dobrobycie tego ludu; wolność mają wypisaną na twarzach i w spojrzeniach. Bułgarzy są zacni i prości, ale wyczuwa się, że choć bliscy oswobodzenia, dźwigają jeszcze na sobie resztki jarzma; w pochyleniu ich głów, w ich wymowie, w pokornej rezygnacji ich spojrzeń tkwi jeszcze pamięć przemocy i obawa przed Turkami; przypominają Sabaudczyków, ów poczciwy, wartościowy lud alpejski, któremu nic nie brakuje prócz godnego wyglądu i umiejętności godnej wypowiedzi, co uszlachetnia wszystkie inne cnoty. Serbowie, przeciwnie, są podobni do Szwajcarów z małych kantonów, gdzie nieskalany, patriarchalny obyczaj doskonale harmonizuje na obliczu pasterza z poczuciem wolności, które stanowi o człowieku, i spokojną odwagą, która tworzy bohaterów. Dziewczęta przypominają piękne kobiety z kantonów Lucerny i Berna; ich stroje są prawie takie same: krótkie, barwne spódnice, włosy zaplecione w długie warkocze sięgają niemal pięt. Obyczaje Serbów są czyste, podobnie jak u wszystkich ludów pasterskich i religijnych. Ich mowa, jak wszystkie wywodzące się z pnia słowiańskiego, jest harmonijna, melodyjna i miarowa; nierówność majątkowa należy u nich do rzadkości; panuje ogólny dobrobyt, jedynie ich broń odznacza się wielkim zbytkiem. Obecne ich rządy stanowią dyktaturę, połączoną z rodzajem systemu przedstawicielskiego.

Książę Miłosz, wyzwoliciel Serbii, zachował pełnię władzy, którą z konieczności rozporządzał podczas wojny. Gdy został ogłoszony księciem Serbów (1829), lud zaprzysiągł wierność jemu i jego następcom. Turcy, którzy utrzymali jeszcze część administracji i swoje załogi w garnizonach i twierdzach, również u-znali księcia Miłosza<sup>5</sup> i układają się z nim bezpośrednio: książę utworzył senat i obwodowe ciała obradujące, które uczestniczą w debatach i w rozstrzygnięciu spraw ogólnych; senat zbiera się co rok; deputowani wiejscy gromadzą się w pobliżu siedziby księcia; jak w czasach legendarnych, zasiadają pod wielkimi drzewami. Książę zstępuje ze swojego siedziska, podchodzi do każdego z deputowanych, zadaje mu pytania, wysłuchuje odpowiedzi,



## NOTATKI O SERBII

każe zapisać jego zarzuty lub rady, rozmawia z nim o bieżących sprawach, tłumaczy dobrotliwie swoją politykę, usprawiedliwia środki, które mogłyby się wydać surowe lub niesprawiedliwe; wszystko odbywa się w duchu szlachetnej, poważnej poufałości, z jaką chłopci rozmawiają ze swoimi panami. Są to patriarchowie, co żywią i bronią. Zarówno ich obradom, jak walkom przewodniczy Bóg: walczą i rządzą z myślą zarówno o swoich ołtarzach, jak o swoich lasach, ale duchowni ograniczają ich wpływy w zakresie spraw religijnych. Największy wpływ mają przywódcy wojskowi, szlachcice rodowi, zwani przez nich wojewodami. Duchowni zyskują na znaczeniu dopiero wtedy, gdy kończy się stan wojenny i gdy ziemia ojczysta nieodwołalnie należy znów do ludu. Do tej chwili kraj szanuje przede wszystkim tych, co go bronią, potem dopiero tych, co go oświecają.

Ludność Serbii sięga obecnie miliona i szybko się zwiększa: łagodny klimat, podobny do klimatu panującego we Francji między Lyonem i Awinionem, żyzna, dziewicza jeszcze ziemia, wszędzie, jak na szwajcarskich łąkach, okryta roślinnością, obfitość rzek i potoków, które, spadając z gór, płyną przez doliny i tworzą gdzieniegdzie jeziora pośród lasów, karczunek borów, który, jak w Ameryce, dostarcza obszarów pod zasiew i niewyczerpanego budulca, łagodne, czyste obyczaje, ustawy opiekuńcze, u-tworzone pod silnym wpływem naszych najlepszych ustaw europejskich, prawa obywatelskie, zagwarantowane przez obieralne instytucje miejscowe i zgromadzenia doradcze, wreszcie władza najwyższa, skupiona w dostatecznej proporcji w rękach człowieka godnego powierzonej mu misji, a mianowicie księcia Miłosa, i przechodząca na jego potomków, wszystkie te czynniki, warunkujące pokój, cywilizację i pomyślność, sprawiają, że ludność Serbii przed upływem pół wieku wzrośnie zapewne do kilku milionów. Jeśli ów lud, jak tego pragnie i spodziewa się, stanie się ośrodkiem nowego mocarstwa słowiańskiego poprzez zjednoczenie z Bośnią, z częścią Bułgarii i z wojowniczymi hordami Czarnogórców, Europa ujrzy wznoszące się na ruinach Turcji nowe państwo, obejmujące owe rozległe i bogate obszary, które ciągną się między Dunajem, Adriatykiem i łańcuchem wysokich Bałkanów. Jeżeli okaże się, że różnice obyczajów i narodowości nie pozwolą na takie zjednoczenie, wówczas przynajmniej Serbia będzie jednym z elementów owej federacji państw niezależnych czy też protektoratów europejskich, przeznaczonych do wypełnienia próżni, która powstanie zarówno w Europie, jak w Azji, po

## NOTATKI O SERBII

zniknięciu cesarstwa otomańskiego; polityka europejska nie może życzyć sobie niczego innego.

*23 września 1833.*

Dzieje tego ludu należałoby nie tyle opisywać, co opiewać. W istocie jest to poemat, który wciąż jeszcze się tworzy. Najważniejsze fakty pozbierałem na miejscu z ust naszych belgradzkich przyjaciół, którzy przybyli nas odwiedzić u królazaretu. Siedząc pod lipą, na trawie zalanej łagodnym blaskiem lśniącego słońca tych krain, pośród szmeru fal szybko płynącego pobliskiego Dunaju, na tle pięknych wybrzeży i zielonych lasów, stanowiących mur obronny Serbii u jej granicy z Węgrami, ludzie ci, w na poły wschodnich strojach, o męskim, a zarazem łagodnym wyglądzie, właściwym wojowniczym ludom, opowiedzieli mi po prostu o wydarzeniach, w których brali udział.\* Choć jeszcze młodzi i okryci ranami, zdawali się jak gdyby całkowicie już nie pamiętać o wojnie i zajmowali się jedynie sprawami szkolnictwa, szkołami ludowymi, udoskonaleniem urzędów wiejskich i administracji, postępem w dziedzinie prawodawstwa; skromni i gorliwi, starali się wykorzystać każdą sposobność, aby ulepszać nowo powstające instytucje: wypytywali podróżnych, u-siłowali zatrzymać ich jak najdłużej i zapamiętać wszystko, co im mówili ci ludzie przybyli z daleka, niczym jacyś wysłańcy Opatrzności. Oto czego zdołałem dowiedzieć się o ostatnich latach ich dziejów.

Około roku 1804, w wyniku długotrwałych zamieszek, wywołanych z początku przez Pazvandoglu, paszę widyńskiego, a zakończonych stłumieniem ich przez janczarów, Serbowie zbuntowali się przeciw swoim tyranom: trzech ich przywódców połączyło się w środkowej części Serbii, zwanej Szumadią, stanowiącej ogromny obszar porośnięty nieprzebytymi lasami. Jednym z tych naczelników był Kara Djordje, dwaj inni, Janko Katić i Wasso Carapić. Kara Djordje był hajdukiem. Hajducy byli w Serbii tym, czym kleftowie w Grecji, ludźmi niezależnymi i wojowniczymi, mieszkającymi w niedostępnych górach, którzy scho-

\* Później uzyskałem dokładniejsze i bardziej wiarygodne szczegóły, dotyczące współczesnej historii Serbii, a te noty o Serbii zawdzięczam uprzejmości podróżnika, co mnie tu poprzedził, spotkanego w Jaffie, w Palestynie, pana Adolfa de Caraman, który je zebrał podczas swojego pobytu u księcia Miłosza. Noty owe, znacznie bardziej zasługujące na uwagę czytającej publiczności ze względu na talent ich autora i na zasób wiadomości w nich zawartych, były opatrzone tłumaczeniem opisu dziejów Serbów sporządzonym przez pewnego Serba. [Przyp. aut.]

dzili z nich, gdy tylko rozlegał się najślabszy sygnał wojenny, aby wziąć udział w walce stronnictw i nie utracić nawyku wojaczki i grabieży. Za przykładem Szumadii powstał cały kraj; każdy z okręgów wybierał swojego przywódcę, którym zostawał najdzielniejszy i największym poważaniem otoczony wojewoda; wojewodowie ci po utworzeniu rady wojennej obwołali Kara Djordje wodzem naczelnym. Tytuł ten nie dawał mu zbyt wielkich przywilejów, ale podczas wojny geniusz człowieka odważnego stanowi o jego rzeczywistej przewadze. W niebezpieczeństwie odwaga nabiera ceny. Ludy instynktownie podporządkowują się odwadze i zdolnościom.

Djordje Petrovic, zwany Kara Djordje lub Jerzym Czarnym, urodził się około roku 1765 w jednej ze wsi w obwodzie Kragu-jevac<sup>6</sup>; jego ojciec, imieniem Petroni, był prostym chłopem i pasterzem. Według innych Jerzy Czarny miał urodzić się we Francji, ale w tej opowieści nie ma cienia prawdy. Petroni, gdy syn był jeszcze mały, zaprowadził go w góry w okolicach Topoli. Gdy powstanie w roku 1787, które miało uzyskać pomoc austriacką, upadło, powstańcy, ścigani przez Turków i Bośniaków, zostali zmuszeni do ucieczki. Petroni i jego syn Jerzy, którzy dzielnie sprawili się w bojach, zabrali swoje trzody, stanowiące ich jedyne bogactwo, i ruszyli w kierunku Sawy; byli już blisko tej rzeki i mieli właśnie znaleźć ocalenie na obszarze przynależnym Austrii, gdy ojciec Jerzego, starzec osłabiony wiekiem i bardziej przywiązany do swojej ziemi niż jego syn, odwrócił się, spojrzął na góry, gdzie mu ubiegło całe życie, poczuł, że serce kraje mu się z bólu na myśl, iż musi na zawsze porzucić ojczyste strony i żyć odtąd pośród obcych, i siadając na ziemi jał zaklinać syna, aby raczej poddać się niż zbiec do Niemiec. Żałuję, że nie potrafię z pamięci powtórzyć wzruszających i malowniczych zaklęć starca tak, jak brzmią w ludowych pieśniach serbskich. To jeden z owych obrazów, w których naturalne uczucia, tak dojmująco przeżywane i tak naiwnie wypowiedane z ducha tego młodziutkiego ludu, przewyższają wszystko, co wynalazczość narodów uczonych zdołała zapożyczyć ze sztuki. Tylko w Biblii i w Homerze można znaleźć takie stronicy.

Tymczasem Jerzy Czarny, ulegając lamentom i prośbom ojca, zawrócił z drogi swoje sługi i stada; spełniając ścisły obowiązek posłuszeństwa synowskiego, które stanowi drugą religię ludzi Wschodu, poddał się woli ojca i ruszył ze smutkiem drogą niewoli, aby kości Petroniego mogły znaleźć spoczynek w ziemi serbskiej, gdy nagle okrzyki i odgłosy strzałów Bośniaków uprzedzi-

## NOTATKI O SERBII

ły go o zbliżaniu się nieprzyjaciół i o nieuniknionych męczarniach, na jakie wydałaby go ich pomsta. „Ojczy — rzekł — nie mamy ani chwili do stracenia, wstań, skocz do rzeki, moja dłoń cię podtrzyma, własnym ciałem osłonię cię od kul tureckich, będziesz żył, doczekasz lepszych dni w kraju przyjaznym.” Ale nieugięty starzec, którego syn usiłował nadaremno przekonać, opierał się wszelkim jego namowom, pragnąc umrzeć na ojczyźnej ziemi. Jerzy Czarny, ogarnięty rozpaczą, nie chcąc, aby ciało ojca wpadło w ręce Turków, uklęknął, poprosił starca o błogosławieństwo, zastrzelił go z pistoletu, ciało wrzucił do Sawy, a sam, wskakując do rzeki, dopłynął do austriackiego brzegu.

Wkrótce potem wrócił do Serbii jako podoficer oddziału wolnych strzelców. Niezadowolony, że pominięto go przy rozdawnictwie odznaczeń, opuścił ów oddział i jako hajduk wrócił w góry; później pogodził się ze swoim dowódcą, towarzyszył mu po zawarciu pokoju do Austrii i objął posadę leśnika w klasztorze w Krušedolu. Niebawem jednak, znudzony takim życiem, wrócił do Serbii pod rządy Hadži Mustafy. Stał się znowu pasterzem, ale chwycił za broń za każdym razem, gdy tylko w jakiejś części kraju zbierała nowa fala wydarzeń.

Jerzy Czarny był postawny, silny, rysy miał szlachetne i szczerze. Milezący i zamyślony, kiedy nie pił, nie słyszał odgłosu strzałów lub sprzeciwu podczas narady, niekiedy po całych dniach nie otwierał ust.

Niemal wszyscy ludzie, którzy dokonali lub też są przeznaczeni do dokonania wielkich czynów, skąpią słów. Rozmawiają raczej z sobą niż z innymi, żywią się własnymi myślami i z tych właśnie skrytych rozmów czerpią ową energię ducha i czynu, która stanowi o silnym człowieku: Napoleon stał się rozmowny dopiero wtedy, gdy jego los się dopełnił, a gwiazda już zachodziła. Jerzy Czarny, będąc nieugiętym obrońcą sprawiedliwości i ładu, kazał powiesić własnego brata, gdy ów targnął się na cześć pewnej dziewczyny.

W styczniu 1806 roku kilka armii naraz wkroczyło do Serbii. Bekir, pasza Bośni, oraz Ibrahim, pasza Skutari, otrzymali od Porty rozkaz, aby skierować tam wszystkie swoje siły. Bekir wysłał dwa korpusy w liczbie około czterdziestu tysięcy ludzi. Ibrahim ruszył w kierunku Niszu na czele ogromnej armii. Jerzy Czarny, dowodząc wojskami liczebnie znacznie mniejszymi, lecz ożywionymi duchem nieugiętego patriotyzmu bezgranicznie ufającymi swoim dowódcom i kryjącymi się w lasach, które maskowały ich ruchy, odparł wszystkie ataki Bękira i Ibrahima. Po

pokonaniu Hadzi Beja pod Peczem ruszył na główną armię, która wycofała się w kierunku Szabacu, doścignął ją i pobił na głowę 8 sierpnia 1806 roku; Kulmi i stary Mehmed polegli. Szczątki ich armii uratowały się spod Szabacu. Bośniacy, którzy chcieli przejść Drinę, zostali wzięci do niewoli. Jerzy Czarny, mając tylko siedem tysięcy piechoty i dwa tysiące jazdy, uderzył pospiesznie na Ibrahima Paszę, oblegającego Deligrad, miasto serbskie bronione przez innego dowódcę, Piotra Dobrinjasa. Gdy Jerzy nadciągnął, Ibrahim zaproponował mu rokowania. Posiedzenia odbywały się w Smederewie; ich wynikiem było chwilowe zawieszenie broni w Serbii na warunkach dla kraju korzystnych. Była to jedna z owych przerw w działaniach wojennych, które dają wytchnienie powstańcom i sprawiają, że narody niepostrzeżenie nawykają do owej połowicznej niepodległości, co zmienia się niebawem w niecierpliwie pragnienie całkowitej wolności.

Wkrótce potem Jerzy Czarny, który nie rozpuścił swoich wojsk, ponieważ mufti nie zatwierdził warunków ustalonych w Smederewie, ruszył na Belgrad, stolicę Serbii, twierdzę położoną nad Dunajem, z cytadelą i garnizonem tureckim, i zdobył ją. Guszarec Ali, komendant miasta, uzyskał od Jerzego pozwolenie, aby udać się do Widynia z biegiem Dunaju. W cytadeli pozostał Sulejman Pasza, ale z początkiem roku 1807, wyruszywszy z pozostałymi dwustu janczarami, aby połączyć się z Turkami, został wraz z nimi zamordowany przez eskortę, którą dał mu Jerzy dla osłony jego odwrotu. Wina tego barbarzyńskiego czynu nie spada na Jerzego. Był to skutek mściwości Serbów względem janczarów, których okrutne postępowanie z poddanymi sprawiło, że takie kaźnie były dla Serbów czymś zwyczajnym.

Pomyślne wyniki owej wojny o niepodległość sprawiły, że Serbia przyjęła ustrój na wskroś municypalny. Dowódcy wojskowi, mianowani wojewodami, przejęli wszędzie władzę cywilną. Wojewodowie mieli oparcie w jeździe utworzonej z synów najbogatszych rodzin, którzy nie otrzymywali żołdu, ale żyli na koszt wojewodów i dzielili się z nimi zdobyczym łupem. Kilku spośród tych wojewodów miało wokół siebie do pięćdziesięciu owych młodych jeźdźców. Do najwybitniejszych z wojewodów należeli wówczas Jakub Nienadovi, Milenko, Dobrinjas, Ressay, a ponad nimi — Jerzy Czarny.

Senat, złożony z dwunastu członków obranych w każdym z dwunastu okręgów, przewodził sprawom ogólnym tej zbrojnej federacji i miał stanowić przeciwwagę uzurpatorskiej władzy wo-

jewodów. Senat ten okazał się godzien powierzonych sobie funkcji.<sup>1</sup> Doprowadził do ładu finanse, ustawił wysokość podatków, wyznaczył dziesięcinę na opłatę żołdu i zajął się sprawą oświaty ludowej z gorliwością i rozsądkiem świadczącymi o wrodzonym instynkcie cywilizacyjnym. Tradycyjne nauczanie, udzielane w szkołkach przyklasztornych, zastąpiono działalnością szkół ludowych w każdym głównym mieście okręgu. Niestety, senatorowie ci nie posiadali mandatu od całego kraju, lecz reprezentowali jedynie wojewodów, byli zatem pod ich wyłącznym wpływem.

Inne ciało polityczne, złożone z wojewodów i gospodarów, zajmowało się sprawami najważniejszymi, toteż ciało to i Jerzy Czarny dzielili między sobą władzę najwyższą, która stanowiła przedmiot ich rywalizacji. Co roku, koło Bożego Narodzenia, wojewodowie wchodzący w skład tego ciała zbierali się w Belgradzie i tu pod okiem Jerzego Czarnego, pośród kłębiących się intryg, dyskutowali o pokoju, o wojnie, o formie rządu, o wysokości podatków. Składali sprawozdania i wydawali zarządzenia dotyczące administracji i prawodawstwa. Istnienie i uroszczenia tego arystokratycznego ciała stanowiły przeszkodę na drodze całkowitego oswobodzenia i szybszego rozwoju Serbii. Jedność jest podstawowym warunkiem egzystencji zbrojnego narodu w obliczu jego wrogów; niepodległość, aby się utrwalić, wymaga despotyzmu; swobody obywatelskie wymagają istnienia ciał obradujących. Gdyby Serbowie byli wówczas rozsądniejsi, wynieśliby Jerzego Czarnego ponad jego wszystkich rywali i sprawiliby, że pełnia władzy skupiłaby się w jednym ręku. Gospodarowie zdawali sobie sprawę, że niezbędny jest jeden przywódca, ale każdy z nich pragnął, aby ów przywódca okazał się słaby, co pozwoliłoby nim kierować. Ta skryta myśl przyświecała im przy wyborze senatorów. Spodziewali się, że senat dopomoże im w działaniach przeciw Jerzemu; Jerzy zaś miał nadzieję, że się nim posłuży przeciw gospodarom. Między wyzwolicielami Serbii rozpoczęła się skryta walka.

Najwymowniejszy z senatorów, Mladen Milovanović, zdobył dzięki sile słowa rozstrzygający wpływ na bieg spraw w senacie. Wzbożony podczas grabieży Belgradu, kontrolował komory celne nad Dunajem, co czyniło go panem handlu zagranicznego; wzbudzało to zawiść Jerzego i jego zwolenników. Senat, podburzony przez nich, zwrócił się przeciw Milovanovićowi, który z myślą o zemście, wycofał się do Deligradu. Potajemnie powiadomił Jerzego o intrygach, które knuli przeciw niemu Rosjanie i Grecy. Jerzy zaufał mu, wezwał go do Belgradu, postanowił

wydać wojnę Bośniakom i rozpoczął kampanię roku 1809, wkraczając do Bośni.

Ta sama narodowa pieśń serbska, która sławi wszczęcie powstania, przepowiada nieszczęście, gdyby kiedykolwiek przekroczone Drinę i zajęto Bośnię. Przepowiednia poety była wyrokiem Opatrzności. Owa kampania stanowiła cykl błędów, klęsk i porażek. Jerzy Czarny, wspomagany przez korpus rosyjski, na próżno walczył ze zwykłym sobie bohaterstwem. Pobity przez Turków pod Kamienicą, wycofał się, aby bronić Jagodiny oraz lewego brzegu Morawy, i zdołał zachować tę część terytorium jedynie dzięki odsieczy rosyjskiej.

Niepowodzenia wzmogły zazdrosną niechęć, którą żywili względem niego wojewodowie. Ośmielono się targnąć na jego władzę w dniu, kiedy już nie chronił jej autorytet zwycięzcy. Pierwszym, kto się poważył po nią sięgnąć, był Jakub Nienadović. Zjawił się w senacie 1 stycznia 1810 roku na czele sześciuset młodych jeźdźców, pozostających pod jego rozkazami, i został mianowany przewodniczącym senatu. Jedynie wpływ Rosji podtrzymywał jeszcze przez pewien czas nadwątloną władzę Jerzego. Ow wyruszył przeciw Kurszydowi, paszy Niszu, dowodzącym nie mniej niż trzydziestu tysiącami ludzi. Równina Wawrinu stała się widownią krwawej bitwy, w której trzy tysiące Serbów, natchnionych głosem i przykładem swojego dowódcy, odparło ową ogromną rzeszę Turków, zmusiło ich do okopania się, a wkrótce potem do wycofania się do Niszu. Jerzy ruszył natychmiast w kierunku Lonicy obleganej przez czterdzieści tysięcy Turków. Miasto, które od dwunastu dni opierało się gwałtownym atakom artyleryjskim, miało już właśnie dostać się oblegającym, gdy pojawienie się Jerzego i brawura dowodzonych przez niego Serbów, zmusiły armię turecką do odwrotu za Drinę. Jerzy Czarny osiągnął wówczas szczyt swojej sławy. Dzięki niemu Serbia, całkowicie wolna, rozciągała się teraz od wyspy Poręcz na Dunaju aż do zbiegu tej rzeki z rzeką Timok. Ale pokój, zawsze bardziej złowroźny dla wyzwolicieli ich ojczyzny niż wojna, stał się przyczyną nowych intryg i nowych sporów między przywódcami, których zjednoczyło wspólne niebezpieczeństwo. Gospodarowie pragnęli pomniejszenia władzy Jerzego, aby później całkowicie go z niej wyzuć. Spisek ten został odkryty na czas. Jerzy wykorzystał ową próbę obalenia go, którą zmiotł z całą mocą, aby wzbudzić korzystne dla siebie nastroje w sejmie, zebranych w roku 1811. Zadał śmiertelny cios wpływowi gospodarów i wojewodów, wprowadzając nowy podział obwodów i zwiększa-

jąc liczbę ich naczelników, którzy, będąc zbyt słabi, aby działać w pojedynkę, stali się łatwymi do manipulowania narzędziami, a zazdrośni o niedawną przewagę wojewodów, opierali się przeciw nim o autorytet naczelnego przywódcy i zwiążali z nim swoje losy.

Zakres działania senatu został zmieniony. Ciało to, zamiast skupiać całość władzy, zostało podzielone na dwa zgromadzenia, z których jedno, złożone z członków mniej wpływowych, stało się czymś w rodzaju trybunału sądowego, a drugie pełniło funkcje administracyjne i stanowiło jak gdyby gabinet Jerzego Czarnego. Trudno nie podziwiać instynktu politycznego tego wielkiego człowieka, który dał tu dowód zręczności, równej jego energii i odwadze okazywanym w rzeczach wojny. Skupiając i zatrzymując wokół siebie swoich przyjaciół, a nawet swoich wrogów, którym powierzył stanowiska zarówno dochodowe, jak zaszczytne, Jerzy odsunął ich od ludności, która zwykła ich słuchać, i zniweczył ich buntowniczą oligarchię. Wydano ustawę, która głosiła, że każdy Serb opierający się tak ukonstytuowanej władzy zostanie skazany na banicję. Dobrinjas i Milenko padli jej ofiarą i schronili się w Rosji. Nienadović przyłączył się do stronnictwa Jerzego, wydając swoją córkę za Mladena, jednego z najpotężniejszych zwolenników dyktatora.

Sułtan zaproponował Jerzemu, że jeśli Rosja udzieli odpowiedniej gwarancji, uzna go jako hospodara Serbii. Turcy mieli zachować twierdze, Serbowie — oddać im broń. Zawile układy ciągnęły się bez rezultatu aż do roku 1813, kiedy to Jerzy, nie mogąc porozumieć się z Porta, wezwał swoich rodaków do broni: „Przez dziewięć lat zwyciężaliście wraz ze mną waszych wrogów; walczyliście bez oręża i bez fortec; teraz między Turkami i wami wznoszą się miasta, ciągną mury i płyną rzeki; macie sto pięćdziesiąt dział, sześć twierdz, czterdzieści ufortyfikowanych portów i wasze lasy, niezdobytą ostoję waszej wolności; Rosjanie chcą ruszyć wam na pomoc: czy możecie się wahać?”

Tymczasem Turcy szykowali się do wyprawy pod dowództwem admirała Widyńia. Wielki wezyr, korzystając ze zwycięstwa Francuzów pod Liitzen<sup>7</sup>, nalegał, aby paszowie za jednym zamachem skończyli tę długą walkę, tak upokarzającą dla Porty. Osiemnaście tysięcy Turków ruszyło przeciw Welikowi, którego oblegali w Niegotinie. Weliko, trafiony kulą armatnią, pozostał na placu boju. Jego rozbita armia ratowała się ucieczką przez bagna aż na wyspę Poręcz. Na południu Kurszyd Pasza na czele licznego wojska pędził przed sobą Mladena i Simę, dwóch generałów serb-



skich, i stanął obozem aż pod murami Szabacu. Nigdy Serbia nie była w groźniejszym położeniu. Tyle dotkliwych klęsk stłumiło jak gdyby zapal niepodległości, a może też sprawiły to trzy lata pokoju i wewnętrzne zwady. Upadała zarazem odrębność narodowa Serbii i jej chwała, a Jerzy Czarny, uchybiając własnej sławie i własnej ojczyźnie, czy to dlatego, że przewidział nieuniknioną klęskę i chciał się oszczędzić na czas bardziej pomyślny, czy też wyczerpał zapasy odwagi i pragnął już tylko ocalić życie i mienie, schronił się na terytorium Austrii wraz ze swoim sekretarzem Jainko i trzema zaufanymi. Tak zgasła gwiazda owego bohatera narodowego Serbii, co zmarł w jednej z twierdz austriackich<sup>8</sup>, zamiast unieśmiertelnić się zgonem między swymi i na ojczystej ziemi, którą pierwszy zbudził do życia. Gdy rozeszła się wieść o jego ucieczce, armia poszła w rozsypkę, a Sme-derevo i Belgrad wpadły ponownie w ręce Turków. Serbia stała się paszaliem, a jej zwycięzca, Sulejman, został jej władcą i paszą. Senatorowie zbiegli: jeden tylko, prawie jeszcze dziecko [!], wojewoda Miłosz Obrenowicz pozostał wierny straconej sprawie niepodległości. Podburzył obwody południowe i zamierzał zająć Užicę, ale gdy go odstąpiły jego własne wojska, musiał przyjąć propozycje Turków. Sulejman, do którego go zaprowadzono, powitał go z honorami. Rozbrojeni Serbowie musieli własnymi rękami odbudować twierdze, które miały nadzorować ich kraj. Wydziedziczeni spahisowie mścili się za dziesięć lat wygnania, do którego zmusiła ich brawura Serbów.

Ale ta ciężka, hańbiąca niewola przyczyniła się do zahartowania charakteru narodowego Serbów. W popiołach tliła iskra powstania. Miłosz, który uważnie wyczekiwał odpowiedniej chwili, lecz nie sądził, by już nadeszła, sam energicznie tłumił wszelkie przedwczesne próby podejmowane przez jego przyjaciół. Wreszcie barbarzyńskie wiarołomstwo kahyi Sulejmana Paszy wzięło górę nad jego ostrożnością. Miłosz uzyskał mianowicie amnestię dla powstańców w Jagodinie; tymczasem Turcy, zamiast dotrzymać obietnicy, sprowadzili przywódców tego powstania do Belgradu, rozstrzelali z nich stu pięćdziesięciu, a trzydziestu sześciu wbili na pal. Miłosz, który przebywał wtedy w Belgradzie, był świadkiem tej straszliwej kaźni. Ich krew domagała się zadośćuczynienia. Turcy spostrzegli jego wściekłość i obawiając się zemsty, uwięzili go, lecz Miłosz, ledwo znalazł się w twierdzy, zdołał z niej zbiec, przedostał się przez mury miasta, schronił w górach w okolicach Rudnika, zgromadził tam swoich zwolenników i powstanie niczym pożar ogarnęło wszystkie lasy Serbii.

Miłosz urodził się w roku 1780, jego matka, Wisznia, była dwukrotnie zamężna. Jej pierwszym mężem był Obren. Miała z nim syna imieniem Milan. Drugi jej mąż nazywał się Teszo. Miała z nim kilkoro dzieci, Jednym z nich był Miłosz. Rodzice byli biedni, Miłosz musiał więc z początku pędzić stada wołów, które bogaci miejscowi handlarze bydlęm wysyłali na targ do Dalmacji. Następnie przyjął obowiązki u swojego przyrodniego brata Milana, który także handlował bydlęm. Obaj bracia tak się kochali, że Miłosz również nazwał się Obrenowiczem, przybierając to miano od imienia ojca Milana. Interesy obu braci kwitły. Bogaci i wpływowi już w okresie pierwszego powstania, wzięli w nim udział, każdy zgodnie ze swoich charakterem. Milan, spokojny i łagodny, pozostał w domu i zajmował się administracją obwodu, Miłosz, żywy i nieustraszony, walczył pod dowództwem Jerzego Czarnego.

Kiedy Jerzy Czarny przeprowadził zmiany w sposobie zarządzania krajem, Milan, który przyłączył się do opozycji w senacie, został z jego rozkazu rozstrzelany. Miłosz zawdzięcza częściowo swój sukces i swoją obecną sławę śmierci brata. Chęć jej pomszczenia sprawiła, że znalazł się pośród niezadowolonych. Nie uszedł jednak z ich przywódcami, którzy zbiegli w roku 1813. Wówczas naturalnym biegiem rzeczy wszystkie spojrzenia zwróciły się ku temu jednemu, co pozostał w kraju.

W Niedzielę Palmową 1815 roku Miłosz, który zbiegł z Belgradu, wszedł do kościoła w Takowie, gdzie zebrała się już znaczna liczba ludzi. Przemówił do nich z właściwym Słowianom naturalnym darem wymowy i z ową ogromną mocą pełnego rozpaczycy uczucia, które niejako już z góry dzielili z nim ci wszyscy, co go otaczali.

Rozpoczęły się działania zbrojne; Miłosz na czele kilku młodych jeźdźców ze swojego obwodu i tysiąca górali odbił jedną z bram miejskich z rąk spahisów i zdobył dwa działa. Na wieść o tym sukcesie emigranci wrócili do kraju, zbiegowie wyszli z lasów, hajducy zeszli z gór; zaatakowano zastępcę paszy, który na czele dziesięciu tysięcy Turków nieopatrznie stanął obozem na równinie nad Morawą. Kahya poległ w walce, jego śmierć nappełniła zgrozą cały obóz. Turcy zaczęli uciekać w kierunku Sie-nicy. Tu wydano im kolejną bitwę, w której Miłosz odniósł zwycięstwo; łupy, kobiety, artyleria kahyi wpadły w ręce Serbów. Ali Pasza z resztką wojska wyruszył z Belgradu przeciw Miłoszowi; został pokonany i wycofał się do Kiupry z pomocą eskorty, której udzielił mu zwycięzca. Adem Pasza również haniebnie ska-

pitulował, zamknął się w Nowym Bazarze i przyjął dary ofiarowane mu przez Miłosza. Pasza Bośni zszedł ze swoich gór ze świeżą i liczną armią, kierując przeciw Miłoszowi jednego ze swoich dowódców, Ali Paszę, który stoczył z Serbami bitwę w Maczwie; Ali Pasza dostał się do niewoli, a następnie, obsypany podarunkami, został odesłany do wielkiego wezyra. Serbowie, okazując tyle szlachetności, dawali świadectwo, że są godni owej cywilizacji, w której imieniu walczyli, a Miłosz z góry niejako traktował swoich wrogów jako przyszłych przyjaciół; zdawał sobie sprawę, że dla jego ojczyzny nie nadszedł jeszcze czas pełnej niepodległości i zamiast hańbić ją rzeziami, działał z myślą o przyszłych traktatach. Od strony granicy nad Morawą nadciągał z kolei Maraszli Ali Pasza; na szczęście między tym generałem i Kurszydem Paszą, dawnym wielkim wezyrem i paszą Bośni, panowała niechęć; nie uzgadniali swoich planów i każdy z nich w głębi duszy, chcąc zachować wyłącznie dla siebie chwałę zwycięstwa, pragnął klęski drugiego; obaj chcieli układać się i u-biegali się o jak najrychlejsze ukończenie wojny. Miłosz, powiadomiony o tych intrygach, potrafił je wykrywać; powążył się we własnej osobie udać się do wielkiego wezyra, do obozu tureckiego; spotkał się z Kurszydem, ale do porozumienia nie doszło: Miłosz chciał, aby Serbowie zachowali broń; pasza godził się na wszystkie warunki z wyjątkiem tego jednego, co sprawiło, że wszystkie inne stawały się wątpliwe. Miłosz, rozdrażniony, wstał, aby dosiąść konia; Kurszyd rozkazał, by go zatrzymano; janczarowie rzucili się na niego, lecz Ali Pasza, ów dowódca Kurszyda, którego Miłosz po odniesionym zwycięstwie puścił wolno i obdarowanego odesłał do wielkiego wezyra, odważnie stanął między spahisami i Miłoszem; tłumaczył Kurszydowi, że Miłosz zjawił się w obozie, ufając jego słowu, że przysiągł mu, iż będzie mógł odejść zdrów i cały, że raczej gotów jest umrzeć, niż ścierpi, aby pozbawiono wolności człowieka, któremu zawdzięcza życie. Stanowczość Ali Paszy wywarła wielkie wrażenie na wezyrze i jego żołnierzach. Ali wyprowadził Miłosza z obozu. „Pamiętaj — rzekł mu na pożegnanie — abyś odtąd nikomu nie ufał, nawet sobie. Byliśmy przyjaciółmi, teraz rozstajemy się na zawsze.”

Miłosz wrócił do siebie. Rokowania z Maraszli Ali Paszą okazały się pomyślniejsze: zgodzono się, aby Serbowie zatrzymali broń; posłowie ich udali się do Konstantynopola i po miesiącu wrócili z firmanem o pokoju ujętym w następujących słowach: „Bóg powierzył swoich poddanych sułtanowi, sułtan powierza ich

swojemu paszy." Pasza wrócił do Belgradu, a przywódcy serbscy za pośrednictwem Miłosza zobowiązali się wobec niego do spełnienia przyjętych zobowiązań. Twierdze pozostały w rękach Turków; Serbowie sami określali wysokość należnych od nich podatków; administracja została podzielona między obie strony; senat zasiadał w Belgradzie jako ciało doradcze paszy. Ali, cieszący się przychylnością Serbów, zastąpił w Belgradzie ich nieprzyjaciela, Sulejmana Paszę, którego sułtan odwołał. Taki stan rzeczy nie mógł trwać długo: starcia były nieuniknione. Miłosz, który pozostał przywódcą narodowym, przebywał w Belgradzie u boku Ali Paszy niby czujna straż, gotowa w każdej chwili dać ludowi znak do oporu lub do natarcia.

Ali starał się zrećznością uzyskać rozbrojenie, którego nie mógł uzyskać siłą: zwrócił się do Miłosza, zaklinając go, aby odebrał ludowi broń. Miłosz odpowiedział, że on i jego przyjaciele są gotowi złożyć posiadaną broń, lecz nie może wydrzeć jej chłopom. Pasza, oburzony, nasał na Miłosza prezesa kancelarii serbskiej Molera oraz metropolitę Niksića; ale straż Miłosza pochwyciły obu konspiratorów podczas obrad i zmusiły paszę, by jako sprawujący władzę wykonawczą skazał ich na śmierć. Ta słabość, okazana przez paszę, jeszcze bardziej ośmieliła Serbów; Miłosz opuścił Belgrad i chcąc uniknąć zasadzek rozmaitego rodzaju, jakie zastawiali na niego Turcy i współzawodniczący z nim Serbowie, zamknął się w ufortyfikowanej wsi Topsisidor, o pół mili od Belgradu. W roku 1821 ponowiono próbę zamachu na władzę i życie Miłosza. Dwaj wojewodowie, którzy nią kierowali, zostali straceni. Podejrzewano, że działali za podszeptem paszy, toteż między oboma narodami wzmogła się wrogość. Tymczasem uwagę Turków pochłaniały budzące ich niepokój bunty w Albanii i grecka wojna o niepodległość. Były to okoliczności sprzyjające skupieniu sił narodowych w Serbii. Ludy, aby zdobyć wolność, muszą znaleźć swoje uosobienie w przywódcy wojskowym; dobrze pojęty interes narodowy i uznanie dla owego przywódcy sprawiają, że takie narody ofiarują władzę dziedziczną temu, kto potrafi ową władzę stworzyć i obronić. Narody nowo narodzone, kierując się instynktem, obierają ustrój monarchiczny, który jest jak gdyby obranym przez nie same opiekunem ich wciąż jeszcze zagrożonej niepodległości. Ow instynkt był bardzo silny w Serbii, gdzie nie znano form rządu republikańskiego. Miłosz podzielał powszechne mniemanie w tej sprawie i miał odnieść z tego korzyść. Rozszerzył zakres swojej władzy i przywrócił niemal w całości system rządów wprowadzony przez Jerzego Czarnego.

Ustanowił między ludem i arystokracją kneziów, którym powierzył administrację kraju. Każdy z kneziów miał sobie podległy obszar czy prowincję, a większość obwodów miała z kolei zależnych od nich naczelników. Kneziów mianował Miłosz, wyznaczając podległe im obszary i czynności. Aby zapobiec wszelkim zdzierstwom ze strony kneziów, wyznaczono im pensje ze skarbu publicznego.

W miastach i po wsiach ustanowiono sądy pierwszej instancji. Sąd najwyższy miał swoją siedzibę w Kragujevacu. Członkowie tego trybunału byli mianowani przez Miłosza. Zanim zostanie ogłoszony przygotowywany obecnie kodeks, sądy kierują się prawem zwyczajowym. Prawo wydawania wyroków śmierci jest zastrzeżone dla tego, kto sprawuje najwyższą władzę w państwie. Niewielka opłata, którą Serbia wnosi Porcie, pozostałość daniny, stanowiąca jedynie odległe wspomnienie dawnej zależności, przechodzi przez ręce najwyższego przywódcy, który przekazuje ją paszy. Pasza, błądy cień władzy, która już nie istnieje, stanowi jak gdyby wysuniętą strażnicę Porty; należy do niego nadzorowanie Dunaju i wydawanie rozkazów Turkom przebywającym w położonych nad nim twierdzach. W razie wojny Turcji z Austrią Serbowie mieli dostarczyć czterdzieści tysięcy ludzi. Duchowieństwo, którego wpływ mógł zrównoważyć wpływ Miłosza, utraciło znaczenie, ponieważ nie rozstrzyga już kwestii prawnych, przekazanych trybunałom świeckim. Duchowni świeccy i mnisi, podobnie jak reszta ludności, podlegają karom cielesnym, i płacą jak inni podatki. Dochody z dóbr biskupich zastąpiono stałymi pensjami wypłacanymi przez państwo. W ten sposób cała władza skupiła się w ręku najwyższego przywódcy. Ustrój panujący w Serbii przypomina ścisłą dyscyplinę jakiegoś ogromnego obozu, w którym rzesze ludzkie są ożywione jedną wolą, bez względu na funkcje i stopnie hierarchiczne poszczególnych jednostek. Taka postawa jest niezbędna w obliczu Turków. Lud trwa stale w pogotowiu z bronią u nogi. Przywódca musi być na wskroś żołnierzem. Turcy wciąż jeszcze kwestionują ów na poły niepodległy stan Serbii. Traktat akermanski niczego nie rozwiązał w roku 1827. Sejm zebrał się w Kragujevacu: przybyłych miano powiadomić o zawartym traktacie. Miłosz wstał i przemówił: „Wiem, że niektórzy są niezadowoleni z kary wymierzonej na mój rozkaz kilku mącicielom. Oskarża się mnie o zbytnią surowość i żądę władzy, gdy tymczasem jedynym moim celem jest utrzymanie pokoju i posłuszeństwa wymaganych przez oba dwory cesarskie. Przypisuje mi się również, jako zbrodnię,

że lud musi opłacać podatki; trzeba się jednak zastanowić, ile kosztuje zdobyta przez nas wolność i o ile więcej kosztuje niewola. Człowiek słaby upadłby pod brzemieniem położenia, w jakim się znajduje. Jedynie kierując się dla waszego dobra zasadami nieomylniej sprawiedliwości mogę wypełniać obowiązki, które podjąłem wobec ludu, cesarzy, mojego sumienia i Boga."

Po tym przemówieniu sejm sporządził akt, który przedstawiono Miłoszowi, a następnie przesłano Porcie; aktem tym Serbowie głosami swoich przywódców zaprzysięgli wieczną wierność jego wysokości księciu Miłoszowi Obrenowiczowi i jego następcom, Serbia spłaciła swój dług wobec Miłosza, który z kolei wywiązuje się ze swojego długu wobec Serbii. Nadaje swojej ojczyźnie ustawy tak proste jak panujące tu obyczaje, ale ustawy te napęłnia duch oświecenia europejskiego. Podobnie jak niegdyś ci, co tworzyli prawa dla nowo powstających narodów, wysyła młodych Serbów do wielkich stolic europejskich, polecając im zbieranie informacji w kwestiach ustawodawstwa i administracji, aby je następnie przystosować do warunków serbskich. Kilku cudzoziemców przebywa stale na jego dworze, służąc mu jako pośrednicy w zakresie języków, sztuk i rzemiosł narodów sąsiednich. Ludność, usposobiona teraz pokojowo i zajęta rolnictwem oraz handlem, zna wartość zdobytej przez nią wolności, wzrasta liczebnie, rozwija coraz to bardziej ożywioną działalność i coraz staranniej pielęgnuje cnoty obywatelskie. Religia, jedyna oświata ludów, które w swoich lasach innej nie znają, nic nie tracąc z właściwego jej błogosławionego wpływu, ograniczyła zbyt rozległy zakres swoich czynności; szkolnictwo ludowe stanowi główny przedmiot starań władz. Lud instynktownie i gorliwie wspiera te usiłowania Miłosza, chcąc stać się godnym rządów jeszcze bardziej oświeconych: można by rzec, iż pojmując, że tylko ludy oświecone mogą być wolne, i że usiłuje jak najprędzej urzeczywistnić taki stan rzeczy. Władze municypalne, rozsiane w obwodach niby ziarna wolności, do tego go przygotowują. Kilku emigrantów, wypędzonych przez Turków po ucieczce Jerzego Czarnego lub też przez Miłosza, ponieważ konspirowali przeciw niemu z Turkami, pozostaje poza granicami ojczyzny, ale z każdym dniem ustalający się ład i jednoczące się w patriotycznej jednomyślności rozmaite poglądy przybliżają chwilę, gdy będą mogli wrócić i uznać dobroczynne działania bohatera, którego zwalczali.

Twierdze dziś jeszcze są obsadzone przez dziesięcioletnią załogę turecką. Książę mógłby ich z łatwością wypędzić, cały kraj

powstałby na jego rozkaz. Ale obecność Turków w owych twierdzach i nominalna ich współ władza nie przyczynia już szkody Serbii, natomiast chroni ją przed zaburzeniami wewnętrznymi i intrygami z zewnątrz, które nieuchronnie by wybuchły, gdyby Serbia była całkowicie oddzielona od cesarstwa otomańskiego, i nie przeszkadza bynajmniej księciu, który, prowadząc zręczną politykę, przekłada taki stan rzeczy nad nową i przedwczesną wojnę. Lud jest mu wdzięczny za utrzymanie pokoju, który pozwala na rozwijanie wszystkich dziedzin życia wewnętrznego kraju. Nie obawia się o swoją rzeczywistą niepodległość. Wszyscy mieszkańcy są uzbrojeni, zajmują wnętrza kraju, miasta i wsie. Pasza rezyduje w Belgradzie; Miłosz przebywa niekiedy w Belgradzie, niekiedy w swoim zamku, o milę od miasta, najczęściej w Kragujevacu, gdzie jest całkowicie oddzielony od Turków i znajduje się w samym środku Serbii. Zresztą przyrodzone cechy kraju i wojowniczość jego mieszkańców chronią go przed wszelkimi niespodziankami.

Książę Miłosz ma lat czterdzieści dziewięć, jest ojcem dwóch synów, z których starszy ma lat dwanaście.<sup>10</sup>

Przyszłe losy cesarstwa otomańskiego rozstrzygną o przyszłości tej rodziny i tego ludu, przeznaczono go jak gdyby siłą rzeczy do wzięcia żywego udziału w wielkich wydarzeniach, które nastąpią w Turcji europejskiej, a także w azjatyckiej części tego mocarstwa. Pieśni ludowe, które książę każe rozpowszechniać między ludem, rysują przed nim przyszlą chwałę i moc Serbii i przypominają jej dawnego bohaterskiego króla Stefana Duszana.<sup>11</sup> Opowieści o niezwykłych czynach hajduków krążą z ust do ust i sprawiają, że każdy Serb marzy o zmartwychwstaniu jednolitego, wielkiego narodu słowiańskiego, którego zarodek, mowę, obyczaje i pierwotne cechy Serbowie właśnie przechowali w lasach Szumadii.

Każdy podróżnik, podobnie jak ja, powinien uszanować te marzenia i nadzieje: nie może bez żalu i bez błogosławieństwa opuścić tych bezkresnych, dziewiczych lasów, tych gór, tych równin, tych rzek, które, łącząc olśniewającą młodość tej ziemi z młodością tego ludu, sprawiają wrażenie, jakby wyszły właśnie z ręki Stwórcy. Kiedy widzi nowe domy Serbów, co wychylają się spośród lasów, wznoszą się na brzegach potoków, ciągną się długimi, żółtymi rzędami na dnie dolin, kiedy słyszy z daleka odgłosy tartaków i młynów, dźwięk dzwonów nowo ochrzczonych we krwi obrońców ojczyzny i spokojny czy wojowniczy śpiew młodzieńców i dziewcząt wracających z pola, kiedy patrzy na

## NOTATKI O SERBII

długie szeregi dzieci wychodzących ze szkół lub z drewnianych kościołów o nie wykończonych jeszcze dachach, na tryskające młodością i zapałem twarze rozświetlone blaskiem wolności, radości i nadziei, kiedy rozmyśla o ogromnych korzyściach materialnych, które ta ziemia zapewnia swoim mieszkańcom, o niezbyt dopiekającym tu słońcu, które ją oświeca, o górach, które ją oceniają i chronią niby wzniesione przez przyrodę twierdze, o pięknym Dunaju, który ją opasuje, niosąc jej wytwory na Północ i na Wschód, a wreszcie o Adriatyku, nad którym niebawem staną jej porty i rozwinie się marynarka, co zbliża ją do Włoch, kiedy w dodatku przypomni sobie, że wędrując pośród tego ludu, zawsze spotykał się z oznakami życzliwości i przyjaźni, że w każdej chacie świadczone mu zawsze bezinteresowną gościnność, że wszędzie przyjmowano go jak brata, radzono się jak mędrca, wypytywano jak wyrocznię i że jego słowa, wysłuchiwane chciwie i uważnie przez duchownych i kneziów, pozostaną niby zarodki cywilizacji we wszystkich wsiach, przez które przejeżdżał — nie może się powstrzymać, aby po raz ostatni nie spojrzeć z miłością na zalesione zbocza dolin, na zrujnowane meczety, na ażurowe kopuły, od których dzieli go szeroki Dunaj, i tracąc je z oczu, rzec do siebie: „Chciałbym walczyć u boku tego młodego ludu o niosącą obfity plon wolność!”, oraz powtarzać te strofy ludowej pieśni, które jego drogman mu przetłumaczył:

„Kiedy słońce Serbii błyszczący na falach Dunaju, rzeka jak gdyby niesie ostrza jataganów i lśniące fuzje Czarnogórców; rzeka stali broni Serbii. Słodko jest usiąść na brzegu i patrzeć, jak płynie strzaskana broń naszych wrogów. Kiedy wiatr z Albanii wieje od gór i wpada między lasy Szumadii, rozlegają się jak gdyby okrzyki armii tureckiej pokonanej nad Morawą. Słodki jest ten odgłos dla uszu wyzwolonych Serbów. Słodko jest martwym czy żywym spoczywać po walce u stóp tego dębu, co, jak my, śpiewa o swojej wolności.”<sup>12</sup>



# Przypisy

## PRZEDMOWA DO WYDANIA PIERWSZEGO

<sup>1</sup> Przedmowa ta, umieszczona w pierwszym wydaniu z r. 1835 pt. *Aver tissement*, została pominięta w edycji przekładu polskiego, który posłużył jako osnowa niniejszego wydania. Edycja ta (*Wrażenia, myśli, krajobrazy i wspomnienia z podróży na Wschód Alfonsa de Lamartine*, przełożył J. S. Jaśniewski, t. 1—i, Warszawa 1843) będzie następnie oznaczona skrótem: Jaśniewski.

Wspominając *Itinéraire...* Lamartine ma na myśli Chateaubrianda *Itinéraire de Paris à Jérusalem et de Jérusalem à Paris, en allant par la Grèce et en revenant par l'Égypte, la Barbarie et l'Espagne*, t. 1—3, Paris 1811 (wydanie wersji polskiej: *Podróż z Paryża do Jerozolimy*, Warszawa 1853, tłumaczył Franciszek Salezy Dmochowski; *Opis podróży z Paryża do Jerozolimy*. Na osnowie tłumaczenia Franciszka Salezego Dmochowskiego przygotował, według oryginału uzupełnił i notami opatrzył Paweł Hertz, Warszawa 1980).

<sup>2</sup> Lamartine, wymieniając tu kolejno kilka dzieł ogłoszonych współcześnie w Francji, włącza do nich książkę markiza de Laborde dotyczącą Hiszpanii, co wskazuje na dość powszechne wówczas traktowanie tego kraju jako egzotycznego oraz na głęboko jeszcze utrwaloną wtedy świadomość jego związków z kulturą arabską.

Aleksander Ludwik Józef de Laborde (1774—1842) ogłosił dwa dzieła o Hiszpanii: *Voyage historique et pittoresque en Espagne*, t. 1—4, 1807—1815, oraz *Itinéraire descriptif de l'Espagne*, t. 1—5, 1808, którego trzecie wydanie ukazało się w l. 1827—1830, można więc przypuszczać, że to dzieło ma na myśli Lamartine.

Wiktor Fontanier (1796—1857) pełnił służbę konsularną w l. 1822—1829, był autorem kilku dzieł podróżniczych, z których mowa tu najpewniej o *Turquie d'Asie, Constantinople, Grèce*, 1829.

Józef Franciszek Michaud (1767—1839), publicysta i historyk, po odbyciu podróży na Wschód w r. 1830 ogłosił wraz ze swoim współpracownikiem Janem Józefem Poujoulat (1808—1880) *Correspondance d'Orient*, która ukazywała się w l. 1832—1835. Mówiąc dalej o tej książce, Lamartine wspomina o dwóch pracach Michauda poświęconych wyprawom krzyżowym, a mianowicie o jego *Histoire des croisades*, 1811—1822, oraz o sporządzonym przez niego, przy późniejszej współpracy Poujoulata, zbiorze dotyczących krucjat wypisów z kronikarzy łacińskich i wschodnich pt. *Bibliothèque des croisades*, 1822.

Jak wynika z tekstu, Lamartine miał okazję zapoznania się z notatkami czy też rękopisami prac Cailleta, które, jak się zdaje, nie doczekały się publikacji, nie zdołałem bowiem odszukać ich śladu w katalogu Bi-

## PRZYPISY

bibliothèque Nationale, podobnie jak nie udało mi się odnaleźć bliższych danych dotyczących Cailleta, który w wiele lat później doszedł do stopnia generała, zob. Maurice Toesca, *Lamartine ou l'amour de la vie*, Paris 1969, s. 554.

<sup>4</sup> Lamartine, jak o tym świadczą jego listy skierowane do kilku przyjaciół, nie zamierzał początkowo ogłaszać swoich notat czynionych w podróży ani też nadawać im charakteru dzieła literackiego. Okolicznościami, o których tu wspomina, lecz których nie określa, były po prostu względy finansowe. Koszty podróży wschodniej należało w jakiś sposób pokryć, choćby częściowo, i to właśnie sprawiło, że pisarz zgodził się sprzedać to, co nazywa w zachowanej korespondencji, „notatami z podróży”, wydawcy paryskiemu Karolowi Gosselin. Zob. Löffy Fam, *Lamartine*, „*Voyage en Orient*”. *Edition critique avec documents inédits*, Paris [1960], s. 44—48.

## WSPOMNIENIA, WRAŻENIA, MYŚLI I KRAJOBRAZY

<sup>1</sup> Mowa tu o tzw. Bible de Royaumont, obejmującej tłumaczenia fragmentów Starego i Nowego Testamentu, a wydanej z licznymi rycinami w r. 1670 pt. *L'Histoire du Vieux et du Nouveau Testament représentée avec des figures et des explications édifiantes tirées des Saints Peres*, której wydawcami byli ukryci pod pseudonimem przeora Sombrevail, pana na Royaumont, tłumacz Starego Testamentu oraz współtłumacz Nowego Testamentu (tzw. Nouveau Testament de Mons) Ludwik Izaak Lemaistre zw. de Saci (1613—1684; przydomek Saci stanowi anagram francuskiej wersji imienia: Isaac) oraz jego sekretarz Mikołaj Fontaine (1625—1709). Opisana tu edycja Biblii była bardzo popularna we Francji w w. XVII i XVIII.

<sup>2</sup> W tekście Jasińskiego mowa o piętnastu ludziach załogi.

<sup>3</sup> Lamartine udał się w podróż z żoną, Marianną Elizą z domu Birch, którą poślubił 6 czerwca 1820 r. w Chambéry, oraz z córką Julią, urodzoną 14 maja 1822 r. w Mâcon.

<sup>4</sup> Z wymienionych tu osób niektóre tylko zdołałem utożsamić: J. Freyssinet był bankierem; Hipolit de Villeneuve piastował m.in. godność prezesa Akademii Nauk, Literatury i Sztuk Pięknych w Marsylii; Józef Autran (1813—1877), wówczas młody poeta, cieszył się później pewną popularnością, w r. 1869 został członkiem Akademii Francuskiej. Bliższe szczegóły dotyczące pobytu Lamartine'a w Marsylii oraz spotkanych tam przez niego osób zob. Emile Ripert, *Lamartine en Provence*, „*Revue des Deux Mondes*”, 15 lipca 1932.

<sup>5</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Oto wiersz ...”, do słów: „... mego serca.” Tłumacz pominął również zamieszczony po tych słowach wiersz pt. *Adieu. Hommage à l'Académie de Marseille*. Według danych zawartych w wydaniu: Lamartine, *Oeuvres poétiques complètes*, Paris 1963, Bibliothèque de la Pléiade, s. XXXIII, poeta odczytał ten wiersz 26 czerwca 1832 r. podczas uroczystego posiedzenia Akademii marsylskiej. W wydaniu tym tekst utworu, którego tytuł brzmi: *Hommage à l'Académie de Marseille. Adieu*, ogłoszono na s. 538—542. W przypisie do wiersza (tamże, s. 1868) czytamy, że Lamartine napisał go 23 czerwca 1832 r. Utwór został wydany w Marsylii oddzielnym drukiem. Data 28 maja 1832, pod którą Lamartine umieścił tekst tego utworu w *Voyage en Orient*, jest przez niego wybrana najzupełniej dowolnie.

<sup>6</sup> Amadeusz de Parseval (urodzony w r. 1790), syn członka zarządu dzier-

## PRZYPISY

zawy podatków państwowych, zgilotynowanego w r. 1794, mieszkał w Maçon, był bliskim przyjacielem poety z czasów młodości, a także świadkiem tragicznie zakończonego związku uczuciowego Lamartine'a z Julią Charles, którą poeta poznał w październiku 1816 r. w Aix. Od stycznia do maja 1817 r. Lamartine przebywał w Paryżu, gdzie Julia Charles przyjmowała go w swoim salonie. W jesieni Lamartine na próżno oczekiwał jej w Aix, dokąd miała przyjechać. Owocem tego oczekiwania był najśtywniejszy z wierszy Lamartine'a *Le Lac (Jezioro)*. Julia Charles zmarła w Paryżu 18 grudnia 1817 r.; pan de Parseval przywiózł poecie krucyfiks ucałowany przez konającą.

<sup>8</sup> Matka Lamartine'a, Alix, z domu des Roys, zmarła 16 listopada 1829 r.

Jan Waast de la Roière, (de la Royère, Delaroière) ogłosił swój opis podróży na Wschód: *Voyage en Orient*, 1836. Lamartine poznał go w Hond-schoote, w pobliżu Dunkierki, gdy przebywał tam u swojej siostry, Eugenii de Coppens, w lipcu 1831 r. Wspomniany tu opis podróży doktora de la Roière omawia w zestawieniu z dziełem Lamartine'a Raymond Warnier w pracy *A propos du Voyage en Orient (Lamartine. Le livre du Centenaire. Etudes recueillies et présentées par Paul Viallaneix*, Paris 1971, s. 133—151).

<sup>9</sup> Saint-Point, obecnie w departamencie Saône-et-Loire, w pobliżu Maçon, zostało nabyte przez ojca poety w r. 1802. W r. 1821 Lamartine odnowił tutaj zamek, który następnie stanowił jego ulubioną siedzibę.

<sup>10</sup> Mowa o Milly, miejscowości położonej niedaleko Maçon, w dolinie Saony; Lamartine przebywał tam od r. 1797 do r. 1801, a potem nieraz tam wracał; zob. niżej, przyp. 18.

Lamartine ma tu na myśli okres od wybuchu rewolucji francuskiej w 1789 r. wypełniony gwałtownymi zmianami politycznymi i społecznymi oraz namietną walką stronnictw reprezentujących różnorodne poglądy w kwestiach ustrojowych i społecznych.

<sup>12</sup> W jednej z ostatnich popularnych monografii poety wskazano, że myśl o podróży do Grecji i Jerozolimy wyraził Lamartine w r. 1818, jak by świadczył o tym przytoczony fragment jego listu: „Gdybym mógł zebrać sto ludwików, ruszyłbym do Grecji i Jerozolimy o samym tylko chlebie, z sakwą i kijem pielgrzymim”, zob. Maurice Toesca, *Lamartine ou l'amour de la vie*, Paris 1969, s. 18, 163.

<sup>13</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Przeznaczenie raz w stuleciu...”, do słów: „..... poświęcają zemście.” Fragment ten czytelnikowi polskiemu nasuwa nieodparcie porównanie z przewodnim motywem Przygotowania w *Kordianie*, w którym szatan u progu wieku XIX zapowiada swój udział w rewolucyjnych przemianach owego stulecia i w związanych z nimi dziejach narodu polskiego: „Wiek, co przyjdzie, ucieszy szatany” (Przygotowanie, w. 106).

<sup>14</sup> Rewolucja lipcowa w dniach 27—29 lipca 1830 r. obaliła Karola X, ostatniego z dynastii Burbonów, który wstąpił na tron w r. 1824, po śmierci Ludwika XVIII. Ludwik Filip I, początkowo ogłoszony namiestnikiem, a następnie, od 7 sierpnia 1830 r., królem, pochodził z młodszej linii Burbonów, zwanej orleańskiej, która wywodziła się od młodszego syna Ludwika XIII, Filipa I, księcia Orleanu.

Wspominając, że przewidział upadek „nowej monarchii”, czyli Karola X, Lamartine ma zapewne na myśli odmowę, którą odpowiedział na propozycję objęcia teki ministra spraw zagranicznych w gabinecie tworzonym w dniu 8 sierpnia 1829 r. przez księcia Augusta de Polignac. Książę był

rzecznikiem polityki skrajnej; za jego to sprawą Karol X ogłosił tzw. cztery ordonanse z Saint-Cloud, których mocą zawieszono wolność prasy i ograniczono prawo wyborcze, co następnie przesądziło o abdykacji króla.

<sup>15</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Wolność, po step społeczny...”, do słów: „... odwieczne cnoty.”

<sup>16</sup> Mowa o Karolu X, który po abdykacji w dniu 2 sierpnia 1830 r. udał się wraz z rodziną do Anglii.

<sup>17</sup> Lamartine ma tu na myśli wiersz Józefa Autran pt. *Le Départ pour Orient*.

<sup>18</sup> Milly stanowiło część posiadłości dziada poety, Ludwika Franciszka de Lamartine. Ojciec poety, Piotr de Lamartine, osiadł tam wraz z rodziną w r. 1797. Lamartine poświęcił tej siedzibie jeden z najpiękniejszych utworów w zbiorze *Harmonies poétiques et religieuses* (III, II. *Milly ou la Terre natale*).

<sup>19</sup> W tekście Jasińskiego: „wchodzi się przez łuk spłaszczony...”, oraz na stępujący przypis tłumacza do użytego tu terminu: „Widok z boku sklepienia mającego wygięcie mniejsze od półkola. Marconi.” Jasiński powołuje się tu najpewniej na pracę architekta Henryka Marconiego (1792—1863) pt. *O porządkach architektonicznych*, Warszawa 1828 (drugie wydanie: 1831).

<sup>20</sup> Pierwsze wyrazy wczesnośredniowiecznego hymnu ku czci Najświętszej Maryi Panny nieznanego autora. Najstarszy tekst sięga IX w. Wersja polska w przypisie według wydania *Hymny kościelne*. Przekład ks. Tadeusza Karyłowskiego T.J. Przedmowa Stanisława Windakiewicza..., Warszawa 1978, s. 218.

<sup>21</sup> Mowa o zatoce koło wysepki San Pietro położonej u południowo-zachodniego krańca Sardynii. Wspomniana niżej „mała przystań” to najpewniej Carloforte, główna miejscowość tej wysepki.

<sup>22</sup> Lamartine używa tu terminu żeglarskiego „trois encablures”. Jednostka ta odpowiadała długości liny kotwicznej, tj. stu dwudziestu sążniom, co w systemie metrycznym wyraża się liczbą stu dziewięćdziesięciu czterech metrów. Trzy jednostki (encablures) odpowiadały więc długości mniej więcej sześciuset metrów.

<sup>23</sup> Wysepka San Antioco leży u południowo-zachodniego krańca Sardynii, na południe od wysepki San Pietro.

<sup>24</sup> Ludwik IX Święty zmarł 25 sierpnia 1270 r. na wybrzeżu tunetańskim, w pobliżu zwałisk Kartaginy. Obszerny opis śmierci króla dał Chateaubriand w swoim *Itinéraire...*, zob. Chateaubriand, *Opis podróży z Paryża do Jerozolimy*, Warszawa 1980, s. 394—398.

<sup>25</sup> Przytoczenie to w całości brzmi następująco: „Każde dobro, jakie otrzymujemy, i wszelki dar doskonały zstępują z góry, od Ojca światel, u którego rego nie ma przemiany ani cienia zmienności”, List św. Jakuba Apostoła 1, 26-27.

<sup>26</sup> Lamartine używa tu nazwy „la Compagnie des Indes”. Była to nazwa francuskiej kompanii handlowej, powstałej w r. 1719 jako zjednoczenie trzech innych, wcześniej założonych kompanii, lecz chyba raczej chodzi mu tu o angielską Kompanię Wschodnioindyjską, która w walce o rynki działała przy użyciu siły zbrojnej.

<sup>27</sup> Hannibal po upadku Kartaginy udał się do Azji, gdzie w r. 189 przed Chr. znalazł schronienie na dworze Prusjasza, króla Bitymii, który postanowił wydać go Rzymianom. Wówczas Hannibal w r. 183 przed Chr. popełnił samobójstwo. Opis śmierci Hannibala, częściowo za Liwiuszem

rzecznikiem polityki skrajnej; za jego to sprawą Karol X ogłosił tzw. cztery ordonanse z Saint-Cloud, których mocą zawieszono wolność prasy i ograniczono prawo wyborcze, co następnie przesądziło o abdykacji króla.

<sup>15</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Wolność, po step społeczny...”, do słów: „... odwieczne cnoty.”

<sup>16</sup> Mowa o Karolu X, który po abdykacji w dniu 2 sierpnia 1830 r. udał się wraz z rodziną do Anglii.

<sup>17</sup> Lamartine ma tu na myśli wiersz Józefa Autran pt. *Le Départ pour Orient*.

<sup>18</sup> Milly stanowiło część posiadłości dziada poety, Ludwika Franciszka de Lamartine. Ojciec poety, Piotr de Lamartine, osiadł tam wraz z rodziną w r. 1797. Lamartine poświęcił tej siedzibie jeden z najpiękniejszych utworów w zbiorze *Harmonies poétiques et religieuses* (III, II. *Milly ou la Terre natale*).

<sup>19</sup> W tekście Jasińskiego: „wchodzi się przez łuk spłaszczony...”, oraz na stępujący przypis tłumacza do użytego tu terminu: „Widok z boku sklepienia mającego wygięcie mniejsze od półkola. Marconi.” Jasiński powołuje się tu najpewniej na pracę architekta Henryka Marconiego (1792—1863) pt. *O porządkach architektonicznych*, Warszawa 1828 (drugie wydanie: 1831).

<sup>20</sup> Pierwsze wyrazy wczesnośredniowiecznego hymnu ku czci Najświętszej Maryi Panny nieznanego autora. Najstarszy tekst sięga IX w. Wersja polska w przypisie według wydania *Hymny kościelne*. Przekład ks. Tadeusza Karyłowskiego TJ. Przedmowa Stanisława Windakiewiczza..., Warszawa 1978, s. 218.

<sup>21</sup> Mowa o zatoce koło wysepki San Pietro położonej u południowo-zachodniego krańca Sardynii. Wspomniana niżej „mała przystań” to najpewniej Carloforte, główna miejscowość tej wysepki.

<sup>22</sup> Lamartine używa tu terminu żeglarskiego „trois encablures”. Jednostka ta odpowiadała długości liny kotwicznej, tj. stu dwudziestu sążniom, co w systemie metrycznym wyraża się liczbą stu dziewięćdziesięciu czterech metrów. Trzy jednostki (encablures) odpowiadały więc długości mniej więcej sześciuset metrów.

<sup>23</sup> Wysepka San Antioco leży u południowo-zachodniego krańca Sardynii, na południe od wysepki San Pietro.

<sup>24</sup> Ludwik IX Święty zmarł 25 sierpnia 1270 r. na wybrzeżu tunetańskim, w pobliżu zwałisk Kartaginy. Obszerny opis śmierci króla dał Chateaubriand w swoim *Itinéraire...*, zob. Chateaubriand, *Opis podróży z Paryża do Jerozolimy*, Warszawa 1980, s. 394—398.

<sup>25</sup> Przytoczenie to w całości brzmi następująco: „Każde dobro, jakie otrzymujemy, i wszelki dar doskonały zstępują z góry, od Ojca światel, u którego rego nie ma przemiany ani cienia zmienności”, List św. Jakuba Apostoła 1, 26-27.

<sup>26</sup> Lamartine używa tu nazwy „la Compagnie des Indes”. Była to nazwa francuskiej kompanii handlowej, powstałej w r. 1719 jako zjednoczenie trzech innych, wcześniej założonych kompanii, lecz chyba raczej chodzi mu tu o angielską Kompanię Wschodnioindyjską, która w walce o rynki działała przy użyciu siły zbrojnej.

<sup>27</sup> Hannibal po upadku Kartaginy udał się do Azji, gdzie w r. 189 przed Chr. znalazł schronienie na dworze Prusjasza, króla Bitymii, który postanowił wydać go Rzymianom. Wówczas Hannibal w r. 183 przed Chr. popełnił samobójstwo. Opis śmierci Hannibala, częściowo za Liwiuszem

(39, 51), podaje Plutarch w żywocie Titusa Quinctiusa Flamininusa (we francuskiej wersji Amyota, którą znał najpewniej Lamartine, zob. T. Q. Flamininus, XXXIX—XLII).

<sup>28</sup> Dante, *Inferno* III 51. W przypisie wersja polska Porebówicza.

<sup>29</sup> Lamartine przytacza tu w skrócie zdanie z Ewangelii św. Mateusza (6, 2), które według Wulgaty brzmi: „Amen dico vobis, receperunt mercedem suam.” W przypisie przystosowałem formę czasownika do rodzaju podmiotu, którym są tu „ludy”. Aby wyjaśnić znaczenie tego skróconego tu zdania, podaję je w całości i w kontekście: „Kiedy więc dajesz jałmużnę, nie trać przed sobą, jak obłudnicy czynią w synagogach i na ulicach, aby ich ludzie chwalili. Zaprawdę powiadam wam: ci otrzymali już swoją nagrodę.”

<sup>30</sup> Na przykładzie Sigejon, w północno-zachodniej części Azji Mniejszej, u południowego krańca Hellespontu, Homer umieszcza w *Iliadzie* obóz Greków. Lamartine kilkakrotnie wspomina przylądek Sunion w związku z Platonem, jakkolwiek w biografii Platona nic się o tym nie mówi. Najpełniejszy, najbardziej sugestywny obraz Platona na Sunionie daje Lamartine w swoim wydanym w r. 1825 poemacie pt. *Le Dernier chant du pèlerinage d'Harold*, podejmującym motyw Byronowskiego *Childe Harolda*. W jednym z fragmentów tego utworu (XXIII, ww. 16—26) czytamy:

Hartld, qui voit blanchir éternelle colonne,  
Reconnaît Sunlum, Sunium! A ce nom,  
Il croit revoir la robe de Platon,  
Quand ce sage, fuyant la foule insensée,  
Venait dans le désert consulter... sa pensée;  
Et qu'assis en silence aux bords des flots amers,  
Son oeil divin plongé dans le ciel ou les mers,  
Écoutant en soi-même un vague et doux murmure,  
Il croyait distinguer la voix de la nature,  
Ou des sphères du ciel le bruit harmonieux,  
Ou ces songes divins qui lui parlaient des dieux.

<sup>31</sup> Dydona, córka króla Tyru, żona Sicheosa, kapłana Heraklesa, uchodząc przed swoim bratem Pigmalionem, który zabił jej męża i chciał za władnąc jego bogactwami, zbiegła z garstką współrodaków na wybrzeże Afryki Północnej, gdzie na gruncie kupionym od króla numidyjskiego Hiarbasa założyła w IX w. przed Chr. Kartaginę. Chcąc uniknąć natarczywości Hiarbasa, który zamierzał ją poślubić, wybrała śmierć przez samospalenie. Była czczona przez ludność Kartaginy jako bogini. Według Wergiliusza Dydona, poniechana przez Eneasza, przebija się mieczem (*Eneida* IV, w. 664—665, przekład ks. Tadeusza Karyłowskiego).

<sup>32</sup> Lamartine ma tu na myśli niektóre fragmenty pieśni IV *Eneidy*: w. 9—29 („Anno, siostro...”); w. 305—361, ostatnia rozmowa Eneasza i Dydony; w. 365—387, przekleństwo rzucone przez Dydonę na Eneasza (wersy przekładu ks. T. Karyłowskiego).

<sup>33</sup> Lamartine daje tu krótki przegląd wielkich postaci historycznych, których losy wiążą się z Kartaginą. O zgonie Ludwika IX Świętego była już mowa wyżej (zob. wyżej przyp. 24). Belizariusz (ok. 495—565), dowódca wojsk Justyniana, który w r. 559 ocalił Konstantynopol przed Bułgarami, został w r. 562 oskarżony o rzekomy udział w spisku na życie cesarza i nie powrócił już do łask. W r. 533 odniósł zwycięstwo w Afryce nad Wandalami. Szczegół o jego ślepotcie, która miała być skutkiem tortur podczas śledztwa w sprawie spisku, nie odpowiada prawdzie historycznej. Mariusz (Caius Marius, 156—86 przed Chr.), uchodząc przed Sullą idącym na

## PRZYPISY

Rzym, dotarł do wybrzeża Kartaginy, wówczas już zburzonej przez Rzymian w r. 146 przed Chr. Rzymski dowódca wojskowy, pełniący tam swoje obowiązki, polecił Mariuszowi, aby opuścił to miejsce, wówczas Mariusz kazał posłańcowi, który mu przyniósł ów rozkaz, powiedzieć swojemu panu, że widział Mariusza jako uchodźcę pośród ruin Kartaginy. Obraz ten, znany z Plutarcha, podobnie jak przywiedziony wyżej los Belizariusza, mają świadczyć o zmienności losu ludzkiego. Doszczętne spalenie i zrównanie z ziemią Kartaginy, o którym mowa dalej, było dziełem Publiusa Corne-liusa Scipiona (185—129 przed Chr.) oraz wspomagającego go Masynissy, króla wschodniej Numidii. O czynie żony Hasdrubala Bithiasa wspomina Chateaubriand (zob. *Optyś podróży z Paryża do Jerozolimy*, s. 377—378), który mówi tam jednak nie o świątyni Jowisza, jak tu Lamartine, lecz o świątyni Eskulapa. Kato z Utyki (Marcus Portius Cato zw. Minor, 94—46 przed Chr.), nie chcąc być świadkiem upadku republiki po klęsce Pompejusza, zwyciężonego przez Cezara, zbiegł do Utyki, położonej na północo--zachód od Kartaginy, i tam, po otrzymaniu wiadomości o zwycięstwie stronników Cezara pod Thapsus, popełnił samobójstwo. Dwaj Scypionowie, Publius Cornélius Scipio (zw. Africanus Maior, 235—183 przed Chr.), Publius Cornélius Scipio (zw. Aemilianus Africanus), wspomniani wyżej, odznaczyli się w wojnach przeciw Kartaginie. Hannibal Barkas (247—182 przed Chr.) poniósł klęskę w bitwie pod Zamą w r. 202, walcząc z Rzymianami dowodzonymi przez pierwszego z wymienionych wyżej Scypionów.

<sup>34</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „którzy dogasają tu...”, do słów: „..... o wolności.” Mowa tu o uczestnikach powstania z

r. 1820, którzy wystąpili przeciw Ferdynandowi I, domagając się przywrócenia konstytucji z r. 1812. Powstanie to zostało krwawo stłumione przez wojska austriackie, które dokonały interwencji na prośbę króla, osadzając go ponownie na tronie.

<sup>35</sup> W tekście Jasińskiego do wyrazu „występ” przypisy następujący: „Per ron. Jest to miejsce wzniesione kilku stopniami na zewnątrz domu lub in nego budynku. Marconi.”

<sup>36</sup> Zakon Świętego Jana Jerozolimskiego powstał około r. 1130 w Królestwie Jerozolimskim z istniejącego pierwotnie bractwa przy szpitalu świętego Jana w Jerozolimie, założonego zapewne około r. 1070 przez kupców włoskich z Amalfi. Bractwo zajmowało się szpitalem oraz hospicjum dla pielgrzymów, którzy przybywali do Grobu Świętego pozostającego we władzy Turków. Następnie stało się ono zakonem rycerskim ze względu na konieczność obrony Królestwa Jerozolimskiego przed Turkami. Po upadku tego królestwa w r. 1291 zakon, zwany także zakonem joannitów lub szpitalników, ustalił swoją siedzibę na Cyprze. W r. 1308, po zdobyciu Rodos, joannici utworzyli tu własne państwo. Wreszcie w r. 1522, po długotrwałej obronie, musieli opuścić Rodos i przenieść się na Malte, którą Karol V ofiarował im w r. 1530. Zajęcie Malty przez Anglików w r. 1800 pozbawiło ich znaczenia wojskowego, a wycucie z większości dóbr posiadanych w Europie doprowadziło do upadku gospodarczego. Od r. 1834 siedzibą zakonu, którego członkowie przybrali nazwę kawalerów maltańskich, stał się Rzym, gdzie zakon utrzymał niektóre swoje prawa i przywileje przysługujące odrębnej formacji państwowej. Od r. 1953 zostali podporządkowani Stolicy Apostolskiej.

<sup>37</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Rozmawiamy długo...”, do słów: „... troszczyć się o terażniejszość.”

<sup>38</sup> Jesienią 60 r. w drodze do Rzymu, dokąd go wieziono morzem, świę-

ty Paweł znalazł się wskutek rozbicia statku na Malcie, gdzie przebywał trzy miesiące, zob. Dzieje Apostolskie 27, 39—44; 28, 1—11.

Lamartine, mówiąc o sianiu ziaren gorczycy, używa tu przenośni utrwalonej w Ewangeliach (św. Mateusz 17, 20; św. Łukasz 13, 19; św. Marek 4, 31). Ziarno gorczycy oznacza wiarę, innymi więc słowami Lamartine powiada, że święty Paweł podczas przymusowego pobytu na Malcie prowadził, jak o tym świadczą przytoczone wyżej rozdziały Dziejów Apostolskich, działalność misyjną.

<sup>39</sup> Wzmianka o kościele Sw. Jana w La Valletta znajduje się w dziele Michała Wiszniewskiego *Podróż do Włoch, Sycylii i Malty*. Przygotował do druku, pomnożył tekstami z rękopisów, opatrzył objaśnieniami i posłowiem Henryk Barycz, Warszawa 1982, s. 373, 374.

<sup>40</sup> Mowa o malowidłach Mattia Preti (1613—1699), zwanego il Cavalière Calabrese, który był od r. 1642 członkiem zakonu maltańskiego i w l. 1660—1661 przebywał stale w La Valletta. Malowidła te, wykonane na płótnie, przedstawiają sceny z życia świętego Jana Chrzciciela. W r. 1651 Preti wykonał freski w rzymskim kościele Sant'Andréa della Valle.

<sup>41</sup> Michelangelo Merisi zw. Caravaggio (1573—1610) przebywał w La Valletta od początku r. 1608 do jesieni; był członkiem zakonu maltańskiego. Uwięziony tu w związku z jakąś zwadą, zbiegł do Syrakuz. Przytoczony już wzywej Wiszniewski, który odbył swoją podróż w r. 1845, wspomina, że dzieła Caravaggia znajdują się „na górnym piętrze pałacu wielkiego mistrza” (*Podróż do Włoch, Sycylii i Malty*, s. 374).

<sup>42</sup> Druga Księga Samuela, 11, 2.

<sup>43</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Jeżeli ktoś to później...”, do słów: „...inaczej zginiemy.”

<sup>44</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Zarodki wolności...”, do słów: „...ludzi wolnych.”

<sup>45</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Spędziłem te dni...”, oraz pominięty także w tej edycji wiersz *Pensées en voyage*. Jak to wynika ze słów poety i z miejsca, które utwór zajmuje w *Voyage en Orient*, miałby on powstać między 1 i 6 sierpnia 1832 r., badacze późniejsi jednak sądzą, że wiersz był napisany we wrześniu 1832 r. Pojawienie się tego utworu w *Voyage en Orient* poprzedził druk w *Oeuvres complètes*, t. IV, Paris 1834, s. 301—308. Zob. Lamartine, *Oeuvres poétiques complètes*, Paris 1963, Bibliothèque de la Pléiade, s. 553—557 oraz s. 1871—1872.

Adresat utworu, Franciszek de Montherot (1781—?), mąż najmłodszej siostry poety, Zuzanny, która zmarła w r. 1824, uprawiał jako amator wierszopisarstwo i wymieniał ze szwagrem listy poetyckie.

<sup>46</sup> w wyniku wmieszania się w r. 1827 Anglii, Francji i Rosji w kwestię grecką, kłeski poniesionej przez flotę egipsko-turecką pod Navarino oraz przegranej przez Turcję wojny z Rosją w r. 1829, Grecja w r. 1830 użyła skafu niepodległość. Okres poprzedzający decyzję zwycięskich mocarstw w tej sprawie był wypełniony gwałtowną walką polityczną toczoną przez rozmaite stronnictwa i ugrupowania Greków. Na czele jednego z nich stanął hrabia Joanis Kapodistrias (Capo d'Istria, 1776—1831), który od r. 1809 pozostawał w rosyjskiej służbie dyplomatycznej i wystąpił z niej w r. 1821, gdy Aleksander I nie okazał poparcia powstaniu greckiemu. Obrany przez zgromadzenie ludowe w r. 1827 prezydentem, przybył do Grecji, usiłując doprowadzić kraj do jedności, jednak sposoby jego działania wywołały sprzeciw znacznej części ludności. Padł ofiarą zamachu dokonanego w Nauplii 9 października 1831 r.



<sup>47</sup> Lamartine używa włoskiej nazwy Cerigo na określenie wyspy Cytery, zwanej obecnie Kithira.

<sup>48</sup> Eurotas (obecnie w dolnym biegu Iri), główna rzeka Lakonii, wypływa z południowego zbocza góry Boreion. Ponieważ część jej biegu płynie podziemnym wąwozem i ukazuje się na powierzchni dopiero w prowincji Skiritis, informacje o jej źródle były dawniej zróżnicowane.

<sup>49</sup> Lamartine używa tu włoskiej nazwy miasta Monemvasia.

<sup>50</sup> Lamartine przebywał w Rzymie w listopadzie 1811 r. i w lutym 1821 r. Krajem Sabinów, odłamu plemion sabelskich zamieszkujących środkową Italię, zwano obszar między Lacjum i Umbrią, na północ od Tybru.

<sup>51</sup> Lamartine używa nazwy włoskiej przylądka Malea, obecnie Maleas, stanowiącego południowo-wschodni cypel Peloponezu.

<sup>52</sup> Nauplia (obecnie Nafplion) była w r. 1831 siedzibą pierwszego greckiego rządu, tu także wylądował w styczniu 1832 r. książę bawarski Otto von Wittelsbach, osadzony na tronie greckim przez Anglię, Francję i Rosję jako Otton I.

<sup>53</sup> Nauplia, wraz z całym Peloponezem, od r. 1715 znajdowała się po dłuższej przerwie znowu pod władzą Turków, lecz w r. 1821 Grecy zdołali ich stąd wyprzeć i miasto dopiero w następnym roku zostało odbite przez wojska tureckie, które ostatecznie opuściły je w r. 1823.

<sup>54</sup> Grób Agamemnona, zwany także Skarbem Atreusza, jest największym i najlepiej zachowanym z dziesięciu grobów kopułowych, znajdujących się w Mykenach, położonych na północ od Argos, w pewnej od nich odległości. Poetycki opis tego grobowca dał Słowacki w swoim *Grobie Agame mykona*.

<sup>55</sup> Kleftami, czyli zbójnikami, nazywano wojowników chrześcijańskich, którzy po zawładnięciu Grecją przez Turków zdołali utrzymać się w górnych okolicach półwyspu i pod dowództwem swoich kapitanos najeżdżali okoliczne prowincje; z czasem gdy rozpoczęły się lata walk o niepodległość, kleftowie stali się ważnym elementem patriotycznych sił zbrojnych, a poszczególne ich przywódcy weszli do panteonu narodowego.

Teodor Kolokotronis (1770—1843), syn przywódcy kleftów, od r. 1802 uczestniczył w działaniach zbrojnych, po wybuchu powstania w r. 1821 wrócił do ojczystej Arkadii i stanął tam na jego czele. W r. 1823 obwołał się samowolnie gubernatorem Nauplii i zagroził zwołanemu tam na obrady komitetowi narodowemu. Mianowano go wiceprzewodniczącym rady zarządzającej, lecz to nie zaspokoilo jego ambicji. Po wielokrotnych utarczkach z oddziałami rządowymi został wreszcie zmuszony do wycofania się; ujęto go w Arkadii i w r. 1825 osadzono jako więźnia stanu w jednym z klasztorów na Hydrze. Wkrótce jednak, wobec niepomysłnych dla Greków obrotów wojny, powierzono mu dowództwo jednego z korpusów. Za prezydentury Kapodistriasa utrzymał naczelną władzę wojskową na Peloponezie, a po jego tragicznej śmierci popierał jako członek tymczasowej komisji zarządzającej pozostający pod silnymi wpływami Rosji rząd w Nauplii. Po uzyskaniu przewagi przez stronnictwo liberalne w kwietniu 1832 r. walczył przeciw niemu zbrojnie. Lecz w styczniu 1833 r. poniósł porażkę. Aresztowany w marcu 1834 r. pod zarzutem zdrady stanu, został skazany na śmierć, lecz sprawujący władzę Otton I zamienił ten wyrok na osadzenie w twierdzy w Nauplii. Podczas koronacji Ottona w r. 1835 uwolniono go, nadano mu stopień generała i powołano do rady państwa.

<sup>56</sup> Po zabójstwie w dniu 9 października 1831 r. prezydenta Kapodistriasa senat powołał komisję zarządzającą, w której skład weszli brat zamordowa-

## PRZYPISY

nego, Augustyn Kapodistrias, Teodor Kolokotronis oraz Kolettis, zaś 20 grudnia zgromadzenie narodowe, zasiadające w niepełnym składzie, obrało tymczasowym prezydentem Augustyna Kapodistriasa, któremu jednak stronnictwo konstytucyjne (liberałowie) odmówiło uznania, a następnie, wdarłszy się zbrojnie do Argos, zmusiło go 13 kwietnia 1832 r. do zrzeczenia się prezydentury. Po zawarciu układu w dniu 7 maja 1832 r. regulującego zasady istnienia nowego królestwa, zwołano do Nauplii zgromadzenie narodowe, które jednogłośnie uznało księcia Ottona królem Grecji.

<sup>57</sup> Lamartine ma tu na myśli tzw. drugą Restaurację, tj. l. 1815—1830, od objęcia tronu przez Ludwika XVIII do abdykacji Karola X. Pod koniec tego okresu Lamartine zajmował stanowisko drugiego sekretarza poselstwa francuskiego we Florencji i starał się o rozmaite funkcje dyplomatyczne. 4 września 1830 r., po objęciu tronu przez Ludwika Filipa, zgłosił dymisję na ręce hrabiego Mole, ówczesnego ministra spraw zagranicznych. Ponieważ mocarstwa traktatem adrianopolskim, narzuconym Turcji we wrześniu 1829 r., uznały niepodległość Grecji, można przypuszczać, że wtedy właśnie była mowa o desygnowaniu poety na stanowisko posła francuskiego w Grecji.

<sup>58</sup> Lamartine używa włoskiej nazwy; obecnie Spetse, w starożytności Pitussa.

## ATENY

<sup>1</sup> Lamartine używa określenia „la mer d'Athènes”, co Jasiński tłumaczy jako „Morze Ateńskie”; mowa tu o wodach Zatoki Saroniejskiej omywających wybrzeże, w którego głębi leżą Ateny.

Mowa o Sunion, najdalej w kierunku południowo-wschodnim wysuniętych w morze przylądku Attyki, któremu ze względu na widoczne z oddali białe, lśniące kolumny, pozostałe ze wznoszącej się niegdyś na brunatnoczerwonych zboczach świątyni Posejdon, nadano nazwę Kolonos.

<sup>2</sup> Zob. przyp. 30, na s. 550.

<sup>3</sup> Akrokorynt, twierdza Koryntu, wzniesiona na wapiennym płaskowyzu o stromych zboczach, góruje nad Przesmykiem Korynckim. Dalej mowa o położonej na wyspie Eginie doryckiej świątyni Afai, pod którą to nazwą czczono tam Artemidę. Świątynia ta uchodziła dawniej za poświęconą Atenie, jej ruiny o dobrze zachowanych kolumnach wznoszą się na wysokim wzgórzu.

<sup>4</sup> Obrany 11 kwietnia 1827 r. prezydentem Kapodistrias w końcu stycznia 1828 r. przybył na Eginę, i przez pewien czas pełnił swoje funkcje w położonym na niej miasteczku tejże nazwy.

<sup>5</sup> Na Eginie, oprócz wspomnianej wyżej świątyni Afai, znajdują się także ruiny świątyni Afrodyty, jak się jednak zdaje, Lamartine, najpewniej zgodnie z jakąś ówczesną wersją, świątynią Jowisza Panhelleńskiego nazywa świątynię Afai, lepiej zachowaną i bardziej widoczną.

<sup>6</sup> Wieża ta występuje na rycinach z XVII i XVIII w. Turcy osadzili swoją załogę na Akropolu po wypędzeniu z Aten i z Attyki w r. 1458 Weneccjan, którzy odzyskali Ateny w wojnie prowadzonej z Turkami w l. 1684—1688. W r. 1772 Turcy, umacniając Ateny, dokonali licznych przeróbek na Akropolu.

<sup>7</sup> Tezeusz uchodził za założyciela Aten, objawszy bowiem rządy po śmierci swojego ojca Aigeusa, dokonał zjednoczenia Attyki w jedno państwo,

## PRZYPISY

którego ośrodkiem stały się Ateny. Świadectwem tego mitu jest uważany niegdyś za sanktuarium tego bohatera Tezejon, wznosząca się na ateńskiej agorze świątynia poświęcona najpewniej Hefajstosowi, a także napis na zbudowanym w II wieku łuku (bramie) Hadriana: na fryzie od strony Akropolu widnieją słowa: „Tu są Ateny, dawne miasto Tezeusza”, od strony zaś Olympiejonu, czyli świątyni Zeusa Olimpijskiego: „Tu jest miasto Hadriana, a nie miasto Tezeusza”, co upamiętnia panowanie rzymskie nad Atenami, a nade wszystko rozwój Aten za panowania cesarza Hadriana, gdy całą nowo powstałą dzielnicę w południowo-wschodniej części okręgu ateńskiego nazwano Hadrianopolis, miastem Hadriana, przeciwstawiając je miastu starożytnemu, zbudowanemu jakoby przez Tezeusza.

Partenon w V w. został konsekrowany jako kościół. W r. 726 cesarz bizantyjski Leon III Izaurijski wydał edykt potępiający kult obrazów oraz figur świętych i nakazał ich niszczenie, przychylając się do żądań obrazo-burców (ikonoklastów), którzy w VIII i IX w., pod wpływem tradycji mo-zaizmu i islamu, zakazujących ukazywania wyobrażeń Boga, działali na rzecz usunięcia z kościołów i unicestwienia obrazów, rzeźb i innych dzieł sztuki o tematyce religijnej.

Świątynia Zeusa Olimpijskiego (Olympiejon) słynęła w starożytności ze swoich rozmiarów i przepychu. Budowę jej rozpoczął Pizy strat w VI wieku przed Chr., a ukończył Hadrian w II wieku. Na jej ruiny składa się kilkanaście kolumn.

Miód z Hymetu, czyli ze stoków góry Hymettos, uchodził u starożytnych za najlepszy, jak o tym wzmiankują Strabo i Pauzaniusz. Chateaubriand pisze: „Przyniesiono miód z Hymettosu; nie podobał mi się jego smak, tracący jakimiś aptecznymi ziołami [...] Mój gospodarz śmiał się, widząc, żem się krzywił, biorąc do ust [...] miód Attyki” (Chateaubriand, *Opis podróży z Paryża do Jerozolimy*, Warszawa 1980, s. 102).

Ludwik Franciszek Sebastian Fauvel (1753—1838), archeolog, rysownik, malarz i rytownik, przebywał w Grecji w l. 1780—1782 z ramienia hrabiego de Choiseul-Gouffier, ówczesnego posła francuskiego w Konstantynopolu, który z zamiłowania był badaczem starożytności. Fauvel wykonał do jego bogato ilustrowanego dzieła *Voyage pittoresque de la Grèce*, t. 1—3, 1780—1824, pewną ilość miedziorytów. W l. 1784—1786 był agentem francuskim w Atenach a w r. 1802 otrzymał nominację na wicekonsula. Chateaubriand, który przebywał w Atenach przez kilka dni, od 23 sierpnia 1807 r., mieszkał u niego i zwiedzał z nim Ateny, obficie korzystał z jego o nich wiedzy, zob. Chateaubriand, *Opis podróży*, s. 101—127.

Byron w *Childe-Harold's Pilgrimage* (2, 12 i n.) wspomina o wywiezieniu przez lorda Elgina, w l. 1799—1803 posła angielskiego w Konstantynopolu, rzeźb i fryzu Fidiasza z Partenonu. W pierwszym wydaniu poematu (1812), w przypisie do drugiego wersu owego fragmentu, piętnującego te działania Elgina, któremu dopomagał malarz włoski nazwiskiem Lusieri, Byron wspomina o Gropiusie w sposób następujący: „Lord El[igin]'s prig [...] quarell'd with another Gropius by name (a very good name too for his business), and muttered something about satisfaction, in a verbal answer to a note of a poor Prussian: this was stated at table to Gropius, who laughed, but could eat no dinner afterwards. The rivals were not re-conciled when I left Greece. I have reason to remember their squabble, for they wanted to make me their arbitrator” („Złodziejaszek lorda Elgina [...] pokłócił się z niejakim Gropiusem (także niezłe nazwisko do takich interesów) i w odpowiedzi na list tego biednego Prusaka zaczął coś tam

## PRZYPISY

mruczeć o pojedynku; miało to miejsce przy stole. Gropius śmiał się, ale nie mógł potem nic przekonać. Kiedy opuszczałem Grecję, współzawodnicy jeszcze się nie pogodzili. Dobrze zapamiętałem tę sprzeczkę, bo obaj chcieli, abym był ich rozjemcą"; trzeba tu wyjaśnić, że nazwisko Gropiu-sa przypomina swoim brzmieniem angielski czasownik: to grop, co oznacza: szukać, szperać po omacku, w ciemnościach).

W przypisie do tego samego fragmentu w edycji trzeciej, również z r. 1812, czytamy: „This S[igno]r Gropius was employed by a noble Lord [El-gin] for the sole purpose of sketching, in which he excels; but I am sorry to say, that he has, through the abused sanction of that most respectable name, been treading at humble distance in the steps of S[igno]r Lusieri. A shipful of his trophies was detained, and I believe confiscated, in Constantinople, in 1810. I am most happy to be able to state that this was not in his bond, that he was employed solely as a painter, and that his noble patron disavows all connection with him, except as an ar-tist. If the error in the first and second édition of this poem has given the noble Lord a moment's pain, I am very sorry for it; S[igno]r Gropius has assumed for the years the name of his agent; ad though I cannot much condemn myself for sharing in the mistake of so many, I am happy in being one for the first to be undeceived. Indeed, I have as much pleasure in contradicting this as I felt regret in stating it" („Ten pan Gropius był zatrudniony u szlachetnego lorda [Elgina] jedynie jako rysownik, z czego wywazywał się wybornie; z przykrością jednak muszę stwierdzić, że choć chroniło go najczcigodniejsze nazwisko, dreptał pokornie, w odpowiedniej odległości, za panem Lusieri. Statek z trofeami został zatrzymany i jak sądzę, skonfiskowany w Konstantynopolu w r. 1810. Niezwykle cieszę się, że mogę teraz stwierdzić, iż nie miał nic z tym wspólnego i był zatrudniony jedynie jako malarz, a jego szlachetny chlebodawca wypiera się wszelkich z nim związków, traktując go wyłącznie jako artystę. Przykro mi, jeżeli błąd w pierwszym i drugim wydaniu tego poematu sprawił szlachetnemu lordowi chwilową przykrość, ale pan Gropius całymi latami mienił się jego administratorem i choć nie mogę obwiniać się o to, że dopuściłem się błędu, który był przeciw udziałem tylu innych, jestem ogromnie zadowolony, że pierwszy zostałem z niego wyprowadzony. Tyle samo bowiem odczuwam przyjemności, że mogę ów błąd sprostować, ile odczuwałem przykrości, gdy go popełniłem.”)

<sup>14</sup> Mowa o Nymfajonie, wzgórzu położonym na północo-zachód od Akro polu.

<sup>15</sup> Lamartine wymienia tu kilka zabytków ateńskich. Nie zdołałem ustalić, czy nazwa Łuku (Bramy) Hadriana i Lazory określa jeden i ten sam zabytek, z tym, że nazwa: Brama Lazory, jest z pewnością późna, czy też mowa tu o innym zabytku, a także nie mogłem odnaleźć danych dotyczących imienia własnego Lazora (?).

Wieża Wiatrów została zbudowana w I wieku przed Chr. przez Andronikosa. Nazwa tej ośmiokątnej budowli pochodzi od umieszczonej niegdyś na jej szczycie rzeźby, przedstawiającej postać ludzką, która, obracając się, wskazywała kierunek wiatru. Na ścianach bocznych znajduje się osiem płaskorzeźb wyobrażających osiem wiatrów.

Laternia Demostenesa to niewielka rotunda, otoczona sześcioma korynckimi półkolumnami. Ludowa nazwa tej budowli, która w istocie jest pomnikiem wystawionym w r. 334 przed Chr. sumptem Lizykratesa z okazji zwycięstwa podległego mu chóru na zawodach muzycznych, została jej na-

## PRZYPISU

dana ze względu na kształt kwiatu marmurowego, który stanowił niegdyś podstawę trójnoga wieńczącego ów pomnik, a ustawionego na płaskiej, monolitycznej marmurowej kopule. Chateaubriand (*Opis podróży z Paryża do Jerozolimy*, s. 123—124), przytaczając jezuitę Babina, który zwiedzał Ateny w r. 1672, mówi o Latarni Demostenesa, Gregorovius potwierdza tę nazwę, podając ją w brzmieniu łacińskim: „Lucerna Demosthenis” (zob. Ferdinand Gregorovius, *Athen und Athenais*, Dresden 1927, *Mirabilien der Stadt Athen*, s. 641). Lamartine dopuścił się błędu, pisząc: „la lanterne de Dio-gène”, Jasiński błąd ten utrzymał. Lamartine kierował się najpewniej myślą o latarni Diogeneśa, o której mowa w anegdocie o filozofie z Synopy, w biały dzień poszukującym w jej świetle człowieka. Ze względu na oczywistość błędu, sprostowałem go w tekście.

<sup>16</sup> Nie zdołałem ustalić, o jakich posagach tu mowa. Katalog powstałego w r. 1878 muzeum na Akropolu (*A Concise Guide to the Acropolis Museum*, Athens 1965) nic o nich nie wspomina. Lamartine mówi o nich dalej jako o posagach Fidiasza, było bowiem wiadomo, że artysta ów kierował dekoracją rzeźbiarską Partenonu. Trudno też orzec, czy były to na pewno posągi Marsa i Wenerzy, a właściwie, jeżeli trzymać się stosownej tu nomenklatury greckiej, Aresa i Afrodyty. Przewodnik Baedekera (*Mittelmee-er*, Leipzig 1909, s. 545) notuje fragmenty fryzu przedstawiające Afrodytę(?), Apollina i Posejdoną.

<sup>17</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Nierówność wychowania...”, do słów: „...trwałego i wspaniałego.”

<sup>18</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Tak już nie jest...”, do słów: „...poprzez rewolucje.”

Lamartine istotnie pisze: „...ce temple de temples bâti par Setinus”, co Jasiński tłumaczy poprawnie, polonizując owego Setinusa. Trudno ustalić, w jaki sposób Lamartine wprowadził zlatynizowaną i przemienioną w imię rzekomego budowniczego Partenonu nazwę średniowieczną, którą na dawano Akropolowi, określając go jako „Rocca di Setines”, czyli skała Setines, tak bowiem brzmiała wówczas nazwa Aten, np. Nerio II Alciajoli (1435—1439 oraz 1441—1451) był panem Stives, czyli Teb, i Setines, czyli Aten, zob. Gregorovius, *Athen und Athenais*, s. 644, 646.

Partenon był zbudowany w l. 448—432 przed Chr. przez architekta Iktinosa i budowniczego Kallikratesa.

<sup>20</sup> Francesco Morosini (1618—1694), admirał wenecki, od r. 1688 doża, w r. 1687 oblegał Ateny. Podczas oblężenia w Partenon, gdzie Turcy urządziłi prochownię, trafiła bomba, niszcząc połowę świątyni.

<sup>21</sup> Thomas Bruce Elgin (1766—1841; por. przyp. 13 na s. 555) polecił przede wszystkim z Aten, znajdujących się wówczas pod władzą Turków, wiele rzeźb i inskrypcji greckich do Londynu; m.in. pośród wywiezionych „marmurów Elgina” znajdowały się posągi, metopy i płyty fryzu z Partenonu. Dzieła te zostały w r. 1816 zakupione przez British Museum i nadal tam się znajdują.

<sup>22</sup> W tekście Jasińskiego w przypisie: „Frise oznacza ten pas, co na budowlach rzymskiego i greckiego stylu nawiązuje się pod samym wieńcem (gzyms). Wyraz ten pochodzi z włoskiego fregio, a raczej z łacińskiego phrygius. Marconi.”

<sup>23</sup> Jak już wspomniano, na Eginie znajdują się ruiny świątyni Afrodyty i Afaj (por. przyp. 6 na s. 554).

<sup>24</sup> W tekście Jasińskiego: „wewnętrzne przedziały”, co odpowiada użytemu przez Lamartine'a terminowi „les compartiments intérieurs”, którego

## PRZYPISY

jednak lepszym odpowiednikiem są kasetony. W tekście Jasińskiego przypis: „Compartiments, kompartymenta, ozdoby przedziałowe. Marconi.”

<sup>28</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „W miarę jak religie...”, do słów: „... uwielbionego przez cnotę.”

## ODWIEDZINY U PASZY

<sup>1</sup> Negropont, spolonizowana forma nazwy włoskiej Negroponte, od średniowiecza używanej na oznaczenie wyspy Eubei, pozostającej od r. 1470 pod władzą turecką.

<sup>2</sup> Zgodnie z ustaleniami konferencji londyńskiej z 6 stycznia 1827 r. Anglia, Francja i Rosja zamierzały utworzyć z Grecji państwo wobec Turcji wasalne, lecz rządzone autonomicznie. Turcja odrzuciła ten projekt. Po klęsce pod Navarino i przegranej wojnie z Rosją, Turcja w traktacie adrianopolskim z 14 września 1829 r. zgodziła się na podporządkowanie sprawy greckiej postanowieniom trzech mocarstw. Według protokołu londyńskiego z 22 marca 1829 r. Grecja miała stać się państwem wobec Turcji wasalnym, a jej granice ustalono na linii wytyczonej między zatokami Volos i Arta. Poszczególne mocarstwa, po nieudanej próbie osadzenia na tronie niepodległej Grecji księcia Leopolda von Sachsen Koburg, jak tego domagała się Rosja, popierały rozmaite stronnictwa greckie, co wywołało liczne między nimi starcia i walki zbrojne. Ostatecznie 7 maja 1832 r. rozpoczęło w Neaplui obrady zgromadzenie narodowe, które 8 sierpnia uznało uzgodnioną przez mocarstwa kandydaturę księcia Ottona von Wittelsbach na króla Grecji niepodległej oraz opisane wyżej jej granice.

Wicehrabia Stratford de Redcliffe, lord Canning (1786—1880), zwany potocznie w historiografii Stratford Canning, dyplomata angielski, kuzyn Jerzego Canninga (1770—1827), ministra spraw zagranicznych, żywo zajmował się sprawą grecką do r. 1827, a następnie brał czynny udział w tworzeniu Grecji niepodległej w l. 1830—1832.

<sup>3</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Żywią tę samą wiarę...”, do słów: „... lud modlitwy.”

## WYJAZD Z ATEN

<sup>1</sup> Tytuł dodany przez edytora niniejszego wydania.

<sup>2</sup> Lamartine podaje wersję francuską nazwy tej ulicy: „rue des Chevaliers”, co Jasiński tłumaczy jako „ulica Rycerska”. Przywróciłem nazwę oryginalną, która brzmiała Strada dei Cavalieri; domy i pałace na tej ulicy należały do kawalerów zakonu joannitów władających wyspą w l. 1308—1522, po opuszczeniu przez nich Cypru.

<sup>3</sup> Zakon joannitów po długotrwałej obronie został zmuszony w r. 1522 do opuszczenia Rodos i przeniesienia się na Maltę. W istocie świetność i potęgą kawalerów maltańskich, jak ich zaczęto nazywać, z wolna przygasła (zob. przyp. 36 na s. 551).

<sup>4</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „W miarę jak ludy...”, do słów: „... instynkt życia.”

<sup>5</sup> Mowa o kulcie Afrodyty, która według podania miała się tu narodzić z piany morskiej. Wspaniała świątynia poświęcona jej kultowi znajdowała się w Pafos.

## PRZYPISY

<sup>6</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Nic łatwiejszego ...”, do słów: „... mógłby się stać rzeczywistością.”

Mowa o baronie Teodorze von Neuhoﬀ (1694—1756), który po różnego rodzaju awanturnych wyprawach — na czele emigrantów korsykańskich zdobył Korsykę i w 1736 r. obwołał się jej królem jako Teodor I. Zmuszony do rezygnacji z korony uszedł w 1738 r. do Anglii, gdzie został osadzony w więzieniu za długi.

Lamartine użył tu nieco zmienionego przez siebie wyrażenia przysłowiowego („Partir, c'est comme mourir”), które brzmi: „Partir, c'est comme mourir un peu” („Odjechać to jak gdyby trochę umrzeć”).

<sup>9</sup> Mowa o dziejach Heroda Wielkiego w Józefa Flawiusza *Judaikae archajologia* (*Antiquitates judaicae*). Zob. Józef Flawiusz, *Dawne dzieje Izraela*. Tłum. Zygmunt Kubiak, Jan Radożycki, pod redakcją ks. Eugeniusza Dąbrowskiego, Poznań 1979.

<sup>10</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „aby nie karał...”, do słów: „... było wolno.”

## BEJRUT

<sup>1</sup> Bejrut, jako rezydencja wicekróla egipskiego zwany Berytos, zniszczony w r. 140 przed Chr., został następnie odbudowany przez Rzymian i od imienia córki cesarza Augusta otrzymał nazwę Colonia Julia Augusta Félix Berytus.

<sup>2</sup> W tekście Jasińskiego przypis: „Ogive[s], są to pasy walcowane poprowadzone pod sklepieniem gotyckim i zdające się go [I] podpierać. Marconi.”

<sup>3</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „A ponieważ...”, do słów: „... mnie natchnęło”, a także i w niniejszej edycji pominięty wiersz, którego tytuł w pierwodruku w „Revue des Deux Mondes” (z 15 stycznia 1834, s. 198—201) brzmi: *A une jeune Arabe, qui fumait le narguilé dans un jardin d'Alep*; utwór ten, bez tytułu, został później włączony do *Voyage en Orient* (wydanie pierwsze z r. 1834, t. IV, s. 293—296) pod datą 6 sierpnia 1832. Jak wynika z zachowanego rękopisu, utwór był napisany 9 września 1832 r. w Bejrucie i zadedykowany: *A Madame C. Jorelle, fumant le narguilé dans un [son?] jardin d'Alep*. Zob. Lamartine, *Oeuvres poétiques complètes*, Paris 1963, Bibliothèque de la Pléiade, s. 550—552, s. 1871.

<sup>4</sup> Mowa o księciu Fahr âd-Din al-Mani II (1590—1853), który po komplikacjach politycznych, wypędzony przez Turków, po pięcioletnim pobycie w Europie (1613—1618) wrócił do Libanu, objął tam ponownie władzę, a w r. 1624 został uznany przez Turcję władcą Arabistanu, tj. obszaru od Aleppo do Egiptu. Oświecony, obeznany z cywilizacją europejską, dokonał licznych ulepszeń i reform w oparciu o sprowadzanych z Włoch inżynierów, architektów i agronomów. Wyznawca islamu, praktykował ze względu na Druzów, którymi rządził, ich wierzenia, a zarazem okazywał życzliwość dla chrześcijan i miał rzekomo otrzymać chrzest. Zaniepokoiona jego liberalizmem i ambicjami politycznymi Turcja położyła kres jego panowaniu, uwożąc go wraz z synami do Konstantynopola, gdzie został zgładzony.

Ibrahim Pasza (1789—1848), syn namiestnika Egiptu Muhammada Alego, który rozpoczął systematyczne opanowywanie podległych Turcji obszarów Syrii, Palestyny i Anatolii, był wodzem wojsk egipskich działających w

1831—1833 przeciw Turkom i urzeczywistniał tym sposobem ambitne /plany ojca, przyczyniając się do coraz to postępującego osłabiania/Porty.

<sup>5</sup> Baszyr (Basir es-Sihabi II, 1788—1840). Przywódca temu poświęcił daleki Lamartine dwa rozdziały: *Odwiedziny u emira Baszyra i Uwagi o emirze Baszyrze*.

<sup>6</sup> Frankami nazywano na Bliskim Wschodzie wszystkich Europejczyków.

<sup>7</sup> Mowa o wojnie, którą prowadził Muhammad Ali przeciw Porcie wojskami egipskimi pod dowództwem Ibrahima Paszy. Wojska te zajęły całą Syrię, a po rozbiciu w grudniu 1832 r. Turków pod Konia zagroziły ce sarstwu otomańskiemu.

<sup>8</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Wprost trudno...”, do słów: „... z natury przeciętności.”

### ODWIEDZINY U LADY ESTERY STANHOPE

<sup>1</sup> Estera Stanhope, urodzona w Chevening, w hrabstwie Kent, w Anglii, 12 marca 1776 r., była córką Karola, wicehrabiego Mahoń, a później trzeciego earla Stanhope, oraz Estery Pitt, siostry Williama Pitta zwanego Młodszym (1759—1806), przywódcy torysów, dwukrotnego premiera. Zmarła w Dahar-June (Ajouni, Dżun, Dżiun) 23 czerwca 1839 r.

<sup>2</sup> Mowa o sir Janie Moore, który poległ, wraz z bratem lady Stanhope, pod La Corufia 16 stycznia 1809 r. w starciu z Francuzami, usiłującymi przeszkodzić Anglikom w zaokrętowaniu ich oddziałów dowodzonych przez Moore'a.

Lady Estera udała się na Wschód w r. 1810.

<sup>3</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Bóg Cię tu spróżdza...”, do słów: „... czy nie ma ich więcej.”

<sup>4</sup> Przytoczenie nieściśle, skonstruowane z elementów wypowiedzi Chrystusa podczas Ostatniej Wieczerzy (Mowa pożegnalna) według Ewangelii św. Jana.

<sup>5</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Teraz jestem...”, do słów: „Jeszcze się spotkamy.”

<sup>6</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „zobacz...”, do słów: „Urodzi się osiodłana.”

<sup>7</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „że choć przez znaczenie ...”, do słów: „... zdobytej Jerozolimy.”

<sup>8</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Spodziewam się ...”, do słów: „... przecie się zgadzamy.”

<sup>9</sup> Nie zdołałem ustalić nazwisk tych osób.

<sup>10</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Jak zwykle...”, do słów: „... z cnoty i wolności.”

### ODWIEDZINY U EMIRA BASZYRA

<sup>1</sup> Księga Psalmów 104, 25—26.

<sup>2</sup> W tekście Jasińskiego przypis: „Percées d'ogives, Podczaszyński.” Nie odnalazłem jednak tego terminu w dziele Karola Podczaszyńskiego *No menklatura architektoniczna czy słowomiennik cieślanych polskich wyrazów*. Wydanie powtórne, Warszawa 1854.

<sup>3</sup> Oprócz znaczenia potocznego, używanego na określenie kobierca, w pol-



## PRZYPISY

szczyźnie, pisząc go najczęściej dużą literą, posługiwano się wyrazem „dywan” w znaczeniu rady państwa lub sądu najwyższego w dawnej Turcji. Tuż Jasiński użył za Lamartine'em tego wyrazu (le divan), oznaczając nim pokój do przyjęć, salon. Słownik Warszawski informuje, że wyraz ten został zapożyczony z perskiego poprzez turecki, i wyjaśnia dalej: „przejsście znaczenia: z pokoju przybranego w kobierce na kobierzec”.

## UWAGI O EMIRZE BASZYRZE

<sup>1</sup> „Szihabowie, którzy w 1697 r. nastąpili po Maanach, wywodzą się z jednego z najszlachetniejszych plemion arabskich, mianowicie z Qurajszów. Założyciel panującego domu libańskiego [emir Baszyr] był zięciem ostatniego władcy maandzkiego.” Zob. Philip K. Hitti, *Dzieje Arabów*, Warszawa 1969, s. 614.

<sup>2</sup> Hedżra (heğira), wyraz utworzony z arabskiego hidżra, wywędrowanie, oznacza przeniesienie się Mahometa z Mekki do Medyny w r. 622, a za razem rok pierwszy ery mahometańskiej, ustanowionej przez Omara, jednego z czterech kalifów prawowiernych, z których pierwszym był teść Mahometa, Abu Bakr; kalifat jego przypada na l. 632—634. W owym okresie oddziały muzułmańskie wkroczyły do Syrii i prowadziły tam zwycięskie operacje.

<sup>3</sup> Nazwa płaszcza wraz z pierścieniem symbolizującego władzę.

<sup>4</sup> Obszerny opis kolejnych panowań emirów rodu Szihabów zob. Volney, *Voyage en Egypte et en Syrie*, Paris 1959, s. 233 i n.

<sup>5</sup> Mowa o Ahmadzie Paszy (Ahmad al-Gazzar, 1735—1804), który nosił przezwisko Dżezar (Rzeźnik), pochodził z Bośni, przyjął islam w Kairze, był na usługach przywódcy Mameluków Ali Beja, zlecającego mu mordowanie swoich przeciwników. Zbiegłszy do Syrii, wszedł w służbę sułtana, który mianował go paszą Akki. Wspierany przez Anglików, bronił miasta obleganego przez wojska Bonapartego, który odstąpił od murów Akki 21 maja 1799 r.

<sup>6</sup> Lamartine pisze: „... 4000 bourses (de 500 pièces de 40 cent[imes] chacune...)”; Jasiński mówi tylko o czterech tysiącach kies, tłumacząc wyrazem „kiesa” francuską „bourse”, która nie oznaczała jednak jednostki monetarnej, lecz kwotę pięciuset piastów. Wartość piastra, w obliczeniu Lamartine'a, wynosiła czterdzieści centymów. Według Słownika Warszawskiego kiesa turecka oznacza sposób liczenia pieniędzy i odpowiada trzystu trzydziestu trzem i pół franka.

<sup>7</sup> Mowa o Muhammadzie Alim.

<sup>8</sup> Sir William Sidney Smith (1764—1840) został admirałem w r. 1830, mianowano go także głównodowodzącym wojskami marynarki.

## DRUZOWIE

<sup>1</sup> Na określenie Cyganów, którzy w rozmaitych krajach europejskich rozmaicie byli nazywani, Lamartine użył tu ich miana włoskiego, które brzmi: Zingani, Zingari. Należy pamiętać, że tradycje włoskie na Bliskim Wschodzie były jeszcze w ubiegłym stuleciu bardzo żywe, świadczą o tym choćby nazwy licznych portów, a także wysp czy przylądków, później zmienione w zależności od przeważającego wpływu takiego lub innego mo-

carstwa, a wreszcie, po usamodzielnieniu się obszarów, nâ których się znajdowały, przybierające brzmienia i formy bądź tureckie, bądź arabskie, bądź greckie.

<sup>2</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Co pewien czas ...”, do słów: „... naszych wierzchowców.”

<sup>3</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „mogłoby rychło ...” do słów: „... słusznie je niepokoi.”

<sup>4</sup> Mowa o leżącym obecnie na terenie Libanu mieście Tarabulus. Pisząc o Trypolisie syryjskim i używając tego przymiotnika w znaczeniu geograficznym, Lamartine chce odróżnić to miasto od Trypolisu, głównego miasta ówczesnej prowincji tureckiej o tejże nazwie, obecnie zwanego Tarabulus (Trypolis), jednego z dwóch głównych miast Libii.

<sup>5</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Tu, jak we wszystkim ...”, do słów: „... i ich rządu.”

<sup>6</sup> Zwycięska dla Ibrahima Paszy bitwa pod Homs rozegrała się 7 lipca 1832 r. Zestawienie daty zapisu z odnotowaną pod nią wiadomością o tej bitwie, która istotnie miała rozstrzygające znaczenie w dziele dalszego podboju obszarów podległych władzy sułtana przez wojska Muhammada Alego pod dowództwem Ibrahima Paszy, dobitnie świadczy o umowności chronologii *Podróży na Wschód*, Lamartine bowiem musiał wynik bitwy pod Homs znać o wiele wcześniej.

## PODRÓŻ Z BEJRUTU PRZEZ SYRIĘ I PALESTYNĘ DO JEROZOLIMY

<sup>1</sup> Tyr, wielkie miasto handlowe w dawnej Fenicji, wspomniane w Księdze Psalmów 83, 8 jako siedziba nieprzyjaciół jedyne go Boga Izraela, występuje, podobnie jak Babilon czy Niniwa, jako symbol zepsucia, grzechu i bezsilnej wobec Boga potęgi ziemskiej w wielu proroków (Izajasz, Jeremiasz, Ezechiel, Ozeasz, Amos, Zachariasz), którzy przepowiadają mu u-padek.

<sup>2</sup> Księga Ezechiela (Przeciwko Tyrowi, 26, 1—21; Lament nad upadkiem Tyru, 27, 1—36; Przeciw władcy Tyru, 28, 1—10; Upadek króla Tyru, 28, 11—19).

<sup>3</sup> Fragment wiersza *Hommage à l'Académie de Marseille. Adieu* (zob. przyp. 5 na s. 547), strofa dziesiąta, w. 1—4 (zob. Lamartine, *Oeuvres poétiques complètes*, Paris 1963, Bibliothèque de la Pléiade, s. 540, 1868). Przekład pióra Jasińskiego z wprowadzonymi przeze mnie zmianami w ostat nich dwóch wersach.

<sup>4</sup> Horacy, *Sermones (Satyry)* 1,4 43:

Ingenium cul sit, cul mens divinior atque os Magna  
sonaturum, de nominis huius honorem.

Mowa tu o tym, że „aby nazwać się poetą, nie dość pisać wiersze. Zaszczyc tej nazwy pozostaw temu, kto posiada geniusz, zapal boski i czyje usta wydają wzniosłe dźwięki”. Zob. Leopold Czapiński, *Księga przysłów, sentencji i wyrazów łacińskich używanych przez pisarzy polskich*, Warszawa 1892, s. 284—285.

<sup>5</sup> Nie zdołałem ustalić tożsamości owych Studzien Salomona. Nie mają one jednak nic wspólnego z położonymi w pobliżu Betlejem sadzawkami Salomona, których nazwa arabska brzmiała el-Burak, co oznacza: stawy,

## PRZYPISY

sadzawki. Ponieważ w niewielkiej odległości od Saidu znajdował się kan w I miejscowości Tell el-Burak (Wzgórze Sadzawek), gdzie była piękna studnia<sup>5</sup>, Lamartine mógł uznać przez analogię nazw arabskich, że i ta studnia jest studnią Salomona<sup>6</sup> Pierwsza Księga Królewska 5, 15—26.

Mowa tu o Adoniramie, budowniczym przełożonym nad robotnikami pracującymi przy wznoszeniu świątyni, zob. Pierwsza Księga Królewska 5, 27—32.

Lamartine ma tu na myśli najpewniej studnię w klasztorze dominikanów w Lillers, w prowincji Artois (obecnie Pas-de-Calais) we Francji, której datę powstania określano na r. 1126, przenosząc nazwę prowincji (Artois, studnia artezyjska) na tak budowane następnie studnie, jednakże badania archeologiczne wykazały, że takie studnie istniały w oazach egipskich już w V w. przed Chr., a mit heraklejski, podobnie jak wersja biblijna o wodzie tryskającej ze skały pod uderzeniem laski Mojżesza świadczą, że zasada wykorzystywania naturalnego ciśnienia wody była znana od pradziejów ludzkości.

Lamartine używa tu dawnej nazwy Akki, występującej u Strabona, a także w Dziejach Apostolskich (21, 7), nadanej temu fenickiemu niegdyś miastu za panowania dynastii Ptolemeuszy.

<sup>10</sup> Akka została wzięta przez Ibrahima Paszę szurmem w dniu 27 maja 1832 r.

<sup>11</sup> Miasto, które uchodziło za miejsce zamieszkania Joachima i Anny, matki Najświętszej Maryi Panny, zostało głównym miastem Galilei za panowania tetrarchy Heroda Antypasa (4 przed Chr. — 39); w r. 339 Rzymianie, tłumiąc wzniecone tu przeciw nim powstanie, doszczętnie je zniszczyli. Nazwa Sefarwaim występuje w Piśmie świętym kilkakrotnie: Druga Księga Królewska 17, 24, 31; 18, 34; Księga Izajasza 36, 19; 37, 13.

<sup>12</sup> Mowa o klasztorze franciszkanów, w którego obrębie znajdował się ukończony w r. 1730 kościół Zwiastowania.

<sup>13</sup> Ewangelia według św. Jana, 1, 14.

<sup>14</sup> Mowa o podziemnej kaplicy Zwiastowania. Kościół Zwiastowania był wzniesiony na obszarze, na którym stał dom Maryi i Józefa.

<sup>15</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Te podania...”, do słów: „... ziemi i nieba.”

<sup>16</sup> Tradycja, ustalona w w. XVII, dopatrywała się w tym miejscu warsztatu świętego Józefa. W r. 1914 zbudowano tu kościół. Znajdującą się o-podal synagogę utożsamiano ze świątynią, w której Jezus przemawiał do zebranych w szabat, jak o tym wspomina Ewangelia według św. Łukasza 4, 16—35.

<sup>17</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „co jednak...”, do słów: i... twierdza rzymska.” W Ewangeliach (św. Mateusz 17, 1—8; św. Marek 9, 2—8; św. Łukasz 9, 28—36) oraz w Drugim liście św. Piotra Apostoła (1, 18) mowa jest o górze lub o górze wysokiej; określenie bliższe tej góry jako Taboru należy do tradycji przyjętej przez Kościół od czasów Orygenesisa i świętego Hieronima. Nazwa góry Tabor występuje kilkakrotnie w Piśmie świętym (m.in. Księga Psalmów 89, 13).

<sup>18</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „i to sprawiło...”, do słów: „... święte wydarzenie.”

<sup>19</sup> Mowa o *Przemienieniu Pańskim*, malowanym w l. 1517—1520, a znajdującym się obecnie w Muzeum Watykańskim.

<sup>20</sup> Żydzi nadawali nazwę morza wszystkim większym naturalnym zbiornikom.

## PRZYPISY

nikom wodnym. Wulgata określa jezioro Genezaret (hebr. Kinneret) jako Morze Galilejskie: „Ambulans autem Jesusuxta mare Galilaeae...” (Ewangelia według św. Mateusza 4, 18), w wersji polskiej (Pismo święte, Wydanie trzecie poprawione, Poznań—Warszawa 1982) mowa o Jeziorze Galilejskim, podobnie w Ewangelii według św. Marka 7, 31 (w Ewangelii według św. Jana 21, 1, mowa o Morzu Tyberiadzkim).

<sup>81</sup> Mowa o chrzcie przyjętym przez Jezusa od świętego Jana Chrzciciela w wodach Jordanu, zob. Ewangelia według św. Mateusza 3, 13—17, według św. Marka 1, 9, według św. Łukasza 3, 1—21, według św. Jana 1, 19—34.

<sup>22</sup> Lamartine przebywał w Neapolu od 1 grudnia 1811 r. do kwietnia 1812 r., a następnie, mianowany członkiem tamtejszej ambasady, od lipca 1820 r. do 20 stycznia 1821 r. Miejsce, o którym tu mowa, jest ustalone przez tradycję. Wergiliusz, dotknięty chorobą podczas pobytu w Grecji, zmarł 21 września 19 r., w kilka dni po powrocie do Italii. Zwłoki poety, według jego życzenia, przewieziono z Brundisium do Neapolu i pogrzebano przy drodze wiodącej do Puteoli, obecnie Pozzuoli. Domniemany grób Wergiliusza miał znajdować się na Posilippo i przez wieki tu pielgrzymowano. Miejsce to, słynące z pięknego położenia i widoku, w którym od kopano kolumbarium rzymskie, zostało odrestaurowane w r. 1927 i jest obecnie objęte specjalnie urządzonej parkiem wergilijskim.

Ogrody Horacego naprzeciw Tyburu, o których mowa przedtem, to domniemana siedziba Horacego, otrzymana w darze od Mecenasas. Wiadomo, że Horacy dostał od Mecenasas niewielką posiadłość wiejską w kraju Sabinów, w której chętnie przebywał, a także, że w Tivoli (dawniej Tyburze) znajdują się szczątki świątyni Herkulesa, które uchodziły za ruiny willi Mecenasas. Lamartine przebywał w Rzymie w listopadzie 1811 r. i w lutym 1821 r.

<sup>23</sup> Les Charmettes, wiejska rezydencja pani de Warens w okolicach Chambéry, gdzie Jan Jakub Rousseau przebywał w 1. 1738—1741. Opis tego szczęśliwego z początku pobytu znajduje się w *Les Confessions*, ks. 6.

<sup>24</sup> Ewangelia według św. Mateusza 14, 22—33, według św. Marka 6, 45—52, według św. Jana 6, 16—21.

<sup>26</sup> Ewangelia według św. Mateusza 4, 18—22, według św. Marka 1, 16—20. O Emaus zob. przyp. 1 w rozdziale *Syria. Galilea*.

<sup>28</sup> Lamartine ma tu na myśli słowa wypowiedziane przez Chrystusa Zmarłychwstałego do Piotra: „Paś owce moje!”. Ewangelia wg św. Jana 21, 16.

<sup>27</sup> Kazanie na Górze (Ewangelia według św. Mateusza 5, 1—7, 29) zostało wygłoszone na górze wznoszącej się na północo-zachód od Kafarnaum; nazwano ją Górą Błogosławieństw, Kazanie bowiem rozpoczyna się od ośmiu błogosławieństw. Lamartine dalej przytacza słowa Jezusa wypowiedziane przy drugim rozmnożeniu chleba na górze nad Jeziorem Galilejskim. Ewangelia według św. Mateusza 15, 32.

<sup>28</sup> Lamartine, mówiąc o liliach dolin, zespolił wzmiankę o liliach na polu w Kazaniu na Górze (Ewangelia według św. Mateusza 6, 28) z lilią dolin, o której mowa w Pieśni nad Pieśniami 2, 1.

## SYBIA. GALILEA

<sup>1</sup> Mowa tu o Hammat, najdawniej znanych ciepłych źródłach kąpielowych, położonych o dwa i pół kilometra na południe od Tyberiady. Nazwa Hammat w formie zgrecyzowanej brzmiała Emaus. Miejscowość ta nie

ma, nic wspólnego z nowotestamentowym Emaus na północo-wschód od Łatrun, na drodze z Jaffy do Jerozolimy.

<sup>2</sup> O rosie Hermonu spadającej na górę Syjon wspomina Psalm 133, 3.

<sup>3</sup> Lamartine ma zapewne na myśli kościół Św. Piotra, który według dość późnej tradycji miał być wystawiony w miejscu cudownego połowu świętego Piotra, wskazanym mu przez Chrystusa Zmartwychwstałego; Ewangelia według św. Jana 21, 1—14.

<sup>4</sup> Lamartine ma na myśli dom Natanaela, którego powołanie opisuje Ewangelia według św. Jana 1, 45—49, określając go (21, 2) jako mieszkańca Kany Galilejskiej. Poczynając od w. IX niektórzy egzegeci utożsamiali Bartłomieja, wymienionego pośród apostołów w Ewangeliach synoptycznych (św. Mateusz 10, 3; św. Marek 3, 18; św. Łukasz 6, 14) oraz w Dziejach Apostolskich (1, 13) z Natanaelem. Na miejscu tym wznosi się nowoczesny kościół.

<sup>5</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „zrujnowany...”, do słów: „...tradycji religijnych.”

Na miejscu wspomnianego domu stoi kościół wzniesiony na ruinach świątyni zbudowanej przez krzyżowców i na szczątkach innych, wcześniejszych kościołów w w. IV.

<sup>6</sup> Lamartine wspomina tu o swoim wierszu *Réponse aux adieux de sir Walter Scott à ses lecteurs. Épître familière*, ogłoszonym początkowo w *Le Livre des Cent-et-un*, Paris 1832, a pisany najpewniej od drugiej połowy kwietnia 1832 r. Wiersz dotyczy umieszczonego w ostatnim tomie czwartej serii *Tales of my landlord* pożegnania, które Walter Scott skierował do swoich czytelników, udając się na krótko przed śmiercią w r. 1832 na Południe dla poratowania zdrowia. Zob. Lamartine, *Oeuvres poétiques complètes*, Paris 1963, Bibliothèque de la Pléiade, s. 529—538, 1867—1868.

<sup>7</sup> Lamartine ma na myśli ideę równości i wolności istot ludzkich. Re woluca lipcowa, instalując na tronie Ludwika Filipa, nie rozwiązała sprawy społecznej, która powracała w tłumionych powstaniach republikańskich i robotniczych 1831 i 1832 r.

<sup>8</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Wzrok mój...” do słów: „...moje własne słowa.”

Mowa o tzw. mensa Christi, stole Chrystusa, przy którym, według tradycji ustalonej w w. XVII, Chrystus, jak o tym powiada Ewangelia św. Jana 21, 12;—13, posilał się z uczniami. Stół ów stanowi blok twardej kre dy o blisko dwunastu metrach kwadratowych powierzchni znajdującej się obecnie w kościele wzniesionym w owym miejscu w r. 1861.

<sup>9</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Dałem pięćset plastrów...”, do słów: „...wrażenie prawdziwie świętych...”

<sup>10</sup> Lamartine kilkakrotnie podejmuje wątek utworzenia kolonii rolniczej na Bliskim Wschodzie, którego obszerny projekt rękopiśmienny znajduje się w archiwum poety w Saint-Point (zob. Lotfy Fam, *Lamartine, Voyage en Orient. Edition critique avec documents inédits*, Paris (1960), s. 464—473, *Appendice H. Documents et projet d'un établissement colonial agricole en Syrie. — 1832*). Projekt ów przewidywał uzyskanie koncesji na utworzenie takiej kolonii na równinie Tyru, czyli Suru, w Syrii, obecnie w Libanie, w r. 1833, jakkolwiek jego urzeczywistnienie, częściowe i na in nym obszarze, nastąpiło dopiero w r. 1849 w postaci udzielonej przez suł tana Abdulmedżida nieodpłatnej koncesji na eksploatację gospodarczą dob rze nawodnionej równiny Burghaz-Owa w Turcji, z licznymi folwarkami i wsiami oraz dworem. Podczas swojej drugiej podróży na Wschód, od-

## PRZYPISY

bytej w dniach od 21 czerwca do 6 lipca 1850 r., której marszruta wiodła z Marsylii przez Livorno, Malte i Smyrnę do Konstantynopola, Lamartine zwiedził przyznane mu dobra, których jednak nie objął. Sułtan, cofając swój dar, zapewnił pocie roczną rentę w wysokości dwudziestu tysięcy franków. Lamartine ze swej strony, już wcześniej, podjął pracę nad historią Turcji; kompilacja ta ukazała się w kilka lat potem (*Histoire de la Turquie*, t. 1—8, Paris 1854—1856); ogłosił również opis swojej drugiej podróży wschodniej (*Nouveau Voyage en Orient*, Paris 1851). W zamiarze osiedlenia się poety na Wschodzie łączyły się jak gdyby dwa motywy: chęć urzeczywistnienia swej utopii ekonomiczno-społecznej na obszarach skazanego na rozpadnięcie się cesarstwa tureckiego, które z rozmaitych względów, jak sądził Lamartine, przyjęłoby dobrodziejstwa cywilizacji i oświaty europejskiej, oraz chęć jak najszybszego i jak najkorzystniejszego o-sięgnięcia majątku. O poglądach Lamartine'a odnoszących się do pierwszego motywu zob. Louis Le Guillon, *Le Resume politique du „Voyage en Orient”* (Lamartine. *Le Livre du Centenaire. Etudes recueillies et présentées par Paul Viallaneix*, Paris 1971, s. 45—56).

<sup>11</sup> Mowa o grocie, znajdującej się w obrębie klasztoru Eliasza (Mar Elias) na górze Karmel, w której według tradycji miał mieszkać prorok Eliasz. Dzieje i czyny Eliasza są przedstawione w Piśmie świętym w Pierwszej Księdze Królewskiej (17—21), i w Drugiej Księdze Królewskiej (2).

<sup>12</sup> Mowa o meczecie wystawionym w r. 1781 przez Dżezara Paszę, a czę ściowo zburzonym podczas oblężenia Akki przez wojska napoleońskie w r. 1799 i wojska Ibrahima Paszy w r. 1832.

<sup>13</sup> Mowa o wojnie prowadzonej z Turcją przez wicekróla Egiptu Muhammada Alego.

<sup>14</sup> Klasztor karmelitański, o którym tu mowa, został zburzony w r. 1821 przez Abdallę, paszę Akki, a odbudowywany, poczynając od r. 1827. Budulec uzyskany ze zburzonego klasztoru został użyty przy wznoszeniu wspomnianego tu letniego pałacu Abdalli Paszy, stojącego do dziś w pobliżu latarni morskiej na przylądku.

<sup>15</sup> Mowa o grotach, w których ukrywali się prorocy Pańscy, zob. Pierwsza Księga Królewska 18, 1—13.

<sup>16</sup> Mowa o zdobyciu i zburzeniu Akki przez Ibrahima Paszę 27 maja 1832 r.

<sup>17</sup> Pisownia imienia jednej z postaci występujących w *Don Juanie* Byrona, utrwalona w oryginale jako Haidee, przybierała w tłumaczeniach polskich formy Haida (Baworowski) oraz Hajdea (Porębowicz). W tekście Jasińskiego — Aida.

O pannie Malagamba wspomina pośrednio Słowacki we wstępie do ogłoszonego w r. 1839 w Paryżu poematu *Ojciec zadżumionych* w *El-Arish*, opisując swój pobyt na przełomie r. 1836 i 1837 w tamtejszej kwarantannie, a zarazem wskazując źródło genezy swojego poematu: „Przybył doktor z miasteczka El-Arish [...] Pan Steble, tak się nazywał ów lekarz, emigrant włoski, ożeniony świeżo z panną Malagamba, sławną pięknością na Wschodzie, o której Lamartine z takim uniesieniem rozpowiada, starał się natychmiast mój pobyt pod otwartym niebem jak najwygodniejszym uczynić; wydał ze składu kilka namiotów dla naszej podróżnej gromadki, a jak się później dowiedziałem, rączki jego żony grzeźły w białej i srebrnej mące, aby mi na chlebie europejskim nie zabrakło [...] Historia jego [bohatera poematu *Ojciec zadżumionych*] boleści nie jest całkowicie zmyślona; opowiadał mi ją doktor Steble, któremu tak za nią, jako za chleby i za

## PRZYPISY

uprzejmość dla mnie podziękowałbym tutaj, gdybym wiedział, że te kilka wyrazów znajdzie go na pustyni."

<sup>18</sup> W tekście Jasińskiego fragment opuszczony od słów: „Starsza siostra...”, do słów: „...owej siostry.”

<sup>19</sup> W tekście Jasińskiego fragment opuszczony od słów: „Kiedy czyta my...”, do słów: „...w dziejach świata.”

<sup>20</sup> Lamartine opisując swoją podróż w okresie późniejszym, niż na to wskazuje umowna data zapisu, ma tu na myśli śmierć córki Julii w grudniu 1832 r., matki w listopadzie 1829 r., siostry Zuzanny w lipcu 1824, siostry Cezaryny w lutym 1824 r., syna Alfonsa w listopadzie 1822 r., Julii Charles w grudniu 1817 r.

<sup>21</sup> Opierając się najpewniej na rzeczywistej chronologii podróży Lamartine'a oznacza się datę powstania tego utworu, którego pierwodruk ukazał się w pierwszym wydaniu *Voyage en Orient* (Paris 1834, t. 2, s. 95—96), na dzień 8 lub 9 października 1832 r. Zob. Lamartine, *Oeuvres poétiques complètes*, Paris 1963, s. 559, 1872. Tłumaczenie Jasińskiego poprawiłem w jednym tylko miejscu.

<sup>22</sup> Lamartine używa formy: Castel Peregrino, łacińska nazwa brzmiała: Castellum Peregrinorum, w początku w. XIII używano nazwy: Petra in cisa, co oznacza: Ucięta skała. Ruiny, o których mówi Lamartine, stano wiły resztki zburzonej w 1291 r. twierdzy, wzniesionej w r. 1218 przez templariuszy, którzy ustanowili tu główną siedzibę swojego zakonu. Na podstawie podjętych wykopalisk ustalono w okresie późniejszym, po drodze Lamartine'a, że znajdowało się tu miasto fenickie zwane Adarn. Historycy łacińscy używali też nazw: Via stricta oraz Districtum, nazwa arabska brzmiała (według źródła angielskiego) Khirbet Doustre, nazwa hebrajska — Atlit.

<sup>23</sup> Nahr er-Zerka, czyli rzeka Błękitna, nosi u Pliniusza (*Naturalis historia*) nazwę Crocodilon. Obecna hebrajska nazwa — Hatanim. Według niektórych źródeł tożsama z rzeką Szichor-Libnat, o której mowa w Księdze Jozuego 19, 26.

<sup>24</sup> Cezareą, zbudowana w 13 r. przed Chr. w pobliżu Zamku Stratoną przez Heroda Wielkiego i tak nazwana na cześć cesarza Augusta. Ludwik IX Święty ufortyfikował ją w l. 1251—1252, podczas pierwszej z pro wadzonych przez siebie krucjat.

<sup>25</sup> Józef Flawiusz, *Dawne dzieje Izraela*, Poznań 1979, s. 734, 738—739 (ks. XV, VIII, 5, IX, 6). Flawiusz pisze także o Cezarei w swojej *Wojnie żydowskiej* (ks. I, XXI, 5—8).

<sup>26</sup> Dzieje Apostolskie 26, 1—32. Święty Paweł wypowiada tę mowę przed królem Judei Herodem Agryppą II.

<sup>27</sup> O setniku Korneliuszu zob. *Dzieje Apostolskie* 10, 1—48; o Filipie, tamże 21, 8; z Cezarei do Italii, po odesłaniu świętego Pawła do Rzymu przez Heroda Agryppę, wypłynęli Paweł i towarzyszący mu święty Łukasz, tamże 27, 1—3.

<sup>28</sup> Owe ruiny Apollonii, zwanej przez Rzymian Appolonia Sozusa, a przez Arabów Asruf, są pozostałościami fortyfikacji wzniesionych tu przez Ludwika IX Świętego w r. 1251. Miasto zostało zniszczone przez Mameluków w r. 1265.

<sup>29</sup> Obecnie nazwa w polskiej wersji Pisma świętego brzmi Jafa. Forma tej nazwy zmieniała się; Flawiusz podaje, że Hebrajczycy mówili o tym mieście Jafo; za czasów rzymskich i w Nowym Testamencie (Vulgata, Actus Apostolorum 9, 36) Joppe czy Joppa itd.

<sup>30</sup> Zapewne w *Naturalis historia*. Miało to może związek z pokazywanymi tu od 58 r. przed Chr. szczątkami kości czy też ości, o których mawiano, jak świadczy też o tym święty Hieronim, że są resztkami Lewiatana. Grecy dopatrywali się w nich szczątków smoka, który więził wyzwoloną przez Perseusza Andromedę, i uważali Jaffę za miejsce jej porwania.

<sup>31</sup> O Andromedzie z Ob. R. Graves, *Mity greckie*. Przełożył Henryk Krzeczkowski, Warszawa 1974, s. 231—232. O budowie arki przez Noego — Księga Rodzaju 6, 12—22. O istnieniu Jaffy przed potopem wspominają dawne podania. O sprowadzaniu drzew z Libanu do Jaffy — Druga Księga Kronik 2, 15.

<sup>32</sup> Jonasz, chcąc uciec przed Panem, który kazał mu iść do Niniwy, aby ją upomnieć, wsiadł na okręt w Jaffie, zob. Księga Jonasza 1, 3.

<sup>33</sup> O wskrzeszeniu Tabity — Dzieje Apostolskie 9, 36—41.

<sup>34</sup> Jaffa była na nowo ufortyfikowana przez Ludwika IX Świętego w r. 1252. 7 marca 1799 r. wojska francuskie pod dowództwem generała Klebera wzięły szturmem miasto, wyrzynając tureckich jeńców.

<sup>35</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Ich rozległe po mięszczenia...”, do słów: „...mieszkańców Jaffy.”

<sup>36</sup> W cztery lata później, od 22 grudnia 1836 r. do 2 stycznia 1837 r., w El-Arisz, w ustanowionej tam wówczas kwarantannie dla karawan i podróżnych udających się z Syrii do Egiptu lub z powrotem, przebywał Juliusz Słowacki. Opis El-Arisz i tamtejszej kwarantanny zob. we wstępie do jego poematu *Ojciec zadżumionych vo El-Arish*.

<sup>37</sup> Lamartine ma tu na myśli Ibrahima Paszę.

<sup>38</sup> Ramia (Ramie) była utożsamiana z Arymateją od w. XIII. Z niej to, według owej tradycji, miał pochodzić „zamożny człowiek z Arymatei, imie niem Józef, który też był uczniem Jezusa” (Ewangelia według św. Mateusza 27, 57). Uważano także, iż Arymateją, a zatem i Ramia, jest tożsama z Ramą Efraimową, czyli z miejscowością na obszarze zamieszkanym przez pokolenie Efraima. Miejscowość tę zwano także Ramataim i ta nazwa występuje w Piśmie świętym (Pierwsza Księga Samuela 1, 1).

<sup>39</sup> Mowa o klasztorze franciszkanów. Filip II Dobry, książę Burgundii (1396—1467), panował od r. 1419.

<sup>40</sup> Francuzi pod wodzą Napoleona Bonapartego wylądowali w Aleksandrii w lipcu 1798 r.

<sup>41</sup> Mowa o miejscowości zwanej Anata, gdzie przebywał, a według tradycji urodził się Jeremiasz (Księga Jeremiasza 1, 1; 11, 21). Później wieś, która, się tu znajdowała, przybrała nazwę Abu Gosz. Zlokalizowanie tu miejsca urodzenia Jeremiasza, które w Piśmie świętym nosi nazwę Anatot, wynikało z nadania tutejszemu źródłu nazwy, która w arabskim brzmiła Ajn el-Tut, co w w. XVI utożsamiono z Anatot.

<sup>42</sup> Ród Lusignanów panował w Królestwie Jerozolimskim od r. 1186, kiedy Guy Lusignan, poprzez wcześniej zawarte małżeństwo z Sybillą, córką Amalryka, króla Jerozolimy, po jego śmierci objął tron, który utracił w rok później po zdobyciu Jerozolimy przez Saladyna. Tytuł króla Jerozolimy odzyskał Hugo III Lusignan; jego synowie, Jan I, zmarły w r. 1285, i Henryk II, zmarły w r. 1324, panowali jako królowie Jerozolimy aż do r. 1291, kiedy królestwo to przestało istnieć.

<sup>43</sup> Mowa o położonej na północ od Jerozolimy miejscowości Ain-Karim. Zgodnie z tradycją, ustaloną już w IV w., święty Jan Chrzciciel miał urodzić się tu w domu swoich rodziców, Elżbiety i Zachariasza. O Ain-Karim także mowa w Ewangelii według św. Łukasza (1, 39—40): „W tym



## PRZYPISY

czasie Maryja wybrała się i poszła z pośpiechem w góry do pewnego miasta w (pokoleniu) Judy." Klasztor franciszkanów został zbudowany w w. XVII, gdy markiz de Nointel, ambasador Ludwika XIV, uzyskał zgodę sułtana, aby wzniesiony w V w. na miejscu, gdzie miał znajdować się dom Elżbiety i Zachariasza, kościół, który służył Arabom jako stajnia, został zwrócony franciszkanom.

<sup>43</sup> Pierwsza Księga Samuela 17, 1—58.

<sup>44</sup> Tamże 17, 1—3, 40.

<sup>45</sup> Według tradycji rodzice NMP, Anna i Joachim, mieszkali w Sefforis. Na miejscu, gdzie miał stać ich dom, wzniesiono w IV w. bazylikę. Zbudowany przez krzyżowców zamek, którego ruiny wspomina tu Lamartine, znajduje się w pobliżu owej bazyliki.

<sup>46</sup> Modin (Modiin) był ośrodkiem buntu Żydów przeciw Rzymianom w II w. Powstaniu przewodził wielki kapłan Matatiasz i jego pięciu synów, z których Juda miał przydomek Machabeusz, co oznacza Młot. Od przydomka Judy nazwa przeszła na cały ród Matatiasza, na powstanie zwane powstaniem Machabeusz, a także na wszystkich jego uczestników.

O grobach rodzinnych Machabeuszów w Modin zob. Pierwsza Księga Machabejska 2, 70.

<sup>47</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „przeklinając nieczułość...”, do słów: „...na które zasługiwali.”

<sup>48</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „dziedzicznymi...”, do słów: „...wina jerozolimskiego.”

<sup>49</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „gdyby nie stanowił wyjątku...”, do słów: „...narodami Zachodu.”

<sup>50</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Tylko zakon niczy...”, do słów: „...wysłałem do Europy.”

<sup>51</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „a także przy niósł...”, do słów: „...statkiem z Hiszpanii.”

<sup>52</sup> Mowa o rewolucji lipcowej 1830.

## JEROZOLIMA

<sup>1</sup> W Pieśni nad Pieśniami trzykrotnie mowa o wieżach (w tekście polskim dwukrotnie o wieży, raz o baszcie), które służą jako porównanie: „Szyja twoja jak wieża Dawida, warownie zbudowana” (4, 4), „Szyja twa jak wieża ze słonowej kości”, „Nos twój jak baszta Libanu” (7, 5).

<sup>2</sup> Słowa świętego Jana Chrzciciela dającego o sobie świadectwo (Ewangelia według św. Mateusza 3, 3; według Św. Marka 1, 3; według św. Łukasza 3, 4; według św. Jana 1, 23).

Mur otaczający starożytną część Jerozolimy pochodzi z l. 1536—1539, kiedy Soliman Wspaniały nakazał jego odbudowę. Przedtem linia murów trzykrotnie zmieniała swoje położenie ze względu na rozbudowę ruinowego i odbudowywanego przez wieki miasta. Lamartine ma tu najpewniej na myśli fundamenty tzw. muru trzeciego czy też północnego, wystawio nego na rozkaz Heroda Agryppy I w r. 41.

<sup>4</sup> Mowa o sadzawce Owczej zwanej po hebrajsku Betesda, Ewangelia według św. Jana 5, 1—9.

<sup>5</sup> Meczet zwany potocznie, choć bezzasadnie, meczetem Omara wznosi się na szerokiej esplanadzie, zajmującej płaskowyż zwany w Piśmie świętym górą Moria, na którym król Dawid zamierzył, a król Salomon zbudował

## PRZYPISY

świątynię. Budowę jej zakończono w r. 950 przed Chr. W r. 590 przed Chr. zburzył ją Nabuchodonozor. W r. 520 przed Chr., po powrocie z wygnania babilońskiego, Żydzi wzniesli tu drugą świątynię. Trzecia świątynia, której budowę rozpoczął Herod Wielki w r. 20 przed Chr., została zburzona w r. 70 przez Tytusa. W II w. za czasów Hadriana, w miejscu, gdzie stała pierwsza świątynia, zbudowano świątynię ku czci Jupitera. Cesarz Justynian w VI w. kazał zbudować bazylikę pod wezwaniem NMP w tym miejscu, gdzie obecnie stoi meczet el-Aksa, zbudowany w r. 637, po wzięciu Jerozolimy przez kalifa Omara. Natomiast meczet, zwany tu meczetem Omara, został wzniesiony w r. 691 przez Abdel Malika. W jego wnętrzu znajduje się wielki gład, na którym miało spełnić się ofiarowanie Izaaka (Księga Rodzaju 22, 1—18). W istocie meczet ów nosi arabską nazwę Kubbet es-Sachra, co oznacza Kopuła nad Skałą. Meczet ten był z kolei zamieniony przez templariuszy, którzy w r. 1100 mieli tu swoją siedzibę, na kościół zwany Templum Domini. W r. 1187 Saladyń przywrócił Całej esplanadzie dawny wygląd.

<sup>6</sup> Mowa o kościele NMP zbudowanym w zachowanym do dziś kształcie przez zmarłą w r. 1161 Melisandę, córkę Baldwina II, króla Jerozolimy. Ale już w V w. na tym miejscu, gdzie według tradycji apostołowie po chowali NMP, którą spoczywała tu do chwili Wniebowzięcia, znajdował się kilkakrotnie z biegiem czasu i toczących się zmiennych wydarzeń bu dowany i burzony kościół.

<sup>7</sup> Miejsce to (Ewangelia według św. Mateusza 26, 36—39; według św. Marka 14, 32—36; według św. Łukasza 22, 39—44; według św. Jana 18,1) upamiętnia Grota Konania. W pobliżu, w ogrodzie Getsemani, zwanym Ogrójec, rosło osiem starych drzew oliwnych.

<sup>8</sup> Ewangelia według św. Marka 14, 36; w ewangeliach według świętych Mateusza i Łukasza wersja nieco odmienna.

<sup>9</sup> Z badań późniejszych wynika, że nie są to groby królów Judei, jak dawniej przypuszczano, lecz rodziny Heleny, królowej Adiabene, państwa syryjskiego w górnej Mezopotamii, która po śmierci swojego męża, króla Monobaza I, około r. 45 przybyła do Jerozolimy wraz ze swoimi dwu dziećmi i pięcioma synami. W tym czasie na Jerozolimę spadła klęska głodu. Helena sprowadziła żywność z Egiptu i tym sposobem uratowała lud od śmierci głodowej.

<sup>10</sup> Motyw nieprawości Jerozolimy, miasta, którego ludność sprzeciwiała się przykazaniom Bożym, występuje nader często w księgach zwłaszcza tzw. proroków mniejszych, np. u Micheasza (3, 10): „Wy, którzy krwią bu dujecie Syjon, a nieprawością Jeruzalem.”

<sup>11</sup> w oryginale: „la vallée des Lamentations”, co Jasiński tłumaczy przez Dolinę Placzu; chodzi tu o Dolinę Jozafata.

<sup>12</sup> według tradycji sięgającej r. 315 jako miejsce Wniebowstąpienia wskazywano Górę Oliwną. Budowano tu kolejno kilka kościołów, które uległy zburzeniu. Kaplica Wniebowstąpienia zostaj zbudowana w l. 1834—1835, uprzednio były tu oglądane przez Lamartine'a ruiny meczetu, na miejscu gdzie przedtem znajdował się klasztor augustianów.

<sup>13</sup> W tekście oryginalnym: „cette Jérusalem qui sort du sein du désert brillante de clarté”: jest to najpewniej przytoczenie, którego źródła jednak nie zdołałem ustalić. Obraz Jerozolimy lśniącej światłością, pojmowana jako blask doskonałości moralnej, występuje w księgach prorockich, motyw wyłaniania się z pustyni powtarza się dwukrotnie w Pieśni nad Pieśniami (3, 6; 8, 5), nie odnosi się jednak dosłownie do Jerozolimy,

lecz w interpretacjach alegorycznych oznacza powrót Izraela z niewoli.<sup>14</sup> Wzgórze Syjonu utożsamiano tradycyjnie z miastem Dawida. Obszar ten był otoczony murami, w których obrębie wznosił się pałac królewski, przeniesiony następnie, gdy Salomon zbudował świątynię na górze Moria, w jej bezpośrednie sąsiedztwo. Grób Dawida mieści się, według tradycji, w budowli, której kształt obecny nadali franciszkanie osiedli na Syjonie w r. 1333, a wypędzeni stamtąd przez muzułmanów w r. 1547. Król Dawid, jak wskazują źródła biblijne (Pierwsza Księga Królewska 2, 10), został pochowany w „Mieście Dawidowym”, czyli na wzgórzu Syjon, o czym mówią także Dzieje Apostolskie (2, 29). Za czasów, gdy Lamartine zwiedzał Jerozolimę, dostęp do krypty mieszczącej grób Dawida, uznawanego przez muzułmanów za proroka, nie był możliwy, podobnie jak dostęp do Wieczernika, mieszczącego się tuż obok, na pierwszej kondygnacji tej budowli.

<sup>15</sup> W tekście Jasińskiego fragment opuszczony od słów: „zatrzymywani co pewien czas...”, do słów: „...sama je wymyśliła.”

<sup>16</sup> Według tradycji dom świętej Weroniki, a także jej grób, miał znajdować się na Drodze Bolesnej, w pobliżu szóstej stacji Męki Pańskiej. Tradycja ta ustaliła się w w. XIII i XIV w związku ze świadectwem Jakuba z Werony, który w swojej relacji o Ziemi Świętej wspomniał o miejscu, gdzie Chrystus miał dać wizerunek swojej twarzy zwany Veraikon. Wersja o chustce podanej przez niewiastę idącemu na Golgotę Jezusowi dla otarcia potu z czoła i o wynagrodzeniu tego miłosiernego uczynku przez Jezusa, który oddał jej chustę ze swoim wizerunkiem, ustaliła się w w. XIV, a na przełomie XV—XVI w. scena z niewiastą znalazła się w tekstach nabożeństwa Drogi Krzyżowej i została włączona do relacji pielgrzymów odwiedzających Jerozolimę.

Drzwi domu Żyda Wiecznego Tułacza to drzwi domu znajdującego się między trzecią i czwartą stacją Drogi Bolesnej; w tradycji związanej z tym domem, a raczej z domem, który się tu wznosił za czasów rzymskich, dom oglądany bowiem przez Lamartine'a pochodzi ze średniowiecza, łączą się wątki legendy o Ahaswerusie, Żydzie Wiecznym Tułaczem, oraz podania o złym bogaczu, który odpędził od swojego domu idącego na Golgotę Jezusa, gdy Ten zatrzymał się, aby odpocząć; według innych wersji człowiekiem tym miał być szewc imieniem Ahaswer. Legenda ta ustaliła się w w. XV.

Pretorium, siedziba rzymskich prokuratorów Judei, miało się znajdować w obrębie dawnego pałacu Heroda. Prokuratorzy mieszkali tam od r. 6, gdy przybywali w dni świąteczne z Cezarei, gdzie stale rezydowali, do Jerozolimy. Miejsce to jednak nie jest ustalone jednoznacznie. O pretorium wspomina Ewangelia według św. Jana (18, 28). Jak się zdaje, Lamartine ma tu na myśli okno w tzw. łuku Ecce Homo, gdzie według podania, sięgającego XV w., Piłat, wskazując Jezusa ludowi, rzekł: „Oto Człowiek” (Ewangelia według św. Jana 19, 5).

<sup>17</sup> Mowa o kościele Mądrości Bożej (Hagia Sophia) w Konstantynopolu zamienionym po zdobyciu tego miasta przez Turków w r. 1453 na meczet. Wspomniane tu „stojące po bokach kamienne wzgórze” to cztery miana rety dobudowane wówczas w czterech narożach świątyni.

<sup>18</sup> Wzmianki o pielgrzymce Heleny, matki cesarza Konstantyna, do Jerozolimy podają jedynie nowi historycy. Helena miała odnaleźć w pobliżu Grobu Świętego krzyż, który dźwigał Jezus idąc na Golgotę. Na tym miejscu wzniesiono początkowo kościół Zmartwychwstania (Anastasis) poświę-

eony w r. 336. Kolejno burzono tu i budowano rozmaite budowle sakralne, upamiętniające Ukrzyżowanie i Zmartwychwstanie. Lamartine oglądał bazylikę Grobu Świętego odbudowaną częściowo z ruin w r. 1719, spaloną w r. 1808 i odrestaurowaną w r. 1810.

<sup>19</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Gdyby nie Turcy...”, do słów: „...zabytkom islamu?”

<sup>20</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Wydaje się to...”, do słów: „...które nam pokazują.”

<sup>21</sup> Tu wersja Ewangelii według św. Łukasza 24, 6.

<sup>22</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „bez względu na to...”, do słów: „...człowieczeństwem ubóstwionym.”

<sup>23</sup> Opis Drogi Krzyżowej (Drogi Bolesnej) zob. Chateaubriand, *Opis podróży z Paryża do Jerozolimy*, Warszawa 1980, s. 249—251.

W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Nic tu nadzwyczajnego...”, do słów: „...wypędzono z niej na długie lata.”

<sup>24</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „ale i to...”, do słów: „...z całą pewnością.”

<sup>25</sup> W dawniejszej nomenklaturze geograficzno-historycznej w podziale Półwyspu Arabskiego rozróżniano za Ptolemeuszem Arabię Skalistą (Arabia Petrea), Arabię Pustynną (Arabia Déserta) oraz Arabię Szczęśliwą (Arabia Félix). „Arabia Skalista skupiała się wokół półwyspu Synaj i królestwa nabatejskiego ze stolicą Petrą” — zob. Philip K. Hitti, *Dzieje Arabów*, Warszawa 1969, s. 41.

<sup>26</sup> Góra Zgorszenia stanowi jedną z wyniosłości Góry Oliwnej, jej nazwa (Mons Offensionis, Mons Scandali) pochodzi z Wulgaty (IV Regum 23, 13), gdzie mowa o ołtarzach wystawionych na tej górze przez Salomona bóstwom pogańskim; w wersji polskiej (Druga Księga Królewska 23, 13) brak tej nazwy.

<sup>27</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „w której Jima...”, do słów: „...i pokrytą kurzem.”

<sup>28</sup> Zapewne chodzi tu o utożsamianie tego źródła, zwanego źródłem Najświętszej Maryi Panny, ze źródłem Gichon, o którym mowa w Pierwszej Księdze Królewskiej (1, 33, 38). Według nowszych badań ustalono, że jest to jedno źródło, zwane obecnie źródłem NMP, którego wody spływają do sądzawki Siloam.

<sup>29</sup> O inwokacji *Paradise Lost* Milтона, w której mowa także o Siloam, wspomina Chateaubriand (*Opis podróży z Paryża do Jerozolimy*, s. 254, 449). W wersji oryginalnej wers ten (*Paradise Lost* 1, 11—12) brzmi:

...and Siloa's brook that  
flowed Fast by the oracie of  
GOD...

co w przekładzie (Milton, *Raj utracony*. Przełożył Maciej Słomczyński, Warszawa 1974, s. 32, w. 14—15) przybrało kształt następujący:

...lub potolec Silloa płynący  
Ongi tak bystro przy Pańskiej Wyroczeni...

## BRZEGI JORDANU POZA RÓWNIĄ JERYCHA

<sup>1</sup> Mowa o drodze, którą przeszli Żydzi, idąc z Egiptu do Kanaan. Dokładny jej opis zawiera Księga Wyjścia 15, 22 — 18, 27.

## PRZYPISY

<sup>2</sup> Chateaubriand dokonał obszernego porównania topografii zwiedzanej przez siebie Jerozolimy z opisami Tassa w *Jerozolimie wyzwolonej*, zob. Chateaubriand, *Opis podróży z Paryża do Jerozolimy*, Warszawa 1980, s. 311—321.

<sup>3</sup> Tasso, *Gofred abo Jeruzalem wyzwolona*. Przekład Piotra Kochanowskiego, 6, 1—17.

<sup>4</sup> Jezioro Asfaltitis (Asfaltyna), Jezioro Smolne, zwane także Morzem Asfaltowym, były to nazwy nadawane Morzu Martwemu.

## JERYCHO

<sup>1</sup> Samson, schwytawszy trzysta lisów, powiązał je ogonami, włożył między nie pochodnie, „a rozpuściwszy lisy między zboża filistyńskie spalił sterty i zboża na pniu oraz winnice wraz z oliwkami”, Księga Sędziów 15, 4—8.

<sup>2</sup> Nie udało mi się ustalić nazwy tych ruin.

<sup>3</sup> Mowa o Sodomie i Gomorze, a także o innych miastach zapadłych w jezioro Asfaltyny, zob. Chateaubriand, *Opis podróży z Paryża do Jerozolimy*, Warszawa 1980, s. 224.

<sup>4</sup> Kaik, nazwa długiej, zwrotnej łodzi, używanej w Turcji i na obszarach podległych Turcji, między innymi na wodach Grecji i Archipelagu, pochodząca od wyrazu tureckiego kayiik. Linde przytacza jeden tylko przykład użycia według Józefa Mikoszy *Obserwacje polityczne państwa tureckiego ...*, Warszawa 1793. Podobne łodzie, używane przez Kozaków, nosiły nazwę czajek. Kaik, jak się zdaje, do zbioru wyrazów polskich wszedł na stałe dopiero w okresie orientalizmu romantycznego. Słowacki używa tego wyrazu kilkakrotnie, m.in. nadając mu, zapewne pod wpływem jego polskiego znaczenia: łódź, formę żeńską: kaika (zob. Juliusz Słowacki, *Dzieła wszystkie*, Wrocław 1957, t. X, s. 35, w. 83, w: *Beniowski. Dramat niedokończony*).

<sup>5</sup> Chateaubriand, wspominając o tym, przytacza nazwiska podróżników i pisarzy, którzy to potwierdzają, zob. *Opis podróży z Paryża do Jerozolimy*, s. 224—225.

<sup>6</sup> Księga Rodzaju 19, 24—25.

<sup>7</sup> Ewangelia według św. Łukasza 10, 30—37.

<sup>8</sup> Data jak w oryginale. Nie udało mi się ustalić położenia i obecnej nazwy tej sadzawki. Może mowa tu o tzw. kopalniach króla Salomona w pobliżu bramy Damasceńskiej, przed murami.

<sup>9</sup> Ewangelia według św. Mateusza 26, 42; pełny tekst, skrócony tu o kilka wyrazów, brzmi: „Ojcie mój, jeśli nie może ominąć Mnie ten kielich i muszę go wypić, niech się stanie wola Twoja!”

<sup>10</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Spośród wszystkich ...”, do słów: „... modlił się i cierpiał.”

<sup>11</sup> Poszczególne miejsca święte pozostawały i pozostają nadal pod opieką różnych wyznań chrześcijańskich.

<sup>12</sup> Mowa tu o zakonnikach ortodoksyjnych. Idąc za wersją oryginalną dzieła, nie rozróżniam, w wypadku używania nazw Grecy, Ormianie, Żydzi i innych, narodowości i wyznania i w obu przypadkach używam nazw etnicznych, wychodząc z założenia jedności narodo-wyznaniowych tych zbiorowisk.

## PRZYPISY

<sup>13</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Kiedy Bóg zezwala ...” do słów: „... Istotę Oczywistą, Boga.”

<sup>14</sup> Grobowiec ten pochodzi z epoki grecko-rzymskiej z dodanymi zapewne później ozdobami greckimi i egipskimi. Opierając się na wzmiance w Piśmie świętym, że Absalom za życia zbudował sobie stelę w Dolinie Królewskiej (Druga Księga Samuela 18, 18), uznano w w. XVI, że ten kamienny monolit, o którym po raz pierwszy wspomniano w r. 333, jest grobowcem Absaloma.

<sup>15</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Chrześcijaństwo ...”, do słów: „... na widnokregu ludzkości”.

<sup>16</sup> Mowa o powtórnej podróży do Jaffy przez Jerozolimę i Betlejem, odbytej już po śmierci córki, w kwietniu 1833 r. Zob. niżej zapis pod datą 13 kwietnia 1833 jr.

<sup>17</sup> Mowa o królu Dawidzie. Psalm, który ma tu na myśli Lamartine, nie wspominają jednak o źródle Siloam. Według nowszych ustaleń Dawidowi przypisuje się autorstwo siedemdziesięciu trzech psalmów.

<sup>18</sup> Według tradycji dom Kaifasza miał znajdować się w pobliżu bramy Syjońskiej, opodal kościoła Zaśnięcia NMP, w obrębie klasztoru góry Syjon. Wieża Pizanczyków nazywano wieżą Dawida, kilkakrotnie burzoną i odbudowywaną w XIV vv.

<sup>19</sup> Palma (palmus) była miarą rzymską i stanowiła odpowiednik szerokości dłoni, nie licząc kciuka. Później używano tej nazwy na oznaczenie miary długości w poszczególnych krajach Europy południowej, lecz w każdym z nich miara ta była odmienna. W zasadzie palma używana tam, a następnie na Bliskim Wschodzie, odpowiadała długości **dłoni**, poczynając od nadgarstka do końca środkowego palca.

<sup>20</sup> W tekście Jasińskiego fragment opuszczony od słów: „głos jego ...”, do słów: „... naszych katedr.”

<sup>21</sup> Antara (Antar) Ibn Szaddad (około 525—615), poeta arabski okresu przedmuzułmańskiego, a także dzielny wojownik, był autorem jednej z muallak, czyli kasyd staroarabskich, nagrodzonych na turnieju poetyckim w Ukaz koło Mekki w w. VI, a następnie wyszytych złotem na jedwabiu i zawieszonych w świątyni Kaaba w Mekce. Był także bohaterem opowieści i pieśni o życiu Beduinów i ich działaniach wojennych, które w w. XV zostały zebrane w epos rycerski pod nazwą *Sirat Antara*. Angielski przekład tego dzieła ukazał się w całości w r. 1820 i wywołał wielkie zainteresowanie, podobnie we Francji opowieść o Antarze (*Le Roman d'Antar*) cieszyła się w początkach XIX w. znacznym powodzeniem, co miało ścisły związek z orientalnymi wątkami, chętnie podejmowanymi przez literaturę romantyczną.

<sup>22</sup> Lamartine w pierwszym wydaniu *Voyage en Orient* z r. 1835 umieścił tutaj *Fragments du poème d'Antar*, które w edycjach następnych drukowano na końcu dzieła. W tekście Jasińskiego 6w przekład został z kolei przetłumaczony na polski. Z układu edycji polskiej, w której owe fragmenty poezji Antara znajdują się w tym samym miejscu, co w pierwszym wydaniu *Voyage en Orient*, można wnosić, że właśnie to pierwsze wydanie było dla Jasińskiego podstawą przekładu. W niniejszej edycji pominąłem ten przekład z przekładu.

<sup>23</sup> Mowa o *Jerozolimie wyzwolonej* Torquata Tassa oraz o pisanych dla teatru dworskiego w Ferrarze pięciu komediach urodzonego w Reggio Emilia w r. 1474 Ariosta. Cztery z tych komedii: *Cassaria*, *Suppositi*, *La*

## PRZYPISY

*Lena, Il Negromante*, zostały wystawione, piąta, *Gli studenti*, pozostała nie ukończona.

<sup>24</sup> Mowa o przekładzie T. Hamiltona, ogłoszonym pod tytułem *Antar, a Bedoueen romance*, 1819 (tylko tom pierwszy), 1820 (drugie wydanie, t. 1—4). O Antarze we Francji zob. V. Chauvin, *Bibliographie des ouvrages arabes*, 1898, t. 3.

<sup>25</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „... niczym ów ...”, do słów: „...pan de Chateaubriand.” Mowa tu o fragmencie słynnego opisu pochówku Atali, bohaterki utworu pt. *Atala ou les Amours de deux sauvages dans le desert*, 1801.

<sup>26</sup> Mowa o *Magdalenie pokutującej*, jednej z bardziej znanych rzeźb Canovy.

<sup>27</sup> Mowa o wzgórzu zwanym po arabsku er-Ras (Głowa), na którym wznosiła się ufortyfikowana niegdyś wieś Souba. Według tradycji w w. XIII dopatrywano się tu Modinu, w którym według Pisma świętego byli pochowani Machabeusze.

<sup>28</sup> Mowa o bitwie w dniu 27 maja 1832 r., w której wyniku Ibrahim Paśza zajął Akkę.

<sup>29</sup> Muhammad Ali, w r. 1805 obwołany paszą Egiptu i uznany przez Turcję, po podbiciu w r. 1818 państwa Wahhabitów na Półwyspie Arabskim oraz w l. 1820—1823 Sudanu sięgnął od r. 1831 po Syrię, Palestynę, Cylicję i Anatolie, będące posiadłościami tureckimi. Temu zwycięskiemu podbojowi Dołożyła kręś w r. 1839 otwarta wojna z sułtanem, który zyskał poparcie Rosji i Anglii.

<sup>30</sup> Następcą Dżezara, zmarłego w r. 1804, był jego syn Sulejman.

<sup>31</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Sam kapelan ...”, do słów: „... i popijając.”

<sup>32</sup> Mowa o poematach Miltona *Paradise Lost* i *Paradise Regained*.

## LUDY LIBANU

<sup>1</sup> W zasadzie podział ludności Libanu opierał się na podstawie wyzniowej i takie nazwy, jak Maronici czy Druzowie, dotyczyły nie narodowości, lecz wyznania. Zgodnie więc z ogólnie przyjętą zasadą należałoby je pisać małą literą. Jednakże te różnice wyznaniowe stanowiły także o przynależności narodowościowej, co uwydatnia się w tytule nadanym przez Lamartine'a tej części jego dzieła: *Peuplades du Liban*. Jasiński tłumaczy to jako *Plemiona Libanu*, co w porównaniu ze znaczeniem wyrazu „lud” jak gdyby obniża stopień rozwoju poczucia wspólnoty owych zbiorowości.

<sup>2</sup> Święty Maron, pustelnik, zmarł około r. 410. Nazwa Maronitów po chodzi albo od jego imienia, albo też od zbudowanego nad jego grobem klasztoru Bejt Marun.

Mowa tu o świętym Janie Złotoustym (świętym Janie Chryzostomie, około 354—407), ojcu Kościoła, autorze kilkunastu dzieł o treści ascetycznej i dogmatycznej, stanowiących również ważne źródło wiedzy o kulturze wczesnobizantyjskiej. Mówiąc o Teodoryku, miał *może* Lamartine na myśli Teodoryka z Nyem (około 1340—1418), pisarza kościelnego, biskupa Werden, wybitnego uczestnika soboru w Konstancji.

<sup>4</sup> Monoteletyzmem zwano doktrynę teologiczną głoszącą, że w Chrystusie istnieją dwie natury, lecz jedna tylko wola. Doktrynę tę sformułował

## PRZYPISY

patriarcha Konstantynopola Sergiusz, /chcąc ułatwić zjednanie dla Bizancjum monofizytów prowincji wschodnich. Papież Honoriusz I opowiedział się za nią, a cesarz Herakliusz, wobec sprzeciwu patriarchy jerozolimskiego, wydał w r. 638 popierający ją edykt. W r. 648 cesarz Konstans II zakazał kolejnym edyktem wszelkich dysput związanych z doktryną mono-teletyzmu, a zwołany w r. 680 sobór w Konstantynopolu ustalił dogmat o dwóch wolach i podwójnym działaniu w Chrystusie, potępiając zarazem Honoriusza I. Monoteletyzm utrzymał się do w. XII w Syrii, na Cyprze i w Libanie, gdzie wyznawali go Maronici, którzy jednak w w. XIII podporządkowali się Rzymowi.

<sup>5</sup> Volney, *Voyage en Egypte et en Syrie*, Paris 1959, s. 218—227, § 2. *Des Maronites*.

<sup>6</sup> Volney wspomina o stu piętnastu tysiącach (*Voyage en Egypte et en Syrie*, s. 222). Według statystycznych danych z r. 1953 (ib., s. 221, przyp. 4) liczba Maronitów wynosiła dwieście dwadzieścia dwa tysiące sześćset sześćdziesiąt osób.

<sup>7</sup> Klasztor w Kannobinie miał być założony przez cesarza Teodozjusza I Wielkiego, który panował w l. 379—395. Od w. XV był rezydencją patriarchów maronickich, którzy później jako patriarchowie Antiochii rezydowali w Bdiman. Klasztor w Anturze, założony w końcu w. XVII przez jezuitów, stał się siedzibą księży lazarystów.

<sup>8</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment, od słów: „Choć Kościół rzymski ...”, do słów: „... jego doradcami i sługami.”

<sup>9</sup> Lamartine ma tu na myśli Muhammada Alego.

<sup>10</sup> w oryginale: „... l'emir Fakar-el-Din, dont nous avons fait Fakar-din...”

Beniamin z Tudeli, podróżnik żydowski, odbył w wieku XII podróż z Tudeli, czy też z Ebro w Hiszpanii, do Włoch, Grecji, Palestyny, Cylicji, Mezopotamii, Persji, Indii, docierając może do granic Tybetu i Chin, a następnie przez Aden, Jemen, Abisynię, Egipt i Sycylię wrócił w r. 1173 do Hiszpanii. Beniamin zwiedził podczas tej podróży około trzystu miejscowości, interesując się przede wszystkim osiadłymi tam Żydami i ich życiem. Opis tej podróży, wydany z notatek pt. *Mass'ot Rabbi Benjamin* dopiero po jego śmierci w r. 1543 w Konstantynopolu, stanowi ważne źródło geograficzne i historyczne do dziejów średniowiecza, a nade wszystko diaspory żydowskiej.

<sup>12</sup> Ali ibn Talib (około r. 600—661), czwarty kalif Medyny, poślubiwszy Fatimę, córkę Mahometa, był jego czwartym, kolejnym następcą, uznany za przywódcę duchowego i założyciela szytyzmu, jednego z polityczno-religijnych kierunków islamu, który stał się panujący na obszarach dawnej Persji.

Omar I (około r. 581—644), drugi kalif muzułmański, następca Abu Bak-ra, stronnik Mahometa, uważany za wzór władcy muzułmańskiego.

<sup>13</sup> Utożsamiając Baala z Heliosem, Grecy nadali Baalbekowi nazwę He liopolis; dawniejsza nazwa, odnaleziona w inskrypcjach asyryjskich i egipskich, brzmiała Balbiki i oznaczała miasto Baala.

<sup>14</sup> Volney, *Voyage en Egypte et en Syrie*, s. 215—217.

<sup>15</sup> Jan Ludwik Burckhardt (1784—1817), podróżnik szwajcarski, arabista, prowadził badania naukowe na Bliskim Wschodzie. Jego dzienniki po drodze znalazły się w londyńskim Geographical Society i ukazały się, opracowane po angielsku, w wydaniach książkowych. Lamartine ma tu na myśli *Travels in Syria and the Holy Land*, 1822.



<sup>16</sup> Dawna nazwa Bejrutu brzmiała Berytos.

<sup>17</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Byłby wprost idealny ...”, do słów: „... układają się burzliwiej.”

<sup>18</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Przyczyna te go ...”, do słów: „... w Syrii.”

<sup>19</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Nie wydaje mi się ...”, do słów: „... lub w Paryżu.”

<sup>20</sup> Wspominając ulicę du Bac w Paryżu, Lamartine ma na myśli mieszczące się tu pod nr 128 od r. 1683 stowarzyszenie i seminarium misji za granicznych (Société des Missions Etrangères, Séminaire des Missions Etrangères), w których kształcono misjonarzy dla krajów pozaeuropejskich, w tym także i dla Bliskiego Wschodu, oraz duchownych spośród ich mieszkańców.

<sup>21</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Z okien naszych cel ...”, do słów: „... jest ziemią cudów.”

<sup>22</sup> Volney, *Voyage en Egypte et en Syrie*, s. 223—225.

<sup>23</sup> Cały ten fragment od słów: „Autor przerwał ...”, do słów: „... z żoną i przyjaciółmi”, opatrzony jest w innych wydaniach oryginalnych tytułem: *Note de l'Editeur* (Nota Wydawcy). W edycji, która stanowi podstawę tego wydania, fragment ten jest oddzielony linią i światłem oraz drukowana mniejszą czcionką. Po słowach „z żoną i przyjaciółmi” umieszczono po minięty w tekście Jasińskiego, a także i przeze mnie, wiersz Lamartine'a *Gethsémani ou la Mort de Julia*, którego pierwodruk znajduje się w pierwszym wydaniu *Voyage en Orient* (t. 2, s. 277—289). Jak się zdaje, wiersz ten mógł powstać podczas samotnego pobytu Lamartine'a w Jaffie między 22 i 26 kwietnia 1834 r. Zob. Lamartine, *Oeuvres poétiques complètes*, Paris 1963, Bibliothèque de la Pléiade, s. 560—564, 1872. Po tym wierszu następuje w wydaniu stanowiącym podstawę niniejszej edycji za mieszczona tutaj informacja zaczynająca się od słów: „Pan de Lamartine podjął pisanie...”

## KRAJOBRAZY I MYŚLI W SYRII

<sup>1</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „i zapewne ...”, do słów: „... co obaliły go gdzie indziej.”

<sup>2</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „i jakimi, chyba wyjątkowo ...”, do słów: „... pouczać i ulepszać.”

<sup>3</sup> Obecnie Quadi Hammana.

## KUINY BAALBEKU

<sup>1</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Lud turecki ...”, do słów: „... nam malują.”

<sup>2</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Pomijając to ...”, do słów: „... i w słońcu.”

<sup>3</sup> W tekście Jasińskiego przypis tłumacza: „Voûte à caissons, sklepienie w dzielnice. Podczaszyński. — Voûte à caissons, sufit albo sklepienie ma na sobie czasami ozdoby w jednostajnym idące porządku, stanowiące niejako skrzynki, zowią je kasetonami od wyrazu włoskiego cassetto, skrzynka. Marconi.”

## PRZYPISY

<sup>4</sup> Cesarz Antoninus Pius, który panował w l. 138—161, rozpoczął w Baalbeku, ukończoną po jego śmierci, budowę wielkiej świątyni ku czci trzech bóstw wielbionych w tym mieście, a mianowicie Jupitera heliopolitańskiego, Merkurego i Wenus.

<sup>5</sup> W Pierwszej Księdze Królewskiej (9, 18) wspomniano, że Salomon zbudował „Baalat i Tamar w okolicy pustyni”; w Drugiej Księdze Kronik (8, 3) mowa o tym, że Salomon „odbudował ponadto Tadmor”, a także (8, 6) „Baalat”. Tadmor to późniejsza Palmira, której ruiny od r. 1959 badała m.in. polska misja archeologiczna. Obecnie na obszarze Palmiry wznosi się miasto Tadmur.

<sup>6</sup> Zgodnie z tradycją arabską akropolis Baalbeku, a raczej Heliopolis, miał być zbudowany przez Salomona.

<sup>7</sup> O budowlach Salomona na Libanie wspomina Druga Księga Kronik (8, 6): „... co podobało się Salomonowi wybudować w Jerozolimie i na Libanie...”

<sup>8</sup> Jak się zdaje, mowa tu o grotach grobowych na północno-wschodnim zboczach położonego wówczas na południowy-zachód od Baalbeku wzgórza szczyka Abdalli, z którego *wydobywano niegdyś* bryły kamienne przeznaczone do budowy świątyń i gmachów.

<sup>9</sup> Lamartine ma tu zapewne na myśli położoną na wschód od akropolu świątynię Wenus czy też Fortuny, która później jako kaplica pod wezwaniem świętej Barbary służyła Kościołowi greckiemu. Z tego okresu pochodzą szczytki krzyża, które, jak o tym wspomina przewodnik Baedekera (*Palestine, et Syrie...*, Leipzig—Paris 1912), były jeszcze widoczne w r. 1912.

<sup>10</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Ów ogromny, obalony ...”, do słów: „... w tę noc.” Następnie w edycji oryginalnej, sta nowiącej podstawę niniejszego wydania, pominięte zarówno przez Jasińskiego, jak i przeze mnie, *Vers écrits à Balbek*, ogłoszone w pierwszym wydaniu *Voyage en Orient*, zob. Lamartine, *Oeuvres poétiques complètes*, Paris 1963, Bibliothèque de la Pléiade, s. 565, 1873. Po tym utworze, zakończonym linią kropek, w edycji oryginalnej czytamy: „Le reste est trop intime” („Reszta jest zbyt osobista”).

<sup>11</sup> Wspomniany wyżej (przyp. 9) przewodnik Baedekera z r. 1912 podaje, że wieś ez-Zebedani, położona na wysokości tysiąca stu osiemdziesięciu metrów, znajduje się na dziewięćdziesiątym ósmym kilometrze drogi żelaznej wiodącej z Bejrutu do Damaszkua.

<sup>12</sup> Lamartine parafrazuje tu przysłowiowe wyrażenie, które brzmi: „Tout comprendre c'est tout pardonner” („Wszystko zrozumieć to wszystko wybaczyć”), utworzone ze zdania napisanego przez panią de Staël w jej niezwykle popularnym dziele *Corinne ou l'Italie*, wydanym w r. 1807. Zda nie to (ks. 4, rozdz. 3) brzmi: „Tout comprendre rend très indulgent” („Wszystko zrozumieć to stać się bardzo pobłażliwym”).

## DAMASZEK

<sup>1</sup> W tekście Jasińskiego, który mówi tu o „wystających ozdobach złotych, nadzwyczaj ciężkich”, tłumacząc w ten sposób „les moulures d'or extrêmement chargées”, przypis tłumacza: „Moulure, laskowanie. Podczaszyński. — Moulure, każda ozdoba, każdy występ na murze, np. ramy u okien, ozdoby okien i drzwi. Marconi.”

## PRZYPISY

<sup>2</sup> Najpewniej ze względów cenzuralnych całe to zdanie tłumaczy Jasiński nieco inaczej, a następnie opuszcza fragment od słów: „Jeżeli człowiek ...”, do słów: „... tylko niewolnikiem.”

<sup>3</sup> Galerie Palais-Royal, otaczające ogród tej samej nazwy wewnątrz pałacu, którego budowę rozpoczęto w trzeciej dekadzie XVII w., stanowiły w okresie, gdy wspomina o nich Lamartine, jedno z najwytworniejszych miejsc promenady; tu także znajdowały się wykwitne sklepy, restauracje i kawiarnie.

<sup>4</sup> W bitwie pod Konia, która rozegrała się 20 grudnia 1832 r., wojska egipskie pod dowództwem Ibrahima Paszy pokonały Turków, otwierając sobie drogę do Konstantynopola.

<sup>5</sup> Lamartine ma tu na myśli meczet Omajjadów z trzema minaretami z VIII w., który został przebudowany z bazyliki św. Jana Chrzcięcia zbudowanej w r. 379 na miejscu, gdzie wznosiła się przedtem świątynia Jowisza.

<sup>6</sup> Bazylika Grobu Świętego w Jerozolimie była wznoszona przez stulecia i jej kształt w w. XIX niewiele miał wspólnego ze świątynią, której budowę rozpoczęto w r. 326 na polecenie cesarza Konstantyna. Wygląd zbliżony do obecnego kształtował się od w. XII.

Mowa o Arabii Szczęśliwej (Arabia Félix), Arabii Pustynnej (Arabia Déserta) oraz o Arabii Skalistej (Arabia Petrea), por. przyp. 25 na s. 572.

<sup>8</sup> Mowa o domu, z którego uszedł święty Paweł przed grożącym mu aresztowaniem, zamierzonym przez namiestnika króla nabatejskiego Aretasa IV, teścia Heroda Antypasa. Dom ten miał znajdować się przy głównej ulicy, przecinającej miasto ze wschodu na zachód, nazwanej w Piśmie świętym ulicą Prosta; inne źródła podają, że okno, z którego opuszczono świętego Pawła w koszu, znajduje się w jednym z domów w pobliżu bram zbudowanej przez niejakiego Kiszana (Bab Kiszana). Zob. Dzieje Apostołskie 9, Drugi list do Koryntian 11, 32—33.

<sup>9</sup> Lamartine ma tu na myśli plac Saint-Sulpice i przyległe do niego ulice, gdzie w pobliżu wzniesiono na placu w w. XVII kościół Sw. Sulpicjusza ogniskowało się w Paryżu życie religijne i polityczne środowisk katolickich.

<sup>10</sup> Coelesyria (Coelesyria), nazwa doliny dzielącej Liban i Antyliban; nazwa ta następnie objęto obszary położone między Libanem i Eufratem, a jeszcze później całą Syrię Północną.

Idumea, nazwa grecko-rzymska krainy obejmującej dawny Edom, południową Judeę i obszar Hebronu, która w okresie hellenistycznym była eparchią syryjską. Rzymianie wcielili ją do Judei, a jej nazwa zanikła po upadku państwa żydowskiego w r. 70.

<sup>11</sup> Zdanie to odzwierciedla stosunek Lamartine'a do właśnie niedawno zakończonej walki Greków o niepodległość, a także do dwóch tendencji politycznych — organicznej i rewolucyjnej.

<sup>12</sup> Kan Murad Beja, obecnie miejscowość Bajdar, gdzie rozpoczyna się liczący trzysta sześćdziesiąt metrów długości tunel linii kolejowej łączącej Damaszek z Bejrutem.

<sup>13</sup> Mowa o liście od siostry, Eugenii de Coppens, zawiadamiającym poetę, że wybrano go do Izby Deputowanych w częściowych wyborach w Bergues, w departamencie Nord, gdzie był wpisany na listę kandydatów i cieszył się poparciem swojego szwagra, barona de Coppens, rezydującego w Hondschoote.

<sup>1</sup> Córka poety, Julia, zmarła w Bejrucie 7 grudnia 1832 r. i została tymczasowo pochowana w krypcie klasztornej.

<sup>2</sup> Mowa o brygu „Bonne-Sophie”.

<sup>3</sup> Mowa o kościele pod wezwaniem św. Jana wzniesionym w w. XII. Trypolis był oblegany w r. 1104, a następnie zdobyty przez Rajmunda z Saint-Gilles, hrabiego Tuluzy, i pozostawał pod panowaniem hrabiów Trypolisu aż do r. 1289.

<sup>4</sup> O Giblitach, czyli mieszkańcach miasta Gebal, przez Greków zwanego Byblos, mowa w Księdze Jozuego (13, 5) oraz w Pierwszej Księdze Królewskiej (5, 32), gdzie występują jako robotnicy przy budowie świątyni Salomona; także w Księdze Ezechiela (27, 9) wspomina się o „starcach z Gebal” jako o biegłych w rzemiośle przy budowie Tyru.

<sup>5</sup> Praktykowany w Byblos kult Adonisa miał być według Filona z Byblos, który działał za panowania Nerona i Wespazjana, przejęty z mitu fenickiego, oparte go z kolei na wątkach babilońskich.

<sup>6</sup> Wspomniana tu twierdza czy zamek warowny była wzniesiona w o-kresie wypraw krzyżowych z budulca pochodzącego ze starożytnych gmachów.

<sup>7</sup> Cedry libańskie były użyte do budowy pierwszej i drugiej wzniesionej przez Salomona świątyni. Lasy cedrowe ciągnęły się niegdyś na górach Antylibanu. Grupa tych drzew, rosnąca na wysokości tysiąca dwięciuset dwudziestu pięciu metrów u stóp góry Dahr el-Kodib, stromej, obnażonej i pokrytej na szczycie śniegiem, liczyła ich kilkaset; najstarsze z nich, w liczbie siedmiu, znajdowały się na wzniesieniu południowo-wschodnim, ósmy cedr, największy, rośł o kilka kroków od wznoszącej się tu kaplicy maronickiej.

<sup>8</sup> W Piśmie świętym cedr występuje wiele razy, stanowi bowiem, podobnie jak np. w naszym zasobie językowym dąb, dogodną przenośnię, której użycie pozwala na dobitne podkreślenie trwałości, siły, potęgi.

<sup>9</sup> W Księdze Ezechiela (31, 16) czytamy: „W krainie podziemnej pocieszają się wszystkie drzewa Edenu, piękne i wspaniałe drzewa Libanu ...” Eden, o którym mowa u Ezechiela, to nazwa raju, równoimienna z nazwą wsi Ehdn, skąd Lamartine udał się do Cedrów Salomona.

<sup>10</sup> Księga Nahuma 1, 4: „Omdlewa Baszan i Karmel i wędnie kwiat Libanu.” W wersji francuskiej: „le Bassan et le Carmel languissent, et la fleur du Liban se flétrit.” Lamartine w oryginale przytacza nieściśle: „... Bassan languit, le Carmel et la fleur du Liban se fanent”; tłumaczenie oddaje tę nieściłość.

<sup>11</sup> O siedmiu cedrach oraz o ósmym, który rośnie oddzielnie, obok kaplicy maronickiej (zob. wyżej, przyp. 7), wspomina wymieniony wyżej przewodnik Baędekera po Palestynie i Syrii.

<sup>12</sup> Lamartine w oryginale mówi o „les vallées de Kadischa”, a następnie o „la vallée des Saints”, jak to zostało odwzorowane w tłumaczeniu. W istocie jednak mowa o jednej tylko dolinie, a mianowicie o dolinie Nahr Kadisza, czyli o dolinie rzeki Świętej.

<sup>13</sup> Taką datą podaną w wydaniu oryginalnym, stanowiącym podstawę tej edycji, a także w wydaniu brukselskim 1846 r. (Lamartine, *Oeuvres complètes. Nouvelle édition complète*, Bruxelles 1846).

<sup>14</sup> Mowa o wieży ośmiopiętrowej, wzniesionej w r. 1268 przez sułtana Bajbarsa, a zamienionej na minaret w w. XVIII. Nazwa jej nawiązuje

do czterdziestu męczenników, którzy podczas prześladowania chrześcijan przez cesarza Licyniusza zmarli jako żołnierze dwunastego legionu rzymskiego, ponosząc śmierć przez zamrożenie prawdopodobnie w Sebaste w Kapadocji (obecne Sivas w Turcji). Kult ich rozpowszechnił się na Bliskim Wschodzie w w. IV. Mahometanie uważają, że w kryptach „białego meczetu” (Dżami el-Abjad), do którego wieża została dobudowana, spoczywa czterdziestu współtowarzyszy Mahometa.

<sup>15</sup> Pierwsza Księga Kronik 15, 29: „Gdy Arka Przymierza Pańskiego przybyła do Miasta Dawidowego, Mikal, córka Saula, wyglądała przez okno i ujrzała króla Dawida tańczącego i grającego. Wtedy wzgardziła nim w swym sercu.” Według Pierwszej Księgi Samuela (18, 17—28) Mikal, córka Saula, została żoną Dawida.

<sup>16</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Bywa...”, do słów: „... pełne powagi.”

Lamartine, najpewniej zmylony brzmieniem nazwy Studni Hioba (Bir Eijub) oraz bliskością grobu Racheli, uznał ową studnię, położoną na drodze z Ramii do Jerozolimy, w pobliżu Latrun, za studnię, przy której Ja kub po raz pierwszy ujrzał Rachelę; ta studnia znajdowała się w pobliżu Charanu, siedziby Labana, dokąd Izaak polecił udać się Jakubowi (Księga Rodzaju 28, 1—5, 29, 1—13).

<sup>18</sup> Tak we wszystkich dostępnych mi wydaniach oryginału. Lamartine ma tu najpewniej na myśli dolinę Cedrony, czyli Dolinę Jozafata, która, podobnie jak grób Dawida, stanowi dla Żydów miejsce uświęcone.

<sup>19</sup> Mowa tu miejscowości Anata — zob. przyp. 40 na s. 568.

<sup>20</sup> Mowa tu najpewniej o opisach Lamartine’a oraz doktora de la Roière, którego *Voyage en Orient* ukazała się w Paryżu w r. 1836.

<sup>21</sup> Zarówno drzewo oliwne Eliasza, jak źródło, gdzie trzej magowie (Trzej Królowie) ujrzeni gwiazdę Betlejemską, należą do topografii tradycyjnej. W odległości czterech i pół kilometra od Jerozolimy, na drodze dawniej prowadzącej do Betlejem, leży sadzawka zwana źródłem Trzech Króli, nieco dalej wznosi się Mar Elias, klasztor pod wezwaniem świętego Eliasza, wreszcie na siódmym kilometrze znajduje się grób Racheli, któremu obecny wygląd został nadany w r. 1738, gdy zbudowano tu niewielki pawilon o czterech arkadach. „Głos rozdzierający” to nawiązanie do płaczu Racheli po stracie synów (Księga Jeremiasza 31, 15—16, następnie przytoczenie w Ewangelii według św. Mateusza 2, 18), a zarazem do żalu rodziców po stracie Julii.

<sup>22</sup> W r. 1672 Grecy, korzystając z prac restauracyjnych prowadzonych w bazylice Narodzenia, zapewnili sobie w niej wyłączność; katolicy, którzy przez długi czas byli tam ze swoich praw wywłaszczeni, uzyskali je ponownie w r. 1852 za wstawiennictwem cesarza Napoleona III. Klasztor, połączony z kościołem, należał do franciszkanów.

<sup>23</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „nic w sobie nie ma...”, do słów „... oskarża się zakonników.”

<sup>24</sup> Święty Hieronim opuścił w r. 385 Rzym i wraz z pobożną Paulą oraz jej córką Eustochią zwiedzał Palestynę i Egipt, osiadając w Betlejem, gdzie założył klasztor męski i żeński. Zmarł w r. 420. Święta Paula założyła w Betlejem trzy klasztory, zmarła w r. 404. W kryptach przylegających do bazyliki Narodzenia kościoła Sw. Katarzyny znajdują się cenotafy świętego Hieronima, świętej Pauli oraz świętej Eustochii. Dawniej sądzono, że są to grobowce; taka tradycja względem grobu świętego Hieronima ustaliła się w w. XVII, a względem grobów świętej Pauli

## PRZYPISY

i świętej Eustochii od połowy w. XVI. Tu także kaplica Niewiniątek, gdzie według tradycji z w. XV Herod kazał dokonać rzezi ukrytych przez mat-, ki dzieci.

<sup>25</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „i ojcowie klasztoru ...” do słów: „... dla nich sprawiedliwość.”

<sup>26</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „ale współza wodnictwo ...”, do słów: „... miłosierdziem i miłością.”

<sup>27</sup> Te ogromne zbiorniki wody położone w dolinie za murami wzniesio nego w w. XVII tureckiego zamku Kal'at el-Burak, zwane Studniami Sa lomona, wzięły swą nazwę stąd, że pobliska wieś Onadi Artas uważana była w w. XVI za „ogród zamknięty”, wspomniany w przypisywanej Sa lomonowi Pieśni nad Pieśniami (4, 12). Woda z tych cystern płynie akwe dukkami do Jeruzolimy.

<sup>28</sup> Pieśń nad Pieśniami 4, 12.

## WYJAZD Z JAFFY

<sup>1</sup> Mówiąc o Olimpie, Lamartine ma na myśli masyw górski w Bitynii (obecnie Kardiiz Jaj la). Pafos, miasto na zachodnim wybrzeżu Cypru. Stare Pafos słynęło z kultu Afrodyty, która miała się tu zrodzić z piany morskiej. Amathus (obecnie Paleó-Limissa), miasto na południowym wy brzeżu Cypru, w którym wznosiła się słynna świątynia Afrodyty.

<sup>2</sup> Dawniejsza nazwa miasta i wyspy, zwanych obecnie Kastelorizon.

<sup>3</sup> Mowa o powstaniu Majnotów w południowej części półwyspu Morej, czyli Peloponezu, które zostało stłumione w 1831 r.

<sup>4</sup> W czerwcu 1832 r. Muhammad Ali opanował Cypr, tłumiąc powstanie miejscowej ludności.

<sup>5</sup> Asklepios, znany pod zlatynizowaną formą swojego imienia jako Esku lap, syn Apollina i nimfy Koronis, był bogiem sztuki lekarskiej. Czczono go szczególnie na wyspie Kos, gdzie w pobliżu jednoimiennego jej głów nego miasta wznosi się jego świątynia.

<sup>6</sup> Aleksy Grigoriewicz Orlów (1737—1808), uczestnik spisku przeciw Pio trowi III w 1762 r., otrzymał następnie od cesarzowej Katarzyny tytuł hrabiowski. Podczas wojny ros.-tur. (1768—1774) dowodził flotą rosyjską na Morzu Śródziemnym; w r. 1770 odniósł walne zwycięstwo nad Turkami w Zatoce Czesmeńskiej, za co po zawarciu pokoju z Turcją w r. 1774 nadano mu przydomek: Czesmeński.

<sup>7</sup> Wobec oznak znacznego osłabienia Turcji i szybkich postępów wojsk egipskich pod dowództwem Ibrahima Paszy, zarówno Rosja, jak państwa zachodnioeuropejskie żywo zainteresowały się wydarzeniami wschodnimi. Rosjanie skłaniali się do okazania pomocy sułtanowi; w kwietniu 1833 r. ich wojska znajdowały się tuż pod Stambułem, a flota wpłynęła na Bo sfor. Francuzi sprzyjali Muhammadowi Alemu.

<sup>8</sup> Smyrna (obecnie Izmir) była jednym z siedmiu miast, które według epigramu Antypatra z Sydonu (II w. przed Chr.) miały być miejscem uro dzenia Homera. Nad brzegiem płynącej tu rzeki Meles pokazywano miej sce, gdzie powiła go Kreteis, oraz pieczarę, w której układał swoje poe mąty.

Zob. przypy. 12 na s. 555.

## PRZYPISY

<sup>10</sup> Chateaubriand, *Opis podróży z Paryża do Jerozolimy*, Warszawa 1980, s. 108—115.

<sup>11</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment dotyczący saint-simonizmu od słów: „Burza rzuciła do Smyrny ...”, do słów: „... żołnierzami nowej armii.”

Nie zdołałem ustalić tożsamości wspomnianego tu wydawcy dziennika smyrneńskiego ani też nazwy tego pisma. W sierpniu 1832 r. wytoczono uczniom nieżyjącego już wówczas Saint-Simona proces, co sprawiło, że zwolennicy jego koncepcji rozproszyli się, osiadając m.in. na Bliższym Wschodzie, gdzie znajdowały się znaczne skupiska władające językiem francuskim.

<sup>12</sup> Wyspa Lesbos od swojego głównego miasta Mityleny zwana była Mityleną. Obecna nazwa: Lesbos, w nowogreckim Lezvos.

<sup>13</sup> Mowa o założonym przez Jonów mieście Fokaję w pobliżu Smyrny, którego ruiny noszą nazwę Fokii. Nazwa turecka brzmi Fodża. Wiele portów lewantyńskich, a także w Azji Mniejszej, nosiło dawniej nazwy włoskie.

<sup>14</sup> Według Strabona mieszkańcy Fokai założyli w Galii około r. 600 przed Chr. kolonię o nazwie Massalia, którą Rzymianie zwali Massilią; obecnie Marsylia.

<sup>15</sup> Chateaubriand, *Opis podróży z Paryża do Jerozolimy*, s. 174: „... po wiedziano mi, że przepływamy koło zamku Dardanelów [...] pierwsze moje spojrzenie padło na wysoki cypel [...] był to przylądek Sigejon. U jego stóp ujrzałem dwa kurhany: były to mogiły Achillesa i Patroklosa.” Kurhany te są resztkami cmentarza znajdującej się tu niegdyś kolonii ateńskiej, tradycja widziała w nich groby bohaterów Homera.

<sup>16</sup> Według opinii dawniejszych badaczy Ilion, zwany także Troją, miał znajdować się na wzgórzu Bali-dagh w pobliżu wsi Bunarbaszi. Prace wykopaliskowe Henryka Schliemanna, prowadzone w l. 1871—1873, 1878—1879

i w r. 1882, ustaliły, że gród ten wznosił się na wzgórzu Hisarlik u ujścia rzeki Kiicuk Menderes (Skamander). Późniejsze badania potwierdziły słuszość topografii Schliemanna.

<sup>17</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „w obecnym jednak położeniu ...”, do słów: „... strzegą ich Rosjanie.”

<sup>18</sup> Wyspy Książęce, położone na morzu Marmara, pomiędzy wejściem do Bosforu i Zatoką Iznicką, nie leżą w Zatoce Nicejskiej, której nazwa jest wątpliwa. Nicea bowiem, a w brzmieniu greckim Nikaja, leży w głębi łądu nad jeziorem. Nikaja, główne miasto Bitynii, była w l. 1206—1261 stołicą cesarstwa greckiego, lecz w r. 1330 przeszła pod władzę Turków, którzy nadali jej nazwę Iznik. Płynąc w stronę Konstantynopola, statek Lamartine'a mijał z prawej strony Zatokę Iznicką, w której głębi leży miasto Iznid (Izmid), dawna Nikomedlia. Jak się zdaje, Lamartine utożsamiał Niceę (Nikaję), Iznik, z Nikomedią, Iznidem, i ochrzcił Zatokę Iznicką mianem Nicejskiej.

Zamek Siedmiu Wież, Jedi Kule, przybrał swój obecny kształt w w. XV za panowania Mahometa II; w jego obrębie znajdują się ruiny Złotej Bramy (Porta Aurea), dawnego łuku triumfalnego cesarzy bizantyjskich.

## PRZYPISY

### KONSTANTYNOPOL

<sup>1</sup> Lamartine określa tą nazwą położony wewnątrz ogrodów Seraj, pałac, wzniesiony w r. 1468 przez Mahometa II jako jego letnia siedziba, a rozbudowany w XVI w. przez Solimana Wspaniałego, który obrał go jako swoją stałą rezydencję. Seraj służył sułtanom do połowy w. XIX, gdy sułtan Abdulmedżid przeniósł się do zbudowanego w l. 1850—1855 pałacu Dolma Bągcze.

<sup>2</sup> Mowa tu o tak zwanej Wieży Leandra, którą Turcy nazywają Kis Kulesi, Wieżą Dziewczyny. Nazwy te mają związek z mitem o Hero i Le-andrze, a także świadczą, że przeniesiono tu treść wypełniającego ów mit wydarzenia znad Hellespontu, później nazwanego Dardanelami, Leander bowiem przez Hellespont przepływał do ukochanej Hero, która z kolei, na widok zwłok ukochanego, skoczyła w morze z wysokiej Wieży.

<sup>3</sup> Słodkimi Wodami na wybrzeżu europejskim nazwano dwa potoki wpły wające do Złotego Rogu na północ od dzielnicy Ejub. Podobnie na brzegu azjatyckim istnieje dolina Słodkich Wód.

<sup>4</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Po całodziennej lekturze ...”, do słów: „... ruchów cywilizacyjnych świata.”

<sup>5</sup> Wergiliusz, *Eneida* 6, 727. Fragment, w którym znajduje się przytoczona tu wypowiedź, brzmiał w przekładzie ks. Tadeusza Karyłowskiego następująco:

Z początku niebo, ziemię, fal morskich odmetry,  
księżyć i gwiazd sklepienie, co w górze się spiętrza,  
Żywotny duch swym tchnieniem przenikał do  
wnętrza, Moc swoją i ruch dając wszelakiemu ciału.

<sup>6</sup> Czterech sułtanów nosiło imię Murada, które w zachowanej przeze mnie dawniejszej polskiej nomenklaturze brzmiało Amurat. Tu zapewne mowa o Amuracie IV, który panował w l. 1623—1640.

<sup>7</sup> Orhan, syn Osmana I, założyciela dynastii osmańskiej, panującego w l. 1299 lub 1300—1326, był sułtanem w l. 1326—1360.

<sup>8</sup> Mowa o Janie VI Kantakuzenie, który, korzystając z pomocy Turków, ogłosił się cesarzem w r. 1341.

<sup>9</sup> Cesarstwo bizantyjskie upadło w r. 1453 po zdobyciu Konstantynopola przez sułtana Mahometa II.

<sup>10</sup> Konstantyn Wielki po zajęciu Bizancjum w r. 324 ustanowił tu stolicę cesarstwa rzymskiego, która urzędowo od r. 330 nosiła nazwę Nowego Rzymu (Roma nova), aie niebawem została przemianowana na miasto Konstantyna (Constantinopolis). W r. 1204 Konstantynopol został zajęty przez krzyżowców, którzy ustanowili tu cesarstwo łacińskie.

<sup>11</sup> Mowa o ostatnim cesarzu bizantyjskim, Konstantynie XI Paleologu, który panował od r. 1448.

<sup>12</sup> Mowa o Gennadiosie (imię świeckie: Georgios Scholarius, około r. 1400—około r. 1464), który po upadku Konstantynopola i śmierci patriarchy Atanazego został obrany przez Greków patriarchą i uzyskał od Mahometa II rozmaite przywileje dla Kościoła greckiego.

<sup>13</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Zbiegli Grecy...”, do słów: „... i w Rzymie.”

<sup>14</sup> Mahomet II panował w l. 1451—1481. W historiografii dawniejszej



## PRZYPISY

nazywano go Wielkim (Bujuk), w nowszej opatrują jego imię przydomkiem Zwycięzcy lub Zdobywcy (Fatih).

<sup>14</sup> Bajazet II panował w l. 1481—1512. Selim I panował od r. 1512 do r. 1520, miał przydomek Okrutny; po zdobyciu Syrii i Palestyny podbił w r. 1517 Egipt, obalając mameluką dynastię Burdżyków. Mamelukami nazywano potomków wyzwolonych niewolników, pochodzących z Kipczaku, Kurdystanu lub z Kaukazu, którzy używali języka tureckiego i tworzyli siły zbrojne dynastii mamelukich rządzących Egiptem i Syrią od r. 1250.

<sup>15</sup> Soliman I Wspaniały panował w l. 1520—1566.

<sup>16</sup> Roksolana, najulubieńsza z żon Solimana Wspaniałego, zwana po turecku Hasseki Hurrem, pochodziła, jak się zdaje, z chłopów ukraińskich; porwana podczas któregoś z najazdów tatarskich na Podole, dostała się do sułtańskiego haremu. Roksolana korespondowała z królową Boną i Zygmuntem Augustem, zapewniając ich o swoich staraniach na rzecz życzliwej dla Rzeczypospolitej polityki tureckiej.

<sup>17</sup> Mówiąc o zbrodniach popełnionych w pałacu w Argos, Lamartine ma na myśli zbrodnie, które na rozkaz swojego ojca popełniło czterdzieści dziewięć córek Danaosa, króla Argos, zabijając w noc poślubną swoich mężów, a zarazem braci stryjecznych, synów Ajsjepsosa, króla Egiptu.

<sup>18</sup> Mowa o zabójstwie Osmana II (panującego od r. 1618), którego jan czarzy pod wodzą Davuda Paszy, podburzeni przez matkę byłego sułtana - Mustafy I, udusili w r. 1622, wynosząc ponownie do władzy Mustafę.

<sup>19</sup> Por. wyżej przyp. 6.

<sup>20</sup> Mowa o Mahmudzie I, który panował w l. 1730—1754.

<sup>21</sup> Selim III był sułtanem w l. 1789—1807. Mahmud II panował w l. 1808—1839.

<sup>22</sup> Mustafa Bajraktar, pełniący funkcje administracyjne właściciel ziemski z Ruszczyku, skupił wokół siebie zwolenników reform i na ich czele wkroczył do Stambułu, ogłaszając sułtanem Mahmuda II, który go mianował wielkim wezyrem.

<sup>23</sup> Mustafa IV panował w latach 1807—1808, Mahmud II był jego młodszym bratem.

<sup>24</sup> Owe kotły (kazań, kociołek) miały związek z organizacją wewnętrzną janczarów, którzy, uważając sułtana za ojca-żywiciele, posiłkowali się nazewnictwem i symbolami zaczerpniętymi z urzędzeń kuchennych.

<sup>25</sup> At Mejdani oznacza hipodrom.

<sup>26</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Widzę stąd...”, do słów: „... swój sen ostatni.”

<sup>27</sup> Mowa o bazylice Mądrości Bożej (Hagia Sophia), którą przez utożsamienie wyrazu Sophia, oznaczającego po grecku mądrość, z imieniem własnym (Zofia) początkowo nazywano bazyliką lub kościołem Świętej Zofii.

<sup>28</sup> Według dawniejszej nomenklatury rząd turecki nazywano Porta Ostańska lub Wysoką Porta, co miało związek ze wschodnim zwyczajem odbywania zgromadzeń ludowych i posiedzeń sądowych przed bramami miast i pałaców królewskich. Nazwa Wysoka Porta była w użyciu już w czasach cesarstwa bizantyjskiego zarówno w znaczeniu bezpośrednim, jako określenie głównej bramy pałacu cesarskiego, a także przenośnie, jako określenie najwyższej władzy. Kierując się tą tradycją, sułtan Orhan na zwął bramę swojego pałacu Wysoką Porta.

<sup>29</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „W swoim obecnym stanie ...”, do słów: „... lampy imama.”

## PRZYPISY

<sup>30</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Mahomet nau czął...”, do słów: „... przesłaniał Boga.”

W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Nie ma dogmatów ...” do słów: „... w karygodną adorację.”

<sup>32</sup> Mowa tu o grobowcu Konstantyna XI Paleologa, ostatniego cesarza bizantyjskiego.

<sup>33</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „pełne wojska ...”, do słów: „... złoconymi pawilonami.”

<sup>34</sup> Mahmud II podjął liczne reformy administracyjne, wojskowe i obyczajowe, a pośród nich wprowadził europeizację strojów, przy czym starodawny turban zastąpiono fezem.

<sup>35</sup> Od r. 1832 Samos, jedna z największych wysp na Morzu Egejskim, stała się opłacającym Turcji jedynie należną daninę księstwem pod władzą każdorazowo mianowanego przez sultana namiestnika lub księcia na rodowości greckiej i wyznania chrześcijańskiego, który, uznając hegemonię turecką, pozostawał pod ochroną Anglii, Francji i Rosji.

<sup>36</sup> Mowa o Mahmudzie II.

<sup>37</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Oto do czego ...”, do słów: „... chcieć w niej żyć.”

<sup>38</sup> Mowa o położonej na zachód od Bujukdere miejscowości zwanej Belgrad i otaczającym ją Lesie Belgradzkim.

Aleksy Fiodorowicz Orłow (1788—1861), nieprawy syn księcia Aleksego Grigoriewicza Orłowa Czesmeńskiego (zob. przyp. 6 na s. 582), otrzymał tytuł hrabiowski za udział w stłumieniu powstania grudniowego w r. 1825, brał udział w wojnie z Turcją w l. 1828—1829 i w układach zakończonych pokojem adrianopolskim, był posłem w Konstantynopolu, w r. 1833 uczestniczył w układach zakończonych traktatem w Hunkjar-Skelessi.

Apolinary Pietrowicz Buteniew (1787—1866), członek rady państwa, dyplomata, w r. 1830 był mianowany posłem i ministrem pełnomocnym w Konstantynopolu, w r. 1833 podpisał traktat w Hunkjar-Skelessi, którego mocą Dardanele zostały zamknięte dla okrętów i statków obcych.

Tytuł internuncjusza przysługiwał posłom austriackim w Konstantynopolu.

<sup>40</sup> Piemont został włączony do Francji w r. 1820. Po upadku Napoleona w r. 1814 nastąpiła restauracja Królestwa Sardynii, w którego skład wchodził również Piemont; królem został Wiktor Emanuel I z dynastii sabaudzkiej. 10 marca 1821 r. wybuchło w Piemoncie powstanie, przygotowane przez karbonariuszy i wojskowych, które proklamowało m.in. utworzenie królestwa Włoch. Powstanie to zostało niebawem stłumione przez Austriaków, którzy przywrócili dawny porządek.

<sup>41</sup> Mary Wortley Montagu (1689—1762), w l. 1716—1719 przebywała w Konstantynopolu jako żona ambasadora angielskiego; jej *Letters from the East*, 1763, cieszyły się znacznym rozgłosem i należały do najwcześniejszych relacji o Turcji pisanych przez kobiety.

<sup>42</sup> Namik Pasza, wysłany w misji dyplomatycznej do Wiednia, Paryża i Londynu dla zdobycia poparcia mocarstw w pertraktacjach pokojowych z wicekrólem Egiptu Muhammadem Alim, nawiązał również stosunki z Polakami, m.in. z księciem Adamem Czartoryskim, z którym w lutym 1833 r. prowadził rozmowy w sprawie przeniesienia emigracji polskiej z Francji do Turcji i użycia oficerów polskich do reorganizacji wojsk tureckich, zob. Adam Lewak, *Dzieje emigracji polskiej w Turcji (1831—1878)*, Warszawa 1935, s. 27.

## PRZYPISY

<sup>43</sup> Wobec bezczynności mocarstw zachodnich Turcja była zmuszona przyjąć pomoc Rosji, która wysłała wojsko i flotę nad Bosfor, aby zmusić Muhammada Alego do powstrzymania dalszych działań przeciw sułtanowi. Ta pomoc Rosji wydawała zarazem osłabioną Turcję w jej ręce. „Namik Pasza mówił generałowi Dembińskiemu, «że lubo czuje, jak zębna jest ta pomoc, jednak zmuszony jest udać się do Petersburga, aby za nią podziękować»”, zob. A. Lewak, *Dzieje emigracji polskiej...*, s. 28.

<sup>44</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Jeszcze czas ...”, do słów: „... chwalebnej przemiany.”

<sup>45</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Zgodzono się ...”, do słów: „... wzburzyła muzułmanów.”

<sup>46</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Turcji zależy ...”, do słów: „... Europy i Azji.”

<sup>47</sup> Mowa o założonej w r. 1712 Royal Hospital School w Greenwich, w której kształcono i wychowywano synów marynarzy.

<sup>48</sup> Lamartine ma tu na myśli dane zawarte w książce *Voyage d'Ali Bei en Afrique et en Asie*, Paris 1814. Autorem jej był podróżnik hiszpański Domingo (zwany też Castillo) Badia y Lablich (1766—1818), który służył m.in.

jako znawca rzeczy arabskich i w r. 1801, na poufne polecenie rządu hiszpańskiego, odbył podróż do Maroka. Udając muzułmanina pod przybranym imieniem Ali Beja, twierdził, że pochodzi z rodziny Mahometa, i przedstawiał podrobione dowody genealogiczne. Zyskał sobie licznych przyjaciół pośród możnych świata arabskiego, odbył pielgrzymkę do Mekki, zwiedzając zarazem Egipt, Syrię i Turcję, wszędzie z entuzjazmem przyjmowany. Po powrocie do Hiszpanii w r. 1807 wszedł w służbę panującego tam od r. 1808 króla Józefa Bonapartego i w r. 1812 został preфекtem Kordoby. Po upadku Napoleona udał się do Francji, gdzie ogłosił wyżej wspomnianą książkę. Pod imieniem Ali Otmana udał się z Paryża do Damaszku, przyłączając się w drodze do karawany pielgrzymów, lecz wkrótce zmarł na dyzenterię.

<sup>49</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Mając taką wiarę ...”, do słów: „... można go utracić.”

<sup>50</sup> Mowa o panu de Parseval i o doktorze de la Roière.

<sup>51</sup> Mowa o meczecie wzniesionym przez Mahometa II w r. 1459 z białego marmuru w pobliżu grobowca Abu Ejuba Ensarięgo, legendarnego nośnika chorągwi Proroka.

W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „namaszczenie krywa ...”, do słów: „... despotyzmu muzułmańskiego.”

<sup>52</sup> Nie zdołałem ustalić, o jaki wiersz tu chodzi.

<sup>53</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Nie był to Sardanał ...”, do słów: „... bardziej postępowe.”

<sup>54</sup> Mowa o najstarszym synu króla bawarskiego Ludwika I (1786—1868), księciu Maksymilianie (1811—1864), bracie Ottona (zob. przyp. następny). Maksymilian studiował od r. 1829 na uniwersytecie w Getyndze, a od r. 1831 w Berlinie, następnie zaś podróżował po Niemczech, Włoszech i Grecji. Po abdykacji ojca w r. 1848 wstąpił na tron i jako Maksymilian II Józef panował do śmierci w r. 1864. Był ojcem Ottona i Ludwika, panującego po jego śmierci jako Ludwik II. Lamartine napisał skierowany do niego wiersz pt. *Au prince, royal de Bavière, voyageant en Grece*, datowany: Pera, 6 lipca 1833, którego pierwodruk ukazał się w r. 1834 w t. IV *Oeuvres complètes*, zob. Lamartine, *Oeuvres poétiques complètes*, Paris 1963, Bibliothèque de la Pléiade, s. 552—553, 1871.

## PRZYPISY

<sup>55</sup> Brat księcia Maksymiliana Otton (1815—186.7), obrany w wyniku konferencji londyńskiej 7 maja 1832 r. królem Grecji i uznany 8 sierpnia tegoż roku przez zgromadzenie narodowe zwołane w Nauplii, objął tron w Nauplii 7 lutego 1833 r. i przeniósł swoją siedzibę, a zarazem stolicę kraju do Aten w styczniu 1835.

<sup>56</sup> Na mocy traktatu zawartego w Hunkjar-Skelessi Rosja, która wraz z innymi mocarstwami doprowadziła do rozejmu między sultaniem i Mu-hammadem Alim w Kutahii 9 maja 1833 r., stała się gwarantką całości granic Turcji i uzyskała zamknięcie cieśnin dla wszystkich obcych okrętów wojennych. W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „Rosjanie znają...”, do słów: „... do ich widoku.”

<sup>57</sup> Magnezja, zwana w starożytności Magnesia ad Sipylos, obecnie Manisa, miasto w Turcji zachodniej, na północo-wschód od Izmiru.

<sup>58</sup> Nizam-i cedit (askeri) oznacza nowy porządek. Nazywano tak reformy przeprowadzone w w. XVIII, zwłaszcza w dziedzinie spraw wojskowych, co doprowadziło do reorganizacji armii. Zreorganizowaną armię nazywano nizam-i cedit, armia nowego typu. Zob. Jan Reychman, *Historia Turcji*, Wrocław 1973, s. 349.

<sup>59</sup> Pasza był to tytuł najwyższych dostojników administracji i wojska, nazywano tak rządów prowincji (paszalików); aga był tytułem przysługującym wyższym urzędnikom i dowódcom wojskowym; ajan to określenie właściciela ziemskiego, który pełnił z wiazane z tym stanem posiadania obowiązki administracyjne. Zob. Jan Reychman, *Historia Turcji*, s. 345, 349.

<sup>60</sup> Adrianopol (Hadrianopolis), zwany po turecku Edirne, był w l. 1365—1453, do zajęcia Konstantynopola, stolicą i siedzibą sultanów tureckich.

Wystawiony przez Bajazeta II w l. 1484—1488 meczet, o którym tu mowa, nie jest ani najstarszy, ani najświeższy z meczetów w tym mieście i ustępuje m.in. meczetowi Selimije, zbudowanemu w l. 1567—1574 na polecenie sultana Seljima II według wzorów bizantyjskich.

<sup>61</sup> Starożytny Filipopolis, nazwany tak przez Filipa II Macedońskiego w IV w. przed Chr., obecnie Fłowdiw.

<sup>62</sup> Hemus, Haemus, Haimos, różne formy starożytnej nazwy Balkanu, pasma gór ciągnącego się na północy Półwyspu Bałkańskiego od równin Dalmacji aż po Morze Czarne, stanowiącego w w XIX granicę między Ru-melią i Bułgarią.

<sup>63</sup> Zob. Jan Reychman, *Historia Turcji*, s. 348.

<sup>64</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment id słów: „co sprawia ...”, do słów: „... innej ojczyzny.”

<sup>65</sup> Miasto to, zwane w źródłach polskich również Tntar-Bazar, Tatar-Bazardżik, nosi obecnie nazwę Pazardżik.

<sup>66</sup> Semlin, obecnie Zemun, dzielnica Belgradu, leżał poza północną granicą dzielącą Serbie od Węgier.

<sup>67</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment cd słów: „są całkowicie ...”, do słów: „... Turcji europejskiej.”

<sup>68</sup> Mowa o oblężeniu Niszu w czasie pierwszego powstania serbskiego przez wojska serbskie, które poniosły tu klęskę. Dopiero w r. 1878 Nisz został przyłączony do Serbii.

W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „spojrzeniem i z głębi serca ...”, do słów: „... ich ojczyzny.”

<sup>69</sup> W tekście Jasińskiego opuszczony fragment od słów: „co cd razu ...”, do słów: „... owej wolności.”

## PRZYPISY

<sup>70</sup> Mowa o księciu Miłoszu I Obrenowiczu (1780—1860), założycielu dynastii Obrenowiczów, który przeprowadził powstaniu serbskiemu w r. 1815. Po kilku miesiącach -zwycięskich walk zawarł porozumienie z Turkami dające mu zarząd Serbią imieniem sułtana. Pełną autonomię dla Serbii i u-znanie dziedzicznego tytułu książęcego dla siebie uzyskał w r. 1830. W 1839 r. abdykował na rzecz syna Michała, po przewrocie w r. 1858 powołano go ponownie na tron.

<sup>71</sup> Miłosz miał dwóch rodzonych braci, Jowana i Efrema; jak się zdaje, mowa tu o pierwszym z nich.

## NOTATKI O SERBII

<sup>1</sup> Obecna nazwa Svetozarevo.

<sup>2</sup> Nisz był od wieków obiektem walk. Tu mowa prawdopodobnie o bitwie pod Niszem w 1810 r. podczas pierwszego powstania serbskiego, w której Serbowie zmusili wielokrotnie liczniejsze wojska tureckie do wycofania się do Niszu.

<sup>3</sup> Serbska nazwa dawnej granicznej Puszczy Bułgarskiej.

<sup>4</sup> Mowa o księciu Miłoszu.

<sup>5</sup> Władze tureckie w sierpniu 1830 r. zatwierdziły nadany Miłoszowi przez starszyznę tytuł najwyższego i dziedzicznego księcia narodu serbskiego.

<sup>6</sup> Jerzy Czarny, przywódca pierwszego powstania serbskiego (1804—1813), urodził się 15 września 1765 r. w miejscowości Wysevac koło Kragujevacu. Był założycielem dynastii Karadžordżewiczów.

<sup>7</sup> W bitwie pod Liitzen 2 maja 1813 r. Napoleon odniósł zwycięstwo nad wojskami Prus i Rosji, co sprawiło, że Rosja musiała zaniechać działań przeciwko Turcji na Bałkanach.

<sup>8</sup> Jerzy Czarny, wydany przez Miłosza Obrenowicza paszy w Belgradzie, zmarł zamordowany 11 lipca 1817 r. Lamartine, który jednostronnie opisuje działania księcia Miłosza, trzyma się oficjalnej wówczas wersji śmierci Jerzego.

<sup>9</sup> Traktat akermanski zawarty 6 października 1826 r. między Rosją i Turcją, określający m.in. obowiązki Porty względem Serbii, a przez Turcję nie dotrzymany, był przyczyną wojny rosyjsko-tureckiej 1828—1829 r.

<sup>10</sup> Miłosz miał synów Milana (1819—1839) i Michała (1825—1868).

<sup>11</sup> Stefan Duszan (około 1308—1355), od r. 1331 król, a od r. 1346 car serbski, jego panowanie było okresem znacznego rozwoju Serbii średnio-wiecznej i jej ekspansji terytorialnej.

<sup>12</sup> W r. 1834 ukazały się we Francji tłumaczone z drugiej ręki pieśni serbskie (*Chants populaires des Serviens*). Tłumacz, E. Voiart, dokonał przekładu z wersji niemieckiej sporządzonej przez Teresę Albertynę Luizę Robinson, znaną pod pseudonimem Talvj (litery początkowe trzech imion oraz inicjały nazwiska panińskiego von Jakob), pt. *Volkslieder der Serben*, t. 1—2, Halle 1825—1826, zob. Raymond Warnier, *A propos du Voyage en Orient (Lamartine. Le Livre du Centenaire. Etudes recueillies et présentées par Paul Viallaneix*, Paris 1971, s. 149).

## KILKA UWAG O *PODRÓŻY NA WSCHÓD* PANA DE LAMARTINE

W pisanym w roku 1837 zarysie satyrycznej powieści współczesnej pt. *Herburt* Krasieński wypowiada krótkie zdanie, które może najzwyczajniej ujmując zarówno sens podróży odbywanych od początku XIX wieku, jak też sens pisania o nich i czytania tego, co o nich napisano. Zdanie to głosi, że choć wolno nam Don Juana nie cierpieć, do Grecji powinniśmy popłynąć z Byronem. Oznacza to, że gdy dawniej ruszano w drogę dla pobożnej pielgrzymki, gdy później wyprawiano się dla odkrywania nowych lądów i zapełniania ich konturami pustych miejsc na mapie, a następnie szukano tam nowych bogactw i surowców, pod koniec XVIII stulecia zainteresowanie, które człowiek zaczął nade wszystko okazywać sobie i swojej naturze, sprawiło, że podróż, jeśli nie była związana z jakimś przedsięwzięciem handlowym lub podbojem, odbywała się jak gdyby równoległe po zwiedzanych obszarach i w duszy oraz umyśle podróżnika. To właśnie powiada Krasieński: choć poemat Byrona czy też jego bohater mogą nam nie przypadać do gustu, do Grecji trzeba jechać z Byronem, świadkiem koronnym jej spraw na tle naszych czasów, znawcą jej ducha, a zarazem ducha współczesnych mu ludzi. Jechać do Grecji z Byronem to znaczy poznawać Grecję poprzez medytację i refleksję o niej Byrona, co z kolei pozwoli nam snuć wątek naszej własnej refleksji i medytacji. A to jest oczywiście ważniejsze niż wszystkie przygody, które w Grecji lub na Archipelagu przytrafiają się z łaski Byrona jego bohaterowi. Tym sposobem Krasieński trafia jak gdyby w sedno nowoczesnej literatury, w której nie tyle akcja lub postaci, lecz wypowiedane o nich i w związku z nimi myśli autora najbardziej zasługują na naszą uwagę i najwięcej mogą dać okazji do własnych rozważań.

Zarazem przez to krótkie zdanie nabiera jak gdyby praw obywatelstwa nowy sposób ukazywania świata, zostaje określone za-

danie nowego podróżopisarstwa, które przestaje być, choćby najtrafniejszą, relacją o zwiedzanych okolicach, a nabiera cech relacji autora o sobie w zetknięciu z nowymi dla niego obszarami świata. Autor nie jest już periegetą, jak niegdyś Pausaniasz, buchalterem zabytków i opisywaczem krajobrazów. To wszystko wezmą na siebie wydawcy coraz to dokładniejszych i coraz to bardziej drobiazgowych przewodników, których niedościgłym wzorem będzie niebawem Karol Baedeker. Podróż staje się pretekstem do wypowiedzania własnych poglądów, zdań, opinii, wiedza o rzeczach i sprawach oglądanego świata to tylko ich fundament, nawet wprowadzane do tekstu elementy geografii fizycznej czy nauk przyrodniczych stanowią tło rozmyślań o losach narodów i jednostek, które zwiedzanym obszarom nadały wartość duchową, odciskając na nich historyczne piętno swojej obecności moralnej.

Takich książek, które ujmowałyby to wszystko na wysokim szczeblu sztuki, filozofii czy historiozofii, jest właściwie niewiele. Gdyby niektóre z nich zaliczyć do takiego właśnie podróżopisarstwa, wzbudziłoby to zdziwienie czytelników i zgorznienie teoretyków wiedzy o literaturze. A przecież przywoływany już tu *Don Juan*, *Childe's Harold Pilgrimage* czy bliższa nam *Podróż do Ziemi Świętej* to nie tylko wielkie poematy romantyczne, lecz; także doskonałe przykłady nowego podróżopisarstwa. Jeżeli tak podkreślam tu ów aspekt „podróżny”, to dlatego, że w podróżach właśnie upatruję ważny czynnik filozoficzno-moralny, który wielu relacjonującym je dziełom nowoczesnej literatury europejskiej nadaje jedyny w swoim rodzaju niepowtarzalny charakter. W istocie nie czym innym jak opisami podróży, drogi odbywanej przez całe zbiorowości, i relacją, w jaki sposób zmienił się w owej drodze ich los, jak one się zmieniały, są wielkie księgi Starego Testamentu, w których mowa o wyjściu z Egiptu, albo *Odyseja*, albo *Eneida*. A czy kilka zdań zaledwie w Ewangelii według świętego Łukasza, gdzie mowa o drodze z Jerycha do Jerozolimy i o tym, co się na niej przytrafiło podróżującemu, nie stanowi alegorii naszego losu? Ale to, co tam odnosi się jak gdyby do nas wszystkich, tu, w relacji pojedynczego podróżnika, w jego rozważaniach o świecie, ludziach i sobie, oglądanych w perspektywie narodzin, wzrostu, rozkwitu i upadku imperiów, rządów, kultur i cywilizacji, udziela się każdemu z nas. Trzeba więc powiedzieć, że owe opisy podróży są w istocie dziełami filozoficznymi, w których autor, monologując, prowadzi z nami dialog. Niekiedy trafiają się takie dzieła jak gdyby w ich czy-

«tej formie, choćby słynne *Les Ruines, ou Méditations sur les révolutions des empires* Volneya, gdzie barwne opisy świetnych szczątków upadłych miast stanowią podstawę rozważań o pochodzeniu i rozwoju urządzeń religijnych, politycznych i społecznych.

Wschód, a raczej ta jego część, którą później zaczęto nazywać Bliskim Wschodem w odróżnieniu od Dalekiego, określającego Chiny lub Japonię, zaczął szczególnie zajmować umysły, gdy okazało się, że choć złota i korzeni trzeba szukać daleko za morzami, źródła bogactwa duchowego, wiedzy o naturze ludzkiej tkwią znacznie bliżej, tu właśnie, na Wschodzie, nad brzegami Morza Śródziemnego, między kolumnami zburzonej świątyni Posejdon na Sunion i zwaliskami Palmiry, między łukiem Tytusa i obalonym przez tego cesarza przybytkiem Pańskim na górze Moria, między Betlejem i Golgotą. W istocie to tutaj, na ziemiach Międzyrzecza, Egiptu, Grecji, Palestyny i Rzymu, toczyły się i wciąż się jeszcze toczą dzieje nas wszystkich i każdego z nas.

Wielcy pisarze przeszłości, kształceni na Biblii i na eposejach, na pisarzach Grecji i Rzymu, mieli głęboką świadomość pochodzenia naszej cywilizacji, kultury, filozofii, moralności i kierunków duchowych. Ku tym więc obszarom kierował ich zarówno przemyślany wybór, jak też instynkt, który nakazuje powrót do źródeł wartości. Im bardziej zespół owych wartości stawał się zagrożony, tym instynkt ów przemawiał silniej i donośniej, tym bardziej należało się przekonać, czy toczący się bieg rzeczy ze źródeł tych wypływa, czy też je zamać. Toteż wszyscy niemal obdarzeni wybitniejszym umysłem pisarze owego czasu niezmiennie kierowali się w którejś z chwil swojego żywota na Południe lub na Wschód, sięgali poza to, co widzialne, i starali się dociec, jak się to dzieje, że to, co z ziemią zrównane lub od dawna już przez nią pochłonięte, wciąż łśni niezmiennym blaskiem duchowym.

Parafrazując zdanie Krasieńskiego o podróży do Grecji z Byronem, na Wschód, ku ziemiom, gdzie zrodziły się trzy wielkie religie objawione, stając się podwaliną cywilizacji i kultury, a nade wszystko moralności europejskiej, trzeba jechać z Chateaubriadem i z Lamartine'em, choćby ktoś nie lubił wzniosłego stylu pierwszego i religijno-duchowych zwierzeń drugiego z tych autorów. Trzeba tam z nimi jechać dlatego, że jako wierni, wybitni i doświadczeni synowie swojego czasu potrafili, każdy na swój sposób, odsłonić przed nami czystą powierzchnię bijących tam źródeł naszych własnych myśli, medytacji i rozważań



o tym, czym jest prawda, czym piękno, czym świat i Bóg, i my w ich obliczu.

Obie te podróże znacznie się od siebie różnią. Pierwsza, na wskroś literacka i erudycyjna, ujmując skłębiony nurt dziejów, ludzi i spraw niby kamienne łożysko akweduktu, zwraca się ku przeszłości; jej związki z czasem, gdy była pisana, są niejawne, ukryte, choć nie ujdą uwagi wytrawnego czytelnika. Druga, z erudycji niemal wyzuta, z książek poprzedników, inaczej niż pierwsza, która wiele im zawdzięcza, niemal nie korzysta, miejscami zbyt rozwlekła, niekiedy przybierająca ton niemal już proustowski, świadczy o bystrej i przenikliwej obserwacji, a jej więzy ze współczesnością, z dziejącą się historią, są niezwykle wyraziste. Krajobraz opisany przez Lamartine'a różni się od krajobrazu opisanego przez Chateaubrianda w takiej mierze, w jakiej różnią się ich style, przekonania, poglądy. Świat Chateaubrianda jest jak gdyby ostygły, a przeto niezmiennie wspaniałe, przypomina czasem owe idealne krajobrazy Lorraina o wielkich, rozległych łąkach, zalane blaskiem wschodzącego lub zachodzącego słońca. Świat Lamartine'a jest zmienny, niepowtarzalny, uchwycony jak gdyby raz tylko i w tej właśnie chwili utrwalony. Oprócz tych różnic, wynikających z odmienności charakteru, stylu, rodzaju talentów, przynależności do rozmaitych epok literackich, odgrywają tu znaczną rolę czasy, w których obaj pisarze odbyli swoje podróże. Chateaubriand przemierza ziemie Wschodu, kiedy imperium tureckie wydaje się jeszcze trwałe, a jego hegemonia sprawowana na tych obszarach niezachwiana, gdy Grecja ledwo się budzi, a w Egipcie Muhammad Ali dopiero rozpoczyna swoją karierę. Lamartine wyrusza w te strony w dwadzieścia kilka lat później, po upadku Napoleona, po nieudanej próbie wskrzeszenia we Francji dawnej dynastii, po kongresie wiedeńskim, gdy Turcja, pani tych obszarów, jest już w sposób widomy „chorym człowiekiem Europy”, gdy oznaki jej niechybnego upadku są już oczywiste, gdy mocarstwa europejskie myślą już, jak podzielić po niej spadek, gdy Muhammad Ali zagraża sułtanowi, który musi szukać oparcia u najgroźniejszego ze swoich sąsiadów, gdy opiewana przez Byrona niepodległość Grecji okazuje się ustanowioną w Londynie regencją trzech bawarskich urzędników, nadany bowiem przez mocarstwa ojczyźnie Homera król jest jeszcze niepełnoletni.

Chateaubriand wyruszył w swoją pośpieszną podróż, aby potajemnie spotkać się w Grenadzie z bliską mu wtedy panią Natalią de Noailles, przejechał po to okrężną drogą pół świata i z notât,

z książek cudzych, a nade wszystko z niewyczerpanych zasobów swojego wielkiego umysłu i nieporównanego stylu, który nadaje godność rzeczom pozornie małym, a wymierza należną sprawiedliwość rzeczom pozornie wielkim, stworzył wielką panoramę chrześcijańską, jak przystało na autora wydanego o kilka lat wcześniej apologetycznego *Génie du christianisme*. Lamartine jechał powoli, z żoną i córką, z przyjaciółmi i orszakiem służby. Wiare, którą jego wielki poprzednik głosił i uzasadniał z najgłębszym przekonaniem, pragnął w sobie ustalić u Grobu Świętego. Nie był jej pewien, a raczej, skłaniając się ku racjonalizmowi chrześcijańskiemu, wydawał się niekiedy bliższy pojmowaniu chrześcijaństwa jako swoistego deizmu, choć w ogłoszonym tekście *Voyage en Orient*, jak to wskazują niektórzy badacze, przestrzegą podstawowych dogmatów.

Nade wszystko jednak Lamartine jechał tak daleko po to, aby spojrzeć z perspektywy na bieg rzeczy we własnym kraju. Przepadłszy w wyborach w jednym z okręgów północnych, skąd kandydował w roku 1831, zorganizował wyprawę, której przepych i okazałość miały mu zapewnić należyte poważanie na Wschodzie, gdzie panował jeszcze głęboki szacunek dla wszelkiej hierarchii. Słusznie uważał, że ułatwi mu to wyprawę, którą podjął przecież w czasie niespokojnym, podczas trwających tu zamieszek i wojen. Nie bez znaczenia było także i to, że Francja pewną stopą stała wtedy w portach Lewantu i na wielu ziemiach islamu. Lamartine, o czym najlepiej świadczy jego *Resume politique du Voyage en Orient*, myśli, jadąc na Wschód, o czasach współczesnych, o kwestiach społecznych i politycznych Francji i Europy, które stanowiły przedmiot jego zainteresowania i działania na polu publicznym, zarówno w stronach rodzinnych, jak i na szerszej arenie. Miał za sobą doświadczenia, które były udziałem wielu światłych przedstawicieli elity umysłowej Francji owego czasu. Było to osobiste, bo rodzinne, doświadczenie rewolucji roku 1789 i jej następstw. Ci światli ludzie, o których tu mówię, uważali, że to, co wtedy we Francji się stało, miało swoje przyczyny w niewypełnieniu obowiązków, jakie tym, co rządzi innymi, winny nakazywać rozum, roztropność i obowiązek miłosierdzia. Jakkolwiek okropne były skutki rewolucji, zwłaszcza w jej najgroźniejszym stadium, nie myśleli o niej tylko w aspekcie tych skutków, lecz zastanawiali się nad tym, co w zmienionych warunkach można zachować i rozwinąć z boskiego i ludzkiego dekalogu, którego niezmiennie się trzymali. Ci zachowawczy, jeśli można się tak wyrazić, świadkowie gwałtownych przemian, któ-

rych widownią na przełomie stulecia i w pierwszych dziesięcioleciach XIX wieku była Francja, nie bronili starego ustroju, ale potępiali zarazem w nowym wszystko to, co z owym dekalogiem się nie zgadzało. Chateaubriand, Lamartine, pani de Staël, Lamennais, Tocqueville, Custine, każdy po swojemu, zgodnie ze swoim charakterem, usposobieniem i talentem, stali niezmiennie przy zasadach ugruntowanych na prawie boskim i ludzkim. Lamartine zaszedł na tej drodze dość daleko: myślał o społeczeństwie świeckim, czerpiącym jednak swoją zasadę moralną i prawną z najszerzej pojętej idei chrześcijaństwa. Sam w *Podróży na Wschód* określa to mianem „le christianisme législaté”. We wspomnianym już tu *Résumé politique* głosi pogląd, że socjalizm chrześcijański winien zastąpić ciasny egoizm i krótkowzroczność warstwy rządzącej. W słynnej odzie *Les Révolutions* wprost mówi o „zadowolonych z siebie ludach głupiego Zachodu”. Gdzie indziej znów, w rozprawie *Les Destinées de la poésie*, wyklada rzecz jeszcze jaśniej: „Nie o to idzie, czy rządy z rąk królów przejdą w ręce ludu, czy szlachta, kler lub mieszczenie wezmą ster nowych rządów, czy będziemy nazywali się cesarstwem, czy republiką. Idzie o to, aby rozstrzygnąć, czy idea moralności, religii, miłosierdzia ewangelicznego zastąpi ideę egoizmu politycznego, czy Bóg wreszcie zstąpi w nasze ustawy, czy wszyscy zaczną we wszystkich dostrzegać braci, czy też będą ich nadal traktowali jak wrogów lub niewolników.” Te przytoczenia, choć niewiele wnoszą do dziejów powstania *Podróży na Wschód*, są dlatego istotne, że lśni w nich ten sam blask duchowy, co na wielu kartach tego dzieła.

Ani jeden z zamierzonych przez Lamartine'a celów jego podróży nie został spełniony. Droga do Jerozolimy, którą wyobrażał sobie tak prostą jak z Biblii jego dziecięcych lat, stała się dla niego niby owa krzywa linia, na której jednak Bóg, w myśl portugalskiego przysłowia, utrwalonego przez świętego Augustyna, pisze prosto. Chciał wzmocnić się w wierze, chciał ją pogłębić w tej pielgrzymce odbywanej może ze zbyt wielkim przepychem. Doświadczył w niej straty ukochanej córki. Chciał wprowadzić w czyn jeden ze swoich utopijnych zamiarów i stworzyć gdzie w Syrii czy Libanie, zapożyczony na poły z teorii saintsimonizmu, na poły z własnych doświadczeń wielkiego właściciela ziemskiego, rodzaj falansteru czy przedsiębiorstwa agrarno-cywilizatorskiego, którego projekt, bardzo staranny, opracował w roku 1832. Ale projekt ten pozostał na papierze.

Wydaje się jednak, że zyskał za to coś znacznie cenniejszego:

obserwując mijane krainy i zamieszkujące je ludy, będąc naocznym świadkiem narodzin Grecji niepodległej i rozpadu cesarstwa Otomanów, szturmowanego od południa przez zbuntowanego wasalą, osłabianego od zachodu przez Greków i Słowian, a od północy branego pod groźną kuratelę rosyjską, otrzymał jak gdyby pogładową lekcję historii współczesnej, która umocniła jego własne, już dawniej wyrobione poglądy na bieg i obroty dziejów. Podobnie jak Chateaubriand, czy u nas Krasiński, w odmianie losów zbiorowości upatrywał znaki czasu zsyłane przez Opatrzność i sądził, że to rzecz ludzi, aby korzystać z nich dla przekształcania świata w myśl mądrego miłosierdzia, które winno stanowić ostoję wywodzącej się z chrześcijaństwa nowoczesnej cywilizacji i kultury europejskiej. Spoglądając dziś na zbiegłe dzieje, można by sądzić, że to ci właśnie ludzie, którzy odrzucali wszystko, co z tą myślą w przemianach świata jest sprzeczne, a zarazem zdawali sobie sprawę, że przemiany są znakami czasu, byli bliżsi prawdy niż ci, co głosili pochwałę przemian jako takich, lub ci, co bezradnie się im opierali. Takie rozważania nieraz pojawiają się na stronicach *Podróży na Wschód*, jak choćby we wzmiankach o bieżących wydarzeniach we Francji, o saint-simonizmie, w zapiskach o Serbii, w przenikliwej ocenie stanu Turcji, i w rozmyślaniach o pożądanym kierunku rozwoju ludów i obszarów pozostających pod jej coraz to słabnącą władzą. Warto tu może zwrócić uwagę, że spośród wybitnych autorów ówczesnych wszyscy niemal opowiadali się przeciw Turcji, okazując żywe sympatie dla Greków, Lamartine zaś, okazując zrozumienie dla tragicznego a nieuniknionego przyszłego losu tego imperium, z mniejszym zapałem mówi o kwestii greckiej. Należy to najpewniej przypisać okresowi, w którym odbywał swoją podróż, kiedy to sprawa grecka, przed dziesięć czy dwudziestu laty tak pełna jeszcze poezji i wzniosłego bohaterstwa, została już załatwiona pośród przetargów i układów mocarstw pochylonych nad dogorywającą Turcją.

Wreszcie jedynym pomyślnym, choć nie zamierzonym rezultatem tej podróży stała się poświęcona jej książka. Jak sam o tym powiada, Lamartine nie chciał jej napisać. Prowadził w podróży obszerne dzienniki, czy raczej notaty, zapełniając nimi specjalnie zakupione w tym celu seksterny, przypominające albumy rysunkowe. Zapiski te wykorzystał po powrocie, gdy okazało się, że kosztowna wyprawa nadszarpnęła jego stan majątkowy, gdy inne spodziewane dochody go zawiodły, gdy okazało się, że będzie musiał ponieść znaczne wydatki przebywania w Paryżu

ze względu na pomyślny tym razem wynik wyborów do parlamentu. Zawarł więc umowę na ową relację z podróży, która ukazała się w czterech tomach w roku 1835. Chcąc wywiązać się z umowy, bardzo zresztą korzystnej, powiększył rozmaitymi dodatkami sam opis podróży. Ostatecznie książka znacznie odbiega od tekstu zapisanego w owych albumach podróży, jakkolwiek zwyczaj dopełniania zapisów osobistych dodatkami o treści „obiektywnej” był wówczas dość utarty. Podobnie postąpił w swojej książce Chateaubriand, włączając nie tylko dodatki poza tekstem, ale interpolując tekst rozmaitymi przytoczeniami erudycyjnymi, ze wspomnę tu choćby opis topograficzny Jerozolimy powiązany równoległe z fragmentami o niej w poemacie Tassa.

Ogłoszoną drukiem relację Lamartine'a o rozważaniach i wrażeniach doznanych na Wschodzie spotkał los jak na dzieło pisarza nurtu niezaprzeczenie chrześcijańskiego dość niezwykły. Oto książka znalazła się niebawem na indeksie. Zagadnienia religijne nurtowały zawsze bardzo głęboko autora *Harmonies religieuses et poétiques*, nic więc dziwnego, że w podróży po krajach danych w dziedzictwo potomkom Abrahamowym raz po raz potrąca o zagadnienia religijne. Nie kwestionując nigdy dogmatów, pozwala sobie jednak na wiele wypowiedzi, zwłaszcza w zakresie spraw ustalonych w tradycji czy w rzeczach dotyczących kleru zakonnego i świeckiego, które musiały razić w owych czasach. Nade wszystko jednak obco dźwięczała wtedy nuta chrześcijańskiego racjonalizmu, zatracająca o deizm, a także niezwykle obiektywny stosunek do islamu, w którym pisarz z upodobaniem podkreślał bezpośredniość stosunku człowieka do Boga, jakkolwiek wskazywał również na chrześcijańskie zapożyczenia i związki tej najmłodszej z trzech wielkich religii objawionych. Wszystko to sprawiło, że książka, chwalona, lecz także atakowana na łamach prasy katolickiej, w czasach, gdy Kościół po epoce Oświecenia i rewolucji zajmował pozycje obronne, znalazła się pośród dzieł, które wiernym wolno było czytać jedynie za zezwoleniem władzy duchownej. Popularność jej była znaczna, przerosła chyba rozgłos dzieła Chateaubrianda. Do śmierci pisarza w lutym roku 1869 ukazało się szesnaście wydań...

Gdzie indziej wspominam, że czytelnicy polscy mogli zetknąć się z tłumaczeniem *Voyage en Orient* stosunkowo wcześniej. Gdyby nie śmierć pierwszego z tłumaczy, wersja polska ukazałaby się zapewne wcześniej niż przekład wydany w roku 1843. Oczywiście większość ówczesnie czytającej publiczności mogła się zapoznać i jak o tym świadczy choćby przedmowa Słowackiego do

Ojca *zadżumionych*, zapoznała się z tekstem francuskim. Podobnie jak dzieło Chateaubrianda, książka Lamartine'a stała się słupem milowym na drodze wiodącej Europę, a w tym Polskę czytającą, ku źródłom jej wiary, nadziei, kultury. Obie, choć w różnym czasie pisane, stanowiły dobitne potwierdzenie i świadectwo kształtującego się w epoce romantycznej nowego związku ze Wschodem i stały się wyrazem wspólnoty europejskiej, łącząc jak gdyby poszczególne narody kontynentu poprzez wskazanie im źródeł pochodzenia ich religii i kultury, cywilizacji i moralności, historii i polityki. To, co Europa stworzyła w Rzymie i w Bizancjum, narodziło się przecież w Atenach i w Jerozolimie, pod Troją i w Betlejem. Nic więc dziwnego, że książka Lamartine'a, której dzieło Chateaubrianda było majestatycznym zwiastunem, trafiła do czytelników w wielu krajach, jak o tym świadczą liczne jej tłumaczenia, sporządzone niemal natychmiast po ukazaniu się pierwszego wydania. Przekłady polskie, z których drugi ukazał się w roku 1843, nie są nazbyt opóźnione, a świadczą o szerszym zainteresowaniu, elita bowiem umysłowa mogła, jak już wspomniałem, zapoznać się z tekstem francuskim. Należy więc sądzić, że podobnie może jak w innych krajach europejskich przyczyną tak ożywionego zajęcia się książką Lamartine'a była nie tylko ciekawość świata, nie tylko głębokie przywiązanie, zwłaszcza w Polsce, do wszystkiego, co ma związek z Ziemią Świętą, lecz także owe rozmyślenia słynnego już wówczas pisarza i poety o rzeczach współczesnych jemu i jego czytelnikom.

Należałoby na koniec wskazać, że chronologia *Podróży na Wschód* jest dość dowolna i w wielu punktach odbiega od dat rzeczywistych; chciałbym je tu podać według ustaleń Emila Magnien, jednego z badaczy, który udzielił ich Maurycemu Toesca, autorowi popularnej monografii poety, kilkakrotnie przywoływanej przeze mnie w przypisach. Oto marszruta oznaczona datami właściwymi: Lamartine wyjechał z Mâcon 14 czerwca 1832 roku, udając się do Marsylii, gdzie przebywał od 18 czerwca do 10 lipca. Podróż morską na brygu „Alceste”, dowodzonym przez kapitana Jana Blanc, wiodła przez La Ciotat (11 lipca), zatokę Palmas u południowo-zachodniego krańca Sardynii (18 lipca), Malte (21 lipca — 1 sierpnia), Nauplię (8—16 sierpnia), Ateny (19—22 sierpnia), Rodos (24—26 sierpnia), Cypr (30 sierpnia — 1 września) do Bejrutu, dokąd bryg zawinął 6 września. Stąd Lamartine sam wyprawił się do Damaszku, w głąb Syrii, a następnie przez Akkę do Jerozolimy, gdzie przebywał od 17 do 26 października, by wrócić do Bejrutu. Po dłuższym tam pobycie,

#### KILKA UWAG O „PODRÓŻY NA WSCHÓD”

podczas którego zmarła córka poety, wyruszono powtórnie ku Jerozolimie. Tym razem Lamartine nie wjechał do świętego miasta. Pielgrzymkę tę odbyła osierocona pani de Lamartine, poeta czekał na nią w Jaffie. Sporządzony przez nią opis został włączony do *Podróży na Wschód* z zaznaczeniem, że jest dziełem jej pióra. Z Jaffy morzem wyruszono 26 kwietnia 1833 roku, kierując się ku Konstantynopolowi. Pobyt tu trwał od 7 czerwca do 25 lipca. Następnie przez Adrianopol, Filipopol, Sofię, Nisz i Belgrad dotarto do kwarantanny w Semlinie, na granicy dzielącej ówczesne Węgry od Serbii. Stąd przez Wiedeń, gdzie poeta był 4 września, Stuttgart, Strasburg powrócono w dniu 18 października 1833 roku do Mâcon. Krąg podróży został zamknięty. Wkrótce, 23 grudnia 1833 roku, Lamartine w związku z otwarciem sesji Izby Deputowanych znalazł się w Paryżu. Na posiedzeniu w dniu 30 grudnia w swoim przemówieniu przestrzegał przed lekceważeniem coraz to bardziej zaznaczających się różnic w sposobie życia ludności miast i wsi i wzywał większość, aby podjęła hasła opozycji republikańskiej: „Siłą opozycji są prawa, których się jej odmawia, nie zaś te, które się jej przyznaje.” Można przypuszczać, że ta prosta myśl, jak wiele innych, była owocem długotrwałych rozważań o zmiennym obrocie rzeczy ludzkich i o znakach czasu, które należy w porę dostrzegać, i że w roztropności, która nakazała mu, aby ową myśl wypowiedzieć, ustalił się Lamartine na Wschodzie właśnie, na wąskim skrawku ziemi, gdzie znak został ludziom dany.

*Paweł Hertz*

## OD WYDAWCY

Opis podróży Lamartine'a na Wschód ukazał się po raz pierwszy pod tytułem *Souvenirs, impressions, pensées et paysages pendant un voyage en Orient 1832—1833, ou Notes d'un Voyageur*, Paris 1835, t. 1—4. W tymże roku ukazały się jeszcze dwa wydania tego dzieła, które ze względu na wynikającą z ówczesnej mody i obyczaju literackiego rozwlekłość tytułu, wzorowanego na równie długim tytule opisu podróży na Wschód pana de Chateaubriand, określa się potocznie jako *Voyage en Orient*.

Wykaz wydań tego dzieła ogłoszonych w latach 1835—1868, a więc za życia autora, zmarłego w lutym 1869 roku, znajduje się w pracy. Lotfy Fam, *Lamartine, „Voyage en Orient.” Edition critique avec documents inédits*, Paris [1960], s. 76—84. Praca ta, co należy wyjaśnić ze względu na jej tytuł, nie stanowi wydania krytycznego dzieła Lamartine'a, lecz jedynie znajdujących się w Bibliotece Narodowej w Paryżu siedmiu, a w posiadaniu prywatnym jednego, albumów zawierających część rękopisu *Voyage en Orient*.

Wspomniane wyżej wydania dzieła nie mają układu jednolitego, Lamartine do tekstu wydań poprzednich dodawał lub też z niego odejmował poszczególne dodatki, nie stanowiące jednak integralnych części opisu podróży ułożonego na kształt dziennika, w którym autentyczność dat, jak to wykazali późniejsi badacze, nie jest jednak pewna. Zmieniał się także układ, kolejność rozmieszczenia owych dodatków.

Jako podstawę weryfikacji obecnie ogłoszonej wersji polskiej *Voyage en Orient* przyjąłem sporządzone staraniem zawiązanego po śmierci autora Société Propriétaire des Oeuvres de M. de Lamartine najpóźniejsze z dostępnych mi wydań: *Oeuvres de Lamartine. Voyage en Orient*, Paris 1907. W udzielonym mi przez Bibliotekę Uniwersytecką w Warszawie egzemplarzu (200 503) tom drugi jest oznaczony: Paris 1897, i stanowi wraz z tomem pierw-



szym (Paris 1907) najpewniej przypadkowo tak skompletowaną całość. Mając do dyspozycji taki egzemplarz, sprawdzałem niektóre szczegóły z tekstem innego wydania: *Oeuvres complètes de Lamartine. Nouvelle édition complète*, Bruxelles 1846. W wydaniu tym *Voyage en Orient* mieści się na dwuszpaltowo zadrukowanych ss. 7—280.

Zamierzając ogłosić jedynie opis podróży Lamartine'a, pomiąłem wszelkie dodatki. Opuszczenie ich nie wpływa na sporządzony przez poetę opis podróży, nie przerywa jego toku, nie zamać jej obrazu. Oto spis pominiętych tekstów według wydania oryginalnego z roku 1907: z tomu pierwszego — wiersz *Adieu. Hommage à l'Académie de Marseille* (ss. 12—16), wiersz *Geihse-mani, ou la Mort de Julia* (ss. 479—484); z tomu drugiego (1897) — *Récit du séjour de Fatalla Sayeghir chez les Arabes du Grand Désert*, (ss. 289—472), *Fragments du poème d'Antar* (ss. 473—506), *Résumé politique du Voyage en Orient* (ss. 507—534), *Les lettres des rois de France* (ss. 535—544), *Lettre du Cardinal du Perron, grand aumônier de France* (ss. 544—545), *Lettre de l'archevêque des Maronites au Cardinal du Perron* (ss. 545—546), *Épilogue du Voyage en Orient* (ss. 547—550), *Note postscriptum* (ss. 551—554), *M. d'Estourmel en Orient* (ss. 555—562), wiersz *Le Désert, ou l'Immatérialité de Dieu*.

Dzieło Lamartine'a ukazało się w dwóch polskich przekładach. Pierwszy z nich, ogłoszony pt. *Wspomnienia, wrażenia, myśli i o-brązy podczas podróży na Wschodzie 1832—1833 przełożone na język polski przez Witalisa Olechowskiego*, Warszawa 1837, t. 1, zeszyty 1—2—3 (ogółem sto czterdzieści cztery strony), pozostał nie ukończony z powodu śmierci tłumacza w roku 1838. Drugi wydano pt. *Wrażenia, myśli, krajobrazy i wspomnienia z podróży na Wschód Alfonsa de Lamartine przełożył J/a» Tomasz] S[eweryn] Jasiński*, Warszawa 1843, t. 1—4. Podobnie jak Olechowski, Jasiński był płodnym i zręcznym dostawcą przekładów sztuk francuskich dla sceny warszawskiej.

Podstawą ogłoszonej obecnie wersji polskiej jest przekład Jasińskiego, w którym wszystkie wyliczone wyżej przeze mnie dodatki, z wyjątkiem *Fragments du poème d'Antar*, zostały pominięte. W niniejszym wydaniu tekst ten opuściłem, dodałem natomiast usunięte przez Jasińskiego, lecz związane z tokiem opisu podróży, choć bardziej dotyczące dziejów Serbii, *Notes sur la Servie* (w drugim tomie stanowiącej podstawę tego wydania edycji oryginalnej ss. 261—288). Dodam tu, że usunięty *Fragment poematu Antara*, który w tłumaczeniu Jasińskiego znajduje się

w obrębie opisu podróży, pozwala wnioskować, że Jasiński sporządził swój przekład z wydania pierwszego oryginału z roku 1835, w tym tylko bowiem wydaniu tekst ten, odmiennie niż we wszystkich wydaniach późniejszych, nie znajduje się na końcu dzieła (zob. Lotfy Fam, *Lamartine*, „*Voyage en Orient*”, s. 76). Zgodnie z tradycyjnie przyjętym skrótem tytułu dzieła: *Voyage en Orient*, nadałem wersji polskiej nazwę: *Podróż na Wschód*, do czego upoważnia mnie także i to, że nie ogłaszam przekładu całości dzieła Lamartine'a, lecz tylko jego podstawową część opi-sowo-sprawozdawczą.

Wydanie obecne, podobnie jak ogłoszony przeze mnie poprzednio *Opis podróży z Paryża do Jeruzolimy* Chateaubrianda (w przekładzie Franciszka Salezego Dmochowskiego), nie stanowi przedruku wspomnianego wyżej przekładu Jasińskiego, lecz jest nową, na jego podstawie sporządzoną wersją. Przedruk dawnego przekładu, nawet po dokonaniu troskliwszych, niż to bywa w zwyczaju, zabiegów adiustatorskich, byłby niecelowy z kilku względów. Pierwszy z nich to odmiennie niż dawniej poczucie obowiązku wierności wobec tekstu oryginalnego. Niezależnie od innych w tej mierze pojęć Jasiński był też skrępowany w swobodzie tłumaczenia wszystkiego, co w dziele Lamartine'a dotyczy zagadnienia wolności, niepodległości, dążeń narodowych i społecznych. Skrępowanie to narzucała surowa między powstaniem listopadowym i styczniowym cenzura w zaborze rosyjskim. Tłumacz ograniczał się także w wiernym przekazaniu czytelnikowi polskiemu wielu poruszanych przez Lamartine'a zagadnień dotyczących chrześcijaństwa i islamu, wiary i tradycji, stanu duchownego i zakonnego. A niektóre fragmenty nawet całkowicie pominął, pamiętając, że dzieło zostało w dniu 26 września 1836 roku wpisane na indeks ksiąg, które wierni mieli prawo czytać jedynie za zezwoleniem władz duchownych. Czytelnik bez trudu zorientuje się w liczbie i treści tych fragmentów, wszystkie bowiem przywrócone przeze mnie pominięcia zostały zaznaczone w przypisach. Drugi wzgląd skłaniający do potraktowania przekładu Jasińskiego jako osnowy to kwestia języka i stylu, których utrzymanie utrudniłoby lekturę lub wprowadziłoby nieraz w błąd. Następnie trzeba było także dokonać licznych zmian w oznaczeniu realiów, w użyciu określających je nazw, choć w wielu także przypadkach rozwiązania Jasińskiego jako trafne zostały zachowane. Odnosi się to zwłaszcza do jego tłumaczeń poezji, które wymagały jedynie bardzo nieznacznych korekt. Ogólnie biorąc, zachowałem z tłumaczenia mojego poprzednika wszystko, co wy-

dało mi się dobre, a zmieniając wiele z tego, co wydało mi się niedobre, uznałem, że godzi się utrzymać na karcie tytułowej nazwisko pierwszego tłumacza i przez dodanie zwrotu: „na podstawie”, wskazać czytelnikowi sposób, w jaki praca Jasińskiego została tu wykorzystana.

Odrębną, a bardzo ważną sprawą jest zagadnienie nazewnictwa. Dotyczy ono w książkach podręczniczych wielu dziedzin, a więc nade wszystko geografii w jej aspektach fizycznym, politycznym, historycznym i kulturalnym, historii, historii sztuki, historii kultury. Zmienne dzieje wielu obszarów sprawiły, że nazwy we wszystkich tych dziedzinach używane ulegały najrozmaitszym przemianom, a te ich kolejne przemiany stanowią właśnie wymowne świadectwo losu całych narodów i poszczególnych ludzi. Stąd też śladem autora należy zachowywać we wszystkich tych dziedzinach takie nazewnictwo, które w danym kontekście nie byłoby anachroniczne. Zwłaszcza dotyczy to obszarów Europy południowo-wschodniej i krain położonych nad wschodnią częścią Morza Śródziemnego. Gdzie to było słuszne, zachowałem nazwy geograficzne i osobowe przyjęte przez Jasińskiego jako odpowiedniki nazw użytych przez autora, podając ich brzmienie obecne w indeksie, aby można je było utożsamiać i odnaleźć. Dotyczy to m.in. nazw włoskich nadawanych tradycyjnie różnym obiektom geograficznym Lewantu, albo znajdującym się niegdyś we władaniu któregoś z miast włoskich, albo też zachowujących owe nazwy ze względu na tradycje żeglarskie. Dotyczy to również nazw starogreckich i łacińskich. Nazwy miejscowości i nazwy o-sobowe występujące w Piśmie świętym, które Lamartine podaje w wersji francuskiej, zostały tu podane w takim brzmieniu, jakie im nadano w ostatnim z polskich przekładów (*Pismo święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych. Opracował zespół biblistów polskich z inicjatywy benedyktynów tyńskich*. Wydanie trzecie poprawione, Poznań—Warszawa 1982). Według tegoż wydania podano wszystkie przytoczenia z Pisma świętego. Imiona panujących, zgodnie z tradycją, są spolonizowane; gdy mowa np. o sultanach tureckich, występują w tym brzmieniu, jakie ustaliło się od dawna, czy to w wyniku długotrwałych i bezpośrednich związków Rzeczypospolitej z Porta, czy to wskutek przejęcia ich z innych języków europejskich. Mowa więc tu o Solimanie Wspaniałym, o Mahomecie i o Baja-zecie czy Amuracie. Również i w nazwach czy imionach obszaru arabskiego zachowano, gdzie to było możliwe, brzmienia tradycyjne, które ustaliły się w literaturze i piśmiennictwie polskim.

**OD WYDAWCY**

Obecna tendencja podawania tych nazw, zarówno geograficznych, jak osobowych, w oparciu o domniemaną w polszczyźnie ich fonetykę oryginalną, co wymaga stosowania znaków diakrytycznych, nie powinna moim zdaniem mieć zastosowania w dziełach literatury pięknej ani w piśmiennictwie o nie ściśle naukowym charakterze.

*P. H.*

## INDEKS OSÓB I POSTACI

- Abbets, emir, brat emira Baszyra 152, 154  
 Abbets, emir z Solimy 146  
 Abbot, konsul angielski w Syrii 105, 115, 166, 411  
 Abd al-Wahhab Muhammad 393  
 Abdalla, brat Giorgios Beja 147—149  
 Abdalla, pasza Akki 118, 119, 151—155, 195, 201, 261, 299, 300, 301, 566  
 Abdalla, protoplasta rodu Szihabów 143  
 Abdel Malik, kalif 570  
 Abdulmedzid, sułtan turecki 565, 566, 584  
 Abła, ukochana poety Antara 294  
 Abraham 178, 194  
 Absalom 574  
 Abu Bakr, teść Mahometa 143, 561, 576  
 Abu Ejub Ensari 587  
 Abu Gosz 231—234, 236, 238, 252, 288, 289, 297, 298, 304, 429  
 Abu Gosza bracia i rodzina 232—236, 238, 267, 289, 297, 298, 429, 430  
 Abulias, kucharz autora 105—107  
 Achilles 583  
 Achmet Pasza, faworyt sułtana Mahmuda II 489, 498, 499  
 Adem Pasza, dowódca turecki 539, 540  
 Adoniram 563  
 Adonis 334, 412, 580  
 Afrodyta 557, 558, 582; zob. też Wenus  
 Agamemnon 61 Ahmed Pasza (Ahmad al-Gazzar), zwany Dżezar (Rzeźnik) 143—149, 32, 332, 333, 561, 566, 575  
 Aigeus (Egeusz) 554  
 Ażjipt, król Egiptu 585  
 Ajuh Bej 229  
 Alcybiades (Alkibiades) 52  
 Aleksander I, cesarz rosyjski 552  
 Aleksander Wielki 301  
 Aléon, rodzina bankierska 509  
 Ali, syn Fahr ad-Dina 329, 330  
 Ali Bej, przywódca Mameluków 561  
 Ali Bej, Ali Otman zob. Badia y La-blich Domingo  
 Ali ibn Talib, kalif, zięć Mahometa 332, 576  
 Aid Pasza, dowódca turecki 539—541  
 Amalryk I, król Jerozolimy 568  
 Amos 562  
 Amurat (Murad) IV, sułtan turecki 330, 471, 584  
 Amyot Jacques 550  
 Andromeda 226, 568  
 Andronikos z Rodos 556  
 Anna, święta 563, 569  
 Antara (Antar) Ibn Szaddad, poeta arabski 292—295, 297, 574, 575  
 Antoninusz Pius, cesarz rzymski 578  
 Antypater z Sydonu 582  
 Apollo 557, 582  
 Aretas IV, król nabatejski 579  
 Ariosto Lodovico 294, 574  
 Arystydes 52  
 Atanazy, patriarcha grecki w Konstantynopolu 584  
 Aubin, Francuz przebywający w Syrii 152  
 Augustyn, święty 595  
 Autran Joseph 11, 547 *Le Départ pour Orient* 17, 549  
 Baal zob. Helios  
 Babin, jezuita francuski 557

INDEKS OSÓB I POSTACI

- Badia y Lablich Domingo (Ali Bej, Ali Otman)  
*Voyage d'Ali Bei en Afrique et en Asie* 504, 587
- Baedeker Karl 591  
*Mittelmeer* 557  
*Palestine et Syrie...* 578, 580
- Bajazet (Bajazyt) II, sułtan turecki 469, 518, 585, 588
- Bajbars al-Bunduqari, sułtan egipski 580
- Baldwin II, król Jeruzolimy 570
- Barycz Henryk 552
- Baszyr (Basir es-Sihabi II), emir, władca Libanu 104, 119, 134, 136 —158, 324, 328, 330, 339, 347, 401, 402, 560
- Baszyra emira bracia 154; zob. też Abbets, Hasem
- Baszyra emira synowie 141, 142, 155, 158, 305, 306; zob. też Halil
- Baszyra emira żony 141, 146
- Baszyr, szejk z rodu Kantarów 144—146, 150—152, 154
- Baszyra szejka brat 150
- Batszeba (Betsabe) 45
- Budin, agent konsularny w Damaszku 377, 380, 381, 383, 386, 388, 389, 395—397, 402
- Baudin pani, żona ajenta 377
- Baworowski Wiktor 566
- Bekir, pasza Bośni 533
- Belizariusz 37, 550, 551
- Beniamin 231
- Beniamin z Tudeli 329, 576  
*Mass'ot Rabbi Benjamin* 576
- Bertrand, lekarz emira Baszyra 137, 140, 141
- Bianco, konsul sardyński w Syrii 105, 110, 115, 166, 202, 305, 411
- Blanc Jean 10, 11, 18, 22—24, 29—32, 53, 64, 66, 89, 90, 598
- Blanc Marie-Anne 23, 24
- Bollanti, dyrektor biblioteki w La Valletta 43
- Bona, królowa 585 Bonaparte Józef, król Neapolu i Hiszpanii 587
- Borda, urzędnik konsularny w Bejrucie 411 Bottu. konsul francuski na Cyprze 87, 88, 442, 445
- Bottu pani, żona konsula 87, 88, 442
- Burbonowie, dynastia 16, 548
- Burckhard Johann Ludwig 334, 418, 576  
*Travels in Syria and the Holy Land* 576
- Burdżyci, dynastia panująca w Egipcie 585
- Butieniew Apolinary Pietrowicz 497, 515, 586
- Byron George Gordon, lord 590, 592, 593  
*Childe-Harolds Pilgrimage* 71, 550, 555, 556, 591
- Don Juan 204, 566, 591
- Caillé (Caillié) René 411
- Caillet (Caillé René?), podróżnik francuski 6, 546, 547
- Calosso (Rustem Bej), oficer pie-moncki 497, 498, 501—503
- Canning George 558
- Canova Antonio *Magdalena pokutująca* 296, 575
- Capmas de, towarzysz podróży autora 12, 13, 401, 509, 515, 520, 525
- Caraman Adolphe de 531
- Carapic Wasso 531
- Caravaggio (Merisi Michelangelo) 44, 552
- Cattafago, konsul francuski i austriacki w Akce 189, 195, 196, 304
- Centaurowie 73
- Cezar (Caius Iulius Caesar) 551
- Charles Julie 548, 567
- Chasseboeuf Constantin-François, hrabia de Volney  
*Les Ruines ou Méditations sur les révolutions des empires* 592 *Voyage en Egypte et en Syrie* 143, 323, 333, 338, 339, 561, 576, 577
- Chateaubriand François-René, wicehrabia de 5, 70, 71, 593—597 *Atala ou les Amours de deux sauvages dans le désert* 295, 575 *Génie du christianisme* 594 *Itinéraire de Paris à Jérusalem et de Jérusalem à Paris...* 260, 270, 448, 549, 551, 555, 557, 572, 573, 583, 592, 593, 598, 600, 602

INDEKS OSÓB I POSTACI

- Chauvin V.  
*Bibliographie des ouvrages arabes*  
575
- Choiseul-Gouffier Marie-Gabriel-Auguste-Laurent de 555  
*Voyage pittoresque de la Grèce*  
555
- Cinyras, król Cypru, ojciec Adonisa  
412
- Coppens baron de, szwagier autora  
579
- Coppens Eugénie baronowa de, ur.  
Lamartine, siostra autora 13, 548,  
579
- Corbet Guillaume 62
- Coulonne, kapitan brygu „Alceste”  
341, 411
- Cuneo d'Ornano, kapitan brygu 63,  
67, 83, 84
- Custine Astolphe de 595
- Czapiński Leopold  
*Księga przysłów, sentencji i wyrazów  
łacinijskich...* 562
- Czartoryski Adam Jerzy 586
- Daher, pasza Akki 143, 332
- Daher, służący autora na Wschodzie 399
- Damiani, wicekonsul francuski w  
Jaffie 221—223, 226, 228, 298, 423
- Damianiego wicekonsula rodzina 220—  
224
- Danaidy 585
- Danaos, król Argos 585
- Dante Alighieri 36, 135  
*Piekło* 347, 550
- Dawud Pasza, wielki wezyr 471, 585
- Dawid 45, 136, 234, 249—251, 263, 290,  
291, 294, 296, 425, 569, 571, 574, 581
- Dąbrowski Eugeniusz, ksiądz 559
- Dembiński Henryk 587
- Demostenes 52, 74
- Deschamps, wydawca dziennika w  
Smyrnie 448
- Diogenes z Synopy 557
- Dmochowski Franciszek Salezy 546
- Dobrinjas Piotr 534, 537
- Dreux de, hrabiowie (Robert I, Robert II,  
Philippe) 329
- Dufeu, znajomy autora z Marsylii 11
- Dydone 37, 550
- Dżezar, pasza Akki zob. Ahmed Pasza  
Dżezara, paszy Akki, żony 148
- Edyp 16
- Efraim, syn Józefa 231
- Efrem, brat księcia Miłosza I Obre-  
nowicza 589
- Ehdenu szejk 413—416, 418, 419, 422
- Elgin lord Thomas Bruce 75, 555—  
557
- Eliasz 200, 206, 207, 566, 581
- Eliasz, służący autora w Bejrucie  
105
- Elżbieta, święta, matka świętego Jana  
Chrzyciela 568, 569
- Eneas 37, 550
- Epaminondas 52, 53
- Eskulap (Asklepios) 445, 582
- Eustochia, święta 432, 581, 582
- Ezechiel 169, 170, 417, 562, 580
- Fahr ad-Din al-Mani II 98, 101, 120,  
143, 305, 322, 329, 330, 342, 343,  
350, 559
- Fam Lotfy  
*Lamartine, Voyage en Orient* 547,  
565, 600, 602
- Farren, konsul angielski w Syrii 105,  
115, 166, 359, 411
- Fatima, córka Mahometa, żona Ale-  
go ibn Taliba 576
- Fauvel Louis-Français Sébastien 71,  
448, 555
- Ferdynand I, król Obojga Sycylii  
551
- Fidiasz 52, 69, 73, 75, 78, 451, 555,  
557
- Filip I, książę Orleanu 548
- Filip II Dobry, książę Burgundii 229,  
568
- Filip II, król Macedonii 588
- Filip zw. Ewangelistą, święty 218,  
567
- Filon z Byblos 580
- Flamininus Titus Quinctius 550
- Flawiusz Józef (Josef ben Matatia)  
*Dawne dzieje Izraela* 89, 218, 559,  
567
- Wojna żydowska* 567
- Fontaine Nicolas (ps. wspólny z  
Louis-Isaae Lemaistre'em: Sieur  
de Royaumont, prieur de Som  
breval) 9, 547

## INDEKS OSÓB I POSTACI

- Fontanier Victor 6, 546  
*Turquie d'Asie, Constantinople, Grèce* 546
- Freyre, poseł Hiszpanii na Malcie 48
- Freyssinet J., bankier z Marsylii 11, 547
- Gandur, minister emira Jusefa 145
- Gaspari, agent konsularny francuski w Atenach 70
- Germadios (Georgios Scholarius), patriarcha grecki w Konstantynopolu 469, 584
- Giorgio Bej, mieszkaniec Hydry 67
- Giorgios Bej 146, 148—150
- Giraudin, agent francuski w Saidzie 167, 304
- Goliat 234
- Gosselin Charles 547
- Graves Robert *Mity greckie* 568
- Gregorovius Ferdinand *Athen und Athenais* 557
- Greig, znajomy autora na Malcie 48
- Gropius, konsul austriacki w Grecji 71, 75, 555, 556
- Grum-belad-el Beskantar, možny ród na Libanie (?) 150
- gubernator egipski w Bejrucie 103, 110
- gubernator Jaffy 223—225, 227
- gubernator Jerozolimy 225, 231, 252, 261, 262, 267, 271
- Guillois, urzędnik francuski na Cyprze 87, 442
- Guszarec Ali, turecki komendant Belgradu 534
- Guy Lusignan, król Jerozolimy 568
- Guys, konsul francuski w Syrii 94, 411
- Habib-Barbara, Grek osiadły w Bejrucie 101, 112, 113, 411
- Habiba-Barbary żona i córki 101, 112, 113
- Hadrian (Publius Aelius Hadrianus), cesarz rzymski 555, 570
- Hadzi Mustafa (Hadzi Bej?), zarządca turecki Serbii 533, 534
- Hagar 9
- Halil, syn emira Baszyra 150
- Halil Pasza, admirał turecki 84, 301, 498
- Hamilton T., tłumacz Antara na angielski 575
- Hankey Frederick 48
- Hannibal Barkas 35, 38, 549, 551
- Hasdrubal Bithias 37, 38, 551
- Hasdrubala żona i dzieci 37, 38, 551
- Hasem, emir, brat emira Baszyra 149, 150
- Hasem, emir, ojciec emira Baszyra 143
- Hefajstos 555
- Hektor 451
- Helena, królowa Adiabene 570
- Helena, święta 255, 434, 571
- Helios 576
- Henryk II Lusignan, król Jerozolimy 568
- Herakliusz (Herakleios) I, cesarz bizantyjski 576
- Herkules (Herakles) 564
- Hero 584
- Herod I Wielki, król judejski 89, 177, 217, 218, 559, 567, 570, 582
- Herod Agryppa I, król judejski, wnuk Heroda I Wielkiego 243, 569
- Herod Agryppa II, król judejski, syn Heroda Agryppy I 218
- Herod Antypas, tetrarcha Galilei, syn Heroda I Wielkiego 563, 579
- Hertz Paweł 546
- Hiarbas, król numidyjski 550
- Hieronim, święty 184, 432, 563, 568, 581
- Hindia, zakonnica z klasztoru w Anturze 338
- Hiob 76, 292, 294
- Hiram I, król Tyru 170, 359, 412
- Hitti Philip K.  
*Dzieje Arabów (History of the Arabs)* 561, 572
- Homer 11, 76, 292, 294, 392, 447, 448, 452, 532, 582, 583, 593
- Iliada* 550
- Odyseja* 591
- Honoriusz I, papież 576
- Horacy (Quintus Horatius Flaccus) 190, 251, 564
- Satyry* 562



## INDEKS OSÓB I POSTACI

- Hotham Henry 63  
 Hugo III Lusignan, król Jerozolimy 568  
 Hugon, admirał francuski w Nauplii 63  
 Humann, kupiec francuski w Bejrucie 411  
 Husajn (al-Hussayn ibn Ali), wnuk Mahometa 332  
 Hussein Pasza, Wielki wezyr 519
- Ibrahım, pasza Skutari 533, 534  
 Ibrahım Pasza, syn Muhammada Alego, paszy Egiptu 98, 103, 104, 114, 115, 155, 158, 166, 172, 195, 201, 219, 224, 228, 261, 262, 267, 271, 288, 289, 297, 299, 300—302, 305, 306, 343, 368, 370, 376, 380, 385, 387, 389, 391, 397, 413, 429, 430, 483, 500, 559, 560, 562, 563, 566, 568, 575, 579, 582  
 Iktinos, architekt grecki 557  
 Izaak 178, 581  
 Izajasz 562, 563
- Jahja, emir z rodziny Harfusz, brat Sultana 333  
 Jainko, sekretarz Jerzego Czarnego 538  
 Jakub 194, 427, 581  
 Jakub Apostoł, święty 549  
 Jakub z Werony 571  
 Jan Chryzostom (Jan Złotousty), święty 323, 575  
 Jan Chrzyciel, święty 564, 568, 569  
 Jan Ewangelista, święty 563—565, 569, 570  
 Jan VI Kantakuzen, cesarz bizantyjski 467, 584  
 Jan I Lusignan, król Jerozolimy 568  
 Jasiński Jan Tomasz Seweryn *Wrażenia, myśli, krajobrazy i wspomnienia z podróży na Wschód Alfonsa de Lamartine, przełożył...* 546—549, 551, 552, 557—563, 565—570, 572—575, 577—579, 581—588, 597, 601—603  
 Jauffret, znajomy autora z Marsylii 11  
 Jeremiasz 231, 438, 562, 568, 581  
 Jerzy Czarny (Kara Djordje), założyciel dynastii Karadjordjewicziów 531—539, 541, 543, 589
- Jezus Chrystus 35, 44, 83, 124, 125, 127, 134, 179—184, 186, 190, 191, 194, 195, 226, 245—247, 249, 250, 252, 258, 259, 283—286, 298, 564, 565, 571  
 Joachim, święty 563, 569  
 Jonasz 226, 568  
 Jorelle, pracownik konsulatu francuskiego w Bejrucie 94, 101, 105, 110, 111, 166, 411  
 Jorelle pani, żona pracownika konsulatu 94—96, 101  
 Jowan, brat księcia Miłosza I Obrenowicza 525, 589  
 Jowisz (Zeus) 69  
 Józef, święty 181, 182, 184, 298, 563  
 Józef, syn Jakuba i Racheli 9  
 Józef z Arymatei 257, 568  
 Julia Starsza, córka cesarza Oktawiana Augusta 53, 559  
 Jusef, biskup 150  
 Jusef (Jusuf), emir, syn emira Mil-hema 143—148, 332, 333 Jusefa (Jusufa) emira brat 146 Jusefa (Jusufa) emira synowie 146, 148, 149  
 Justynian I Wielki, cesarz bizantyjski 550, 570  
 Jusuf, turecki komendant Attyki 75, 81
- Kalipso 38  
 Kallikrates, architekt grecki 557  
 Kantarowie, możny ród w Libanie 144  
 Kapodistrias (Capo d'Istria) Avghou-stinos 554  
 Kapodistrias (Capo d'Istria) Joanis 52, 67, 552—554  
 Kara Djordje zob. Jerzy Czarny Karadjord -jewicie (Karadzordzewicze), dynastia serbska 589  
 Kara Dzehennem, oficer turecki 473  
 Katić Janko 531  
 Karadzija, książę 62  
 Karol V, cesarz rzymsko-niemiecki 551  
 Karol X, król francuski 548, 549, 554  
 Karyłowski Tadeusz, ksiądz 549, 550, 584  
 Katarzyna II, cesarzowa rosyjska 582  
 Katchiflisie, konsulowie rosyjscy w Syrii 413

## INDEKS OSÓB I POSTACI

- Katon z Utyki (Marcus Portius Ca-  
tor Minor) 38, 551
- Kléber Jean-Baptiste 568
- Kojdar, emir z Bubby 146
- Kolettis Joanis 554
- Kolokotronis Theodoros 62, 553
- Konstans II, cesarz bizantyjski 576
- Konstantyn XI Paleolog, ostatni cesarz  
bizantyjski 468, 469, 481, 584,  
586
- Konstantyn Wielki, cesarz rzymski  
255, 479, 571, 579, 584
- konsulowie europejscy w Bejrucie  
zob. Abbot, Bianco, Farren, Lau-  
rella
- Korneliusz, setnik 218, 567
- Koronis, nimfa, matka Eskulapa 582
- Krasinski Zygmunt 592, 596  
*Herburt* 590
- Kreteis, matka Homera 582
- Krzczkowski Henryk 568
- Kserkses I, król perski 52, 68, 176
- Kubiak Zygmunt 559
- Kurszyd, pasza Bośni 536, 537, 540
- Laban, ojciec Racheli 581
- Laborde Alexandre-Louis-Joseph de 6,  
546  
*Voyage historique et pittoresque en  
Espagne* 546 *Voyage descriptif de  
l'Espagne* 546
- Lamartine, siostry autora 13, 17, 567; zob.  
też Coppens Eugenie de, Montherot  
Suzanne de
- Lamartine Alix de, ur. de Roys, matka  
autora 9, 12, 15, 20, 55, 259, 548, 567
- Lamartine Alphonse de  
*Adieu. Hommage à l'Académie de  
Marseille* 11, 169, 547, 562, 601 *A une  
jeune Arabe qui fumait le narguilé* 96,  
559  
*Au prince royale de Bavière, voyageant  
en Grèce* 587 *Le dernier chant du  
pèlerinage d'Harold* 550  
*Le Désert, ou l'Immatérialité de Dieu*  
601  
*Les Destinées de la poésie* 595 *Epilogue  
du Voyage en Orient* 601 *Fragments du  
poème d'Antar* 292, 293, 574, 601
- Gethsémani ou la Mort de Julia* 577,  
601
- Harmonies religieuses et poétiques* 597
- Histoire de la Turquie* 566 Le Lac  
548
- Milly ou la Terre natale* 549 *Nouveau  
Voyage en Orient* 566 *Pensées en  
voyage* 552 *Réponse aux adieux de sir  
Walter Scott à ses lecteurs* 196, 565  
*Résumé politique du Voyage en  
Orient* 594, 595, 601 *Les Révolutions*  
595 *Vers écrits à Balbek* 362, 578
- wiersz dla pana Montherot 52 wiersz do  
V. 511
- wiersz napisany na szczycie Karmelu  
(dla panny Malagamba) 211, 212, 567
- wiersz (zniszczony) pisany przy  
sadzawce Siloam 286
- Lamartine Alphonse de, syn autora 567
- Lamartine Julia de, córka autora 10, 11,  
13, 15, 20, 29, 30, 46, 47, 49, 54, 57,  
61, 68, 83, 90, 91, 94—96, 101, 103,  
107, 110, 115, 166, 195, 271, 289, 304,  
305, 309, 310, 314, 317, 319—322,  
340, 341, 343, 344, 411,  
422, 462, 547, 567, 574, 580, 581, 594,  
595, 599
- Lamartine Louis-François de, dziad autora  
16, 549
- Lamartine Marianne-Elise de, ur. Birch,  
żona autora 10, 11, 13, 15, 20, 47, 54,  
57, 90, 94—96, 103, 107, 110, 115,  
166, 289, 303—305, 340, 341, 374,  
396, 400, 411, 412, 416, 422,  
423, 429, 440—442, 462, 506, 509,  
515, 520, 521, 547, 594, 599
- Lamartine Pierre de, ojciec autora 13, 16,  
17, 259, 412, 548, 549
- Lamennais Hugues-Félicité-Robert de 595
- Laurella, konsul austriacki w Syrii 105,  
115, 166, 411
- Leander 584
- Le Guillon Louis Le *Résumé politique du  
„Voyage en Orient”* 566
- Lemaistre Louis-Isaac zw. de Saci (ps.  
wspólny z Nicolas Fontaine'em  
Sieur de Royaumont, prieru de  
Sombrevail) 9, 547

## INDEKS OSÓB I POSTACI

- Leon III Izauryjski, cesarz bizantyjski 555  
 Leonardi, lekarz lady- Estery Stan-hope 120, 127  
 Leonidas 52  
 Leopold von Sachsen-Koburg (późniejszy Leopold I, król belgijski) 558  
 Lewak Adam *Dzieje emigracji polskiej w Turcji (1831—1878)* 586, 587  
 Licyniusz (Valerius Licinianus Licinius), cesarz rzymski 581  
 Linde Samuel Bogumił 573  
 Liwiusz (Titus Livius) 549  
 Lizykrates 556  
 Lombart, kupiec francuski w Trypo-lisie 413  
 Lorrain Claude 175, 593  
 Lozanna, biskup Abydos 335  
 Ludwik I, król bawarski 587  
 Ludwik II, król bawarski 587  
 Ludwik IX Święty, król francuski 34, 37, 217, 226, 549, 550, 567, 568  
 Ludwik XI, król francuski 469  
 Ludwik XIII, król francuski 548  
 Ludwik XIV, król francuski 418, 569  
 Ludwik XVIII, król francuski 548, 554  
 Ludwik Filip I, król francuski 548, 554, 565  
 Luisieri, malarz włoski 555, 556  
 Lusignanowie, ród panujący w Królestwie Jerozolimskim 232, 568  
 Lyons Edmond (?), kapitan fregaty 47, 58  
 Łukasz Ewangelista, święty 218, 552, 563, 565, 567—570, 572, 573, 591  
 Maanowie, panujący ród libański 561  
 Machabeusz Juda 569  
 Machabeusze 235, 240, 297, 569, 575  
 Magnien Emile 598  
 Mahmud I, sułtan turecki 472, 585  
 Mahmud II, sułtan turecki 299—301, 430, 472—474, 479, 483, 489—491, 497—500, 503, 504, 506, 507, 511, 513, 514, 537, 541, 562, 575, 582, 585—589  
 Mahmud, szejek Ansariuszów 333  
 Mahomet 85, 106, 128, 262, 336, 352, 393, 473, 481, 510, 561, 576, 581, 587  
 Mahomet, syn sułtana Solimana Wspaniałego i Roksolany 470  
 Mahomet (Mehmed) II, zwany Zwycięzcą, sułtan turecki 467—470, 474, 479, 480, 485, 584, 585, 587  
 Maksymilian II Józef, król bawarski 515, 587, 588  
 Malagamba, konsul w Larnace 205  
 Malagamba, wicekonsul sardyński w Haifie 202, 205, 209, 210  
 Malagamba pani, matka wicekon-sula 202, 203, 205, 209, 210  
 Malagamba, siostry wicekonsula 202—205, 209, 212, 566  
 Mansur, emir, ojciec emira Milhema 143, 332  
 Mansur, służący autora na Wschodzie 399  
 Maraszli Ali Pasza 540, 541  
 Marconi Henryk O *porządkach architektonicznych* 549, 551, 557—559, 577, 578  
 Marek Ewangelista, święty 552—565, 569, 570  
 Mariusz (Caius Marius) 37, 550, 551  
 Mars 73, 557  
 Maron pustelnik, święty 323, 575  
 Maryja zob. Najświętsza Maryja Panna  
 Masynissa, król Numidii 37, 551  
 Matatiasz, wielki kapłan 569  
 Mateusz Ewangelista, święty 550, 552, 563—565, 568—570, 573, 581  
 Mathei, bankier grecki na Cyprze 87, 442  
 Mavrides, rodzina grecka z Filipo-pola 518—521  
 Mazoyer, drogman autora w Bejrucie 105, 303, 395, 413  
 Mecenias (Caius Cilnius Maecenas) 564  
 Medyceusze 329  
 Melisanda, córka Baldwina II, króla Jerozolimy 570  
 Merisi Michelangelo zob. Caravag-gio  
 Michaud Joseph-François 6  
*Correspondance d'Orient* 6, 546  
*Histoire des croisades* 546  
*Bibliothèque des croisades* 546

## INDEKS OSÓB I POSTACI

- Michęsz 570  
 Miège, konsul francuski na Malcie 39, 47  
 Mikal, małżonka Dawida 425, 581  
 Mikołaj I, cesarz rosyjski 513, 515  
 Mikosza Józef  
     *Observacje polityczne państwa tu-  
     reckiego* 573  
 Milcjades (Miltiades) 52  
 Milenko, wojewoda serbski 534, 537  
 Milhem, emir, stryj emira Hasema 143  
 Milovanovic Mladen, senator serbski 535  
 Milton John 11  
     *Paradise Lost* 266, 309, 572, 575  
     *Paradise Regained* 309, 575  
 Miłosz I Obrenowicz, książę serbski 523,  
 525, 527—530, 538—544, 589  
 Minerwa (Atena) 77  
 Mirabeau Honoré-Gabriel Riqueti de 74  
 Mladen, wielmoża serbski (może Mi-  
 lovanovic Mladen?) 537  
 Mojżesz, 447, 563  
 Mole Louis-Mathieu de 554  
 Moler, prezes kancelarii serbskiej 541  
 Monobaz I, król Adiabene 570  
 Montagu Eduard Wortley 586  
 Montagu lady Mary Wortley 497, 586  
     *Letters from thę East* 586  
 Montaigne Michel Eyquem de 46  
 Montgrand de, znajomy autora z Marsylii  
 11  
 Montherot François de, szwagier autora  
 52, 552  
 Montherot Suzanne de, ur. Lamartine,  
 siostra autora 552, 567  
 Moore sir John 117, 560  
 Morlach, znajomy autora z Konstan-  
 tynopola 491, 493, 494  
 Morosini Francesco 75, 557  
 Mozart Wolfgang Amadeus 76, 500  
 Muhammad Ali, pasza Egiptu 103, 149,  
 153—155, 188, 224, 261, 262, 299—  
 301, 328, 389, 391, 393, 559—562,  
 566, 575, 576, 582, 586—588, 593  
 Mustafa I, sułtan turecki 471, 585  
 Mustafa IV, sułtan turecki 472, 473, 490,  
 585  
 Mustafa, syn sułtana Solimana  
     Wspaniałego 470, 471 Mustafa  
 Bajraktar, wielki wezyr  
     262, 391, 472, 473, 585  
 Nabuchodonozor (Nebokadnezar) II,  
 władca babiloński 570  
 Najświętsza Maryja Parma 180—183,  
 235, 244, 246, 298, 563, 569  
 Namik Pasza, dyplomata turecki 497—  
 500, 586, 587  
 Napoleon I Bonaparte, cesarz Francuzów  
 6, 87, 103, 132, 133, 147, 195, 201,  
 226, 300, 533, 561, 566, 568, 586, 587,  
 589, 593  
 Napoleon III, cesarz Francuzów 581  
 Nerio II Alcijoli 557  
 Neron (Nero Claudius Caesar), cesarz  
 rzymski 580  
 Neuhof Theodor von zob. Teodor I,  
 samozwańczy król Korsyki  
 Nienadovic Jakub 534, 536  
 NiksiS, metropolita 541  
 Noailles Nathalie de 593  
 Noe 226, 349, 359, 568  
 Nointel François-Charles-Olier markiz de  
 569  
 Nugent Georges Temple-Grenville (?) 48  
 Obren, pierwszy mąż matki księcia  
 Miłosza I 539  
 Obrenowicz Michał, młodszy syn księcia  
 Miłosza I 544, 589  
 Obrenowicz Milan, przyrodni brat księcia  
 Miłosza I 539  
 Obrenowicz Milan, starszy syn księcia  
 Miłosza I 544, 589  
 Obrenowicze (Obrenovici), dynastia  
 serbska 589  
 Oktawian August (Caius Julius Caesar  
 Octavianus Augustus), cesarz rzymski  
 93, 559, 567  
 Olechowski Witalis 597, 601  
 Omar I, drugi kalif muzułmański 332,  
 561, 570, 576  
 Orhan, sułtan turecki 467, 584, 585  
 Orłow Aleksiej Fiodorowicz 497, 513,  
 514, 586  
 Orłow Aleksiej Grigoriewicz 446, 582  
 Orygenes 563  
 Osjan 11, 51, 56

## INDEKS OSÓB I POSTACI

- Osman I, założyciel dynastii osmańskiej 467, 472, 473, 584  
 Osman II, sultan turecki 471, 585  
 Otton I (Otto von Wittelsbach), król Grecji 515, 553, 554, 558, 587, 588, 593  
 Ozeasz 562
- Parseval Amadée de, przyjaciel i towarzysz podróży autora 12, 120, 127, 130, 134, 218, 429, 509, 547, 548, 587  
 Parseval de, ojciec Amadeusza 547, 548  
 Patrokles (Patroklos) 451, 583  
 Paula, świata 432, 581  
 Pauzaniusz 555, 591  
 Paweł Apostoł, święty 44, 218, 372, 373, 394, 552, 567, 579  
 Pazvandoglu, pasza widyński 531  
 Perseusz 568  
 Perthier, urzędnik konsulatu francuskiego na Cyprze 87, 88, 442  
 Perykles 52, 69, 74—76, 78, 354  
 Petroni, ojciec Jerzego Czarnego 532, 533  
 Petrovic Djordje zob. Jerzy Czarny  
 Pigmalion, brat Dydony 550  
 Piłat Poncjusz (Pontius Pilatus) 571  
 Pindar 251  
 Piotr III, cesarz rosyjski 582  
 Piotr Apostoł, święty 190, 226, 563, 564  
 Pitagoras 68  
 Pitt William, Młodszy 117, 132, 560  
 Pizystrat, tyran Aten 555  
 Platon 36, 52, 66, 68, 75, 77, 83, 425, 550  
 Pliniusz Starszy (Caius Plinius Secundus) *Naturalis historia* 217, 226, 567, 568  
 Plutarch 550, 551  
 Podczaszyński Karol *Nomenklatura architektoniczna czy słowomiennik cieślących polskich wyrazów* 560, 577  
 Polignac Auguste-Jules-Armand de 548, 549  
 Pompejusz Wielki (Cnaeus Pompeius Magnus) 551  
 Ponsonby Emily 48  
 Ponsonby Frederick (John?) 39, 43, 48  
 Porębowicz Edward 550, 566
- Posejdon 557  
 Poujoulat Jean-Joseph 6 *Correspondance d'Orient* 6, 546 *Bibliothèque des croisades* 546  
 Poussin Nicolas 175  
 Poussous, ksiądz lazarysta w Damaszku 394, 395  
 Preti Mattio, zw. il Cavalière Ca-labrese 44, 552  
 Prusjasz, król Bitynii 549  
 przeor Sombreval pan na Royaumont (Sieur de Royaumont, prieur de Sombreval) zob. Lemaistre Louis-Isaac oraz Fontaine Nicolas  
 Ptolemeusz 572
- Rachela 427, 581  
 Radożycki Jan 559  
 Rafael (Raffaello Santi) 308  
     *Przemienienie Pańskie* 184, 563  
 Raymond de Saint-Gilles, hrabia Tuluzy 580  
 Ressava, wojewoda serbski 534  
 Reychman Jan  
     *Historia Turcji* 588  
 Ripert Emile  
     *Lamartine en Provence* 547  
 Robinson Theresa Albertina Luisa von Jacobi (ps. Talvj)  
     *Volkslieder der Serben* (tł.) 589  
 Roière Jean Waast de la, towarzysz podróży autora 13, 302—304, 338, 509, 548, 587  
     *Voyage en Orient* 548, 581  
 Roksolana (Haseki Hurrem), żona sultana Solimana Wspaniałego 470, 471, 585  
 Rossini Gioacchino Antonio 500  
 Rostand Bruno 10  
 Rouen, poseł francuski w Grecji 63  
 Rousseau Jean-Jacques 190, 564  
     *Les Confessions* 564  
 Roussin Albert-Reine 459, 462, 479  
 Roys de, babka autora ze strony matki 9  
 Rustem Bej zob. Calosso, oficer pie-moncki
- Safona 450. 451 Saher, pasza Akki 332  
 Saint-Simon Louis (Louis de Rouvroy de Saint-Simon) 583

INDEKS OSÓB I POSTACI

- Saladyn (Salah ad-Din), sułtan e-gipski 568, 570  
 Salomon 170, 226, 249, 264, 267, 286, 288, 292, 294, 359, 412, 414, 417, 419, 434, 435, 569, 571, 578, 580, 582  
 Salzani, bankier smyrneński 447  
 Salzani, brat bankiera 509  
 Samarytanin dobry 283  
 Samson 272, 573  
 Samuel 9  
 Sara 9  
 Sardanapal IV, król asyryjski 514  
 Sarlat, kapitan francuskiego parowca 84  
 Saul 235, 581  
 Schliemann Heinrich 583  
 Scott sir Walter 196, 565  
 Scuffo Nicolas, gubernator Eginy 67  
 Scypion Afrykański Młodszy (Publius Cornelius Scipio Africanus Minor) 37, 38, 83, 551  
 Scypion Afrykański Starszy (Publius Cornelius Scipio Africanus Maior) 38, 83, 551  
 Selim I, zwany Okrutnym, sułtan turecki 469, 470, 585  
 Selim II, sułtan turecki 588  
 Selim III, sułtan turecki 472, 490, 585  
 Sergiusz, patriarcha Konstantynopola 576  
 Sest Abbus, ksiądz druzyjski 146  
 Sest Abbusa, księcia druzyjskiego, żona 146  
 Sicheos, mąż Dydony 37, 550  
 Sima, generał serbski 537  
 Słomczyński Maciej 572  
 Słowacki Juliusz *Beniowski* 573  
     *Grób Agamemnona* 553  
     *Kordian* 548  
     *Ojciec zadzumionych w El-Arish* 566—568, 598  
     *Podróż do Ziemi Świętej z Neapolu* 591; zob. też *Grób Agamemnona*  
 Smith sir William Sidney 149, 561  
 Sokrates 52, 68, 74, 75, 80  
 Soliman (Sulejman) II, zwany Wspnianiałym, sułtan turecki 470, 471, 569, 584, 585, 603  
 Staël-Holstein Anne-Louise-Germaine de 595  
     *Corinne ou l'Italie* 578  
 Stanhope, brat lady Hester Lucy 560  
 Stanhope Charles, wicehrabia Mahon 560  
 Stanhope lady Hester, ur. Pitt 560  
 Stanhope lady Hester Lucy 112, 117—134, 167, 232, 304, 330, 339, 377, 560  
 Steble, lekarz, mąż jednej z sióstr Malagamba 566, 567  
 Stefan Duszan, car serbski 544, 589  
 Strabon 555, 563, 583  
 Stratford de Redcliffe (lord Can-ning) 81, 558  
 Sturmer von, baron, poseł austriacki w Konstantynopolu 462, 497, 515  
 Sulejman Pasza, syn i następca Dże-zara 149, 302, 575  
 Sulejman Pasza, turecki dowódca w Belgradzie 534, 538, 541  
 Sulla (Lucius Cornelius Sulla) 550, 551  
 Sułtan, emir z rodziny Harfusz, brat Jahji 333  
 Sybilla, córka Amalryka I 568  
 Szeryf Bej, gubernator Damaszku 380, 389, 391, 392  
 Szahabowie, ród panujący w Libanie 143, 146, 154, 155, 330, 561  
 Tabita 226, 568  
 Tahir Pasza, admirał 483  
 Tasso Torquato 11, 294  
     *Gofred abo Jeruzalem wyzwolona* 270, 294, 414, 573, 574, 597  
 Temistokles 68, 69  
 Teodor I (Theodor von Neuhof), samozwańczy król Korsyki 87  
 Teodora, księżniczka bizantyjska, żona sułtana Orhana 467  
 Teodoryk z Nyem (?), biskup Werden 323, 575  
 Teodozjusz I Wielki, cesarz rzymski 418, 576  
 Teokryt 292  
 Teszo, ojciec księcia Miłosza I Obrenowicza 539  
 Tezeusz 69, 554, 555

## INDEKS OSÓB I POSTACI

- Tezeusz, przywódca powstańców cypryjskich 445
- Tobiasz 9
- Tocqueville Charles-Alexis-Henri 595
- Toesca Maurice *Lamartine ou l'amour de la vie* 547, 548, 598
- Trazybulos 52
- Truqui, konsul sardyński w Konstantynopolu 454, 459, 461, 474, 487, 513, 516
- Tytus (Titus Flavius Vespasianus), cesarz rzymski 437, 570, 592
- Vaillant Auguste-Nicolas (?), kapitan korwety 84
- Vangaver, znajomy autora z Marsylii 11
- Vernazza, konsul sardyński w Adrianopolu 518
- Viallaneix Paul  
*Lamartine. Le Livre du Centenaire...* 548, 566, 589
- Villeneuve Hippolyte de 11, 547
- Voiart Anne-Elisabeth Petitpain, zwana Elise (?) 589
- Volney zob. Chasseboeuf Constantin-François, hrabia de Volney
- Warens Louise-Eléonore de la Tour du Pil, de 564
- Warnier Raymond  
*A propos du Voyage en Orient* 548, 589
- Weliko, przywódca serbski 537
- Wenus 73, 557; zob. też Afrodyta
- Wergiliusz (Publius Vergilius Maro) 190, 564  
*Eneida* 37, 465, 550, 584, 591
- Wespazjan (Titus Flavius Vespasianus) 580
- Wiktor Emanuel I, król sardyński 586
- Windakiewicz Stanisław 549
- Wisznia, matka księcia Miłosza I Obrenowicza 539
- Wiszniewski Michał  
*Podróż do Włoch, Sycylii i Malty* 552
- Wittelsbach Ludwig von, książę zob. Ludwik II, król bawarski
- Wittelsbach Maximilien von, książę zob. Maksymilian II Józef, król bawarski
- Wittelsbach Otto von, książę bawarski, syn Maksymiliana 587
- Zachariasz, ojciec świętego Jana Chrzciela 568, 569
- Zachariasz, prorok 562
- Zeangir, syn sultana Solimana Wspaniałego i Roksolany 470, 471
- Zygmunt II August 585

## INDEKS NAZW GEOGRAFICZNYCH

### Skróty

cieśn. — cieśnina; d. — dolina; g. — góra, góry; jez. — jezioro; k. — kraj, kraina; kl — klasztor; m. — miasto; miejsc. — miejscowość; prow. — prowincja; przył. — przyładek; r. — równina; rz. — rzeka; tur. — tureckie; w. — wieś; wł. — włoskie; wzg. — wzgórze; zat. — zatoka; źr. — źródło

- Abisynia 576  
Abydos, m. 336  
Adana, m. 153  
Aden, m. 576  
Adrianopol (tur. Edirne), m. 517—520, 588  
    meczet Bajazeta II 517, 518, 588  
    meczet Selimije 588  
Adriatyckie Morze 51, 530, 545  
Afryka 34, 37, 51, 52, 461, 550  
Ain-Karim (wioska Sw. Jana Chrzciciela) 235, 238, 240, 289, 297 klasztor franciszkanów (klasztor Sw. Jana na pustyni) 198, 234—240, 243, 252, 289, 297, 568, 569  
Aix 548  
Akka (Ptolemaida) 104, 118, 143—147, 151—153, 155, 171—175, 195, 196, 199, 201, 202, 205, 209, 210, 229, 261, 274, 298—302, 324, 328, 329, 333, 422, 561, 563, 566, 575  
Albania 541, 545  
Albano (Albano Laziale), m. 163  
Aleksandretta (obecnie Iskenderun), m. 96, 117, 163, 398  
Aleksandretty Zatoka (obecnie zatoka Iskenderun) 89, 413  
Aleksandria 149, 152, 300, 568  
Aleppo, m. 95, 96, 104-406, 109, 111, 118, 153, 205, 210, 256, 313, 329, 348, 391, 403, 413, 559  
Alhambrà 294  
Alpy 14, 40, 46, 84, 93, 96, 159, 169, 175, 252, 253, 348, 409, 418, 419, 435, 443; zob. też Mont-Blanc  
Amalfi, m. 551  
Amathus (obecnie Paleo-Limdssa), m. 443, 582  
Ameryka 465, 529, 530  
Amorgos (Amorhos), wyspa 83  
Anata (Anatot, Ain el-Tut, Abu Gosz), w. 231, 232, 234, 297, 298, 429, 437, 568, 581  
    kościół Sw. Jeremiasza 231  
Anatolia, k. 559, 575  
Anglia 6, 23, 41, 42, 48, 71, 72, 117, 129, 147, 339, 376, 411, 486, 509, 549, 552, 553, 558—560, 575, 586  
Anohesmus, g. 68  
Antiochia 106, 411, 413, 576  
Antura, ki. 304, 325, 334, 336—340, 576  
Antyliban 143, 235, 332, 348—350, 359, 363, 364, 370, 371, 373, 375, 379, 395, 401—403, 579, 580  
Apamea, m. 323  
Apeniny 409  
Apollonia (Appolonia Sozusa, Asruf), m. 220, 567  
Arabia Ül, 118, 128, 189, 208, 210, 220, 221, 233, 241, 247, 252, 260, 262, 267, 275, 279, 282, 290, 295, 300, 489, 494, 575  
Arabia Pustynna (Arabia Deserta) 393, 572, 579  
Arabia Skalista (Arabia Petrea) 263, 267, 270, 277, 278, 289, 292, 332, 572, 579  
Arabia Szczęśliwa (Arabia Felix) 393, 572, 579



INDEKS NAZW GEOGRAFICZNYCH

- Arabistan 559  
 Archipelag (his. nazwa części Morza Śródziemnego) 12, 47, 54, 85, 87, 91, 402, 428, 443, 444, 483, 573, 590  
 Arda, rz. 518  
 Argolidzka Zatoka 60  
 Argos, m. 60, 61, 471, 553, 554, 585 Grób Agamemnona (Skarbiec At-reusza) 61, 62, 553  
 Arkadia, k. 61, 193, 553  
 Arta, zat. 558  
 Arymateja zob. Ramia  
 Asfaltitis jez., Asfalty da, Asfaltowe Morze zob. Martwe Morze  
 Askalon, m. 222  
 Asyria 287  
 Ateny 47, 66, 68—72, 74, 77, 78, 81—83, 91, 207, 355, 368, 384, 448, 515, 554, 555, 557, 588, 598 Akropolis (skala Setines) 68, 69, 72, 78, 79, 178, 354, 554—557 Areopag 72  
 Erechteion (świątynia Erechteja, czyli Kariatyd) 76 Droga Święta 78 Latarnia Demostenesa 72, 556 Łuk (Brama) Hadriana 72, 555, 556 Łuk Lazory (inna nazwa Łuku Hadriana?) 72, 556 Nymfajon (Wzgórze Nimf) 72, 556 Olympejon (świątynia Zeusa Olimpijskiego) 70, 83, 555 Partenon (świątynia Minerwy) 68, 69, 72, 73, 75—79, 91, 295, 350, 354, 356, 448, 512, 555, 557 Pnyks 72, 74 Propyleje 76 Tezejon 72, 73, 555 Wieża Wiatrów 72, 556  
 Attyka 68, 70, 75, 77, 79, 83, 554  
 Augusta, okrąg 150  
 Austria 532, 533, 542, 586  
 Awinion 530  
 Azja 10, 52, 84—87, 90, 92, 95, 96, 136, 153, 176, 185, 233, 257, 295, 310, 335, 340, 342, 343, 352, 353, 381, 402, 403, 444—446, 451—453, 456, 461, 465, 468, 469, 474—478, 485—489, 496, 497, 499, 500, 507, 508, 513, 514, 519, 530, 549  
 Azja Mniejsza 47, 287, 300, 422, 423, 428, 443, 446, 447, 467, 474, 489, 515, 550, 583  
 Baalbek (Heliopolis) 118, 151, 235, 287, 304, 324, 329, 332, 333, 341, 342, 348—377, 388, 395, 399, 400—403, 406, 436, 438, 512, 576, 578  
 Babilon 562  
 Bagdad 93, 101, 102, 105, 119, 353, 373, 378, 381, 388, 393—395  
 Baj dar zob. Murad Beja kan  
 Bali-dagh, wzg. 583  
 Bałkan (Bałkany, Hemus, Haemus, Haimos) 509, 520, 522, 588, 589  
 Bałkański Półwysep 588  
 Bassora, m. 353, 378, 381  
 Baszan (obecnie Hauran), płaskowyż 417  
 Batrum, przyl. 96, 159, 334, 412  
 Bdiman, ki. 576  
 Becharri, w. 416, 417  
 Bejrut (Berytos, Colonia Julia Augusta Félix Berytos) 92—94, 96—99, 101—105, 111, 113, 115, 120, 152, 159, 163, 166, 167, 189, 227, 289, 304, 305, 307, 309, 315, 319, 322, 324, 329, 330, 334, 337, 340, 342, 370, 399, 411, 422, 559, 577—580  
 Bejt Marun, ki. 575  
 Bekaa, d. 151, 304, 323, 332, 348, 366, 399, 400, 403  
 Belgia 463  
 Belgrad, Las Belgradzki (obok Konstantynopola) 496, 509, 586  
 Belgrad (stolica Serbii) 516, 525, 534, 535, 538, 539, 541, 544, 588, 589  
 Belus, potok 134  
 Bergues (Bergues-Saint-Winoc), m. 579  
 Berlin 587  
 Berno 524, 529  
 Betlejem 138, 198, 202, 224, 229, 236, 240, 249, 288, 289, 297, 423, 431, 432, 434, 435, 562, 574, 581, 592, 598  
 bazylika Narodzenia 288, 431—434, 581  
 kaplica (i źródło) Niewiniątek 432, 582  
 kaplica Złobka 432, 433 klasztor franciszkanów 288, 432 kościół Sw. Katarzyny 581  
 Bet-Szihabi, w. 143  
 Betulia, w. 267  
 Biały przyl. zob. Ras el-Abiad

INDEKS NAZW GEOGRAFICZNYCH

- Bitynia 300, 443, 549, 583 Bizantyjskie  
 Cesarstwo 52, 576, 584,  
     598 Bizerta, przył. 37 Boreion, g. 553  
 Bosfor 46, 235, 279, 300, 454—457,  
     466, 472—475, 477, 478, 481—490,  
     496, 498, 499, 504, 507—511, 513—  
     —515, 582, 583, 587  
 Bośnia 530, 536, 561  
 Bresse, m. 402  
 Brundisium (obecnie Brindisi) 564  
 Brussa 467, 471, 477  
 Bteddin, wzg. 135—137, 142, 157, 158  
 Bujukdere 485—488, 496, 497, 509,  
     510, 513, 517, 586  
     Dolina Róż 496, 513  
 Bułgaria 530, 588  
 Bunarbaszi, w. 583  
 Burghaz-Owa, r. 565  
 Burgundia 351  
  
 Carloforte, miejsc. 549  
 Castellammare 162, 193, 453  
 Castello Rosso (obecnie Kastelorizon),  
     wyspa 443, 444, 582  
 Castel Peregrino (Adarn, Petra incisa)  
     213—217, 567  
 Cedrowa Góra 151  
 Celesyria, d. 397, 579  
 Cerigo zob. Cytera  
 Cezarea 216—218, 567, 57)  
 Chał dej a 287  
 Chambery 97, 547, 564  
 Charan, k. 581  
 Charmettes, les 190, 564  
 Cheveniing 560  
 Chiny 576, 592  
 Chios, wyspa 446, 451  
 Chorasán, prow. 389  
 Chromius, g. 56  
 Cyklady 83  
 Cylicja, k. 575, 576  
 Cypr 6, 84, 86—89, 106, 149, 162, 205,  
     254, 287, 415, 431, 441—443, 445,  
     551, 558, 576, 582  
 Cytera (wl. Cerigo, obecnie Kithira) 53,  
     54, 58, 553  
 Czarne Morze 481, 486, 487, 496, 513,  
     588  
 Czerwone Morze 280  
 Czesmeńska Zatoka 446, 582  
  
 Dahr el-Kodib, g. 580  
 Dalmacja, k. 539, 588  
 Damaszek 93, 103—105, 111, 118, 139,  
     143, 145, 147, 151—154, 235, 273,  
     274, 298, 313, 315, 322, 324, 328—  
     330, 341, 342, 353, 359, 370, 372, 373,  
     375—399, 401, 402, 404, 406, 410, 412,  
     495, 578, 579, 587 kan Hassad Paszy  
     392  
 Damietta, m. 223, 440  
 Dardanele 85, 452, 454, 550, 584, 586  
 Deir el-Kamar, m. 134, 135, 142, 149,  
     150, 152, 157, 158, 333, 347  
 Deir Serkis, ki. 418  
 Deligrad, m. 534, 535  
 Dijon 518  
 Dolina Cedrów 227  
 Dolina Świętych (właśc. Dolina rzeki  
     Świętej) 416, 417, 419—421, 580  
 Drina, rz. 534, 536  
 Dunaj 524, 525, 530, 531, 534—536, 545  
 Dunkierka 548  
 Dżani, miejsc. 150  
 Dzebeil (Gebał, Byblos) 412, 580  
 Dżiun (Ajouni, Dahar-June, Dżun),  
     miejsc. 118, 120, 122, 130, 134, 560  
  
 Ebro, rz. 576  
 Eden, raj 275, 309, 310, 397, 417, 580  
 Edom, k. 579  
 Efez, m. 446, 480, 481  
 Egejskie Morze 69, 74, 77, 586  
 Egina, wyspa 66—68, 77 świątynia Afai  
     66, 554, 657 świątynia Jowisza  
     Panhelleńskie-go (?) 68, 77, 554  
 Egipska Pustynia 319, 423  
 Egipt 85, 89, 97, 121, 136, 147—149,  
     152, 154, 155, 166, 168, 195, 198, 222,  
     227—229, 240, 273, 274, 287, 298,  
     300, 301, 329, 388, 393, 418, 422, 423,  
     434, 441, 443, 469, 499, 559, 566, 568,  
     570, 572, 575, 576, 581, 585, 587,  
     591—593  
 Ehden, w. 151, 413—419, 580  
 El-Arisz (El-Arish), m. 226, 289, 319,  
     424, 566, 568  
 el-Burak zob. Kal'at el-Burak  
 Elida, k. 250  
 El Kantara, źr. 167, 168  
 El Mutna, w. 331  
 Emaus zob. Hammat

## INDEKS NAZW GEOGRAFICZNYCH

- Emaus (między Jaffą a Jerozolimą) 565  
 Engadia, miejsc. 249  
 er-Ras (Modin?), wzg. 575  
 Etna 268  
 Etruria, k. 287  
 Eubea (wł. Negroponte), wyspa 81, 558  
 Eufrat, rz. 389, 579  
 Euksyn, rz. 496  
 Europa 7, 13, 52, 74, 84, 85, 87, 110, 111, 115, 117, 119, 122, 123, 126, 129, 139, 147, 153, 164, 172, 184, 188, 195, 202, 210, 221, 231, 233, 237, 238, 240, 243, 254, 257, 262, 277, 289, 293, 294, 299, 304, 305, 307, 311, 325, 328, 329, 337, 340, 342, 352, 370, 372, 373, 375, 377, 381, 385—387, 390, 399, 410, 433, 443, 445, 446, 452, 453, 462, 463, 465, 467, 468, 472, 474—478, 485—487, 490, 495, 498—500, 503, 508, 509, 519, 530, 551, 574, 593, 594, 598, 603  
 Eurotas (obecnie Wasilipotamos, w dolnym biegu Iri), rz. 56, 185, 553  
 Ezdrelon (obecnie Jezreel), r. 184, 185  
  
 Fahr ad-Din (Fakardin), promenada Bejrutu 342  
 Faleron, port 77  
 Fenicja 35, 562  
 Ferrara 574  
 Filipopolis (obecnie Płowdiw) 518— — 521, 588  
 Florencja 329, 330, 391, 469, 554  
 Foglieri (Fokaja, tur. Fodza), m. 450, 583  
 Fontainebleau 78  
 Francja 6, 11, 15—17, 20, 21, 27, 41, 50, 61, 63, 65, 72, 74, 84, 95, 97, 126, 147, 167, 169, 183, 189, 196, 224, 238, 336—340, 373, 376, 377, 381, 385, 394, 406, 411, 412, 423, 442, 443, 462—464, 486, 502, 522, 530, 531, 546, 552, 553, 558, 563, 574, 575, 586, 587, 593—596  
  
 Gaeta, zat. 23  
 Galilea 172, 176, 179, 189, 212, 219, 235, 241, 251, 332, 343, 348, 397, 422, 563  
  
 Galilejskie Morze zob. Genezaret  
 Gallipoli (obecnie Gelibolu), port 452  
 Ganges, rz. 179  
 Gaza, m. 222, 226, 319, 423, 439  
 Gazyr, m. 150  
 Gebal zob. Dżebedl  
 Genewa 276, 455  
 Genewskie Jezioro 23, 185, 346  
 Genezaret jez. (Morze Galilejskie, Morze lub Jezioro Tyberiadzkie) 173, 184, 185, 187—190, 192—194, 343, 348, 564  
 Genua 45  
 Genuńska Zatoka 338  
 Gesser Kadi, most 144  
 Getynga 587  
 Gibel 145, 148, 149  
 Gibel-Biscarra, k. 150, 151  
 Gibes, k. 150, 151  
 Gilboa, g. 192, 200  
 Gomora, m. 280, 573  
 Gozo (Gozzo), wyspa 39  
 Góra Błogosławieństw 564  
 Grecja 36, 46, 52, 53, 60, 63, 64, 67— — 69, 71, 72, 81, 85, 175, 198, 218, 253, 287, 445, 448, 512, 515, 531, 541, 548, 552—556, 558, 564, 573, 576, 587, 588, 590, 592, 593, 596  
 Greenwich 503, 587  
 Grenada, m. 40, 294, 593  
 Grenoble, m. 97  
 Grób Agamemnona (Skarbiec Atreu-sza) zob. Argos  
  
 Haifa 199, 201, 202, 205, 206, 210, 214, 298, 422  
 Hama (Hama), m. 334, 348  
 Hammana (obecnie Quadi Hama-na), w. 345, 347, 348, 406—409, 416, 427, 577  
 Hammat (gr. Emaus), źródła kapielowe 190, 194, 564  
 Hebron, m. 233, 289, 579  
 Heliopolis zob. Baalbek  
 Hellespont zob. Dardanele  
 Hemus zob. Bałkan  
 Herkulanum, m. 250  
 Hermon, g. 173, 193, 565  
 Hindustan 334  
 Hisarlik, wzg. 583  
 Hiszpania 6, 84, 117, 122, 183, 198, 236, 237, 431, 463, 546, 576, 587

## INDEKS NAZW GEOGRAFICZNYCH

- Homs, m. 104, 118, 146, 155, 166, 300, 334, 348, 401, 562  
Hondschoote, miejsc. 13, 548, 579  
Hunkjar-Skelessi 586, 588  
Huran 148 Husbei, w. 143  
Hydra, wyspa 60, 64, 67, 553  
Hymet (Hymettos), g. 68, 70, 78, 555
- Ida, g. 451  
Idumea, k. 89, 206, 279, 280, 397, 579  
If (Château d'If), forteca 18  
Ikaria, wyspa 446  
Ilissos, rz. 77, 83  
Indie 36, 267, 287, 328, 395, 397, 418, 576  
Interlaken, m. 485  
Iskia (Ischia), wyspa 453  
Italia zob. Włochy Izmir zob. Smyrna  
Iznicka Zatoka 452, 583  
Iznid (Izmid) zob. Nikomedia  
Iznidzka Zatoka 583  
Iznik zob. Nicea
- Jaffa (Jafa, Joppa) 104, 173, 198, 220—230, 236, 279, 289, 298, 422, 423, 427, 431, 437, 439, 531, 565, 568, 574, 577  
Jagodina (obecnie Svetozarevo) 527, 536, 538, 589  
Japonia 592  
Jemen 576  
Jenikej, w. 520-^522  
Jeremiasza wioska zob. Anata  
Jerozolima 5, 68, 91, 105, 111, 118, 128, 130, 173, 177, 190, 196, 219, 224, 225, 229—231, 233, 234, 236, 238—244, 246—253, 255, 260, 261, 263, 265—267, 273, 279, 280, 282—284, 288—291, 295—297, 353, 422, 426, 428—431, 435, 437, 439, 548, 551, 565, 569—571, 574, 578, 581, 591, 595, 597, 598  
bazylika (kościół) Grobu Świętego 244, 249—260, 284, 290, 392, 422, 435, 436, 571, 572, 579 Betesda zob. sadzawka Owcza brama Bab el-Daud (Bab en Nebi Daud) 436  
brama Betlejemka 243, 253, 263, 430  
brama Damasczeńska 244, 250, 435, 573  
brama Pielgrzymów 435  
brama Syjeńska 250, 436, 574  
brama Sw. Stefana 244  
Cedron 244—246, 265, 284, 291  
Dolina Jozafata 244—247, 251, 252, 260, 263—267, 283, 286, 288, 291, 436, 570, 581  
Dolina Płaczu zob. Dolina Jozafata  
dom Kajfasza 291, 574  
dom św. Weroniki 254, 571  
dom Zydą Wiecznego Tułacza 254, 571  
Droga Krzyżowa (Droga Bolesna) 260, 571, 572  
Getsemani (Ogrójec) 244, 246, 283—285, 570  
Golgota zob. Kalwaria Góra Oliwna 242, 244—247, 249, 255, 262, 265, 267, 283, 284, 291, 570, 572; zob. też Góra Zgorszenia Góra Zgorszenia (Mons Offensio-rai, Mons Scandali) 265, 267, 572  
groby królewskie (groby rodziny Heleny, królowej Adiabene) 246, 265, 284, 288, 435, 436, 570  
groby patriarchów 246  
grób Absaloma 265, 286, 573  
grób Jozafata 265  
grób Najświętszej Maryi Panny 244, 245, 284, 570  
Grób Święty zob. bazylika Grobu Świętego  
Kalwaria 249, 257, 435, 571, 592  
klasztor Ormian 260 klasztor zakonników Ziemi Świętej 253, 254, 255, 296, 430, 431  
kościół Zaśnięcia NMP 574  
Kubbet es-Sachra zob. meczet Omara meczet el-Aksa 263, 570  
meczet Omara (Kubbet es-Sachra, Kopała nad Skałą) 244, 248, 261—263, 291, 569, 570  
Moria, wzg. 569, 571  
mury Jerozolimy 243—245, 247, 248, 250, 265, 290, 296, 435, 437, 569  
pałac (grobowiec) Dawida 250, 251, 260, 263, 266, 290, 428, 436, 571, 581  
pretorium 254, 571

- sadzawka Owca (Betesda) 244, 569  
 świątynia Salomona 244, 248, 260, 261, 264, 291, 412, 570, 580, 592; zob. też meczet Omara Siloam, g.: 286; sadzawka (źródło?): 263, 265, 266, 286, 574; w.: 266, 437  
 Syjon, g. 173, 208, 247—252, 257, 260, 284, 289, 290, 437, 565, 571, 574  
 Wieczernik 436, 437, 571  
 wieża Dawida 290, 291, 427, 574  
 wieża Pizańczyków zob.  
 Wieża Dawida  
 źródło Najświętszej Maryi Panny (Gichon?) 266, 290, 572  
 Jerozolimskie Królestwo 232, 551, 568  
 Jerycho 228, 233, 249, 260, 261, 263, 266—269, 271—273, 275, 276, 278, 281, 282, 292, 591  
 Jong-Mikael, w. 149, 150  
 Jong-Monsbak, w. 150  
 Jonia 46  
 Jońskie Morze 36  
 Jordan, rz. 184—188, 193, 199, 225, 263, 267, 270, 273, 274, 276—280, 348  
 Judea 173, 176, 179, 187, 193, 219, 220, 224, 225, 228, 230, 233, 234, 237, 241, 251, 252, 260, 261, 263, 270, 27—280, 282, 427, 436, 567, 570, 571, 579  
 Jura Szwabska 31, 419  
 Kadisza, Nahr Kadisza (rzeka Święta) 417, 418, 580  
 Kafarnaum 190, 564  
 Kair 226, 353, 561  
 Kalabria 33  
 Kal'at el-Burak 562, 563, 582  
 Kalkuta 42  
 Kamienica, miejsc. 536  
 Kampania rzymska 83  
 Kanaan zob. Ziemia Święta  
 Kana Galilejska 194, 195, 565 dom Natanaela (św. Bartłomieja Apostoła?) 195, 565 dom przemiany wody w wino (kościół Cudu) 195, 565  
 Kandla (obecnie Iraklion), m. 91, 149  
 Kannobin, ki. 325, 335, 417, 418, 576  
 Kapadocja 300, 443, 581  
 Karamania, k. 6, 84, 117, 166, 262, 300, 301, 422, 431, 443, 444, 495, 515  
 Karan, pro w. 154  
 Karmel, g. 159, 163, 172, 173, 189, 199, 200, 201, 205—209, 212, 298, 422  
 grota Eliasza 200, 206, 207, 209, 566  
 klasztor karmelitański 201, 206, 212  
 Kartagina 34, 35, 37, 38, 549—551  
 Kastravan, g. 339, 412  
 Kaukaz 467, 585  
 Kefisos, rz. 185  
 Kezruan, k. 145, 148, 150, 151, 339, 411  
 Kipczak 585  
 klasztor Sw. Jana na pustyni zob.  
 Ain-Karim Kolonos, przyl. zob. Sunion  
 Konia, w. 151, 300, 391, 560, 579  
 Konstanca, m. 575 Konstantynopol (Stambuł) 72, 117, 138, 152, 154, 198, 235, 252, 255, 262, 330, 397, 398, 430, 445, 453—517, 526, 540, 550, 555, 556, 559, 571, 576, 579, 582—586, 588  
 At Mej dani (Hipodrom) 473, 477, 511, 585  
 bazyry 491—496  
 bazylika (kościół) Mądrości Bożej (Sw. Zofii) 255, 468, 476, 477, 479, 480, 517, 571, 585  
 Bejlerbej 483, 489, 491, 498, 500  
 Beszyktasz 473  
 brama Sw. Romana 468  
 Dolma Bagcze 584  
 Dywan 501  
 Eyub (Ejub) 457, 510, 511, 515, 516, 584  
 Galata 457, 459, 466, 474—478, 510  
 meczety 480, 481  
 meczet Achmeda 477  
 meczet Bajazeta 477, 481  
 meczet Hagia Sophia zob. bazylika Mądrości Bożej  
 meczet matki sultana Achmeda 477  
 meczet Solimana II 470, 477  
 mury Konstantynopola 511—513  
 pałac sultański 467, 483  
 Pera 454, 457—459, 466, 474—477, 482, 496, 505, 509, 510  
 Przyszań Umarłych 477  
 Seraj 455—457, 466, 467, 471—473,

## INDEKS NAZW GEOGRAFICZNYCH

- 475—479, 490, 491, 497, 501, 502,  
505—507, 584  
Skutari 456, 467, 476, 478, 491, 497,  
507  
Słodkie Wody (azjatyckie) 488,  
517, 584  
Słodkie Wody (europejskie) 457,  
466, 474, 477, 510, 512, 584  
Top Hane 482  
Wieża Leandra (Wieża Dziewczyny,  
Kis Kulesi) 456, 484,  
Zamek Siedmiu Wież (Jedi Kule)  
452, 453, 471, 511, 583  
Złota Brama (Porta Aurea) 583  
zob. też Bosfor, Bujukdere, The-  
rapia, Złoty Róg Kordoba (obecnie  
Kordowa), m. 40, 587  
Korfu, wyspa 42  
Korsyka 559  
Koryncka Zatoka 77  
Koryncki Przesmyk 67, 72, 554  
Korynt 66, 77,  
    Akrokorynt 66, 67, 554  
Kos, wyspa 445, 446, 582  
Kragujevac, m. 532, 542, 544, 589  
Kreta 60, 287  
Krio, przyl. 445  
Krusedol, ki. 533  
Kurdystan 585  
Kutahya, m. 588
- La Ciotat, zat. 10, 22—24, 27  
Lacjum, k. 553  
Lakonia, k. 56, 59, 553  
Larnaka, m. 87, 205, 441  
Latakia (Laodycea), m. 93, 96, 111, 117,  
152, 153, 163, 227, 324, 333, 371, 411  
Latrun, m. 565, 581  
La Valletta, m. 39, 43  
    kościół Sw. Jana 44, 552  
Lemnos, wyspa 451  
Lesbos (Mitylena), wyspa 450, 451, 583  
Lewant 47, 594, 603  
Liban 7, 88—91, 93, 96, 97, 99—102,  
104, 109, 113, 118—121, 133—137,  
143—145, 147, 149—152, 154, 155,  
157, 158, 160—163, 165, 166, 168—  
170, 175, 176, 189, 192, 210, 226, 227,  
235, 254, 267, 279, 280, 286, 292,  
304—310, 313—316, 319, 320,  
323, 324, 326—330, 332—334, 338,  
340, 342—349, 353, 359, 363, 377,  
395, 400—402, 404—407, 409, 410,  
413—420, 422, 559, 562, 565, 568,  
575, 576, 578, 579, 595  
Libia 562  
Libijska Pustynia 173  
Lillers, ki. 563  
Limassol, port 441  
Livorno, m. 103, 566  
Loara, rz. 463  
Lombardia 376  
Londyn 103, 447, 457, 499, 557, 586, 593  
Lonica, miejsc. 536  
Lozanna 340  
Lucerna 485, 524, 529  
Lucerneńskie Jezioro (Czterech Kan-  
tonów) 25, 446  
Lukka, m. 103  
Liitzen, m. 537, 589  
Lyon 340, 397, 443, 463, 518, 530
- Macedonia 519, 520  
Mâcon 340, 547, 548  
Maczwa, miejsc. 540  
Makri, zat- 117, 301, 422, 444  
Magnezja (obecnie Manisa), m. 515,  
588  
Maleas (Malia, Malea, wł. Sant' An-  
gelo), przyl. 57, 58, 553  
Malta 24, 39, 42, 44, 46—48, 84, 117,  
149, 551, 552, 558, 566  
Maraton 77  
Marcautre, obwód 146  
Mar-Dżebaa, twierdza 333  
Marica (starożytna Hebros), rz. 518  
Marmara, morze 452, 453, 455—457,  
466, 474—479, 491, 504, 505, 507,  
509, 511, 516, 583  
Mar Meri, obwód 145  
Marmoriza, zat. 84, 117, 301, 444, 445  
Maroko 587  
Marsylia (Massalia, Massilia) 9—11,  
17—19, 94, 447, 450, 547, 566  
Martwe Morze (Asfaltyda, Jezioro  
Smolne, Morze Asfaltowe) 229,  
247, 251, 252, 260, 261, 263, 266,  
267, 270, 273, 278—280, 290—292,  
344, 368, 573  
Masjad, m. 333  
Matapan, przyl. 53  
Medyna, m. 393, 504, 561, 576

## INDEKS NAZW GEOGRAFICZNYCH

- Mekka, m. 147, 257, 283, 303, 330, 382,  
 393, 395, 467, 504, 561, 587  
 Kaaba 257, 504, 574  
 Meles, rz. 447, 582  
 Memfis, m. 438  
 Mensa Christi, skala 196, 565  
 Meudon, m. 476  
 Mezopotamia 91, 118, 120, 231, 267,  
 273, 280, 287, 315, 372, 373, 375, 570,  
 576  
 Milly, miejsc. 20, 55, 548, 549  
 Mitylena zob. Lesbos Mityleńska Cieśnina  
 450  
 Moab, k. 290  
 Modin (Modiin), wzg. 235, 240, 297,  
 569, 575  
 Modon, zat. 52  
 Moktur, miejsc. 154  
 Monemvasia (wł. Napoli di Malva-  
 sia), przyl. 56, 553  
 Mont-Blanc 405  
 Montredon, zat. 13  
 Morawa, rz. 528, 536, 539, 540, 545  
 Morea zob. Peloponez Mukhalid, w. 218  
 Murad Beja kan (obecnie Bajdar),  
 miejsc. 404, 405, 579  
 Mykeny 553  
  
 Nablus, m. 172, 173, 189, 252, 253, 261,  
 262, 267, 269, 437  
 Nahr Bejrut, rz. 311—316, 319, 342, 343  
 Nahr Kadisza zob. Kadisza  
 Nahr el-Arsuf, rz. 220  
 Nahr el-Kebir, rz. 339  
 Nahr el-Kelb (rzeka Psia) 150, 305, 334,  
 339  
 Nahr el-Petras, rz. 220  
 Nahr er-Zerka (rzeka Błękitna, Cro-  
 codilon, Hataninim, Szichor-Li-bnat)  
 217, 567  
 Napoli di Malvasia zob. Monemvasia  
 Nauplia (obecnie Nafplion), m. 47, 60, 62,  
 63, 552—554, 558, 582  
 Navarino (obecnie Pylos), m. 52, 331,  
 552, 558  
 Nazaret 173, 177—184, 189, 190, 194—  
 —196, 199, 200, 304 kościół  
 Zwiastowania 181—183, 563 klasztor  
 zakonników Ziemi Świętej 181—183,  
 195, 196, 198, 199  
  
 Neapol 23, 38, 45, 162, 163, 190, 318,  
 338, 379, 409, 453, 564  
 Posilippo 190, 564  
 Neapolitańska zatoka 40, 453, 455  
 Negropont zob. Eubea  
 Nicea (gr. Nikaja, tur. Iznik), m. 583  
 Nicejska Zatoka zob. Iznicka Zatoka  
 Niegotin 537  
 Niemcy 41, 84, 515, 532, 587  
 Nikomedia (obecnie Iznid, Izmid) 477,  
 583  
 Nil 179, 469  
 Nilka, skala 330  
 Niniwa, m. 562, 568  
 Nisyros, wyspa 445  
 Nisz, m. 522, 523, 527, 533, 536, 588, 589  
 Notre-Dame de la Garde, wzg. 19  
 Nowy Bazar (Novi Pazar), m. 540  
 Nowy Rzym (Roma nova) zob. Kon-  
 stantynopol  
  
 Olimp (w Bitynii, obecnie Kardûz  
 Jajla), g. 453, 466, 477, 478, 582 Olimp  
 (na Cyprze), g. 88, 443 Olimp (w Grecji),  
 g. 53 Orontes (obecnie Asi), rz. 323,  
 413 Owernia 64, 157, 351, 522  
  
 Paestum, m. 38, 52, 163, 249  
 Pafos, m. 443, 558, 582  
 Palamidi, zamek 60, 61  
 Palestyna 109, 119, 166, 177, 179, 199,  
 206, 224, 232, 236, 237, 251, 434,  
 531, 559, 575, 576, 581, 585, 592;  
 zob. też Ziemia Święta Palma, zat. 32, 34  
 Palmira (Tadmor, Tadmur) 118, 232,  
 304, 359, 377, 387—389, 396, 578, 592  
 Pantelleria, wyspa 38  
 Paros, wyspa 364  
 Paryż 103, 335, 337, 338, 381, 395,  
 447, 463, 509, 548, 577, 579, 586,  
 587, 596, 599  
 Peloponez (Morea) 47, 52, 62, 68, 153,  
 402, 445, 515, 519, 553, 582  
 Pentelikon, g. 68, 77, 78  
 Persja 267, 316, 332, 395, 398, 418,  
 576  
 Petersburg 498  
 Piemont 497, 586  
 Pireneje 253

## INDEKS NAZW GEOGRAFICZNYCH

- Pireus 68, 69, 77, 83  
 Piskopia, wyspa 445  
 Podole 585  
 Polska 463, 585, 598, 603  
 Pomègues, wyspy 11, 18  
 Pompeja 250  
 Pont, k. 300, 443  
 Pontyjskie (właśc. Pomptyjskie)  
     Bagna 33, 423  
 Porecz, wyspa 536, 537  
 Porta zob. Turcja Portici, m.  
     193  
 Portugalia 198  
 Posilippo zob. Neapol  
 Procida, wyspa 453  
 Prowansja 1.1, 22, 318  
 Prusy 589  
 Psia rzeka zob. Nahr el-Kelb Ptolemaida  
 zob. Akka Puteoli (obecnie Pozzuoli),  
     m. 564  
  
 Ramia (Rama Efraimowa, Aryma-  
     teja), w. 224, 227—230, 233, 298,  
     423, 424, 426, 432, 568  
     meczet Dżami el-Abiad 581 Wieża  
     Czterdziestu Męczenników  
     424, 426, 580, 581  
 Ras el-Abiad (przylądek Biały) 171, 172  
 Reggio Emilia, m. 294, 574  
 Ren 65, 463  
 Richmond 23  
 Rodan, rz. 160, 185, 276, 455  
 Rodopy, g. 518  
 Rodos, wyspa 44, 63, 84, 86, 117, 301,  
     422, 444—446, 551, 553,  
     ulica dei Cavalieri 84, 553  
 Romania, k. 33  
 Rosja 494, 500, 536, 537, 552, 553, 538,  
     575, 582, 587, 588, 589, 596  
 Rouen 463  
 Rudnik, miejsc. 538  
 Rumelia, k. 588  
 Ruszczuk, m. 585  
 Ryd, m. 144  
 Rzym 38, 44, 45, 52, 57, 72, 74, 83, 163,  
     183, 198, 207, 249, 287, 325, 335,  
     337, 355, 384, 453, 469, 551—  
     553, 564, 567, 576, 581, 592, 598  
     Koloseum 24, 213, 242, 350, 356  
     kościół Sant' Andréa della Valle 552  
     świątynia Jowisza Statora 356  
     źródło Egerii 83  
     zob. też Watykan  
  
 Sabaudia 26, 61, 64, 157, 165, 402, 409,  
     521  
 Sabinów kraj (między LacjUm i Um-  
     bria) 57  
 Safad, g. 274, 330, 332, 348  
 Saida (dawniej Sydon) 35, 93, 96,  
     104, 106, 111, 118, 121, 152, 159,  
     163, 167, 173, 221, 227, 304, 320,  
     332, 333, 343, 563  
 Saint-Cloud 476, 549  
 Saint-Denis, opactwo 19  
 Saint-Point, miejsc. 13, 25, 83, 196,  
     341, 548, 565  
 Saksonia 165  
 Salamina, wyspa 68, 77  
 Salomona cedry 286, 411, 414—419  
     580  
 Samaria, k. 173, 189, 200, 261, 262  
 Samos, wyspa 446, 483, 586  
 San Antioco (wyspa Sw. Antiocha)  
     33, 549  
 Sannin, g. 90, 115, 340, 343, 349, 363  
 San Pietro (wyspa i zatoka Sw. Piotra) 31,  
     32, 549  
 Sant' Angelo zob. Maleas Saona, rz. 23,  
     160 340, 548  
 Sardynia 31—33, 205, 549  
 Sardynii Królestwo 586  
 Sariońska Zatoka 66, 68, 77, 554  
 Satala, m. 444 Satalijska Zatoka 443  
 Sawa, rz. 532, 533  
 Scalanova, zat. 446  
 Sebaste (obecnie Sivas), m. 581  
 Sefora, r. 177  
 Sefforis (Seferwaim, starożytna Dio-  
     cezarea), m. 177, 178, 235, 563, 569  
 Sekwana 23, 52, 476  
 Semlin (obecnie Zemun), m. 521,  
     525 527 588  
 Serbia 522—531, 533—538, 541, 542,  
     544, 545, 588, 589, 596, 601  
 Sewilla 40, 294  
 Sienica 539  
 Sigejon, przyl. 36, 550, 583  
 Skamander (Kuctik Menderes), rz.  
     583  
 Skiritis, prow. 553  
 Smederevo, m. 538  
 Smyrna (obecnie Izmir), m. 46, 63,



- 85, 149, 353, 428, 446—448, 566,  
582, 588  
most Karawan 447  
Smymeńska Zatoka 446, 449, 450  
Sodoma, m. 280, 573  
Sofia 519, 522, 523  
Solima 146  
Sorrento, m. 163  
Souba, w. 575  
Spetse (Pityussa, wł. Spezzia), wyspa 64,  
554  
Stambuł- zob. Konstantynopol  
Stampalia, wyspa 83  
Stives zob. Teby  
Stolica Święta zob. Watykan  
Studnia Hioba (Bir Ejjub) 230, 231, 581  
Studnia Jakuba 427(?), 581  
Studnie Salomona 170, 172, 304, 427,  
435, 562, 563, 582  
Sudan 575  
Sunion (Kolonos), przyl. 36, 38, 66, 83,  
550, 554, 592  
Sur zob. Tyr  
Sychem, m. 189  
Sycylia 31, 38, 46, 576  
Sydon zob. Saida  
Syjon zob. Jerozolima  
Syrakuzy 552  
Syria 6, 82, 84, 85, 89, 93, 94, 101, 104—  
106, 109, 117—120, 134, 137, 143, 147,  
149, 152, 155, 161—163, 166, 167, 171,  
172, 188, 195, 198—200, 202, 205,  
222, 225, 227, 253, 254, 262, 271, 272,  
275, 282, 287, 289, 298—301, 307,  
316, 320, 323, 324, 328—330, 332,  
334, 335, 337—339, 341, 343, 347,  
350, 359, 370, 376, 377, 384, 387, 389,  
391, 394, 399, 402, 404, 407, 411—  
413, 422, 432, 434, 441—443, 489,  
494, 559—561, 565, 568, 575, 576,  
579, 585, 587, 595  
Szabac, twierdza 534, 538  
Szkocja 141, 165  
Szumadia (Puszcza Bułgarska), k.  
527, 528, 531, 532, 544, 545, 589  
Szwajcaria 31, 71, 165, 189, 252, 409, 521  
Śródziemne Morze 87, 157, 314, 320, 328,  
469, 483, 486, 510, 582, 592, 603  
Święta rzeka zob. Kadisza  
Świętego Dymitra Wzgórze 309, 343,  
344  
Świętego Saby dolina 247, 266, 280,  
292  
Tabor, g. 173, 177, 184, 199, 200, 563  
Tadmor zob. Palmira  
Takovo 539  
Tamiza 23, 52, 276, 457  
Tamur (dawniej Tamyris), rz. 167  
Tarabulus zob. Trypolis  
Tars, m. 444  
Tatar-Pazardżik (Tatar-Bazardżik, o-  
becn. Pazardżik), m. 519, 521, 588  
Taurus, g. 91, 96, 163, 166, 301, 413, 443  
Teby (Stives), m. 557  
Tell el-Burak (Wzgórze Sadzawek) 563  
Tenedos, wyspa 451, 452  
Terebintu Dolina 234, 235  
Therapia 459, 485, 486, 488, 497, 510  
Timok, rz. 536  
Topola 532  
Topsidor, w. 541  
Toskania 165, 418  
Trapezant (obecnie Trabzon), m. 6  
Troja (Ilion), gród 451, 452, 583, 598  
Trypolis (Tarabulus), m. 90, 93, 96, 99,  
104, 117, 163, 324, 334, 371, 391, 411—  
414, 418, 422, 562, 5\*80  
Tudela, m. 576  
Tunetańska Zatoka 37  
Tundza, rz. 518  
Tunis, k. 34  
Turcja (Cesarstwo Otomańskie, Porta,  
Wysoka Porta) 6, 82, 87, 109, 118, 119,  
152, 153, 155, 156, 300, 301, 329, 339,  
353, 376, 452, 474, 497, 499, 500, 505,  
508, 513, 515—517, 522, 524, 525,  
530, 531, 533, 537, 542—544, 552,  
554, 558—560, 566, 573, 575, 582,  
585—589, 593, 596, 603  
Turyn 210  
Tyber 553  
Tyberia (obecnie Tweria), m. 188—  
190, 192—194, 228, 267, 428, 564  
kościół Sw. Piotra 194, 565  
Tyberiadzkie Jezioro zob. Genezaret  
Tybet 576  
Tybur (obecnie Tivoli), m. 190, 564  
Tyr (obecnie Sur), m. 85, 93, 97,

## INDEKS NAZW GEOGRAFICZNYCH

- 168—171, 173, 267, 303, 329, 332,  
333, 359, 550, 562, 565, 580
- Ukaz, m. 574  
Umbria, k. 553  
Utyka, m. 551
- Varu, g. 19  
Vevey, m. 340  
Volos, zat. 558
- Watykan 73, 335, 551  
    bazylika Św. Piotra 73, 392, 479,  
    504  
Wawrin 536  
Wenecja 24  
Westminster, opactwo 19  
Wezuwiusz 162, 193, 268, 453  
Węgry 521, 525, 531, 588  
Widyń 534, 537  
Wiedeń 335, 499, 509, 586  
Wielka Brytania zob. Anglia Wioska  
Św. Jana Chrzciciela (Pu-  
stynia Św. Jana Chrzciciela) zob.  
Ain-Karim
- Włochy 27, 43, 65, 67, 71, 84, 122,  
175, 183, 198, 218, 228, 252, 406,  
463, 469, 502, 545, 553, 564, 567,  
576, 586, 587
- Wurla, zat. 447, 449  
Wysevac 589  
Wyspy Książęce 452, 478, 507, 583
- Zabulon 173—175, 177, 298  
Zahle, m. 323, 348, 349, 377, 389,  
400—403  
Zama, m. 551  
Zebedani (ez-Zebedani), w. 373—  
—375, 378, 578  
Ziemia Święta (Ziemia Obiecana,  
Kanaan) 173—175, 177, 179, 197,  
198, 225, 228, 229, 237, 571, 572, 598  
Złoty Róg, zat. 454—457, 466, 476, 510,  
584  
Zurychskie Jezioro 25

## INFORMACJA O ILUSTRACJACH

Ilustracje zamieszczone w obecnym wydaniu są reprodukowane z wydania francuskiego dzieł Lamartine'a (*Oeuvres complètes*, éd. Pagnerre—Hachette et C<sup>e</sup>—Furne), w których *Podróż na Wschód* znajduje się w tomie piątym i szóstym.

Autorem rycin nr 1, 3, 4, 5, 6, 7, 9, 10, 12 jest E. P. Aubert, rycin nr 2, 8 — Schröder, ryciny nr 11 — A. Le Petit.

Odbitki rycin nr 1—7 z tomu piątego udostępniła nam uprzejmie Bibliothèque de l' Arsenal w Paryżu, odbitki rycin nr 8—12 z tomu szóstego, datowanego Paris 1868, wykonała Hanna Balcerek.

## SPIS RZECZY

Przedmowa do wydania pierwszego .....	5
Wspomnienia, wrażenia, myśli i krajobrazy .....	9
Ateny .....	66
Odwiedziny u paszy .....	81
Wyjazd z Aten .....	83
Bejrut .....	93
Odwiedziny u lady Estery Stanhope .....	117
Odwiedziny u emira Baszyra .....	134
Uwagi o emirze Baszyrze .....	143
Druzowie .....	157
Podróż z Bejrutu przez Syrię i Palestynę do Jerozolimy .....	167
Syria. Galilea .....	192
Jerozolima .....	240
Brzegi Jordanu poza równiną Jerycha, o kilka mil od ujścia do Morza Martwego .....	267
Jerycho .....	272
Ludy Libanu .....	323
Maronici .....	323
Druzowie .....	329
Metualisowie .....	332
Ansariusze .....	333
Krajobrazy i myśli w Syrii .....	342
Ruiny Baalbeku .....	349
Damaszek .....	383
Powrót do Bejrutu i droga do Cedrów Salomona .....	411
Wyjazd z Jaffy .....	439
Konstantynopol .....	455
Notatki o Serbii .....	527
Przypisy .....	546
Kilka uwag o <i>Podróży na Wschód</i> pana de Lamartine .....	590
Od Wydawcy .....	600
Indeks osób i postaci .....	605
Indeks nazw geograficznych .....	616
Informacja o ilustracjach .....	627